

Theodore Dreiser
Tragedia amerykańska. T.1-3

Katowice: Wydawnictwo " Książnica", 1991

Na dysk przepisał Franciszek Kwiatkowski Część pierwsza

Rozdział I

Zmierzch letniego wieczoru.

I wysokie mury amerykańskiego miasta handlowego, liczącego przeszło czterysta tysięcy mieszkańców, takie mury, które zachwiać się mogą tylko w baśni.

A na ulicy, szerokiej, nieco spokojniejszej, grupa sześciu osób: mężczyzna pięćdziesięcioletni, niski, krępy, któremu spod czarnego filcowego kapelusza wysuwały się kosmyki potarganych włosów, bardzo pospolita figura, niósł małą przenośną fisharmonię, jakiej zwykle używają uliczni kaznodzieje i śpiewacy. Przy nim kobieta, może o pięć lat młodsza, wyższa, nie bardzo otyła, lecz dobrze zbudowana, krzepka, o pełnej twarzy, w ubraniu niewytwornym, prowadziła za rękę małego, siedmioletniego chłopczyka, w drugiej ręce trzymając Biblię i kilka książek z hymnami. Z tyłu, trochę dalej od nich szła piętnastoletnia dziewczyna, przy niej chłopak dwunastoletni i mała dziesięcioletnia dziewczynka. Wszystko to szło posłusznie, lecz bez entuzjazmu, śladami starszych.

Było gorąco i jakaś słodka niemoc wisiała w powietrzu.

Przeszli tę wielką arterię miejską i skręcili w drugą podobną do kanionu, zapchaną ciżbą ludzką i kilkoma szeregami różnorodnych wehikułów. Dźwięczały tam dzwonki, tłum przesuwał się szparko, powozy torowały sobie drogę w tych nieprzerwanych strumieniach. Nasze towarzystwo nie zwracało na nic uwagi, dążyło wytrwale naprzód, wymijając przechodniów.

Doszedłszy do rogu, skąd szła nowa arteria komunikacyjna niby aleja między dwoma rzędami wysokich gmachów, mężczyzna postawił fisharmonię, kobieta otworzyła ją zręcznie, podniosła pulpit rozkładając na nim płaską książkę z hymnami. Biblię podała mężczyźnie i sama stanęła przy nim, a tymczasem mały chłopczyk rozstawił składane krzesło przed instrumentem. Mężczyzna, widocznie ojciec, upewnił się spojrzeniem, czy wszystko jest w porządku, i oświadczył:

- Zaśpiewamy naprzód hymn chwały, żeby każdy, kto chce poznać Pana Zastępów, mógł przyłączyć się do nas. Zacznij, Estero.

Nie troszczył się wcale, czy będzie miał słuchaczy, czy nie.

Na te słowa starsza dziewczyna, obojętna i apatyczna, o szczupłej i nie rozwiniętej jeszcze figurce, usadowiła się na rozkładanym krześle i zaczęła przewracać karty książki przydeptując pedały instrumentu.

Matka jednak zaoponowała:

- Myślę, że lepiej byłoby zaśpiewać dwudziesty siódmy: "Jak słodki jest balsam miłości Jezusa".

Zaczęli się ukazywać coraz liczniejsi przechodnie z różnych warstw społecznych, a mijając muzykalną rodzinę mierzyli ją ciekawym wzrokiem lub przystawali czekając, co będzie dalej. Właściciel fisharmonii nie opierał się dłużej żonie i zwróciwszy się do słuchaczy odezwał się:

- Zaśpiewajmy więc wszyscy razem dwudziesty siódmy: "Jak słodki

jest balsam miłości Jezusa"...

Młoda dziewczyna zaczęła wygrywać melodię na instrumencie wydającym ostre, lecz strojne tony i swój wysoki sopran połączyła z niskim głosem matki i wątpliwym barytonem ojca. Starszy chłopiec i dziewczynka wzięli książki, złożone na fisharmonii i wraz z najmłodszym braciszkiem zawtórowali piskliwymi dyszkantami.

Podczas tego śpiewu przygodne, obojętne audytorium uliczne wpatrywało się w śpiewaków, przykute osobliwym wyglądem tej rodziny, wznoszącej wspólne pienia do Boga bez względu na bezmiar sceptycyzmu i obojętność ludzką. Byli tacy, których interesowała postać potulnej i jakby nie pasującej do otoczenia starszej dziewczynki przy fisharmonii, innych - zdecydowanie niedołążny wygląd ojca, którego wypełzłe niebieskie oczy i zmiętoszone, choć czyste ubogie ubranie mocniej niż słowa mówiły o beznadziejności życia. Z całej rodziny jedynie w matce znać było pewność przekonań i posłuszne poddanie się losom, co, jakkolwiek mogło być ślepe i błędne, zapewniało jej spokój i ułatwiało bytowanie. To niezachwiane przekonanie, z jakim spełniała tu swoją misję, zasługiwało na szacunek. Ręka trzymająca książkę opadła, oczy patrzyły w przestrzeń i można by o niej powiedzieć: Oto jest istota, która mimo może błędnych poglądów czyni to, w co święcie wierzy. Jakaś silna, wojująca wiara w mądrość i łaskę tej wszechmocnej i czujnej potęgi, którą sławiła, malowała się w każdym jej rysie i geście.

Miłość Jezusa zbawi mię całego,

Miłość Boga Ojca kroki me prowadzi

- śpiewała głośno nieco nosowym głosem stojąc między wysokimi murami sąsiednich gmachów.

Lecz starszy chłopiec niechętnie stał między nimi. Kręcił się niespokojnie, spuszczał oczy i mruzczał cicho pod nosem słowa pieśni. Wysoki, zanadto wybujały na swój wiek, miał niezwykle ciekawą głowę, o twarzy jasnej, włosach ciemnych, bystrym spojrzeniu, w którym malowała się silna wrażliwość. Był jakby urażony, a może nawet cierpiał nad sytuacją, w jakiej musiał brać

udział. Jakkolwiek nie znał wcale rozkoszy ziemskiego, wesołego życia, podświadomie tęsknił do niego. Znać było z wyrazu jego twarzy, że wolałby uniknąć całej tej szopki. Był jeszcze tak młody, umysł miał wrażliwy na piękno i przyjemności, których zaznał tak mało, a wiedział, że nie miały one nic wspólnego z obcą i chłodną wiarą, przepelniającą dusze rodziców.

Życie domowe, w jakim ten chłopiec rozwijał się moralnie i fizycznie, i rozliczne stosunki z ludźmi, którzy nawiedzali ich dom, nie mogły go przekonać o prawdzie i potędze tej siły, w którą jego rodzice tak wierzyli i nauczali o konieczności tej wiary. Wiedział, że kłopoty materialne nękały ich bezustannie. Ojciec ciągle prawie czytał Biblię i przemawiał na mityngach, gdzie się dało, a najczęściej w domu misyjnym, który jednocześnie służył całej rodzinie za mieszkanie. Podczas tych zebrań zbierali pieniądze od współwyznawców lub miłosiernie usposobionych osób, którzy zdawali się wierzyć w celowość filantropii. Ale rodzice zawsze ograniczali się we wszystkim, odmawiając sobie wielu wygod i przyjemności, takich nawet, jakie nie były obce najbiedniejszemu człowiekowi.

I mimo to matka i ojciec stale głosili miłość i nieustającą łaskę Boską dla wszystkich ludzi. Coś tu było nie w porządku...

Nie umiał się przejąć słusznością tej nauki, ale musiał szanować matkę, której siła moralna i żarliwość, a głównie słodczy charakteru przemawiały najbardziej do jego duszy.

Pomimo pracy przy gospodarstwie domowym i stałego, uciążliwego zajęcia w misji zawsze była wesoła, a przynajmniej pogodna i zwykle mawiała z przejęciem: Bóg nam dopomoże albo: Bóg nam wskaże drogę, wtedy, gdy zjawiała się troska o ubranie lub pożywienie.

Niestety ani on, ani jego rodzeństwo nie mogli się doczekać, żeby Bóg choć raz jeden wskazał właściwą drogę, jakkolwiek nieraz Jego łaskawa interwencja byłaby konieczna.

I dziś wędrując z rodzicami przez ludne ulice wielkiego miasta czuł w głębi duszy gorące pragnienie, żeby rodzice jego

zaprzestali robić z siebie widowisko, a przynajmniej, żeby on do tego nie musiał należeć. Inni chłopcy tego nie robią... Ileż to razy, zanim zaczął chadzać razem z rodzicami, słyszał, jak jego rówieśnicy wyśmiewali przy nim ojca za to, że publicznie z emfazą głosił swoje wierzenia i przekonania religijne. Pamiętał, gdy miał zaledwie lat siedem, że ojciec miał zwyczaj zaczynać każdą rozmowę od zdania: "Chwała Panu", a ulicznicy biegali za nim i wołali: "Chwała panu Griffithsowi!" A czasem pytali się Clyde'a:

- Te, czy ty jesteś bratem tej, co gra na katarynce? Czy ona nie umie nic innego grać?

Po co ten ojciec chodzi ciągle z tą katarynką i gada "Chwała Panu"? Nikt przecie tego nie robi...

Ciągle porównywał siebie i swoich do innych ludzi i to go bardzo trapiło. Ani ojciec, ani matka nie byli podobni do nikogo. Nie umieli o niczym innym myśleć, tylko o sprawach religijnych, a teraz zrobili z tego interes.

Więc i dziś na tej wielkiej ulicy, przepelnionej tłumem i pojazdami, czuł się zawstydzony. Wspaniałe samochody pędzące przez ulice, nie spieszący się przechodnie, dążący do jakichś nieznanym mu przyjemności i zabaw, które zaledwie przeczuwał, roześmiane pary, gapiące się dzieci, całe to ruchliwe życie dawało mu do myślenia, że jest to coś odmiennego, lepszego, piękniejszego niż jego życie.

A w tej płynnej ciżbie, wciąż nową falą przepływającej obok rozśpiewanej rodziny, trafiali się tacy, którzy zdawali się spostrzegać błędny sposób wychowania tych dzieci, i tręcali się łokciami, podnosili brwi dość obojętnie i uśmiechali się wzgardliwie, komentując często ze współczuciem zbędną tu obecność dzieci.

- Widuję tych ludzi tutaj prawie co wieczór, a w każdym razie dwa albo trzy razy tygodniowo - mówił jakiś młody człowiek, który spotkawszy się ze swoją dziewczyną prowadził ją do restauracji. - Odprawiają tu zawsze jakieś wariackie nabożeństwo czy coś

podobnego.

- Ten starszy smyk nie bardzo ma ochotę tu sterczeć. Wolałby się wymknąć... Już ja to dobrze widzę. Do czego to podobne, żeby zabierać ze sobą takich brzdąców? Albo on co z tego rozumie? - odezwał się jeden z tych próżniaczych pasożytów, jakich pełno jest w wielkich miastach, zwracając się do sympatycznie wyglądającego przechodnia, który też zatrzymał się na chwilę.

- Pewnie! - odparł tamten przyglądając się ciekawie twarzy chłopca:

Istotnie, malujące się w niej niezadowolenie nasuwało przypuszczenie, że stosowano tu z pewnym okrucieństwem jak również bezcelowo przymus spełniania obrządków religijnych, tak niemiły do wykonywania w miejscu publicznym. Ludziom starszym, o umysłach bardziej refleksyjnych zapewne nie zaszkodziłoby to zupełnie.

W tym wypadku istotnie tak było.

Co do reszty dzieci - dwoje młodszych było jeszcze zbyt małych, żeby mogły zrozumieć, o co tu chodzi, a starsza dziewczynka nie wyglądała na bardzo myślącą; bawiło ją, że zwracała na siebie uwagę, że mówiono o jej śpiewie, wiedziała bowiem od rodziców, że ma zdumiewający głos.

Nie było to wcale prawdą. Nie miała pięknego głosu, a rodzice nie znali się wcale na muzyce. Była blada, wątła, głębokim umysłem nie grzeszyła i była bardzo zadowolona, gdy widziała zwrócone na siebie spojrzenia.

Rodzice zaś uważali się za powołanych do udoskonalania świata, więc teraz, gdy zakończyli śpiewanie hymnu, ojciec zabrał głos i zaczął kazać o rozkoszy wyzwolenia się z wyrzutów sumienia przez dostąpienie do łaski Bożej, przez miłość Chrystusa i o miłosierdziu Bożym dla grzeszników.

- Wszyscy ludzie są grzesznikami wobec Boga - mówił. - Jeżeli nie żałują za grzechy i nie uznają Chrystusa, Jego miłości i przebaczenia, nie mogą nigdy zrozumieć szczęścia doskonałości i

czystości. Och, moi mili. Gdybyście mogli pojąć, ile spokoju i zadowolenia płynie ze świadomości wewnętrznej, że Chrystus żył i umarł dla nas i że jest przy nas o każdej porze dnia i nocy, o świcie i o zmierzchu, aby nas krzepić w strapieniach i trudach, jakie życie nam daje zawsze. Tyle nas osacza sideł i wilczych dołów... A jakże kojąca jest świadomość, że Chrystus jest zawsze z nami, doradza, pomaga, dodaje męstwa, goi nasze rany i wszystko dla nas czyni... Jakiż spokój, jakież zadowolenie, jaka pociecha i chwała z tego płynie.

- Amen - zakończyła uroczyście żona, a córka Ester, czyli jak ją w domu zwano Esta, obejrzawszy się na publiczność powtórzyła za nią.

Clyde i reszta dzieci patrzyli przez ten czas w ziemię, czasami na ojca, rozmyślając, że może to jest prawdziwe i ważne, ale chyba nie tak ważne i ciekawe, jak to, co daje życie. Tyle już o tym słyszeli, lecz w ich młodych i wrażliwych umysłach życie miało większą wartość niż ulica i sala misyjna.

Po odśpiewaniu drugiego hymnu pani Griffiths wygłosiła mowę o znaczeniu misji, prowadzonej przez nich, i o służbie dla Chrystusa w ogóle, po czym zaśpiewano trzeci hymn, rozdano broszurki o pracy misyjnej i zebrano dobrowolne datki, co uczynił Asa - ojciec. Fisharmonię zamknięto, krzesło złożono, Biblię i książki z hymnami wzięła pani Griffiths, fisharmonię przewiesił ojciec na rzemiennym pasku przez ramię i całe misyjne towarzystwo zabrało się do odejścia.

W trakcie tego Clyde zapowiedział stanowczo, że nigdy więcej w tej szopce nie weźmie udziału. To szaleństwo! Jakże oni wszyscy głupio przy tym wyglądają! Idiotyzm! Tym słowem określiliby to, gdyby umiał wyrazić całą odrazę do tych bzdurstw, w których musiał uczestniczyć, a nie robiłby tego za nic, gdyby to od niego zależało.

Po co go trzymają przy sobie? Co im z tego przyjdzie? Jego życie nie może pójść ich drogą. Inni chłopcy nic podobnego nie robią... Przemyślał stanowczo o buncie i o uwolnieniu się od tej pańszczyzny. Niech sobie Esta im towarzyszy, ona to lubi, a

młodsze rodzeństwo jest jeszcze za małe, żeby się miało tym przejmować, ale on...

- Zdaje się, że dziś z większym skupieniem słuchali niż zwykle - mówił Griffiths do żony podczas drogi powrotnej.

Łagodna letnia noc usposobiła go do bardziej wyrozumiałej oceny stanu ducha zazwyczaj obojętnych przechodniów.

- A tak. Dwadzieścia siedem broszurek rozebrano dzisiaj, a w czwartek tylko osiemnaście.

- Miłość Chrystusa musi wreszcie zapanować - dodawał otuchy sobie i żonie. - Radości i troski życiowe wielu jeszcze ludzi trzymają w swych szponach, ale gdy przytłoczą ich cierpienia, wtedy ziarno zapaści korzenie.

- Jestem tego pewna. Ta myśl zawsze mnie podtrzymuje. Cierpienie i zrozumienie grzechu wielu z nich zmusi do zmiany błędnej drogi, którą kroczą.

Szli teraz wąską uliczką, na której mieszkali, minęli z tuzin bram i weszli do żółtego jednopiętrowego budynku. Było tam wielkie okno i oszklone drzwi pomalowane na kolor szarawy. Na szybach były napisy: Podwoje Nadziei. Niezależna Misja.

Zebrania w środy i soboty od 8 do 10 wieczorem. W niedzielę o 11, 3 i 8. Wejście wolne. Pod tymi napisami były jeszcze inne, mniejszymi literami: "Bóg jest miłością", a niżej jeszcze mniejszymi: "Jak dawno pisałeś do swojej matki?"

Całe towarzystwo znikło w drzwiach tego domu.

Rozdział II

Może by należało szerzej opracować obraz tej rodziny i z innego poniekąd punktu spojrzeć na nią, gdyż właściwie jest tu przedstawiona jedna z psychicznych i społecznych anomalii, do rozwikłania której przydałby się nie tylko biegły psycholog, lecz i fizyk, a nawet chemik.

Pierwszeństwo należy się ojcu.

Asa Griffiths to jedna z tych natur, licho skoordynowanych i niejednorodnych, które bywają wytworem otoczenia i nie przetrawionych umysłowo teorii religijnych przy nadmiernej wrażliwości, a tym samym skłonności do wzruszeń, i z zupełnym zanikiem zmysłu praktycznego. Właściwie trudno by nawet wyjaśnić, jak na te jego cechy reagowało życie i jaka była istotna barwa jego emocjonalnych replik.

Żona jego, jakkolwiek fizycznie silniejsza, niewiele praktyczniej patrzyła na życie.

Historia tych dwojga małżonków nie przedstawia nic ciekawego, poza tym co wiąże się z historią ich syna, Clyde'a: Dzieciak ten prócz wrażliwości i pewnej dozy romantyzmu, które odziedziczył zapewne po ojcu, posiadał także żywą, inteligentną wyobraźnię. Źle mu było w domu. Przemyślał nieraz nad tym, żeby uciec. Jakież tu pędzi życie? O ile lepiej byłoby mu gdzie indziej, wszędzie, byle nie w domu!... Ach, gdyby mógł iść tam, gdzie mu się podoba, zobaczyć coś innego, niezwykłego. W ogóle życie układałoby się inaczej, gdyby to, co uważano za prawdę, było prawdą.

Do piętnastego roku życia żył w pełnym udręki przekonaniu, że zajęcie jego ojca i matki jest czymś poniżającym, a nawet nienawistnym w oczach ludzkich. Wszędzie gdziekolwiek był z rodzicami, którzy w sprawach misyjnych wyjeżdżali do wielkich miast, jak Grand Rapids, Detroit, Milwaukee, Chicago, a teraz w Kansas City, i gdzie przemawiali na ulicach - wszędzie widział to

samo, że wszyscy, a przynajmniej młodzież w jego wieku spoglądała na Clyde'a i na jego rodzeństwo z góry, jako na dzieci takich rodziców. Niejednokrotnie wbrew zasadom rodziców, którzy nigdy nie pochwalali podobnych wybuchów temperamentu, stawał do walki z którymś z chłopców wzgardliwie odzywającym się o jego rodzicach. Niezależnie jednak od tego, czy wychodził z walki zwycięzcą czy zwyciężonym, wiedział, że walczy o sprawę niepewną, widział, że praca jego rodziców nie zdobywała uznania ludzkiego, była wstrętna, trywialna. Ach, gdyby udało mu się uciec.

Rodzice Clyde'a bardzo niepraktycznie zapatrywali się na przyszłość swego potomstwa. Nie rozumieli i nie zdawali sobie sprawy z tego, jak ważne jest dla każdego wyuczenie się jakiegoś fachu. Przejęci misją udoskonalania świata całego nie zastanawiali się, że dla dzieci byłoby pożyteczniej, gdyby stale przebywały w jednej szkole. Bardzo często przerywali im naukę w ciągu roku i wyjeżdżali do innego miasta, gdy uważali, że tam zdobędą lepsze pole do swych działań.

A bywało i tak, że Asa nie zarobił nawet tyle, żeby starczyło na jedzenie i odzież. Oddawał się wówczas zajęciu, które mu najbardziej odpowiadało - roztrzasał i nicował każdy nowy projekt na wszystkie strony, ale dzieci wtedy nie mogły chodzić do szkoły.

Starzy jednak nie obarczali swego sumienia żadnymi wyrzutami, nie zastanawiali się, co same dzieci o nich sądzić będą, i nie tracili nic ze swego optymizmu, a przynajmniej utrzymywali, że go nie tracą, i głosili niezachwianą wiarę w Boga i jego intencje zaopatrzenia ich we wszystko.

Lokal, który był kombinacją mieszkania z siedliskiem misji, był tak posępny, że trudno by sobie wyobrazić, jak może tu mieszkać szczęśliwe dzieciństwo lub radosna młodość. Składał się z jednego piętra w starym drewnianym o spłowiałej barwie budynku na ulicy Bickel, krótkiej przecznicy Missouri Avenue. A cała dzielnica owiana była słabą, lecz mimo to niezbyt miłą wonią sklepików. Dzielnica ta składała się z kilku ulic, gdzie dwa razy tygodniowo na wolnym powietrzu odbywały się mityngi entuzjastów religijnych i ich prozelitów.

Front tego budynku zwrócony był na Bickel Street, tyły na nędzne podwórka i równie nędzne zręby domów. Z ulicy wchodziło się do hallu, liczącego czterdzieści na dwadzieścia pięć stóp powierzchni. Stało tam około sześćdziesięciu zdezelowanych drewnianych krzeseł, pulpit, wisiała mapa Palestyny, a ściany udekorowane były napisami:

"Wino jest oszustwem. Nadmiar jego doprowadza do gniewu, a więc oszukuje, a stąd wniosek, że i ogłupia".

"Porwij puklerz i tarczę, a powstań na ratunek mój". Psalm 35:2.

"A wy, moja trzoda, trzoda z mego pastwiska, jesteście ludźmi, a ja jestem waszym Bogiem - Panem Bogiem". Ezechiel 34:31

"Boże Ty znasz głupstwo moje, a występki moje nie są tajne przed Tobą". Psalm 69:6.

"Jeśli byście, mając wiarę jako ziarno gorczyczne, rzekli tej górze: przenieś się stąd na ono miejsce, tedy się przeniesie, a nic niemożliwego wam nie będzie". Mateusz 17:20.

"Gdyż dzień Pana jest bliski". Obadiah 15.

"Gdyż nie będzie nagrody dla złego człowieka". Przysłowia 24:20.

"Nie tylko czerwień jest w winie: kąsa ono jak żmija i kłuje jak gadzina". Przysłowia 23:31, 32.

Te potężne zaklęcia były srebrną i złotą inkrustacją na zmurszałych ścianach.

Reszta lokalu przedzielona została przemyślnie na pokoje mieszkalne, a więc trzy małe sypialnie, salonik z oknami, wychodzącymi na podwórko i parkany, kuchnię, która służyła za jadalnię, liczącą ściśle dziesięć stóp kwadratowych. Był prócz tego pokój zapasowy jako skład broszur misyjnych, hymnów, pudeł,

waliz, wszystkiego co posiadało uznaną wartość, a na razie było niepotrzebne. W głębi hallu był jeszcze jeden maleńki pokoik i w nim po kazaniach odbywały się jakieś ważne konferencje, a czasami sam pan Griffiths albo jego małżonka udawali się na rozmyślania lub na modlitwę.

Bardzo często dzieci widywały rodziców odbywających konferencje z jakąś opuszczoną lub jeszcze niedostatecznie skruszoną duszą, która zjawiała się

tutaj po radę albo po pomoc, ale najczęściej po pomoc. Tam też czasami, kiedy problemy finansowe były trudne do pokonania, siadywali rodzice, rozmyślając nad sposobem wybrnięcia z kłopotów i Asa najczęściej dawał taką radę: - Módlmy się o pomoc... - co, jak zauważył Clyde, było najzupełniej bezskuteczne.

Całe otoczenie było mu wstrętne, poniżające - z nienawiścią myślał o tym, że musi tu żyć, musi uczestniczyć w ciągłym zebraniu o pomoc, musi ciągle się modlić i ciągle dziękować za to, że żyje.

Elwira Griffithsowa, zanim wyszła za swojego Asę, była zwykłą wiejską dziewczyną i nigdy nie przychodziły jej do głowy jakieś głębokie rozmyślania religijne. Lecz mąż, rozkochawszy ją w sobie, zaszczerpił w niej gorączkę pobożności. Nawrócona poszła za swym mistrzem z wielką ochotą i z entuzjazmem zgadzała się na wszelkie ryzykowne i dziwaczne pomysły. Dumna była, że umiała śpiewać i przemawiać do tłumu, że potrafi wywierać wpływ, przekonywać "słowem Bożym", była z siebie zadowolona i wierzyła w potrzebę kontynuowania tej pracy.

Zwykle jakaś niewielka gromadka ciągnęła za kaznodziejami do ich misyjnego lokalu. Byli to przeważnie ludzie upośledzeni nieco na umyśle, jakich zwykle nie brak w każdej miejscowości. Do przymusowych obowiązków Clyde'a przez całe lata należało uczestniczenie w tych mityngach. Nie mogły go podnieść duchowo typy, które tu oglądał. Byli to przeważnie najnędzniejsi robotnicy, włóczędzy, pijacy, próżniacy, partacze bezrobotni, którzy tu zjawiali się tylko dlatego, że nie mieli dokąd pójść. Oni to świadczyli zazwyczaj, jak to Bóg czy Chrystus, czy też Łaska Boska wybawiła ich od takiego czy innego nieszczęścia. Nigdy

jednak nie chwalili się że sami komuś potrzebującemu udzielili pomocy. Zawsze potem ojciec albo matka mówili "Amen" albo "Chwała Panu" i śpiewali hymny, a potem robili składkę na potrzeby misji, składkę, która, jak się domyślał Clyde, była zwykle tak skromna, że zaledwie wystarczyła na potrzeby tych różnych misji, jakie prowadzili rodzice.

Było jednak coś, co go niezmiernie interesowało u rodziców. Wiedział, że ojciec jego miał brata, który prowadził życie wręcz odmienne. Samuel Griffiths mieszkał w mieście Lycurgus niedaleko Utiki i był bardzo bogaty. Od czasu do czasu z ust rodziców padało jakieś słówko, z którego mógł wywnioskować, że stryj, gdyby chciał, mógłby wiele zrobić. Domyślał się z tego, że stryj był to skąpiec, twardy biznesmen. Powoli dowiedział się, że stryj był właścicielem wielkich warsztatów w Lycurgus, że na wielką skalę wyrabiał kołnierzyki i koszule męskie, że warsztaty zatrudniały ni mniej, ni więcej, tylko trzystu robotników, że miał syna w wieku Clyde'a, zdaje się, że dwie córki. Wszyscy niewątpliwie musieli żyć w wielkim zbytku w tym Lycurgus. Wiadomości o tym przyniósł ktoś, kto znał Asę, jego ojca i brata. Więc Clyde wyobrażał sobie stryja jako kogoś w rodzaju Krezusa, który żyje sobie w przepychu i wygodach, gdy tutaj w Kansas City on, rodzice jego i rodzeństwo znają tylko niedolę, troskę, głodowanie i nic więcej.

Ale na to nie było żadnego sposobu. Jedynie on sam mógłby poprawić swój los, gdyby udało mu się stąd wyrwać.

Doszedłszy do lat piętnastu, a nawet już wcześniej, Clyde zrozumiał, że wychowanie dzieci państwa Griffiths było bardzo zaniedbane. Jakże więc ma dać sobie radę? Widział, że inni chłopcy i dziewczęta, czy zasobniejsi w pieniądze, czy też mający inne ogniska domowe, uczyli się zawczasu jakiegoś zawodu. Więc jakże on ma rozpocząć nowe życie nic nie umiejąc? Już mając trzynaście lat zaczął przeglądać ukradkiem gazety, które jako zbyt światowe nie miały debitu w domu, lecz przekonał się, że poszukiwano zwykle bardziej wykwalifikowanych chłopców. Należałoby zatem uczyć się teraz rzemiosła, które jednak nie bardzo go nęciło. Na wzór całej młodzieży amerykańskiej czy też ogólnie amerykańskiego stosunku do życia czuł niechęć do wszelkiej pracy ręcznej. Jak to? Chodzić

koło maszyn, kłaść cegły, uczyć się ciesielstwa, może pracować przy gipsie czy ołowiu, kiedy chłopcy, wcale od niego nie lepsi, zostawali kancelistami, pomocnikami aptekarskimi, subiektami w księgarniach, praktykantami w bankach, a nawet pracowali w państwowych urzędach. Gdyby więc musiał nosić takie samo zniszczone ubranie i wstawać o świcie, jak to czynili robotnicy, czyż poprawiłby tym swój nędzny los?

Gdyż Clyde był równie próżny i dumny jak ubogi. Był jednym z tych osobników, którzy uważają się za coś odrębnego od reszty rodziny i nie poczuwają się do żadnych obowiązków wobec tych, których czynią odpowiedzialnymi za swe przyjście na świat.

Umiał już sądzić swoich rodziców. Czynił to niezbyt ostro i nawet nie z goryczą, lecz z prawdziwym zrozumieniem ich zalet i właściwości. Rozwinąwszy w sobie zmysł krytyczny nie był jednak zdolny - przynajmniej do szesnastego roku życia - do żadnej przebiegłości. Nie umiał udawać ani kłamać, a jeżeli to czynił, to w sposób bardzo niezręczny.

Jakoś w tym czasie obudziły się w nim zmysły. Zaczął się interesować pięknnością płci odmiennej, zastanawiać i mieszać na widok jej ponęt. Jednocześnie budziła się w nim chęć, aby mógł również wywierać dodatnie wrażenie. Oczywiście sprawa garderoby i zewnętrznego wyglądu zajmowała go niemało. Porównywał się ciągle ze swymi rówieśnikami i wyciągał niekorzystne dla siebie wnioski. Myślał z przykrością, że nie ma porządnego ubrania, że nie jest wcale przystojny, jak ci, którym zazdrościł, ani tak interesujący.

Cóż za podły los, żeby się urodzić tak biednym i nie mieć nikogo kto by mu chciał dopomóc, a przy tym nie być zdolnym wybić się o własnej sile.

Spoglądał od czasu do czasu w lustro, gdzie bądź je napotkał, i te przekonywały go, że nie wyglądał tak bardzo źle. Miał prosty, zgrabny nos, wysokie białe czoło, kędzierzawe, lśniące czarne włosy, oczy też czarne, często o melancholijnym spojrzeniu.

Czuł w duszy żal do rodziców, tęsknił do jakiegoś przyjaciela,

choć sądził, że mieć go nie będzie nigdy właśnie dzięki swym rodzicom, i był z tego powodu w stanie ciągłej depresji, ogarniała go melancholia, co nieszczęśliwym było zadatkiem na przyszłość. Wzbierał w nim bunt a czasem przygnębienie graniczące z apatią. Oceniał siebie surowo i nie podejrzewał, że ma wygląd miły i naprawdę jest zupełnie przystojnym chłopcem. Zawsze był gotów błędnie sobie tłumaczyć ciekawe spojrzenia, jakie młode dziewczęta rzucały na niego, niby to drwiące, a jednak zachęcające, jakby chciały się przekonać, czy ten ładny chłopak jest sympatyczny czy nie, czy jest to zuch czy niedołęga.

Marzył stale o tym, żeby mógł mieć lepszy kołnierzyk, porządniejszą koszulę, przyzwoite buty, eleganckie palto, jak to mają inni chłopcy. Ach, te piękne garnitury, ciepłe, przytulne mieszkania, zegarki, pierścienie, szpilki, jakie noszą niektórzy chłopcy... Tylu jest szykownych młodzieńców w jego wieku... Są rodzice, którzy nawet auta dają swoim synom, żeby zawczasu nauczyli się nimi kierować... Widziało się tych elegantów na głównych ulicach Kansas City, przelatujących tam i z powrotem jak muchy. A i piękne panny z nimi... A on, Clyde, nie ma nic. I nigdy nie będzie miał...

A ileż to pięknych rzeczy jest na świecie. Tylu ludzi jest szczęśliwych i powodzi im się doskonale. Co on ma robić? Jaką drogę sobie wybrać? Jakie wybrać zajęcie, czego się nauczyć, żeby wydostać się stąd? Nie umiał na to odpowiedzieć. Nie wiedział, co począć. A jego rodzice, tak niepodobni do innych, w żadnym razie nie umieliby mu doradzić.

Rozdział III

Gdy Clyde łamał tak sobie głowę nad wynalezieniem jakiejś praktycznej dla siebie drogi, zaszedł wypadek, który zabił mu jeszcze większego klina w głowę, nie mówiąc już o przygnębieniu, w jakie wtrącił rodziców.

Siostra jego, Esta, którą najbardziej lubił z całego rodzeństwa (choć nie zżyli się z nią za bardzo), uciekła z domu z jakimś aktorem, grywającym przygodnie w Kansas City. Udało mu się rozmówić ją w sobie.

Należy wyznać, że jakkolwiek w domu uważano Estę za dziewczynę o silnie wpojonych zasadach moralności i głęboko religijną, była to zwykła słaba istota, wybitnie zmysłowa i nigdy głębiej nad niczym się nie zastanawiająca. Domowa atmosfera wcale na nią nie miała wpływu. Jak większość ludzi, którzy codziennie powtarzają i wykonują dogmaty wiary, nabrała tylko rutyny w tych praktykach, a sama pozostała obojętna nie siląc się na wniknięcie w ich znaczenie. Rady, przykazania i "objawiana" prawda zapobiegały potrzebie myślenia, ale na razie do czasu, gdy inne jakieś teorie czy sytuacje i impulsy zewnętrznej, a nawet wewnętrznej natury nie stanęły w sprzeczności z tamtymi, można było o nią być zupełnie spokojnym. Lecz że owe religijne zasady nie były ugruntowane na wewnętrznym przekonaniu ani na pewnych skłonnościach charakteru, nie wytrzymały naporu innych teorii. Podobnie jak u Clyde'a i jej marzenia błądziły w różnych kierunkach, ku miłości, ku zabawom, jednym słowem ku sprawom, które niewiele mają wspólnego z pełnymi ofiarnością i abnegacją zasadami religijnymi. Odbywał się w niej proces chemiczny marzeń, który unicestwiał to, w co dotychczas wierzyła.

Nie miała jednak siły woli Clyde'a ani jego umiejętności poskramiania się. Miała skłonność z domieszką lekkiej tęsknoty do pięknych strojów, kapeluszy, bucików, wstążek, co surowo potępiały jej teorie religijne. Pociągały ją jasne, tętniące życiem ulice, które widywała w różnych porach dnia. Widywała tam urocze dziewczęta, przechadzające się parami, szepczące sobie sekrety, widywała tam chłopców, w których poza zabawnym zadowoleniem z siebie wyczuwało się siłę i ten podświadomy pęd do kojarzenia się, jaki leży na dnie każdej czynności i myśli młodzieży. I w niej

samej od czasu, gdy zauważyła, że ma wielbicieli i amatorów flirtu, wałęsających się pod drzwiami lub oczekujących na rogu ulicy, którzy patrzyli na nią tęsknym czy zdobywczym wzrokiem, budziło się jakieś drżenie, jakiś zarodek nowych uczuć mówiący o fizycznych wymaganiach życia, nie zaś o skromnych rozkoszach niebiańskich.

Spojrzenia te przeszywały ją jak niewidzialne promienie i podnosiły jej urodę i wdzięk, gdyż na uczucia męskie odpowiadała takimiż samymi uczuciami. Z takiego bowiem procesu chemicznego tworzy się cała moralność i niemoralność tego świata.

Otóż któregoś dnia, wracała ze szkoły, jakiś młodzieniec, taki sobie dandys, jakich pełno jest w każdej sferze, zadecydowawszy, że jest tego warta, zaczepił ją i zaczął z nią rozmowę. Nie zaoponowała wcale. Sama tego pragnęła. Ciągłe kazania rodzicielskie o skromności, ostrożności, niewinności tyle sprawiły, że nie było mowy o natychmiastowym upadku. Lecz pierwszy krok zachęcił do dalszych i stopniowo mur zasad, budowany pieczołowicie w domu, zachwiał się. Esta stała się skryta i nie opowiadała o swych przygodach rodzicom.

Spotykała się teraz często z chłopcami, chętnie z nimi rozmawiała. Przełamała wrodzoną nieśmiałość, która ją dotychczas powstrzymywała od zawierania łatwych znajomości. Zapragnęła nowych stosunków, marzyła o jakiejś cudownej, rozkosznej, radosnej miłości z kimś wymarzoną.

Wreszcie, gdy pożądania i popędy dojrzały, zjawił się aktor, jeden z tych próżnych, przystojnych samców, których elegancki wygląd i zdobywczą miną są jedyną wartością. Brak zasad, brak wszelkiej kultury, wychowania, a nawet zdolności uczucia, natomiast jakaś siła uwodzicielska, która zdolna jest w przeciągu tygodnia rozpalić i tak usidlić, że ofiara gotowa jest na wszystko.

Aktor ten, należy wyznać, niezbyt się nawet trudził, żeby dopiąć celu. Łatwo mu poszło z tą dziewczyną, bardzo ładną, wyraźnie zmysłową, niedoświadczoną, a tak naiwną, że wystarczyło kilka

czułych słówek i pozór gorącego uczucia. Nadmienił kilkakrotnie, że nie dla niej takie życie, jakie tu prowadzi. Są piękne, wielkie miasta, gdzie mogliby być tak bardzo szczęśliwi, gdyby się pobrali. Słowa jego brzmiały tak szczerze... Przekonywał ją, że powinna natychmiast opuścić dom. Jest przecież jego narzeczoną. Tutaj nie mogą wziąć ślubu, zbyt wielkie byłyby trudności - jakie, nie mógł wytłumaczyć - brak stosunków... ale w St. Louis ma znajomego księdza, który da im ślub. Jego żoneczka otrzyma śliczne sukienki, o jakich nawet nie marzyła, kochać się będą szalenie, przeżywać cudowne dni... Będzie z nim podróżowała, zobaczy świat. O nic się troszczyć nie będzie, a myśleć jej wolno będzie tylko o nim... Tak. Słowa te były dla niej wyrazem głębokiej, szczerzej namiętności - dla niego wytartym liczmanem uwodziciela, zawsze używanym i zawsze skutecznym.

W przeciągu jednego tygodnia, widując się ukradkiem parę razy dziennie, uwodziciel dopiął celu.

Clyde miał zwyczaj w soboty uciekać z domu, żeby uniknąć wieczornego misyjnego nabożeństwa. Otóż któreś soboty kwietniowej wróciwszy późnym wieczorem zastał rodziców bardzo zmartwionych nieobecnością Esty. Grała i śpiewała jak zwykle podczas mityngu. Wszystko odbyło się normalnie. Po zebraniu poszła do swego pokoju mówiąc, że nie czuje się dobrze i położy się wcześniej spać. Przed powrotem Clyde'a o jedenastej matka zajrzała do jej pokoju. Esty nie było. Nie było jej i w innych pokojach. Nieład, brak sukien i kilku drobiazgów oraz starej rodzinnej walizy zwróciły przede wszystkim uwagę matki. Asa wyszedł przed dom i wyjrzał na ulicę, gdyż czasami siadywała przed domem, kiedy skończyła swe zajęcia podczas nabożeństwa, albo przechadzała się w pobliżu.

Poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Clyde z ojcem poszli do rogu, a nawet dalej na Missouri Avenue. I tam jej nie było. O dwunastej wrócili, oczywiście mocno zaniepokojeni. Spodziewali się jeszcze, że może powrócić, ale wybiło wpół do pierwszej, pierwsza, wpół do drugiej, więc zatrwożeni postanowili dać znać na policję. Lecz Clyde wszedłszy jeszcze raz do pokoju siostry spostrzegł kartkę, która uszła dotychczas oka macierzyńskiego, przypiętą do poduszki panińskiego łóżeczka. Domyślił się w jednej chwili, co

to znaczyć miało, gdyż sam, projektując nieraz ucieczkę z domu, zamyślał w ten sposób zawiadomić rodziców, wiedział bowiem, że nie pozwoliliby mu dobrowolnie na wyjazd nie omówiwszy przedtem każdego szczegółu. A więc Esta zawiadamia... Schwycił kartkę, pragnąc ją przeczytać, lecz w tej chwili weszła matka i zobaczywszy list w ręku syna zawołała:

- Co to takiego?... List?... może od niej?

Oddał. Matka zaczęła śpiesznie czytać. Gdy zwróciła się do drugiego pokoju, spostrzegł, że jej czerstwa, ogorzała twarz stała się blada, grube usta zacisnęły się i tworzyły prostą, wąską linię. Wielka silna ręka drżała trzymając w górze małą kartkę.

- Asa - zawołała i pośpieszyła do drugiego pokoju, skąd widać było siwą, potarganą głowę męża. - Masz, czytaj to.

Clyde poszedł za nią i widział, jak ojciec wyciągnął drżącą nerwowo rękę. Zwiędłe usta poruszyły się machinalnie. Każdy, kto znał go lepiej, wiedział, że taki wyraz, jakby przesadnie hamujący zdenerwowanie, zjawiał się zawsze na jego ustach, gdy dosięgały go ciosy moralne.

- Ts, ts, ts - padł pierwszy dźwięk z tych ust, wyrażony przyciśnięciem języka do podniebienia, dźwięk słaby i niewłaściwy, jak się zdawało Clyde'owi. Raz jeszcze usłyszał owo ts, ts, ts i głowa ojca zaczęła się chwiać z boku na bok.

- Co ją mogło skłonić do tego? - zapytał wreszcie, odwrócił się i spojrzął na żonę, która odpowiedziała mu zmieszonym spojrzeniem. I założywszy ręce z tyłu przechadzał się po pokoju trzęsąc głową i przebierając krótkimi nogami; stawiał śmieszne wielkie kroki.

- Ts, ts, ts - cmokał znowu.

Na twarzy Griffithsowej wrażenia malowały się wyraźniej. Przez jej twarz przesuwwały się kolejno uczucia irytacji, zniechęcenia wraz z piętnem bólu. Ponieważ mąż upuścił kartkę, podniosła ją, rzuciła raz jeszcze okiem i na twarzy pogłębił się wyraz niepokoju. Była

przygnębiona i niezadowolona, jakby natrafiła na zaplątany węzeł, którego rozplątać nie mogła, jak ktoś, kto zaciska zęby, żeby się nie skarżyć, a jednak pragnąłby wydać jęk bólu, żalospny, gorzki. Poza nią były całe lata szczerzej wiary i pracy religijnej i jej prostoduszne sumienie mówiło, że tego rodzaju próba powinna była jej być oszczędzona. Gdzież w chwili występku był Bóg? Gdzież Chrystus? Dlaczego nie sprzeciwił się temu? Jakie znajdzie na to wytłumaczenie? Jak wyglądają teraz biblijne obietnice? Gdzie Jego nieustanna opieka? Jego zapewnianie łaski?

W obliczu tak wielkiego nieszczęścia trudno jej było natrafić na właściwą drogę, przynajmniej na razie. Clyde patrzył na nią i wiedział, że długo błądzić nie będzie. W ślepej, dualistycznej czci i ona, i mąż jej wyłączyli Boga z całej tej sprawy. Fanatyzm ich, pewność Jego nieustannej opieki nie pozwalały na mieszanie Boga w tę sprawę. Szukali czegoś innego, złośliwego, zdradliwego, o zwodzicielskiej mocy, czegoś, co wobec wszechwiedzy Boskiej i Jego wszechwładzy umie tylko oszukiwać i zdradzać - i znaleźli w omylnym, perwersyjnym sercu ludzkim, które wprawdzie Bóg stworzył, lecz nim nie kieruje, gdyż nie chce kierować.

W pierwszej jednak chwili widać było u Griffithsowej tylko ból i gniew, lecz usta jej nie skrzywiły się tak jak jej męża, nawet w oczach nie ukazało się takie znękanie jak w jego oczach. Jeszcze raz przejrzała list prawie gniewnie i odezwała się do Asy:

- Uciekła z kimś i nie powiedziała...

Urwała nagle przypomniawszy sobie o obecności dzieci, gdyż Clyde, Julia i Frank stali tutaj i patrzyli ciekawie, pilnie, nieufnie.

- Chodź no - zawezwała męża. - Chcę z tobą chwilę pomówić. Dzieci niech idą spać. My też zaraz pójdziemy.

Udali się oboje do małego pokoiku za hallem. Dzieci usłyszały trzask przekręconego kontaktu, szmer cichej rozmowy - i popatrzyły na siebie.

Frank był jeszcze za mały - zaledwie dziesięcioletni - żeby mógł

zrozumieć dokładnie, o co chodzi. Nawet Julia nie bardzo zdawała jeszcze sobie z tego sprawę. Jedynie Clyde, więcej stykający się z życiem, usłyszawszy zdanie matki: - Uciekła z kimś... - zrozumiał wszystko.

Esta zerwała z domem, jak on to miał zrobić. Może tam i był jeszcze ktoś, pewnie jeden z tych fircyków, których widywał na ulicy przy pięknych dziewczętach, i z takim musiała uciec. Ale dokąd? I kto to był? W tej kartce musiało coś być, ale matka nie pozwoliła przeczytać. Odebrała mu ją tak śpiesznie. Czemuż nie wziął jej ukradkiem i tylko dla siebie?

- Jak ci się zdaje, czy jej będzie lepiej? - zapytał Julii z powątpiewaniem w głosie.

Julia w chwili, gdy rodzice wychodzili z pokoju, przybladła i wyglądała jakoś dziwnie.

- Skąd ja mogę wiedzieć? - odpowiedziała z lekką irytacją. Czuła się dotknięta tajemniczością rodziców zarówno jak ich strapieniem i czynem swej siostry. - Nigdy nic mi nie mówiła. Myślę, że powinna wstydzić się tego!

Julia miała chłodniejsze usposobienie niż Clyde i Esta. Bardziej szanowała rodziców, w konwencjonalny co prawda sposób, i teraz bardziej im współczuła. Niezbyt dobrze rozumiała, o co tu chodzi, ale coś podejrzewała, bo ją już nieraz uświadamiały spotykane na ulicach dziewczęta. Oburzała się przede wszystkim na Estę za sposób, w jaki opuściła dom, porzuciła rodziców i rodzeństwo. Przecież to naprawdę straszne sprawić wszystkim tyle zmartwienia. W powietrzu czuć było nieszczęście.

Podczas gdy rodzice rozmawiali na osobności, myśli Clyde'a bezustannie krążyły dokoła tego tematu, bo takie sytuacje życiowe niesłychanie go interesowały. Co właściwie zrobiła Esta? Czy to może było coś takiego, o czym słyszał od chłopców rozmawiających na ulicach z dwuznacznym uśmiechem - coś na tle seksualnym? Ależ to naprawdę wstyd! Przecież ona nigdy nie będzie mogła powrócić do domu. Uciekła z jakimś mężczyzną... Dla dziewczyny bez wątplenia

jest to coś złego, bo słyszał, że wszelkie przyzwoite stosunki

między dziewczętami i chłopcami, mężczyznami i kobietami prowadzą do jednego celu - do małżeństwa. A tymczasem Esta co zrobiła?...

Nie zważając na inne ich kłopoty... I tak przykre było ich życie, a teraz będzie jeszcze przykrzejsze.

Rodzice wrócili do hallu. Matka, przygnębiona jeszcze, miała już mniej zacięty wyraz twarzy, lecz bardziej beznadziejnie zrezygnowany.

- Podobało się Esterze opuścić nas na jakiś czas - odezwała się widząc, że dzieci patrzą na nią wyczekująco. - Nie martwcie się o nią i nie myślcie o tym. Jestem pewna, że niedługo wróci.

Postanowiła pójść własną drogą, przynajmniej przez jakiś czas.

Miała widocznie jakieś powody ku temu. Bóg pewnie tak chciał.

- Niech będzie imię Pańskie pochwalone - wtrącił Asa.

- Myślałam, że ona czuje się szczęśliwa z nami - mówiła matka - ale widocznie tak nie było. Coś ją znęciło ku sobie...

Tu Asa wycmokał znów swoje ts, ts, ts.

- Ale niech złe myśli nie mają do nas przystępu. Nic dobrego z nich nie przyjdzie. Pożyteczne tylko są myśli dobre i serdeczne.

Mówiła to tonem twardym, sprzecznym z treścią słów, jak gdyby nimi uderzała.

- Miejmy nadzieję, że wkrótce przekona się, jakie szaleństwo popełniła, jaka to była z jej strony bezmyślność - i wróci. Nie może jej spotkać powodzenie na tej drodze, jaką sobie wybrała. Nie Boska to droga, ani Jego wola. Jest jeszcze zbyt młoda i popełniła błąd. Ale my możemy jej przebaczyć. Musimy. Serca nasze będą dla niej otwarte, miękkie i czułe.

Przemawiała jak na mityngu, lecz z twarzą smutną, twardą i chłodną.

- Teraz idźmy spać. Musimy się modlić za nią rankiem i wieczorem, o każdej porze dnia i żywić nadzieję, że nic złego jej nie dosięgnie. Wolałabym, żeby nie zrobiła tego - dodała, jakby zapominając o wszystkim, co się nie tyczyło Esty.

A Asa?

Clyde często potem myślał o ojcu, o jego zachowaniu w takiej chwili.

Zdawało się, że w jego duszy nic się nie działo samorzutnie, był tylko echem uczuć swej żony. Podczas jej przemowy stał przy niej śmieszny, mały, potargany, siwy, jakiś niestosowny.

- Niech będzie imię Pańskie pochwalone - wtrącał od czasu do czasu. - Serca nasze będą otwarte... Nie będziemy sądzili... Miejmy lepszą nadzieję... Tak, tak... Módlmy się do Pana... Amen. Ach, tak... Ts, ts, ts.

- Jeżeliby się ktoś o nią pytał - mówiła matka nie zwracając uwagi na męża, lecz patrząc na dzieci, które przysunęły się do niej bliżej - powiemy, że pojechała do moich krewnych do Tonawanda. Nie będzie to właściwie prawdą, ale przecież nie wiemy, gdzie jest i co jest prawdą w tym wypadku, i wreszcie ona może powrócić. Więc nie powinniśmy mówić nic takiego, co by mogło na nią rzucić jakiś cień, dopóki nic nie wiemy.

- Tak, módlmy się do Pana - westchnął Asa cicho.

- A więc, jeżeliby się kto czasem pytał, będziemy tak odpowiadali, dopóki nie dowiemy się czegoś pewniejszego.

- Naturalnie - zgodził się Clyde, a Julia dodała:

- Dobrze.

Griffithsowa zamilkła, spojrzała uważnie na dzieci i pochwaliła je spojrzeniem. Asa znów wycmokał ts, ts, ts i dzieci ruszyły do

łóżek.

Clyde poszedł także spać, chociaż był strasznie ciekaw, co napisała Esta. Lecz wiedząc, że matka nie pozwoli mu przeczytać, udał się też do swego pokoju. Był bardzo zmęczony. Dlaczego nie rozpoczęli poszukiwań Esty, jeżeli mieli nadzieję, że wróci? Gdzie ona może być teraz... teraz, w tej chwili? Może jedzie gdzieś pociągiem? Z pewnością nie pragnie, żeby ją znaleźli... Nie byłaby wcale z tego zadowolona. On także nie cieszyłby się z tego, gdyby to o niego chodziło. A tak niedawno zastanawiał się, czyby nie drapnąć z domu, tylko był ciekaw, jakby to przyjęli rodzice. A tymczasem ona to przed nim uczyniła. Czy on poprawiłby sobie los w ten sposób? Rodzice zmartwiliby się także, ale Clyde nie uważał, żeby jego ucieczka była takim wielkim nieszczęściem. Czuł, że dzisiaj nie chodziło o sam fakt ucieczki; że poza tym jest coś nie w porządku. Cała ta praca misyjna jest wierutnym głupstwem. Wszystkie te pobożne gadaniny i religijne uniesienia są także głupstwem. Nie ocaliły Esty. Widocznie i ona nie wierzyła w to zbyt głęboko.

Rozdział IV

Rezultatem tych rozważań Clyde'a było postanowienie, że musi stanowczo pomyśleć o swym losie, coś zdecydować i to jak najprędzej. Do tego czasu brał każdą pracę, jaka mu się zdarzyła, jak to zwykle chłopcy między dwunastym a piętnastym rokiem życia. Jednego roku podczas lata sprzedawał gazety, w drugim roku sprzedawał tanią galanterię po pięć i dziesięć centów, a w soboty przez zimowe miesiące wzięto go do odpakowywania towarów w jednym z magazynów, za co otrzymywał olbrzymią sumę; bo pięć dolarów tygodniowo, co mu się wydawało niesłychaną fortuną. Uważał się za

bogatego w porównaniu z rodzicami, którzy jednak nie pozwalali mu chodzić do teatru ani do kina twierdząc, że są to rozrywki nie tylko zbyt światowe, lecz i grzeszne. On jednak chodził czasami i tu, i tam, oczywiście na galerię i w tajemnicy przed rodzicami. Nie trapiły go z tego powodu wyrzuty sumienia. Uważał, że za własne pieniądze ma prawo pójść, gdzie mu się podoba, a nawet zabierał ze sobą swego brata, Franka, który też był z tego zadowolony i nie zdradzał go.

Pewnego dnia, idąc do szkoły, do której niechętnie chodził - widząc, że tak bardzo jest zapóźniony w nauce - na drzwiach jednego z mniejszych składów aptecznych zobaczył napis: "Potrzebny chłopiec". Zaciekawilo go to. Wstąpił. Dowiedział się tam, że potrzebny jest praktykant przy fabrykacji wody sodowej. Skład ten mieścił się w sąsiedztwie teatru i woda sodowa miała tu wielki zbyt. Powiedziano mu przy tym, że jeżeli będzie chętny i pracowity, może łatwo nauczyć się tej pracy i wówczas będzie zarabiał piętnaście do osiemnastu dolarów tygodniowo. W składzie u Strouda na rogu 14 Ulicy i Baltimore Street płacą tyle dwóm czeladnikom, tutaj jednak dają wykwalifikowanemu czeladnikowi na początek dwanaście, jak zwykle w podobnych zakładach.

Żeby jednak zdobyć żądane kwalifikacje, trzeba jakiś czas popracować pod kierunkiem fachowca. Tak twierdził młody człowiek, pod kierunkiem którego miał Clyde praktykować w składzie. Jeżeli Clyde chce dostać tu zajęcie, otrzyma na początek pięć dolarów - zresztą niech już będzie sześć - podoba mu się jego wygląd. Przypuszcza, że niedługo nauczy się tego fachu, nauczy się robić kombinacje słodkich napojów, przystrajając lody konfiturami i układając je do foremek. Lecz podczas praktyki musi zmywać i czyścić maszynę i wszystkie naczynia w pracowni; otwierać i zamykać skład nie później jak o wpół do ósmej; wycierać kurze i słuchać wszelkich rozkazów właściciela. W wolnych chwilach, to znaczy, jeżeli pan Sieberling będzie tak zajęty, że nie będzie miał czasu wydać jakiegoś rozporządzenia, może pomagać przy przyrządzaniu jakichś tańszych napojów - lemoniad coca-coli i tym podobnych - jednym słowem, co wypadnie.

Clyde naradził się z matką i postanowił przyjąć taką miłą pracę.

Miała ona wiele korzystnych stron. Przede wszystkim mógł, jak się domyślał, najeść się lodów do syta i to za darmo. Był to plus niemały. Poza tym miał się nauczyć wreszcie jakiegoś fachu, czego właśnie najbardziej pragnął. Przy tym, co nie było też do pogardzenia, praca ta wymagała jego obecności do późnej nocy, nieraz nawet do dwunastej, a w zamian miałyby wolne godziny podczas dnia, więc mógł nie bywać w domu na mityngach prócz niedzieli, a i to można by jakoś załatwić, bo domyślał się, że w niedzielę po południu i wieczorami będzie także robota.

A te kartki bezpłatne do teatru, które każdy mechanik w tej fabryce otrzymywał, to też nie byle co. Teatr był tak blisko, że z jego przedsionka prowadziły drzwi do składu. Przecież to przyjemnie pracować w tak bliskim sąsiedztwie.

Do składu ku wielkiej radości Clyde'a, a czasem ku jego rozpacz, przychodziło dużo panien, szczególnie przed lub po przedstawieniach porannych. Zasiadały na ladzie, śmiały się, szczebiotały i kończyły swą charakteryzację przed lusterkiem. A Clyde, taki jeszcze smyk, nie wtajemniczony w sprawy tego świata i nie mający żadnego doświadczenia w obcowaniu z odmienną płcią wytrwale przyglądał się tym pięknościom, podziwiał ich przedsiębiorczość, pewność siebie i nieopisany wdzięk. Zmywając szklanki, nakładając lody i nalewając różne soki, układając pomarańcze i cytryny na tacach, po raz pierwszy w życiu miał sposobność, doskonałą i niczym nie zmaconą, przyjrzenia się z bliska tym panienkom. Same cudowności! Wszystkie były ładnie ubrane, eleganckie, miały pierścionki, błyskotki, futra, prześliczne kapelusze, zgrabne buciki. Słyszał ich rozmowy o tańcach, wycieczkach, przedstawieniach, o okolicach Kansas City, dokąd często jeździły, o zmianie mody, o jakichś aktorach czy aktorkach, lecz przeważnie o aktorach, którzy teraz występują albo dopiero mają przybyć do miasta. Czyż w domu mógłby usłyszeć o czymś podobnym?

A bardzo często któraś z tych panien wchodziła w towarzystwie mężczyzny, który w wieczorowym ubraniu, eleganckiej koszuli, cylindrze, przepięknym krawacie, białych rękawiczkach i modnym obuwiu wyglądał w oczach Clyde'a jak ostatnie słowo szyku, piękna,

dystynkcji i szczęśliwości.

Żeby to umieć nosić takie ubranie z taką swobodą. Żeby to umieć rozmawiać z taką pewnością siebie i prawić z zimną krwią czułości pannie. Jakiż to szyk i eleganckie ułożenie! Czyż jakaś przyzwoita panna zechce spojrzeć na Clyde'a, dopóki nie będzie miał na sobie takiego rynsztunku? To jest nieodzownie potrzebne... A więc, gdyby już posiadał taki strój i potrafił się w nim poruszać, czyż nie znalazłby się na drodze do wszelakiego szczęścia? Wszystkie uciechy świata byłyby przed nim otwarte... Miłe uśmiechy... tajemne uściski rączek... Może... może otoczyłby ręką smukłą kibić... może pocałunek... obietnica małżeństwa... może... Ach, wiele, wiele innych miłych dreszczyków...

Olśniewającą błyskawicą przelatywały podobne myśli po tylu latach włóczenia się po ulicach z rodzicami, uczestniczenia w publicznych modlitwach, mityngach, wysiadania w kaplicy i wysłuchiwanie przemówień jakichś podejrzanych indywiduów, gładzących, jak to Chrystus zbawił wszystkich i co Bóg dla nich zrobił. Dziękował losowi, że się to już dla niego skończyło. Chce teraz pracować, oszczędzać pieniądze i być czymś w życiu.

To stanowisko, jakie teraz zajmował, mimo wielu trudów z nim związanych ucieleśniało w jego pojęciu cały przepych i cud życia, stało się zaczątkiem przeobrażenia umysłowego, było prawdziwym mirażem dla spragnionego, zbłąkanego na puszczy wędrowca.

Jedynym teraz pragnieniem Clyde'a było jak najprędzej wyuczyć się wszelkich kombinacji napojów i zarabiać wreszcie owe dwanaście dolarów tygodniowo, lecz, jak się okazało, jego pożądaniami i ambicjami nieprędko miały być zaspokojone. Pan Albert Sieberling bowiem, jego bezpośredni zwierzchnik, postanowił całą wiedzę swego fachu i przyjemniejsze obowiązki zachować dla siebie. Poza tym zgodnie z właścicielem składu postanowili obarczyć Clyde'a poza spełnianiem minimalnych funkcji przy fabrykacji wody sodowej załatwianiem poleceń, co wypełniłoby chłopcu wszystkie godziny obowiązkowe.

Niewiele zatem zmieniło się jego życie i natychmiastowych rezultatów tej zmiany losu nie widział, jak również nie mógł liczyć, że prędko wdzieje na siebie przyzwoite ubranie. Za mało miał pieniędzy i nie rozszerzył kręgu swych stosunków. Pozostał tak samotny, jakim był i w domu.

Ucieczka Esty rzuciła pewien chłód na pobożne ćwiczenia, a ponieważ córka marnotrawna nie powróciła dotychczas, rodzice postanowili przenieść się do Denver w Kolorado. Clyde nie miał jednak ochoty jechać z nimi. Cóż z tego może wyniknąć dobrego? - myślał. Rozpoczną tam taką samą misję, jaką prowadzili tutaj.

Mieszkał jeszcze przy rodzicach w pokoju za hallem misyjnym, lecz nie cierpiał tego mieszkania. Zajmował je od jedenastego roku życia i nigdy tam nie zaprosił żadnego znajomego chłopca ani kolegi. Wstydził się. Dla tych samych przyczyn unikał towarzystwa chłopców i wolał bawić się sam lub tylko z rodzeństwem.

Ma jednak teraz szesnaście lat i jest na tyle dorosły, że mógłby samodzielnie urządzić sobie życie. Ale zarabia prawie tyle, co nic, więc jeżeli pozostanie sam, nie wystarczy mu na życie, a nie wyrobił jeszcze w sobie sprytu ani odwagi, żeby postarać się o coś lepszego.

Nie przypuszczając ani chwili, że Clyde nie ma wcale ochoty wyjeżdżać, rodzice mówili o przeniesieniu się do Denver, napomykali że i tam będzie mógł dostać pracę. Wtedy Clyde bąkał od niechcienia, że wolałby jednak tu pozostać. Bardzo lubi Kansas City. Po co ma zmieniać zajęcie? Ma tutaj pracę, potem może otrzymać lepszą. Ale rodzice po niedawnym zmartwieniu z Estą nie łudzili się co do losu Clyde'a gdyby tu pozostał samotny. Gdzież będzie mieszkał na przykład? Jakim wpływom będzie podlegał, gdy nie będzie miał przy sobie nikogo, kto by mu udzielił rady, pomocy i kierownictwa na tej wąskiej ścieżce życia? Było o czym myśleć.

Z jednej strony groziło mu niebezpieczeństwo wyjazdu do Denver, a z drugiej czuł, że może niedługo utracić swoje dotychczasowe zajęcie, gdyż pan Sieberling, zawdzięczając to swym zbyt gorliwym zabiegom o względy płci pięknej, stracił miejsce w składzie

aptecznym i Clyde dostał nowego, kościstego, oziębłego zwierchnika, który wyraźnie nie życzył go sobie za pomocnika. Clyde więc, nie czekając, aż go usuną z zakładu, postanowił poszukać sobie czegoś innego.

Któregoś więc dnia przyszło mu na myśl, żeby spróbować szczęścia i pomówić z dyrektorem fabryki napojów gazowych, prowadzonej w jednym z pierwszorzędných hoteli w mieście, który dla Clyde'a był kwintesencją przepychu i komfortu. Gmach był dwunastopiętrowy, okna tam zawsze były przysłonięte ciężkimi zasłonami, główne wejście (nigdy nie ryzykował zajrzeć za nie) kryło się za kombinacją szkła i żelaza i połączone było z marmurowym korytarzem, przybranym palmami. Clyde często przechodził tędy i zawsze się zastanawiał, jaki też tam rodzaj życia prowadzą ludzie. Przed tym wejściem oczekiwało zawsze tyle taksówek i prywatnych samochodów!

Dzisiaj więc, nie zwlekając dłużej, wszedł do składu aptecznego, znajdującego się na rogu gmachu. Zobaczywszy kasjerkę, siedzącą w małej szklanej klatce przy drzwiach, zapytał się jej, kto tu prowadzi fabrykę wód gazowych. Swym nieśmiałym zachowaniem, a głównie głębokimi i wymownymi oczyma zwrócił na siebie uwagę kasjerki, która wprawnym okiem oceniła go jako poszukującego pracy i odpowiedziała:

- Pan Secor, kierownik składu.

Wskazała niskiego, trzydziestoparoletniego mężczyznę, który układał nowości toaletowe na wierzchu gablotki.

Clyde zbliżył się, ale nie znając jeszcze sposobów, jakimi dochodzi się do czegokolwiek w życiu, a spostrzegłszy, że szef jest bardzo zajęty swoją robotą, stał naprzód na jednej nodze, potem na drugiej, aż wreszcie czując, że ma kogoś za plecami, odwrócił się i spytał:

- Czego tam?

- Czy pan czasem nie potrzebuje pomocnika przy wyrobie wody

sodowej? - I rzucił mu spojrzenie, które mówiło najwyraźniej:

- Jeżeli masz takie miejsce, to może zrobiłbyś mi przyjemność i dał je mnie. Właśnie potrzebuję takiego.

- Nie, nie! - odrzekł szybko jegomość. Miał jasne włosy, wyglądał energicznie i miał usposobienie zapalczywe i kłótlive. Miał się odwrócić do petenta plecami, gdy zauważył przebłysk zawodu na twarzy Clyde'a, więc dodał: - A czy pracowałeś już w tym fachu kiedy?

- W takim wspaniałym zakładzie nie pracowałem jeszcze - odrzekł Clyde oszołomiony tym, co widział. - Pracuję teraz u pana Klinkela na Siódmej, ale tego nie można nawet porównać z tym magazynem, więc pragnąłbym znaleźć dla siebie coś lepszego.

- Hm - mruknął kierownik zadowolony z naiwnej pochwały - mówisz wcale rozsądnie. Ale na razie nie mogę ci ofiarować żadnego miejsca. Nie przewiduje się u nas żadnych zmian. Ale gdybyś chciał otrzymać miejsce boya w tutejszym hotelu, to może dałoby się coś zrobić. Tam właśnie poszukują takiego i szef tych chłopców mówił mi o tym. Myślę, że to wcale nie byłoby gorsze od zajęcia przy wodzie sodowej.

A widząc, że twarz Clyde'a rozjaśniła się, dodał:

- Ale nie mów nic, że to ja cię przysłałem, bo przecież nie znam cię wcale. Wejdź do hotelu, tam w westybulu pod schodami jest biuro pana Squiresa, a on cię objaśni.

Na samą wzmiankę o możliwości otrzymania pracy w tak imponującej instytucji jak Green-Davidson Clyde z początku osłupiał, potem zaczął drżeć z radości, wreszcie, podziękowawszy uprzejmie, poszedł ku pomalowanym na zielono drzwiom, które z wnętrza składu prowadziły do hotelu. Przeszedłszy je zatrzymał się w przedsionku i osłupiał do reszty. Nigdy z racji swego ubóstwa nie zaglądał nawet do podobnych miejsc.

Wszystko tu było wspaniałe. Pod jego stopami leżała marmurowa

posadzka, układana w szachownicę z czarnych i białych kostek. Nad sobą miał wykładany brązem i złocony sufit. Podtrzymywał go cały las kolumn o szklistym połysku, tak samo ślicznie błyszczących jak i podłoga. A między kolumnami, które tworzyły szpalery do trzech wejść prowadzących w różne strony - jedne na prawo, drugie na lewo, trzecie prosto na Dalryample Avenue - stały lampy, posągi, palmy, krzesła, kanapy, szezlongi, leżały dywany - jednym słowem całe marnotrawstwo zbytku. Nagromadzono tam cały niesmaczny przepych, który służy, jak się ktoś wyraził ironicznie: "do odgrodzienia się od motłochu".

W tak wielkim, szybko rozrastającym się mieście amerykańskim potrzebny był taki hotel, lecz ten urządzono zanadto zbytkownie. Pokoje, hall, przedsionki, restauracje były nazbyt bogato umeblowane, bez myśli o pięknie, prostocie i wygodzie.

Stanął więc Clyde w westybulu i spostrzegł, że jest tam sporo osób. Były kobiety, dzieci, ale najwięcej było mężczyzn. Przechadzali się i rozmawiali, niektórzy siedzieli beczynnie na krzesłach albo stali grupami i samotnie. A w pięknie udrapowanych i bogato ozdobionych niszach umieszczone były biurka, leżały gazety, był oddział telegrafu, sklep norymberski i kiosk z kwiatami. Zebrało się tu sporo osób. Odbywało się dziś zebranie dentystów miejskich, niektórzy z nich przyszli z żonami i dziećmi, Clyde jednak nie słyszał nawet nigdy o podobnych zebraniach, myślał więc, że to codzienny wygląd hotelu.

Przyglądał się wszystkiemu z głęboką czcią i zdumieniem, gdy nagle przypomniał sobie, po co tu przyszedł, i zaczął szukać "pod schodami".

Po prawej stronie wznosiły się wielkie podwójne schody, które na piętrze wspaniale zakręcały w dwie strony. Między tymi dwiema odnogami schodów mieściło się widocznie biuro hotelowe, gdyż siedziało tam kilku urzędników. Obok bliższego przęsła schodów przy ścianie stało wysokie biurko, a przy nim młody człowiek, prawie w wieku Clyde'a, w brązowym uniformie z błyszczącymi guzikami. Na głowie miał maleńką, okrągłą, podobną do pudełka czapkę, włożoną z fantazją na ucho. Zajęty był notowaniem wejść

w rozłożonej przed nim księdze. Na długiej ławie siedziało jeszcze kilku chłopców w tym samym wieku, podobnie ubranych. Inni biegali na różne strony, to znów przybiegali z jakimś świstkiem papieru, to z jakąś notatką i zasiadali na ławie, oczekując ponownego wezwania, co się często zdarzało. Telefon ciągle był czynny. Młodzieniec przy biurku wysłuchiwał zlecenia, przyciskał dzwonek albo wołał: "naprzód" i wówczas chłopiec siedzący z brzegu ławy, zrywał się. Zawezwani biegli śpiesznie na jedne schody albo na drugie lub znikali za licznymi drzwiami, wskakiwali do wind i często powracali w towarzystwie osób, którym nieśli pakunki, torby, palta lub laski do golfa. Z kolei zrywali się inni, biegli powracali niosąc jakieś napoje na tacach albo walizy, które zabierali do numerów na górze.

Najwidoczniej do takiego

właśnie zajęcia poszukiwano chłopca.

Jakże niewymownie szczęśliwy czułby się Clyde, gdyby mógł pracować w takiej instytucji.

Jak tu było wesoło i pełno ruchu i gwaru... Ach, gdyby mu dopisało szczęście, żeby mógł się tu dostać! Ale czy się dostanie? Ale gdzież jest ten pan Squires?

Podszedł do młodzieńca przy biurku i zapytał:

- Czy pan nie wie, gdzie mógłbym się zobaczyć z panem Squiresem?

- Właśnie idzie tutaj - odparł młodzieniec podnosząc oczy i patrząc badawczo bystrymi szarymi oczyma na Clyde'a.

Clyde spojrział we wskazanym kierunku i ujrzał młodego człowieka, o energicznej, lecz niezbyt sympatycznej twarzy. Clyde prawie przeraził się jego ostrych, przebiegłych oczu. Nos miał taki długi i cienki, wzrok przenikliwy, wargi zaciśnięte i podbródek spiczasty. Był bardzo elegancko ubrany.

- Czy widziałeś tego wysokiego, siwego pana ze szkockim pledem, który właśnie tędy przechodził? - zatrzymał się, żeby zadać to pytanie młodzieńcowi przy biurku.

Chłopiec skinął głową.

- Mówią, że to hrabia Landreil. Przyjechał dzisiaj z czternastoma walizami i czterema służącymi... No i co powiesz na to? To nie byle kto w Szkocji! Podobno nie podróżuje pod własnym nazwiskiem. Zapisał się jako pan Blunt. Bodaj tych Anglików... Znać rasę, co?

- Faktycznie - odrzekł chłopak unizonym tonem.

Squires odwrócił się, rzucił okiem na Clyde'a, lecz nie zwrócił na niego uwagi.

- Ten młody pan czeka właśnie na pana - przyszedł Clyde'owi z pomocą młodzieniec.

- Na mnie? - zapytał szef chłopców i zwróciwszy się do Clyde'a zmierzył krytycznym wzrokiem wcale niepiękne jego ubranie, potem przenikliwie wpatrzył się w niego.

- Pan kierownik zakładu aptecznego - zaczął Clyde, któremu wcale nie podobał się wzrok jego przyszłego szefa, lecz za wszelką cenę pragnął zrobić na nim dobre wrażenie - powiedział... powiedział, że mogę tu spytać się, czy nie byłoby dla mnie zajęcia... Pracuję teraz w składzie aptecznym na rogu Siódmej i Brooklyn Street jako pomocnik, ale chciałbym zmienić zajęcie... i powiedział, że pan może... to jest powiedział, że zdaje mu się... że wakuje tu jakieś miejsce...

Clyde zaczerwienił się i zmieszał pod chłodnym, badawczym spojrzeniem. Oddychał z trudnością i połykał ślinę.

Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że jeżeli chce samodzielnie szukać szczęścia, powinien umieć zaskarbiać sobie łaski, powinien tak dobierać słowa i tak postępować, żeby to mogło się podobać. Znalazł się więc na jego ustach pełen nadziei, przymilny uśmiech i słowa:

- Gdyby pan zechciał mnie przyjąć, postaram się pilnie i chętnie

pracować.

Jegomość przyglądał mu się chłodnym wzrokiem, lecz mimo przenikliwych oczu nie potrafił go jednak ocenić, wolał więc okryć się dyplomacją. Potrząsnął tedy przecząco głową i odezwał się:

- Nigdy przecie nic podobnego nie robiłeś.

- Nie, proszę pana, nie robiłem, ale prędko się nauczę.

- Hm, zobaczę jeszcze - odparł jegomość drapiąc się w głowę z powątpiewaniem. - Teraz nie mam czasu na gadanie. Przyjdź tu w poniedziałek. Zobaczymy.

Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Clyde stał oszołomiony nie wiedząc, co ma o tym myśleć. Czy to możliwe, że mu kazano przyjść w poniedziałek? Czy to możliwe, żeby?...

Pośpiesznie zwrócił się ku wyjściu drżąc od stóp do głowy. Prosił o zajęcie w najpiękniejszym hotelu Kansas City i kazano mu przyjść w poniedziałek... Co to ma znaczyć? Czyżby go mieli przyjąć?... Miałby pracować wśród tych wspaniałości i to już niedługo? Czy to nie sen?

Rozdział V

Clyde puścił wodze wyobraźni i karmił swe marzenia obrazami tego wspaniałego przedsiębiorstwa. Stale bowiem poskramiana i niczym dotychczas nie podsycana wyobraźnia

wytworzyła krańcowe, błędne i niedorzeczne pojęcie o zbytku i przepychu.

Spełniał dalej swą pracę w składzie aptecznym, wracał do domu na jedzenie i spanie, ale przez wszystkie dni do wieczora poniedziałkowego chodził jak we śnie. Nie zwracał uwagi na to, co robił i kilkakrotnie zwierzchnik jego wołał: - Obudź no się! - Po wyjściu ze sklepu zamiast wracać do domu szedł na róg Czternastej i Baltimore Street, gdzie stał ten piękny hotel, i wpatrywał się weń.

Tam nawet o północy przed każdym z trzech wejść - a każde wychodziło na inną ulicę - stał odźwierny w długiej brązowej liberii - tyle było przy niej świecących guzików - i w czapce z szerokim lampasem. A z wewnątrz spoza marszczonych jedwabnych zasłon przyświecały lampy, kawiarnia jarzyła się światłem i brama, prowadząca do podziemi była jeszcze otwarta. Przed gmachem stały taksówki i eleganckie auta. A zewsząd dochodziły dźwięki muzyki.

Przyglądał się temu codziennie, wreszcie w poniedziałek, stosownie do polecenia pana Squiresa, stawił się przed nim.

Urzędnik przyjął go opryskliwie, bo zupełnie o nim zapomniał. Ale że istotnie potrzebował kogoś do pomocy, więc mając Clyde'a pod ręką zaprowadził go do swego biura pod schodami i tam z wysoka, od niechcienia zaczął go wypytywać o stosunki rodzinne, o miejsce zamieszkania, czym się przedtem zajmował, gdzie oraz z czego ojciec jego utrzymuje rodzinę. Był to prawdziwy i przykry egzamin dla Clyde'a, który nie chciał się przyznać, że jego rodzice chodzą z misją po ulicach i prawią kazania. Powiedział tylko, że jego ojciec sprzedaje maszyny do prania i wyżymaczki (co istotnie dawniej było prawdą), a w niedzielę miewa przemówienia o objawieniach boskich. Owszem, to się nawet podobało szefowi, który był konserwatystą i zwolennikiem ogniska domowego.

Czy mógłby przynieść jakie referencje?

Może.

Pan Squires szeroko zaczął mu wyjaśniać, że ten hotel jest bardzo przyzwoity. Wielu chłopców widząc skalę tutejszego życia i zetknąwszy się ze zbytkiem, do którego nie byli przyzwyczajeni, traci głowę i wchodzi na złą drogę. Często musi wydalać chłopców, gdyż uciuławszy trochę grosza, zaczynają robić głupstwa. Tutaj potrzeba chłopców chętnych do roboty, grzecznych, posłusznych, uprzejmych dla każdego. Powinni być zawsze czysto, porządnie ubrani, gorliwi pod każdym względem i nie leniący się w pracy. Chłopiec, który dorobiwszy się trochę myśli, że mu wolno flirtować po kątach albo łązić na nocne zabawy, a potem staje do pracy zmęczony i niedbale wykonywa swe obowiązki, niech nie liczy, że będzie tutaj długo. Wyleci jak z procy i to zaraz. Pan Squires nie toleruje głupstw. A więc Clyde musi to przyjąć do wiadomości i zrozumieć, o co chodzi.

Clyde kiwał głową potakująco i wtrącał od czasu do czasu:

- Dobrze, proszę pana - albo - nie, proszę pana - i zapewnił go, że nawet mu do głowy nie przyjdzie popełniać takie straszne występki ani tak źle się zachowywać.

Następnie pan Squires oznajmił, że hotel płaci piętnaście dolarów miesięcznie i daje całodzienne utrzymanie. Płaca ta jest dla wszystkich chłopców jednakowa i nie będzie nigdy podniesiona. Ale to, co teraz usłyszał Clyde, było dla niego zdumiewającą rewelacją - każdy gość, któremu chłopiec w czymś usłuży, np. odniesie walizkę, przyniesie dzban wody albo wykona co innego, daje mu napiwek, nieraz bardzo hojny - dziesięć, piętnaście centów, czasem ćwierć dolara, a bywa i więcej. Otóż te napiwki wynoszą przeciętnie cztery do sześciu dolarów dziennie - nigdy mniej, często więcej, co było niesłychanie wielkim zarobkiem dla Clyde'a. Serce mu wezbrało i o mało go nie zdławiło na samą myśl o takiej sumie. Przecież to wyniesie od dwudziestu ośmiu do czterdziestu dwóch dolarów tygodniowo. Zaledwie mógł w to uwierzyć. A prócz tego piętnaście dolarów miesięcznie i utrzymanie. Żadnych przy tym ciężarów, bo te piękne uniformy dają także. Tylko nie wolno ich niszczyć i zabierać ze sobą.

- Godziny pracy - tłumaczył dalej pan Squires - będą następujące:

w poniedziałki, środy, piątki i niedziele zajęty będzie od szóstej rano do południa, potem będzie miał sześć godzin przerwy, a następnie od szóstej wieczorem do północy. We wtorki zaś, czwartki i soboty będzie miał zajęcia od południa do szóstej wieczorem, będzie miał zatem wolne na przemian albo popołudnia, albo wieczory. Jeść może poza godzinami obowiązkowymi. A pamiętać powinien, że ubrawszy się w uniform musi zawsze meldować się swemu zwierzchnikowi punktualnie na dziesięć minut przed rozpoczęciem zajęcia.

O innych sprawach, o których Clyde powinien był się dowiedzieć, pan Squires nic nie mówił. Wiedział, że dowie się o tym od kolegów. Zwrócił się tylko do Clyde'a z zapytaniem:

- Przypuszczam, że możesz od razu stanąć do roboty, co?

- O, tak, proszę pana, naturalnie.

- Więc dobrze! - Wstał i otworzył drzwi. - Oskar! - zawołał na chłopca siedzącego na brzegu ławki. Na wołanie to zerwał się chłopiec bardzo wysoki, w opiętym, czystym ubraniu. - Zaprowadź tego młodzieńca - nazywa się Clyde Griffiths, prawda? - do garderoby na dwunastym i zobacz, czy Jacobs nie znalazłby dla niego ubrania. Gdyby nie miał, niech przerobi jak najprędzej, najdalej na jutro rano. Myślę jednak, że po Silsbee będzie dobre na niego.

Po czym zwrócił się do młodzieńca przy biurku, który patrzył w milczeniu na swego szefa.

- Rozmówiłem się z nim - odezwał się do niego. - Oddaj go pod opiekę któregoś z chłopców, niech mu tam wbije w głowę, co potrzeba. Idźże na górę, Oskar - przynaglił tamtego chłopaka. - Jest jeszcze zupełnie surowy, ale chyba się wyrobi - ciągnął dalej, gdy Clyde z Oskarem zniknęli w windzie. Sam zaś poszedł wpisać nazwisko Clyde'a na listę płacy.

W tym czasie Clyde, prowadzony przez swego mentora, wysłuchał całej litanii informacji, o jakich dotychczas nie miał pojęcia.

- Nie masz się czego pietrać, chociaż nigdy nie służył w hotelu
- zaczął jego towarzysz, który, jak później dowiedział się Clyde, nazywał się Hegglund, przyjechał tu z Jersey City i posługiwał się egzotycznym żargonem i manierami. Był wysoki, silny, płowowłosy, piegowaty, dziarski i zwinny. Weszli do windy z napisem "służba".

- To nie takie trudne.

Trzy lata temu odwaliałem taką samą robotę w Buffalo, a przedtem też nic nie kapowałem. Trzeba tylko otwierać gały i patrzeć, co inni robią. Będziesz robił jak ta lala...

Clyde nie mógł się pewnie pochwalić wyższym wykształceniem od swego mentora, zastanowił się jednak nad wyrażeniami, jak "pietrać" albo "otwierać gały". Był jednak tak wdzięczny swemu koledze za jego uprzejmość, że gotów był darować mu wszystko.

- Jak na teraz, to tylko ciągle wywalaj gały, jeżeli chcesz wszystko skapować. Jak dzwonek brzdęknie, a ty siedzisz na brzegu ławki, to na ciebie kolej. Zrywasz się i ganasz na górę. Ale duchem! A jak widzisz, że jaki bubek wyłazi ci z windy albo z numeru z walizką, a jesteś na brzegu ławki, lecisz do niego, a patrz, czy ten od dzwonek nie drze się: "uwaga!" albo co inszego... Czasem jest zajęty; to wtedy sam uważaj. A patrz, żebyś nie przegapił, bo jak nie złapiesz walizki, nie będziesz miał forsy. Każdy z walizką chce, żeby mu ją nieść, chyba że czasem nie chce...

- A trzymaj się ciągle blisko biurka, bo tam przychodzą zapisywać się na pokoje - trajkotał już w windzie. - Prawie każdy bierze pokój. Wtedy urzędas daje ci klucz i dopiero zaczyna się robota, bo trzeba dygować bagaże do numeru. Musisz wszędzie zapalić światło - i w łazience, i w klozecie też, jeżeli tam jest, a jeżeli nie ma, to trzeba gościowi pokazać, gdzie jest. Jeżeli to dzień, trzeba podnieść rolety, a jeżeli wieczór, to zapuścić; zobaczyć, czy są ręczniki, a jeżeli nie ma, to musisz powiedzieć pokojówce. Jeżeli ci nie dadzą na piwo, idziesz sobie, jak gdyby nigdy nic... ale czasami dobrze jest wrócić, poprzeszawiać krzesła, pomajdrować przy kluczu albo próbować zasuwki. Jeżeli

napatoczy ci się porządny gość, to ci da na piwo. Jeżeli ci nie da, wychodzisz, co robić? Ale nie wolno ci się wygłupiać, pamiętaj - nigdy! Więc szorujesz sobie na dół, chyba że chcą, żebyś im przyniósł wody czy coś podobnego. No, to im dygujesz. A potem znowu na ławę. Nigdy nas tam dużo nie siedzi. Tylko trzeba lecieć duchem i nie pozwolić, żeby inny za ciebie leciał. To najważniejsze.

- A co dzień dają ci wcale fajne ubranie i idziesz w nim do roboty, a nie zapomnij dać po każdym dyżurze urzędasowi dolara, zanim wyjdiesz. Kapuj, jeżeli masz jeden dyżur tego dnia, to jednego dolara, jeżeli dwa dyżury, to dwa dolary. Już tu taki zwyczaj. Wszyscy to robimy i ty musisz robić to samo, jeżeli nie chcesz wylecieć z miejsca. Ale tylko tyle. Reszta już twoja.

Clyde zrozumiał.

I tak mu pozostanie dwadzieścia cztery albo trzydzieści dwa dolary. Albo to mało? Mógłby dać nawet więcej. A przecież jeszcze życie i ubranie. Wielki Boże! Ależ tu prawdziwy raj. Cóż to za przepych.

Hegglund z Jersey City doprowadził Clyde'a na dwunaste piętro, do pokoju, gdzie znajdował się siwy, pomarszczony staruszek, który zaraz zabrał się do wyszukania liberii. Znalazł jedną, doskonale na nim leżącą, tak że nie trzeba jej było wcale przerabiać. Potem Clyde przymierzył kilka czapek i też wybrał taką, która włożona zawadiacko na ucho pasowała zupełnie dobrze. Ale Hegglund zauważył:

- Powinieneś obciąć sobie włosy. Lepiej, jak schowane pod czapką. Teraz są za długie.

Sam Clyde już to zauważył. Rzeczywiście te kosmyki wcale niepięknie wyglądały spod nowej czapki. Obrzydliwie.

Zszedł na dół, zameldował się Whipple'owi, pomocnikowi pana Squiresa, i usłyszał od niego:

- Bardzo dobrze. Doskonale leży. A więc przyjdź dziś na szóstą. Zamelduj się o piątej trzydzieści, a o piątej czterdzieści pięć masz stawić się tu już w uniformie na inspekcję.

Teraz Clyde stosownie do informacji Hegglunda zaniósł swój uniform do garderoby w suterrenach i tam zarządzający szatnią pokazał, która jest jego szafka. Potem śpiesznie wybiegł na miasto, żeby pozbyć się włosów, a następnie do domu, żeby oznajmić o swym szczęściu.

Ma zostać bell-boyem w wielkim hotelu Green-Davidson. Będzie nosił uniform i to jaki piękny... Będzie zarabiał - ale nie powiedział matce prawdy, ile będzie zarabiał - w każdym razie więcej niż jedenaście albo dwanaście dolarów tygodniowo, tak mu się przynajmniej zdaje, ale pewien tego nie jest.

Od razu się spostrzegł, że nareszcie może być materialnie niezależny, a nic by z tego nie wyszło, gdyby dowiedziano się, ile naprawdę zarabia. Przyznał się jednak, że całodzienne utrzymanie będzie otrzymywać w hotelu.

Od dawna już pragnął nie jadać w domu, więc to się spełni. A co najważniejsze, obracać się będzie w takiej wspaniałej atmosferze hotelu, nie potrzebuje wracać do domu przed dwunastą, będzie pięknie ubrany, będzie miał miłych kolegów, ach, wszystko... czego dusza zapagnie.

Ogarniając to wszystko myślą nie posiadał się z radości, że ile razy pójdzie do teatru, nie będzie mu zatruwała przyjemności myśl, że powinien już być w domu. Może przebywać na mieście, ile chce, a mówić w domu, że miał zajęcie w hotelu.

I utrzymanie nie będzie nic kosztowało, i to piękne ubranie. Ach... Każdy szczegół tej nowej kariery był tak zdumiewający i upajający, że nie mógł myśli od tego oderwać. Czekaście tylko, zobaczcie, czego on dokona w tej krainie cudów!

Rozdział VI

Jak było do przewidzenia, dzięki niesłychanej naiwności w kwestii finansowej i społecznej rodzice nie stawiali żadnych przeszkód. I Asa, i Elwira nie mieli najmniejszego pojęcia, na czym polega zajęcie w takim hotelu, a w każdym razie niewiele więcej wiedzieli od syna. Nie wyobrażali też sobie, jaki to mogło wywrzeć wpływ na moralność, wyobraźnię i umiejętność rozporządzania groszem. Żadne z nich nie widziało nigdy wnętrza innego hotelu prócz najpodrzedniejszych. Żadne z nich nie jadało w innej restauracji prócz tych, w których zaspokajają głód podobne do nich indywidua. Nie przyszło im na myśl, że może być jeszcze inna forma stykania się z gośćmi, nie polegająca tylko na przynoszeniu i odnoszeniu waliz z pokoju na dół lub z dołu na górę. Nie zastanowili się, jaki wpływ może wywrzeć taki kontakt z ludźmi na chłopcu tak młodym jak Clyde i z jego charakterem. I z całą naiwnością zgodzili się z tym, że syn ich nie może więcej zarobić nad pięć do sześciu dolarów tygodniowo, jako że było to zupełnie dostatecznie dla takiego chłopca jak Clyde.

Bardziej jednak praktyczna od męża Griffithsowa zawsze interesowała się zarobkami swych dzieci, więc teraz nie mogła wyjść z podziwu, że Clyde tak entuzjastycznie traktował zmianę swego zajęcia, które, jak powiada, wymagało tylu godzin pracy, a dochodu miało być niewiele. Zapewnił matkę, że cieszy się najbardziej z tego, bo mu obiecano, że może kiedyś awansować i dojść do wyższego stanowiska w hotelu. Nie wie jeszcze, kiedy może to nastąpić. Obiecano mu również w przyszłości lepszą pensję.

Uwierzyła i temu, a patrząc z jakim ożywieniem wybierał sobie czysty kołnierzyk i z uniesieniem opowiadał o wszystkim, ucieszyła się także, bo dawno już nie widziała w jego twarzy tyle radości.

Jednakże dziwiły rodziców godziny pracy. Od szóstej rano do północy! Czasami tylko wolno mu było wyjść wcześniej, jeśli nie ma pilnej roboty.

Potem, gdy już stale chodził do pracy, wpadał czasem do domu w godzinach jakoby służbowych i zmieszany tłumaczył się, że dzisiaj wyjątkowo pozwolono mu wyjść. Zaczęło to matkę i ojca trochę zastanawiać. Mieli wrażenie, że Clyde unika domu, że przychodzi tylko na spanie, a w dzień - jeśli musi się przebrać.

Ciągle ten hotel i hotel! Stale o nim myślał i mówił. Opowiadał, jak tam był ogólnie lubiany, jak dokładnie wypełnia swe obowiązki. O ile ma przyjemniejsze zajęcie niż przy wodzie sodowej i niedługo pewnie będzie więcej zarabiał - kiedy, nie wie jeszcze, ale w każdym razie dużo więcej.

W tym czasie głównie z powodu ucieczki Esty rodzice ciągle mówili o przeniesieniu się z Kansas City do Denver. Lecz Clyde nie chciał o tym słyszeć. On stanowczo tu pozostanie. Ma doskonałą posadę, chce na niej wytrwać. Rodzice mogą sobie jechać, on zaś wyszuka sobie pokój i będzie wszystko dobrze. Lecz ta myśl nie trafiała rodzicom do przekonania.

Olbrzymia zaszła zmiana w życiu Clyde'a. Począwszy od pierwszego wieczoru, gdy o 5,45 stanął przed panem Whipple, swoim bezpośrednim zwierzchnikiem, który spojrzał na niego z uznaniem nie tylko z racji dobrze dopasowanego munduru, lecz dlatego, że chłopiec istotnie wyglądał bardzo elegancko, cały świat zmienił się w oczach Clyde'a.

Stanąwszy w szeregu siedmiu jeszcze chłopców, poddał się przeglądowi pana Whipple i pomaszerował do drugiego przedsionka z tamtej strony schodów. Pan Barnes, który zastępował teraz pana Wipple'a, zajął miejsce przy biurku, a chłopcy zasiedli na długiej ławie z Clyde'em na samym końcu. Chłopcy z porannego dyżuru odeszli do służbowego hallu, a stamtąd do domów.

Dzyń - zabrzączał dzwonek na biurku urzędnika i pierwszy chłopiec odbiegł.

Dzyń! - ponownie zabrzączał dzwonek i drugi chłopak zerwał się czym prędzej.

- Uwaga! Drzwi środkowe - zawołał pan Barnes i trzeci chłopiec przemknął po marmurowej posadzce ku drzwiom wejściowym i odebrał walizkę z rąk gościa, u którego już o sto kroków Clyde zauważył siwe wąsy i jasne, kratkowane ubranie. Tajemnicze i czcigodne zjawisko - napiwek.

- Uwaga! Zobacz pod 913, czego tam chcą, pewnie zimnej wody.

Czwarty chłopiec odbiegł.

Clyde z naprężoną uwagą śledził każdy ruch oczami, uszami i wszystkimi nerwami. Był tak przejęty, że ledwie oddychał. Powoli posuwał się po ławie z Hegglundem, który go wtajemniczał we wszystkie arkana.

Kręcił się, wiercił, aż Hegglund krzyknął:

- Nie wściekaj się tak! Weź no na wstrzymanie... Nie pietraj się, będzie wszystko fajno. Ja taki sam byłem, jak zaczynałem. Ale to jest całkiem łatwe... Wybałuszasz ślepie, jakbyś nigdy ludzi nie widział! Patrz tylko przed siebie.

- Uwaga!

Clyde niewiele rozumiał, co Hegglund mówił do niego. - 115 chce papieru listowego i pióro.

Piąty
bell-boy poleciał.

- Skąd się bierze papier listowy, jeżeli ktoś zażąda? - zapytał Clyde tak przerażonym tonem, jakby chodziło o jego życie.

- W biurze, gdzie są klucze od pokojów. Tam na lewo. Dadzą ci tam. A wodę zimną bierze się z hallu, gdzieśmy byli przed chwilą - w

tamtym końcu, wiesz? Widzisz te małe drzwiczki? Daj tam czasami temu smarkulowi z dziesięć centów, bo na ciebie będzie krzywo patrzył.

Dzyń! - dzwonek z biura urzędników. Szósty chłopiec odszedł, nie otrzymawszy żadnego rozkazu.

- A pamiętaj - mówił Hegglund, który teraz z kolei był na brzegu i dawał ostatnie napomnienia - jeżeli będą chcieli sznapsa czy coś podobnego, to idź do restauracji. Ale niech ci od razu wyklarują nazwy, bo będziesz musiał odnosić. A jeżeli będzie chodziło o pokój, to pokażesz, zapuścisz rolety i zapalisz światło, a jeżeli coś z restauracji, pójdziesz do starszego kelnera - ale to on wtedy dostanie na piwo.

- Uwaga! - zerwał się i pobiegł.

Teraz Clyde siedział na początku ławy. A czwarty numer powrócił już i zasiadł obok niego, ale oglądał się chciwie, czy kto czego nie potrzebuje.

Dzyń!

- Do mnie! - zawołał pan Barnes.

Clyde czym prędzej pośpieszył na wezwanie, zadowolony, że to nikt nie wszedł z walizami, ale jednocześnie w strachu, czy potrafi wszystko zrozumieć i czy dość pospiesznie wykona polecenie.

- Zobacz, czego chce 88.

Clyde skierował się do windy z napisem "służba" gdyż pewien był, że ta właśnie jest dla nich, lecz któryś z chłopców właśnie wyszedł z drugiej, przeznaczonej dla gości, i sprostował jego omyłkę.

- Idziesz do numeru? - zapytał. - Jedź windą dla gości. Ta jest tylko dla służby i dla tych, co jadą z pakunkami.

Clyde cofnął się.

- Ósme! - zawołał.

Murzynek, obsługujący windę, rozgadał się z nim, ponieważ nikogo więcej nie było w windzie.

- Nowy, prawda? Nigdy ciebie jeszcze przedtem nie widziałem.

- Tak, właśnie przyszedłem.

- Nie będzie ci tu źle - mówił przyjaźnie chłopak. - Nikomu tu źle nie jest. Ósme powiadasz?

Zatrzymał windę i Clyde wyszedł. Zdenerwowany, nie chciał się nikogo pytać, tylko zaczął sam oglądać numery pokoi, ale po chwili spostrzegł się, że nie trafił do właściwego korytarza. Mięciutki, brązowy dywan pod jego nogami, delikatnie malowane jasne ściany, śnieżnobiałe klosze u lamp przy samym suficie... Czuł, że bierze udział w jakimś najdoskonalszym, szczytnym życiu, a co prawie nie do wiary - krańcowo niepodobnym do tego, które znał dotychczas.

Znalazł wreszcie 88 i zapukał nieśmiało. Po chwili w półotwartych drzwiach ukazał się fragment potężnego ciała w jakimś dziwnym ubraniu w białe i niebieskie paski i odpowiedni fragment bujnie owłosionej głowy z widocznym jednym okiem i kilkoma zmarszczkami koło niego.

- Masz tu, chłopcze dolara - odezwało się chyba to oko, po czym wysunęła się ręka z banknotem dolarowym. Ręka była tłusta i czerwona. - Pójdiesz do sklepu norymberskiego i przyniesiesz mi parę podwiązek. Ale mają być bostońskie... jedwabne... Tylko na jednej nodze!

- Dobrze, proszę pana - odrzekł Clyde biorąc dolara.

Drzwi się zamknęły, a on pędził ku windzie łamiąc sobie głowę nad tym, co to może być "sklep norymberski". Gdyby ten pan powiedział

mu: "magazyn konfekcji męskiej" - od razu zrozumiałby, ale "norymberski"... Miał już siedemnaście lat, a nigdy o czymś podobnym nie słyszał. Zimny pot wystąpił mu na czoło. Kolana uginały się. Do diabła! Co on teraz robi? Może spytać się kogo... choćby Hegglunda, ale nie zdaje się...

Nacisnął guzik windy. Zaczęła się opuszczać. Norymberski... norymberski... Nagle rozjaśniło mu się w głowie. Czyżby nie wiedział, co to jest sklep norymberski? Przecież ten pan chce podwiązek... A gdzież może dostać podwiązki? Przecież tylko w magazynie, gdzie sprzedają podobne rzeczy. No, tak! Naturalnie... magazyn konfekcji męskiej... Tam pójdzie. Po drodze, zobaczywszy drugiego Murzynka, zapytał:

- Czy nie wiesz, gdzie tu może być blisko magazyn konfekcji męskiej?

- W tym samym domu obok bocznego wejścia.

Leciał tam jak strzała, strasznie uszczęśliwiony. Tylko czuł się jakoś dziwnie w tym opiętym uniformie i cudackiej czapeczce. Cały czas obawiał się, że to okrągłe pudełko, siedzące mu mocno na głowie zleci. Więc co chwila przytrzymywał je i przyciskał.

Wpadł do magazynu i zawołał:

- Proszę o parę bostońskich podwiązek jedwabnych.

- Dobrze, chłopcze, zaraz je będziesz miał - odrzekł elegancki, niski jegomość, o błyszczącej, łysej głowie, czerwonej twarzy i okularach w złotej oprawie. - Pewnie dla gościa w hotelu, prawda? Kosztują siedemdziesiąt pięć centów, a tu masz dziesiątkę dla ciebie - mówił, zawijając paczkę i rzucając dolara do kasy. - Jestem wobec was w porządku, chłopcy, bo wiem, że przychodzicie zawsze do mnie.

Clyde wziął dziesiątkę i paczkę, niesłuchanie zdumiony. Podwiązki kosztują siedemdziesiąt pięć centów, tak mu powiedziano, więc tylko dwadzieścia pięć powinien zwrócić, bo dziesięć dostał dla

siebie. A jeżeli ten pan prócz tego da mu napiwek?...

Pobiegł pędem do hotelu i stanął przy windzie. Do przedsionka dochodziły cudowne dźwięki muzyki. Pełno wszędzie było osób, przesuwwały się w różne strony, takie eleganckie, tak swobodne w ruchach, tak zupełnie różne od tych, które widywał na ulicach.

Otworzyły się drzwi windy. Weszło parę osób. Wszedł i Clyde i jeszcze jeden boy, który rzucił nań ciekawe spojrzenie. Na szóstym piętrze chłopiec wysiadł. Na ósmym Clyde i jakaś starsza pani. Clyde pobiegł do znanych mu już drzwi i zapukał.

Otworzył mu ten sam pan, bardziej już ubrany niż przedtem. Miał na sobie spodnie i był ogolony.

- Już z powrotem?

- Już, proszę pana - odrzekł Clyde oddając paczkę i resztę. - Kazano mi zapłacić siedemdziesiąt pięć centów.

- A złodzieje! Ale możesz sobie zatrzymać resztę - powiedział pan odsuwając dwadzieścia pięć centów i zamykając drzwi.

Clyde stał przez chwilę bez ruchu oniemiały ze szczęścia.

- Trzydzieści pięć centów... - myślał. - Trzydzieści pięć centów! I to za co? Za krótki spacer do sklepu. Czyżby to zawsze tak miało być? Nie, to chyba niemożliwe... a przynajmniej nie zawsze.

Nogi jego tonęły w miękkim dywanie, ręka w kieszeni przebierała pieniądze, a sam miał ochotę wydawać dzikie okrzyki, śmiać się głośno jak wariat.

Ten pan dał mu dwadzieścia pięć centów, tamten dziesięć... I to za nic. Nic przecie nie robił.

Zjechał na dół, dźwięki orkiestry jeszcze bardziej go oszołomiły, drżał z podziwu nad tymi pięknie ubranymi osobami i usiadł znów na ławie.

Potem musiał odnieść trzy walizy i dwa parasole jakiejś podeszłej pary małżeńskiej. Wyglądali na farmerów, a zamówili sobie salon, sypialnię i łazienkę na piątym piętrze. W drodze przyglądali się Clyde'owi, jak to mógł zauważyć, ale nie mówili nic. Dopiero, gdy znaleźli się w pokoju i Clyde szybko zapuścił rolety, zapalił światła i ułożył walizy na krzyżakach, stary pan, z pięknymi faworytami, dość niezgrabny, za to bardzo uroczy, zwrócił się do niego:

- Wiesz, chłopcze, że wyglądasz wcale miło, o wiele przyjemniej niż tacy chłopcy, muszę ci to przyznać.

- Zupełnie bez sensu, żeby w hotelach zatrudniali takich chłopców - zaszcebiotała dama, bardzo obfitej tuszy, która dotychczas bardzo gorliwie oglądała przyległy pokój. - Nie chciałabym, żeby który z moich synów tutaj pracował. Nie podobają mi się tutejsze zwyczaje.

- Ale tymczasem, młody mój obywatelu - ciągnął dalej stary zdejmując palto i grzebiąc w kieszeni spodni - zejdz na dół i przynieś mi trzy albo cztery gazety wieczorne i dzban zimnej wody. Dostaniesz za to piętnaście centów.

- Ten hotel jest trochę porządniejszy niż w Omaha - przyznała dama. - O wiele lepsze dywany i rolety.

Choć Clyde był jeszcze nowicjuszem, ale z trudem powstrzymał uśmiech. Oczywiście musiał zachować powagę starając się zetrzeć z twarzy ślad wszelkiej wesołości.

Wyszedł.

Za chwilę był już z powrotem przynosząc wodę i wszystkie wieczorne dzienniki. Oddalił się z uśmiechem, bogatszy o piętnaście centów.

Ale był to dopiero początek tego osobliwego wieczora, bo zaledwie zasiadł na ławie, wysłano go pod 529, żeby z baru przyniósł dwa imbirowe piwa i dwa syfony wody. Zażądało tego towarzystwo,

złożone z eleganckich młodzieńców i panien. Rozmowę ich i śmiechy w numerze słychać było z daleka. Jeden z nich otworzył niezbyt szeroko drzwi i wydał polecenie Clyde'owi, lecz w lustrze nad wieszakiem chłopiec dojrzał całe towarzystwo i śliczną panienkę w białej sukni i kapelusiku, siedzącą na poręczy fotela, z którego wychylał się młody człowiek i obejmował ręką kibić paniarki.

Clyde wytrzeszczył oczy nie panując już nad sobą. Tutaj to już bez wszelkiej wątpliwości znajduje się przedsionek raju. Siedzą tam młode panny i chłopcy, niewiele starsi od niego, śmieją się, rozmawiają wesoło, a nawet piją na pewno nie lemoniadę, lecz takie napoje, przeciw którym walczyli rodzice Clyde'a, jako że miały prowadzić do upadku. Jednak tutaj, zdaje się, nikt o tym nie myślał.

Popędził do baru, a otrzymawszy trunki i rachunek wrócił i dostał dolara na zapłacenie i dwadzieścia pięć centów dla siebie. Zerknął okiem do pokoju i zobaczył znów zdumiewającą scenę. Jedna para tańczyła przy akompaniamencie nucenia i gwizdania pozostałych dwóch par.

Rzucanie okiem w głąbie pokoiów było bardzo zajmujące, ale nie mniej ciekawa była ciągła ruchoma panorama w obszernym hallu. Ilu tam na przykład urzędników. Jeden od pokoiów, drugi od kluczy, trzeci na poczcie, jest i kasjer, i jego pomocnik. I tyle kiosków w tym przedsionku. Z kwiatami, z gazetami, z cygarami, oddział telegraficzny, urząd taksówek, a wszyscy pracujący tam ludzie byli jakby przesiąknięci tutejszą atmosferą. A dokoła tyle imponujących ludzi, pań i panów, młodzieńców i panien, a wszyscy zdrowi, eleganccy, zadowoleni. A co powozów i samochodów, zajeżdżających tu w porze obiadowej,

a i później nawet. Wpatrywał się w nie w migotliwym świetle latarń. A te płaszcze, futra i inne wspaniałości, które chłopcy i on sam nieśli do aut albo jadalni, albo do numerów... A z jakich to pięknych materiałów zrobione. Wspaniale! Ot, co to znaczy być bogatym, mieć w świecie znaczenie - mieć pieniądze. To znaczy, że możesz robić, co ci się podoba. Że do ciebie należy cały przepych życia. Że możesz iść, dokąd chcesz i kiedy chcesz.

Rozdział VII

Biorąc pod uwagę charakter Clyde'a i warunki jego dzieciństwa, można z wszelką pewnością twierdzić, że atmosfera tego hotelu wywierała na niego bardzo niebezpieczny wpływ. Był to jeden ze wspanialszych amerykańskich hoteli. Te przyciemnione, wysłane miękkimi poduszkami buduary, gdzie przysłonięte kolorowymi abażurami lampy dawały tyle światła, ile potrzeba dla umilenia rozkosznych chwil, były idealnym miejscem schadzek nie tylko młodzieży płci obojga, na którą działa upajająco widok zbytku, lecz również i doświadczonych przywiędłych piękności, które pamiętać muszą o swej karnacji, tak zyskującej w niepewnym, przytłumionym świetle. Bywali tu więc i mężczyźni, ale o gorących żądach i wielkich ambicjach, niepewnym stanowisku i w nieokreślonym wieku. Tu właśnie liczyć mogli na wrażenie, jakie może wywołać ich polor zewnętrzny, dobierając sobie korzystne pory dnia. Tu mogli ustalić o sobie opinię ludzi światowych albo obrotnych, albo bogatych czy też obdarzonych smakiem artystycznym, albo sympatycznych, tu mogli być jednym słowem- kimś.

Wkrótce po rozpoczęciu tu pracy, zanim Clyde sam zaczął zwracać uwagę na pewne osobliwości, koledzy jego z ławy hotelowej uświadomili go, że trafiają się tu pewne typy, wykolejone społecznie lub moralnie zepsute i zdegenerowane, które szukają odpowiednich typów chłopięcych, aby wejść z nimi w zakazane stosunki. Tego Clyde zupełnie nie mógł pojąć. Na samą myśl o tym robiło mu się słabo. Byli jednak między boyami tacy, wprawdzie nie z ich dyżurów, którzy, zdaje się, już "zważali" się z nimi.

Do uszu chłopięcych wpadały ciągle urywki rozmów, toczących się w

hallu, salach restauracyjnych, barze, a nawet w numerach. Z nich wyłaniał się główny cel życia tutejszych bywalców - a więc przede wszystkim pieniądze, a dalej używanie życia. Teatry, bale, dancingi, samochody, proszone obiady, podróże do Nowego Jorku, Europy, Chicago, Kalifornii.

Żaden z zatrudnionych tu chłopców nie zaznał nigdy w swym życiu dobrobytu ani nie próbował owoców kultury, każdy więc z nich przesadnie oceniał wartość oglądanego tu szczęścia i szukał sposobności, aby wziąć w tym udział.

Co to za ludzie i jakim sposobem doszli do takiego bogactwa, żeby tyle rozkoszy mieć na zawołanie? Dlaczego inni, wcale nie gorsi od nich, nie mają nic?... W czym leży różnica takiego powodzenia. Clyde nie mógł tego zrozumieć, ale takie same myśli przelatywały przez głowę każdego bell-boya.

Szeptano sobie także o powodzeniu, jakie niejednen z nich zdobył, a nawet o otwartych propozycjach pewnego typu kobiet, które należąc do sfer uprzywilejowanych nie mogły w swym środowisku znaleźć ujścia dla swego temperamentu. Tutaj za pomocą środków materialnych, niewieścich forteli i powabnych uśmieszków zaskarbiły sobie względy przystojnych bell-boyów.

Kiedyś Ratterer, hall-boy, który całe popołudnia przesiadywał w hallu, zobaczywszy strojną, dobrze zbudowaną blondynkę, otuloną w futra, jak wchodziła do hotelu z małym pieskiem pod pachą, trącił Clyde'a nieznacznie łokciem i szepnął:

- Widzisz? To dobry numer!... opowiem ci coś o niej, jak będę miał czas. Fiu, co ona potrafi wyrabiać...

- O niej? - spytał Clyde strasznie zaciekawiony, gdyż wydała mu się przepiękną, czarującą istotą.

- Phi, właściwie nic wielkiego, tylko tyle, że przewinęło się koło niej od czasu, jak tu jestem, z ośmiu chłopów. Leci teraz na Doyle'a.

Był to drugi hall-boy; Clyde uważał go za szczyt elegancji, wdzięku, dobrych manier i urody, jednym słowem za wzór do naśladowania.

- Ale to tymczasem, dopóki nie znajdzie sobie znowu kogoś innego.

- Naprawdę? - spytał Clyde zdumiony i pełen żądy, żeby podobne szczęście i jego mogło kiedyś spotkać.

- Możesz mi wierzyć. To już taki numer... nigdy nie ma dosyć. Mąż jej, opowiadali mi, prowadzi wielki interes starymi gratami gdzieś poza Kansas City, ale nie żyją ze sobą. Na szóstym piętrze zajmuje ona jeden z najpiękniejszych apartamentów, ale rzadko tam siedzi. Pokojówka mi to mówiła.

Clyde lubił tego Ratterera, dobrodusznie uśmiechniętego grubasa. Coś go w nim pociągało i pragnął się do niego zbliżyć.

Ratterer odwzajemniał się mu podobnym uczuciem, a widząc, że Clyde jest jeszcze tak niewinny i niedoświadczony, pragnął wedle możliwości opiekować się nim.

Rozmowę przerwał dzwonek i nigdy nie powrócono do tego tematu, lecz wrażenie pozostało silne. Na tę kobietę przyjemnie było patrzeć, tak była wytworna, taką jasną miała cerę, takie błyszczące oczy. Czy to, co o niej opowiadał Ratterer, mogło być prawdą? Była taka śliczna. Clyde siedział i patrzył, a wizja czegoś nieznanego, przeczuwanego zaledwie poruszała każdy jego nerw.

Różne były charaktery i zapatrywania filozoficzne tych chłopców. Taki Kinsella na przykład, mały grubasek, o łagodnej twarzyczce, może nieco tępy nawet, ale miły i dzielny, pasjonował się grą w karty. W pierwszych dniach nie zwracał na Clyde'a uwagi, potem jednak zastąpił Hegglunda w dawaniu informacji. Był bardziej delikatny w obejściu niż Hegglund, lepiej się wyrażał, ale nie był tak sympatyczny Clyde'owi jak Ratterer.

Albo Doyle. Eddie Doyle, na którego Clyde od razu zwrócił uwagę.

Nie odczuwał wcale zazdrości, mimo że Eddie był taki urodziwy, wykwintny, takie miał wdzięczne ruchy i miękki, melodyjny głos. Ten nieopisany wdzięk jednał mu względy wszystkich. Ulegali mu urzędnicy hotelowi i goście, i wszyscy, którzy mieli z nim cokolwiek do czynienia. Kołnierzyk i buty zawsze miał nieposzlakowanej czystości, włosy ostrzyżone, uczesane, wypomadowane na wzór bohaterów filmowych. A jego uniform... Clyde był wprost oczarowany sposobem noszenia zwyczajnego uniformu. Zawsze na nim wyglądał najszykowniej, skarpetki i krawat starannie były dobrane do koloru. Tak samo nosiłby modne palto. Tak samo szykownie wyglądałby w dobrze skrojonym garniturze.

Podobne i prawie równie silne wrażenie uczynił młodzieniec, który pierwszy zajął się Clyde'em - Hegglund. Był to jeden z najstarszych, najlepiej wyćwiczonych bell-boyów. Ogólnie był lubiany za swe wesołe, beztrudne usposobienie, które mu wcale nie przeszkadzało sumiennie spełniać swych obowiązków. Hegglund nie był mądrzejszy ani bardziej sympatyczny od innych chłopców, lecz jego niepowściągliwe, wybuchowe usposobienie, hojność, gdy chodziło o pieniądze lub przyjemności, odwaga, siła i śmiałość, z czym ani Doyle, ani Ratterer nie mogli się równać, tym bardziej że tam, gdzie trzeba było okazać siłę czy śmiałość, nie kierował się rozsądkiem - w najwyższym stopniu zaciekały i pociągnęły ku sobie Clyde'a.

Kiedyś opowiedział Clyde'owi, że jest synem piekarza, pochodzącego ze Szwecji, który przed kilku laty opuścił żonę z dziećmi w Jersey City i zostawił ją na łasce losu. Walcząc z niedostatkiem matka nie mogła dać jemu ani córce Marcie nie tylko wykształcenia, ale i fachowych wiadomości. Oskar więc doszedłszy do czternastego roku życia puścił się w świat towarowym pociągiem i od tego czasu radził sobie, jak mógł. Podobnie jak Clyde pożądał gorączkowo wszelkich uciech, które miał tak blisko siebie, i gotów był na każdą przygodę, nie czując tego lęku przed konsekwencjami, który był charakterystyczną cechą Clyde'a.

Hegglund miał przyjaciela, Sparsera, nieco od siebie starszego, który był szoferem u pewnego bogatego obywatela Kansas City i w czasie nieobecności swego pryncypała korzystał po kryjomu z jego

auta pożyczając go nawet niekiedy Hegglundowi, jeżeli mu się gdzieś śpieszyło. Uprzejmość ta, dość niezwykła i niezbyt uczciwa, imponowała Hegglundowi, który go uważał za wypróbowanego kompana, i dodawała mu w jego oczach blasku, nie mającego nic wspólnego z rzeczywistością.

Nie był tak przystojny jak Doyle i nie tak łatwo zwracał na siebie uwagę dziewcząt, a te, które okazywały mu jakieś zainteresowanie, niewiele znaczyły w jego oczach. Był jednak niesłychanie dumny ze swych podbojów i nie mało się tym chełpił, co Clyde w naiwności ducha przyjmował za dobrą monetę. Może więc za to Hegglund polubił Clyde'a, bo czuł, że będzie w nim miał wdzięcznego słuchacza.

Siadając od czasu do czasu na ławie obok Clyde'a, kończył swe dzieło uświadamiania.

Kansas City to wcale miłe miasteczko, jeżeli się wie, jak trzeba żyć. Pracował poprzednio w innych miastach - w Buffalo, Cleveland, Detroit, St. Louis, ale w żadnym nie czuł się tak dobrze jak tutaj pewnie dlatego, o czym co prawda dawniej nie myślał, że nie miał tak przyjemnego zajęcia. Imał się tam różnych prac. Był pomywaczem, czyścił auta, pomagał dekarzowi i wiele innych miał zajęć, dopiero w Buffalo po raz pierwszy dostał się do hotelu. Ale jeden kolega namówił go, żeby się przeniósł do Kansas City. A tutaj:

- Napiwki są fajne, nigdzie takich nie dają. A i z morowymi ludźmi się pracuje. Jesteś dla nich grzeczny, to i oni są dla ciebie dobrzy. Siedzę tu już od roku i nie mogę się skarżyć. I ten Squires też nie najgorszy, chyba że mu napytasz jakiej biedy, ale musi przecie dbać o siebie, to trudno... Ale nie wyleje nikogo bez racji. A jak skończysz robotę, jesteś sobie wolny jak ptak. A koledzy też morowe chłopy, co do jednego! Żaden ci nie wyleci z pyskiem ani nie jest skapiradło. A pod nosem masz ci, bracie, takie fajności, taki szyk morowy... Ale harować trzeba, nie ma co gadać. Wiem to dobrze, tak długo tu siedzę.

Wynikło więc z rozmowy, że wszyscy ci chłopcy są dobrymi kolegami, oprócz Doyle'a, który trzyma

się trochę sztywno, ale także nie jest zły.

- Za wiele facetek leci na niego, to dlatego.

Trzymają się wszyscy razem i wszędzie razem chodzą, gdzie się da. To do dancinów albo do restauracji, czasem do "Kate Sweeney", gdzie są dziewczynki jak maliny. No i tak dalej.

Opowiadania takie, sączące się w uszy Clyde'a, wywoływały zamyślenia, marzenia, wątpliwości, smutki i zapytania, czy cała ta mądrość, urok, rozkosz, jaka się w tym zawiera, jest dozwolona i jemu. Dlaczego nigdy do tej pory nie słyszał o tym?

Było to dla niego nowe i dziwnie dojmujące i podświadomie odczuwał, że w tych zwierzeniach, wysłuchiwanym przez niego z zapartym oddechem, tkwiło jakieś zagadnienie, którego rozwikłać nie umiał.

Taki Tomasz Ratterer na pierwszy rzut oka robił wrażenie nieprzyjemne i prawie odpychające. Był niski, gruby, czarnowłosy, o oliwkowej cerze, oczach przezroczystych jak woda, lecz niesłychanie wesołych. I on miał rodzinę, od której nie otrzymywał żadnej materialnej ani moralnej pomocy. Ale teraz stał już mocno na nogach, a nawet razem z siostrą utrzymywał matkę. Urodził się w Wichita i niedawno przybył do Kansas City. Gdy był jeszcze małym dzieckiem, ojciec ich porzucił, zostawiając żonę z dwojgiem dzieci na pastwę losu. Były czasy, że nie mieli co do ust włożyć. Ileż to razy wyrzucano ich z mieszkania za nie opłacane komorne! I do szkoły Tommy i siostra nie mogli stale chodzić. Wreszcie, kiedy miał rok czternasty, wyjechał do Kansas City i tu brał się do każdej pracy, jaka mu się trafiała, lecz gdy dostał się do Greena-Davidsona, sprowadził matkę z siostrą i zamieszkał z nimi.

Ponad przepych hotelu, ponad zaciekawienie, jakie wzbudzali jego koledzy, a których Clyde już z wolna zaczął poznawać, większe wrażenie na nim czyniła jego własna kieszeń, która coraz bardziej mu ciążyła. Znajdowały się tam dziesiątki, nikłowe pieniążki, ćwierćdolarówki, a nawet półdolarówki i mnożyły się z nieopisaną

szybkością. O dziewiątej miał już cztery dolary w kieszeni, a o dwunastej, kiedy miał się już skończyć jego dyżur, miał przeszło sześć i pół dolara. Tyle zarabiał tygodniowo przy wodzie sodowej.

Z tego, jak się dowiedział, miał oddać jednego dolara panu Squiresowi, a reszta - pięć i pół dolara za takie miłe, rozkoszne, cudowne zajęcie podczas jednego wieczora należy do niego. Trudno mu było wprost w to uwierzyć. To coś jak w bajce... jakaś fantazja chyba...

O dwunastej punktualnie uderzył gong, a jednocześnie dał się słyszeć szmer kroków i ukazało się trzech młodych ludzi. Jeden z nich zajął miejsce przy biurku Barnes'a, a dwóch zasiadło na ławie. Ośmiu chłopców na komendę Barnes'a powstało z ławki. Kazano im się przebrać i iść do domu. Przy wyjściu Clyde podszedł do Squires'a i wręczył mu srebrnego dolara.

- W porządku - rzekł na to Squires.

Nic więcej.

Clyde przebrał się we własne ubranie i wyszedł na ciemną ulicę z uczuciem szczęścia, z uczuciem jakiejś obawy o przyszłe szczęście. Doznawał zawrotu głowy i drżał cały z nieopisanego upojenia.

Czy to do uwierzenia, że to on, on dostał takie miejsce... Czyż to możliwe, żeby miał co dzień tyle zarabiać?

Szedł w stronę domu, bo przyszło mu na myśl, że powinien się dobrze wyspać, żeby wypocząć porządnie przed porannymi obowiązkami. Ale przypomniał sobie, że ma być w hotelu dopiero o 11.30 w południe. Wstąpił więc do nocnej kawiarni na szklankę kawy i ciastka. Jedząc żałował, że będzie jutro pracował tylko do szóstej wieczór, a potem będzie wolny do następnego rana. Tak krótko. Chciałby zarobić więcej pieniędzy. Całą masę, żeby jak najwięcej móc wydać na siebie.

Rozdział VIII

Nowym materiałem do poważnych przemyśleń było, jak zachować dla siebie większą część pieniędzy. Dotychczas z zarobionych pieniędzy większą część, co najmniej trzy czwarte, oddawał na utrzymanie domu. Gdyby więc teraz powiedział, że prócz pensji zarobi około dwudziestu pięciu dolarów, a może i więcej, a oprócz tego otrzyma jedzenie w hotelu, rodzice będą się spodziewali, że odda im dziesięć albo dwanaście dolarów.

Teraz wszakże pragnął jak najprędzej stać się podobnym do tych wszystkich szykownych młodzieńców. Nic mu już nie stoi na przeszkodzie, więc zwlekać nie będzie. Powiedział więc ostatecznie matce, że ze wszystkich napiwków nie uzbiera więcej jak dolara dziennie. A również, żeby mieć więcej czasu dla siebie, oznajmił, że będzie musiał czasami zastępować chorych lub nieobecnych kolegów. Dodał także, że zarząd hotelu wymaga, aby służba wyglądała przyzwoicie nie tylko podczas pracy, lecz i poza hotelem. Więc dłużej nie może chodzić w swoim ubraniu. Pan Squires kładzie na to wielki nacisk. Pociesza się tylko tym, że jeden z jego kolegów zapewnił go, że wskaże mu sklep, gdzie za tanie pieniądze będzie mógł zaopatrzyć się we wszystko.

Matczysko w naiwności ducha uwierzyło wszystkiemu.

Ale to był dopiero początek. Mając codziennie styczność z chłopcami przeróżnych charakterów i temperamentów zapoznał się Clyde bliżej z jednym, dla którego życie nie miało już tajemnic i wszelkie formy rozpusty nie były mu obce. Każda wzmianka o tym napępiała Clyde'a jeszcze trwożliwym niesmakiem.

Ustalił się tu zwyczaj, że po otrzymaniu miesięcznej pensji wybierali się wszyscy całą gromadą na nocną zabawę. Wybór

restauracji nocnej był zależny od stanu kasy. Tam sobie urządzano kolacyjkę z trunkami, potem szli na jakiś dancing w odleglejszych stronach miasta, gdzie łatwo było zawierać znajomości z dziewczętami, albo szli do któregoś z lupanarów, często występujących pod płaszczykiem "pokojów umeblowanych". Były to spelunki dostępne dla ich kapitałów, gdyż, jak się chwalili, za resztki, pozostałe w kieszeniach, mogli mieć każdą dziewczynę. A tam umiano koło nich chodzić. Znając ich młodość, wesołość, hojność witano tę młodzież z radością i starano się tak zachęcić, by zjawili się tam jeszcze nieraz.

Życie Clyde'a tak pożałowało wszelkiej uciechy, że z zapartym oddechem słuchał o tych przygodach. Może nie pochwalał w duszy takich rozrywek, bo należy przyznać, że z początku gorszył się, a nawet czuł się przygnębiony, gdyż zbyt wielki był kontrast między tym, co słyszał, a tym, czego uczono go w domu, co mu wpajano od dzieciństwa. Tak nagle jednak zaszła zmiana w jego życiu i tak wielką uczuł ulgę po przykrew pracy, w której tkwił dotychczas, że nie mógł się poskromić, aby nie myśleć o tym, co w jego pojęciu nadawało pewną rozmaitość i podnosiło smak życia. Słuchał więc chciwym uchem nawet wtedy, gdy wewnątrz duszy rodziło się obrzydzenie.

Widząc, jak chętnie nowy ich kolega słucha takich opowiadań, zaproponowano i jemu wspólną zabawę. Mają pójść gdzieś na przedstawienie, do restauracji albo tam, gdzie grają w karty, a może do takiego "bezwstydne" domu.

Clyde na razie odmówił.

Lecz powoli, zaprzyjaźniwszy się lepiej z Hegglundem i Rattererem, oswoił się z tą myślą i gdy go zaprosili na kolację do Frissella, postanowił pójść.

Clyde już zaaklimatyzował się w tej parnej atmosferze i zmienił się bardzo. Wzorując się na Doyle'u sprawił sobie brązowy garnitur, kapelusz, palto, laskę i buty, zwracając uwagę, żeby wszystko niczym się nie różniło od rzeczy jego prototypu. Było mu w tym do twarzy - nawet bardzo do twarzy. Stał się tak

przystojnym chłopcem, że nie tylko rodzice, lecz braciszek i siostrzyczka patrzyli nań z niemałym zachwytem i zdumieniem.

Jakim sposobem Clyde doszedł do takich pięknych rzeczy? Ile to wszystko może kosztować? Czyżby wziął zaliczkę na przyszłe zarobki? To wcale nie jest przezornie. Powinien myśleć o przyszłości. Rodzeństwo jego też potrzebuje wiele rzeczy. Ciekawe, jaka panuje moralna i duchowa atmosfera tam, gdzie wymagają tylu godzin pracy za tak niskie wynagrodzenie?

Z wielką jak na niego przebiegłością odpowiedział na te pytania. Jest mu tam bardzo dobrze i nie pracuje wcale tak bardzo ciężko. Ubranie jego nie jest znów takie nadzwyczajne, szkoda, że matka nie może zobaczyć innych chłopców. Pieniądzy wiele nie wydał i nie potrzebuje płacić od razu, bo wziął na raty.

Ale teraz ta kolacja... To już zupełnie co innego, zwłaszcza dla niego. Dowiadywał się, czy taka zabawa trwa długo, bo w takim razie musi powiedzieć rodzicom, że do późna będzie zmuszony pozostać przy pracy. Ratterer odpowiedział, że pewnie do jakiej trzeciej albo czwartej rano, chociaż, jeżeli zechce, może wyjść wcześniej.

Ale jakże to wyglądać będzie, jeżeli wcześniej wyjdzie? Wielu chłopców nie mieszkało przy rodzicach albo jeżeli mieszkali, jak Ratterer na przykład, to nikt się nie interesował, co ich syn robi. Otóż czy to będzie dobrze, jeżeli pójdzie tak późno na kolację? Wszyscy koledzy pili różne trunki nie zastanawiając się wcale nad tym. Wszyscy. I Hegglund, i Ratterer, i Kinsella, i Shiel. Głupi jest chyba, jeżeli myśli, że to coś niewłaściwego napić się czegoś przy takiej okazji. Zresztą może nie pić, jeżeli nie chce. Pójdzie, a rodzicom powie, że miał nocną pracę. Cóż to wielkiego, że raz przyjdzie późno? Czyż nie jest już dorosłym mężczyzną? Czyż nie zarabia więcej niż ktokolwiek z jego rodziny? Czyż nie powinien już robić, co mu się podoba?

Zaczął odczuwać rozkosz osobistej wolności. Zaczął wyczuwać przedsmak cudownych, romantycznych przygód i nie dałby się już

odciągnąć od źródła przeczuwanych rozkoszy żadną matczyną perswazją.

Rozdział IX

Minął wreszcie ten niezwykle interesujący wieczór. Kolację zjedli u Frissella, a Clyde znalazłszy się między rozbawionymi kolegami zapomniał o swych wątpliwościach i skrupułach i najlepiej się z nich wszystkich bawił.

Jakaż to zmiana w jego życiu... Jeszcze parę tygodni temu był taki samotny, nie miał żadnego przyjaciela, bo ten jeden, jedyny poznany kiedyś chłopiec nie był przecież przyjacielem. A teraz tak się doskonale bawi w miłym gronie kolegów.

Należy jednak przyznać, że tylko złuda młodości mogła widzieć w tej restauracji coś niezwykłego. Nic w niej nie było szczególnego. Właściwie była to porządna garkuchnia w staroświeckim amerykańskim stylu. Na ścianach wisiały liczne portrety aktorów i aktorek i afisze z różnych czasów. Jedynie dzięki doskonale przyrządzonym potrawom i pogodnemu usposobieniu gospodarza przeciągali tędy aktorzy, politycy, niektórzy biznesmeni, a za nimi ich satelici, którzy zwykle trzymają się ludzi wyróżniających się nieco od zwykłego otoczenia.

Chłopcy nasi zasłyszawszy raz i drugi od szoferów albo dorożkarzy, że restauracja Frissella należy do osobliwości miejskich, postanowili bywać tam na swych miesięcznych kolacyjkach. Tanio tu było. Pojedyncze danie kosztowało od sześćdziesięciu centów do dolara, kawę i herbatę podawano tylko w dzbankach, ale można było

dostać wszelkich, jakich się tylko zażądało trunków.

Na lewo od wejścia znajdowała się ciemna, nisko sklepiona sala z kominem, przy którym mężczyźni zasiadali po obiedzie, paląc cygara i czytając gazety. Na ten pokój młodzież nasza patrzyła z wielkim respektem i starała się zawsze zajmować tam stoliki, gdyż siedząc tam czuli się wszyscy nieco starsi, mądrzejsi, bardziej ważni - czuli się prawdziwymi mężczyznami. I Hegglund, i Ratterer, najlepsi obecnie przyjaciele Clyde'a, byli przekonani, że w całym Kansas City nie ma równie przyzwoitego locum.

Tego więc wieczoru po skończonym dyżurze na rogu przed składem aptecznym, gdzie poprzednio pracował Clyde, zebrali się wszyscy, a mianowicie Hegglund, Ratterer, Paweł Shiel, Davis Highby, Artur Kinsella i Clyde w doskonałych i odpowiednio hałaśliwych humorach.

- To ci heca była wczoraj, słyszeliście, co? - zapytał Hegglund zwracając się do kolegów. - W sobotę przyszedł telegram, żeby przyszykować salon, sypialny i łazienkę dla małżeństwa i żeby dużo kwiatów było w pokojach. Jimmy, ten od kluczy, opowiadał mi to właśnie. Przyjeżdżają ci właśnie i zapisują się. On jako mąż, a ta dziewczyna niby jego żona.

Niczego sobie facetka, widziałem sam. Uważacie tylko? A tu ci we wtorek, kiedy już wysiedzieli się całe trzy dni, a wszyscy już się trochę dziwili, bo to i jedzenie trzeba było posyłać do numeru i wszystko, on schodzi na dół i powiada, że jego żona wraca do St. Louis i że on nie chce całego apartamentu, tylko jeden pokój i żeby tam zaraz przenieść jego rzeczy i jej, dopóki ona nie odjedzie. I co? Okazuje się, że to nie były wcale jego rzeczy, tylko wszystkie jej. I wcale nie miała zamiaru wyjeżdżać. Wtedy on dał nogę i puścił ją kantem. Zostawił ją i rzeczy, tak jak stały... Dalejże więc ją przenosić z rzeczami. Ona beczy, telegrafuje do rodziny i robi się całe piekło przy rachunku. Rozumiecie?... I za kwiaty także... Róże były... I za to wszystko, co nawsuwali, i za wódkę dla niego...

- Wiem, wiem! - zawołał Paweł Shiel. - Sam nosiłem im wódkę.

Przeczuwałem, że coś niedobrego tam się święci. Zanadto był grzeczny i za głośno gadał. A nigdy więcej nie dawał jak dziesiątkę.

- Przypominam go sobie także - zawołał Ratterer. - Posyłał mnie po wszystkie chicagowskie gazety i dał mi tylko dziesiątkę. Wyglądał na cwaniaka.

- Wpadli na nim - mówił dalej Hegglund. - A teraz zabrali się do niej.

- Ona nie wygląda na więcej jak na osiemnaście albo dwadzieścia lat - wtrącił Kinsella, po raz pierwszy zabierając głos.

- Widziałeś już które z nich, Clyde? - spytał Hegglund, który opiekując się Clyde'em chciał go we wszystko wtajemniczyć.

- Nie, nie przypominam ich sobie. Musiałem widocznie przeoczyć.

- To przegapisz każdego, jeżeli takiego przegapiłeś. Wysoki, w długim płaszczu podróżnym, wielka czarna cyklistówka, wsunięta na same oczy, i perłowe rękawiczki. Ja myślałem z początku że to jaki angielski książę. Żebyś widział, jak on chodził. Laskę miał także... Wszystko było takie, że nic... tylko Anglik. I mówił tak głośno, i rozkazy wydawał i wszystko...

- Masz rację - odezwał się Davis Highby. - Cały szyk angielski jest inny... Chciałbym tak wyglądać.

Tak rozmawiając przeszli parę ulic i całą bandą stanęli w restauracji Frisselli. Tam w pierwszej sali światła rzucały refleksy na porcelanę, srebrną zastawę i na twarze biesiadników. Clyde przystanął oczarowany. Nie bywał w swoim życiu w podobnych miejscach. Dziś wchodzi tu jako dorosły mężczyzna w gronie doświadczonych, mądrych przyjaciół.

Było parę wolnych stolików, przy których stały krzesła kryte skórą. Starszy kelner, poznawszy Ratterera, Hegglunda i Kinsellę jako starych klientów, zsunął dwa stoliki i przyniósł chleb, masło

i kieliszki. Clyde z Rattererem i Highbym usiedli pod ścianą, Hegglund, Kinsella i Shiel naprzeciw.

- A teraz na początek golniemy sobie starego Manhattana - zawołał Hegglund spoglądając z góry na gości restauracyjnych; czuł, że staje się tutaj im równy. Podobny był teraz do wielkiego roznamiętnionego koguta ze swymi bystrymi, w czerwonych obwódkach oczyma i rudymi włosami zaczesanymi na jeża.

Kinsella też, znalazłszy się tutaj, nabrał animuszu i z powagą toczył dookoła oczyma. W ostentacyjny sposób podciągnął w górę rękawy, wziął do ręki kartę i zaczął wertować na odwrotnej stronie spis trunków. - Na początek najlepszy będzie wytrawny Martini! - zawołał.

- Ja wolę zacząć od szkockiej z wodą sodową - odezwał się poważnie Shiel, przeglądając spis potraw mięsnych.

- Tylko żadnego waszego cocktailu nie chcę dzisiaj - oznajmił Ratterer wesoło, lecz nie tak hałaśliwie jak koledzy. - Dałem sobie słowo, że dzisiaj nie będę dużo pił i nie będę. Myślę że szklanka reńskiego wina z wodą selcerską dobrze mi zrobi.

- Co on trajluje? Słyszeliście coś podobnego - wołał Hegglund żalonym głosem. - Będzie zaczynał od reńskiego... A zawsze tak lubił Manhattana. Co ci się stało, Tommy? Zdawało mi się, że chciałeś się porządnie zabawić?

- Chciałem - odparł Ratterer. - Ale czy to nie można się dobrze bawić bez żłopania wszystkiego na raz? Chcę dzisiaj być trzeźwy. A tak musicie mnie budzić rano, a ja, nieprzytomny, nie wiem, co się ze mną dzieje.

- Masz rację - odezwał się Kinsella. - Ja też nie mam zamiaru pić tyle, żeby nie wiedzieć, co się ze mną dzieje, ale teraz nie chcę się tym martwić.

- A ty, Highby? - zapytał Hegglund młodzieńca o okrągłych oczach.

- Dla mnie także Manhattan - odpowiedział, a zwracając się do stojącego obok kelnera, zapytał: - Co słychać, Dennis?

- O, wszystko dobrze, nie mogę się skarżyć - odrzekł kelner. - A co w hotelu?

- Doskonale, doskonale - odparł Highby wesoło, studiując przy tym spis potraw.

- A ty, Griffiths, co dla ciebie? - zapytał Hegglund, który wyznaczony przez kolegów na mistrza ceremonii miał wydawać polecenia, płacić rachunki i dawać napiwki. Zaczął więc teraz wykonywać powierzoną rolę.

- Ja? O ja... - wyjąkał Clyde, porządnie zmieszany tym zapytaniem, bo dotychczas prócz kawy i lemoniady nic innego nie pijał. Patrzył z pewnym zgorszeniem, jak koledzy zamawiali cocktaile i whisky. Tyle co oni pić nie będzie, ale że piją wszyscy, jakże on może odmawiać? Co pomyśla o nim, jeżeli się czegoś nie napije? Ponieważ znalazł się wśród nich, nie powinien się niczym od nich wyróżniać.

Lecz na jego przeszłości leżały całe lata grozy i lęku przed trunkiem i złym towarzystwem. A chociaż od dawna buntował się przeciw wszystkim przykazaniom i maksymom, jakie cytowali jego rodzice, i uważał za bezwartościowy trud wyszukiwanie nędzników i bankrutów życiowych, by na tej czeredzie pełnić dzieło zbawienia, to jednak teraz namyślał się i wahał. Powinien czy nie powinien pić?

Ale trwało to tylko przez chwilę, gdyż usłyszawszy pytanie zawahał się przez sekundę i odpowiedział:

- Ja?... no tak... ja też napiję się reńskiego z selcerską wodą.

Tak było najwygodniej i najbezpieczniej. Już Hegglund podniósł umiarkowane i nieszkodliwe cechy reńskiego wina, a że Ratterer też będzie je pił, więc wybór Clyde'a nie może być podejrzany i śmieszny.

- Słyszycie? - zawołał Hegglund z patosem. - Ten także chce reńskiego z wodą. Widzę, że nasza zabawa skończy się o dziewiątej, chyba że znajdą się jeszcze między nami tacy, którzy pokażą, co umieją.

A Highby, który wcale nie był takim świętoszkiem, na jakiego wyglądał, zwrócił się z pretensją do Ratterera:

- Czyś ty sfiksował z tym reńskim i wodą? Cóż to mamy tu siedzieć jak kwakry?

- Powiem ci dlaczego - odparł Ratterer. - Ostatnim razem, gdym poszedł "tam", miałem przy sobie sporo forsy, bo czterdzieści dolarów, a wychodząc nie miałem ani centa. Otóż dziś chciałbym wiedzieć, jakim sposobem to się stało.

"Tam".

Clyde się zastanowił. Więc po kolacji, gdy już najedzą się i napiją, pójda do jednego z tych miejsc, o których mówią "tam"... do jakiegoś podejrzanego domu. Nie miał żadnych wątpliwości, wiedział dobrze, co to słowo znaczy. Będą tam kobiety... złe, wstrętne kobiety...

Czy i on także ma tam iść... czy powinien... czy może?...

Po raz pierwszy w życiu stanął przed pokusą poznania najbardziej pociągającej tajemnicy, jaka go od dawna kusiła, przykuwała myśli i przerażała. Mimo rodzących się pożądań nigdy jeszcze nie zbliżył się do jakiegokolwiek kobiety. A teraz... teraz...

Zimny i gorący dreszcz przebiegał mu po plecach i po całym ciele. Ręce i twarz miał rozpalone i wilgotne, policzki i czoło pałały. Czuł to wyraźnie. Dziwne, szybkie, kuszące i niepokojące myśli kłębiły się w mózgu. Skóra świerzbiała, widział obrazy, bachiczne sceny, które na próżno starał się odegnąć od siebie. Wracały... Pragnął, żeby wróciły. Nie, nie pragnął. Czuł się tym przerażony. Psiakrew! Czyżby nie miał w sobie ani krzty odwagi? Tamci wcale nie przejmują się tym, co ich czeka... Są weseli, śmieją się z

rozmaitych zabawnych przygód, jakie im się zdarzyły poprzednim razem... Ale co pomyślałaby matka, gdyby o tym wiedziała? Jego matka!

Nie, nie chce wcale teraz myśleć o matce ani o ojcu.

Wygnał
ich z pamięci.

- Słuchaj, Kinsella! - zawołał Highby. - Pamiętasz ten rudy łeppek z Pacific Street, co to chciała z tobą uciekać do Chicago?

- Czy pamiętam? - roześmiał się Kinsella, popijając wino, które mu właśnie podano. - Chciała koniecznie, żebym rzucił hotel, bo ona ma właśnie coś dla mnie o wiele odpowiedniejszego. "Nie potrzebowałbyś wcale pracować, gdybyś tam się dostał" - powiedziała raz do mnie.

- O, tak, nie potrzebowałbyś wcale pracować, tylko w pewien sposób - odrzekł Ratterer.

Kelner postawił przed Clyde'em szklankę wina i wodę. Clyde, zainteresowany rozmową, podniecony, przejęty i zmieszany tym, co słyszał, wziął szklankę, spróbował, a przekonawszy się, że ma smak łagodny i bardzo przyjemny, wypił. Tak zmącone były jego myśli, że nie wiedział, że wypił wszystko.

- Dobrze, co? - spytał przyjaźnie Kinsella. - Pewnie ci smakuje?

- Tak, wcale niezłe - odrzekł Clyde.

Hegglund zauważył, że poszło wcale gładko, lecz domyślał się, że są to pierwsze kroki Clyde'a, postanowił więc wzmocnić go i dodać mu odwagi.

- Jeszcze jedną - zawołał na kelnera. - Tylko dużą - dodał szeptem zasłaniając usta dłonią.

Kolacja ciągnęła się dalej. Była już blisko jedenasta, gdy

wyczerpali wszystkie tematy dla siebie ciekawe - o poprzedniej pracy, o rozmaitych interesach, figlach i czynach. Clyde miał dosyć czasu na obserwację kolegów i doszedł do przekonania, że wcale nie jest od nich głupszy, jak oni to sobie wyobrażają. Może nie ma takiego doświadczenia życiowego, jest jednak sprytniejszy od wielu z nich, a może nawet inteligentniejszy.

Bo też jacy oni byli, do czego dążyli? Hegglund był próżny, narwany, łatwo go było podejść i ująć marnym pochlebstwem. Highby i Kinsella, bardzo mili, sympatyczni chłopcy, ale pysznili się tym, z czego on wcale nie był dumny. Highby chwalił się ciągle, że zna się na samochodach, bo wuj jego pracował w takim interesie. Kinsella, że gra doskonale, nawet w kości. A co do Ratterera i Shiela, zauważył, że zadowoleni ze swego zajęcia nie mieli innych, wyższych dążeń, z czym Clyde nie mógł się zgodzić.

Ale teraz stanęło przed nim nowe zagadnienie. Mieli zamiar pójść tam, gdzie on jeszcze nigdy nie był, i robić tam będą to, o czym sobie nigdy nie pozwalał myśleć. Czuł się tym trochę zawstydzony. Może by się jakoś wytłumaczyć, gdy wyjdą z restauracji, albo poszedłszy z nimi w tamtą stronę wymknąć się ukradkiem i wrócić do domu? Słyszał nieraz o okropnych przypadkach nagłych zaślabnięć w podobnych miejscach. Iluż to mężczyzn zmarło nędną śmiercią upodobawszy sobie takie rozkosze. Ileż to razy matka jego przemawiała w tym sensie, tylko on wtedy nie zdawał sobie jeszcze z tego sprawy.

Ale jakoś ci chłopcy wcale nie dręczą się takimi myślami. Przeciwnie, są bardzo weseli, rozbawieni, nie przejmują się tym.

Ratterer, któremu Clyde coraz bardziej się podobał głównie ze sposobu słuchania wszystkiego i z naiwnych zapytań, trącił go łokciem i zapytał ze śmiechem:

- No, jakże będzie, Clyde? Pójdziesz dziś z nami? - Roześmiał się szeroko, a widząc, że Clyde zamyślił się, dodał: - Co tam, nie ugryzą cię, nie bój się.

Hegglund, idąc za przykładem Ratterera, wypowiedział również od

siebie sentencję, tym razem bez żadnej złośliwości:

- Trudno, mój drogi, ciągle nie będziesz taki sam. Żaden z nas już nie jest. Ale chcemy być przy tobie w przykrew chwili.

Lecz Clyde, zdenerwowany i zirytowany, przerwał:

- Dajcie mi pokój. Co za banialuki! Koniecznie chcecie mnie przekonać, że jesteście mądrzejsi...

Ratterer mrugnął na Hegglanda, żeby zaprzestał, a do Clyde'a szepnął:

- Dobrze, bracie, już dobrze, nie gniewaj się. Wiesz przecie żeśmy wszyscy trochę postrzeleni i tyle.

Clyde złagodniał i postanowił sobie nie być postrzeleńcem i nie dopuścić do tego, żeby wszyscy wiedzieli, co on myśli.

Wreszcie o jedenastej zakończyli swą ucztę i gotowi byli na nową eskapadę. Nie znać po nich było wcale, że idą w jakieś zakazane miejsce, co powinno było pobudzać do roztrząsania sumienia i moralnej chłosty. Przeciwnie, śmieli się i rozmawiali, jakby to była jeszcze jedna z miłych rozrywek. Ku wielkiemu zdumieniu i zgorzeniu Clyde'a zaczęli przypominać sobie pewne przygody, jakie im się zdarzyły w jednym z podobnych domów, u "Bettiny". Byli tam z nimi dwaj niesłychanie rozwydrzeni chłopcy należący do personelu innego hotelu, a że Hegglund też się przy nich rozpuścił, pozwolili sobie na takie dzikie wybryki, że powinni byli być za to aresztowani. Były to wybryki tak nieokrzesane, że Clyde słuchał ze wstrętem i nie chciał uwierzyć, że na to mogli zdobyć się chłopcy tak przyzwoicie wyglądający.

- Ha, ha, ha, a dziewczyna z drugiego piętra wylała za mną cały dzban wody - śmiał się Highby.

- A ten grubas wyleciał z pokoju, bo myślał, że to pożar albo rewolucja, pamiętasz? - pękał ze śmiechu Kinsella.

- Ty także i twoja gruba dziewczyna, Piggy. Pamiętasz, Ratterer? - opowiadał z trudem, dławiąc się śmiechem, Shiel.

- A nogi Ratterera uginały się pod własnym ciężarem... Hu, hu, hu - ryczał Hegglund! - I w końcu dwóch fajtnęło ze schodów.

- To tylko twoja wina, Hegglund! - wołał Highby. - Gdybyś nie batożył dziewczuch, nie wyrzucono by nas.

- Ba, przecie powiadam wam, że i ja byłem pijany... - bronił się Ratterer. - Sprzedali nam jakiegoś blekotu.

- A ten długi frajer z Teksasu z takimi wielkimi wąsiskami, pamiętasz, jak się śmiał?

- Że też nas wszystkich nie wyrzucono na ulicę albo nie zamknięto! Ach, co to była za noc - przypominał Ratterer.

Clyde przerażony był charakterem tych wspomnień. "Batożył". Wyraz ten miał tylko jedno znaczenie.

Czy oni sobie wyobrażają, że i on będzie brał udział w podobnych hulankach? To niepodobna. Nie należy do podobnych typów. Co pomyślałaby jego matka, co pomyślałby ojciec, gdyby dowiedzieli się o takich strasznych rzeczach?... A przy tym...

Tak rozmawiając doszli do pewnego domu na ciemnej, prawie pustej uliczce. Na rogu stało dużo dorożek i aut. Stało tam również kilku młodych ludzi i rozmawiało. Dalej jeszcze kilku. Przechodziło też dwóch policjantów spokojnie rozmawiając. Mimo że nie było widać światła w żadnym oknie, jednak czuło się w tej uliczce żywe, pulsujące życie. Taksówki przeciągały z wolna, a dwa staroświeckie powozy, zamknięte, ze spuszczoneymi zasłonami, przejeżdżały tam i z powrotem. Jakież drzwi trzaskały, otwierane i zamykane. Czasem jakiś promień światła wytryskiwał z wewnątrz i znikał zaraz. Nad ciemną ulicą jaśniało rozgwieżdżone niebo.

Hegglund w towarzystwie Highby i Shiela zbliżył się do drzwi i zadzwonił. Prawie natychmiast otworzyła drzwi czarnowłosa

dziewczyna w czerwonej sukni.

- Dobry wieczór. Proszę iść na prawo - wyjaśniła uprzejmie.

Sześciu chłopców minęło ją, i odsłoniło ciężką aksamitną portierę, oddzielającą wąski korytarz od wielkiej sali. Clyde znalazł się w jasnym, bardzo wytwornym salonie. Ściany były przyozdobione oprawionymi w złote ramy obrazami nagich lub półnagich kobiet oraz wysokimi stojącymi zwierciadłami. Na podłodze, pokrytej grubym czerwonym dywanem, stało wiele złożonych krzesel i foteli.

W głębi, przed czerwonymi firankami, stał złożony fortepian. Gości jednak czy lokatorów nie było tu wcale prócz tej czarnej dziewczyny.

- Niech się panowie rozgoszczą, proszę bardzo. Zaraz poproszę panią.

I biegnąc szybko po schodach na lewo wołała:

- Mario, Sadi, Karolino. Przyszło kilku młodych panów.

W tej chwili w głębi ukazała się we drzwiach wysoka, szczupła, blada kobieta w średnim wieku, bardzo wyprostowana, bardzo dystyngowana, o twarzy inteligentnej, sympatycznej, w przejrzystym, lecz spokojnym w tonie stroju i odezwała się z bladym, lecz zachęcającym uśmiechem:

- Ach to ty, Oskarze! Jak się masz? A i Paweł także... Ho, ho, i Davis. Bawcie się jak u siebie w domu. Fannie zaraz tu przyjdzie. Przyniesie wam coś do picia. Zaangażowałam nowego pianistę z St. Louis, Murzyna. Zaraz go usłyszycie. Bardzo zdolny.

Odwróciła głowę i zawołała:

- Sam!

W tej chwili gromadka dziewcząt rozmaitych typów i różnego wieku, lecz żadna z nich nie przekraczała dwudziestu pięciu lat, ukazała

się na schodach. Clyde patrzył na nie zdumiony, nigdy bowiem nie widział kobiet tak wystrojonych.

Wszystkie śmiały się i rozmawiały, widocznie zadowolone z siebie i zupełnie nie skrępowane swoim wyglądem, bo prawdę mówiąc wyglądały dość osobliwie. Stroje ich były czymś pośrednim między bardzo powiewnym buduarowym negliżem a suknią balową. A każda z nich była inna. Każda z nich przedstawiała inny typ, każda miała inną budowę, inną cerę. Były szczupłe, pulchne i średniej tuszy, wysokie i niskie, ciemnowłose i jasne. A wszystkie były młode i uśmiechały się tak gorąco i zachęcająco.

- Ach, miłe chłopaczki, jak się macie! Może potańczycie z nami? A może się czego napijecie?

Rozdział X

Niechętnie szedł tam Clyde, przygotowany na obrazy wstrętne i przykre. Lecz teraz spragniony wrażeń i upojeń, przy swym temperamentem zmysłowym i romantycznym, był oczarowany całym tym widokiem. Zainteresowała go z miejsca wystawa ciał tych istot o umysłach tępych i zgoła nieromantycznych. Była to sprzedaż piękności en gros, o charakterze zmysłowym, było to ułatwienie wszelkich stosunków z każdą z tych sprzedajnych istot. Jedną z nich, bardzo ładną brunetką, w czerwonej sukni i czerwonej opasce na głowie, była już w doskonałej przyjaźni z Highbym i przy jazzowej melodii, wytlukiwanej na fortepianie, tańczyła z nim w przyległej sali.

Ratterer też, ku zdumieniu Clyde'a, rozsiadł się wygodnie na jednym ze złożonych foteli, a na jego kolanach rozłożyła się wysoka dziewczyna o bardzo jasnych włosach i niebieskich oczach. Palila papierosa i wybijała takt melodii złotym pantofelkiem.

Clyde'owi zdawało się, że widzi inscenizację jakiejś czarodziejskiej baśni.

Przed Hegglundem stała jakaś Niemka czy Skandynawka, pulchna, ładna. Ręce wsparła na biodrach, nogi rozstawiła szeroko. Pytała się głębokim głosem:

- Czy dzisiaj ze mną będziesz się kochał?

Lecz Hegglund, widocznie niezbyt zachwycony tą propozycją, chłodno pokręcił głową, więc odeszła do Kinselli.

Patrzył więc Clyde na wszystko szeroko otwartymi oczyma, gdy zbliżyła się do niego bardzo młodziutka (jak się wydało Clyde'owi, chociaż na pewno miała już ponad dwadzieścia cztery lata) dziewczyna, przystojna blondynka, przysunęła do niego krzesło, usiadła i spytała:

- Nie tańczysz?

Potrząsnął głową nerwowo.

- Może mam nauczyć?

- E, tutaj nie będę próbował - odparł.

- To bardzo łatwo... namawiała. - Chodźmy. - Ponieważ jednak nie chciał, będąc i tak zadowolony z jej towarzystwa, dodała: - A może napijemy się czego?

- Doskonale! - zgodził się z galanterią.

Dziewczyna skinęła na młodą Murzynkę, spełniającą tu rolę kelnerki, i po chwili stał przed nim mały stolik z butelką whisky i wodą sodową. Widok ten tak zdziwił i zmieszał Clyde'a, że na razie nie mógł słowa przemówić. Miał czterdzieści dolarów w kieszeni, ale słyszał, że trunki są tu niesłychanie kosztowne, że

jednorazowy poczęstunek kosztuje co najmniej dwa dolary. Jakże on może siedzieć tu z taką kobietą i kupować jej spirytualia po takich wygórowanych cenach? Jego matce i rodzeństwu zaledwie starczy środków na związanie końca z końcem...

Kupił i zapłacił, i kupował kilkakrotnie, czując, że popełnia nadużycie, że wyprawia orgie, ale ponieważ znalazł się tutaj, musi brnąć dalej.

Zauważył przy tym, że dziewczyna jest naprawdę ładna. Miała na sobie wieczorową suknię z błękitnego aksamitu i w tym samym kolorze pantofelki i pończochy. W uszach miała niebieskie kolczyki, a ramiona jej i szyja były pełne i gładkie. Najbardziej wprawiała go w zakłopotanie jej mocno wycięta suknia - zaledwie śmiał tam spojrzeć - i twarz, i wargi umalowane. Nie była jednak bardzo natarczywa, nawet łagodna, i patrzyła z zaciekawieniem w jego głębokie, ciemne, nerwowe oczy.

- Pracujesz także w Greenie-Davidsonie? - zapytała.

- Tak - odpowiedział Clyde starając się mówić swobodnie, żeby okazać, że nie po raz pierwszy jest w takim miejscu i że sceny, jakie tu widzi, nie są dla niego nowością. - Skąd wiesz?

- O, znam Oskara Hegglunda - odpowiedziała. - On tu czasami przychodzi. Czy to twój przyjaciel?

- Tak, pracujemy razem.

- Aleś ty tu nigdy dawniej nie był.

- Nie - odpowiedział Clyde szybko, zaniepokojony tym pytaniem. Dlaczego ona powiada, że tu nigdy nie byłem?

- Byłam tego pewna. Widziałam już wielu stamtąd chłopców, ale ciebie nie widziałam. Chyba od niedawna pracujesz w hotelu?

- Od niedawna - odparł Clyde zirytowany już nieco tymi pytaniami. Fałdy na czole podnosiły się i opadały jak zwykle, gdy był

zdenerwowany lub rozmyślał nad czymś głęboko. - Dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Ale rozumiem, dlaczego nie byłeś. Wyglądasz zupełnie inaczej niż tamci chłopcy... zupełnie inaczej.

Uśmiechnęła się dziwnie miło, lecz uśmiechu tego nie mógł sobie Clyde wytłumaczyć.

- Jak to inaczej? - zapytał z powagą i zadowoleniem, podnosząc szklankę do ust.

- Mogę się założyć - odezwała się nie zważając na jego pytanie - że nie dbasz wcale o takie dziewczęta jak ja.

- Ależ owszem, bardzo - wykręcał się.

- Na pewno. Jestem tego pewna. Ale dlatego właśnie podobasz mi się. Podobają mi się twoje oczy. Zupełnie inne niż twoich kolegów. Jesteś cały bardziej delikatny. Naprawdę... Niepodobny jesteś do nich.

- O, nie wiem nic o tym - odrzekł Clyde, pogłaskany mile i ubawiony. Marszczył ciągle brwi i wygładzał czoło. Ta dziewczyna chyba nie jest taka zepsuta, jakby mógł sobie wyobrazić. Jest bardziej inteligentna, bardziej subtelna niż inne. I suknię ma nie tak jaskrawą. I nie narzuca się tak jemu, jak tamte jego kolegom. Spojrzał w ich stronę. Porozsiadali się na fotelach i kanapach, trzymając na kolanach dziewczęta. A przed każdą parą stał stolik z butelką whisky.

- Spójrzcie no tylko! - zawołał Kinsella. - Kto to pije whisky? - i wskazał oczyma Clyde'a.

- Proszę się mnie nie obawiać - mówiła dalej dziewczyna, a Clyde tymczasem zerknął na jej ramiona i szyję, na zbyt odsłoniętą pierś. Mroził go ten widok, a zarazem nęcił. - Ja dopiero tu od niedawna jestem. I nie byłabym tu wcale, gdyby nie moje psie szczęście. Wolałabym mieszkać w domu przy swej rodzinie gdybym mogła, ale teraz to już oni nie chcą mnie znać.

Patrzyła poważnie na podłogę myśląc o Clydzie, że jest z pewnością naiwnym, niedoświadczonym głuptasem. Myślała też o pieniądzach, których widziała dużo, gdy je wyjmował z kieszeni. Tak, było ich dużo. Ale przystojny to był także. Może nie jest to jeszcze męska piękność, ale taki miły...

On zaś zamyślił się także i wspominał Estę. Gdzie ona pojechała i gdzie teraz jest? Co się z nią stało? Kto to może wiedzieć... Co można by dla niej zrobić? Może ta dziewczyna przeżyła te same koleje, co i jego siostra? Czuł, że wzbiera w nim szlachetna sympatia, i spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: Biedactwo! Ale nie zdołałby w tej chwili nic powiedzieć ani zapytać.

- Wy, chłopcy, przychodźcie tutaj i myślcie o nas bardzo źle. Znam was dobrze... Ale my nie jesteśmy takie złe, jak wam się zdaje.

Clyde zmarszczył brwi i rozsunał je znowu. Może ona nie jest taka zła, jak sądził. To jest upadła kobieta, bez wątpienia - występna, ale ładna. I rozejrzawszy się po salonie przekonał się, iż żadna tak mu się nie podobala. A i ona uważala go za lepszego od innych. Powiedziała, że jest bardziej delikatny. Pochlebstwo utkwilo mu w pamieci. Nalala mu teraz kieliszek i namawiala, zeby wypil z nia razem. Przyszli jeszcze jacyś mlodzi ludzie i wyszly do nich nowe zastepy dziewczat. Hegglund, Ratterer, Kinsella i Gighby znikli ukradkiem za ciężką zasłoną, oddzielającą schody od salonu.

Ponieważ zebralo się tu więcej osób, dziewczyna zaprosiła Clyde'a zeby poszedł z nia do bocznego pokoju, gdzie swiatla byly przyciemnione. Tam zasiedli na kanapie, ona przysunęła się blisko do niego i wzięli się za ręce. Przytuliwszy się do niego zapytała, czy nie chciałby obejrzeć innych pokojów na drugim piętrze. Bardzo są ładnie umeblowane.

Clyde widząc, że nie ma żadnego z jego towarzyszy, a dziewczyna coraz mocniej tuliła się do niego, pozwolił się zaprowadzić za tę zasłonę do maleńkiego pokoiku, gdzie meble były w kolorach błękitnym i pąsowym.

Idąc tam robił sobie wyrzuty, że spełnia ohydny i niebezpieczny czyn i że to może się źle skończyć. Może złapać jaką niebezpieczną chorobę. Od dziewczyny tej może otrzymać coś więcej, niżby pragnął.

Bał się jej, bał się wszystkiego, czuł się zdenerwowany, otepiały, ogarniała go ckliwość.

A jednak poszedł. Drzwi zamknęły się za nim, pełna wdzięku Wenus wykorzystała chwilę, która go oddawała w jej posiadanie, i powoli, spokojnie przed wielkim zwierciadłem, które odtwarzało w pełni jej i jego kształty, zaczęła się rozbierać...

Rozdział XI

Jaki wpływ wywarło to nowe doświadczenie życiowe na Clyde'a, można było z góry przewidzieć, biorąc pod uwagę jego młodość i nieobycie w tych sprawach. Wielkie pragnienie zgłębienia nieznanego mu tajemnicy, budzące się zmysły zawiodły go do tego domu. Uległ, lecz moralne zasady wpajane od dzieciństwa oraz wrodzona estetyczna odraza, tak szczególnie w jego młodej duszy, sprawiły, że wspominał o tej przygodzie jak o czymś ponizającym i grzesznym.

A jednak chwile te i otoczenie, gdy już miał je poza sobą, miały w sobie jakieś brutalne, pogańskie piękno i barbarzyński czar w jego oczach. I dopóki inne wypadki, bardziej interesujące, nie zatępiły częściowo tego wrażenia, wracał tam ciągle myślą, uporczywie, a nawet z przyjemnością.

Nie przestawał przy tym wmawiać w siebie, że mając tak wiele

pieniędzy może chodzić, dokąd chce, i robić, co mu się podoba. Może nie pójdzie tam po raz drugi, jeżeli nie będzie chciał, ale może pójść gdzie indziej, gdzie jest pewnie inaczej, bardziej wytwornie. A w każdym razie nie pójdzie tam całą bandą, jak wtedy. Ale najchętniej zgodziłby się mieć jedną tylko dziewczynę dla siebie samego. Taką ładną panienkę jak te, z którymi widział Sieberlinga i Doyle'a. I tak, niepomny wczorajszej tremy, pogodził się szybko z nowym źródłem przyjemności. Ale teraz myślał o takiej dziewczynie, która by chciała tylko do niego należeć i od niego tylko otrzymywać pieniądze. Z niecierpliwością oczekiwał sposobności, która by urzeczywistniła jego pragnienia.

Tymczasem Hegglund i Ratterer, czując jego pewną wyższość, patrzyli na niego z pewnym zainteresowaniem, starali się go sobie zjednać i wtajemniczali we wszystkie swe zamysły i projekty.

Wkrótce po tej pierwszej eskapadzie Ratterer zaprosił go do swego domu, gdzie prowadzono życie zupełnie odmienne niż w domu Clyde'a. U Griffithsów wszystko było uroczyste, skromne; było to życie ludzi z dogmatem, według zasad. Dom Ratterera był zupełnym tego przeciwieństwem. Nie można twierdzić żeby matka i siostra, z którymi mieszkał, były pozbawione zasad moralnych, nie ugruntowanych w każdym razie na religii, skłonne jednak były do bardziej bujnego albo, jak moralisci nazywają, swobodnego życia. Nikt tu nie kierował się jakimiś zasadami. Więc Tommy i jego o dwa lata młodsza siostra robili, co im się podobało, nie zastanawiając się nad tym wcale. Siostra jego jednak była zbyt rozsądna, a może posiadała tak silnie rozwiniętą indywidualność, że nie miała ochoty przekroczyć dozwolonych granic.

Clyde usiłował krytycznym okiem patrzeć na taki tryb bytowania, jednak zachwycił go ten pierwotny obraz życia i swobody.

U nich dopiero poczuł się swobodny jak nigdy dotychczas. Tam pozbył się swej nerwowości i niepewności w stosunku do młodych dziewcząt. Bo mimo zdania egzaminu dojrzałości w świątyni erotyki wiedział, że nie potrafi sobie żadnej zjednać. Samo sąsiedztwo takiej młodej osoby wywoływało w nim dreszcze, bicie serca,

zamykał się w sobie, tracił od razu całą swobodę. Ani rusz nie umiał poprowadzić najbliższej rozmowy lub skleić jakiegoś dowcipu. Teraz, bywając u Ratterera, przekonał się, że tę nieśmiałość i niepewność potrafi przemóc.

W tym środowisku zbierali się przyjaciele Ratterera i jego siostry, wszyscy jednakowych zapatrywań na życie. Tańczyło się tutaj, grało w karty, uprawiało miłostki jawnie i bezwstydnie. Clyde z początku nie mógł zrozumieć, jak matka w rodzaju pani Ratterer mogła być na tyle lekkomyślna czy obojętna, żeby pozwalać na takie postępowanie. Nie mógł sobie wyobrazić, żeby jakakolwiek matka mogła tolerować takie zbliżenie między dwiema płciami, jakie tu istniało.

Wkrótce jednak, tak serdecznie tam zapraszany, zadomowił się i oswoił z tym towarzystwem, które go tylko z jednego względu mocno raziło, gdyż mówiono tam okropną angielszczyzną. Ciesząc się jednak swobodą obcowania z ludźmi, brakiem wszelkiego skrępowania, chętnie tam bywał, bo przeczuwał, że właśnie dzięki takim stosunkom mógłby tu spotkać istotę, o jakiej marzył. Istotnie, począwszy od pierwszej wizyty, wszystko szło po jego myśli.

Luiza Ratterer pracowała w sklepie bławatnym i bardzo często spóźniała się na obiad. W takich razach przychodziła dopiero o siódmej i czekano na nią z obiadem. Właśnie w tym czasie przyszły dwie jej przyjaciółki z jakimś interesem, a zobaczywszy Toma i Clyde'a rozgościły się bez ceremonii mimo nieobecności Luizy. Zaciekawiał je ten gość nieznany, wyglądał tak delikatnie i robił bardzo dobre wrażenie.

On zaś, o rozbudzonych zmysłach, a jednocześnie nieśmiały, trzymał się jak zwykle z dala. Mylnie to sobie tłumaczyły obie panny sądząc, że ten śliczny chłopiec chce im w ten sposób okazać swoją wyższość. Postanowiły więc jemu dowieść, że i one są bardzo miłe, i zdobyć go, a potem dręczyć.

Clyde w głębi duszy zachwycał się nimi bardzo, a szczególnie jednak Hortensją Briggs, która tak samo jak Luiza pracowała w jednym z większych magazynów. Była bardzo ładna, miała ciemne

włosy i wiedziała o swej urodzie. Clyde jednak od razu zauważył, że była wulgarna i nieobyta - co wcale nie odpowiadało wymarzonemu przez niego typowi.

- Oj, to ona jeszcze nie wróciła? - zawołała Hortensja, której Tom otworzył drzwi. Zobaczyła Clyde'a wyglądającego przez okno. - Może to nie bardzo uchodzi, ale poczekamy chwilkę na nią, jeżeli wam to nie przeszkadza - dodała z zalotną minką, jakby chciała powiedzieć: - To nie do wiary, żebyście chcieli się nas pozbyć. - I zaczęła natychmiast przeglądać się w lustrze, które ozdabiała wygasły, żółty kominek. Przyglądała się sobie uważnie i mizdrzyła z wielkim przejęciem.

- Faktycznie! - wtrąciła jej przyjaciółka Greta Miller.

- Mam nadzieję, że nie wyrzucicie nas, dopóki nie przyjdzie Luiza. Nie przyszłyśmy na jedzenie, myślałyśmy nawet, że jesteście już po obiedzie.

- Też pomysł, żebyśmy mieli was wyrzucać - odrzekł Ratterer drwiąco. - Któż by zresztą potrafił pozbyć się was, gdybyście nie chciały wyjść? Siadajcie sobie, możecie nakręcić gramofon, a zresztą róbcie sobie, co chcecie. Obiad zaraz będzie i Luiza też zaraz przyjdzie.

Wrócił do stołowego pokoju i wziął do ręki gazetę, którą czytał przed przyjściem Clyde'a. Przyjaciel zaś jego, widząc zalotne minki i spojrzenia panien, miał wrażenie, że dostał się na otwarte morze w wątej łódce i jest zdany na łaskę fal.

- Och, nie mówcie mi o jedzeniu - zawołała Greta. Przyglądała się ciągle Clyde'owi badając, czy gra będzie warta świeczki, czy nie, ale doszła do przekonania, że warto się potrudzić: - Żebyście wiedzieli, ile zjadłyśmy lodów, ciastek i pasztecików tej nocy. Właśnie przyszłyśmy dlatego do Luizy, żeby ją ostrzec, aby nie objadała się w domu, bo Kittie Keans wyprawia dzisiaj swoje urodziny, pewnie wiesz o tym, Tommy? I będzie olbrzymi tort i wiele innych dobrych rzeczy. Przyjdiesz tam, prawda? Po robocie - dodała myśląc o jego nierozłącznym towarzyszu.

- Wcale nie myślę tam iść - chłodno odparł Ratterer. - Mamy zamiar z Clyde'em pójść na przedstawienie po obiedzie.

- Bez sensu - wtrąciła Hortensja. Wmieszała się do rozmowy, żeby zwrócić na siebie uwagę i odciągnąć chłopców od Grety. Stała jeszcze przed lustrem, ale rzuciła stamtąd przebiegły uśmiezek obu chłopcom, przeznaczony jednak głównie dla Clyde'a, bo zdawało się jej, że przyjaciółka już zagięła na niego parol. - Czy nie lepiej pójść z nami i potańczyć?

- Naturalnie, wy o niczym innym myśleć nie możecie, tylko o tańcach... - odciął się Ratterer. - Mogłybyście choć trochę odpocząć. Ja jestem na nogach przez cały dzień, wolę więc trochę posiedzieć.

I Ratterer potrafił być czasami rozsądny.

- E, nie mów mi o siedzeniu - oburzyła się Greta z wyniosłym uśmiechem, wykonując taneczne pas lewą nogą. - Na wszystkie wieczory muszę pójść w tym tygodniu... Ojej. - Podniosła brwi i oczy w górę i klasnęła w ręce teatralnym ruchem. - Przecież to straszne, ile mamy jeszcze tańców tej zimy, prawda, Hortensjo? I we wtorek, i w piątek, i w sobotę, i w niedzielę... - Liczyła z dumą na palcach. - Ojej, naprawdę straszne... - Rzuciła na Clyde'a porozumiewawcze spojrzenie i uśmiech. - Zgadnij, Tommy, gdzie byliśmy dzisiejszej nocy? Luiza i Ralf Thorpe, Hortensja i Bert Gettler, ja i Wille Bassick byliśmy u Pegraina na Webster Avenue. Żebyś wiedział, co za tłumy... Sam Shaffer i Tillie Burns także tam byli. Tańczyliśmy do czwartej rano. Myślałam, że mi kolana popękają. Nie pamiętam nawet, kiedy byłam taka zmęczona...

- Ojej - zawtórowała Hortensja podnosząc ręce w górę. - Myślałam, że rano nie doleżę do budy... Mdłości mnie brały, jak patrzyłam na klientów szwendających się po sklepie... A matka się gniewała, ojej... Nie dała mi spokoju. Nie mówi nic, jak chodzę w soboty i w niedzielę, ale jak w tygodniu - to się wścieka, aż strach!

- Wcale jej się nie dziwię - odezwała się matka Ratterera, która

weszła z salaterką kartofli i chlebem. - Choroba pewna, już mówiłam to Luizie, jeżeli choć trochę nie wypoczniecie. Nie wytrzyma w sklepie, jeżeli nie wyśpi się lepiej. Albo to ona mnie słucha? Tak samo jak Tom. Wszyscyście jednakowi...

- E, matka chyba nie myśli, żeby taki chłop jak ja, szedł wcześniej spać - oburzył się Tom, a Hortensja dodała:

- Ojej, umarłabym chyba, gdybym miała siedzieć w domu chociażby jedną noc... Wy to chociaż macie trochę rozrywki przy pracy.

Jak tu jest swobodnie i miło - myślał Clyde. - Nikt nikomu nie przeszkadza i nie wtrąca się. Widocznie rodzice na wszystko pozwalają. Gdybym to ja miał taką dziewczynę jak Hortensja Briggs, z tymi malutkimi, zmysłowymi usteczkami i takimi zuchwałymi oczętami...

- Wystarczy, jak dwa razy w tygodniu pójde kimać - wyniośle zapewniała Greta. - Fater powiada, że pewnie już nie czuję gnatów, ale to dla mnie mięta... - Roześmiała się rozkosznie, a Clyde, chociaż prostacki język raził go trochę, był nią zachwycony. To była młodość, wesołość, swoboda i radość życia.

Naraz otwarły się drzwi i wpadła Luiza. Średniego wzrostu, zgrabna, w ciemnym płaszczyku w czerwone paski i filcowym kapeluszu, wciśniętym na czoło. Była zgrabniejsza od brata, a równie ładna jak jej przyjaciółki.

- O patrzcie państwo - zawołała. - Kogo ja widzę? I wy, moje małe, przyszłyście do mnie... A mnie zatrzymali, bo były jakieś błędy w mojej książce rachunkowej. Jak Bożię kocham, to nie moja wina. A te matoly powiadają, że to ja źle zapisałam.

Zauważyła Clyde'a.

- Pewnie to pan Griffiths. Tom ciągle o panu gada, a ja się dziwiłam, że nigdy pana do nas nie przyprowadził.

Clyde zadowolony z przyjęcia wymruczał, że sam bardzo tego

pragnął. Obie panny z Luizą oddaliły się do sypialnego pokoju i tam jakiś czas konferowały. Po chwili ukazały się znowu i na usilne nalegania, co właściwie było zbyteczne, zgodziły się pozostać na obiedzie. Clyde, podniecony widokiem panien i tak serdecznie przyjęty i zapraszany, pozostał także. Podobał się dziewczętom i wszystkie trzy prześcigały się w okazywaniu mu sympatii, on zaś po raz pierwszy w życiu swobodnie i z ożywieniem rozmawiał z przedstawicielkami płci odmiennej.

- Przyszliśmy cię ostrzec, żebyś za dużo nie wciniała - śmiała się Greta - a teraz my same wcinamy, ile wlezie. A tam u Kittie będą ciastka i tort.

- I tańczyć też będziemy... Czego tam nie będzie, ojej - wtrąciła Hortensja.

Słodycz jej ust, tak ślicznie wygiętych w uśmiechu, oczarowała Clyde'a. Taka była rozkoszna - wprost cudowna... Był pod takim wrażeniem, że łyknął zbyt szybko kawę i zakrztusił się. Śmiał się sam z siebie i był jak nigdy wesoły.

- Patrzcie tylko, jak sobie zawrócił łepetynę, i to ja to zrobiłam
- roześmiała się Hortensja.

- O, nie tylko pani - zawołał Clyde z niezwykłą sobie odwagą. Było to niespodziewane, cała jego odwaga była jakaś szalona, więc dodał używając ich gwary: - Gotów jestem zawrócić sobie gitarę wszystkimi obecnymi tu ślicznościami... Takie są morowe!

- Ho, ho, bracie, nie nadstawiaj się im tak bardzo - ostrzegwał Ratterer. - Te frajerki nie wypuszczą cię już od siebie. Lepiej nie zaczynaj z nimi.

Miał rację, bo Luiza, wcale nie przejmując się słowami brata, zapytała Clyde'a:

- Czy pan tańczy?

- Nie, nie tańczę - odrzekł Clyde, strącony nagle z obłoków na

ziemię. Żałował niezmiernie, że taka ignorancja zmniejszy jego walory. - Ale zapewniam panią, że bardzo pragnąłbym się nauczyć - dodał z zapalem spojrzawszy naprzód na Hortensję, a dopiero potem na Gretę i Luizę. Wszystkie zdawały się nie zwracać uwagi na to wyróżnienie, jakkolwiek Hortensja była tym mile pogłaskana. Nie była tak bardzo nim zajęta, ale to zawsze miło odnieść tak szybki triumf nad drugimi. Tamte to odczuły.

- O, to źle - odrzekła z miną nieco obojętną i wyniosłą, gdyż była już pewna jego wyboru. - Gdyby pan umiał, mógłby pan pójść z nami i Tomem do
Kittie. Tam się zawsze tańczy.

Clyde poczuł się zgnębiony. Te śliczne, czarujące dziewczęta gotowe są odwrócić się od niego i już po jego marzeniach... I to wszystko dlatego, że nie umie tańczyć. To ten przeklęty jego dom rodzicielski temu winien. Czuł się skrzywdzony i kompletnie załamany. Jakimże musi wydawać się cymbałem, że nie umie tańczyć. Nawet Luiza była tym zdumiona i zobojętniała także. Lecz Greta, na którą mniej zwracał uwagi, przyszła mu z pomocą.

- Jak Bożę kocham, to wcale nietrudne, zaraz się do pana zabiorę. Raz, dwa i nauczy się pan. Tylko zjemy obiad. I będzie pan mógł nam towarzyszyć, jeżeli będzie pan miał takie życzenie.

Clyde, pełen wdzięczności, gotów był uczyć się tutaj czy gdzie indziej, byle jak najprędzej. Tylko przykro mu było, że Hortensja tak zobojętniała i to od razu, kiedy okazał jej, że mu się tak podoba. Pewnie zajęta jest tym Bertem Gettlerem, co to z nimi chodzi na tańce, i dlatego nie chce patrzeć na Clyde'a. To już takie jego szczęście.

Ale przy końcu obiadu, gdy jeszcze wszyscy rozmawiali przy stole, ujrzał wyciągnięte do siebie ręce Hortensji, która nie chciała pozwolić się zdystansować przez rywalkę. Nie zależało jej tak bardzo na nim, ale za nic w świecie nie pozwoli, żeby jej przyjaciółka robiła w ten sposób konkiety. Nie pozwoli się uprzedzić.

Clyde, rozradowany, zupełnie inaczej wytłumaczył sobie ten postępek. Jednak chociaż troszeczkę musiał jej się podobać.

Wzięła go za ręce i od razu w myśli zrobiła mu zarzut, że jest zanadto nieśmiały. Kazała mu się objąć jedną ręką, drugą położyła na swym ramieniu i poleciwszy zwracać uwagę na nogi zaczęła pokazywać pierwsze kroki taneczne.

Słuchał jej ze skupieniem, wykonywał wszystkie rozkazy gorliwie, mimo to nie mogła do niego się przekonać. Jest przede wszystkim za młody, a szczerą jego prostota nie wywierała jakoś na niej wrażenia. Musiała jednak przyznać, że był w nim pewien nieokreślony wdzięk, który ujmował bardzo.

Wkrótce poruszał się zupełnie swobodnie, przetańczył jeszcze z Gretą i Luizą, ale wolał z Hortensją. W końcu orzekli wszyscy, że jest dostatecznie przysposobiony i może iść na tańce.

Straszną miał ochotę pójść do tej Kittie. Miałby tę śliczną dziewczynę tak blisko siebie, tańczyłby tylko z nią. A chociaż wiedział, że będą tam inni jeszcze jej fatyganci, i Bert Gettler między nimi, to jednak zdradzał niedwuznacznie swe chęci. Ostatecznie Ratterer zgodził się na ten projekt i zaniechał myśli o teatrze.

Poszli więc wszyscy razem. Clyde był zmartwiony, że nie mógł iść z Hortensją, bo przy niej szedł już Bert, już za to samo przez niego znienawidzony, ale starał się być uprzejmy dla Grety i Luizy, a że obdarzały go łaskawą uwagą, więc czuł się z nimi dobrze.

Tom widząc, jak bardzo Clyde zajął się Hortensją, wziął go na stronę i ostrzegł: - Słuchaj, nie zawracaj sobie głowy tą dziewczyną. Nie zdaje mi się, żeby ona była dla ciebie stosowną przyjaciółką. Ona nie jest dla nikogo stosowna. Ma już tego Gettlera i wielu jeszcze innych. Ona cię umyślnie przyciąga tylko dlatego, żeby cię inna nie złapała.

Uczciwe, przyjacielskie ostrzeżenie nie przekonało Clyde'a. Tak był upojony widokiem tej uśmiechniętej, bujnej młodości, że gotów

był na wszystko, aby otrzymać jeszcze jeden uśmiech, spojrzenie lub uścisk rączki. Całe swe pierwsze uczucie oddał dziewczynie, która po mistrzowsku umiała grać na zmysłach chłopców wówczas, gdy chciała się zabawić albo zarobić na fatalaszki.

Zabawa ujawniła wszystkie cechy budzących się żądz młodzieńczych. Kittie Kean mieszkała w ubogim, podobnym do zwykłej chaty domku na nędznej uliczce, obsadzonej nagimi o tej porze roku drzewami. Dla Clyde'a jednak, będącego pod urokiem ładnej twarzyczki, miejsce to było pełne czaru i romantyczności. Całe grono młodzieży, jakie tam spotkał, uważał za niedościgły wzór dla siebie, tyle tam widział swobody i życia. Lecz, co najdziwniejsze, że i on mimo swej nerwowości rozruszał się i brał z początku chętny udział w tej wesołości.

Potem miał sposobność widzieć tę młodzież w wirze zabawy, czego nigdy dotąd na swe szczęście czy nieszczęście nie oglądał. Patrzył na tańce, wykonywane w bardzo zmysłowy sposób, z wielką pewnością siebie i zupełną nonszalancją. Brała w nich udział i Luiza, i Greta. Młodzieńcy przynieśli z sobą wódkę w płaskich flaszkach, popijali ją nie tylko sami, lecz częstowali i innych gości, nie wyłączając dziewcząt.

Dzięki temu wzmogła się jeszcze wesołość i łatwo zawiązywały się poufale stosunekczki. Bawiły się w ten sposób wszystkie trzy przyjaciółki - Luiza, Greta i Hortensja. Wybuchwały kłótnie od czasu do czasu. Nikogo tu nic nie dziwiło. Clyde widział, jak jeden i drugi młodzieniec ścisnął pannę w kącie za drzwiami, brał ją na kolana w jakimś zacisznym kąciku, kładł się z nią na otomanie, szepcząc poufne, mile słuchane słówka. Chociaż specjalnie nie szpiegował Hortensji, jednak spostrzegł, że i ona siadała chętnie na kolanach niejednego nawet chłopca i szeptała w kątach za drzwiami. Poczuli do niej zniechęcenie i tak był tym przygnębiony, że nie chciał już na nią patrzeć. Była zbyt łatwa, wulgarna i głupia.

Wypił dużo, a chociaż nie stracił panowania nad sobą, czuł się jednak rezolutniejszy, więc postanowił zrobić jej otwarcie wymówkę za zbyt swobodne zachowanie.

- Flirtuje pani, jak widzę. Wszystko nawet pani jedno z kim, prawda?

Było już po pierwszej i tańczyli przy niekoniecznie harmonijnej muzyce jednego z gości. Hortensja pokazywała mu nowe pas taneczne w sposób kokieteryjny, rzucając nań zalotne, wabiące spojrzenia.

- Jak to flirtuję? Z panem przecież nie flirtuję.

- O tak, ze mną nie... - odrzekł Clyde nieco stropiony, ale starał się ukryć zmieszanie pod niewinnym uśmiechem. - Dużo już o pani słyszałem. Wiem, że pani bawi się z każdym...

- Czyżby? - oburzyła się nieco zirytowana. - Chyba z panem nie bawię się za bardzo...

- E, niech pani nie udaje - mówił trochę ostrzejszym tonem, lecz słysząc w nim było i prośbę, bo jednocześnie bał się, że przeholował i może ją zupełnie utracić. - Nic złego przez to nie myślę. Nie zaprzeczy jednak pani, że wielu chłopców leci na nią. Kochają się w pani wszyscy.

- No, naturalnie, że kochają się. Cóż na to mogę poradzić?

- Więc powiem pani coś - wyrwał się z pewną dumą. - Mam o wiele więcej niż oni pieniędzy i mogę je wydawać na panią.

Myślał w tej chwili o pięćdziesięciu pięciu dolarach, które spoczywały spokojnie w jego kieszeni.

- O, nie wiedziałam... - odrzekła niemało zaintrygowana taką finansową ofertą. Zrobiła przy tym spostrzeżenie, że kierując się tymi sposobami może roznamiętnić do siebie nie tylko tego młokosa...

Cóż innego takiej lekkomyślnej istocie mogło przyjść na myśl. Sama była oczarowana własną osobą, lubiła przeglądać się w każdym lustrze, zachwycała się własnymi oczami, włosami, rękami, figurą i

umiejętnie umiała władać uśmiechem.

W tej chwili dostrzegła nawet, że Clyde jest zupełnie przystojny, chociaż taki jeszcze niedoświadczony. Lubiła dręczyć takich żółtodziobów. Widać jednak ze wszystkiego, że jest trochę narwany. Ale pracuje w Greenie-Davidsonie, jest elegancko ubrany i na pewno ma dużo pieniędzy. Powiedział, że pragnie je na nią wydać... Cóż? Ci, którzy jej się bardziej podobają, nie mają tyle forsy...

- Phi, bardzo wielu jest takich, którzy mi to samo proponowali.

Potrząsnęła głową, zerknęła nań z boku i ułożyła usteczka do swego czarującego uśmiešku.

Twarz Clyde'a pociemniała. Czar jej spojrzenia zrobił swoje. Marszczył czoło i wygładzał je bezustannie. Oczy jego błyszczały pożądliwie i napępniały się goryczą mściwej, zadawnionej urazy do świata. Na pewno nie kłamała. Czyż nie ma takich, którzy mogą więcej wydać niż on? Ośmieszył się tylko w jej oczach chwaląc się przed nią swoimi pieniędzmi. Będzie miała z czego się śmiać.

Po chwili dodał nieśmiało:

- Nie wątpię w to. Ale żaden z nich nie pragnie pani tak jak ja.

Szczera ta odpowiedź podobała się jej. Wcale miły chłopak.

Płynęli w takt melodii po sali.

- Ja tam nie kokietuję nikogo... To się tylko tak zdaje. To są sami znajomi faceci. Wszędzie razem się chodzi, to i nie robi się ceregieli. Jest się też o co rozbijać?...

Kłamała z całą swobodą, ale to go trochę ułagodziło.

- Dam ci wszystko, co chcesz, byleś tylko była dobra dla mnie - błagał zrozpaczony, z namiętnością w głosie. - Żadnej dziewczyny jeszcze tak nie pragnałem. Jesteś tak cudowna, a ja taki przez ciebie nieszczęśliwy. Może zgodziłabyś się pójść ze mną na obiad

albo do teatru? Może jutro albo w sobotę, co?... Mam dwa wieczory wolne...

Zawahala się nieco, bo nie liczyła, żeby ten stosunek miał być trwały. Był przecież Gettler, a oprócz niego i inni, zazdrośni i czujni. Gdyby nawet miała materialnie przy nim skorzystać, nie chciałaby innych odstręczyć. Przy tym Clyde jest taki gwałtowny, może mieć tylko przykrości przez niego. Lecz wrodzona kokieteria nie pozwoliła odrzucić takiej zdobyczy. A nuż wpadnie w ręce Grety albo Luizy?

Porozumieli się ostatecznie i umówili na wtorek. Tylko Clyde nie może przychodzić do niej - z powodu Gettlera. Mogą spotkać się przy Greenie-Davidsonie o wpół do siódmej. Pójdą naprzód na obiad do Frisselli, a potem do teatru w Libby na "Korsarza".

Rozdział XII

Była to zwykła, pospolita znajomość, a jednak jakież wielkie znaczenie miała dla Clyde'a. Nigdy, nigdy jeszcze żadna dziewczyna nie raczyła spojrzeć na niego, przynajmniej tak sobie wyobrażał. A teraz taka cudna, niezwykła istota zgodziła się pójść z nim na obiad i do teatru. Widział jasno jej wady, wiedział, że była kokietką i nigdy z nikim nie była szczerą, ale czyż mógł wymagać, aby od razu całą uwagę skupiła na nim tylko? Zresztą, kto wie, co będzie dalej?

Spotkali się więc we wtorek na rogu Czternastej i Wyandotte, niedaleko Greena-Davidsona. Clyde był tak podniecony,

uszcześliwiony, zgorączkowany, że nie mógł doprowadzić do porządku

swych bezładnych myśli. Żeby godnie się zaprezentować w jej oczach, stroił się długo i z namysłem. Brylantyna na włosy, mucha w kształcie motyla, nowy jedwabny szalik, jedwabne skarpetki mające podnieść elegancję jasnobrązowych butów, które kupił sobie specjalnie na tę okazję.

Lecz gdy spotkał się z Hortensją, nie wiedział, czy wywarł na niej pożądane wrażenie. Bo właściwie nic dla niej nie istniało poza jej własnym wyglądem.

Przyszedł na schadzki pełen najlepszych nadziei, tymczasem - był to pewnie wybieg z jej strony - kazała mu czekać na siebie prawie pół godziny. Czekał i z każdą minutą ogarniało go coraz silniejsze z wątpienie. Widocznie nie dba wcale o niego i nie zależy jej zupełnie na tym, żeby się z nim zobaczyć. Jeżeli tak, on także da sobie radę bez niej... Mniejsza o to. Boli go to jedynie dlatego, że dowodzi, iż nie umiał zaskarbić sobie względów tej pięknej dziewczyny mimo eleganckiego ubrania i materialnej pomocy, z jaką się jej ofiarował.

Mniejsza więc o nią, niech sobie będzie inna, tylko musi być ładna, bezwarunkowo... Ani Tom, ani Oskar nie dbali wcale, czy dziewczyna, do której się przystawiali, była przystojna czy nie, ale dla niego było to koniecznym warunkiem. Sama myśl, że mógłby zawiązać bliższą znajomość z jakimś brzydactwem, doprowadzała go do mdłości.

Stoi teraz na tym ciemnym rogu, tylko z daleka jarzą się gdzieś oświetlone szyldy sklepowe. Setki przechodniów śpieszy w różne strony, na twarzach ich maluje się przedsmak oczekiwanych przyjemności, a on - sam. Sam jak palec. Pójdzie już chyba. Pójdzie dokąd bądź. Będzie sam jadł, sam pójdzie do teatru, wróci samotny do domu, a rano uda się do pracy.

Doszedł w końcu do wniosku, że nic z tej randki nie będzie, gdy naraz między tłumem ukazała się postać Hortensji. Wyglądała bardzo elegancko w czarnym aksamitnym żakiecie, przybranym kołnierzem i mankietami futrzanymi rdzawego koloru, i okrągłym kapelusiku z tegoż samego materiału z pąsową skórzaną kokardą u boku. Oczy

błyszczące, twarz i usta trochę wyróżzowane i mina jak zwykle wielce z siebie zadowolonej osoby.

- Dobry wieczór. Spóźniłam się trochę. Ale to trudno... Zapomniałam zupełnie, że umówiłam się już na randkę z innym facetem. Także śliczny chłopak. I dopiero o szóstej przypomniałam sobie o tym. Co tu robić? Coś trzeba było zrobić z jednym z was. Miałam już panu wyznaczyć inny dzień, ale przypomniałam sobie, że o szóstej nie zastanę pana w hotelu. Tom Ratterer zawsze szybko wychodzi. A Charlie ma zajęcie do wpół do siódmej, czasem nawet dłużej. Śliczny chłopiec, jak malowanie... Z nim także miałam pójść na obiad i do teatru. Pracuje w sklepie tytoniowym niedaleko stąd, na Orphia. Więc poszłam do niego. Strasznie mu zmiękła rura. Ale powiedziałam mu, że co się odwlecze, to nie uciecze. Cóż, zadowolony pan, Clyde? Widzi pan, że jestem grzeczna dziewczynka i dla pana narobiłam tyle zmartwienia takiemu fajnemu chłopakowi jak Charlie?

Dojrzała w oczach Clyde'a błysk zazdrości i lęku, gdy mówiła o innym. A myśl, że był o nią zazdrosny, sprawiała jej rozkosz. Upewniła się, że był w niej zadurzony po uszy. Więc kręciła główką i uśmiechała się idąc przy nim.

- Bardzo ładnie, że pani przyszła - wykrztusił wreszcie z trudem, gdyż określenie Charliego jako ślicznego chłopca dławilo mu gardło i gniołło serce. Powinien cieszyć się, że ta śliczna, tak pożądana dziewczyna wybrała właśnie jego. - Ale jak pani prześlicznie wygląda dzisiaj - mówił trochę swobodniej. Zmuszał się do rozmowy i dziwił się sam sobie, że szło wcale gładko. - Podoba mi się pani kapelusz, a i kostium także. - Spojrzał na nią oczami pełnymi podziwu i strasznej tęsknoty. Jakżeby ją chętnie ucałował, jej śliczne usteczka... Nie śmiał jednak zdobyć się na odwagę tutaj, a i gdzie indziej także nie uczyniłby tego.

- Nie dziwię się wcale, że pani ma takie powodzenie. Pani jest taka ładna. Czy mogę pani ofiarować parę róż?

Przechodzili koło kwiaciarni i przyszło mu na myśl, żeby kupić jej kwiaty. Słyszał od Hegglunda, że kobiety lubią podarki.

- Ach, naturalnie. Z przyjemnością je przyjmę - zawołała zwracając od razu. - A może te fiołki? Takie śliczne. Będą lepiej pasowały do żakietu.

Stwierdziła z zadowoleniem, że Clyde jednak znał się na rzeczy, jeżeli mu kwiaty przyszły do głowy. I tyle miłych komplementów jej powiedział. Mimo wszystko znać było, że ten chłopiec widocznie musiał już nieraz obracać się między dziewczętami. Może niewiele, ale troszkę.

Wolała mieć do czynienia z mężczyznami bardziej doświadczonymi, nie tak łatwymi do utrzymania. Musiała jednak przyznać, że Clyde był typem nie znanym jej dotychczas. Gdyby umiała, określiłaby go wyrazem - subtelny. Mimo więc całej jego niezręczności postanowiła go tolerować właśnie z racji tych cech dodatnich. Chce się przekonać, jak sobie będzie z nią poczynał.

- Ojej, jakież to śliczne kwiatki - zawołała biorąc duży bukiet fiołków i przymierzając je do żakietu. - Wezmę je chyba.

Clyde płacił, a ona tymczasem stanęła przed lustrem i przypięła kwiatki. Zadowolona ze swego wyglądu odwróciła się i zawołała:

- No jestem gotowa. - I wzięła go pod rękę.

Clyde, oszołomiony, nie wiedział nawet, co ma mówić, ale było to całkiem zbyteczne, bo najlepiej lubiła mówić sama i to o sobie.

- Opowiadałam już panu, jak się nahasałam w tym tygodniu. Co noc do trzeciej, a w niedzielę prawie do rana. A wczoraj, co to była za zabawa! Był pan kiedy u Berketta na Gifford Ferry? O, tam jest ślicznie. W lecie się tańczy, a w zimie ślizgawka podczas mrozów. Można tańczyć i na lodzie. A jaka fajna orkiestra!

Clyde patrzył na poruszające się szybko usteczka, na błyszczące oczy, podziwiał wdzięczne ruchy i niewiele zważał na to, co mówi.

- Walace Trone był z nami. Co to za morowy chłopiec! Poszliśmy

wszyscy na lody, a on tymczasem wlaźł do kuchni, umazał gębę na czarno, włożył fartuch i niby to Murzyn przyszedł nam usługiwać. A jakie sztuki z talerzami umie robić. To jest dopiero kawaler!...

Clyde westchnął, nie był tak utalentowany jak ten Trone.

- Już była prawie czwarta, kiedy wracaliśmy, a to poniedziałek przecie, trzeba wstać o siódmej. Ale to bagatela. Śpiewająco się tam robi, a ja tylko przyzwoitej klienteli usługuję i mam do czynienia tylko z panem Beckiem. On jest moim szefem. Oj, co ja mam z tym fajtłapą. Stawiam mu się kantem ciągle, jak Bożię kocham. Jednego dnia spóźniłam się trochę ze śniadania. Jedna z moich koleżanek pokazuje mi godzinę moim kluczem, a właśnie on był w hallu i to zobaczył. Więc powiada do mnie: "Panno Briggs, (zawsze mówi do mnie: panno Briggs, bo ja inaczej nie pozwałam do siebie mówić. Niechby spróbował inaczej). Panno Briggs, pożyczanie sklepowych kluczy nie może być tolerowane. Proszę pamiętać o tym... To nie zabawa". Ale ja roześmiałam mu się w nos. Nieraz to nam dobrze dokuczy. Ale ja go już ujeździłam i nie dam sobie w kaszę dmuchać. O, on dla mnie to jest bardzo miękki, nie mam wcale pietra, żeby mnie wylał. Wtedy to mu powiedziałam: "O, panie Beck, proszę do mnie nie mówić takim tonem. Wypraszam to sobie. Nie mam zwyczaju spóźniać się, a nie tylko w takim magazynie potrafię pracować. Jeżeli to panu się nie podoba, proszę mnie zwolnić". Tak, tak, nie mogłam mu pozwolić tak się rozbijać... on też zaraz zmiękł. Powiedział mi tylko na to: "Właśnie chciałem panią ostrzec. Następnym razem rozmówi się z panią pan Tierney, a jeżeli chce pani próbować szczęścia gdzie indziej, proszę bardzo". Ale powiedział to tylko tak, dla pucu. Ja się roześmiałam, a i on, widziałam, jak się śmiał później rozmawiając z panem Scottem. Już ja mu potrafię natrajlować.

Ku wielkiemu zadowoleniu Clyde'a doszli wreszcie do Frisselli. Po raz pierwszy w życiu miał wejść do restauracji z kobietą. Czuł, że i on nabiera pewnego doświadczenia. Czuł, że zaczyna przeżywać jakąś niezwykłą przygodę. A że i ona tak wysoko siebie ceniła, tak dobitnie uwydatniała swoje Ja, znała tak doborową młodzież, mógł być tylko dumny z takiej przyjaciółki i miał wrażenie, że do dzisiejszego dnia nie żył wcale.

Szybko przebiegał myślą tematy, o których mu dzisiaj mówiła: Burkett na Big Blue, ślizgawka i tańce na lodzie, Charlie, Trone, młody subiekt w sklepie tytoniowym, z którym się miała dzisiaj zobaczyć, pan Beck w magazynie, który tak był nią zajęty, że nie mógł jej wylać w żaden sposób...

Podziwiał jednocześnie jej wyrobiony gust, gdy zamawiała sobie ulubione potrawy nie troszcząc się wcale o jego zasoby materialne, patrzył z zachwytem na uroczą twarzyczkę, na figurę, kształt małych rączek, tak kuszących, na toczony ramiona, na pierś uwydatniającą się ślicznie, na linię wygiętą brwi, delikatny owal twarzy i miękką krągłość podbródka. Było coś także w jej głosie łagodnym i miękkim, co przykuwało uwagę i jednocześnie mieszało. Wszystko u niej było cudowne. Ach, gdyby tę dziewczynę mógł mieć tylko dla siebie!

Ona paplała bez przerwy, a ciągle o sobie, nie onieśmielona wcale, że znajduje się w restauracji, która Clyde'owi wydawała się nie byle jaką. Gdy nie patrzyła w lustro, studiowała spis potraw. Zdecydowała się w końcu na ulubione swoje potrawy: baraninę w miętowej galarecie, nie... omletu nie chce, ani befsztyka... Ach, tak... filet z drobiu z grzybami. Zgodziła się również na selery i kalafior. Ale chciałaby napić się cocktailu...

Prawda, Clyde słyszał już od Hegglunda, że żadne jedzenie nic nie jest warte, jeżeli nie jest zakropione jakimś napitkiem, więc nieśmiało obstał cocktail. Miał nadzieję, że po cocktailu rozrusza się jakoś więcej.

Bo jednakże przez cały czas zachowanie jej było do pewnego stopnia oziębłe - sztywne. Chciał koniecznie zwrócić rozmowę na kwestie bardziej osobiste, chciał ją przekonać, że jest tak mocno nią zajęty, chciał się dowiedzieć, czy może ona już jest kim innym zajęta. Ona odpowiadała mu wtedy wymijająco, wykręcała się, że wszyscy chłopcy jednakowo jej się podobają i wszystkich jednakowo lubi. Mrugała przy tym oczami i potrzasała wyzywająco główką.

Clyde był już całkowicie pogrążony. Kusiły go jej ruchy, minki, całe zachowanie pełne zmysłowości. Widać było, że sprawia jej prawdziwą rozkosz dręczenie biedaka, rzucanie obiecujących słówek, wysuwanie pewnych wniosków i dawanie nieokreślonych przyrzeczeń, a potem wypieranie się wszystkiego. Nie wie o niczym, nie rozumie, co ktoś może chcieć od niej... Nigdy nic podobnego nie miała na myśli... Clyde drżał czując ją tak blisko siebie.

Była to męka, lecz rozkoszna męka. W głowie rodziły się myśli szarpiące mu nerwy. Chciałby pochwycić ją w ramiona, całować usteczka, gryźć, kąsać nawet. Pokryć jej usta swymi wargami. Storturować i pieścić jej ciało.

Spoglądała na niego od czasu do czasu ostrożnymi, umykającymi oczami, a on wtedy czuł się słaby, chory, czuł jakąś cikliwość.

Ach, musi, musi jakim bądź sposobem czy osobistym urokiem, czy pieniędzmi zjednać ją sobie.

A jednak po spędzeniu z nią całego wieczoru, gdy odprowadził ją po teatrze do domu, nie uważał, żeby się zbliżył do niej choć na krok jeden. Nie zdobył jej. Podczas przedstawienia "Korsarza" Hortensja niewielką zwracała uwagę na Clyde'a, przejęta była sztuką, opowiadała mu o podobnych dramatach, jakie już kiedyś widziała, o aktorach i aktorkach, wypowiadała o nich swoją opinię i przypominała sobie z kim była na jakiejś sztuce. A Clyde nawet nie miał sposobności wykazać swego dowcipu i inteligencji, gdyż zmuszony był tylko słuchać.

Ona jednak w swym wyrachowaniu ciągle pamiętała o tym, że oto trafiła się jej prawdziwa gratka. Chłopak ma pieniądze, ona zaś potrafi wyciągnąć je od niego, tym bardziej że sam się z tym ofiarował. Nie potrzebuje się nawet zbytnio wysilać, dziś jest zupełnie dostatecznie uprzejma dla niego, żeby go przy sobie utrzymać, przynajmniej do czasu dopóki nie trafi się coś solidniejszego. Teraz może bawić się z innymi, a Clyde'a trzymać przy sobie, dopóki nie zaopatrzy jej we wszystko, a ona nie znudzi się nim na tyle, żeby zaangażować się gdzie indziej.

Rozdział XIII

Trwało to przez cztery miesiące. Po pierwszej z nią zabawie poświęcał niemało wolnego czasu, aby zyskać choć cząstkę tej sympatii, jaką obdarzała innych młodzieńców. Starał się poznać ją lepiej, lecz nie umiałby powiedzieć, czy było w niej jakieś trwalsze uczucie dla kogoś innego. Nie wierzył również, że między nią a jej znajomymi była tylko niewinna przyjaźń. Gdyby najgorsze te podejrzenia okazały się prawdą, dlaczegoż by i jego nie miała dopuścić do swych łask.

Bił od niej jakiś specjalny zmysłowy czar, każdy gest, urocze minki, brzmienie głosu, sposób ubierania się tak działały na niego, że już nawet nie pragnął otrząsnąć się z tego i coraz bardziej za nią szalał.

Widząc to zbywała go byle czym, unikała, nigdy nie pozwalała cieszyć się długo swym towarzystwem, a jeżeli już znaleźli się razem, roztaczała przed nim obrazy swych zabaw i sercowych podbojów. Czasem przychodziły chwile, gdy czuł, że nie wytrzyma dłużej. Czasami wyrzekał się jej wmawiając w siebie, że nie chce już jej więcej widzieć. Ona nie dla niego... Lecz gdy spojrzał na nią, gdy z bólem patrzył na jej chłodną obojętność, mądre postanowienia gasły i nie miał siły zerwać tego węzła.

Zdarzało się wszakże, że stawała się niekiedy mniej oporna, a było to zazwyczaj wtedy, gdy chciała mieć puszek do pudru, pomadkę do ust, flakon perfum. Jeżeli pozwoliła Clyde'owi na większe zbliżenie, bardzo zresztą niewinne i krótkotrwałe, jak czułe pochylenie się w jego ramiona, które wiele obiecywało, lecz nigdy

do niczego więcej nie doprowadziło, śmieiej wtedy wyrażała swe życzenia. Napomykała wówczas, że chciałaby sobie kupić bluzkę albo torebkę, czasem pantofelki, pończochy, kapelusz, ale nie miała pieniędzy. Ażeby ją sobie ująć, a właściwie, żeby tylko utrzymać się w łaskach kupował jej wszystko, chociaż często ciężko mu było, podniosły się bowiem i wymagania jego rodziny.

Po czterech więc miesiącach skonstatował, że niewiele się zmienił jego stosunek z Hortensją. Z takim zapałem podjął gorączkowe, często upokarzające nawet dla niego starania i do tej pory nie miał pewności, czy otrzyma nagrodę.

Do swej rodziny odnosił się jak zwykle z wielką niechęcią. Od ucieczki Esty panowało przez czas dłuższy wielkie przygnębienie. Bo jeżeli chodziło o nielegalne współżycie dwóch płci, nie było chyba ludzi mniej tolerancyjnych jak starzy Griffithsowie. A nade wszystko ta jakaś tajemnica, dokuczliwa a irytująca, co jak groźna chmura przytłaczała sobą wszystkich.

Tajemnica ta właśnie osłaniała Estę. Uciekła. Nie wróciła. Jak wiedział Clyde, nie było żadnej wiadomości od niej ani o niej.

Coś jednak się działo. Z początku Clyde widział, że ojciec i matka byli tym nadzwyczaj przejęci, martwili się, troskali gdzie ich córka może być teraz i dlaczego nie pisze, naraz od jakiegoś czasu przestali się martwić, byli jak gdyby bardziej zrezygnowani, a przynajmniej już nie odczuwało się tak dotkliwie tej beznadziejnej sytuacji. Clyde nie umiał sobie tego wytłumaczyć. Było to widoczne, a jednak nic się o tym nie mówiło.

Pewnego dnia zauważył Clyde, że matka otrzymała coś z poczty, co było u nich rzadkością. Tak nieliczne były ich towarzyskie stosunki, że bardzo rzadko przychodziły tu listy.

Otóż pewnego dnia, wkrótce po zainstalowaniu się Clyde'a w hotelu, gdy przyszedł w południe nieco wcześniej do domu, zastał matkę schyloną nad listem. Czytała go z przejęciem. Coś było w tym tajemniczego, bo zobaczywszy syna przerwała czytanie i schowała list nie mówiąc ani słowa. Clyde nie wiadomo dlaczego,

prawdopodobnie wiedziony intuicją, miał niejasne przeczucie, że był to list od Esty. Nie był wprawdzie tego pewien, a stał za daleko, żeby mógł rozpoznać charakter pisma. A jednak matka nie mówiła nic o otrzymanym liście i miała taką minę, jakby nie życzyła sobie, żeby ją o to pytano. Clyde czuł się tak obco w domu, że nawet mu na myśl nie przyszło, żeby o to zapytać. Trochę się tylko zdziwił i prędko wyszło mu to z pamięci.

W kilka tygodni potem, gdy wszystkie swe myśli i uczucia zogniskował na zdobyciu Hortensji Briggs, któregoś dnia matka zwróciła się do niego ze szczególnym pytaniem.

Bez żadnego wstępu, nie apelując nawet do jego zwiększonych zarobków, czego musiała się domyślać, wezwała go do misyjnego hallu i patrząc mu prosto w oczy zapytała:

- Czy nie wiesz, Clyde, skąd mogłabym dostać sto dolarów?

Clyde był tak zdumiony, że zaledwie wierzył własnym uszom. Przecież jeszcze przed paru tygodniami, gdyby zwróciła się do niego z propozycją pożyczania jej kilku tylko dolarów, wydałoby się to obojgu niesłychanie niedorzeczne. Nie rozmawiał nigdy z matką o swych zarobkach, a jednak zwróciła się do niego będąc widocznie pewna, że może jej pomóc. Nietrudno co prawda było domyślić się, sądząc po jego wydatkach na ubranie i tej pewnej sobie minie, że nastały dlań lepsze czasy.

Od razu przyszło mu na myśl, że matka zwróciwszy uwagę na jego wydatki domyśliła się, że musi ją okłamywać co do swoich zarobków. Była to po części prawda, ale Clyde tak zmienił swe postępowanie w domu, że i matka musiała zmienić swą taktykę wobec niego i zaczęła powątpiewać, czy uda się jej dłużej utrzymać go pod rodzicielską kuratelą. Martwiło ją to do pewnego stopnia, lecz pocieszała się, że od czasu, gdy pracował w hotelu, zyskał wiele. Stał się prawie dojrzały, bardziej pewny siebie, bardziej samodzielny, nie szukał niczyjej rady ani pomocy. Czowała od dawna, że Clyde ze swą wrażliwością będzie trudny do pokierowania, spostrzegłszy więc, że rozwinął się teraz w jakiś nieuchwytny sposób, odetchnęła z ulgą.

Bardzo często rozmyślała nad jego charakterem, dostrzegła jakieś niezwykle u niego przeczulenie i niepokoiła się o towarzystwo, w jakim syn jej musi przebywać. Ale wiedziała, że całymi dniami pracuje i że zarobione pieniądze wydaje na ubranie, nie powinna więc narzekać. Widziała jasno, że stał się samolubny, że myśli przeważnie o własnej wygodzie, pamiętała wszelako o smutnym jego dzieciństwie, pozbawionym zupełnie jaśniejszych chwil, i nie mogła mu mieć za złe, że pragnie teraz to powetować jakąś niewinną rozrywką.

Clyde, nie będąc pewien, co się za tym kryje, spojrzał na nią i zawołał:

- Skądże ja wezmę sto dolarów, mamó?

Rozpacz i przerażenie odmalowały się na jego twarzy, widział bowiem, że źródło jego bogactwa jest poważnie zagrożone, gdy usłyszał tak niesłychane, nie do wiary wprost żądanie.

- Nie liczyłam, że wszystko otrzymam od ciebie - odpowiedziała Griffithsowa spokojnie. - Już sobie obmyśliłam, skąd mogę dostać większą część tych pieniędzy, ale chciałabym, żebyś mi pomógł postarać się o resztę. Nie mam ochoty z tym iść do ojca, a ty jesteś już przecież dorosły i mógłbyś mi pomóc trochę. - Patrzyła na Clyde'a zachęcająco i ciekawie. - Ojciec nie ma zupełnie głowy do interesów - ciągnęła dalej - i taki jest czasem znużony.

Przeciągnęła szeroką, spracowaną ręką po twarzy, a Clyde uczył się trochę wzruszony jej słowami. Dominującym jednak uczuciem była ciekawość, o co tu właściwie chodzi. Sto dolarów! Bagatela!

Po chwili matka odezwała się znowu:

- Trochę cię wtajemniczę w swój projekt. Potrzebuję stu dolarów, ale nikomu nie mogę powiedzieć na co i nie powinieneś mnie o to pytać. Mam w biurku ojca złoty zegarek i pierścionek złoty, masywny i szpilkę złotą. Te przedmioty powinny być warte co najmniej dwadzieścia pięć dolarów w sprzedaży czy też do zastawu.

Mamy również srebrne noże i widelce, srebrny półmisek i dzbanek. - Clyde znał te przedmioty dobrze. - Sam półmisek wart jest dwadzieścia pięć dolarów. W najgorszym razie mogę dostać za wszystko przynajmniej dwadzieścia albo dwadzieścia pięć dolarów.

Myślałam właśnie, żebyś je może zaniósł do jakiegoś porządnego lombardu i jeżelibyś mi dodawał jeszcze po pięć dolarów tygodniowo, przynajmniej przez jakiś czas, to może wybrnęłabym z kłopotu. - Mina Clyde'a zrzędnęła. - Pan Murch, nasz przyjaciel - znasz go - może mi pożyczy resztę, a ja mu będę oddawała tygodniowo z tego, co ty mi dodasz. Prócz tego mam jeszcze w domu dziesięć dolarów.

Patrzyła na Clyde'a, jakby chciała powiedzieć: Przecież mnie chyba nie opuścisz w moim zmartwieniu...

Clyde zmiękł, chociaż przywykł wydawać wszystkie zarobione pieniądze tylko na siebie. Zgodził się zanieść biżuterię i srebro do lombardu i obiecał dodawać po pięć dolarów tygodniowo do czasu, dopóki nie pokryje się długu pana Murcha. Zły był jednak na ten wydatek. Od niedawna przecież zaczął się cieszyć własnymi pieniędzmi, a matka ciągle żąda od niego coraz więcej, już teraz dziesięć dolarów tygodniowo musi dawać... Zawsze jest źle, zawsze czegoś potrzeba, a nie ma żadnej pewności, czy nie będzie więcej takich żądań.

Wziął rodzinne pamiątki, zaniósł do najporządniejszego lombardu, a dowiedziawszy się, że oceniają je na czterdzieści pięć dolarów, zgodził się. Z matczynymi dziesięcioma uczyni to pięćdziesiąt pięć, czterdzieści pięć więc pożyczyci od pana Murcha. A to znaczy, że przez dziewięć tygodni będzie musiał dawać dziesięć dolarów zamiast pięciu. Teraz, gdy zbudziły się w nim nowe aspiracje do stroju, zabawy, niechętnie się z tym pogodził. Jednak pogodzić się musiał. Przecież coś jest obowiązany swej matce. I ona czyniła pewne poświęcenie z siebie dla niego i dla rodzeństwa, więc nie może być takim samolubem. To nie uchodzi.

Ale jeżeli rodzice chcą go uważać za materialną podporę, powinni mieć dla niego więcej względów. Jakoś tego dotychczas nie

zauważył. Powinni dać mu większą swobodę wychodzenia i wracania, kiedy mu się podoba. Nic ich teraz nie kosztuje. Ubiera się za własne pieniądze i życie ma w hotelu, a to przecie niemało.

Jakoś wkrótce potem miał do rozwiązania nową zagadkę. Któregoś dnia po tej rozmowie spotkał matkę na Montrose Street, jednej z najuboższych uliczek, sąsiadujących z ich Bickel Street, które są zabudowane drewnianymi domkami albo niskimi dwupiętrowymi kamieniczkami, gdzie było sporo nie umeblowanych mieszkań. Nawet Griffithsowie, aczkolwiek bardzo biedni, czuliby się upośledzeni, gdyby musieli zamieszkać na takiej uliczce.

Matka Clyde'a, nie spostrzegłszy syna, podeszła do frontowych drzwi jednego z najmniej zniszczonych domów, gdzie na niskim oknie wisiała karta z napisem "Pokoje umeblowane", po chwili jednak udała się do innego domu, gdzie również wisiała podobna karta i przyjrzawszy się uważnie budynkowi, zadzwoniła.

Clyde na razie sądził, że matka swoim zwyczajem odwiedza jednego z tych nędzarzy, którymi się nieraz opiekowała, i nie jest pewna adresu. Zbliżył się do niej, ale w tej chwili właścicielka mieszkania wyjrzała przez drzwi i usłyszał pytanie matki:

- Czy pani ma pokój do wynajęcia?

- Mam.

- Czy jest łazienka?

- Nie, nie ma. Ale jest na drugim piętrze.

- Ileż to kosztuje na tydzień?

- Cztery dolary.

- Czy mogłabym zobaczyć?

- Proszę.

Griffithsowa wahała się przez chwilę. Clyde stał niedaleko i sądził, że matka obejrzy się i pozna go, lecz ona weszła nie obejrzawszy się wcale. A Clyde stał zaciekawiony, gdyż wydało mu się wprost nie do wiary, żeby matka szukała dla kogoś mieszkania na takiej ulicy, gdzie przeważnie działała Armia Zbawienia i Stowarzyszenie Młodych Kobiet Chrześcijańskich. Miał ochotę poczekać na nią i zapytać, co to znaczy, ale że miał własne interesy do załatwienia, poszedł w swoją stronę.

Gdy wieczorem przyszedł przebrać się do domu, zajrzał do kuchni i zastał tam matkę.

- Widziałem mamę dziś rano na Montrose Street - odezwał się.

Drgnęła usłyszawszy to.

- A tak - odparła po chwili.

Obierała kartofle i spojrzała na niego ciekawie.

- Więc cóż z tego? - zapytała spokojnie. Zaczerwieniła się jednak, co było u niej niesłychane.

Zastanowiło to Clyde'a.

- Weszłaś, mamó, do domu, gdzie były pokoje umeblowane.

- Tak, rzeczywiście - odrzekła matka dość spokojnie. - Szukam pokoju dla osoby chorej i nie posiadającej wiele pieniędzy, ale niełatwo teraz coś znaleźć.

Odwróciła się jakby dając do poznania, że nie ma ochoty dłużej o tym mówić, ale Clyde, jakkolwiek to zrozumiał, nie mógł się oprzeć i dodał:

- Och, na takiej ulicy to chyba nietrudno dostać pokój.

Pracując w Greenie-Davidsonie wiedział teraz, jak się gdzie mieszka. Matka nic na to nie odpowiedziała, a on poszedł do swego

pokoju zmienić ubranie.

W jakiś miesiąc później, idąc przez Missouri Avenue, znowu zobaczył matkę, jak szła z przeciwnej strony i przy słabym świetle, padającym z jednego z małych sklepików, jakich tam jest pełno, zobaczył, że niesie stary, ciężki kosz, który od dawna leżał bez użytku u nich w domu. Zatrzymała się nagle dostrzegłszy widocznie syna i szybko weszła do trzypiętrowej kamienicy. Poszedł tam za nią, zajrzał na schody, słabo oświetlone, na które prawdopodobnie weszła. Nie miał zamiaru jej tam śledzić, gdyż nie był zupełnie pewien, czy tam właśnie weszła, tak szybko to się stało. Poczekał jednak chwilę na rogu i ujrzał niebawem, jak stamtąd wychodziła. Tym bardziej wzrosła jego ciekawość, gdy obejrzała się ostrożnie dokoła. Widocznie chciała przed nim ukryć swoją tu bytność. Ale dlaczego?

Tak go to zaintrygowało, że miał ochotę pójść za nią, ale postanowił uszanować tajemnicę matki jeżeli jej tak na tym zależało. Zaciekawiało go to w każdym razie bardzo. Dlaczego nie chciała, żeby wiedział, dokąd niesie ten kosz? Ukrywanie się i wszelkie tajemnice nie leżały w jej charakterze, czego nie można było powiedzieć o nim samym. Dziwną intuicją wiedziony połączył w myśli poprzednie spotkanie i dzisiejsze z tajemniczym listem i stoma dolarami, których tak potrzebowała. Dokąd chodziła? Co ukrywa?

Rozmyślał nad tym, nie mógł jednak dojść do żadnego wniosku, czy dotyczy to jego czy kogokolwiek innego z jego rodziny.

W tydzień później, gdy przechodził Jedenastą koło Baltimore Street, zdawało mu się, że widzi Estę, a przynajmniej dziewczynę tak do niej podobną, że mogłaby uchodzić za jego siostrę. Była tego samego wzrostu i miała te same ruchy. Lecz może to nie ona, bo jakby trochę starsza od niej... Tak szybko przeszła i znikła w tłumie, że nie był pewien. Spotkanie to wywarło na nim tak silne wrażenie, że zawrócił i starał się ją dogonić, ale nie udało mu się. Coraz silniej utwierdzał się w przekonaniu, że to była Esta, więc gdy powrócił do domu, zaraz opowiedział o tym matce. Z

pewnością siostra wróciła już do Kansas City. Mógłby przysiąc na to... Widział ją na Jedenastej przy Baltimore... Chyba się nie myli... Czy matka miała jakie wiadomości od niej?

A może matka te sto dolarów jej dała? Myśl ta nie wiadomo skąd i dlaczego przeleciała mu przez głowę. Zastanowił się. Ale jeżeli tak było, dlaczego Esta nie wróciła do domu, a przynajmniej nie zawiadomiła rodziny o sobie?

Był tak zdziwiony, uradowany, zaintrygowany, że spodziewał się po matce takich samych objawów radości i zainteresowania. Tymczasem matka nie okazała wcale zdumienia, jak gdyby powiedział rzecz dobrze jej znaną. Niesłychanie się tym zdziwił.

- Widziałeś? Gdzie? Teraz, powiadasz? Na Jedenastej koło Baltimore? To dziwne... Muszę powiedzieć o tym Asie. Ale czemu nie wróciła do nas?

Wzrok przeczył jej słowom, nie wyrażał wcale zdziwienia, było w nim zmieszanie i pewne zakłopotanie. Jak zwykle, gdy była czymś zdenerwowana albo zaambarasowana, usta jej poruszały się dziwnie, wargi i szczęki drgały.

- No, no - dodała po chwili - to dziwne... A może to tylko ktoś podobny do niej...

Lecz Clyde, obserwując ją spod oka, nie chciał uwierzyć w jej zdziwienie. Później gdy przyszedł ojciec do domu, powtórzyła mu tę nowinę, ale oboje rozmawiali o tym bez wielkiego wzruszenia, zupełnie obojętnie, jak gdyby w tym nie było nic osobliwego. Nie żądali nawet od niego, żeby powtórzył jeszcze raz swoją relację.

Tymczasem widać sam los sprzyjał w rozwiązaniu tej zagadki. Któregoś dnia spotkał znów matkę przechodzącą przez Spruce Street, i tym razem niosła mały koszyk na ręku. A zauważył już od jakiegoś czasu, że wychodziła regularnie codziennie rano i przed wieczorem z domu. Tego dnia więc, gdy dostrzegł jej ciężką postać, otuloną w stary brązowy płaszcz, skierował się na Myrkel Street i stanąwszy za kioskiem z gazetami czekał, żeby go minęła. Wówczas pośpieszył

za nią pozwalając wyprzedzić się trochę. Na Dalrymple Street przeszła na drugą stronę i skręciła na Beaudry, która właściwie była przedłużeniem Spruce, tylko nie wyglądała tak ohydnie. Domy tam były także stare, niegdyś może były to jakieś piękne rezydencje, a teraz mieściły się tam same garkuchnie i zajazdy. Widział, że matka weszła do jednego z tych domów, obejrzawszy się przedtem ukradkiem za siebie.

Clyde zbliżył się do tej kamienicy i ciekawie zaczął się jej przyglądać. Co tam matka mogła robić? Do kogo poszła? Sam nie wiedział, dlaczego to go tak interesuje, ale po spotkaniu Esty miał jakieś podświadome uczucie, że to o nią chodzi. Te listy, te sto dolarów, jakieś umeblowane pokoje...

Prawie naprzeciwko tego domu stało drzewo, o tej porze roku zupełnie ogołoczone z liści, o grubym pniu, a tuż przy nim słup telegraficzny, co razem stanowiło dobrą osłonę. Mógł więc tam stanąć nie widziany i obserwować wszystkie okna kamienicy. Naraz w jednym z tych pokoi zobaczył matkę kręcącą się po mieszkaniu jak u siebie w domu. A po chwili ku wielkiemu zdumieniu ujrzał Estę, jak podeszła do okna i położyła jakąś paczkę na parapecie. Miała na sobie jasny szlafrok czy też jakąś narzutkę. Nie mylił się tym razem. Osłupiał. Więc to naprawdę ona... i matka jest u niej. Ale dlaczego się

kryje, co takiego popełniła, że nie może wrócić do domu? Czyżby jej mąż, ten mężczyzna, z którym uciekła, porzucił ją?

Tak był ciekawy, że postanowił przeczekać, aż matka wyjdzie, i samemu pójść do Esty. Koniecznie musi ją zobaczyć - zbadać tę tajemnicę. Czekał więc, budząc w sobie dawne braterskie uczucia, i zastanawiał się nad niezwykle tajemniczym jej postępowaniem.

Po godzinie matka wyszła z koszykiem, widocznie już próżnym, bo wyglądał lekko w jej rękę. I jak przedtem obejrzała się ostrożnie. Na jej twarzy malował się zwykły u niej w tych czasach pełen zaszępienia i troski wyraz - coś pośredniego między podniosłą wiarą a głębokim zwątpieniem.

Clyde zaczekał, dopóki nie skręciła z Beaudry Street, a gdy zniknęła mu z oczu, wszedł do domu. Wewnątrz znajdowały się, jak się przekonał, umeblowane pokoje, a na nich tabliczki z nazwiskami lokatorów. Ponieważ widział Estę w południowo-zachodnim oknie, zapukał do pokoju leżącego w tym samym kierunku. Usłyszał lekkie kroki i po krótkiej chwili, podczas której jak gdyby ktoś nadśluchiwał z wewnątrz, uchylły się trochę drzwi i wyjrzała Esta.

Naprzód pytający wzrok, potem lekki okrzyk zdumienia i zmieszanie na twarzy.

Poznała Clyde'a, otworzyła drzwi szeroko.

- Clyde! - zawołała. - Jakim sposobem znalazłeś mnie? Właśnie myślałam o tobie.

Clyde objął ją i ucałował. I od razu spostrzegł z pewną przykrością, że jest nadzwyczajnie zmieniona. Schudła, była bledsza, oczy zapadły, a ubranie miała na sobie wcale nie lepsze od tego, jakie nosiła niegdyś w domu. Była jakaś przygnębiona i zdenerwowana.

Ale gdzie jej mąż? Dlaczego nie ma tu go? Co się z nim stało? Rozejrzał się wokoło, spojrzawszy znów na siostrę i dostrzegł jej minę zmieszaną i niepewną, jednocześnie zadowoloną, że widzi brata. Usta rozchyliły się do powitalnego uśmiechu, lecz oczy nie wyrażały zupełnej radości.

- Nie spodziewałam się ciebie wcale - odezwała się, gdy puścił ją ze swych objęć. - Nie wiedziałeś... - urwała, jakby przerywając zwierzenia, których nie chciała udzielić.

- Przyszedłem bo widziałem tu mamę - odrzekł. - Widziałem właśnie, jak wychodziła, a ciebie zobaczyłem w oknie. Stąd dowiedziałem się, że tu mieszkasz.

(Nie chciał się przyznać, że siedział za matką i czekał całą godzinę).

- Ale kiedy wróciłaś? To dziwne, że nie dałaś znać o sobie...
Dobra sobie jesteś, odjeżdżasz, nie ma cię przez kilka miesięcy i nie piszesz nic o sobie... Mogłaś chociaż do mnie napisać parę słów. Byliśmy przecież zawsze w zgodzie, prawda?

Patrzył na nią wesoło, ciekawie, śmiało. Ona zaś, niepewna, wahała się, nie wiedziała, co ma myśleć, co mówić, jak odpowiadać.

- Tak zdziwiłam się, jak zastukałeś. Nikt tu nigdy nie przychodzi... - Nie odpowiedziała na pytanie. - Ale jak ty pięknie wyglądasz. Taki śliczny garnitur... Mama mówiła, że pracujesz w Greenie-Davidsonie.

Patrzyła z podziwem, a on czuł się tym wzruszony, ale nie przestawał myśleć o jej położeniu. Nie odrywał oczu od jej twarzy, od jej wątlej postaci. Wpatrując się w jej oczy, w wychudłą twarz, zrozumiał, że nie jest zupełnie zdrowa. Będzie miała dziecko...

I znów to samo zagadnienie. Gdzież jest jej mąż, ten mężczyzna, z którym uciekła? Na ile mógł się domyślić ze słów matki, to w swym liście, pozostawionym przed wyjazdem, napisała, że odjeżdża z domu, żeby wyjść za mąż. Ale chyba nie wyszła... Została opuszczona. Jest tutaj zupełnie sama.

Już wiedział, odczuł to, zrozumiał...

Przyszło mu na myśl, że to, co się zdarzyło w ich rodzinie, było naprawdę osobliwe. To on miał przecież zamiar uciec z domu, dobić się jakiejś pozycji w świecie, wierzył w powodzenie. A oto biedną Estę przy pierwszej próbie samodzielności spotkało takie nieszczęście. Czuł do niej za to urazę i zniechęcenie.

- Jak dawno wróciłaś, Esto? - zapytał podejrzliwie, nie wiedząc, co ma właściwie mówić, zrozumiał bowiem naraz, że dzięki jej nieszczęsnemu położeniu zaczną się przykrości, kłopoty, nieuniknione wydatki, i prawie żałował swej ciekawości.

Po co tu wlaź? Samo się przez się rozumie, że teraz będzie musiał

pomagać.

- Niedawno. Pewnie miesiąc temu, nie więcej chyba.

- Tak przypuszczałem. Przed paroma tygodniami widziałem cię na Jedenastej koło Baltimore. Nie mylę się chyba, prawda? - dodał mniej żartobliwie, co zauważyła Esta.

Skinęła głową potakująco.

- Byłem tego pewien. Powiedziałem o tym mamie, ale przyjęła to obojętnie. Wcale nie była tak zdziwiona, jak to sobie wyobrażałem. Teraz już rozumiem, dlaczego... I taką miała minę, jakby nie chciała, żeby o tym mówić. Ale wiedziałem, że się nie mylę. - Spojrzał na Estę dumny ze swej spostrzegawczości.

Zamilkł znowu nie wiedząc, co mówić i nie przekonany, że to co dotychczas powiedział, miało jakiś sens i znaczenie. Nie pocieszyło jej to wcale.

Ona też nie wiedziała, czy ma pominąć milczeniem swe położenie, czy wyznać wszystko, więc milczała także.

Coś jednak trzeba było zrobić. Nie mogła znieść jego pytającego wzroku i w końcu skierowała rozmowę na matkę:

- Biedna mama, nie myśl o niej źle, Clydzie. Ona sama nie wiedziała, co z tym począć. To tylko moja wina, naturalnie... Gdybym nie uciekła z domu, nie narobiłabym tyle zmartwienia. Ona nic nie zawiniła, a jej jest najciężej.

Odwróciła się nagle, ramiona jej zaczęły drżeć, pochyliła się bezwładnie.

Zrozumiał, że płakała.

- Siostrzyczko - zawołał Clyde przysuwając się do niej, naprawdę wzruszony. O co chodzi? Dlaczego płaczesz? Czy ten z którym poszłaś, ożenił się z tobą?

Potrząsnęła głową przecząco i załkała głośniej. Dopiero teraz Clyde zrozumiał dokładnie pod względem psychologicznym i społecznym, a nawet biologicznym całą powagę położenia siostry. Cierpiała, była w ciąży bez środków utrzymania i bez męża. Dlatego matka szukała pokoju. Dlatego starała się o sto dolarów. Wstydziła się Esty i jej stanu. Wstydziła się nie tylko ze względu na obcych ludzi, lecz i ze względu na Julię i Franka, bojąc się, co te dzieci o tym myśleć będą. Wiedziała, jakie to na nich wywrze wrażenie, bo przecież to niemoralne, niewłaściwe, każdy o tym wie. I dlatego starała się to ukryć, okłamywać nawet, co było dla niej najtrudniejsze i najbardziej ciężkie. A i to jej się nawet nie udało.

Nie tylko stan siostry i świadomość, jakie znaczenie ma dla rodziny opinia o niej, poruszyły go do głębi, lecz to niesłychane, "niemoralne" postępowanie matki, gdy upadając pod tym ciosem musiała kłamać. Wymijała jego zapytania, wykręcała się w odpowiedzi, aby tylko nie naprowadzić na ślad Esty. Nie czuł jednak do niej za to urazy, nie cofnął szacunku ani na chwilę. Na takie kłamstwa muszą się zgodzić ludzie, nawet bardzo religijni i tak wierzący jak jego matka. Trudno chyba pozwolić, żeby ludzie o tym gadali. On również za nic by nie chciał, żeby się ktoś dowiedział o położeniu Esty. Co by o tym pomyślano? Co by powiedziano o nim i o niej? Czyż i tak nie jest ich położenie pod każdym względem godne politowania?

Stał bezradnie i patrzył z przerażeniem na płaczącą Estę. Ona jednak wiedziała, odczuła, co się dzieje w jego duszy, zrozumiała jego wstyd i rozplakała się jeszcze bardziej.

- No cóż? Trudno - odezwał się Clyde przejęty znów współczuciem. Przecież nie uciekłabyś z nim, gdybyś go nie kochała, prawda? - Pomyślał o sobie i o Hortensji. - Tak mi cię żal, Essi... Bardzo, naprawdę, ale już nie płacz. Mało to chłopców na świecie? Wszystko będzie dobrze.

- Wiem o tym - łkała Esta. - Ale byłam taka szalona... I tak mi było ciężko... A teraz całą swą troskę złożyłam na mamę i na was

wszystkich... - Tłumiła z trudem łkanie i po chwili uspokoiła się trochę. - Pojechał sobie i zostawił mnie w hotelu w Pittsburgu bez pieniędzy. Ach, gdybym nie miała mamy, nie wiem, co bym zrobiła... Przesłała mi zaraz sto dolarów, jak tylko napisałam do niej. Pracowałam jakiś czas w restauracji, dopóki mogłam... Nie chciałam pisać do domu, że on mnie porzucił... Wstydziałam się... Ale gdy poczułam się bardzo źle, nie mogłam zrobić nic innego.

Zacząła znowu płakać. A Clyde rozpamiętywał, jaki wysiłek musiała uczynić matka, żeby pomóc córce, i obudziło się w nim dla tej biednej kobiety takie samo współczucie jak dla Esty, a nawet większe, gdyż siostra miała matkę, matka zaś nikogo.

- Nie mogę teraz pracować - mówiła dalej - nie mam sił. A mama nie chce, żebym wróciła do domu, bo chodzi jej o Franka i Julię, i o ciebie także. I ma rację. Naturalnie... I jej jest ciężko, i mnie... A mnie tu czasem tak smutno, taka jestem samotna...

Oczy jej napełniły się łzami i znów zaczęła płakać.

- Ach, jakaż to była głupota z mojej strony...

I Clyde o mało się nie rozplakał w tej chwili. Bo życie jest dziwne, takie ciężkie czasami. Jakże go ono traktowało przez tyle lat. Nic dobrego nie zaznał i ciągle tkwiło mu w głowie, że powinien uciec z domu. I cóż, Esta to zrobiła i oto, co się z nią stało. Miał ją w pamięci, jak siadywała przy swej fisharmonii pod murem na tej ruchliwej ulicy i śpiewała. Wyglądała wtedy tak niewinnie... Jakież to dziwne są losy ludzkie.

Spojrzał raz jeszcze na nią, na pokój, wreszcie powiedział, że wolałby jej nie zostawiać samej, ale przyjdzie znowu, tylko niech nic nie mówi matce, że tu był. A jeżeli czego potrzeba będzie, niech się zwróci do niego, jakkolwiek niewiele jej pomóc może.

Wyszedł.

Idąc jednak do hotelu nie mógł się opędzić od wyrzutów, czynionych sobie... Wszystko to jest okropne. Zupełnie niepotrzebnie śledził

matkę, bo w przeciwnym razie nic by nie wiedział. Ale czy to długo mogłoby trwać? Bez końca nie można by tego ukrywać, nie udałoby się to matce. Musiałby się kiedyś dowiedzieć. Poprosiłaby znowu, pewnie o pieniądze. Ach, co to za łajdak ten co porzucił tak Estę i zostawił ją w wielkim mieście bez grosza. Nagle przypomniał sobie podobny wypadek w Greenie-Davidsonie. Przecież tak się śmiał z tego on sam i jego koledzy, gdy mówili o tej pannie, którą amant porzucił w hotelu z nie zapłaconym rachunkiem. Takie mu to wydało się zabawne. Cała ta przygoda miała jakiś posmak erotyczny.

Ale tu chodziło o jego siostrę. Ten mężczyzna również niewiele dbał o swoją towarzyszkę, jak i tamten.

Ale teraz wzruszenie Clyde'a minęło i nie wydawało mu się wszystko tak okropne jak wtedy, gdy patrzył na łzy siostry. Miał teraz dookoła siebie tętniące życiem miasto, pełne ludzi, a na niego czekało miłe, lekkie zajęcie w tym ślicznym hotelu. Nie ma co się przejmować. Ma swoje sprawy na głowie. Ma Hortensję i tyle rozrywek. Musi się znaleźć jakieś wyjście dla Esty. Wyzdrowieje i wszystko będzie dobrze. Jednak nieprzyjemnie pamiętać ciągle o tym, że w rodzinie panuje stale bieda, a nikomu w domu nie przychodzi nawet na myśl, że takie rzeczy mogą się przytrafić. I tylko ciągle te kazania po ulicach i wiecznie nie opłacone komorne, ojciec dla zarobku trudniący się uliczną sprzedażą dywaników i zegarków, Esta uciekająca z domu i wracająca do domu w takim stanie... Eh!

Rozdział XIV

W dalszym ciągu tych rozmyślań Clyde zaczął się zastanawiać nad

zagadnieniem płci z innego punktu widzenia, bardziej specjalnie. Potępił kochanka siostry za to, że ją tak rzucił bez litości, jednak przypuszczał, że i ona nie była bez winy. Z własnej woli za nim poszła. Dopiero teraz od niej się dowiedział, że amant ten był w zeszłym roku w Kansas City przez tydzień i wtedy szukał sposobności, żeby zawrzeć z nią znajomość. Następnego roku, gdy przyjechał na dwa tygodnie, ona sama latała za nim, tak przynajmniej mógł wywnioskować Clyde. Porównał swój stosunek do Hortensji i musiał przyznać, że nic złego nie można było im obojgu zarzucić.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że opłakane konsekwencje tego czynu nie wypływały z samego faktu, lecz z kompletnego nieświadomienia i bezmyślności. Bo gdyby Esta wiedziała coś więcej o człowieku, którego pokochała, nie znalazłaby się teraz w tak okropnym położeniu. Z pewnością ani Hortensja, ani Luiza, ani też Greta nie są tak naiwne, żeby się dały uwieść. A może jednak? Nie, były zanadto sprytne na to. W zestawieniu z nimi Esta wiele traciła. Powinna była w mniemaniu Clyde'a postępować przyzwoiciej. Doszedłszy do tego wniosku sądził ją bardziej surowo, chociaż nie zubożył dla niej całkowicie.

Na rozwój i zmianę jego poglądów wpłynęła rozwijająca się coraz silniej namiętność ku Hortensji Briggs, jak również młody wiek i usposobienie. Rozkochany był do szaleństwa w powabnej dziewczynie. Już po parokrotnym widzeniu się z nią doszedł do wniosku, że przedstawia ona typ przez niego wymarzony. Była elegancka, szykowna i naprawdę śliczna. W oczach jej migały dziwne iskierki. Umiała w taki zachwycający sposób otwierać i zamykać usteczka i patrzyła wtedy tak niewinnie przed siebie, jakby on, który drżał i płonął z tajonej namiętności, nie istniał wcale. Czuł wtedy osłabienie i oszołomienie, czuł okrutnie wgrzyzające się w żyły drobniutkie niteczki żaru. Była to wyraźna żądza dręcząca i nieunikniona, której nie mógł zaspokoić, bo Hortensja nie zawsze nawet pozwalała objąć się i ucałować. Musiał więc zachowywać się z pewną rezerwą, czym ona właśnie gardziła, gdyż specjalnie dążyła do tego, żeby w młodych ludziach tę namiętność rozbudzić. Dla niej odpowiednim typem byłby mężczyzna, który by potrafił wybić jej z głowy te wyniosłe minki, tę całą dumę i zmusić ją chociażby siłą

do uległości.

Co do Clyde'a, to właściwie sama nie była pewna, czy go lubi czy nie, więc i on żył w ciągłej niepewności, jak daleko sięga jej sympatia ku niemu. Z tego właśnie była zadowolona, gdyż błędząc w ciemnościach i karmiąc się niegasnącymi nadziejami nie mógł jej rzucić.

Czasami po wspólnie spędzonym wieczorze w restauracji lub teatrze, na które łaskawie pozwalała zapraszać siebie, stawała się bardziej ustępliwa, jeżeli Clyde nie był zanadto natarczywy, i łagodna, czym zjednałaby najbardziej wymagającego adoratora. W chwili jednak gdy stawali przed drzwiami jej mieszkania lub przed mieszkaniem koleżanki, gdzie miała zamiar spędzić wieczór, zegnała go oziębłym uściśnięciem ręki lub obojętnym pocałunkiem. W takich chwilach czasami Clyde'a ogarniał szal i nieraz siłą chciał zmusić ją do większej względności, lecz ona jak dzikie, złośliwe kocię wykazywała tyle oporu, że sama nie umiałaby wytłumaczyć, dlaczego to robi. Właśnie przez niego, tylko przez niego nie chce być do niczego zmuszana... I odchodził, zrozcaczony, ponury jak noc, nie mogąc otrząsnąć się z jej uroku, bojąc się utracić tę niezwykłą dziewczynę.

Tak silnie działała na niego, że nie mógł znieść długo jej nieobecności i biegł tam, gdzie spodziewał się ją spotkać. Przez większą część dnia mimo ciągłych wspomnień o siostrze żył w jakimś dokuczliwym, a jednak słodkim zmysłowym zapamiętaniu.

Żeby choć trochę dbała o niego!

W nocy leżąc w łóżku myślał ciągle o niej - o jej twarzyczce, wyrazie ust i oczu, o liniach jej postaci, o jej ruchach, gdy szła lub tańczyła - miał ją ciągle przed oczyma jak na ekranie. W swych snach gorączkowych widział ją przy sobie, przytulającą się swym rozkosznym ciałem do niego, a gdy miała już oddać się zupełnie, budził się i zastawał pustkę koło siebie... Tylko złuda...

Jednak nie tracił nadziei, że może ją zdobędzie. Ona też miała ubogą rodzinę - była córką robotnika, który zarabiał tyle tylko,

że za ledwie wystarczało na nędzne utrzymanie. Od samego dzieciństwa nie miała nic własnego prócz kilku zabawek i gałganków, sporządzonych przez nią własnym przemysłem. Tak niskie mieli stanowisko jej rodzice, że nie było nadziei, by mogła poznać kogoś z lepszej trochę sfery. Widywała tylko chłopców od rzeźnika lub piekarza i różnych łobuzów kręcących się za robotą. A jednak już wtedy szybko pojęła, że mogła skapitalizować swe spojrzenia i urodę. I udawało się to jakoś. Niejeden już kradł dla niej pieniądze.

Kiedy dorosła i wzięła się do pracy, spotykała na swej drodze różne typy mężczyzn, którzy ją bardzo zaczęli interesować, i doszła do przekonania, że przy umiejętnym postępowaniu, nie pozwalając na zbyt wiele będzie mogła ubrać się o wiele przyzwoiciej niż za własne pieniądze. Tylko że nie umiała wyłączyć swych ambitnych pragnień od sentymentalnych skłonności. Jakże często pragnęłaby pokochać tego, którego wyzyskiwała, a nie być nic obowiązana tym, których nie lubiła.

Co do Clyde'a - lubiła go trochę, ale nie mogła się oprzeć, żeby go nie wyzyskiwać. Podobała się jej w nim ta ochoczość, z jaką kupował każdą rzecz, która jej się podobała. Woreczek, portmonetkę, szal, rękawiczki, drobnostki - wszystko brała, nie czując się zobowiązana do niczego. Uświadamiała sobie jednak doskonale że kierując się taką strategią, nie utrzyma go przy sobie nieskończenie długo. Będzie musiała ofiarować mu nagrodę, której tak pożądał.

Widziała z zadowoleniem, że Clyde nie uchylał się od wydatków na nią, ale może potrafiłaby go skłonić do kupna jakiejś kosztowniejszej rzeczy - sukni, kapelusza, a nawet modnego futrzanego płaszcza. Może nawet kupiłby jej złote kolczyki albo zegarek w bransoletce. Widziała te piękne błyskotki rozłożone w witrynach sklepowych i spoglądała na nie pożądliwym okiem.

Pewnego dnia szła Hortensja z jedną ze swych przyjaciółek, Doris Trine również panną sklepową w jednym z magazynów. Weszły na Baltimore Street, gdzie były najelegantsze sklepy. Otóż w oknie magazynu, mniej niż inne wspaniałego, zobaczyła płaszcz bobrowy,

zupełnie jak na jej figurę zrobiony, który by doskonale zasilił jej skąpą garderobę. Nie było to bardzo kosztowne okrycie, warte może najwyżej sto dolarów, ale modne i takie właśnie o jakim marzyła. Świetnie podniosłoby jej urodę.

Przejęta tą myślą zatrzymała się i wykrzyknęła:

- Popatrz, jaki fajny płaszczyk. Klasa! Coś cudownego... Spójrz tylko na rękawy, Doris - pociągnęła przyjaciółkę za ramię. - A ten kołnierz, a podszewka. Ach, jak Bożę kocham... - Drżała z zachwytu i pożądania. Śliczności! O takim, już nie wiem odkąd, myślałam zawsze... Och, ty mój cudzie - wołała pieszczotliwie, myśląc jednocześnie o pozie, w jakiej stanęła przed wystawą, i o wrażeniu, jakie mogła wyrzucić na przechodniach. - Ach, żeby to mieć...

Klasnęła w ręce z zachwytu, a Izydor Rubenstein, syn właściciela magazynu, stał właśnie w promieniu jej spojrzenia i zapamiętał ten gest pełen entuzjazmu. Od razu zdecydował, że płaszcz ten powinien sprzedać o jakie dwadzieścia pięć albo nawet pięćdziesiąt dolarów drożej, gdyby ta frajerka chciała go kupić. Firma oceniała go tylko na sto dolarów.

- Oczywiście... mruknął. Ponieważ jednak w jego charakterze zmysłowość i romantyczność też grały pewną rolę, zastanowił się, czy nie uda mu się wyzyskać dla siebie entuzjazmu panienki. Ubóstwo i próżność na wiele zgodzić się może, gdy tak piękna dziewczyna zapragnie podobnego płaszcza.

Tymczasem Hortensja patrzyła pożądliwym okiem na przedmiot swych marzeń tak długo, na ile pozwolił jej czas przerwy śniadaniowej, i odeszła rozpaliwszy swą próżność do białości, przekonana, że wiele nieprzepartego czaru dodałby ten strój jej osobie. Lecz nie wstąpiła do magazynu zapytać o cenę.

Wszakże nazajutrz, nie mogąc się oprzeć pokusie, powróciła tym razem sama, nie marząc jednak o kupnie. Zastanawiała się tylko nad zagadnieniem, w jaki sposób mogłaby je zdobyć, gdyby okrycie okazało się niedrogie. Spojrzała raz jeszcze na płaszcz i

zobaczywszy pana Izydora patrzącego na nią przez szybę zachęcającym wzrokiem zdecydowała się wejść.

- Podoba się pani ten płaszcz, co? - zagadnął od razu Rubenstein spojrzawszy na wchodzącą. - To widać, że ma pani dobry gust. To jest bardzo dystyngowany płaszcz, najelegantszy ze wszystkich, jakie posiadamy w magazynie. Ach, co to za płaszcz wspaniały... A jak pięknie wyglądałby na takiej ślicznej pannie.

Wyjął okrycie z okna i podniósł je w górę.

- Widziałem wczoraj, jak pani patrzyła.

Błysk pożądania zatlił się w jego oczach.

Spostrzegła to Hortensja i już wiedziała, że oziębłym, lecz nie szorstkim zachowaniem zyska więcej niż przesadną uprzejmością, w więc odpowiedziała tylko:

- Rzeczywiście, patrzyłam...

- Tak, tak. A ja sobie zaraz powiedziałem, że to jest osoba, która zna się na rzeczy i potrafi ocenić, co jest prawdziwie ładne.

Pochlebstwo podziałało mimo woli.

- Niech no pani tylko spojrzy - mówił dalej kupiec obracając przed nią płaszcz na wszystkie strony. - Czy pani znajdzie coś podobnego w całym Kansas City? Proszę spojrzeć na tę podszewkę, Prawdziwa jedwabna... z malmsjonowskiego jedwabiu... A te ukośne kieszenie? A guziki? Przecież pani wie, że takie drobiazgi nadają prawdziwy szyk. My sami obmyślamy modele i nigdy ich nie powtarzamy. Robi się to dla naszej klienteli. Proszę, niech pani pójdzie dalej.

Zaprowadził ją przed trójskrzydłe lustro.

- W całym Kansas City nie znajdzie pani nic podobnego... i nie może być inaczej. Taki płaszcz powinna nosić odpowiednia osoba...

Dopiero wtedy da właściwy efekt. Niech pani przymierzy.

Przy sztucznym oświetleniu mogła Hortensja przekonać się, jak czarująco w tym wyglądała. Podnosiła główkę, obracała się, pocierała uszkiem o puszyste futro, a pan Izydor stał przy niej, patrzył z niemałym podziwem i prawie zacierał ręce.

- No i co pani na to?... Czy nie powiedziałem, że to jakby stworzone dla pani. Jakby to na jej drodze leżało... Tylko podnieść... Nic podobnego nie znajdzie pani w całym mieście... Jeżeli pani znajdzie, darmo je pani oddam.

Przysunął się bliżej wyciągnawszy tłuste ręce.

- Faktycznie, że na mnie dobrze wygląda - przyznała Hortensja, której próżna duszyczka chętnie się z tym zgadzała. - Ale zawsze każda rzecz tak na mnie leży.

Obracała się i przeglądała w lustrze zapomniawszy zupełnie o kupcu, myśląc tylko o cenie.

- A ile kosztuje? - zapytała.

- Naprawdę to ten płaszcz wart jest dwieście dolarów - zaczął pan Izydor, widząc jednak, że cień zniechęcenia przesunął się po twarzy Hortensji, dodał szybko: - To może byłoby za drogo, ale my nie żądamy tyle. Tylko sto pięćdziesiąt dolarów... Niech no pani idzie do Jareka, zobaczy pani, ile on za taki płaszcz zaceni. My nie dostaliśmy odpowiedniego lokalu i nie płacimy wygórowanego czynszu. Ale takie okrycie warte jest co najmniej dwieście dolarów.

- Ojej, ależ to niemożliwe, żeby tak drogo cenić - zawołała smutnie Hortensja i zaczęła zdejmować futro. Miała uczucie, że los ją pozbawił wszystkiego, co ma jakąś wartość w życiu. - U Biggsa i Becks'a tyle jest fokowych i bobrowych futer i także bardzo eleganckich.

- Może być, może być. Ale takiego płaszcza na pewno nie ma -

zapewniał stanowczym głosem Rubenstein. - Spójrz pani jeszcze raz. Co to za kołnierz... I pani powiada, że dostanie taki sam gdzie indziej? Jeżeli pani dostanie, to ja go kupię i sprzedam pani za sto dolarów... To jest specjalność naszej firmy... To jest kopia najelegantszego modelu z Nowego Jorku, a zrobiony był w lecie jeszcze przed otwarciem sezonu. To jest szyk! Takiego płaszcza jak ten nigdzie pani nie dostanie.

- Być może. Ale tyle nie mogę zapłacić. Sto pięćdziesiąt dolarów - odparła Hortensja ze smutkiem, wkładając swój stary płaszcz z futrzanym kołnierzem i mankietami i zabierając się do wyjścia.

- Czekaj no pani. Podoba się pani to futro? - zawołał Rubenstein zrozumiałwszy, że i sto dolarów byłoby dla niej za drogo, chyba że ją wspomógłby jaki przyjaciel. - To futro warte jest dwieście dolarów na moje sumienie. Od razu to pani powiedziałem. Nasza firma oddaje za sto pięćdziesiąt, ale ja, tylko dla pani, sprzedam je za sto dwadzieścia pięć. Ja to robię dla pani. A to jest prawie darmo. To dziwne, żeby taka śliczna panna nie znalazła z tuzin kawalerów, co by jej chcieli dać taki prezencik i hm, jacy powinni być szczęśliwi... Ja sam mógłbym... gdyby pani była dla mnie dobra...

Pochylił się czule nad nią, a Hortensja pojąwszy charakter tej propozycji odsunęła się urażona, gdyż ten kupczyk nie podobał jej się wcale. Nie obraziła się jednak za komplement, ale powiedziała sobie, że byle komu nie pozwoli sobie robić podobnych prezentów. Nigdy! Może zgodzić się na kogoś, kto jej się będzie podobać, albo na takiego, którego sobie ujarzmi.

I w myśli przebiegała wszystkich swych adoratorów. Który też z nich jest do tego stopnia zakochany, żeby chciał kupić jej to okrycie?

Taki Charlie Wilkins, subiekt ze sklepu tytoniowego, jest niby bardzo jej oddany, nie jest wszakże pewna, czy chciałby się tak wykosztować nie otrzymawszy nic w zamian.

Albo Robert Cane, wysoki, bardzo wesoły i spragniony jej łask

młodzieniec, który pracuje w jednym z towarzystw elektrycznych, ale posadę ma niezbyt lukratywną, jest dopiero początkującym urzędnikiem. Zresztą jest strasznie oszczędny i ciągle mówi o swojej przyszłości.

Jest jeszcze Bert Gettler, z którym chodziła często na zabawy, ale to zwykły trzpiot, dobry tylko do tańca i nie można było liczyć na niego w tym wypadku. Pracuje w sklepie z obuwem, zarabia dwadzieścia dolarów tygodniowo i nie lubi rozstawać się z groszem. Ale jest i Clyde Griffiths. Ten z pewnością ma dosyć pieniędzy i gotów je zawsze wydać na jej zachcianki. Myśli jej szybko pracowały. Czy potrafiłaby go ująć do takiego stopnia, żeby zgodził się na taki kosztowny podarunek? Nie faworyzowała go zbyt do tej pory, pamiętała o tym, więc nie była bardzo pewna.

Stała w sklepie, rozmyślając nad pięknem tego płaszcza i jego ceną, i myśl swą zatrzymała na Clydzie. Pan Izydor stał również, patrzył na nią i domyślał się trochę, jakie zagadnienie stanęło przed nią.

- No i cóż? Jakżeż będzie? - odezwał się w końcu. - Widzę że pani bardzo chciałaby mieć ten płaszczyk. To dobrze, bo i ja chciałbym, żeby go pani miała. A teraz coś pani powiem. Tylko dla pani to zrobię. Dla nikogo tego bym nie zrobił. Niech pani mi przyniesie któregoś dnia, może być w poniedziałek albo we wtorek - sto piętnaście dolarów. Może go jeszcze nie sprzedam do tego czasu. Sto piętnaście dolarów... Więcej jeszcze dla pani zrobię! Zatrzymam go! Dobrze? Do czwartku albo piątku... Nikt więcej nie mógłby zrobić dla pani, co?

Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i robił taką minę, jakby jej rzeczywiście czynił wielką łaskę, i Hortensja wychodząc miała wrażenie, że gdyby tylko mogła skądś wydostać te sto piętnaście dolarów, zrobiłaby doskonały interes. Jakim by tu sposobem wydostać te pieniądze na czwartek albo piątek?...

Rozdział XV

Hortensja wiedziała dobrze, że Clyde'owi zależy bardzo na ich zbliżeniu. Chciał, żeby mu wolno było chociaż tyle, co wolno było innym. Żeby wolno mu było brać ją w objęcia i całować, ile zapragnie. Innym zawsze dotrzymuje słowa, jeżeli chodzi o randkę, tylko jemu albo odmawia, albo spóźnia się, albo nie przychodzi wcale. Czyż jej wcale na nim nie zależy? Nie wiedział, jaki jest właściwie jej stosunek do innych. Czy istotnie woli ich niż jego? Ilekroć znaleźli się razem, zawsze ta sprawa wysuwała się na pierwszy plan.

A ona z rozkoszą patrzyła, jak Clyde cierpi z tajonej żądz, miło jej było czuć, że ona go dręczy i że moc uśmierzenia jego cierpienia leży w jej ręku. Ten rys sadystyczny miał oddźwięk we własnym cierpieniu Clyde'a, który w swym bólu znajdował masochistyczną rozkosz.

Wobec jednak zagadnienia, skąd wziąć pieniądze na płaszcz, wzrosło jej zainteresowanie chłopcem. Poprzedniego ranka zawiadomiła Clyde'a, że będzie mogła zobaczyć się z nim dopiero w następny poniedziałek - nie wcześniej bo wszystkie wieczory ma zajęte, że jednak dylemat owego okrycia stał ciągle w jej myślach, postanowiła jak najprędzej ułożyć z nim spotkanie w taki wszakże sposób, żeby nie wiedział, że jej tak bardzo na tym zależy. Stało przed nią pasjonujące zadanie, jak go przekonać, że powinien kupić jej futro. Musi w każdym razie zmienić radykalnie swój sposób postępowania z nim. Musi być czulsza, bardziej uwodzicielska. Jakkolwiek nie przyznawała się przed sobą wyraźnie, że taka taktyka zakończyć się musi zupełnym jej oddaniem się, jednak leżało to na dnie jej myśli.

Jakże więc to zrobić? Od czego zacząć? Jak zrobić, żeby się z nim zobaczyć dzisiaj, a najdalej jutro? Jakimi środkami skłoni go do

ofiarowania takiego podarku? A może w formie pożyczki?... Mogłaby mu napomknąć, że gdyby pożyczył jej na kupno tego okrycia, ona spłacałaby ten dług ratami. (Niechby już futro miała w swych rękach, a była pewna, że on nie wspomniałby jej nawet o długu.) A gdyby nie miał na razie takiej sumy, mogłaby się ułożyć z Rubensteinem o kupno na raty, które oczywiście spłacałby Clyde. Tu wyobraziła sobie Izydora Rubensteina, tak nią oczarowanego, że chętnie zgadza się na jak najbardziej przystępne warunki. Pamiętała, że powiedział jej, jakoby sam był gotów ofiarować jej to futro, gdyby wiedział, że będzie dla niego grzeczna.

Postanowiła tedy działać.

Namówi Luizę, aby zabrała swego brata, Clyde'a i Sculla, który był stałym asystentem Luizy na wszystkich wieczorkach, na wczesną zabawę do pewnego lokalu, gdzie miała właśnie zamiar pójść już ze swym najmiłszym towarzyszem, subiektem ze sklepu tytoniowego. Ale teraz nie weźmie ze sobą Charliego, pójdzie tylko z Luizą i Gretą i powie, że Charlie jest chory. W ten sposób będzie mogła pozostać sama z Clyde'em i w powrotnej drodze przejść niechcący koło sklepu Rubensteina...

Było w niej wiele podobieństwa do pająka, który przędzie swą pajęczynę na zgubę muchom, więc instynkt ostrzegł ją, że Luiza mogłaby zdradzić się przed bratem albo i Clyde'em, że to z głowy Hortensji wyszedł ten projekt. A może jeszcze Clyde wspomniałby Luizie o tym płaszczu, czego by wcale sobie nie życzyła, bo nie chciała, żeby jej przyjaciółki wiedziały, w jaki sposób zaopatruje się w stroje.

Nie, nie może w tym wypadku zwracać się do Luizy ani do Grety.

Martwiła się nie na żarty, jak to urządzić. Tymczasem Clyde przechodząc koło sklepu, w którym pracowała, wstąpił, żeby umówić się z Hortensją na niedzielę. Ku wielkiej swej radości ujrzał Hortensję z daleka już witającą go najpiękniejszym uśmiechem i machaniem ręką. Była teraz zajęta, ale w chwilę później zbliżyła się do niego, a rzuciwszy okiem w stronę nadzorcy tego piętra

zawołała:

- Właśnie myślałam o panu, a czy pan myślał o mnie? - i dodała półgłosem: - Proszę tak się zachowywać, jakby pan był klientem. Widzę, że idzie nasz nadzorca.

Niezwykła u niej słodycz głosu przykuła go do miejsca. I ten czarujący uśmiech, jakim go powitała... Od razu więc ożywił się i nabrał odwagi.

- Czy myślałem o pani? - powiedział wesoło. - Czy ja myślę o kimś innym? Ratterer powiada, że porządnie nabiłem sobie panią głowę.

- Och, Ratterer... - odparła wzgardliwie Hortensja, gdyż Ratterer był jedynym mężczyzną, którego nie potrafiła rozkochać w sobie. - Jemu się zdaje, że jest bardzo dowcipny. Żadna z moich koleżanek go nie lubi.

- Ależ Tom jest bardzo porządnym chłopcem - bronił Clyde. - On tylko ma taki sposób mówienia. On bardzo panią lubi.

- O, nie tylko mówienia... - odrzekła Hortensja. - Ale nie mam wcale chęci o nim mówić. Co pan dzisiaj robi o szóstej?

- Jak to? - zawołał Clyde zmartwiony - to pani ma ten wieczór wolny? Myślałem, że wszystkie już są zajęte... Idę do roboty.

Westchnął z rozpaczą na myśl, że Hortensja miała ochotę spędzić z nim razem wieczór, a on nie mógł skorzystać z tego. Ale Hortensja, zobaczywszy jego zmartwioną minę, roześmiała się.

- Owszem, miałam zajęty, ale nie mam ochoty dotrzymać słowa - mówiła ze wzgardliwie wykrzywionymi usteczkami. - Chciałam pójść, ale z panem.

Serce Clyde'a zaczęło bić mocno z radości.

- Ach, jaka szkoda, że muszę iść do roboty... - odezwał się żałośnie patrząc na nią. - A czy pani nie mogłaby tego odłożyć do

jutra. Jutro będę wolny. Wstąpiłem właśnie, żeby się spytać, czyby pani nie zgodziła się na przejażdżkę w niedzielę samochodem. Przyjaciel Hegglanda ma auto, packarda, i w niedzielę moglibyśmy gdzieś pojechać. Poleciał mi zebrać towarzystwo, żeby wybrać się razem do źródeł Excelsioru. Bardzo porządny kompan - dodał, gdyż Hortensja zrobiła minę świadczącą, że to nie interesuje jej wcale.

- Pani go nie zna, ale tak jest. Zresztą możemy o tym później pomówić. Więc jakże, nie mogłaby pani swego projektu odłożyć na jutro? Będę wolny.

Hortensja, widząc kręcącego się nadzorcę, udawała, że pokazuje Clyde'owi chusteczki, i myślała, że to jednak nieznośne odwlekać na całe dwadzieścia cztery godziny ten projekt. A głośno przekonywała, że jutro będzie bardzo trudno, trudniej, niż on przypuszcza. Nie jest pewna, czy to da się zrobić.

- Niech pan udaje, że ogląda te chusteczki - ostrzegła go bojąc się, że nadzorca może im przeszkodzić. - Już mam ten wieczór zajęty - mówiła w zamyśleniu - i nie wiem, czy się to da zmienić. Muszę pomyśleć. Udawała, że się namyśla. - A może się i uda - zakończyła wreszcie. - Postaram się w każdym razie. Więc niech pan będzie na rogu Piętnastej i Maine Street piętnaście po szóstej... nie, lepiej wpół do siódmej, a ja zobaczę, czy będę mogła przyjść. Nie obiecuję na pewno, ale postaram się i pewnie się uda. Dobrze?

Obdarzyła go najśłodszym uśmiechem, a Clyde nie posiadał się z radości. Ona dla niego zmienia swoje projekty! Oczy patrzyły na niego łaskawie, a usta rozchyliły się znów w uśmiechu.

- Będę na pewno! - zawołał. - Może pani na mnie liczyć, że będę. Ale niech mi pani zrobi jedną łaskę.

- Jaką? - spytała nieufnie.

- Niech pani włoży ten mały czarny kapelusik z czerwoną wstążką pod brodą. Tak pani w nim ślicznie.

- Och, rzeczywiście! - roześmiała się. Łatwo było ugłaskać Clyde'a. - Dobrze, włożę. Ale niech pan teraz już idzie. Nadchodzi

ta stara mała, zaraz zrobi chryję. O, ja się nie boję, ale zawsze. Więc o wpół do siódmej. Do widzenia.

Odwróciła się do jakiejś starszej pani, która cierpliwie oczekiwała na zakończenie rozmowy i pytała, czy może dostać muślin. A Clyde drząc z nieoczekiwanego szczęścia skierował się do wyjścia.

Nie zagłębiał się w przyczyny tej nagłej łaskawości i następnego wieczoru punktualnie wpół do siódmej ujrzał ją, zbliżającą się w świetle lamp elektrycznych, wiszących łukiem nad ulicą i rozsypujących niby deszcz swe promienie. Zauważył od razu, że miała na głowie kapelusz, o który prosił.

Była miła i serdeczna dla niego jak nigdy. Zanim zdążył powiedzieć jej, że wygląda ślicznie, i wyrazić radość, że włożyła dla niego ten kapelusz, ona sama zaczęła:

- Ma pan szczęście, bo musiałam komu innemu nie dotrzymać słowa, a do tego jeszcze włożyłam ten stary kapelinder, a strasznie go nie lubię. I to wszystko dlatego, żeby panu zrobić przyjemność. I sama nie wiem nawet, dlaczego to zrobiłam...

- Gdyby pani wiedziała, jak ślicznie wygląda w tym kapeluszu, zawsze by go pani nosiła - zapewniał z zachwytem. - Pani nawet sama nie wie o tym.

- E, taki stary wiecheć - szydziła. - Łatwo pana zadowolić.

- Oczy pani wyglądają jak miękki czarny aksamit - przekonywał ją z żywością. - Cudne. - Przypomniał sobie, że w jednej alkowie w Greenie-Davidsonie wisi portiera z czarnego aksamitu.

- A więc ma je pan dzisiaj - roześmiała się.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, zaczęła opowiadać zmyśloną historię, jak to miała umówioną randkę z pewnym młodzieńcem z towarzystwa - nazywa się Toni Keary - który łązi ciągle za nią i

prosi, żeby poszła z nim na kolację i na tańce. Ale ona go wystrychnęła dzisiaj na dudka, bo wolała pójść z Clyde'em. Naturalnie tylko dzisiaj. Więc powiedziała temu Keary, że nie chce go dzisiaj widzieć i odprawiła go z kwitkiem. Ale wychodząc z magazynu zobaczyła pięknego Toniego, ubranego prosto z igły w jasnopopielaty reglan, getry, jak czekał na nią w swym samochodzie. Byliby udali się do Greena-Davidsona. Był naprawdę bardzo elegancki. Ona go jednak ma dosyć, a w każdym razie dzisiaj nie chciała. Musiała w jakiś sposób uniknąć z nim spotkania, bo na pewno zatrzymałby ją. Udało się doskonale i pobięła inną drogą.

- Żeby pan słyszał, jak moje maleńkie buciki stukały po Sergent i Bailey Place - w malowniczy sposób opisywała swoją ucieczkę. Tak otumaniła Clyde'a sobą i tym wytwornym Kearym, że całą tę bajkę uznał za prawdę.

Podczas drogi do Gaspie, restauracji na Wyandotte Street, o której Clyde dowiedział się świeżo, że jest o wiele lepsza niż Frisselli, Hortensja przystawała od czasu do czasu przed wystawami mówiąc, że musi sobie kupić nowe palto, bo to jest już zniszczone i musi mieć drugie. Clyde z lekka zaczął się domyślać, że Hortensja trochę liczy, iż taki prezent dostanie od niego, i zastanawiał się, czy gdyby jej kupił jakieś okrycie, mógłby ją tym ostatecznie ująć.

Właśnie zbliżyli się do jasno oświetlonej wystawy magazynu Rubensteina, gdzie królował ów wymarzony płaszcz.

- Ach, proszę spojrzeć, co za śliczny płaszczyk - zaczęła takim zachwyconym tonem, jak gdyby po raz pierwszy uderzyło ją piękno tego okrycia. Była to doskonała artystka w udawaniu. - Jakie to wspaniałe, eleganckie okrycie. - Komediancki jej talent wzrastał wraz z chęcią posiadania. - Niech pan spojrzy tylko na ten kołnierz albo na rękawy... A te kieszenie... Marzenie... Jakby się ugrzały w nich moje biedne rączki...

Spojrzała spod oka na Clyde'a, czy to robi na nim wrażenie. On, przejęty jej uniesieniem, przyglądał się strojowi z niemałym zaciekawieniem. Bez kwestii bardzo piękny płaszcz... Ale do licha, ileż to może kosztować? Może Hortensja zachwyca się tak przy nim

tym płaszczem, bo liczy na niego? Pewnie kosztuje co najmniej ze dwieście dolarów. Nie miał najmniejszego pojęcia o wartości tych rzeczy. W każdym razie nie może sobie pozwolić na taki wydatek, tym bardziej teraz, gdy matka zabiera mu tyle pieniędzy tygodniowo dla Esty.

Całe zachowanie Hortensji wzbudziło w nim podejrzenie, że liczy na ten prezent od niego. Zdrętwiał i drgnął z przerażenia.

Tylko cóż? Jeżeli Hortensja tak bardzo pragnie mieć to okrycie, na pewno znajdzie sobie takiego, który jej to kupi. Chociażby taki Toni Keary, o którym właśnie opowiadała. Niestety, to już taki rodzaj dziewczyny. A Clyde'a znienawidzi za to, że nie zadowolili jej życzenia.

Ku większej swej trosce i oburzeniu usłyszał jeszcze jej słowa:

- Ach, co ja bym dała, żeby mieć ten płaszczyk. Na wszystko się zgodzę.

Nie miała co prawda zamiaru postawić tej kwestii tak jasno i niemądrze, chciała tylko dać zręcznie Clyde'owi do zrozumienia, jak jej bardzo na tym zależy.

A Clyde, naiwny jak zwykle, zrozumiał tylko to, co powiedziała. To znaczy... to znaczy... Przez chwilę nie umiał sformułować nawet, co to znaczy. Ale gdyby... gdyby miał pieniądze... Zrozumiał, że ona ma na myśli pewne sposoby, którymi mogłaby dojść do posiadania futra. Ale jak on to załatwi? Jak? Gdyby tylko mógł ofiarować jej ten płaszcz... gdyby jej mógł chociaż obiecać, że będzie mógł kiedyś ofiarować, o ile oczywiście nie jest bardzo drogi... to wtedy... Czy będzie miał dosyć odwagi powiedzieć jej dzisiaj lub jutro, oczywiście, jak się dowie o cenie... powiedzieć, że jeżeli się ona zgodzi... to on... on mógłby ofiarować jej taki płaszcz albo co innego, czego zapragnie. Ale musi mieć pewność, że ona go nie nabierze, jak to już nie raz robiła w podobnych wypadkach. Nie stać go na to, żeby dawać takie prezenty za darmo. Nie jest tak głupi, jak jej się zdaje.

Drżał ze wzruszenia. A ona przyglądając się płaszczeni myślała że powinien wreszcie zrozumieć, o co chodzi. Gotowa jest wynagrodzić go za to. Ale niech mu się nie zdaje, że będzie robiła głupstwa z takim, który nie chce czy nie może zdobyć się na większy wydatek. Nigdy!

Poszli dalej. Podczas obiadu cały czas mówiła o tym płaszczu.

Jaki jest modny, elegancki, jak ślicznie wyglądałby na niej.

- A wie pan co? - odezwała się widząc, że Clyde nie jest pewien, czy będzie mógł sobie pozwolić na taki wydatek i chcąc przyspieszyć jego decyzję. - Zdaje mi się, że będę mogła zafundować sobie to futerko. Pójdę jutro do tego magazynu i pomówię z Rubensteinem, żeby mi go dał na raty. Jedną moją koleżankę kupiła sobie w ten sposób palto dla siebie - skłamała na poczekaniu.

Ale Clyde, przerażony samą myślą, ile może kosztować taka rzecz, i na to nic nie odpowiedział. Nawet w przybliżeniu nie potrafił określić ceny. Może dwieście albo i trzysta dolarów nawet... Jakże może zobowiązywać się, jeżeli nie jest pewien, czy będzie mógł dotrzymać słowa.

- Czy pani nie wie, ile mogą żądać za to? - zapytał w końcu, ale denerwował się myślą, że gdyby nawet zdobył się na taki prezent, czy może mieć gwarancję, że otrzyma jakąś większą nagrodę, bo przecież dotychczas nic nigdy nie otrzymał.

Pamiętał dobrze, ile razy przymilała się do niego, jeżeli chciała wyłudzić coś dla siebie, a potem nawet nie pozwoliła się pocałować. Zaczerwienił się z oburzenia, że uważała go za tak naiwnego. Jednak w tej chwili przypomniał jej słowa, że gotowa zgodzi się na wszystko, aby tylko mieć ten płaszcz.

- Nie...e... - zawahała się na razie, nie wiedząc, czy podać właściwą cenę, czy nieco wyższą. Bo jeżeli Clyde będzie chciał kupić na raty, wtedy Rubenstein może zażądać więcej. Ale jeżeli powie więcej, Clyde może nie będzie mógł wydać tyle. - Ale o ile

mi się zdaje, nie powinno być droższe nad jakieś sto dwadzieścia pięć dolarów. Nie mogłabym więcej zapłacić.

Clyde odetchnął z ulgą. W każdym razie nie dwieście ani trzysta dolarów. Zaczął kombinować, że może by udało się dostać na raty, na przystępnych warunkach - po jakie pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt dolarów, to mógłby wypłacić się w przeciągu dwóch, trzech tygodni. Hortensja musiałaby czekać, aż zbierze taką sumę.

Przy tym wolałby najprzód wiedzieć, czy otrzyma za to jakąś nagrodę czy nie.

- To jest dobra myśl! - zawołał nie tłumacząc się, dlaczego to tak trafia mu do przekonania. - Dlaczego pani już tego nie zrobiła? Czemu pani nie dowiedziała się o cenę i na jakie daliby raty. Może ja bym mógł pani pomóc.

- Ależ to byłoby cudownie. - Klasnęła w ręce. Chciałby pan? No, to już wiem, że futro moje. Jestem pewna, że na warunki Rubenstein się zgodzi. Sama z nim o tym pomówię.

Nie pamiętała już wcale, jak się tego obawiał Clyde, że tylko on był w stanie kupić jej takie okrycie. A jakżeż będzie z gwarancją?

Hortensja jednak przyjrząwszy się jego smutnej minie dodała:

- Pan jest strasznie kochanym chłopcem, jak Bożę kocham. Przysięgam panu, że nie zapomnę nigdy, co jestem panu winna. Zobacz pan. Nie martwić się teraz. Ale trzeba na to poczekać...

Wesołe jej oczy obiecywały szczodłą nagrodę.

On może być potulny i młody, ale nie jest głupi. Sama rozumie, że powinna go wynagrodzić, już to sobie postanowiła. Zanim dostanie płaszcz w swoje ręce, co potrwa tydzień albo i więcej, będzie dobra dla niego, bardzo dobra.

Aby dać mu poznać, co w tej chwili myśli, patrzyła nań obiecująco słodkimi, marzącymi oczyma. Było to tak wymowne, że opadł z sił ze

zdenerwowania. Przedsmak tych łask przerażał go nawet, bo zapowiadał niezwykle rozmach, któremu może nie zdoła sprostać. Czuł się jakiś słaby, nieco tchórzliwy wobec tego, co zapowiadała jej czułość.

Zgodził się, że jeżeli płaszcz nie będzie drożej kosztował nad sto dwadzieścia pięć dolarów i będzie można tę sumę podzielić na raty po pięćdziesiąt dolarów, on postara się o pieniądze. Ona zaś, uszczęśliwiona, zapowiedziała, że zaraz jutro pójdzie omówić warunki. Rubenstein pewnie się zgodzi, a jeżeli nie, to może zechce poczekać dwa tygodnie i wówczas da mu się całą sumę od razu.

Czując prawdziwą wdzięczność tuliła się do niego po wyjściu z restauracji jak kotka i szeptała, że nigdy mu tego nie zapomni. Może być tego pewien. A ten płaszcz włoży po raz pierwszy na siebie tylko dla niego. Jeżeli będzie wolny, będą mogli pójść gdzieś na obiad albo ubierze się na tę przejażdżkę samochodową, którą proponował. Ale może będzie odłożona.

Namówiła go, żeby pójść teraz na dansing i tam w tańcu przytuliła się do niego w jakiś szczególny sposób, a potem czyniła pewne aluzje, które wprawiały Clyde'a w dziki niepokój i zdenerwowanie.

Znalazł się wreszcie w domu. Potem cały dzień marzył o swej dziewczynie i był zadowolony, że nie będzie miał kłopotu z pierwszą ratą, chociażby nawet wynosiła pięćdziesiąt dolarów, bo miał zamiar w razie czego pożyczyć dwadzieścia pięć od Ratterera albo Hegglunda, a oddać wtedy, gdy płaszcz będzie już spłacony.

Ach, ta śliczna Hortensja! Ileż w niej uroku, zniewalającego, niesłychanego czaru... I pomyśleć tylko, że już wkrótce będzie nareszcie należała do niego...

Nie, to wprost nie do wiary, żeby takie marzenie stało się rzeczywistością...

Rozdział XVI

A więc Hortensja wybrała się nazajutrz do Rubensteina i z całą przebiegłością swego charakteru wyłożyła mu swój plan. Czy zgodzi się oddać jej ten płaszcz na dogodnych warunkach na raty?

Głowa pana Rubensteina wykonała przeczący ruch. Ich magazyn nie daje na raty. Jeżeliby chciał w ten sposób prowadzić interes, musiałby sprzedać ten płaszcz za dwieście dolarów i na pewno dostałby tyle.

- Ale ja mogę dać od razu pięćdziesiąt dolarów - tłumaczyła Hortensja.

Bardzo pięknie. Ale jaką mam gwarancję, że otrzymam pozostałe sześćdziesiąt pięć i kiedy?

- Następnego tygodnia dwadzieścia pięć i w tydzień później znowu dwadzieścia pięć, a w końcu piętnaście.

- Oczywiście. Ale przypuśćmy, że płaci pani pierwszą ratę, zabiera pani płaszcz, a tymczasem najeżdża na panią samochód i zabija... W jaki sposób odbiorę wtedy pieniądze?

Wszczął się dyskurs. Cóż z tego, że ona zapewnia, że to ktoś kupuje dla niej to futro. To wszystko jedno, bo i tak musiałby ktoś podzyrować weksel. Nie, nie, nasz magazyn nie sprzedaje na raty. To jest dom solidny. I dlatego tylko może sprzedać okrycie za sto piętnaście dolarów, ale ani centa taniej. Ani jednego centa opuścić nie może.

Rubenstein wzdychał i gadał. Wreszcie Hortensja zapytała się, czy gdyby teraz dała siedemdziesiąt pięć dolarów, a za tydzień resztę,

czy pozwoliliby jej zabrać płaszcz od razu?

- Owszem, ale dopiero za tydzień... Co to jest tydzień? - tłumaczył Rubenstein. - Jeżeli pani może dać dziś czy jutro siedemdziesiąt pięć dolarów, a za tydzień czterdzieści, to dlaczego nie poczekać tygodnia i przynieść wszystko od razu? Płaszcz będzie przecież i tak do pani należał za tydzień... Niech mi pani da zadatku dwadzieścia pięć albo trzydzieści dolarów, a ja zdejmę płaszcz z wystawy i schowam go dla pani. Nikt go już nie zobaczy. Za tydzień przyniesie mi pani resztę, no niech będzie za dwa tygodnie i zabierze pani swoje futro.

Pan Rubenstein tłumaczył poważnie całą sprawę, jakby trudno było ją zrozumieć. Ale trafiło to do jej przekonania. Trudno było się z tym spierać. Tylko popsuł się jej humor. Taką miała ochotę zaraz ubrać się w nowe futro. Później jednak wyperswadowała sobie. Bo przecież czas prędko minie, a jeżeli Clyde dotrzyma słowa, wystroi się niedługo. A teraz musi go tylko skłonić, żeby dał te dwadzieścia pięć czy trzydzieści dolarów na zadatek. Ale że miała zamiar kupić sobie nowy kapelusz, odpowiedni do futra, postanowiła powiedzieć mu, że futro kosztować będzie sto dwadzieścia pięć dolarów.

Gdy całą sprawę przedstawiła Clyde'owi, uznał to za bardzo rozsądne. Jeszcze dziś nie mógł ochłonąć po ostatniej rozmowie z Hortensją, więc teraz odetchnął z ulgą. Bo właściwie nie wiedział, skąd ma wziąć więcej niż trzydzieści dolarów w pierwszym tygodniu. Następny tydzień będzie łatwiejszy, bo miał zamiar pożyczyć od Ratterera, co razem z jego napiwkami wystarczy na zapłacenie drugiej raty. Później pożyczycy jeszcze dziesięć albo piętnaście od Hegglunda, a może nawet więcej, a gdyby nie wystarczyło, zastawi zegarek, który sobie parę miesięcy temu kupił. Dadzą mu chyba piętnaście dolarów, kosztował pięćdziesiąt.

W tej chwili przypominał sobie, że w tym wstrętym swoim pokoju siedzi Esta w oczekiwaniu na ostateczne rozwiązanie swego romansu. Jak zamierzała wybrnąć z tej sytuacji? - zapytywał siebie tym uporczywiej, że w obliczu tego faktu wcale nie miał ochoty przykładać się do rozwiązania finansowego problemu, jak to

przypuszczała jego rodzina. Ojciec jego teraz, jak zresztą nigdy, nie był materialną podporą matki. Więc jakże Clyde z tego wybrnie, jeżeli wszystko ma się na nim oprzeć? Ach, czy też ojciec nie może co innego robić, tylko sprzedawać dywaniki i zegarki i prawić kazania po ulicach? Czyżby rodzice nie mogli raz zaprzestać tych misji?

Wiedział jednak dobrze, że sytuacji tej nie rozwiąże się bez jego pomocy, a przekonał się o tym przy końcu tygodnia, gdy miał już w kieszeni pięćdziesiąt dolarów dla Hortensji.

W niedzielę matka zajrzawszy do jego pokoju, gdzie się przebierał, odezwała się:

- Chciałabym z tobą pomówić, zanim wyjdiesz.

Zauważył że powiedziała to z bardzo poważną miną. Od paru dni już widział, że była jakaś przygnębiona. Lecz jednocześnie pomyślał, że mając ostatecznie zhipotekowane swoje dochody, nic nie może więcej zrobić. Matce nic więcej dać nie może, bo przecież straciłby Hortensję. A na to nie mógł się zgodzić.

Ale jaki poda powód odmawiając jej pomocy, zwłaszcza że wiedziała, ile wydawał na ubranie, i domyślać się musiała, że nie żałuje sobie na rozrywki, na które biegnąc wykręcał się przed nią, że idzie do pracy. Z pewnością mu nie wierzyła. Ale przed dwoma miesiącami obiecał jej płacić przez pięć tygodni po dziesięć dolarów i dotrzymał obietnicy. Matka jednak mogła sądzić, że mu to łatwo przychodzi, jakkolwiek utyskiwał zawsze, że musi teraz bardzo oszczędzać. Mimo całego współczucia nie mógł przychylić się oczekiwaniom matki, gdyż pożądanie Hortensji było silniejszym bodźcem.

Wszedł po chwili do tak zwanego saloniku, skąd matka wyprowadziła go na ławkę w pokoju misyjnym - ponurej, zimnej izbie.

- Nie myślałam, że będę zmuszona z tobą o tym mówić, Clyde, ale nie widzę innego sposobu. Nie mam nikogo prócz ciebie, na kim

mogłabym się oprzeć, tym bardziej że już jesteś dorosły. Ale musisz mi obiecać, że nie będziesz o tym nikomu opowiadał - ani Frankowi, ani Julii, a nawet ojcu. Nie chcę żeby wiedzieli...
Widzisz... Esta wróciła do Kansas City, a ja sama nie wiem, co z tym zrobić. Mam za mało pieniędzy, a ojciec mi przecież nie dopomoże.

Przesunęła spracowaną ręką po czole, a Clyde wiedział już, co to znaczy. Na razie chciał powiedzieć, że nie wie nic o obecności Esty w mieście, bo dotychczas nie wydał się z tym, lecz wobec zwierzenia matki, po którym trzeba byłoby udąć zdziwienie, odparł:

- Wiem o tym.

- Wiesz? - zapytała zdziwiona.

- Tak, wiem - powtórzył. - Widziałem, jak raz, mamó, weszłaś do jednego z domów na Beaudry Street i zobaczyłem Estę wyglądającą przez okno - opowiadał spokojnie. - Potem wszedłem sam.

- Jak dawno to było? - zapytała chcąc widocznie zyskać tylko na czasie.

- Jakies pięć czy sześć tygodni temu. Byłem już tam od tej pory kilka razy. Ale Esta nie chciała mi nic o sobie opowiadać.

- Ts, ts, ts - cmoknęła Griffithsowa. - Więc wiesz, w jakim jest położeniu?

- Wiem.

- Tak, stało się to, co musiało się stać - odezwała się z rezygnacją. - Nie wspomniałeś o tym Frankowi albo Julii?

- Nie - odrzekł Clyde zamyśliwszy się nad tym, że nieszczęście nauczyło matkę skrytości. Nigdy nie umiała nikogo wprowadzić w błąd, nawet ojca. Clyde zawsze uważał się za bardziej zręcznego pod tym względem.

- Tak, nie należy nic mówić - ostrzegła matka uroczyście. -
Lepiej, żeby nie wiedzieli. To jest takie okropne - dodała
krzywiąc dziwnie usta, Clyde jednak myślał w tej chwili o
Hortensji.

- I pomyśleć tylko - odezwała się znów po chwili, a oczy jej
przesłoniła smutna szara mgła - przez nią i my cierpimy. A
przecież nic nie zawiniliśmy... Po tylu naukach, jakie tu
słyszała... Droga występku...

Potrząsnęła głową i złożonywszy ręce zacisnęła je mocno. Clyde
patrzył na nią i przyszło mu na myśl, że ta przykra sytuacja może
mieć pewne znaczenie i dla niego.

Siedziała zgnębiona i przejęta swą rolą w tej sprawie. Przecież
kłamała jak każdy inny. A Clyde jest doskonale poinformowany o jej
fałszywym, wykrętnym postępowaniu. Uważał ją na pewno za
przewrotną
i nieszczerą. Ale przecież ona chciała tylko ich wszystkich
oszczędzić... i Clyde'a, i resztę rodziny. Clyde jest na tyle
dojrzały, że powinien to zrozumieć. Zaczęła więc tłumaczyć się,
dlaczego to robiła, i wyznała, że jest jej z tym bardzo źle. I
wtedy zwróciła się do syna o pomoc.

- Estę czeka niedługo choroba - mówiła sztywniejac nagle. Nie
mogła patrzeć w oczy synowi, ale dziś postanowiła powiedzieć mu o
wszystkim. - Będzie niedługo potrzebowała doktora i jeszcze kogoś
przy sobie w czasie, gdy ja jestem przy niej nieobecna. Muszę
wydostać skądkolwiek trochę pieniędzy... przynajmniej z
pięćdziesiąt dolarów. A może byś ty mógł mi się jakimś sposobem
wystarać... pożyczyć może od któregoś z kolegów na parę tygodni?
Za to nic nie będziesz płacił mi za pokój.

Patrzyła na Clyde'a z takim naprężeniem, że był poruszony do głębi
tą zniewalającą siłą malującą się w jej spojrzeniu. Zanim zdążył
odpowiedzią swą pogłębić jeszcze piętno udręki, wryte na jej
twarzy, dodała:

- Tamte pieniądze też były dla niej... na jej powrót, gdy ją...

ją... - zawahała się przed wymówieniem właściwego słowa - mąż zostawił w Pittsburgu. Pewnie ci o tym opowiadała.

- Opowiadała - odparł Clyde z powagą i smutkiem.

Rzeczywiście, położenie Esty było krytyczne, czym dotychczas nie przejmował się zbyt.

- Mamo - zawołał. Te pięćdziesiąt dolarów, które miał w kieszeni, i ich przeznaczenie kłopotowały go niezmiernie. Była to właśnie suma, jakiej potrzebowała matka. - Nie wiem jeszcze, czy będę mógł coś zrobić, czy nie. Nie wiem także, czy któryś z moich kolegów będzie mógł mi pomóc. Oni też nie więcej zarabiają niż ja. Mogłbym pożyczyć trochę, ale to nie bardzo dobrze wygląda...

Jąkał się i przęłykał ślinę, bo kłamanie przed matką nie przychodziło mu z łatwością. Co prawda nigdy nie miał sposobności do tak nikczemnych kłamstw: miał w kieszeni pięćdziesiąt dolarów dla Hortensji, a pieniądze te wybawiłyby z kłopotu i matkę, i siostrę i miałyby o wiele szlachetniejsze przeznaczenie. Przecież to podle nie chceć im pomóc. Jakże on może odmówić?

Oblizywał nerwowo wargi i przesunął ręką po czole, z którego pot spływał na twarz. Czuł znużenie, czuł, że jest podły, i czuł, że nie potrafi z tego wybrnąć.

- A może sam masz trochę pieniędzy i mógłbyś mi dać? - prosiła matka. - Bo Esta tyłu rzeczy potrzebuje w swoim stanie i to natychmiast, a nic prawie nie ma.

- Nie, nie mam, mamo - odrzekł patrząc na matkę nieśmiało z takim wyrazem, że gdyby nie była taka zatroskana, spostrzegłaby fałsz na jego twarzy.

Ważyło się w duszy Clyde'a współczucie pomieszane ze wzdrganiem dla siebie oraz litością dla matki. Nie mógł znieść tej myśli, żeby miał stracić Hortensję. Musi ją mieć... Ale matka jest taka samotna i nie ma żadnej podpory... To wstyd! Wie, że jest podły, naprawdę nikczemny. Może kiedyś zostanie za to ukarany?...

Obmyślał, czy nie uda się w inny sposób wydostać skąd pieniędzy. Żeby miał trochę więcej czasu, jakieś parę tygodni. Albo gdyby Hortensja nie nabiła sobie głowy tym futrem...

- Co ja mogę poradzić? Niewiele mogę... - odezwał się bezmyślnie i głupio, a matka tymczasem cmokała w zamyśleniu swoje: ts, ts, ts.
- Może przyda się tymczasem choć pięć dolarów?

- Choć niewiele, ale się przyda - odpowiedziała.

- Tyle tylko mogę dać - powiedział myśląc, że dołoży w przyszłym tygodniu z napiwków. A może więcej trochę zarobi... - A w przyszłym tygodniu zobaczę, może będę mógł dać więcej. Może z jakie dziesięć dolarów... Nie mogę obiecywać na pewno. Te pieniądze, które dałem mamie, musiałem pożyczyć i jeszcze nie oddałem, a gdybym chciał znowu pożyczyć, pomyśleliby... wiesz dobrze, mammo...

Matka westchnęła myśląc o nędzy, która ją zmuszała obarczać kłopotami tak młodego syna. I to wtedy, kiedy on zaczyna sam żyć. Co on kiedyś pomyśli o tym? Co będzie myślał o niej, o siostrze, rodzinie? Znała jego ambicje, jego pragnienia i odwagę, ale wiedziała też, że Clyde nie był silny ani fizycznie, ani moralnie, ani umysłowo. W chwilach, gdy jego nerwy zaczynały działać, widać było, że więcej dziedziczył po ojcu niż po matce. A jednak tak łatwo było go pobudzić do działania. Umiał wtedy zdobyć się na wysiłek i napięcie woli, chociaż nie leżało to w jego charakterze. A teraz, dzięki Eście i nieszczęsnym warunkom życia, własna matka kładzie mu na barki takie brzemie.

- Cóż, jeżeli nie możesz, to trudno - odpowiedziała. - Muszę spróbować innej drogi.

Lecz nie widziała żadnej łatwej drogi przed sobą.

Rozdział XVII

Projektowana przez Hegglunda przejażdżka samochodem uległa pewnej zmianie. Auto - bardzo wytworny packard - mogło być użyte tylko w czwartek albo w piątek. Jak wszystkim było wiadomo, auto należało do niejakiego pana Kimbarka, starszego, bardzo bogatego jegomościa, który obecnie podróżował po Azji.

Przyjaciel Hegglunda nie był wcale szoferem, lecz synem Sparsera, rządcy w jednej z farm pana Kimbarka. Synalek, łobuz i próżniak, wolał udawać, że jest czymś więcej niż synem zwyczajnego oficjalisty, a mając pod tymczasowym nadzorem samochody, wziął sobie jeden z najlepszych i jeździł.

Hegglund wiedząc o tym zaproponował, żeby Sparser zabrał całą ich paczkę na spacer. Owszem, przyjaciel chętnie na to się zgodził. Ale zanim zaproszono całe towarzystwo, co zajęło trochę czasu, pan Kimbark zawiadomił, że powraca w tych dniach. Wiliam Sparser, zbity nieco z tropu, obiecał sobie, że już ani razu nie użyje cudzego samochodu. Bał się, że właściciel może przyjechać niespodzianie.

Gdy przedstawił tę przeszkodę Hegglundowi, ten wyśmiał jego skrupuły, jako że sam najwięcej cieszył się na tę wycieczkę. Cóż to za przeszkoda? A cóż się stanie samochodowi? Tyle się napracował, żeby zebrać całe towarzystwo, a teraz co im powie?

Ostatecznie wyznaczono popołudniowe godziny w najbliższy piątek na ten spacer. Clyde miał również jechać, oczywiście z Hortensją, która do gruntu zmieniła swoje postępowanie i zgodziła się pojechać w jego towarzystwie.

Ponieważ auto miało być wzięte bez zezwolenia właściciela, ustalono punkt zborny na jakiejś odległej ulicy. Chłopcy mieli się

zejść na Siedemnastej koło West Prospect, skąd pojedą po panny w strony bardziej przyzwoite, na róg Dwudziestej i Washington Street.

Celem wycieczki miała być mała gospoda - Wigwam - o jakieś dwie milki od Excelsioru. Otwarta była cały rok. Znajdowała się tam restauracja, sala do tańca i hotel. Szafa grająca i pianola dostarczały potrzebnej muzyki. Miejsce to było dość uczęszczane i Hegglund oraz Highby, którzy tu już nieraz byli, opowiadali, że jest tam bardzo elegancko. Jedzenie dają dobre, a i droga tam prowadzi doskonała. Niedaleko płynie rzeka, można więc w lecie wiosłować i łowić ryby. W zimie urządzona jest tam ślizgawka. Oczywiście teraz, w styczniu, droga jest zasypana śniegiem, ale przyjechać można i widoki są bardzo piękne. Niedaleko Excelsioru jest jezioro zamarznęte o tej porze i Hegglund, pełen werwy i animuszu, zapewniał, że będą się mogli poślizgać.

- Czyś ty słyszał, żeby kto ślizgał się na takiej wycieczce? - zadrwił Ratterer. Uważał, że na takich zabawach nie ma miejsca na sporty, bo wszyscy są zajęci dziewczynkami.

- A czy możesz sobie wyobrazić chłopca, który by nie palił się do ślizgawki? - odpowiedział autor pomysłu.

Prócz Sparsera jeden tylko Clyde czuł pewien niepokój przed wycieczką. Myśl, że auto nie należało do Sparsera, lecz do jego chlebodawcy, zniechęcała go do zabawy, a nawet drażniła. Nie mógł się zgodzić z tym, żeby brać coś, co należało do kogoś innego, choćby na krótko. Może się coś przytrafić... Mogą być wykryci...

- Czy nie uważasz, że niebezpiecznie jest jechać tym samochodem? - zapytał Ratterera na parę dni przed wycieczką, gdy dowiedział się prawdy.

- O, nie sądzę - odparł Ratterer, który był przyzwyczajony do takich pomysłów i wcale się nimi nie przejmował. - Przecież to nie ja biorę auto, ani ty także. Jeżeli on chce je wziąć, to jest tylko jego sprawa. Co mnie to obchodzi. Zależy mi tylko na tym,

żeby mnie odstawiono na czas. To jedno mogłoby mnie tylko niepokoić.

Highby, który przyszedł w tej chwili, wyraził to samo zdanie. Clyde jednak czuł pewien niepokój. Może się coś stać w drodze i nie zdąży przybyć na czas do roboty. Może stracić zajęcie przez takie głupstwo.

Lecz pokusa była zbyt wielka. Jakże to będzie przyjemnie jechać z Hortensją i z całym tak miłym towarzystwem i w dodatku tak ślicznym autem.

Więc zaraz po południu w piątek wszyscy zebrali się w oznaczonych miejscach. Hegglund, Ratterer, Highby i Clyde na rogu Siedemnastej i West Prospect, tuż przy linii kolejowej; Maida Axelrod, przyjaciółka Hegglunda, Lucylla Nickolas, przyjaciółka Ratterera, Tina Kogel dla Highby'ego, a oprócz nich Laura Sipe, którą przyprowadziła Tina dla Sparsera, czekały na Dwudziestej przy Washington Street. Hortensja nie stawiała się, bo w ostatniej chwili powiedziała, że musi po coś wstąpić do domu, więc żeby po nią przyjechali na Czterdziestą Ósmą, gdzie mieszkała. Pojechali oczywiście, niezbyt jednak z tego zadowoleni.

Był to dzień u schyłku stycznia, trochę mglisty, z nisko wiszącymi chmurami, szczególnie w okolicy Kansas City. Zanosilo się nawet na śnieg, z czego wszyscy się cieszyli, gdyż dodawałby uroku widokom.

- Ach, jak ja bym chciała, żeby był śnieg - zawołała Tina, gdy ktoś wyraził takie przypuszczenie.

A Lucylla dodała:

- Ja także lubię czasami, jak śnieg pada.

Przejechali miasto; minęli most Hannibala, prowadzący do Harlemu, i podążyli drogą biegnącą równolegle do rzeki. Dalej była już lepsza szosa, widać było małe farmy i smętkiem tchnące, śniegiem pokryte wzgórza. Clyde, który nie wyjeżdżał nigdy daleko poza

Kansas City, zachwycony był tą przejażdżką. Takie to było odmienne od codziennego życia. A przy tym Hortensja była taka wesoła i serdeczna dla niego. Przysunęła się bliżej, a on, widząc, że koledzy ściskają już swe przyjaciółki, otoczył ramieniem Hortensję i przytulił do siebie. I nawet nie bardzo protestowała przeciw temu. Powiedziała tylko:

- Lepiej chyba będzie, jeżeli zdejmę kapelusz.

Wszyscy roześmieli się. Czasami od niechcienia śmiesznie tak coś powiedziała, że wszyscy się tym bawili.

Uczesała się dzisiaj inaczej i było jej tak o wiele ładniej. Chciała więc, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

Czy będzie tam można potańczyć? - rzuciła pytanie nie patrząc na nikogo.

- Z pewnością - odpowiedział Highby, który, przyciskając do siebie Tinę, przekonywał ją, że powinna także zdjąć kapelusz. - Jest tam pianola. Ale zapomniałem wziąć ze sobą kornet. Umiem grać na nim dixie.

Po śnieżnobiałej szosie auto pędziło na złamanie karku. Sparser uważał, że potrafi równie dobrze kierować samochodem jak sam właściciel i teraz na takiej drodze chciał wypróbować jego szybkość.

Zarysy lasów przesuwały się z prawej i lewej strony. Pola spływały, wzgórza podnosiły się i opadały jak fale. Tuż przy drodze przemknęło szybko z szeroko rozpostartymi ramionami straszycło w kapeluszu, przekrzywionym na bakier, trzepocząc na wietrze. Z pobliza sfrunęło stado wron kierując się ku odległemu lasowi, lekkim konturem zarysowanemu na śniegu.

Na przodzie obok Laury Sipe siedział Sparser. Minę miał taką, jakby to wspaniałe auto było dla niego czymś niezmiernie pospolitym. Myślał teraz o Hortensji, podobała mu się bardzo, ale uważał za swój obowiązek zajmować się Laurą jako dawniejszą

znajomą, której już nie raz okazywał swoje względy. Niech wiedzą, że i on zna się na galanterii należnej damom, objął więc jedną ręką Laure, a drugą prowadził auto, co niesłychanie przerażało Clyde'a, który w ogóle wątpił w jego umiejętność prowadzenia samochodu. Nic łatwiejszego o wypadek przy takim pędzie.

Tymczasem Hortensję interesował głównie fakt, że ma nowego wielbiciela, bo Sparser wyraźnie okazywał, że podobała mu się bardzo. Musiał jednak zajmować się Laurą, chciał czy nie. A gdy przechylił się do swej towarzyszki z zapytaniem, czy często jeździła samochodem po Kansas City, Hortensja uśmiechnęła się tylko do siebie.

Ratterer zauważył ruch Sparsera i trącił Lucyllę, ta znów trąciła Highby'ego aby zwrócić uwagę na sentymentalną scenę na przodzie.

- Dobrze ci tam, Wiliamie? - spytał przyjaźnie Ratterer.

- Doskonale - odrzekł Sparser nie obracając się. - A tobie, moja panienko?

- O, bardzo dobrze - odpowiedziała Laura.

Clyde skonstatował, że żadna z dziewcząt nie może równać się z Hortensją. Żadna nie była taka śliczna. Wystroiła się w czarny płaszczyk w czerwone prążki, na głowie miała ciemnoczerwony beret. Na lewym policzku tuż koło lekko wyróżzowanych ust przylepiła maleńką czarną muszkę, jak to widziała na portrecie jakiejś piękności. Postanowiła dzisiaj przyćmić urodą wszystkie dziewczęta i czuła, że jej się to udało. Clyde był również tego samego zdania.

- Cacana jest dzisiaj moja pani. Najszykowniejsza ze wszystkich - szepnął tuląc ją do siebie.

- A pan tylko słodkości potrafi gadać - odpowiedziała głośno.

Wszyscy się roześmieli, a Clyde zaczerwienił się lekko.

Za Minaville zjechali po pochyłości w dolinę, gdzie był wiejski sklepik, i tam Hegglund, Ratterer i Highby wysiedli i przynieśli cukierków, papierosów i piwa korzennego. Pojechali dalej i minawszy Liberty nie dojeżdżając do Excelsioru ujrzeli wreszcie Wigwam, który był niewielkim dwupiętrowym budynkiem folwarcznym, przytulonym do wzgórza. Wewnątrz jednak znaleźli nowiutki lokal, składający się z sali jadalnej, estrady do tańca i ukrytego za przepierzeniem baru. Na wielkim kominie płonął suty ogień. Sprzed domu widać było płynącą w dolinie rzekę Benton, a właściwie strumień, pokryty teraz mocnym lodem.

- Masz swoją rzekę - zawołał Highby śmiejąc się.

Pomagał wysiąść Tinie i był bardzo wesoło nastrojony, jako że w drodze rozgrzewał się ciągle różnymi trunkami. Wszyscy przystanęli przyglądając się z zachwytem strumieniowi, który kręcił swą drogę między drzewami.

- Chciałem zabrać łyżwy, ale nie dali mi... - westchnął Hegglund.

- Cóż robić.

Lucylla zobaczyła już migotanie ognia przez szyby małego okienka gospody i zawołała:

- Patrzcie, tam jest ognisko!

Auto zaparkowano i wszyscy weszli do gospody. Highby od razu puścił w ruch wielką, hałaśliwą, rozklekotaną pianolę.

Hegglund nie dał się prześcignąć, bo pobiegł do szafy grającej, stojącej w rogu, i założył płytę z "Osiwiałym niedźwiedziem".

Usłyszawszy dobrze znane wszystkim dźwięki Tina zawołała:

- Och, zatańczmy teraz, dobrze? Zatrzymaj tę starość.

- Owszem, ale jak się wykręci - obiecywał Ratterer śmiejąc się. - Tylko w ten sposób można zatrzymać.

Ale nadszedł kelner i Highby zaczął się dopytywać, co kto będzie jadł. Hortensja, pragnąc roztoczyć cały swój powab, stanęła na środku i udawała starego, osiwiatego niedźwiedzia, chodzącego na tylnych łapach. Robiła to zabawnie i z wielkim wdziękiem. Sparser, widząc ją samą stojącą na środku sali, podbiegł do niej i, żeby zwrócić na siebie jej uwagę zaczął naśladować ruchy Hortensji. Wcale zręcznie to robił i Hortensja bez namysłu podała mu rękę. Ruszyli żywo w takt one-stepa.

Rozkochany Clyde nie był dobrym tancerzem i posmutniał od razu nękanym zazdrością. Uważał, że to z jej strony wcale niepięknie tak go porzucić i to na samym początku zabawy. Ona zaś zadowolona z nowej konkiety nie zwracała wcale uwagi na Clyde'a. Sparser to zupełnie co innego, elegancki młodzieniec, tak świetnie umie jej dotrzymać kroku w tańcu.

Naturalnie inne pary poszły też za ich przykładem, każdy chłopiec złapał swą przyjaciółkę, tylko Laura została dla Clyde'a, który wcale za nią nie przepadał. Żeby chociaż była ładniejsza. Miała taką pucołowatą twarz z małymi oczkami... Clyde, niezbyt utalentowany tancerz, wykonywał prawidłowego one-stepa, oni zaś rozbawieni przeginali się, przechylali, balansowali.

Clyde nie tracił z oczu swej ukochanej i, nurtowany bezsilną wściekłością, widział, że Sparser przyciskał mocno Hortensję do siebie i patrzył jej prosto w oczy. A ona na to pozwalała... Uczuł ciężar ołowiu w sercu. Czyż to możliwe, żeby się jej podobał ten łobuz? Chyba dlatego tylko, że miał samochód. A przecież obiecała być dobrą dla Clyde'a... Zaczynał pojmować jej płochość, zaczynał rozumieć, że jest jej obojętny. Chciał się zdobyć na jakiś gwałtowny czyn - zatrzymać tańce i odebrać ją Sparserowi. Ale nie mógł tego uczynić, dopóki płyta się nie skończy.

Wreszcie nadszedł kelner z tacą i ustawiał cocktaile, piwo i sandwicze na trzech małych stolikach, które przystawił do siebie.

Wszyscy prócz Hortensji i Sparsera - co zauważył Clyde - przestali tańczyć i zbliżyli się do stołów.

Kokietka bez serca! Nic a nic o niego nie dba! I to teraz, gdy zdawało się, że zaczyna się do niego przekonywać, gdy przyjęła od niego ten płaszcz. Niech więc idzie do diabła. On jej pokaże!...

A tak liczył już na nią... Czy nie będzie temu końca?

Wreszcie widząc, że wszyscy zebrali się przy stołach i ostatnia para przestała tańczyć, stanął z boku, blady i ponury z obojętną pozornie miną. Laura, która zauważyła jego wściekłość i domyślała się powodów, podeszła do Tiny i zaczęły coś ze sobą szeptać.

Nareszcie Hortensja spostrzegła posępną minę Clyde'a i zbliżyła się do niego tanecznym krokiem.

- Ach, jak cudownie się tańczy - zaczęła. - Jak ja lubię tańczyć przy takiej muzyce...

- Wierzę, cudownie, ale tylko dla pani - odrzekł Clyde, palony zazdrością i bólem.

- Też coś! O co chodzi? - zapytała zniżonym i obrażonym tonem udając, że nic nie rozumie. - Przecież nie będzie się pan chyba gniewał za to, że potańczyłam troszkę. Ależ to idiotyczne! Dlaczegoż pan nie zbliżył się pierwszy i nie zatańczył ze mną? Przecież nie mogłam mu odmówić.

- Ależ naturalnie, że nie mogła mu pani odmówić - odparł Clyde z ironią również cichym głosem, gdyż oboje nie chcieli, żeby ktoś słyszał ich rozmowę. - Ale musiała pani koniecznie leżeć w jego objęciu i wlepić w niego oczy, musiała pani koniecznie, co? - gorączkował się. - Może pani powie, że to nieprawda? Nie, nie powie pani tego, bo sam widziałem!

Spojrzała na niego zdumiona, bo pierwszy raz przemawiał do niej tak ostro. Stwierdziła z oburzeniem, że jakoś zanadto pewny się czuje. O, widocznie zbyt wiele uwagi mu poświęciła. Ale przypomniała sobie zaraz, że nie może teraz dać mu do zrozumienia, jak ją mało obchodzi, jeśli chce mieć ten wymarzony płaszcz.

E, jak Bożię kocham, to już za wiele - odpowiedziała gniewnie. Zła była dlatego, że to, co jej powiedział, było istotnie prawdą. - Cóż ja na to poradzę że pan taki zazdrosny? Cóż ja takiego zrobiłam? Potańczyłam trochę... Nie myślałam, że zaraz będą takie brewerie... Chciała odwrócić się od niego i odejść, musiała jednak sobie ciągle przypominać, że powinna koniecznie być z nim w zgodzie, więc przytrzymała go za klapy marynarki i odciągnęła dalej, żeby nikt nie mógł usłyszeć, bo całe towarzystwo już nadstawiało uszu.

- Posłuchaj, Clyde. Wcale nie chciałam tego... Wcale nie myślałam nawet, że to tak wygląda... Jak Bożię kocham, naprawdę. Przecież wszyscy teraz tak tańczą... I nikt nie ma na myśli nic złego. Nie chcesz więc, żebym była dobra dla ciebie, nie chcesz Clyde?

Patrzyła teraz na niego pieszczotliwie i powabnie prosto w oczy, jak gdyby tylko on jeden ze wszystkich naprawdę jej się podobał. I rozmyślnie ułożyła usteczka jak do pocałunku, co go zwykle rozbijało.

- Niech już tak będzie - odrzekł patrząc na nią pojednawczo, udobruchany zupełnie. - Może być, że jestem szalony, ale widziałem dobrze, coś robiła; widziałem. Wiesz dobrze, Hortensjo, że szaleję za tobą - jestem jak wariat. Nie mogę nic na to poradzić... A chciałbym czasami... chciałbym odegnać od siebie to szaleństwo.

Ona widząc, jaką ma nad nim władzę i jak łatwo prowadzić go na pasku, odpowiedziała:

- Nie zrobisz tego. Pocałuję cię, jeżeli będziesz grzeczny, ale dopiero za chwilę, jak tamci przestaną patrzeć na nas.

Wiedziała, że w tej chwili i Sparser patrzy na nią i że on "leci" na nią także. A podobał się jej bardzo, może tak nawet, jak się jej nikt dotychczas nie podobał.

Rozdział XVIII

Kończyła się już zabawa po długich libacjach i tańcach. Teraz znów rzeczka przyciągnęła ich uwagę dzięki Hegglundowi, który wyjrzawszy przez okno zawołał nagle:

- A co będzie z lodem? Patrzcie, jaki byczy lód. Idźmy całą grandą.

Wszyscy więc, Ratterer z Tiną, Sparser z Lucyllą, z którą teraz tańczył, Highby z Laurą na odmianę i Clyde z Hortensją wybiegli z gospody. Znalazłszy się już na lodzie, który pokrywał wąski, kręty strumień, wijący się między zaroślami bezlistnych krzewów i drzew, całe towarzystwo zmieniło się w satyrów i nimfy z pradawnych czasów. Biegali po całym lodzie, poślizgując się i padając. Highby, Lucylla i Maida od razu upadli i podnosili się teraz z wybuchami śmiechu.

Hortensja przy pomocy Clyde'a dreptała po lodzie, ale wkrótce zaczęła biegać, ślizgać się i wydawać okrzyki niby przestachu. Teraz nie tylko Sparser, ale i Highby zaczął nadskakiwać Hortensji na złość Clyde'owi. Trzymali się jej ciągle, biegali za nią, udawali, że jej podstawiają nogę, potem ją łapali, kiedy padała. A Sparser ciągnął ją za rękę i niby wbrew woli ciągnął ją daleko za zakręt strumienia, gdzie nie mogli być widziani. Clyde udając, że to go nic nie obchodzi, nie chcąc okazywać zazdrości pozostał za nimi. Dręczył się myślą, że Sparser mógł skorzystać z okazji i wyznaczyć schadzkę albo nawet ją pocałować. Ona nie mogła mu się wyrwać, chociaż może udawała tylko, że się wyrywa. Och, można skonać z tego!

A jednak wolałby ich widzieć. Ale Hegglund zwoływał wszystkich, żeby wzięli się za ręce i utworzyli łańcuch. Wziął więc Clyde rękę

Lucylli, która trzymała się Hegglunda, a drugą podał Maidzie, która znów trzymała się za rękę Ratterera. Highby i Laura byli na końcu, gdy Sparser i Hortensja wsunęli się między nich trzymając się ciągle za ręce. Przytupywali sobie wesoło. Cały łańcuch zaczął się zwijać i rozwijać, dopóki Maida nie upadła i nie odeszła. Clyde zauważył, że Sparser z Hortensją zahamowali na zakręcie i upadli jedno na drugie na wybrzeże, gdzie leżały liście i gałązki na śniegu. Spódniczka Hortensji zadarła się ponad kolana, a dziewczyna zamiast okazać zakłopotanie, czego Clyde oczekiwał, siedziała tak bezwstydnie przez dobrą chwilę śmiejąc się jak szalona. Sparser też się śmiał i nie puszczał jej ręki. Laura Sipe też upadła pociągnięta przez Highby'ego, który rozłożył się na niej, i leżeli tak w bardzo podejrzanej pozycji, śmiejąc się z tego. Spódnica jej też się zadarła powyżej kolan. Sparser usiadł i wskazując na piękne nóżki Hortensji śmiał się pokazując wszystkie zęby. Całe towarzystwo ryczało z radości.

- Do diabła - zaklął Clyde. - Czego u czorta ten ciągle wisi przy niej? Dlaczego nie wziął ze sobą dziewczyny, jeżeli chciał się bawić? Dlaczego ją zaciągnął tam, gdzie nikt ich nie mógł widzieć? A ona myśli, że może przy mnie udawać niewiniątko... Nigdy jeszcze przy mnie nie śmiała się tak serdecznie... Cóż ona myśli, że ja dam się nabić w butelkę? - Wściekał się z irytacji.

Lecz przez ten czas zmieniło się coś w wiązaniach tego łańcucha i tylko Lucylla trzymała go za rękę. Sparser i Hortensja byli znów na końcu. Hegglundowi wcale nie chodziło o Clyde'a tylko o zabawę, ale zawołał:

- Lepiej niech kto inny idzie na koniec.

Więc zrobił się ruch, pokręcili się wszyscy. Clyde patrzył ciągle na Hortensję i widział, że nie puszczała ręki Sparsera, a tylko znalazłszy się przy Clydzie podała mu drugą. Miała więc go z prawej strony, Sparsera z lewej, lecz Clyde'a doprowadzały do furii te złączone ręce.

Dlaczego on nie tkwi przy swojej Laurze, którą umyślnie dla niego sprowadzono? A ta Hortensja jeszcze go zachęca.

Był zły, smutny, rozgoryczony, toteż niechętnie poddawał się zabawie. Miał ochotę stanąć i wywołać awanturę ze Sparserem. Lecz Hegglund tak energicznie komenderował, że zanim mógł swoją myśl wprowadzić w czyn, nastąpiło nagłe przerwanie łańcucha. Mimo że chciał utrzymać równowagę, on, Lucylla, Ratterer i Maida upadli wszyscy i potoczyli się po lodzie jak żelazne obręcze. Hortensja, widząc ich padających, puściła rękę Clyde'a i pozostała przy Sparserze.

Jedno ciągnęło drugie i Clyde wraz ze swoją częścią łańcucha przeleciał przez gładki, zielonawy lód i znalazł się na ośnieżonym brzegu. Lucylla leżała rozłożona na kolanach Clyde'a z twarzą w śniegu, w takiej pozycji, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Maida leżała na plecach przy Rattererze z nogami wzniesionymi w górę.

- Umyślnie... - pomyślał Clyde. - Strasznie leciała na Ratterera.

Rozległy się wybuchy śmiechu, wrzaski z wielkiej uciechy, że chyba o milę ich było słyhać. Hegglund, łatwo poddający się wesołości, stanął na czworakach i zaczął podskakiwać i szczekać. Sparser otworzył swe wielkie usta i robił przeróżne grymasy, aż zrobił się cały czerwony. Tak zaraźliwa była ta ogólna wesołość, że Clyde zapomniał na chwilę o nurtującej go zazdrości. Przyglądał się tym scenom i śmiał się. Usposobienie jednak Clyde'a łatwo się zmieniało. Czuł, że Hortensja nie śmieje się szczerze.

Wreszcie Lucylla i Tina zmęczyły się całą tą zabawą i odeszły, a za nimi i Hortensja. Clyde poszedł natychmiast za nią. Ratterer za Lucyllą. Hegglund pchał Maidę przed sobą po lodzie, Highby, uważając to za hasło, pociągnął Tinę za sobą, a Ratterer z Lucyllą, udając, że zobaczyli coś ciekawego, śmiejąc się i paplając ze sobą wsunęli się w zarośla. Nawet Sparser i Laura, pozostawieni sobie, oddalili się. Pozostali tylko Clyde z Hortensją.

Hortensja usiadła na kłocu, leżącym na brzegu, a Clyde, czując jeszcze dotkliwy ból, stał przed nią w milczeniu. Ona rozumiejąc,

o co mu chodzi, przyciągnęła go za pasek od palta i przytuliła się do niego.

- Wio, mój koniku - zawołała. - Wio! Mój konik powiezie mnie teraz po lodzie.

Clyde drżąc wewnętrznie patrzył na nią posępnie i nie był skłonny tak łatwo się dać przejednać.

- Dlaczego pozwalasz temu Sparserowi wisieć bez przerwy przy sobie? - zawołał. - Widziałem, jak polecieście razem daleko za zakręt... Co on ci powiedział?

- Nic mi nie powiedział.

- O, naturalnie, że nic... - odpowiedział z ironią i goryczą. - Pewnie nie pocałował cię nawet?

- Naturalnie, że nie! - odparła stanowczo i ze złością.

- Chciałabym wiedzieć, za kogo mnie bierzesz. Nie pozwalam się całować komuś, kogo pierwszy raz widzę; masz o tym wiedzieć... Może tobie pozwoliłam?

- O, tu jesteś w zupełnym porządku- odrzekł Clyde. - Mnie nie lubisz tak jak jego.

- Nie lubię? Może być, ale jakim prawem mówisz, że jego lubię? Nawet zabawić się nie mogę, bo ciągle patrzysz na mnie i pilnujesz. Męczysz mnie.

Była oburzona, że patrzył na nią, jakby już była jego własnością.

Clyde, odprawiony w ten sposób, zawahał się i uznał że lepiej będzie zmienić nieco ton. Przecież ona nigdy nie powiedziała, że go kocha, nawet wtedy, gdy mu dawała pewne obietnice.

- Niech tak będzie - odrzekł smutnie po chwili. - Ja wiem tylko jedno. Gdyby mnie ktoś obchodził

choć troszeczkę, jak mi o tym czasami mówiłaś, nigdy bym nie potrafił latać tak za kimś, jak ty przed chwilą.

- Nie mógłbyś?

- Nie.

- Ale ktoś to za kim latał?

- Ty.

- Nie latałam a ty lepiej idź sobie, jeżeli nic innego nie potrafisz, tylko kłócić się ze mną. To że z nim tańczyłam w restauracji, to nie powód, by mówić, że latałam za nim. E, męczysz mnie tylko!

- Ja cię męczę?

- Tak.

- W takim razie rozejdźmy się każde w swoją stronę i nie męczmy się dłużej - odparł, jak gdyby czerpiąc odwagę z odziedziczonych cnót matczynych.

- Możesz sobie iść, jeżeli tylko tyle czułeś dla mnie przez cały czas - odpowiedziała wskakując z gniewem na lód.

Clyde jednak czuł, że tak nie może się skończyć. Znadto ją kochał, za długo już leżał u jej stóp. Ona też przypomniawszy sobie o płaszczu postanowiła być grzeczniejsza.

- Nie patrzyłaś w jego oczy, co? - spytał miękko, przypomniawszy sobie znów jej taniec ze Sparserem.

- Kiedy?

- Jak z nim tańczyłaś.

- Wcale nie, a przynajmniej nic o tym nie wiem. Ale przypuśćmy, że patrzyłam. I cóż z tego? Nic takiego nie myślałam przez to. Ojej! Wielka mi tragedia, że ludzie patrzą sobie w oczy...

- W taki sposób, jak tyś patrzyła? Nie udawaj w takim razie, że mnie lubisz.

Czoło Clyde'a marszczyło się i wygładzało, a oczy zwęziły się. Hortensja mlasnęła językiem.

- Ts, ts, ts. Może już dosyć tego!

- A przed chwilą na łodzi - mówił dalej Clyde z pewnym patosem. - Jakiście wrócili, to zamiast przyjść do mnie, poszłaś z nim na sam koniec łańcucha. Widziałem dobrze... I cały czas trzymałaś go za rękę... Ciekaw jestem, jak to się inaczej nazywa, jak nie latanie za kimś? Cóż to niby jest? Jestem pewien, że i on jest przekonany, że na niego lecisz.

- Nie lecę na niego! I nie dbam o to, co mi mówisz... Jeżeli chcesz koniecznie już tak postępować, owszem, możesz. Gwiżdżę sobie na to. Zazdrosny! Widzieli go! Nic mi nie wolno. Patrzcie państwo... Jakże mogę należeć do łańcucha, jeżeli nie mam trzymać za rękę, chciałabym wiedzieć? A ty z Lucyllą? Myślisz, że nie widziałam, jak rozłożyła się na tobie, a ty się śmiałeś... Ale ja nic takiego nie pomyślałam o tobie. Cóż ty chcesz, żebym tutaj robiła? Mam usiąść jak kłoc albo łązić za tobą jak ogon. Albo żebyś ty za mną tylko łąził? Jak ci się zdaje, co ja jestem? Ciele?

Była wściekła na Clyde'a, a nie lubiła się złościć. Przypomniała sobie Sparsera, który wydał się jej o wiele sympatyczniejszy od Clyde'a. Bardziej realny, mniej romantyczny, bardziej prosty.

Clyde odwrócił się od niej, zdjął kapelusz i drapał się w głowę zafrasowany, a Hortensja patrząc na niego myślała o Sparserze. Tamten wyglądał przynajmniej jak mężczyzna, nie taki rozmazany. Jest pewna, że nie stałby przed nią z tak płaczącą miną. Gdyby nie mógł z nią dojść do ładu, puściłby ją na pewno kantem... Ale

nie można powiedzieć, by Clyde nie był na swój sposób interesujący, a przy tym bardzo pożyteczny. Któż inny zrobiłby tyle dla niej, co on? I nie zmuszał jej wcale, żeby z nim poszła w krzaki, jak tamci zrobili ze swymi przyjaciółkami, a czego właśnie bardzo się obawiała. Byłoby to wbrew jej życzeniom i planom. Może kłótnia zapobiegła temu?

- Słuchaj - odezwała się po chwili postanowiwszy go ułagodzić, o co było nietrudno, jak wiedziała. - Czy koniecznie mamy cały czas się kłócić? Gdybym wiedziała, że tak będzie, wolałabym wcale tu nie przyjeżdżać.

Odwróciła się i tupnęła małym obcasikiem w lód, a Clyde, na nowo nią oczarowany, objął ją i przycisnął do siebie dość niezgrabnie i przyłgnąwszy wargami do jej usteczek pragnął ją pieścić jak najdłużej. Ona jednak, myśląc ciągle o Sparserze, do którego poczuła wielką sympatię, a może jeszcze rozgniewana na Clyde'a wyrwała się, niezadowolona z siebie i zła na niego.

Nie pozwoli zmuszać się do niczego. Nie lubi tego. A tym bardziej teraz. Wcale nie ma zamiaru być dzisiaj dla niego dobra... Ani myśli! Mało ją obchodzi, co on sobie myśli albo czego pragnie, ale nie pozwoli robić z sobą tego, co on chce.

Dopiero teraz Clyde pojął głębię jej duszy i gorejące w niej uczucia. Odsunął się i patrzył na nią głodnym, posępnym wzrokiem. Ona też patrzyła na niego.

- Kiedyś powiedziałaś mi, że mnie lubisz - odezwał się zaciskając zęby, bo czuł, że wszystkie jego marzenia rozprysły się na zawsze.

- Owszem, ale wtedy, jak jesteś dla mnie dobry - odpowiedziała wymijająco szukając wybiegu, który by nie skomplikował jej dawniejszych obietnic.

- O, tak, naturalnie... - mruknął. - Widzę teraz, jaka jesteś. Pojechaliśmy razem, a teraz nie dasz się nawet dotknąć... Ciekaw jestem, co miałaś na myśli, gdy obiecywałaś mi wszystko?

- Ja? A cóż ja obiecywałam? - spytała chcąc zyskać na czasie.

- Jak gdybyś nie wiedziała...

- O, czy to zaraz musiałeś tak rozumieć? Myślałam tylko... - przerwała zawahawszy się.

- Zrozumiałem dobrze - mówił dalej. - Wiem jednak, że na to za mało mnie lubisz. Wiele się zmieniło od paru tygodni... Widzę, że ci nie tyle o mnie chodzi, ile o to, żeby ze mnie wyciągnąć, co się da...

- Wcale nie - krzyknęła ze złością, zirytowana prawdą usłyszaną z jego ust. - Jakim prawem tak do mnie mówisz? Wcale mi nie zależy na tym płaszczu, jeżeli chcesz wiedzieć. Możesz sobie odebrać swoje wstrętne pieniądze z powrotem. Nie potrzebuję ich! A od dzisiaj nie czepiaj się mnie. Mam tego dosyć. Mogę mieć tyle płaszczy, ile zechcę, bez ciebie...

Odwróciła się i odeszła.

Ale Clyde, jak zawsze, gotów już był pogodzić się i pobiegł za nią.

- Nie rób tego, Hortensjo - błagał. - Poczekaj chwilkę... Wcale o tym nie myślałem... Słowo ci daję, że nie myślałem. Zupełnie zgłupiałem przez ciebie... Słowo daję, że tak jest. Czyż tego nie widzisz? Ach, nie odchodź teraz... Mówię ci, że jeżeli dawałem pieniądze, to nie dlatego, żeby na coś liczyć... Zatrzymaj te pieniądze, nie zobowiązuje cię to do niczego. Nikt na świecie nie jest dla mnie tym, czym ty jesteś, i nikt nigdy nie był... Zostaw sobie te pieniądze na zawsze... Nie chcę, żebyś mi je oddawała. Ale widzisz, myślałem, że chociaż troszkę mnie lubisz... Czy wcale nie dbasz o mnie, Hortensjo?

Był przerażony i oszołomiony tym, co zaszło, a ona widząc, jaką ma nad nim władzę, zwolniła nieco kroku.

- Ależ naturalnie, że cię lubię - powiedziała. - Ale nie pozwolę

traktować się w taki sposób. Chyba rozumiesz, że dziewczyna nie może pozwalać na wszystko, na co chłopiec ma ochotę, tylko dlatego że mu się podoba.

- Ale o czym ty właściwie myślisz? - spytał Clyde, nie bardzo rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Wiesz doskonale. - Nie mogła uwierzyć, żeby nie rozumiał.

- Ach, domyślam się teraz... Wiedziałem, że tak powiesz... - mówił z przykrością. - Wszystkie tak postępują. Wiem o tym.

Tu zaczął cytować słowa swych kolegów z hotelu, którzy dużo mu naopowiadali o podobnych sytuacjach, kiedy to dziewczęta wykręcają się w ten sposób z kłopotliwej sytuacji. Rozumie teraz doskonale, co to znaczy.

- Jesteś ordynarny - odezwała się obrażonym tonem. - Któż ci to mógł opowiadać, a ty byłeś taki głupi, żeś uwierzył? Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja powiedziałam ci prawdę.

- E, wiem dobrze, jaka jesteś - odrzekł smutnie i nieco wyniośle z tak pewną miną, jakby to była rzecz nie ulegająca żadnej wątpliwości. - Nie lubisz mnie i tyle. Teraz to widzę.

- Jesteś ordynarny - powtórzyła zachowując obrażoną minę. - A ja mówię ci prawdę. Możesz wierzyć, czy nie wierzyć, a ja mogę nawet przysiąc na to. Jak Bożę kocham.

Clyde stał w milczeniu. Wobec tego wszystkiego nie było już o czym mówić. Nie mógł jej do niczego przymusić. Jeżeli ona kłamie i udaje, on musi udawać, że jej wierzy. Lecz wielki smutek osiadł na jego duszy. Nie zdobył jej wcale mimo wszystko... to jedno jest jasne.

Odwrócił głowę, a ona widząc, że nie wierzy jej kłamstwu, postanowiła zaradzić temu - zdobyć go na nowo.

- Słuchaj Clyde - zaczęła starając się nadać szczyry ton swym

słowom. - Prawdę ci powiedziałam, jak Bożę kocham. Naprawdę... Nie wierzysz mi? A zawsze dotrzymuję tego, co powiedziałam. Słowo ci daję, że tak. Ja cię lubię... bardzo. Czy i w to nie wierzysz?

A Clyde, drżąc całym ciałem po usłyszeniu tych słów, powiedział, że wierzy. I od razu zaczął się uśmiechać i odzyskał humor. Wziął jej rękę, całował raz po raz i był przekonany, że jego sen o szczęściu nareszcie się wyśni i spełni. Ach, co to będzie za szczęście!

Tak doszli do auta, do którego już wszystkich zwoływano.

Rozdział XIX

Przez większą część powrotnej drogi nic nie psuło miłego złudzenia Clyde'a. Siedział koło Hortensji, a ona położyła mu głowę na ramieniu. A chociaż Sparser oczekując, aż wszyscy wsiądą, znalazł chwilę, aby uścisnąć jej rękę i w zamian otrzymać obiecujące spojrzenie, Clyde jednak nie widział tego.

Chłopcy hotelowi obawiając się spóźnienia popędzali Sparsera, który upojony spojrzeniami Hortensji z wielką energią puścił maszynę całym pędem. Niedługo więc zaczęły ukazywać się latarnie okolic podmiejskich. W pewnym jednak miejscu, gdzie przejazd kolejowy sąsiadował z mijanką, musieli długo czekać, aż przejdą oba mijające się pociągi towarowe.

Śnieg zaczął padać wielkimi, miękkimi płatami, tającymi od razu i pokrywającymi drogę oślizgłym błotem, na którym trzeba było ostrożnie się poruszać.

Było już wpół do szóstej. W zwykłych warunkach wystarczyłoby osiem minut na dojechanie do hotelu. Musieli jednak czas dłuższy przeczekać na moście Hannibala z powodu wielkiego natłoku i do szóstej brakowało dwudziestu minut, gdy zjechali z mostu. Chłopców opuścił humor i stracili uczucie zadowolenia z tej wycieczki. Niepokoił się, czy staną na czas w hotelu. Stało przed nimi widmo wychudłej postaci pana Squiresa.

- Do licha, jeżeli nie przejedziemy prędeej - odezwał się Ratterer do Hegglunda, który ciągle spoglądał na zegarek - nie zdążymy... Gdybyśmy przybyli w tej chwili, mielibyśmy zaledwie czas na przebranie się.

- To będzie nasza stypa - dodał Clyde. - Może byśmy tak się pospieszyli. Nie ma po co przyjeżdżać do hotelu, jeżeli nie staniemy na czas.

Hortensja, spostrzegłszy jego niepokój, spytała:

- Czyżby było tak źle?

A Hegglund patrząc w przestrzeń, usianą śniegiem jakby pączkami bawełny, zawołał:

- Ej, ty, Wiliam! Może by tak który z nas zajął się autem zamiast ciebie. Przecież nas wyleją, jeżeli się spóźnimy.

Highby, porzucając swój spokój i zwykły humor, dodał:

- A toż do tej pory można by tratwą dociągnąć, żeby tylko były mocne postronki... Ale co go to obchodzi.

Clyde wzdychał, zdenerwowany.

Jakby dla dopełnienia miary ich niepokojem napotykali na każdym skrzyżowaniu nieoczekiwany natłok powozów. Sparser, zirytowany, patrzył ze zniecierpliwieniem na ostrzegawczo podniesioną rękę policjanta, który na rogu Dziewiątej i Wyandotte kierował ruchem.

- Cóż ja teraz zrobię? Mógłbym objechać dokoła, ale nie wiem, czy zyskamy na czasie.

Upłynęła cała minuta, zanim policjant dał sygnał, że można jechać dalej. Sparser zawrócił wtedy szybko na prawo, na Washington Street.

Ale tam nie było lepiej. Dwa zbite szeregi pojazdów jechały w dwie przeciwnie strony. A na każdym skrzyżowaniu traciło się drogocenne chwile na wyczekiwanie. Więc na następnym rogu zawrócił w boczną ulicę.

Na rogu Piętnastej i Washington Clyde zawołał:

- A gdybyśmy wysiedli na Siedemnastej i poszli pieszo?

- Nic nie zyskałbyś na czasie - odparł Sparser. Teraz już będę mógł jechać prędeż.

Auta szły stłoczone jedno za drugim. Na rogu Szesnastej i Washington Sparser wiedząc, że na lewo otwiera się wolna ulica, skręcił tam i popędził już bez przeszkody. W pobliżu jednego skrzyżowania, gdy rozwinął większą szybkość, wpadła wprost pod pędzącą maszynę mała dziesięcioletnia dziewczynka. Sparser nie mógł już jej wyminąć, dziecko zaplątało się i było wleczone pod wozem kilkanaście jardów, zanim samochód się zatrzymał. Rozległy się krzyki przechodniów, będących świadkami tej sceny. Wszyscy rzucili się do dziewczynki, przez którą przejechały koła samochodu. A Sparser, zobaczywszy, że koło leżącego dziecka zbiera się tłum, wpadł w panikę.

Miał teraz na myśli tylko policję, więzienie, swego ojca, właściciela auta i surową karę.

Pasażerowie packarda podnieśli się z miejsc i wykrzykiwali żałośnie na różne tony:

- Ach, mój Boże!

- Zabił dziecko.

- Panie Świąty, taka mała dziewczynka...

- Boże, co my teraz zrobimy?

On zaś odwrócił się i zawołał:

- O, Jezu. Zmykajmy!

I nie poradziwszy się swych towarzyszy, którzy jeszcze stali w aucie oniemiały z przerażenia, dodał gazu, ile tylko maszyna mogła wytrzymać, i zniknął z oczu świadków za najbliższym rogiem.

Ale tam, jak zwykle na każdym rogu, stał policjant. Zauważywszy jakiś ruch na tamtej ulicy, już miał opuścić swój posterunek, żeby zobaczyć, co się stało, gdy w tej samej chwili usłyszał:

- Zatrzymać auto!

Jakiś mężczyzna biegł w kierunku umykającego samochodu, wskazywał na niego i krzyczał:

- Zatrzymać auto... Tamto auto... Dziecko zabite...

Policjant domyślił się, o co chodzi, i przyłożył do ust gwizdek. Lecz Sparser, słysząc krzyki i zobaczywszy policjanta, popędził w Siedemnastą. Jechał tamtędy z szybkością co najmniej czterdziestu mil na godzinę i dotykając czasami hamulca wymijał pojazdy i pieszych.

Jego pasażerowie siedzieli za nim nieruchomo z rozszerzonymi oczyma, kurczowo zacisnąwszy dłonie, a dziewczęta tylko wykrzykiwały:

- Boże, co teraz będzie?

Ale ci, którzy z policją na czele przedsięwzięli pościg, nie mogli

ich tak szybko dogonić. Policjant widząc, że auto nie myśli się zatrzymać, dał sygnał ostrym gwizdnięciem. Policjant na następnym rogu ujrawszy umykające auto zrozumiał sytuację, gwizdnał również i wskoczywszy do przejeżdżającego wolnego samochodu kazał jechać za przestępcą. Oprócz tego jeszcze trzy obce auta solidaryzując się z akcją dopomagały w pościgu dając głośne sygnały.

Lecz packard był najszybszy, a chociaż na każdym rogu rozlegały się okrzyki: - Zatrzymać samochód! - prześladowcy pozostali daleko w tyle i tylko z oddali dochodził do uszu uciekających wielki, wstrząsający krzyk.

Sparsler zyskawszy na przestrzeni, a widząc, że prosta droga nie udaremni pościgu, skręcił na Mc-Gee, spokojną ulicę, przez którą dostał się na pustą i krętą Gillham Parkway. Przeleciawszy przez nią skręcił na Trzydziestą Pierwszą, gdyż podmiejskie ulice wydawały mu się bezpieczniejsze. Liczył, że tam, wśród pustych uliczek, wysadzi pasażerów, a sam wróci do swego garażu.

Byłoby się to zapewne udało, gdyby nie to, że skręciwszy na jedną z odleglejszych uliczek, gdzie już prawie nie było domów i nie było przechodniów, zgasił światła samochodu, żeby łatwiej zataić swoją obecność. Leciał więc dalej na łeb na szyję, skręcając w różne zaułki i wpadł w taki, gdzie bruk się kończył. Z dala widział inną uliczkę, sądząc więc, że jest zabrukowana, skręcił na lewo. Niestety chciało, że leżała tam kupa kamieni, przygotowanych do brukowania ulicy. Nie dojrzał jej w ciemnościach.

Naprzeciwko kamieni, po drugiej stronie ulicy, leżały materiały budowlane, nagromadzone dla rozpoczętej budowy domu.

Wpadłszy na stos kamieni z wielkim pędem, auto przechyliło się i przewróciło na materiały budowlane. Nie uderzyło przednią częścią, lecz bokiem i przewróciło się na lewą stronę w śnieg pokrywający trawę. Wśród trzasku pękających szyb pasażerowie znaleźli się jeden na drugim.

Co się działo dalej, zostało pokryte do pewnego stopnia tajemniczą

mgłą dla uczestników tego wypadku, bo niewiele z tego pozostało w ich pamięci. Sparser i Laura, siedząc na przedzie, byli przyciśnięci do dachu samochodu powyginaną blachą. Sparser miał lewą nogę, udo i ramię tak wykręcone, że nie mógł się poruszyć. Niepodobna było wynieść go przez drzwi wozu, które teraz znalazły się nad głową. Clyde siedział na drugim siedzeniu, tuż przy drzwiach z lewej strony, i wszyscy znajdujący się za nim przewrócili się na jego stronę. Hortensja przeleciała nad głową Clyde'a i leżała nad nim, Lucylla obsunęła się na jego ramiona, a Ratterer, ostatni z czworga, wyrzucony został z siedzenia i leżał przed nim. Padając złapał kierownicę i złagodził tym swój upadek. Mimo to miał twarz i ręce podrapane i potłuczone, a ramię, udo i rękę skręcone, niezbyt jednak boleśnie, gdyż zaraz stanął do ratowania innych. Zrozumiał od razu powagę sytuacji i wzruszony jękami, wygramolił się przez boczne drzwi, które miał nad głową, i z wolna podążył na pomoc.

Zobaczył naprzód Lucyllę, która jęcząc starała się bezskutecznie wydostać z auta. Z wielkim trudem wydobył ją i posadziwszy na śniegu pocieszał:

- No, cicho, mała. Już wszystko dobrze. Jestem przy tobie.

Lucylla siedziała płacząc i narzekając na ból głowy i w ramieniu. Potem wydostał Hortensję, podrapaną i pokrwawioną. Rany jej nie były poważne, nie wiedziała jednak o niczym, bo siedziała prawie nieprzytomna, osłupiała wypadkiem. Nerwowy dreszcz wstrząsał jej ciałem.

W tejże chwili i Clyde wysunął obolałą głowę przez drzwi. Lewy policzek i przedramię miał potłuczone, ale nie skaleczone. Myślał tylko o jednym, że musi wstać i uciec stąd jak najprędzej. Dziecko zostało zabite, policja ich goni i w każdej chwili może przyłapać. Rozejrzał się. Przed nim w aucie leżał bez ruchu Sparser, ale nad nim stał już Ratterer. Koło Sparsera Laura, również bez przytomności. Clyde czuł, że powinien coś zrobić, pomóc Rattererowi, który starał się unieść Laurę ostrożnie, żeby jej nie urazić. Miał jednak taki nieład w głowie, że gotów był stać tak Bóg wie jak długo, gdyby nie Ratterer, który zawołał zirytowany:

- Pomóżże, Clyde. Chodź no, trzeba zobaczyć, czy uda się ją wydostać. Leży zemdlona.

Clyde podszedł do nich i stanąwszy na połamanym oknie usiłował wydostać Laurę spod ciała Sparsera i wynieść ją na zewnątrz. Ale okazało się to niemożliwe. Leciała mu przez ręce i była taka ciężka... Odsunął ją tylko od ciała Sparsera i zostawił między dwoma siedzeniami samochodu.

Tymczasem na tylnym siedzeniu Hegglund, lekko tylko ogłuszony, starał się dostać do drzwi. Dzięki atletycznej sile udało mu się łatwo wygramolić. Wzdychał:

- O, Jezu. To koniec. O, Chryste. Ot, i po wszystkim. Panie Święty. Wiać, wiać, jak najprędzej. Dymajmy stąd, bo policja na karku.

Słyszając jednak głosy kolegów i widząc, że zajęci byli ratowaniem rannych zrozumiał z rozpaczą, że dezercja w tej chwili była niemożliwa. Zwrócił się więc do Maily:

- Podaj mi rękę, na miłość Boską. Prędzej, prędzej. Zmykajmy, powiadam ci.

Odszedł jednak od Maily, która poruszała zboląłą, zranioną głową, i wyciągnął Tinę, która, tylko ogłuszona, usiłowała sama zsunąć się z Highby'ego. Ten, oswobodzony z ciężaru, uklęknął i obmacywał rękoma twarz.

- Podaj mi rękę, Dave - wołał Hegglund. - Prędzej, na miłość Boską, nie ma co się tutaj patyczkować. Czy jesteście poranieni? Chryste, wiejmy co sił... Powiadam wam. Tylko patrzeć, jak na karku będziemy mieli policję.

Staął przed Highbym chcąc mu podać rękę, ale ten go odepchnął.

- Odczep się. Jestem zdrów. Wstanę sam. Pomagaj innym.

Wyprostował się, wysunął głowę przez drzwi i zaczął się rozglądać, gdzie ma postawić nogi. Poduszka z siedzenia wypadła, więc stanął na niej, wyprostował się, przysiadł na drzwiach i wyciągnął nogi na zewnątrz. Obejrzał się, widząc, że Hegglund stanął do pomocy Rattererowi i Clyde'owi przy ratowaniu Sparsera, ruszył do nich.

A Hortensja, którą jedną z pierwszych wyciągnięto z auta, przesunęła ręką po obolałej twarzy i spostrzegła, że czoło i policzek ma całe zakrwawione. Zdjęta przerażeniem, że zostanie zeszpecona na zawsze, zapomniała o cierpieniach współtowarzyszy, o niebezpieczeństwie pochwylenia przez policję, o zabiciu dziecka, o zniszczeniu kosztownego auta. O wszystkim zapomniała, pamiętała tylko o tym, że jej piękność została narażona na szwank.

- Ratujcie mnie, ratujcie! - krzyczała rozpaczliwie. - Ojej! Mam twarz strasznie rozciętą!

Widząc jednak, że musi sama sobie radzić, podniosła się nagle i już w milczeniu, nie spojrzawszy nawet na Clyde'a, który był jeszcze przy Sparserze z Rattererem, pobiegła szybko ku miastu, dojrzwawszy z dala światła.

Nie pomyślała wcale, co się dzieje z Clyde'em i ze Sparserem. Nic jej nie obchodziło zabite dziecko, nic zdruzgotane auto, nie należące do Sparsera, nie zastanowiła się nad tym, że goni ich policja. Wiedziała tylko, że Clyde ją zaprosił na tę nieszczęśliwą wycieczkę, a więc on jest wszystkiemu winien. Ci idioci chłopcy! Oni doprowadzili ją do tego stanu i nie mieli na tyle rozumu, żeby wybrnąć inaczej, mądrzej z tej sytuacji.

Reszta dziewcząt prócz Laury Sipe wyszła prawie bez szwanku. Były bardziej przestraszone niż potłuczone, a teraz bały się, żeby nie wpaść w ręce policji. Może czekało je więzienie? Stały więc i krzyczały:

- Spieszcie się! Trzeba jak najprędzej uciekać. O, jakie to straszne!

Dopiero Hegglund krzyknął na nie:

- Na miłość Boską, stulcie gęby! Przecież robimy, co możemy, rozumiecie? Ściągniecie na nas gliny i tyle.

Jakby w odpowiedzi na to jakiś samotny mieszkaniec tego przedmieścia, słysząc trask i krzyki podszedł z wolna i ciekawie przyglądał się tej scenie.

- Wypadek, co? - zapytał dość nawet wesołym tonem. - Czy może jest kto ciężko ranny?... To niedobrze... A takie piękne auto... A może mogę coś pomóc?

Clyde zrozumiał, że dla Sparsera nic już więcej uczynić nie jest w stanie, nawet go z samochodu wyciągnąć nie może, teraz więc, usłyszawszy obcy głos, obejrzał się szukając oczyma Hortensji. Nie dojrzał jej nigdzie. Patrzył więc dokoła osłupiałym wzrokiem, jedno tylko mając na myśli, że musi wziąć nogi za pas i zmykać. Policja ich goni... A on wcale sobie nie życzy, żeby go tutaj przyłapano. Co będzie, jeżeli zostanie aresztowany?... Cała jego kariera zostanie zmarnowana... Nawet nie pozwolą mu słowa powiedzieć w swojej obronie. I matka się o tym dowie, i pan Squires, i wszyscy... Pójdzie z pewnością do więzienia. Wszystko, tylko nie to. Wolałby sam leżeć pod samochodem... Sparserowi i tak nikt nie pomoże; jeżeli będą dłużej tu siedzieli, to przyłapie ich policja.

- Gdzie jest panna Briggs? - zapytał i znowu rozglądał się wokoło po ciemnych zaśnieżonych polach. Czuł, że powinien jej przyjść z pomocą i towarzyszyć, jeżeliby chciała stąd odejść.

Ale już z dala dochodziły dźwięki klaksonów i warkot motocykli, pędzących na miejsce wypadku.

- Zaraz tu będą - odezwał się znowu nieznajomy przechodzień. - Wychodząc powiedziałem żonie, żeby zatelefonowała po pogotowie.

Żona jego jednak zatelefonowała i na policję, domyśliła się bowiem, że mogą być ofiary wypadku samochodowego.

Usłyszawszy te słowa wszyscy zdrowi pasażerowie nieszczęsnego samochodu rzucili się do ucieczki. Spojrzawszy w bok ujrzeli światła zbliżających się motocykli. Popędzili razem do rogu Trzydziestej Pierwszej i Cleveland Avenue. Jeden pobiegł stamtąd na południe drugi biegł dalej Trzydziestą Pierwszą.

- Zmykajcie, wszyscy! - wołał rozgorączkowany Hegglund. - Jazda!

I złapawszy za rękę Maide popędził przez Trzydziestą Pierwszą, czyli tą samą ulicą, na której leżał rozbity samochód, ku odległym okolicom przedmieścia. Lecz po chwili zmiarkował, że o wiele łatwiej go dogonią, jeżeli będzie biegł prosto, skręcił więc na otwarte pole oddalając się od miasta.

Clyde, ciągle mając w pamięci, jakie znaczenie może mieć dla niego uwięzienie, ruszył także z miejsca.

Zanim jednak się oddalił, nadjechał motocykl. Clyde rzucił się w krzaki, a był jeszcze tak blisko, że wszystko słyszał.

Jedynie Sparser i Laura zostali przy aucie. Laura zaczęła przychodzić do przytomności.

Nieznajomy stał zdumiony.

- Cóż to znaczy? - odezwał się ze zdziwieniem. - Musieli widocznie ukraść samochód. Na pewno nie należał do nich.

- A tyś nie uciekał z nimi? - krzyczeli policjanci do nieznajomego
- ptaszek z ciebie... Co? Jesteś naturalnie niewinny? Gdzie się tamci podzieli?

Clyde słyszał, jak nieznajomy sumitował się, że o niczym nic nie wie, że pasażerowie auta pouciekali, ale policja jeszcze z pewnością będzie mogła ich dogonić. Clyde wypełził na czworakach z krzaków i czym prędzej skręcił w jedną z uliczek, skąd już widać było odległe światła latarni miejskich. Nie biegł za Hegglundem ani za nikim innym, lecz popędził ciemną Cleveland Avenue ku południowym granicom miasta. Podobnie jednak jak Hegglund

zmiarkował, że tym może tylko ułatwić pogoń, więc skręcił również w otwarte pole. Lecz z miasta nie uciekał. Skręcił w jedną z dróg wiodących ku Kansas City. Długo jednak jeszcze musiał biec, zanim dostał się w obręb zabudowań miejskich. Długo jeszcze widział światła motocykli, w końcu zasłoniły je gęste krzewy.

Wiedział, że jeżeli nie chce być aresztowany, ukryć się musi koniecznie.

Rozdział XX

Mieszkanie Samuela Griffithsa w Lycurgus w stanie Nowy Jork, mieście liczącym około dwudziestu pięciu tysięcy mieszkańców, a leżącym między Utica i Albany. Godzina obiadowa. Powoli cała rodzina zbiera się na zwykły posiłek. Przygotowania do tej ceremonii były bardziej skomplikowane niż zwykle, gdyż pan Samuel, od czterech dni nieobecny, ponieważ musiał być na konferencji wytwórców kołnierzy męskich i koszul odbywającej się w Chicago, powrócił dzisiaj i telefonował ze swego biura fabrycznego, że jest już na miejscu, ale zostanie w warsztatach do samego obiadu.

Jako posiadacza najstarszych i największych warsztatów wybrano go na przedstawiciela tej gałęzi przemysłu na Wschodzie kraju dla skomunikowania się i porozumienia z przedstawicielami Zachodu.

Przyzwyczajona do postępowania swego męża - człowieka, który największą wiarę pokłada w sobie i ani swego sądu, ani decyzji nie poddaje żadnej krytyce - pani Griffiths nie zajmowała się jego sprawami. Zjawi się więc dziś na obiedzie i przywita ją jak zwykle.

Wiedząc, że mąż najbardziej lubi udziec barani, po dłuższej konferencji z panią Truesdale, gospodynią, pani Griffiths zadysponowała pieczeń. A po rozpatrzeniu zalet i właściwości jarzyn i deseru i zdecydowaniu się na pewne z nich, małżonka pana Samuela zwróciła swe myśli ku najstarszej córce, Myrze, która skończywszy przed kilkoma laty Smith College dotychczas nie wyszła za mąż. Przyczynę tego pani Griffiths doskonale знаła, chociaż nie lubiła do tego się przyznawać. Myra nie była zbyt urodziwa. Nos miała za długi, oczy za blisko osadzone, bródkę za mało zaokrągloną, jak przystałoby na ładną dziewczynę. Przy tym zanadto poważna, myśląca, ciągle jeszcze zajęta nauką, nie interesowała się życiem towarzyskim wcale. Brakło jej również tego wdzięku, który najbardziej "bierze" mężczyzn, a który posiadają nieraz niezbyt ładne panny. Sąd matki był słuszny, Myra istotnie miała zmysł krytyczny zanadto rozwinięty, a umysłem górowała nad środowiskiem, w którym się urodziła i wychowała.

Od dzieciństwa opływała we wszystko, nie zatroszczyła się nigdy o żaden drobiazg potrzebny do życia, teraz jednak stanął przed nią trudny do rozwiązania problemat powodzenia towarzyskiego i miłości, co dla osoby nie posiadającej urody ani wdzięku było równie trudne, jak dla żebraka dojście do majątku. Od czternastego roku życia, czyli od lat dwunastu przyglądała się bacznie światu. Patrzała na swych rówieśników, zabawiających się dość wesoło w ich małym światku, gdy jej życie upływało przeważnie wśród książek, na czytaniu, na muzyce, na zajęciach ułożonych systematycznie. Bywała czasami u znajomych, zawsze z nadzieją że gdzieś, kiedyś spotka wreszcie kogoś, kto zdoła ją zainteresować. Przez te lata posmutniała tylko, a nawet skwaśniała. Zbytek i prawdziwy dobrobyt, jaki ją otaczał, nie zapobiegł temu.

I w tej chwili, idąc do swego pokoju, przeszła koło matki z miną zupełnie apatyczną. Pani Griffiths przemyśliwała właśnie nad tym, jakim sposobem wyrwać ją z tej wiecznej zadumy, gdy naraz jej młodsza córka, Bella, wpadła do pokoju jak bomba.

Niepodobna zupełnie do wysokiej, chmurnej i bladej siostry, Bella, chociaż niższa, była dobrze zbudowana i miała o wiele wdzięczniejsze ruchy. Gęste brwi, ciemne, prawie czarne włosy,

śniada, nawet oliwkowa cera z przebłyskującym rumieńcem, oczy ciemne i wesołe, pełne życia i zaciekawienia składały się na miłą twarzyczkę. Ręce i nogi zawsze w ruchu, co dodawało jej wdzięku i uroku. Widoczne było, że zadowalała ją to, na co patrzyła, cieszyła się życiem, jakim ono było, i to zapewne stało się przyczyną, że ujmowała sobie wszystkich. Podobała się epuzerom, i młodym chłopcom, lubiły ją kobiety młode i stare, i rodzice wiedzieli, że jak przyjdzie stosowna pora, nie będzie kłopotu z jej małżeństwem. Młodzież już teraz kręciła się koło niej i nasuwała rodzicom myśl o przyszłym mężu Belli. Tylko że mała okazywała wielką skłonność do zawierania gorących przyjaźni, dobierając je sobie nie tylko z latorośli starych, szanowanych rodzin, które stanowiły najbardziej konserwatywny element miasta, lecz, ku mniejszemu zadowoleniu matki, ze sfer świeżo przybyłych, nie należących do elity towarzyskiej. Były to dzieci właścicieli wytwórni garncarskich, masarskich, stolarskich oraz urzędników. Tworzyli oni dość solidną warstwę finansową w mieście, lecz nie mogli sobie rościć pretensji, aby ich zaliczano do starych, osiadłych rodzin. Zdaniem pani Griffiths za wiele tam tańczono, przebywano w kabaretach, jeżdżono samochodami z jednego miasta do drugiego, uchylając się w ten sposób spod dozoru towarzyskiego.

Pod tym względem z Myrą był zupełny spokój, ale oczywiście z tego tylko punktu widzenia. Pani Griffiths wiedziała, że dopóki Bella nie wyjdzie odpowiednio za mąż, będzie z nią miała dosyć kłopotu i musi sprzeciwić się wielu znajomościom, aspiracjom i zabawom. Musi ją ochraniać.

- Gdzie byłaś, córeczko? - zapytała, gdy Bella wpadła do pokoju i rzuciwszy książki przysunęła się do płonącego kominka.

- Posłuchaj tylko, mamó - zaczęła Bella zupełnie spokojnie. - Finchleyowie tego lata nie pojedą nad jezioro Greenwood, tylko do Twelfth Lake koło Pine Point. Budują tam sobie nowy bungalow. A Sandra powiada, że będzie stał nad samą wodą. Będzie tam ogromna weranda. A przystań ma być tak wielka, żeby mogła się w niej pomieścić motorówka, trzydzieści stóp długa, którą pan Finchley kupił dla Stuarta. Pomyśl tylko, jakie to będzie wspaniałe. I

Sandra powiada, że jeżeli mi pozwolisz, to mogę przyjechać do nich na całe lato, a nawet jak długo zechcę pozostać. I Gil także, jeżeli zechce... Zaraz za jeziorem jest Emery Lodge, a na wschód Gate Hotel. A Phants Place, wiesz, ta urocza miejscowość koło Utica, leży blisko nich, niedaleko Sharon. Czy to nie cudownie? Przecież to coś wspaniałego. Jakby to było dobrze, żebyś ty, mamo, i tatuś zechcieli coś podobnego zbudować. Mnie się zdaje, że każdy, kto się cokolwiek ceni, powinien się tam przenieść.

Patrzała to na płonący ogień na kominku, to w okna wychodzące na zielony plac przed domem, a dalej na Wikeagy Avenue oświetloną elektrycznymi lampami, i paplała tak szybko, że matka nie mogła wtrącić ani słowa, dopóki Bella nie skończyła swego opowiadania. Wtedy dopiero odezwała się:

- Tak? A cóż Anthony'owie, Nicholsonowie albo Taylorowie? Nie słyszałam, żeby przenosili się z Greenwood.

- Och, naturalnie. Ani Anthony'owie, ani Taylorowie, ani Nicholsonowie. Trudno się tego po nich spodziewać. Znadto są zacofani. Czyż oni przenieśliby się gdziekolwiek? Nikt na to nie liczy. Twelfth Lake niepodobne jest do Greenwood jak niebo do ziemi. Sama wiesz o tym najlepiej. Zresztą wszystkie porządniejsze rodziny z pewnością się tam przeniosą. Na przykład tacy Cranstonowie już na przyszły rok. A założę się, że i Harriettowie także...

- Naturalnie Cranstonowie, naturalnie Finchleyowie, Harriettowie, Sandra... - mówiła matka śmiejąc się, lecz nieco zirytowana. - Ciągłe tylko o nich słyszę.

Pomimo że Cranstonom i Finchleyom dobrze się tu wiodło i należeli do miejscowych potentatów finansowych, jednak opinia publiczna nie miała do nich przekonania. Byli to ludzie, którzy z Buffalo i Albany przenieśli do Lycurgus swe zakłady przemysłowe, pobudowali olbrzymie fabryki na południowym brzegu rzeki Mohawk, na Wykeagy Avenue wspaniałe pałace, w Greenwood letnie wille i zaćmili swym przytłaczającym wprost bogactwem wszystkich, co przecież było niemile. Nosili najelegantsze stroje, mieli zawsze ostatnie modele

aut, urządzali najwspanialsze przyjęcia i w ten sposób zaszachowali tych, którzy osiadłszy dawniej, skromniejszymi środkami utrwalili sobie własną pozycję i uważali ją za zupełnie wystarczającą. Cranstonowie i Finchleyowie byli cierniem w ciele elity miasta Lycurgus - cierniem zbyt błyszczącym i zbyt agresywnym.

- Ileż to razy mówiłam ci, że wcale nie życzę sobie, żebyś tyle przebywała z Bertiną czy z Lettą Harriett, a także z jej bratem. Zanadto są na widoku. Za wiele tego paradowania wszędzie, gadania o sobie i ściągania oczu na siebie. Ojciec też jest tego samego zdania. A co do Sandry, to jeżeli ona liczy, że będziesz z nią bywała u Bertiny, pamiętaj że więcej tam nie pójdziesz. W ogóle nie wiem, czy ojciec byłby zadowolony, gdyby wiedział, że chodzisz gdzieś sama, bez towarzystwa kogoś z nas. Jesteś jeszcze za młoda na to. A co do zaprosin Finchleyów do Twelfth Lake, to albo wszyscy tam pojedziemy, albo nikt.

Pani Griffiths wygłosiwszy swe zasady spojrzała z wyrzutem na córkę.

Lecz Belli wcale to nie zmieszało ani przejęło. Doskonale wiedziała, że matka przepada za nią. Wiedziała, że i na nią działa jej uroda, że cieszy ją powodzenie towarzyskie córki, że i ojciec obdarza ją tymi samymi uczuciami, że uważa ją za doskonałość, a najlżejszy uśmiech, zresztą dość często praktykowany, wywiera na niego wielki wpływ.

- Za młoda, ciągle za młoda - powtórzyła Bella z wymówką. - Ależ zwróć uwagę, mamó, że już w czerwcu kończę osiemnaście lat... Ciekawa jestem, kiedy nareszcie zaczniecie uważać mnie za dostatecznie dorosłą, żebym mogła wszędzie chodzić bez was. Przecież to jest nieznośne... Muszę iść koniecznie tam, dokąd wy chcecie, a wy przecież i tak musicie tam iść, dokąd ja chcę...

- Bella! - zgromiła matka. Widząc jednak jej zniecierpliwienie dodała: - Czyż możemy inaczej postępować? Jak będziesz miała dwadzieścia jeden albo dwa lata, a nie wyjdiesz jeszcze za mąż, będzie wtedy czas żeby ci pozwolić na samodzielność. Ale teraz, w

twoim wieku, nie ma nawet o czym myśleć.

Bella potrząsnęła tylko piękną główką, gdyż właśnie w tej chwili drzwi się otworzyły i ukazał się Gilbert Griffiths, jedyny syn, z twarzy i budowy niezwykle podobny do Clyde'a.

Był to młodzieniec dwudziestotrzyletni, dobrze zbudowany, zarozumiały i próżny, a przy tym bardziej stanowczy i bezwzględny niż jego siostry. Bardzo inteligentny i rzutki w sprawach handlowych i przemysłowych, miał ruchy szorstkie i prężne i niezachwianą pewność siebie. Ceniąc swoją osobę nadzwyczaj wysoko, z wielką powagą rozprawiał przeważnie o interesach, do innych spraw odnosząc się ze wzgardą. Mimo to w głębi duszy interesował się bardzo życiem wyższych sfer towarzyskich do których niezaprzeczenie zaliczał siebie i swoją rodzinę. Wiedząc zaś o powadze, jaką się cieszyli Griffithsowie w tych sferach, zaznaczał swą przynależność do nich szorstkością prawie arogancką.

Było to dziwne, że w swych młodych latach tak mało miał w sobie młodzieńczości i pogody ducha. A jednak był młody, przystojny i interesujący naprawdę. Jego cięty język potrafił nieraz czynić świetne, choć cyniczne uwagi.

Dzięki stanowisku rodziców uważany był za najbardziej pożądaną partię w Lycurgus. Tak był wszakże zajęty sobą, że nie było już miejsca we wszechświecie, gdzie mógłby umieścić kogoś istotnie godnego swej uwagi.

Bella widząc, że wchodzi do swego pokoju, który znajdował się tuż przy jej komnatce, podbiegła do drzwi pytając:

- Ach, Gil, czy mogę wejść?

- Możesz.

Gwizdał głośno i zaczął przygotowywać wieczorowe ubranie.

- Dokąd idziesz?

- Nigdzie. Na obiad. A potem do Wynantów.
- Ach, Konstancja... na pe.
- Nie. Nie Konstancja... na pe... Skąd ty znasz takie wyrażenia?
- Żebym to ja wiedziała...
- Daj spokój. Czy po to tu przyszłaś?
- Nie. Nie po to przyszłam. Cóż ty sobie myślisz? Wiesz? Finchleyowie budują sobie bungalow w Twelfth Lake na lato, tuż nad wodą, zaraz przy Phants, a pan Finchley kupuje motorówkę, trzydzieści stóp długą, i buduje dla niej przystań, a przy niej taras z widokiem na jezioro. Będzie byczo! Ba!
- Nie mówi się "byczo" ani "ba". Czy nie pozbędziesz się nigdy żargonu? Mówisz jak przekupka. Czy tylko tego uczą cię w szkole?
- Ii, wszyscy tutaj tak mówią... i ty także... Sam dajesz najlepszy przykład.
- O, ja! Jestem o parę lat starszy od ciebie, a poza tym jestem mężczyzną. Na pewno Myry nie słyszałaś tak mówiącej.
- Ach, Myra... Ale dajmy temu spokój. Pomyśl lepiej o tej pięknej willi i o tym, jak cudownie będą tam spędzać lato. Czy nie byłoby dobrze, gdybyśmy się i my tam przenieśli?
- Nie wiem co prawda, czyby to było tak cudownie - odparł brat, którego to jednak zaciekało. - Czy są tam jeszcze jakie wille?
- A któż powiedział że nie ma? Ale naturalnie nie tutejszych naszych znajomych. Tam zjeżdża się najlepsze towarzystwo z Utica i Albany. Tworzy się tam prawdziwie wytworne letnisko z pięknymi willami na zachodnim brzegu, jak powiada Sandra. I Harriettowie, i Cranstonowie, i Lambertowie też się tam wybierają. W Greenwood nie pozostanie nikt z lepszego towarzystwa, może co najwyżej Anthony'owie i Nicholsonowie.

- Kto powiedział, że Cranstonowie tam się przeprowadzają? - zapytał brat bardzo zaciekawiony.

- Któż? Sandra.

- A kto jej powiedział?

- Bertina.

- Im to coraz weselej - mruknął brat z lekką zazdrością. - Niedługo Lycurgus będzie dla nich za małe.

Szarpnął krawatem, który wiązał sobie na szyi, i wykrzywił się, gdyż nieco za mocno go cisnął.

- Tak - dodał po chwili. - Głośniej tu o nich niż o kimkolwiek innym. Cóż oni sobie wyobrażają? Nie są jeszcze najbogatszymi ludźmi na świecie.

Takie sobie wyrobił zdanie o Cranstonach dlatego, że mieli większy rozmach życiowy i żądzę życia. Zazdrościł im.

- Ale to nie koniec - mówiła Bella z ożywieniem. - Finchleyowie kazali położyć parkiet do tańca na przystani. A Sandra powiada, że Stuart cieszy się, bo może zechcesz tam spędzić część lata.

- Naprawdę? - spytał Gilbert z ironią, lecz nie bez zazdrości. - Zdaje mi się, że on cieszy się z tego, że to ty może spędzisz tam część lata. Ja całe lato będę zajęty.

- Nic podobnego nie powiedział. Zresztą chyba ani tobie, ani mnie nie sprawiłoby przykrości, gdybyśmy tam pojechali na lato. W Greenwood, jak widzę, niewielka będzie zabawa. Same stare kwoki pozostaną.

- Czyżby? Matce wielką by przyjemność sprawiło, gdyby cię słyszała.

- A ty jej naturalnie zaraz to powiedz.

- Możesz być spokojna. Ale nie wydaje mi się, żebyśmy i my mieli podążać za Finchleyami do Twelfth Lake. Ty możesz sobie tam jechać, jeżeli masz ochotę i jeżeli ci papa pozwoli.

Drzwi na dole skrzypnęły, więc Bella nie dokończywszy sprzeczki z bratem zbiegła na dół powitać ojca.

Rozdział XXI

Pan Samuel, głowa tej linii Griffithsów, niepodobny do swego brata z Kansas City, bardziej był jednak interesujący jako mężczyzna. Tamten był niski, wiecznie zatroskany u swoich Wrót Nadziei, ten zaś przerastał średnią miarę wzrostu, budowę ciała miał mocną, chociaż można go było nazwać prawie szczupłym, spojrzenie bystre, pewną ciętość w mowie i energiczne ruchy. Od dawna przyzwyczał się liczyć tylko

na siebie i po latach, doszedłszy ciężką pracą do majątku, oceniał sprawiedliwie własny spryt handlowy, a dla innych, nie mających takich zdolności był odrobinę nietolerancyjny. Zazwyczaj na jego twarzy malował się spokój i powaga, chociaż nie można było powiedzieć, że jest sztywny lub niesympatyczny. Sam się nieraz tłumaczył ze swej pewności siebie mówiąc, że zaakceptował tylko ogólnie przychylny sąd o sobie i o tych, którym tak jak jemu poszczęściło się w życiu. Z bratem swym nie widział się od trzydziestu lat.

Do Lycurgus przybył przed dwudziestu pięciu laty z pewnym kapitałem i postanowił włożyć go w wytwórnię kołnierzy męskich, która miała szanse rozwinięcia się w tym mieście. Poszło mu

świetnie, ponad najśmielsze oczekiwania. Oczywiście, że był z tego dumny. Rodzina jego zajmowała teraz najpiękniejszą, z wielkim smakiem zbudowaną rezydencję w mieście. Griffithsowie cieszyli się ogólnym szacunkiem i zaliczano ich do najbardziej poważanych, najstarszych, najbardziej konserwatywnych rodzin w okolicy. Dwoje młodszych dzieci mile było przyjmowanych w towarzystwach dobranej, sympatycznej młodzieży i nie zanosilo się na to, żeby coś mogło zmienić lub przyćmić ich prestige.

Powróciwszy tego dnia z Chicago i załatwiwszy nieco spraw fabrycznych, które nie zamąciwszy mu spokoju zapewniały dalsze powodzenie, Griffiths był w dobrym humorze i dobrze dla wszystkich usposobiony. Nie zdarzyło się nic złego, co by można było położyć na karb jego parodniowej nieobecności. Praca w warsztatach szła bez zarzutu, jak gdyby cały czas był obecny.

Wszedłszy do mieszkania rzucił ciężką walizę i modnie skrojone palto i odwrócił się, jak gdyby na coś oczekiwał. Naturalnie... Bella biegła ku niemu. Dziecko to było jego pieszczotką, najmilszym, najrozkoszniejszym stworzonkiem, nagrodą za jego przeżyte lata - młodością, zdrowiem, wesołością, inteligencją i uczuciem. To było ucieleśnione w jego córce.

- Ach, tatuśku! - zawołała czule i przymilnie zobaczywszy wchodzącego. - Jesteś nareszcie!

- Jestem. Przynajmniej tak mi się zdaje teraz, że jestem. A cóż, moje dziewczątko? - Otworzył ramiona i przytulił swoją najmłodszą latorośl. - Oto prawdziwie dobre, kochane dziecko - mówił odrywając wargi od jej usteczek. - A jak się tu moja panienska sprawowała? Napaplałaś wiele?

- O, ślicznie, tatuśku. Nie mógłbyś o co innego spytać? Już nie potrafię być lepsza.

- A cóż mama?

- Zdrowa, tatuśku. Jest w swoim pokoju. Pewnie nie słyszała, żeś przyjechał.

- A Myra? Wróciła już z Albany?

- Wróciła. Jest także w swoim pokoju. Słyszałam, jak grała. A ja także przyszłam dopiero co.

- Naturalnie. Latało się po kominkach znowu. Znamy się na tym.

Podniósł palec groźnie, ale Bella uczepliła się jego ramienia i dotrzymywała mu kroku, gdy szedł po schodach.

- Wcale nie - szczebiotała milutko. - Widzisz, jak ty mi dokuczasz, tatuśku. Byłam tylko u Sandry i to tylko chwileczkę. A wiesz co tatuśku? Nie będą już mieszkali w Greenwood. Budują sobie cudowny bungalow nad Twelfth Lake. A pan Finchley kupił dla Stuarta wspianiałą motorówkę. Będą tam mieszkali w lecie, pewnie całe lato, może nawet do października. Od samego maja... I Cranstonowie także.

Stary Griffiths przyzwyczajony był do podstępnej taktyki swej najmłodszej córeczki i wcale nie przejął się tym, że chciała mu podsunąć myśl o Twelfth Lake, jakoby tam miało być przyjemniej pod względem towarzyskim niż w Greenwood, jeżeli nawet tacy Finchleyowie narażają się na wielkie koszta jedynie z tych względów.

Nic więc nie odpowiedział Belli i wszedł do pokoju żony. Ucałował małżonkę, przyjrzał się Myrze, która wyszła ze swego pokoju, żeby go uściskać, i zaczął opowiadać o swej podróży. Sądząc ze sposobu przywitania się z żoną można było mieć pewność, że istniała między nimi moralna spójność bez żadnej dysharmonii. Dla córki Myry, jakkolwiek nie zgadzał się czy nie sympatyzował z jej usposobieniem i sposobem rozumowania, serce miał też pełne gorącego uczucia.

Podczas ich rozmowy weszła Truesdale'owa i oznajmiła, że obiad już podany. Wszedł i Gilbert skończywszy swą toaletę.

- Wiesz, papo - odezwał się - chciałem ci dziś pokazać coś ciekawego. Chcesz zobaczyć?

- Dobrze. Pójdziemy po południu.

- Teraz pójdziecie na obiad - poprawiła pani Griffiths - bo wystygnie.

Więc Gilbert zawrócił na schody, za nim szedł ojciec z uczepioną u ramienia Bellą, za nimi matka i Myra, która teraz znów wyszła ze swego pokoju i przyłączyła się do nich.

Zasiadłszy przy stole rodzina zaczęła poruszać miejscowe ciekawostki. Bella, domowe źródło plotek, przynosiła je zwykle ze swej szkoły, gdzie zazwyczaj najświeższe nowości przefiltrowywano jak najspieszniej. Więc i teraz zawołała:

- Wiesz, mamó? Rosetta Nicholson, wiesz, ta siostrzenica pani Disston Nicholson, która tu zeszłego lata przyjechała z Albany... wiesz?... ta, co to przyszła do nas na garden party wieczorem... pamiętasz?... taka młoda panna z jasnymi włosami i zezowatymi, niebieskimi oczami... ojciec jej ma hurtownię kolonialną, wiesz?... Otóż ona zaręczyła się z Herbertem Tickhamem, tym co to mieszka w Utica... przyjeżdżał do pani Lambert zeszłego lata... Nie pamiętasz go, ale ja pamiętam doskonale. Taki wysoki, śniady, kapkę niezręczny i strasznie blady, ale prześliczny chłopak. Prawdziwy rycerz.

- Niech no pani Griffiths słucha uważnie - przerwał Gilbert ostrym, ironicznym tonem, zwracając się do matki - jak to panny z tej wzorowej szkoły umieją pielęgnować swoje uczucia, żeby później całe przelewać na prawdziwych rycerzy.

Tymczasem stary Griffiths wtrącił:

- Miałem ciekawe zdarzenie podczas mej bytności w Chicago i myślę, że powinno to i was zainteresować.

Przypomniało mu się, że dwa dni temu w Chicago spotkał najstarszego syna swego młodszego brata, Asy. Chciał więc teraz podzielić się tą wiadomością.

- Co takiego, tatuśku? - zaciekała się oczywiście najbardziej Bella.

- Podziel się swoimi sprawami papo - dodał Gilbert, który miał łaski u ojca i był z nim w prawdziwej przyjaźni.

- Otóż kiedy byłem w Chicago w Union League Club, spotkałem młodego człowieka, naszego krewnego. Jest on najstarszym synem mego brata, Asy, który zdaje się jest teraz w Denver. Nie słyszałem o nim od trzydziestu lat.

Milczał przez chwilę, zadumany.

- Czy to ten, co jest gdzieś tam kaznodzieją? - zapytała Bella.

- Tak, jest kaznodzieją. Przynajmniej tak było, gdy opuścił dom rodzicielski. Ale syn jego mówił, że ojciec jego porzucił ten zawód. Coś tam robi w Denver, jest w jakimś hotelu czy coś podobnego.

- Jakże ten syn wygląda? - pytała Bella, której wolno było mieć znajomości tylko z młodzieżą dobrze ułożoną i mocno konserwatywną, jak na to jej położenie towarzyskie pozwalało, więc oczywiście ciekawa była usłyszeć o kimś, niepodobnym do tamtych. A tu się trafia syn hotelarza.

- A więc to nasz kuzynek. W jakim jest wieku? - zapytał Gilbert, ciekaw również szczegółów.

- No cóż, bardzo interesujący młody człowiek - opowiadał namyślając się nieco stary Griffiths, gdyż do tej chwili niewiele myślał o Clydzie. - Jest zupełnie przystojny i dobrze ułożony i ma pewnie tyleż lat, co ty, Gilbercie. Jest nawet do ciebie podobny... nawet bardzo... takie same oczy, usta i linie twarzy. - Patrzył na syna uważnie. - Jest odrobinę wyższy i trochę szczuplejszy, przynajmniej tak mi się wydawało.

Usłyszawszy o kuzynku, który był do niego podobny, a nawet równie

przystojny, a przy tym nosił to samo nazwisko, Gilbert najeżył się lekko. Tu, w Lycurgus, znany był jako jedyny syn i przypuszczalny dziedzic ojcowskiego przedsiębiorstwa, a przynajmniej trzeciej jego części co najmniej. Tymczasem wyjdzie na jaw, że jest jeszcze jakiś Griffiths, tak bardzo do niego podobny, a może z podobnym charakterem. Wcale mu się to nie podobało. Nastąpiła w nim jakaś psychiczna reakcja, której nie rozumiał i nie umiał zanalizować, ale powiedział sobie, że nie lubi już tego kuzyna - nie może go lubić.

- A cóż on porabia? - zapytał krótko dość kwaśnym tonem, który chciał opanować, ale ponieważ.

- Hm, nie nadzwyczajną ma pracę, muszę przyznać - uśmiechnął się pan Samuel - jest bowiem tylko pikolakiem w Union League Club w Chicago. A jednak to miły i elegancki chłopak. Ujął mnie bardzo. Mówił mi, że niewiele tam ma widoków na przyszłość i że bardzo chciałby znaleźć sobie pracę taką, w której by mógł dojść do czegoś i czymś zostać. Odpowiedziałem mu, że jeżeli chce, może spróbować szczęścia u nas. Możemy mu pomóc do wybicia się, a on będzie mógł wykazać swoje zdolności.

Nie miał zamiaru przyznać się od razu, że aż do tego stopnia zainteresował się swym bratankiem. Chciał powoli omówić te sprawy z żoną i synem, ale tak jakoś wypadło - że powiedział. Teraz nawet był z tego zadowolony, gdyż patrząc na syna myślał, jak bardzo Clyde jest podobny do Gilberta i że nie powinno się mu pozwolić zmarnować.

Gilbert jednak siedział osowiały. Za to Bella i Myra poparły gorąco myśl pana domu. Taki kuzynek, który nazywa się Griffiths, jest przystojny, w wieku Gilberta i, jak powiada ojciec, sympatyczny i dobrze ułożony, już zawczasu podobał się pannom. Lecz pani Griffiths, dla której syn był oczkiem w głowie, widząc, że jej kochany Gil siedzi nachmurzony, milczała również. Z pewnością nie ucieszył się z tej wiadomości.

Szanując jednak autorytet męża, z wielkim taktem nie odezwała się wcale.

- Ach, tatuśku, dasz mi jaką posadę, prawda? - przerwała milczenie Bella. - To doskonale. Mam nadzieję, że jest sympatyczniejszy od wszystkich naszych kuzynów.

- Bella! - strofowała pani Griffiths, a Myra przypomniawszy sobie stryja i kuzynka, którzy przed paru laty przyjechali do nich z Vermont, uśmiechnęła się domyślnie.

Gilbert pragnął zwalczyć ten pomysł i odezwał się szorstko, mocno zirytowany:

- Teraz nie będziemy mogli opędzić się przed praktykantami, którzy już nieraz chcieli się dostać do nas.

- Wiem o tym - odrzekł ojciec. - Ale w tym wypadku chodzi o mego bratanka. Przy tym podobał mi się. Wygląda na młodzieńca ambitnego i bardzo inteligentnego. Cóż to kogo może obchodzić, że umieścimy w zakładach naszego krewnego, aby mógł wykazać swoje zdolności? Nie widzę powodu, żebyśmy mieli bronić mu tego. Może nam służyć równie dobrze jak i kto inny.

- Zdaje mi się, że Gilbertowi chodzi głównie o to, że w Lycurgus zjawi się ktoś, co się nazywa Griffiths i jest do niego podobny - szepnęła chytrze Bella z pewnym złośliwym zadowoleniem, że może odpłacić się zjadliwemu braciszкови.

- Wymyśliła! - wybuchnął brat z wściekłością. - Mogłabyś choć raz powiedzieć coś mądrzejszego. Dużo to mnie obchodzi, że on tak się nazywa jak ja albo że jest do mnie podobny.

Złość malowała się na jego twarzy.

- Gilbertcie! - mitygowała matka. - Jakże ty się wyrażasz? I to do siostry...

- Ach, już dobrze. Lepiej w takim razie nie zajmować się tym chłopcem, jeżeli już teraz są kwasy przez niego - odezwał się

ojciec. - Muszę tylko pamiętać o tym, że ojciec jego nie odznaczał się zmysłem praktycznym, wątpię, czy Clyde dużo skorzystał na jego opiece.

Gilbert obruszył się na dźwięk tak życzliwie wymówionego imienia swego kuzyna.

- Miałem zamiar sprowadzić go tutaj i dopomóc do rozpoczęcia kariery - mówił dalej ojciec. - Nie mam najmniejszego pojęcia, czy przyda się na co, czy nie. Może być, że zda się na co, ale może i nie. Jeżeli nie... - podniósł rękę - jeżeli nie, to się go pozbędziemy oczywiście.

- Uważam, że to z twojej strony bardzo życzliwie - odezwała się pani Griffiths dyplomatycznie. - Mam nadzieję, że będziesz z niego zadowolony.

- Muszę jednak jeszcze coś dodać - mówił dalej ojciec namyślając się. - Uważam, że ten młody człowiek, jakkolwiek jest naszym krewnym, nie powinien być inaczej traktowany niż wszyscy inni moi pracownicy. Przybędzie tu do pracy, nie do zabawy. Z chwilą, gdy tu się zjawi, nie chcę, żebyście mu okazywali jakiegokolwiek względy towarzyskie, nawet najlżejsze. Nie jest zresztą tego rodzaju chłopcem, który pragnąłby koniecznie wkręcać się między nas - przynajmniej takie zrobił na mnie wrażenie - i nie przyjedzie tutaj z myślą, że ma być postawiony na równej z nami stopie. To byłoby zupełnie nierozsądne. Później, gdy się okaże, że zasłużył na to, żeby mu okazać trochę względów, a wy będziecie też tego sobie życzyli, to i owszem. Ale na to jeszcze dosyć czasu, teraz nie ma o czym mówić.

Tymczasem Amanda, pomocnica Truesdale'owej, zabrała talerze i przygotowywała do deseru. Ale stary Griffiths rzadko kiedy jadał deser, chyba że goście byli na obiedzie, więc i teraz odsunął krzesło, wstał i przeprosiwszy towarzystwo poszedł do biblioteki, gdzie zazwyczaj korzystał z wolnej chwili, by przejrzeć wiadomości giełdowe i rozejrzeć się w papierach, które trzymał w biurku.

Reszta towarzystwa pozostała przy stole.

- Chciałabym wiedzieć, jak on wygląda - odezwała się Myra do matki.

- Przypuszczam, że jest taki, jak go ojciec opisał. Niełatwo obdarza kogoś swoją sympatią.

- Wcale mi się to nie uśmiecha - odezwał się Gilbert - żeby sprowadzać nowych ludzi, kiedy i tych, którzy już są, trudno skontrolować. A przy tym, ile to będzie gadaniny, że znaleźliśmy kuzyna, który był pikolakiem w hotelu.

- Ale ktoś o tym będzie wiedział? - tłumaczyła Myra.

- A jakże? Nie będą wiedzieli? Sam będzie o tym opowiadał, chyba że mu się zabroni. Albo znajdzie się ktoś, kto go tam widział w hotelu. - Oczy błyszczały mu złością. - W każdym razie wolałbym, żeby go tu nie było. Nic dobrego z tego dla nas nie wyniknie.

- Spodziewam się, że może nie jest tak tępy jak dwaj synowie stryja Allena - wtrąciła Bella. - Cóż to za durnie. Nigdy jeszcze nie widziałam nic podobnego.

- Bella! - zwróciła jej uwagę matka.

Rozdział XXII

Clyde, o którym opowiadał pan Samuel Griffiths, zmienił się nieco od swej ucieczki z Kansas City przed trzema laty. Miał teraz lat dwadzieścia, był nieco wyższy, trochę zmężniał, trochę się ustatkował, no i oczywiście nabrał doświadczenia. Od czasu, gdy

opuścił dom i pracę w Kansas City poznał twardą szkołę życia, gdzie trzeba było wykonywać poniżające prace, mieszkać nędznie, nie mieć koło siebie żadnej przyjaznej duszy, a za to mieć pewność, że może liczyć tylko na samego siebie. Lecz w zamian rozwinęła się w nim samodzielność, nabrał ogłady, jednym słowem zmienił się tak, że trudno byłoby go poznać.

Mimo braku eleganckiej garderoby wyróżniał się wytwornymi ruchami, nie rzucającymi się w oczy, pełnymi szlachetnego umiaru. Zaś głównie umiejętność opanowania się i zastanawiania nad sobą czyniła go niepodobnym do tego Clyde'a, który uciekał z Kansas City w towarowym wagonie.

Po ucieczce z domowych pieleszy, przeżywszy niejedno przykre doświadczenie, zmuszony do liczenia tylko na własne siły, doszedł do wniosku, że jego przyszłość tylko od niego samego zależy. Dostatecznie już rozumiał, że od rodziny nie może spodziewać się żadnej pomocy. Oboje rodzice byli zbyt niepraktyczni i biedni, na rodzeństwo też nie mógł liczyć.

A jednak jego myśl ciągle do nich wracała, a najczęściej do matki. Żył wspomnieniami dawnych dni, które przeżył przy niej jako dziecko, widział dokoła siebie swych bliskich, brata, siostry, wspominał Estę, bo teraz dopiero rozumiał jasno, że nie upadła niżej od niego. Przeciw niej sprzysięgły się okoliczności, którym nie umiała zaradzić. O, tak, bardzo często całą duszą wracał w dawne czasy. Ścisnęło mu się serce, gdy sobie przypominał, jak traktował wtedy matkę, gdy wspominał życie, jakie tam prowadził. Wszystko zerwało się nagle. Utracił Hortensję, co było dla niego wielkim ciosem, przyszły nań wielkie kłopoty, a przez niego także kłopoty spadły na matkę i Estę.

Gdy w dwa dni po swej ucieczce z trudem wydostał się ze śniegowej zamieci w szary zimowy poranek o sto mil od Kansas City, bez palta i zegarka, które mu ściągnęli dwaj włóczędzy, gdy dojechał do St. Louis, przede wszystkim postarał się o gazetę z Kansas City, "The Star", i z niej się dowiedział, że obawy, jakie żywił, były zupełnie słuszne.

Pod wielkim, olbrzymimi literami wydrukowanym nagłówkiem było półtorej szpalty opisu całego zdarzenia. Dowiedział się więc, że mała dziewczynka, jedenastoletnia córeczka bardzo przyzwoitych rodziców, została przejechana przez samochód i w godzinę później zmarła. Sparser i panna Sipe są w szpitalu pod nadzorem policyjnym, wspaniałe auto poważnie uszkodzone, ojciec Sparsera strasznie zrozpaczony, bo czuł się zagrożony na swym stanowisku skutkiem szaleństwa i lekkomyślności swego syna.

Ale najgorsze, że Sparser, oskarżony o kradzież i zabójstwo, pragnął zmniejszyć swą winę w tej okropnej katastrofie i nie tylko wyjawiał nazwiska swych pasażerów, co łatwo dało się sprawdzić w hotelu, lecz oskarżył ich o współudział w zbrodni, gdyż przynaglali go do pośpiechu, przeciw jego woli, co, jak Clyde wiedział, było prawdą. Pan Squires zaś podał policji i do gazet nazwiska ich rodziców i adresy. Zakończenie było najstraszniejsze. Opisano plastycznie, jak rodzice tych chłopców przyjęli wiadomość o winie swych synów. Pani Ratterer rozplakała się i zapewniała, że syn jej jest tak dobrym chłopcem, że nikomu nie uczyniłby żadnej krzywdy, jest tego pewna święcie. Pani Hegglund, matka Oskara, starsza już kobieta, szalenie go kochająca, oświadczyła, że nikt nie może mieć bardziej szlachetnej i uczciwej duszy jak jej syn, więc jeżeli się dopuścił czegoś podobnego, niechybnie musiał być pijany. W domu zaś Clyde'a, jak opisywał dziennik, matka jego strasznie zbladła, stała przerażona i w swym strapieniu składała i rozkładała ręce, jak gdyby nie mogła pojąć, co do niej mówią. Nie chciała uwierzyć, że jej syn należał do tej zabawy. Powtarzała tylko, że on tu zaraz przyjdzie i wyjaśni, że to musi być jakaś omyłka.

Nie wrócił jednak. I nic więcej się o tym nigdy nie dowiedziała, gdyż w obawie przed policją, jak również bojąc się spojrzeć w twarz matki, w jej stroskane, beznadziejnym bólem napelnione oczy, nie pisał przez kilka miesięcy do domu; dopiero po tym czasie posłał krótką o sobie wiadomość, że jest zdrow i żeby nie martwili się o niego. Nie podpisał się nawet i nie podał swego adresu. Po wielu tarapatach i długich wędrówkach po różnych miastach - St. Louis, Peorii, Chicago, Milwaukee - gdzie był pomywaczem w restauracji, pomocnikiem w podrzędnej fabryce wody sodowej,

próbował pracy u szewca, w sklepie kolonialnym, jednym słowem miał się najróżnorodniejszych zajęć. Jednak zawszą go odprawiano lub sam odchodził, gdyż mu się taka praca nie podobała; ustabilizował się wreszcie i posłał do domu raz dziesięć dolarów, drugim razem pięć, bo już teraz zarabiał trochę lepiej. Gdy minęło półtora roku, doszedł do przekonania, że poszukiwania musiały ustać, zapomniano już pewnie o jego udziale w zbrodni albo uważano, że udział ten nie był tak poważny, żeby go miano prześladować. Miał teraz zajęcie jako woźnica platformy towarowej w Chicago, za co płacono mu piętnaście dolarów tygodniowo, i w końcu zdecydował się napisać do matki i przyznać się, że zarabia, że prowadzi się przyzwoicie, jakkolwiek nie nosi własnego nazwiska.

Napisał wówczas do niej następujący list:

Droga Mamo!

Czy jesteście jeszcze w Kansas City? Chciałbym, żebyś mi o tym napisała. Bardzo byłbym rad czegoś się o was dowiedzieć i jeszcze raz napisać, jeżeli tego także pragniecie. Jestem tutaj tak samotny. Tylko bądź ostrożna i nie mów nikomu, gdzie jestem. Nic dobrego nie wynikłoby z tego, a mnie sprawiłoby dużo przykrości, gdyż znowu z wielkim trudem staram się dojść do czegoś. Ja wtedy nic złego nie zrobiłem. Naprawdę, Mamo, nic złego, chociaż dzienniki co innego pisały. Ale boję się, że zechcą mnie ukarać za to, czego nie popełniłem. I dlatego nie mogę wrócić. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, ale mi przykro, że Ty i ojciec możecie o mnie pomyśleć coś złego. Oni mnie zaprosili, Mamo. Nie wiedziałem, że on weźmie nie swoje auto. A on je wziął i zaprosił mnie i innych. Może to nasza wina, że przejechaliśmy tę małą dziewczynkę, ale nie chcieliśmy tego. Żaden z nas - naprawdę. I z tego powodu byłem tak nieszczęśliwy. Ile to zmartwienia sprawiłem Tobie, Mamo. I to właśnie wtedy, kiedy byłem Tobie tak potrzebny. O, Mamo, może jednak przebaczysz mi. Przebaczysz?

Ciągle myślę, co u was słyhać. Jak się miewa Esta, Julia i Frank, i ojciec? Chciałbym wiedzieć, gdzie jesteście i co porabiacie. Wiesz, Mamo, jak Ciebie kocham, wierzysz w to, prawda? Teraz

nabrałem więcej rozumu i widzę wszystko inaczej niż dawniej. Chciałbym coś robić na tym świecie. Chcę być pożyteczny ludziom. Mam tutaj dobre miejsce, nie takie jak w K. C., ale dobre i nie takiego samego rodzaju. Pragnąłbym mieć coś lepszego, a jednak nie chciałbym wrócić do pracy hotelowej, chociaż mi tam lepiej było. Nie jest to odpowiednie dla takiego młodego chłopca jak ja. Za wiele zbytku dokoła. Widzisz, Mamo, że teraz zmądrzałem i inaczej patrzę na wszystko. Tutaj, gdzie pracuję, lubią mnie, ale ja chcę zająć dalej. Zarabiam zaś tylko tyle, ile muszę wydać na siebie, na mieszkanie, życie i ubranie, ale chciałbym coś zaoszczędzić, żeby móc utorować sobie drogę i nauczyć się czegoś. Każdy musi mieć jakąś specjalność w tych czasach. Zrozumiałem to dobrze.

Może byś, Mamo, napisała do mnie, jak się czujesz i co robisz. Tak chciałbym wiedzieć wszystko. Powiedz Frankowi, Julii, Eście i ojcu, że ich pozdrawiam, jeżeli jeszcze są przy Tobie. Ciebie zawsze bardzo kocham, Mamo, i myślę, że jeszcze mnie też trochę lubisz, prawda? Nie chcę się podpisywać własnym nazwiskiem, bo jeszcze się trochę boję. Nie używałem go od czasu, jak opuściłem K. C. Podaję ci moje nowe nazwisko, które chętnie porzucę, i wrócę do dawnego. Chciałbym już teraz, ale boję się jeszcze. Pisz więc do mnie pod adresem:

Harry Tenet

Główna Ekspedycja

Chicago

Będę tam za parę dni. Podaję ten adres, gdyż nie chcę, żebyś ty, Mamo, miała jakieś przykrości, a i ja także. Ale jak tylko się dowiem, że nic mi nie grozi, wrócę do dawnego nazwiska.

Kochający syn

W miejscu, gdzie powinno być nazwisko, postawił kreskę, pod tym napisał "już wiesz" i wysłał list.

Wkrótce potem otrzymał odpowiedź ze znaczkiem pocztowym z Denver, co go niezmiernie zdziwiło, bo spodziewał się, że rodzice mieszkają jeszcze w Kansas City. Matka od dawna zaniepokojona jego losem natychmiast mu odpisała:

Drogi mój Synu!

Zdziwiłam się i ucieszyłam otrzymawszy list od Ciebie, bo dowiedziałam się, że żyjesz i jesteś zdrow. Miałam ciągle nadzieję w Bogu i modliłam się, żebyś mógł zawrócić na prostą, choć wąską ścieżynę - jedyną ścieżynę, która wiedzie do powodzenia i szczęśliwości wszelkiej, i żeby mi Bóg pozwolił jeszcze usłyszeć o Tobie, że jesteś zdrow i bezpieczny, że zajmujesz się pracą i prowadzisz się dobrze. I oto teraz wysłuchał mych prośb. Wiedziałam, że tak będzie. Niech będzie pochwalone Jego Święte Imię.

Nigdy Cię nie oskarżałam za tę straszną sprawę i nie miałam do Ciebie żalu za to okropne zmartwienie i przykrości, jakie ona sprawiła Tobie i nam wszystkim, gdyż wiem, że są to pokusy szatana, który prześladowuje wszystkich śmiertelników, a szczególnie takie dziecko, jakim Ty byłeś. O, mój Synu, żebyś tylko pamiętał, jak musisz się strzec, by uniknąć takich zasadzek. A jeszcze masz taką długą drogę przed sobą. Bądź zawsze rozważny i staraj się stosować do nauk naszego Zbawiciela, którymi twoja matka usiłowała napęlić głowy i serca wasze, moje ukochane dzieci. Stań i słuchaj głosu Pana, który jest zawsze z nami i prowadzi nas bezpiecznie ścieżką, wiodącą prosto do nieba, tak pięknego, że trudno sobie wyobrazić. Przyrzecz mi, Synu mój, że zawsze będziesz wiernie stał przy tych naukach, jakie słyszałeś od dzieciństwa, i pamiętać będziesz, że "prawo jest siłą". I nigdy, nigdy, moje ukochane dziecko, nie bierz do ust trunków żadnego rodzaju. Tam właśnie jest królestwo szatana i tam zawsze gotów on triumfować nad pogwałceniem człowieka. Pamiętaj o tym, co tak często powtarzałam że "mocny trunek jest wściekliwością, a wino szydercą", od najdawniejszych lat modliłam się, żeby słowa te brzmiały w Twych uszach w chwilach pokusy, gdyż jestem pewna, że to jedynie było przyczyną tego strasznego wypadku.

Strasznie wtedy cierpiałam, Synu mój, i to właśnie w tym czasie, kiedy tak ciężko mnie ręka Boska dotknęła Estą. Byłam pewna, że ją stracę. Przeżyła ona straszne chwile. Biedne, drogie dziecko ciężko odpokutowało swój błąd. Wpadliśmy wtedy w tak wielkie długi, że ciężko i długo trzeba było pracować, żeby z nich wybrnąć, ale dzięki Bogu wyratowaliśmy się jakoś i teraz nie jest już nam tak źle.

Jak widzisz, jesteśmy teraz w Denver. Mamy teraz własną misję i zajmujemy oddzielne mieszkanie. Prócz tego mamy pokoje do wynajęcia i Esta, która teraz nazywa się pani Nixon, zajmuje się nimi. Ma maleńkiego chłopczyka, który mnie i ojcu przypomina bardzo Ciebie, jak byłeś jeszcze takim małym dzieckiem. Drobne jego figielki, jakie i Ty wyprawiałeś, każą nam zapominać o ubiegłym czasie i zdaje się nam, że jesteś między nami.

Frank i Julia podrośli trochę i pomagają mi, jak mogą. Frank otrzymał dzielnicę na sprzedaż gazet i zarabia trochę pieniędzy, którymi mnie dopomaga. Esta nalegała, żeby ich jak najdłużej trzymać w szkole, o ile tylko będziemy mogli.

Jestem Clyde, bardzo szczęśliwa, że starasz się doskonalić swój charakter. Wczorajszego wieczoru ojciec przypomniał nam znowu, że w Lycurgus masz stryja, Samuela Griffithsa, który jest bardzo bogaty. Może byś do niego napisał, czy nie zechciałby Cię przyjąć do siebie, żebyś mógł się czegoś nauczyć. Może by nie odmówił. Nie widzę przyczyny, dlaczego by miał odmówić. Przecież jesteś jego bratankiem. Wiesz pewnie, że ma wielkie warsztaty i wyrabia kołnierze męskie i, jak powiadają, doskonale mu się powodzi. Dlaczego byś nie miał do niego napisać? Sądzę, że znalazłby dla Ciebie miejsce u siebie i mógłbyś tam mieć zapewnioną stałą pracę. Daj mi znać, czyś napisał i co on ci odpowiedział.

Chciałabym mieć od Ciebie, Clyde, częste wiadomości. Pisz więc do mnie często i wszystko o sobie, dobrze? Przecież my Cię wszyscy bardzo kochamy jak dawniej i będziemy się starali z całych sił, żeby Ci pomóc iść prostą drogą. Chcielibyśmy, żeby Ci się powodziło, jak sam tego pragniesz, ale chcemy również, żebyś był

dobrym chłopcem i żył prawym, czystym życiem, bo, mój Synu, cóż z tego przyjdzie, jeżeli człowiek zdobędzie świat cały, a zgubi własną duszę.

Pisz do swej matki, Clyde, i miej to w pamięci, że miłość jest zawsze przy Tobie, prowadzi Cię i modli się dla Ciebie o prostą ścieżkę w imię Boże.

Kochająca Cię

matka.

Dzięki temu listowi Clyde zaczął myśleć teraz o stryju Samuelu, zanim go jeszcze spotkał.

Było również dla niego wielką ulgą, gdy się dowiedział, że rodzice jego nie mają trudności materialnych jak dawniej, lecz pędzą spokojny żywot w jakimś hotelu czy pokojach umeblowanych, które zapewne należą do misji.

W dwa miesiące po otrzymaniu pierwszego listu od matki, gdy przez cały ten czas codziennie postanawiał coś przedsięwziąć ze sobą, pewnego dnia odwoził paczkę z krawatami i chusteczkami do Union League Clubu, którego członek kupił je w magazynie, gdzie pracował Clyde. W hallu spotkał się z kim?... Z nikim innym, tylko z Rattererem, ubranym w uniform hotelowy. Do jego zajęcia należały pakunki członków klubu i dawanie objaśnień.

Na razie nie poznali się wzajemnie, lecz po chwili Ratterer wykrzyknął: - Clyde! - i ująwszy go pod ramię dodał radosnym, ale przyciszonym głosem: - Patrzcie państwo. Połóż je tutaj... A to ci psiakrew. Gdzieżeś ty się podziewał przez ten czas?

A Clyde nie mniej radośnie odpowiedział:

- A to historia! Przecież to Tom! Patrzcie państwo. To ty tutaj

pracujesz?

Ratterer tak samo jak Clyde zapomniał na razie o tajemnicy, jaka ich łączyła.

- Oczywiście! Doskonale mi tu jest - odpowiedział. - Jestem tu już prawie od roku. - Nagle wycofał swą rękę spod ramienia Clyde'a, jakby chciał powiedzieć: - Pst! cicho! - odprowadził Clyde'a na stronę nie chcąc, by słyszał go chłopiec, z którym rozmawiał, gdy Clyde wszedł do hallu, i dodał: - Cicho. Pracuję tutaj pod własnym nazwiskiem, ale nie chcę, żeby wiadano, że byłem kiedyś w Kansas City. Przyjechałem tu, uważasz, z Cleveland.

Mówiąc to ścisnął radośnie ramię Clyde'a i przyglądał mu się serdecznie. Clyde również wzruszony odpowiedział:

- To się rozumie. Och, jaki jestem rad, żeśmy się spotkali. Ja się nazywam Tenet, Harry Tenet. Nie zapomnij tylko.

I obaj się cieszyli wspomnieniem dobrych czasów.

Ale Ratterer zobaczywszy ubiór woźnicy u Clyde'a zapytał:

- Powozisz platformą, co? To zabawne. No, patrzcie państwo, ekspedujesz towary... Nie, to coś niemożliwego. To mi się nie podoba. Co myślisz z tym robić?

Spostrzegł jednak, że te uwagi nie były przyjemne Clyde'owi, który odpowiedział:

- Z chęcią rzuciłbym to.

Więc Ratterer dodał:

- Chciałbym się z tobą znów zobaczyć. Gdzie mieszkasz?

Clyde wymienił adres.

- Doskonale. Wychodzę stąd o szóstej. Może byśmy mogli się jakoś

umówić, gdy skończysz robotę. Moglibyśmy się spotkać... na przykład na rogu Henrica i Randolph Street. Dobrze? Powiedzmy o siódmej. Jestem wolny o szóstej i mogę być na miejscu punktualnie, jeżeli tylko ty będziesz.

Clyde tak był uszczęśliwiony spotkaniem Ratterera, że tylko kiwnął radośnie głową.

Wrócił do swej platformy i rozwoził w dalszym ciągu towary, lecz cały czas nie mógł o niczym innym myśleć, tylko o spotkaniu z Rattererem.

O wpół do szóstej odprowadził platformę do wozowni, potem pobiegł do mieszkania, gdzie zmienił ubranie, i pośpieszył na umówione miejsce.

Nie upłynęła minuta, gdy na rogu pojawił się Ratterer, wesoły, rozradowany i jeszcze porządniej ubrany niż dawniej.

- Oj, ty stary gałganie, jak to byczo zobaczyć się znowu! - zaczął. - Czy wiesz, że dopiero ciebie pierwszego spotkałem od czasu, kiedy dałem dęba z Kansas City? Mówię ci. Siostra pisała do mnie, że nikt nie wie, co się stało z Highbym, Heggim i z tobą. A ten Sparser został skazany na rok, wiesz? Mocno, co? Ale nawet nie za zabicie tej dziewczynki, tylko za to, że zabrał cudze auto, że jeździł nie mając pozwolenia i że nie zatrzymał się na sygnal. I za to go trzymają. - Zniżył głos znacząco. - I nam dostałoby się to samo. Oj, bałem się, że nie daj Boże. Wiałem... To ci była stypa. Ale pomyśl... zostawiliśmy jego i tę dziewczynę samych w aucie... Ale cóż? Co mogliśmy im pomóc? Czy nie musieliśmy zmiatać? Jakże to ona się nazywała? Laura Sipe, zdaje się. A tyś chyba najpierw dał dęba... I ta mała Briggs z tobą... Odprowadziłeś ją do domu?

Clyde potrząsnął głową przecząco.

- Nie, nie odprowadziłem, przyznam ci się.

- A cóżeś zrobił wtedy?

Clyde opowiedział. A gdy podał kompletny obraz swych podróży, Ratterer zawrócił znów do początku:

- Więc nie wiesz nic, że ta mała Briggs puściła się z jednym aż do Nowego Jorku niedługo potem? Pracował w składzie cygar, wiem to od Luizy. Widziała ją przed samym wyjazdem, wystrojoną w nowe palto futrzane.

Clyde westchnął smutnie.

- Ale z ciebie ciele, żeby tak dla niej oszaleć! Ona miała w pięcie ciebie i każdego. Ale ty leciałeś na nią na całego, co?

Wyszczrzył zęby do Clyde'a i szturchnął go w bok starym obyczajem.

Zaczął teraz opowiadać o sobie i swych mało interesujących przeżyciach, zgoła odmiennych od przygód Clyde'a. W opowieści tej było mniej moralnych cierpień, za to więcej wiary w siebie, dzielnej odwagi i pewności we własne szczęście.

A teraz "wtrynił" się tutaj, bo, jak powiadał, w "Chi" człowiek nie zginie. Było mu tu dobrze i spokojnie, nikt mu złego słowa nigdy nie powiedział. Potem zaczął coś kombinować, wreszcie powiedział, że na razie nie ma nic odpowiedniego w tym klubie, ale rozmówi się z panem Haleym, który jest tam głównym administratorem, i może by znalazło się jakieś zajęcie dla Clyde'a.

- Rzuć do licha tę ciężką pracę - namawiał. - Niewiele tam zarabiasz.

W niespełna dwa dni po tym miłym spotkaniu, podczas których Clyde istotnie rozmyślał wiele nad tym, czyby nie porzucić swej pracy, odzyskać własne nazwisko i znaleźć jakieś zajęcie w którymś z hoteli - przyszła do niego kartka, przyniesiona przez jednego z chłopców z Union Clubu:

"Idź do pana Lightalla w Great Northern przed południem. Jest miejsce do objęcia. Nie jest nadzwyczajnie dobre, ale może później znajdzie się coś lepszego".

Clyde więc zatelefonował przede wszystkim do swego szefa mówiąc, że jest dzisiaj chory i nie może przyjść do pracy, potem założył najlepsze ubranie i udał się do hotelu. A że mógł dać referencje ze swych licznych zajęć - został przyjęty. I ku swej wielkiej uldze pod własnym nazwiskiem. Pensji miał dostawać dwadzieścia dolarów miesięcznie i utrzymanie. Z napiwków jednak nie można było więcej uciuć jak dziesięć dolarów tygodniowo, jednak włączywszy w to utrzymanie, było to o wiele więcej, niż dotychczas zarabiał i wystarczyć mogło doskonale. Była to przy tym dużo lżejsza praca, tylko wchodząc na dawne tory obawiał się jeszcze, że może zostać wyśledzony i aresztowany.

Był tam jednak niedługo, zaledwie trzy miesiące, gdyż była wolna posada w Union League Club. Ratterer otrzymał właśnie miejsce pomocnika nadzorcy personelu klubowego, a będąc w dobrych stosunkach ze swoim szefem, nadmienił, że zna kogoś, kto nadałby się na jego poprzednie miejsce. Jest to Clyde Griffiths, zajęty obecnie w Great Northern. Posłano więc po Clyde'a, który uprzedzony przez Ratterera, jak ma mówić z przyszłym swym zwierzchnikiem - dostał miejsce.

Było to zupełnie co innego niż Green-Davidson. Instytucja ta stała pod każdym względem na wyższym poziomie, co od razu Clyde zauważył. Jednakże i tam na swoje nieszczęście miał atmosferę, która silnie działała na jego pojęcia o szczytnym znaczeniu wyższych stanowisk społecznych i dystynkcji osobistej. W klubie zjawiali się ludzie z tak wyborowych sfer, jakich nigdy w życiu jeszcze nie oglądał. Była to elita nie tylko jego rodzimego kraju, lecz wszystkich państw, narodów i części świata. Politycy amerykańscy z północnych, południowych, wschodnich i zachodnich stanów, dygnitarze i leaderzy, mężowie stanu delegowani ze swych państw, chirurdzy, lekarze, uczeni, generałowie, literaci, przedstawiciele wyższych sfer, nie tylko amerykańskich, lecz z całego świata.

Tutaj także dostrzegł zjawisko, które nie tylko obudziło jego ciekawość, lecz i najwyższe zdumienie. Brakło tu tego, co najbardziej było charakterystyczne w Greenie-Davidsonie i Great Northern - brakło elementu kobiecego. O ile wiedział, element ten łączył się zawsze blisko z życiem, a przynajmniej prawie ze wszystkimi etapami jego życia. Tutaj jednak nie było kobiet. Żadnego nawet śladu. Kobiety nie były przyjmowane w klubie. Mężczyźni różnego typu zjawiali się tutaj sami, energiczni, lecz pełni spokoju i tej dystygowanej rezerwy, tak charakterystycznej u ludzi w pełni powodzenia. Bardzo często nawet jadali samotnie, prowadzili długie rozmowy we dwóch lub grupami, spokojnie, bez hałasu, czytali dzienniki lub książki, odjeżdżali w szybko mknących samochodach, ale zdawali się nieświadomi, a przynajmniej nie dawali tego poznać po sobie, że istnieją namiętności, które w niedojrzałych jeszcze pojęciach Clyde'a miały dodawać bodźca, lecz i mąciły życie w środowiskach dotychczas mu znanych.

Na posadzie w tej osobliwej instytucji mógł się utrzymać tylko człowiek całkiem obojętny na sprawy miłosne, wygnane bezwzględnie z tego rajy, i tak musiał postępować, jak gdyby nigdy podobne myśli nie powstały w jego głowie.

Clyde więc w niedługim czasie nabrał wykwintnych manier wzorując się na otoczeniu. Atmosfera klubu tak na niego działała, że podczas pełnienia swych obowiązków stawał się zupełnie inny - bardziej opanowany, mniej romantyczny, praktyczniej i trzeźwiej patrzył na życie. Pełen gorliwości w przyswajaniu sobie tych nowych cech, pewien był, że jeżeli uda mu się jak najdokładniej skopiować wzory tak bardzo eleganckich ludzi, może w końcu i do niego uśmiechnie się kiedyś szczęście. Zresztą kto wie? Jeżeli będzie pracował sumiennie i zawierać będzie tylko przyzwoite znajomości może jeden z tych wielkich panów, których tu widywał, upodoba go sobie i zaproponuje mu coś niesłychanie lepszego, co zaprowadzi go na wyżyny nie znane mu dotychczas.

Nie można wszakże powiedzieć, aby jego charakter miał wiele danych do wybicia się. Brak mu było tej jasności umysłu i umiejętności wewnętrznego przystosowywania się, co właśnie innym pozwala

przeprowadzić umiejętną selekcję faktów i dróg życiowych, by z nich wybrać takie, które potrafią bezpośrednio zawieść na wyżyny.

Rozdział XXIII

Coraz jaśniej widział Clyde, że całą swą nędzę zawdzięcza brakowi jakiejś konkretnej umiejętności. Od dzieciństwa włóczył się z rodzicami z miasta do miasta i nigdy nie mógł zdobyć żadnych wiadomości z jakiegokolwiek specjalności, co teraz pozwoliłoby mu, jak sądził, wspinać się na szczyble, wiodące do wielkiego świata, do którego należeli ci wytworni panowie. Bolał srodze w głębi duszy nad tym. Ludzie ci mieszkają w pięknych domach, zatrzymują się we wspaniałych hotelach i tacy, jak pan Squires albo jego szef tutejszy, są na ich rozkazy i starają się im we wszystkim dogodzić. A on, Clyde, czymże jest? Jest tylko starszym nad chłopcami do posługi. A ma blisko dwadzieścia jeden lat... Bliski był rozpaczy. Tak by chciał, tak bardzo by chciał dostać taką pracę, przy której mógłby się czegoś nauczyć i zająć jakieś lepsze stanowisko w świecie. Czyż już całe życie ma być chłopcem hotelowym? To straszne.

W tym czasie, kiedy tak wiele rozmyślał o przyszłości, do Chicago przyjechał pan Samuel Griffiths. Posiadał wielkie stosunki, które mu ułatwiły wstęp do tego klubu, przez kilka więc dni przebywał tam ciągle i konferował z różnymi osobistościami lub starał się spotkać z ludźmi, z którymi znajomość uważał za korzystną.

Już w godzinę po jego przybyciu Ratterer, który tego dnia był zajęty wpisywaniem nazwisk na tablicy, wpisawszy nazwisko pana Samuela dał znać Clyde'owi, kogo dziś klub gości.

- Zdaje się, że kiedyś mówiłeś o jakimś stryju czy wuju, co się nazywa tak samo Griffiths i gdzieś koło Nowego Jorku wyrabia kołnierze na wielką skalę?

- Tak - odrzekł Clyde. - Tak. Samuel Griffiths. Ma olbrzymie przedsiębiorstwo w Lycurgus. Możesz się o tym dowiedzieć ze wszystkich pism, a jego świetlna reklama znajduje się na Michigan Avenue.

- Czy poznasz go, jeżeli go zobaczysz?

- Nie. Nie widziałem go nigdy w życiu.

- Założę się, że to ten sam typ - mówił dalej Ratterer wpatrując się w listę którą mu przed chwilą wręczono. - Patrz tylko... Samuel Griffiths, Lycurgus, stan Nowy Jork. Nikt inny tylko on.

- Jestem najpewniejszy, że tak - odrzekł Clyde, wielce tym zainteresowany, a nawet podniecony, gdyż oto nareszcie był tutaj ten stryj, autentyczny stryj, o którym już od tak dawna myślał.

- Dopiero co tędy przeszedł. Devey wziął od niego walizkę. Elegancki pan, nie ma co gadać. Wytrzeszczaj gały i uważaj dobrze, jak będzie schodził. Może to i twój stryj. Średniego wzrostu i dość szczupły. Ma siwe wąsy, szary kapelusz. Przystojny. Pokażę ci go. Jeżeli to twój stryjasek, to stań przed nim na baczność. Może coś dla ciebie zrobi nareszcie - da ci nowy kołnierzyk albo może ze dwa - dodał śmiejąc się.

Clyde roześmiał się także, jakby ten żart podobał mu się bardzo, ale był mocno poruszony tą wiadomością.

Jego stryj Samuel! I to w tym klubie!... A więc trafiła się wreszcie dobra sposobność, żeby dać się poznać stryjowi... Miał przecież zamiar pisać do niego, zanim jeszcze dostał zajęcie w Union Clubie, a teraz właśnie może osobiście się z nim rozmówić.

Ale cóż? Co o nim stryj pomyśli, jeżeli mu się Clyde przedstawi? Jest tylko chłopcem hotelowym, zwykłym chłopcem... Nic więcej nie

potrafi robić. Co stryja może obchodzić taki bratanek, który do niczego więcej nie jest zdalny? I na domiar w tym już wieku... Ma już przecie przeszło dwadzieścia lat i na boya jest już nawet za stary. Człowiek tak bogaty jak stryj i takie stanowisko zajmujący w świecie może uważać takie zajęcie za służalcze, zwłaszcza jeżeli to jest osobnik, który chce uchodzić za jego krewnego... Może nie chceć z nim mieć wcale do czynienia - może nie chceć nawet z nim gadać.

Takie to myśli kłębiły mu się w głowie przez całe dwadzieścia cztery godziny, gdy się dowiedział, że stryj jego zjawił się w klubie.

I następnego dnia, chociaż go już kilka razy zobaczył i przekonał się, że bardzo miłe wywiera wrażenie, zaczynał wątpić i nawet obawiać się, czy uda mu się zawiązać z nim rozmowę. Zauważył, że stryj ten był bardzo żywego usposobienia, energiczny, zupełnie niepodobny do jego ojca i tak bogaty, tak szanowany tutaj przez wszystkich. Lecz ten stryj jakoś nie patrzył na niego niechętnie - przeciwnie - patrzył z pewną sympatią.

Namówiony przez Ratterera poszedł Clyde do jego pokoju po jakiś list, który miał być odesłany. Stryj zaledwie spojrział na niego, ale podał mu list i pół dolara.

- Dopilnuj, żeby chłopiec wręczył ten list, a pieniądze schowaj dla siebie.

Clyde był tak wzruszony, że dziwił się, iż stryj po jego zachowaniu nie poznał w nim swego bratanka. Stryj jednak nic nie zauważył. Chłopiec więc wyszedł, zbity trochę z tropu. W jakiś czas potem Ratterer, zauważywszy z pół tuzina listów zaadresowanych do pana Samuela Griffithsa, leżących w jego skrzynce, zwrócił na nie uwagę Clyde'a.

- Jeżeli jeszcze raz chcesz się z nim zobaczyć, masz teraz właśnie sposobność. Jest, zdaje się, w swoim pokoju.

Clyde zawahawszy się chwile wziął listy i poszedł do stryja.

Zapukał.

Stryj pisał coś właśnie i zawołał:

- Proszę wejść.

Clyde wszedł i uśmiechając się nieco zagadkowo odezwał się:

- Poczta dla pana.

- Bardzo dziękuję, mój synu - odpowiedział stryj i zanurzył palce w kieszeni po drobne.

Lecz Clyde korzystając ze sposobności zawołał:

- Ach, nie! Nie żądam nic za to. - A zanim stryj mógł coś na to odpowiedzieć, chociaż już wydobył trochę srebra dla niego, dodał:

- Zdaje mi się, że jestem pańskim krewniakiem... Pan jest Samuelem Griffiths, właścicielem wielkich warsztatów w Lycurgus, prawda?

- Tak. O ile mi się zdaje, mam coś z tym wspólnego. A ty kim jesteś? - spytał stryj patrząc na niego badawczo.

- Nazywam się Clyde Griffiths. Mój ojciec, Asa Griffiths, jest zdaje się, pańskim bratem.

Na wspomnienie tego osobliwego brata, któremu, o ile było wiadomo wszystkim członkom tej rodziny, nie powodziło się nadzwyczajnie pod względem materialnym, twarz pana Griffithsa zachmurzyła się. Wzmianka o Asie przynosiła niezbyt przyjemne wspomnienie krępej, niezupełnie wytwornej figury jego młodszego brata, którego już nie widział od wielu lat. Ostatnie wspomnienie malowało go jako młodego chłopca, w wieku prawie Clyde'a, gdy przebywali jeszcze razem w rodzinnym domu pod Bertwick, w Vermont. Ale jakaż między nimi różnica! Ojciec Clyde'a był niski, tłusty i bardzo mizernie skonstruowany nie tylko pod względem fizycznym, lecz i umysłowym, rozlazły, a nawet trochę mazgajowaty. Rysy twarzy rozlane, oczy wodniste, niebieskie, włosy zawsze potargane. A tu oto jego syn,

taki schludny, dziarski, przystojny i tak dobrze ułożony, i zdaje się, że inteligentny, co, jak zauważył, było zwykłą cechą chłopców hotelowych. Podobał mu się.

Przed laty pan Samuel Griffiths wraz ze swym starszym bratem, Allenem, odziedziczyli cały skromny majątek ojcowski i pozostało im uczucie, że skutkiem tej niechęci ojca do najmłodszego syna, Asa został skrzywdzony. Ojciec starał się z początku kształcić tego niemrawego chłopca tak niepraktycznego i niezbyt inteligentnego i pokierować nim tak samo jak starszymi synami. Zniechęcił się jednak na skutek bezowocnych wysiłków, wreszcie odsunął go od siebie, a cały swój majątek, około trzydziestu tysięcy dolarów, zostawił dwóm starszym synom, Asę obdarzając zaledwie tysiącem dolarów.

Patrzył więc teraz ciekawie pan Samuel na Clyde'a, gdyż młodzieniec ten nie przypominał niczym ograbionego w rodzicielskim domu brata. Przypominał mu bardzo jego własnego syna, Gilberta, jak to sobie w myśli w tej chwili skonstatował. Wbrew obawom Clyde'a zrobił na panu Samuelu wrażenie fakt, że młodzieniec ten ma jakieś zajęcie w tym nadzwyczajnym klubie, obracając się bowiem w granicach niewielkiego miasteczka Lycurgus przejęty był niezmiernym respektem dla pozycji i charakteru tego wyjątkowego klubu. A ci młodzieńcy, którzy usługiwali gościom w takiej oto instytucji, wcale, wcale dobre robili wrażenie. Patrzył więc z sympatią na Clyde'a, który stał przed nim w swym miłym szarym uniformie z miną człowieka, dla którego dobre maniere nie są nowiną. Naprawdę czuł dla niego wiele sympatii.

- Co ty mówisz? - zawołał zaciekawiony. - Więc ty jesteś synem Asy? No, no! A to niespodzianka! A czy wiesz, że ja swego brata nie widziałem ani nie słyszałem o nim jakieś... tak, dobrze... dwadzieścia pięć czy sześć lat... Ostatni raz słyszałem, że mieszkał w Grand Rapids, w stanie Michigan. Pewnie już go tam nie ma, co?

- O, nie, proszę pana - odparł Clyde zadowolony, że mógł to powiedzieć. - Mieszkają teraz w Denver. A ja mieszkam tutaj sam.

- Czy oboje rodzice żyją?

- Tak, żyją.

- I zawsze ojciec pracuje w misyjnych sprawach?

- Zawsze - odrzekł Clyde po chwili wahania, bo dotychczas był przekonany, że to zajęcie ojca uważane jest ogólnie za coś nędznego i niewłaściwego. - Ma teraz własny kościół - mówił - a przy nim utrzymuje pokoje umeblowane. Jakies czterdzieści pokojów, zdaje mi się. Oboje rodzice tym się zajmują, a przy tym i misją.

- Ach, tak!

Chciał wyrzucić na stryju jak najlepsze wrażenie i wolał sytuację materialną rodziców przedstawić w jaśniejszych barwach.

- Ano, to bardzo się cieszę, że im się dobrze powodzi - odrzekł pan Samuel, na którym porządny wygląd Clyde'a zrobił dobre wrażenie. - A tobie podoba się praca tutaj?

- Niezupełnie. Nie, proszę pana, nie bardzo - poprawił się śpiesznie Clyde rozumiejąc, jak wielkie znaczenie będzie miała jego odpowiedź. - Płacą mi dość dobrze, lecz nie podoba mi się sposób zarabiania tych pieniędzy. Mam inne pojęcie o zarabkowaniu. Jestem jednak zmuszony pracować tutaj, bo nie miałem sposobności nauczenia się jakiegoś fachu. Posiadając jakąś specjalność mógłbym najać się gdzieś do fabryki, a wówczas istotnie miałbym szansę, żeby dojść do czegoś. Matka mnie nawet namawiała, żebym do pana napisał i poprosił o miejsce w pańskich warsztatach, żebym mógł się czegoś nauczyć, ale obawiałem się, że to się panu nie spodoba - i nie napisałem.

Uśmiechnął się i spojrzał na stryja pytającym wzrokiem.

Stryj patrzył na niego przez chwilę poważnie zadowolony z jego skromnego zachowania, wreszcie odpowiedział:

- Rzeczywiście, to ciekawe... Mogłeś przecie napisać, jeżeli już

tak chciałeś... - I według swego zwyczaju kierując się ostrożnością zamilkł. Clyde zaś uważał, że to właśnie miało na celu dodanie mu odwagi.

- Nie przypuszczałem, że w pańskich warsztatach znajdzie się dla mnie takie miejsce, które by pan zechciał mi powierzyć... - zaryzykował znowu.

Pan Samuel ciągle patrzył na niego w zamyśleniu. Podobał mu się a jednocześnie i niezbyt podobał ten wyraźny zwrot. Clyde jednakże wydawał mu się zasługującym na uwagę chłopcem. Jest zdaje się bystry i ambitny, i tak podobny do jego syna. Mógłby go umieścić w którymś oddziale pod nadzorem Gilberta, dopóki nie doszedłby do wiedzy technicznej. W każdym razie spróbować można. Żadnych przykrości z tego mieć nie będzie. A przecież chodzi tu o syna najmłodszego brata, wobec którego on i Allen mają w każdym razie pewne zobowiązania, a nawet powinni poczuwać się do pewnej restytucji.

- Dobrze - odezwał się po chwili - pomyślę nad tym. Nie powiem ci od razu, czy będzie coś z tego, czy nie. Ale ostrzegam cię, że tyle, co tutaj zarabiasz, nie będziemy mogli ci płacić.

- Ależ dobrze! - zawołał Clyde, bardziej zachwycony myślą, że nastąpi zbliżenie ze stryjem niż czym innym. - Nie chcę liczyć na wielkie zarobki, jeżeli tylko będę mógł się czegoś nauczyć.

- Prócz tego może się zdarzyć, że gdy wejdiesz już do naszych warsztatów, okaże się, że to zajęcie nie podoba ci się, albo przekonamy się, że ty nam nie odpowiadasz. Nie każdy nadaje się do tej pracy.

- Jeżeli tylko to się okaże, pan w każdej chwili będzie mnie mógł zwolnić. Ja jednak od dawna myślałem o takiej pracy, odkąd tylko usłyszałem o warsztatach pana Samuela Griffithsa.

Ta uwaga podobała się panu Samuelowi. Stanowczo ten młodzieniec przypadł mu pod każdym względem do gustu.

- A więc dobrze - odpowiedział. - Teraz nie mogę ci poświęcić więcej czasu, ale zabawię tu parę dni, więc będę mógł pomyśleć jeszcze nad tym. Może uda się coś dla ciebie zrobić. Na razie nic jeszcze nie obiecuję.

I odwrócił się szybko ku swoim listom.

Clyde podziękował uprzejmie i wyszedł czując, że zrobił dobre wrażenie.

Następnego dnia pan Samuel po rozważeniu, że inteligencja i energia Clyde'a może być równie dobrze jak i kogoś obcego zużytkowana w warsztatach, zawiadomił go, że jeżeli będzie wolna posada w którymś oddziale, niezwłocznie da mu znać. Niech jednak nie spodziewa się, że może to nastąpić prędko. Należy czekać.

A więc teraz Clyde mógł znów snuć marzenia, jak to będzie, kiedy znajdzie się nareszcie w warsztatach stryja.

Tymczasem pan Samuel w Lycurgus po naradzie z synem zdecydował, że Clyde'a należy umieścić w takim oddziale, gdzie by mógł zapoznać się z techniką wytwarzania tych wyrobów od samego początku. Potem stopniowo mógłby przechodzić coraz wyżej, dopóki nie objąłby praktycznie całokształtu pracy. A ponieważ powinien był utrzymywać się w Lycurgus w sposób, który by nie przynosił wstydu nazwisku Griffithsów, stryj postanowił dać mu na początek piętnaście dolarów tygodniowo.

Bo chociaż pan Samuel, jak i syn jego, Gilbert, rozumieli dobrze, że jest to bardzo niskie wynagrodzenie (nie dla zwyczajnego praktykanta, lecz dla Clyde'a jako krewnego), jednak kierowali się bardziej praktycznymi niż ludzkimi względami w stosunku do swych pracowników, rozumiejąc, że w im węższych i bardziej ograniczonych ramach zaczyna pracę taki praktykant, tym- dla niego lepiej. Nie tolerowało się również wszelkich socjalistycznych teorii, prawiących o wyzysku kapitalistów. Obaj, i ojciec, i syn, doskonale sobie zdawali sprawę z tego, że klasy pracujące dążą ciągle do coraz wyższych celów socjalnych, że wtrącają się do nie

swoich rzeczy i w szalony sposób zrywają odwieczne, niezaprzeczone prawa w wypadkach, gdy wypadło faworyzować kogoś ze swoich. Jeżeli więc w sprawach handlowych czy przemysłowych ma się do czynienia z klasami i inteligencją niższą, należy tak postępować, żeby utrzymać je w zgodzie z tymi uznanymi prawami. Najroztropniejsze zaś z tych praw były te, które prowadziły te niższe jednostki do zrozumienia, że nie przez pieniądze dochodzi się do zrozumienia, jak ważna i konieczna jest praca konstrukcyjna, i że w materialnej wytwórczości najistotniejszym celem jest zdobycie fachowych kwalifikacji. Dochodzi się zaś do tego tylko usilną i systematyczną pracą we wszystkich szczegółach i metodach, z których właśnie składa się praca konstrukcyjna. Do takiego celu wiedzie tylko wstrzeźliwość życia. Metody więc używane wobec swych pracowników stosuje się tylko dla ich dobra, bo ci, którzy mają przed sobą wyższe cele, rozwijają w ten sposób swój umysł i wzmacniają ducha. Korzystne to jest również i dla tych, którzy zapominają się często na swym stanowisku.

Więc gdy obmyślono pracę dla Clyde'a, sam pan Griffiths wysłał list do niego z zawiadomieniem, że jeśli trwa w swych zamiarach może przyjechać. Obowiązany jest jednak zawiadomić stryja na dziesięć dni przed swym przyjazdem, ażeby można było przygotować miejsce dla niego. Po przyjeździe zaś musi się stawić w biurze przedzalni u Gilberta Griffithsa, który nim się zajmie.

Clyde bardzo się tym przejął i zaraz napisał list do matki, że dostał miejsce u stryja i wyjeżdża do Lycurgus. Nareszcie zacznie się dla niego nowe życie.

Na to matka odpisała mu w długim liście upominając, żeby był ostrożny w swym postępowaniu i zawieraniu znajomości, gdyż złe towarzystwo jest źródłem wszystkich błędów i upadków, jakie się zdarzają takim jak on młodzieńcom. Jeżeli tylko potrafi unikać znajomości z młodzieżą o złych skłonnościach, lekkomyślną i popędliwą, wszystko będzie dobrze. Zła kobieta łatwo może zaprowadzić na manowce młodego człowieka z takimi jak Clyde pojęciami i charakterem. Niech sobie przypomni, co się stało w Kansas City. Niech pamięta, że jest jeszcze młody i że ma pracować u człowieka, który jest bardzo bogaty i wiele może dla niego

zrobić, jeżeli na to zasłuży. A do matki powinien pisywać często o wszystkich swoich sprawach.

Zawiadomiwszy więc stryja, jak tego żądał, Clyde wybrał się w drogę do Lycurgus. Gdy tam przyjechał, ponieważ nie miał ściśle wyznaczonej godziny na stawienie się w fabryce, wyszukał sobie hotel, odpoczął i odświeżył się po podróży.

Mając dużo czasu postanowił zwiedzić miasto i dowiedzieć się czegoś o stryju, wiedząc, że gdy zacznie pracować, może potem nie znaleźć na to czasu. Wolnym więc krokiem przeszedł Central Avenue, główną arterię Lycurgus, z której rozchodziły się w różne strony ulice i gdzie koncentrowało się całe życie handlowe i rozrywkowe miasta.

Rozdział XXIV

Jakże mu tutaj w tym małym miasteczku wszystko wydało się odmienne od tego, co dotychczas widywał. Znaleźć tu można było wszystko, co w każdym wielkim mieście, lecz w dużo drobniejszej skali. Dworzec, z którego przed chwilą wyszedł, był mały, cichy, spokojny, nie rozbrzmiewający zwykłym gwarem. Dzielnica fabryczna, leżąca za rzeką Mohawk, była zbiorowiskiem czerwonych i szarych budynków, z których gdzieniegdzie sterczał komin wysnuwający z siebie błękitną smugę dymu. Dzielnica łączyła się z miastem dwoma mostami. Jeden z nich prowadził wprost na dworzec. Był to obszerny most, przez który ciągnęły szeregi aut zakręcając na Central Avenue, ozdobioną wspaniałymi magazynami.

Na Central Avenue ruch był ożywiony. Pełno było pieszych i aut. Prawie naprzeciwko hotelu, gdzie za wielkimi lustrzanymi szybami

widać było rozstawione krzesła między palmami i kolumnami, znajdował się wielki skład tekstylny Stark & Company, olbrzymi interes, w czteropiętrowym domu z białej cegły, o wielu oknach wystawowych wypełnionych pięknymi towarami. W domu tym znajdował się drugi hotel, magazyn samochodowy i kino.

Błądząc po mieście znalazł się naraz za dzielnicą śródmiejską, gdzie w przestronnej, szerokiej, wysadzonej drzewami alei stał cały szereg rezydencji, tak wielkich i wspaniałych, jakich nigdy jeszcze nie widział. Było to coś niezwykłego w porównaniu z tym niewielkim miastem. Było to bogactwo, przepych prawie. Imponujące ogrodzenia z kutego żelaza, dobrze utrzymane ścieżki, grupy drzew i klomby, kosztowne auta, oczekujące przy bramach lub pędzące przez szeroką aleję. A na Central Avenue, skąd się zaczynała ta prześliczna aleja, były magazyny, gdzie wystawiono tyle wspaniałych, wytwornych rzeczy, że mogły zupełnie zadowolić smak ludzi, mających środki i znających się na rzeczy. Były tam auta, biżuteria, bielizna, wyroby skórzane, meble.

Ale gdzie mieszka jego stryj? W którym domu? Na jakiej ulicy? Czy dom jego jest większy i jeszcze piękniejszy od tych?

Postanowił wrócić i przedstawić się stryjowi. Musi dowiedzieć się, gdzie leżą jego warsztaty. Pewnie w tej dzielnicy nad rzeką. Co mu powie, co zrobi, co mu stryj da do roboty? Jak też wygląda jego brat stryjeczny - Gilbert? Co też o nim pomyśli? W liście stryj wspomniał o swym synu, Gilbercie.

Szedł ciągle Central Avenue do samego dworca i znalazł się naraz przed murami wielkiego kompleksu budynków. Były to właśnie warsztaty Samuela Griffithsa. Z czerwonej cegły, sześciopiętrowe, pewnie z tysiąc stóp długie. Wszystkie okna zasypane były kołnierzykami. Stare, dawniejsze oddziały zostały z nowymi połączone pomostami. Południowe skrzydła dwóch struktur znajdowały się nad brzegiem rzeki. Było tam kilka wejść wzdłuż River Street, przynajmniej co jakieś sto kroków, przy każdym z nich stał strażnik w uniformie. Wejścia, oznaczone numerami, miały napisy. Jeden z nich brzmiał: Dla urzędników. Nad numerem czwartym był napis: Biuro. Piąte zaś i szóste przeznaczone było widocznie do

przyjmowania i ładowania towarów.

Clyde skierował się do biura, a że nikt mu nie bronił, przeszedł dwoje drzwi i znalazł się w obecności panny siedzącej przy centralce telefonicznej, oddzielonej od salki niewielką kratą. Spojrzała na niego. Była niska, gruba, brzydka i miała ze trzydzieści pięć lat.

- O co chodzi? - spytała.

- Chciałbym się zobaczyć z panem Gilbertem Griffiths - odrzekł Clyde, nieco zmieszany.

- Po co?

- A bo... widzi pani... jestem jego kuzynem. Nazywam się Clyde Griffiths... Mam tutaj list od mego stryja, pana Samuela Griffithsa. Mam się z nim zobaczyć.

Gdy pokazał list, zauważył, że jej poważny i stanowczo obojętny wyraz twarzy zmienił się nie tyle na życzliwy, ile przerażony. Spojrzała na niego uważniej. Najwyraźniej jego twarz bardziej niż wyjaśnienie, jakie dał, zrobiła na niej wrażenie, bo zaczęła mu się przyglądać ciekawie spod oka.

- Dowiem się, czy jest - odpowiedziała o wiele grzeczniej i ujęła słuchawkę telefonu, który prowadził do gabinetu Gilberta. Odpowiedź nadeszła, że pan Gilbert Griffiths jest obecnie zajęty i nie chce, żeby mu przeszkadzano. Lecz urzędniczka dodała:

- Jest tu kuzyn pana Gilberta. Ma list od pana Samuela Griffithsa. Nazywa się Clyde Griffiths - a zwracając się do Clyde'a: - Czemu pan nie siada? Jestem pewna, że pan Gilbert przyjmie pana zaraz. Teraz jest zajęty.

Clyde zauważył zmianę tonu, w którym teraz brzmiał pewien szacunek, jakiego mu nikt jeszcze nigdy nie okazał, był tym niezwykle poruszony. Więc on jest naprawdę kuzynem tych potężnych, bogatych ludzi! Taka olbrzymia ta fabryka! Taki wielki i długi, i

wysoki na sześć piętér gmach! Gdy przed chwilą przechodził od strony rzeki, widział przez otwarte okna ogromne sale, gdzie było wiele pracujących kobiet i dziewcząt. Mimo woli drżał cały. Bo te czerwone mury tchnęły energią i dobrobytem, niezaprzeczonym dobrobytem...

Patrzył na szaro wybielone ściany poczekalni, na napisy na drzwiach. Czytał: Warsztaty wytwórni kołnierzy i koszul męskich. Samuel Griffiths - prezes. Gilbert Griffiths - sekretarz. Ciekaw był, jak tam wewnątrz wygląda, jak wygląda Gilbert. Czy będzie dla niego chłodny czy uprzejmy, wesoły czy nieżyczliwy.

Oczekiwał więc medytując nad tym wszystkim. Naraz urzędniczka zwróciła się ku niemu i rzekła:

- Może pan już iść. Biuro pana Gilberta znajduje się na samym końcu tego piętra. Którykolwiek z woźnych pokaże panu.

Podniosła się, jakby chcąc przed nim otworzyć drzwi, lecz Clyde widząc to pospieszył sam mówiąc:

- Dziękuję pani. Trafię.

Otworzył szklane drzwi i zobaczył salę, w której pracowało co najmniej ze stu urzędników. Przeważnie byli to młodzi mężczyźni i młode panny, wszyscy bardzo zajęci jakąś pisaniną. Wielu z nich miało zielone daszki nad oczami. Wszyscy prawie mieli krótkie robocze płaszcze alpagowe albo rękawki na łokciach. Każda z pań miała na sobie czystą, elegancką sukienkę wełnianą albo biurowy fartuch. Całą tę wielką przestrzeń, nie podzieloną przepierzeniami, podtrzymywały białe kolumny. Stały tam kantorki z wypisanymi nad nimi nazwiskami urzędników: - Smillie. Latch. Gotboy. Berkey.

Ponieważ telefonistka powiedziała, że biuro pana Gilberta znajduje się na samym końcu, więc Clyde nie wahając się długo poszedł w głąb sali i tam na półotwartych drzwiach przeczytał napis: Gilbert Griffiths - sekretarz.

Zatrzymał się, niepewny, czy może wejść, czy nie. Zapukał w każdym razie. Ostry, przenikliwy głos zawołał:

- Wejść.

Wszedł i stanął przed młodzieńcem, który był nieco niższy i może trochę starszy, a przy tym poważniej i bardziej surowo wyglądający niż Clyde. Wyglądał tak, jak by Clyde sam pragnął wyglądać: miał wyniosłą, pewną siebie minę, ubrany był, co od razu Clyde zauważył, w jasnoszary garnitur w wyraźny deseń, zupełnie stosowny z racji zbliżającej się wiosny. Włosy, nieco jaśniejsze niż Clyde'a, były gładko szesane z czoła i skroni. W chwili zaś, gdy Clyde otwierał drzwi, przeszły go bystre, szarozielonkawe oczy. Otaczały je okulary w rogowej oprawie i przez nie padło na Clyde'a spojrzenie szybkie i uważne i obiegło jego postać od butów do brązowego kapelusza, który Clyde trzymał w ręku.

- Jesteś pan moim kuzynem podobno - odezwał się głosem lodowatym, gdy Clyde przystąpił bliżej. Niezbyt przyjazny uśmiech błąkał się na ustach Gilberta.

- Tak, proszę pana - odrzekł Clyde sztywniejąc pod tym oziębłym spojrzeniem. Uświadomił sobie od razu, że nie zdobędzie się na tyle szacunku dla tego kuzyna, ile go miał dla stryja, który przecie dokazał wielkiej rzeczy, stwarzając takie wielkie warsztaty. Widział tylko dziedzica i nic więcej w tym młodzieńcu, który przybierał minę wielkiego człowieka, co wobec zasług jego ojca nie imponowało mu wcale. Odczuł jednocześnie, że na samym progu chciano mu dać do zrozumienia, że wszelkie jego pretensje do zajęcia jakiegokolwiek między nimi miejsca są zupełnie nieuzasadnione. Może być tylko niezmiernie wdzięczny, jeżeli zechcą coś dla niego zrobić.

Mimo to Clyde ułożył usta do bardzo uprzejmego uśmiechu, co jednak Gilbert przyjął zimno, uważając to widocznie za zbyt wielką pewność siebie, jakiej nie może tolerować nawet u kuzyna, a tym bardziej takiego, który stara się o względy jego i jego ojca.

Ponieważ stary tak się nim zainteresował, Gilbert nie miał możliwości sprzeciwić się, ale z tym samym nieprzyjaznym uśmiechem przyglądał się Clyde'owi. Wreszcie znów się odezwał:

- Spodziewaliśmy się pana dziś albo jutro. Miłą pan miał podróż?

- O tak, bardzo - odpowiedział Clyde, trochę zdziwiony tym zapytaniem.

- A więc pan liczy, że się czegoś u nas nauczy?

Ton i sposób mówienia wyrażały niezwykłą łaskawość.

- Rzeczywiście chciałbym skorzystać ze sposobności, aby nauczyć się czegoś i zapewnić sobie przyszłość - odrzekł Clyde pogodnym i jak najbardziej pojednawczym tonem.

- Tak, ojciec właśnie opowiadał mi, że rozmawiał z panem w Chicago. Z tego, co mówił, wyniosłem wrażenie, że nie ma pan żadnej specjalności. Może umie pan prowadzić książki?

- Nie, nie umiem - odparł Clyde z wielkim żalem.

- A może stenografować lub coś podobnego?

- Nie, proszę pana. Nic z tego nie umiem.

O, jakże wielkie czuł upokorzenie przekonawszy się tak namacalnie, że nic absolutnie nie umie. A dostrzegłszy pogardliwe spojrzenie Gilberta Griffithsa przejrzał, jak złudna była jego nadzieja wybicia się tutaj.

- Wobec tego najlepiej będzie - mówił Gilbert, niby to namyślając się, chociaż kwestię tę już przedyskutowali z ojcem - żeby pan swą praktykę rozpoczął w pralni. Tam właściwie jest pierwszy etap naszej wytwórczości i tam pan będzie mógł pojąć jej tajniki od samych podstaw. Potem, gdy zobaczymy, że idzie panu dobrze pomyślimy o czymś lepszym. Gdyby pan miał trochę praktyki, mógłby pracować w biurze.

Clyde spochmurniał, co zaraz Gilbert zauważył z wielkim zadowoleniem.

- Tam pan nabędzie praktykę w tej specjalności - dodał chłodno, wcale nie mając zamiaru zachęcić tym Clyde'a, a widząc, że ten nie odpowiada, ciągnął dalej: - Ale zanim pan zabierze się do pracy, musimy pana gdzieś ulokować. Może pan już wynajął pokój?

- Nie, dopiero co wysiadłem z pociągu - odrzekł Clyde. Chciałem się tylko oczyścić po podróży, więc na chwilę wszedłem do hotelu. Muszę dziś coś sobie wynaleźć.

- To dobrze. Ale proszę samemu nic nie wynajmować. Każę naszemu administratorowi, żeby pana skierował do jakichś przyzwoitych umeblowanych pokoiów. Lepiej zna miasto niż pan.

Pamiętał o tym, że bądź co bądź Clyde jest kuzynem i nie może mieszkać byle gdzie. Ale głównie chciał dać do zrozumienia, że rodzina pragnie wiedzieć, gdzie Clyde mieszka, że będzie go miała pod swoją kontrolą, co właściwie nie było zgodne z prawdą. Na dnie tych postanowień leżał zamiar zainstalowania go w Lycurgus w taki sposób, żeby każdy miał przekonanie, że Clyde nie jest niczym właściwie dla swej potężnej rodziny.

Sięgnął do dzwonka na biurku i przycisnął go. Ukazała się elegancka panienska w zielonej biurowej sukience, o bardzo poważnym wyglądzie.

- Proszę poprosić pana Whiggama.

Panna zniknęła, a zjawił się czterdziestoletni mężczyzna, średniego wzrostu, średniej tuszy, z miną człowieka wielce zapracowanego. Swobodny, zrównoważony, spojrzał ciekawie a podejrzliwie, jaki mu tam nowy kłopot spadnie na kark. Clyde obrzucił go też ciekawym spojrzeniem i zauważył, że głowa jego chronicznie chyba pochylała się naprzód, a oczy podnosiły się ku twarzy Gilberta niechętnie i z wielkim trudem.

- Whiggam - odezwał się Gilbert patrząc nań z góry. - Jest tu pan Clyde Griffiths, nasz kuzyn. Pamiętajcie, że już mówiłem wam o nim?

- Tak, proszę pana.

- Otóż będzie on umieszczony na razie w pralni. Macie mu pokazać, co ma tam robić. A potem poprosicie panią Braley, żeby wskazała mu, gdzie może wynająć pokój.

Wszystko to było już omówione przed przyjazdem Clyde'a, lecz Gilbert powziął jakąś nową myśl wołając Whiggama.

- Dobrze, proszę pana - skłonił się Whiggam z szacunkiem. - Czy to już wszystko?

- Tak, to już wszystko - zakończył Gilbert. - Pójdzie pan z panem Whiggamem. Objasni pana o wszystkim.

Whiggam odwrócił się.

- Proszę, niech pan będzie łaskaw - odezwał się z szacunkiem, co Clyde przyjął z wielkim zadowoleniem, a co było wywołane dość uprzejmą miną Gilberta.

Przepuścił przed sobą Clyde'a, a Gilbert zwrócił się szybko ku swemu biurku kiwając ironicznie głową.

Ot, zwykły chłopiec hotelowy! Pod względem umysłowym nie sięga wyżej oczywiście. Gdyby był do czegoś zdatny, nie spadłby im na kark. Ciekaw jestem, jak on sobie wyobraża swoją tutaj pracę i czy też będzie coś z niego.

Clyde idąc za Whiggamem myślał też o Gilbertcie. Jakie to jedwabne życie prowadzi ten jego kuzyn. Bez wątpienia przychodzi sobie do biura, kiedy mu się podoba. Rano późno przychodzi, za to wcześniej wychodzi. Mieszka gdzieś tam w jakimś pałacu z rodzicami i siostrami. A jego, kuzyna Gilberta, bratanka tak bogatego stryja, przeznaczono do pracy w jakimś podrzędnym oddziale.

Gdy stracił jednak z oczu niesympatycznego Gilberta, zajął go widok i odgłosy tej wielkiej fabryki. Zaraz na tym samym piętrze, za olbrzymią salą biurową, którą już poznał, była druga sala napełniona skrzyniami, w której na przejście pośrodku pozostawiono tylko parę stóp. W skrzyniach były małe tekturowe pudełka, napełnione kołnierzykami. Skrzynie te napełniali chłopcy, którzy zwozili pudełka wielkimi dwukołowymi wózkami drewnianymi z drugiej sali. Inni znów oficjaliści opróżniali niektóre skrzynie i stosownie do listy trzymanej w ręku, napełniali je innymi pudełkami.

- Pewnie pan nigdy jeszcze nie pracował w warsztatach tego rodzaju? - spytał Whiggam domyślnie, gdy oddalili się od biura Gilberta.

- O, nie! - odparł szybko Clyde. - Nigdy jeszcze nie pracowałem w żadnej fabryce.

- Myślę, że pan, panie Griffiths, nauczy się niedługo wszystkiego.

Szedł szybko między skrzyniami i rzucał uważne spojrzenia na wszystkie strony.

- Pragnąłbym tego bardzo - odpowiedział Clyde.

- Jest to jednak bardziej skomplikowane, niżby to się komu zdawać mogło, choć może pan już słyszał, że nauka nie jest taka trudna.

Otworzył znów jakieś drzwi i weszli do ciemnej hali, a stamtąd do innej jeszcze sali, napełnionej również skrzyniami, w których leżały sztuki białego płótna.

- Pralnia, panie Griffiths, to pierwszy etap całej fabrykacji.

A to, co pan widzi, to jest właśnie materiał, z którego kroją kołnierzyki i koszule. Nazywa się weba. W tych wszystkich skrzynkach jest weba. Bierze się ją do suterenu i tam trzeba ją sprać, aby się skurczyła, bo w tym stanie nie może być użyta. Gdyby się jej teraz nie sprąło, kołnierzyki skurczyłyby się po

pierwszym praniu. Ale zobaczy pan sam, panie Griffiths. Kładzie się je do wanien, a potem suszy.

Szedł naprzód z powagą, a Clyde czuł, że człowiek ten nie uważał go za zwykłego pracownika. Jego tytułowanie go panem Griffithsem, jego przypuszczenia, że Clyde ma się obznajmić z wytwórczością całych warsztatów, jego uprzejme objaśnienia co do właściwości weby przekonały Clyde'a, że jest uważany za kogoś, komu należą się pewne względy.

Szedł za Whiggamem ciekaw wszystkiego i znalazł się wkrótce w obszernych podziemiach, do których schodziło się po licznych rozgałęzieniach schodów, idących spod trzeciego hallu. Tam, przy świetle jasnych lamp, zobaczył długie porcelanowe koryta, ustawione wzdłuż całej sali od ściany do ściany, a w nich, w parującej wodzie, mokły niezliczone ilości weby, którą widział na górze. A nad nimi, równolegle przez całą długość sali, co najmniej sto pięćdziesiąt stóp, ruchome suszarnie, w których czerniały otwory gorących

rur. Nad nimi udrapowane w malowniczych festonach, by jak najwięcej mogły skorzystać z gorąca wydzielającego się z rur - śnieżne połacie weby rozwiniętej, wilgotnej, z wolna nawijającej się na role. Ruchowi temu towarzyszyło klekotanie i skrzypienie maszyn, które automatycznie rozwijały i poruszały masy płótna na całej jego długości, schnącego i automatycznie zwijającego się na drewnianych rolach w sztuki. Po wyschnięciu zajmował się nimi chłopiec, którego jedynym obowiązkiem było zdejmowanie płótna z suszarni. Jeden chłopiec w jednym końcu sali zdejmował z dwóch wałków, w drugim zaś końcu inny zawieszał mokre płótna na suszarniach, rozwijając z wolna i zaczepiając na ruchomych hakach. Zaledwie jedna partia została zwinięta, rozwieszano nową.

Między dwoma szeregami rur w środku sali stały olbrzymie obracające się separatory, w które kładziono partie płótna powracające z porcelanowych kadzi i tam musiały one przez dwadzieścia cztery godziny "kurczyć się" i złożone jedne na drugich odwirować z siebie jak największą ilość wody, zanim dostały się do właściwej suszarni.

Na razie bardziej niż ciekawa procedura zajął Clyde'a ogólny wygląd sali. Hałas, gorąco, para i ta energia, z jaką dwunastu mężczyzn pracowało tutaj. Wszyscy bez wyjątku ubrani byli w krótkie koszulki bez rękawów, stare spodnie, spięte paskiem, a na gołych nogach mieli płócienne pantofle o gumowych podszewkach. Wilgoć panująca tutaj zmuszała niewątpliwie do takiego ubrania.

- To jest właśnie pralnia - odezwał się Whiggam, gdy weszli. - Nie jest tutaj tak pięknie, jak gdzie indziej, ale tu właśnie zaczyna się proces fabrykacji. Kemerer! - zawołał.

Niski, krępy, barczysty człowiek o pełnej twarzy i białych, silnych ramionach, ubrany w brudne, pogniecione spodnie i flanelową koszulę bez rękawów, stanął przed nimi. Szacunek, który Whiggam okazywał wobec Gilberta Griffithsa, całą swą postawą wyraził teraz Kemerer wobec Whiggama.

- To jest pan Clyde Griffiths, kuzyn pana Gilberta. Mówiłem już wam o nim w zeszłym tygodniu, pamiętacie?

- Tak, proszę pana.

- Tu właśnie rozpocznie pracę. Stawi się już jutro.

- Dobrze, proszę pana.

- Należy umieścić jego nazwisko na liście pracowników. Zacznie o zwykłej godzinie.

- Dobrze, proszę pana.

Clyde widział, że Whiggam uniósł głowę wysoko i przemawiał tonem stanowczym. Tutaj minę miał zwierzchnika, nie zaś podwładnego.

- O wpół do ósmej zaczyna się praca - informował Whiggam Clyde'a - ale schodzą się wszyscy dwadzieścia po siódmej, ażeby mieli czas zmienić ubranie. Jeżeli pan chce, Kemerer może teraz pokazać panu, co pan jutro będzie robił. To oszczędzi nieco czasu. Ale jeżeli

pan nie życzy sobie, to może jutro dopiero. Mnie to nie robi żadnej różnicy. Tylko niech się pan stawi dziś o wpół do szóstej u telefonistki, będzie tam czekała pani Braley, która wskaże panu mieszkanie. Mnie tam pewnie nie będzie, ale niech się pan telefonistki zapyta o nią. Będzie już wiedziała. - Odwrócił się i dodał: - Teraz muszę pana opuścić.

Spuścił głowę i ruszył ku drzwiom, zanim Clyde zaczął:

- Bardzo jestem panu wdzięczny, panie Whiggam.

Whiggam nic nie odpowiedział, tylko kiwnął suchą ręką i oddalił się. Kemerer zaś stojąc jeszcze w postawie pełnej szacunku odezwał się:

- O, panie Griffiths, to, co pan jutro będzie robił, to wcale nietrudne. Na początek będzie pan tylko przynosił tutaj płótna. Tylko, jeżeli pan ma jakieś stare ubranie, to trzeba je włożyć. Takie ubranie jak to nie pociągnęłoby długo.

Spojrzał znacząco na przyzwoity, chociaż niekosztowny garnitur Clyde'a. Starał się zachowywać wobec niego tak, jak Whiggam zachowywał się wobec niego. Znać w tym było trochę niepewności jednak, trochę autorytetu, pewien szacunek, a również nieco wątpliwości, co jedynie czas mógł rozwikłać.

Widocznie to nie bagatela być tutaj Griffithsem, chociażby tylko kuzynem i może nawet niezbyt chętnie widzianym, jak to zwykle bywa z ubogimi krewnymi.

W duszy Clyde'a osiadła pewna gorycz. Na razie gotów był się zbuntować widząc, jak wyglądają w rzeczywistości jego marzenia o tej pracy. Nie tego się spodziewał, tak ochoczo stawiając się na wezwanie stryja. Ludzie, z którymi miał pracować, nie imponowali mu inteligencją. Tacy jak oni nie mogliby zająć żadnego stanowiska w Greenie-Davidsonie lub Union League Club. Przy tym tacy uniżeni, chytry, nieinteligentni - ot, zwykłe maszyny. Od razu spostrzegł, że gdy wszedł tutaj z Whiggamem, oczy ich ciekawie śledziły nowego przybysza - nieznacznie, lecz bacznie. Obaj z Whiggamem stali się

ośrodkiem ich spojrzeń ukradkowych. A przy tym ten strój! Całe zamiłowanie do stroju musiało wygasnąć dla swej niepraktyczności przy takiej pracy. Jaka to szkoda, że nie posiada żadnych fachowych wiadomości... Mógłby otrzymać jakieś zajęcie w biurze lub jakim innym oddziale.

Chodził z Kemererem, który mu szeroko tłumaczył, że w tych kadziach płótno kurczy się przez całą noc, pokazywał suszarnie, całą maszynię, jednym słowem wszystko. Wreszcie Clyde mógł już odejść. Była dopiero trzecia.

Wydostał się na zewnątrz najbliższymi drzwiami, a wtedy jednak powinszował sobie, że został przyjęty do takich olbrzymich zakładów przemysłowych, wątpiąc przy tym, czy zdoła zadowolić Kemerera i Whiggama. Chyba nie. A może nie wytrzyma tutaj. Praca musi być bardzo ciężka. Ha, cóż? jeżeli będzie mu za ciężko, wróci do Chicago albo do Nowego Jorku i tam znów poszuka pracy.

Ale dlaczego stryjaszek sam nie raczył go przywitać? Dlaczego ten młody Griffiths uśmiechał się tak ironicznie? Co to za kobieta, ta pani Braley? Czy mądrze zrobił, że przybył tutaj? Czy też jego rodzina zajmie się nim naprawdę?

Zadumany wyszedł na River Street, na której było wiele innych fabryk; potem przeszedł jeszcze kilka ulic, na których stały też fabryki bawełniane, dywanów, koców, odkurzaczy, cynkownie i wiele innych. Wreszcie dostał się do jakiegoś nędznego zaułka, jakich nigdzie poza Chicago i Kansas City nie widywał. Przygnębiło go zestawienie tych nierówności i niesprawiedliwości socjalnych, tym więcej że miał jeszcze w pamięci swoją własną nędzę i beznadziejną przyszłość. Zawrócił z powrotem i przeszedłszy przez most znalazł się na placu zabudowanym równie pięknymi domami, jakie już widział poprzednio w mieście. Idąc dalej natrafił na tę samą aleję, ocienioną drzewami, w której raz już był. Jeśli można było sądzić z wyglądu; była to chyba najpiękniejsza ulica w Lycurgus. Szeroka, dobrze wybrukowana i zabudowana całym szeregiem wspaniałych rezydencji. Ożywił go od razu widok tej alei, przyszło mu bowiem na myśl, że prawdopodobnie na tej ulicy musi mieszkać jego stryj. Domy prawie wszystkie były stylowe, we francuskim, włoskim albo

angielskim stylu, były doskonałą kopią różnych epok, o czym jednak Clyde nie wiedział.

Przechadzał się i przyglądał po kolei każdemu pałacowi pragnąc zgadnąć, w którym z nich mieszka stryj. Nagromadzenie takiego bogactwa robiło na nim wielkie wrażenie. Z jaką to pyszną miną musi wychodzić Gilbert z takiego pałacu.

Przystanął przed jednym z nich spoglądając na ścieżki, świeżo skopane klomby, ogromny garaż w głębi podwórza i po lewej stronie domu wysoką fontannę z figurą chłopca, trzymającego w ramionach łabędzia. Z prawej strony domu stał odlew żelazny jelenia gonionego przez psy. Przystanął specjalnie, żeby móc to swobodnie podziwiać, przejęty pięknnością tej posiadłości, utrzymanej w nieco zmienionej formie staroangielskiego stylu.

Zwrócił się do jakiegoś człowieka w zniszczonym robotniczym ubraniu.

- Czyj to jest dom, proszę pana?

- Ten? To pałac Samuela Griffithsa. Do niego też należą warsztaty, gdzie wyrabiają kołnierzyki męskie. Tam za rzeką.

Clyde wstrząsnął się jak pod tuszem zimnej wody. Jego stryja! Ten pałac! To jego auto stoi przed garażem, tam w głębi podwórza... przez otwarte drzwi garażu widać drugie...

W jego dziecięcym jeszcze i mało doświadczonym umyśle przemknęły obrazy życia, pełne róż, woni perfum, świateł i muzyki. Piękno! Wygoda! Czy ktokolwiek z jego najbliższej rodziny myślał kiedy o trybie życia, jakim żyje jego stryj? Wspaniałości. A jego rodzice tacy nędzni, tak biedni... Całe życie prawili kazania na ulicach Kansas City, a teraz w Denver niezawodnie prowadzą misję.

Czuł się nadęty pychą i jakby ponad tłum wywyższony, mimo iż żaden członek tej potężnej rodziny prócz oziębłego kuzyna nie zatroszczył się, żeby go powitać i mimo że tak obojętnie skazano go na wykonywanie podrzędnej pracy. Cóż z tego? Był jednakże

również Griffithsem, rodzonym bratankiem i bratem stryjecznym dwóch najznakomitszych osobistości. Czyż nie będzie pracował dla nich ze wszystkich sił? Może go tutaj czeka naprawdę promienna przyszłość, lepsza niż kiedykolwiek zamarzył? Powinien dobrze zrozumieć, czym są Griffithsowie tutaj, a czym są Griffithsowie w Kansas City albo w Denver... Niesłychana różnica! Należy jak najstaranniej ukryć swą przeszłość.

Opanował się jednak natychmiast, bo przyszło mu na myśl, że ci Griffithsowie - to znaczy jego stryj i Gilbert, może zresztą jaki ich znajomy, a chociażby płatny agent - zaczną śledzić jego rodziców, a także jego przeszłość. Wielki Boże! A to zamordowane dziecko w Kansas City!... A to życie z dnia na dzień, z byle czego jego rodziców!... A Esta!... Sposępniał zaniepokojony, słodkie marzenia pokryły się chmurami. Gdyby wiedzieli! Gdyby się domyślali...

Co do licha! Czymże on jest właściwie? Na co liczyć może? Czy może się spodziewać, że ci wielcy zajmą się nim, jeżeli się dowiedzą, jakie strapienie go tu przywiodło?

Rozczarowany trochę i przygnębiony zawrócił znowu. Uświadomił sobie jak najdokładniej, że - jest niczym.

Rozdział XXV

Pokój, który Clyde sobie wynajął przy pomocy pani Braley, mieścił się przy ulicy Thorpe w dzielnicy niezmiernie dalekiej tak wyglądem jak i odległością od tej, gdzie zamieszkiwał stryj.

Istotnie, różnica była wystarczająca, żeby osadzić na miejscu

wzrastające ambicje młodzieńca, który tak był dumny, że należał do tej rodziny. Pospolite brunatne i szare domy, zakopczone i chylące się do upadku, drzewa bezlistne i skolatane zimowymi zawieruchami, które jednak mimo dymu i kurzu zapowiadały, że dadzą nową ozdobę swym gałązkom - liście i kwiaty majowe.

Clyde szedł z panią Braley i spotykał pospolite, wyniszczone postacie mężczyzn, dziewcząt i starych bab, podobnych do pani Braley. Wszystko to powracało z pracy. U drzwi wybranego domu spotkała ich wcale niewykwintna gospodyni, w czystym jednak fartuchu założonym na ciemnej sukni, i zaprowadziła do pokoju na drugim piętrze, niezbyt małego i dosyć wygodnie umeblowanego. Miał kosztować cztery dolary bez utrzymania, a siedem i pół z utrzymaniem, co jak mówiła pani Braley, było zupełnie niedrogo, gdyż za gorsze mieszkanie trzeba byłoby zapłacić o wiele drożej. Wziął więc. I podziękowawszy pani Braley pozostał już u siebie na obiedzie, siedząc przy stole razem z oficjalistami fabrycznymi. Do takiego towarzystwa był już przyzwyczajony w Chicago, zanim dostał się w lepszą atmosferę Union Clubu.

Po obiedzie poszedł znów na miasto i chodząc po głównych ulicach obserwował trudny do opisanego tłum ludzi.

Nie wyobrażał sobie, że może ich być tak wiele w tym niewielkim miasteczku. Dziewczęta i młodzież, mężczyźni i kobiety różnych narodowości i typów, wszystko to wyroilo się wieczorem. Byli tam Amerykanie, Polacy, Węgrzy, Francuzi, Anglicy, którzy przeważnie zwracali na siebie uwagę jakąś osobliwą ignorancją, czy tępotą umysłu, ociężałością ciała, jakimś brakiem gustu, brakiem ożywienia czy śmiałości. Cechy te świadczyły, że wszyscy pochodzą z "nizin tego świata", do którego teraz znów Clyde się zbliżył.

Na niektórych tylko ulicach i w magazynach, bliżej Wykeagy Avenue, trafiały się szykowniejsze i bardziej ożywione typy, należące zapewne do sfery pracującej w biurach różnych instytucji.

Clyde chodził po mieście od ósmej do dziesiątej, gdy nagle, jak na umówione hasło, cały tłum stopniał i ulice całkowicie opustoszały. Jakże odmiennie bywało w Chicago lub w Kansas City.

Co by Ratterer pomyślał, gdyby zobaczył wielki pałac stryja i jego warsztaty?

W tym niewielkim mieście hotel "Lycurgus", czysty i jasno oświetlony, skupiał w sobie całe życie miejskie. Gmach poczty i śliczny, o spiczastej wieży kościół ze starym i oryginalnym cmentarzem sąsiadował ze składem samochodów. Na rogu ulicy kino. Tu i tam przechadzające się i flirtujące pary. A nad tym wszystkim unosiła się jakaś atmosfera nadziei, uciechy i młodości, gdyż nadzieja, radość i młodość wszędzie są źródłem energii twórczej świata.

Potem powrót do pokoju na Thorpe Street z ostateczną konkluzją, że miasto mu się podoba i że chętnie tu pozostanie. Taka śliczna jest ta Wykeagy Avenue! Takie olbrzymie stryjowe warsztaty! Tyle miłych i pięknych dziewcząt, śpieszących się w różne strony!

Pan Samuel w chwili przyjazdu Clyde'a był nieobecny w Lycurgus. Wyjechał do Nowego Jorku, o czym Clyde nie wiedział, a naturalnie Gilbert nie raczył mu o tym powiedzieć. Zobowiązał więc Gilberta, żeby przyjął swego kuzyna i zaopiekował się nim.

Po powrocie z biura młody ten człowiek oznajmił matce i siostrze, że poznał Clyde'a, który nie jest zupełnie tępy, nie można jednak o nim powiedzieć, żeby był najciekawszym typem.

Naprzód dowiedziała się o tym Myra, do której Gilbert zwrócił się z przekazem:

- A więc miły kuzynek z Chicago spadł nam wreszcie na kark.

- Tak? A jakież on jest? - zapytała Myra. interesował ją ten kuzyn, któremu ojciec przyznał wiele zalet. Znając jednak miasto i charakter życia fabrycznego oraz warunki ciężko pracujących ludzi dziwiła się, że Clyde miał odwagę tu przyjechać.

- Cóż, widziałem się z nim dość krótko - odpowiedział Gilbert. - Jest dość inteligentny i nieźle się prezentuje, ale sam się

przyznał, że nie ma żadnego fachowego wykształcenia. Taki typowy pikolak hotelowy. Dla takiego eleganckie ubranie jest kwintesencją wszystkiego. Ubrał się dziś w jasnobrązowy garnitur i brązowy krawat, i do koloru dobrane buty. Krawat naturalnie jasny i pąsowa koszula w paseczki, jaką noszono przed trzema czy czterema laty. Przy tym ubranie niekoniecznie dobrze skrojone. Nie chcę nic mówić, bo dopiero co przyjechał, a przy tym nie wiemy, czy wytrzyma tutaj długo. Ale jeżeli już osiedli się na dobre, a zechce przedstawiać się wszędzie jako nasz krewny, będzie musiał spuścić z tonu. Poproszę ojca, żeby mu parę słów o tym powiedział. Sądzę, że niedługo będzie można zrobić z niego nadzorcę w którymś z oddziałów albo coś podobnego. Później można by go użyć w składzie przy sprzedaży. Ale przede wszystkim musi się przekonać, że należy wziąć się na dobre do pracy, co jest moim zdaniem najważniejsze. Ciekaw jestem, czy ojciec wyjaśnił mu jednak, jak mało mają szans wypłynięcia na powierzchnię ci, którzy nie posiadają jakiejś czarnoksiężskiej sztuki czy też czegoś w tym rodzaju.

Stał odwrócony plecami do wielkiego kominka.

- Chyba wiesz, co matka mówiła ojcu w sprawie Clyde'a. Powiada, że ojciec ma dla niego współczucie, gdyż chłopak ten przez całe życie nie zaznał nic dobrego. Papa będzie chciał koniecznie coś dla niego uczynić niezależnie od tego, czy go pozostawi w warsztatach czy nie. Matka mówiła, że jego ojciec był pokrzywdzony przez swego ojca.

Myra zamilkła, lecz Gilbert nie przejął się tym wcale, bo słyszał już to kiedyś od matki.

- Niewiele mnie to obchodzi - odezwał się znowu. - Jeżeli stary chce go tu utrzymać, czy się ten dudek nada do czego czy nie, to już jego sprawa. Tylko po co tyle gada o fachowości w każdym oddziale i o tym, że należy usuwać bezużyteczny materiał.

Zobaczywszy się z matką i Bellą powtórzył te same nowiny i rozwinął te same poglądy. Pani Griffiths westchnęła. Mieszkając w takim mieście jak Lycurgus i urządziwszy sobie tak życie jak oni,

każdy członek ich rodziny powinien jak najbaczniej czuwać nad swym postępowaniem, sympatiami i opinią. Niezbyt to rozsądnie ze strony jej męża, że sprowadził tu jakiegoś krewnego, który pewnie nie potrafi się do tych wymagań dostosować.

Bella jednak nie uwierzyła ani trochę w wizerunek Clyde'a, który odmalował Gilbert opisując swego kuzynka. Bella nie знаła Clyde'a, ale znała Gilberta. Wiedziała, że potrafi bezapelacyjnie wydawać niepochlebną opinię o ludziach, którzy na nią wcale nie zasługiwali.

- W każdym razie - odezwała się w końcu wysłuchawszy przy obiedzie wszelkich komentarzy Gilberta o kuzynie - wiem na pewno, że będzie tak jak tatuś zechce. Może go zostawi, a z pewnością będzie o nim pamiętał.

Poruszyło to Gilberta. W sprawach fabrycznych dążył zawsze do tego, żeby wykazać swój autorytet, o czym siostra dobrze wiedziała.

Clyde zjawiwszy się nazajutrz w fabryce spostrzegł, że jego nazwisko czy też wygląd, a może podobieństwo do Gilberta bardzo mu toruje drogę. Na razie może nie doceniał tego.

Zatrzymał się na przykład przy wejściu i spostrzegł, że strażnik patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Ach, to pan jest pewnie panem Clyde'em Griffithsem? - zapytał. Będzie pan pracował pod Kemererem? Tak, wiem o tym. Tamten człowiek odda panu klucz.

Wskazał na krzepkiego jeszcze staruszka, który znany był tutaj jako stary Jeff i pilnował wszystkich kluczy.

Clyde więc podszedł do niego i odezwał się:

- Nazywam się Clyde Griffiths i będę pracował na dole z panem Kemererem.

Stary Jeff wytrzeszczył na niego oczy.

- A to dobrze... - odrzekł po chwili. Pan jest panem Griffithsem także... Będzie pan miał numer siedemdziesiąty pierwszy. Dam panu dawny klucz pana Duveny'ego.

Clyde zszedł po schodach do pralni, a stary Jeff zwrócił się do strażnika:

- Coś niesłychanego, jak ten chłopiec jest podobny do pana Gilberta... Jak dwie krople wody... Kto on jest, brat, kuzyn czy coś podobnego?

- Skąd ja mogę o tym wiedzieć?- odrzekł odzwierny. - Nigdy go przedtem nie widziałem. Ale na pewno musi być krewniakiem. Kiedy go zobaczyłem, myślałem, że to pan Gilbert. O mały włos nie zdjąłem przed nim kapelusza.

W pralni Clyde zastał już Kemerera, pełnego powagi i szacunku. Kemerer, podobnie jak Whiggam, nie umiał określić, jak Clyde będzie traktowany w tej instytucji. Mówił wczoraj Whiggam, że pan Gilbert ani słówkiem nie wyjaśnił tej sytuacji i nie powiedział, czy trzeba ułatwiać Clyde'owi pracę czy też nie. Powiedział tylko, że ma być traktowany jak każdy inny pracownik.

- Żadnej różnicy - powiedział.

Ale przedstawiając Clyde'a nadmienił:

- To jest mój kuzyn, chce się obeznac z całą wytwórczością.

Co przecież chyba oznaczało, że Clyde będzie przechodził z oddziału do oddziału, dopóki nie nauczy się wszystkiego.

Z tej racji Whiggam szepnął Kemererowi, a także i innym, że Clyde'a będzie pewnie protegował sam szef i dlatego należy "bardzo uważać", przynajmniej do tej pory, dopóki nie ustali się pozycja tego młodego przybysza.

Clyde zdawał sobie doskonale z tego sprawę i czuł się trochę mocniej na nogach, bo wiedział, że mimo wszelkich wykrętów Gilberta jest pewna nadzieja, że stryj nim się zajmie, co niewątpliwie wyjdzie mu tylko na korzyść. Więc gdy Kemerer zaczął go uspokajać, żeby się nie obawiał, bo praca nie będzie taka ciężka, Clyde przyjął to dosyć wyniośle i z łaskawą miną, co wpłynęło na jeszcze większe spotęgowanie szacunku.

- Niech pan powiesi kapelusz i płaszcz w jednej z tych szaf - mówił Kemerer słodkim, przymilnym nawet tonem. - A potem weźmie któryś z tych koszy, pójdzie na piętro i stamtąd przyniesie kilka sztuk płótna. A tu pokażą panu, gdzie je kłaść.

Następne dni były dla Clyde'a dość urozmaicone, ale czasami też dość przykre, bo w tym świątku robotniczym i w swojej nowej pozycji nie umiał się jeszcze zorientować. Ludzi, z którymi pracował, nie uważał za swych towarzyszy. Pod względem wyglądu zewnętrznego stali o wiele niżej od chłopców hotelowych, woźniców czy zwykłych pracowników, których poznał dobrze w swej urozmaiconej przeszłości. Ubierali się, jak zwykle ubierają się prości robotnicy, jak ubierają się ludzie, dla których strój jest najpodrzedniejszą rzeczą w życiu, praca zaś i ciężka materialna egzystencja - wszystkim. Przy tym nie wiedząc, czym właściwie był między nimi Clyde, jakie znaczenie dla ich odrębnego i ściśle indywidualnego życia może mieć tu jego zjawienie się, patrzyli nań podejrzliwie i z niechęcią.

Po paru tygodniach wszakże, gdy dowiedzieli się, że Clyde jest bratankiem właściciela, bratem stryjecznym sekretarza i może nawet niedługo pozostanie między nimi, okazywali mu więcej życzliwości. Mimo to zazdrość i podejrzliwość nie wygasły wcale, bo zrozumieli, że protekcja wszystko może. Clyde bądź co bądź nie był jednym z nich i nigdy nim nie będzie. Uśmiecha się do nich i jest nawet grzeczny, lecz bliższy zawsze jest tym, którzy są nad nimi. Bliższy jest zawsze tej bogatej, uprzywilejowanej klasie, a każdy biedak wie dobrze, co to znaczy. Biedak musi umieć wszędzie wytrwać.

Clyde zaś ze swej strony, gdy siedział z nimi przy śniadaniu w specjalnie do tego przeznaczonych sali, nie mógł się nadziwić, jak ci ludzie mogą się interesować takimi rzeczami, które dla niego zgoła były nieciekawe. Rozmawiali o gatunku wyrobionego płótna, o pewnych drobnych skazach w tkaninie, o tym że ostatnie dwadzieścia sztuk nie skurczyło się tak dobrze jak poprzednie sześćdziesiąt. Albo że Cranston Wickware Company nie zatrudnia tylu robotników teraz, co w zeszłym miesiącu, albo że Anthony Woodenware Company wydało odezwę, że półdniowy sobotni odpoczynek nie zacznie się przed czerwcem, chociaż w zeszłym roku zaczął się już w maju. Absorbowała ich jedynie rutyna pracy.

Wówczas Clyde wracał myślą do dawniejszego życia. Chciałby czasami być w Chicago albo w Kansas City. Wspominał swoich przyjaciół - Ratterera, Hegglanda, Highby'ego, Luizę Ratterer, Larry Doyle'a, pana Squiresa, Hortensję - całą tę młodą, beztroską kompanię i ciekaw był, co oni też porabiają. Co się stało z Hortensją? Otrzymała ostatecznie to wymarzone futro, prawdopodobnie od subiekta ze składu cygar i wyjechała z nim, chociaż mówiła, że nie bardzo go lubi. O, bestyjka! A wydusiła od niego wszystkie pieniądze!... Rozpaczliwie smutno robiło mu się nieraz na duszy, gdy sobie pomyślał, że jednak może odpłaciłaby się mu uczuciem, gdyby sprawy nie poszły tym torem. Kogo ona teraz kokietuje? Jak też ułożyło jej się życie po opuszczeniu Kansas City? Co też pomyślałaby o Clydzie, gdyby wiedziała, że jest tutaj i że ma taką wysoką parantelę? Phi! Może by ją to trochę otrzeźwiło. Ale ona na pewno nie myśli o nim wcale. Z pewnością! Kto wie jednak, gdyby mogła zobaczyć jego stryja i kuzyna, i te wielkie warsztaty, i ten pałac, może nabrałaby trochę szacunku dla Clyde'a. A może nawet teraz okazywałaby mu chętnie pewne względy? Tak, ale on dopiero teraz pokazałby jej! Traktowałby ją z góry, oczywiście, ale co by mu z tego przyszło?

Im dłużej mieszkał u pani Cuppy, tym mniej dobrze się u niej czuł. Wszystko tu tchnęło pospolitością i przyciągało do siebie typy ludzi myślących tylko o swej pracy i płacy i stosujących się do zasad religijnych, jako do najistotniejszych praw ładu społecznego. Nie można tu było znaleźć ani przyjemnej rozmowy, ani żadnej zabawy.

Troszkę się jednak zmieniło z chwilą gdy poznał Waltera Dillarda, młodego roztrzępańca, który zjawił się tu z Fondy. Był to młodzieniec w wieku Clyde'a, równie jak on roszczący sobie wielkie pretensje do zajęcia wybitnego stanowiska w świecie, lecz nie posiadający taktu i orientacji życiowej Clyde'a. Miał pracę w Stark & Company. Był bystry, energiczny, dość przystojny, miał bardzo jasne włosy, jasne delikatne wąsiki, gładkie miny i ogłade światowca z małego miasteczka Bea Brummel. Los nie dał mu zakosztować przyjemności utrzymania się gdzieś dłużej na jakimś stanowisku (ojciec miał niegdyś w małym miasteczku sklep towarów bławatnych, zbankrutował jednak). Walter więc, podniecany pewnym atawistycznym bodźcem, pragnął uparcie zdobyć sobie jakąś niezwykłą pozycję w świecie.

Lecz zanim to miało nastąpić, zazdrościł i interesował się tymi, którzy do czegoś doszli, interesował się bardziej nawet niż Clyde. Oczy i uszy miał otwarte głównie na działalność najznamienitszych w tym mieście rodzin. Byli to Nicholsonowie, Starkowie, Harriettowie, Griffithsowie, Finchleyowie i jeszcze wielu innych.

W parę dni po przyjeździe Clyde'a dowiedział się, że istnieje jakiś uboczny związek tego świeżo przybyłego młodzieńca z uprzywilejowanym światem i niezmiernie się tym zainteresował. Co? Jakiś Griffiths? Bratanek tego bogacza Samuela Griffithsa? I mieszka tu, w tym zajeździe? Siedzi obok niego przy stole? Stanowczo trzeba zająć się tym młodzieńcem i to jak najspieszniej. Oto właśnie nadarza się dobra sposobność, że może nareszcie trafi we właściwe drzwi, uczepli się kogoś należącego do jednej z

najlepszych rodzin. Taki przystojny, młody i pewnie równie ambitny jak i on, jednym słowem chłopiec, z którym wiele będzie można zdziałać. Zaczął krążyć koło Clyde'a, a czynił to tak umiejętnie, że nie zraził go do siebie.

Zaproponował spacer, bo właśnie odbywała się na Mohawk Street zabawa, bardzo wspaniała, bardzo elegancka. Czyby Clyde nie chciał pójść?

Zjednany jego schludnym, nawet eleganckim wyglądem - czymś, jednym słowem, co go wyróżniało spośród tej całej zbieraniny, Clyde gotów był zgodzić się na ten projekt.

Przypomniawszy sobie wszakże, że tu, gdzie ma tak wybitnych krewnych, powinien bardzo uważać na siebie. Kto wie, może popełniłby wielki błąd, zawierając tak łatwo stosunki. Griffithsowie, podobnie jak całe tutejsze towarzystwo, odsuwali się, jak się domyślał Clyde, od gminu. Kierując się bardziej instynktem niż rozsądkiem, postanowił trzymać się sztywno i z wysoka patrzeć na otaczającą go kompanię, nie wyłączając tego młodzieńca, jakkolwiek w jego oczach był nieco więcej wart. Więc chociaż zgodził się pójść z nim, ulegając gorącym prośbom, chciał zrobić to możliwie ostrożnie. Dillard widząc pełne rezerwy zachowanie Clyde'a osądził je jako "pierwszoklasny" arystokratyzm. I pomyśleć tylko, że znalazł takiego dystyngowanego młodzieńca w tej obmierzłej dziurze. Bez wątplenia znajomość z nim będzie zaczątkiem zawrotnej kariery Waltera.

Starał się więc go sobie pozyskać i zdobyć zaufanie, jakkolwiek mogło to wydawać się dziwne, gdyż zajmował o wiele lepsze stanowisko i zarabiał więcej od niego, bo dwadzieścia dwa dolary tygodniowo.

- Przypuszczam, że pan spędza wiele czasu ze swymi krewnymi i przyjaciółmi? - zaryzykował na początek. Po czym wydusił z Clyde'a nieco skąpych wiadomości, ale było to prawie nic, a następnie zaczął udzielać wiadomości o sobie, wiadomości mocno wygładzonych.

Ojciec jego ma magazyn bławatny. On zaś przyjechał tutaj, żeby

poznać nowe metody fabrykacji... i tak dalej. Ma tutaj stryja, który pracuje u Starka. Poznał kilka miłych osób, niewiele jednak, bo jest tu od niedawna - zaledwie cztery miesiące.

Ale Clyde ma też nie byle jakich krewnych!

- Pański stryjasek musi mieć co najmniej milion, prawda? Tak przynajmniej opowiadają. Jego domy na Wykeagy Avenue to nie byle co! Nic piękniejszego nie zobaczy się w Albany ani w Utica, a nawet w Rochester!... Czy pan jest rodzonym bratankiem pana Samuela Griffithsa? Nie może być! Ho, ho! cóż za przyszłość ma pan przed sobą! Chciałbym mieć takie stosunki... Poradziłbym sobie wtedy!

Pełen nadziei, promieniał cały, co widząc Clyde zaczął sam oceniać należycie, co znaczą takie więzy krwi. Najwyraźniej zazdrości mu ten młodzieniec.

- Nic o tym nie wiem - odparł Clyde wymijająco, bardzo jednak zadowolony, że podejrzewają go o zażyłe stosunki z rodziną. - Przyjechałem tutaj, żeby poznać mechanikę całej wytwórczości, na co innego nie mam więc czasu. Stryj mój chce, żebym tu pozostał.

- O, tak, naturalnie, wiedziałem, że tak jest - odrzekł Dillard. - I mój stryj myśli o tym samym dla mnie. Chce, żebym się tu zaaklimatyzował i nie tracił czasu. Jest sprzedawcą w składach Starka. Ale wiadomo, że człowiek nie może ciągle pracować. Należy się mu i trochę rozrywki.

- Oczywiście - odrzekł Clyde z godnością, po raz pierwszy w życiu używając tego tonu.

Szli jakiś czas w milczeniu.

- Czy pan tańczy?

- Owszem, tańczę - odpowiedział Clyde.

- Ja też. W mieście jest dużo dansingów, takich tańszych, ale ja

tam nigdy nie chodzę. Niepodobna tam chodzić, nie ma przyzwoitego towarzystwa. Straszny partykularz to miasto. Lepsze towarzystwo nie chce z nikim innym się łączyć. To samo było i w Fonda. Nie ma literalnie dokąd pójść, jeżeli nie ma się utorowanej drogi do lepszych sfer. Ale może to i dobrze. Jest tu jednak dużo ładnych panien i ostatecznie można z nimi trochę się zabawić. Panien oczywiście z dobrych rodzin, ale nie z towarzystwa. Nie narażają się jednak na plotki, a mimo to wcale nie są nudne. Niektóre z nich nawet wcale przystępne. Nie ożeniłby się pan z żadną z nich w każdym razie.

Clyde zauważył w duchu, że nowy ten jego towarzysz jest nieco za rubaszny i może nie być odpowiednim dla niego kamratem w nowo rozpoczętym życiu. Ale może dlatego podobał mu się więcej w tej chwili.

- A co pan ma zamiar robić w niedzielę po południu? - spytał Dillard.

- Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym - odpowiedział Clyde, przeczuwając nową propozycję. - Nie wiem, co mógłbym robić, bo przecież nikogo tu nie znam.

- Może byśmy więc mogli razem się dokądś wybrać, jeżeli nie będzie pan czym innym zajęty. Poznałem kilka panienek, zupełnie ładne. Gdyby pan sobie życzył, mógłbym go wprowadzić do stryjostwa. Bardzo porządni ludzie. A prócz tego...

mam dwie znajome panienki... moglibyśmy zobaczyć się z nimi... ślicznotki! Jedna z nich pracowała w magazynie, teraz już nie pracuje... nic teraz nie robi. Druga to jej przyjaciółka. Mają pianolę i umieją tańczyć. Wiem, że tu nie jest przyjęte, żeby w niedzielę tańczyć, ale nikt nie musi o tym wiedzieć. Rodzice tych panien nic nie będą mieli przeciw temu. Potem możemy pójść z nimi do kina albo gdzie indziej... gdzie pan zechce. Tylko nie do żadnego kina dzielnicy fabrycznej - do porządniejszego.

Wypląnęła przed Clyde'em dzięki tej propozycji, bardzo ważna kwestia. Po wypadku w Kansas City postanowił podczas swego pobytu

w Chicago żyć jak najskromniej i ostrożnie, a zwłaszcza gdy pracował w klubie i widział, jak poważne życie prowadzą jego członkowie, przejął się myślą, że i on powinien dążyć do ideału - ciężką pracą, stałymi, niewzruszonymi zasadami, oszczędzaniem pieniędzy, a sam osobiście powinien wyglądać przyzwoicie i po dżentelmeńsku. Miał to być raj bez Ewy.

Jednak powietrze tego miasta wniosło do jego duszy pewien niepokój, czuł potrzebę rozrywki, takiej może, o jakiej mówił ten młodzieniec, zupełnie niewinnej, ale z dziewczętami, a tyle ich tu było przecież. Ulice po obiedzie roiły się od ładnych dziewcząt i młodych ludzi.

Ale co pomyślą jego krewni, jeżeli go ktoś zobaczy w podobnym towarzystwie. Słyszał przecież, że to miasteczko to partykularz i najchętniej zajmuje się sprawami swych bliźnich.

Zamyślił się, pełen wątpliwości. Ale musiał się zdecydować. A tak czuł się osamotniony i żądny towarzystwa, że odpowiedział:

- Hm... dobrze... Sądzę, że będę mógł... - Ale dodał z pewnym niepokojem: - Tylko ci moi krewni...

- Ach, naturalnie, rozumie się... - odrzekł Dillard żywo. - Pan musi uważać na siebie. A i ja także.

Zwyczajna przechadzka z Griffithsem wystarczała w jego mniemaniu, by rzucić pewien refleks sławy na niego. Z pewnością, bez żadnej wątpliwości.

Chciał potem kupić Clyde'owi papierosów, wody sodowej lub cośkolwiek innego, aby mu tylko dogodzić. Lecz Clyde trwał w rozterce ducha i zresztą młodzieniec ten nudził go już trochę swymi zachwykami, więc przeprosił go i wrócił do siebie. Obiecał matce, że napisze do niej, postanowił więc zrobić to zaraz, a potem chciał pomyśleć nieco o tej nowej znajomości.

Rozdział XXVII

Nazajutrz była sobota, a praca w ten dzień w warsztatach Griffithsa kończyła się przez cały rok w południe.

Wszedł pan Whiggam z pieniędzmi w kopercie.

- To dla pana, panie Griffiths - odezwał się do niego, jakby mu głównie chodziło o Clyde'a.

Clyde wziął pieniądze, zadowolony z tego wyróżnienia, a idąc do swej szafki z ubraniami rozdarł kopertę i schował do kieszeni pieniądze. Ubrał się, narzucił palto i kapelusz i pomaszerował do swego mieszkania, gdzie czekało już na niego drugie śniadanie. Nie mając ochoty siedzieć samotnie w mieszkaniu, bo Dillard nie wrócił jeszcze z pracy, postanowił pojechać do Gloversville.

Było to miasto liczące około dwudziestu tysięcy mieszkańców, uchodziło za bardzo ożywione, a nawet równie ładne jak Lycurgus. Bawił się dobrze na tej wycieczce chociażby dlatego, że zaznał nieco różnorodności.

Następnego dnia w niedzielę spędził czas beczynnie w Lycurgus, chodząc samotnie po mieście, bo wróciwszy wczoraj z Gloversville nie zastał już Dillarda, który musiał wyjechać w jakichś sprawach do Fondy i nie mógł spełnić swej obietnicy. Spotkawszy się jednak z Clyde'em w poniedziałek oznajmił, że w środę wieczorem odbędzie się w podziemiach kongregacyjnego kościoła na Diggby Avenue zebranie towarzyskie z przekąskami, na co według Dillarda warto było pójść.

- Można tam będzie zabawić się trochę - mówił. - Będą panny, a chciałbym, żeby pan poznał mego stryja i stryjenkę. Bardzo

przyzwoici ludzie. Pozna pan panienki, sympatyczne, ale niezbyt nieśmiałe. Tam posiedzimy do dziesiątej, a potem możemy pójść do Zelli albo do Rity. Rita ma lepsze płyty, ale u Zelli najlepszy salon do tańca. Ale czy pan przywiózł wieczorowe ubranie? - zapytał.

Był już kiedyś w pokoju Clyde'a podczas jego nieobecności i stwierdził, że miał on tylko małą walizkę i ani jednego kufra. Był przekonany, że Clyde'owi nie brakuje pieniędzy, bo i pracował w Union Clubie, i ojciec jego utrzymuje hotel, sądził więc, że Clyde widocznie nie przykładają wielkiej wagi do strojów albo może w jego planach życiowych nie ma miejsca na nadmierne myślenie o ubraniu.

Nie bardzo mu się to podobało. Mężczyzna nie powinien nigdy zaniedbywać tej głównej treści towarzyskiego życia. Clyde powinien pamiętać, że jest Griffithsem. To go powinno zobowiązywać i koniecznie musi stosować się do tego.

- Nie, nie przywiozłem- odrzekł Clyde, który nie przywiązywał wielkiej wagi do tego wieczoru, jakkolwiek spragniony był towarzystwa. - Ale mam zamiar sprawić je sobie.

Myślał już istotnie o tym braku w garderobie i chciał przeznaczyć jakieś trzydzieści pięć dolarów ze swych ciężko zapracowanych oszczędności na potrzebny garnitur.

Opowiadał mu jeszcze Dillard, że jakkolwiek rodzina Zelli Shuman nie jest bardzo bogata, posiadają jednak dom, w którym mieszkają. Bywa tam zwykle wiele ładnych panien. Rita Dickerman też nie jest zupełnie biedna. Ojciec Zelli ma jeszcze willę nad jeziorem Eckert koło miasteczka Fonda. Gdy nadejdzie lato, a z nim wakacje i miłe weekendy, i oczywiście jeśli Clyde'owi spodoba się Rita, będą mogli tam razem bywać, bo Rita z Zellą nie rozstają się nigdy. Są bardzo ładne. Zella brunetka, a Rita blondynka - dodał z zachwytem.

Clyde'a interesowały ładne panny i widział, że Dillardowi zależało na jego towarzystwie, z czego był do pewnego stopnia zadowolony ze względu na swe osamotnienie. Lecz czy to roztropnie zacieśniać z

nim tę znajomość? Przecież nic o nim nie wie. Na ile mógł wywnioskować z zachowania i gadaniny Dillarda, chłopiec ten był skłonny do łatwego entuzjazmu, zanadto go interesowały dziewczęta bez względu nawet na ich wartość, podobała mu się ich swoboda, a nawet pewne wyuzdanie, i obracał się chętnie w tych sferach, które one reprezentowały. Czyż nie to właśnie spowodowało nieszczęście Clyde'a w Kansas City? Tutaj w Lycurgus Clyde chciałby zapomnieć zupełnie o tym, dążąc do czegoś lepszego.

Mimo wszystko w środę o wpół do dziewiątej Clyde, jakkolwiek pełen uprzedzeń, wybrał się z Dillardem na to posiedzenie kościelne.

O dziewiątej znaleźli się na zebraniu na poły religijnym, na poły towarzyskim. Celem takich zebrań jest przysporzenie kościołowi dochodu, dla osób starszych podzielenie się ploteczkami, dla wyznawców wymiana krytycznych uwag, dla młodzieży - flirt. Stały tam kioski z ciastkami, cukierkami, lodami, lalkami, zabawkami różnego rodzaju, które dostarczali członkowie na dochód kościoła. Wielebny Piotr Israels, pastor, i jego żona byli też obecni. Znajdowali się również stryjostwo Dillarda i jeszcze trochę niezbyt interesujących ludzi, na których Clyde niewiele zwracał uwagi. Wszyscy bardzo weseli i swobodni prawie jak w domu, chociaż Grover Wilson, jako poważny kupiec firmy Stark & Company, starał się utrzymać powagę.

Był to wysoki tęgi mężczyzna, który zdaje się niewielkie miał pojęcie o sztuce ubierania się, a może tylko nie przywiązywał do tego wielkiej wagi. W przeciwieństwie do swego siostrzeńca, który wyjątkowo strojnie wyglądał, garnitur stryjaszka daleki był od elegancji, bo pognieciony, a nawet brudny. Pan Wilson miał zwyczaj zacierać ręce, jak to czynią urzędnicy, marszczył brwi, drapał się w głowę czasami, jakby to, co miał powiedzieć, kosztowało go wiele trudu i było niezwyklej wagi.

Obok niego jaśniała jak zorza pani Wilson, równie tęga kobieta. Ociężała, czerwona, z podwójnym podbródkiem, uśmiechała się ciągle, raz dlatego, że była z natury wesoła i dobrze się tu czuła, a następnie dlatego, że Clyde był tym, kim był. Bo Clyde zauważył, że Walter musiał o nim już opowiedzieć swym krewnym: to

jest Griffiths, on go wynalazł, zaprzyjaźnił się z nim i sprowadził tutaj.

- Właśnie mówił nam Walter, że pan przyjechał na praktykę do stryja. Mieszka pan u pani Cuppy? Nie znam jej, ale słyszałam, że ma przyzwoite pokoje. Mam tam znajomego, pana Parsley, który niegdyś chodził ze mną do szkoły. Nie widuję się jednak z nim często. Czy pan go poznał?

- Jeszcze nie - odpowiedział Clyde.

- Oczekiwaliśmy pana w niedzielę. Walter miał przyprowadzić pana na obiad, ale musiał niestety wyjechać. Ale proszę o nas pamiętać, bardzo nam będzie miło.

Skłoniła się, a małe jej oczki zabłyśły.

Clyde widział, że dzięki sławie jego stryja on był tutaj uważany prawie za bohatera. Całe towarzystwo młode i stare z wielbnym Piotrem Israelsem na czele znało ze słyszenia Samuela Griffithsa i jego rodzinę i było bardzo zdziwione, że Clyde, rodzony bratanek tak bogatego człowieka, znajduje się między nimi. Zwracali uwagę ze zdumieniem na jego zachowanie, uważając, że jest bardzo delikatny i skromny, a co najważniejsze, wcale nie arogancki. A wiadomo, że ludzie czują zawsze respekt dla bezczelności, mimo że w zasadzie ją potępiają.

Na obecnych tu pannach młody Griffiths jeszcze większe wywarł wrażenie. Dillard, przedstawiając Clyde'a, każdemu szeroko tłumaczył:

- Pan Clyde Griffiths, bratanek Samuela Griffithsa, kuzyn pana Gilberta, wie pan przecie... Właśnie przyjechał, żeby zapoznać się z techniką wyrobu kołnierzyków w warsztatach stryja.

Clyde czuł dobrze, jak płytkie było to rozumowanie, był jednak naprawdę zadowolony z wrażenia, jakie te słowa wywierały. Zuchwalstwo Dillarda było wprost niesłychane. Z całą bezczelnością za pomocą nazwiska Clyde'a zapanował nad całym towarzystwem.

Prowadził więc Clyde'a od jednych do drugich. Postanowił sobie, że wszystkim swym znajomym, na których mu zależało, przedstawi Clyde'a, żeby wiedzieli, jakie to on ma stosunki. Tym zaś, o których mu wcale nie chodziło - nie przedstawiał go wcale. A

Clyde'owi perswadował: - E, na tę pannę nikt nie zwraca uwagi. Ojciec jej utrzymuje tylko mały garaż. Nie zawracałbym nią sobie głowy, gdybym był na pańskim miejscu.

Albo: - On niechętnie jest tutaj widziany. Jest subiektem w naszym sklepie.

Dla innych miał pełno uśmiechów i komplementów i zawsze umiał korzystnie przedstawić ich towarzyskie braki.

Przedstawił go również Zelli Shuman i Ricie Dickerman, które z pewnych, sobie znanych przyczyn, a prawdopodobnie dlatego, że uważały to za szczyt dobrego tonu, przyszły późno. Różniły się istotnie bardzo od tych panien, które już tu Clyde poznał. Mniej w nich było prostoty, lecz i mniej skrupowania, nie były również tak głęboko religijne i nie przejmowały się zbyt moralnymi zasadami. Wkrótce mógł się Clyde przekonać, że jak ćmy leciały ku mniej niewinnym przyjemnościom, starając się jednak nie dać tego poznać po sobie, jak gdyby było trudno domyślić się, o co im chodzi. Więc oczywiście i zachowanie ich było zupełnie inne niż tamtych panien. Nie można było powiedzieć, żeby wyczuwało się coś niemoralnego czy niezdrowego, były jednak bardziej swobodne, mniej skrupowane, mniej panujące nad sobą.

- Ach, to pan jest Clyde Griffiths! - zawołała Zella. - Ale jakże jest pan podobny do swego kuzyna! Często go widuję, jak jeździ przez Central Avenue. Walter już nam wszystko o panu opowiedział. Podoba się panu Lycurgus?

Sposób i ton, jakim powiedziała "Walter", dawały do zrozumienia, że stosunek z jej nowym znajomym Clyde'a był bardziej ścisły, niż on sam chciał się do tego przyznać. Mała pąsowa krawatka przy szyi, maleńkie kolczyki z granatów w uszach, bardzo strojna i doskonale uszyta czarna suknia, ze spódnicą ułożoną w ciężkie

fałdy, świadczyły, że jej właścicielka pragnie ukazać swą postać w najlepszym świetle, szczyli się nią nawet, co nie godziło się zupełnie z chłodną, dystygowaną miną, jaką usiłowała przybierać, a nawet było dziwne na takim jak tu zebraniu.

Rita Dickerman była to hoża dziewczyna o jasnokasztanowatych włosach, różowych liczkach i błękitnoszarych oczach. Nie odznaczała się jaskrawą elegancją Zelli, uderzało jednak w niej coś, co zdawało się harmonizować z bardziej liberalnymi a utajonymi gustami przyjaciółki. Oddana bałwochwalczo Zelli, nie odstępowała jej na krok. Zachowywała się może z mniej maskowaną brawurą, jednak zachęcająco wobec Clyde'a, a nawet prowokacyjnie. Zdaje się, że już zawczasu ułożono, że Rita ma kokietować Clyde'a.

Gdy go jej przedstawiono, pochyliła się nad nim w jakiś kuszący, zmysłowy sposób, co go mocno zmieszało. Ciągłe musiał sobie przypominać, że w Lycurgus musi uważać na siebie i starannie dobierać znajomości. A ta dziewczyna, podobnie jak Hortensja, przywodziła mu na myśl najbardziej zmysłowe obrazy, jakkolwiek uważał to za zbyt śmiałe na razie, a więc tym samym problematyczne i dalekie. Jednak już teraz odejmowało mu to swobodę.

Musi koniecznie uważać na siebie. Dziewczęta te już teraz odbierają mu spokój.

- Chodźmy teraz na lody i ciastka - zaproponował Dillard, gdy zamieniono pierwsze słowa - a potem będzie można wyjść. Wy obie możecie przejść się trochę po sali, a spotkamy się przy ciastkach. Ale chyba potem wyjdziemy, co? Co o tym myślicie?

Patrzył na Zellę, jakby chciał powiedzieć: Wiesz dobrze, co byłoby najlepsze.

Ona uśmiechnęła się i odpowiedziała:

- Ależ dobrze. Teraz jeszcze nie możemy wyjść. Muszę się zobaczyć z moją kuzynką Mary. I z matką, i z Fredem Brucknerem... Więc teraz z Ritą przejdziemy się po sali, a potem spotkamy się z wami.

Rita obdarzyła Clyde'a czułym i zdobywczym spojrzeniem.

Po dwudziestu minutach potrącania i wzajemnego popychania się Dillard otrzymał sygnał od Zelli, więc obaj zbliżyli się do kiosku z ciastkami. Za chwilę zjawily się obie panny i razem zasiedli do lodów i ciastek. Nie mieli już żadnych towarzyskich zobowiązań, a że całe zgromadzenie zaczęło zbierać się do wyjścia, Dillard odezwał się:

- Nie tłoczmy się wszyscy razem. Pójdziemy później do państwa, dobrze?

- Ależ doskonale - zgodziła się Zella.

Udali się do szatni. Clyde jeszcze się wahał i był nieco milczący. Nie miał jeszcze pewności, czy mu się Rita podoba, czy nie, lecz gdy wyszli na ulicę, Rita znalazła się koło niego, Zella z Dillardem szli na przędzie. Clyde wziął ją pod ramię, bo pomyślał, że tak należy, ona jednak tak manewrowała, że uwolniła się i położyła miękką, pieszczotliwą rączkę na jego ręce. Przytuliła się do niego ramieniem o ramię i tak poszli przez miasto.

W jej głosie brzmiały dźwięki miękkie i słodkie, co silnie podziało na zmysły Clyde'a. Ciało jej, opierające się o jego ramię, było ciężkie i omdlewające, jakieś promienie magnetyczne łaskotały go i wabiły mimo jego woli. Czuł, że pozwoliłaby mu pieścić swą rękę, otoczyć ramieniem kibić i to nawet zaraz. Lecz on jest Griffithsem, czuwa nad sobą, jest na tyle przytomny, że pamięta, iż jest w Lycurgus Griffithsem... Niechże pamięta, że tylko dlatego, że jest nim, wszystkie te panny zebrane w kościele były tak uprzejme dla niego.

Mimo to przycisnął jej ramię lekko, co nie wywołało żadnego protestu z jej strony.

Dom Shumanów był to wielki czworokątny budynek z kwadratową kopułą

cofnięty głęboko między drzewa i trawniki. Gdy weszli do środka, poczuli się jak u siebie w domu w wielkim salonie, umeblowanym

bardzo ładnie, czego Clyde, bywający tak rzadko, jeszcze nie widział. Dillard zaczął od razu przebierać płyty, które widocznie znał bardzo dobrze. Zwinięto dwa wielkie dywany i ukazała się pod nimi gładka posadzka.

- Istnieje jakiś tajemniczy związek między tym domem, drzewami i delikatną igiełką pianoli - odezwał się Dillard do Clyde'a, gdyż był ciągle pod wrażeniem, że jego rezerwa ma źródło w ciągłej obawie o reputację. - Na ulicy nie słyhać ani jednego tonu pianoli, prawda, Zell? I na górze również. Grywamy tutaj bardzo często i tańczymy nieraz do trzeciej, czwartej rano, a na górze nic o tym nie wiedzą. Prawda, Zell?

- A tak. Ale to może dlatego, że ojciec ma trochę przytępiony słuch. A matka nigdy nic nie słyszy, jeśli siedzi w swoim pokoju i zabierze się do czytania. Ale rzeczywiście słabo tu słyhać.

- Czyżby ktoś miał coś przeciwko tańcom? - zapytał Clyde.

- E, robotnicze sąsiedztwo nic by nie mówiło - wtrącił Dillard - ale większość tych pobożnych, jak na przykład mój stryj i stryjenka... a i wszyscy ci, których dziś widzieliśmy w kościele. Oprócz Zelli i Rity naturalnie. - Rzucił na nie aprobujące i zachęcające spojrzenie. - Zbyt są liberalne, żeby miały sobie tym zaprzętać głowy. Nieprawdaż, Zella?

Młoda dziewczyna widocznie znajdowała się całkowicie pod jego urokiem, bo śmiała się i przytakiwała.

- Naturalnie, masz rację. Cóż mi to może szkodzić?

- Mnie także - wtrąciła Rita. - Moi rodzice nie sprzeciwiają się również tańcom, jakkolwiek głośno o tym nie mówią.

Nastawiono płytę "Oczy czarne" i natychmiast Clyde z Ritą, a Dillard z Zellą zaczęli tańczyć.

Clyde czuł dziwny pociąg do tej dziewczyny. Zawiązywało się między nimi nieznacznie coś nieuchwytnie poufnego, czego nie umiał

wy tłumaczyć. Tańczyła tak namiętnie. Było to falowanie, kołysanie się w tańcu. Tymi ruchami wyrażała cały swój entuzjazm dla tej zabawy. Z jej ust nie zniknął smętny uśmiech, w którym taił się głód wrażeń. A z tym uśmiechem, kołysząc się w tańcu, była jeszcze bardziej czarująca.

- Jest prześliczna - myślał Clyde - może tylko trochę zbyt przystępna. Dla każdego byłaby taka sama, ale na razie woli mnie, bo myśli, że jestem nie byle kto.

A Rita mówiła:

- Ach, jak wspaniale! Pan jest doskonałym tancerzem, panie Griffiths.

- E, nie - odparł uśmiechnięty, patrząc jej w oczy. - To pani jest świetną tancerką, a ja tańczę dobrze dlatego tylko, że tańczę z panią.

Wyczuwał jej ramiona, długie i delikatne, jej pełne piersi. Rozbawiona tańcem, upojona nim, ruchy miała prawie prowokujące.

- Teraz nałożymy "Łódź miłości" - zawołał Dillard, gdy skończyły się "Oczy czarne". - Pan będzie tańczył z Zellą, a ja z Ritą. Dobrze, Rito?

Tak się rozochocił do tańca, że nie mogąc się doczekać muzyki z nowej płyty, objął Ritę i zaczął z nią przebiegać różne pas taneczne i figury, których Clyde wcale nie znał, co utwierdziło go w przeświadczeniu, że Dillard ma wyższość nad nim w tańcu. Przebiegając salon z Ritą wołał do Clyde'a, żeby prędzej zakładał płytę.

Clyde tańcząc z Zellą doszedł do przekonania, że dwie ich pary tylko sobie były przeznaczone i wołałyby, żeby im nie przeszkadzano. Bo kiedy Zella tańczyła z Clyde'em, a tańczyła dobrze i rozmawiała dużo, widać jednak było, że interesował ją tylko Dillard, i na pewno wołałyby być przy nim.

Po tańcach, gdy Rita odpoczywała i rozmawiała z Clyde'em, Zella z Dillardem udali się do kuchni we dwójkę, żeby przygotować coś do picia. Jednakże tak długo tam przebywali, iż z pewnością niejeden napój można by przez ten czas przyrządzić.

Podczas tej przerwy, która jak gdyby była dla nich specjalnie ułożona, Clyde z Ritą poznali się jeszcze lepiej. Ponieważ rozmowa jakoś nie kleiła się, Rita wstała i zaproponowała, żeby jeszcze trochę potańczyć. Chciała mu pokazać niektóre figury, które tańczyła z Dillardem. Lecz dzięki jej temperamentowi zbliżyło ich to bardzo do siebie, nawet za bardzo, bez względu na zamiary i chęci Clyde'a. Przycisnął twarz do jej policzka, ona zaś zwróciła nań śmiejące i kokieteryjne spojrzenie. Cała stanowczość Clyde'a prysła. Pocałował ją w usta. Potem raz i - jeszcze raz. A ona zamiast się bronić, jak przypuszczał - pozwalała i poddawała się, żeby całował więcej.

Czuł to ciepłe, oddane ciało, Ignące tak do niego, i chętne wargi, przyciskające się do jego ust, gdy naraz spostrzegł się, że posunął się za daleko i że trudno już będzie cofnąć się i uniknąć dalszych konsekwencji. Lecz jakże mógł się jej opierać, była tak ponętna, a sam był pewien, że jej się też podobał.

Rozdział XXVIII

Dreszcz chwilowej rozkoszy, a jednocześnie, moment refleksji. Ma oto przy sobie tę dziewczynę, która w tak kusicielski sposób go zwabiła. - Jakże niedawno obiecywał sobie i matce, że będzie żył tutaj innym życiem, że nie pozwoli sobie na podobne stosunki. One

to spowodowały ruinę jego kariery w Kansas City. A teraz...
teraz...

A pokusa była tak silna. Miał wrażenie, że Rita oczekiwała dalszego ciągu i to zaraz. Ale jakże to... i gdzie? Chyba nie w tym wielkim, nieznanym domu. Były tam jakieś pokoje poza kuchnią, gdzie zniknęli Zella z Dillardem. A gdyby nawet? Ma więc tę znajomość utrwalić? I co dalej? Widocznie spodziewano się po nim czegoś więcej. Czyżby chcieli, żeby poniósł konsekwencje swego zapomnienia? Tańczył z nią i pieścił w sposób bardzo agresywny, mimo że pamiętał o tym, że nie powinien tego robić.

- Czyż tak powinienem postępować? Wiem, co wszyscy o mnie myślą, nawet jej rodzice. Czyż mi istotnie o nią chodzi? Czy to nie jest z jej strony chęć wykorzystania sytuacji? Co do mnie, wiem, że to zagraża mej przyszłości, a poza tym, czy może sprawić zadowolenie tak szybko postępująca zażyłość?

Doznawał prawie tego samego uczucia jak ongi w lupanarze w Kansas City - pociąg, a jednocześnie wstręt. Nie posunie się dalej. Może ją pieścić i całować, ale ostrożnie, dopóki tamci nie wrócą. A i oni mogliby już mieć dość tego tajemniczego odosobnienia.

Gdzieś zegar wybił - dwa razy. Rita zerwała się nagle mówiąc, że musi już iść, rodzice jej nie lubią, jak wraca późno. A ponieważ Dillard i Zella nie ukazali się wcale, Clyde musiał ją odprowadzić do domu, a nie był pewien, jak się to może skończyć.

Nie spełnił jednakże jej oczekiwań. Najwyraźniej nie miał dość odwagi, by skorzystać z okazywanych mu tak wyraźnie łask. Tak musiała sobie to wytłumaczyć.

Pod drzwiami jej domu, niezbyt stąd odległego, po rozmowie zaprawionej sówicie czułościami, w której omawiali następne spotkanie, zachowanie jej stało się bardziej jeszcze zachęcające.

Rozstali się wreszcie.

Clyde był prawie zdumiony, jak ta nowa znajomość szybko się

rozwijała, nie był jednak pewien, czy podtrzyma ten stosunek. Gdzie podziały się jego surowe decyzje? Zmysłowość bijąca od tej dziewczyny uniemożliwiała mu spokojniejsze traktowanie tej znajomości.

Nastąpiły jednak wypadki, wobec których musiał się zdecydować.

Rodzina, nie mówiąc już o Gilbertcie, nie okazywała zbytniego zainteresowania jego osobą. Nikomu nie przyszło na myśl, że Clyde znalazł się w nie znanym mieście zupełnie osamotniony, że rodzina winna by okazać mu choć trochę zajęcia albo udzielić jakichś rad od czasu do czasu. Nawet pan Samuel, będąc ciągle zajęty, nie poświęcił mu ani jednej myśli podczas pierwszego miesiąca. Dano mu odpowiednie zajęcie, jak słyszał, może więc pracować dla swojej przyszłości, cóż więcej można dla niego zrobić?

Przez dłuższy więc czas nikt nie myślał o nim, co bardzo cieszyło Gilberta.

A Clyde, pracując w swoich podziemiach, zastanawiał się, co z nim będzie dalej. Wytworzyła się dziwna sytuacja zważywszy na zainteresowanie, jakie mu okazywali wszyscy, nie wyłączając Dillarda i jego panien.

Jednakże w miesiąc po przyjeździe Clyde'a, mimo iż Gilbert wystrzegał się najmniejszej o nim wzmianki, starszy pan Griffiths zapytał któregoś dnia:

- A cóż nasz kuzynek? Jakże się on sprawuje?

Gilbert, nieco zaniepokojony, do czego to zmierza, odrzekł:

- O, stara się. Umieściłem go w pralni. Chyba dobrze?

- Tak, zdaje mi się. Najlepszy oddział dla początkujących. A cóż o nim myślisz? - Co? - odparł Gilbert ostrożnie, lecz z obojętną miną. Był to rys, który ojciec w nim zawsze podziwiał.

- Niewiele. Stara się. Pracuje. Ale nie wydaje mi się, żeby miał

sobie urobić ręce po łokcie. A przy tym nie ma w niczym żadnej wprawy, jak wiesz, ojciec. Każdy to może od razu spostrzec. Nie jest również bardzo pracowity ani energiczny. Zbyt powolny, nie mogę więc go pchać. Może się zresztą wyrobi. Ty, ojciec, lubisz go, a ja może się mylę, ale nie mogę oprzeć się myśli, że przyjechał tylko po to, żebyś patrząc na niego nie zapominał o pokrewieństwie. Liczy na twoją wspaniałomyślność.

- Myślisz? Jeżeli liczy, to się grubo myli. - Ale zaraz dodał z drwiącym uśmiechem: - Nie jest więc tak niepraktyczny, za jakiego go uważasz. A my nie mamy prawa tak mówić, bo nie znamy go jeszcze dobrze. W każdym razie w Chicago nie wydał mi się takim. Znajdzie tu zresztą dość kantów, o które będzie się trochę potykał, nie sprawiając sobie wszakże wielkiej krzywdy, nawet gdyby nie był najbardziej utalentowanym młodzieńcem... Jeżeli nie pali się do pracy, to już jego rzecz. Na to nic nie poradzę. Ale w żadnym razie nie oddalę go. Bądź co bądź jest to nasz krewny. Niechże więc teraz pracuje dalej, a my uważajmy, jak sobie radzi.

- Dobrze, ojciec - odpowiedział syn. Miał nadzieję, że ojciec w nawale pracy zapomni o kuzynie i pozwoli mu pozostać w najcięższym oddziale. Lecz ku wielkiemu jego niezadowoleniu ojciec dodał: - Należałoby go którego dnia zaprosić na obiad. Myślałem już kiedyś o tym, ale jakoś mi zeszło. Przedtem jednak muszę pogadać o tym z matką. Nie był jeszcze u nas, prawda? - Nie, ojciec. Przynajmniej nic o tym nie wiem - odrzekł Gilbert. Wolałby nie mówić o tym, zbyt wszakże był przezorny, aby to okazać. - Czekaliśmy na ciebie, co postanowisz.

- A więc dobrze - mówił pan Samuel. - Mógłbyś wstąpić do niego i przyprowadzić go do nas. Dobrze byłoby w niedzielę, jeżeli nie mamy innych projektów. - A zauważywszy cień niechęci w oczach syna, dodał: - A pamiętaj o tym, Gilberte, że jest on moim bratankiem i twoim bratem stryjecznym i nie możemy go zupełnie ignorować. Nie byłoby to przyzwoicie z naszej strony. Pomówisz o tym z matką dziś wieczorem albo ja pomówię.

Zasunął szufladę biurka, w której przeglądał papiery, wziął kapelusz, palto i wyszedł z biura.

Wynikiem tej rozmowy było wysłanie do Clyde'a zaproszenia, żeby przyszedł do stryjostwa o wpół do siódmej na kolację. Obiad w niedzielę bywał zwykle o wpół do drugiej i zazwyczaj zapraszano kogoś ze znajomych miejscowych lub przyjezdnych. O wpół do siódmej goście się rozchodzili i do kolacji zasiadali przeważnie tylko oboje Griffithsowie z Myrą, gdyż Bella i Gilbert bywali zawsze gdzieś zapraszani.

W tym wypadku jednak i Bella postanowiła pozostać. Gilbert, w ogóle niechętny podobnym projektom, uprzedził, że nie zostanie, bo jest już zaproszony i może tylko na chwilę wstąpić do domu. I Clyde, i Gilbert zadowoleni byli, że nikt z obcych nie będzie obecny podczas tej wizyty. Trzeba by każdemu przedstawiać, tłumaczyć, wyjaśniać... A tak rodzina będzie mogła swobodnie mu się przyjrzeć i wyrobić sobie o nim zdanie.

Z tego więc powodu stosunki między Clyde'em a Dillardem i obu pannami stały się zależne od Griffithsów. Trójka przyjaciół nie przypuszczała nawet, że Clyde może się wahać. Przekonani byli, że nowy ich znajomy jest całkowicie pod urokiem Rity, tym bardziej że były po temu pewne dane.

Wobec tego Dillard zaproponował wspólną gdzieś wycieczkę na najbliższy weekend. Może do Utica albo do Albany. Panny miały oczywiście także pojechać. Miały służyć za przynętę, w razie gdyby miał jakieś wątpliwości albo obawy.

- Bardzo się im pan podobał. Zell powiedziała któregoś dnia, że pan jest strasznie miły. Prawdziwy uwodziciel, co? - trącił go łokciem po przyjacielsku, co uważał za bardzo elegancką manierę w tym wielkim świecie, w który przy pomocy Clyde'a miał zamiar wkroczyć. Nie wywarło to jednak na Clydzie należytego wrażenia, wiedział dobrze, z kim ma do czynienia. Taki łobuz myśli, że jest Bóg wie kim!

Propozycja Dillarda, jakkolwiek pociągająca, zakłopotowała srodze Clyde'a z pewnego punktu widzenia. Przede wszystkim nie miał pieniędzy. Cóż to znaczy piętnaście dolarów tygodniowego zarobku!

Gdyby wybrał się na wycieczkę, naraziłby się na wydatki, których ponieść nie może. Sam wyjazd, jedzenie, hotel, przejażdżka samochodem - we dwójkę na pewno... Poza tym zawiązałyby się na pewno bliższa znajomość z Ritą, o której wiedział niewiele, co na pewno doprowadziłoby do intymniejszego z nią stosunku. Widywaliby się ciągle, chodziliby razem... A cóż wtedy Griffithsowie?... niechby Gilbert usłyszał o tym albo ich zobaczył! Przecież Zella mówiła, że widuje go często na ulicy. Niechże się zdarzy, że spotka go wtedy, gdy będą szli wszyscy razem... Co powiedzą na to, że Clyde przyjaźni się z subiektami? Bo kimże jest Dillard? Ot, i koniec całej jego kariery... Bóg jeden wie, do czego to mogłoby doprowadzić.

Chrząkał i wykręcał się na różne sposoby. Ma teraz tyle do roboty. Musi się jeszcze namyślić. Zresztą ci jego krewni... A w tę niedzielę i następną będzie miał nadetatową robotę i nie będzie mógł wyjechać z miasta. Może kiedyś później.

Bezwiednie wszakże niepokojące myśli wtrącały się do tych rozsądnych postanowień. Rita jest tak urocza. A może po dwóch, trzech tygodniach zgodzi się na ich propozycję. Zaoszczędzi sobie tymczasem na nowy garnitur i modny kapelusz. Dlaczegożby nie miał choć okruszyny uszczknąć z tych rozkoszy, chociaż wie, że cały ten projekt licha wart?

Ach, ta śliczna, pieszczotliwa, namiętna Rita!

Wśród tych wahań i bicia się z myślami przyszło zaproszenie Griffithsów.

Gdy Clyde wrócił z roboty z nie opuszczającą go myślą o propozycji Dillarda, zobaczył na stole list. Pisany był na grubym, pięknym papierze i przyniósł go jeden z lokajów Griffithsów w czasie jego nieobecności. Zafrapował go mocno, tym bardziej że na kopercie ujrzał wytłoczone litery E.G. Rozerwał czym prędzej kopertę i czytał:

Kochany Kuzynku!

Od czasu twego przyjazdu mąż mój często wyjeżdżał, a chociaż radzi byliśmy Cię poznać, oczekiwaliśmy jednak chwili, w której i mąż mój mógłby Cię razem z nami przyjąć. Teraz właśnie będzie w domu dłuższy czas, więc będziemy bardzo radzi, jeżeli zechcesz przyjść do nas w niedzielę o szóstej na kolację. Będzie to zupełnie bezceremonialne - w swoim kółku. Nie krępuj się zupełnie i jeżeli nie będziesz mógł przyjść, nie musisz nas o tym zawiadamiać. Nie krępuj się również ubraniem.

Będzie nam bardzo miło zobaczyć się z Tobą, więc jeżeli będziesz mógł, to przyjdź.

Szczerze życzliwa stryjenka Elżbieta Griffiths.

Wśród swej ciężkiej i przykrej pracy Clyde zaczął na dobre już powątpiewać, czy jego przyjazd tutaj nie był bezcelowy. Bo chyba już zupełnie o nim zapomniano. Teraz jednak, czytając list, zatonał w radosnej fali szczęścia i od razu zaczął snuć niewczesne, romantyczne marzenia. Bo jakże?... przecież w tym niesłychanym liście wyraźnie napisano: "będzie nam bardzo miło zobaczyć się z tobą", co świadczy najwyraźniej, że nie pogardzano nim wcale. Stryj był w ciągłych rozjazdach. Więc tylko dlatego... Teraz nareszcie pozna stryjenkę, swe siostry, zobaczy piękne apartamenty... Tam pewnie jest cudownie. Może jeszcze nieraz go zaproszą, kto wie? Ale to szczególne, że właśnie teraz go zaprosili, gdy zupełnie już o nich zwątpił:

I natychmiast całe jego zainteresowanie, a nawet słabość do Rity, przyjaźń dla Zelli i Dillarda gdzieś się ulotniła.

Co? Ma się przyjaźnić z ludźmi, którzy nie są warci buty czyścić Griffithsom? Ma narazić przez nich na szwank stosunki ze swą znamienitą rodziną? Nigdy! Byłby to wielki błąd. Dobrze, że list ten przyszedł w samą porę. A na szczęście nie zabrnął jeszcze za

daleko.

Teraz wolniutko, ostrożniutko odsunie się od Dillarda, wyprowadzi się nawet od pani Cuppy, jeżeli to będzie konieczne, albo wprost powie, że stryj go ostrzegał przed zawieraniem jakichkolwiek tu znajomości.

Już sobie nie zaprzętał głowy Ritą ani wycieczką, rozmyślał tylko uporczywie, jakie to życie muszą prowadzić Griffithsowie, jakich miłych muszą używać rozrywek, jak niezwykle mają pewnie stosunki! Począł zastanawiać się nad potrzebą sprawienia sobie nowego garnituru, a przynajmniej smokingu i spodni.

A więc nazajutrz uzyskał od Kemerera pozwolenie wyjścia na miasto od jedenastej do pierwszej i sprawił sobie za oszczędzone pieniądze porządny garnitur, eleganckie buty i biały jedwabny szalik. Był z tego wszystkiego zadowolony, bo wiedział, że będzie wyglądać w tym bardzo dobrze.

Cały czas, dzielący go od niedzieli, wypełnił marzeniami o swej szczęśliwej gwiazdzie. Przecież to nie byle co, takie zaproszenie od tak szanownych osób! Rita z całą kompanią ulotniła się bezpowrotnie z jego głowy.

Jedynym przykrym cierniem w tej radości był Gilbert, który zawsze przyglądał mu się twardym, chłodnym wzrokiem, ilekroć go spotkał. Pewnie będzie w domu i zachowa swą pogardliwą jak zwykle minę, ażeby Clyde mógł odczuć całą swą niższość. Wiedział, że to mu odbierze zupełnie swobodę. A jeżeli uda mu się ją zachować, to niechybnie Gilbert w fabryce zapłaci mu za to. Wystarczy, jeżeli szepnie ojcu coś niepochlebnego o nim.

Czy już całe życie ma pracować w tej obmierzłej pralni? Trzeba mieć jego szczęście, żeby właśnie musiał być tutaj taki Gilbert, i to tak podobny do niego i bez żadnej przyczyny tak mu niechętny.

Takie oto zwątpienie czasami go ogarniało. Mimo to jednak w niedzielę punktualnie o szóstej stawił się w rezydencji Griffithsów, z nerwami mocno naprężonymi przed ciężką próbą. Gdy

stanął przed główną bramą z kutego żelaza, otwierającą się na krętą aleję, która wiodła do frontowego wejścia, z drżeniem w sercu nacisnął ciężką klamkę. Idąc aleją miał wrażenie, że patrzy nań przez okna ciekawe i krytyczne spojrzenia. Może pan Samuel albo Gilbert, może która z córek patrzyła na niego spoza ciężkich zasłon w oknach. Parter oświetlony był rzęsiwym, lecz łagodnym światłem.

Skrepowanie trwało krótko. Drzwi otworzył służący, który zdjął z niego palto i poprosił do wielkiego salonu. Na Clydzie, jakkolwiek znał salony Greena-Davidsona i Union Clubu, ten salon zrobił wielkie wrażenie. Stały w nim przepiękne meble, leżały bogate dywany i wspaniałe firanki ozdabiały okna. Przed wielkim, wysokim kominkiem, na którym płonął ogień, stylowe kanapki i krzesła. Zobaczył jeszcze wysoki zegar, lampy i duży stół.

W salonie nikogo nie było. Clyde obejrzał się niespokojnie, natychmiast jednak usłyszał szelest jedwabiu i na schodach z górnych pokoiów ukazała się pani Griffiths, koścista, zwiędła, ale miła kobieta. Ruchy miała żywe, obejście w miarę uprzejme, jak to było w jej zwyczaju. Po kilku minutach rozmowy Clyde uspokoił się zupełnie i czuł się dobrze w jej obecności.

- Nasz kuzynek, jak mi się zdaje, prawda? - uśmiechnęła się do niego.

- Tak - odpowiedział Clyde, a dzięki swemu zdenerwowaniu powiedział to z niezwykłą godnością. - Jestem Clyde Griffiths.

- Witam cię, mój chłopcze, i bardzo mi miło, że mogę cię poznać - mówiła pani Griffiths z wielką swobodą, jaką posiadała mając ciągłą styczność z wyższymi sferami towarzyskimi. - Dzieci moje będą również zadowolone. Belli nie ma na razie w domu ani Gilberta, ale wrócą niedługo. Mąż mój odpoczywał trochę po obiedzie, ale słyszałam już ruch w jego pokoju, więc zejdzie tu zaraz. Siadaj, proszę cię. - Wskazała wygodną kanapkę. - Jadamy zwykle w niedzielę w kółku rodzinnym, pomyślałam więc, że będzie nam z sobą przyjemnie. Jakże ci się podoba Lycurgus?

Usiadła na kanapie przed kominkiem, a Clyde przez respekt dla niej usiadł nieco dalej.

- O, tak, podoba mi się bardzo - odrzekł starając się być swobodny i uśmiechać się. - Nie poznałem jeszcze dobrze miasta, naturalnie, ale to, co widziałem, podobało mi się bardzo. Ta na przykład ulica jest taka ładna, że nie wiem, czy widziałem gdzieś piękniejszą - mówił z zachwytem. - Domy piękne i otoczenie śliczne...

- O, tak. Jesteśmy sami dumni z naszej Wykeagy Avenue - uśmiechnęła się pani Griffiths, która istotnie była uszczęśliwiona, że i ich dom znajduje się na tej ulicy. Oboje z mężem wspinali się długo i mozolnie, żeby się tu dostać. - Każdy przyjezdny to samo mówi. Istnieje ona już bardzo dawno, jeszcze kiedy Lycurgus było małym miasteczkiem, ale dopiero od piętnastu lat stała się tak piękna. Ale opowiedz mi coś o swej matce i ojcu. Nie widziałam ich nigdy, ale mąż bardzo często mi o nich opowiadał, a właściwie opowiadał o swym bracie - poprawiła się. - Bo nie zdaje mi się, żeby znał twoją matkę. Jakże się ma ojciec?

- Dziękuję, dobrze- odpowiedział Clyde z prostotą. - Matka również. Mieszkają teraz w Denver. Dawniej jakiś czas mieszkaliśmy w Kansas City, ale trzy lata temu przenieśli się do Denver. Przed paroma dniami otrzymałem list od matki i pisze mi, że wszystko dobrze.

- A więc prowadzisz z nią korespondencję? To bardzo ładnie.

Uśmiechnęła się i spojrzała uważniej na Clyde'a. Wyglądał tak przyzwoicie, nawet elegancko i tak był podobny do jej syna, że na razie była zdumiona i zaintrygowana tym podobieństwem. Tylko Clyde był trochę wyższy, lepiej zbudowany i przez to prezentował się lepiej, czego nie przyznałaby nawet przed sobą. Gilbert prócz tego był często opryskliwy i przybierał wzgardliwe miny, nawet wobec niej, udawał przywiązanie bardziej z przyzwyczajenia niż z potrzeby serca, lubił narzucać swe zdanie nie licząc się z nikim. Clyde zaś wyglądał łagodniej, bardziej niezdecydowanie. Jej syn musiał odziedziczyć siłę charakteru po ojcu, a niektóre cechy po jej przodkach, Clyde w takim razie otrzymał miękkość charakteru po

swych rodzicach.

Rozwiązawszy to zagadnienie na korzyść swego syna miała pani Griffiths zapytać o rodzeństwo, gdy przeszkodził jej w tym pan Samuel wszedłszy do pokoju. Zmierzył uważnym spojrzeniem Clyde'a, powstającego z miejsca na jego przywitanie, i odezwał się:

- Ach, jesteś już! Pracujesz u nas od kilku tygodni, a ja cię jeszcze dotąd nie widziałem.

- Rzeczywiście - odrzekł Clyde kłaniając się z wielkim szacunkiem.

- A więc wszystko dobrze. Siadaj, siadaj! Bardzo jestem rad, że się tak stało. Słyszałem, że pracujesz w pralni: Wiem, że tam niezbyt przyjemnie, ale praktykę tam właśnie najlepiej zaczynać. Doskonali pracownicy stamtąd wychodzą. - Uśmiechnął się i dodał: - Nie było mnie w domu, kiedyś przyjechał, byłbym cię przecież przywitał.

- Tak, słyszałem o tym - odpowiedział Clyde, który nie usiadł, dopóki stryj nie zajął miejsca w wygodnym fotelu obok kanapy.

Pan Samuel spojrzał na jego ubranie i spostrzegł, że w smokingu, eleganckiej koszuli i czarnym krawacie wyglądał inaczej niż w liberii klubowej, ale wydał mu się jeszcze przystojniejszy niż przedtem - wcale nie tak niepozorny i niezręczny, jak to twierdził Gilbert. Wierząc jednakże, że siła i energia są konieczne w czynnym życiu, miał wrażenie, że Clyde'owi właśnie tych zalet brak. Wolałby widzieć w nim więcej sprężystości i dzielności. Dopasowałyby się wtedy lepiej do Griffithsów, a wtedy może podobałby się Gilbertowi.

- No i jakże, podoba ci się tam? - pytał łaskawie.

- Nie mogę powiedzieć, żeby mi się tak bardzo podobało - przyznał szczerze Clyde. - Ale nie o to chodzi. Każdy początek jest pewnie taki sam.

Mówiąc to chciał dać do zrozumienia, że na razie nie myśli o

niczym lepszym. Nie widząc tu Gilberta miał odwagę wyjawić szczerze swe myśli.

- Bardzo dobrze rozumiesz - odrzekł stryj zadowolony. - Muszę przyznać, że nie jest to najprzyjemniejsza praca, ale jest to niestety najistotniejsza część naszej wytwórczości i od tego trzeba zaczynać. A takie początki zawsze zabierają nieco czasu.

Z tego Clyde nie mógł wywnioskować, jak jeszcze długo będzie musiał tkwić w tych posępnych podziemiach.

tej chwili weszła Myra, bardzo ciekawa, jak ten kuzynek wygląda i bardzo była zadowolona, że nie odpowiada obrazowi, skreślonemu przez Gilberta. Zauważyła, że oczy Clyde'a rzucały jakieś nerwowe spojrzenia, jakby ukradkowe, czasem pytające, niepewne.

Zainteresowało ją

to, bo odnalazła w nich jakby odzwierciedlenie własnego wzroku, może dlatego, że i ona zbyt mało przebywała między ludźmi, nie ciesząc się wielkim powodzeniem.

- To twój kuzyn, Myro - Clyde Griffiths - przedstawiał pan Samuel, gdy Clyde powstał. - Moja córka, Myra. Jest to właśnie ten młody człowiek, o którym ci mówiłem.

Clyde skłonił się i ujął wyciągniętą, chłodną, jakby martwą rękę Myry, ale odczuł w niej więcej sympatii i życzliwości niż w innych.

- Sądzę, że panu będzie się tutaj podobało - zaczęła wesoło. - My wszyscy lubimy Lycurgus, chociaż po Chicago będzie je pan uważał za bardzo małe miasteczko.

Uśmiechnęła się, a Clyde, nieco zażenowany, miał zamiar już usiąść, gdy otworzyły się drzwi i wszedł Gilbert. Wejście jego poprzedziło warczenie motoru, który zatrzymał się u bocznego wejścia. - Za chwilę Dolge - zawołał Gilbert do kogoś. - Nie będę siedział długo. - A zwracając się do rodziny dodał: - Przepraszam was, moi państwo, zaraz wrócę.

Wbiegł szybko na schody, powrócił po chwili i stanął przed Clyde'em z tą samą lodowatą, niechętną miną, jaką mroził go w fabryce. Miał na sobie jasny płaszcz sportowy z paskiem, ciemną skórzaną czapkę i rękawice, co mu nadawało wygląd wojskowego. Kiwnął sztywno głową Clyde'owi i mruknął: - Dobry wieczór! - Położył po przyjacielsku rękę na ramieniu ojca i zawołał:

- Jak się masz, papo! Dobry wieczór mamie. Żałuję, że nie mogę zostać z wami wieczorem, ale wracam właśnie z Dolge i Eustis z Amsterdamu. Jedziemy do Konstancji i Jacqueliny. Są tam jakieś sprawy do załatwienia u Bridgemanów. Ale wrócę nad ranem, a może od razu pojedę do biura. A co tam słyhać u ojca?

- Nie mogę narzekać - odrzekł ojciec. - Ale myślę, czy to nie za długo na całą noc.

- Ach cóż to znaczy? - odparł syn ignorując zupełnie Clyde'a. - Właściwie to znaczy, że jeżeli nie wrócę na drugą, to przenocuję tam i tyle.

Poklepał ojca po ramieniu.

- Ale nie jedź tak szybko jak zwykle - ostrzegła matka. - To niebezpiecznie.

- Piętnaście mil na godzinę. Tylko piętnaście mil, mamó. Znam prawo - uśmiechnął się z wyższością.

Clyde zauważył, że ton autorytetu i łaskowości, z jakim przemawiał do wszystkich, nie opuszczał go widocznie nigdy, a więc tutaj jak i w fabryce był nie lada osobą, z którą należało się liczyć. Jedynie ojcu okazywał nieco szacunku. - Cóż za powaga! - pomyślał Clyde.

Jakie to szczęście być takim synem, który nie mając żadnych zasług może czuć się wielkim, traktować siebie z powagą i przemawiać z taką wyższością. Cóż dziwnego, że ten młodzieniec tak pogardliwie odnosił się do Clyde'a... Ach, żeby być takim jak on, czuć w sobie

tyle władczej siły i imponować ludziom!

Rozdział XXIX

W tej chwili weszła służąca i oznajmiła, że kolacja podana. Gilbert natychmiast wyszedł, wszyscy się podnieśli, a pani spytała:

- Czy Bella telefonowała?

- Nie, proszę pani, jeszcze nie - odpowiedziała służąca.

- Powiedz pani Truesdale'owej, żeby poszła do Finchleyów i powiedziała, żeby Bella natychmiast wracała. Niech jej powie, że żądam, aby zaraz przyszła.

Służąca wyszła, a wszyscy skierowali się do jadalni. I Clyde zobaczył jeszcze jeden pokój, prześlicznie umeblowany, cały jasnobrązowy, ze stołem z rzeźbionego orzecha włoskiego stojącym na środku, a używanym tylko przy wyjątkowych okazjach. Palily się nad nim kandelabry, a dokoła stały krzesła o wysokich poręczach. W obszernej wnęce, z oknem wychodzącym na ogród, stał mniejszy stół, nakryty na sześć osób. Tutaj mieli jeść kolację.

Usiadłszy skromnie przy stole musiał Clyde odpowiadać na pytania, dotyczące się głównie jego rodziny. Jakie wiedli życie dawniej, jakie teraz, ile lat ma ojciec, ile matka, gdzie zamieszkiwali, zanim wyprowadzili się do Denver, ile ma rodzeństwa, ile lat ma starsza siostra, co robi? A reszta rodzeństwa? Czy ojciec zadowolony jest z prowadzenia hotelu? Co właściwie ojciec porabiał w Kansas City? Jak długo tam jego rodzina mieszkała?

Clyde czuł się zaambarasowany tyloma pytaniami, które zadawali mu oboje stryjostwo. Odpowiadał zająkliwie, z wahaniem, szczególnie, gdy miał mówić o sposobie życia rodziców w Kansas City. I stryj, i stryjenka zauważyli, że niektóre pytania dziwnie go kłopotaly. Gdy spytali się na przykład: - Zaczęłeś więc pracować w Kansas City w hotelu pewnie po ukończeniu szkoły?

Clyde zaczerwienił się mocno, gdyż natychmiast przyszedł mu na myśl ukradziony samochód, a przy tym przypomniał sobie, że w ogóle miał niewiele do czynienia ze szkołą. Z rozkoszą zapomniałby o całym Kansas City i hotelu Green-Davidson.

Ale na szczęście drzwi się otworzyły i weszła Bella w towarzystwie dwóch panien, ach, tak eleganckich, że nie ulegało żadnej wątpliwości, że należały do elity towarzyskiej. Cóż za różnica między nimi a Ritą lub Zellą, które niedawno jeszcze wywoływały tyle niepokojących myśli. Nie wiedział oczywiście, która z nich jest Bellą, dopóki nie zaczęła rozmawiać z rodzicami.

Druga panna była to Sandra Finchley, tak często wspomnianą przez Bellę. Elegancka, śliczna, wspaniała i taka inna. Zaledwie podniósł na nią oczy, dojrzał jej wyższość nad innymi i odrębność. Ubrana była w obcisły kostium, który doskonale uwydatniał jej kształtną figurę. Podwyższał ją mały, ciemny, skórzany kapelusik, głęboko wciśnięty na oczy. Skórzany pasek tego samego koloru otaczał jej szyję. Na ramieniu prowadziła francuskiego buldoga, a na ramię miała zarzucony osobliwy płaszcz w czarną i szarą kratę. Nie raził niczym, ale przypominał zupełnie płaszcz męski.

Wydała się Clyde'owi niesłychanie czarującą kobietą. Jeszcze nigdy takiej nie widział. Wrażenie było piorunujące, elektryzujące, wywołało dreszcz niedoścignętego pożądania, pragnienie zdobycia a zarazem gorycz zalała serce, że nie jest stworzony po to, żeby zdobyć choć jedno jej spojrzenie. Widok jej sprawiał męczarnię, burzył krew. W jednej i tej samej chwili chciałby zamknąć oczy i usunąć ją z pola widzenia, a jednocześnie patrzeć na nią bezustannie. Urok jej uwięził jego zmysły i serce.

Nie wiadomo, czy go zauważyła, bo zawołała w tej chwili do psa:

- No, Bissel, jeżeli nie będziesz spokojnie się zachowywał, wyrzucę cię za drzwi i każę tam uwiązać. Ach, nie wiem doprawdy, czy będę mogła zostać, jeżeli to psisko się nie uspokoi.

Bissel zobaczył kota w mieszkaniu i wyrywał się do niego.

Obok stała jeszcze jedna panna, na którą Clyde niewielką zwrócił uwagę, chociaż była równie elegancka jak Sandra i może nawet tak samo urocza. Miała główkę o jasnych blond lokach, szarozielone, czyste, w kształcie migdału oczy, szczupłą, wdzięczną kocią figurkę, i giętkie, kocie ruchy. Wszedłszy chyłkiem przeszła koło stołu, przystanęła koło pani Griffiths i zaczęła mruzczyć:

- Dzień dobry pani. Tak dawno nie widziałyśmy się, prawda? Ale wyjeżdżałyśmy z mamą. Dziś mama z Grantem znów wyjechała do Albany, a ja chcę zabrać Bellę i Sandrę do Lambertów. Widzę, że państwo jecie kolację w ścisłym kółku domowym? Jak się masz, Myro?

- zawołała i przechyliwszy się za plecami pani Griffiths dotknęła ramienia Myro od niechcienia i niedbale się z nią przywitała.

Tymczasem Bella, która po Sandrze wydała się Clyde'owi najładniejszą ze wszystkich trzech, zawołała:

- Spóźniłam się! Bardzo przepraszam mateczkę i ciebie, tatuśku! - A spostrzegłszy Clyde'a, który wstał zaraz, gdy weszły, zamilkła robiąc zabawnie skromną minkę. A Clyde, wrażliwy niezmiernie na piękno i otoczenie, drżał wewnątrz czując własną niższość, gdy tak stał czekając na przedstawienie go pannom. Słabość jego do Hortensji Briggs, nie mówiąc już o Ricie, wypływała jedynie z nadmiernej wrodzonej wrażliwości. Działy nań zewnętrzne cechy bez względu na swe moralne wartości.

- Bella - odezwał się pan Samuel widząc, że Clyde jeszcze stoi - twój kuzyn, Clyde.

- Ach, dobry wieczór- odpowiedziała Bella zauważywszy ze zdumieniem niezwykle podobieństwo do Gilberta. - Właśnie mama

mówiła, że pan się do nas wybierał któregoś dnia.

Wyciągnęła do niego palce i zwróciła się do przyjaciółek:

- Moje przyjaciółki - panna Finchley, panna Cranston, pan Griffiths.

Obie panny skłoniły się sztywno, ceremonialnie, wpatrując się uważnie w Clyde'a.

- Jakżeż on jest podobny do Gilberta, prawda? - szepnęła Sandra do Bertiny, która już stanęła przy niej.

- Niczego podobnego nigdy nie widziałam. A nawet przystojniejszy od niego, o wiele - odszepnęła jej Bertina.

- Sandra skinęła głową, zadowolona, że jest przystojniejszy od brata Belli, którego nie lubiła, a następnie z przyjemnością skonstatowała, że uczyniła na nim silne wrażenie, co było w zupełnym porządku, bo przyzwyczajona była do tego, że każdego młodego człowieka musiała wprzęgnąć do swego rydwanu. Stwierdziwszy to z zadowoleniem spostrzegła, że Clyde oczu nie odrywa od niej, wpatrując się uporczywie i beznadziejnie. Doszła tedy do wniosku, że nie warto dłużej zaprzętać sobie nim głowy, przynajmniej na razie. Jest zbyt łatwy.

Pani Griffiths nie spodziewała się tych odwiedzin. Zniecierpliwiła się lekko na Bellę, że przyprowadziła swe przyjaciółki właśnie wtedy, gdy Clyde stawiał pierwsze swe kroki na arenie towarzyskiej, i odezwała się:

- Może byście rozebrały się i usiadły? Nadina zaraz poda deser. Bella, usiądź przy ojcu.

- Ależ nie, dziękujemy...

- Nie, naprawdę, przecież idziemy zaraz do domu... Nie możemy zostać ani chwilki - wymawiały się panny. Ale że Clyde był tak przystojny, chciały się dowiedzieć, jakie jeszcze posiada zalety

towarzyskie. Gilbert Griffiths nie był popularny w ich gronie, chociaż Belle bardzo lubiły. Był dla nich zbyt zarozumiały, zbyt agresywny, a czasami wzgardliwy. A Clyde, jeśli można sądzić z pozoru, wydaje się dobrym materiałem. Trzeba by na razie dowiedzieć się, czy należy do ich sfery i czy warto poznać się z nim bliżej. W każdym razie należy przekonać się, jaki jest jego stan majątkowy.

Na te nie sformułowane pytania odpowiedziała zaraz pani Griffiths, która z pewną intencją oznajmiła:

- Właśnie bratanek mego męża przybył dowiedzieć się, czy nie znalazłoby się dla niego miejsce w naszych warsztatach. Jest to młodzieniec, który własnymi siłami idzie przez życie, więc mój mąż z wielką chęcią poda mu pomocną rękę.

Clyde zaczerwienił się zrozumiawszy, że uwaga ta podkreślała dobitnie niższe jego stanowisko w rodzinie Griffithsów. Widział również, że spojrzenie Bertiny, nacechowane ciekawością, zubożyło od razu. Pannę tę zajmowali tylko tacy młodzi ludzie, którzy mieli majątek i stanowisko. Sandra Finchley, równie praktyczna jak jej przyjaciółka, jakkolwiek może nie potrzebowała myśleć o tym, gdyż była i bardzo piękna, i rodzice jej byli o wiele bogatsi, popatrzyła na Clyde'a wzrokiem, w którym wyraźnie odbijała się myśl: - To niedobrze! A szkoda, bo taki ładny!

Pani Griffiths nie lubiła Sandry uważając ją za podstępą i przebiegłą, ale pan Samuel miał do niej wielką słabość, więc zwrócił się do dziewczyny:

- Moja panienko, uwiąż psa do nogi u krzesła i chodź, przysiadź się do mnie. Rzuć płaszcz na krzesło. Tu jest miejsce dla ciebie.

- Ależ nie mogę, wujku Samuelu - broniła się Sandra, poufale i słodko uśmiechając się do niego, wdzięczna za to wyróżnienie. - I tak już się spóźnimy. - A i Bissel nie będzie chciał. Musimy z Bertiną już iść do domu, naprawdę.

- Ale, tatuśku - wtrąciła Bella - koniowi Bertiny wlażł wczoraj gwoździć w kopyto i dzisiaj kuleje. A tu ani Granta, ani ojca nie ma w domu. Chciała się dowiedzieć, czybyś jej coś na to nie poradził.

- A która noga? - spytał pan Samuel, zainteresowany.

Clyde tymczasem, na ile tylko mógł, przyglądał się Sandrze bez przerwy. Była prześliczna! Ten nosek taki delikatny, trochę garbaty, ta górna warga tak szelmowsko wygięta ku górze!

- Lewa przednia. Wczoraj po południu wyjechałam na East Kingston. Jerry zgubił podkowę i musiała mu wejść drzazga czy coś podobnego, ale John nie umie jej wydobyć.

- Jechałaś na nim długo z tą drzazgą?

- Pewnie z osiem mil. Całą drogę powrotną.

- Każ więc Johnowi, żeby wysmarował nogę maścią, obandażował i zawołał weterynarza. Przyjdzie zaraz, jestem pewien.

Panny jakoś nie kwapiły się do wyjścia, a Clyde pozostawiony sobie, słuchał i podziwiał, jakie to rozkoszne życie prowadzą ci ludzie. Żadne z nich nie miało trosk. Zastanawiali się, jakie domy mają budować, omawiali zalety własnych koni, mówili o znajomych widzianych dzisiaj, o tym, dokąd pójda się bawić, co będą robić. I Gilbert, który przed chwilą ich opuścił, pojechał dokądś samochodem w towarzystwie młodych ludzi. I Bella zabawi się wesoło z tymi pannami, które również mieszkają w pałacach. A on, Clyde powlecze się do nędznego swego pokoiku u pani Cuppy, bo dokąd pójdzie? I musi mu wystarczyć piętnaście dolarów tygodniowo! Jutro rano wstanie, żeby udać się do wilgotnych podziemi, panny te zaś wstaną do nowych rozrywek. A jego rodzice mieszkają tam w Denver, w tym swoim hoteliku, przy misji, o której nawet nie śmie tutaj opowiadać.

Nagle obie panny zerwały się i stanowczo oświadczyły, że muszą już iść. I wyszły. Griffithsowie pozostali sami.

Po co on właściwie siedzi między nimi? - zastanawiał się Clyde. - W jakim celu? Nikomu na nim nie zależy. Stryjostwo, Bella, a może i Myra, dumni są, że spełnili dobry uczynek, że pozwolili mu zajrzeć w świat, do którego on nie należy i do którego nawet nie pasuje. Ubogi jest przecież. Może marzyć całe życie, lecz nie zbliży się nigdy do tych ślicznych panien... Czy znajdzie kiedy drogę, która by go zawiodła do tych sfer?

Zasępił się, oczy powlokły się chmurą smutku i wszyscy musieli to zauważyć. Ale z całego towarzystwa jedynie Myra odczuła jego osamotnienie i przygnębienie. Więc gdy wszyscy po kolacji przenieśli się do wielkiego salonu, zbliżyła się do Clyde'a mówiąc:

- Przypuszczam, że jeżeli będziesz tu dłużej, kuzynku, polubisz Lycurgus. Jest tu wiele ciekawych rzeczy do obejrzenia. Są jeziora i Adironacks, jakieś siedem mil stąd. A jak w lecie wyjedziemy do Greenwood, jestem pewna, że rodzice zaproszą cię na jakiś czas do nas.

Nie była tego pewna, lecz wiedziała, że Clyde'owi będzie miło to usłyszeć. Rozruszał się więc trochę przy niej i rozmawiał z nią dużo, nie zaniedbując również stryjostwa i Belli. Wreszcie o wpół do dziewiątej wstał przepaszając, że musi już iść, bo ma nazajutrz wstać wcześniej.

Pan Samuel odprowadził go do drzwi. Podobnie jak Myra, i stryj odczuł smutne położenie Clyde'a, który dzięki swym zaletom mógłby zaznać lepszej doli, a był dotychczas zaniedbywany i lekceważony przez wszystkich. Więc żegnając go dodał życzliwym tonem:

- Bardzo ładnie jest na dworze, prawda? Na Wykeagy Avenue nie znać jeszcze, że zbliża się wiosna, ale za parę tygodni - spojrzał pytającym wzrokiem w niebo i wciągnął kwietniowe powietrze - będziemy musieli wyjechać. Wszystkie te drzewa pokryją się kwiatami i zobaczysz, jak tu będzie pięknie. Dobranoc.

Uśmiechnął się do niego życzliwie i do duszy Clyde'a dotarło przeświadczenie, że mimo niechęci Gilberta nie jest może zupełnie

obojętny jego ojcu.

Rozdział XXX

Dni upływały, a chociaż ponownego zaproszenia od Griffithsów nie było, Clyde wyolbrzymiał w swych marzeniach doniosłość tej jedynej wizyty, obmyślał spotkanie z pięknymi pannami i wyobrażał sobie cudowną przygodę miłosną z którąś z nich. Ach, piękno tego świata! Tyle zbytku i ponęt, wręcz odmiennych od tych, w jakich dotychczas smakował! Dillard? Rita? Eh! nie istnieją już dla niego. Pożądał innych stosunków lub żadnych.

Starał się trzymać z dala od Dillarda, by stopniowo zrazić go do siebie. Udało mu się. Dillard z przekąsem nazywał go snobem, co właściwie mogłoby się do niego samego stosować, gdyby udało mu się zdobyć to, do czego dążył.

Czas jednak upływał, a Clyde bez przerwy tkwił na skąpej pensji przy prymitywnej pracy w podziemiach. Rozżalony zaczął przemyśliwać - nie, nie o powrocie do Rity czy Dillarda (nie mógł myśleć o nich bez niechęci) - lecz, żeby rzucić wszystko i powrócić do Chicago albo udać się do Nowego Jorku, gdzie - był tego pewien - uda mu się znaleźć miejsce w którymś z hoteli.

Ale jak gdyby los pragnął podsycić jego nadzieję i potwierdzić marzenia, zdarzyło się coś, co wzbudziło na nowo przekonanie, że nie wygasła dla niego życzliwość Griffithsów, jakkolwiek nie starali się podtrzymać z nim towarzyskich stosunków.

Pewnej soboty pan Samuel postanowił odbyć szczegółową inspekcję

swych warsztatów w towarzystwie Whiggama. Wszedłszy w południe do pralni ujrzał z zaskoczeniem Clyde'a w koszuli bez rękawów i roboczych spodniach, gdy moczył sztuki płótna. Jego bratanek przez te tygodnie wprawił się dostatecznie w swoją pracę. Pan Samuel patrzył z widoczną przykrością, pamiętał bowiem jego czystą i elegancką postać podczas wizyty w pałacu. Tak mu się wtedy podobał, tak wytwornie się prezentował. Przypomniawszy sobie, że i w Chicago, choć w liberii hotelowej, ujął go swym schludnym wyglądem. A tu? Ujrawszy na własne oczy chłopca, tak podobnego do Gilberta, przy pracy podrzędnej, ciężkiej, w roboczym, zniszczonym ubraniu, uczuł bolesne szarpnięcie serca. Przecież to jego bratanek! Ani chwili dłużej nie powinien tu przebywać... Pan Samuel, tak samo jak i jego syn, dbał nie tylko o honor nazwiska, lecz i o moralne stanowisko Griffithsów wobec własnych pracowników fabrycznych. Towarzysze jego pracy i wszyscy pracownicy mogą sądzić, że ten bogaty Griffiths umyślnie poniża swego krewnego...

Whiggamowi jednak ani słowa o tym nie powiedział. Poczekał na syna, który miał powrócić z zamiejskiej wycieczki, wezwał go w poniedziałek do siebie i odezwał się:

- W sobotę zrobiłem inspekcję w warsztatach i widziałem Clyde'a pracującego jeszcze w pralni.

- Więc co z tego? - spytał syn, zaciekawiony dlaczego ojciec mówi o Clydzie. - Przed nim też ludzie tam pracowali. I nikogo to nie bolało.

- Zgadza się z tym, ale żaden z tamtych nie był moim bratankiem. I żaden z nich nie wyglądał tak, jak on wygląda.

To najbardziej podrażniło Gilberta.

- To nie dla niego. Jeżeli w moich oczach wydaje się to niewłaściwe, cóż dopiero inni myślą sobie wiedząc, że jest twoim stryjecznym bratem, a moim bratankiem. Nikt o tym nie zapomni, bo zanadto jest podobny do ciebie. Nie wydawało mi się to tak straszne, dopóki go sam nie zobaczyłem. Nie sądzę, żeby to było rozsądne pozostawiać go dłużej w tym oddziale. Nie może tam

zostać. Trzeba go dać gdzie indziej, gdzie nie będzie wykonywał tak wstrętnej pracy.

Oczy mu pociemniały, brwi zmarszczył. Wspomnienie Clyde'a w obdartym ubraniu, ze strugami potu na czole, nie było miłe.

- Ależ ja przecie mówiłem ci o tym, papo - tłumaczył się Gilbert zaniepokojony, czując bowiem nieprzewyciężoną niechęć do Clyde'a chciał go tam jak najdłużej zatrzymać. - Nie wiem, czy znajdę dla niego od razu jakąś inną pracę, jeżeli nie usunę kogoś, komu bardziej zależy na utrzymaniu się na miejscu niż jemu. Przecież on nic nie umie, zaledwie tego trochę się nauczył.

- Czy nie chcesz, czy też nie możesz tego zrozumieć? - odrzekł ojciec, który wreszcie domyślił się, że syn musi być zazdrosny o Clyde'a i dlatego jest mu tak niechętny. - Nie jest to dla niego zajęcie i stanowczo nie chcę go tam dłużej trzymać. Był już tam dostatecznie długo. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś z mojej rodziny miał umniejszać to, co jest główną wartością - pracowitość, zdolności, energię i zdrowy rozsądek. To nie jest z pożytkiem dla interesu. A przede wszystkim jest to odpowiedzialność. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Rozumiem, ojczu.

- A więc zrób tak. Weź go od Whiggama i skieruj do innego oddziału, ale nie przy pracy warsztatowej ani ręcznej. To był błąd, że się go tam wsadziło na początek. Powinno się znaleźć dla niego jakieś nieodpowiedzialne stanowisko. Może być pomocnikiem czyimś, asystentem, powinien nosić przyzwoite ubranie i wyglądać jak człowiek. Stanowczo wymagam tego. Ile mu się teraz płaci?

- Piętnaście, zdaje się - odrzekł Gilbert z rezygnacją.

- Mało. Tym bardziej, że powinien dbać o siebie. Trzeba mu dać dwadzieścia pięć. Wiem, że to jest więcej, niż na to zasługuje, ale nic na to nie poradzę. Może to, co ma wystarcza mu teraz, ale wolę dać więcej. Nie chcę, żeby nas ktoś posądzał o złe

traktowanie.

- Dobrze, dobrze, ojcze. Nie denerwuj się tym - uspokajał Gilbert widząc, że ojciec irytuje się. - Ja nie jestem temu winien. Sam zgodziłeś się, gdym wspomniał o tym zajęciu. Ale zdaje mi się, że w tym względzie masz rację. Pozostaw to mnie. Wynajdę dla niego odpowiednie miejsce.

Kazał sprowadzić do siebie Whiggama rozważając, w jaki sposób całą tę sprawę przeprowadzić, żeby Clyde'a nie wbić zbyt w dumę. Niech sobie nie wyobraża, że go tutaj tak cenią. Trzeba to będzie tak urządzić, żeby uważał to za łaskę, nie zaś za wynagrodzenie jakichś zasług.

Whiggam dowiedziawszy się, o co chodzi, zamyślił się, podrapał się po głowie, wyszedł, powrócił i oznajmił, że ponieważ brak Clyde'owi wiadomości technicznych, może zostać pomocnikiem przy panu Liggetcie, który jest na piątym piętrze szefem pięciu szwalni. Należy do niego również niewielki oddział, nie mający nic wspólnego z techniką wytwórczości, który wymaga specjalnego nadzoru mężczyzny albo kobiety.

Była to stemplarnia, oddzielna sala przy szwalniach, gdzie z sal krawieckich przychodziło dziennie około siedemdziesięciu pięciu do stu tysięcy tuzinów skrojonych kołnierzyków, różnych fasonów i wymiarów. W oddziale tym dziewczęta, stosownie do notatek, przyczepionych do kołnierzyków, stemplowały odpowiednie nazwy i wymiary. Jedynym zajęciem nadzorcy, prócz utrzymywania porządku, było dogłądanie, aby praca szła nieprzerwanie naprzód. Prócz tego wszystkiego te ostemplowane kołnierzyki należało zapisać do księgi. Należało również uważać, czy ilość ostemplowanych przez każdą robotnicę kołnierzyków zgadza się z wymaganą od niej liczbą odpowiednią do jej płacy. W tym celu przy wejściu stało niewielkie biurko z rozmaitymi księgami, w których zapisywało się wymiary i fasony kołnierzy. Notatki krawców, odbierane przez pieczęciarki, oddawane były tuzinami nadzorcom i ci nakładali je na szpikulce. Była to bardzo nieskomplikowana praca, czasowo dawana młodym dziewczętom albo chłopcom, czasami starym, wysłużonym już pracownikom lub kobietom w średnim wieku.

Jednego tylko obawiał się Whiggam ze względu na Clyde'a w tym oddziale, o czym natychmiast powiedział Gilbertowi, że jako zbyt młody i niedoświadczony, może mimo najlepszych chęci nie wytrwać długo na tym stanowisku mając przy sobie tyle młodych dziewcząt, z których niejedna była bardzo powabna. Więc czy to przezornie powierzać takie zajęcie Clyde'owi, chłopcu tak młodemu i przystojnemu? Bo jeżeli nawet okaże się odporny na uroki, może jednak być mało stanowczy, zanadto pobłażliwy, dziewczęta będą chciały wykorzystać jego słabostki. Trudno by w takim wypadku utrzymać go na tym stanowisku. Ale cóż? Na razie nie ma żadnego wakującego miejsca. Po jakimś czasie zresztą będzie można go wziąć do wykańczalni. Może po jakimś czasie znajdzie się coś odpowiedniejszego.

Około trzeciej tego samego dnia posłano po Clyde'a, który przyszedłszy musiał czekać piętnaście minut na audiencję u Gilberta, co należało do jego metod. Wreszcie wprowadzono chłopca przed surowe oblicze kuzyna.

- Jakże tam idzie w pralni? - zapytał Gilbert chłodnym, inkwizytorskim tonem. A Clyde, zmieszany i przygnębiony jak zwykle w obecności swego brata stryjecznego, uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Tak samo jak dawniej. Nie narzekam. Dostyc lubię to zajęcie. Zdaje mi się, że już cokolwiek nauczyłem się...

- Zdaje się?

- No tak, nauczyłem się niektórych rzeczy, naturalnie - odrzekł Clyde czerwieniąc się lekko i czując w duszy głuchą urazę. Na twarzy jednak zachował grzeczny uśmiech, pełen wdzięczności.

- No, to już lepiej brzmi. Człowiek, który tam tak długo siedział, nie wie, czy się nauczył czego, czy nie... - Uznawszy jednak, że był trochę za surowy, złagodził nieco ton i dodał: - Ale nie po to wzywałem. Chodzi o co innego. Proszę mi powiedzieć, czy zajmował się pan kiedy kim innym, nie tylko sobą samym?

- Zdaje mi się, że niezupełnie dobrze rozumiem - odrzekł Clyde, który w zdenerwowaniu nie pojął należycie myśli Gilberta.

- Myślę o tym, czy pan kiedy dozorował jakich robotników? Czy był pan nadzorcą czy też pomocnikiem nadzorcy gdziekolwiek?

- Nie, proszę pana, nigdy nie byłem - odpowiedział Clyde, ale tak zdenerwowany, że prawie wybełkotał swą odpowiedź. Bo ton Gilberta był tak surowy, chłodny, wzgardliwy... Usłyszawszy wyraźnie postawione pytanie, zrozumiał, o co chodzi. Mimo mrożącego tonu i surowości Gilberta pojął, że chcą z niego zrobić nadzorcę... będzie doglądał robotników. Czuł łaskotanie w uszach i palcach, korzenie włosów poruszyły się.

- Ale widziałem, jak się to robi w klubach i hotelach - dodał nagle. - Zdaje mi się, że potrafiłbym to robić, gdyby mi na próbę dano to zajęcie.

Policzki nabrały barwy, oczy stały się przejrzyste.

- No, to nie to samo, wcale nie jest to samo - upierał się Gilbert ostro. - Widzieć a robić to zupełnie dwie różne rzeczy. Ktoś, nie mający wprawy, wyobraża sobie, że wiele rzeczy potrafi, ale jak przyjdzie co do czego, okazuje się, że nic nie umie. A to jest praca, która wymaga ludzi znających się na rzeczy.

Patrzył na Clyde'a ironicznym i krytycznym wzrokiem, a Clyde widząc, iż to za wcześnie cieszył się myślą, że rodzina pamięta o jego przyszłości, uspokoił się od razu. Twarz stała się blada jak zwykle, ogień w oczach przygasł.

- Tak, przypuszczam, że to może być prawda.

- W tym wypadku możesz pan nic nie przypuszczać! To coś nieznośnego mieć do czynienia z ludźmi, którzy nic nie rozumieją i ciągle tylko "przypuszczają"...

Był niesłychanie zirytowany tym, że musiał dać znów zajęcie temu kuzynowi, i nie mógł ukryć gniewu.

- Ma pan rację, rozumiem to - odezwał się Clyde pojednawczo, bo znowu zaczęła mu nadzieja świtać.

- Chwała Bogu. Mógłby pan stopniowo przechodzić wszystkie szczeble interesu, poczynawszy od oddziału, w którym pan pracuje od początku, gdyby już pan był technicznie wyszkolony. (Zdanie to przeraziło i sterroryzowało Clyde'a, który zaledwie zrozumiał, co miało ono znaczyć.) - Ale pragniemy dla pana uczynić coś więcej. Rozumiemy, że nie jest przyjemnie w tej pralni. ale wówczas nie dało się nic innego zrobić. - Bębnił palcami po biurku. - W tym celu wezwałem pana do siebie. Chciałem pomówić o zajęciu, jakie jest do objęcia w jednym z oddziałów i o którym myśleliśmy z ojcem, że mógłby pan je objąć, gdyby okazał się do tego zdatny. - Clyde uczuł się niesłychanie podniesiony na duchu. - Obaj z ojcem myśleliśmy ciągle, żeby uczynić coś dla pańskiej przyszłości, ale jak powiedziałem, brak panu praktyki w każdym kierunku i to nam utrudnia zamiary. Nie ma pan wykszolenia ani w handlowym, ani w przemysłowym kierunku i to podwójnie utrudnia. - Wytrzymał długą pauzę, żeby dać do zrozumienia Clyde'owi, że jest tu zawalidrogą. - Bo sprowadzając pana do nas, chcieliśmy mu dać możliwość wykonywania lepszej pracy. Zresztą nie możemy pana trzymać w nieskończoność w pralni. Jest tu pewne zajęcie, o którym chciałem z panem pomówić.

Zaczął objaśniać, na czym polega praca na piątym piętrze.

Potem posłał po Whiggama, który wchodząc uklonił się i Clyde'owi, co z niechęcią Gilbert zauważył.

- Whiggam, mówiłem właśnie z kuzynem o projekcie umieszczenia go na czele stemplarni. Więc proszę zaprowadzić go do pana Liggetta i wytłumaczyć, jaki jest to rodzaj pracy. Będę wam bardzo wdzięczny. - Wrócił do biurka. - A potem proszę jeszcze tu powrócić. Mam parę słów do powiedzenia.

Pożegnał ich wyniośle. Whiggam miał wielkie wątpliwości, czy uda się ten eksperyment, ale że bardzo pragnął pozyskać sobie Clyde'a, zaprowadził go do Liggetta.

Wśród ogłuszającego huku i stuku maszyn przeszedł Clyde do niedużej sali oddzielonej od wielkiej hali maszyn niską balustradą. Pracowało tam przeszło dwadzieścia pięć dziewcząt. Kilka kobiet wchodziło co chwila z koszami, które napełniały kołnierzami, płynącymi nieustannym strumieniem z wyższego piętra.

Gdy Clyde został przedstawiony panu Liggettowi, zaprowadzono go do oddzielnie stojącego biurka, przy którym siedziała krępa, tęga dziewczyna, niezbyt pociągającej powierzchowności. Gdy się zbliżyli, wstała ze swego miejsca.

- To jest panna Todd - odezwał się Whiggam - która objęła ten obowiązek przed dziesięciu dniami w zastępstwie chorej pani Angier. Życzyłbym sobie, panno Todd, żeby pani możliwie szybko i dokładnie wyjaśniła pana Griffithsa, co tu jest do roboty. A potem, gdy obejmie już to zajęcie, żeby pani została przy nim i udzielała mu wskazówek, dopóki nie zorientuje się w tym należycie, tak żeby mógł samodzielnie spełniać te prace. Zgadza się pani?

- Ależ naturalnie, panie Whiggam. Będzie mi bardzo miło! - zapewniała panna Todd i od razu odeszła od książek i zaczęła pokazywać Clyde'owi, jak się tu dostarcza kołnierze, jak się je stempluje, jak dziewczęta zbierają je w koszyki i rozdają pieczęciarkom w miarę potrzeby, jak po skończonej manipulacji inne dziewczęta odnoszą je do szwalni. Clyde, bardzo zaciekawiony, widział, że nie jest to nic trudnego, będzie mu tylko trochę dziwnie siedzieć między tyloma dziewczętami. Na tym piętrze było bardzo dużo kobiet, całe setki, które ciągle krążyły między białymi ścianami i białymi kolumnami. Olbrzymie okna, sięgające od podłogi do samego sufitu, światłem zalewały sale. Nie wszystkie dziewczęta były ładne. Spoglądał na nie spod oka, a panna Todd, Whiggam i sam Liggett starali się zgadywać jego myśli.

- Najważniejszą rzeczą jest - mówił Whiggam - żeby nie pomylić się w tych tysiącach tuzinów kołnierzy, jakie tu napływają i są stemplowane. Następnie trzeba uważać, żeby nie było zwłoki w stemplowaniu i odsyłaniu do szwalni oraz żeby wykazy pracy tych

dziewcząt były prowadzone akuratnie. Bo po jakimś czasie każdy błąd będzie ujawniony.

Clyde zrozumiał w końcu, czego od niego żądają. Był urażony, że mogą sądzić, iż nie potrafi spełnić takiej pracy, jaką wykonuje pospolita dziewczyna. Liggett i Whiggam zapewniali go również, że robota nie jest wcale trudna i na pewno da sobie radę.

Więc po chwili powrócił z Whiggamem do Gilberta, który zobaczywszy go wchodzącego zapytał:

- No cóż? Jakaż odpowiedź? Tak czy nie? Jakże się panu zdaje, czy potrafi wykonywać pan tę pracę czy nie?

- Wiem, że potrafię - odpowiedział Clyde z wielką odwagą, chociaż miał jeszcze pewne wątpliwości. Sądził jednak, że szczęście go nie opuści. Praca była dość skomplikowana, ale jakoś dotąd szczęście mu sprzyjało. Czy zechce nadal sprzyjać?...

- A więc dobrze. Siadaj pan na chwilę - mówił Gilbert. - Chciałem właśnie pomówić o tej pracy. Czy wydaje się panu łatwa?

- Nie, nie mogę powiedzieć, żeby na razie wydawała mi się łatwa - odpowiedział Clyde z wysiłkiem, zbladłszy nieco, bo nie zorientował się jeszcze dokładnie i zdawało mu się, że praca ta wymaga wiele zręczności i odwagi - ale w każdym razie zdaje mi się, że podołam... a nawet wiem na pewno, że podołam i chciałbym spróbować.

- Tak, to już lepiej brzmi - odrzekł Gilbert, bardziej łaskawym tonem. - Ale tu jeszcze o coś chodzi. Sądzę, że pan nie spodziewał się zobaczyć oddziałów tak zapelnionych kobietami?

- Rzeczywiście. Wiedziałem, że pracują w warsztatach, ale nie wiedziałem gdzie.

- Właśnie. Te oddziały są obsadzone kobietami od podziemi do samego poddasza. W rękodzielniczych oddziałach, mogę powiedzieć z zupełną pewnością, jest dziesięć kobiet na jednego mężczyznę. Z

tej racji każdą, która otrzymuje u nas stanowisko, musimy znać ze strony moralnej i religijnej. Gdyby pan nie był naszym krewnym i gdybyśmy nie wiedzieli już coś niecoś o panu, nie powierzylibyśmy panu takiego stanowiska. Należy dobrze poznać człowieka, zanim powierzy mu się tak odpowiedzialną robotę. Ale niech pan nie przypuszcza, że jako nasz krewny ujdzie pan naszej czujności. Pilnie czuwać będziemy nad pańskim postępowaniem, właśnie dlatego, że jest pan naszym kuzynem. Czy pan to pojmuje? Czy pan rozumie, że chodzi nam o nazwisko Griffithsów?

- Rozumiem - odrzekł Clyde.

- Doskonale! - ciągnął dalej Gilbert. - Zanim kogoś umieścimy na zwierzchniczym stanowisku, musimy być pewni, że ten ktoś będzie zachowywał się jak najbardziej po dżentelmeńsku, musimy być pewni, że kobiety u nas pracujące będą zawsze uprzejmie traktowane. Jeżeli młody człowiek czy nawet starszy mężczyzna, znalazłszy się na tym stanowisku, mając tyle kobiet dokoła siebie, będzie chciał pozwolić sobie na zabawę, na lekceważenie swych obowiązków, na flirty, zalecanki, niech będzie pewien, że nie zagości tu długo. Każdy mężczyzna czy kobieta, jeżeli pracuje u nas, musi przede wszystkim pamiętać, że jest pracownikiem naszym nie tylko w fabryce, lecz wszędzie, i dbać o swe zachowanie nawet na ulicy. Jeżeli wyłamie się z tego, jeżeli dojdzie naszych uszu jakaś niepochlebna pogłoska - skończona jego kariera. Nie chcemy takich trzymać u siebie i nie możemy ich trzymać. Żadne względy nie mogą mieć wtedy miejsca.

Zamilkł i wpatrzył się w Clyde'a, jakby chciał powiedzieć:

- Chyba zrozumiałeś, o co mi chodzi. Niech ci się nie zdaje, że będziemy się tobą krępowali.

- Zgadza się z tym zupełnie - odrzekł Clyde. - Uważam, że to słuszne. Zawsze myślałem, że tak powinno być.

- Tak musi być - poprawił Gilbert.

- Tak musi być - powtórzył za nim Clyde.

Przyznał zupełnie rację Gilbertowi. Czyż nie słyszał, jak łatwo dziewczęta fabryczne wchodzą na śliską drogę? Postanowił sobie z żadną z tych dziewcząt nie zawrzeć najłżejszego stosunku. Znając swe nienormalne prawie zainteresowanie płcią piękną postanowił nie zwracać w ogóle na nie uwagi, nigdy z nimi nie rozmawiać, trzymać się z daleka i chłodno, jak Gilbert z nim. Tak być musi, chociażby dlatego, żeby utrzymać się na tym miejscu. Musi utrzymać się na nim i dlatego będzie się prowadził według życzenia Gilberta.

- Chciałbym więc wreszcie wiedzieć - ciągnął dalej Gilbert - czy powierzając panu to stanowisko mogę panu zaufać? Czy będzie pan rozumiał całą odpowiedzialność i nie zawróci sobie głowy tym, że pracuje między tyloma dziewczętami?

- Tak proszę pana, mogę to przyrzec - odpowiedział Clyde, na którym zrobiło wrażenie tak kategorycznie postawione pytanie, chociaż sam miał pewne wątpliwości po przygodzie z Ritą.

- Gdybym nawet nie chciał, musiałbym teraz to wszystko powiedzieć - trzymał się swej myśli Gilbert. - Jest pan naszej krwi i członkiem naszej rodziny. A na swym stanowisku pomaga nam i nas reprezentuje. Trudno nam będzie coś dalej czynić dla pana, jeżeli teraz zawiedzie nasze zaufanie. Więc pragnę, aby pan zważał na siebie, na każdy swój krok. Najdrobniejszy błąd z pańskiej strony będzie przez każdego komentowany niekorzystnie. Pojmuje pan?

- Pojmuję - odparł Clyde uroczyście. - Będę postępował należycie albo stąd odejdę.

W tej chwili zupełnie poważnie obiecywał sobie i czuł się na siłach dotrzymać tej obietnicy. Liczne rzesze robotnic wydały mu się bardzo odległe i nie mające z nim nic wspólnego.

- Bardzo dobrze. Teraz jeszcze chcę coś innego panu powiedzieć. Proszę już nie wracać do swej roboty, tylko iść do domu, położyć się wcześniej spać i pomyśleć dobrze nad tym wszystkim. Jeżeli do jutra nie zmieni pan swego postanowienia, proszę się stawić do nowej pracy. Od dzisiaj będzie pan brał dwadzieścia pięć dolarów

tygodniowo, proszę więc ubierać się przyzwoicie, żeby pan mógł być wzorem dla innych urzędników.

Podniósł się z godnością, chłodnym, obcym spojrzeniem obrzucając Clyde'a, lecz ten usłyszawszy o podniesieniu pensji i nakazie przyzwoitego ubierania się, poczuł prawdziwą wdzięczność i życzliwość dla kuzyna. To prawda, że jest chłodny, surowy i pyszny, ale z pewnością troszczy się o niego tak samo jak i jego ojciec, bo przecie nie zrobiłby tyle dla niego i to w tak krótkim czasie. A jeżeli kiedykolwiek wreszcie przekona się do niego, jakże Clyde daleko tu zająć może, ileż zaszczytów może spaść na niego?

Tak był tym podniecony, że wyszedł śpiesznie rześkim krokiem, zdecydowany, że przekona ich wszystkich o swej wartości i nie zawiedzie zaufania stryja i Gilberta. Będzie zawsze chłodny, lodowaty nawet, surowy w miarę potrzeby, zwłaszcza tam, gdzie będzie miał do czynienia z kobietami. Żadnych stosunków z Dillardem ani z Ritą, ani z nikim podobnym.

Tom 2

Zbrodnia

Rozdział I

To nie byle co dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo! I stanowisko przełożonego nad dwudziestoma pięcioma robotnikami!... I możliwość przywdziania znów przyzwoitego ubrania!

Siedzi sobie przy urzędniczym biurku i z zadowoleniem myśli, że po dwumiesięcznej, wstrętnej pracy jest już wreszcie kimś, jakąś odpowiedzialną figurą w tej olbrzymiej instytucji. A dzięki swemu pokrewieństwu i nowej godności Whiggam i Liggett krążą ciągle koło niego nie szczędząc rad i przyjaznych uwag. Kierownicy innych oddziałów przechodząc tędy wstępują także, by go pozdrowić.

Ażeby poznać szczegóły swej pracy, musiał Clyde rozejrzeć się po wszystkich warsztatach, zbadać cały tok pracy i powiązań, dowiedzieć się na przykład, skąd przychodziły ogromne paki bawełny i przędzy, jak się krajało materiał w olbrzymiej, specjalnie do tego przeznaczonej hali, gdzie pracowało setki dobrze wynagradzanych krawców. Obejrzał wydział doraźnej pomocy, biuro lekarza fabrycznego, szpital dla robotników, specjalną stołówkę w głównym budynku, gdzie jadali tylko urzędnicy i gdzie on, będąc odpowiedzialnym szefem oddziału, mógłby również jadać, jeśliby chciał. Dowiedział się również, że o parę mil od Lycurgus, obok wioski Van Troup nad Mohawkim, był klub fabryczny do którego należała większość urzędników z różnych fabryk, lecz niestety dowiedział się także, że Griffiths Company nie życzyła sobie, żeby jej urzędnicy mieli styczność z urzędnikami innych fabryk i z tej przyczyny bardzo niewielu tutejszych pracowników należało do tego klubu. Ale, jak twierdził Liggett, Clyde, jako należący do rodziny Griffithsów, mógłby chyba pozwolić sobie na to. On jednak, pomny surowych napomnień Gilberta o związkach krwi, postanowił trzymać się od tego z daleka.

Zawsze był uśmiechnięty i uprzejmy dla wszystkich, czuł się jednak bardziej osamotniony niż kiedykolwiek w życiu, zwłaszcza w soboty i niedziele. Ażeby uniknąć towarzystwa Dillarda lub jemu podobnych, a przypuszczając, że stryj z tego będzie zadowolony, zaczął bywać w głównym kościele prezbiteriańskim, w którym, jak się przypadkiem dowiedział, bywała i jego rodzina. Nigdy jednak nie spotkał się tam z nimi, gdyż od czerwca do września ojciec z

synem spędzali swoje weekendy nad jeziorem Greenwood, dokąd zwykle wyjeżdżała na lato większość przedstawicieli sfer towarzyskich.

W lecie życie towarzyskie w Lycurgus prawie zamarło. Nic szczególnego nie działo się w mieście, chociaż jeszcze w maju odbywały się różne zabawy u Griffithsów i ich znajomych, o czym Clyde czytał w dziennikach albo z daleka je oglądał: przyjęcie z tańcami w Snedeker-School, gdzie uczyła się Bella, a potem zabawa ogrodowa u Griffithsów i wtedy w jednej części parku była zawieszona pasiasta markiza i chińskie latarnie między drzewami. Clyde zobaczył to przypadkiem, przechadzając się samotnie po mieście. Myślał potem wiele o poważaniu, jakim cieszy się tu jego rodzina, o tym, że i on także do nich należy i o tym, że oni dając mu przyzwoite zajęcie wykreślili go ze swej pamięci. Sprawuje się tymczasem dobrze, może więc później pomyśla o nim znowu.

W jakiś czas potem przeczytał w "Star", że w czerwcu odbędzie się doroczne międzymiastowe samochodowe corso kwiatowe o współzawodnictwo miast: Fonda, Gloversville, Amsterdam, Schenectady i Lycurgus. W tym roku miało się właśnie odbyć w Lycurgus i było ostatnią zabawą towarzyską przed doroczną ucieczką w góry i nad jeziora, dokąd zwykle każdy wyjeżdżał, kto miał na to. Wśród walczących o honor miasta Lycurgus wymieniano nazwiska Belli, Bertiny, Sandry i Gilberta. Dowiedziawszy się o tym Clyde włożył najlepszy garnitur, chociaż pragnął pozostać nie widziany w tłumie pospolitych widzów, i wtedy po raz drugi ujrzał pannę, która go tak oczarowała od pierwszego wejrzenia. Jechała łodzią na białym strumieniu z róż i prowadziła swój statek wiosłem pokrytym żółtymi narcyzami, co miało ilustrować pewną indiańską legendę o rzece Mohawk. Na ciemnych włosach miała opaskę z piór żółtych i brązowych w kształcie indiańskiego diademu. Była tak czarująca, że nie tylko zdobyła nagrodę, lecz na nowo podbiła Clyde'a. Jakież wspaniałe życie prowadzą wszyscy w tym świecie!

Widział również Gilberta, który towarzyszył bardzo ładnej paninie, prowadzącej jedną z czterech ukwieconych tratw, przedstawiających cztery pory roku. Ich tratwa przedstawiała zimę, więc dama ta miała na sobie gronostaje, a białe róże służyły za śnieżyste tło.

Za nią płynęła wiosna, którą reprezentowała Bella, owinięta w przejrzyste zasłony i leżała przy wodospadzie z ciemnych fiołków. Efekt był niesłychany. Zrodził w głębi duszy Clyde'a pragnienie miłości, radości życia, przygód romantycznych, wszystkiego, co jest tak miłe, a jednocześnie bolesne. Może jednak powinien był zatrzymać przy sobie Ritę...

Prowadził życie takie samo jak dawniej, tylko nieco na szerszą skalę. Po otrzymaniu wyższej pensji postanowił przede wszystkim zmienić mieszkanie. Musi wynająć lepszy pokój, niechby był dalej położony, lecz na elegantszej ulicy. W ten sposób zerwie wszelki kontakt z Dillardem. Stryj jednak dał dowód, że o nim pamięta, może więc kiedyś on sam albo Gilbert zechce wstąpić do niego: Jakże go przyjmie w tak nędznym pokoiku?

Więc dla utrzymania prestiżu wynajął pokój na jednej z lepszych ulic i w porządnym domu. Mieszkanie na Jefferson Avenue należało do wdowy po kierowniku fabrycznym, która żeby utrzymać mieszkanie, zbyt dla niej drogie, odnajmowała dwa pokoje bez utrzymania.

Pani Peyton, od dawna mieszkając w Lycurgus, wiedziała dużo o Griffithsach i od razu poznała Clyde'a z powodu jego podobieństwa do Gilberta. Bardzo się tym przejęła i oddała mu wyjątkowo ładny pokój za niską cenę pięciu dolarów tygodniowo. Oczywiście wynajął od razu.

Mimo tak pochopnie danej obietnicy Clyde samą mechaniczną pracą nie mógł zająć umysłu, nie mógł się powstrzymać, żeby nie myśleć o dziewczętach, wśród których było wiele bardzo ładnych. Nadchodziło lato, był koniec czerwca, w monotonnym wirze pracy w popołudniowych godzinach osiadało na wszystkich jakieś zubożenie graniczące z lenistwem, czasami prawie zmysłowym i rozpełzało się po kątach. Było tam tyle kobiet tak odmiennych typów i usposobień; z dala od mężczyzn, pozbawione przyjemności i jakiegokolwiek wytchnienia, przebywały tylko z Clyde'em. Powietrze panowało ciężkie i fizycznie osłabiające, tylko przez otwarte okna można było napić oczy widokiem toczącej z pluskiem swe fale rzeki, jej brzegów obrośniętych zieloną murawą i łączek, ocienionych drzewami. Dawało to obraz rozkoszy, którą można by

osiągnąć położywszy się beczynn timer na brzegu. Praca ich była tak mechaniczna, że dozwalała myślom zatapiać się w przeczuwanych rozkoszach. Myślały więc te dziewczęta najczęściej jedne o drugich, a także o tym, co by robiły, gdyby nie były zaprzęzione do tak ciężkiej pracy.

Żywe i namiętne, skłonne były utrwalić swe pożądanieria w najbliższym obiekcie. A że Clyde był jedynym przedstawicielem płci męskiej, a przy tym tak pięknie ubranym, dziewczęta przeważnie myślały o nim. Opowiadały sobie najbardziej fantastyczne komentarze o pokrewieństwie z Griffithsami i podobieństwie do Gilberta, dowiadywały się, gdzie i jak mieszka i czy ma jakąś dziewczynę. On zaś w chwilach, gdy rady Gilberta ulatywały mu z głowy, też myślał o nich, a przynajmniej o niektórych z nich. Nie były to myśli idealne i platonicezne.

Mimo obietnicy danej Gilbertowi i odsunięcia od siebie Rity, a może właśnie dlatego, zainteresował się głównie trzema dziewczętami, przedstawicielkami trzech odmiennych typów.

Cała trójka tych sympatycznych, godnych pożądanieria dziewcząt uznała Clyde'a za bardzo pięknego. Roza Nikoforycz, z pochodzenia Rosjanka, wielka, jasna, pierwotna, z marzącymi ciemnymi oczyma, dużym orlim nosem, wyraźnie Ignęła do niego. Lecz Clyde postępował z taką rezerwą, że zaledwie ośmielała się o nim myśleć. Bo dla niej ten piękny chłopiec, z włosami gładko rozdzielonymi, w jasnej koszuli, której rękawy z powodu gorąca miał zawinięte po łokcie, był zbyt wielką doskonałością, żeby miał być realny. Podziwiała jego ślicznie błyszczące buty, elegancko zapięty, czarny, skórzany pasek i luźno związany krawat.

Była tam również Marta Bordaloue, zwawa Kanadyjka, Francuzka z pochodzenia, zgrabna, okrągłutka, z czerwonożłotymi włosami, zielonkawymi oczyma, różową buzią i pulchnymi niewielkimi rączkami. Głupiutka, namiętna, widziała w Clydzie mężczyznę, któremu gotowa była się oddać w każdej chwili. Z usposobienia chytra i dzika, całą swą niepohamowaną nienawiść przelewała na te koleżanki, które przypuszczalnie mogłyby się kochać w Clydzie. Dlatego też serdecznie nie cierpiała Rozy. Widziała nieraz, jak

Roza, niby niechcący, ocierała się o Clyde'a, ilekroć przechodziła obok niego. Sama jednak zawsze szukała znanych jej dobrze sposobów, by zwrócić na siebie uwagę. Bluzka zawsze była rozchylona i odsłaniała pierś, spódniczka, podczas pracy podniesiona ponad kolana, okrągłe ramiona obnażone po same pachy. Niechże wie, że jest warta grzechu. A te żalosne westchnienia i tęskne spojrzenia przy każdym zbliżeniu...

Oburzona Roza wołała wtedy:

- Małpa francuska! Sądzi, że spojrzysz na nią! Patrzcie ją!

Chętnie by ją wytlukła.

Była jeszcze krępa, wesola Flora Brandt, pochodząca z najuboższych sfer amerykańskich, o grubych, mimo to ponętnych rysach, czarnych włosach, wielkich, marzących, ciężkimi powiekami przysłoniętych oczach, orlim nosie, pełnych, zmysłowych, pięknych ustach i figurze nie pozbawionej wdzięku. Od chwili, gdy się tu zjawił Clyde, patrzyła na niego wzrokiem, który mówił:

- Jakże, nie zauważasz wcale, że jestem ładna? - A czasami spojrzenie jej pytało: - Długo jeszcze nie będziesz zwracał na mnie uwagi? Niejeden chłopiec byłby nie wiem jak szczęśliwy, gdyby był na twoim miejscu.

Wobec tych wyraźnie pożądanym go dziewcząt Clyde'owi czasami przychodziło do głowy, że mógłby nie krępować się niczym. Były to bowiem pospolite istoty, odpowiedzialne za siebie, nie zwracające niczyjej uwagi, więc bez obawy wyśledzenia go miał możliwość zabawić się z którąś z nich, a nawet z trzema po kolei, gdyby go już skusiły do tego stopnia i jeśli by udało mu się wpoić w nie przekonanie, że czyni tym wielką łaskę. Sądząc po ich zachowaniu był pewien, że gotowe były zgodzić się na wszystko, nawet na porzucenie ich po pewnym czasie, co musiałby uczynić ze względu na swe stanowisko. Ponieważ jednak dał słowo Gilbertowi, nie miał na razie ochoty go łamać. Nie potrafił jednak zapanować nad podobnymi myślami, zwłaszcza gdy sytuacja stawała się trudna, prawie nie do zniesienia. Usposobienie miał zapalne i roznamiętniał się na widok

piękna kobiecego. Niełatwo mu przychodziło poskramiać wzburzone zmysły. Za wiele było pokus w czasie tych gorących, omdlewających letnich dni, kiedy czekał nań pusty, samotny pokój, a w nim nie było żadnej przyjaznej duszy. Trudno mu było czasami nie zbliżyć się do jednej z tych kusiołek, chociaż (co było u niego osobliwe) pozostawał zawsze wyniosły i chłodny na ich spojrzenia i umizgi nie zawsze dyskretne.

W tym czasie w warsztatach nastąpiło zwiększenie obstalunków, skutkiem czego trzeba było zwiększyć personel. Clyde przy pomocy Whiggama i Liggetta musiał przyjąć kilka dziewcząt na praktykantki, które za bardzo niską płacę wprawiały się w pracę, a z czasem, opanowawszy technikę, dochodziły do większych zarobków i stawały się wykwalifikowanymi robotnicami. Zwykle w warsztatach było wiele takich praktykantek. W razie zmniejszenia produkcji usuwano praktykantki i zawieszano ogłoszenie: "Nie przyjmuje się na praktykę".

Ponieważ Clyde względnie niedawno pracował i nigdy sam nie przyjmował ani nie oddalał pracowników, ustalono, że wszystkie kandydatki będą naprzód egzaminowane przez Liggetta, który oprócz tego poszukiwał nadetatowych krawców i krawczyń. Te siły, które były odpowiednie na pieczęciarki, odsyłało do Clyde'a, a żeby przyjął je na próbę. Przedtem jednak Liggett obszernie wytłumaczył Clyde'owi, że w przyjmowaniu i odprawianiu pracowników jest pewien system. Nie powinno się przede wszystkim pozwolić na to, żeby robotnik, chociażby jak najlepiej pracował, miał przekonanie, że jest dobrym pracownikiem. Wolno mu myśleć, że jest zaledwie średnim, dopóki nie nabierze rutyny. Instytucja na tym korzysta, a pracownik staje się dobrym fachowcem. Przy tym systemie można przyjmować tyle dziewcząt, ile wymagają okoliczności, a w razie spadku produkcji usuwać je ze spokojem. Jeżeli zaś między tymi nowicjuszkami znajdzie się jakaś lepsza siła, należy ją zatrzymać usuwając natomiast mniej nadającą się lub odsyłając do innego oddziału, aby zrobić miejsce dla nowej siły i świeżej energii.

A więc po decyzji powiększenia personelu Liggett przyprowadzał do Clyde'a dziewczyny jedną po drugiej prezentując je w ten sposób:

- Może by ta panienka zdała się dla pana. Nazywa się panna Tyndal.
Może ją pan weźmie na próbę.

Albo: - Niech się pan przekona, czy ta panienka przyda się nam na co.

A Clyde po zadaniu szeregu pytań, gdzie dotychczas pracowała, w czym się kwalifikowała, czy mieszka przy rodzinie, czy sama (samotne panny nie były pożądane u Griffithsów), musiał wytłumaczyć, jaką tu będzie miała robotę, jakie otrzyma wynagrodzenie, potem wzywał pannę Todd, która zabierała kandydatkę do szatni, gdzie stały szafki z ubraniami, potem do stołu i pokazywała, na czym polega jej robota. Wówczas należało już tylko do Clyde'a i do panny Todd orzec, czy kandydatka dobrze tę pracę wykonuje i czy można ją zatrzymać.

Z wyjątkiem tych trzech dziewcząt, do których go zmysły pociągały, Clyde'owi dotąd niezbyt się podobał typ dziewczyny-robotnicy. Przeważnie były to nieinteligentne i ciężkie dziewczyny i niejednokrotnie zapytywał siebie, czy nie istnieje typ bardziej do ludzi podobnej istoty. Czyż to jest niemożliwe? Przeważnie miały wielkie ręce, szerokie twarze, ciężkie uda i grube łydki. Niektóre z nich mówiły okropnym akcentem. A wszystkie pragnęły złapać "chłopaka", chodzić z nim na tańce, a nawet pozwolić na coś więcej. Clyde zauważył, że typ amerykański przedstawia się o wiele korzystniej. Delikatniejszy, bardziej nerwowy, przeważnie szczupły, a pod względem moralnym bardziej przestrzegający zasad i religijny. Dzięki tym przymiotom dziewczęta nie zawierały łatwych przyjaźni, a tym bardziej z mężczyznami, przynajmniej pozornie.

Wśród tych praktykantek, które stawały przed nim w ciągu kilku dni z rzędu, znalazła się jedna, która zainteresowała Clyde'a bardziej niż inne. Wydawała się inteligentniejsza i sympatyczniejsza, bardziej sprytna, nie mniej energiczna, a posiadająca dużo więcej wdzięku. Wyróżniała się na pierwszy rzut oka tym wdziękiem, znać w niej było spryt i zamiłowanie do pracy, a prócz tego pewność siebie i determinację. Przyznała się jednak, że nie miała żadnych do tej pracy kwalifikacji i nie była wcale pewna, czy podoła

nowemu zadaniu.

Nazywała się Roberta Alden, pracowała poprzednio w warsztatach pończosznich w mieście Trippetts Mills o pięćdziesiąt mil od Lycurgus. Nosiła mały brązowy kapelusik, nie bardzo świeży, wciśnięty głęboko na oczy, twarzyczkę miała drobną, ładną, o regularnych rysach, otoczoną nimbem jasnych, lśniących włosów. Oczy przeźrocyste, szarobłękitne. Ubrana była w pospolitą sukienkę, buciki nienowe i bardzo solidnie podzielowane. Wyglądała na poważną i praktyczną i tak była pociągająca, tak ochocza, energiczna i ożywiona, że Clyde wraz z Liggettem, który pierwszy się z nią rozmówił, zdecydowali, że należy ją przyjąć. Najwyraźniej pod każdym względem przerastała wszystkie te dziewczęta. Z ciekawością przyglądał się jej Clyde podczas rozmowy, tak wydała mu się skupiona, trochę zmieszana, jakby ten egzamin był dla niej ciężkim przeżyciem.

Opowiedziała przy tym, że mieszkała z rodzicami koło miasta Biltz, ale teraz mieszka u znajomych. Mówiła szczerze, z taką prostotą, że Clyde był tym ujęty i bardzo pragnął jej dopomóc. Tylko wątpił, czy ta praca jest dla niej odpowiednia. Oczy jej ciekawie i inteligentnie patrzyły na świat, usta, nosek, uszy, ręce były małe i ładne.

- Będzie więc pani mieszkała w Lycurgus, jeżeli otrzyma pani tu pracę? - zapytał pragnąc przedłużyć rozmowę.

- Tak - odpowiedziała patrząc mu prosto w oczy.

- Poproszę jeszcze raz o nazwisko. - Wyciągnął spis nazwisk.

- Roberta Alden.

- A tutejszy adres?

- Taylor Street 228.

- Nawet nie wiem, gdzie to jest - mówił, aby przeciągnąć rozmowę.

- I ja tu jestem od niedawna. - Sam się zdziwił, po co mówił o

sobie, więc dodał: - Nie wiem, czy pan Liggett objaśnił panią, jaką pani będzie miała robotę. Jest to stemplowanie kołnierzyków. Pokażę pani.

I zaprowadził ją do najbliższego stołu, gdzie stały pieczęciarki. Pozwolił jej przez chwilę przyglądać się robocie, a potem, nie wzywając panny Todd, wziął sam jeden z kołnierzy i objaśniał jej tak, jak to jemu kiedyś objaśniano.

Jednak wyraz ciekawości i skupienia, malujący się w jej wzroku, kiedy śledziła jego ruchy, powaga, z jaką przyjmowała jego objaśnienia, krępowały go trochę i poczuł się nieco zmieszany i nawet zdenerwowany. Było coś przenikliwego i badawczego w jej wzroku. Gdy jeszcze raz jej wytłumaczył, jak się oznacza gatunek i miarę, powiedziała, że pragnęłaby sama spróbować. Wezwał więc pannę Todd, która ją zabrała do szatni, aby tam zostawiła kapelusz i płaszcz. Zobaczył ją znowu, wracającą z szatni, z falą jasnych włosów nad czołem, z twarzą lekko zarumienioną, spojrzeniem poważnym i zaciekawionym. Za radą panny Todd zawiązała rękawy ukazując piękne ręce. Z jej ruchów Clyde mógł się domyślić, że chciała się okazać prędką w robocie i akuratną. Tak bardzo zależało jej na tym zajęciu.

Po pewnym czasie zbliżył się do niej i przyglądał, jak brała jeden po drugim kołnierzyki ze stosu ułożonego przy niej, stemplowała i odrzucała je na stronę. Robiła to szybko i starannie. Na sekundę odwróciła się ku niemu i uśmiechnęła niewinnym, radosnym uśmiechem. Zadowolony, przesłał jej podobny uśmiech.

- Sądzę, że niedługo się pani wprawi - odważył się znowu odezwać, tak bardzo pragnął, żeby pozostała. Ona zaś po raz drugi odwróciła się i uśmiechnęła. Clyde mimo woli drgnął cały. Od razu ją polubił, ale pomny obietnicy danej Gilbertowi, postanowił nie pozwalać sobie na żadne zbliżenia nawet z taką czarującą jak ta dziewczyną. Nie powinien. Trzymał się z daleka od tamtych, więc i z nią powinien tak samo postępować. Było to dlań trochę przykre, gdyż bardzo mu się podobała. Była taka ładna i szykowna. Powinien jednak pamiętać, że to zwykła robotnica, on zaś jest jej zwierzchnikiem. Ale taka miła i delikatna...

Zbliżył się więc zaraz i do innych robotnic, a potem poszedł do panny Todd i spytał, jak panna Alden się sprawuje - chciałby wiedzieć.

W chwili, gdy rozmawiał z Robertą i zamienił z nią uśmiech, Roza Nikoforycz, która pracowała o dwa stoły dalej, trąciła obok stojącą dziewczynę. mrugnęła i lekkim skinieniem głowy wskazała Clyde'a i Robertę. Sąsiadka jej spojrzała na nich. Clyde odszedł, Roberta pracowała dalej, a Roza przechyliwszy się szepnęła: - Powiedział, że dobrze pracuje.

Podniosła brwi i zacisnęła usta. Sąsiadka odpowiedziała szeptem tak cicho, że nikt więcej nie słyszał prócz Rozy:

- Prędko idzie, co? A zdawało się, że nie widzi nikogo i do trzech nie umie zliczyć.

Uśmiechnęły się obie ironicznie nad wyborem Clyde'a.

Roza Nikoforycz była zazdrosna.

Rozdział II

Dlaczego taka dziewczyna jak Roberta szukała zajęcia w warsztatach Griffithsów? Były ważne ku temu przyczyny. Życie jej układało się podobnie jak u Clyde'a. Jak on czuła się tak samo wyrzucona za burtę.

Była córką Tytusa Aldena, właściciela farmy pod Biltz. Było to małe miasteczko w okręgu Mimoco. Od najwcześniejszego dzieciństwa

nie zaznała nic innego oprócz ubóstwa. Ojciec jej, najmłodszy z trzech synów Efraima Aldena, również farmera, był tak niezaradny, że dotąd siedział w starym domu, już za rządów ojca wymagającym reperacji, a teraz rozsypującym się prawie w gruzy. Dworek ten, uroczy niegdyś, ze znanstwem budowany, jeden z takich, jakie upiększają mniejsze miasteczka Nowej Anglii, teraz chylił się ku upadkowi, wymagał odświeżenia, nowych gontów, świeżych płyt kamiennych, którymi wyłożona była niegdyś alejka prowadząca od bramy do frontowych drzwi. Opuszczony dworek wyglądał bardzo melancholijnie, jakby pokaszując miał chęć uzalić się: - Hm, na co mi to przyszło...

Wnętrze domu zgadzało się zupełnie z zewnętrznym wyglądem. Deski w podłodze i w schodach rozluźniły się i trzeszczały niesamowicie za każdym krokiem. Niektóre tylko okna miały okiennice. Sprzęty, wcześniejszej i późniejszej daty, były tak zniszczone, że trudno to nawet opisać.

Rodzice Roberty byli najlepszymi okazami typowego amerykańizmu, który stawia opór faktom i szanuje złudzenia. Tytus Alden był jednym z przedstawicieli wielce rozległej społeczności, z których każdy rodzi się, brnie przez życie i umiera nie doszedłszy nigdy do niczego. Ukazują się, błędzą i giną we mgle.

Idąc po utartej już ścieżce Tytus został farmerem, gdyż jego ojciec był farmerem. Siedział na tej farmie, bo dostał ją w spadku i dlatego, że wygodniej było siedzieć na miejscu, niż gdzieś po świecie szukać szczęścia. Był republikaninem, bo jego ojciec był także republikaninem i dlatego, że jego okręg był republikański. Nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, że mogłoby być inaczej. Wszystkie swe zasady polityczne i religijne, zagadnienie, co stanowi dobro czy zło, uzależniał od otaczających go ludzi. Nigdy jeszcze żaden z członków tej rodziny nie przeczytał książki prostej, poważnej, mądrej, pouczającej. Bądź co bądź byli to wszakże ludzie pod każdym względem dobrzy, konwencjonalnie moralni, religijni, uczciwi, rzetelni, bojący się Boga i szanowani.

Córka takich rodziców, obdarzona przez naturę przymiotami dziwnie

nie zgadzającymi się ze środowiskiem, w którym się urodziła, w duszy swej chowała odbicie tych pojęć religijnych i moralnych, jakie tu panowały. Gdy wyszła z lat dziecinnych, dziewczyna ta, o gorącym, pełnym fantazji, namiętym charakterze, oddawała się marzeniom tak charakterystycznym dla wszystkich cór Ewy, marzeniom zwykłym i marzeniom czarownym. W rojeniach jej przejawiała się nieznana, przeczuwana postać ślicznego młodzieńca, którego urodą swą podbije i duszę jego ujarzmi. Od dzieciństwa stykała się tylko z bolesnym, upokarzającym ubóstwem, nic więc dziwnego, że bujna jej wyobraźnia roiła o czymś lepszym. A może kiedyś znajdzie się w jakimś większym mieście, w takim Albany na przykład... Pozna inne, szerszym torem płynące życie!

Ach, te marzenia! Ileż to razy w swych dziewczęcych latach stawała na wiosnę w ogródku, gdy wczesne majowe słońce malowało każde stare drzewo precudnymi barwami, a opadłe płatki kwiatów zaścielały ziemię wonnym kobiercem - wyciągała wtedy ręce ku życiu, wzdychając żałośnie czasami, a czasami śmiejąc się radośnie.

Życ! Ma w sobie młodość, a przed sobą świat otwarty!

Ach! Gdyby jakiś młody przechodzień obdarzył ją teraz spojrzeniem i uśmiechem... Zgodziłaby się chętnie więcej nie widzieć go nigdy, byleby rozbudził w niej śpiące na dnie duszy marzenia...

Była nieśmiała, nie narzucająca się, bała się mężczyzn, zwłaszcza tych należących do jej świata. Dla nich też była za subtelna, zbyt nieśmiała, nie odczuwali jej fizycznego czaru, niezrozumiałego dla gruboskórnych natur.

Mając lat szesnaście dostała zajęcie w Biltz u Applemana, w magazynie bławatnym, za pięć dolarów tygodniowo. Tam widywała wielu mężczyzn, którzy nawet jej się podobali. Pamiętała wszakże o podrzędnym stanowisku rodziców i w swej skromności uważała, że stojąc o wiele niżej nie ma prawa podnosić na nich oczu. W ten sposób nie przyciągnęła nikogo, a odstręczyła wielu. Do dziewiętnastego roku życia pracowała u Applemana czując dobrze, że

nic dla swej przyszłości nie robi; wiedziała, że nie może porzucić domu rodzicielskiego, tak była tam potrzebna.

Nagle w tym zapadłym wiejskim kącie poruszyło się wszystko. Dzięki taniości robocizny, w Trippetts Mills otworzono niewielkie warsztaty pończosznicze. Jakkolwiek zasady Roberty nie zgadzały się z rodzajem takiej pracy, wiadomości jednak o wysokich zarobkach dały jej wiele do myślenia. Nie mogła wszakże namyślać się długo. Przyjęła tam pracę stołując się u dawnego ich sąsiada, który dawniej jeszcze przeniósł się do Trippetts Mills, a co sobota wracała do domu. Wielkie wtedy roiała sobie plany. Chciała skorzystać z pobytu w większym mieście i nabyć praktycznych wiadomości, przejść kursy handlowe i zostać buchalterką lub stenografką, co o wiele bardziej by się jej podobało.

Dwa lata przeszły na tych marzeniach. Zarabiała teraz więcej, do dwunastu dolarów tygodniowo, liczni jednak członkowie jej rodziny tyle mieli potrzeb, a ona, odmawiając sobie wszystkiego, zawsze starała się im dopomóc, tak że prawie wszystko, co zarabiała, przechodziło do ich rąk.

I w Trippetts Mills byli młodzi ludzie, którzy bardziej jej odpowiadali pod względem intelektualnym i duchowym, lecz widzieli w niej istotę o wiele niżej od nich stojącą - zwykłą robotnicę fabryczną. Jakkolwiek Roberty nie można było bezwzględnie zaliczyć do typów zwykłych robotnic, jednak obcując z nimi skłonna była przyjąć ich zapatrywania. A nawet była szczerze zadowolona, że żaden z tych mężczyzn, którzy się jej podobali, nie zajął się nią wyraźnie, nie była bowiem pewna ich uczciwych zamiarów.

Potem nastąpiły wypadki, które nasunęły poważne myśli nie tylko o małżeństwie, lecz w ogóle o dalszej przyszłości, bez względu nawet na to, czy wyjdzie za męża, czy nie.

Siostra jej, dwudziestoletnia Agnes, o trzy lata młodsza od niej, spotkawszy swego dawnego nauczyciela szkolnego, który jej teraz wydał się o wiele miłszy niż dawniej i podobał się jej bardzo, zgodziła się wyjść za niego. Widmo staropanieństwa stanęło naówczas przed Robertą. Zastanowiła się poważnie nad własną

przyszłością, tym bardziej że warsztaty pończosznicze w Trippetts Mills zostały nagle zamknięte. Powróciła wtedy do Biltz, aby pomóc matce w przygotowaniach ślubnych siostry.

Zaszły wtedy wypadki, które decydująco wpłynęły na plany i zamierzenia Roberty.

Gracja Marr, jej koleżanka z Trippetts Mills, wyjechała do Lycurgus i tam znalazła zajęcie w fabryce Finchleyów z płacą piętnastu dolarów tygodniowo. Napisała więc zaraz do Roberty, że w Lycurgus łatwo można znaleźć pracę. Przechodząc koło warsztatów Griffithsów widziała ogłoszenie na bramie: "Potrzebne praktykantki". Dowiedziała się również, że takie praktykantki na początek zarabiają od dziewięciu do dziesięciu dolarów tygodniowo, szybko przyswajając sobie jeden z działów pracy, i potem jako siły fachowe dochodzą do czternastu albo nawet szesnastu dolarów, zależnie od uzdolnienia. Gracja płaci za pokój z utrzymaniem zaledwie siedem dolarów, jest więc bardzo zadowolona, że może zawiadomić o tym Robertę, którą tak bardzo lubi. Niech przyjeżdża, a jeżeli będzie chciała, może z nią razem zamieszkać.

Roberta sama czuła, że nie wytrzyma długo na farmie, że musi pomyśleć o swej przyszłości i ułożyła się ostatecznie z matką, która zgodziła się z tym, że bardziej potrzebne im są pieniądze, które jej córka będzie mogła przysyłać, niż jej osobista pomoc.

Otrzymawszy wreszcie miejsce w Lycurgus spostrzegła jednak po pierwszym radosnym uniesieniu, iż życie jej nie zmieniło się wiele pod względem towarzyskim i materialnym.

Gracja Marr, którą dość lubiła, nie była wcale urodziwa. Znając wdzięk Roberty i jej udzielającą się wesołość liczyła, że będzie z niej miała miłą, wesołą towarzyszkę, której była tu pozbawiona. Roberta jednak od razu spostrzegła, że środowisko, w jakim się tutaj znalazła, wcale nie było ciekawsze od dawniejszego.

Newtonowie, to znaczy siostra Gracji i jej szwagier, u których mieszkała, byli to ludzie należący właśnie do pospolitego typu robotniczego, spotykanego w małych miasteczkach, a

reprezentującego ludzi bardzo religijnych i o bardzo ciasnych poglądach. Jerzy Newton był sympatycznym, lecz niezbyt wrażliwym ani romantycznym osobnikiem, który własne drobne plany życiowe traktował z wielką powagą i uważał za wielce doniosłe. Od razu ze swych skromnych dochodów tkacza w fabryce Cranstonów zaczął robić oszczędności pragnąc założyć swój własny warsztat. Aby przyspieszyć osiągnięcie celu, po porozumieniu się z żoną wynajął stary dom na Taylor Street i odnajmował pokoje, z czego mógł dać utrzymanie swej rodzinie i pięciu stołownikom. Gracja i żona Newtona należały do kobiet, które czuły się zupełnie zadowolone, gdy miały niewielkie gospodarstwo do prowadzenia i bliskich sąsiadów, w których należało wpoić przekonanie o doniosłości ich pracy. W wolnych chwilach oddawały się kontemplacji życia i czynności ludzkich, oglądanych przez pryzmat iście sekciarskich wierzeń.

Roberta więc zakosztowała rozkoszy takiego domowego ogniska czuła, że w Lycurgus życie jej będzie płynęło równie wąską i ograniczoną ścieżką jak w Biltz, w rodzicielskim domu. U Newtonów o innym trybie życia nie można było marzyć. Na nic zdałaby się chęć przełamania go. Jeżeli jest się pracownikiem fabrycznym, trzeba się dostosować do zwyczajów i obyczajów tych pracowników.

Codziennie więc Roberta zjadała skromne śniadanie w jadalni Newtonów w towarzystwie Gracji i jeszcze dwóch dziewcząt, Opal Feliss i Oliwii Pope, które pracowały w fabryce Cranstonów. Jadał z nimi również młody elektrotechnik Fred Shurlock, pracownik miejskiej elektrowni. Natychmiast po śniadaniu wychodziła Roberta na ulicę i łączyła się z długą procesją robotniczą, zdążającą do fabryk. Szła razem z młodymi dziewczętami i starszymi kobietami, młodymi chłopcami i dorosłymi mężczyznami. Byli tam i starcy, i znużone, przeżarte nędzą kobiety, podobne bardziej do widm niż do ludzkich istot, wynurzając się z rozmaitych zaułków i domostw. A gdy tłum zgęstniał, podsycany nowymi falami, wypływającymi z bocznych uliczek, zjawiali się miejscowi donżuani, szukający sensacyjnych przygód, rozpoczynały się głupie chichoty i śmieszki dziewcząt, nie wyznających takich surowych zasad jak Roberta. Jeszcze w swym życiu Roberta takich nie spotykała. Ach, fe!

Wieczorem ta sama ciżba spływała z fabryk, przelewała się przez most i wsiąkała po drodze.

Roberta ze swym poważnym usposobieniem, z uprzedzeniami towarzyskimi i moralnymi zasadami, mimo urody i niezaspokojonych pragnień, czuła się samotna i opuszczona. Jakże smutno widzieć, że wszyscy są weseli, bawią się, a samej stać na uboczu. Zawsze po szóstej była już w domu. Po obiedzie nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Czasem z Gracją wybrała się do jakiegoś kina albo w braku czegoś lepszego szła na mityng do kościoła metodystów.

A jednak mimo tego trybu życia była zadowolona ze zmiany. Takie wielkie miasto... Taka śliczna ta Central Avenue, tyle pięknych magazynów i kin. A jakie wielkie fabryki! A przy tym... ten pan Griffiths, taki młody, taki śliczny, uśmiechnięty i taki dla niej dobry...

Rozdział III

Clyde'a również pociągała ta młoda, urocza robotnica. Od czasu niefortunnej znajomości z Dillardem, Ritą i Zellą, a potem obojętnej wizyty u Griffithsów, gdzie mógł rzucić okiem na tak niepospolite osoby jak Bella, Sandra i Bertina - żył w zupełnym osamotnieniu.

Wielki świat! Czy ma prawo do niego należeć? Mimo że bardzo liczył na węzły pokrewieństwa, mimo wielkiej a próżnej chęci dotarcia w jakiś sposób do wnętrza tego wymarzonego świata, nic się jakoś nie udawało. Cóż więc będzie? Czy nie był teraz jeszcze bardziej samotny? Idąc do biura czy wracając, kłaniał się z daleka niektórym osobom, czasem rozmawiał przez chwilę, a chociaż miał

parę znajomości w sferach kupieckich, kilka panienek sklepowych, które go wcale nie interesowały, z nikim nie śmiał się zaprzyjaźnić. Dlaczego? Właściwie dla niczego. Był latoroślą Griffithsów, a więc musiał utrzymywać pozory szacunku im należne. Też sytuacja! Co z tym począć?

Roberta, nawet po zaaklimatyzowaniu się w fabryce i przyzwyczajeniu do warunków, była ciągle pod wrażeniem swego szefa, jego sympatycznego obejścia, jego nią zainteresowania. Dowiedziała się wkrótce o panujących tu prawach i przepisach, których przekraczać nie wolno było, o ograniczeniach, nie pozwalających na to, żeby któryś ze zwierzchników, a więc i Clyde, wyróżniał jedną z robotnic. Prawo takie wydane było po to, aby robotnice nie mogły liczyć na jakoweś względy. Religijne, moralne i skromne dziewczęta nie potrzebowały takich przepisów. Prócz tego istniał jeszcze przepis nie dozwolający na łączenie się

z rodzinami cudzoziemców, uchodzących za tępych, niemoralnych, za coś niższego od Amerykanów. Przekonała się również, że linia demarkacyjna między bogatymi w Lycurgus była tak ostra, jakby przecięta nożem lub oddzielona wysokim murem.

Lecz i w tej sferze moralnych, głęboko religijnych ludzi, do których ona i jej rodzina należała, były także uświęcone zasady, występujące zwłaszcza przeciw wszelkim rozrywkom, jak tańce, spacerowanie po ulicach albo kino. A Roberta właśnie miała ochotę nauczyć się tańczyć. ...

Bardziej jeszcze przykre było to, że młodzi ludzie i dziewczęta, należący do tego samego kościoła, nie uważali Roberty ani Gracji za równe sobie dlatego tylko, że nie należą do dawniej osiadłych tu i zamożniejszych rodzin. Stale uczęszczając do kościoła nie zbliżyły się nawet na krok do miejscowego towarzystwa. Czuły się tak samo obco jak w chwili przybycia do Lycurgus. Nikt im żadnych wstrętów nie czynił, ale też nikt nie zbliżał się w celu rozmowy lub wspólnej rozrywki, jak to czynili między sobą lepiej usytuowani wyznawcy tego kościoła.

Roberta poznawszy Clyde'a wyimaginowała sobie, że właśnie on jest

częstką tego niedostępnego, wielkiego świata i ujęta miłym jego wyglądem przejęła od niego jad ambicji i niepokój, który go stale dręczył.

Każdego dnia wchodząc do stemplarni czuła na sobie jego oczy, ciekawe, spokojne i jakby niepewne. Rozumiała, że nie jest pewien, jak przyjąłaby jego propozycję, gdyby jej jaką uczynił, że się obawia, czy nie spotka się z niechęcią, a nawet z obraźliwą odmową z jej strony. W czasie pierwszych tygodni dziwiła się, że do niej nie przemówi, nie zbliży się nigdy. Później zrozumiała, że nie śmie tego zrobić, że jest to widać niemożliwe - niewłaściwe. Inne dziewczęta od razu by to zauważyły. A gdyby spostrzegły, że jest dla niej dobry, a dla nich obojętny, widziałyby, że robi dla niej wyjątek, to odpowiednio by sobie wytłumaczyły. A wiedziała, że dziewczęta, pracujące w stemplarni, określiłyby takie postępowanie tylko jednym słowem - rozpusta.

Mimo skłonności ku tej dziewczynie, Clyde nie potrafił przekroczyć praw podyktowanych mu przez Gilberta. Pamiętając o tym, nigdy nie poświęcał większej uwagi żadnej dziewczynie, lecz po pojawieniu się Roberty zupełnie bezwiednie zbliżał się do jej stołu, zatrzymywał się, żeby zobaczyć, jak jej idzie praca. Zwrócił od razu uwagę, że jest zręczną, inteligentną pracownicą. Pojęła szybko wszystkie szczegóły swej pracy nie zasięgając niczyjej rady i szybko doszła do płacy, jaką otrzymywały dawniejsze robotnice - piętnaście dolarów tygodniowo. I tyle w niej było radości i dumy, że może tu pracować. I taka była szczęśliwa, że Clyde choć trochę poświęca jej uwagi.

Obserwując ją ciągle zauważył, że postępowanie jej było delikatne i różne od innych, że jej wesołość, tak żywiołowa, wypływała z subtelnej, poetycznej prawie wrażliwości, że mimo swej odrębności umiała zaskarbić sobie przyjaźń i życzliwość koleżanek i dostosić się do sposobu rozumowania nawet cudzoziemskich dziewcząt, które z natury rzeczy były wcale do niej niepodobne. Słuchając jej rozmów z Leną Schlickt, Hodą Petkanas, Angeliną Pitti i wielu innymi, doszedł do wniosku, że Roberta nie ma w sobie absolutnie tej konwencjonalnej sztywności, jaką odznaczały się wszystkie amerykańskie dziewczęta. Lubiły ją wszystkie, nawet poważyły.

Któregoś dnia, gdy wrócił trochę wcześniej po lunchu, zastał kilka dziewcząt skupionych koło robotnicy Polki - Marysi. Była to jedna z najweselszych i pełnych temperamentu dziewcząt cudzoziemskich. Wysokim dyszkantem Marysia opowiadała, że pewien "frajer", z którym się poznała wczoraj wieczorem, ofiarował jej wyszywaną paciorkami saszetkę.

- On chce, żeby ja była jego narzeczona - opowiadała z ożywieniem powiewając saszetką przed oczyma słuchaczek. - Żeby ja to wzięła i myślała o nim. Ładny woreczek, nie? - mówiła podnosząc saszetkę w górę i obracając ją na wszystkie strony. - Powiedz - zwróciła się patrząc nieco prowokująco, a może i drwiąco na Robertę - co ja z tym robić? Czy ten woreczek wziąć i chłopca wziąć, być jego narzeczona, czy oddać prezent? Podobać mi się ten woreczek bardzo, mówię ci.

Posądzając Robertę o bardziej stateczne zasady Clyde przypuszczał, że sympatyczna dziewczyna będzie zgorszona słowami Marysi. Nic podobnego jednak. O ile mógł wywnioskować z wyrazu jej twarzy, była tylko tym ubawiona.

- Wiesz, Mary - odpowiedziała śmiejąc się wesoło - to zależy od tego, czy on ci się podoba. Jeżeli jest ładny, starałabym się, żeby mnie pokochał, a tymczasem woreczek zatrzymałabym jak najdłużej.

- Iii, on wcale nie chce mnie czekać - oznajmiła z dumą Marysia i rozumiejąc drażliwość sytuacji spojrzała na Clyde'a, który podszedł bliżej. - Ja musieć oddać mu woreczek dziś wieczór albo zostać jego narzeczona. A taki śliczny ten woreczek, nie kupić sobie nigdy taki...

Patrzyła na prezent z filuterną minką i zmarszczyła nos rozumiejąc, że to wszystko było bardzo śmieszne.

- Co robić?

- Ho, ho! dla panny Alden jest to wielce ciekawe zagadnienie -

pomyślał Clyde.

Jednak Roberta umiała się dostosować do sytuacji, chociaż, zdaje się, była trochę zakłopotana.

- Rzeczywiście, jesteś w trudnym położeniu - odrzekła. - Nie wiem, jaką znajdziesz na to radę.

Otworzyła szeroko oczy i udawała wielkie zainteresowanie. Clyde zrozumiał, że grała taką rolę i chciała ją dobrze odegrać.

Tymczasem Holenderka, Lena Schlickt, przysunęła się i odezwała:

- Jeżeli go nie chcesz, to ja wezmę woreczek i twojego frajera. Nie mam żadnego.

Wyciągnęła rękę po woreczek, ale Marysia szybko go cofnęła. Rozległy się piski i śmiechy dziewcząt. Nawet Roberta śmiała się głośno, co sprawiło Clyde'owi wielką przyjemność, lubił bowiem jej szczerą wesołość, tak u niej niewinną.

- Masz rację, Leno - usłyszał jej głos wśród ogłuszającego huku maszyn, rozpoczynających pracę w przyległej hali. - Porządnego chłopca trudno znaleźć w tych czasach.

Oczy jej błyszczały, a kształtne usta otworzyły się w uśmiechu. Clyde wiedział, że to były żarty i ironia, ale zrozumiał, że nie można było posądzać jej o ciasne poglądy. Była to natura łagodna, wesoła, pobłażliwa i dobra. Umiała patrzeć na życie liberalnie.

Śliczna była, najładniejsza z nich wszystkich, chociaż tak skromnie się ubierała. Nosiła stale ten sam mały, brązowy kapelusik i granatową sukienkę, w której przyszła tu po raz pierwszy. Nie musiała sobie różować ust i twarzy jak te cudzoziemki, które wyglądały jak lukrowane pierniki. Takie piękne miała ramiona i szyję, pełne i ślicznie zarysowane! Umiała tyle czaru włożyć w swą pracę, jak gdyby to była dla niej zabawa. Podczas pracy w najbardziej upalne godziny na jej czole, policzkach i górnej wardze zbierały się perelki potu, które lekko

ścierała chusteczką przerywając pracę, lecz Clyde'owi zdawało się, że są to klejnociki, które jeszcze podnosiły jej urodę.

Były to czarowne dni dla Clyde'a. Miał przed oczyma dziewczynę, cel swych obserwacji i admiracji, lecz stopniowo rozwijała się w nim taka sama żądza, jak wtedy, gdy poił się widokiem Hortensji Briggs. Teraz jednak odczuwał większe zadowolenie, bo Roberta była bardziej prosta, bardziej kulturalna i więcej godna szacunku.

Roberta starała się dać do zrozumienia, że Clyde jest jej zupełnie obojętny, jednak trudno było w to uwierzyć. Czuła się tak zakłopotana, zmieszana w jego obecności. Clyde wydawał się jej bardzo sympatyczny, ach, bardzo miły! I taki śliczny... Jego rysy, ręce, te włosy czarne lśniące tak miękko, melancholia i jakiś czar w ciemnych oczach... Wszystko jej się podobało.

Któregoś dnia zajrzał do wydziału Gilbert Griffiths i zatrzymał się rozmawiając z Clyde'em. Wtedy dopiero Roberta puściła wodze wyobraźni. Ten pan Clyde to nie byle kto, niewątpliwie jest czymś więcej, niż myślała! Lena Schlickt, która stała obok Roberty, szepnęła: - To jest pan Gilbert Griffiths. Do jego ojca należą wszystkie warsztaty, a po jego śmierci będzie to należało do pana Gilberta. A ten - wskazała na Clyde'a - to jego krewniak. Podobni do siebie, co?

- Bardzo podobni - przyznała Roberta porównując spod oka Clyde'a z Gilbertem. - Ale chyba pan Clyde Griffiths jest przystojniejszy, prawda?

Hoda Petkanas, siedząca z drugiej strony Roberty, usłyszawszy tę uwagę roześmiała się:

- Wiadomo. Tylko, że nie ma tyle forsy, co tamten.

- Ale jest chyba także bogaty? - zapytała Roberta.

- Nie wiem. Podobno nie - wysunęła wargi z powątpiewaniem. Miała także dużo sympatii dla Clyde'a, jak zresztą wszystkie robotnice.

- Pracował dawniej w pralni i podobno nawet na dniówkę. Dostał się

do tych warsztatów, żeby nauczyć się wszystkiego. Może nie będzie chciał tu długo pracować.

Robercie zrobiło się smutno. Tyle już myśli i marzeń swych poświęciła Clyde'owi, że teraz na samą myśl o rozstaniu się z nim rozżaliła się bardzo.

Taki młody, dzielny, sympatyczny... I ma wrażenie, że ją także lubi... Tak, to nawet widać. Ach, nie ma sensu nawet myśleć o tym, czy ją lubi, czy nie, ani też starać się ściągnąć jego uwagę na siebie, bo przecież on jest tutaj ważną osobą... Za wysoko musiałyby podnieść oczy!

Dowiedziawszy się o pokrewieństwie Clyde'a z Griffithsami od razu zwątpiła jednak w jego sympatię dla siebie. Jest zwykłą, biedną robotnicą, a on bratankiem bogatego człowieka. Przecież się z nią nie ożeni... Czyż może ich cokolwiek ze sobą łączyć?

Westchnęła. Musi teraz bardzo uważać na siebie.

Rozdział IV

Clyde nie umiał nadać właściwego kierunku swemu życiu. Nie potrafił określić układu odniesienia ani wobec Roberty, ani w stosunku do swej sytuacji w Lycurgus. Gilbert zawczasu ostrzegał go przed nieodpowiednimi znajomościami. Ale, zapytywał się Clyde sam siebie, czy się cokolwiek zmieniło w jego życiu prywatnym? Ciągle tkwił w tych samych warunkach. Wziął co prawda lepsze mieszkanie u pani

Peyton, na porządniejszej ulicy, ale czy przez to jest mu lepiej niż u pani Cuppy? Tam miał przynajmniej jakieś

towarzystwo młodych ludzi, z którymi mógł się choć troszkę rozerwać... A tu prócz brata pani Peyton, starego kawalera, który był prawie w wieku swej siostry, i jej trzydziestoletniego syna, chudego, sztywnego urzędnika bankowego, nie miał do kogo słowa przemówić. Każdy wiedział o jego pokrewieństwie z Griffithsami i każdy się usuwał nie chcąc być natrętnym, nie chcąc nasuwać myśli, że może komu zależeć na utrzymaniu z nim znajomości.

Mimo że Roberta nie należała do sfer, które były szczytem jego marzeń, musiał przyznać, że czar od niej promieniujący usidlał go coraz silniej. Coraz częściej, coraz bezwolniej zwracał oczy na nią. Może to stało się samo przez się, a może już zmysły buntowały się przeciw tak ascetycznie prowadzonemu życiu.

Wzrok jego przyciągał jej spojrzenie. Przelatywały między nimi nieustanne, wymijające się, lecz mocne, gorączkowe błyskawice spojrzeń. Jak zwiastun miłości wzrok jej padał szybko, ukradkiem, aby go Clyde nie zauważył. Wtedy on słabł, drżał gorączkowo. Ach te śliczne usta, piękne, olbrzymie oczy, promienny, zwykle nieśmiały, ukradkowy uśmiech... Te jej cudne ramiona, taka zgrabna, giętka figura i czujne, mądre gesty. O, żeby mógł ofiarować jej swą przyjaźń, gdyby ośmielił się z nią porozmawiać czasami, spotkać się gdziekolwiek... Żeby i ona tego pragnęła, a on żeby śmiał...

Niepokój. Pożądanie. Momenty płomiennego żaru i udręki.

Nie umiejąc poradzić sobie z paradoksalnymi kontrastami, z jakich się składało jego życie, ta ciągła samotność i nieustanna czujność, wpadał w gniew napotkawszy podejrzenie, że pracuje tutaj tylko dla zabicia czasu.

Nieraz, pragnąc rozerwać się trochę, a także zejść z oczu tym, którzy byli pewni, że używa bardziej wyszukanych rozrywek, odbywał wycieczki. Wyjeżdżał w soboty do Gloversville, Fondy, Amsterdamu, czasem dalej; do Gray albo Crum Lake, i zostawał tam przez niedzielę. Tam miał łódki, plaże, kąpiele, gdzie można było wynajmować kostiumy kąpielowe. Nigdy nie opuszczała go myśl, że może spotkać kogoś z Griffithsów, starał się więc zawsze wyglądać

przyzwoicie. Liczył także, iż może kiedy trafić się jaki przygodny towarzysz, który zechce z nim razem pływać, więc dążył do przyswojenia sobie tej umiejętności. Wiosłowanie nadzwyczaj mu się podobało. Lubił ubierać się w sportową koszulę i płócienne buty i wiosłował po Crum Lake w jednej z tych czerwonych, zielonych lub niebieskich łódek, które wynajmowało się na godziny.

W takich chwilach, gdy miał nad sobą błękit nieba z lekkimi, gdzieniegdzie różowymi obłokami, cała otaczająca go panorama letnia nabierała jakichś eterycznych cech. Puszczął wówczas wodze fantazji i marzył. Należy już do tego uprzywilejowanego świata, który lokuje się zwykle w bardziej wykwintnych miejscowościach, jak Racquette Lake, Schroon Lake, Lake George, i oddaje się tam przeróżnym rozrywkom. Uprawia golf, taniec, tenis, wiosłuje w towarzystwie wytwornych, eleganckich osób...

W tym samym czasie i Roberta dowiedziała się o istnieniu Crum Lake i postanowiła tam jeździć w towarzystwie Gracji. Newtonowie nie sprzeciwiali się, jako że miejscowość ta uchodziła za najprzyzwoitszą. Jeździły więc tam w soboty, czasami w niedzielę. Chodziły brzegiem jeziora wydeptaną ścieżką, która prowadziła do kępy drzew, a nie umiając wiosłować ani pływać siadały zwykle i wpatrywały się w wodę. Zasywały się czasami między krzewy szukając jagód i kwiatów. Na bardziej bagnistych miejscach, jeśli zaryzykowało się zamoczenie obuwia, można było narwać białych lilijek z delikatnymi, żółtymi wewnątrz serduszkami. Nie umiały oprzeć się tej pokusie i już dwa razy pani Newton otrzymała od nich całe naręczce kwiatów z tych jeziornych pobraży.

W trzecią niedzielę lipca Clyde, jak zwykle samotny i jak zwykle buntowniczo usposobiony, wiosłował wzdłuż południowego brzegu jeziora. Odpłynął pewnie z półtorej mili od przystani. Zdjął marynarkę i kapelusz i marzył o rzeczach nierealnych - jakiego rodzaju życie chciałby prowadzić. Na jeziorze z dala widoczne były łodzie, w których bawiły się niedzielne, niezbyt wykwintne grupy wiosłarzy. Były tam starsze małżeństwa, młodzi chłopcy i dziewczęta. Po wodzie płynęły ich śmiechy i odgłosy rozmów. Widział również łódki, w których siedziały zakochane pary, co bólem przejmowało samotne serce Clyde'a. Widok młodzieńca,

gruchającego ze swą ukochaną, wywoływał przykry dysonans w jego zmysłowej duszy. Wtedy rysowały się przed nim inne obrazy. Gdyby się na przykład urodził w innej sferze, siedziałby w tej chwili w łodzi w Schroon albo w Racquette z Sandrą Finchley albo podobną do niej, wytworną osobą. Płynęliby razem i patrzyli na bardziej dystygowane sceny. A czyby nie potrafił kłusować na pięknym rumaku albo grać w tenisa, albo pędzić wspaniałym autem mając Sandrę u swego boku? Czuł się tak wyobcowany, tak samotny, tak dręczony niepokojem, albowiem zdawało mu się, że wszędzie koło siebie widzi miłość, romans, rozkosz... Więc co ma robić? Dokąd się udać? Przecież całego życia nie może przepędzić w osamotnieniu... Boże, jakież życie jego jest nędzne!

Zwrócił się do wspomnień, do tych niewielu szczęśliwych dni przed wypadkiem w Kansas City. Byli tam Ratterer, Hegglund, Highby, Tina Kogel, Hortensja, siostra Ratterera Luiza, jednym słowem cała ta wesoła kompania, z którą się tak zespolił, zanim stało się to nieszczęście. A potem Dillard, Rita, Zella... w każdym razie i to było lepsze niż nic... Czyż Griffithsowie nie mają zamiaru nic więcej dla niego uczynić? Czy zawsze ma znosić szyderstwa swego stryjecznego brata, zawsze będzie usuwany na stronę albo zupełnie ignorowany przez całe to wykwinne towarzystwo, do którego należą dzieci jego stryja? Teraz właśnie podczas takiej upalnej kanikuły wyraźniej zdawał sobie sprawę, ile szczęścia, swobody zażywają takie uprzywilejowane istoty. Ciągłe są wzmianki w gazetach o ich przyjazdach i wyjazdach. Widywał nieraz wielkie, wspaniałe auta stryja i Gilberta, stojące w garażu podczas ich chwilowego pobytu w Lycurgus. Spotykał całe grupy młodzieży przed bramą najwspanialszego hotelu albo przed pałacami na Wykeagy Avenue, gdy na parę godzin albo na jedną noc zjeżdżano do Lycurgus.

Albo w takich warsztatach. Stryj lub Gilbert przebywali tam od czasu do czasu w dystygowanych letnich garniturach. Towarzyszyli ich inspekcji wszyscy szefowie oddziałów. Właściciele surowo, prawie z królewską udzielali rad albo słuchali raportów, składanych przez nadzorców rozlicznych oddziałów. Między nimi był i Clyde - brat stryjeczny Gilberta, bratanek tego potężnego Samuela Griffithsa... Pozostawiono go samemu sobie, niech robi, co chce. A to wszystko dlatego, że nie był dla nich wystarczająco

zamożny. Ojciec jego nie miał takich jak stryj zdolności do interesów, matka (niech ją Bóg ma w swej opiece) jest za mało elegancka i nie tak światowa jak jego obojętna, o dystygowanej minie, oziębła stryjenka. Czy nie lepiej byłoby cisnąć wszystko do licha? Czy nie popełnił szaleństwa zjeżdżając tutaj? Czy ci bogaci krewni mają wreszcie jakie zamiary względem niego, czy nie?

W tym opuszczeniu, pełen niepokoju, urazy, odszedł myślami od świata Griffithsów, a głównie od Sandry Finchley, którą zawsze wspominał z jakimś dojmującym dreszczem - i zwrócił je ku Robercie. Ta uboga dziewczyna, zwykła robotnica, była najpiękniejszym kwiatem w tym zbiorowisku, które go otaczało.

Przecież to śmieszne i głupie ze strony Griffithsów wymagać od takiego jak on człowieka, aby nie zawierał znajomości z dziewczyną taką jak Roberta dlatego tylko, że jest robotnicą. Nie wolno mu ofiarować swej przyjaźni, nie wolno mu jej zabrać ze sobą na wycieczkę, choćby tu, na jezioro, ani jej odwiedzić... Ale też nie wolno mu sięgnąć do wyższej sfery, bo jakże tam się dostanie. A Roberta jest tak ładna... i tyle ma uroku. Widział ją w marzeniach, jak pełnymi wdzięku, szybkimi ruchami wykonuje swą pracę. Widział jej kształtne ramiona, ręce, aksamitną skórę i jasne oczy, gdy uśmiecha się do niego. Budziło się w nim to samo wzruszenie, które go co rana pędziło do fabryki. Biedna jest - cóż z tego? Ach, jakże byłby z nią szczęśliwy, jeśli tylko nie byłby zmuszony żenić się z nią. Bo jednakże jego matrymonialne ambicje sięgały stanowczo, zdecydowanie do świata Griffithsów. Lecz jej obraz rozpałał w nim gorące pożądanie.

Ach, gdyby wreszcie mógł choćby tylko z nią porozmawiać, odprowadzić od czasu do czasu do domu, wziąć kiedyś w niedzielę na wycieczkę, popływać po jeziorze, spędzić z nią na marzeniach miłe chwile wytchnienia.

Skręcił ku wybrzeżu, gdzie rosła kępa drzew i krzewów, a na płytszej, cichej wodzie leżały szerokie, płaskie liście lilii wodnych. Rosło tu sporo tego kwiecica.

Na wysokim brzegu stała dziewczyna i patrzyła na nie. Zdjęła

kapelusz, oczy przysłoniła ręką od słońca i spoglądała w wodę. Usta miała rozchylone, jak gdyby się czemuś dziwiła. Clyde opuścił wiosła i zapatrzył się w nią. Była bardzo ładna. Rękawy błękitnej bluzki sięgały tylko do łokci. Ciemna granatowa spódniczka uwydatniała zgrabną budowę ciała. Czyżby to była Roberta? Chyba niemożliwe? Tak, to ona!

Zanim uczynił jakieś postanowienie, był już przy niej, tuż przy brzegu, a jego twarz opromieniała radość. Była to radość człowieka, któremu wbrew przewidywaniom zrealizowały się marzenia.

Jego ukazanie się - jakby wywołane z niczego i znikąd, jakby z wibrującej energii czy dymu wyłonił się kształt ludzki mocą poetyckiej wizji - było tak nagłe, że Roberta stała ze zdumieniem wpatrzona w niego, tylko usta jej wyrażały przecucie rodzącego się szczęścia.

- Więc to panna Alden! Czy to pani, czy nie pani? - zawołał. - Nie jestem pewien... Nie mogę uwierzyć, że to pani!

- Ależ tak - roześmiała się zmieszana, trochę zawstydzona.

Ucieszyła się niewymownie jego widokiem, lecz zarazem zaniepokoiła się nagle, jak gdyby podświadomie odczuła, jakie znaczenie będzie miało dla niej te spotkanie. Wywiąże się niechybnie bliższa znajomość, a ona jest pewna, że nie potrafi mu się oprzeć, nie dbając nawet o to, co ludzie o tym pomyślą. A na dodatek jest z nią Gracja. Domyśli się wszystkiego, całej jej sympatii dla Clyde'a. Zaniepokoiła się. A jednak patrzyła na niego z uśmiechem, jasnym, szczerym wzrokiem. Tyle o nim myślała, wszystkie jej myśli o szczęściu, spokoju były z nim związane. I oto zjawił się. Cóż jednak jest zdrożnego w takim spotkaniu?

- Wybrała się pani na spacer? - wydusił z siebie wreszcie, bo mimo radości na jej widok i chwilowej trwogi, że tak szybko ucieleśniło się jego marzenie, czuł się bardzo zmieszany, gdy znalazł się przed nią. - Chciałaby pani narwać pewnie tych lilijek? - dodał przypominając sobie, że spoglądała przed chwilą na wodę. - Zapewne na nie pani patrzyła?

- Tak... - szepnęła uśmiechając się jeszcze i spoglądając ciągle na niego. Te czarne włosy, które wiatr rozwiewał, jasnoniebieska koszula otwarta z przodu, rękawy zawinięte do łokci, żółte wiosła leżące przy niebieskiej łodzi, cały ten niespodziewany a czarujący dla niej obrazek budził w niej jakieś rozmarzające drżenie. Żeby ten śliczny chłopiec mógł należeć do niej, tylko do niej! ...
Byłoby to szczęście niewypowiedziane... Gdyby go miała, czegoż by więcej pragnąć mogła? Stoi tu, u jej stóp, w tej ślicznej łodzi, w ten cudowny lipcowy dzień... Jakież to życie jest piękne i jakie nowe, inne! A on patrzy na nią z widocznym podziwem i uśmiecha się do niej. Czyż ona może na to pozwolić? Czy powinna? Przyjaciółka jej pozostała gdzieś daleko, szukając stokrotek.

- Myślałam właśnie, w jaki sposób by ich narwać - odpowiedziała z dziwnym drżeniem w głosie. - Nigdzie już ich nie ma, tylko tutaj trochę.

- Zerwę wszystkie dla pani - zawołał ochoczo, radośnie. - Niech pani tam zostanie... dam je pani wszystkie.

Przyszło mu jednak na myśl, jak by to było miło, gdyby usiadła przy nim, więc dodał: - Ale dlaczego nie mogłaby pani przejechać się ze mną. W łodzi jest dużo miejsca i zawiozę panią, dokąd tylko zechce. Widziałem ładniejsze lilie z tamtej strony jeziora. A całe setki są po tamtej stronie wysepki.

Roberta namyślała się. W tej chwili nadpłynęła inna łódka, w której siedział młodzieniec w wieku Clyde'a i dziewczyna niestarsza od niej. Miała białą suknię i czerwony kapelusz, a łódka była zielona. Dalej nieco, w kierunku tej wysepki, o której mówił Clyde, płynęła jeszcze jedna łódka, a w niej też siedziała młoda para. Roberta myślała o tym, jak dobrze byłoby przejechać się łódką, ale o wiele lepiej byłoby bez towarzyszki, ale jeżeli już koniecznie...

Dlaczego nie przyszła sama? Bo jeżeli będzie z nimi Gracja, domyśli się wielu rzeczy, a potem będzie rozpowiadała, zwłaszcza jeżeli dojdzie jej uszu jakaś pogłoska. A gdyby nawet Gracja

okazała się dyskretna, to może Clyde będzie niezadowolony, może zniechęci się do niej? A to byłoby straszne...

Zamyśliła się. Clyde, zaniepokojony jej wahaniem, uczuł przykrość. Dlaczego Roberta tak długo się namyśla? Lecz pomny na swe osamotnienie i spragniony jej towarzystwa, zawołał:

- Niechże mi pani nie odmawia! Proszę wsiąść do łódki. Jestem pewien, że będzie pani zadowolona. Tak bardzo bym chciał... Wysadzę panią, gdzie pani będzie chciała, chociażby za dziesięć minut.

Zauważyła to "tak bardzo bym chciał..." To ją uspokoiło i pokrzepiło. Widocznie Clyde nie zamierza jej narzucić swej woli.

- Ale ja tu jestem z przyjaciółką - zawołała z żalem i niemal z niechęcią, bo tak miło byłoby siedzieć w łódce tylko z nim. Nikt jeszcze w życiu nie był jej mniej potrzebny niż w tej chwili Gracja Marr. Po co ją ze sobą przyprowadziła? Nie jest bardzo ładna, może nie spodoba się Clyde'owi i cała przyjemność będzie zepsuta. - A może lepiej nie jechać? - dodała szybko, walcząc z myślami. - Czy to bezpiecznie?

- Ależ najzupełniej! - roześmiał się Clyde widząc, że Roberta ma ochotę ustąpić. - Zupełnie bezpiecznie - dodał żywo. Przywiódł łódkę do brzegu i zaczepiając ją o korzeń, aby stała nieruchomo, mówił: - Niech pani nie obawia się niebezpieczeństwa. Proszę zawołać swoją przyjaciółkę, powiozę obie panie. Miejsca jest dosyć, a tam jest tyle wodnych lilii.

Wskazał w stronę zachodnią jeziora.

Roberta nie miała siły opierać się dłużej. Uchwyciła się gałęzi i zawołała:

- Gra-acjo! Gra-acjo! Gdzie jesteś?

Zdecydowała się ostatecznie wziąć ją ze sobą.

Głos z dala odpowiedział:

- Hop! hop! Czego chcesz?

- Chodźże tutaj... Prędzej! Mam ci coś powiedzieć...

- E, nie, ty przyjdź tutaj. Takie śliczne stokrotki.

- Nie! ty musisz tu przyjść. Jest tu ktoś, kto chce nas przewieźć czółnem.

Chciała to krzyknąć głośno, ale głos ją zawiódł i przyjaciółka poszła dalej zbierając kwiaty. Roberta zmarszczyła czoło i nie wiedziała, co robić.

- Jeżeli tak - postanowiła nagle - to my popłyniemy do niej.

- Doskonale! - zawołał zachwycony Clyde. - Naturalnie! Proszę wsiadać. Narwiemy najprzód lilii, a jeżeli do tej pory nie nadejdzie, popłyniemy do niej. Proszę wskoczyć na sam środek, żeby łódka się nie rozkołysała.

Odsunął się i patrzył na nią, a Roberta, zmieszana, utkwiała gorące spojrzenie w oczach chłopca. Szczęście z niej promieniowało, otaczała ją jakaś różowa mgła. Wysunęła nogę.

- Czy to naprawdę bezpiecznie?

- Ależ najzupełniej! - zapewniał Clyde. - Będę uważał. Proszę trzymać się mocno gałęzi.

Unieruchomił łódkę, dopóki nie wsiadła. Łódź przechyliła się na jedną stronę i Roberta opadła na siedzenie z lekkim okrzykiem.

- Jak dziecko - pomyślał Clyde. - Już dobrze... - uspokajał ją. - Proszę usiąść na środku. Nie będzie kołysało. Ale wie pani, że to zabawne... Właśnie, kiedy płynąłem w tę stronę, myślałem o pani... Myślałem, że pewnie podobałoby się pani tutaj, że może by chciała pani przyjechać tu kiedy. I oto jest pani tutaj i ja jestem i

wszystko tak się stało, jak chciałem.

Gestykulował, strzelał palcami. A Roberta, zachwycona tym wyznaniem i trochę przestraszona, zapytała:

- Naprawdę? - Przypomniała sobie, że także o nim przez cały czas myślała.

- Ależ tak, i co więcej - mówił Clyde - myślałem o pani przez cały dzień, naprawdę. Mówię szczerą prawdę. Myślałem, żeby to można spotkać się z panią dziś rano i przywieźć ją tutaj.

- Ależ panie Griffiths, pan chyba żartuje - protestowała Roberta, przerażona nieco, że rozmowa szybko schodzi na niebezpieczne tory. Z obawą myślała, dokąd to ich zawiedzie i chciała spojrzeć na niego trochę chłodniejszym wzrokiem, lecz próżne były jej wysiłki.

- Ależ naprawdę! Słowo daję! - upewniał Clyde.

- Tak, rzeczywiście, jest tu bardzo pięknie - przyznała Roberta. - Przyjeżdżam tu czasami z przyjaciółką.

Clyde nie mógł ukryć radości. Roberta znów się uśmiechała i była czarująca.

- Przyjeżdża pani? - zawołał i zaczął jej opowiadać, dlaczego wybrał tę miejscowość na samotne przechadzki i jak uczył się tu pływać. - No, i patrzcie tylko! Ja kręciłem się tu i ówdzie, a pani stała sobie na brzegu i patrzyła na kwiatki. Czy to nie dziwne? O mało nie wypadłem z łódki. Nigdy jeszcze nie widziałem pani tak pięknej, jak właśnie tu na tym brzegu.

- Ależ panie Griffiths - temperowała jego zachwyty: Proszę tak nie mówić. Pochlebca z pana. Będę naprawdę obawiała się pana.

Spojrzał na nią onieśmielony. Ona uśmiechnęła się, bo i on wydał się jej tak piękny jak nigdy. Co by też pomyślał, gdyby mu powiedziała, że zanim go ujrzała na jeziorze, myślała także o nim. Myślała, że wolałaby tu z nim być niż z Gracją. Że mogliby

siedzieć przy sobie, trzymać się za ręce i rozmawiać. On mógłby ją nawet objąć, pozwoliłaby mu na to. Wie o tym, że byłoby okropne, gdyby ich ktoś zobaczył... Ale on nigdy się o tym nie dowie! Nigdy!... Byłoby to nieprzyzwoicie... A teraz wszystko to stało się samo... Ale co pomyśleliby ich znajomi, gdyby tak zobaczyli, że on ją wozi łódką po jeziorze? On jest szefem wydziału, a ona zwykłą robotnicą. Co by to było? Skandal oczywisty... A ta Gracja! Niedługo spotkają się z nią. Musi to jej jakoś wytłumaczyć. On wiosłował po jeziorze, a że ją zna, więc chciał jej pomóc narwać trochę lilii... Cóż w tym wielkiego? Przecież to nic zdrożnego.

Tymczasem Clyde wprowadził łódkę między lilie. Gadał bez przerwy, położył wiosła, zrywał i rzucał do jej stóp kwiaty z długimi, wilgotnymi łodygami. Ona siedziała oparta wygodnie, zanurzywszy jedną rękę w wodzie. Na chwilę przyciszyły się jej niespokojne myśli i zatrzymały się na pięknie jego głowy i ramion, na rozwichrzonych włosach, które opadały mu na oczy. Jakiż on jest śliczny.

Rozdział V

Wspomnienie tego dnia było tak piękne, że długo jeszcze żyli tymi cudownymi chwilami i zdumiewali się, że mogło im się przytrafić coś równie romantycznego. Takie przemile spotkanie! I to wtedy właśnie los zbliżył ich do siebie, gdy oboje doszli do jednego wniosku, że lepiej będzie, jeżeli ich znajomość nie przekroczy progów stemplarni.

Upłynęło trochę czasu na pogawędce, on mówił o urodzie lilii i o tym, jak bardzo jest szczęśliwy, że mógł je dla niej zerwać. Potem spotkali się z Gracją i zawrócili do przystani.

Gdy stanęli na ziemi, Roberta zastanowiła się, co dalej robić. Czy mają razem wracać do miasta? Nie byłoby to dobrze. Mogliby narazić się na plotki. Clyde też przypomniał sobie Gilberta. Jeżeli ktoś go zobaczy, co by mogło z tego wyniknąć? Co powiedziałaby Gilbert, gdyby się o tym dowiedział?

Całe towarzystwo zamyśliło się nad tym zagadnieniem, nie wyłączając Gracji, której też chodziło o własną opinię, a przy tym czuła się urażona, że Clyde nie zwracał wcale na nią uwagi. Roberta zgadując jej myśli zapytała:

- Co teraz będziemy robili?

I zaczęła się zastanawiać, jak by wywikłać się delikatnie z tej sytuacji nie obrażając Clyde'a. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła powracać z Clyde'em, ale sama. Z Gracją nie może, nie chce. Musi być ostrożna. Musi jakoś z tego wybrnąć.

Clyde też nad tym rozmyślał. Czy ma najbezpieczniej w świecie, nie zważając na złe języki, wracać z nimi do miasta, czy wycofać się pod jakimś pretekstem. Nic nie umiał wymyślić i już miał je odprowadzić do tramwaju, gdy naraz Shurlock, elektrotechnik, ten co mieszkał także u Newtonów, zawołał na panny siedząc na balkonie pawilonu z przyjacielem:

- Co za szczęście! To pani, panno Alden! Dzień dobry, panno Marr! Czyżby panie nie chciały wrócić z nami? Mój przyjaciel ma samochód, możemy panie zabrać.

Roberta skorzystawszy z tego zaczęła tłumaczyć Clyde'owi, że jest już późno, a one mają być jeszcze na wieczornym nabożeństwie z Newtonami, dobrze więc będzie skorzystać z tego zaproszenia. Miała nadzieję, że Shurlock zaprosi i Clyde'a. Istotnie, zaprosił, lecz Clyde odmówił. Wytłumaczył się, że chce jeszcze pozostać tu dłużej.

Więc pożegnali się, a Roberta wzrokiem powiedziała to, czego nie

mogła wyrazić słowami - całe swe szczęście i upojenie, jakie jej przepęłniało serce. Przeżyli tu miłe chwile. On, rozumiejąc w zupełności potrzebę tego rozstania, sposepniał jednak z żalu, że Roberta nie może pozostać z nim dłużej.

Zaledwie towarzystwo odjechało, i on powrócił do miasta.

Nazajutrz od samego ranka tęsknił do widoku Roberty. A chociaż oboje byli ciągle pod kontrolą ludzkich oczu i trudno mu było objawić to, co miał w sercu, jednak z uśmiechów na jego twarzy i pałających spojrzeń domyśliła się Roberta, że tak samo jak wczoraj Clyde jest pod jej urokiem. Sama też, chociaż czuła grożące niebezpieczeństwo i wiedziała, że tajemnica jest konieczna, nie mogła się powstrzymać, żeby nie odpowiedzieć mu gorącym, zachęcającym spojrzeniem. Jakież to cudowne, że on ma tyle dla niej sympatii. Cudowne i straszne!

Clyde wiedział, że Roberta patrzy na niego z przychylnością, może więc uda się szepnąć coś do niej, jeżeli zdarzy się sposobność. Więc gdy zobaczył, że dwie robotnice, siedzące obok niej, odeszły na chwilę, skorzystał z tego i zbliżył się. Wziął jeden z kołnierzyków, które stemplowała i, jakby robił uwagę o robocie, odezwał się:

- Bardzo mi przykro było wczoraj rozstawać się z panią. Czy byśmy dzisiaj nie mogli zobaczyć się gdziekolwiek?

Roberta zwróciła się ku niemu, rozumiejąc, że właśnie ta chwila może być decydująca. Może go zachęcić albo odebrać mu nadzieję. A jednak rada była zgodzić się na jego propozycję, nie licząc się z tym, jakie mogą być następstwa. Ach, te jego oczy! Włosy! Ręce!... Więc zamiast go zgromić i odpowiedzieć chłodno, patrzyła tylko oczyma tak uległymi, że z nich nic, prócz oddania i pewnego wahania, nie mógł odczytać. Clyde czuł wyraźnie, że Roberta prawie nieprzytomnie lgnie do niego. Postanowił wyznaczyć jej spotkanie w jakimś ustronnym miejscu, bo musi zrozumieć, że oboje nie mogą narażać się na plotki. Głos rozsądku szeptał mu przy tym, że wchodzi na niebezpieczną drogę.

Mylił się dziś w rachunkach. Czuł ją tak blisko siebie, że nie mógł skupić się przy pracy. To dziewczątka było tak urocze, tak powabne!... Płynęło z niej ciepło i radość, i otucha i gdyby mogła go pokochać, byłby najszcześniejszym z ludzi. Obiecał wprawdzie Gilbertowi zupełnie co innego, ale już wczoraj na jeziorze rozpamiętywał swe położenie i doszedł do wniosku, że nie ma z czego być tak bardzo zadowolony. Ale gdyby z nim była Roberta, z całą rozkoszą trwałby na tym stanowisku. Może obojętność Griffithsów nie dokuczałaby mu wtedy tak dotkliwie. A może dlatego właśnie nie pamiętali o nim, że stara się ich niczym nie urazić. A gdyby odważył się zrobić coś takiego, co jest zabronione? Cóż niby oznacza taki zakaz, jakim go Gilbert obwarował? A może uda się dojść z Robertą do porozumienia i mogliby widywać się po kryjomu, i w ten sposób zapobiegłoby się wszelkim konfliktom.

Clyde stale o tym rozmyślał siedząc przy swym biurku albo chodząc po sali. Machinalnie wypełniał swe obowiązki, gdyż tak był zajęty swą dziewczyną, że nie mógł na niczym innym skupić myśli. Postanowił namówić ją, żeby się spotkali w małym ogrodzie po tamtej stronie rzeki. Jednak w ciągu dnia były przy Robercie robotnice i nie miał sposobności skomunikować się z nią. W południe wrócił z lunchu nieco wcześniej licząc, że uda mu się szepnąć jej o swym projekcie, lecz zastał ją otoczoną koleżankami i przez resztę dnia nie zdarzyła się upragniona sposobność.

Namyślił się i postanowił, że jeżeli przy wyjściu z warsztatów spotka ją na ulicy, zbliży się do niej. Ona nie będzie protestować, bo już wiedział, że nie był jej obojętny. Musi wynaleźć jakiś sposób porozumiewania się. Powinno to w każdym razie wyglądać na przypadkowe spotkanie, a tym samym - zupełnie niewinne tak dla niej, jak i dla innych.

Syrena fabryczna ryknęła i Roberta wyszła z warsztatów, lecz z koleżanką. Musi teraz obmyślić coś innego.

Wieczorem zamiast odpocząć w domu albo pójść do kina, jak to często robił, lub wybrać się na samotną przechadzkę, którą zazwyczaj uśmierzał swą tęsknotę do towarzystwa ludzi, poszedł na poszukiwanie domu Roberty na Taylor Street.

Domostwo nie wyglądało wcale miło, gorsze było nawet niż dom pani Cuppy, a o wiele brzydsze od tego, gdzie sam mieszkał. Kamienica była stara, ciemna, sąsiednie domy też nie bardzo pociągające, jakieś staroświeckie. Lecz w oknach paliły się światła, co o tej wczesnej porze sprawiało jakieś miłe, wesołe wrażenie. Kilka drzew rosnących koło domu umilało widok.

Co tam robi Roberta? Dlaczego nie poczekała na niego przed fabryką? Dlaczego nie domyśla się, nie odczuwa jego obecności i nie wyjdzie do niego? Całą siłę woli natężał i przesyłał jej w ten sposób swoje pragnienie, żeby wyszła z domu. Lecz się nie pokazała.

Wyszedł tylko pan Shurlock i zniknął na Central Avenue. Coraz więcej mieszkańców tych domów opuszczało je i wszyscy kierowali się ku Central Avenue, Clyde musiał więc przyspieszyć kroku, żeby zejść ludziom z oczu. Wzdychał często i głęboko, była to bowiem bardzo piękna noc. Na niebie ukazał się księżyc i ciężko zawisnął żółtą twarzą nad szczytami kominów. Clyde czuł się tak osamotniony...

O dziesiątej księżyc świecił już zbyt jasno, Roberta nie ukazywała się, musiał więc odejść. Nieroztropnie byłoby tkwić tutaj dłużej. Ale noc była tak piękna, że z niechęcią wspominał o swym pokoju, zaczął więc przechadzać się po Wekeagy Avenue przyglądając się pałacom, a między innymi i pałacowi stryja. Puste były, ich mieszkańcy znajdowali się na letniskach. W oknach ciemno. Co też w taką noc porabia taka Sandra albo Bertina? Może tańczą? Dokądś się śpieszą? Czy kochają?

Ciężko jest żyć człowiekowi ubogiemu, boleśnie nie mieć pieniędzy i nie mieć możliwości ułożenia sobie życia według woli.

Nazajutrz rano wyszedł z domu wcześniej niż zwykle, pragnąc jak najspieszniej ujrzeć Robertę. Wiedział, że cały tłum robotczy będzie przeciągał przez Central Avenue i że o 7,10 i ona tamtędy będzie przechodziła. Lecz i to okazało się bezowocne. Połknąwszy w małej kawiarence jednym tchem szklankę kawy poszedł Central Avenue

ku warsztatom. Zatrzymał się na chwilę w sklepie tytoniowym i wyjrzał na ulicę. Zobaczył istotnie Robertę, lecz szła z Gracją Marr. Cóż za podłe życie! Jacyż ludzie są wstrętni! Ohydne miasto! Że też nie można spotkać się z kim się chce! Wszyscy się tu znają, jeden na drugiego wybałusza oczy!... Ale taka Roberta powinna wiedzieć, że on szuka sposobności porozumienia się z nią... Dlaczego nie chodzi sama? Cały dzień wczoraj patrzył przecież na nią, a teraz ona idzie sobie z tą Gracją, jak gdyby nigdy nic, i nawet jest zupełnie zadowolona... Cóż ona sobie wyobraża!

W bardzo kwaśnym humorze wszedł do biura, ale gdy zobaczył Robertę, zasiadającą na swoim miejscu, i gdy mu rzuciła "dzień dobry" z wesołym uśmiechem, rozweselił się nieco. Nie wszystko jeszcze stracone.

Trzecia po południu. Przez otwarte okna wpadają do sali refleksy słońca, odbite w falach rzecznych. Senny, omdlewający upał obezwładnia pracowite ręce. Tap, tap, tap, uderzają stemple w dziesiątki tuzinów kołnierzy, głuszone przez słabszy niż zwykle trajkot maszyn do szycia. Rozlega się śpiew. To Roza, Hoda, Marta, Angelina i Lena podjęły melodię piosenki "Sweethearts", nuconą przez jedną z robotnic.

Roberta, czując na sobie oczy Clyde'a i domyślając się jego uczuć, rozmyślała, jak to wszystko będzie jeszcze długo trwało, zanim on zdobędzie się na coś stanowczego. Pragnęła tego. Z jego słów, wyszeptanych wczoraj, domyślała się, że stanie się to wkrótce, bo nie wygląda na to, żeby ten śliczny chłopak umiał się poskramiać. Mówiły jej o tym wyraźnie jego oczy. Rozumiała jednak całą trudność sytuacji, wiedziała, że niełatwo mu znaleźć sposób zbliżenia się do niej. Chwilami była nawet z tego zadowolona, jak gdyby czuła pewną obawę i szukała opieki, jaką zapewnić jej mogła obecność tych dziewcząt.

Zamyśliła się nad tym głęboko i nagle z przerażeniem spostrzegła, że cały pęk kołnierzy, które już ostemplowała siedemnastką, miał mniejszy rozmiar. Wiedziała, że jest jedno tylko do zrobienia - odłożyć je na bok i poczekać na nadzorczynię albo zaraportować o tym Clyde'owi. Tak, to nawet lepiej będzie, zanim nadzorczydni

spozrzeże omyłkę. Tak zwykle robiły wszystkie robotnice, gdy popełniły jakiś błąd w pracy. Najlepszym pracownikom zdarzały się omyłki tego rodzaju.

A jednak wahała się, mimo że sprawa była pilna, czuła bowiem, że w ten sposób sama ułatwia Clyde'owi zbliżenie. Pragnie tego wprawdzie i sama, lecz boi się... Poczowała się do obowiązku oddania swej pracy Clyde'owi jako swemu zwierzchnikowi, lecz walczyła przeciw gorącemu pragnieniu zbliżenia się do tego chłopca. Wzięła w końcu pęk nieszczęsnych kołnierzy i położyła na

jego biurku, ale ręce jej drżały, była blada i gardło miała ściśnięte.

Właśnie w tej chwili Clyde ciężko głowił się nad obliczeniem rachunków swych robotnic. Nie mógł jakoś z nich wybrnąć, gdyż głowę miał czym innym zaprzątniętą. Cień padł na księgi. Podniósł głowę. Stała przed nim Roberta, pochylona lekko ku niemu. Nerwy sprężyły się, w gardle i w ustach poczuł suchość. Oto sposobność! Zauważył, że Roberta z trudem się opanowywała, lecz nadrabiając miną odezwała się:

- Omyliłam się... w całym tym pęku kołnierzy... Nie zauważyłam, że mają rozmiar piętnaście i pół... i wszystkie prawie ostemplowałam siedemnastką... Bardzo mi przykro...

Clyde widział, że mówiąc to chciała się uśmiechnąć spokojnie, lecz twarzyczka jej zbladła jak płótno, a ręka, trzymająca kołnierzyki, drżała. W jednej chwili olśniła go myśl, że jakkolwiek jej wzruszenie powinien przypisać omyłce, jednak poza tym musiało być coś więcej. W taki niewinny, delikatny sposób, onieśmielona zbliża się do niego dając mu tak długo wyczekiwaną sposobność. A on, zmieszany, wstrząśnięty prawie jej nagłym zjawieniem się, czuje takie odrętwienie, że nie może się na nic zdobyć. Ona sama... sama zbliżyła się do niego... Była na tyle sprytna, że sama ułatwiła mu rozmowę. Ależ to cudownie! Kochana, przedsiębiorcza dziewczyna!

- Nic nie szkodzi - odrzekł siląc się na swobodę. - Poślę do pralni i będzie można je chyba przestemplować. To pewnie nie z

pani winy.

Uśmiechnął się do niej z uczuciem. Oczy ich spotkały się. Roberta, powstrzymując nerwowy uśmiech, odwróciła się od niego w obawie, że zbyt jasno dała mu do zrozumienia, co ją tu przywiodło.

- Ale proszę nie odchodzić - dodał śpiesznie. - Chciałem panią o coś zapytać. Już od niedzieli szukam sposobności. Czy nie zechciałaby pani spotkać się ze mną gdziekolwiek, dobrze? Panuje tu taki przepis, że szef wydziału nie powinien widywać się z żadną z robotnic, naturalnie poza fabryką. Ale tak chciałbym widywać się z panią. Pani chyba czuje to dobrze - uśmiechnął się zdobywczo i zarozumiale - że świata poza panią nie widzę... od pierwszego dnia... A od niedzieli o niczym innym myśleć nie mogę. Jestem zdecydowany przekroczyć wszelkie przepisy. Nie zgodzę się na żadne przeszkody między panią a mną... Cóż pani na to?

- Ach, sama nie wiem - wyjąkała Roberta, która zaspokoiwszy swe pragnienie przerażona była teraz własną śmiałością.

Obejrzała się niespokojnie, bo zdawało się jej, że wszystkie oczy są w nią utkwione.

Mieszkam u Newtonów, rodziny mojej przyjaciółki, a oni są bardzo surowych zasad... Pan rozumie, że to zupełnie co innego, niż gdybym była... - chciała dodać "w domu", ale Clyde jej przerwał.

- Ach, nie o to mi chodzi... To nie ma nic do rzeczy. Chcę widywać panią. Nie chcę jej sprawić żadnej przykrości, jakkolwiek byłbym bardzo zadowolony, gdybym mógł ją odwiedzić, ale pani rozumie...

- Och, nie! Pan nie powinien... - ostrzegała Roberta. - Nie teraz w każdym razie... - zawstydzila się, bo wydało się jej, że wyraziła życzenie, aby ją Clyde odwiedził.

- Właśnie - uśmiechnął się Clyde, bo widział, że jej opór słabnie.
- Możemy w takim razie przejść się po ulicy, gdzieś koło pani domu, jeżeli pani zgodzi się na to. Tam nie ma wiele domów... Albo

po tym ogrodzie za rzeką, koło Dreamland, wie pani... Może pani zechce tam przyjść? Czekalbym na przystanku tramwajowym. Dobrze? Zgadza się pani?

- Och, boję się... naprawdę... Nigdy nic podobnego nie robiłam...

Było tyle szczerości w jej głosie, patrzyła tak niewinnie, że Clyde był tym prawdziwie wzruszony. A on ją namawia na tajemne schadzki!

- Ja nawet boję się sama wychodzić - mówiła dalej. - Tak tutaj plotkują... mógłby mnie ktoś zobaczyć... Ale...

- Ale co?

- Zdaje się, że za długo tu stoję przy panu, prawda?

Westchnęła ciężko, a i Clyde rozumiał, jakie może mieć znaczenie taka rozmowa wobec wszystkich, kończył więc śpiesznie, przekonywająco:

- A więc na rogu ulicy, dobrze? Nie może pani wyjść choć na pół godziny wieczorem, co? Dziś na przykład...

- Och, dziś nie! To za wcześnie jeszcze. Muszę nad tym pomyśleć... Może kiedy indziej...

Była bardzo podniecona, zmieszana tą wielką przygodą. Po twarzy obojga przepływały to uśmiechy, to zasepienia, o czym wcale nie wiedzieli.

- No, to w środę o wpół do dziewiątej albo o dziewiątej. Czy pani nie może tego zrobić? Proszę, bardzo proszę...

Roberta zamyśliła się chwilę, zdenerwowana. Clyde'a ujęło bardzo jej zachowanie. A ona jeszcze raz obejrzała się niespokojnie, w obawie, że wszyscy ją obserwują i dziwią się, że tak długo stoi przed swym szefem.

- Wróć już do roboty - odezwała się nie odpowiadając na pytanie.

- Jeszcze chwilkę - błagał Clyde. - Nie umówiliśmy się jeszcze. Nie chce więc pani spotkać się ze mną? O wpół do dziewiątej albo o dziewiątej, jak pani woli, dobrze?

- Więc dobrze, koło dziewiątej, jeżeli tylko będę mogła. Gdybym nie mogła, powiem panu jutro, dlaczego.

Zaczerwieniła się. Jeszcze raz rzuciła za siebie szybkie, zmieszane spojrzenie i wróciła prędko na swą ławę, drżąc cała ze wzruszenia. Taką miała nieszczęśliwą minę, jak gdyby ją złapano za rękę po spełnieniu zbrodni.

I Clyde przy swym biurku nie mógł się uspokoić. Co to się stało? Zgodziła się, nie protestowała... Zgodzili się oboje na schadzke, tu, w Lycurgus, gdzie wszyscy go znają. Straszne!

Roberta zaś marzyła. Będą razem przechadzać się przy świetle księżycy, rozmawiać, będzie czuła uścisk jego ramienia, słuchać będzie jego melodyjnego, wzruszającego głosu...

Rozdział VI

Było już zupełnie ciemno, gdy Roberta wymknęła się z domu. Ale przedtem było dużo namysłów i wyrzutów sumienia. Nie tylko trudno jej było przemóc własne skrupuły, ale stanęło przed nią zagadnienie, jak wyjść z tej pobożnej, ciasnej atmosfery, w której zasklepiła się u Newtonów. Od przyjazdu nie wychodziła nigdzie bez Gracji. A przy tym - o czym zapomniała powiedzieć Clyde'owi - miała pójść z Newtonami i Gracją do kościoła baptystów, gdzie w

środy, po mityngu religijnym, odbywały się zabawy towarzyskie z herbatą, ciastkami, grami towarzyskimi i tym podobnymi przyjemnościami. Nie wiedziała, jak wybrnąć z tego, ale nagle przypomniało się jej, że przed paroma dniami pan Liggett zauważywszy szybkie jej postępy w robocie zaproponował przejście do szwalni. Oddałby ją pod opiekę pani Braley, która by ją nauczyła szyć. Ponieważ spotkanie z Clyde'em i mityng kościelny wypadły jednego dnia, postanowiła powiedzieć w domu, że musi pójść do pani Braley, która na naukę szycia zaprosiła ją do swego mieszkania. W ten tylko sposób będzie mogła zobaczyć się z Clyde'em. Zanim Newtonowie i Gracja wrócą, ona już będzie u siebie. Boże! Jakże to będzie cudownie! Clyde znowu będzie przemawiał do niej tak słodko, jak wtedy w łódce, kiedy zapewniał, że nigdy jeszcze nie wyglądała tak ładnie. Przeróżne myśli wirowały w jej głowie - niepewne, straszne, wzruszające. Dokąd pójdą, co będą robili, czy uda się jej utrzymać go przy sobie bez narażenia się na przykrości? Gdyby już koniecznie trzeba było, gotowa jest rzucić stemplarnię Griffithsów, przenieść się do innej fabryki, aby uwolnić Clyde'a od odpowiedzialności.

Miała jeszcze jedną troskę - dotyczącą stroju. Zauważyła, że w Lycurgus przyzwoitsze panny ubierają się lepiej niż w Biltz albo w Trippetts Mills. Większą część swych pieniędzy odesłała matce, a było ich tyle, że mogła za nie zupełnie elegancko się ubrać. Teraz, gdy Clyde zajął wszystkie jej myśli, zaniepokoiła się o swój wygląd. Tego samego dnia zajrzała do swej skromnej garderoby. Wybrała sobie niebieski kapelusik, którego jeszcze Clyde nie widział, spódniczkę flanelową w białą i niebieską kratkę i białe, płócienne pantofelki, kupione jeszcze zeszłego lata w Biltz. Postanowiła poczekać aż Newtonowie z Gracją wyjdą, ubrać się przedziutko i wyjść ukradkiem z domu.

O wpół do dziewiątej, gdy ciemność już na dobre zapadła, poszła swoją Taylor Street ku Central Avenue, a dalej okrężną drogą na umówione miejsce.

Clyde już czekał. Oparł się o stary drewniany płot, który odgradzał łąn zboża, i patrzył w stronę miasteczka, skąd przez liście drzew widział okna domostw. Powietrze było przesycone

jakimś zapachem nieznanymi wonnymi korzeni - stwarzały go zmieszane wonie traw i kwiatów. Od żytnich pól szły ciepłe przeciągi lekkiego wiatru, ginące w gęstym listowiu drzew ponad jego głową. A wyżej - gwiazdy. Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica, Mleczna Droga - wielkie zjawisko gwiazdne, które ukazywała mu jeszcze jego matka. Bardzo to było dawno.

Stała mu przed oczyma wielka różnica między jego obecnym położeniem a życiem w Kansas City. I wielka zmiana charakteru. Tam był taki nieśmiały, zwłaszcza w stosunku do dziewcząt, do Hortensji Briggs i innych: Tymczasem tutaj, szczególnie od czasu, gdy zaczął pracować w stemplarni, zdobył pewność siebie, świadomość, że jest przystojny, czego dawniej nie był pewien. Wiedział, że dziewczęta wzdychają do niego, a on to przyjmuje bez najmniejszego zmieszania. A Roberta! Dość było spojrzeć w jej oczy. Wiedział, że była w nim zakochana. O tak! Jest jego najmilszym dziewczęciem! Więc gdy przyjdzie, ujmie ją w ramiona i ucałuje... A ona nie będzie miała siły oprzeć się temu.

Stał nasłuchując, zatopiony w marzeniach. Ciszę przerywał szum kłosów, przynoszący mu jakieś stare wspomnienia. Nagle ujrzał ją.

Wyglądała zgrabnie, była ożywiona, może trochę zmieszana. Stała u wylotu uliczki i obejrzała się jak wystraszone, tropione zwierzę.

Clyde zerwał się i pobiegł do niej wołając z cicha:

- Dobry wieczór! Jak to dobrze, że pani przyszła! Czy nie miała pani jakiejś przykrości?

Pomyślał nagle, o ile ona jest sympatyczniejsza od Hortensji albo Rity! Jedna była zbyt wyrachowana, druga zanadto rozwiązała i jakaś niewyraźna.

- Czy nie miałam kłopotu? Och, żadnego!

I zaczęła

mu opowiadać barwnie, zajmująco, jak wprowadziła w błąd

Newtonów, jak Gracja nie chciała pójść bez niej na zabawę kościelną, jak musiała użyć kłamstwa - ach! to okropne! - że idzie do pani Braley uczyć się szycia.

O tym projekcie Clyde nic nie wiedział i słuchał z zajęciem, bo wynikało z tego, że Liggett ma zamiar zabrać Robertę z jego oddziału. Zaczął więc wypytywać o szczegóły, nie pozwalając jej dokończyć opowiadania. Roberta spostrzegła, że go to bardzo zainteresowało, i ucieszyła się.

- Ale nie mogę tu długo zostać - powiedziała żywo, gdy Clyde wziął ją pod rękę i zawrócił ku rzece. - Zebranie baptystów nigdy nie trwa dłużej jak do dziesiątej, więc muszę wrócić wcześniej. Muszę być w domu przed nimi.

Dowodziła, jak by to było nieroztropnie, gdyby pozostała tu dłużej. Clyde musiał przyznać jej rację, ale przykro mu się zrobiło. Miał nadzieję, że zatrzyma ją dłużej, widząc jednak, że niedużo już czasu pozostaje, użył całej swej przebiegłości, żeby ją sobie zupełnie zjednać. W czułych słowach wyrażał swe uwielbienie, podziwiał śliczny kapelusz i suknię, napomykał o konieczności częstego widywania się, wreszcie chciał ją objąć, lecz Roberta usiłowała uwolnić się perswadując łagodnie:

- Nie... nie! to nie wypada. Niech mnie pan weźmie pod rękę albo ja pana wezmę.

Odsunęła jego rękę i wzięła go pod ramię. Przytuliła się do niego i starała się swój krok dostosować do jego kroku.

Clyde z radością zauważył, jak bardzo zmieniła swe zachowanie, gdy pierwsze lody zostały przełamane. Jak swobodnie i spokojnie rozmawiała.

Teraz zaczęła paplać. Lycurgus bardzo się jej podoba. Tylko strasznie jest pobożne, gorzej jest tutaj pod tym względem niż w Biltz albo w Trippetts Mills. Później opowiedziała Clyde'owi jak wygląda Biltz i Trippetts Mills, opowiedziała o swym domu - taki maleńki domek, nie warto nawet o nim mówić. Potem o Newtonach i

Gracji Marr, jak jej pilnują na każdym kroku. Usta jej się nie zamykały, a Clyde zauważył, że zupełnie inaczej wyrażała swe myśli niż Hortensja albo Rita, o wiele prościej, szczerzej. Nie tak drażniąco jak Rita, nie tak pretensjonalnie, bezmyślnie, bezczelnie, jak Hortensja. A ładna jest tak samo jak i one, tylko o wiele miłsza. A jaka byłaby śliczna, gdyby ją elegancko ubrać! Ciekaw był, co by pomyślała o nim, gdyby dowiedziała się o Hortensji i jego głupim z nią postępowaniu. O, teraz zupełnie inaczej sobie radzi...

- Od pierwszego dnia - odezwał się - starałem się zawrzeć z panią znajomość, ale pani rozumie, jakie to jest trudne. Straszne tam skrępowanie. Postawiono mi przecież warunek, żebym nie próbował nawet myśleć o bliższej znajomości z którąś z pracownic. Jakoś mi się to dotychczas udawało, ale teraz nie mogłem się przemóc.

Uściskał czule dłoń dziewczyny i nagle zatrzymawszy się, odsunął jej rękę spod swego ramienia i objął ją.

Wiesz, Roberto, oszalałem dla ciebie. Naprawdę. Jesteś najdroższą, najśłodszą dla mnie istotą. Pamiętasz? Już ci o tym mówiłem. Od chwili gdy cię zobaczyłem nie mogę sypiać po nocach. Słowo ci daję... Ciągle bez przerwy myślę o tobie. Masz takie cudne oczy i włosy. Dzisiaj wyglądasz tak prześlicznie, tak pięknie... Ach, Roberto! - Nagle ujął jej twarzyczkę w swe dłonie i pocałował tak szybko, że nie mogła się uchylić. Trzymał ją mocno, i chociaż opierała się, nie mogła wyrwać mu się z rąk.

I w niej zbudziło się pragnienie zarzucenia mu rąk na szyję i chciała, żeby ją mocno przytulił do siebie. Okropne te myśli napawały ją lękiem i wstydem. Co by ludzie powiedzieli, gdyby... Gdyby wiedzieli o tym? Ach, jakaż ona jest wstrętna, bezwstydna! Ale mimo to pragnie... Pragnie przytulić się do niego jak najbliżej.

- Panie Griffiths... - prosiła - pan nie powinien... naprawdę. Proszę, bardzo... Może nas ktoś zobaczyć. Zdaje się nawet, że ktoś idzie... Niech pan da spokój.

Obejrzała się dokoła z niepokojem, lecz Clyde, upojony roześmiał się tylko. Teraz dopiero życie nabrało dla niego uroku.

- Ja... nigdy wżyciu... Nic podobnego... - Jąkała się. - Naprawdę nigdy... Jeżeli tylko dlatego pan tak mówi...

Clyde przycisnął ją silniej do siebie nic nie odpowiadając. Widziała tylko tuż przy sobie jego bladą twarz i głodne oczy. Obsypywał ją pocałunkami mimo protestów, całował jej usta i oczy, i szyję, i uszy, wszystko było dlań ponętne i słodkie. Wreszcie szepnął błagalnie, bo nie mógł dobyć silniejszego głosu:

- Roberto, kochanie moje najmilsze, powiedz, powiedz, że kochasz. Wiem, że tak jest, ale mi to powiedz, Roberto. Straciłem głowę dla ciebie... Szaleję... Mamy tak mało czasu...

Całował ją znowu i nagle uczył, jak bezsilnie ślania mu się w ramionach. Przestała się opierać. Clyde czuł, że dzieje się coś dziwnego, nie rozumiał, co się z nią stało. Nagle uczył łzy na twarzy, głowę oparła mu na ramieniu i usłyszał:

O tak... Kocham... Kocham... bardzo...

Szloch rozpaczy czy szczęścia brzmiał w jej głosie, co tak wzruszyło Clyde'a, że sam uczył, że i jemu łzy napływają do oczu.

- Co za szczęście, Roberto... Nie płacz już... Jakaś ty dobra... Kocham cię, Roberto...

Spojrzał w górę. Nad niskimi dachami miasteczka ukazał się cienki, żółty łuk wschodzącego księżyca. Serce mu wypełniła radość przedziwna i wiedział, iż życie dało mu już wszystko, co miało mu do zaofiarowania.

Przeżyte tego wieczora uniesienie było tylko wstępem do częstych, pełnych bezgranicznych wzruszeń spotkań i schadzek, które chcieli przedłużać w nieskończoność. Byli tak niewymownie szczęśliwi, nie poświęcali ani jednej myśli dalszej przyszłości. Nie tak łatwo jednak było o każde spotkanie. Stosunek Roberty do Newtonów był wielką przeszkodą w ich miłości, a i z Gracją Marr trudno jej było sobie poradzić, gdyż jej przyjaciółka miała surowsze zasady, może z powodu brzydoty, a może dlatego, że w jej domu panowały surowsze poglądy na religię i stosunki z ludźmi. Tak ją wychowywano od dzieciennych lat. Pożądała jednak wesołości i swobody. W Robercie widziała ucieleśnienie tego wszystkiego, czego brakowało w jej otoczeniu. Była ona dla niej czymś wyjątkowym w ich konwencjonalnym świątku. Przyłgnęła też do niej i nie odstępowała na chwilę. Chciała zwierzać się jej ze swych marzeń i wierzyła, że Roberta tego pragnie. Będą mogły wymieniać wzajemne poglądy na temat miłości i mówić o różnych sprawach i to byłoby prawdziwym wytchnieniem w tej nieznośnej powszedniości życia.

Lecz Roberta nie odczuwała potrzeby tak bliskiej przyjaźni i nudziło ją to. A potem w Lycurgus, gdy już Clyde wszedł w jej życie, wcale nie miała ochoty zwierzać się ze swych uczuć. Wiedziała, że Gracji byłoby przykro, że serce Roberty nie może całkowicie do niej należeć, a poza tym nie chciała przed nią odsłaniać duszy, w której sama widziała wiele sprzeczności. Wiedziała już że kocha, a czuła jakiś lęk przed sobą samą, jak gdyby wiedząc, że gotowa jest pójść na kompromis z sumieniem w imię tej miłości. Jakże więc z tego może się zwierzyć! Takie związki świat potępia. Nikt nie będzie miał nad nią litości.

Więc gdy w poniedziałek, po tym niesłychanym spotkaniu, Gracja żartobliwie spytała o Clyde'a, Roberta postanowiła przemilczeć o swym uczuciu, nie dać nawet poznać po sobie, że jej się Clyde podoba. Odpowiedziała, że ten pan robi dość sympatyczne wrażenie, ale cóż z tego, kiedy mówił jej przeważnie o Gracji, o wrażeniu,

jakie na nim wywarła. Brzmiało to rzeczywiście niezbyt prawdopodobnie i przyjaciółka spojrzała na nią nieufnie. Roberta nie mówi jej prawdy!

- Rzeczywiście! Tak się do ciebie przystawiał i od razu widać było, że leci na ciebie...

- Bez sensu mówisz! - zawołała Roberta z gniewem. - Wcale na mnie nie patrzy... Zresztą w naszej fabryce są takie przepisy, które na to nie pozwalają.

To najbardziej przekonało Grację i uspokoiło podejrzenia, bo nie mogło jej się pomieścić w głowie, żeby ktoś chciał przekroczyć obowiązujące przepisy. Jednak jej uwagi dały Robercie wiele do myślenia. W jakiś więc dziwny sposób udało się Gracji skojarzyć w myśli jej osobę z Clyde'em! Postanowiła podwoić ostrożność i udawać zupełną obojętność.

Były to dopiero początki kłopotów, przykrości i lęków, jakich się nawet nie spodziewali, a które wynikały z nienormalnej sytuacji. Roberta musiała zgodzić się z tym, że widywać się z Clyde'em będzie mogła tylko potajemnie i to niezbyt często. Nie wiadomo nawet, kiedy będą mogli spotkać się po raz drugi.

- Widzisz, to jest bardzo trudno - mówiła do Clyde'a, gdy po paru dniach znowu udało jej się wymknąć pod pretekstem, że idzie do pani Braley. Leżało przed nimi szczerze pole za płaskim brzegiem ślicznej rzeki. - Newtonowie, jeśli gdzieś się wybierają, zawsze i mnie zabierają ze sobą. A gdyby nie, to Gracja nigdzie beze mnie nie pójdzie. Tak było zwykle w Trippetts Mills i tak się do tego przyzwyczaiła, że uważa mnie za należącą do rodziny. Dotąd było mi to obojętne, ale teraz jest mi z tym ciężko i niewygodnie i nie wiem, jak się od nich odczepić. Muszę zawsze im mówić, dokąd albo z kim idę.

- Wiem o tym, ptaszyno moja - odpowiedział tkliwie. - To wszystko prawda. Ale jak na to zaradzić? Przecież nie żądasz ode mnie, żebym tylko w fabryce cię widywał?

Patrzył na nią tak poważnie i tak smutnie, że wzruszona, chcąc uśmierzyć jego troskę, odrzekła:

- Ach, nie! Nie żądam tego od ciebie, kochany, wiesz o tym dobrze. Ale co mam robić? - Położyła miękką rękę na długiej, wąskiej dłoni Clyde'a. - Ale wiesz co? Mam siostrę w Homer, o jakie trzydzieści pięć mil stąd. Mogę powiedzieć, że pojedę do niej w sobotę albo w niedzielę. Pisała właśnie do mnie, żebym ją odwiedziła, nie myślałam o tym na razie, ale mogłabym pojechać... to jest... mogłabym...

- Ależ naturalnie! - zawołał Clyde zachwycony. - Wspaniała myśl! Świetnie!

- Poczekaj... - dodała nie zważając na jego zapał. - Ty musiałbyś naprzód wyjechać do Fonda, ja zaś wyjechałabym później i moglibyśmy się spotkać w drodze albo w Fonda, żeby nas tu nikt nie widział razem. W ten sposób będziemy mogli powrócić. Ułożę się z Agnes. Muszę do niej napisać.

- A kiedyż to będzie? - zrzędził jeszcze. - Pewnie nieprędko.

- Muszę się nad tym zastanowić... Nie wiem jeszcze dokładnie kiedy. Zobaczę... A ty też namyśl się nad tym. Ale muszę już wracać - dodała śpiesznie. Wstała. Clyde wstał również, spojrzął na zegarek. Dochodziła dziesiąta.

- Czekaj! Więc jak będzie? - nalegał. - A może byś mogła powiedzieć w niedzielę, że idziesz do innego kościoła, a tam spotkać się ze mną? Nic by o tym nie wiedzieli.

Spostrzegł, że twarz dziewczyny pociemniała. Wdzierał się w świat jej przekonań religijnych, tak ściśle zespolonych z nią samą, że nie mogłaby ich przełamać.

- Nie - odrzekła z powagą. - Tego nie chcę robić. To nie byłoby uczciwie. Ja sama nie czułabym się uczciwą.

Clyde zrozumiał, że wkroczył na niebezpieczną drogę i cofnął czym prędzej swą propozycję. Nie, nie chciał jej obrazić ani przestraszyć.

- Ach, tak... naturalnie. Masz rację. Tak mi tylko przyszło na myśl widząc, że nie możesz znaleźć innego wyjścia.

- Ale to nic, to nic, mój miły - uspokajała go, bo zauważyła jego obawę, że ją uraził. - Może to i byłoby dobre, tylko ja nie chcę tego robić. Nie mogłabym tego zrobić.

Clyde skinął głową. Wspomnienie lat dzieciennych i przykazań matczynych stanęło mu przed oczyma i zrozumiał, dlaczego nie powinien był jej tej myśli podsuwać.

Zwrócili się w kierunku Taylor Street nie mówiąc już nic o projektowanej wycieczce do Fonda i nie doszedłszy do ostatecznego porozumienia. Tylko, całując ją bez opamiętania na pożegnanie, szepnął, że powinni oboje obmyślić jakiś sposób, który by im pozwolił widywać się częściej. Na chwilę zarzuciła mu ramiona na szyję, po czym odwróciła się i pobiegła ku domowi. Patrzył jeszcze długo na jej wdzięczną postać, oblaną światłem księżyca.

Raz jeszcze w ciągu tygodnia widzieli się znowu, a w sobotę Roberta pojechała do siostry. Clyde spotkał się z nią na pierwszej stacji. Do samej chwili powrotu do Lycurgus byli niewymownie szczęśliwi. Przechadzali się po małym miasteczku, którego oboje nie znali. Wyszli i poza miasto i doszli do Starlight Park, gdzie odbywały się ludowe zabawy. Prócz zwykłych atrakcji, jak samoloty, młyny diabelskie, karuzele, sale do tańca, był jeszcze staw z łódkami. Wyglądał bardzo idyllicznie z małą estradą na wysepce, a na brzegu w klatce stał groźny niedźwiedź.

Od przyjazdu do Lycurgus Roberta ani razu nie była na takiej zabawie, chociaż pewno wiele ich się odbyło w mieście. Znalazłszy się więc tutaj, postanowili oboje wziąć udział w zabawie. Tu, w Fonda, nikt ich nie znał, mogli sobie pozwolić na taką przyjemność.

Ponieważ byli głodni, najprzód uraczyli się parówkami, potem zaś usłyszawszy przy karuzeli tony hałaśliwej muzyki Roberta zapragnęła tej zawrotnej jazdy. Rozbawieni pobiegli w tamtą stronę. Egzotyczna zebra została rumakiem Roberty, Clyde zaś objął ją w pól i stanął przy niej. Oboje próbowali zręczności chcąc w oszalamiającym pędzie zerwać pierścień miedziany. Nie zważając na otoczenie oddali się zabawie z całym entuzjazmem młodości, pełni jakiejś radosnej ekstazy. Czuli się szczęśliwi, że istnieją wyłącznie dla siebie i serca ich po brzegi wypełniała radość. Kręcili się w kółko przy akompaniamencie zgrzytliwej maszynerii, migały im przed oczyma łódki na stawie, przepływały po niebie zielone i białe samoloty z pasażerami żądnymi nieznanych wrażeń, wznosiły się i opadały kłateczki diabelskiego młyna. Przesuwały się z dala lasy, zarysowane siną smugą na tle nieba za stawem. Spojrzeli na pary tańczące na estradzie i naraz Clyde zapytał:

- Czy tańczysz, Berti?

- Nie, niestety, nie umiem - odpowiedziała zmartwiona, bo i ona pomyślała z żalem, jaka to wielka szkoda, że nie umie tańczyć. Ale kościół ostrzegał, że to jest zdrożna zabawa. Nie widziała jednak w tym nic zdrożnego, gdy patrzyła, jak ochoczo tam się bawiono. Wszyscy byli tacy weseli, tak ślicznie mieszały się barwy sukien na tle zieleni. Skąd wzięło się przekonanie, że nie wolno tańczyć? Dlaczego takie dziewczęta jak ona i chłopcy jak Clyde nie mogliby tańczyć, póki są młodzi? Młodszy jej brat i siostra wbrew zapatrywaniom rodziców zapowiedzieli w domu, że jeżeli tylko trafi się okazja, zaraz nauczą się tańczyć.

- Ach! jaka szkoda! - zawołał Clyde wyobraziwszy sobie, jak by to było rozkosznie trzymać Robertę w ramionach. - Jak by to było przyjemnie, gdybyś umiała... Ale wiesz? W parę minut mogę cię nauczyć, dobrze?

- Ależ ja nic nie umiem! - broniła się, lecz oczy jej zdradzały wielką ochotę. - Nie mam żadnych do tego zdolności. Bo wiesz, że w moich stronach uważają taniec za grzeszną zabawę. I kościół mój nie pochwała tego. A sądzę, że i rodzice moi nie byliby z tego zadowoleni.

- Bez sensu! - zawołał Clyde ubawiony. - Przecież teraz wszyscy tańczą, prawie każdy. Jakże możesz przypuszczać, że jest w tym coś złego?

- Wiem o tym - odrzekła Roberta z przekonaniem. - Wiem nawet, że wiele robotnic tańczy, ale przede wszystkim może sobie na to pozwolić człowiek na twoim stanowisku. Ty masz pieniądze i dobrą posadę, to wszystko w porządku. Ale taka dziewczyna, jak ja... Może zresztą twoi rodzice nie są tak surowi jak moi.

- Tak sądzisz? - roześmiał się Clyde zwróciwszy uwagę na zdania "na twoim stanowisku" oraz "ty masz pieniądze i dobrą posadę". - O, jeżeli chcesz wiedzieć, to są tak samo surowi jak i twoi albo może jeszcze bardziej. Ale ja mimo to tańczę. Nie zważaj na to, Berti. Zobaczysz, jak to strasznie miło... Nie chcesz, kochana?

Otoczył ją ramieniem, zajrzał w oczy i Roberta osłabła w oporze.

Właśnie karuzela się zatrzymała i oboje skierowali swe kroki ku pawilonowi, gdzie tancerze, nieliczni jeszcze, lecz bardzo ochoczy, kręcili się zwawo wkoło. Grano przeważnie fokstroty i one-stepy. Przy kołowrocie, który osłaniał resztę pawilonu, siedziała przystojna kasjerka i sprzedawała bilety po dziesięć centów za każdy taniec od jednej pary. Dźwięki muzyki i widok tanecznych par przesuwających się rytmicznie po sali podniecił Robertę i Clyde'a i nastrój zabawy udzielił się obojgu.

Orkiestrion* umilkł i tancerze zaczęli wychodzić, ale zanim wyszli, już nowy komplet biletów na tańce został rozprzedany. [* Orkiestrion, orchestrion - rodzaj prymitywnej szafy grającej] - Nie mam wielkiej nadziei, żebym mogła się nauczyć - martwiła się Roberta, gdy Clyde prowadził ją do kasy. - Taka jestem niezgrabna. Nigdy w życiu nie tańczyłam.

- Ty niezgrabna! Berti, co też ty mówisz! - zawołał. Jesteś taka śliczna i zgrabna! Zobaczysz! Niedługo będziesz tańczyła doskonale.

Zapłacił i weszli do środka.

Pełen brawury, spotęgowanej jeszcze jej opinią o nim jako o człowieku posiadającym pieniądze i stanowisko, wyszukał swobodniejsze miejsce i zaczął jej pokazywać figury taneczne. Nie było to wcale trudne, a dla Roberty, posiadającej tyle naturalnego wdzięku - bardzo łatwe. Więc zaledwie muzyka zaczęła grać, Clyde przycisnął ją do siebie i Roberta od razu weszła w takt muzyki. Oboje poruszali się rytmicznie i zgodnie. Rozkosznie było czuć się w jego objęciu, poddawać się jego woli, rozkoszny był zgodny rytm ich dwojga ciał.

- Najśłodsza moja ptaszyno - szeptał w tańcu. - Czy nie wierzysz, że jesteś tu najwytworniejszą tancerką? Od razu pojęłaś urok tańca. Jesteś takim rozkosznym dzieciakiem... Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście.

Raz po raz przebiegali w tańcu estradę, a Roberta traciła prawie przytomność ze szczęścia. Nigdy w życiu nie było jej tak dobrze. Ona tańczy! A to jest takie cudowne! I to z Clyde'em. Jaki on zgrabny, jaki elegancki. Naprawdę, jest tu najpiękniejszy ze wszystkich mężczyzn.

On też doszedł do przekonania, że nigdy jeszcze w życiu nie znał tak miłej, słodkiej kobiety jak Roberta. Taka wesoła, czarująca, uległa. Nigdy by jej nie przyszło na myśl dokuczyć mu czymś.

Tak... jest jeszcze Sandra Finchley... ale ta nie zwróciła nawet na niego uwagi... Usunie więc ją ze swej pamięci.

A jednak nawet tu, nawet czując w sobie tyle szczęścia nie mógł zapomnieć o Sandrze.

Tańczyli do wpół do szóstej, dopóki muzyka nie zamilkła z braku tancerzy. Wywieszono napis: Następny koncert o 7.30.

Poszli napić się lemoniady, coś zjeść, a potem - ach, jak prędko czas leci! - trzeba było wracać.

Czas biegł, oboje prześcigali się w pomysłach, jak urządzić się jutro. Bo Roberta musiała teraz jechać do siostry, do Homer, ale jeżeli uda się jej jutro wyjechać od niej wcześniej, on mógłby wybrać się z Lycurgus na jej spotkanie. Co najmniej do jedenastej, do ostatniego pociągu mieliby czas i mogliby nacieszyć się sobą.

Projekt się udał i w niedzielę znów spotkali się w Fonda. Chodzili po ulicach miasteczka, rozmawiali, planowali wiele rzeczy, a Roberta opowiadała trochę o sobie, o swym życiu domowym w Biltz. Miłość przepełniająca ich serca wyrażali w nieustannych pocałunkach i uściskach, mając do rozwiązania wielkie zagadnienie, jak, gdzie i kiedy zobaczą się znowu. Trzeba znaleźć jakiś sposób i to ona, Roberta, musi coś obmyślić. Bo chociaż Clyde pragnął nie rozstawać się z nią, mieć ją jak najdłużej przy sobie, nie umiał jednak zdobyć się na żaden pomysł, a przynajmniej żaden z jego projektów nie okazał się możliwy do wykonania.

Ale nie tak łatwo było coś wymyślić. Wcześniej niż za miesiąc Roberta nie będzie mogła pojechać do siostry albo do rodziców w Biltz. Więc co robić? Clyde podsuwał jako wymówkę przed Newtonami odwiedziny niby to u koleżanek fabrycznych, wyjście na pocztę, do czytelnicy, do stowarzyszeń kobiecych, ale to wystarczyć by mogło na godzinę, dwie najwyżej, a Clyde marzył o spędzaniu z nią wszystkich weekendów, jak teraz. A pozostało już ich tak mało tego lata.

Rozdział VIII

Zdawało się im, że całej tej eskapady nikt nie widział. Nikogo ze znajomych nie spotkali. Newtonów i Grację zastała Roberta już w

łóżkach. Gracja zbudziła się i rzuciła kilka obojętnych pytań. Jakże się miewa siostra Roberty? Czy cały dzień była w Homer, czy pojechała też do Biltz? Roberta odpowiedziała, że cały czas była u siostry. Gracja zapowiedziała, że musi też wybrać się do rodziców w Trippetts Mills. I zaraz usnęła.

Lecz nazajutrz przy obiedzie panny Opal Feliss i Oliwia Pope, których nie widziała przy śniadaniu, gdyż późno wróciły z Fonda, zobaczywszy wchodzącą Robertę powitały ją wesoło, chociaż po ich rewelacjach wcale jej nie było wesoło.

- O, jest pani! Widziałyśmy panią w Starlight Park. Jakże się tam tańczy, panno Alden? Widziałyśmy panią, ale pani nas nie widziała. Na nikogo nie zwracała pani uwagi, bo tylko patrzyła na swego towarzysza. Nie miałyśmy nawet odwagi podejść i przywitać się z panią. Ale bardzo dobrze pani tańczy.

Roberta zaczerwieniła się mocno. Nie przyjaźniła się nigdy z tymi pannami, a teraz nie wiedziała, jak wybrnąć z trudnego położenia. Oniemiała i wpatrzyła się w milczeniu w niepożądanych świadków wczorajszej zabawy. Myśli szybko przelatywały przez głowę. Jak wytłumaczyć się przed Gracją, której wczoraj powiedziała że była przez cały dzień u siostry.

Naprzeciw niej siedziała Gracja. Usta jej rozchyliły się, jak gdyby chciała zawołać:

- A! to tak? Piękne rzeczy! Tańczyła... i to z kim?

A Jerzy Newton podniósł ciekawie ostry wzrok, nos i spiczastą bródkę w kierunku Roberty.

Roberta, czując, że musi coś na to odpowiedzieć, odrzekła:

- A tak, pojechałam tam na chwilę. Jechały przyjaciółki mojej siostry i namówiły mnie. - Chciała dodać: - Niedługo tam bawiłyśmy, ale wstrzymała się, bo wrodzona odwaga przyszła jej na pomoc. Niby dlaczego nie mogła być w Starlight Park, jeżeli jej się tak podobało? Jakie niby prawo mają Newtonowie albo Gracja czy

ktokolwiek inny wtrącać się do jej spraw. Jest zupełnie samodzielna. Nieprzyjemnie jest tylko, że złapano ją na kłamstwie, ale to tylko dlatego, że tak niezdolnie opiekowano się nią nieustannie i pilnowano każdego kroku.

- Chyba ten młody człowiek nie mieszka w Lycurgus - dodała znów panna Pope. - Nie pamiętam, żebym go tu kiedy widziała.

- Nie, nie mieszka w Lycurgus - odrzekła Roberta krótko i chłodno. Złękła się, żeby jej znów nie złapano na kłamstwie przy Gracji, która i tak będzie pewnie obrażona za te tajemnice przed nią. Miała ochotę wstać od stołu, odejść i nigdy tu nie powrócić. Nie uczyniła tego wszakże, starała się tylko opanować i patrzyła na obie dziewczyny chłodnym wzrokiem. Spojrzała również wyzywająco na Grację i Newtona. Jeżeli będą się dopytywać natarczywie, poda jakieś zmyślane nazwisko rzekomego przyjaciela swego szwagra albo jeszcze lepiej będzie, jak odmówi wszelkich wyjaśnień? Niby dlaczego ma koniecznie mówić im wszystko?

Wieczorem tego dnia doszło do rozprawy. Do jej pokoju weszła Gracja i zaczęła z wymówką w głosie:

- O ile pamiętam, powiedziałaś mi, że cały czas byłaś u siostry.

- Więc cóż z tego, że powiedziałam? - odparła Roberta z oburzeniem, nawet z pewnym uniesieniem, nie dodawszy ani jednego łagodniejszego słowa, bo nie chciała, żeby Gracja zaczęła jej prawić morały. Widziała, że główną przyczyną gniewu i złości Gracji było to, że wyjechała bez niej.

- Ależ dobrze. Nie potrzebujesz mnie nadal okłamywać, jeżeli chcesz gdzieś pójść lub z kimś się zobaczyć. Obejdę się bez twego towarzystwa i nie chcę wiedzieć, gdzie i z kim chodzisz. Możesz mi nic nie opowiadać, to przynajmniej nie wyda się nigdy twoje kłamstwo przed Jerzym i Mary. Chciałaś wymknąć się beze mnie, a teraz tak wygląda, jakbym to ja kłamała, żeby cię osłonić. Wcale sobie nie życzę, żeby mnie o to posądzano.

Była bardzo obrażona i wojowniczo usposobiona. Roberta widziała,

że tego nie da się już naprawić. Mniejsza o to! Gracja to prawdziwa pijawka, pasożyt na jej ciele. Nie umie żyć własnym życiem i do niczego sama nie jest zdolna. Zawsze wymagała od Roberty, aby całkowicie jej się poświęcała, żeby zwierzała się z każdej myśli i zamiarów. Ale co by to było, gdyby opowiedziała jej o Clyde'ciu? Jakaż byłaby zgorszona, jak surowo osądziłaby jej postępowanie! Zwierzać się jej nie myśli, bo z pewnością narazi się na przykrości. Odpowiedziała więc chłodno:

- Ależ dobrze! Będzie, jak chcesz. A ja nie mam wcale zamiaru ze wszystkiego zwierzać się przed tobą.

Gracja zrozumiała, że wszystko skończone, Roberta już jej nie lubi i nie zależy jej na przyjaźni. Wyszła więc z pokoju sztywna, z podniesioną głową.

Roberta wiedziała, że ma w niej odtąd nieprzyjaciółkę. Pozostaje jej tylko jedno do zrobienia, musi się stąd wyprowadzić. Wszyscy tutaj mają ciasne poglądy. Nie chcą nawet zrozumieć potrzeby ukrywania swych uczuć. Jakże może im powiedzieć o znajomości z Clyde'em, o tym stosunku tak niezbędnym mu do życia, jak sam twierdzi, a tak kłopotliwym a nawet hańbiącym dla niej z pewnego punktu widzenia - a jednak tak dla niej drogocennym. Ona go kocha, ogromnie kocha. Powinna więc znaleźć jakieś wyjście, żeby uchronić siebie i jego od przykrych następstw. Nie ma innej rady, musi się przeprowadzić, musi zdobyć się na więcej stanowczości i odwagi. Trzeba znaleźć pokój niekrępujący u zupełnie obcych ludzi. Trzeba też będzie pewnie wytłumaczyć przyczyny tej zmiany matce i siostrze. W każdym razie pozostać tu nie może. Trudno dłużej znosić tę Grację, tych Newtonów, a zwłaszcza tę Newtonową, siostrę Gracji, która jak średniowieczna purytanka zrobiła taką minę, jakby ją zdybała na Bóg wie jak grzesznym uczynku. Tańczyła! W tajemnicy przed nimi! Był jakiś młodzieniec, o którym nic nie chciała powiedzieć, jak i o swej bytności w Starlight Park. Wielkie rzeczy! O, była pewna, że dopiero teraz rozpocznie się na dobre szpiegowanie, domyśliła się tego po obrażonej, pysznej minie Gracji. Niepodobna będzie widywać się z Clyde'em.

Kierując się tymi względami biła się z myślami przez całe dwa dni.

Porozumiała się wreszcie z Clyde'em, który stanowczo był zdania, że powinna uzyskać zupełną niezależność i znaleźć mieszkanie, gdzie nikt by jej nie szpiegował. Dał jej nawet w tym celu dwugodzinny urlop.

Zwróciła się w zupełnie przeciwną dzielnicę, gdzie była pewna, że nie spotka nigdy Newtonów, a rozejrzawszy się po lokalach, w niespełną godzinę znalazła pokój, który jej się bardzo podobał.

Był to stary dom na Elm Street. Mieszkanie zajmował tapicer z żoną i dwiema córkami, z których jedna była modniarką, a druga chodziła jeszcze do szkoły. Pokój był na parterze i od frontu, tuż przy bramie. Z bramy wchodziło się do saloniku, który oddzielał pokój do wynajęcia od reszty mieszkania, tak że wchodziło się i wychodziło prawie bez skrępowania. Podobało się to Robercie, bo zupełnie swobodnie będzie mogła wychodzić na spotkanie z Clyde'em, co było przecież najważniejsze. W dalszej rozmowie z panią Gilpin przekonała się Roberta, że oboje z mężem nie trzymają się tak surowych zasad jak Newtonowie. Gilpinowa była otyłą, powolną, niezbyt energiczną kobietą, zbliżającą się do pięćdziesiątki. Powiedziała Robercie, że dotąd nie miała lokatorów ani stołowników, gdyż i bez tego wystarcza im na utrzymanie. Że jednak pokój ten jest dla nich prawie bezużyteczny, bo nawet nie łączy się z resztą mieszkania, postanowiła go wynająć, czemu i mąż jej się nie sprzeciwia. A wynając chciała komuś pracującemu poza domem i tylko kobiecie, która by również chciała jadać z nimi. Poza tym nie stawiała żadnych pytań co do rodziny Roberty i jej znajomości, przyglądała się jej tylko z wielkim zajęciem. Zdaje się, że Roberta uczyniła na niej miłe wrażenie. Przypuszczała także, że zwyczaje państwa Gilpin nie będą jej wcale obowiązywały.

Dała więc zadatek, powiedziała, że zajmie ten pokój za parę dni, i wróciła do roboty.

A jednak czuła pewien niepokój zrywając w ten sposób z Newtonami. Podświadomie odczuwała, że na dnie jej postępowania leży chęć ukrycia czegoś niestosownego, nawet występnego. Pokłóciła się z Gracją Marr, jej jedyną tutaj przyjaciółką, z tego wynikło zerwanie z jej rodziną. A przecież Gracji zawdzięcza swój przyjazd

do Lycurgus. Co też rodzice pomyślą, jeżeli dowiedzą się o przyczynach zerwania z Gracją? Czy dobrze więc zrobiła? Czy to możliwe, żeby tak szybko zmieniła swe zapatrywania? Poczęła się obawiać, że zachwiały się nieco jej niewzruszone zasady.

Ale przecież miała Clyde'a... Czyż może go opuścić?

Wiele przetrwała w sobie przykrych myśli, zanim doszła do przekonania, że nie może go opuścić.

Po obiedzie tego samego dnia powiedziała Newtonowej, że się wyprowadza. Postanowiła w razie potrzeby tłumaczyć się tym, że jej młodsze rodzeństwo ma przyjechać do Lycurgus i mieszkać z nią razem, a ponieważ to wkrótce już nastąpi, więc ze względu na nich musi wziąć odpowiednie mieszkanie.

Newtonowie byli jednak pewni, że na to postanowienie wpłynęły nowe znajomości, jakie Roberta zawiązała, i byli nawet zadowoleni, że się wyprowadza. Zmieniła się bardzo, staje się dziewczyną żądną wrażeń, czego oni tolerować nie mogą ze względu na Grację. Niechże więc robi, co chce, jest już pełnoletnia. Zdaje się jednak, że wkroczyła na błędną drogę i szukając szczęścia postępuje zupełnie niewłaściwie i wręcz odmiennie niż kiedyś w Trippetts Mills.

Roberta przeprowadziwszy się do nowego mieszkania i oswoiwszy się z nową atmosferą, nie była zbytnio z siebie zadowolona, mimo iż cieszyła ją większa swoboda. Nie była pewna, czy dobrze zrobiła. Może... może zbyt śpiesznie się zdecydowała. Uczyniła to w gniewie i może później żałować. Ale już się stało i nie ma na to rady. Spróbuje samodzielnego życia przez czas jakiś.

Aby uspokoić własne sumienie, napisała zaraz do matki i do siostry i podała mniej więcej prawdopodobną przyczynę rozstania z Newtonami. Gracja zrobiła się niemożliwa. Chce przewodzić nad wszystkimi, jest strasznie zarozumiała, wprost nie do wytrzymania. Ale mama niech się nie martwi. Znalazła sobie doskonale mieszkanie. Ma własny pokój i jeżeli Emilia i Tom, a nawet mama i Agnes chcieliby tu kiedy przyjechać, może ich pomieścić u siebie

doskonale. Poznałaby ich z Gilpinami, których zaczęła w liście opisywać.

W głębi duszy wszakże tkwiła jej myśl uprzykrzona, że ta ich miłość, tak gorąca i niepohamowana, jest igraniem z ogniem, i że następstwem tego może być ludzka pogarda. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, że ten oddzielny pokój i swoboda na jaką pozwala właścicielka mieszkania, mogą stać się dla niej niebezpieczne, a jej postępowanie może zupełnie zmarnować jej przyszłość. Czasami więc, gdy opanowywała ją jakaś niezmożona, namiętna wprost chęć rzucenia wyzwania całemu światu, podeptania wszelkich zasad moralności i zatkania uszu na głos rozsądku, zapytywała siebie z rozpaczą: Co mam robić?

Rozdział IX

Przez parę tygodni spotykali się teraz w okolicach miasta, gdzie mogli dojeżdżać kolejkami podmiejskimi do różnych lunaparków. Oboje jednak nie zwierzając się z tego przed sobą doszli do wniosku, że wszystkie te miejsca miały swe ujemne strony. Gdzieś w głębi, na dnie świadomości, czaiła się myśl, że pokój Roberty stoi bezużyteczny i mogliby z niego korzystać swobodnie. Choć Clyde nie powiedział sobie nigdy otwarcie, że jego stosunek z Robertą ma przekroczyć kiedykolwiek ramy zwykłej znajomości czy platonicznej miłości, jednak teraz ten oddzielny, niekrępujący pokój otwierał dalsze perspektywy. Było to wrodzone, może nawet naganne, lecz zwykłe, ludzkie i prawie nieuniknione pragnienie czegoś więcej, pożądanie głębszego i silniejszego życia się, ściślejszego zespolenia, śledzenia myśli i wszystkich czynności ukochanej kobiety, żeby móc sobie powiedzieć, że jest jego - całkowicie, niepodzielnie jego.

Lecz w jaki sposób ma zostać - jego?

A więc małżeństwo? Wprzęgnięcie się w to pospolite jarzmo życia? I to ma być przyszłość? Nie leżało to w jego zamiarach. Nigdy nie uważał, żeby było możliwe małżeństwo z Robertą czy jakąkolwiek inną dziewczyną niższego pochodzenia. Niemożliwe to było przede wszystkim ze względu na jego krewnych, na ich stanowisko w mieście. Co by sobie o nim pomyśleli? Uważał się w ogóle za coś wyższego od Roberty i chciał z tego wyciągnąć wszelkie możliwe korzyści. Zanadto był tutaj wszystkim znany, mówiono już wiele o nim.

Rozważając to z innej strony musiał przyznać, że Roberta podobała mu się bardzo, a poznawszy jej charakter musiał zgodzić się z tym, że dziewczyna jest jego godna i może byłby bardzo szczęśliwy, gdyby uznał za możliwe ożenić się z nią.

Nadchodziła jesień. Wieczory już były chłodne, przelatywały ostre, mroźne wiatry, lunaparki znajdujące się w okolicach Lycurgus zostały już prawie wszystkie zamknięte. Na tańce też trudno było chodzić, bo odbywały się tylko w podmiejskich salach i Roberta nie chciała tam bywać, więc zaniechali tej rozrywki. Pozostawały kościelne zebrania, kina i restauracje, ale tam każdy mógł Clyde'a zobaczyć, więc oboje zgodzili się z tym, że i tam bywać nie mogą. Więc co robić? Na dworze zimno, nie było dokąd pójść, pozostało tylko jedno ciepłe schronienie - pokój Roberty. Lecz Clyde wiedział, że Roberta nie zechce się na to zgodzić, więc nie miał jakoś odwagi podsunąć jej tę myśl.

Któregoś wieczora, na początku października, w sześć tygodni po sprowadzeniu się Roberty do nowego mieszkania, spotkali się na jednej z uliczek na krańcach miasta. Liście już gęsto spadały z drzew, powietrze było chłodne, gwiazdy silnie mrugały na niebie. Roberta otuliła się w zimowy zielony płaszczyk. W kapelusiku przybranym brązową skórą było jej bardzo do twarzy. Pocałowali się na przywitanie równie gorąco jak za pierwszym razem, a nawet z większą namiętnością.

- Zimno się robi - odezwał się Clyde. Była już jedenasta i istotnie ochłodziło się bardzo.

- Rzeczywiście. Muszę wkładać cieplejsze palto.

- Nie wiem doprawdy, co będziemy teraz robili. Nie ma zupełnie dokąd pójść, a to łażenie nocą po ulicy wcale nie jest przyjemne. Czy nie uważasz, że mógłbym do ciebie wstąpić na chwilę? Przecież jest tam zupełnie inaczej niż u Newtonów.

- Tak, ale teraz Gilpinowie zaczęli przesiadywać w saloniku do wpół do jedenastej, a często nawet do jedenastej. Przy tym obie ich córki często tam wchodzą i wychodzą, nieraz do północy. Siedzą tam prawie ciągle. Nie zdaje mi się więc, żeby to było możliwe. Przecież nieraz mówiłeś, że nie chcesz, żeby cię ze mną widziano, a gdybyś wszedł, musiałabym cię im przedstawić.

- Toteż ja nie o tym myślałem - odrzekł Clyde śmiało. Uważał, że Roberta jest zanadto ostrożna, czas już wielki, żeby stała się bardziej uległa, jeżeli go tak kocha, jak mówi. - Czyż koniecznie muszą wiedzieć, jeżeli wstąpię do ciebie na chwilę. - Wyjął zegarek i zobaczył, że jest już wpół do dwunastej. - Teraz na przykład nie będzie tam nikogo.

Potrząsnęła głową przecząco. Na samą myśl o tym słabo jej się robiło. Jak Clyde mógł jej to proponować nawet! W tym żądaniu zawierało się to wszystko, czego się tak obawiała i tajemnie pragnęła, coś występnego, niskiego, straszego nawet. Nie, nie chce! Tego była pewna, że nie chce. Obudziła się w niej chęć wyrażenia głośno swych myśli.

- Nie! Nie zgodzę się nigdy na to! To nie wypada. Może nas ktoś zobaczyć... Może ktoś ciebie poznać.

Tak silna była jej moralna odraza, że bezwiednie wysunęła się z jego objęć.

Clyde pojął, jak głęboki był ten nagły bunt, jednak żądza posiadania była w nim tak bardzo dominująca, że odczuł prawie

rozpacz, iż nie osiągnie tego nigdy. Wszystkie uwodzicielskie komunały znalazły się na jego ustach: - Któż by nas mógł zobaczyć, tym bardziej o tej porze. Nie ma żywego ducha tutaj. Kogo może obchodzić, że wejdziesz do ciebie na parę minut. Nikt o tym wiedzieć nie będzie. Możemy nawet nie rozmawiać głośno. Nawet na ulicy nie ma nikogo. Przejdziemy się przed domem i zajrzemy przez okno.

Dotychczas Roberta nie pozwalała mu nawet chodzić po tej ulicy, była pod tym względem bardzo stanowcza. Dziś jednak Clyde był tak natarczywy, a dziewczyna szanując go nie tylko jako adoratora, lecz i jako zwierzchnika, nie umiała się jakoś oprzeć jego żądaniu.

Cisza była dookoła, tylko gdzieś z dala słychać było szczekanie psa. Wszystkie okna domu były ciemne.

- Widzisz, nie ma nikogo - przekonywał Clyde. - Dlaczego nie mielibyśmy wejść? Któż o tym będzie wiedział? Co w tym złego? Czyż nikt tego nie robi? Ileż to panien przyjmuje młodych ludzi u siebie?

- Może. Ale człowiek na twoim stanowisku nie może u mnie bywać. Ja dobrze wiem, co można, a czego nie można, a tego nie chcę robić.

Serce jej skurczyło się boleśnie po tych słowach. Wykazała całą siłę swego charakteru z pewną zuchwałością, której się po niej nie spodziewał, a i sama nie wyobrażała sobie nawet, że jest do tego zdolna, zwłaszcza że chodziło o niego. Ogarnął ją lęk. Może Clyde przestanie ją kochać, jeżeli tak będzie mówić do niego.

Sposepniał od razu. Czemu ona tak postępuje? Zanadto ostrożna, zbyt lękliwa, boi się wszystkiego, co może nadać wartość i urok życiu. Inne dziewczęta postąpiłyby zupełnie inaczej. Na przykład Rita albo jego robotnice... A powiada, że go kocha... Nie protestuje, gdy ją bierze w objęcia i całuje tu, na ustronnej uliczce, a gdy chodzi o prawdziwy dowód miłości, duma jej na to nie pozwala. Cóż to za rodzaj kobiety? Nie warto sobie nią głowy zawracać. Czyżby była podobna do Hortensji Briggs, z jej ciągłym wahaniem i wodzeniem za nos? Oczywiście, Roberta nie jest tak

sprytna jak tamta, to tylko upór z jej strony.

Nie mogła dojrzeć w ciemnościach jego twarzy, czuła jednak, że jest na nią rozgniewany i to po raz pierwszy.

- Dobrze, jeżeli nie chcesz, to nie! - usłyszała jego słowa, wypowiedziane chłodnym tonem. - Mam jeszcze dokąd pójść. Widzę tylko, że nie chcesz zgodzić się na to, co dla mnie jest ważne. Chciałbym tylko wiedzieć, jak sobie teraz wyobrażasz nasze spotkania? Czy mamy co noc łączyć po ulicach?...

Mówił tonem ponurym, złowróżbnym, zrzędnym i - gorzkim. Nigdy tak jeszcze nie przemawiał do niej. A wzmianka o tym, że ma dokąd pójść, dotknęła i przeraziła Robertę tak dalece, że zawahała się w swym oporze. O tak, jest pewna, że od czasu do czasu widuje te piękne panny, należące do jego świata. Jej koleżanki z fabryki też próbują robić do niego słodkie oczy! Widziała to nieraz! Taka Roza Nikoforycz, chociaż ordynarna, ale bardzo ładna. I Flora Brandt... I Marta Bordaloue, oho! Pomyśleć tylko, żeby takie nędzniczki śmiały podnieść oczy na takiego ładnego chłopca!... A jednak tego mniej się obawiała, niżby się zdawać mogło. Tak, nie tyle obawiała się tych dziewcząt prostych, nieobytych, ile pięknych panien, w których towarzystwie niewątpliwie Clyde się obracał. Może więc go stracić... Myśl ta ją obezwładniała. Stanowczy swój ton zmieniała na błagalny.

- O, Clyde, nie gniewaj się na mnie, proszę cię. Wiesz dobrze, że gdybym mogła, chętnie zgodziłabym się. Ja tego nie mogę zrobić... Czy nie rozumiesz? Wiesz sam dobrze dlaczego. Wszyscy się zaraz dowiedzą... A co sam powiesz, jeżeli cię kto zobaczy i pozna?

Położyła mu rękę na ramieniu, potem go objęła i Clyde odczuł, że mimo całej stanowczości była bardzo przejęta.

- Proszę cię, nie namawiaj mnie - dodała z prośbą w głosie.

- Więc po co wyprowadziłaś się od Newtonów? - zapytał markotnie. - Nie wiem, gdzie będziemy się mogli widywać, jeżeli nie chcesz mnie chociaż na chwilę przyjąć u siebie. Dokąd pójdziemy?

Zamyśliła się nad tym. Istotnie, dłużej ich znajomości nie można było utrzymać w konwencjonalnych ramach. A jednak wiedziała, że zgodzić się nie może. To nie jest przyzwoite ani moralne. To jest złe!

- Myślę - odezwała się błagalnie, słabym głosem - że będziemy mogli wyjeżdżać gdzieś na soboty albo niedziele.

- Ależ dokąd pojedziemy teraz? Wszystko już zamknięte.

Trudna do rozwiązania komplikacja zgnębiła do cna Robertę. Westchnęła żałośnie. - Trzeba się nad tym zastanowić.

- Nie byłoby się nad czym zastanawiać, gdybyś tylko chciała się zgodzić. Ale z tobą tak zawsze...

Stała zamyślona. Mroźny wiatr otrząsał suche liście. Zastanawiała się długo nad jego projektem. Czyż musi koniecznie zgodzić się na to, czego zasady, wpajane od dzieciństwa, wzbraniały jej stanowczo? Walczyły w niej dwie odrębne moce, równie silne i potężne. Jednak gotowa była mimo wszystko zgodzić się, jakkolwiek strasznie było odrzucić od siebie to, z czym się już zrosła. Druga pasowała się z chęcią niesłuchania stanowczo takich zuchwałych i nieprzyzwoitych podszeptów. Nie umiała jednak zdobyć się na kategoryczną odprawę w obawie o utratę jego miłości, więc tylko czule, błagalnie próbowała przekonać kochanka.

- Nie mogę, Clyde, naprawdę nie mogę. Chciałabym, ale nie mogę. To nie byłoby przyzwoicie. Na pewno zgodziłabym się, gdybym mogła...

Spojrzała na niego, na blady owal twarzy, zaledwie widoczny w ciemnościach nocy. Chciałaby go uścisnąć, jakoś przejednać. Zirytowany jednak jej oporem, Clyde nie był wcale skłonny do wzruszeń. Wszystkie te perypetie zanadto mu przypominają Hortensję. Nie będzie latał za nią tylko dla jej pięknych oczu. Jeżeli Roberta obrała sobie taki rodzaj postępowania, owszem, może, ale nie z nim. Znajdzie sobie dosyć dziewcząt - o, bardzo

dużo, które lepiej go będą traktowały.

Wzruszył więc ramionami, odwrócił się i chciał odejść.

- Dobrze. Rób, co chcesz.

- Nie odchodź, Clyde, proszę cię! - zawołała nagle przerażona Roberta. - Nie opuszczaj mnie! - Cała jej pewność siebie uleciała, kołatała tylko w sercu głęboka rozpacz. - Tak bardzo cię kocham! Przecież zgodziłabym się, gdybym mogła... Wiesz o tym.

- O naturalnie, że wiem. Nie potrzebujesz mi o tym mówić.

Nauczony doświadczeniem z Hortensją i Ritą, wiedział teraz, jak ma postępować. Szybko uwolnił się z jej objęć i ruszył prosto przed siebie ciemną uliczką.

A Roberta zachwiała się, gdy tak brutalnie została odepchnięta przez chłopca.

- Clyde - zawołała i pobiegła za nim licząc, że zatrzyma się i pozwoli ubłagać.

Lecz on nawet się nie odwrócił. Przeciwnie, przyspieszył kroku. Przez chwilę zdawało się jej, że nic innego nie pozostaje, tylko dogonić go i choćby siłą zatrzymać. Jej Clyde! Biegła więc za nim przez chwilę, lecz nagle zatrzymała się zrozumiawszy, jak nieprzyzwoicie się zachowuje. Po raz pierwszy w życiu... Wpojone nakazy dobrego wychowania i norm moralnych unieruchomiły ją. Nie będzie się poniżała.

Gnało ją ku niemu pragnienie miłości, rozkoszy, pocałunków. Może być już za późno! Odejdzie od niej na zawsze... Ach, ujrzeć raz jeszcze jego cudne oczy... jego piękne ręce... twarz umiłowaną... Usłyszeć zbliżające się echo jego kroków... Tak silnie jednak zakorzeniono w niej zasady, że chociaż nieludzko cierpiała, chociaż cała jej istota rwała się ku niemu - zatrzymała się, czując, że nie powinna biec za nim, ani stać tu dłużej, że powinna zrozumieć i wytrzymać ból zerwania. Stała odrętwiała i cicha i

tylko powtarzała szeptem imię Clyde'a.

- O Clyde, nie odchodź! Miej litość nade mną!

On zaś był już daleko i nie mógł słyszeć. Szedł szybko, zły i rozdrażniony. Echo jego kroków dochodziło coraz słabiej, słabiej.

Była to pierwsza rana miłosna w jej życiu. Straszna, bolesna, krwawa rana.

Z tą raną w duszy wróciła do domu.

Rozdział X

A więc odszedł od niej. Odszedł z gniewem w sercu. Ale to on sam przecież postawił tę kwestię tak kategorycznie, a jej wyćwiczone w zasadach moralności sumienie musiało sprzeciwić się takiej niewłaściwej propozycji i zbyt daleko sięgającym zamiarom. Nie uważało tego za uczciwe. Ale co teraz ma robić? Jak na to poradzić?

Rozwinęło się w niej prawdziwe, silne uczucie, a młodość nie umie się opierać prawdziwej, silnej miłości. Prócz tego miała ona pożywkę w ułudzie co do materialnych warunków i pozycji towarzyskiej Clyde'a - ułudzie, na którą Clyde co prawda nie miał wcale wpływu i która ugruntowana była jedynie na domysłach i pogłoskach, nad czym nie miał możliwości zapanować. Ognisko zaś domowe Roberty i jej własne położenie było niezbyt szczęśliwe, żeby na tym mogła opierać swą przyszłość.

Wszedłszy do swego pokoju rozebrała się z wolna, nie czyniąc

hałasu, i wsunęła się do wielkiego, staroświeckiego łóża. I jeszcze raz powiedziała sobie:

- Nie, nie mogłam się na to zgodzić. Nie powinnam. Nie mogłam tego pragnąć. Stałabym się występna... Nie mogę tego uczynić, chociażby żądał tego ode mnie, chociażby mi groził, że mnie porzuci. Powinien się wstydzić takiego żądania.

Jednocześnie przyszło jej na myśl pytanie, co jednakże w tych warunkach mieli teraz robić? Bez wątpienia co do tego Clyde miał rację. Nie mieli dokąd pójść. Wszędzie mogli go poznać. Wstrętne te przepisy fabryczne! Ale gdyby nawet takich przepisów nie było, sami Griffithsowie mieliby za złe Clyde'owi, że poniża się zadając z robotnicą. To samo myśleliby Newtonowie i Gilpinowie, gdyby wiedzieli, kim on jest. Gdyby się o tym dowiedziano, niesława padłaby na niego i na nią. Ona zaś nigdy nie uczyni nic takiego, co by mu mogło przynieść wstyd - nigdy!

Pozostaje więc jedno chyba tylko do zrobienia. Powinna dostać zajęcie gdzie indziej, a wówczas nie będą potrzebowali krępować się i on nie będzie mógł objawiać tak gwałtownie chęci przekroczenia progów jej pokoju i zbliżenia. Lecz w takim razie nie widywaliby się wcale we dnie, tylko wieczorami i to nie codziennie. Więc i ten projekt upadł.

Wkrótce nadejdzie dzień i zobaczy Clyde'a w fabryce. A tam nawet nie będą mogli się rozmówić... Nie! to niemożliwe! To śmieszne! Straszne!

Usiadła na łóżku, poderwana tą myślą. Widziała przed sobą Clyde'a patrzącego na nią obojętnymi, chłodnymi oczyma.

Skoczyła na równe nogi, zapaliła lampkę na środku pokoju, podeszła do lustra, wiszącego nad starą orzechową komodą w rogu, i wpatrzyła się w siebie. Wiedziała, że zobaczy ciemne obwódki pod oczami. Była tak odrętwiała i zimno jej było. Stała potrząsając głową bezradnie, w roztargnieniu. Nie powinien tak sądzić o niej. Nie powinien być tak dla niej okrutny. Ach, żeby wiedział, jak ciężkiej, niemożliwej rzeczy żądał od niej... O, Boże! żeby ten

dzień nadszedł wreszcie, żeby mogła ujrzeć znów jego oczy... Żeby nadszedł jak najprędzej wieczór, żeby mogła ująć go za ręce, poczuć uścisk jego ramion...

- Clyde! Clyde! - zawołała prawie głośno. - Czy to możliwe, żebyś żądał tego ode mnie? Nie możesz tego żądać!

Przeszła do zniszczonego, wyściełanego fotela, stojącego przed małym stolikiem, na którym leżały książki i pisma i chcąc uciec od dręczących ją myśli zasiadła tam podparwszy twarz rękoma i opierając łokcie na kolanach. Lecz myśli nie uciekły, a chłód dreszczem przebiegał jej ciało. Wzięła więc z łóżka szal, owinęła się nim starannie i otworzyła jakiś katalog, lecz go w tej chwili odrzuciła.

- Nie, nie! Nie powinien był żądać tego ode mnie. I ona nie może się na to zgodzić. Ach, ileż to razy mówił, że stracił dla niej głowę, że szaleje z miłości... Tak cudownie bawili się podczas lata... A teraz...

Nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, to siadała na brzegu łóżka z twarzą opartą na dłoniach, to podchodziła do lustra, to zaglądała z niepokojem w okno, czy nie dnieje. O szóstej było już szaro, o wpół do siódmej pojaśniało. Powinna już się ubierać, lecz ciągle jeszcze przechodziła z łóżka na fotel lub przed lustro.

Przez tę całą noc bezsenność doszła do jednego tylko wniosku: w żadnym razie nie może dopuścić do tego, żeby ją Clyde porzucił. To się stać nie może. Musi mu coś takiego powiedzieć czy uczynić, żeby musiał ją kochać, nawet... nawet, gdyby musiała zgodzić się przyjąć go tutaj od czasu do czasu. Jeżeli nie tutaj, to może w jakimś innym pokoju, w jakimś innym domu, gdzie mogłaby odpowiednio urządzić się, powiedzieć, że jest jej bratem czy coś podobnego.

Aby zrozumieć dokładnie Clyde'a, upór jego żądania i urazę do Roberty, należałoby znać jego życie w Kansas City i okres, kiedy bezowocnie zabiegał o względy Hortensji Briggs. Tu w Lycurgus porzucił Ritę, zerwawszy zawiązujący się romans. A chociaż obecne

warunki i cała sytuacja były inne i nie miał powodu posądzać Roberty o obłudę, jaką odznaczał się charakter Hortensji, utrwaliło się jednak w nim przekonanie, że wszystkie, bez wyjątku wszystkie dziewczęta są niesłychanie ostrożne i przebiegłe. Usiłują doprowadzić mężczyznę do takiej uległości, żeby wszystko czynił dla nich, nic mu w zamian nie dając.

Ratterer zwykle oburzał się na niego za jego zapalczywość i zbytne oddanie w miłości.

- Nie warto - powiedział. - Po co mają kobiety wiedzieć, że ci tak na nich zależy? Jesteś przystojny, szykowny, niech więc lepiej one lecą na ciebie.

Pamięta, że ta rada i ten komplement wielkie wtedy na nim zrobiły wrażenie. Ale ponieważ wtedy nie powiodło mu się z Hortensją, więc teraz bezwiednie wrócił do dawnych metod. Okazuje się, że nawet z Robertą nie można być niczego pewnym.

Nie można powiedzieć, żeby zamykał oczy i na inne strony tej sprawy. Nie był już naiwny i wiedział dobrze, że taki nieoficjalny związek może stać się niebezpieczny w przyszłości. Niezbyt może jasno, lecz zdawał sobie sprawę z tego, że chce zacieśnić związek, na który Robertcie przesady i zasady nie pozwalają patrzeć inaczej jak na ciężki grzech. Czy więc w ten sposób nie buduje podstaw do żądania ze strony Roberty pewnych form zadośćuczynienia w przyszłości, o których on nie może nie wiedzieć. W tym wypadku on jest stroną atakującą, nie ona. Gdyby więc miały z tego związku wyniknąć jakieś naturalne zupełnie skutki, czy nie stawia jej w położeniu, kiedy byłaby zmuszona żądać od niego więcej, niż on dać zamierzał? Czy miał zamiar ożenić się z nią? W głębi duszy miał przeświadczenie, że nigdy nie nosił się z tym zamiarem, chociażby ze względu na swych krewnych. A więc czy może ten stosunek zacieśnić, czy nie? Jeżeli dojdzie w końcu do tego, czy może być pewny, że zdoła uniknąć wszelkich konsekwencji?

Może tak wyraźnie o tym nie myślał, ale mniej więcej to rozumiał.

Mimo wszystko rozbudzona żądza kazała mu zapomnieć o niebezpieczeństwie i powiedział sobie stanowczo, że dopóki nie postawi na swoim, nie będzie widywał się z Robertą.

Zwykła walka dwóch płci przed pierwszym zaspokojeniem zmysłów czy to w małżeństwie, czy poza małżeństwem trwała i następnego dnia. W pracy żadne z nich nie przemówiło słowa. Jakkolwiek Clyde zapewniał, że bardzo kocha Robertę, nie była to widać miłość głęboka, bardziej w tym wypadku działała ambicja i miłość własna.

Czując się urażony postanowił chłodem zmusić Robertę do uległości.

Przyszedł więc do stemplarni z miną człowieka wielce zajętego, który nie ma na nic czasu i nie pamięta nawet, że wczoraj miał jakąś przykrość z kochanką. Nie był jednak pewien, czy tym chłodem nie przyspieszy aby porażki i wyraźne przygnębienie malowało się na jego twarzy, gdy z ukosa patrzył na Robertę, która żwawo zabrała się do roboty i wyglądała jak zwykle ślicznie mimo bladości i smutku. Sądząc z tego nie obiecywał sobie szybkiego zwycięstwa. A znając ją dobrze - jak to sobie wyobrażał - bardzo słabą miał nadzieję, że Roberta ustąpi.

Patrzył na nią często, gdy tego nie widziała. Ona też spoglądała na niego tak, żeby tego nie zauważył, i ucieszyła się dostrzegłszy, że ucieka przed nią wzrokiem.

Naraz z wielką przykrością zauważyła, że nie tylko przestał na nią spoglądać, lecz po raz pierwszy stara się ukradkiem, ale z wyraźną intencją zwracać się do tych dziewcząt, które zawsze do niego robiły słodkie oczy i tylko czekały na najlżejszą zachętę z jego strony, aby służyć mu w sposób, jaki mu tylko będzie dogadzał.

Patrzył teraz na przykład na Rożę Nikoforycz. Jej puciołowata twarz i zadarty nos skierowały się w jego stronę, mówił coś do niej, co zdaje się nie miało nic wspólnego z robotą, bo oboje uśmiechnęli się do siebie. Po chwili stanął przy Marcie Bordaloue. Jej okrągłe ramiona, obnażone po same pachy, znalazły się tuż przy nim. Bujne kształty i posmak cudzoziemskiej przynętą, na którą zwykli łapać się mężczyźni. Właśnie Clyde zaczął z nią żartować. A potem

bardzo zmysłowa, wcale przystojna Amerykanka, Flora Brandt, na którą już dawniej Clyde zwrócił uwagę. Roberta nigdy nie przypuszczała, żeby Clyde mógł się którąś z nich zająć. To do niego niepodobne. Teraz jednakże wcale już na nią nie patrzy, ani jednym słówkiem nie zwrócił się do niej, chociaż tyle miłych słówek i żartobliwych spojrzeń ma dla innych... Och, jakie to straszne i okrutne! Nienawidziła tych dziewcząt, umizgujących się do niego i tak wyraźnie starających się go jej odebrać... Straszne! Była mu więc obojętna zupełnie, bo nie robiłby przecież tego... i to po tym wszystkim, co zaszło między nimi... po pocałunkach... Tak się kochali...

Godziny wlokły się dla obojga, równie ciężkie dla Roberty, jak i dla Clyde'a. Clyde, ze swym charakterem zapalczym, skłonny do marzeń, źle znosił zawody i zwłokę w projektach, co zwykle charakteryzuje ambitnych mężczyzn. Nieprzerwanie dokuczała mu myśl, że albo straci Robertę, albo będzie musiał poddać się jej żądaniom, jeśli zechce zdobyć ją sobie na nowo.

Roberta cierpiała strasznie. Dobrze więc! Przyjmie go u siebie, ale co dalej? Czy Clyde zadowolony się tylko bywaniem u niej z zachowaniem wszelkich wymagań przyzwoitości? Czy nie cofnie swej przyjaźni, bo ona na nic więcej nie zgodzi się nigdy! Nigdy!

Ach, ta niepewność! W sercu cień jego obojętności! Minuty jak kamienie ciężką na duszy, przeobrażają się w głązy godzin...

Wreszcie odrętwiała prawie z bólu, niezadowolona z siebie, wysunęła się do sali jadalnej i tam w pośpiechu na podniesionym z podłogi papierku, kawałkiem ołówka, który miała przy sobie, napisała parę słów:

Clyde, ulituj się nade mną. Nie pozwól mi tak cierpieć. Spójrz na mnie i przemów do mnie, błagam Cię! Tak cierpię nad tym, co zaszło między nami wczorajszego wieczora... Strasznie cierpię. Muszę zobaczyć Cię koniecznie dzisiaj na końcu Elm Street o wpół do dziewiątej - dobrze? Mam Ci coś do powiedzenia. Przyjdź koniecznie. I spójrz na mnie, i powiedz mi, że przyjdiesz, powiedz koniecznie, chociaż jeszcze gniewasz się na mnie. Nie smuć

się już. Tak Cię kocham. Wiesz przecie, że Cię kocham.

Twoja smutna Roberta

Chwiejąc się jak człowiek, który kona z braku narkotyku, złożyła papier i wracając do sali przeszła tuż koło Clyde'a, który stał przy biurku nad jakimiś świstkami. Szybko upuściła kartkę na jego rękę. Spojrzał w górę, jego czarne oczy miały jeszcze twardy wyraz, lecz był w nich ból, i niepokój, i niezadowolenie, i determinacja, wszystkie te uczucia, które nim miotały przez cały dzień. Zobaczywszy odchodzącą Robertę i kartkę przez nią rzuconą rozpromienił się od razu. Fala niepewności, zadowolenia, prawie szczęścia przepłynęła po jego twarzy. Rozwinął kartkę i przeczytał. Przeszyło go ciepło i obezwładniająca radość.

Roberta powróciwszy do swego stołu obejrzała się ostrożnie dokoła, czy nikt przypadkiem nie widział, co zrobiła. Ujrzała, że Clyde wyraźnie teraz patrzył na nią. Oczy jego błyszczały zwycięsko, lecz wyczytała w nich i uległość także, ujrzała uśmiech na jego ustach, a głowa pochyliła się parę razy potakująco z zadowoleniem.

Jakieś odurzające wrażenie, jak gdyby powstrzymywana długo krew w ściśniętym sercu i w sparaliżowanych nerwach oswobodziła się naraz i jego wysuszoną cierpieniem duszę zasilila wartkim nurtem miłości i życia.

Spotka się z nią! Zobaczy się z nim dziś wieczorem! Otoczy ją ramieniem i ucałuje! Będzie mogła patrzeć w jego oczy... Już nigdy więcej nie będą się sprzeczać, o, na pewno nigdy!

Rozdział XI

Lęk przeczucia, że spełnić się musi to, czego oboje pragną, do czego bezwolnie dążą, oczekiwanie nocy w dreszczach niecierpliwości, obawa gwałtownych protestów ze strony kobiety, determinacja ze strony mężczyzny, a na dnie tego - przekonanie o spełnić się mającym występku uwiedzenia.

Ekstaza szalonych upojeń, przedziwny cud wzajemnego zespolenia, lękliwe sprzeciwy, łaskawe, dobrotliwe obietnice, niepokojące skrupuły.

Spełniło się.

Przedtem jednak wymogła Roberta obietnicę, że w razie naturalnych konsekwencji Clyde nigdy jej nie opuści, gdyż czułaby się bezradna bez jego opieki. O małżeństwie nie mówiło się wcale. On zaś, opanowany pożądaniem, zapewnił ją uroczyście, że zawsze będzie o niej pamiętał! Może być spokojna, nie zostawi jej bez pomocy. Lecz nawet w takiej chwili nie miał na myśli małżeństwa. Tego by zrobić nie mógł.

A więc pasmo nocy niezapomnianych, gdy wszystkie skrupuły traciły swe znaczenie, obłędne, szalone oddanie się obojga, i twardy sen, i niewyczerpany ciąg marzeń, i pełna oczekiwania żądza, by dzień prędzej się skończył, by noc wynagrodziła gorączkowe pragnienia.

W chwilach opamiętania Clyde bolał w głębi duszy nie mniej niż Roberta, która ze wstydem przyznawała się sama przed sobą, że popełnia grzech, śmiertelny grzech.

Od najmłodszych lat słyszał, jak rodzice gromili uwodzicieli, cudzołózców, szukających rozkoszy cielesnych poza obrębem małżeństwa. A Roberta z przerażeniem wpatrywała się w niejasną przyszłość. Co się z nią stanie, jeżeli Clyde zmieni swe uczucia, jeżeli ją porzuci? Lecz za nadejściem nocy myśli zmieniły kierunek i oboje spieszyli czym prędzej na spotkanie, by wsunąć się do nie oświetlonego pokoju, który stawał się rajem, wypełnionym

nieugaszoną gorączką młodości.

Mimo skrupułów i niepokojów Clyde z dumą doszedł do przeświadczenia, że wkroczył już w wiek męski, że stał się mężczyzną, dla którego kobieta przestała być obcą, nieznaną istotą. Całym swym zachowaniem dawał to do poznania. Twarz jego wyraźnie mówiła:

- Patrzcie, już nie jestem niedoświadczonym, lekceważonym żółtodziobem, jakim byłem do niedawna. Jestem człowiekiem, który już wie coś o życiu! Nie imponują mi już ci pyszałkowaci młodzieńcy i trzpiotowate a zarozumiałe panny! I nie mam zamiaru przejmować się strupieszalnymi zasadami, bo i po co?

Już dawniej, bo za czasów Hortensji Briggs, doszedł do przekonania, że całe swe niepowodzenie w miłości zawdzięczał tylko dziewczętom pełnym fałszu, z którymi nie umiał się obchodzić. Teraz, o, teraz to zupełnie co innego!...

Niepomny niedawnych zawodów i rozczarowań uważał się prawie za donzuana. Jeżeli Roberta tak chętnie złożyła siebie w ofierze, czyż nie znajdą się inne, równie ochocze?

Chodząc po mieście z pyszną miną, mniej się teraz zastanawiał nad obojętnością Griffithsów i wciąż, przeglądał się w lustrze z podziwem i dumą. Ze strony Roberty słyszał też ciągłe zachwyty i miał ją ciągle uległą i oddaną, gdyż wyrobiła sobie przekonanie, że oddawszy mu się niepodzielnie należy tylko do niego, jak żona do męża, i każde jego życzenie spełniała posłusznie, tym chętniej że widziała, iż jej przyszłość zależy od jego woli i kaprysu.

Były to chwile prawdziwego szczęścia dla obojga. Clyde zapomniał trochę o swym podrzędnym stanowisku i bardzo był szczęśliwy, gdy mógł cały swój wolny czas poświęcić Robercie. Jedną tylko była skaza na ich szczęściu - obawa przed skutkami tego związku, co, zważywszy na oddanie Roberty, byłoby zupełnie usprawiedliwione, lecz dla niego bardzo kłopotliwe i niepożądane.

Ale jakoś się tym nie przejmował. Ma swoją Robertę i jest

szczęśliwy.

Ich związek, tak jak przypuszczali oboje, pozostał nie znany nikomu. Rozkosze pozamałżeńskiego miodowego miesiąca trwały w całej pełni. Ostatnie, ciepłe jeszcze i słoneczne dni listopadowe i grudniowe przemknęły jak sen, jak pełne ekstazy marzenie, przeżyte wśród tego monotonnego, zapracowanego świątka roboczego.

Zdarzały się jednak chwile, gdy dawne rojenia o świetnej przyszłości wracały silną falą. W tym czasie Griffithsów nie było w mieście. Wielki ich dom był zamknięty i cichy, kręcili się po nim jedynie ogrodnicy, czasami szofer albo lokaj przechodził przez podwórze. W oczach Clyde'a pałac ich był symbolem tej wyżyny, na której, gdyby mu los pozwolił, mógłby również stanąć. Nigdy bowiem nie opuszczała go myśl, że przyszłość jego powinna być również wspaniała.

Niewiele jednak teraz wiedział o sferze działalności Griffithsów poza Lycurgus, tyle tylko, co wyczytał w dwóch miejscowych gazetach, które gorliwie zamieszczały wzmianki o wyjazdach i przyjazdach najpoważniejszych obywateli miasta. Przeczytawszy te wiadomości Clyde widział oczyma wyobraźni Gilberta Griffithsa, pędzącego gdzieś w swym wielkim samochodzie; Bellę, Bertinę i Sandrę tańczące, wiosłujące przy świetle księżyca, grające w tenisa, jeżdżące konno w jednej z najbardziej eleganckich miejscowości. W takich chwilach czuł bolesne ukłucie w sercu i z niezwykle przejrzystą jasnością stawał mu przed oczyma jego stosunek z Robertą.

Bo kimże ona jest ostatecznie? Zwykłą robotnicą fabryczną! Córką farmerów mieszkających gdzieś na wsi, którzy musieli pracować, żeby nie umrzeć z głodu. Gdy tymczasem on... on... gdyby tylko fortuna uśmiechnęła się do niego!... Czyżby to miał być koniec jego marzeń o tym wspaniałym, wytwornym życiu? W chwilach gorszego humoru, a zwłaszcza w rzadkich momentach oprzytomnienia, przypominał sobie z goryczą, że Roberta nie należała do jego sfery, a przynajmniej nie do tej bliskiej Griffithsom, do której uparcie wzdychał.

Uśpione ambicje budziły się zazwyczaj po przeczytaniu "The Star", szybko jednak i chętnie wracał do Roberty, obdarzając nie słabnącym jeszcze uczuciem swą umiłowaną dziewczynę i widząc w niej jeszcze to samo, co dawniej: rozkoszną, pełną zalet istotę, uosobienie piękna, słodczy - tych wszystkich cech, które się zwykle identyfikują z przedmiotem rozkoszy.

Wreszcie Griffithsowie i ich znajomi powrócili do miasta i Lycurgus natychmiast się ożywiło; życie przemysłowe i towarzyskie weszło w zwykłe tryby, które je charakteryzowały przez siedem miesięcy w roku.

Clyde znowu, z większym nawet zapałem niż dawniej, zaczął śledzić przejawy tego życia. Ach, to piękno pałaców na Wykeagy Avenue, gorliwość ludzka w składaniu im hołdów, intrygujący sens życia w nich zawarty! ... O, gdyby mógł tam należeć!

Rozdział XII

Któregoś dnia Clyde wracał z pracy jak zwykle przez Wykeagy Avenue, stanowiącą przedłużenie Central Avenue. Serce jego przepelniała radość, poczęta z miłości i zaspokojonych ambicji. Nie znać w nim było dawniejszego przygnębienia. Miał teraz dobre stanowisko, był ogólnie szanowany. Po zapłaceniu mieszkania i utrzymania pozostawało mu zwykle całe piętnaście dolarów tygodniowo, które mógł wydać na siebie i Robertę. Była to suma, której nie można było porównywać z dochodami w Greenie-Davidsonie albo w Union League Club, ale w każdym razie było to więcej, niż miewali inni. A nade wszystko nie był tak osamotniony. Miał Robertę. A i Griffithsowie, dzięki Bogu, nie dowiedzieli się o

tym, chociaż sam nie wiedział, jak by z tego wybrnąć, gdyby stało się inaczej. Zresztą miał usposobienie, które mu nie pozwalało martwić się przedwcześnie.

Zadowolony był, że jakkolwiek Griffithsowie nie przyjęli go oficjalnie do swego towarzystwa, jednak dyrektorzy fabryk chcieli go bliżej poznać i często nagabywali. Któregoś dnia na przykład taki pan Rudolf Smillie, jeden z dyrektorów, zwrócił się do Clyde'a z zapytaniem, czy grywa w golfa, bo jeśli tak, to mógłby z nadejściem wiosny bywać w Amoskeag, w jednym z najpoważniejszych klubów. Ale nie tylko pan Smillie go zapraszał, było wielu innych, którzy chcieli zbliżyć się do Clyde'a jako osoby należącej do rodu Griffithsów i mającej pewne znaczenie w fabryce.

Poza tym o jedenastej, a może nawet wcześniej, miał się zobaczyć z Robertą. Był więc pełen pogody i ożywienia. Oboje nie przejmowali się już swym położeniem; widząc że jakoś to im uchodzi i że nikt się nie domyśla tajemnicy, uspokoili się zupełnie. Gdyby ktoś Clyde'a zobaczył u niej, miała zamiar przedstawić go jako swego brata lub kuzyna. Powzięli nawet zamiar, za obopólną zgodą, żeby dla uniknięcia komentarzy i przykrości Roberta znalazła sobie pracę w innej fabryce, co dla wykwalifikowanej pracownicy nie powinno być problemem. Gotowa była zgodzić się na wszystko, byle tylko nie utracić możliwości widywania się z nim.

W tej chwili jednak nie myślał o tym. Doszedłszy do jednego z najwspanialszych domów na Wykeagy Avenue, spojrzął z zaciekawieniem - chociaż nie miał najmniejszego pojęcia, kto tam mieszka - na wysokie, żelazne sztachety i zobaczył za nimi dobrze utrzymany trawnik, słabo oświetlony latarnią uliczną. Leżało na nim wiele świeżo opadłych liści, strząśniętych przez gwałtowne wichry. Wyglądało to poważnie, spokojnie i pięknie, a we wrażliwej duszy Clyde'a odbiło się jakimś dziwnym nastrojem.

Gdy podchodził do głównej bramy, nad którą paliły się dwie latarnie, zataczające krąg światła, zatrzymał się przed nią wielki solidny samochód. Szofer wyskoczył i otworzył drzwi i wtedy Clyde ujrzał wychylającą się z auta Sandrę Finchley.

- Biegnij, David, i powiedz Miriam, że nie będę na nią czekała, bo jadę do Trumbullów na obiad, ale wrócę na dziewiątą. Jeżeli nie ma jej w domu, zostaw tę kartkę, tylko prędko.

Powiedziała to głosem rozkazującym, który mimo to był sympatyczny, co Clyde zauważył już za pierwszym razem.

W tej chwili dostrzegłszy, zbliżającego się ku niej, jak jej się zdawało, Gilberta Griffithsa, zawołała:

- A! jak się pan ma? Na wieczorny spacer? Jeżeli pan zechce chwilkę poczekać, mogę pana zabrać. Wysłałam Davida z kartką. Wróci niedługo.

Mimo tych uprzejmych słów nie można powiedzieć, żeby Sandra miała zbyt wiele sympatii dla Gilberta. Lubiła Bellę, chętnie bywała u bogatych i ogólnie szanowanych Griffithsów, ale Gilberta nie znosiła. Z początku chciała go sobie zjednać, oczarować jak wszystkich, co jednak jej się nie udało, gdyż Gilbert okazywał jej obojętność. Obraził jej dumę, i kobieta taka jak ona, w której sercu panowała tylko próżność i pycha nie mogła mu tego wybaczyć. Nie mogła ścierpieć przejawów indywidualności innego człowieka, a tym bardziej takiego próżnego, zimnego, zarozumiałego, jak brat Belli. Zbyt wielkie miał wyobrażenie o sobie i zanadto go rozsadzała pycha, żeby miał uczynić jakieś ustępstwo ze swych upodobań.

- Pyszałek! - myślała o nim. - Cóż on sobie wyobraża? Zdaje mu się, że jest Bóg wie kim! Myślałby kto, że to jaki Rockefeller albo Morgan. Nie uważam wcale, żeby był taki interesujący. Bellę lubię. Jest taka miłutka. Ale ten przebiegły wąż!... Zdaje mu się, że każda kobieta polecą na niego z zawiązanymi oczyma. Może, ale w każdym razie nie ja!...

Gilbert zaś, słysząc nieraz od Belli o trybie życia Sandry, jej zapatrywaniach i ambicjach, zwykł był mawiać:

- Ot! papużka! Cóż ona sobie wyobraża? Zdaje się jej, że jest, Bóg wie kim! Gdyby wszystkie były takie pomysłowe...

Tak jednak ściśle były węzły towarzyskie w Lycurgus, że wybór nie istniał i trzeba było żyć ze wszystkimi. Więc i teraz Sandra, spotkawszy, jak się jej zdawało, Gilberta, usunęła się w głąb auta robiąc mu miejsce przy sobie.

Clyde skamieniał. Wyrwany z zadumy nie był pewien, czy dobrze słyszy. Zbliżył się. Skupiły się w nim wszystkie uczucia dobrze wytresowanego, wiernego psa czystej rasy.

- Ach! dobry wieczór! - zawołał uchylając kapelusza. - To pani? - mówił konstatuując, że oto ma naprawdę przed sobą tę piękną, czarującą Sandrę, którą widział u stryja przed paru miesiącami. Przypomniawszy sobie wszystkie wzmianki o niej w gazetach. To ona! Piękna jak zawsze, siedzi w tym wspaniałym aucie i zwraca się do niego... Najwyraźniej do niego.

Sandra spostrzegła, że popełniła omyłkę. To nie Gilbert! Zakłopotana, nie wiedziała, jak wybrnąć z sytuacji.

- Ach, przepraszam, to pan Clyde Griffiths, poznaję już. Omyliłam się. Myślałam, że to Gilbert... Jest dość ciemno.

Clyde wiedział już, że jej pierwsze słowa nie odnosiły się do niego. Nie było to dlań zbyt pochlebne. Zmieszał się i gotów był się wycofać.

- Przepraszam... Nic nie szkodzi... Nie mam zamiaru być natrętnym... Myślałem...

Zaczerwienił się i cofnął zmieszany.

Sandra jednak zauważyła teraz, że Clyde nie wygląda wcale gorzej niż jego kuzyn, a przy tym jest typem zupełnie odmiennym, o wiele sympatyczniejszym. Przy tym najwyraźniej znajduje się pod jej urokiem. Opanowała się więc szybko i rzekła z czarującym uśmiechem: - Ależ proszę bardzo... A może by pan wsiadł ze mną, mogłabym go podwieźć do domu, bo zapewne tam pan idzie? Proszę, niech się pan nie krępuje. Bardzo mi będzie miło.

Clyde zrozumiał, że Sandra chce w ten sposób zatuszować niemiłą dla niego omyłkę, przypuszczając, że może się czuć urażony i przykro dotknięty. Istotnie, w jego wzroku malowała się uraza, lecz na ustach ukazał się niezdecydowany, strapiony uśmiech.

- O proszę pani - odparł na to szybko. - To nic wielkiego... To zupełnie zrozumiałe. Niech się pani o to nie troszczy... Sądziłem...

Miał się odwrócić i odejść, lecz stał tak blisko, że zanim się wycofał, powtórzyła:

- Ależ panie Griffiths, ja naprawdę pana proszę. Zrobi mi pan wielką przyjemność. Poczekamy tylko chwileczkę na Davida i pojedziemy w pańską stronę. A co do mojej omyłki, jeszcze raz pana bardzo przepraszam. Byłam naprawdę pewna, że to Gilbert Griffiths...

Clyde zawahał się i zmieszany w najwyższym stopniu usiadł obok niej, a ona, zaciekawiona jego osobą, zaczęła mu się przyglądać bez ceremonii, zadowolona, że ma przy sobie Clyde'a nie zaś Gilberta. Aby mu się lepiej przyjrzeć, a przy tym ukazać w całej pełni swą urodę, włączyła górną lampkę.

Tymczasem powrócił szofer; Sandra zapytała Clyde'a, dokąd mają jechać na co odpowiedział z pewnym wahaniem, gdyż jego ulica leżała dosyć daleko od pałacu Finchleyów.

Podczas szybkiej jazdy obudziła się w nim gorączkowa chęć wykorzystania tej krótkiej sposobności. Pragnął wyrzucić na niej wrażenie, pragnął... o, szaleństwo!... aby chciała powtórnie się z nim spotkać. Ach, jakże pragnął, by go uznała za godnego należenia do jej świata!

- Jaka pani uprzejma dla mnie - zwrócił się do niej z uśmiechem. - Nie przypuszczałem, że bierze mnie pani za mego kuzyna, nie ośmieliłbym się nawet podejść do pani.

- O, mniejsza już o to - odrzekła Sandra z uprzejmą, lecz dość wyniosłą minką. Była już pewna, że jest pod jej urokiem. - To tylko moja wina, nie pańska. Ale jestem z tego bardzo zadowolona - dodała uśmiechając się mile. Wolę jechać z panem niż z Gilbertem. Nie jesteśmy z sobą w zgodzie. Kłócimy się ciągle i wszędzie.

Śmiała się opanowawszy już zupełnie zmieszanie. Oparła się o poduszki z miną księżniczki i ciekawym wzrokiem przyglądała się regularnym, pięknym rysom Clyde'a. Takie miał łagodne, uśmiechnięte oczy. I bądź co bądź był to kuzyn Gilberta. Może mieć przyszłość przed sobą.

- To niedobrze - odpowiedział starając się nieudolnie okazać pewność siebie i ożywienie.

- O, to nieszkodliwe. Kłócimy się i już. To jest bez znaczenia.

Widziała, że jest zdenerwowany i onieśmielony w jej towarzystwie. Przyjemnie jej było, że potrafiła go tak oszołomić.

- Czy pan jeszcze pracuje u swego stryja?

- O, tak - odpowiedział Clyde z pośpiechem, jakkolwiek wiedział, że ta wiadomość pogłębia między nimi przepaść towarzyską. - Tylko że teraz pracuję w innym wydziale.

- Tak? Nie wiedziałam. Co prawda nie widziałam pana od tamtej pory. Pewnie pan nie ma czasu, żeby tam bywać. - Spojrzała na niego prawie porozumiewawczo, jak gdyby chciała powiedzieć: Jakoś twoi krewni nie interesują się tobą zanadto. Ale że podobał się jej bardzo, zapytała tylko: - Czy pan całe lato spędził w mieście?

- Niestety... - odpowiedział Clyde z żalem w głosie. - Musiałem pozostać. Ten rodzaj pracy, jaką się zajmuję, wymagał mojej obecności. Ale o pani czytywałem często w dziennikach. O pani wycieczkach konnych i meczach tenisowych. I widziałem panią podczas korsa kwiatowego w czerwcu. Wyglądała pani cudownie... jak marzenie.

Tyle było zapału i zachwytu w jego oczach, że czuła się tym ujęta. Jaki to miły człowiek, taki inny niż Gilbert. A tak łatwo go podbiła... Wystarczyło okazać mu trochę zainteresowania... Poczowała lekki wyrzut, bardzo lekki zresztą i wynagrodziła mu to jeszcze większą uprzejmością. Co by to pomyślał Gilbert, gdyby wiedział, że flirtuje z jego kuzynem. O, byłby zły na pewno! Ale może mu się doskonale przysłużyć. Gdyby tylko znaleźć kogoś, kto by chciał się zająć Clyde'em i uczynić z niego takiego człowieka, jakim Gilbertowi nie śniło się nawet być.

Zastanowiła się nad tym.

W tej chwili samochód zatrzymał się przed domem pani Peyton. Cała przygoda była już skończona.

- Bardzo miło to pan powiedział. Nie zapomnę nigdy - uśmiechnęła się z godnością, gdy szofer otwierał drzwiczki.

Clyde wysiadł jakby kij połknął, przejęty niezwykłością i ważnością tego spotkania.

- To pan tutaj mieszka? Ma pan zamiar całą zimę spędzić w Lycurgus?

- Pewnie... To jest... zdaje się, niewątpliwie - dodał prawie ze smutkiem, a w jego oczach wyraźnie odbijały się myśli.

- A więc może spotkamy się jeszcze kiedyś. Mam nadzieję, że tak.

Skinęła mu główką i podała końce palców, dodając najbardziej obiecujący i kunsztowny uśmiech, na co Clyde z uniesieniem, prawie nieprzytomny zawołał:

- Będę niewymownie szczęśliwy!

- Dobranoc! dobranoc! - wołała jeszcze, gdy auto ruszyło z miejsca, a Clyde stał, wpatrzony w znikający powóz, i myślał, czy jeszcze kiedykolwiek będzie ją miał tak blisko siebie. Zaiste, to

niesłychane, że ją raz jeszcze spotkał i to w taki sposób! A taka była inna niż za pierwszym razem!...

Pełen rozbudzonych nadziei i trochę rozmarzony udał się do swego pokoju.

A Sandra... hm, ona także, jadąc dalej, zastanawiała się, dlaczego Griffithsowie tak mało się nim zajmowali.

Rozdział XIII

Od tego spotkania myśli jego weszły na inne tory. Bo mimo wielkiego szczęścia przeżywanego z Robertą stanęła przed nim wyraźnie kwestia jego towarzyskiej pozycji. Na widok jednej osóбки należącej do wyższych sfer zmaterializowały się i wyolbrzymiły pojęcia o tym świecie. Ach, ta piękna Sandra Finchley! jej śliczna twarzyczka, wytworny strój, swobodne a pełne godności zachowanie! Gdyby ją jeszcze raz spotkał, zrobi wszystko, żeby ją sobą zainteresować.

Związek z Robertą, nawet w tym stadium, nie mógł zatrzeć wrażenia wywołanego taką osobą jak Sandra. A poza tym fabryka Finchleyów należała w Lycurgus do największych zakładów przemysłowych. Jej wysokie mury i kominy rysowały się długą linią na horyzoncie wzdłuż rzeki Mohawk. A ich rezydencja na Wykeagy Avenue, obok pałacu Griffithsów, była jedną z najwspanialszych i wyróżniała się architektonicznym smakiem. Była zbudowana z żółtego marmuru, połączonego z holenderskim piaskowcem. I o Finchleyach najczęściej mówiono w mieście.

Ach, żeby też poznać tę piękną pannę bliżej! Móc na nią spoglądać

i wejść do jej świata. Czyż nie jest także Griffithsem i czy nie jest do złudzenia podobny do Gilberta? Z pewnością podobałby się wszystkim, gdyby tylko miał tyle pieniędzy co on, a nawet gdyby miał tylko ich część. Gdyby miał za co ubrać się tak jak Gilbert, jeździć jednym z tych ślicznych samochodów! O, wówczas na pewno taka panna zwróciłaby na niego baczniejszą uwagę, a może... kto wie... może by nawet w nim się zakochała! Eh! marzenia ściętej głowy!

Do diabła! Nie chciało mu się nawet iść do Roberty tego wieczora. Wykręci się jutro w jaki bądź sposób, powie, że musiał wykonać dla stryja albo Gilberta jakąś pilną robotę. Nie mógł i pod wpływem nowych wrażeń nie miał ochoty iść do niej.

Na Sandrze Clyde wywarł też dodatnie wrażenie. Widziała w nim to, czego właśnie brakowało Gilbertowi. Zachowanie miał ujmujące, podczas gdy Gilbert zazwyczaj obrażał każdego. Powierzchnowość Clyde'a, jego maniery, uwaga, jaką mimochodem rzucił o swej pracy w fabryce, wszystko to świadczyło, że mógłby zająć inne stanowisko. Pamiętała, że ilekroć widziała się z Bellą, Myrą lub Gilbertem czy też z ich rodzicami, nigdy żadne ani słowem nie wspomniało o Clydzie. Tylko pani Griffiths powiedziała kiedyś, że mąż jej musiał zająć się ubogim bratankiem i chce mu trochę dopomóc. Sandra zaś nie uważała, żeby Clyde wyglądał na takiego ubogiego, nic nie znaczącego krewnego, z którym można się nie liczyć. Przeciwnie, jest sympatyczny, nawet elegancki, przy tym przystojny i najwidoczniej bardzo mu zależy, żeby taka osoba, jak Sandra chciała go poważnie traktować. A musi przyznać, że jej to nawet pochlebiało... Był przecież kuzynem Gilberta - także Griffithsem.

Pojechała do Trumbullów. Pan Douglas Trumbull był prawnikiem, któremu się doskonale powodziło. Umiał robić dobre interesy, był bardzo elegancki, dzieci miał dobrze wychowane i dzięki swemu sprytowi był przyjmowany w najlepszym towarzystwie.

Sandra, przyjechawszy do nich, od razu się zwierzyła z dzisiejszego spotkania najstarszej córce, Jill Trumbull.

- Wiesz, jaką miałam dziś zabawną przygodę - zaczęła i opowiedziała wszystko ze szczegółami. Po obiedzie Jill, ubawiona tym bardzo, powtórzyła wszystko swej siostrze Gercie i bratu Tracy'emu.

- Rzeczywiście - przyznał Tracy, student prawa. - Widziałem parę razy tego młodzieńca na Central Avenue. Zupełnie podobny do Gilberta, tylko mniej pyszałkowaty. Sam parę razy mu się ukloniłem, będąc pewnym, że to Gilbert.

- Ach, to i ja go widziałam - wtrąciła Gerta. - Nosi czapkę i palto z paskiem, takie same jak Gilbert. Pokazała mi go Arabella Stark i raz jeszcze widziałam go w sobotę po południu, kiedy szłam z Jill. Wygląda o wiele lepiej niż Gilbert.

Sandra zadowolona, że jest to nie tylko jej zdanie, wtrąciła:

- Byłyśmy kiedyś z Bertiną Cranston u Griffithsów i tam go spotkałyśmy. Wydał mi się bardzo onieśmielony. Ale teraz!... chciałabym, żebyście go teraz zobaczyli. Jest bardzo przystojny, ma śliczne łagodne oczy i miły uśmiech.

- Ej, Sandra, strzeż się - roześmiała się Jill, która prócz Bertiny i Belli była jedną z najbliższych jej przyjaciółek, a kiedyś koleżanką w Snedeker School. - Znam kogoś, kto byłby zazdrosny, gdyby usłyszał, co mówisz o tym drugim Griffithsie.

- Przypuszczam, że i Gilbert nie byłby uszczęśliwiony, gdyby się dowiedział, że jego kuzyn ma większe niż on powodzenie - dodał Tracy.

- Rzeczywiście! - zawołała z gniewem Sandra. - Jemu się zdaje, że jest Bóg wie kim... Założę się, że to on intryguje, żeby ojciec nie myślał za dużo o przyszłości swego bratanka. Jestem przekonana, że tak jest. Bella też przyznawała, że jest bardzo sympatycznym i zupełnie ładnym chłopcem, ale ani ona, ani Myra nic nie poradzą same. Wiecie? urządzmy im kawał i zacznijmy go zapraszać do siebie, i to wszyscy po kolei. Tak sobie, dla żartu. Zobaczymy, jak on się będzie zachowywać i jak to Griffithsowie

przyjmą. Jestem pewna, że Bella i Myra będą z tego nawet zadowolone, a Gilbert się wścieknie! Sama nie mogę tego zrobić, bo za blisko żyję z Bellą, ale można to będzie jakoś urządzić.

Zamyśliła się. Przypomniało się jej, że Bertina Cranston nie lubiła pani Griffiths i Gilberta.

- Ciekawa jestem, czy on umie tańczyć albo jeździć konno i czy gra w tenisa...

Zamyśliła się znowu, a tamci patrzyli na nią czekając, jaki poda projekt. Jill zaczęła się zastanawiać.

- Więc to ma być kawał? A może Griffithsowie się obrażą?

- Mniejsza o nich - odparła Sandra. - Czy oni coś robią dla niego?

Lekceważą

go tylko. A chciałabym wiedzieć, czy ktokolwiek z towarzystwa o nim pamięta. Nikt go nawet nie zaprasza do siebie...

- Dalej panny! Do roboty - zawołał Tracy. - Ale założę się, że skończy się tylko na projektach. A że Gilbert byłby wściekły tego jestem pewien. Sam nie wiem, czy byłbym zadowolony, gdybym się znalazł w jego położeniu. Ale wolę was ostrzec, że wasz kawał może źle się skończyć.

Sandra jednak lubiła czasem komuś dokuczyć. Na razie wszakże nie doszło do żadnych konkluzji. Tylko długo potem naradzały się z Bertiną, Patrycją Anthony i Arabellą Stark i wkrótce wiadomość o przygodzie Sandry z dodatkiem różnych komentarzy doszła do uszu Gilberta naturalnie przez Konstancję Wynant, z którą, jak chodziły pogłoski, miał zamiar się żenić. Konstancja oburzona, że Sandra znalazła w Clydzie więcej zalet niż w Gilbertcie, opowiedziała wszystko niedoszłemu swemu narzeczonemu który nie omieszkał zgryźliwie i z przekąsem wyrazić się o Sandrze i Clydzie.

Oczywiście wszystko wróciło z powrotem do Sandry. Teraz panna Finchley zapragnęła odwetu. Dobrze! Wprowadzi Clyde'a do salonów i Gilbert znajdzie się wobec rywala, i to własnego kuzyna, który, chociaż ubogi, będzie na pewno się lepiej podobał! Doskonały

kawał!

Znalazł się w końcu sposób, żeby wprowadzić w świat Clyde'a, nie narażając nikogo.

Młodzież, należąca do elity towarzyskiej, założyła klub, zwany "Teraz i potem". Nie była to stała instytucja z własnym lokalem i służbą, tylko każdy, kto był zapisany do tego klubu, mógł objąć obowiązki gospodarza albo gospodyni zabawy i zaprosić członków na obiad lub tańce we własnym domu.

Wydało się więc Sandrze zupełnie naturalne, żeby ktoś inny, nie ona, urządził taką zabawę i zaprosił Clyde'a. Taka Jill na przykład mogłaby wydać obiad z tańcami pod egidą klubu i wtedy Clyde mógłby być zaproszony. Nazywałoby się, że zabawa odbywa się na neutralnym gruncie. Sandra będzie mogła się z nim zobaczyć i przekonać się, czy Clyde potrafi zachować się przyzwoicie i czy podoba się wszystkim.

Jill zgodziła się. Obiad dla członków klubu i ich przyjaciół miał się odbyć u Trumbullów w pierwszy czwartek grudnia. Miała być Sandra z bratem Stuartem, Tracy i Gerta, Arabella Stark, Bertina z bratem i kilka jeszcze osób z okolic Lycurgus. No i Clyde. Aby zabezpieczyć Clyde'a przed możliwymi przykrościami i złośliwymi docinkami, miały nad nim czuwać kolejno Sandra, Bertina, Jill i Gerta. Miały uważać, czy jego umiejętność tańca jest wystarczająca czy na woskowanej posadzce może być pozostawiony samemu sobie, czy przy obiedzie będzie się możliwie zachowywał. Sandrze zależało bardzo na tym, żeby Clyde wywarł dobre wrażenie na jej znajomych, bo ułatwiłoby to jej wprowadzenie go do towarzystwa. W ten sposób wbiłaby z całym okrucieństwem cierń w pychę Gilberta i jego rodziny.

Za jakieś dwa tygodnie po spotkaniu się z Sandrą, Clyde powróciwszy któregoś wieczora z fabryki, zdziwił się niemało zobaczywszy bladożółtą kartę, opartą na lustrze. Zaadresowana była jakimś nie znanym, niewyraźnym pismem. Wziął ją w ręce i obracał na wszystkie strony. Nie miał pojęcia, co to miało znaczyć.

Na drugiej stronie koperty były inicjały - B. T. czy też J. T. Nie mógł dokładnie odcyfrować, tyle tam było kaligraficznych zakrętasów. Rozdarł więc kopertę i wyjął kartę. Przeczytał ze zdumieniem:

Klub "Teraz i potem"

urządza pierwszą zimową w tym roku

zabawę taneczną

w lokalu pana Douglasa Trumbulla

135 Wykeagy Avenue,

w czwartek, 4 grudnia.

Na którą Szanowny Pan jest uprzejmie proszony

o łaskawe przybycie.

Prosimy o łaskawą odpowiedź na ręce p. Jill Trumbull.

Na drugiej stronie ta sama ręka skreśliła jeszcze parę słów:

Szanowny Panie. Mam nadzieję, że zechce Pan przyjść. Jest to bezceremonialne przyjęcie, a jestem pewna, że będzie się Pan dobrze bawił. O swej decyzji proszę uprzejmie zawiadomić p. Jill Trumbull.

Sandra Finchley.

Zdumiony, osłupiały Clyde wpatrzył się w przeczytaną kartę. Od chwili ponownego spotkania z Sandrą był całkowicie pod jej urokiem. Miał wrażenie, jak gdyby go coś wyrwało z tego poniżającego położenia, które tak odczuwał od samego przyjazdu do Lycurgus. Uważał, że przebywa w niewłaściwym otoczeniu. Czuł się

pokrzywdzony.

A teraz oto ma przed sobą zaproszenie na zabawę towarzyską w klubie, o którym co prawda nigdy nic nie słyszał, jednak musi to być nie byle co, jeżeli bywają tam tacy wyjątkowi ludzie. A jeszcze te kilka słów, napisanych własną ręką Sandry! Nie! to naprawdę cudowne zrządzenie losu.

Z trudnością powstrzymał się od wybuchu dziecinnej radości, ale zaczął biegać po pokoju, przeglądać się w lustrze, umył sobie ręce i twarz, zauważył, że krawat ma nieodpowiedni, zmienił więc go na inny przypomniawszy sobie o tym, który miał na sobie wtedy, gdy widział się z Sandrą. Pewnie się musiała śmiać z niego.

Nagle inna myśl go zajęła. Ciekaw był, co by pomyślała Roberta, gdyby mogła zobaczyć jego radość z zaproszenia. Niewątpliwie, dla Roberty byłby to wielki cios, gdyby zobaczyła jego uniesienie i zrozumiała przyczynę tej wielkiej radości. Sam, gdy zastanowił się trochę, też się tym zdumiał, nie przygasiło to jednak jego radosnego nastroju.

Ach, ta Sandra, taka czarująca! Prawdziwa bogini, przebywająca w niebiańskich sferach, w raju nieziemskim, gdzie wszyscy zażywają szczęścia i wszelkich rozkoszy!...

Myśl jego pomknęła takimi niezwykłymi drogami, że z całym cynizmem zadał sobie pytanie, czemu to nie mógłby sobie pozwolić na marzenie o Sandrze, jeżeli mu to sprawia prawdziwą przyjemność. Roberta nie dowie się o tym nigdy. Nie może przecież czytać w jego myślach. Czy może wiedzieć o nim coś innego niż to, co sam jej powie? A oczywiście nie ma przecież zamiaru zwierzać się przed nią. Phi! czy to coś osobliwego dla takiego, jak on, młodego człowieka sięgać na szczyty? Iluż to takich biedaków żeniło się nawet z bogatszymi pannami niż Sandra!

Nigdy przecież nie obiecywał Robercie, że się z nią ożeni, chyba że zaszłaby pewna okoliczność. A taka okoliczność, dzięki jego doświadczeniu, nabytemu jeszcze w Kansas City, nie mogła mu się przytrafić.

Każde wspomnienie Sandry rozpromieniało jego wyobraźnię. Ta oto nimfa w swej złotej świątyni, ta kusicielka, raczyła sama pamiętać o nim! Niewątpliwie za jej sprawą został zaproszony... A z pewnością i ona tam będzie. Ach! dreszcz przebiegł mu ciało na samą myśl o tym.

Ale co sobie pomyśli Gilbert i w ogóle Griffithsowie, jeżeli się o tym dowiedzą? A może spotka się kiedy z nimi na jakiejś innej zabawie, na którą go może Sandra jeszcze zaprosi?... No, no! Ciekaw był, czy to ich rozgniewa, czy będą z tego radzi. Ciekawe! Czy będą więcej, czy mniej poświęcali mu swej uwagi? Przecież on na ten bieg wypadków wcale nie wpływał. Był po prostu zaproszony przez osoby z ich towarzystwa, których Griffithsowie niewątpliwie muszą szanować.

Zaproszenia tego wcale się nie spodziewał, a że gry prowadzonej przez Sandrę nie mógł się domyślać, z całym złośliwym zadowoleniem doszedł do wniosku, że Griffithsowie chcąc nie chcąc, będą zmuszeni go protegować, a nawet zapraszać do siebie. Bo jeżeli będzie bywał u innych, dlaczegoż by nie miał bywać u nich? Pyszne! Ta wzgarda na twarzy Gilberta! Pękał ze śmiechu wyobrażając to sobie. Wiedział przecież, że Gilbert mógł oburzać się nie wiem jak, ale ani stryj, ani Myra nie okażą mu niechęci, jest więc zupełnie zabezpieczony przed jakąkolwiek zemstą ze strony Gilberta.

Ach, to zaproszenie! Hm, gdyby się nie podobał Sandrze, nie napisałaby sama do niego. Był tym tak poruszony, że nie miał wcale chęci na obiad. Wziął znowu kartę do ręki i ucałował ją. Nie pójdzie już do Roberty. Musi przejść się trochę, wróci potem do domu i wcześniej położy się spać. Jutro wytłumaczy się przed nią, że musiał być u stryja albo u któregoś z szefów, by dać wyjaśnienia w sprawie fabrycznej. Wobec tego, co zaszło, nie ma wcale ochoty widzieć się z Robertą dzisiaj. Nie może, naprawdę. Myśl o Sandrze była zbyt upajająca, a głównie to, że najwidoczniej podobał jej się.

Rozdział XIV

Związek z Robertą trwał w dalszym ciągu. Miał ją blisko siebie w fabryce, przebywał w jej pokoju, lecz nie mógł zapanować nad sobą żeby nie błądzić myślami w świecie, w którym przebywała Sandra. Często Roberta, czując, że myśli jego odbiegają gdzieś daleko, że Clyde staje się obcy wszystkiemu, co jej dotyczyło, dziwiła się i zastanawiała, co go mogło absorbować do tego stopnia. On sam też ciekaw był nieraz - nie spodziewając się, że Roberta zauważyła jego roztargnienie - czy jego kochanka domyśla się czegoś? czy domyśla się, że jest zajęty taką osobą jak Sandra?

I co dalej? Co z Robertą? Co ma począć z tym stosunkiem, który tak się zacieśnił między nimi? Do diabła z tym! No tak, kochał ją trochę, ale teraz grzeje się w promieniach nowego słońca i nie może patrzeć na Robertę takimi samymi oczami jak dawniej. Oślepiają go promienie nowej gwiazdy. Czy popełnia występki? Czy źle postępuje? Matka powiedziałaby, że tak. Ojciec także... a prawdopodobnie każdy, kto uczciwie patrzy na życie... Może nawet i Sandra Finchley... i Griffithsowie także... wszyscy.

A jednak... jednak...

Padał śnieg. Pierwsze płatki ubieliły ulice, gdy Clyde, wystrojony w nowy miękki kapelusz i biały jedwabny szalik (na te rzeczy, które miały podnieść jego wrodzony szyk, namówił go nowy jego znajomy, pan Orrin Short, właściciel magazynu z męską konfekcją), z nowym jedwabnym parasolem w ręku, który go osłaniał od śniegu, szedł żwawo w stronę Wykeagy Avenue do pięknej a nawet imponującej rezydencji Trumbullów.

Było cicho, spokojnie, jakoś uroczyście, przez spuszczone zasłony okien przenikały światła lamp, w powietrzu panował jakiś nastrój świąteczny przypominający święta Bożego Narodzenia.

Przed pałacem, mimo wczesnej jeszcze godziny, stały liczne samochody różnych kolorów i kształtów. Widok tych pojazdów przyprószonych śniegiem wzbudził w Clydzie uczucie jakiegoś dotkliwego braku, który tylko wielki majątek mógłby zaspokoić. Zaledwie zbliżył się do drzwi, dobiegły go z wewnątrz głosy, śmiech i rozmowa.

Wysoki szczupły służący odebrał od niego kapelusz, palto i parasol i Clyde znalazł się w obecności panny Jill Trumbull, która prawdopodobnie objęła już swój dyżur nad nim. Była to ładna blondynka, nie tak uderzająco piękna, ale szykowna, elegancka, w białej jedwabnej sukni, mocno wydekoltowanej, z diademem na czole.

- Może pan się nie przedstawiać - odezwała się wesoło, zbliżając się i podając mu rękę. - Jestem Jill Trumbull. Panna Finchley jeszcze nie przyszła, ale postaram się pełnić honory domu wcale niezgorzej. Proszę za mną, wszyscy już się zebrali.

Prowadziła go przez szereg pokoi i mówiła:

- Ogromnie pan jest podobny do Gilberta Griffithsa.

- Naprawdę? - uśmiechnął się Clyde, mile polechtany w swej próżności.

Sufity nisko pochylały się nad komnatami. Światła pięknych lamp wydobywały z ukrycia ciepłe cienie na ciemnych ścianach. Wielkie kominki w dwóch połączonych pokojach rzucały różowe odbłaski na miękkie wygodne meble. Pełno było obrazów, książek i przedmiotów sztuki.

- Tracy może zechcesz pana wszystkim przedstawić - zwróciła się do brata. - Mój brat, Tracy. Pan Clyde Griffiths - zwróciła się do całego towarzystwa, w momencie gdy Tracy brał go pod rękę. Dla

Clyde'a niezbyt były przyjemne te ciekawe spojrzenia, był jednak na to przygotowany.

Zauważył, że z chwilą jego wejścia przerwano rozmowę.

- Proszę sobie z mego powodu nie przerywać rozmowy - zaryzykował z uśmiechem, który miał przekonać obecnych o pewności siebie i obyciu.

- Nie mam zamiaru przedstawiać panu każdego. Staniemy sobie tutaj i powiem panu kto jest kto - mówił Tracy. - Ta na przykład osóбка jest drugą moją siostrą, Gerta, rozmawia właśnie ze Scottem Nicholsonem.

Clyde spojrział na małą, ciemnowłosą panienkę, w pąsowej sukience, z ładną, ale arogancką twarzą, która mu z daleka skinęła głową. Stojący obok niej przystojny młodzieniec, o zdrowej, surowej twarzy, skinął również krótko głową.

- Szanowanie!

Przy głęboko umieszczonym oknie stała wysoka, nadzwyczaj zgrabna panna, o smagłej cerze i prześlicznych rysach, rozmawiając z barczystym młodzieńcem, niższym od niej. Byli to Arabella Stark i Frank Harriet.

- Dyskutują o niedawnym meczu futbolowym. A to jest Burchard Taylor i panna Phant - prawil dalej trochę za prędko, by Clyde mógł zapamiętać te wszystkie nazwiska. - Perley Haynes i Wanda Steele... Zdaje mi się, że to już wszyscy. Ach, nie! idzie jeszcze Grant i Nina Temple.

Clyde zobaczył wysokiego, wyelegantowanego młodzieńca o ostrych rysach, poważnych szarych oczach, prowadzącego strojną pannę, młodą, tęgą, w majowo zielonej sukience. Jasno kasztanowaty warkocz był starannie ułożony nad czołem.

- Jak się macie! Dobry wieczór, Jill!

Clyde został przedstawiony tym dwojgu, jednak żadne z nich nie zwróciło na niego baczniejszej uwagi.

- Niech wam się nie zdaje, że to łatwo poszło - zaczął młody Cranston, zwracając się do wszystkich. - Nina wcale nie chciała przyjść, ale obiecałem Bertinie i Jill, że ją przyprowadzę. W przeciwnym razie i ja miałem nie przyjść. Byliśmy u Bagleyów. Zgadnij, Scott, kto tam był? Van Peterson i Roda Hull! Wyjeżdżają już lada dzień.

- Co ty mówisz? - zawołał Scott, bardzo poważnie wyglądający młodzieniec. Clyde podziwiał, z jaką swobodą wszyscy się tu obracają. - Czemuż ich tutaj nie przyprowadziłeś? Chciałbym bardzo zobaczyć się znów z Rodą i Vanem.

- Nie mogłem. Musieli wcześniej wracać. Może tu wpadną na chwilkę. Co? kolacja jeszcze nie podana? Myślałem, że już dawno siedzicie przy stole!

- Ach ci prawnicy! Czyż nie wiesz, że oni rzadko jadają? - tłumaczył Frank Harriet, niezwykle miły, sympatyczny z prześlicznymi białymi zębami. Podobał się Clyde'owi.

- Mogą sobie jadać albo nie jadać, ale my będziemy jedli albo idę sobie! Czy wiecie, kto trenuje teraz boks na przyszłoroczne zawody w Cornell?

Tej koleżeńskiej pogawędki, tyczącej się uniwersytetu w Cornell, w której brali udział Harriet, Cranston i inni, Clyde nie mógł zrozumieć. Kiedyś zaledwie słyszał mimochodem o przeróżnych uczelniach, na których się kształcili, na tyle jednak był sprytny, że unikał takich rozmów i kierował się ku tematom, które nie mogły mu być obce. Mimo to stropił się. Ci młodzi ludzie więcej umieli niż on. Kształcili się. Może dobrze byłoby powiedzieć, że był w jakiejś szkole. W Kansas City słyszał o stanowym uniwersytecie, który był w tym mieście, a to nie tak bardzo daleko stąd. Słyszał również o uniwersytecie w Missouri. A i w Chicago też był uniwersytet. Może by powiedzieć, że był w którymś z tych uniwersytetów? Postanowił sobie, że jeżeli go spytają, powie, że

był. Zamyślił się wszakże: co właściwie wiedział o tym? Co mógłby tam studiować? Coś kiedyś zasłyszał o matematyce. Niech będzie matematyka.

Ale ci młodzieńcy zanedo byli zajęci rozmową, żeby mieli zwracać na niego uwagę. Mógł sobie być Griffithsem i mieć nawet jakie takie znaczenie dla kogoś, ale nie dla nich. A że Tracy odszedł na chwilę z Wynant, Clyde poczuł się osamotniony, bezradny i nie miał do kogo zwrócić się z rozmową. W tej chwili jednak mała Gerta podeszła do niego.

- Tak się późno wszyscy zbierają. Ile razy powie się żeby przyszedli o ósmej, zawsze przychodzą o wpół do dziewiątej albo nawet o dziewiątej. Zauważył pan to?

- Rzeczywiście - odrzekł Clyde, nadzwyczaj wdzięczny, starając się być swobodnym.

- Jestem Gerta Trumbull - przedstawiła się. - Siostra tej ładnej Jill. - Dowcipny uśmiech zaigrał w jej oczach i ustach. - Pan mi się uklonił, ale pan mnie nie zna. A myśmy dużo o panu słyszały.

Umyślnie to powiedziała, żeby trochę zmieszać Clyde'a.

- Jest pan w Lycurgus tym tajemniczym Griffithsem którego nigdzie nie można zobaczyć. Chociaż widziałam kiedyś pana na Central Avenue. Szedł pan do sklepu Richa z cukierkami. Ale pan nic o tym nie wiedział, że pana obserwowałam. Lubi pan cukierki?

- O, tak, bardzo lubię... - odparł rzeczywiście zmieszany, bo kupował wtedy cukierki dla Roberty. Jednak w towarzystwie tej panienki czuł się o wiele swobodniej niż z kim innym, bo chociaż była zanedo śmiała i niezbyt ładna, jednak jej wesołość torowała mu drogę. Czuł przy tym wdzięczność dla niej, że go uchroniła od samotności i zamknięcia się w sobie.

- Może pan sobie mówić, co chce - roześmiała się drwiąco - ale z pewnością kupował pan cukierki dla jakiejś panny. O, bo na pewno ma pan swoją pannę, co?

- Dlaczego?... - Clyde zawahał się na ćwierć sekundy, gdyż przebiegła mu błyskawicznie myśl: Czyżby go kto widział kiedyś z Robertą? Podobała mu się jednak ta inteligentna, nieprzeciętna dziewczyna niepodobna do żadnej z tych, które poznał. Ale nie przerywając prawie zdania, kończył: - Nie, nie mam żadnej. Dlaczego pani pyta o to?

Gdy to mówił, przyszło mu do głowy, co by pomyślała Roberta, gdyby go teraz słyszała.

- Ale dziwne mi pani zadała pytanie. Lubi pani dokuczać, zdaje się, prawda?

- Co, ja? O, nie To wcale do mnie niepodobne. Ale jestem pewna jednak, że pan ma dziewczynę... Bardzo lubię zadawać takie pytania, bo jestem ciekawa, jaką kto robi minę, jeśli nie chce powiedzieć tego, co myśli. - Zajrzała rozbawiona wyzywająco w oczy Clyde'owi. - Wiem, wiem, że pan ma dziewczynę. Każdy przystojny mężczyzna ma.

- O, to ja jestem przystojny? - Nachylił się ku niej, rozbawiony również i zadowolony. - Któż to tak powiedział?

- Jak gdyby pan o tym nie wiedział. Phi! są tacy, co tak mówią. Ja jestem pierwsza. I Sandra Finchley także uważa pana za przystojnego. Ona zwraca uwagę tylko na przystojnych mężczyzn. Tak samo, jak moja siostra Jill. I jej się podobają tylko przystojni mężczyźni. Mnie nie, bo sama nie jestem przystojna. - Mrugnęła porozumiewawczo, patrząc w jego oczy, i Clyde zmieszał się trochę. Widział, że nie sprosta w ciętości tej pannie. Bawiła go jednak i mimo woli pochlebiała. - Ale niech się panu nie zdaje, że jest pan przystojniejszy od swego kuzyna - dodała żywo. - Chociaż są tacy, co utrzymują, że istotnie tak jest. - Wznosiła go na szczyty i strącała na dół, czasem podsuwała mu myśli, w które chętnie gotów był uwierzyć. Intrygowała go ta dziewczyna, jednak nie przyszło mu nawet na myśl, żeby przywiązywać jakąś wagę do jej słów. Zbyt żywo jej słowa przypominały mu arogancką, stanowczą a nawet mściwą twarz Gilberta, który, oburzony taką o nim opinią, nie zawahałby

się zapłacić mu za to odpowiednio.

- Ależ ja nawet o tym nie myślę - roześmiał się. - Słowo daję, że nigdy o tym nie myślałem. Skądże by?

- Phi! może pan nie myśli, ale tak jest. Zresztą co panu z tego przyjdzie? Chyba, że pan ma dużo pieniędzy, jeśli chce pan żyć z tymi, którzy je mają... - Spojrzała na niego z góry i dodała chłodno: - Każdy lubi pieniądze, chociaż nie zawsze mówi o tym.

Co to za dziwna dziewczyna, pomyślał Clyde. Taka młodziutka, a ma już wyrobione zdanie o życiu. Może bezwiednie, ale docięła mu porządnie.

W tej chwili weszła Sandra w towarzystwie bardzo wytwornie wyglądającego młodego człowieka, którego Clyde jeszcze nie znał.

Prócz nich weszło jeszcze kilka osób, a między nimi Bertina ze Stuartem Finchleyem.

- Otóż i ona - odezwała się Gerta mierząc nieco zawistnym okiem Sandrę, która urodą przyćmiewała wszystkie panny, a tym bardziej Jill i Gertę. - Ciekawa jest, czy pan widzi, że ona wygląda tak pięknie, więc niech jej pan nie zmartwi.

Uwaga ta i szczerą prawdą w niej zawartą, była całkiem zbyteczną, gdyż Clyde i tak już wlepił w pannę Finchley zachwycone oczy.

Pominąwszy jej pozycję towarzyską, bogactwo, gust w ubraniu, dystynkcję manier, było coś w Sandrze, co go najbardziej uderzało - była bardziej subtelna, nie tak pierwotna, mniej zachłanna, może dlatego, że miała wszystko, o czym zamarzyła; może mniej świadoma swych czynów, ale była to druga Hortensja Briggs. Była tak samo żądna wypróbowania swego niebezpiecznego czaru na każdym, kto jej się dostatecznie podobał, a przy tym nie ustępująca nic ze swej własnej indywidualności, nie angażująca się nigdy poważnie w jakiś trwalszy związek. Teraz dla wielu przeróżnych powodów, których nie umiałaby nawet wytłumaczyć, zajęła się Clyde'em. Mógł być niczym w

życiu towarzyskim, mógł być ubogi, jednak podobał się jej.

Wszedłszy do sali chciała się przekonać, czy już przyszedł, następnie starała się, by nie spostrzegł, że ona go widzi, a potem miała zamiar traktować go z góry. Był to ściśle ten sam sposób postępowania, jaki zwykle stosowała Hortensja, uważając, że tym wywiera się największe wrażenie.

Clyde patrzył, jak kolejno zbliżała się do różnych osób, zgrabna w swej wieczorowej sukni, cieniowanej od najjaśniejszej żółtej barwy, do mocnej pomarańczowej, co niezmiernie podnosiło piękno jej ciemnych oczu i włosów. Po wymianie kilkunastu powitań i najświeższych miejscowych wiadomości raczyła w końcu zauważyć obecność Clyde'a.

- A, więc jest pan! Zdecydował się pan w końcu przyjść. Nie byłam pewna, czy pan uzna, że warto było. Został pan oczywiście wszystkim przedstawiony, prawda?

Spojrzała dookoła, jak gdyby w przeciwnym razie gotowa była sama to zrobić.

Na tych, którzy nie zwrócili na Clyde'a większej uwagi, niezwykła uprzejmość Sandry dla tego nieznanego młodego człowieka zrobiła duże wrażenie.

- O, tak, zdaje się, że poznałem już wszystkich.

- Prócz Freda Sellsa. Właśnie przyszedł ze mną. Chodź tu, Fred! - zawołała smukłego, wysokiego młodzieńca o gładkich policzkach i niezwykle kędzierzawych włosach. Nadszedł i elegancki w każdym calu, spoglądał z góry na Clyde'a jak kogut na wróbla.

- Oto pan Griffiths, opowiadałam ci o nim - mówiła żywo. - Prawda, jak jest podobny do Gilberta Griffithsa?

- Rzeczywiście! - zawołał sympatyczny jej towarzysz, który prawdopodobnie miał słaby wzrok, bo pochylił się nad nim nisko. - Pan jest podobno kuzynem Gilberta. Znam go doskonale. Przeszliśmy

razem Princeton. Byłem tam, dopóki nie wstąpiłem do Shenectady. Ale tutaj jestem już kawał czasu. A pan także pracuje w fabryce, zdaje się?

- Tak - odpowiedział Clyde, który wobec bardziej wykształconego młodzieńca czuł się nieco onieśmielony. Obawiał się nie na żarty, żeby ten bubek nie chciał wszcząć z nim rozmowy o rzeczach dla niego niepojętych, o sprawach, w których nie orientował się jeszcze dobrze.

- Pewnie w którymś z wydziałów?

- Tak - ostrożnie przyznawał się Clyde.

- Wie pan - mówił z ożywieniem młodzieniec, który znał się dobrze na sprawach technicznych i handlowych - zastanawiałem się często, co właściwie daje, oczywiście poza pieniędzmi, taka produkcja na wielką skalę kołnierzy? Często dyskutowaliśmy o tym z Gilbem, jeszcze dawniej, w college'u. On twierdził z całą stanowczością i starał się mnie przekonać, że taki wyrób kołnierzyków jest społecznym obowiązkiem, bo wpływa na kulturę społeczeństwa, które nie nosiłoby kołnierzyków, gdyby nie były tanie. Sądzę, że musiał to wyczytać w jakiejś książce. Doskonale! Uśmiełem się serdecznie...

Clyde miał już zamiar odpowiedzieć mu, jakkolwiek nie wniknął dokładnie w sens uwagi. "Społeczny obowiązek"... Miało to jakieś znaczenie - jakieś głębokie, naukowe, z którym Sells niewątpliwie zapoznał się na studiach. Uwolniła go od jakiejś niezbyt wyczerpującej, a niewłaściwej odpowiedzi Sandra, nie domyślając się nawet wcale, w jakim Clyde był kłopotcie, bo zawołała:

- Tylko nie diskutujcie! To wcale nie zabawne. Muszę jeszcze pana poznać ze swym bratem i Bertiną. Przypomina pan sobie pannę Cranston? Była ze mną u państwa Griffiths, pamięta pan? wtedy, na wiosnę.

Clyde obejrzał się, a Fred, odprawiony w ten sposób, zapatrzył się na Sandrę zachwyconym wzrokiem.

- Ach, tak naturalnie, pamiętam - odezwał się Clyde przyglądając się z daleka dwojgu wskazanym osobom. I Bertina wydała mu się bardzo ładna, chociaż nie umiał jej jakoś określić. Była jakaś skomplikowana, zagadkowa, ironiczna i budziła w Clydzie wrażenie dziwnej, niepewnej, niepodobnej w niczym do tych panien, które już poznał.

- Dobry wieczór panu - zaczęła. - Bardzo mi miło widzieć pana - cedziła, a zielonkawe jej oczy błędziły po nim z wesołym, dość obojętnym i trochę zagadkowym wyrazem. Przyznała w duszy, że jest przystojny, ale wolałaby, żeby był bardziej pewny siebie i stanowczy. - Przypuszczam, że pan musi być zapracowany w tej swojej fabryce.

Ale ponieważ pan już zbliżył się do nas, mam nadzieję, że będziemy widywali się częściej.

- Bardzo byłbym szczęśliwy... - odpowiedział ukazując zęby w uśmiechu.

Oczy jej mówiły, że sama nie wierzy w to, co mówi, i wie, że i on w to nie wierzy, ale należało powiedzieć coś w tym sensie.

Takie samo przypuszczenie, może tylko w nieco zmienionej formie, usłyszał od brata Sandry, Stuarta.

- Bardzo mi miło poznać pana. Siostra moja opowiadała mi wiele o panu. Ma pan zamiar długo pozostać w Lycurgus? Mam nadzieję, że będziemy się często widywali.

Clyde wcale nie był tak bardzo tego pewny, ale podziwiał swobodę, lekki, niedbały ton i szybki, wesoły, obojętny uśmiech, w którym Stuart pokazywał swe białe zęby. Podziwiał również sposób, w jaki zatrzymał przechodzącą pannę Wynette Phant, gdy, ujmując ją za obnażone białe ramię, szepnął:

- Poczekaj chwileczkę, Wynette. Chcę cię o coś zapytać...

Odszedł do drugiego pokoju nachylając się ku niej i opowiadając coś żywo. Clyde zauważył również, że brat Sandry nosił doskonale leżące ubranie.

- Jacy to weseli ludzie! - myślał. - Ileż tu życia!

Ale Jill Trumbull zaczęła wszystkich zwoływać:

- No, chodźcie już! To nie moja wina. Kucharz pokpił z czymś sprawę i dlatego wszystko się opóźniło. Chodźmy więc, a potem będą tańce.

- Usiądzie pan między mną a Jill, kiedy już zaprosi nas wszystkich do stołu - odezwała się Sandra. - Zadowolony pan? A teraz może mnie pan zaprowadzić do jadalni.

Wsunęła białe ramię pod rękę Clyde'a, a jemu się zdawało, że z wolna, lecz pewnym krokiem zbliża się do wrót raju.

Rozdział XV

Podczas obiadu towarzystwo rozmawiało o różnych osobistościach, miejscowościach, planach i projektach, o których Clyde nic a nic nie wiedział.

Spostrzegł od razu, że niektóre osoby okazywały mu całkowitą obojętność, inne znów, zwłaszcza młode panny, interesował fakt, że Sandra tak się nim zajmowała. Jill Trumbull siedząc przy nim, chciała się dowiedzieć, jakie życie prowadził w domu rodzinnym, jakie miał znajomości, dlaczego przyjechał do Lycurgus. Pytania

te, przerywane rozmową z innymi pannami i ich wielbicielemi, rzucanymi dowcipami na inny temat, dawały Clyde'owi możliwość namyślenia się nad każdą odpowiedzią. Wcale nie miał ochoty wyznawać prawdy o swych rodzicach. Powiedział więc, że jego ojciec jest właścicielem hotelu w Denver. Nie jest to wielki hotel, ale w każdym razie dość duży. A przyjechał do Lycurgus ulegając namowom stryja, który pragnął, aby zainteresował się pracą w jego warsztatach i zapoznał z całą wytwórczością kołnierzy. Nie jest pewien, czy tu długo wytrzyma, czy to go zajmie dość długo, chyba że okaże się to bardzo korzystne dla niego, gdyż musi myśleć o swej przyszłości. To ostatnie zdanie zwróciło uwagę Sandry, która też uważnie słuchała, jakkolwiek odpowiadał panie Jill, i doszła do przekonania, że pogłoski rozsiewane przez Gilberta miały się z prawdą, bo Clyde jednak nie jest zupełnie pozbawiony środków materialnych i stosunków i, kiedy zechce, będzie mógł wrócić do rodziny.

Było to bardzo ważne nie tylko dla Sandry i Jill, ale i dla wszystkich. Bo chociaż był przystojny, elegancki i miał niebyle jaką tutaj rodzinę, jednak, gdyby był nikim, jak twierdziła Konstancja Wynant, gdyby tylko czekał na łaskę swych krewnych, byłby tu gościem niepożądanym. Trudno by przyjaźnić się z biednym urzędnikiem, chociażby miał najbardziej znakomitych krewnych. Ale ponieważ nie jest taki ubogi, jak o nim opowiadają, i ma oparcie w domu rodzicielskim, sytuacja stawała się zupełnie odmienna.

Więc Sandra, zadowolona, że Clyde okazał się bardziej godny jej zainteresowania, gotowa była okazać mu jawniej swoją sympatię.

- Czy zechce pani zatańczyć ze mną po obiedzie? - zapytał ośmielony miłym uśmiechem, gdy gwar w przyległej sali oznajmił o zbliżających się tańcach.

- Bardzo chętnie, jeżeli pan sobie życzy - odpowiedziała z kokieterią, chcąc go oczarować jeszcze bardziej.

- Tylko jeden raz?

- A ileż razy by pan chciał? Przecież jest tu z tuzin chłopców, chyba wie pan o tym. Dostał pan program tańców?

- Nie widziałem jeszcze.

- Niechże więc po obiedzie postara się pan o program i może pan zapisać mnie na trzeci i ósmy. A poza tym może pan tańczyć z innymi pannami. Trzeba zostawić miejsce i dla innych - uśmiechnęła się czarująco. - Musi pan być uprzejmy dla wszystkich, proszę o tym pamiętać.

- Dobrze, będę pamiętał. - Patrzył ciągle na nią. - Od chwili, gdy panią ujrzałem po raz pierwszy, marzyłem ciągle, żebym mógł jeszcze raz ją zobaczyć. Zawsze szukałem jej nazwiska w dziennikach.

Patrzył na nią niespokojnie, pytającym wzrokiem, a Sandrę ujęło to naiwne wyznanie. Biedny chłopak! nie mógł być oczywiście przy niej i brać udziału w jej zabawach, ale wynagradzał to sobie czytając o niej.

- Naprawdę? - zapytała. - To ślicznie z pańskiej strony. A co pan o mnie czytał?

- Że była pani nad Twelfth Lake i w Greenwood i w Sharon na zawodach pływackich. Wiedziałem, kiedy pani pojechała do państwa Smith. Dzienniki wyrażały przypuszczenie, że pani interesuje się kimś z nad Schroon Lake i że ma pani wyjść za niego.

- Czyżby? Bez sensu! Dzienniki zawsze drukują głupie pogłoski.

Tonem swym dała mu do zrozumienia, że jest niedyskretny.

Zawstydzził się. Jego skonfundowana mina przejechała Sandrę, więc po chwili podjęła znów rozmowę z poprzednim ożywieniem.

- Lubi pan jeździć konno? - zapytała mile, znów patrząc na niego.

- Nigdy nie jeździłem. Nigdy nie miałem sposobności, ale mam

wrażenie, że gdybym spróbował, nauczyłbym się prędko.

- Ach, naturalnie. To wcale nietrudne. Gdyby pan wziął parę lekcji to - zniżyła głos - to moglibyśmy pogalopować sobie czasami. Jest tyle koni w naszych stajniach i jestem pewna, że podobałyby się panu.

Clyde zdębiał. Jak to? ona go zaprasza na wspólne wycieczki i proponuje konia ze swej stajni?

- Och, jakże by to było cudownie! - zawołał.

Zaczęto wstawać od stołu. Nikt nie miał już ochoty na jedzenie, przybyła bowiem orkiestra złożona z czterech grajków i dały się słyszeć pierwsze tony fokstrota z przyległej sali - wielkiej, długiej, pustej, z której wyniesiono wszystkie meble prócz krzeseł.

- Niech pan najprzód obejrzy program, zanim zaczną się tańce - przypomniała Sandra.

- Bardzo chętnie - odrzekł Clyde. - Ale mam obiecane od pani dwa.

- Może więc pan wziąć trzeci, piąty i ósmy w pierwszej połowie.

Pożegnała go wesołym skinieniem ręki, a Clyde pobiegł po program tańców.

Wszystkie te modne tańce były w rodzaju fokstrota, wykonywanego w rozmaity sposób, zależnie od usposobienia i temperamentu tancerzy. Clyde tyle tańców poznał z Robertą podczas lata, że teraz mógł uchodzić za doskonałego tancerza. Ponoсила go wprost radość, że nie tylko towarzyskie stosunki wiążą go z taką nieporównaną istotą jak Sandra, lecz niemal nawet uczuciowe.

Starał się być uprzejmy dla wszystkich panien, nie umiał się jednak powstrzymać od nieustannej kontemplacji urody Sandry. Kołysała się tak rozmarzająco w objęciach Granta Cranstona, a gdy zbliżyli się do Clyde'a, spoglądała na niego, by pojął, ile jest w

niej romantycznego, poetycznego wdzięku, jakim klejnotem jest jej osoba. Nina Temple, z którą teraz tańczył, rzuciła mu uwagę:

- Prawda, ile ona ma w sobie wdzięku?

- Kto? - zapytał Clyde udając, że nie wie o kim mowa, co niezbyt dobrze mu się udało, bo mocno się zaczerwienił. - O kim pani mówi?

- Nie wie pan? Dlaczego więc pan się zaczerwienił?

Tak, istotnie, poczuł, że się zaczerwienił. - A tak chciał uniknąć śmieszności. Odwrócił się, lecz w tej chwili muzyka przestała grać i wszyscy skierowali się w stronę krzeseł. Sandra odeszła z Grantem, a Clyde odprowadził Ninę do miękkiej kanapki w bibliotece.

Tańcząc następnie z Bertiną nie czuł się dobrze w jej towarzystwie, był nieco zmieszany chłodną, arogancką prawie wyniosłością, z jaką odzywała się do niego. Tolerowała Clyde'a jedynie dlatego, że Sandra okazywała mu tyle sympatii.

- Doskonale pan tańczy. Musiał pan wiele tańczyć w swoim życiu. Pewnie w Chicago?

Mówiła z wolna i obojętnie.

- Byłem istotnie w Chicago, zanim tu przyjechałem, ale tam na tańce nie miałem czasu. Pracowałem ciężko.

Przyszło mu na myśl w tej chwili, ile tu jest dziewcząt, które posiadają wszystko, o czym tylko zamarzą, a tymczasem taka biedna Roberta nie ma nic. O, Roberta jest bez porównania sympatyczniejsza od Bertiny. Taka słodka, tyle ma ciepłego uczucia, bardziej szczerza - nie taka chłodna.

Rozległ się melancholijny dźwięk saksofonu. Do Clyde'a podeszła Sandra i pozwoliła mu się objąć. Chłopiec drżał cały wewnętrznie. To zwykłe zbliżenie spełniało jego marzenia.

Kokieteryjnie i kunsztownie uśmiechała się patrząc w jego oczy z tym słodkim, zwodniczym, a przy tym obiecującym uśmiechem, który budził w nim szalone bicie serca i dławienie w gardle. Jakieś delikatne perfumy lechtały mu nozdrza i przynosiły wspomnienia woni wiosennych.

- Dobrze tu panu?

- O tak! bo patrzę na panią.

- Ależ tu jest bardzo wiele pięknych panien...

- Nie ma żadnej tak pięknej jak pani.

- I tańczę lepiej niż kto inny, i piękniejsza jestem...

Powtórzyłam już wszystko po panu, co mi więc teraz pan powie?

Patrzyła nań upajającym wzrokiem, a Clyde zrozumiał, że ma z inną niż Roberta kobietą do czynienia. Zmieszał się i zaczerwienił.

- Tak, wiem... - odrzekł z powagą. - Słyszysz to pani od każdego, więc nic nowego pani nie powiedziałem.

- O, nie! nie od każdego! - Sandrę zaskoczyła prostota jego odpowiedzi. - Jest dużo osób, które mnie wcale nie uważają za ładną.

- Czyżby? naprawdę? - odpowiedział już wesoło, bo zrozumiał że nie żartuje z niego. A obawiał się zaryzykować jeszcze jeden komplement. Wolał przerzucić się na inny temat, wracając więc do przerwanej przy stole rozmowy o konnej jeździe i tenisie zapytał:

- Czy lubi pani zabawy na świeżym powietrzu?

- Czy lubię? - odpowiedziała z wielkim ożywieniem - to jest jedyna rzecz, którą naprawdę lubię. Jestem po prostu zwariowana na punkcie konnej jazdy, tenisa, pływania i wiosłowania. A pan pływa?

- Och, naturalnie - odpowiedział z wielką pewnością siebie.

- A gra pan w tenisa?

- Właśnie zacząłem grywać - odpowiedział nie chcąc się przyznać, że nigdy jeszcze nie grywał.

- Bardzo lubię tenis. Moglibyśmy kiedyś zagrać razem.

Duch Clyde'a coraz większej nabierał krzepkości. A ona, płynąc lekko w takt smętnej piosenki miłosnej, mówiła dalej:

- Stale grywam z Bellą Griffiths, Stuartem i Grantem. Wygraliśmy w lecie prawie wszystkie turnieje w Greenwood i Twelfth Lake. A gdyby zobaczył mnie pan przy pływaniu i wiosłowaniu... Mamy też najszybszą motorówkę w Twelfth Lake. Należy właściwie do Stuarta. Robi sześćdziesiąt mil na godzinę.

Clyde przekonał się, że poddał temat, który ją całkowicie zajmował i ożywiał. Bo nie tylko chodziło o rozrywki na świeżym powietrzu, lecz i o wykazanie wielkiej sprawności i możliwość zbierania laurów. Poza tym - o czym jeszcze Clyde nie wiedział, a miał się później dowiedzieć - chodziło również o częste zmiany kostiumów, pokazywanie ich wszystkim i o odnoszenie triumfów również na tym polu. Jakże ona prześlicznie musi wyglądać w kostiumie kąpielowym albo w ubraniu do konnej jazdy, automobilowym czy tenisowym.

Dużo tańczyli razem, zadowoleni z siebie, znajdowali w sobie wspólność upodobań, czuli, że jednakowo lgną do siebie, czuli przebłyski entuzjazmu i żaru, które objawiały się w poszukiwaniu wzajemnych spojrzeń.

Clyde upojony uznał, że potrafi doskonale dostosować się do tego świata i liczył już na to, że Sandra zaprosi go do wzięcia udziału w wielu zabawach. Było to chwilowe, ulotne przekonanie, pełne złudy, a pod samą jego powierzchnią płynął głęboki strumień niedowierzania, uzewnętrzniającego się w poważnym, melancholijnym spojrzeniu, w mocnym, pozornie pewnym siebie głosie; mogło to Sandrę nawet wzruszyć, gdyby umiała odczuć, rozpoznać istotę jego uczuć, zrozumieć, co kryje się pod tą pozorną pewnością siebie.

- Och, przestali grać... - odezwał się smutnie.

- Mogą jeszcze zagrać - odpowiedziała klaszcząc w ręce. Orkiestra rozpoczęła na nowo i znów sunęli przez salę kołysząc się i harmonijnie poddając rytmom jak dwa małe listki podzucane falami morza.

- Boże! jaki jestem szczęśliwy, że widzę znów panią... że tańczę z tobą... Sandro... O jakież to cudowne...

- Ależ pan nie może tak mnie nazywać. Za mało się znamy.

- Chciałem powiedzieć - panno Sandro. Ale pani nie gniewa się na mnie? Twarz mu zbladła i posmutniał.

Zauważyła to.

- Nie. Czy pogniewałam się na pana? Nie gniewam się wcale. Bardzo pana lubię, zwłaszcza... kiedy pan nie jest taki sentymentalny.

Muzyka zamilkła.

- Ciekawa jestem, czy śnieg jeszcze pada. Chodźmy zobaczyć - powiedziała Sandra.

- O, tak! chodźmy.

Przecisnęli się między przechadzającymi się parami i bocznymi drzwiami poszli spojrzeć na świat pokryty miękkimi, cichymi płatkami niby strzępami waty. W powietrzu unosiło się mnóstwo takich wirujących płatków.

Rozdział XVI

W grudniu Clyde przeżył wiele miłych chwil, ale i sporo momentów bardzo skomplikowanych i nawet kłopotliwych. Sandra zagięła na dobre parol na tego przystojnego wielbiciela i coraz wyraźniej okazywała mu swoją sympatię. Niepokoilo ją tylko, że stojąc właściwie na czele młodszego towarzystwa nie wiedziała, jaką ma obrać metodę postępowania. Clyde był przecież zbyt ubogim młodzieńcem i zanadto ignorowanym przez Griffithsów, żeby dla niego narażać swoją opinię. Lecz z drugiej strony chciała koniecznie dokuczyć Gilbertowi, a przy tym Clyde podobał się jej bardzo. Tyle w nim było wdzięku, a przy tym uwielbienie, okazywane Sandrze, uznanie jej pozycji towarzyskiej, pochlebiały i bardzo ją ujmowały. Natura jej potrzebowała pochlebstwa i to właśnie takiego, jakim ją obdarzał Clyde - szczerego, poetycznego. Były w nim właśnie te fizyczne i duchowe cechy, które jej się zwykle podobały, chociaż mazgajowata miłość nudziła ją czasami.

Gdy więc po zabawie u Trumbullów powróciła do domu, ciasny jej, ale ruchliwy umysł zajęła jedyna myśl: jak postępować z Clyde'em, żeby nie zwracać na siebie uwagi i nie wywoływać komentarzy. Wprawdzie wszyscy dziś spostrzegli, że okazywała mu większe zajęcie niż komu innemu, jednak nie bardzo się temu dziwiono, gdyż Clyde podobał się ogólnie, zwłaszcza młodym pannom.

W jakieś dwa tygodnie po tej zabawie, gdy Clyde w sklepie Starka wybierał podarki gwiazdkowe dla swej rodziny i dla Roberty, weszła Jill Trumbull. Zobaczywszy go zaprosiła na ostatni przedświąteczny wieczorek taneczny, mający się odbyć u Wandy Steele w Gloversville.

Jill miała tam być z Frankiem Harrietem i nie była pewna, czy Sandra wybierze się na tę zabawę. Była już gdzie indziej zaproszona, ale obiecała, że jeżeli będzie mogła, to przyjedzie. Ale za to siostra Jill - Gerta, będzie bardzo zadowolona, jeżeli

Clyde zechce jej towarzyszyć. Byłoby to z jego strony wielką uprzejmością dla Gerty. Zdaje się jej jednak, że jeżeli Sandra dowie się, że Clyde tam będzie, niezawodnie opuści tamtą zabawę i przyjedzie do Wandy.

- Tracy miał ochotę wstąpić po pana - mówiła dalej - albo... -
zawahała się - może pan przyjdzie do nas na obiad przed tym wieczorem. Pojechalibyśmy później wszyscy razem. Na obiedzie będzie tylko rodzina, ale byłoby nam bardzo miło, gdyby pan zechciał przyjść. Tańce rozpoczną się dopiero około jedenastej.

Zabawa miała się odbyć w piątek, ale Clyde obiecał już Robercie, że wieczór ten spędzi z nią razem, gdyż następnego dnia, korzystając z trzydniowego święta, miała pojechać do rodziny i przez tak długi czas mieli się nie widzieć. Miała dla niego niespodziankę. Kupiła mu na gwiazdkę wieczne pióro i ołówek automatyczny i bardzo pragnęła spędzić z nim razem ostatni wieczór. Chciał jej zrobić przyjemność i zgodził się na to. Miał jej ofiarować piękne przybory toaletowe.

Teraz jednak rozgorzał cały dowiedziawszy się, że może zobaczyć się z Sandrą, i gotów był odwołać spotkanie z Robertą, chociaż czuł, że sprawi jej tym wielką przykrość, a i z jego strony nie bardzo to będzie przyzwoicie. Chociaż Sandra bardzo go pociągała, jednak wiele jeszcze miał uczucia dla Roberty i nie chciał jej zasmucać. Wiedział dobrze, że będzie jej bardzo przykro. Trudno mu się było zdecydować, bo wielce mu pochlebiały nowe stosunki towarzyskie, mimo iż dość późno i tak jakoś nagle zawiązane. Nie miał siły odmówić Jill.

Miałby odrzucić takie zaproszenie? Miałby nie jechać do Gloversville i to w towarzystwie Trumbullów? Postąpić być może nieuczciwie, okrutnie, zdradziecko z Robertą, ale czyż może nie widzieć się z Sandrą?

Obiecał więc przyjść, ale musiał koniecznie zobaczyć się z Robertą i wytłumaczyć się jakoś przed nią. Powie jej, że Griffithsowie zaprosili go na obiad. To powinno ją zupełnie przekonać. Poszedł,

lecz nie zastał Roberty w domu, postanowił więc całą tę sprawę załatwić nazajutrz w fabryce. Może zresztą napisać do niej.

Aby jej to wynagrodzić, obieca jej, że w niedzielę pojedzie z nią do Fonda i tam ofiaruje swój podarek gwiazdkowy.

Lecz w piątek rano w stemplarni zamiast ją przeprosić z żalem i smutkiem, które zawsze wyrażał, jeśli czasami nie mógł się z nią zobaczyć, szepnął jej tylko:

- Niestety, kochanie, nie będę mógł być dzisiaj u ciebie wieczorem. Jestem zaproszony do stryja i muszę tam pójść. Nie wiem, czy uda mi się stamtąd wyjść wcześniej. Będę się starał, ale nie wiem... W każdym razie zobaczymy się jutro rano, bo odprowadzę cię do Fonda. Mam już coś na gwiazdkę dla ciebie, wiem, że będziesz zadowolona. Napiszę jeszcze, a w każdym razie dam ci jakoś znać. Bardzo się na mnie gniewasz?

Patrzył na nią siląc się na smutek, żeby okazać, jak bardzo martwi się z tego powodu.

Roberta potrząsnęła tylko głową, jak gdyby miała powiedzieć: O, nie! lecz cała jej radość z tak pięknie zapowiadającego się wieczoru zgasła. Przygnębiona zamyśliła się, co mogła znaczyć taka nagła zmiana projektu.

Dotychczas udawało się Clyde'owi ukryć swe spotkanie z Sandrą, a że okazywał Robertcie niezmiennie uczucie, nic więc nie podejrzewała. Zaproszenie stryjostwa było zupełnie prawdopodobne i Clyde naprawdę nie mógł się od tego uchylić. Ale miał to być taki miły wieczór, spędzony we dwoje! A teraz przez całe trzy dni nie zobaczą się wcale.

I przy pracy, i u siebie w domu martwiła się bardzo, czując nawet trochę żalu do Clyde'a, gdyż mógłby chociaż po obiedzie wpaść do niej na chwilkę. Tak się cieszyła, że mu ofiaruje swoje podarki.

Ale on, przewidując podobne życzenie, uprzedził, że obiad mógł się przeciągnąć do późna... Zresztą powiedział jej, że będzie się

starał przyjść, ale nie jest pewien, czy mu się to uda. Całe towarzystwo miało zamiar po obiedzie pojechać jeszcze gdzieś na zabawę.

Był więc Clyde u Trumbullów, a potem u Steele'ów i rozszerzył niesłychanie swe stosunki towarzyskie, o czym mu się nawet nie śniło jeszcze przed miesiącem. U Steele'ów przedstawiono go wielu poważnym osobistościom, które, widząc go w towarzystwie Trumbullów i wiedząc, że nazywa się Griffiths, zapraszały go do siebie albo wciągając go do koła swych znajomych proponowały wspólne zabawy. Zaprosili go najprzód państwo Vandam z Gloversville na Nowy Rok oraz Harrietowie na wieczór wigilijny, na którym mieli być również Gilbert z Bellą oraz Sandra, Bertina i wiele jeszcze innych osób.

Dość późno zjawiła się i Sandra w towarzystwie Scotta Nicholsona, Freda Sellsa i Bertiny. Udawała, że nic nie wie o jego obecności, ale raczyła zbliżyć się do niego i powitać.

- O! nie spodziewałam się tu pana zastać...

Owinięta była w piękny purpurowy szal hiszpański, w którym wyglądała ślicznie.

Clyde domyślał się jednak, że wiedziała doskonale, iż go tu zastanie. Przy pierwszej sposobności, gdy tylko mógł zbliżyć się do niej, szepnął patrząc błagalnie w oczy:

- Czy pani nie zechce ze mną tańczyć?

- Dlaczego? ależ naturalnie, jeżeli tylko pan ma ochotę. Myślałam, że pan już zapomniał o mnie... - żartowała.

- Jakżebym mógł zapomnieć o pani. Przyszedłem tu tylko po to, żeby ją zobaczyć. O niczym i o nikim nie mogłem myśleć od czasu, gdy panią poznałem...

Banalne te wyznania nie rozgniewały jej, bardziej jeszcze może ujęły, tyle w nich było uwodzicielskiego czaru, oczy patrzyły tak namiętnie, że musiały ją przekonać o prawdzie jego słów. Powieki

mu się zwężyły, a w oczach płonął blask pożądania i trudno było w nie patrzeć bez zmieszania.

- O, potrafi pan mówić bardzo miłe rzeczy w taki sympatyczny sposób, umie to pan doskonale. - Bawiła się wielkim hiszpańskim grzebieniem, który miała we włosach, i uśmiechała się. - A mówi je pan tak, jak gdyby pan naprawdę tak myślał.

- Czy to ma znaczyć, że nie wierzysz mi, Sandro? - zapytał gorączkowo, po raz drugi wymawiając poufale jej imię, co odczuła równie silnie jak on. Miała zamiar obrazić się za to, jednak udała, że nie słyszy, będąc zupełnie pod jego urokiem.

- Ale wierzę, naturalnie - odrzekła z pewnym powątpiewaniem, lecz po raz pierwszy zmieszana w jego obecności. Jakoś trudno było natrafić na sposób postępowania z nim, nie wiedziała, czy ma go jeszcze silniej ujarzmić, czy zwolnić nieco pęta. - Niech mi pan lepiej powie, co pan chce ze mną tańczyć. Widzę, że już ktoś idzie po mnie. - Podniosła w górę mały karnecik trzymając go w niepewności. Może otrzymać pan numer jedenasty. To zaraz po tym tańcu.

- I to wszystko?

- Więc niech jeszcze będzie czternasty dla takiego łakomczucha.

Z uśmiechem spojrzała mu w oczy takim wzrokiem, że zachwiał się.

Od Franka Harrieta dowiedziała się w tańcu, że Clyde został zaproszony do nich na wieczór wigilijny, a do Jessiki Phant na wieczór sylwestrowy. Doszła do przekonania, że nie powinna mu pozwolić rozpraszać się tak bez niej w światowym wirze i upajać powodzeniem. Jest tak czarujący... i tak jej oddany. Obawiała się, że któraś z tych panien, widząc go obracającego się w najlepszym towarzystwie, może nim zająć się poważnie i on gotów swe uwielbienie z Sandry przenieść na inną. Zanadto była ambitna i próżna, żeby mogła na to pozwolić.

Tańcząc więc po raz drugi z Clyde'em zapytała:

- Jest pan podobno zaproszony na wieczór wigilijny do Harnetów?

- Tak, i wiem, że zawdzięczam to pani - odrzekł z uniesieniem. - Pani tam będzie?

- Bardzo żałuję, ale jestem już gdzie indziej zaproszona i muszę tam być koniecznie. Ale uplanowałam sobie, żeby na święta pojechać do Albany, a potem do Saratogi. Wyjeżdżam jutro, ale wrócę przed Nowym Rokiem. Kilku przyjaciół Freda urządza wielką zabawę w Schenectady w wilię Nowego Roku. Będzie tam pańska kuzynka Bella i mój brat Stuart, Bertina i Grant. Gdyby pan chciał, mógłby też z nami pojechać.

Chciała powiedzieć "ze mną", ale zmieniła na formę "z nami". Obawiała się, że i tak zwróci ogólną uwagę ich przebywanie razem na każdej zabawie, tym bardziej że będzie musiała odmówić państwu Phant.

Naturalnie Clyde przyjął jej zaproszenie, uszczęśliwiony, że znowu będzie z nią razem.

Ale nagle zastanowił się ze zdziwieniem i z pewną obawą, że zupełnie przypadkowo ułożyło się jego spotkanie z Bellą, która nie omieszka donieść w domu o jego stosunkach z rodziną Finchleyów i przyjaźni z Sandrą. A to historia! Gryffithsowie dotychczas nie zaprosili go ani razu, nawet na wilię. Musieli wiedzieć o tym, że Clyde jeździł z Sandrą w jej aucie, że był na zabawie w klubie, a jednak nic ich to nie poruszyło. Gilbert niewątpliwie był tym rozdrażniony, rodzice może nawet zakłopotani, niemniej jednak obojętnie na to patrzyli.

Prócz tego Sandra powiedziała mu jeszcze, że całe towarzystwo pozostanie prawdopodobnie w Schenectady do rana, a Clyde nie pomyślał o tym, że Roberta, powróciwszy z Biltz i pozbawiona widoku swego ukochanego przez tyle dni, będzie liczyła na to, że wilię Nowego Roku spędzą razem.

Była to nowa komplikacja, która mu przyszła na myśl dopiero

później. Teraz był tak rozanielony tym, iż Sandra pamięta o nim, że bez zastanowienia i z wielką wdzięcznością przyjął zaproszenie.

- Ale niech pan pamięta - ostrzegę go - że tam nie będzie panu wolno tak krążyć koło mnie, jak to pan ciągle robi. Ja też nie będę na pana zwracała tyle uwagi, co teraz. Bo widzi pan, moi rodzice są tacy dziwni... A będzie tam wielu naszych znajomych. Ale jeżeli będzie pan grzeczny i będzie udawał obojętnego, to... to może tej zimy zobaczymy się nieraz. Dobrze?

Wstrząśnięty do głębi tym ostrzeżeniem, które musiał usłyszeć, bo już nie umiał nad sobą panować, wpijał się w nią namiętnym, błagalnym wzrokiem.

- Ale czy pani ma dla mnie choć trochę przychylności?... - dopytywał się z niepokojem, a jego oczy płonęły tym nieprzepartym żarem, który ją tak czarował. Chciała zachować spokój, a jednak opanowana wzruszeniem i dziwnym jakimś uczuciem, świadoma, że czyni nierozsądnie, odpowiedziała:

- Nie wiem... trudno mi na to odpowiedzieć. I tak, i nie... Powiem zresztą panu, że... bardzo pana lubię... Czasami zdaje mi się, że wolę pana niż innych...

Widzi pan, tak mało jeszcze się znamy...

Ale pojedzie pan ze mną do Schenectady? Zgadza się pan?

- Och, jakżebym się mógł nie zgodzić?

- Napiszę panu o tym obszerniej albo zobaczę się z panem. Czy pan ma telefon?

Podał swój numer.

- A gdyby wypadkiem coś się zmieniło albo nie mogłabym pojechać, niech się pan tym nie martwi. Zobaczymy się później... na pewno.

Uśmiechnęła się do niego, a on odpowiedział jej radosnym wzrokiem. Zabrakło mu tchu. Tak szczerze z nim mówiła, powiedziała, że go bardzo lubi... Taka piękna panna chce dzielić z nim swe rozrywki,

ona, ta czarująca osoba, która mogła tylu wybrać spośród swych wielbicieli...!

Rozdział XVII

Zaledwie godzinę czasu miał na odpoczynek, bo o wpół do siódmej musiał już wstać. Pękała mu głowa od najróżnorodniejszych myśli. Co ma zrobić z Robertą? Dzisiaj wyjeżdża do Biltz. Miał ją odprowadzić do Fonda, ale wcale nie ma ochoty jechać. Oczywiście musi obmyślić jakąś wymówkę. Ale jaką?

Na szczęście słyszał wczoraj, jak Whiggam mówił do Liggetta, że po skończonej pracy odbędzie się zebranie szefów wszystkich wydziałów w biurze dyrektora Smilliego. Clyde miał też być na nim obecny. Nie powiedziano mu jeszcze o tym, bo jego wydział należał do Liggetta, ale postanowił wymówić się tym zebraniem przed Robertą. Koło dziewiątej więc pozostawił na jej stole kartkę tej treści:

Ukochana. Strasznie mi przykro, ale kazano mi się stawić na zebranie szefów o trzeciej po południu. Więc oczywiście nie będę mógł pojechać z tobą do Fonda, ale po robocie wpadnę na chwilkę do ciebie. Mam coś dla ciebie i to cię nie ominie; więc czekaj. Tylko nie gniewaj się na mnie. To nie moja wina. Bądź dla mnie dobra, gdy powrócisz w środę.

Clyde

Roberta zobaczywszy kartkę ucieszyła się myśląc, że znajdzie w niej coś miłego, może coś o ich wspólnej podróży. Ale gdy

przeszła do sali jadalnej i tam otworzyła list, pochyliła głowę ze smutkiem. Skojarzyły się te wszystkie przykrości z dziwnym zachowaniem się Clyde'a, który wydawał się zajęty jakimiś myślami, dziwnie obcy, daleki... Zaczęła rozmyślać, co mogło wpłynąć na tak nagłą jego zmianę. Naturalnie, że nie mógł nie pójść na to zebranie, jak również nie mógł nie być na obiedzie u stryjostwa. Ale miała wrażenie, że udawał tylko zmartwienie, iż nie będzie mógł być z nią razem tego wieczora, zdaje się nawet, że cieszył się z tego, a nawet był trochę zniecierpliwiony. Przecież wiedział, że ona wyjeżdża na całe trzy dni... I wiedział również jakie to było dla niej przykre, że tak długo się nie będą widzieć. Żyjąc dotąd pełnym szczęściem, niełatwo mogła pogodzić się z taką zmianą.

Los ciągle płata jej takie figle! Na te parę dni świąt musi pojechać do rodziny, gdzie jej nie czeka nic radosnego. Będzie tam żyć jedynie tą odrobiną szczęścia, wspomnieniem spędzonych razem miłych chwil.

Wróciła na swoją ławę z twarzą wyraźnie nieszczęśliwą i poruszała się tak apatycznie, że Clyde musiał to zauważyć. Nie wzruszył się tym wszakże wcale, nie odczuwał żadnej skruchy, tak był opanowany nową namiętnością.

Gdy syrena fabryczna obwieściła koniec sobotniej pracy, wyszli oboje z warsztatów i każde oddzielnie udało się do jej mieszkania. On namyślał się, co ma jej powiedzieć, jak postępować? Jak ma udawać uczucie, które z wolna gasło, jak ma przeciągać ten związek, który, jeszcze tak świeży i silny przed dwoma tygodniami, wydawał się teraz Clyde'owi beznadziejnie bezbarwny i anemiczny. Nie może jej przecież powiedzieć, ani dać do zrozumienia, że już jej nie kocha... To byłoby nazbyt okrutne. I jak miałby jej to powiedzieć? A czyż wobec swych marzeń o Sandrze, wobec swych tęsknot, może przedłużać stosunek z Robertą? Czy może powtarzać jej słowa miłości i pieśczoły, które byłyby kłamstwem i utrwałyby jeszcze silniej ten dokuczliwy już dlań związek? Nie! to niemożliwe! Wiedział, że od dawna w głębi jego duszy tkwił zamiar porzucenia Roberty, gdyby udało mu się zdobyć wzajemność Sandry. Tak, powinien to zrobić. Cóż takiego cennego Roberta mogła mu

ofiarować w porównaniu z Sandrą? Czyż może się równać z jej pięknnością i pozycją? Czy byłoby uczciwie zabiegać o taką osobę jak Sandra i utrzymywać stosunek z kimś innym? Oczywiście, że byłoby to nieuczciwe.

Rozmyślał o tym idąc do Roberty, gdy tymczasem ona znalazłszy się wcześniej w domu zapytywała się z rozpaczą, co się mogło stać, że Clyde tak nagle zubożniał? Dlaczego nie czuła u niego żadnego smutku z powodu tych nieprzewidzianych przeszkód? Dlaczego nie mógł tak się urządzić, żeby choć chwilę być z nią razem w drodze do Fonda. Tłumaczył się zebraniem, ale czy to prawda? W jego zachowaniu było coś tak obcego, wykrętnego, że nie powiedziała mu nawet o tym, iż gotowa była wstrzymać swój wyjazd do czwartej...

O, Boże! co to wszystko może znaczyć? I to w tak krótkim czasie po tym, jak doszło do ich zbliżenia, kiedy zdawało się, że łączy ich gorąca miłość... Czy ta zmiana jego usposobienia zapowiada... jakieś niebezpieczeństwo, a może nawet koniec ich przepięknej miłości? O, Boże, tyle mu z siebie dała, a od jego uczciwości zależało wszystko - cała jej przyszłość... całe życie...

Stała zamyślona w swoim pokoju, bezskutecznie usiłując rozwiązać to ciężkie zagadnienie, gdy wszedł Clyde z podarkiem gwiazdkowym pod pachą, zdecydowany już zerwać z Robertą. Nie wiedział tylko, jak ma to zrobić.

- Bardzo mi przykro - odezwał się żywo. - Nie miałem pojęcia, że przyjdzie im do głowy urządzać zebranie. Ale chyba to rozumiesz...

I sama nie potrafiłabyś wykręcić się od tego. Bardzo się na mnie gniewasz?

Nadrabiał miną, była w nim jakaś sztuczna wesołość, niby żal i jakby niepokój. Już w stemplarni zauważył jej twarz smutną, zmartwioną.

- Ale za to przyniosłem ci coś ładnego - dodał wręczając paczkę. - Miałem to przynieść wczoraj, ale właśnie tak wypadło... Taki jestem zmartwiony, nie masz pojęcia. Naprawdę...

Wczoraj Roberta byłaby z tego podarunku uszczęśliwiona, dziś położyła paczkę na stole nie umiejąc okazać radości.

- Bawiłeś się dobrze wczoraj? - zapytała chcąc dowiedzieć się, jak spędził czas jej ukradziony.

- E, tak sobie... - odparł starając się odpowiednio ułożyć twarz, pamiętając przy tym, że dla niego ten wieczór miał niesłychane znaczenie, a dla niej był początkiem końca. - Myślałem, że będzie to tylko obiad u stryjostwa, ale potem proszono mnie, żebym pojechał z Bellą i Myrą do Gloversville. Zabawa odbyła się u Steele'ów. Bardzo bogaci ludzie... fiu! fiu!... żebyś wiedziała... to nie byle kto!... Urządzili tańce i panny koniecznie chciały, żebym poszedł z nimi, bo Gilbert nie mógł iść. Ale tak bardzo wesoło to nie było. Dobrze, że się to wszystko nareszcie skończyło.

Umyślnie użył imion Belli, Myry i Gilberta, bo wiedział, że zażyłość z nimi robiła wielkie wrażenie na Robercie.

- Więc nie miałeś ani chwili czasu, żeby wpaść do mnie?

- Niestety, nie mogłem. Musiałem czekać na panny, żeby je potem odwieźć do domu, więc niepodobna było wcześniej odjechać. Ale nawet nie zobaczyłaś, co ci przyniosłem - zmienił temat widząc, że był dla niej przykry.

Zaczęła rozwiązywać wstążkę, którą związana była paczka, a tymczasem myśli jej błądziły dookoła zabawy, o której wspomniał.

Jakie tam były dziewczyny prócz Belli i Myry? Może była tam jaka panna, którą się zajął? Często opowiadał o Sandrze Finchley, Bertinie Cranston i Jill Trumbull. Czy one też były na tej zabawie?

- A któż tam jeszcze był oprócz twych kuzynek? - zapytała nagle.

- Och, bardzo wiele osób, których nie znasz. Było chyba ze

dwadzieścia, a może nawet trzydzieści.

- I wszyscy z Lycurgus? - dopytywała się.

- Niewiele. Na życzenie Belli zabraliśmy Jill Trumbull i jej siostrę. Zastaliśmy już tam Arabellę Stark i Perley Haynes.

Nie wspomniał wcale o Sandrze, ale było coś w tonie jego odpowiedzi, że wyjaśnienia nie zadowolily Roberty. Bardzo przejęła się tą sytuacją, lecz pomyślała, że nie byłoby roztropnie zbyt natrętnie dopytywać się o szczegóły. Zawsze pamiętała o tym, że on należy do tego świata, wiedziała o tym od początku. A nie chciała, by sądził, że ma jakieś z tego powodu pretensje do niego.

- Tak chciałam być razem z tobą wczoraj, bo mam także dla ciebie podarunek - zmieniła temat, nie tylko dlatego, żeby zająć myśli czymś innym, lecz żeby mu przypomnieć o sobie. Tak smutnym tonem mówiła, że Clyde poczuł się trochę wzruszony, nie chciał jednak dać się opanować uczuciu.

- Wiesz przecie, Berti, jak to było - odpowiedział z miną dość niedbałą - już ci mówiłem.

- Wiem - odpowiedziała ze smutkiem, starając się jednak ukryć to, co wypełniało jej duszę.

Odpakowała tymczasem pudełko i podniosła pokrywkę. Zobaczywszy prześliczne przybory na toaletę rozjaśniła się, gdyż nigdy w życiu nie posiadała nic równie pięknego i oryginalnego.

- Ach, jakież to piękne! - zawołała z radością, do której, zdawało się nie jest już zdolna. - Nie spodziewałam się czegoś podobnego! Jakże teraz moje skromne podarunki będą przy tym wyglądały?

Podniosła się, żeby je przynieść. Clyde widział, że jakkolwiek wdzięczna mu była za prezent tak wyjątkowo piękny, nie zdołał jednak zetrzeć z jej czoła smutku. Jego miłość miałaby dla niej większą wartość niż najpiękniejsze dary.

- Podoba ci się? - zapytał pragnąc szczerze ją rozchmurzyć.

- Naturalnie, kochanie - odparła patrząc na cacka.

- Moje podarunki nie są takie - dodała smutnie, zmartwiona tym, że wszystkie jej zamierzenia się nie udają. - Ale wiem, że ci się przydadzą. Będiesz je zawsze nosił przy sobie, blisko serca, i takie właśnie było moje życzenie.

Wyjęła małe pudełeczko, w którym znajdował się metalowy ołówek automatyczny i wieczne pióro, ozdobione srebrnymi inkrustacjami. Wybrała te drobiazgi wiedząc, że przydadzą mu się przy pracy.

Jeszcze dwa tygodnie temu byłby ją wziął w ramiona i starał się pocieszyć w zmartwieniu, którego był przyczyną, teraz stał namyślając się, w jaki sposób ma ją przejednać nie przełamując swego chłodu i nie wplątując się w zwykłe perypetie miłosne. Wyraził więc swój zachwyt nadzwyczaj entuzjastycznie, banalnymi słowami:

- Och, jakież to śliczne, moja maleńka! I tak mi potrzebne... Nie mogłaś nic lepszego obmyślić! To przecież potrzebne mi ciągle...

Udawał, że przygląda się tym drobiazgom z najwyższą radością, i włożył je zaraz do kieszonki. A że stała przy nim tak smutna, tak zgnębiona, jak niemy wyrzut dawnej miłości, objął ją i ucałował.

A więc zwyciężyła! Nie ma żadnej wątpliwości... A kiedy zarzuciła mu ręce na szyję i zalała się łzami, przycisnął ją mocniej do siebie mówiąc, że nie ma potrzeby tak się martwić, bo wróci w srodę i wszystko będzie tak jak dawniej. Mówiąc to myślał jednak, że to nieprawda, a co najdziwniejsze, zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jeszcze do niedawna była mu droga. Zdumiewające, że pod wpływem innej kobiety mógł się tak bardzo zmienić! A jednak tak było.

Roberta mogła sądzić, że ją kocha tak samo jak dawniej, on jednak wiedział, że już jej nie kocha i nie będzie kochał. Zmartwił się

tym zupełnie szczerze.

Coś z jego myśli przeniknęło do serca Roberty mimo pieśczoć i dobrych słów. Brakowało im przekonywającej szczerości. Ruchy miał jakieś niespokojne, uściski były apatyczne, głos nie brzmiał prawdziwą czułością. Odczuła to jeszcze silniej, gdy po chwili wstał i patrząc na zegarek powiedział:

- Muszę już iść, maleńka. Jest dwadzieścia po drugiej, a zebranie mam o trzeciej. Chciałem z tobą pojechać, zobaczymy się w takim razie dopiero po twoim powrocie.

Schylił się, żeby ją pocałować, lecz i ten pocałunek nie przekonał Roberty o jego miłości. Był o wiele chłodniejszy. Tak, Clyde był niby czuły, ale myślami krążył już gdzie indziej.

Jej kobieca godność nie pozwalała na narzucanie się, więc odpowiedziała dość chłodno:

- Idź więc, nie chcę, żebyś się spóźnił. Pospiesz się... Ale ja nie będę siedziała w domu przez całe święta. Czy gdybym przyjechała w pierwsze święto po południu, mógłbyś do mnie przyjść? Nie będę czekała do środy.

- Ależ naturalnie, kochanie, że przyjdę - odrzekł Clyde wesoło, a nawet z przekonaniem, widząc, że nie może nic innego powiedzieć, żeby jej nie urazić. - O której godzinie będziesz tutaj?

Miała być o ósmej i Clyde zgodził się, że spotkają się o tej porze. Wyciągnął znów zegarek i powtórzył:

- Muszę już iść. - I skierował się ku drzwiom.

Zdenerwowana tym pożegnaniem i niespokojna o przyszłość, pobiegła za nim i przytrzymując go za wyłogi kurtki spojrzała mu w oczy i spytała błagalnie:

- Więc w pierwsze święto, Clyde? Czy nic ci nie wypadnie tego dnia?

- O, nie kłopotz się tym. Przecież mnie znasz i wiesz, że nie mogłem postąpić inaczej, kochanie. We wtorek będę na pewno!

I pocałowałszy ją wybiegł pośpiesznie, czując, że postąpił wbrew postanowieniom, lecz co miał zrobić? Trudno mężczyźnie zerwać z kobietą od razu, musi włożyć w to nieco taktu i dyplomacji. Inaczej wypadłoby to bez sensu i niezręcznie. Musi coś obmyślić.

Ale już myśli jego podążyły do Sandry. Pojedzie z nią do Schenectady i tam będzie miał sposobność przekonać się, czy ona rzeczywiście ma jakieś uczucie dla niego, czy mu się to wczoraj zdawało.

Gdy wyszedł, Roberta czując dokoła siebie straszliwą pustkę podeszła do okna, aby raz jeszcze spojrzeć na niego.

Co będzie dalej? Jaka będzie jej przyszłość? Miała już pewne oznaki, że Clyde przestaje ją kochać. A tak wiele mu z siebie dała... I tylko od niego zależy jej przyszłość... od jego miłości... Czyżby już się nią znudził i wolałby jej nie widywać? Och, to byłoby straszne! Cóż wtedy pocznie? Dlaczego tak pochopnie oddała mu się na pierwsze jego żądanie?

Patrzyła przez okno na nagie, przyprószone śniegiem gałęzie i westchnęła. Święta! Musi wyjechać... A on? On, ten najdroższy jej człowiek należy do sfery bogatych ludzi. Ileż w tym świecie jest rzeczy pięknych i wspaniałych, których ona trzymając go przy sobie nie może niczym zastąpić.

Pokiwała głową ze smutkiem, przejrzała się w lustrze, zapakowała kilka drobnych podarków dla rodziny i wyjechała.

Biltz i bagniste okolice miasteczka zrobiły na Robercie po Lycurgus przygnębiające wrażenie, przypominały jej bowiem wszystkie nędze i przykrości lat tam spędzonych i tłumiliły sentyment, związany z rodzinnymi stronami.

Gdy wysiadła z pociągu i znalazła się przed odrapanym starym barakiem, który miał emitować dworzec stacyjny, zobaczyła ojca w tym samym wytartym zimowym palcie, noszonym co najmniej od dwunastu lat. Oczekiwał na nią przy starym wózku, zaprzężonym w zgrzybiałego konia, kościstego i znużonego jak i jego właściciel.

Na twarzy ojca malował się jak zwykle wyraz zmęczenia i rozczarowania. Ożywił się na widok Roberta, była bowiem jego najbardziej ukochanym dzieckiem, i rozgadał nawet wesoło, gdy wdrapała się na bryczkę i usiadła przy nim. Wyjechali na drogę prowadzącą do farmy, drogę wyboistą i błotną, podczas gdy wszędzie istniały doskonale trakty automobilowe.

Po drodze Roberta przypominała sobie każde drzewo, zakręt, każdy kamień przydrożny, znany jej od dzieciństwa, nie odczuwała jednak szczęścia. Wszystko było jakieś spłowiałe. Widok farmy skojarzył się z myślą o chronicznym niedomaganiu Tytusa Aldena, o nieudolności młodszego brata Toma i ciężkiej pracy matki. Dług hipoteczny dwóch tysięcy dolarów, wiszący od wielu lat, nie był dotychczas spłacony, komin dotąd nie zreperowany, stopnie opadły jeszcze niżej, to samo działo się z murami i ogrodzeniem, stały się tylko bardziej malownicze, bo przyprószone śniegiem. I sprzęt domowe były jak dawniej mieszaniną przeróżnych gustów.

Czekała na nią matka, młodsza siostra i brat. Nie mogli nic wiedzieć o Clydzie i byli przekonani, że Roberta jest niezwykle uszczęśliwiona powrotem w rodzinne strony. Ona zaś, nosząc w sercu pamięć ostatnich dni, czuła się tutaj bardziej przygnębiona niż w Lycurgus. Wróciła tu jako inna istota. Stała się kobietą upadłą i tylko małżeństwo z Clyde'em mogło ją zrehabilitować i podnieść do

poziomu moralnego, zrozumiałego i uznawanego przez jej rodziców. Zamiast podnieść się na wyższy stopień społeczny, zsunęła się niżej. Po zawarciu tej znajomości tak wielkimi upajała się nadziejami, że nie śmiała zwierzyć się przed matką ani przed nikim. Obawiała się, że matka uzna jej aspiracje za zbyt wygórowane, że będzie zadawała pytania, jakiej natury jest znajomość z Clyde'em, a to mogło być dla niej kłopotliwe. A więc w tej ciężkiej chwili nie miała się przed kim zwierzyć i musiała wszystkie obawy i wątpliwości taić w sobie.

Porozmawiawszy chwilę z Tomem i Emilką poszła do kuchni, gdzie matka była zajęta przygotowaniami świątecznymi. Miała zamiar rozmawiać tylko o rzeczach potocznych, opowiedzieć o Lycurgus i spytać się o znajomych.

- Jakże się czujesz, Bobbie, u nas na wsi? Bardzo tu wszystko nędznie wygląda w porównaniu z Lycurgus... - zaczęła Aldenowa.

Roberta wyczuła z jej tonu i zachwyconego spojrzenia, którym córkę obrzuciła, że jest przekonana, iż Roberta bardzo dużo na tej zmianie skorzystała, więc szybko podsunęła się do matki i obejmując ją serdecznie zawołała:

- O, mamo, tam, gdzie ty jesteś, jest zawsze najpiękniej! Czy nie wiesz o tym?

Matka w odpowiedzi spojrzała na nią kochającym wzrokiem i poklepała po ramieniu.

- Tak, Bobbie - rzekła spokojnie - a i ty wiesz dobrze, czym jesteś dla mnie.

Ton, jakim matka powiedziała te słowa, niemal do łez wzruszył Robertę. Przypomnił jej to czułe porozumienie między nimi, to uczucie polegające nie tylko na głębokim pragnieniu szczęścia jednej dla drugiej, lecz i na absolutnej szczerości w chwilach wzruszeń i smutków. I w sercach obu kobiet dotychczas to pozostało. Roberta czuła ściskanie w gardle i oczy jej zwilgotniały, lecz całą siłą powstrzymała się od płaczu.

Ach, jakże pragnęła wyznać jej wszystko! Lecz czy może? Czy może mówić o ich namiętej miłości, która ją doprowadziła do upadku? Własnymi rękami wzniosła barierę, którą nie tak łatwo będzie można obalić. Pojęcie moralności było zbyt silnie tu zaszczerpione, trudno by je było podkopać nawet w sercu matki.

Wahała się przez chwilę, pragnąc pomówić z matką o tym, co jej ciążyło, i zyskać jej współczucie a może nawet ratunek, lecz zamiast tego odezwała się tylko:

- O, mamó, jakby to było dobrze, gdybyś zawsze mogła być ze mną. Może... - zatrzymała się spostrzegłszy, że o mało się nie wygadała. A myślała o tym, że gdyby miała matkę blisko siebie, łatwiej oparłaby się żądaniom Clyde'a.

- Tak, oczywiście, musiałaś mnie opuścić, ale to lepiej dla ciebie, prawda? Poznałaś trochę świata i lubisz swoją pracę. Lubisz ją, prawda?

- Tak, praca jest dość przyjemna. Lubię ją nawet. Bardzo się cieszę, że mogę wam trochę dopomóc, ale wcale nie jest tak lekko, jeśli nie ma się nikogo przy sobie.

- Po co wyprowadziłaś się od Newtonów? Czy Gracja była naprawdę taka nieznośna? Taka byłam pewna, że będzie dobrą towarzyszką dla ciebie.

- Tak było z początku - odrzekła Roberta. - Ale ona nie ma żadnych znajomości, a była strasznie zazdrosna o każdego, kto tylko spojrzał na mnie. Jednego kroku nie mogłam sama zrobić, wszędzie za mną chodziła i wymagała koniecznie, żebym jej zawsze towarzyszyła. Ani jednej chwili nie miałam dla siebie. Pewnie rozumiesz, o co mi chodzi, mamó, i wiesz, że dwie dziewczyny nie powinny chodzić z jednym mężczyzną.

- Ależ rozumiem to doskonale, Bob - roześmiała się matka i spytała jeszcze: - A któż to taki?

- Pan... Griffiths - odpowiedziała po chwili wahania. Nie, o tym, jakiego rodzaju stosunek ich łączy, nie może matce powiedzieć, nie może jej też wyznać, że mimo rodzących się obaw czuje dumę, iż połączywszy swój los z życiem Clyde'a weszła na szczyty niedostępne dla ludzi z ich sfery.

- Ale nie chciałabym, mamo, żebyś komu o nim wspominała - dodała. - On sobie tego nie życzy. Ma bardzo bogatych krewnych. Wszystkie te warsztaty, w których razem pracujemy należą do jego stryja. A panuje tam takie prawo, że szefom nie wolno zadawać się z robotnikami. Ja nie utrzymuję żadnych znajomości z koleżankami, on też nie zna żadnej. Ale mnie lubi... i ja go lubię. Zresztą chcę sobie znaleźć pracę w jakiejś innej fabryce i wtedy nic to nikomu nie będzie przeszkadzało. Będę mogła widywać się, z kim będę chciała, i on także. I będziemy mogli przyznać się do... znajomości.

Przyszło jej wszakże na myśl, że pod tym względem może ją spotkać zawód, teraz zwłaszcza gdy nie była już zupełnie pewna miłości Clyde'a. Oddając mu się nie wymogła na nim obietnicy małżeństwa. Zapewne musiał obawiać się takiego żądania z jej strony, jeżeli nalegał, aby o tym nikomu nie mówiła, a teraz ona sama, dopóki się z nią nie ożeni, nie może mówić o tym nikomu. Ach, w jakże trudnym, haniebnym znalazła się położeniu, i to z własnej winy.

Matka dowiedziawszy się z tych kilku słów o znajomości, ukrywanej przed wszystkimi, była zdumiona i zaniepokojona o szczęście Roberty. Było to jej najukochańsze dziecko, dobre, niewinne, kochające, najlepsze, najmniej samolubne i najmądrzejsze ze wszystkich jej dzieci, więc czy to możliwe, żeby ktoś... Ale, nie, to niemożliwe, nie tak łatwo skompromitować i zdradzić Robertę. Zbyt dobre jej wpojono zasady. Spytała jeszcze:

- A więc jest krewnym właściciela fabryki, pana Griffithsa, tak, zdaje się, pisałaś?

- Tak, mamo, jest jego bratankiem.

- Więc ten młody człowiek pracuje w tych warsztatach? - zapytała znowu i dziwiła się, jak Roberta mogła zwrócić na siebie uwagę

człowieka na takim stanowisku i jak mogła podnieść nań oczy wiedząc, że jest członkiem rodziny właściciela tych wielkich warsztatów. Wiedziała, czym się takie stosunki kończą i mogła być słusznie zaniepokojona. Miała jednak wielkie zaufanie do córki i była pewna, że taka mądra dziewczyna nie zgodziłaby się na coś niewłaściwego.

- Tak, mamó - odpowiedziała Roberta.

- Jakże on wygląda?

- O, jest bardzo miły. Przystojny i taki dobry dla mnie. Sama praca w fabryce nie byłaby może tak przyjemna, gdyby nie on. Umie bardzo taktownie postępować i utrzymać robotnice na właściwym miejscu. Jest bratankiem właściciela fabryki, więc naturalnie wszyscy okazują mu szacunek.

- A więc jest miły. Tak, to bardzo przyjemnie pracować, jak się ma z przyzwoitymi ludźmi do czynienia. Pamiętam, że w Trippetts Mills nie bardzo byłaś zadowolona. Widujecie się często?

- Owszem, dosyć często.

Roberta zaczerwieniła się nie mogąc powiedzieć matce całej prawdy.

Aldenowa popatrzyła na nią i wzięła ten rumieniec za zakłopotanie.

- Kochasz go, Roberto?

- Kocham, mamó - odparła szczerze i spokojnie.

- A on? Czy także cię kocha?

Roberta podeszła do kuchennego okna. Widziała za nim cały szereg walących się budynków gospodarskich, które najlepiej świadczyły o materialnych warunkach, w jakich znajdowała się jej rodzina. Od dziesięciu lat były symbolem ciągłych braków i nie zaspokojonych potrzeb. Ten smutny widok okrytych śniegiem budynków był antytezą wszystkiego, o czym jej dusza marzyła, a co było związane z

Clyde'em. Smutek jest przeciwieństwem szczęścia, odwzajemniona miłość - nie podzielanej miłości. Gdyby ją kochał prawdziwie, pragnąłby stworzyć dla niej inne warunki, bezpowrotnie skończyłby się jej smutek i nędza matki. Ale jeżeli nie, wszelkie konsekwencje jej błędów, nie spełnionych marzeń spadłyby nie tylko na jej głowę, lecz i jej bliskich, a przede wszystkim na matczyną... Nie wiedziała, co ma odpowiedzieć na pytanie matki, ale w końcu szepnęła:

- Tak, powiedział, że kocha...

- A jak ci się zdaje, czy ożeni się z tobą? - zapytała nieśmiało matka.

- Widzisz, mamó, chcę ci właśnie powiedzieć...

Nie skończyła, gdyż wpadła Emilka wołając:

- Gif przyjechał! Przyjechał samochodem... Jest z nim jeszcze ktoś, a ja widziałam cztery czy pięć wielkich waliz!

Zaraz za nią wszedł z Tomem starszy syn, w nowym palcie, które sobie sprawił za pierwsze pieniądze zarobione w Towarzystwie Elektrycznym w Schenectady. Przywitał się z matką, a potem z Robertą.

- Gifford! - zawołała matka. - Spodziewaliśmy się ciebie dopiero o dziewiątej. Dlaczego tak wcześnie?

- A tak, sam nie myślałem. Wyjechałem z panem Rearem do Schenectady i zabrał mnie z sobą z powrotem. Wiesz, Bob? - zwrócił się do siostry. - Widziałem starego Popa Myersa w Trippetts Mills. Buduje już nareszcie drugie piętro w swoim domu. Myślę, że upłynie jeszcze co najmniej rok, zanim położy dach.

- Być może - odrzekła Roberta, która doskonale знаła życie w Trippetts Mills. Wzięła od niego palto i paczki, które ułożyła na stole w jadalni. Emilka skoczyła do nich z zaciekawieniem.

- Ręce precz! - zawołał Gifford do siostrzyczki. - Niech cię nic nie obchodzi, co tam jest, aż do jutra rana. Czy już ktoś ściał choinkę? To przecież zawsze była moja robota.

- Nikt nie ścinał - odpowiedziała matka. - Kazałam Tomowi, żeby zaczekał na ciebie, bo zawsze ładną wybierzesz.

Otworzyły się drzwi i wszedł Tytus Alden niosąc naręcze drzewa. Jego wyschła twarz i koścista postać dobitnie odcinała się od wyglądu dzieci. Roberta, widząc, że stoi na środku izby i patrzy z uśmiechem na syna, zapragnęła gorąco jakimś cudem odmienić go. Podeszła do ojca i oplótła ramionami jego szyję.

- Coś mi się zdaje, tatusiu, że Dzieciątko Jezus nie zapomniało i o tobie. Przyniosło coś takiego, co ci się na pewno spodoba.

Była to ciepła kamizelka wełniana, bo Roberta chciała, żeby nie marzł, kiedy się krząta po gospodarstwie. Czekala ranka z niecierpliwością, żeby ojca ucieszyć podarkiem.

Włożyła teraz fartuch i zaczęła pomagać matce w przygotowywaniu wieczery. Nie było już sposobności dokończenia rozmowy o tym, co je obie tak interesowało, raz tylko udało się Robercie szepnąć matce w odpowiedzi na zadane pytanie:

- Ale nie mów o tym nikomu, mamó. Obiecałam mu, że nikt o tym nie będzie wiedzieć, więc nie mów nic.

- Nie, kochanie nie powiem. Tylko mi tak dziwnie... Ale sądzę, że wiesz co robisz. Jesteś dorosła i powinnaś sama już myśleć o sobie, prawda, Bob?

- Naturalnie, mamó. Nie martw się o mnie - dodała widząc, że cień nie powątpiewania, lecz smutku przesunął się po ukochanej matczynej twarzy. Jakże powinna się starać, by nie dodawać jej zmartwienia, matka i tak ma dosyć przykrości w gospodarstwie.

W niedzielę rano przyjechała siostra z mężem. Doskonale im się teraz powodziło w Homer. Siostra Roberty nie była tak przystojna

jak ona, a Fred Gabel, jej mąż, nie miał takiego stanowiska, o jakim Roberta marzyła dla swego męża, jednak widok rozpromienionej Agnes, tak zadowolonej z cichego małżeńskiego szczęścia i materialnych warunków, rozbudziły w niej na nowo przykre myśli i wątpliwości. Czyż nie lepiej jest wyjść za mąż za skromnie zarabiającego i brzydkiego jak Fred człowieka, niż znajdować się, jak ona po nawiązaniu znajomości z Clyde'em, w fałszywej sytuacji.

A właśnie Fred opowiadał szeroko, że zarabia teraz o wiele lepiej niż zaraz po ślubie z Agnes. Rzucił posadę nauczyciela i wziął się do handlu. Prowadzi maleńką księgarnię i skład materiałów piśmiennych, a przy tym ma zabawki i wodę sodową. Robią niezłe interesy. Jeżeli tak dalej pójdzie, to na przyszłe lato Agnes będzie mogła kupić garnitur mebli do saloniku, a teraz Fred ofiarował jej na gwiazdkę gramofon. Na potwierdzenie swych dostatków przywieźli wszystkim piękne podarunki.

Ale Gabel przywiózł także numer gazety "The Star", wychodzącej w Lycurgus, gdyż w tym mieście w pewnej hurtowni umieścił większą część kapitału i nazajutrz przy śniadaniu, dość spóźnionym z racji święta, czytał wiadomości miejskie.

- Słuchaj no, Bob, widzę, że tam u was w Lycurgus, robi się dobre interesy - odezwał się do siostry. - "Star" pisze, że warsztaty Griffithsa otrzymały zamówienie z Buffalo na sto dwadzieścia tysięcy kołnierzy. Sporo będą mieli z tego forsy.

- O tak - odrzekła na to Roberta - w naszym wydziale zawsze jest dużo roboty i nie wiemy nawet, kiedy interes idzie lepiej czy gorzej, ale ja przypuszczam, że zawsze idzie dobrze.

- Żyć nie umierać. Nie martwią się przynajmniej. Powiadają nawet, że mają budować nowe warsztaty w Ilion do wyrobu samych tylko koszul. Słyszałaś coś o tym?

- Nie, nie słyszałam. Może to kto inny.

- Ale, czekaj no... Jak się nazywa ten młody człowiek, który jest szefem waszego wydziału? Czy nie Griffiths także? - zapytał żywo,

zajrzawszy do kroniki wiadomości towarzyskich.

- Tak, nazywa się Griffiths. Clyde Griffiths... dlaczego pytasz...

- Zdaje mi się, że przed chwilą widziałem jego nazwisko. Właśnie chciałem się dowiedzieć, czy to ten sam. O, jest... Czy to ten?

Wskazał palcem szpaltę dziennika Robercie, która przeczytała:

W domu panny Wandy Steele w Gloversville w piątek odbył się wieczór tańczący, na którym było obecnych wiele osób należących do śmietanki naszego towarzystwa, a więc panny: Sandra Finchley, Bertina Cranston, Jill i Gertruda Trumbull i Perley Haynes oraz panowie: - Clyde Griffiths, Frank Harriet, Tracy Trumbull, Grant Cranston i Scot Nicholson. Zabawa jak zwykle, gdy bierze w niej udział młodzież, skończyła się bardzo późno i całe towarzystwo rozjechało się o świcie. Krążą pogłoski, że większa część tego towarzystwa od dawna jest już zaproszona do państwa Ellersllie w Schenectady na wieczór sylwestrowy, gdzie ma się odbyć podobna i równie wesoła zabawa.

- Zdaje się, że to twój szef - mówił Gabel, podczas gdy Roberta wczytywała się w gazetę.

Uderzyło przede wszystkim Robertę, że nie widziała między wymienionymi osobami tych, o których mówił Clyde. Nie było ani Belli, ani Myry Griffiths. Inne nazwiska były jej dość znane z opowiadań Clyde'a. Mówił jej, że było tam dość nudno, a tu piszą, że zabawa była wesoła i że Clyde i reszta osób mają zamiar bawić się równie wesoło w wigilię Nowego Roku. A ona właśnie myślała, że chociaż ten wieczór spędzi z nim razem. Wcale jej nie wspomniał o tym projekcie. Może ma zamiar wykręcić się przed nią w ostatniej chwili, jak to zrobił w piątek. O, Boże! co to wszystko ma znaczyć?

W mgnieniu oka prysł cały czarowny nastrój uroczystego święta. Pryśło złudzenie, że miłość, jedyne szczęście jej życia, będzie trwać wiecznie. Dwuznaczne jej położenie, tajemny stosunek z

Clyde'em zaciążył jej boleśnie. Jakież ją czeka życie, gdy Clyde ją opuści? Nie będąc jego żoną, nie mając własnego ogniska, domu, dzieci, czymże będzie? Czyż może wierzyć, że ją kocha, czy może mieć pewność, że jej nie porzuci, jeżeli już teraz widzi w nim taką zmianę? Co ją czeka? Niemożliwe przecież, żeby mogła wyjść za mąż za kogo innego, a czy może mieć do niego zaufanie?

Milczała. A gdy Gabel zapytał:

- No, cóż? Czy to on?

Roberta wstała i rzekła:

- Przepraszam na chwileczkę. Muszę sobie coś wyjąć z walizki. - I pobięła do swego dawnego pokoiku.

Tam usiadła na łóżku i podparłszy twarz dłońmi, jak zwykle, gdy przykre myśli ją nękały, wpatrzyła się w podłogę.

Gdzież jest teraz Clyde? Która z tych panien zabrała go do Gloversville? Czy jest nią bardzo zajęty?

Do tej pory, wierząc niezachwianie w miłość Clyde'a, nie dopuszczała nawet do siebie myśli, że może znaleźć się kobieta, ku której mógłby zwrócić swe uczucia. Ale teraz... teraz!

Wstała i podeszła do okna. Patrzyła na sad, gdzie jako młoda dziewczyna upajała się nieraz radością życia. Teraz było tam nago i smutno. Cienkie, zlodowaciałe ramiona drzew, szare, chwiejące się gałęzie, gdzieniegdzie samotne, szeleszczące liście. I śnieg. I te straszne rudery, wołające o naprawę. I jej Clyde, zubożniały. I naraz myśli, że nie powinna tu dłużej pozostawać. Ani jednej chwili. Zaraz musi odjechać. Musi być w Lycurgus. Musi być w pobliżu. Musi przekonać się o jego uczuciach, a jeżeli nie dowie się nic, musi swoją obecnością zapobiec, żeby jej go ktoś nie odebrał. Stanowczo, taki wyjazd, chociaż tylko na święta, na parę dni, nie był rozsądny. Podczas jej nieobecności może ją porzucić dla innej... A gdyby się tak stało, czyż to nie byłaby jej wina?

Rozważała teraz, co ma powiedzieć, jak upozorować swój nagły wyjazd. Zrozumiała jednak, że trudno to będzie wytłumaczyć, zwłaszcza przed matką. A więc pozostanie. Pozostanie do jutrzejszego popołudnia, a potem wróci. Nigdy już nie wyjedzie na tak długo.

Nie mogła myśleć o niczym innym przez cały czas swego pobytu w rodzicielskim domu, tylko o tym, jak, w jaki sposób zdoła się upewnić o miłości Clyde'a, czy może liczyć na jego opiekę, ewentualnie na małżeństwo w przyszłości. Jeżeli się okaże, że kłamał przed nią, w jaki sposób wpłynie na niego, żeby nadal tego nie czynił? Jak ma go przekonać, że kłamstwo między nimi nie powinno istnieć? W jaki sposób zająć w jego sercu pierwsze miejsce, jak stłumić marzenia o innej kobiecie? Jak?

Rozdział XIX

Jednak po powrocie do Lycurgus Roberta nie otrzymała od Clyde'a ani słówka wyjaśnienia.

Tymczasem pozycja towarzyska Clyde'a utrwaliła się niejako. Po wieczorze u Steele'ów ta sama wiadomość, którą czytała Roberta, wpadła w oczy i Gilbertowi. Siedział właśnie w niedzielę przy śniadaniu i miał pociągnąć łyk kawy z filiżanki, gdy naraz ujrzał tę wzmiankę. Zęby mu się zacisnęły wydając zgrzyt jak przy zamykaniu zegarka - nie pił już kawy, tylko postawił filiżankę na spodku i czytał z uwagą wiadomość. Prócz jego matki nie było nikogo przy stole, wiedząc wszakże, że ona bardziej niż kto inny podziela jego stosunek do Clyde'a podsunął jej gazetę.

- Spójrz tylko, kto to wdarł się do naszego towarzystwa... - wykrztusił ostrym, ironicznym tonem, a w oczach zabłysło mu wzgardliwe oburzenie. - Wkrótce będziemy go mieli na karku!

- Kogo? - zapytała pani Griffiths i przysunęła gazety do siebie. Zaczęła czytać spokojnie i statecznie, jednak przeczytawszy nazwisko okazała pewne zdziwienie.

W rodzinie Griffithsów wiedzano już o tym, że Sandra wiozła Clyde'a swym autem i że potem Trumbullowie zaprosili go na obiad, lecz ta wzmianka miała zupełnie inny wymiar.

- Ciekawa jestem, jakim sposobem znalazł się wśród zaproszonych? - zastanawiała się pani Griffiths, która doskonale wiedziała, jakie są zapatrywania jej syna.

- Któż inny mógł to zrobić, jak nie ta papuga Sandra, ta wytworna gęś! - wybuchnął Gilbert. - Przywidziało się jej, nie wiadomo skąd, może z rozmów z Bellą, że my o nim zapomnieliśmy, że nic dla niego nie robimy, więc sobie wykombinowała, że to będzie bardzo dowcipne tak nam dokuczyć, a głównie odplącić się mnie za jakieś moje sprawy, istniejące zresztą tylko w jej imaginacji. Jest pewna, że jej nie lubię, co jest prawdą, bo nie lubię jej rzeczywiście. Bella też o tym wie. A robi się to także dla popisania się przed tą małą Cranston. One obie latają wszędzie razem z nią. W całym towarzystwie roi się od próżniaków i pyszałków, nie wyłączając braci tych laleczek! No, ale jeżeli komuś z tej kompanii nie powinie się noga, to nie jestem sobą! Przekona się mama! Czy tam ktoś cokolwiek robi? Czy myśli ktoś poważniej? Jak rok długi, tylko bawią się, tańczą, jeżdżą tu i tam, jak gdyby w życiu nic innego nie było do roboty... Nie rozumiem zupełnie, jak możecie z ojcem pozwalać Belli na przyjaźń z nimi!

Na to matka zaprotestowała gorąco.

To niemożliwe! wszyscy u siebie swobodnie bywają, więc jakże odseparować Bellę od niektórych osób i pozwalać jej bywać tylko w pewnych domach?

Tłumaczenie matki i to po świeżo przeczytanej wiadomości nie przekonało Gilberta i nie zmniejszyło wcale jego niechęci do Clyde'a. Nie znosi tego żebraka, nędzarza, który obraził go przede wszystkim tym, że jest tak podobny do niego, a następnie tym, że wcisnął się podstępnie do ich znakomitej rodziny. Doprawdy trudno mu to przebaczyć! Okazał aż nadto wyraźnie temu chłystkowi od razu, od pierwszego dnia, że go nie lubi, że go wcale nie potrzebuje, i pozostawił go samemu sobie, bo nie może patrzeć na niego!

- Nie ma wcale pieniędzy - mówił dalej zgryźliwie - trzyma się pańskich klamek rękami i zębami. I po co? Co mu z tego przyjdzie, że go przyjmą w jakimś salonie? Nie ma na to pieniędzy, żeby tak się bawić, jak tamci się bawią. A gdyby mu się to nawet jakoś udało, to praca nie pozwoli mu na to, chyba żeby ktoś łaskawie pokrył jego niedbalstwo. Ale jak on będzie mógł spełniać swe obowiązki i latać na zabawy z całą tą bandą, tego nie mogę zrozumieć. Przecież oni bawią się bez przerwy!

Zaczął się zastanawiać nad tym, jak ma się zachować. Czy ma być dla Clyde'a uprzejmy, jeżeli spotkają się gdzieś w towarzystwie? Bo jednak ojciec jakoś nie zamierza odesłać go z powrotem.

Po tej rozmowie pani Griffiths położyła przed mężem tę samą gazetę wraz z omówieniem poglądów Gilberta na tę sprawę. Mąż jednak miał swoje plany co do Clyde'a i nie podzielał zapatrywań syna. Przeciwnie, uważał, że takie wciągnięcie Clyde'a do towarzystwa słusznie mu się należało jako rekompensata za ich obojętność.

- Muszę przyznać - odezwał się wysłuchawszy żony do końca - że nie widzę, aby było coś złego w tym, że bywa tu i ówdzie na zabawach i że bywa zapraszany, chociaż nie ma majątku. Musimy to uważać za pochlebne dla niego i dla nas i nie można się tym gorszyć. Wiem dobrze, co Gilbert myśli o nim, ale sądzę, że to tylko zazdrość z jego strony. Nie podoba mu się, że Clyde wygląda lepiej, niż to sobie wyobrażał. W każdym razie nie mam zamiaru i nie chcę w żaden sposób reagować na to. Zaprosiłem go już kiedyś do nas i nie wolno mi mieć pretensji do niego o to, że chce sobie wyrobić stanowisko

w świecie, tym bardziej że obowiązki swe spełnia bardzo dobrze. Zresztą, jak by to wyglądało, gdybym zabronił mu bywać? - A dowiedziawszy się jeszcze o pewnych uwagach Gilberta, dodał: - Mogę tylko cieszyć się z tego, że Clyde woli przebywać w lepszym towarzystwie niż w gorszym. Prowadzi się porządnie, jest dobrze wychowany, a słyszę od wszystkich, że spełnia swe obowiązki bardzo sumiennie. Jestem również zdania, że należy mu się i od nas zaproszenie. Powinni byliśmy jeszcze w lecie zaprosić go do nas do Greenwood chociaż na parę dni. Mówiłem wtedy o tym. A teraz jak to wygląda? Może się wszystkim zdawać że pogardzamy nim, podczas gdy całe towarzystwo przyjęło go do siebie. Posłuchajcie mojej rady i zaproszcie go na święta albo na Nowy Rok, żeby go przekonać, że nie myślimy o nim gorzej niż nasi znajomi.

Gilbert dowiedziawszy się od matki o tym projekcie zawołał:

- Tam, do diabła, róbcie sobie, co chcecie, tylko niech wam się nie zdaje, że będę się czulił do niego! Nie rozumiem, co ojciec w nim widzi! Jeżeli jest taki niezwykle zdolny, dlaczego w takim razie nie wyrobił sobie dotąd stanowiska gdzie indziej, nie u nas...

Bella także, powróciwszy z Albany, w rozmowie telefonicznej z Sandrą i Bertiną dowiedziała się o wprowadzeniu Clyde'a do towarzystwa. Przyjaciółki powiedziały jej również, że na wieczór sylwestrowy został zaproszony do państwa Ellerslie w Schenectady, gdzie miała być i ona.

Wiadomość ta zakomunikowana matce sprawiła, że wszyscy doszli do przekonania, że należy pogodzić się z sytuacją i zaprosić Clyde'a w pierwsze święto. Miało to być ciche spotkanie towarzyskie, na które zaproszono jeszcze wiele innych osób, chcąc w ten sposób przekonać znajomych, że rodzina wcale nie ma zamiaru lekceważyć Clyde'a, jak by to się mogło zdawać. Jakkolwiek dość późno się spostrzeżono, było to jednak konieczne.

Gilbert skrzywił się dowiedziawszy się o swej porażce.

- Możecie sobie robić, co wam się podoba! Zapraszajcie, nie

zapraszajcie, wszystko mi jedno! Ja jednak nie widzę takiej potrzeby. Będziecie go sami przyjmowali. Ja z Konstancją wybieram się do Uttica tego samego dnia i chociażby wam bardzo na tym zależało, w domu nie będę!

Był pewny, że była to ze strony tej nie cierpianej przez niego Sandry wyraźna chęć obrażenia go. Jak to? Udało jej się wprowadzić w świat jego własnego kuzyna, a on nie potrafi temu zapobiec! Ciekawe, jak ten nędzarz musiał się podlizywać, żeby wcisnąć się tam, gdzie go wcale sobie nie życzą? Cóż to za typ?

W poniedziałek rano Clyde otrzymał list od Griffithsów, podpisany przez Myrę, w którym zapraszano go na obiad o drugiej. A że tym razem wizyta nie przeszkadzała w spotkaniu z Robertą o ósmej, wpadł w niepohamowaną radość. Już teraz wie na pewno, że jego pozycja towarzyska jest ustalona. Cóż z tego, że nie ma majątku, wszędzie jednak jest przyjmowany, nawet u Griffithsów. A Sandra tyle mu okazuje zainteresowania i sympatii... ma wrażenie, że jest w nim zakochana... A Gilbert został kompletnie pobity! Patrzcie państwo! Jednak ci jego krewni nie zapomnieli o nim, a przynajmniej są zmuszeni o nim pamiętać dowiedziawszy się o jego powodzeniu w gronie ich znajomych. Musieli także okazać mu trochę względów. Przekonanie to brzmiało jak zwycięska fanfara. Cieszył się z tego ogromnie i nie odczuwał żadnego zgrzytu w tej radości.

Nie wiodło się teraz Clyde'owi tylko z odwiedzaniem Roberty.

Rozdział XX

Na obiedzie u Griffithsów było bardzo dużo osób,

spotkanie przeciągnęło się, wybiła piąta, szósta, a Clyde nie potrafił znaleźć odpowiedniej chwili, żeby wyjść. A właśnie przed szóstą, gdy większa część towarzystwa zaczęła się żegnać, miał i on zamiar wyjść, pamiętając o umówionej wizycie u Roberta, lecz zatrzymała go Violetta Taylor i prosiła koniecznie, żeby poszedł z nimi do państwa Anthony, gdzie spodziewano się doskonałej zabawy.

- Będzie się pan świetnie bawił, musi pan pójść z nami koniecznie, dobrze?

Clyde naturalnie zgodził się od razu, chociaż ciążyła mu myśl, że Roberta musiała już wrócić i czeka na niego. Ale ma jeszcze czas, zdąży. Gdy jednak znalazł się wśród młodzieży, przy rozmowie i zabawie postanowienie osłabło. O dziewiątej jednak zaczął się trochę niepokoić. Roberta już na pewno przyjechała i martwi się, co się z nim stało. Nie było jej przecież całe trzy dni.

Czuł coraz większy wewnętrzny niepokój, okazywał jednak bez przerwy dobry humor i ożywienie. Na szczęście wszyscy prawie byli już zmęczeni całotygodniową zabawą i o wpół do dwunastej rozeszli się.

Odprowadziwszy Bellę do domu Clyde pośpieszył na Elm Street zobaczyć, czy Roberta jeszcze nie śpi.

Zbliżywszy się do jej domu ujrzał przez gałęzie drzew światło w jej pokoju. Stanął pod drzewem i zakłopotany namyślał się, jak ma wytłumaczyć swoje spóźnienie. Czy ma powiedzieć, że był u Griffithsów, czy gdzie indziej? Mówił jej, że był do nich zaproszony w piątek.

Dawniej, gdy nie miał jeszcze żadnych znajomości i marzył o nich w duszy, kłamstwo takie nie sprawiłoby mu żadnej trudności i nie wywołało wyrzutów sumienia. Teraz jednak stały się faktem i mogły zaważyć na jego przyszłości. Więc się wahał. Zdecydował się wreszcie wytłumaczyć ponownym zaproszeniem, które przyszło dość późno. Nie mógł odmówić, zależy mu bardzo na Griffithsach. Są zbyt możni. Cała jego przyszłość od nich zależy. Traktuje to jako obowiązek, nie zaś jako przyjemność, i bardzo mu przykro, że nie

przyszedł do niej. Ale cóż na to poradzi?

Nie było to całkowitą prawdą, ale nie było i kłamstwem. Podeszedł więc do okna, i delikatnie zapukał.

Lampa natychmiast zgasła i podniosła się roleta. Roberta bardzo przygnębiona otworzyła mu drzwi i wpuściła do pokoju. Nie zapaliła już lampy, tylko świecę, jak to zwykle czyniła, żeby, na ile się da, uniknąć ludzkich komentarzy.

- Ach, moja maleńka! Widzę, że to życie towarzyskie jest naprawdę uciążliwe. Jak żyję, nie widziałem takiego miasta. Raz tylko zacząć, a nie widzi się końca - mówił szeptem. - Ciągłe mnie zapraszają. Nic nie robią, tylko bawią się bez przerwy. W piątek, u Griffithsów, myślałem, że przed świętami będzie to ostatni raz, ale wczoraj otrzymałem list zapraszający mnie znów do stryjostwa na dzisiejszy obiad. Poszedłem. A że obiad miał się zacząć o drugiej, byłem pewien, że zostanie mi jeszcze sporo czasu i będę mógł stawić się tutaj na ósmą. Tymczasem zaczął się o trzeciej, a skończył się przed paroma minutami. Nie! To wprost nie do wytrzymania! A ty, moja maleńka, jakże się bawiłaś? Pewnie dobrze? Czy podobał się w domu mój podarek gwiazdkowy, który ci ofiarowałem?

Rzucił pytania, na które ona dawała krótkie odpowiedzi patrząc na niego wzrokiem, który mówił:

- O, Clyde, jak możesz tak ze mną postępować?

Lecz Clyde był bardzo zajęty wykazywaniem swego alibi i tak chciał przekonać Robertę o prawdzie swych słów, że zdjął palto, szalik i rękawiczki, przygładził włosy i nie spojrzał na nią ani razu, nie rzucił ani jednego czulszego spojrzenia. Niczym nie dowiódł, że tęsknił za nią bardzo, że jest ogromnie szczęśliwy widząc ją znów obok siebie... Zamiast tego kręcił się nerwowo i był zmieszany. Widziała Roberta, że traktuje tu swą bytność jak katorgę, a głównie zaprzątnięty jest tym, czy udało mu się dostatecznie wytłumaczyć się przed nią. A chociaż po chwili wziął ją w objęcia i przycisnął

usta do jej ust, czuła tak samo jak w sobotę, że ich dusze nie są już jednością.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem, a jednak tak bardzo pragnęła mu wierzyć. Mógł być przecież u Griffithsów i oni mogli go rzeczywiście zatrzymać. Nie mógł inaczej postąpić, oczywiście. A jednak nie mogła zapomnieć o piątkowym kłamstwie. Powiedział jej, że na ten dzień był zaproszony do stryjostwa, ona z gazety dowiedziała się że był w Gloversville.

Ale może rozgniewa się na nią, gdy go o to zapyta? A może jeszcze raz skłamać? Rozumiała dobrze, że poza miłością, która ich wiązała, nie miała żadnego prawa mieć o to do niego pretensji. A jednak trudno jej było sobie wyobrazić, że miłość Clyde'a mogła tak szybko wygasnąć.

- A więc dlatego dziś nie przyszedłeś? - zapytała prawie z wymówką, na co sobie dotychczas nigdy nie pozwalała. - Mówiłeś mi przecież, że nic ci nie może przeszkodzić... - powiedziała z wolna.

- Tak, rzeczywiście - przyznał. - Ale nie mogłem się wykręcić. Mogłem wymówić się każdemu, ale nie stryjowi, tym bardziej że były to święta. Zbyt wiele mi na tym zależy. Nie byłoby to nawet przyzwoicie. Poszedłem więc, wiedząc przy tym, że przyjedziesz dopiero po południu.

Ton i sposób mówienia przekonał Robertę, że dla niego nie ma nic ważniejszego ponad jego krewnych, że wszystko gotów dla nich poświęcić. Teraz dopiero pojęła jasno, że mimo zapewnień o gorącej miłości, mimo porywów szalonej namiętności, musiał ją uważać za zbyt pospolitą dla siebie. A więc jej marzenia i ofiara stały się daremne. Przeraziła się.

- I nie przyszło ci nawet na myśl - odezwała się znowu - żeby chociaż kartkę zostawić do mnie... Znalazłabym ją po przyjeździe.

Powiedziała to łagodnie, nie chcąc go rozgniewać.

- Mówiłem ci już, maleńka, że nie spodziewałem się, że to tak długo będzie trwało. Byłem pewien, że już o szóstej tu będę.

- Tak... to prawda... Ja wiem... tylko...

Była zmieszana, zakłopotana, zdenerwowana. Na twarzy malowała się obawa, troska, przygnębienie, nieufność, lekka uraza, niemal rozpacz. Uczucia te wycierały z jej oczu, które utkwiała w nim szeroko otwarte, i one to obudziły w Clydzie pewną skruchę. Tak, nadużywał jej dobroci, źle się z nią obchodził!

Wyczytawszy to z jej oczu zaczerwienił się gwałtownie, jego blada zazwyczaj twarz pokryła się silnym rumieńcem. Roberta udała, że tego nie widzi i niczym nie dała poznać, że to go zdradziło, tylko po chwili dodała:

- Czytałam w "Star" o zabawie niedzielnej w Gloversville i nic nie wspomniano o twoich krewnych. Czy byli tam?

Po raz pierwszy zadała mu pytanie, w którym wyczuł nieufność, czego się po niej wcale nie spodziewał. Zmieszał się trochę, ale przede wszystkim oburzył.

- Naturalnie, że byli! Nie rozumiem, dlaczego o to pytasz, kiedy ci już przecież mówiłem, że byli!

- Ależ, kochanie, tak się tylko spytałam. Chciałam wiedzieć. Czytałam gazetę i wymieniono w niej wiele nazwisk, o których wtedy nie wspominałeś. Na przykład: Sandra Finchley, Bertina Cranston... A ty mówiłeś tylko o Trumbullach.

Słowa te powiększyły tylko chmurę na jego czole.

- Wiem o tym. Ale nikogo z tych osób tam nie było. A może były, ale ja ich nie widziałem. Gazety często mijają się z prawdą.

Był naprawdę zirytowany, że go tak zaskoczyła, ale sam czuł, że w swój ton nie umiał włożyć tyle przekonującej mocy, żeby mogła mu uwierzyć. Miał do niej urazę o to, że śmiała dopytywać się o

szczegóły. Po co się o to pyta? Czy nie rozumie, że ten wielki świat to jego przyszłość. Czy ma zamiar stawać mu na drodze?

Nie indagowała go już więcej, ani nie robiła wyrzutów, patrzyła tylko na niego z uwagą, a w jej oczach kryło się poczucie krzywdy. Niezupełnie mu wierzyła, ale też nie mogła nie wierzyć. Może była w tym część prawdy? Dla niej było najważniejsze, aby ją kochał i nie chciał jej okłamywać. Co się właściwie stało, że nie jest już tak dobry dla niej jak dawniej i posługuje się kłamstwem? Odsunęła się od niego i wyciągając przed siebie ręce, bezradnie zawołała:

- O, Clyde! Nie kłam przede mną! Czy tego nie rozumiesz? Byłoby mi zupełnie obojętne, dokąd chodzisz, gdybyś mnie tylko uprzedził i nie zostawiał samą, jak w ten wieczór przedświąteczny... To mnie najwięcej boli...

- Ależ ja wcale nie kłamię - odparł chmurnie. - Nic na to nie poradzę, że gazety inaczej to przedstawiają. Byli tam i Griffithsowie, mogę ci tego dowieść. A dziś przyszedłem, jak mogłem, najwcześniej. Nie rozumiem, dlaczego tak się tym zajmujesz? Opowiedziałem ci wszystko. Nie zawsze mogę robić to, co chcę i jak chcę. Zaprosili mnie w ostatniej chwili i musiałem pójść. A potem nie mogłem wyjść. Czym się tu zajmować?

Patrzył z gniewem na Robertę, która nieco zbita z tropu nie wiedziała, co ma powiedzieć. Pamiętała jeszcze, że w "Star" była wzmianka o wieczorze sylwestrowym, ale czuła, że nie byłoby rozsądnie teraz o tym mówić.

Jakże się wszystko zmieniło! Patrzyła na niego i wszystkie cudowne chwile, razem przeżyte, przesuwały się w jej myśli. To najbardziej bolało. Wahala się, czy ma mu powiedzieć, ile cierni zazdrości tkwiło w jej sercu. Tak się dobrze bawiono w tym pięknym świecie, a ona... ona tak smutno spędziła święta. Kiedyś, jeszcze dawniej, wspominał o Sandrze Finchley i Bertinie Cranston, gazeta też o nich pisała. Może to jedną z nich zajął się teraz?

- Czy panna Finchley podoba ci się bardzo? - zapytała nagle,

patrząc bacznie w jego twarz, ukrytą w cieniu. Tak pragnęła czymś się pocieszyć, tak chciała, żeby rzucił jakieś światło na jej mękę.

Clyde wyczytał jasno w jej wzroku całą powagę tego pytania. Była w nim powstrzymywana zazdrość i niepokój. A zawsze w jej głosie brzmiało coś nieuchwytnie przymilnego, miękkiego, a zarazem smutnego, a najbardziej wtedy, gdy bywała smutna. Poczul się do głębi wstrząśnięty tym pytaniem, które jak gdyby drogą telepatii skierowała ku Sandrze. Rozumiał dobrze, że nie mogła wiedzieć o niczym i że to ją pewnie najwięcej gniewało. Dumny był jednak ze swych licznych znajomości, więc odpowiedział chętnie:

- O, naturalnie że mi się podoba. Jest bardzo ładna, ślicznie tańczy. Ma masę pieniędzy i ubiera się bardzo elegancko.

Miał jeszcze dodać, że też go obdarza sympatią, ale Roberta wyczuwszy, że właśnie tą osobą Clyde najwięcej się zajmuje, zawołała nagle, może dlatego, że tak wielka otchłań leżała między nią a tą damą:

- A któż by się nie ubierał, gdyby miał tyle pieniędzy, co ona? Gdybym była bogata, potrafiłabym także...

Ku wielkiemu zdumieniu Clyde'a głos jej zadrżał i załamał się jak w łkaniu. Pojął, że była boleśnie zraniona, że czuła szaloną zazdrość. Chociaż w pierwszej chwili się oburzył i chciał jej ostro odpowiedzieć, złagodniał jednak nagle. Przykro mu było, że ją, którą tak mocno kochał do niedawna, mogła nękać zazdrość o niego. Pamiętał jeszcze dokładnie swe cierpienia z powodu Hortensji i teraz ją rozumiał. Więc odezwał się do niej miękko:

- Ależ, Berti, czyż nie mogę powiedzieć ani słówka o niej, czy o kim innym, żeby ci nie zrobić przykrości? Mówiłem nie dlatego, żebym miał się nią specjalnie interesować, odpowiedziałem ci tylko na pytanie i wytłumaczyłem, dlaczego mi się podoba. I to wszystko.

- Tak, ja wiem... - odpowiedziała Roberta. Stała przed nim z bladą twarzą, załamanymi rękoma i patrzyła nań z powątpiewaniem i prośbą

w oczach. - Ale pomyśl, że one mają wszystko... Wiesz, że mają wszystko... A ja nie mam nic!... Nic już nie mam... Jakże mi trudno równać się z nimi...

Głos jej się załamał i zamilkła. Oczy jej zwilgotniały, wargi zaczęły drżeć. Szybko zakryła twarz dłońmi, lecz zdradziły ją drżące ramiona. Wstrząsało nią gwałtowne, rozpaczliwe łkanie.

Clyde, zdziwiony i zmieszany tym objawem długo tłumionego cierpienia, sam poczuł silne wzruszenie. Nie był to z pewnością z jej strony komediancki wybieg, którym chciała wpłynąć na niego, lecz prawdziwa rozpacz na myśl o swej strasznej wprost przyszłości, o widmie uwiedzionej, osamotnionej dziewczyny, bez opieki, bez nikogo, podczas gdy te panny, do których wzdychał, miały wszystko... wszystko...

W wizji tej przesunęły się ubiegłe lata, które powlokły smutkiem jej młodość, a stanęły tak żywo w pamięci po niedawnym pobycie w domu rodzicielskim. Przytłoczyła jej duszę złowroga beznadziejność i rozpacz. I z głębi serca wydobył się okrzyk: - Gdybym to ja miała tyle szczęścia, co one! Gdybym ja mogła zobaczyć coś innego w życiu. Prosto ze wsi zjechałam do miasta bez pieniędzy, bez ubrania, bez niczego... i bez nikogo przy sobie... O! o! o!

Nagle zawstydziała się, że na tyle była słaba, by czynić takie wyznania i tak się poniżać, wiedziała bowiem, że to, co dla niej było najbardziej dotkliwie mogło go tylko do niej zniechęcić.

- Roberto, kochanie! - odezwał się serdecznym tonem i otoczył ramionami, szczerze wzruszony jej losem. - Nie płacz tak, ukochana... Nie powinnaś płakać... Nie miałem zamiaru zrobić ci przykrości. Słowo daję, że nie... Zapewniam cię, małeńka! Wiem, że ci jest ciężko, najdroższa... Wiem co czujesz, i rozumiem, co ci mogło sprawić przykrość. Nie płacz więc, Berti... Nie powinnaś płakać. Kocham cię zawsze jednakowo. Chciej mi wierzyć, że cię kocham i nigdy nie przestanę. Strasznie mi przykro, że cię zmartwił, naprawdę... Przysięgam ci, że nie mogłem przyjść dzisiaj i w piątek również. Naprawdę, to było niemożliwe. Postaram się, żeby to się nie powtórzyło, jeżeli tylko będę mógł. Przysięgam

ci!... Taka jesteś dobra, najlepsza, najśłodsza dziewczyna... Masz takie cudne oczy i piękne włosy, i taką zgrabną figurę... Naprawdę, Berti! A tańczyć potrafisz wcale nie gorzej od tamtych panien. I taka jesteś milutka, moja ukochana Berti! Nie płacz już, maleńka, proszę cię. Tak mi przykro, że cię zasmucił...

Clyde potrafił wzruszać się, zwłaszcza gdy wzbudziły się w nim wspomnienia jego własnego, ciężkiego życia, wszystkich niewesołych przeżyć, rozczarowań i mozołów. W takich razach głos jego miał łagodne, miękkie brzmienie, zachowanie stawało się słodkie i delikatne jak matki w stosunku do dziecka. Taką kobietę jak Roberta najwięcej to ujmowało. Tylko, że takie wzruszenia, jakkolwiek bardzo żywo odczuwane, trwały zazwyczaj krótko. Były podobne do burzy letniej, która gwałtownie wybucha i prędko mija.

Ta jednak krótka chwila wystarczyła, żeby Roberta uwierzyła, że Clyde zrozumiał w zupełności jej położenie i jeszcze bardziej ją nawet za to kocha. Uczuła ulgę. Ma go znów przy sobie, ma jego miłość, i współczucie. Otarła oczy i tłumaczyła się, że bardzo jej przykro bo teraz będzie ją uważał za beksę i prosi go o przebaczenie, bo łzami splamiła nieskazitelną biel jego koszuli. Nigdy się to już nie powtórzy. Clyde wzruszony wielką jej miłością obcałowywał bez przerwy jej ręce, twarz w końcu usta.

Podczas tych pieszczot i pocałunków Clyde nie panując nad sobą, zapewnił Robertę, że tylko ona jedna posiada jego serce i zajmuje tam pierwsze miejsce, trwale i pewne. Roberta uspokoiła się, czyniła sobie wyrzuty, że źle go oceniła, i pewna już była jego miłości. Nigdy może nie czuła się tak szczęśliwa jak dzisiaj. Cóż z tego że te panny bawią się w jego towarzystwie, żadnej z nich jednak nie ofiarował swej miłości w tak cudowny sposób.

Clyde należał teraz już bezsprzecznie do towarzystwa i brał udział we wszystkich zabawach. Ponieważ Griffithsowie przedstawili go swym znajomym, był przyjmowany wszędzie. Jednak w tym zamkniętym świecie, gdzie jeden jego przedstawiciel wiedział wszystko o drugim, najbardziej szczegółowo rozważano stan kasy każdego, bardziej nawet szczegółowo niż inne właściwości człowieka. Te dystyngowane rodziny kierowały się zasadami, że nie tylko parantela ma znaczenie, lecz głównie majątek jest alfą i omegą każdego szczęśliwego związku.

Ponieważ chodziły słuchy, że Clyde nie mógł się poszczycić wielkim majątkiem, a nawet nie miał żadnego, więc mimo że uważano go za należącego do wyższych sfer, nikt nie był skłonny patrzeć na niego jako na możliwego aspiranta do ręki którejś z córek tych potentatów. Wszędzie chętnie go u siebie przyjmowano, jednak tam, gdzie były córki, starano się, żeby Clyde nie za często się z nimi stykał.

W tym wszakże kółku, w którym obracała się Sandra i jej przyjaciółki, panował bardzo życzliwy stosunek do Clyde'a i komentarze rodzicielskie niewiele mogły zaważyć. Clyde więc w dalszym ciągu otrzymywał zaproszenia, najczęściej na wieczory z tańcami, na których najlepiej się bawił. Chociaż dochody miał bardzo skromne, wszelako na wszystko mu wystarczało, gdyż Sandra, zajmąwszy się nim, dowiedziała się o stanie jego kasy i starała się, by przyjaźń z nią niewiele go kosztowała. Metody jej przejęła reszta towarzystwa i Clyde mógł wszędzie bywać nie wydając na to ani grosza. Jeżeli zabawa miała się odbyć poza Lycurgus, zawsze ktoś przyjeżdżał po niego samochodem.

Po zabawie noworocznej w Schenectady, która dla Sandry i Clyde'a upamiętniła się tym, że nastąpiło tam do pewnego stopnia ujawnienie sentymentów, przyjął się zwyczaj, że Sandra zabierała go do swego samochodu. Clyde'owi udało się wreszcie zająć na dobre uwagę tej panny i to w sposób bardzo pochlebiający jego próżności. Clyde realizował jej marzenia o ideale, który ucieleśnił się w

jego postaci, tak bardzo pociągającej, i budził dumę, że swe stanowisko w świecie jej tylko może zawdzięczać. Wiedziała, że rodzice nie będą popierali jej małżeństwa z Clyde'em właśnie z powodu braku majątku. Sandra też pierwotnie nie myślała o tym, teraz jednak z wolna dochodziła do przekonania, że leży to na dnie jej zamiarów.

Jakoś przez dłuższy czas nie zdarzała się sposobność do poufnej rozmowy. Pewnej nocy, dwa tygodnie po noworocznej zabawie, wracali z wieczoru w Amsterdam. Odwieziono już do domu Bellę, Granta i Bertinę i Stuart Finchley miał właśnie zawrócić.

- Teraz odwieziemy Clyde'a do domu - zawołał, lecz Sandra, pragnąc odwlec chwilę rozstania z miłym jej chłopcem, odezwała się:

- Gdyby pan chciał wstąpić do nas na chwilę, poczęstowałabym go filiżanką gorącej czekolady. Dobrze?

- Ależ z przyjemnością - zgodził się chętnie Clyde.

- A więc, jazda! - zawołał Stuart zawracając auto ku domowi. - Tylko nie liczcie na moje towarzystwo, jest już po trzeciej.

- To dopiero braciszek! Ach, ty śpiochu! - roześmiała się Sandra.

Zamknąwszy samochód w garażu całe towarzystwo poszło przez kuchnię do domu. Brat pożegnał się z nimi, Sandra kazała usiąść Clyde'owi przy stole kuchennym, a sama zaczęła znosić wiktuały potrzebne do przyrządzenia obiecanego przysmaku. Obszerna kuchnia, wielka ilość sprzętów gospodarskich zrobiły ogromne wrażenie na Clydzie. Nigdy nic podobnego nie widział, rozglądał się więc dookoła ze zdumieniem.

- Jakaż to wielka kuchnia! - zawołał. - Ile tu naczyń do gotowania!

Sandra zerknęła na niego. Widocznie nie był przyzwyczajony do widoku tak bogato wyekwipowanych kuchni i dlatego tak się dziwi.

- Nie wiem nawet - odpowiedziała. - Czyż nie wszystkie kuchnie są takie?

Clyde'owi stanęło w pamięci całe ubóstwo, w jakim dotychczas żył, a z jej słów zrozumiał, że ta milionerka nie przypuszcza nawet, iż może istnieć coś skromniejszego, i uprzytomnił sobie prawie z przerażeniem nadmiar bogactw, do którego należała. A jednak cóż to nadzwyczajnego? Ożenić się z taką panną i to wszystko stanie się powszedniością. Miałoby się wtedy kucharza i służbę, piękny pałac i samochód i nic do roboty prócz wydawania rozkazów. Ambicje jego doszły teraz do szczytu, a marzenia nabierały życia, gdy przyglądał się wdzięcznym, a półświadomym ruchom Sandry i jej niezwykle powabnym pozom.

Sandra zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie to otoczenie wywierało na Clydzie, i starała się podkreślić, że wszystko jest w nierozłącznym związku z jej osobą. Wiedziała dobrze, że była dla niego przewodnią gwiazdą, ucieleśnieniem przepychu i wyższości społecznej.

Ugotowawszy czekoladę w zwykłym aluminiowym rondelku chciała mu jeszcze bardziej zaimponować i z drugiego pokoju wyniosła ciężki, cyzelowany w srebrze serwis. Włała czekoladę w ślicznie ornamentowaną wazę i postawiła przed Clyde'em. Stała przed nim i pochwaliła się:

- Cóż, dobrze się spisałam? Bardzo lubię czasem coś zrobić w kuchni ale tylko wtedy, gdy nie ma w niej kucharza. Gdy jest zajęty w kuchni, nie pozwala nawet zbliżyć się do siebie.

- Czyżby? - zapytał Clyde, który absolutnie nie znał zwyczajów kucharzy w prywatnych domach.

Pytanie to znowu przekonało Sandrę, że sprawy te nie mają realnego znaczenia w środowisku, z którego pochodził. Ponieważ jednak coraz jaśniejszym nimbem otaczała postać tego młodego człowieka braki jego uświadomienia w tym kierunku nie zniechęciły jej wcale. A kiedy Clyde zawołał:

- Przecież to wprost cudowne, Sandro, że znaleźliśmy się tutaj sami... tylko we dwoje! Nie miałem ani razu sposobności szepnąć ci choć jednego słówka przez cały wieczór... - nie była wcale urażona tą poufałością.

- Cieszy się pan? I ja też jestem zadowolona - powiedziała i uśmiechnęła się kusząco i słodko.

Patrzył na nią i czuł w sobie burzę uniesień. Patrzył na nią, tak zgrabną w białej jedwabnej sukience, na jej drobne stopy, ślizgające się tak blisko niego, a czarowne jej perfumy upajały go.

A ona, odczuwając siłę jego uwielbienia i niemal zatruta gorączką namiętności, której zataić już nie umiał, patrzyła na tego chłopca jak na ideał, który mogła pokochać. Jakież piękne miał oczy, takie czarne, przenikliwe i pełne życia! A włosy! Jak ślicznie opadał mu jeden lok na czoło... Pragnęłaby dotknąć tych włosów, przesunąć po nich ręką, dotknąć jego twarzy... A ręce! Takie wąskie, wrażliwe i zgrabne...

Wszystkie kobiety zwracały uwagę na jego ręce. Robiły wrażenie na Robercie, Hortensji i nawet ta mała Rita zachwycała się nimi.

Lecz Clyde milczał. Odgrodził się od niej milczeniem, gdyż nie śmiał wypowiedzieć głośno swych myśli.

Ach, gdybym mógł jej powiedzieć, jak bardzo jest piękna - myślał - gdybym mógł ją objąć i całować, całować, całować... i otrzymać od niej równie namiętny pocałunek...

I dziwne - w porównaniu z pierwszym zbliżeniem do Roberty myśli jego były teraz pozbawione zmysłowej pożądliwości, pragnął tylko zjednać sobie i pieścić tę doskonałą istotę.

Wszystkie tęsknoty nie zaspokojonego serca widniały w jego spojrzeniu, tak wymownym, że Sandrę ogarnął lęk przed czymś nieznanym, budzącym wszakże ciekawość; zapytywała więc z niewinną

minką:

- Czy chce mi pan coś ważnego powiedzieć?

- O, miałbym wiele rzeczy do powiedzenia, Sandro, gdybyś mi tylko pozwoliła - odrzekł gorączkowo. - Ale zabroniłaś mi przecież...

- No tak, zabroniłam. Tak, istotnie... i dobrze, że pan to zrozumiał.

Na ustach miała prowokujący uśmiech, a wzrokiem mówiła:

- Ale chyba nie wierzysz, żebym cię chciała koniecznie trzymać za słowo.

Ośmielony jej wzrokiem Clyde zerwał się, ujął obie ręce dziewczyny i patrząc prosto w oczy, powiedział:

- Ale teraz nie zabronisz mi chyba, Sandro, prawda, że nie zabronisz? Tak pragnąłbym powiedzieć ci wszystko, wszystko, co mam na sercu...

Patrzył w nią z natężeniem. Wiedziała, że niezwykle łatwo go rozpałi i miała ochotę dowiedzieć się, jak daleko się posunie. Cofnęła się trochę i rzekła:

- Ależ ja naprawdę zabroniłam... Pan wszystko zbyt poważnie traktuje...

Wyraz twarzy jednak miała łagodny i ponownie się uśmiechnęła. - Nie mogę już dłużej, Sandro... naprawdę nie mogę! - mówił zgorączkowany, lecz z pewnym wahaniem. - Nie wiesz nawet, jaki wpływ na mnie wywierasz! Jesteś tak piękna... tak cudna! Wiesz sama o tym... Myślę ciągle o tobie tylko... naprawdę, Sandro! Jestem jak oszalały, nie mogę o niczym innym myśleć... Nie chcę spać nawet, żeby nie przestać myśleć o tobie! Chodzę jak błędny... Oczy moje widzą tylko ciebie, dokądkolwiek pójde; na co spojrzę... Tylko ty jedna myślisz me wypełniasz! Dziś, gdy cię widziałem tańczącą z innymi, jakże mi ciężko było, bo chciałbym, abyś ze mną

tylko tańczyła... z nikim innym. Masz takie przepiękne oczy i takie rozkoszne usta, i tak porywający uśmiech... O, Sandro!

Podniósł ręce jak do pieszczoty, lecz nie wyciągnął ich, tylko wpatrzył się w jej oczy jak wierny w cudowny obraz. Nagle objął ją mocnym uściskiem i przytulił do siebie. Sandra drgnęła, lecz urzeczona jego słowami nie opierała się i nie odrywała oczu od jego twarzy. Namiętność jego udzieliła się jej i poczuła, że może go kochać równie silnie jak on ją. O, tak! gdyby jej tylko było wolno. Jest tak piękny, taki czarujący... taki wytworny, mimo że ubogi... O ileż jego miłość jest silniejsza i bardziej przekonująca niż tych wszystkich młodych ludzi, którzy jej wyrażali swe uczucia. Jakżeby to było cudownie, gdyby mogła dzielić jego miłość, gdyby jej na to pozwolili rodzice i jej pozycja. W tej chwili przyszło jej na myśl, że gdyby się o tym dowiedzieli rodzice, nie mogłaby przedłużyć znajomości z Clyde'em pozbawiona byłaby możliwości wywierania wpływu na niego, i skończyłoby się wszystko. Odsunęła szybko tę myśl i stała przytulona do niego. Oczy jej patrzyły ciepło, miłośnie, usta rozchyliły się w uroczym uśmiechu.

- Nie powinnam panu pozwolić na takie słowa... tak... naprawdę nie powinnam... - oponowała słabo, patrząc jednak na niego wymownie. - Tego nie wolno mówić, ale...

- Dlaczego nie wolno? Dlaczego, jeżeli kocham cię tak silnie i szczerze, Sandro?

Oczy powlokła mu chmura smutku, co widząc Sandra szepnęła:

- Och, ja tylko... Ale... - Miała zamiar powiedzieć: Nie łudź się, że nam pozwolą na miłość, rzekła jednak: - My przecież nie znamy się jeszcze tak dobrze.

- Sandro! Chciej zrozumieć, że kocham do szaleństwa! Od zmysłów prawie odchodzę!... Czyżbyś mnie wcale nie kochała?

Jej wymijająca odpowiedź wywołała w jego oczach błysk niepokoju, przerażenia i rozpacz.

To przekonało Sandrę. Nie mogła mu nie wierzyć. Patrzyła jednak niepewnym wzrokiem, zaciekawiona. Clyde zaś czując w niej pewne wahanie, przycisnął ją mocniej do siebie i pocałował.

Przez chwilę leżała cicho, z poddaniem, radośnie w jego ramionach, lecz nagle się odsunęła.

Jak to? Pozwoliła mu się pocałować? Jakież on z tego wyciągnie wnioski? Odzyskała od razu przytomność umysłu.

- Niech pan już idzie do domu - odezwała się łagodnie, choć stanowczo. - Prawda, że tak będzie lepiej?

Clyde zdziwiony, a nawet zaskoczony jej słowami sposepniał. Z pokornym poddaniem wyszeptał błagalnie:

- Gniewasz się?

Patrzyła na tę niewolniczą pokorę, która ją trochę razila, a jednocześnie jej się podobała, jak gdyby było w niej coś z Roberty i coś z Hortensji, choć sama wolała władać niż podlegać władzy, potrząsnęła głową przecząco, trochę smutnie i odpowiedziała uśmiechając się miłośnie:

- Już jest bardzo późno.

Clyde zrozumiał, że są jakieś przyczyny, które nie pozwalają jej nic więcej powiedzieć, nie śmiał więc nalegać ani przedłużać tej chwili, ubrał się więc i spojrzawszy raz jeszcze na nią z wielkim smutkiem wyszedł posłusznie.

Podejrzenia i obawy Roberty, zrodzone z jej intuicji, szybko okazały się słuszne. Nic się nie zmieniło na lepsze w postępowaniu Clyde'a. W ostatniej chwili zmieniał projekty czynione wspólnie lub nie zjawiał się wcale, nie tłumacząc się nawet. Żaliła się na to czasami, czasami smutkiem swym pragnęła go wzruszyć, nie wpływało to jednak wcale na polepszenie stosunków. Clyde tak był szaleńczo zakochany w Sandrze, że nie mógł wzruszyć się dołą Roberty.

Przez cały jednak dzień pracowali razem i Clyde mimo woli instynktownie wprost, musiał wyczuwać jej myśli - te czarne, smutne, rozpaczliwe myśli, które kamieniem leżały na jej sercu. Płynęły ku niemu, oskarżały go, żaliły się i trafiały boleśnie. Wtedy chciał coś naprawić, coś łagodzić, szeptał jej, że chce się z nią zobaczyć, że przyjdzie do niej. Nie umiała jeszcze Roberta otrząsnąć się spod jego wpływu i radośnie przyjmowała te zapowiedzi.

I zjawiał się u niej, a wtedy wspomnienia niedawnej a rozkosznej przeszłości, widok tego pokoju, gdzie każdy drobiazg tchnął ciepłem przeżyć miłosnych, omotywały wrażliwe zmysły Clyde'a i poddawał się na nowo urokom Roberty.

Otrząsał się jednak z tego szybko, a snując zbyt pochopnie zawrotne plany o swej przyszłości, coraz niechętniej odnosił się do kochanki. A jeśli Sandra w jakiś sposób dowie się o Robertce? Albo może Roberta dowie się o jego miłości do Sandry i obrażona doniesie o swych dawniejszych prawach do niego? Od czasu zaś owego noworocznego wieczoru Clyde coraz częściej zjawiał się rano w swym wydziale usprawiedliwiając się przed Robertą, że nie mógł być u niej mimo solennej obietnicy, gdyż go nagle zaprosili Griffithsowie, Harrietowie lub inni. A parę razy, pędząc na zaproszenie Sandry na wspólną przejażdżkę samochodem, zapomniał nawet Robertę uprzedzić o zmianie projektu i nie pomyślał potem, żeby ją czymś pocieszyć.

Nie umiając oprzeć się zmysłom, pociągającym go raz w jedną, to znów w drugą stronę, nie wnikając w źródła swej niechęci i sympatii do Roberty, Clyde zniecierpliwiony i niemal zrozpaczony coraz częściej szukał w myśli sposobu rozwiązania tego węzła, chociażby miało to zatruć życie tej dziewczyny. Dlaczego przejmuje się tak jej losem? Przecież nigdy jej nie obiecywał, że się z nią ożeni. Gotów był nawet poświęcić swe stanowisko, żeby tylko mógł wyrwać się od niej. Czasami jednak przyznawał, że jest zdrajcą, potworem, okrutnikiem, że uwiódł nikczemnie niewinną dziewczynę, że wykorzystał sytuację bezbronnej istoty, która nie nagabywana przez niego, nie zamąciłaby mu spokoju. W takich chwilach mimo lekceważenia, kłamstw, nie usprawiedliwionych nieobecności, następowała - nieobliczalne są drogi żądy ludzkiej - na nowo zgoda, pełna uniesień miłosnych, i wypełniało się prawo, dane Adamowi i jego plemieniu przez piekielne czy niebieskie moce: "Żądza twa będzie twą towarzyszką".

Stosunek tych dwojga, przerzucających się kolejno od najgorętszego szału do zimnej nienawiści ze strony Clyde'a i bólu, pełnego rozpaczy, ze strony Roberty, trwał tak do połowy lutego, a oboje młodzi jeszcze i niewyrobieni życiowo, nie umieli dojść zgodnie do jakiegoś porozumienia lub obmyślić odpowiedniego planu postępowania i wytrwania w nim.

Wreszcie Clyde, cieszący się nie słabnącymi łaskami Sandry, uczynił niezłomne postanowienie, że musi bezwzględnie i ostatecznie zakończyć ten stosunek i zerwać wszelką łączność z Robertą. Ona zaś ze swej strony widząc, że mimo jego chwilowych nawrotów do dawnych uniesień, mimo jej własnej niewygasłej miłości, związek ich staje się coraz bardziej czczy i uciążliwy dla obojga, postanowiła dla ocalenia własnej godności, dla uspokojenia zbolełego serca wyszukać sobie pracę w jakimś innym mieście, gdzie wreszcie mogłaby odzyskać spokój, żyć własnym życiem i zapomnieć o Clydzie.

Niestety, projektu tego nie udało się jej zrealizować. Bo oto w czasie najbardziej nieprzyjaznym dla obojga, gdy przestała wierzyć w miłość Clyde'a, gdy sama doszła do przekonania, że tylko

rozstanie zdoła uśmierzyć ból, z rozpaczą i zgrozą poznała, że stało się to, czego najwięcej się obawiała, a co dotychczas zdawało się jej nie grozić - poczuła się w odmiennym stanie.

Co miesiąc liczyła dni w niepokoju, a potem oddychała z ulgą, że nic jej nie grozi. Teraz jednak minął dzień i drugi po ustalonym terminie i nie zanosilo się na jakieś pożądane objawy. A Clyde od czterech dni nie był już u niej i jego zachowanie w fabryce wobec niej było coraz bardziej obojętne i obce. I teraz właśnie to się stało!

Do kogoż się zwrócić o radę lub pomoc? Czy do niego, który jest tak oziębły i obojętny? Wiedziała, że z pomocą czy bez pomocy Clyde'a niełatwo jej będzie wybrnąć z tego położenia. Czyż może jechać do domu, spojrzeć w twarz matki, w oczy znajomych wiedząc, co sądzić będą o tym? Obawiała się ludzkich sądów. Oto widomy znak nieusankcjonowanego konkubinatu! Dziecko przychodzące na świat z piętnem hańby na czole! Ileż razy słyszała o takich zdarzeniach, o nędzy i nieszczęściach dziewcząt, które zawierzywszy mężczyznom żyły i umierały w opuszczeniu... Kobieta zamężna ma oparcie w miłości i silnym ramieniu mężczyzny, w opiece, jaką na przykład daje Gabel jej siostrze Agnes, jaką dawał w pierwszych latach jej ojciec matce i jaką, wierzyła, da jej Clyde, gdy zapewniał ją o niezmiennej miłości. I co teraz? Co teraz?

Nie! Sama nic nie poradzi! W takiej chwili Clyde nie może jej opuścić! Czy chce, czy nie chce, musi jej dopomóc! Przecież ona nie wie, co z sobą począć, jak temu zaradzić, a Clyde bez wątpienia będzie wiedział. Powiedział jej wszakże kiedyś, że zawsze będzie przy niej, w razie, gdy jej się co przytrafi...

Chciała się jeszcze pocieszać, że może jest to tylko chwilowa niedyspozycja, która minie, gdy jednak pożądane objawy nie zjawiały się, poczęła nią miotać nieznana dotychczas trwoga.

Dlaczego się waha, dlaczego w samotności karmi się obawami? Jeżeli nie zwróci się do Clyde'a, pozostanie bez opieki... A tak pragnie jakiegoś życzliwego słowa, dobrej, pocieszającej rady! O, Clyde! O, gdyby nie był tak obojętny dla niej! Nie, nie będzie taki, nie

powinien być taki! Coś trzeba robić... zaraz... szybko! Coś, co mogłoby naprawić... Boże! Boże! jak szybka jest Twa karząca dłoń!

Zjawiała się w swym wydziale z twarzą szarą, napiętnowaną bólem i rozpaczą. Zasiadła do pracy. Myśli przeróżne, rozpaczliwe, szalone rozsadały jej muzg. Nagle przerwała robotę, pośpieszyła do szatni i tam szybko, drżącą ręką skreśliła kilka słów:

Clyde, muszę dziś wieczór koniecznie się z Tobą zobaczyć. Nie odmów mi tego, błagam Cię. Mam Ci coś powiedzieć. Przyjdź do mnie zaraz po robocie albo postaraj się spotkać ze mną gdziekolwiek. Nie mam do Ciebie żalu o nic, nie obawiaj się, ale muszę, muszę koniecznie widzieć się z Tobą. Proszę wyznacz mi miejsce spotkania.

Roberta.

Clyde, przeczytawszy te słowa dyktowane jakąś straszliwą trwogą, spojrzawszy przez ramię na Robertę i ujrzał jej twarz, bladą i poszarzałą. Kiwnął głową na znak, że zgadza się na spotkanie. Sądząc z wyrazu jej oczu, miała mu do powiedzenia coś chyba niezmiernie ważnego, jeżeli ją to doprowadziło do takiego stanu. Więc chociaż przeznaczył te godziny na obiad u Starków, zdecydował się pójść najprzód do Roberty.

Co się mogło stać? Może ktoś z jej rodziny zmarł? Może jakieś nieszczęście kogoś spotkało? Dlaczego była taka blada i zmieniona?

O wpół do szóstej wybrał się do niej z niezłomnym wszakże postanowieniem, że okaże jej twarz zimną i obojętną, żeby nareszcie się przekonała, że ten stosunek nie może dłużej trwać.

Przyszedłszy na umówione miejsce zastał ją opartą o drzewo. Patrzyła w przestrzeń nieprzytomnie, rozpaczliwym wzrokiem.

- Co się stało, Berti? Dlaczego jesteś taka przestraszona? O co chodzi?

Uczepiła się gorączkowo tych słów, w których, zdawało się jej, słyszy cień pewnej czułości.

- O, Clyde, nie wiem, jak ci mam o tym powiedzieć... To takie straszne dla mnie!

Głos jej głęboki, choć cichy, brzmiał tajoną udręką i niepokojem.

- Ale co się stało, Berti? Czemuż nie mówisz mi o tym? - powtórzył żywo, starając się opanować niepokój, który bezwiednie mu się udzielił. - Jakieś nieszczęście, czy co? Czym się tak przejęłaś? Drżysz cała...

Nie mając żadnego doświadczenia w tych sprawach nie przypuszczał nawet, że trwoga Roberty może mieć coś wspólnego z ich związkiem, że jest groźna zarówno dla niego, jak i dla niej. Dostrzegając jednak wyraźnie lęk na jej twarzy i nie wiedział, jak ma się teraz zachować wobec niezłomnego postanowienia zerwania z Robertą. Serce jego, wrażliwe na pobudki moralne, nie pozwalało na bezwzględne postępowanie bez wewnętrznych skrupułów, a przynajmniej wstydu, nawet wówczas gdy w grę wchodziły jego najszczytniejsze ambicje. Mimo to czuł pewien niepokój, że się spóźni do Starków na obiad, i w jego głosie wyczuć się dało zniecierpliwienie. Nie uszło to uwagi Roberty.

- Pamiętasz, Clyde - odezwała się poważnie i z siłą, gdyż powaga jej położenia zmuszała ją do śmiałego wypowiedzenia żądań - że mi obiecałeś opiekę w razie, gdyby mi coś miało grozić?

Domyślił się teraz, o co chodzi, przypomniawszy sobie - nieczęste co prawda, lecz szalone - noce w jej pokoju, gdy resztki uczucia i pożądania szukały zaspokojenia w fizycznym stosunku.

Tak, istotnie, można było tego się spodziewać i wina leży tylko w nim samym, i za to jest odpowiedzialny. Przypomniał sobie wszakże świeżo powziętą decyzję zerwania z Robertą i gotów był uważać to za chytry wybieg z jej strony, na który się zdecydowała, byleby utrzymać go nadal przy sobie. Myśl ta jednak niezupełnie trafiała

mu do przekonania. Roberta była zanadto przygnębiona i zrozpaczona, żeby można ją było posądzać o udawanie. Przeraził się ogromnie tą nową komplikacją w ich związku.

- Ale skąd wiesz, że to na pewno ci grozi? Przecież nie masz jeszcze żadnej pewności, bo jakże mogłabyś ją mieć? Jutro będzie wszystko dobrze, na pewno!

A jednak i w jego głosie brzmiało zwątpienie.

- O, nie, Clyde... Nie mylę się wcale. Wolałabym, żeby było inaczej. Niepewność moja trwa już od dwóch dni, a nigdy przedtem tego nie było.

Taka była przygnębiona i nieszczęśliwa, że musiał odrzucić posądzenie jej o podstęp. Nie chcąc się jednak pogodzić z faktem pocieszał ją i siebie:

- O, cóż to znaczy! Słyszałem, że kobietom zdarzają się dłuższe spóźnienia niż o dwa dni.

W jego tonie było wszakże tyle niepokoju, że zaalarmowana tym Roberta krzyknęła:

- Ach, nie! O, to byłoby straszne, gdyby miało się sprawdzić moje przypuszczenie! Jak ci się zdaje, co powinnam zrobić? Może wiesz o jakimś środku?

Clyde atoli - w którego doświadczenie i umiejętność wybrnięcia z każdego kłopotu Roberta wierzyła i była pewna, że potrafi znaleźć sposoby, aby podobne stosunki mogły trwać bezkarnie - nie wiedział zupełnie, co czynić. O zagadnieniach płci i komplikacjach, z nimi związanych, wiedział tyle zaledwie, ile każdy młodzieniec w jego wieku wiedzieć może, to jest bardzo niewiele. W czasach pobytu w Kansas City uświadamiali go w tych sprawach Ratterer, Highby lub Hegglund, a Clyde słuchał z zajęciem ich przechwałek i opowieści o ciekawych, pikantnych wypadkach, lecz cała ich wiedza nie sięgała poza drastyczne szczegóły. Prócz tego słyszał coś niecoś o pewnych

środkach zapobiegawczych, słyszał o pokątnych lekarzach i aptekarzach spod ciemnej gwiazdy, których wiedza nie stała wiele wyżej od wiedzy Hegglunda i Ratterera. Ale czy takie środki można otrzymać w tak małym miasteczku, jak Lycurgus, i gdzie? Zerwawszy kontakt z Dillardem nie miał teraz żadnych przyjaciół, którzy mogliby mu służyć radą w tak ciężkim wypadku.

Na razie przyszło mu tylko na myśl, żeby pójść do jakiegoś aptekarza, który by może zgodził się za dobrym wynagrodzeniem dać jakiś środek albo radę. Ale ile by to kosztowało? I czy to byłoby bezpieczne? Czy dowie się czegoś od takiego aptekarza? Może będzie mu zadawał pytania? Może doniesie komu o jego żądaniu? Clyde wiedział, że jest bardzo podobny do Gilberta Griffithsa, mogą więc wziąć go za jego kuzyna, a na tym tle niechybnie zrodzą się plotki i nieprzyjemności.

I to właśnie teraz, gdy jego znajomość z Sandrą zaszła tak daleko, że ta cudna panna pozwalała się całować, dawała nawet dowody swego uczucia w formie drobnych podarków, jak krawaty, złoty ołówek, pudełko prześlicznych chusteczek, które mu przynoszono w czasie jego nieobecności z kartką, opatrzoną jej inicjałami. Snuł coraz śmielsze projekty. Wydawało mu się, że małżeństwo z nią nie należało do nieziszczalnych marzeń, nie sądził, żeby jej rodzina myślała o tym niechętnie. Oczywiście, nie może być tego pewny. Nie umiał jeszcze dokładnie odcyfrować właściwych intencji Sandry. Wyczuwał u niej wahanie, widział jej wybiegi, co wzbudzało jeszcze bardziej jego namiętność. Clyde nie wahał się i stanowczo postanowił wyrwać się, w sposób przyzwoity, ludzki, z objęć Roberty.

Znowu więc przybrał ton swobodny.

- Zdaje mi się, że nie ma jeszcze powodu do takiego zmartwienia - mówił spokojnie. - Przecież nie masz żadnej pewności, może być wszystko dobrze. Ja, tak czy inaczej, pomyślę nad tym, co należy zrobić. Przypuszczam że mi się uda... Ale teraz nie powinnaś się tym przejmować.

Sam w każdym razie nie czuł w sobie tej pewności. Wiadomość była

dla niego wstrząsająca. Jakże teraz może zerwać z Robertą w jej stanie? Ile w tym kryje się niebezpieczeństwa dla niego!... Chyba że uda mu się zdobyć pewne środki i w ten sposób zrzucić z siebie odpowiedzialność. Pamiętał, że nieraz posyłał kartki do Roberty, a każde słowo teraz brzmiałoby dla niego fatalnie. Musi więc jak najspieszniej pomóc jej w wybrnięciu z tego kłopotu. Ale w wypadku, gdyby wszystkie jego starania spełzły na niczym (bo już sięgał myślą do najgorszych wyników swych starań), wtedy... wtedy... musiałby wyprzeć się kategorycznie wszelkiej z nią łączności. Tak! Tylko w ten sposób będzie mógł się wykryć. Takie miało być ostateczne rozwiązanie i sądził, że mogłoby mu się udać, gdyby nie czyhało nań tyle zdradzieckich zasadzek.

Najgorsze jednak było to, że zupełnie nie wiedział, co tu mogłoby być skuteczne i jak się do tego zabrać. Prócz porady u lekarza, nic mu nie przychodziło na myśl. A ile to będzie kosztowało? Wiedział również, że grozi to niebezpieczeństwem...

Zobaczy się zresztą jutro rano z Robertą i jeżeli nic się nie zmieni, zacznie działać.

Roberta, po raz pierwszy zbyta przez niego w tak obojętny sposób, powróciła do domu bardziej jeszcze stroskana i przygnębiona niż przedtem.

Rozdział XXIII

Clyde niewiele jednak umiał poradzić, a nie miał się do kogo zwrócić w tej sprawie. W warsztatach znał Liggetta, Whiggama i paru jeszcze może sympatycznych, lecz z dala od niego stojących szefów oddziałów, którzy zresztą uważali Clyde'a za coś

wyższego od siebie i nie ośmielali się ofiarować mu swej przyjaźni. Nie miał więc się kogo poradzić. Absurdem zaś byłoby przypuszczać, że w towarzystwie, do którego tak niedawno się dostał, mógłby przy największej nawet przebiegłości otrzymać potrzebne mu wskazówki. Młodzi mężczyźni z tej sfery używali wszelkich rozrywek i zapewne pozwalali sobie na wiele śmiałych wyczynów, starając się wyszumieć za młodu w sposób, na jaki Clyde i jemu podobni nie mogli sobie pozwolić. Clyde jednak nie był z nimi w tak zażyłych stosunkach, aby mógł zdobyć potrzebne sobie informacje.

Przyszło mu wszakże na myśl zaraz po rozstaniu z Robertą, że zamiast chodzić do tutejszych doktorów czy aptekarzy, których nie znał, lecz mógł być przez nich poznany, należy pojechać do Schenectady, o wiele większego miasta, i tam uzyskać potrzebne mu wiadomości. Musi przecież coś obmyślić...

Uważał sprawę za tak nagłą, że idąc do Starków, postanowił zaraz jutro wybrać się do Schenectady. Tylko że upłynie jeszcze jeden dzień, zanim coś się zdecyduje, a tymczasem Roberta będzie rozpaczała, że Clyde o nią nie dba i zostawia bez ratunku.

Nie! Dziś jeszcze musi pojechać! Po obiedzie przeprosi Starków i wyjedzie podmiejską kolejką, zanim zamkną składy apteczne.

Ale co ma tam robić? Jak spojrzy w oczy aptekarzowi i co mu powie? Truchlał na samą myśl o tym, co taki drogista pomyśli o nim, jakim wzrokiem patrzeć będzie na niego, co mu odpowie?

Ach, gdyby tu był Hegglund albo Ratterer! Umieliby mu poradzić z pewnością! A chociażby Highby! Ach, tak jest samotny, tak pozostawiony samemu sobie, bo przecież Roberta też nic nie wie... Musi koniecznie coś zrobić, koniecznie. Gdyby mu się tu nie udało, napisze do Chicago, do Ratterera, ale, opisując mu całą sprawę, powie, że chodzi o jego przyjaciela. Nie chce się w żaden sposób narazić.

Przyszło mu nagle na myśl, że ponieważ nikt go w Schenectady nie zna, może powiedzieć, że dopiero niedawno się ożenił. Dlaczego nie

miałby tego powiedzieć? Przecież może wyglądać na żonatego człowieka... i powie, że jego żona, która zupełnie nie może zajmować się dzieckiem, spostrzegła naraz że "minął jej czas" (przypomniał sobie, że tak wyrażali się Ratterer i Hegglund) i że chciałyby w jakiś sposób wybrnąć z tego stanu.

Cóż jest złego w takim postawieniu kwestii? Młode małżeństwo może chyba znaleźć się w takim położeniu... Taki drogista ze współczuciem nawet powinien mu coś doradzić. To chyba nie jest zbrodnia? Możliwe, że jeden, drugi odmówi, ale trzeci może się zgodzić. No i wszystko będzie dobrze.

Ale już nigdy, nigdy w życiu nie narazi się na taką sytuację. Nigdy! To okropne!

Przyszedł do Starków bardzo zdenerwowany i niepokój wzrastał w nim z każdą chwilą. Zaraz po obiedzie oznajmił, że przed wyjściem z warsztatów zażądano od niego złożenia miesięcznego sprawozdania. Nie wróci jednak do biura, tylko sprawozdanie przygotowuje u siebie w domu. Taka sumienność i obowiązkowość zyskała podziw i uznanie Starków i usprawiedliwiła go dostatecznie w ich oczach.

Przybywszy do Schenectady spostrzegł, że niewiele pozostało mu już czasu do odejścia ostatniego pociągu do Lycurgus. I energia jego jakoś wygasła. Czy rzeczywiście wygląda na młodego małżonka? Czy takie środki zaradcze nie będą zbyt karygodne nawet w oczach aptekarza?

Idąc po bardzo długiej Maine Street, jasno oświetlonej jeszcze o tej porze, zaglądał do składów aptecznych i za każdym razem mówił sobie, że właśnie do tego sklepu nie może wejść. W jednym stał jakiś energiczny, ponury, gładko wygolony mężczyzna, którego oczy pod szkłem okularów i szpakowate włosy budziły przekonanie, że na pewno nie uwierzy takiemu młokosowi w bajki o żonie, a tym bardziej nie zgodzi się na sprzedanie podejrzanego specyfiku, natomiast będzie go podejrzewał o karygodny stosunek z młodą, niezamężną osobą. Tak, jegomość ten wyglądał bardzo szanownie, bogobojnie i na pewno musiał liczyć się z opinią... Nie, Clyde nie

może się do niego zwrócić. Nie ma odwagi wejść i stanąć przed taką osobistością.

W drugim sklepie zobaczył niskiego, zaaferowanego, dość sprytnie wyglądającego subiekta, którego może by ośmielił się zapytać, ale pomagała mu jakaś młoda panna. Obawiał się więc Clyde, że właśnie ona zechce go obsłużyć i jakąż wtedy wyniknie kłopotliwa sytuacja! A gdyby nawet podszedł do niego mężczyzna, czyby nie dosłyszała, czego Clyde zażąda? Odszedł tedy od sklepu i tak samo odszedł od trzeciego, czwartego, piątego z równie ważnych przyczyn. Tam byli klienci tu stała jakaś panna przy syfonach z wodą sodową, gdzie indziej znów stał w drzwiach właściciel i przyglądał się Clyde'owi w taki sposób, że ten nie miał odwagi wejść do sklepu.

Widząc wreszcie, że traci czas na próżno, że powinien jakoś działać, bo wróci z niczym do domu, skręcił w boczną ulicę, gdzie przed chwilą widział drogistę, siedzącego beczynnym w sklepie, wszedł i zebrawszy całą odwagę, odezwał się: czy.

- Chciałbym zapytać o coś... Pragnąłbym wiedzieć czy...czy... pan nie zna jakiegoś środka... bo widzi pan... ożeniłem się właśnie niedawno i... żonie mojej "minął czas", a my jeszcze nie możemy sobie pozwolić na dzieci... Czyby nie można było wybrnąć jakoś z tego położenia?

Mówił to żywo, z zaufaniem chociaż w wielkim zdenerwowaniu i z wewnętrznym przekonaniem, że człowiek ten podejrzewa go na pewno o kłamstwo. Nie wiedział jednak o tym, że zwrócił się do wielce religijnego metodysty, który nie wierzył, że może istnieć coś co mogłoby przeszkodzić zamierzeniom natury. Tak był pewien logiki praw boskich, że nie trzymał nic takiego w sklepie, co by mogło pomieszać szyki Stworzycielowi. Był jednak zbyt dobrym kupcem, aby chciał odstręczyć od siebie przyszłego klienta, więc odpowiedział:

- Bardzo mi przykro, młodzieńcze, ale zdaje mi się, że nie będę mógł ci pomóc w tym wypadku. Nic podobnego nie trzymam w sklepie, nie sprzedaję nigdy takich środków, bo nie wierzę w nie. Może w innych sklepach można to dostać, ale nie umiem pana objaśnić, w których.

Mówił to uroczystym tonem, z miną moralisty, który wie, że słusność jest po jego stronie. W jego tonie wyczuł Clyde wyraźny wyrzut, ale ponieważ nie usłyszał od niego wyraźnej wymówki a nawet, przeciwnie, dowiedział się, że w innych sklepach może dostać to, czego potrzebował, uspokoił się i zaczął na nowo przechadzać się po ulicach i zaglądać przez okna do składów aptecznych. Stał teraz przed siódmym sklepem. Wszedł i powtórzył to, co powiedział tamtemu aptekarzowi. I wówczas sprzedawca ostrożnie, w zaufaniu, zapewnił go, że istnieje taki środek.

Owszem. Czy życzy sobie całe pudełko? Kosztować będzie sześć dolarów. Zawrotna to była suma dla klienta, ale że środek miał być niezawodny, a Clyde gotów był na wszystko, odrzekł bez namysłu, że bierze.

Subiekt przyniósł jakiś specyfik i zapewniając, że będzie z pewnością skuteczny, zawinął. Clyde zapłacił i wyszedł z taką ulgą w sercu, tak rozprężyły mu się nerwy, że gotów był tańczyć na ulicy z radości.

Więc był jednak na to środek i to skuteczny oczywiście. Sama już cena, wprost nieprzyzwoicie wygórowana, o tym świadczyła. Czyż w tym wypadku mógł zważać na cenę? Zapomniał jednak zasięgnąć innych informacji, które mogłyby się jeszcze przydać, tylko wzięwszy paczkę do kieszeni, powinszował sobie szczęścia i energii i powrócił do Lycurgus, gdzie od razu udał się do Roberty.

Ucieszyła się niezmiernie, że środek ten wybawi ją od tego czegoś, co zdawało się nie istnieć, a jednak groziło unieszczęśliwieniem ich obojga. Szybkość decyzji i energia Clyde'a też wielkie zrobiła wrażenie na Robercie, jakkolwiek nigdy w nią nie wątpiła, przynajmniej do ostatnich czasów. Nie przypuszczała, że będzie taki szlachetny i troskliwy. Nie opuścił jej w tym strasznym wypadku, jak się tego obawiała. To wystarczyło, żeby ją zupełnie uspokoić. Z wielką ufnością i wiarą odwinęła pudełko, przeczytała przepis o sposobie użycia i zapewniła Clyde'a gorąco, że nigdy mu nie zapomni, jak był dla niej dobry. Przyszło jej jednak na myśl,

co będzie, jeżeli środek okaże się zawodny? Co wtedy? Czy Clyde zechce jej w dalszym ciągu pomagać? Jednak przekonywała się, że na razie powinna być wdzięczna i zadowolona z tego, co jest. Od razu więc zażyła jedną pigułkę.

Tak bardzo była mu wdzięczna, że Clyde ochłódł od razu w obawie, aby jego pomocy nie uważała za chęć pojednania i powrotu do dawnej zażyłości, i zachowywał się tak samo jak w ostatnich dniach. Już nigdy nie pozwoli sobie na żadne pieszczoty. A jeżeli lekarstwo okaże się skuteczne, będzie to ich ostatnie spotkanie prócz koniecznych a nieuniknionych zetknięć w warsztatach. Jest to zanadto niebezpieczne, jak się okazuje, zbyt wiele Clyde ryzykuje, prawdę mówiąc - wszystko, a nic nie ma z tego prócz kłopotów, zmartwień i wydatków.

Więc trzymał się sztywno jak dawniej.

- No, jakże, zadowolona jesteś, co? W każdym razie daje to nam jakąś nadzieję. Píše tu, żeby zażywać co dwie godziny, w ciągu ośmiu albo dziesięciu godzin. A gdybyś czuła się trochę niedobrze, nie należy na to zwracać uwagi - tak mówi przepis. Mogłabyś przez jakie dwa dni nie chodzić do roboty, ale będzie to chyba zbyt bezpieczne, jeżeli się uspokoisz. Zajrzę do ciebie jutro wieczorem, jeżeli cię nie będzie w stemplarni.

Zaśmiał się wesoło. Roberta patrzyła na niego ze zdziwieniem, nie mogąc pogodzić się z tą oziębłością po takich dowodach troskliwości. Gdzież jego dawna namiętna miłość?

Przepelniona wszakże wdzięcznością uśmiechnęła się serdecznie do niego. On odwzajemnił się łaskawym uśmiechem. Lecz gdy drzwi się za nim zamknęły, gdy wyszedł bez pożegnalnego pocałunku, Roberta wróciła do łóżka, w z wątpieniu.

A jeżeli lekarstwo wcale nie pomoże? Jeżeli Clyde w dalszym ciągu będzie tak obcy i chłodny dla niej? Co wtedy? Jeżeli środek nie okaże się skuteczny, to czy Clyde, tak obojętny, zechce jej nadal pomagać. A może zechce? Czyż byłby do tego zdolny naprawdę? Przecież to z jego winy cierpi teraz i to wbrew swej woli. A tak

stanowczo zapewniał, że nic się stać nie może...

Leży tu teraz sama w smutku, w zmartwieniu, nie ma nikogo serdecznego, życzliwego przy sobie, a on odszedł z zapewnieniem, że wszystko będzie dobrze... I to on, który sam przyczynił się do jej nieszczęścia. Czy to jest sprawiedliwe?

Och, Clyde, Clyde!

Rozdział XXIV

Środek jednak nie działał zupełnie. Roberta miała mdłości i stosownie do rady Clyde'a nie poszła do pracy, tylko leżała w łóżku. Nie mogąc doczekać się zbawczych rezultatów, brała po dwie pigułki co godzinę, chcąc jak najprędzej doczekać się pożądanego skutku, by ująć straszliwego losu. Czuła się bardzo źle, tak że gdy Clyde odwiedził ją po robocie, wzruszył go naprawdę widok tej śmiertelnie bladej twarzy, zapadłych policzków i nerwowo błędzących nadmiernie rozszerzonych oczu.

Cierpiała biedaczka, i to przez niego! Przeraził się i zmartwił. Stanęło przed nim ciężkie zagadnienie do rozwiązania. Strwożony i zakłopotany rozważał różne ewentualności i fazy tego położenia. Trzeba koniecznie poradzić się kogoś lub szukać pomocy u doktora. Ale gdzie, jak i u którego? A przy tym skąd wziąć pieniądze na to? Nie pozostaje mu nic innego do zrobienia, tylko udać się do tego samego drogisty i dowiedzieć się, czy nie ma czegoś innego, jakiegoś lepszego środka, albo zapytać, co należy czynić w podobnym wypadku. Może by mu polecił jakiegoś niedrogiego doktora, który by za niewielkie wynagrodzenie albo za honorarium spłacane ratami zgodził się udzielić pomocy.

Chwila była poważna, nawet tragiczna, nagle jednak poczuł, że ciepła fala zalewa mu serce, przypomniał sobie bowiem, że u Cranstonów ma się spotkać z Sandrą.

Gdy jednak przyszedł do Cranstonów, to chociaż Sandra była dla niego bardzo dobra i czarowała go jak zwykle, nie mógł się otrząsnąć z przykrych myśli, które opadły go jak zmora. Gdyby to któraś z tych pięknych panien wiedziała, skąd Clyde przychodzi! Mimo że Sandra, siedząca przy fortepianie, rzuciła mu czarowny uśmiech na przywitanie, nie rozproszyło to ponurych przeczuć Clyde'a. Musi zaraz po tym spotkaniu pójść jeszcze raz do Roberty, uspokoić się; może jest jej lepiej... A jeżeli nie, to napisze jeszcze dziś do Ratterera, niech mu coś poradzi, niech mu pomoże!

Starał się być jak zawsze wesoły. Najprzód tańczył z Parley Haynes, potem z Nadiną, a czekając na sposobną chwilę, żeby móc przetańczyć z Sandrą, zbliżył się do panien, które pomagały Violetcie Steele rozwiązać rebus. Z dobrą miną i ożywieniem zapewnił, że potrafi odgadnąć słowa, napisane w jego nieobecności i umieszczone w zapieczętowanej kopercie. Była to sztuczka, o której wyczytał w jednej ze starych książek u Peytonów. Ach, żeby móc w jakiś sposób zapomnieć choć na chwilę o tej strasznej zmurze, która go dławi i męczy. Może przy rozwiązywaniu zagadek wygimnastykuje sobie umysł i łatwiej rozwiąże trudniejsze zagadnienie? Wtajemniczył Nadinę, w jaki sposób można wyprowadzić zebranych w pole; sztuka udała się doskonale, nie pomogła mu wszakże zapomnieć o własnej trosce. Roberta jak żywa stała wciąż przy nim.

A może żaden środek jej nie pomoże? Co wtedy? Wtedy Roberta będzie starała się go zmusić do małżeństwa... z obawy przed rodzicami i opinią ludzką. Co wtedy pocznie? Straci tę cudną Sandrę, która będzie musiała się dowiedzieć, dlaczego ją poświęcił! Byłaby to niegodziwość ze strony Roberty! Jakżeby mogła tego żądać od niego? On się nie chce żenić! Nie może! Nie, nie! Za wszelką cenę musi wybrnąć z tego położenia! Koniecznie! Ale jak? Jak?

O dwunastej Sandra oznajmiła, że wraca do domu, a Clyde'owi

powiedziała, że może ją odprowadzić, a nawet wstąpić do niej na chwilę. Przed bramą, w cieniu pergoli, pozwoliła się pocałować i z wymownym spojrzeniem powiedziała, że uważa go za szalenie miłego towarzysza, i obiecała, że na wiosnę, kiedy wyjedzie z rodziną do Twelfth Lake, postara się, by Clyde mógł tam przyjeżdżać na weekend.

Była to wspaniała wiadomość lecz i ta chwila nie dała Clyde'owi całkowitego zapomnienia. Nie potrafił nawet ocenić należycie słów Sandry, z których mógł się domyślać rodzącego się w niej uczucia. Był to dla niego zwycięski moment, nie rozproszył jednak wewnętrznego przygnębienia.

Dziś jeszcze napisze do Ratterera, ale przedtem pójdzie do Roberty, jak to jej obiecał. Może jest jej już lepiej... A zaraz jutro rano pojedzie znów do Schenectady, do tego samego farmaceuty. Trzeba, trzeba koniecznie działać i to jak najspieszniej!

Z rozpalonymi od pocałunków Sandry ustami udał się do dawnej kochanki, której bledziutka twarzyczka i przerażone oczy powiedziały mu od razu, że nie zaszła żadna zmiana.

Nie mogła być bardziej znękana i zrozpaczona niż przedtem, osłabła jednak bardzo po lekarstwie, przyjmowanym w nadmiernych dozach, i czuła się bardzo źle. Powiedziała mu, że śmierć jej nie przeraża, że woli umrzeć, niż wyjawić ludziom swą hańbę.

Słowa te nie zrobiły wielkiego wrażenia na Clydzie, który pamiętał głównie o tym, że jego własna przyszłość jest zagrożona. Roberta spojrzała nań baczynym okiem i wyczuła stan jego duszy.

Przeraziła się. Więc myśli tylko o sobie! Nic mu na niej nie zależy... Zrozumiała, że jego miłość wygasła doszczętnie. Słuchała z goryczą, że nie powinna się martwić, że jeśli ten środek nie pomoże, postara się o coś innego, że wybiera się ponownie do Schenectady, aby mu aptekarz doradził jakieś skuteczniejsze lekarstwo. Słuchała tego ze smutkiem, bo miała w pamięci jego chłodne pożegnanie przed paroma godzinami, myślała o tym, że

pozostawił ją samą, i wiedziała już, że nie może łudzić się co do jego wierności.

Ponieważ Gilpinowie nie posiadali telefonu, a on nigdy nie pozwolił jej przychodzić do swego mieszkania u Peytonów, umówili się, że jeżeli Roberta spostrzeże, że medykament zaczął działać, odsłoni zupełnie oba okna w swym pokoju, jeżeli zaś nie będzie żadnej zmiany, to rolety podniesie tylko do połowy. W tym ostatnim wypadku Clyde pojedzie od razu do Schenectady, a do Liggetta zatelefonuje, że ma bardzo ważną sprawę do załatwienia.

Dla obojga stan Roberty miał bardzo poważne znaczenie i oboje jednakowo byli tym przygnębieni i strwożeni. Clyde nie miał żadnej pewności, czy Roberta, gdyby nie udało się jej wybrnąć z tego położenia, nie zażąda małżeństwa. Pamiętała dobrze, że obiecał jej opiekę, i przypomniawszy mu to zaraz przy pierwszej sposobności. Ale dając jej tę obietnicę nie myślał wcale o małżeństwie, bo nigdy nie miał zamiaru się z nią żenić, a tylko prawdopodobnie wierzył w swe niezmiennie dla niej uczucie. Ona zaś widocznie nadała tym słowom poważniejsze znaczenie, bo może, gdyby w to nie wierzyła, nie uległaby mu nigdy.

W domu Clyde napisał list do Ratterera, wysłał go i spędził przykrą, bezsenną noc. Nazajutrz rano wyjechał do Schenectady, ponieważ zasłony w oknach Roberty podniesione były tylko do połowy, i udał się do tego samego farmaceuty, u którego był poprzednim razem. Jednak aptekarz nie umiał nic poradzić prócz gorącej, a tym samym osłabiającej kąpeli, o czym zapomniał wtedy wspomnieć. Można także używać różnych męczących fizycznych ćwiczeń. Zauważywszy jednak przerażoną minę Clyde'a i domyślając się, że jest to istotnie dla niego wielkie zmartwienie, dodał:

- Niech się pan tym nie przejmuje, że żona pańska nie ma zwykłej przypadłości miesięcznej. U kobiet to się często zdarza i nie zawsze ma poważne znaczenie. Nie można mieć jeszcze żadnej pewności co do tego. Dopiero drugi miesiąc będzie miarodajny. Każdy doktor to samo panu powie. Jeżeli żona jest tym zdenerwowana, niech jeszcze łyka te same pigułki, ale niech się

pan nie przeraża, gdyby nie było skutku. W przyszłym miesiącu może już wszystko być dobrze.

Clyde niezbyt tym uspokojony zabierał się do odejścia. Może istotnie Roberta się myli, może oboje zupełnie niepotrzebnie się tym martwią. Nie mógł jednak pozbyć się lęku, że wisi nad nim niebezpieczeństwo, które się być może jeszcze powiększy w następnym miesiącu. Dreszcz go przeszedł.

- A czy nie zna pan jakiegoś doktora, do którego by żona mogła pójść - zapytał jeszcze - gdyby nic się nie zmieniło na lepsze? To zbyt poważne dla nas obojga i wolałbym jak najprędzej pozbyć się tego kłopotu.

Powiedział to wszakże w takim zdenerwowaniu, że aptekarz spojrział na Clyde'a podejrzliwie. Młodzieniec ten gotów zgodzić się nawet na niedozwoloną operację, co farmaceuta uważał za coś dużo bardziej zdrożnego niż przyjmowanie preparatów medycznych, mających ten sam cel. Ten młokos wcale pewnie nie jest żonaty, pachnie to aferą uwiedzenia młodej niewinnej dziewczyny. Spoważniał więc i nie mając już ochoty na udzielanie rad odparł chłodno:

- Może i jest taki doktor, ale ja go nie znam. A przy tym nie pośredniczyłbym nigdy w takich sprawach. To jest niedozwolone. Nie tak łatwo zresztą natrafić na lekarza, który by chciał się na to zgodzić. Pan oczywiście może go sobie szukać, może się to uda.

Mówił poważnie, patrząc na Clyde'a badawczym, podejrzliwym wzrokiem i doszedł do przekonania, że lepiej nie mieć do czynienia z takim indywiduum.

Clyde wrócił do Roberty ze świeżym pudełkiem lekarstwa, chociaż ona stanowczo zaprotestowała przeciwko temu. Przecież nie działało wcale, po cóż więc ma je zażywać. Ponieważ jednak nalegał, zgodziła się.

Starał się jeszcze przekonać ją, że cała ta niedyspozycja może być z zaziębienia albo jest nerwowej natury. Roberta jednak, sądząc z

jego tonu, wywnioskowała, że cierpliwość Clyde'a ma się ku końcowi i że widocznie nie zdaje sobie dokładnie sprawy z tego, co jej grozi. Czyżby Clyde nie miał ochoty dłużej się nią opiekować? Cóż ona wtedy pocznie?

Clyde tak łatwo poddawał się różnym nastrojom, iż teraz, usłyszawszy od aptekarza, że należy czekać do następnego miesiąca, mimo obaw o własną przyszłość, mimo że sprawa Roberty wbijała się klinem w jego własne sprawy, gotów był spokojnie, obojętnie przeczekać cały ten miesiąc. Może Roberta się myli. Może zupełnie niepotrzebnie robi się tyle zamętu. Zobaczymy jeszcze, jak podziała nowa doza pigułek.

Niestety, nie było żadnego skutku. Roberta powróciła do pracy. Wymizerowana zasiadła do roboty, która miała być dla niej tym utrudzającym ćwiczeniem fizycznym, ale i to nie pomogło.

Dlaczego Clyde tak łatwo pogodził się z sytuacją? Czy naprawdę sądzi, że w następnym miesiącu coś się zmieni? - myślała z rozpaczą.

Trudno było co prawda wymagać od Clyde'a żeby mógł zrozumieć całą głębię tej sytuacji. Młody, bez pieniędzy, nie uświadomiony niemal, błąkał siępo omacku. Nie rozumiał nawet dokładnie wyrazu "akuszerka", nie wiedział, jak daleko sięga jej kompetencja. Przy tym mieszkał w Lycurgus od niedawna, z Dillardem zerwał i prócz młodych ludzi z towarzystwa nie miał innych znajomości. Trudno zaliczać do znajomych kolegów w pracy, fryzjera i paru kupców. Nie mógł się do nich zwracać w takiej sprawie.

Teraz zajmowało go nowe zagadnienie. Jak dogadać się z doktorem, jeżeli trzeba będzie zasięgnąć jego rady? Niemożliwe przecież, żeby mógł sam udać się do niego, chociażby dlatego, że zanadto jest podobny do Gilberta Griffithsa, za którego często go brano. Taka mistyfikacja nie wyszłaby mu na dobre z pewnością. Poza tym lekarz widząc jego eleganckie ubranie, zedrze z niego cenę wyższą, niż Clyde mógłby zapłacić, i będzie mu niechybnie zadawał kłopotliwe pytania, na które lepiej odpowiedziałaby Roberta osobiście. Najwłaściwiej więc będzie, jeżeli Roberta pójdzie sama.

Tak skromnie i niewinnie wygląda, tak przekonująco przedstawi mu swą sprawę, że łatwiej będzie jej przekonać doktora, tym bardziej teraz, gdy jest tak przygnębiona i zrozpaczona. Właściwie to jej, nie jemu, jak sobie tłumaczył wykrętnie, powinno więcej zależeć na jak najszybszym rozwiązaniu sprawy.

Ale nuż nie potrafi załatwić tego tanim kosztem? Taka teraz jest roztargniona. Gdyby na przykład chciała powiedzieć, że została uwiedziona przez człowieka, którego nazwiska nie może wyjawiać, to doktor, widząc jej młodość, jej opuszczenie, nie odmówiłby chyba swej pomocy. Może by nawet darmo jej to zrobił. No! Wtedy nareszcie Clyde miałby rozwiązane ręce.

Wybrał się więc znowu do Roberta, aby ją do tego przygotować. Może wynaleźć jej lekarza, ale swoją sprawę musi sama mu przedłożyć.

Nie zdążył jeszcze rozpocząć, gdy Roberta zapytała, czy nie pomyślał o jakimś innym wyjściu z tego położenia. Może gdzie indziej znajdzie się na to jakiś środek.

Korzystając z tego odpowiedział:

- Pytałem się w kilku składach, ale powiedziano mi, że jeżeli jeden środek nie podziałał, inne też nie będą skuteczne. Nie widzę więc innego wyjścia, jak tylko to, że musisz iść do doktora. Tylko cała rzecz w tym, że trudno takiego znaleźć, który potrafiłby to zręcznie i dyskretnie wykonać. Pytałem się już paru osób o to, nie mówiąc oczywiście o kogo chodzi, ale lekarzom niewygodna jest taka sława z obawy przed odpowiedzialnością. To jest niedozwolone, musisz chyba wiedzieć o tym. Ale przypuśćmy, że znajdę takiego, czy zdobędziesz się na tyle odwagi, żeby pójść do niego i powiedzieć mu, o co chodzi. Co, jak ci się zdaje?

Spojrzała na niego zdumiona, nie pojmując dokładnie o czym mówi, nie domyślając się nawet, jak bardzo mu zależy, aby sama tam poszła, była bowiem przekonana, że pójdzie z nią razem. Myśląc więc o wizycie u doktora, zawołała:

- O, mój Boże, ależ to okropne zwierzać się z tym lekarzowi!

Będzie wiedział o nas wszystko. Taka operacja jest przecież niebezpieczna, chociaż myślę, że nie gorsza od tych pigulek.

Chciała się dowiedzieć, jak to się odbywa, lecz Clyde nie umiał jej objaśnić.

- Zdaje mi się, że niepotrzebnie się boisz - odrzekł. - Sądzę, że to chyba nawet nie będzie bolało. Ale bądźmy zadowoleni, jeżeli uda nam się znaleźć takiego doktora. Chciałem tylko wiedzieć, czy, jeżeli go wyszukam, zgodzisz się pójść do niego sama.

Drgnęła jak pod ciosem, lecz on niewzruszony ciągnął dalej:

- Wiesz, jakie jest tutaj moje położenie, rozumiesz chyba, że nie mogę iść z tobą. Zanadto jestem tu znany, a przy tym zbyt podobny do Gilberta, którego tu zna każdy bez wyjątku. Mogłaby zajść omyłka, a w każdym razie wzięto by mnie za niego. Dopiero byłaby heca!

W jego oczach malowała się nie tylko nikczemna obawa o swą opinię w Lycurgus, poza tym taił się cień wstydu, jak podłą rolę odgrywa wobec dziewczyny, chowając się za nią z obawy wykrycia. Tak bardzo jednak się lękał, że postanowił stanowczo utrzymać się w tej roli, cokolwiek by Roberta o tym myślała. Bo cóż on pocnie ze sobą, jeżeli i to się nie uda?

Roberta zrozumiawszy, o co mu chodzi, zawołała z przerażeniem:

- Och, Clyde! Nie sama!... Nie! To niemożliwe! O, Boże! Nigdy... nigdy! Będę się bała okropnie! O, mój najdroższy! Nie żądaj tego ode mnie! Nie wiedziałabym nawet, co robić ze strachu. Pomyśl tylko, jak ja mu to wytłumaczę!... Nie potrafię, doprawdy nie potrafię... Co ja mam powiedzieć... Od czego zacząć?... Musisz ze mną pójść, powiedzieć mu, o co chodzi, w przeciwnym razie nie pójdę wcale... Niech się dzieje, co chce!

Od pewnego czasu żyła w ciągłej obawie czegoś strasznego, nieuniknionego. Na twarzy miała wypieki, serce biło nierównym tętnem. Tyle już przeżyła!

Clyde wszakże nie wzruszył się tym wcale.

- Berti, wiesz przecież, w jakim jestem położeniu. Ja pójść nie mogę, a teraz tylko to jedno nam pozostało. Niech mnie poznają, pomyśl tylko... co wtedy? Wiesz przecież, jak wszędzie jestem znany. Pod żadnym pozorem nie mogę iść. A przecież tobie będzie to łatwiej wytłumaczyć niż mnie. Doktor nie zdziwi się wcale, gdy cię zobaczy samą. Będzie wiedział, że jesteś w kłopotcie i że nie masz nikogo, kto by się tobą zajął. A jeżeli ja pójdę, każdy będzie wiedział, że chodzi o Griffithsów, i diabli wiedzą, ile by to kosztowało. Taki doktor będzie myślał, że mam kabzę nabitą pieniędzmi. A gdybym nie mógł tyle zapłacić, ile zażąda, gotów pójść do mego stryja albo do Gilberta. Ot, i koniec z wszystkim! Koniec ze mną, a jeżeli stracę tu posadę, pozostanę bez pieniędzy, ze skandalem na karku i gdzie się wówczas podzieję?...

a i ty

także? Nie spodziewaj się wtedy żadnej opieki ode mnie. W jaki sposób mógłbym się tobą opiekować? Zrozum tylko, co ty mi proponujesz? Moje nazwisko nie może być w to wmieszane, bo dla nas obojga byłoby to niebezpieczne. Trzeba z tego kłopotu wybrnąć za wszelką cenę, a na to jedynie doktor poradzi. A teraz przyznaj, że taki człowiek będzie miał większe współczucie dla ciebie niż dla mnie.

Oczy miał zrozpaczone, a z każdego ruchu wyzierała determinacja, twarda stanowczość i prawie wyzwanie. Był zdecydowany bronić swej opinii wszelkimi środkami. Roberta teraz rozumiała to doskonale i zgadzała się z tym.

- Boże! Boże! - szeptała zdenerwowana, z wielkim smutkiem. - Jakże ja to zrobię? Nie mogę! Nie potrafię! To okropne... straszne! Taki wstyd!... Będę się bała iść sama!

Wymawiała te słowa coraz ciszej, bo już rozumiała, że powinna, że musi iść sama. Bo cóż innego pozostaje? Czy może narazić go na niebezpieczeństwo znając jego przekonania i obawy?

Tymczasem Clyde mówił dalej, jak gdyby we własnej obronie:

- Nie wiem nawet, jak sobie poradzę, chyba że to nie będzie drogo kosztowało. Tak niewiele zarabiam... wiesz przecie, że mam tylko dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo. - Był już zmuszony mówić szczerze z Robertą. - A nic jeszcze nie oszczędziłem... Ani jednego centa. A dlaczego, sama wiesz dobrze. Większą część tych pieniędzy wydaliśmy razem. Gdybyśmy więc poszli oboje, doktor myślałby, że jestem dość zamożny, i mógłby zażądać więcej, niż jestem w stanie zapłacić. Ale jeżeli ty pójdziesz i powiesz szczerze o wszystkim, a jeszcze możesz dodać, że porzuciłem cię albo coś podobnego...

Zamilkł zauważywszy na twarzy Roberty błysk wstydu, wzgardy, rozpacz, że tak otwarcie mówi o sobie, że może przypisywać sobie tak podłe, nędzne intencje. Mimo jednak jego przebiegłych, mętnych wykrętów tak zniewalająca była konieczność jakiegokolwiek działania, że nawet przyznała mu rację. Być może stawiał ją przed sobą jako tarczę, zasłaniał się nią, chciał się ukryć, mimo jednak całej tej hańby istniał nagi, dojmujący jak sztylet wbity w ciało, fakt, który zrodził tę przemożną złowrogą konieczność.

- Nie powinnaś podawać własnego nazwiska - mówił dalej - ani miejsca zamieszkania. Ja tymczasem szukać będę doktora, ale w każdym razie nie tutaj. A jeżeli tylko powiesz mu, że nie masz pieniędzy, że zarabiasz bardzo mało...

Siedziała bezwładnie, a jego przekonywające wykręty z wolna trafiały do jej duszy. Bo jakkolwiek na fałszywym gruncie cały plan był zbudowany, sama rozumiała, jak rozpaczliwe było położenie obojga. Mimo uczciwej z gruntu natury i zupełnej nieumiejętności kłamania, musiała pojąć, że znaleźli się w takim odmęcie rozhukanych fal strasznej a nieuniknionej niedoli, że nie mogli się już kierować kompasem moralności, która raz porzucona, na nic by się nie przydała w tym wypadku.

Postanowili więc, że Clyde wyszuka jakiegoś doktora w Albany albo w Utica i Roberta pojedzie sama do niego.

Wyczerpawszy całkowicie temat oboje zamilkli. Clyde, chociaż nie

bardzo z siebie zadowolony, cieszył się z ostatecznych wyników rozmowy i tylko zaczął się namyślać, gdzie i w jaki sposób ma szukać tego lekarza. O, wtedy pozbędzie się już wszelkich obaw, ustaną nareszcie jej wszelkie pretensje do niego, będzie wiedziała, że zrobił dla niej wszystko, co tylko mógł zrobić, a on podąży ku promiennej przyszłości.

Rozdział XXV

Tymczasem upływały godziny, dni, tydzień, wreszcie dziesięć dni, a Clyde nie wiedział nawet, jak się do tego zabrać. Dużo się o tym mówiło, kombinowało, a jednak trudno było powziąć decyzję, do którego ma się zwrócić doktora. A z każdą godziną sytuacja stawała się coraz groźniejsza, tak dla niej, jak i dla niego. Mizerna twarzyczka Roberty, jej pełne niepokoju pytania zdradzały, w jakim lęku i rozpaczycy żyje ta dziewczyna. Clyde sam już był zdenerwowany własną nieudolnością.

Gdzie też mieszka taki lekarz do którego mógłby się udać i w ten sposób pozbyć się troski? Gdzie go szukać?

Wreszcie, przypominając sobie wszystkie znane mu osoby, Clyde wpadł na myśl, żeby zwrócić się do Orrina Shorta. Był to młody człowiek, który miał niewielki magazyn, gdzie zamożna młodzież zaopatrywała się w elegancką męską konfekcję. Orrin Short był prawie w wieku Clyde'a i podobnych zdaje się zapatrywać. Niejednokrotnie służył mu radą w kwestiach stroju i mody. Był energiczny, inteligentny, przenikliwy, taktowny, a ponieważ był bardzo przystojny, miał więc wielkie powodzenie u kobiet. Przy tym uprzedzająco grzeczny dla swych klientów, zwłaszcza dla tych, którzy należeli do wyższej sfery, a do tej właśnie zaliczał i

Clyde'a, wiedząc, że Clyde należał do rodziny możnych Griffithsów. Short uważałby za wielki zaszczyt, gdyby mógł się zbliżyć do tego obiecującego młodzieńca. Dotychczas jednak niezupełnie mu się to udawało, bo właśnie dzięki temu pokrewieństwu Clyde nie mógł znajomości takiej zacieśnić. Teraz jednak widząc Shorta tak chętnym w udzielaniu różnych rad, Clyde gotów był zniwelować pewne różnice towarzyskie i dążył z wolna do ściślejszej zażyłości, co Short przyjął z wielkim taktem. Ani razu nie okazał się natrętny, ani nie objawiał przesadnej radości. Między więc nielicznymi znajomymi Short był jedynym człowiekiem, do którego Clyde mógł się zwrócić po potrzebne mu informacje.

Przechodząc dwa razy dziennie koło magazynu Shorta, Clyde kłaniał mu się teraz z uprzejmym uśmiechem. Po trzech dniach utorowawszy sobie w ten sposób drogę, wstąpił do magazynu nie będąc pewny, czy za pierwszym razem uda mu się poruszyć ten drastyczny temat.

Miał zamiar opowiedzieć mu historię pewnego młodego człowieka pracownika warsztatów Griffithsa, który zwrócił się do Clyde'a z dziwną prośbą o jeszcze dziwniejszą radę, a mianowicie: ożenił się niedawno i ku wielkiemu niezadowoleniu dowiedział się, że grozi mu powiększenie rodziny, z czego wcale nie był rad, gdyż żona jego pracowała. Chciał więc się dowiedzieć od Clyde'a, czy nie zna jakiego doktora, który by na to zaradził. Miał jeszcze Clyde dodać, że ten młody człowiek nie odznacza się zbyt dużą inteligencją, jest nieśmiały i niezaradny i nie bardzo dobrze wie, jak ma się do tego zabrać. Clyde bardzo się zdziwił, bo sam tak od niedawna tu mieszka i nikogo prawie nie zna, trudno więc, żeby mógł mu służyć taką informacją. Musi jednak dobrze wbić w głowę Shortowi, że Clyde dlatego nie jest zdolny do podobnej rady, gdyż sam nie był i nie może być w podobnym położeniu. Powie dalej, że poradził mu, żeby kupił jakiś preparat medyczny. Młody żonkoś usłuchał, ale na nieszczęście środek ten wcale nie podziałał. Trzeba więc mu poradzić coś innego - może jakiegoś doktora. Clyde wie że Short już tu dawniej mieszka, że przybył tu z Gloversville, niepodobna więc, żeby nie słyszał o jakimś lekarzu. A żeby odwrócić podejrzenie od siebie, Clyde miał zamiar dodać, że chciał się spytać o to kolegów, ale sytuacja taka wydała mu się śmieszna, gdyż ktoś mógłby podejrzewać jego samego o taki kłopot, nie chciał

więc narażać się na gadaniny ludzkie. Wie jednak, że pan Short należy do ludzi bardzo dyskretnych i dlatego zwraca się do niego.

Taki sobie ułożył plan działania.

Short zawsze odznaczał się dobrym humorem, a dziś był w jeszcze lepszym, może dlatego, że udała mu się pewna korzystna transakcja, a może dlatego, że zobaczył u siebie Clyde'a, którego bardzo cenił; zobaczywszy go więc wchodzącego do sklepu zawołał:

- Aa! dzień dobry panu! Jak to dobrze, że pan przyszedł!

Właśnie myślałem o panu, bo chciałem pokazać nowy towar. Jakże tam idzie panu w pracy?

Clyde tak był zajęty własnymi myślami, że nie interesował się dostatecznie nowym towarem. Kiedy indziej bardzo byłby zadowolony z takiej propozycji. Udał wszakże zaciekawienie.

- Tak? A, to doskonale! Nie mam nic przeciwko temu. Z przyjemnością zobaczę.

Zaczął przebierać nerwowymi palcami krawaty, zawieszzone na niklowym pręcie. Tymczasem pan Short wy dostał z półki kilka pudeł, ułożył je na szklanej ladzie i wołał:

- Niechże pan nie patrzy na tamte! Te oto są pierwszorzędnej klasy. Panie Griffiths, niech no pan te obejrzy... Właśnie świeżo nadeszły... Dostałem je z Nowego Jorku.

A wyjmując kartony, zawierające po pół tuzina, mówił:

- Ciekaw jestem, czy pan takie gdzie indziej znajdzie? Jestem pewien, że nie!

Patrzył na Clyde'a uśmiechniętymi oczyma i szczerze pragnął, aby ten młody człowiek, tak ustosunkowany, zechciał być jego przyjacielem. Od razu uzyskałby dobrą klientelę.

Clyde przeglądał krawaty w milczeniu, bo czuł się w niemałym kłopotcie, jak naprowadzić rozmowę na swoją sprawę.

- Rzeczywiście śliczne - odpowiedział obracając krawaty na wszystkie strony. Wiedział, że innym razem chętnie by tym się zabawiał i z przyjemnością kupiłby parę. - Może wezmę sobie ten... i jeszcze ten...

Wyciągnął dwa i podniósł je, myśląc ciągle nad tym, jak rozpocząć. Po co on właściwie kupuje te krawaty? Po co czas mitręży, kiedy przyszedł w ważniejszej sprawie. Teraz będzie trudno... bardzo trudno! Musi to jakoś zrobić, ale nie tak zaraz. Zacznie na razie o czym innym, żeby nie wzbudzić podejrzania. Zażąda skarpetek... Tylko po cóż mu one, wcale ich nie potrzebuje. Otrzymał dopiero co od Sandry tuzin chusteczek, kilka kołnierzyków, krawatów i skarpetek. Czuł jakiś uścisk w dołku już na samą myśl, że ma o tym mówić, bał się, że nie potrafi powiedzieć swobodnie i lekko. To taka zdradziecka i podejrzana materia... łatwo się narazić. Nie zdobędzie się chyba na odwagę, żeby tu przyjść po raz drugi i rozmówić się z Shortem, a przy tym, czy trafi się taka dogodna okazja?

Short tymczasem poszedł w głąb sklepu, potem wrócił z miłym prawie przymilnym uśmiechem i zagadnął:

- Widziałem pana we wtorek, idącego do Finchleyów. Było już koło dziewiątej. Piękny dom posiadają, co?

Clyde spostrzegł, że Short niezmiernie cenił znajomość z nim jako przedstawicielem sfer arystokratycznych. Dziś zauważył w zachowaniu Shorta całe morze podziwu a nawet odrobinę serwilizmu i zaraz nabrał otuchy, wiedząc, że cokolwiek mu teraz powie, wszystko będzie przyjęte z należytych respektem.

Oglądając więc skarpetki, spośród których wybrał jedną parę dla odwrócenia uwagi, zagadnął:

- Ale... byłbym zapomniał... Chciałbym się pana w czymś poradzić.

Może mi pan powie, co mam z tym zrobić. Jeden z naszych pracowników fabrycznych... młody jeszcze chłopiec, który bardzo niedawno się ożenił... coś ze cztery miesiące temu... ma wielkie zmartwienie...

Zatrzymał się. Nie wiedział, czy ma ciągnąć dalej, bo wyraz twarzy Shorta zmienił się lekko. Ale tyle już powiedział, że nie mógł przerwać. Roześmiał się więc nerwowo i dodał:

- Nie mam pojęcia, dlaczego oni wszyscy zwracają się z kłopotami tylko do mnie, wydaje im się, że na wszystko potrafię znaleźć radę... - Roześmiał się znowu. - Ale już o takich sprawach nie mam zielonego pojęcia i nie poradzę nic a nic. Pan jednak mieszka tu nieco dłużej, więc przyszło mi na myśl, żeby zapytać pana.

Mówił to z całą swobodą, na jaką mógł się zdobyć, a jednocześnie był pewien, że brak mu tej swobody i że Short będzie go uważał za wariata albo dziwaka.

Lecz Short jakoś niezmiernie szybko się domyślił, o co mu chodzi, jakkolwiek zdziwił się trochę, że Clyde się z tym zwraca do niego. Zauważył już skrępowanie i zdenerwowanie swego klienta, zadowolony był jednak, że chociaż sprawa to nieco może śliska, ale pozwalała mu zbliżyć się do tego obiecującego młodzieńca i pozyskać jego zaufanie. Więc z wielką uprzejmością zapytał życzliwie:

- O, panie Griffiths, jeżeli tylko w czymś panu pomogę, będę niezmiernie z tego zadowolony. Więc o co chodzi?

- Ano właśnie - odrzekł Clyde niemąłą czując ulgę spostrzegłszy taką gotowość. Zniżył jednak głos dając tym do zrozumienia, że jest to sprawa dyskretna. - Żona jego jest już od dwóch miesięcy w poważnym stanie, on jednak nie może pozwolić sobie na dziecko, a nie wie, jak się z tego wywikłać. Już w zeszłym miesiącu zwracał się z tym do mnie. Poradziłem mu wtedy, żeby kupił jakiś skuteczny medykament.

Miało to przekonać Shorta, że Clyde dawał rady, na jakie go stać było, bo o niczym więcej nie mógł wiedzieć.

- Mam jednak wrażenie, że kupił coś niewłaściwego i teraz jest wprost przerażony tą sytuacją. Prosił mnie więc, żebym mu polecił jakiegoś doktora. Niestety, na to już nic poradzić nie mogę. Nie znam tu nikogo, bo sam niedawno przyjechałem. Gdyby to było w Kansas City albo w Chicago - wtrącił dla pewności - wiedziałbym, co robić. Sam tam znałem paru doktorów - uśmiechnął się przebiegle. - Ale tu... to zupełnie co innego. Nie mogę przecież zwracać się z tym do swych znajomych, bo co by sobie pomyśleli o mnie? Przyszło mi jednak na myśl, że pan ma tu przecież więcej znajomości niż ja i może coś poradzi... Tak mi żal tego chłopaka...

Zatrzymał się. Twarz jego tchnęła teraz większym zaufaniem niż z początku, bo widział w obliczu Shorta zachętę i zainteresowanie.

Short istotnie, jakkolwiek bardzo zdziwiony tym zwierzeniem, gotów był mu pomóc.

- I pan powiada, że to już trwa dwa miesiące?

- Tak.

- A to lekarstwo, które mu pan doradził, nie działało wcale?

- Wcale.

- Czy żona jego brała je i przez drugi miesiąc?

- Tak.

- Hm, to źle... Zdaje się, że niedobrze z nią. To bieda, że i ja nie mieszkam tu od dawna. Kupiłem ten sklep zaledwie przed rokiem. Przedtem mieszkalem w Gloversville...

Zamilkł spostrzegłszy, że wchodzenie w takie detale nie jest wcale potrzebne, ale po chwili mówił dalej:

- Widzi pan, takie sprawy nie są rzeczą łatwą, gdziekolwiek to się

zdarzy. Nigdzie doktorzy nie mają ochoty narobić sobie kłopotu. Coś podobnego już raz obito mi się o uszy, ale to była sprawa jakiejś dziewczyny: Lekarz ten nie mieszka tutaj. Była to panna z dobrej rodziny, a jej uwodziciel był doskonale znany. Nie wiem, czy doktor zechce coś zrobić dla nieznajomego, chociaż... co mu to szkodzi. Wiem, że takie rzeczy się zdarzają, więc i ten pański kolega może spróbować. Tylko jeżeli pójdzie do tego lekarza, proszę, żeby nie wspominał o mnie i nie mówił, kto go przysłał. Zanadto jestem tu znany i nie chciałbym być zamieszany w tę historię, która może przybrać ostatecznie zły obrót. Pan chyba to rozumie...

Clyde, pełen wdzięczności, zapewnił gorąco:

- Ależ może pan być pewny, że kolega będzie to doskonale rozumiał. Powiem mu, żeby w ogóle nie wspominał o nikim.

Dowiedziawszy się nazwiska doktora wyjął notes i ołówek i zapisał, bojąc się, by tak ważna informacja nie wyleciała mu z pamięci.

Short dostrzegł rozradowanie na jego twarzy i obudziła się w nim wątpliwość, czy istotnie chodzi tu o kolegę Clyde'a, wyglądało o wiele prawdopodobniej, że to sam Clyde jest w takiej opresji. Czyżby tak gorąco przejmował się losem swego kolegi czy podwładnego? Zadowolony był, że mógł usłużyć Clyde'owi, a jednak myślał, jaka to byłaby ciekawa ploteczka, tym bardziej gdyby w przyszłości mógł dodać jeszcze do tego swoje szczegóły. Czyż taki Clyde byłby na tyle nierozsądny, żeby zadawać się z jakimś robociarzem i martwić się jego kłopotami? Najpewniej chodzi o jakąś dziewczynę, która narobiła mu kłopotu. Mimo to jednak powtórzył raz jeszcze nazwisko doktora, określił dokładnie miejscowość, stację i jego dom.

Clyde, otrzymawszy takie pożądane informacje, podziękował i wyszedł, kupiec zaś długo spoglądał za nim podejrzliwie i z wesołym uśmiechem.

Bujna krew! myślał. To ci pomysł, żeby z tym zwracać się do mnie. Tyle ma tu znajomości, tyle bywa i nie umie nikogo lepszego

znaleźć ode mnie. Ale może właśnie dlatego obawia się pytać o to tych ludzi. Ciekawe, kogo on tak urządził... Może tę małą Finchleyównę. Czyż to niemożliwe?... Ciągłe kręci się koło niej, a ona tak mile patrzy na niego... Ale czyżby to było możliwe...

Rozdział XXVI

Nareszcie uzyskał pożądaną informację. Uspokoił się jednak na krótko. Dla Clyde'a i Roberty było to ważne, gdyż był to ich ostateczny ratunek, lecz teraz jeszcze należało wysłać Robertę samą do doktora.

Musiał też wymyślić dla niej jakąś historię, w której sam nie grałby żadnej roli, a zapewnił jej sympatię doktora. Może wtedy za małą opłatą albo nawet za darmo wykonałby ten zabieg.

Roberta jednak nie zamierzała się wcale opierać. Zgodzi się już na wszystko. Wiele przemyślała siedząc samotnie w swym pokoiku. Postępowanie Clyde'a od samego Bożego Narodzenia nasuwało jej tyle strasznych myśli, że pragnęła jak najspieszniej wywikłać się bez skandalu z tego straszego położenia i, mimo że byłoby to dla niej bolesne, zerwać z nim zupełnie. Czuła wyraźnie, że nie kocha już jej wcale, że nie chce mieć z nią nic wspólnego, więc gotowa jest zastosować się do jego życzenia. Niech sobie idzie... Ona pójdzie swoją drogą. Da sobie radę i bez niego, jeżeli tylko pozbędzie się swej hańby. Tak, postanowiła to sobie, zrozumiała już, że szczęśliwe dni nigdy już nie powrócą. Zasłoniła dłońmi oczy, zakrywając łzy spływające bezwiednie. Tak oto kończą się jej marzenia...

Gdy po rozmowie z Shortem zjawił się u niej, pełen uciechy, że

udało mu się zdobyć tak dobre informacje, Roberta wysłuchała relacji z zainteresowaniem i zapytała:

- A czy wiesz dobrze, gdzie on mieszka? Czy trzeba będzie pojechać dorożką, czy można pójść bez wielkiego zmęczenia?

A gdy jej wyjaśnił, że doktor mieszka niedaleko Gloversville, a właściwie na przedmieściu, że przystanek jest o jakieś ćwierć mili od jego domu, zapytała jeszcze:

- Czy go zastanę wieczorem, czy trzeba będzie pójść w dzień? Lepiej byłoby wieczorem... Po co narażać się na to, by miał nas tam kto zobaczyć. - A będąc pewna, że Clyde wszystkiego dowiedział się od Shorta, pytała jeszcze: - Nie wiesz, czy on stary, czy młody?

Wolałabym, żeby był stary. Łatwiej wytłumaczyłabym mu wszystko. Do nas zwykle przychodził taki stary doktor i zupełnie swobodnie mówiłam mu o wszystkim.

Clyde nie wiedział. Nie przyszło mu na myśl, by się o to spytać, ale chcąc ją uspokoić powiedział, że doktor jest w średnim wieku.

Następnego wieczora oboje wyjechali oddzielnie do Fonda, gdzie musieli się przesiąść. Na jednej ze stacji, już w pobliżu miejsca zamieszkania doktora, wysiedli i udali się pieszo drogą, teraz w pełni zimy zasłaną dobrze ubitym śniegiem, po którym szło się wygodnie i szybko. Wycieczka ta nie ożywiła ich gasnącej miłości. Niegdyś o, nawet bardzo niedawno, jakże Clyde byłby rad takiej sposobności... Otoczyłby ją ramieniem, prowadził przy sobie i opowiadał o wszystkim, co mu się zdarzyło w biurze. Mówiłby o panu Liggetcie, o stryju, o plotkach, krążących w warsztatach, projektowałby wspólne rozrywki, snuł plany przyszłości, tyżące się ich obojga... a teraz... A właśnie teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała jego pomocy i życzliwego oddania.

Clyde, zdenerwowany w najwyższym stopniu, zajęty był jedynie myślą, czy Roberta nie zawróci z drogi z obawy przed doktorem, czy zjawiwszy się sama u niego powie wszystko, jak należy, i przekona

go, że powinien się zająć nią przez samą sympatię, a przynajmniej za minimalne wynagrodzenie.

- Cóż, Berti? jakże się czujesz? czy ci nie zimno w nogi? Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze. Taki doktor na pewno nie pierwszy raz takie rzeczy robi. Zresztą wiem o tym na pewno. A ty ze swej strony musisz pamiętać tylko o tym, że masz powiedzieć o swym strasznym położeniu, że nie wiesz, jak wybrnąć z tego, że liczysz tylko na niego, bo nie masz się do kogo zwrócić, a nawet gdybyś miała, to w tym stanie nie możesz się do nikogo udać. Rodzina się ciebie wyprze. A gdyby się spytał, gdzie ja jestem albo kto jestem, powiedz, że mieszkałem tutaj, ale wyjechałem. Możesz podać jakiegokolwiek nazwisko, ale pamiętaj, że wyjechałem i ty nie wiesz dokąd. Porzuciłem ciebie... Możesz także powiedzieć, że przysłałaś do niego dlatego, że słyszałaś od kogoś, że dopomógł pewnej kobiecie będącej w takim samym położeniu. Ale tak kieruj rozmową, by mu się nie zdawało, że możesz wiele zapłacić, bo jeszcze by ci wystawił taki rachunek, że nie dałbym rady, chyba rozłożyłby to na raty.

Clyde był tak zdenerwowany, tak pragnął za wszelką cenę wyuczyć wszystkiego Robertę, natchnął ją odwagą i energią, że nie zdawał sobie sprawy, ile niedelikatności było w jego słowach. Słyszając to wszystko Roberta jasno pojmowała, że sama musi ponieść konsekwencje ich związku, że Clyde chce wyraźnie ukryć się poza nią i o niczym innym nie myśli, tylko o sobie, pragnąc wykręcić się od wszystkiego jak najmniejszym kosztem i bez kłopotu.

A jednak mimo wszystko jakże mocno kochała jeszcze tę jasną twarz, smukłe, delikatne ręce, nerwowe gesty... Rozumiała, że podsycił jej odwagę do czynu, do którego wykonania sam nie miał siły, nie miała jednak o to do niego żalu. Puszczając mimo uszu jego rady, gdyż postanowiła co innego. Nie będzie go oskarżała przed doktorem, po co ma ją uważać za istotę upadłą, byłoby to zbyt przykre i bolesne, powie mu, że jest mężatką, że jej mąż nie ma jeszcze środków na utrzymanie dziecka, jednym słowem opowie tę samą historię, którą Clyde opowiedział aptekarzowi w Schenectady. Clyde jej nie rozumie zupełnie. A ponieważ nie pójdzie z nią razem

do doktora, więc będzie jej łatwiej.

Czując jednak iście kobiecą potrzebę jakiejś moralnej podpory zwróciła się do Clyde'a, ujęła jego ręce i patrzyła na niego pragnąc, aby ją przytulił, aby przekonał, że będzie wszystko dobrze, żeby się nie bała...

W sercu Clyde'a nie było już miłości. Wyczytał jednak w jej twarzy tyle uczucia i dawniejszej wiary w niego, że uwolnił ręce z jej dłoni, objął ją i uścisnął gorąco, aby tylko dodać jej odwagi.

- Idź już, Berti. Już wiesz, co masz mówić, prawda? Czy panujesz nad sobą dostatecznie? Zobaczysz, że jak znajdziesz się u doktora, to nie będzie takie trudne. Z pewnością... Teraz idź, zadzwoń, a jak ci otworzą, powiedz, że chcesz się widzieć z doktorem na osobności. On od razu zrozumie, o co chodzi i sam nawet ułatwi ci rozmowę.

Obdarzał ją jeszcze innymi podobnymi radami, ona zaś odsunęła się nagle od niego widząc ten brak przejęcia się jej położeniem, naprawdę rozpaczliwym w tej chwili.

- Poczekasz na mnie, prawda? Nie oddalisz się stąd bardzo? Przecież niedługo wrócę.

Powiedziawszy to weszła w bramę, tonącą w cieniu nocy i wbiegła na ścieżkę, wiodącą do domu lekarza. Na dźwięk dzwonka drzwi otworzył sam właściciel.

Doktor Glenn wbrew przewidywaniom Shorta i Clyde'a był typem konserwatywnego małomiasteczkowego lekarza. Był poważny, przezorny, moralny, lekko religijny, o przekonaniach, które uważał za liberalne, a które, ktoś istotnie liberalny uważałby za ciasne i zacofane. Dzięki jednak ignorancji ludzi, mających z nim do czynienia, mógł uważać się nawet za uczonego. Stykając się często z głupotą, z nieuświadomieniem, rzadziej z trzeźwym sądem, energią, nie trzymał się uparcie własnego zdania, umiał przystosować się i do ludzkich pojęć. Był to niski, krępy jegomość z wielką okrągłą głową i ciekawymi rysami twarzy, o bystrych

żywych oczach, miłych ustach i sympatycznym uśmiechu. Krótkie, szpakowate włosy zaczesywał z czoła z nieco wiejską kokieteryą. Miał już pięćdziesiąt osiem lat, był żonaty, miał troje dzieci, jeden z synów studiował medycynę i miał objąć praktykę ojca.

Wpuściwszy Robertę do poczekalni bardzo pospolicie urządzonej, poprosił ją, aby poczekała, zanim zje obiad. Po chwili ukazał się we drzwiach gabinetu, również pospolicie urządzonego, gdzie stało biurko, dwa krzesła i kilka medycznych instrumentów. Zaprosił ją tam i podsunął krzesło.

Patrząc na jego siwe włosy, energiczny, stanowczy wyraz twarzy i mrugające oczy Roberta struchlała zupełnie, jakkolwiek nie zrobił na niej nieprzyjemnego wrażenia, jak się tego obawiała. Zadowolona była, że jest już niemłody i że wydawał się mądry, a chociaż nie budził w niej zaufania, może jakoś sobie z nim poradzi. Patrzył na nią przez chwilę ciekawie, jak gdyby chciał sobie przypomnieć, czy to nie jest ktoś z sąsiedztwa.

- Z kim mam przyjemność mówić i czym mogę służyć? - zapytał.

Głos miał niski, łagodny, co Roberta z przyjemnością zauważyła. A więc nadeszła chwila, w której musi wyznać haniebną prawdę. Przerazona tym siedziała utkwivszy w nim oczy, potem je spuściła, nerwowo bawiąc się saszetką trzymaną w ręku.

- Właśnie... - zaczęła naraz, zdradzając dławiający ją strach - przyszłam... przyszłam... i nie wiem, czy... czy panu mogę o sobie powiedzieć... Już zdecydowałam się... zanim tu weszłam... ale teraz, kiedy pana zobaczyłam...

Zamilkła i odsunęła się z krzesłem, jak gdyby miała zamiar wstać, ale w tej chwili dodała:

- O, Boże, jakie to okropne! Cała się trzęsę...

- Uspokój się, moje dziecko - przemawiał do niej łagodnym tonem, pociągnięty jej miłym, skromnym wyglądem, dziwiąc się, czym mogła się tak przerazić ta miła osóbka, a zarazem ubawiony jej

wyrażeniem: "Teraz, kiedy pana zobaczyłam..." - A więc kiedy mnie pani zobaczyła - powtórzył po niej - złąkla się pani mnie, prawda? Jestem zwykłym wiejskim doktorem i mam nadzieję, że nie jestem tak straszny, jak sobie pani to wyobraża. Proszę się nie obawiać i powiedzcie mi wszystko o sobie, jeżeli będę mógł coś dla niej uczynić, zrobię to na pewno.

Naprawdę jest bardzo miły - pomyślała teraz Roberta, ale taki przyzwoity i spokojny, więc na pewno się zgorszy, gdy usłyszy, co mu powie. I co wtedy? Czy zechce jej pomóc? A jeżeli zechce, jakże to będzie z pieniędzmi, bo przecież o to najbardziej chodzi. Ach, żeby tu był Clyde albo ktokolwiek inny i opowiedział za nią wszystko! Bo kiedy już przyszła, musi zacząć mówić, teraz nie może przecież wyjść.

Kręciła się więc na krześle, trzymała w palcach guzik od płaszcza i obracała go między palcami. Wreszcie, jękając się, zaczęła znowu:

- Właśnie... pan doktor może nawet nie wie... że to zupełnie... zupełnie coś innego... Ja... ja... dobrze...

Znowu zamilkła nie mogąc wykrztusić dalej ani słowa, czerwieniąc się i blednąc naprzemian. Patrząc na to zmieszanie, na jej skromność, na jej niewinne oczy, białosc czoła, spokojne gesty i przyzwoite ubranie, doktor nie mógł pogodzić się z myślą, że jest to jedna z tych istot, które starają się przekonać lekarza o swej niewinności i niedoświadczeniu w sprawach stosunków miłosnych, a co zupełnie naturalnie objawia się w każdej młodej nie zepsutej istocie. Miał już rozpocząć zwykłe swe badania, które bez wahania zawsze stosował, lecz ujęty urokiem Roberty, a może własne jej myśli przeniknęły w jakiś sposób w jego komórki mózgowe, dość że przyszło mu na myśl, czy się nie myli. A może to jest wypadek, który nie ma nic wspólnego z niemoralnością i nielegalnością? Osoba ta jest tak młoda, zdrowa i ładna, a że straciła kontenans, to nic dziwnego, mogło przecież zdarzyć się jej to, co przytrafia się czasem najbardziej cnotliwie wyglądającej pannie. Zwykle bywa to bardzo kłopotliwe dla doktorów. Miał charakter łagodny i nie umiał, a nawet nie próbował ostro albo dokuczliwie traktować swych

pacjentek. Bywały to przeważnie uwiedzione dziewczęta, opłatanе w niebezpieczne sidła, a więc stojące poza prawem, które oczywiście zwracało się przeciw nim. Zwykle oburzenie kierował przeciw tym nicponiom, którzy zawsze gotowi byli do wykorzystania kobiety, nie chcąc jednak ponosić dalszych konsekwencji, odmawiając spełnienia obowiązku małżeństwa. W miejscowości tej, gdzie praktykował już od dziesięciu lat, mieszkały przeważnie rodziny o surowych religijnych i moralnych zasadach, a jednak często zdarzało mu się otaczać opieką młode panny z najlepszych rodzin, którym pomagał w rozmaity sposób wyplątać się ze skutków ich szaleństwa. Nigdy jednak nie chciał w tych wypadkach stosować swej wiedzy ani chirurgicznej zręczności. Było to zbyt niebezpieczne. Zazwyczaj doradzał bezwzględnie natychmiastowe małżeństwo. Nawet jeżeli uwodziciel umknął i małżeństwo nie mogło przyjść do skutku, nie chciał nigdy wykonać żadnego zabiegu chirurgicznego. Sądził, że to jest niebezpieczne zarówno dla pacjentki jak i dla doktora, że jest złem społecznym i etycznym i pachnie kryminałem.

Patrzył więc teraz na Robertę powściągliwie. Stanowczo nie pozwolił się wzruszyć i wciągnąć w jakąś nielegalną sprawę. Aby zyskać na czasie i dać jej możliwość opanowania się, wyjął ze skórzanej teki księgę, otworzył i odezwał się:

- Zobaczmy, czy nie znajdzie się jakiś sposób na pani zmartwienie. Jak się pani nazywa?

- Howard. Rut Howardowa - odparła szybko Roberta, wymieniając nazwisko, jakie jej podsunął Clyde. Doktor odetchnął z ulgą, wywnioskowawszy z tego, że jest zamężna. Ale dlaczego płacze? Z jakiego powodu zamężna kobieta może być tak zdenerwowana, wzruszona i onieśmielona?

- A jak imię pani męża?

Były to zwykłe pytania i łatwa powinna była być na nie odpowiedź, jednak Roberta zawahała się na chwilę, zanim wymieniła imię najstarszego swego brata.

- Gifford.

- Pani tu mieszka?

- W Fonda.

- Hm, tak. Ile pani ma lat?

- Dwadzieścia dwa.

- Od jak dawna pani jest zamężna?

Pytanie to było w ścisłym związku z troską, która ją tu przywiodła, a jednak znów się zawahała:

- Zaraz... trzy miesiące.

Doktor Glenn znów powziął pewne podejrzenie, chociaż nie dał tego poznać po sobie. Zastanowiło go jej wahanie. Więc jest niepewna? Zaczynał powątpiewać, czy ta osoba mówi prawdę i czy jego pierwszy domysł nie był prawdziwy. Pytał dalej:

- A więc niech mi pani powie, co ją gnębi, pani Howard. Niech się pani nie krępuje i wyzna mi wszystko. Jestem do tego przyzwyczajony. Nic mnie nie zdziwi. Jestem właśnie od tego, żeby wysłuchiwać zmartwień ludzkich.

- Właśnie... - zaczęła znów Roberta, bardziej jeszcze zmieszana.

Nie mogła podnieść oczu, kręciła bezmyślnie guzik palta, to straszne wyznanie dławiło ją w gardle, wysuszało język.

- Otóż... właśnie... mąż mój zarabia niewiele... ja też chodzę do roboty, żeby mu pomóc, i tak... nawet nie zarabiamy wiele razem oboje...

Podziwiała siebie, że tak umie kłamać, ona, której kłamstwo przychodziło zawsze z taką trudnością.

- Więc... nie możemy sobie pozwolić na dzieci... przynajmniej

teraz... właśnie...

Zamilkła, gdy brakło jej tchu i naprawdę nie mogła już mówić tyle kłamstw.

Doktor domyślił się prawie, o co jej chodzi. Przed tą młodą mężateczką stała perspektywa macierzyństwa. Zależało mu na tym, by nie nasuwać jej na myśl zakazanej operacji, a nie chciał przy tym zrażać tak młodego małżeństwa na samym progu życia. Patrzył na nią ze współczuciem. Istotnie to bardzo niewygodne dla tak młodych ludzi, a jej skromność wobec tej drażliwej sytuacji ujmowała go coraz bardziej. Ale to jest źle. Ciężkie teraz nastały czasy dla młodych małżeństw. Wiele napotykają trudności na swojej drodze. I ci widocznie także znajdują się w jakiejś finansowej opresji. Ale trudno, nie ma ochoty mimo to wykonywać takich niebezpiecznych i podejrzanych zabiegów. Małżeństwo zdrowe, młode poradzi sobie jakoś. Pracować mogą, a przynajmniej mąż, i jakoś to będzie.

Stał przy niej z miną poważną i zaczął stanowczym głosem:

- Domyślam się, o co pani chodzi. Ale czy pani zastanowiła się, jakie to jest niebezpieczne? Ale... - zmienił ton, gdyż przyszło mu na myśl, że może rozeszły się jakieś pogłoski, które mogłyby mu tutaj zepsuć opinię - skądże pani dowiedziała się o mnie?

Było coś w tonie jego głosu i w sposobie zapytania - jakieś podejrzenie, uraza, że ktoś go mógł posądzać o tego rodzaju praktyki.

Roberta wyczuła to i zawahała się rozumiejąc, że nie może się przyznać, kto ją do niego skierował. Może czuć się obrażony w swej niekazitelnej opinii. Rozwijający się u niej siłą wypadków zmysł dyplomatyczny ostrzegł ją, więc odpowiedziała:

- Bardzo często tędy przechodzę... Zauważyłam tabliczkę pańską na drzwiach, a słyszałam już o panu jako o dobrym lekarzu.

Uspokoila go tym.

- Muszę jednak pani powiedzieć - ciągnął dalej - że na to, czego pani ode mnie wymaga, nie zgadza się moje sumienie. Rozumiem, że pani uważa to za konieczne w swoim położeniu. Pani i jej mąż jesteście młodzi, nie macie, zdaje się, za dużo pieniędzy i uważacie dziecko za zbyt wielką przeszkodę w swym życiu. I bez wątpienia tak będzie. Ale ja uważam małżeństwo za świętą sprawę, a dzieci nie za przekleństwo, lecz za błogosławieństwo Boże. Kiedy pani stawała trzy miesiące temu przed ołtarzem, nie była chyba na tyle naiwna, żeby nie wiedzieć, co ją może czekać w małżeństwie. Przecież to zupełnie naturalne!...

"Przed ołtarzem"... - pomyślała smutnie Roberta.

- Wiem - mówił dalej - że teraz na nieszczęście panują takie przekonania i to jest smutne. Są ludzie, którzy uważają, że lepiej poddać się operacji, niż spełnić swój obowiązek, ale to jest niebezpieczne, moja pani... Bardzo niebezpieczne pod względem prawnym i etycznym, a również i medycznym. Ileż to kobiet umarło pragnąc uniknąć dziecka... Prócz tego doktorowi grozi też wielka za to odpowiedzialność, bez względu na to, czy zabieg uda się czy nie. Zresztą pani sama zapewne wie o tym dobrze. Ja w każdym razie jestem temu bezwzględnie przeciwny z każdego punktu widzenia. Jeden tylko uczyniłbym wyjątek, w takim tylko wypadku, gdyby ciąża groziła życiu matki. W żadnym innym! W takich razach medycyna i prawo zgadza się z tym. Zdaje mi się jednak, że pani to nie grozi. Wygląda pani na zdrową i silną kobietę. Macierzyństwo nie wywoła u niej żadnych poważnych konsekwencji. A co do finansowych przeszkód, czy pani jest zupełnie pewna, że nie wystarczy wam środków na utrzymanie dziecka? Kim jest pani mąż? - Elektrotechnikiem - odrzekła Roberta oszołomiona i przygnębiona tymi uroczystymi morałami.

- No właśnie. Nie jest to zawód źle płatny. Prawie wszyscy elektrotechnicy zarabiają doskonale. Czy zastanowiła się przy tym pani, że zamierza zabić życie, które ma także samo prawo do egzystencji, jak i pani sama?... Zatrzymał się pragnąc, aby wniknęła w nią ta myśl, rzucona przez niego.

- Tak, uważam, że pani i jej mąż powinni się nad tym zastanowić.

Zresztą - dodał dyplomatycznie i tonem bardziej ojcowskim, nawet trochę żartobliwym - gdy ono przyjdzie na świat, jestem pewien, że wynagrodzi wam obojgu te wszystkie trudy, jakie ponieśliście dla niego. Niech mi pani powie - dodał z zainteresowaniem - czy mąż pani wie o tym? Czy to oboje uplanowaliście sobie pozbyć się w ten sposób kłopotu? a może to pani jest taka oszczędna i zapobiegliwa?

Pochylił się nad nią z uśmiechem, wyobrażając sobie, że wesołością tonu rozproszy jej przygnębienie. Ona zaś czując, że jedno kłamstwo więcej nie zaważy już na jej losie, odrzekła:

- Wie.

- W takim razie - spoważniał nieco, widząc, że domysł jego był niesłuszny - powinniście oboje głęboko się nad tym zastanowić. Wiem, że tacy młodzi ludzie, znalazłszy się po raz pierwszy w takiej sytuacji, widzą ją w czarnych kolorach. Ale to nie trwa długo. Pamiętam siebie i swoją żonę przed pierwszym dzieckiem... Uspokoił się jednak jakoś. Niechże więc pani poczeka jeszcze trochę, pomówi z mężem, rozważy to, co powiedziałem, a jestem pewien, że to, co pani uważa teraz za nieszczęście, ukaże się jej w innym świetle. A i sumienia swego pani nie obciążę.

Skończył, będąc pewien, że rozproszył całkowicie jej obawy i zniszczył postanowienie, z którym do niego przyszła. Taka młoda, skromna kobiecinka będzie rada nawet potem, że tak się stało, a teraz powinna czuć się uspokojona jego słowami.

Jednak zamiast przyznać mu choć po części rację i zabrać się, jak przypuszczał, do odejścia, Roberta spojrzała na niego rozszerzonymi z przerażenia oczyma i wybuchnęła płaczem.

Znikąd więc dla niej nie ma ratunku! Przemową swą uśpił chwilowo jej mękę, pozwolił jej choć przez chwilę się łudzić, że istotnie jest zamężna, że zjawia się u niego jako zmartwiona mężatka...

Ocknęła się z otępienia i zrozumiała naraz, że ten człowiek nie pomoże jej wydobyć się z tej strasznej sytuacji! Ogarnęło ją druzgocące, śmiertelne przerażenie. Otwierała i zaciskała dłonie

uderzając nimi po kolanach, na twarzy ukazał się wyraz grozy i nieludzkiego cierpienia.

- Pan nie chce mnie zrozumieć!... panie doktorze!... nie zrozumiał mnie pan! - wybuchnęła. - Ja muszę się tego pozbyć w jakikolwiek bądź sposób! Muszę! koniecznie! Wcale nie jest tak, jak powiedziałam panu!... Nie jestem zamężna!. Nie mam wcale męża... Niech pan zrozumie... co to znaczy dla mnie!... Moja rodzina!... matka moja!... ojciec! Jakże ja to panu powiem?... Muszę się pozbyć tego! muszę! muszę! muszę!

Jak w transie pochylała się naprzód i w tył, kołysząc się przy tym z boku na bok.

Przez głowę Glenna, który stanął jak wryty, zdziwiony i prawie przerażony jej wybuchem, wzruszony nawet, przeleciała myśl, że jednak pierwsze jego podejrzenie było słuszne, ale powinien wycofać się z tej sprawy podając za powód kłamstwo Roberta. Spojrzał na nią surowo i zapytał poważnie:

- Więc pani nie jest zamężna?

Roberta nie mogła już głosu wydobyć, potrząsnęła tylko głową przecząco nie przestając płakać.

Glenn pojął wreszcie całkowicie jej położenie, podniósł się i milcząc patrzył na nią z hamowanym współczuciem i sympatią. Po chwili odezwał się:

- Tak, to fatalne. Przykro mi bardzo... - Nie chcąc jednak za bardzo się angażować, dodał łagodnie: - Niech pani nie płacze... to nic nie pomoże.

Zamilkł znowu, zdecydowany, że twardo stać będzie przy swym postanowieniu. Zaciekawiony wszakże, jak naprawdę wygląda ta historia, zapytał:

- A gdzież ten młody człowiek, który był sprawcą nieszczęścia pani? Czy mieszka tutaj?

Robertę dławili wstyd i rozpacz, potrząsnęła więc znowu głową.

- Ale on wie o pani położeniu?

- Wie - odrzekła cichym głosem Roberta.

- I nie chce się z panią ożenić?

- Wyjechał.

- Ach, tak? A to łajdak! I nie wie pani, dokąd wyjechał?

- Nie.

- Jak dawno opuścił panią?

- Już przeszło tydzień - skłamała raz jeszcze.

- I nie wie pani, gdzie on jest?

- Nie wiem.

- Od jak dawna czuje się pani chora?

- Około dwóch tygodni.

- A przedtem zawsze było regularnie?

- Zawsze.

- E, może to jeszcze nic poważnego... - odezwał się, uspokojony trochę, rad, że może wykręcić się z tej sprawy w nie tak przykry sposób. - Rozumiem, że pani mogła czuć się zaniepokojona, ale taka przerwa jednomiesięczna nie zawsze oznacza coś poważnego. U kobiet to się często zdarza. Bez zbadania pani nie mogę tego stanowczo twierdzić, ale sądzę, że należy przeczekać jeszcze dwa tygodnie. Może się okazać, że niepotrzebnie się pani martwiła. Wcale nie byłbym tym zdziwiony. Wygląda pani na osobę nerwową wrażliwą, a to

bardzo wpływa na opóźnienia. Jeżeli pani zechce usłuchać mojej rady, powinna pani pójść do domu i przeczekać jeszcze te kilkanaście dni, dopóki nie będzie pani zupełnie pewna. W każdym razie nie należy w tym czasie czynić żadnych zabiegów.

- Ale ja brałam już jakieś pigułki i nic mi nie pomogło...

- Co to za pigułki? - zapytał Glenn zaciekawiony, a dowiedziawszy się rzucił: - Ach, te! Jeżeli pani istotnie była w ciąży, nie pomogłyby pani z pewnością ani trochę. Ale jeszcze raz powtarzam pani, że należy poczekać, a gdyby w drugim miesiącu nie było żadnej zmiany to wtedy będzie czas się martwić i starać się temu zaradzić. W każdym jednak razie, ja pani nie będę nigdy doradzał chirurgicznych zabiegów, bo jestem tego zdania, że nie należy przeszkadzać naturze. O wiele lepiej byłoby, gdyby pani chciała dziecko urodzić i mieć o nie staranie. Nie obciąży pani swej duszy drugim grzechem - grzechem zabójstwa młodego życia.

Mówił to bardzo poważnie i surowo.

Roberta jednak przejęta
zgrozą, której on dostatecznie nie mógł
pojąć, krzyknęła z rozpaczą:

- Ależ ja nie mogę, panie doktorze! powiedziałam już panu... Nie mogę! naprawdę nie mogę! Pan chyba mnie nie rozumie! Sama nie wiem, co zrobię, jeżeli nie wybrnę z tego! Nie mogę! nie mogę! nie mogę!...

Trzęsła głową, załamała ręce i chwiała się na krześle, a Glenn, wzruszony jej cierpieniem, patrzył z litością na ten ból. Bronił się przed wzruszeniem, które mogłoby go sprowadzić na niebezpieczną drogę. Musiał ze stanowiska swego zawodu spojrzeć trzeźwo na ten wypadek, który mógłby mu przysporzyć wiele przykrości. Zbrojny w determinację odezwał się:

- Jak to już pani powiedziałem, panno... - zawahał się - panno Howard, jeśli tak się pani nazywa, jestem stanowczo przeciwny takiej operacji, a niemniej i tym szaleństwom młodzieży, która

popelniając je dochodzi do takiego stanu, że wydaje się to jej nieuniknione. Lekarz nie może być pomocny w takich wypadkach, chyba że życzy sobie spędzić dziesięć lat w więzieniu, a zdaje się, że prawo jest wyraźne. Mimo to rozumiem doskonale ciężkie pani położenie. Wiem, że zawsze znajdą się tacy, którzy gotowi są pomóc takiemu młodemu dziewczęciu w podobnym do pani stanie, kierując się sofistycznym dowodzeniem, że taka niewinna istota nie może okazać światu swego błędu. Ja zaś pani daję radę: nic nie czynić do czasu. Niech pani uda się do domu rodzicielskiego i zwierzy się z tego rodzicom. Tak będzie lepiej, na pewno lepiej, niech mi pani wierzy... Nie będzie to cięższe i gorsze od tego, czego pani ode mnie wymaga. Proszę nie zapominać, że tu chodzi o życie ludzkie... o ludzką istotę... trzeba się nad tym zastanowić. Pani chce zabić to życie, a ja nie chcę jej w tym dopomóc. Naprawdę nie mogę... Może są doktorzy - wiem nawet, że są - którzy swą zawodową etykę traktują mniej poważnie niż ja, ale nie mogę pozwolić sobie zaliczać się do nich. Bardzo mi przykro... naprawdę. Niechże mnie pani usłucha. Proszę udać się do swych rodziców i powiedzieć im o wszystkim. Wydaje się to pani straszne, ale poczuje pani ulgę i to znaczną nawet. Gdyby wszakże rodzice pani czuli się tym unieszczęśliwieni, wówczas proszę, bardzo proszę nawet, niech pani z nimi tu do mnie przyjdzie. Postaram się wtedy ich przekonać, że to nie jest jeszcze największym nieszczęściem. Ale spełnić pani życzenia naprawdę... bardzo mi przykro... nie mogę. Sumienie mi na to nie pozwala.

Patrzył na nią z wielkim współczuciem, lecz ze stanowczą decyzją w oczach.

Roberta, chwając się jak ogłuszona, wstała i skierowała się ku drzwiom, porażona tym niespodziewanym zniszczeniem jej wszystkich nadziei. Zrozumiała, że nie tylko mylnie skierowano ją do tego lekarza, lecz że ani jej wzruszenie, ani trudność położenia, ani jej słowa nie przekonały go.

Odmówił jej pomocy, odmówił. I co teraz?

Rozdział XXVII

Decyzja doktora jednakowo wstrząsnęła i przeraziła oboje - Robertę i Clyde'a. Dla niej wróżyło to niesławę, hańbę - dla niego było przekreśleniem pięknej przyszłości. A miało to być jedynym ratunkiem. Bardzo słabym światłem płonął płomyk nadziei, jaką zostawili im i aptekarz, i Short, i doktor, że może błędne były ich rachuby i płonny strach.

Mijały dni, Roberta nie czuła w sobie żadnej zmiany na lepsze, a Clyde'em owładnęła jakaś apatia, która mimo nieustającego strachu przed ruiną całej kariery nie pozwoliła mu się zabrać do zdecydowanego działania. Zamiast walczyć energicznie z grożącym mu niebezpieczeństwem, ostateczną decyzję odkładał ciągle na później. Wiedział doskonale, jakie z tej sytuacji mogą wyniknąć konsekwencje, jeżeli nic nie będzie czynić, nie widział jednak nikogo, do kogo by jeszcze mógł udać się po radę bez narażenia się na przykrości. Jeżeli i lekarz "odpędził ją od siebie", jak się wyraził, to cóż warta była ta informacja Shorta. Pełne niepokoju myśli przebiegały mu przez głowę, żadna z nich atoli nie zatrzymała się na jakiejś pewnej osobie, którą by mógł zapytać. Jakże się tu pytać? I gdzie? I kogo?... takie sprawy wymagają czasu.

Tymczasem dni płynęły, oboje powinni byli już coś obmyślić, co należy robić, jeżeli nie znajdzie się na to żaden środek medyczny czy chirurgiczny. Roberta ciągle dawała do zrozumienia, jeżeli nie słowami to całym zachowaniem, że należy się spieszyć, ale wiedziała dobrze, że sama nie znajdzie na to żadnej rady, że nie wie, jak się do tego zabrać.

A tymczasem Clyde nic nie robił. Poza dotychczasowymi staraniami nie robił nic, bo nie wiedział, co ma robić. Nie miał tutaj

przyjaciół i nie mógł się odważyć na to, by zmartwienie swe powierzyć któremuś ze znajomych. W naturze jego leżała niepraktyczność i chwiejność, a otrzymując ciągle zaproszenia na przeróżne zabawy, na których mógł spotykać się z Sandrą, chodził tam, mimo złego stanu zdrowia Roberta, a chodził tym chętniej, że zapominał wówczas, choć na chwilę, o strasznej zmurze swego życia.

Ach, żeby mógł jakoś wybrnąć z tego! Ale jakim sposobem? Bez pieniędzy, nie mając przyjaciół, którzy by byli trochę bardziej niż on doświadczeni w takich wypadkach albo przynajmniej takich, jakich posiadał w Greenie-Davidsonie, którzy lepiej umieli radzić sobie w sprawach seksualnych. Napisał wprawdzie do Ratterera, ale nie otrzymał jeszcze odpowiedzi, bo Ratterer wyniósł się na Florydę i nie mógł jeszcze otrzymać jego listu. Z miejscowych zaś znajomych, należących do personelu warsztatów, czy też do towarzystwa, jedni mieli zbyt mało doświadczenia, a więc tym samym niebezpiecznie byłoby do nich się zwracać, innych znów za mało znał i także mógłby narazić swą opinię.

W każdym razie musi coś zrobić, nie może patrzeć beczynnienie, bo i Roberta nie pozwoli mu na to, czując, czym jej to grozi.

Czasami zdarzała mu się sposobność usłyszenia czegoś, na czym, zdawało mu się, może oprzeć swoją nadzieję, zawsze jednak okazywało się to bezskuteczne.

Raz na przykład jeden z dozorców opowiadał o robotnicy z jego oddziału, która "wpadła w kłopot" i musiała porzucić robotę. Clyde skorzystał z tego i zapytał, co taka dziewczyna ma robić, jeżeli nie chce mieć dziecka. Ale dozorca tyleż wiedział, co i Clyde, więc odpowiedział tylko, że pewnie powinna pójść do doktora i "pozbyć się". Clyde więc nie dowiedział się niczego.

Innym razem, będąc u fryzjera, usłyszał, jak golibroda opowiadał o procesie, opisanym w "The Star", który wytoczyła pewna dziewczyna swemu uwodzicielowi za niedotrzymanie obietnicy małżeństwa. Dodana przy tym była uwaga, "że nigdy by nie oskarżała tego łajdaka, gdyby nie stan, w jakim ją pozostawił".

Clyde, zainteresowany i ucieszony, że się czegoś dowie zapytał:

- A czy nie mogła w jakiś sposób pozbyć się kłopotu, jeżeli już jej nie zależało na tym facecie?

- Faktycznie, ale to nie tak łatwo, jak się panu zdaje, a szczególnie tutaj - odpowiedział wszechwiedzący cyrulik rozczesując mu włosy. - Przede wszystkim prawo na to nie pozwala, a po drugie, trzeba na to niemało forsy... A jak się tego nie ma, to idź cieleń do obory...

Zaszczekał nożycami, a Clyde zamyślił się nad prawdziwością jego sentencji. Gdyby miał pieniądze, chociażby paręset dolarów, wywiózłby Robertę gdzieś dalej i tam mogłaby się poddać operacji.

Ale i tak trzeba coś robić.

Roberta też powtarzała sobie, że powinna zacząć działać sama, że nie powinna pozostawać w takiej zależności od Clyde'a, któremu widocznie wcale się nie śpieszy. Takie położenie to nie żarty! Stoi w obliczu okrutnej konieczności. Clyde widocznie nie uświadamia sobie należycie, co ją czeka, a przy tym i jego. Czyżby sądził, że cały ciężar musi spaść na jej barki? Ach, nie! nie! Przecież Clyde jest mężczyzną, ma dobre stanowisko, rozumie doskonale, co się stało, i wie, że ona sama nic na to poradzić nie potrafi...

Po oznaczonym przez lekarza terminie, gdy nabrała już niezbitą pewności co do swego stanu, gdy wiedziała, że nie jest to zamiębienie ani przesadny strach z jej strony, postanowiła zawiadomić Clyde'a, że wybiera się do tego samego doktora, i zapytać go, czy zechce jej towarzyszyć.

Zgodził się. Przeprosił Sandrę, z którą miał umówione spotkanie, i wybrał się z Robertą. W drodze niewiele rozmawiali. Clyde opowiedział o swych nieudanych staraniach i pochwalił Robertę, że samodzielnie zdobyła się na wizytę u doktora.

Doktor jednak kategorycznie odmówił pomocy.

Czekała prawie godzinę na jego powrót z jakiejś wizyty, potem oznajmiła mu, że nic w jej stanie się nie zmieniło. opowiedziała mu o swych obawach, lecz nic nie wzruszyło doktora. Operacji nie chce wykonać, gdyż jest to wbrew jego zasadom i etyce.

Powracała więc Roberta do domu, nie płacząc tym razem, tak już przygnębiona i struchlała wewnątrz, że nawet na łzy już nie mogła się zdobyć. Czuła, że pogrąża się w jakiejś groźnej fali, że na głowę jej zwala się przerażające nieszczęście.

Clyde usłyszawszy wyrok doktora zapadł w dławiące, ponure milczenie. Nie mógł wykrzesać z siebie żadnej szczęśliwej myśli. Serce mu po brzegi wypełniło przerażenie, lęk, że Roberta sformułuje jakieś żądanie, którego ze względów finansowych czy osobistych nie będzie mógł spełnić.

Ona jednak niewiele mówiła przez drogę. W domu usiadła przy oknie i wyglądała na ulicę wmyślając się w swe beznadziejne położenie, które teraz stało się jakieś bardziej realne i złowrogie.

Clyde'owi powiedziała, że ją boli głowa. Chciała być sama, pragnęła w samotności raz jeszcze rozważyć wszystko, znaleźć jakieś wyjście... Ale jakie? Jak? Co powinna zrobić? W jaki sposób może uniknąć swego losu?

Zdawało się jej że jest osaczonym zwierzęciem, broniącym swego życia. Widziała przed sobą liczne ścieżki, którymi mogła ująć z życiem, lecz wracała stale do jednej, jedynie pewnej i bezpiecznej, na której widziała pożądany ratunek - a było nią małżeństwo.

A właściwie, dlaczegóż by nie? Czy nie oddała mu wszystkiego wbrew swym chęciom i przekonaniom?

Czyż to nie on ją zniewolił? A teraz miałby ją porzucić?

Od pewnego czasu, a właściwie od początku jej niemocy Clyde tak postępował, kierując się własnymi rachubami, żeby mogła miłość jego uważać za umarłą.

Tak, Roberta widziała, że Clyde myśli jedynie o tym, w jaką sam wpadł matnię i jakie stąd przykrości wynikną dla niego. Oburzało ją to bardziej niż przerażało, skutkiem czego zrodziła się w niej decyzja, zupełnie usprawiedliwiona jej położeniem, aby zażądać od niego małżeństwa, gdyż innego wyjścia dla siebie nie widziała.

Dlaczegoż by nie? Czyż jej życie nie jest tyle samo warte, co jego? Czyż on swego życia nie połączył z jej życiem sam, z własnej woli? Dlaczego nie stara się jej dopomóc? A skoro to mu się nie udaje, niech spełni ostatni obowiązek, niech uczyni to, co ją jedynie może zrehabilitować.

Kto są ci ludzie, którym się tak obecnie oddał? Czy ona ma dla nich poświęcić siebie, swą przyszłość, dobre imię, dlatego tylko że on świata poza nimi nie widzi? Oni nigdy nic dla niego nie zrobili, a przynajmniej nie tyle, co ona. Zniewolił ją siłą perswazji, a teraz ma dosyć jej miłości. Ale to nie powód, żeby pozwoliła mu porzucić się. Nawet ci ludzie, z którymi teraz tyle przebywa, usprawiedliwiliby jej żądanie i nie wzięliby jej tego za złe.

Rozmyślała o tym stale, zwłaszcza po ostatniej bytności u doktora Glenna. Na jej twarzy znalazł się nowy, nie znany u niej wyraz - jakby jakieś wyzwanie, stanowczość, determinacja wyrzeźbiły się w jej rysach pod naciskiem tych myśli. Usta wykrzywiły się boleśnie.

Powzięła decyzję. Clyde musi się z nią ożenić. Zmusi go do tego, jeżeli nie będzie innego wyjścia. Zmusi! Jakże! powinna pomyśleć o swym domu, o matce, o Gracji Marr, o Newtonach, o tych, co ją znają, o oburzeniu, przykrości, wstydzie, których staną się ofiarami ci najbliżsi - jej ojciec, bracia, siostry... Nie! to niepodobna, niepodobna! nie dopuści do tego! Może to okrutnie z jej strony, zwłaszcza że wie, jakie Clyde nadzieje pokłada w swej przyszłości ale cóż innego jej pozostaje?

Nazajutrz z rana ku wielkiemu zdumieniu Clyde znów otrzymał od niej kartkę, w której Roberta prosiła go o zobaczenie się z nią

wieczorem. Jak to? dopiero wczoraj się widzieli...

Ma mu coś do powiedzenia. W tonie tego listu była jakaś nuta wyzywająca, co się nigdy dotychczas nie zdarzało.

Zrozumiał, że coś mu grozi, bo istotnie ta nie wyjaśniona sytuacja nie może trwać bez końca. Zdecydował się pójść i ze spokojem wysłuchać, o co chodzi.

Wszedłszy do pokoju od razu zauważył, że Roberta ma spokojniejszy wyraz twarzy, co się jeszcze ani razu nie zdarzyło od czasu stwierdzenia jej stanu, a co go niezmiernie zdziwiło, gdyż spodziewał się zastać ją we łzach.

Minę miała prawie zadowoloną, niespokojne myśli uciszyły się pod wpływem świeżo powziętego postanowienia i zrodziły pewną przebiegłość, z którą teraz zaczęła działać.

Nie powiedziała mu od razu, co miała na myśli, zapytała tylko:

- Cóż, czy znalazłeś jakiego innego doktora, Clyde? a może obmyśliłeś co innego?

- Nie, Berti, nic nie wymyśliłem - odrzekł chmurnie, znudzonym głosem, bo go zaczęło to nużyć na dobre. - Starałem się, jak wiesz, lecz trudno jest znaleźć takiego, który by nie bał się wpaść. Słowo ci daję, Berti, mam już dość tego! Nie wiem, do czego nas to doprowadzi... chyba, że ty coś wymyślisz. Czy nie dowiedziałaś się czegoś nowego?

Gdy powrócili bowiem po pierwszej wizycie u doktora, podsunął jej myśl, żeby zaprzyjaźniła się z którąś z cudzoziemek, pracujących w jej oddziale; może od niej udałoby się powoli zdobyć pewne informacje.

Lecz Roberta nie umiała zawierać łatwych przyjaźni, więc i to się nie udało.

Usłyszawszy teraz, że "ma tego dość", Roberta postanowiła

przedstawić mu swój projekt, który uważała za jedyny i który powinien być niezwłocznie wykonany. Nie była pewna, jak na to Clyde zareaguje, i nie wiedziała, w jakiej formie mu ten plan przedstawić, więc zmagając się z niepokojem odezwała się:

- A więc, Clyde... powiem ci, że rozmyślałam nad tym wiele i nie widzę innego wyjścia, tylko... tylko... małżeństwo... Już dwa miesiące minęły, a jeżeli nie pobierzemy się zaraz... każdy się dowie...

Mówiła to z pozorną odwagą, czując w sobie pewność, że ma prawo to powiedzieć, lecz w duszy drżała z obawy, jak to Clyde przyjmie.

Rzucił jej zdumione spojrzenie, w którym wyczytała obrazę, niepokój i przerażenie. Uczucia te tak wyraźnie odmalowały się na jego twarzy, że musiała pojąć, iż Clyde uważa to za nieusprawiedliwioną dla siebie krzywdę.

Jego znajomość z Sandrą stawała się coraz bardziej zażyła i budował na niej coraz szczytniejsze nadzieje, więc usłyszawszy propozycję Roberty zmarszczył brwi. Znużenie i zdenerwowanie znikło, a zjawiała się wyraźna determinacja, aby za wszelką cenę uniknąć tak niepożądanego zakończenia. Ależ to dla niego zupełna ruina całej przyszłości! Utrata Sandry, utrata posady, zniszczenie wszelkich nadziei, pokładanych w Griffithsach... klęska, jednym słowem. Zrobiło mu się słabo, tylko myśli błyskawicznie przelatywały mu przez mózg. Jak się z tego wykręcić?

Nie chce, nie może się żenić! Nigdy! za nic!

Z trudem panując nad sobą zawołał:

- Tak, zapewne, Berti, dla ciebie to jest jedyne wyjście, ale dla mnie?... Nie zapominaj, że to nie takie dla mnie łatwe. Wiesz dobrze, że nie jestem bogaty, nie mam wcale pieniędzy. Wszystko, co posiadam, to moja posada. Prócz tego rodzina moja nic nie wie o tobie. A jeżeli teraz się dowiedzą, że żyliśmy ze sobą i że byłem zmuszony ożenić się z tobą, przekonają się, że ich oszukiwałem i będą słusznie oburzeni. A co wtedy? Gotowi wyprzeć się mnie

zupełnie.

Zamilkł, aby przekonać się, jakie to na niej wywarło wrażenie, lecz na twarzy Roberty spostrzegł tylko niedowierzenie, jakie okazywała zawsze, gdy chciał się przed nią wykręcić. Postanowił w jaki bądź sposób odwlec tę nagłą decyzję i dodał:

- Może mi się uda zresztą znaleźć jakiegoś lekarza. Dotychczas nie miałem jakoś szczęścia, ale może w końcu znajdę. Niewiele miałem na to czasu. Chodzi o to, żeby nie później z tym skończyć jak w trzecim miesiącu, więc jeszcze mamy czas.

Otrzymał właśnie list od Ratterera i stamtąd się o tym dowiedział.

- Słyszałem, że jest taki lekarz w Albany, który pewnie na to się zgodzi. Pojadę tam i dowiem się dokładnie, zanim powiem coś stanowczego.

Tak podejrzanie się zachowywał, że Roberta nie miała najmniejszej wątpliwości, iż Clyde kłamie, aby tylko zyskać na czasie. Żadnego doktora na pewno w Albany nie było... Najwyraźniej zaskoczyła go jej propozycja, teraz więc myśli, w jaki sposób tego uniknąć. Pamiętała, niestety, że nigdy jej nie obiecywał małżeństwa, i chociaż było jej śpieszno, nie mogła go do tego zmusić. Mógł spokojnie ją rzucić, odjechać nawet, jak to już raz wymknęło mu się niebacznie, gdy była mowa o tym, że może przez nią stracić posiadłość. I na pewno tak uczyni, jeżeli będzie wiedział, że cały jego świat towarzyski, na którym mu tak zależało, odwróci się od niego z pogardą. Zrozumiała to, więc postanowiła działać przezorniej i nie kłaść na to zbyt wielkiego nacisku, jakkolwiek bardzo jej na tym zależało.

Dla Clyde'a tak wielkie znaczenie miał ten świat zbytku i bogactwa, którego Sandra była ośrodkiem i który był decydującą stawką w jego grze, że nic poza tym nie widział. Czy ma to wszystko utracić? A co go czeka w zamian? Roberta, dziecko, nędzne mieszkanie, nieustanna praca dla wyżywienia rodziny, uciążliwe wiązanie końca z końcem, a przede wszystkim całkowita utrata wolności. Niedobrze mu się zrobiło. Nigdy się na to nie zgodzi!

Więc wszystkie jego ambicje i marzenia mają być pogrzebane przez jeden tylko fałszywy krok z jego strony? Teraz widzi, jak należy być ostrożnym i każdy krok przebiegle rozważyć.

A jednocześnie wstyd go przejął na widok własnej duszy i zmian, jakie w niej zaszły.

Roberta odezwała się znowu:

- Rozumiem to, Clyde, ale sam powiedziałeś, że masz tego dość. Każdy dzień pogarsza moje położenie, tym bardziej że nie możemy być pewni, czy znajdziemy jakiegoś doktora. A zwlekać trudno. Bo jakżeby to wyglądało, żeby w parę zaledwie miesięcy po ślubie przyszło na świat dziecko. Nietrudno byłoby wszystkiego się domyślić. Wszystko to rozważyłam równie dobrze jak i ty sam. Muszę też myśleć o dziecku.

Spostrzegła, że na każde wspomnienie o dziecku Clyde drgał i otrząsał się jak pod smagnięciem bicia.

- Jedno z dwojga musimy wybrać: albo małżeństwo, albo poronienie - mówiła szybko, ale łagodnie, prawie ze słodyczą. - W tym drugim nie umiesz mi jakoś pomóc, prawda? Jeżeli się obawiasz, co pomyśli stryj o twoim małżeństwie, to moglibyśmy się pobrać i trzymać to w tajemnicy, przynajmniej jakiś czas... do chwili, gdy będziesz mógł to wyjawić. Ja mogłabym pojechać tymczasem do domu i powiedzieć rodzicom, że wyszłam za mąż, ale muszę to trzymać jeszcze w tajemnicy. A gdy trudno już będzie dłużej to ukrywać, moglibyśmy wyjechać gdzie indziej, jeżelibyś nie chciał, aby stryj dowiedział się o tym, albo moglibyśmy powiedzieć, że już dawno się pobraliśmy. Iluż to ludzi tak robi! Pracę zawsze będziemy mogli sobie znaleźć - dodała widząc chmurę, przepływającą przez twarz Clyde'a. - Wiem dobrze, że ją znajdę, niech tylko dziecko się urodzi.

Clyde siedział na brzegu łóżka słuchając w zdenerwowaniu i niechętnie jej słów, gdy jednak zaczęła rozwijać plan wspólnego pożycia i projektować wyjazd, zerwał się. Nie mógł wytrzymać. A gdy doszła do tego, że gotowa jest stanąć do pracy zaraz po

urodzeniu dziecka, spojrział na nią prawie z przerażeniem.

Jakież ona przed nim roztacza obrazy? Małżeństwo z obowiązku, kiedy on jest prawie pewny, że ożeni się z Sandrą, jeśli mu Roberta w tym nie przeszkodzi.

- Tak, tak, naturalnie dla ciebie, Berti, wszystko jest bardzo piękne i łatwe... Myślisz tylko o sobie. A co ja? Przecież ja dopiero co się tutaj dostałem, a teraz mam zapakować manatki i wynosić się? I będę musiał się wynosić, jeżeli dowiedzą się o wszystkim, a wtedy... nie wiem, co zrobię. Nie mam żadnego fachu ani rzemiosła i nie znajdę od razu pracy. Niewesoło byłoby wtedy nam dwojgu. Stryj mnie wziął tutaj tylko dlatego, żebym miał sposobność nauczenia się czegoś, ale gdybym wyjechał stąd, zapomnieliby o mnie zupełnie.

W swym podnieceniu nie pamiętał zupełnie o tym, że mówił nieraz Robercie o swojej rodzinie, że nie jest tak bardzo uboga i że gdyby mu się tu nie wiodło, wróciłby do swoich i nie zginąłby na pewno.

Ona jednak pamiętała o tym i zapytała:

- A czy nie moglibyśmy pojechać do Denver albo gdzie indziej? Może by twój ojciec nam dopomógł?

Mówiła łagodnie i przekonywająco, pragnąc nakłonić Clyde'a do jaśniejszego patrzenia w przyszłość. Lecz tego było mu już za wiele. Po cóż mówi jeszcze o ojcu? Ma rzucić dla niej posadę tylko dlatego, żeby ją ratować... Widocznie nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego, że on należy już do najlepszej sfery towarzyskiej... A co gorsza, liczy jeszcze na pomoc z tamtej strony... A w razie, gdyby jej nie otrzymał, czyniłaby mu wymówki, że ją okłamał. O, musi koniecznie raz na zawsze wybić jej z głowy wszelką myśl o małżeństwie... To się stać nie może! Nigdy! Musi, i to zaraz, bo jeżeli teraz tego nie powie, ona będzie trwała w przekonaniu, że spełnia uczciwy czyn nakłaniając go do tego... A jeżeli ona z tym pójdzie do stryja, gdy Clyde jej odmówi?... albo

do Gilberta... Ujrzał przed sobą chłodne oczy Gilberta. A wtedy koniec wszystkiemu. Ruina zupełna! Koniec wszystkich marzeń o Sandrze!

Obawiał się więc okazać stanowczy opór i tylko przemówił z żalem w głosie:

- Ależ, Berti, ja tego nie mogę zrobić... nie teraz przynajmniej...

Wywnioskowała z tego, że Clyde nie ma odwagi sprzeciwić się projektowi małżeństwa. "Nie teraz przynajmniej" - powiedział...

Zamyśliła się nad tym, ale on przerwał jej dumania wtrącając żywo:

- Poza tym nie mam zamiaru żenić się tak prędko. To jeszcze nie dla mnie. Jestem na to za młody i nie posiadam funduszków na utrzymanie żony, a porzucać tej pracy nie chcę. Gdzie indziej nie zarobiłbym nawet połowy tego. Ty nie rozumiesz nawet, jakie znaczenie dla mnie ma pobyt tutaj. Ojciec mój ma się nieźle, ale nie może i nie chce zrobić dla mnie tego, co stryj robi i zrobić jeszcze może. Nie rozumiesz tego, bo gdybyś rozumiała, nie żądałabyś tego ode mnie.

Zamilkł. Z jego twarzy biło przerażenie i oburzenie. Miał minę zwierzęcia w ostępie, któremu grożą myśliwi i psy.

Roberta z przenikliwością udręczonego serca domyśliła się, że ochłodzenie jego uczucia ku sobie zawdzięczać musi temu wytwornemu światu, do którego Clyde tak się garnie, i gdzie zapewne istnieje jakiś wabik w postaci eleganckiej, pięknej panny. Robertą zaś Clyde na pewno pogardza jako należąca do niższej sfery.

Odpowiedziała mu więc z urazą w głosie, jakkolwiek nie leżało to w jej intencji:

- O tak, rozumiem doskonale, dlaczego nie chcesz stąd wyjechać... Nie tyle ci chodzi o posadę, co o ludzi, u których ciągle przebywasz... wiem dobrze. O mnie już nie dbasz ani trochę i dla

mnie nie zerwałbyś z tymi ludźmi. Rozumiem, że nic innego cię nie wstrzymuje. Jeszcze nie tak dawno było zupełnie inaczej... tylko teraz nie chcesz o tym pamiętać.

Oczy jej pały, twarz pokrył rumieniec oburzenia.

- Ale pamiętaj, że cokolwiek będziesz o tym mówił, ja nie pozwolę się tak porzucić! Nie możesz mnie tak opuścić! Zapowiadam, że nie pozwolę! - Mówiła coraz głośniej i z większym wzburzeniem: - To nie są żarty dla mnie! Co ja pocznę sama? Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić i ty musisz mi pomóc... Nie możesz mnie porzucić wobec mej rodziny, musisz mi dopomóc przez małżeństwo lub w inny sposób.

Oczy, dziko rozszerzone, zwróciła błagalnie ku niemu, a wagę słów podkreślała gestami, załamując co chwila rozpaczliwie ręce.

- Jeżeli nie udało ci się pomóc mi w sposób, o jakim myślałeś - mówiła dalej tracąc już siły - musisz mi pomóc w inny sposób... przynajmniej do czasu, gdy będę mogła sama się sobą zająć. Nie możesz mnie porzucić!... Nie żądam, żebyś się ze mną żenił na całe życie - dodała sądząc, że w tej zmodyfikowanej formie Clyde prędzej zgodzi się na małżeństwo, a może w przyszłości miłość jego odżyłaby znowu. - Moglibyśmy potem się rozejść, jeżelibyś tego chciał... kiedy już będzie po wszystkim... Wstrzymywać cię nie będę i nie będę tego wymagała... Ale teraz nie możesz mnie porzucić! Clyde, nie możesz! Czy to z mojej winy? Przecież nie stałoby się to nigdy, gdyby nie ty sam... Tyś mnie zmusił prawie do tego, żebym cię tu przyjęła... A teraz chcesz mnie opuścić, pozostawić samą, bo ci się zdaje, że gdyby ci twoi znajomi dowiedzieli się o mnie, nie przyjmowałiby cię u siebie!...

Umilkła. Trudno jej już było utrzymać nerwy na wodzy. Zaczęła płakać cicho. Znać było w każdym geście wysiłek hamowania gniewu. Patrząc na nią osłupiały, nie wiedząc, co ma jeszcze powiedzieć na swoją obronę. Ona zaś walczyła jeszcze chwilę ze sobą, wreszcie, opanowując się z wielkim wysiłkiem, odezwała się znowu:

- Boże, cóż za różnica w stosunku do tego, co było jeszcze parę

miesiący temu! Czemu mam to przypisać?... Powiedz mi, Clyde... chciałabym wiedzieć... Co cię tak odmieniło? Jaki dobry byłeś dla mnie do samego Bożego Narodzenia, jak nikt na świecie...

Przebywałeś ciągle ze mną, a od tego czasu musiałam o każdy wieczór zebrać u ciebie. Co się stało? Kto to sprawił? Jakaś panna zapewne... jakaś Sandra Finchley czy Bertina Cranston, prawda?

Oczy jej badały go w napięciu.

Dotychczas, ku wielkiemu zadowoleniu Clyde'a, Roberta nie wyrażała żadnego specjalnego podejrzenia co do Sandry. Jednak wobec jej stanu, jej przypuszczeń i groźnych żądań nie miał odwagi przyznać się, kto był przyczyną zmiany jego uczuć, nie miał odwagi powiedzieć jej o tym, mimo stanowczej decyzji zerwania. Nie wzruszony jej rozpaczą, bo istotnie nie pozostała w nim ani odrobina miłości dla niej, odpowiedział tylko:

- Mylisz się zupełnie, Roberto. Wcale nie wnikasz w moje położenie. Tu chodzi przecież o moją przyszłość. Jeżeli stąd odejdę, mogę nie znaleźć nic odpowiedniego. Gdybym się teraz ożenił albo wyjechał stąd, wszystko by przepadło. Zanim się ożenię, muszę mieć lepszą posadę, oszczędzić trochę pieniędzy, małżeństwo teraz byłoby więc zniszczeniem całej mojej przyszłości - tłumaczył jej znowu, jakkolwiek przed chwilą zapowiadał sobie, że nie będzie się wdawał w żadne przekonywania. - Gdybyś jednak, Berti - mówił dalej - znalazła sama jakiegoś doktora albo gdybyś chciała wyjechać dokądś na jakiś czas, mógłbym ci posyłać pieniądze aż do czasu rozwiązania...

Po twarzy jego znać było wyraźnie, że przestał już myśleć o sposobach ratowania Roberty, i wtedy ona zrozumiała jasno, że jego obojętność sięgała już tak głęboko, że z równie zimną krwią i bezwzględnie będzie mógł traktować także swoje dziecko. Oburzenie jej doszło do najwyższego stopnia.

- Och! Clyde! - zawołała z groźbą w głosie, uzbrajając się w odwagę: - Jakżeś ty się zmienił!... i jaki umiesz być przykry! Chcesz mnie oddalić, aby tylko osłonić siebie... Abyś mógł tu pozostać sam i ożenić się z którąś z tych panien. Ja byłabym wtedy

daleko i nie potrzebowałbyś myśleć i kłopotać się o mnie! Ale ja tego nie zrobię! To nieuczciwie z twojej strony! Zresztą nie chcę i koniec! Nie chcę! Masz do wyboru: albo pomożesz mi przeprowadzić poronienie, albo ożenisz się ze mną i wyjedziemy razem, przynajmniej do czasu, dopóki nie przyjdzie na świat dziecko. Staniesz ze mną przed moją rodziną i wszystkimi, co mnie znają. Nie dbam o to, czy mnie potem opuścisz, czy nie, bo widzę, że nie kochasz mnie już wcale, a jeżeli nie masz dla mnie żadnego uczucia, nie będę się o nie dopominała. Ale teraz musisz mi pomóc! musisz koniecznie... O, Boże! - zaczęła znowu płakać cicho. - Czy mogłam przypuszczać, że nasza miłość na tym się skończy, że będziesz żądał ode mnie, bym cię sama opuściła... sama... Żebym pozostała bez żadnej opieki... abyś tylko ty mógł pozostać wolny...

O Boże! Boże!...i do tego z dzieckiem... bez męża...

Załamano ręce i kiwała smutnie głową.

Clyde czuł, iż żądanie jego było okrutne, lecz nie umiając poskromić w sobie miłości do Sandry nie mógł zdobyć się na lepszą i wygodniejszą dla siebie radę. Stał przed Robertą i nie wiedział, co jej może jeszcze powiedzieć.

Przykra ich rozmowa trwała jeszcze dość długo i skończyła się na tym, że Clyde miał w przeciągu tygodnia albo dwóch najdalej znaleźć doktora, który by zgodził się zrobić operację. Musi to zrobić, bo wisi nad nim groźba, że jeżeli się to nie uda, pozostanie mu małżeństwo z Robertą, chociaż nie na całe życie, ale w każdym razie legalne, i że małżeństwo to będzie trwało dotąd, dopóki sama nie będzie mogła zająć się sobą i dzieckiem. Ewentualność ta była upokarzająca dla Roberty, a rozpaczliwa dla niego.

Konflikt między Clyde'em a Robertą zaostrzał się. Zbyt rozbieżne były ich poglądy na własną przyszłość, żeby mogli dojść do szczerego porozumienia. Musiało nastąpić jakieś straszne starcie, jeżeli nie nieszczęście. Sytuacja stała się naprężona, zwłaszcza dla Clyde'a, który nie chciał zrezygnować ze swych ambitnych marzeń.

Nie mógł usunąć Roberty ze swych myśli, mając ją ciągle przed oczyma w stemplarni. Musiał na nią patrzeć ustawicznie, postać jej rzucała mu się w oczy, jakby pytając, co zamierza z nią uczynić, jakie są jego zamiary w stosunku do niej. Zabijała wszelką inną myśl, gryzła sumienie.

Może jaki łaskawy przypadek przyjdzie mu z pomocą?

Los jednak nie był dla nich łaskawy.

Gdyby mógł ją przekonać, że lepiej byłoby dla niej wyjechać, żyć gdzieś z dala od niego...

Było to tym bardziej przykre, że nie pozostało w nim ani cienia miłości dla Roberty, w sercu jego panowała Sandra i z jej osobą wiązały się najszałeńsze marzenia i perspektywa bajkowej wprost przyszłości. Postać zaś Roberty przysłoniła ciężka chmura wiszącego nad nim nieszczęścia.

Zadowolony był, gdy mógł każdego wieczora, jeśli nie wypadło mu gościć u dawnej kochanki, skorzystać z wolnych chwil i pójść do nowych znajomych. Sposobności nie brakło. To zaproszono go na obiad do Harrietów albo do Taylorów, to u Finchleyów odbywały się tańce, to znów u Cranstonów. Wszędzie towarzyszył Sandrze, a jeżeli była z rodzicami, cieszył się zawczasu rozkoszną nadzieją, że ją zobaczy.

Sandra teraz już nie używała żadnych forteli, lecz otwarcie szukała sposobności, aby jak najczęściej z nim się widywać. A że takie sposobności często się zdarzały, gdyż całe towarzystwo bawiło się bezustannie, spotkania młodej pary nie wzbudzały żadnych podejrzeń ze strony rodziców.

Matka Sandry, bardzo rozważna i przenikliwa kobieta, dbała niezmiernie o odpowiedni dobór młodzieży dla swej córki, na razie z niepokojem patrzyła na względy, jakie Sandra okazywała Clyde'owi, lecz spostrzegłszy, że młodzieniec ten jest wszędzie przyjmowany i mile widziany, że bywa nie tylko u nich, ale i u wszystkich bez wyjątku ich znajomych, doszła do przekonania, że pozycja pana Griffithsa jest oparta na trwalszych podstawach, niż chodziły o tym słuchy. Dla upewnienia się spytała się jeszcze o niego swego syna, Sandra zaś dała wymijającą odpowiedź, że jest to kuzyn Belli i Gilberta, i chociaż nie ma majątku, wszędzie go przyjmują i lubią dla miłych, towarzyskich zalet. Sandra nie widzi powodów, dla których miałyby go specjalnie unikać. Matka zgodziła się z tym poglądem, ostrzegła tylko córkę, by go zanadto nie ośmielała.

Sandra przyznała matce słuszność, lecz nie miała zamiaru usłuchać jej rady, gdyż było już za późno. Niejednokrotnie zmuszona przy rodzicach okazywać mu obojętność, umiała to sobie powetować widując się z nim na osobności. Doszło więc między nimi do takiej zażyłości, że niewątpliwie rodzice zaniepokoiłoby się bardzo, gdyby się mogli domyśleć, że w sercu tej lekkomyślnej panienki zbudziła się gorąca miłość, gotowa nie liczyć się z niczym.

Bywały więc pocałunki, przeciągłe uściski rąk, spojrzenia pełne miłości, w chwilach gdy nikt na nich nie patrzył, bywały również upajające marzenia o jakiejś niepewnej, mglistej jeszcze, a oczywiście wspólnej przyszłości.

Snuli również projekty dotyczące najbliższych dni.

Lato nadchodzi. Znajdą się oto niebawem oboje w łodzi, na wielkim tajemniczym jeziorze. Długie cienie drzew leżą na srebrnej wodzie,

wiatr marszczy cichą tafłę jeziora... Clyde wiosłuje, ona siedzi przy nim i duszę jego kołysze marzeniami o rozkosznej przyszłości...

Oto droga leśna, umajona trawą, ozłocona słońcem... Tak, istnieje taka w Twelfth Lake, między posiadłością Phantów i Cranstonów. Po niej będą mogli codziennie kłusować, do przepięknego miejsca, zwanego "Świątynią natchnienia"...

Oto wiejski jarmark w Sharon... Sandra w przebraniu cyganki, jak istota z bajki, siedzi w malowniczym namiocie... albo w wytwornym męskim ubraniu bierze udział w zawodach hippicznych...

Po obiedzie herbatka tańcząca, a wieczorem przy świetle księżyca przechadzka. Idą obok siebie, ramię w ramię i oczami wyznają to, czego usta wypowiedzieć nie zdołają.

Nie panuje żaden przymus. Żadna przykra myśl (o opozycji rodzicielskiej) nie może zmącić szczęścia. Ogarnia ich rozkosz ciepłej nocy letniej i wzajemnych uczuć, idylliczne szczęście jednomyślnych pragnień połączenia się na zawsze; szczęście, któremu nikt nie zdoła przeszkodzić.

Roberta tymczasem przeżyła dwa długie, straszne, okrutne miesiące, nie obmyśliwszy nic stosownego, chociaż widziała brak zainteresowania ze strony Clyde'a. Czuła wyraźnie, że jej dawny kochanek zupełnie chce uniknąć odpowiedzialności i wcale nie ma zamiaru z nią się żenić, mimo to nie mogła się zdobyć na żadne stanowcze postanowienie. Kilkakrotnie napomykała mu nieśmiało, iż spodziewa się nadal, że Clyde małżeństwem odpłaci się za jej oddanie. On jednak odpierając niejasną może jeszcze z jej strony groźbę, tłumaczył, że jeśliby jej przyszło na myśl zwrócić się z żalami i pretensjami do stryja, to niech pamięta, że nikt nie może go zmusić do małżeństwa, że najwyżej wyjedzie wówczas stąd na zawsze. Teraz żenić się nie może, stanowisko jego na to mu nie pozwala, zresztą z jego zarobków nie mogliby się utrzymać, a co najważniejsze, nie mógłby jej wcale pomóc, gdy nadejdzie chwila rozwiązania, a na tym jej przecież najwięcej powinno zależeć.

Widziała więc Roberta, że Clyde nie wyrzeka się ostatecznej pomocy, lecz zrozumiała, że zmusić go do małżeństwa nie może. Zresztą nie łudziła się tą nadzieją już wtedy, gdy go zaczęła przyjmować u siebie.

Clyde jednak nie był pewien, czy jego argumenty są dostatecznie przekonujące, i żył w ciągłej obawie, że Roberta może spełnić swe niejasne groźby. Niepewność takiej sytuacji zmusiła go do szukania dyplomatycznych wybiegów. Zaczął więc okazywać trochę więcej zainteresowania jej zdrowiem i odnosił się do niej życzliwie i przyjaźnie. Miał nadzieję, że takim postępowaniem uspi niepokój dziewczyny, ona zaś widząc, jak żywy udział bierze Clyde w strapieniu, będzie pewna, że jej nie skrzywdzi i jeśli nie będzie innego wyjścia ożeni się z nią.

Zadowolony, że przestała go teraz tak natarczywie nagabywać, wyobrażał sobie, że ponieważ ma więcej spokoju, uda mu się obmyślić jakiś fortel, który mu dopomoże w uniknięciu wszelkiej odpowiedzialności i załatwieniu tej sprawy bez małżeństwa i porzucenia posady.

Chociaż Roberta rozumiała przyczyny tej nagłej zmiany, czuła się jednak tak osamotniona i przygnębiona, że chętnie słuchała dowcipów Clyde'a i wesołych, może niezbyt trafnych uwag o różnych osobach i zdarzeniach. Zgodziła się czekać cierpliwie, dopóki Clyde nie zaoszczędzi trochę pieniędzy, jak ją zapewniał, i nie obmyśli jakiegoś wyraźnego planu, który by mu pozwolił na jakiś czas przynajmniej wyjechać do innego miasta, ożenić się z nią i po przyjsciu na świat dziecka przedstawić światu jako prawną żonę. Potem mógłby wrócić do Lycurgus i stamtąd przysyłałby jej pieniądze na utrzymanie. Gotów jest na wszystko, pod jednym wszakże warunkiem, że dopóki nie da na to swego pozwolenia, nie wolno jej przyznawać się, że jest jego żoną ani że on jest ojcem jej dziecka.

Roberta jednak umyśliła sobie coś innego. O ile Clyde z nią się ożeni, nie będzie nigdy ciężarem dla niego, będzie się utrzymywać własnymi siłami, ale chociażby miała narazić się na niezadowolenie Clyde'a, jednak musi się przyznać, że jest jego żoną. Oczywiście

zamieszkałaby w tym celu gdzie indziej, nie w Lycurgus. Clyde jednak ani na chwilę nie myślał szczerze o urzeczywistnieniu tych projektów, nie miał zamiaru opuszczać Lycurgus, chociażby na czas krótki, czego istotnie wymagało jej położenie. Nie chciał rozłączać się z Sandrą, bo jego nieobecność mogłaby mu bardzo popsuć plany. Przychodziły mu do głowy przeróżne melodramatyczne pomysły, żeby wziąć ślub symulowany, jak to nieraz widział w kinematografie, z fałszywym księdzem, fałszywymi świadkami, co doskonale mogłoby się udać z taką prostą, wiejską dziewczyną jak Roberta, dochodził jednak do przekonania, że byłaby to próżna strata czasu, pieniędzy, energii i przebiegłości.

Czuł się bezsilny, nie umiał nic poradzić, a widział jasno, że jeśli jakiś nieprzewidziany wypadek nie wybawi go z tej opresji, to każda godzina zbliża go do nieuniknionego nieszczęścia, któremu sam nie był zdolny zapobiec. Gotów był w fatalnej chwili wyprzeć się wszelkiej znajomości z tą dziewczyną.

Nie przyzna się, że łączył go z nią jakiś bliższy związek. Widywał ją tylko w stemplarni jako jej zwierzchnik i nic więcej... A z jej strony jest to zwykły szantaż!

Na początku maja Roberta oświadczyła, że czuje się bardzo osłabiona, męczą ją różne dolegliwości i dłużej jak do czerwca nie będzie mogła pracować w warsztatach, gdyż inne dziewczęta mogłyby łatwo zauważyć jej stan.

Również w tym czasie Clyde dowiedział się od Sandry, że czwartego albo piątego czerwca wybierają się obie z matką i kilkoma służącymi do Twelfth Lake, aby przed rozpoczęciem sezonu roztoczyć nadzór nad instalacjami zaprowadzanymi w ich posiadłości. Około zaś piętnastego, kiedy już Cranstonowie, Harrietowie i inni zjadą się na wilegiaturę*, Clyde otrzyma od Cranstonów zaproszenie, aby u nich spędzał swoje weekendy, co już miała ułożyć Sandra z Bertiną. (* Wilegiatura - letnisko, wakacje na wsi.) Może prócz tego otrzymać podobne zaproszenie od Harrietów, Phantonów, a na pewno i od Griffithsów, ponieważ Bella i Myra będą tu często przyjeżdżać. Sandra wiedziała, że w lipcu Clyde będzie miał dwa tygodnie urlopu i wtedy musi koniecznie przyjechać do Twelfth

Lake. Może zamieszkać w Casino w Pine Point albo u Cranstonów czy Harrietów, którzy chętnie zrobią to dla Sandry i go zaproszą.

Otwierała się więc przed Clyde'em perspektywa, że zobaczy, pozna wreszcie to wielkopańskie życie, o którym tyle czytywał w gazetach, ujrzy na tym romantycznym tle Sandrę i będzie przyjmowany we wszystkich tych letnich pałacykach, których właściciele nie byli tak nieżyczliwie dlań usposobieni, jak rodzice Sandry. Bo dowiedział się właśnie niedawno od niej niezbyt pocieszającej wiadomości, że jej rodzice, widząc u niej coraz silniejsze zainteresowanie Clyde'em, postanowili, aby z matką i Stuartem wyjechała na dwa lata do Europy.

Clyde był zrozpaczony dowiedziawszy się o tym, jednak zakochana panna, nie mniej od niego zmartwiona, starała się go uspokoić. Nie powinien się tym przejmować, jeszcze może nie będzie tak źle, może wszystko obróci się na dobre. Miała zamiar powoli, spokojnie usposobić matkę życzliwiej dla przedmiotu swej miłości, a wtedy może projektowana podróż nie doszłaby do skutku.

Rozgorączkowana

wyobraźnia Clyde'a knuła już plany wykradzenia panny i małżeństwa bez wiedzy rodziców, którzy po fakcie musieliby się na nie zgodzić. Co prawda, takie myśli, w niezbyt jeszcze jasnej i konkretnej formie, przychodziły do głowy także Sandrze, tym bardziej że matka starała się skierować jej uwagę na jednego z młodych ludzi z ich sfery, który już w zeszłym roku starał się o jej rękę. Nie pozwoliła jednak nawet mówić sobie o tym, zbyt wiele już bowiem miejsca w jej sercu zajmował Clyde. - Nic z tego nie będzie - odpowiedziała natychmiast. - Jestem jeszcze za młoda. Mogą mnie namawiać, ale nie tak łatwo sobie ze mną poradzą. Wyjdę tylko za człowieka, którego sama sobie wybiorę, a jeżeli mi na to nie pozwolą, to jest jeszcze wiele na to sposobów.

Słowa jej stały się słodką, upajającą trucizną dla Clyde'a.

A! żeby... żeby nie było tej Roberty! Tej ciężkiej, strasznie ciężkiej kuli u nogi, której w żaden sposób pozbyć się nie może. Wyraźnie los się do niego uśmiecha, bo nawet Sandra obiecuje przekonać rodziców... Jakaż wspaniała czeka go przyszłość! Sandra,

pobyt w Twelfth Lake, wykwintne towarzystwo, bogactwo, miłość i upojenie pięknnością tej uroczej istoty. Obłądana radość ogarniała go na samą myśl o tym. Gdyby się pobrali, ileż dla niego może uczynić jej rodzina! Wejdzie do ich sfery, może otrzymać jakieś wysokie stanowisko w ich fabryce, a wtedy będzie równy, a może nawet wyższy od takiego Gilberta, a nawet od tych wszystkich, którzy go sobie z początku lekceważyli. Będzie takim samym dziedzicem majątku Finchleyów jak i Stuart, z Sandrą w dodatku jako koroną tych bajkowych splendorów.

Poił się nieraz do utraty przytomności tymi marzeniami, nie zakłócając sobie spokoju myślą o tym, w jaki sposób to szczęście osiągnie, w jaki sposób pozbędzie się Roberty, która może zażądać ślubu.

Porzuci ją i już!

Czasami znów uświadamiał sobie jasno, że nigdy jeszcze w życiu nie wisiało tak nisko nad nim nieszczęście. Wszyscy, a zwłaszcza jego matka, byliby zdania, że powinien spełnić swój obowiązek i ożenić się z Robertą, dopomóc jej w oczyszczeniu się z hańby, ale czyż jego siostrą zajął się ktoś? Może kochanek? Porzucił ją nie namyślając się długo, a ona od tego nie umarła. Dlaczego więc Roberta, która nie jest czymś lepszym i wcale nie znajduje się w gorszym położeniu niż Esta, ma koniecznie go zgubić? Ma go zmusić do czynu, który by zniszczył go doszczętnie? A przecież gdyby powiodły mu się jego plany, mógłby jej więcej dopomóc niż teraz. Oczywiście z pieniędzy Sandry.

Rozdział XXIX

Zaszły teraz dwa zdarzenia, które jeszcze bardziej zaostrzyły rozdzwięk między Clyde'em a Robertą.

Pierwszym był zwykły sobie fakt, że Roberta spostrzegła Clyde'a rozmawiającego z Arabellą Stark, która siedziała we wspaniałym samochodzie przed gmachem poczty i czekała na ojca. Panna Stark była prześlicznie ubrana, modnie, odpowiednio do sezonu i do swego wykwintnego gustu; siedziała z wielkim wdziękiem przy kierownicy i pozowała na sportsmenkę nie tylko przed Clyde'em lecz i przed oczyma wszystkich przechodniów.

Roberta, zgnębiona niepewnością swego położenia i własną nieumiejętnością stanowczego rozwiązania sprawy, spojrzała zachwyconymi oczyma na elegantkę, która wydała się jej uosobieniem przepychu, szczęścia, spokoju, istotą wolną od wszelkich cierpień, a zwłaszcza takich, jakie piętnowały ją, Robertę.

Dlatego więc serce Clyde'a odwróciło się od niej, dla takich oto szczęśliwych istot zubożniał dla niej, niczym mu było straszne widmo przyszłości, grożącej jej bezustannie...

Tak, stroni od niej, bo cóż oprócz trosk może mu ofiarować? Nie ma nic takiego, co mogłoby przyćmić, a chociażby zrównoważyć szczęście, jakie przed nim otwiera... Nic, absolutnie nic!... Gdy porównała swe nieszczęsne, nędzne położenie ze stanowiskiem społecznym panny Stark, zrodził się w niej bunt, nigdy tak silnie nie wydobywający się z głębi jej duszy. To jest niesłuszne! To nikczemne!

Od jakiegoś czasu Clyde, znudzony udawaniem, nie zwracał znowu na nią uwagi, zamieniał parę słów w stemplarni i nie bywał u niej wcale, nie chcąc się narażać na ciągłe pytania, na które nie lubił odpowiadać. Czowała, że nie tylko zubożniał dla niej, lecz że zaczyna ją nienawidzić.

Poszła do domu mając w pamięci tę zwykłą, pospolitą, a tak wymowną dla niej scenę, lecz w sercu jej nie było już gniewu, osiadł tam smutek i troska. Miłość i spokój uleciały na zawsze i nigdy... nigdy nie powrócą...

Nigdy!... jakież to straszne... okropne!

Prawie w tym samym czasie jakiś los przekorny a złośliwy podsunął przed oczy Clyde'a widok równie wymowny, mający związek z Robertą.

Którejś niedzieli rozbawione towarzystwo wybrało się do Arraw Lake, gdzie była letnia siedziba Trumbullów. Wybrano drogę na Biltz, której nikt z towarzystwa nie znał. W pewnym miejscu drogi krzyżowały się i to wprowadziło w kłopot młodego Trumbulla, bo nie wiedział, którądy ma jechać. Niedaleko stał jakiś dom, więc Clyde, ponieważ siedział tuż przy drzwiczkach samochodu, wyskoczył i poszedł zapytać o drogę. Przelotnie spojrzął na nazwisko, wypisane na skrzynce pocztowej stojącej na wzniesieniu i niechybnie należącej do właściciela tego okropnie zrujnowanego domostwa. Ku swemu zdumieniu przeczytał nazwisko Tytusa Aldena, czyli ojca Roberty. Przypomniawszy sobie, że opisywała mu nieraz farmę swego ojca, i nie wątpił już, że jest to dom rodzinny Roberty.

Zawahał się, czy ma tam wejść, pamiętał bowiem, że dał kiedyś Robertce swoją fotografię, obawiał się więc, czy go tam kto nie pozna, jeżeli Roberta pochwaliła się swą znajomością.

Widok tego zrujnowanego, odrapanego domu tak wyraźnie powiedział mu kim jest Roberta, że bez namysłu czym prędzej zawrócił do samochodu.

Siedząca w aucie Sandra, widząc jego wahanie i pośpieszny odwrót, zapytała:

- Co ci się stało Clyde? Złakłeś się stracha na wróble?

Spostrzegł, że naraża się na podejrzenie, zatrzymał się więc na ścieżce. Niezbyt szlachetne myśli zrodził jednak widok tego domu.

Cóż to za chałupa! Jakże nędznie i ponuro wygląda nawet w ten piękny dzień wiosenny! Ten dach dziurawy i zapadnięty... jeden komin rozwalony... kawałki cegieł leżą u jego podstawy, drugi pochylił się i podparto go drągiem... Ścieżki, którą teraz szedł z

wolna, nigdy graca nie dotykała... W niemałe zdumienie wprowadził go widok kamieni poobsuwanych, popękanych, a mających imitować stopnie do drzwi wejściowych. A te zrujnowane, koślawe zabudowania gospodarskie w jeszcze gorszym były stanie...

A więc to jest dom Roberty? I ona śmie żądać, żeby się z nią ożenił, wówczas gdy czeka nań Sandra i wszystkie wspaniałości świata? Tu, tu jest z nim Sandra! siedzi w samochodzie i patrzy... i widzi... i może rozumie, co się dzieje w jego duszy... Nędza! Rozpacz! Czyżby to taka miała być jego przyszłość?

Ze strasznym uczuciem w duszy, jakby w oczekiwaniu jakiegoś ciosu zbliżył się do drzwi. Ku większej jego udręce otworzył mu je sam Tytus Alden, w starym roboczym ubraniu, z powycieranymi łokciami, w drelichowych, workowatych spodniach, grubych, zabłoconych butach, i spojrzał nań pytającym wzrokiem. Clyde, zaskoczony widokiem tego stroju i wielkim podobieństwem do Roberty, objawiającym się głównie w wyrazie ust i oczu, zapytał śpiesznie, która droga prowadzi do Biltz i łączy się z główną szosą.

Chciał usłyszeć jak najkrótszą odpowiedź i odejść stąd jak najspieszniej, lecz Alden wolał wyjść na podwórze i tam gestykulując rękoma pokazywał, że najlepiej będzie jechać naprzód do Trippettsville, a przejechawszy ze dwie mile na północ zawrócić na zachód.

Clyde, nie czekając końca szczegółowych informacji, podziękował mu grzecznie i zawrócił do samochodu.

W więc to jest dom Roberty! I ona zamyśla związać swe życie z jego życiem - teraz, kiedy los się doń uśmiecha, kiedy czeka go miłość, dostatki, radość, pewna pozycja w świecie! Ma to wszystko porzucić, uciec i żenić się z nią! Machnąć ręką na wszystko i może tu nawet zamieszkać? O, jakież to straszne, ohydne!... I jeszcze z dzieckiem na karku!... O, jakże był głupi, szalony, nawiązując z nią znajomość! i to tylko dlatego, że mu się nudziło, że nie miał towarzystwa, że czuł się tak samotny! Czemuż nie poczekał cierpliwie, aż otworzą się przed nim podwoje tego wytwornego świata? Dlaczego nie zaczekał?

A teraz, jeżeli nie odczepi się od niej, ten świat świeżo poznany cofnie się od niego, a tamten - świat nędzy, ubóstwa - wyciągnie ku niemu ramiona, by go zagarnąć, wtłoczyć w koryto pospolitego, podłego życia, którym gardził już w domu rodzicielskim, i zdusić, zdeptać go bezpowrotnie!

To coś osobliwego, żeby on i ta dziewczyna, której koleje losu są tak uderzająco podobne do jego życia, zeszli się i przyłgnęli od razu do siebie. Dlaczego tak się stało? Jakże dziwne jest życie!...

Musi, stanowczo musi wybrnąć jakoś z tego straszego położenia! Natężył umysł, żeby wynaleźć jakiś sposób, wyszukać jakąś drogę, która by bezpiecznie doprowadziła go do celu. Jedno słowo skargi ze strony Roberty, zwrócone do stryja lub Gilberta, zniszczy wszystkie jego nadzieje.

Tak był zajęty tym zagadnieniem, że usiadłszy przy Sandrze pograżył się w zadumie, co było tym dziwniejsze, że przedtem był bardzo ożywiony i wesoły.

Sandra, która przedtem snuła przy nim projekty wspólnych rozrywek, nie wróciła do tego samego tematu, lecz zapytała:

- Cio kociak taki smutny?

Miała zwyczaj w ten sposób rozpraszać jego smutki i skutek bywał natychmiastowy. Clyde ożywił się od razu i nazywał ją swoją "szczebioczącą panienką".

- Buzia smutna, a dopiero cio była wesoła... ziobić mi zalaż wesołą buzię!... Uśmiechnąć się do Siandly! Uścisnąć łaczkę Siandly, bzidki chopaćku...

Pochyliła się i zajrzała mu w oczy chcąc sprawdzić, jaki efekt wywołały jej pieszczotliwe słówka. Clyde wysiłał się, by okazać weselszą minę. Nie mógł jednak odpędzić od siebie widma Roberty i

tego całego otoczenia, które mu ją przypominało, i tego strasznego wyroku, jaki nad nim wisiał.

Czyż możliwe, żeby znalazł sposób odzyskania wolności? Czyby nie było lepiej, chociażby miał nawet utracić Sandrę, uciec od tego wszystkiego, jak niegdyś uciekał z Kansas City od widma zamordowanego dziecka, niż pozostawać tu z tym brzemieniem? Już by nikt nigdy o nim nie słyszał...

Ale to by znaczyło stracić Sandrę, stracić wszystkie stosunki, stracić poparcie stryja, styczność z tymi wytwornymi ludźmi!... Ruina! ruina!... Cóż go może czekać? Taka sama nędza... a ileż już się jej nacierpiał... Musiałby przyznać się przed matką, dlaczego uciekł, a zresztą dowiedziałyby się i tak niechybnie od kogo innego i w jeszcze bardziej niepocholebnym świetle... A co pomyśleliby o nim jego krewni? Pisał przecież niedawno do matki, że prowadzi się porządnie...

Jakiż straszny los go ciągle prześladowuje! Czy już całe jego życie będzie takie? Porzucił jedno dobre stanowisko zajął drugie i znów je musi rzucać i po to może, aby raz jeszcze szukać czegoś innego...

Nie! nie może znowu uciekać! Musi stawić czoło wszystkim trudnościom i wybrnąć z nich... Musi!

O, Boże!

Rozdział XXX

Nadszedł piąty czerwca i Finchleyowie wyjechali, lecz przed wyjazdem Sandra upominała Clyde'a, żeby był przygotowany na to, iż na pierwszą, a najdalej na następną niedzielę zostanie zaproszony do Cranstonów na weekend.

Wyjazd Sandry bardzo przygnębił Clyde'a. Był zrozpaczony, nie wiedział, co będzie robił podczas jej nieobecności, tym bardziej że coraz mniej cierpliwie znosił Robertę, która teraz już natarczywiej domagała się stanowczego zakończenia, bo uważała, że dłużej trudno byłoby czekać. Figurę miała tak zmienioną, przynajmniej w swoim mniemaniu, że nie mogłaby dłużej ukryć swego stanu, wszystkie koleżanki mogłyby się łatwo domyślić. Coraz trudniej znosiła pracę, nie mogła sypiać, nie mogła stanowczo dłużej pracować w stemplarni. Miała jakieś bóle, które ją przerażały, jakkolwiek nie mogły być groźne.

Teraz właśnie nadszedł czas, kiedy Clyde musi się z nią ożenić, musi ją dokądś wywieźć, dokądkolwiek, wszystko jedno dokąd. Tam już pozostałaby do rozwiązania.

Clyde zaś niech idzie swoją drogą, nie będzie go trzymała przy sobie po urodzeniu dziecka, niech robi, co chce... Niczego więcej od niego żądać nie będzie... Ale teraz, zaraz nawet, w tym tygodniu jeszcze, najdalej za dwa, musi spełnić to, co jej obiecał.

Znaczyło to, że ma z nią wyjechać jeszcze przed wyjazdem do Twelfth Lake... Jak tu jednak wyjechać, kiedy nie ma dostatecznej ilości pieniędzy, a czekają go niemałe wydatki na podróż i chorobę Roberty. Wprawdzie Roberta ma zaoszczędzone sto dolarów, mogliby z nich skorzystać oboje albo zatrzymać je na konieczne wydatki.

Więc co? ma wyjechać z nią razem? Wobec tego musiałby rzucić pracę w Lycurgus i szukać gdzie indziej zajęcia. Więc trzeba zapomnieć o wszystkim? Zgodzić się na nędzę?

Długo sobie nad tym łamał głowę i doszedł do przekonania, że musi ją namówić, aby na razie sama wyjechała, na jakiś czas przynajmniej, dopóki on nie zbierze potrzebnej sumy, bo niestety,

nie zaoszczędził jeszcze tyle, ile trzeba na taką przeprowadzkę. Tłumaczył jej więc przebiegle, że niedługo, o, bardzo niedługo, najdalej za jakie trzy lub cztery tygodnie będzie miał już tyle, ile im potrzeba.

Roberta przypuszczała, że wystarczy im w zupełności sto albo sto pięćdziesiąt dolarów, co już wydawało się jej olbrzymią sumą, Clyde miał jednak dopiero czterdzieści, a przecież czekały go wydatki związane z wyjazdem do Twelfth Lake.

Zwrócił jej uwagę, że ma bardzo skąpo zaopatrzoną garderobę i namawiał, aby sobie tymczasem sprawiła trochę sukien. Jeżeli mają się pobrać, nie może poprzestać na tym, co ma. Na taką wyprawę może użyć właśnie swych zaoszczędzonych pieniędzy.

Robercie trafiło to do przekonania, bo przez czas dłuższy, niepewna swego położenia, nic sobie nie kupowała. Może to i dobrze byłoby podczas parotygodniowego pobytu u rodziców uszyć sobie przy pomocy jakiejś taniej krawcowej parę porządnych sukien...

Jedną na przykład kolorową, taftową, jaką widziała kiedyś w kinie, w której, jeśli Clyde dotrzyma słowa, mogłaby wziąć ślub. Dla skompletowania tego stroju kupiłaby sobie jedwabny kapelusz, maleńki, z gałązką wiśni u boku. Drugą suknię wybrałaby granatową, przy brązowych pantofelkach i brązowym kapeluszu wyglądałaby bardzo szykownie...

Tak, ale takie sprawunki wpłyną też na zwłokę w terminie ślubu i powiększą wydatki... A może potem Clyde nie będzie chciał się ożenić?

I chociaż to całe małżeństwo było tak zbrukane, tak wytargowane, że myślało się o nim jako o nieuniknionej konieczności, jako o uprawnieniu nielegalnego związku, była to jednak przełomowa chwila w życiu, był to sakrament, owiany pewnym tchnieniem poezji, która w oczach Roberty mimo wszystko nie mogła stracić na sile. Może to dziwne, ale jakkolwiek trwały między nimi bardzo naprężone stosunki, Roberta zawsze patrzyła na Clyde'a rozkochanymi oczyma. Przecież to Griffiths! młodzieniec z wyższej sfery, bratanek

potężnego Griffithsa! Do takiego człowieka, nie tylko taka jak ona dziewczyna, lecz każda elegancka panna należałaby z radością, tylko że z tamtą chętnie by się ożenił. Zupełnie naturalne, że nie ma wielkiej ochoty brać Roberta za żonę, bo kimże jest ona przy nim... Ale jak byłaby z nim szczęśliwa, gdyby choć troszkę ją kochał! A przecież zaznała już słodyczy jego miłości...

Słyszała kiedyś, nie pamięta, czy od matki, czy od innych kobiet, że u niektórych mężczyzn wraca uczucie na widok własnego dziecka i budzi się w nich na nowo miłość do matki narodzonej świeżo istotki. O, gdyby jeszcze przez czas jakiś mogła go utrzymać przy sobie, chociaż do czasu, gdy ich dziecko przyjdzie na świat! Żeby dał mu swe nazwisko, żeby zajął się nią, dopóki nie będzie mogła zacząć pracować na siebie!...

Tak sobie roiła czasami, znosząc przy tym przeróżne przykrości, nerwowe dolegliwości i wyraźną obojętność Clyde'a.

Stosując się do woli Clyde'a, napisała do rodziców, że przyjedzie do nich na jakieś dwa tygodnie. Chce trochę odpocząć, bo niezbyt dobrze się czuje. Poszyje sobie przy tym trochę sukien.

W pięć dni później Clyde z wielką ulgą odprowadził ją aż do Fonda. Nie będzie już miał nareszcie tej troski na głowie, będzie miał spokój, spokój... co za radosne słowo! a nie mając noża na gardle będzie mógł z lepszym skutkiem coś obmyślić, nie będąc zmuszanym do czynu, nie będąc torturowany obawą, że Roberta w przystępie jakiegoś nerwowego ataku może się z czymś zdradzić albo zrobić coś takiego, co mogłoby mu zaszkodzić w jego planach.

W tym samym czasie otrzymywał od Sandry rozkoszne liściki z Twelfth Lake, w których opisywała mu przyjemności, jakie go czekają. A więc błękitne wody jeziora, białe żagle łódek, tenis, golf, jazda konno, przejażdżki samochodem... Wszystko już zorganizowała z Bertiną. Tymczasem zasyła mu wiele, bardzo wiele pocałunków!...

Rozdział XXXI

Oto dwa listy, które przysłyły jednocześnie i jeszcze silniej podkreśliły całą trudność położenia:

Pine Point Landing, 10 czerwca Clyduś mileńki!

Jakże się miewa mój kiciuś? Tutaj jest cudownie. Masę osób już przyjechało, a z każdym dniem przyjeżdża coraz więcej. Kasyno i plac do golfa już otwarte i pełno tam zawsze osób. Stuart i Grant wybierają się swoimi motorówkami na Gray's Inlet, musisz więc, kochany, pośpieszyć się z przyjazdem. Tak jest pięknie, że trudno wyrazić słowami. Takie są cudne te szmaragdowe pola, po których będziemy jeździli konno. Czeka nas prócz tego pływanie, wiosłowanie i codziennie od czwartej tańce w kasynie.

Właśnie w tej chwili zsiadłam z Dickeya, lecz po śniadaniu wyjeżdżam znowu, ale już na pocztę, żeby wysłać te listy. Bertina obiecała, że dziś albo jutro napisze do Ciebie, żebyś przyjechał na weekend albo kiedy zechcesz, a że Sandra chce, musisz więc przyjechać, koniecznie, słyszysz, koniecznie... bo Sandra da w skórę, zobaczysz!

Czy ten brzydki chłopczyk bardzo ciężko pracuje w swojej fabryce? Sandrunia chce, żeby on był przy niej, bo chce z nim tańczyć, pływać i jeździć na koniku...

A nie zapomnij o rakiemie tenisowej i kijach do golfa. Prześliczny jest plac przy kasynie.

Podczas mej rannej przejażdżki jakiś ptaszek wleciał pod kopyta Dickeyowi, który tak się przestraszył, że stanął dęba i Sandrunia o mało nie spadła... Czy Clyduś bardzo się tym zmartwił?

Sandrunea napisała dzisiaj masę listów. Jak je wyśle wszystkie, pójdzie z Bertiną i Niną do kasyna. Czy nie chciałbyś pójść z nami? Tańczylibyśmy pod melodię "Taudy", bo Sandrunea bardzo lubi tę piosenkę. Ale teraz Sandrunea musi iść się ubrać. Jutro otrzymasz więcej wiadomości, ty brzydki chłopczyku. A na list Bertiny odpisz zaraz. Widzisz te kropki? To są pocałunki... Takie duże i małe, a wszystkie dla brzydkiego chłopczyka... Sandrę masz wspominać codziennie, bo ona co dzień pisać będzie do ciebie. Jeszcze trochę całusów.

Clyde natychmiast odpisał w tym samym tonie, ale tegoż dnia poczta przyniosła mu także list od Roberty.

Biltz, 10 czerwca

Clyde, drogi mój!

Idę już spać, ale przedtem chciałam Ci przesłać parę słów. Tak męcząca była ta podróż, że przyjechałam prawie chora. Wiesz dobrze, że nie miałam ochoty jechać sama tak daleko. Czułam niepokój, jakieś dziwne przerażenie, chociaż wiedziałam, że spełniam tylko to, co należy do naszych planów, bo przyjedziesz przecież niedługo po mnie, jak to obiecałeś.

Clyde'owi w tym miejscu słabo się zrobiło na wspomnienie obrzydliwej chałupy, w której teraz zamieszkała Roberta, uczył jednak przy tym bolesny ucisk serca z litości nad nią. Czy to jej wina, że znalazła się w tak strasznym położeniu? Cóż ona dobrego zaznała w życiu i co ją czeka? Nic... prócz ciężkiej pracy, a może zamążpójścia

za pospolitego człowieka. Po raz pierwszy od wielu dni, może dlatego, że dwie jego kobiety były nieobecne, myślał o Robertce ze współczuciem i smutkiem. Czytał dalej:

Bardzo ładnie jest teraz tutaj. Drzewa się ślicznie zazieleniły i kwiaty zakwitły. Ze swych okien słyszę brzęczenie pszczoł w sadzie. Wyjechawszy z Lycurgus postanowiłam najprzód pojechać do siostry, bo nie jestem pewna, czy ją kiedyś jeszcze zobaczę, chyba

że mi wrócisz moją cześć kobiecą, bo tylko wtedy mogłabym jej spojrzeć w oczy. W przeciwnym razie nigdy już jej nie zobaczę. Nie wyobrażaj sobie, że obmyślam coś strasznego... Nie, jest mi tylko bardzo smutno na duszy. Mają taki śliczny mały domek, bardzo ładnie umeblowany, mają i gramofon, i wszystko, i Agnes jest bardzo szczęśliwa ze swoim Fredem, i mam nadzieję, że tak szczęśliwa będzie zawsze. Nie mogę oprzeć się myśli, że i nam byłoby dobrze w takim domku. Od samego przyjazdu Fred zanudza mnie pytaniem, dlaczego nie wyszłam jeszcze za mąż. Odpowiedziałam mu, że być może niedługo zobaczy mnie mężatką. Skoro ktoś wytrwale na coś czeka, dochodzi do celu. - Tak, ale żebyś nie skończyła tylko na czekaniu - odciął mi.

Tak jestem szczęśliwa, że mam znów matkę przy sobie, moją najdroższą, najlepszą w świecie matkę, dla której nigdy, nigdy nie chciałabym być przyczyną zmartwienia. Mam przy sobie rodzeństwo i jest mi z tym dobrze, tylko że bywa tu sporo osób wieczorami i chcą, żebym się z nimi bawiła, ale że niezbyt dobrze się czuję, więc nie mam ochoty na karty, różne gry ani tańce.

Skrzywił się Clyde na wspomnienie tego odrapanego domu. Ukazała mu się Roberta na tle tej koślawej chałupy, rozwalonego komina, przy boku nieokrzesanego ojca. Zerknął na leżący obok list od Sandry.

I ojciec, i matka, i rodzeństwo starają mi się we wszystkim dogodzić, ale mi to sprawia przykrość, bo co by powiedzieli, gdyby mogli wiedzieć o mnie całą prawdę. Pytają mnie czasem o powód mego smutku, ale odpowiadam zawsze, że jestem przemęczona pracą fabryczną. Matka utrzymuje, że powinnam zupełnie rzucić zajęcie, a przynajmniej chociaż odpocząć dłużej niż dwa tygodnie, abym mogła zupełnie wydobrzeć. Nie wie, biedactwo, co mi jest... O Boże! Gdyby też wiedziała, Och, Clyde! nie umiem nawet wyrazić, jakie to dla mnie jest chwilami straszne...

Ale nie chcę Ciebie zasmucać, mój miły, pragnę tylko, żebyś się po mnie zgłosił i zakończył naszą sprawę tak, jakżeśmy to ułożyli. Za jakieś trzy tygodnie będę zupełnie gotowa, bo oddałam się gorliwie pracy, chcąc zająć myśli czymś innym. Ale ty po mnie przyjedziesz, najdroższy, prawda? Nie sprawisz mi już więcej bólu i zmartwienia

jak wtedy - o, jakże to już dawno było... jak wtedy, gdy byłam w domu na Boże Narodzenie. Ale bywałeś także i bardzo dobry dla mnie...

Nie będę Ci już teraz robiła wymówek, bo wiem, że mnie nie kochasz wcale, a mnie też jest wszystko jedno, co się dzieje w Lycurgus, tym bardziej że nie patrzę na to. Ale i potem nie będę robiła Ci wymówek, przysięgam Ci.

Najdroższy, przebacz mi tę plamkę, nie umiem jakoś zapanować teraz nad sobą. Przyjechałam tu niby dla sprawienia sobie paru sukien, rodzina moja przypuszcza, że potrzebne mi będą na zabawy, na których, jak sobie wyobrażają, bywam w Lycurgus. Są pewni, że zawsze się dobrze bawię. Niech tak myślą, może to i lepiej...

Mam pojechać do Fonda po kupno rozmaitych rzeczy, o ile nie poślę po nie pani Anse, mojej krawcowej. Więc gdybym pojechała, może byś chciał się ze mną zobaczyć, jeśli będziesz mógł naturalnie, ale pewnie nie będziesz mógł. Tak bardzo pragnęłabym zobaczyć Cię raz jeszcze i porozmawiać z Tobą przed tym naszym zamierzeniem... Wszystko to wydaje mi się jakieś dziwne. Sprawiam sobie suknie w pewnym celu, pragnę Cię zobaczyć, a wiem, że wszystko to jest dla Ciebie obojętne, a nawet przykre, i wcale do tego nie zmyślasz. Wiem również, że jesteś zadowolony, że udało Ci się wyprawić mnie do domu, bo sam możesz bawić się dobrze. Ale czy też jest Ci równie przyjemnie, jak nam obojgu w zeszłym roku, gdyśmy bawili się na wycieczkach, spacerach nad jeziorem i wszędzie, gdzie się dało?

Ale to nieważne, pamiętaj tylko, Clyde, żeś zgodził się dla mnie na to poświęcenie, i nie miej o to do mnie urazy. Wiem, że to dla Ciebie jest przykre, ale nie zapominaj, że gdybym była inna, mogłabym gorzej z Tobą postąpić. Wiesz jednak, że taka nie jestem, i możesz się mnie nie obawiać. Gdybyś po spełnieniu swej obietnicy nie chciał mieć ze mną nic wspólnego, możesz odejść w spokoju...

O, Clyde, napisz do mnie długi, wesoły list, chociażbyś wcale nie miał na to ochoty, i powiedz w nim wszystko o sobie. Napisz mi, że nie pomyślałeś o mnie ani razu, gdyś mnie stracił z oczu, że nie

pragniesz wcale, żebym tam powróciła, i że nie będziesz mógł w żaden sposób przybyć tu po mnie...

O, mój miły, napisałam zupełnie bezwiednie wszystkie swe straszne myśli, ale nie mogę zupełnie się opanować. Tak bym chciała pomówić o wszystkim, co mnie boli. Nikomu oczywiście z tutejszych nie mogę o tym wspominać, bo nie zrozumieliby mnie wcale. Nie mam więc nikogo.

Nie powinnam jednakże być smutna ani przygnębiona, bo czyż mi tu nie jest dobrze? Obiecuję więc, że będę w lepszym humorze, chociażby dlatego, że ulżyłam sobie pisząc do Ciebie, Clyde. A może będziesz tak dobry i odpiszesz mi choć w kilku słowach, aby mnie choć trochę pocieszyć. Tak bardzo tego potrzebuję... I przyjedziesz, nie wątpię w to. Taka będę wtedy szczęśliwa i obiecuję, że nigdy Ci już więcej nie będę dokuczać.

Twoja osamotniona Berti.

Miał przed sobą te dwa tak odrębne listy i powziął silne postanowienie, że nigdy, o, z pewnością nigdy nie ożeni się z Robertą, że nie pojedzie wcale do Biltz i że nie pozwoli jej, jeśli to będzie w jego mocy, powrócić do Lycurgus. Cała ta projektowana afery wypadła właśnie na czas zamierzonej jego bytności w Twelfth Lake. Czy więc ma jechać do Sandry, czy też wyjechać bezpowrotnie z Lycurgus i zenić się z Robertą?

Boże wielki! Czy nie wybrnie nigdy z tej okropnej sytuacji, czy nie znajdzie żadnego możliwego sposobu.

Gdy w ten śliczny czerwcowy wieczór powrócił z pracy, zastał w swoim pokoju oba listy. Położył się teraz na łóżku i wzdychał ciężko.

A cóż to za podłe położenie! czy będzie zmorą całego jego życia? Czy nigdy nie potrafi jej przekonać, żeby wyjechała sobie stąd raz na zawsze albo pozostała u rodziców? Mógłby jej przysyłać po dziesięć dolarów tygodniowo, nawet dwanaście, zresztą połowę pensji... Mogłaby równie dobrze pojechać gdzie indziej, do Fonda

na przykład albo do Gloversville lub Schenectady, przecież to nie tak daleko. Mogłaby wyszukać sobie mieszkanie, wynająć pokój i mieszkać tam do rozwiązania. Znalazłaby sobie tam doktora i akuszerkę. Mógłby jej nawet dopomóc w tym wszystkim, gdyby tylko nie musiał wymieniać swego nazwiska.

Każę mu teraz jechać do Biltz albo spotkać się z nią gdzie indziej i to niedługo... Nie chce, nie pojedzie! Z rozpaczy zrobi coś nieobliczalnego, jeżeli Roberta będzie taki nacisk na niego wywierała... Ucieknie... albo wyjedzie do Twelfth Lake właśnie w tym czasie, gdy ona będzie się go spodziewała w Biltz. Wyjedzie nawet wcześniej jeszcze, a tam... tak, to szalone... zuchwałe, ale może się uda... tam namówi Sandrę, żeby z nim uciekła i wzięła ślub potajemnie. Nie jest jeszcze co prawda pełnoletnia, ale... skoro już będą po ślubie, rodzina ich chyba rozwodzić nie będzie, a Roberta nie tak łatwo ich znajdzie...

Ale może go oskarżyć... tak, ale on wtedy wyprze się wszystkiego... Powie, że to nieprawda, że nie miał tutaj żadnych znajomości, że znał ją tylko ze stemplarni... Gilpinowie go nie znali, nie chodził z nią również do doktora Glenna, a pewien jest, że Roberta nie wymieniła jego nazwiska. Ale czy potrafi się wyprzeć?

Czy będzie miał dosyć odwagi?

Czy będzie miał odwagę spojrzeć w twarz Roberty, w jej niewinne, wymowne, oskarżające go oczy? Czy potrafi spojrzeć?... Czy wytrzyma jej spojrzenie?... A gdyby nawet mu się to udało, czy mu kto uwierzy? Czy Sandra uwierzy, gdy się o tym dowie?

Tymczasem wszakże, zanim zdobędzie się na jakieś postanowienie, musi napisać do Sandry, że przyjedzie.

Usiadł i napisał od razu list, wkładając wiele uczucia w swe słowa.

A do Roberty nie napisze wcale. Może w ostateczności się z nią rozmówić, bo wspominała, że w sąsiedztwie jest telefon, jeżeli

więc znajdzie potrzeba, skorzysta z tego. W takich zwłaszcza sprawach każdy list może być dowodem przeciw niemu, może stwierdzić istnienie takiego stosunku. Pewnie, że jej byłoby bardzo przyjemnie odbierać od niego listy, on jednak musi unikać tego, tym bardziej że jest zdecydowany nie żenić się z nią.

Tak, to podłość, wie o tym... Wie, że postępuje jak nędznik, ale gdyby Roberta była rozsądna, nigdy by mu takie wybiegi nie przyszły na myśl.

Dla niego jest tylko Sandra... Sandra! i ta wspaniała posiadłość nad brzegiem jeziora... Jakże tam musi być pięknie! Nie! nie powinien namyślać się dłużej! Trzeba z tym jakoś skończyć... chociażby miał się wyprzeć Roberty... Musi z tym skończyć! musi...

Wyszedł, by wysłać list do Sandry. Wracając kupił sobie wieczorną gazetę, chcąc zająć myśli czym innym. Zaraz na pierwszej stronie "Times-Union" z Albany przeczytał:

Tragiczny wypadek na Pass Lake. Wywrócona łódź i pływające kapelusze zdradziły śmierć dwojga osób. Nierozpoznane zwłoki młodej dziewczyny. Ciała młodzieńca nie odnaleziono.

Ponieważ Clyde bardzo lubił zabawy na wodzie i przepadał za wiosłowaniem, czytał więc dalej z zajęciem:

Pancoast, Mass., 7 czerwca. Smutnie zakończyła się wycieczka dwojga młodych ludzi, którzy przybyli na jeden dzień nad Pass Lake.

We wtorek, około dziesiątej rano zjawiono się na przystani kasyna dwoje młodych ludzi. Młodzieniec oznajmił Tomaszowi Lucasowi, zarządzającemu kasynem, że przyjechali z Pittsfield, i wynajął małą

łódeczkę. Wsiadł do niej ze swą towarzyszką i wziął ze sobą koszyk zawierający prawdopodobnie żywność. Odpłynęli w stronę północną jeziora. Ponieważ nie wrócili do siódmej wieczorem, pan Lucas ze swym synem Jeffreyem wsiedli w motorówkę i opłynęli jezioro. Na drugim jego krańcu znaleźli swą łódź wywróconą, leżącą

w małej zatoczce, na żadne jednak ślady młodej pary nie natrafili. Przypuszczając, że jest to zwykły kawał, urządzany często przez gości, unikających w ten sposób uiszczenia zapłaty za łódź, pan Lucas zabrał łódź do przystani. Nazajutrz rano przyszło mu jednak na myśl, że może zdarzył się jakiś wypadek z tą młodą parą, więc z synem i przewoźnikiem udał się na poszukiwania. W pobliżu północnego wybrzeża zobaczyli dwa kapelusze, męski i damski, zaczepione w sitowiu jeziora. Zorganizowano więc zaraz akcję ratunkową i z sieciami wyruszono na poszukiwania. O trzeciej po południu znaleziono ciało dziewczyny, nie znanej tu nikomu, wyciągnięto je na brzeg i wezwano władze na miejsce wypadku. Ciało mężczyzny dotychczas nie znaleziono. Jezioro w tym miejscu ma trzydzieści stóp głębokości, nie można więc mieć pewności, czy sieci dosięgły dna. Podobny wypadek zdarzył się piętnaście lat temu i wówczas również nie znaleziono żadnego ciała.

Na zakiecie młodej osoby była firma krawca z Pittsfield. Na bucikach również firma z tego samego miasta. Żadnego jednak dowodu osobistego nie było przy niej, nie można więc stwierdzić jej tożsamości. Był także w łodzi jakiś koszyk, lecz z pewnością leży na dnie jeziora.

Ci którzy widzieli jej towarzysza, mówią, że był wysoki, miał ciemne włosy, lat około trzydziestu pięciu; ubrany był w jasnozielonkawy garnitur, słomkowy kapelusz z błękitną wstążką. Kobieta nie ma więcej nad dwadzieścia pięć lat, pięć stóp i pięć cali wzrostu i waży sto trzydzieści funtów. Włosy, długie i ciemne, ma splecione w warkocz i okręcone dokoła głowy. Na lewej ręce złoty pierścionek z ametystem. Zawiadomiono o tym wszystkie okoliczne oddziały policji, między innymi i w Pittsfield, ale do tej pory nie stwierdzono jej nazwiska.

Wiadomość ta, tak zwykła w letniej porze, nie zajęła zbytnio uwagi Clyde'a. Zdziwił się tylko, że przyjechali specjalnie na tak niewielkie jezioro, ulegli wypadkowi i postradali życie w biały dzień. Było również dziwne, że nikt ich nie znał. A jednak tak było... Mężczyzna zaginął zupełnie.

Odłożył gazetę nie przejmując się wcale tym wypadkiem i zajął się

własnymi kombinacjami na temat: jak wydostać się z tej skomplikowanej sytuacji, w którą tak głęboko zabrnął.

Nie przestając rozmyślać położył się do łóżka i naraz przyszła mu do głowy myśl, że gdyby to on i Roberta... nie Sandra, bo pływa doskonale, równie dobrze, jak i on sam... więc gdyby to on i Roberta byli w tej łodzi... jakież to byłoby doskonale wyjście z tej strasznej sytuacji... Jaka ulga i spokój po tych okropnych moralnych zmaganiach!

Co też mu przychodzi do głowy?... Gotów więc dopuścić się zbrodni, byleby tylko wykręcić się bez skandalu? Nie powinien ani chwili o tym myśleć! To nikczemność, podłość...

Ale... gdyby... przypuśćmy, stał się taki wypadek... zupełnie przypadkowo... bez jego współdziałania... No, tak, miałyby wtedy wreszcie upragniony spokój... zakończyłby się ten nieszczęsny związek z Robertą. Przestałby się już jej obawiać! Przestałby się obawiać o Sandrę...

Bez hałasu, bez śladu, spokojne załatwienie sprawy... a potem wolność, zupełna wolność! Taki sobie zwykły wypadek i... wszystko skończone...

Widział ciągle siebie i Robertę w podobnej sytuacji. Dlaczego mu to tak utkwilo w głowie? To było naprawdę straszne! Nie! Nie powinien nawet myśleć o tym... Jak to? Chce zostać mordercą? Chce popełnić zbrodnię? Okropne!

Myśląc o tym przypominał sobie listy dwóch kobiet. Jeden taki milutki, tak ślicznie opisujący życie w Twelfth Lake. Jakie czarujące obrazy kreśliła Sandra, by go zachęcić do przyjazdu... Czyż może zakosztować rozkoszy przebywania z Sandrą, jeżeli nie rozwiąże tamtego zagadnienia? A jakie może znaleźć wyjście, jeżeli odrzuca to najłatwiejsze i tak naturalne? Przecież taki wypadek może się zdarzyć jemu i Robertcie... Nie ma wcale na myśli popełnienia zbrodni... Myśli tylko, że wypadek taki zdarzyć się może zupełnie łatwo...

No, tak... pomyślał, że "zdarzyć się może"... a to jest ohydne, straszne i nie powinien dopuszczać do siebie takich myśli.

Nie powinien.

A jednak... jednak... Sam pływa doskonale i pływać może długo, na wielkiej przestrzeni... Roberta zaś... wie o tym dobrze... bo próbował z nią pływać zeszłego roku... nie umie wcale...

Więc... więc... no tak... Może zresztą znajdzie coś innego...

Siedział w ciemnym pokoju i czuł wyraźnie, jak te dziwne, straszne myśli wkręcały mu się w mózg. Zgroza ogarnia, gdy uświadomi sobie, że są to jego myśli! A wszystko to sprawiła ta wiadomość w gazecie... Czy to nie dziwne?

Miejscowość, w której przebywa Sandra, obfituje w wielkie jeziora... bardzo... bardzo dużo jest tam jezior... jest ich chyba kilkadziesiąt... Roberta tak lubi wszelkie rozrywki na świeżym powietrzu... lubi także wycieczki łodzią... chociaż nie umie pływać... Tak... nie umie pływać... nie umie wcale pływać...

Wybierają się... a przynajmniej on sam się wybiera do tej krainy jezior... no tak! Czyż się nie wybiera?... Dlaczego nie miałby się wybrać?... Mówili kiedyś z Robertą o tym, że pojedą razem na taką wycieczkę.

Ach, nie! Nie! Sama myśl, że może nastąpić taki wypadek, gdyby pojechali razem, jest potworna, podła, straszna! Nie powinien nawet pozwalać sobie na takie myśli... to jest nikczemne, okropne... Ach, co za ohydne pomysły! Skąd mu to przyszło do głowy! I to właśnie teraz, gdy ona żąda od niego, żeby z nią dokądś wyjechał...

Zbrodnia!

Śmierć!... Zabójstwo Roberty?

Musi jednak w jakiś sposób uwolnić się od niej... Dlaczego żąda od

niego niemożliwych, bezsensownych rzeczy i to w tak stanowczy sposób? Ochłódł dla niej, zraził się zupełnie...

Więc cóż mu innego pozostaje?

Nie! Nie! Nie wolno mu o tym myśleć!...

I to dziecko... nie narodzone jeszcze... umrze również...

Jakże on o tym może myśleć, tak na chłodno, jak może rozważać spokojnie wszystkie szczegóły?..

Ale... tyle osób pływa po jeziorach... i starzy, i młodzi... wszędzie... kiedy tylko lato nadejdzie...

Wcale nie pragnie, żeby taki wypadek zdarzył się Robercie... Zwłaszcza teraz... To nie leży w jego naturze... Może są tacy... ale nie on.

Nie, nie on! Na samą myśl o tym pot mu zalewa twarz i ręce... To nie leży w jego charakterze... wcale... Przyzwoici, porządni ludzie nie mogą myśleć o takich rzeczach... On też nie będzie... Zaraz przestanie!

W duszy miał chaos. Przerażony, że takie potworne myśli mogą nawiedzać jego głowę, wstał, zapalił lampę, przeczytał raz jeszcze wiadomość, która tyle niepokoju wniosła do jego duszy i z oburzeniem odrzucił od siebie płynące z niej pomysły. Ubrał się i wyszedł z domu, by przejść się trochę. Chodził po Wykeagy Avenue, Central Avenue, wyszedł na Oak Street, zawrócił na Spruce, znów wyszedł na Central Avenue, jakby chciał uciec od myśli, które go nie chciały opuścić.

Po jakimś czasie było mu trochę lepiej, mógł już myśleć o czymś innym i zdawało mu się, że pozbył się zupełnie potwornych podszeptów. Nie będzie nigdy o tym myślał! Nigdy a nigdy! Nie powinien, nie może myśleć o tym.

Wrócił do domu i położył się spać.

Śniło mu się, że zdziczały, czarny pies rzucił się na niego i chciał go pokąsać. Uniknąwszy zębów potwora obudził się w przerażeniu, ale zaraz usnął. Ujrzał się teraz w jakimś dziwnym, ponurym miejscu, niby w jakimś lesie czy też w jaskini, a może w kanionie między górami. Była tam ścieżka, która go stamtąd miała wyprowadzić. Gdy jednak zaczął nią iść, stawała się coraz węższa, coraz węższa, coraz gęstszy zmrok zapadał, aż ścieżka zupełnie znikła mu z oczu. Obejrzał się chcąc sprawdzić, czy nie będzie mógł wrócić tą samą drogą, ujrzał jednak za sobą całe masy żmij, splątanych w jeden jak gdyby krzew, z którego wychylały się i chwiały złowrogo ich straszne łby, rozdwojone języki i agatowe ślepia. Odwrócił pośpiesznie głowę i przed sobą spostrzegł jakieś rogate, dzikie zwierzę, wielkie, ohydne, rozgniatające swym ciężkim krokiem ten krzak potworny i zastępujące mu drogę. Przerażony krzyknął głośno i obudził się. Tej nocy nie mógł już zasnąć.

Rozdział XXXII

Myśli zrodzone ze skojarzenia własnego położenia z przypadkowo wyczytaną wiadomością wstrząsnęły jego niezbyt odporną duszą. Nic tam nie mówiło się o zbrodni, był to zwykły wypadek, straszny nawet, w którym dwie ludzkie istoty postradały życie. Clyde jednak pamiętał bezustannie o tym, że ciało dziewczyny znaleziono, mężczyzny jednak nie zdołano odszukać. To było ciekawe i zupełnie bezwiednie nasuwało refleksję, że może ciała tego mężczyzny nie było wcale na dnie jeziora. Mogło się przecież zdarzyć, że ten łajdak chciał się pozbyć w ten sposób swej towarzyszki; już nieraz przecież tak bywało... Bardzo delikatnie, cicho, gładko, iście w szatański sposób, ale udało mu się doskonale...

On jednak nigdy by tego nie zrobił... nigdy!

Sytuacja jego wszakże stawała się z każdym dniem poważniejsza. Prawie codziennie przychodziły doń listy od Roberty i od Sandry, tak odmienne w treści. W jednych czytał o bólu i cierpieniach, w drugich o szczęściu, radości, zabawie.

Robercie nie odpisał, tylko zatelefonował pytając o zdrowie w sposób obojętny i nie zachęcający wcale do zwierzeń.

Jakże się teraz miewa? Jest bardzo zadowolony, że wyjechała na wieś, że nie przebywa w mieście podczas takich upałów. W fabryce wszystko idzie dobrze, przybyło jednak obstalunków, więc i roboty ma więcej. Nie odpisał jej, gdyż miał bardzo dużo pracy i pewnie teraz nie będzie mógł wcale pisać. Nie starczy mu na to czasu.

Przyjechać do niej nie może, ale jeżeli

Roberta chce się z nim koniecznie zobaczyć, to jeżeli dokądś wyjedzie, może ostatecznie ułożyć tak swoje sprawy, żeby się z nią spotkać. Ale czy to koniecznie potrzebne? Jest teraz bardzo zajęty i wolałby zobaczyć się z nią później.

Tego samego dnia napisał do Sandry, że przyjedzie w najbliższą niedzielę.

O ile nie umiał sobie poradzić w sprawach dotyczących Roberty, o tyle potrafił wykazać wiele sprytu tam, gdzie chodziło o Sandrę i dopiął w końcu tego, że mógł ujrzeć tę upragnioną dziewczynę na wymarzonej od dawna tle.

Gdy przyjechał do przystani w Sharon, która łączyła się z werandą gospody tuż przy jeziorze, ujrzał łódź Finchleyów, a w niej Bertinę z bratem i Sandrę, którzy stawili się na jego spotkanie.

Rozejrzał się dokoła. Wysokie, spiczaste świerki na wybrzeżu rzucały ciemną smugę cienia na jasne, błękitne wody Indian Chain. Dookoła rozrzucone były wille, wielkie i małe, białe i kolorowe, a przy każdej własna przystań. Na wybrzeżu widać było liczne

namioty, zielone i niebieskie łodzie i motorówki. Stał tam śliczny hotel, a przy nim pawilon, przygotowany na przyjęcie gości. Tu i ówdzie wznosiły się wysmukłe słupy, dzielące posiadłości letnie potentatów miejskich, wreszcie ukazał się słup i przystań Cranstonów. Dwa wielkie psy, wilki rosyjskie, własność Bertiny, leżały na wybrzeżu, jakby oczekując na ich przybycie.

Służący John, a z nim z pół tuzina innych, wyciągnęło ręce po jedyną walizczkę Clyde'a, rakietę tenisową i kije do golfa. Wielkie wrażenie wywarł na nim letni pałacyk zbudowany ze smakiem, z rabatami pięknych kwiatów, wielka, obszerna z plecionych prętów weranda z cudownym widokiem na jezioro. Wszędzie dookoła goście z raketami w rękach albo zabawiający się grą w golfa.

Na rozkaz Bertiny John wskazał mu duży pokój z widokiem na jezioro, w którym za chwilę miał się kąpać wraz z Bertiną, Grantem i Sandrą. Dowiedział się, że po obiedzie pójdzie z nimi na tańce do kasyna, gdzie zostanie wszystkim przedstawiony. Jutro rano, jeszcze przed śniadaniem, pojedzie konno z Sandrą, Bertiną i Stuartem przez śliczną leśną drogą, wiodącą do "Świątyni natchnienia". Ale niech się od nich nie oddala, bo trzeba mu wiedzieć, że las ten nie posiada żadnych prawie dróg. Bez kompasu lub przewodnika niepodobna wy dostać się z niego i można w nim błądzić do śmierci chyba, tak trudno się w nim zorientować. Po śniadaniu i kąpieli Sandra, Bertina i Nina Temple zaprodukują mu ciekawe ewolucje na wolnym akwaplanie* Sandry. (* Akwaplan - deska surtingowa.) Potem zjedzą lunch, następnie będzie tenis albo golf, a przed obiadem pójda do kasyna na herbatę. Po obiedzie będą tańce u Brookshawów z Utica.

W godzinę więc po przybyciu wiedział Clyde, że ma wypełniony cały program swego krótkiego urlopu i że będzie mógł często przebywać z Sandrą. Ileż rozkoszy, ile uroczych chwil zapewni mu jej bujny temperament! Starał się usilnie zapomnieć o tej zmorze, która go bezustannie gnioła, zapomnieć o Robercie, i zdawało mu się, że jest już na progu raj.

Gdy podczas tenisa u Cranstonów spojrział na Sandrę, zdawało mu się, że ją widzi po raz pierwszy. Była taka inna w swej białej

tenisowej sukience, z włosami owiazanymi barwną chusteczką, taka wesoła, pełna wdzięku, tyle szczęścia rozsiewająca wokół siebie. Ten uśmiech na jej ustach ten wesoły, obiecujący błysk oczu, gdy zwracała się w stronę Clyde'a! Gdy biegała po placu z podniesioną rakieta, czubkiem palców dotykając ziemi, z głową w tył odrzuconą, rozchylonymi ustami, na których igrał ciągle uśmiech, wyglądała jak ptak w locie. Wykrzykując stan meczu, wyraz "love"* wymawiała z jakimś rozkosznym śmieszkiem, a Clyde wtedy drżał i posepniał, czasem znów rozpromieniał się, gdyż mówiła to chyba do niego. (* Love - miłość, także określenie oznaczające w grach wynik "do zera".)

Ach, wzięłby tę jej miłość, gdyby tylko był wolny, lecz stała między nimi czarna zapora, którą wznosił własnymi rękoma.

Rozgrywała się ta scena na prześlicznym tle, oblanym złotym słońcem. Spod wysokich świerków spływały ku lekko pomarszczonym wodom jeziora szmaragdowe kobierce murawy. Kilka białych żagli ożywiało spokojne tonie wód, mieniące się pod leniwie poruszającymi się wiosłami zielonkawymi i żółtymi bryzgami.

Ma więc przed swymi oczyma ten cudny letni dzień, słońce, przepiękne barwy, urodę kobiecą, miłość... to wszystko, o czym ubiegłego roku marzył w swym osamotnieniu. Widząc, jak spełniają się jego marzenia, czuł czasami tyle szczęścia w sobie, że zapierało mu oddech. Nagle jednak jak mroźny wicher przeszywało go wspomnienie Roberty i z rozpaczą uświadamiał sobie, że nie dla niego szczęście i miłość... W ciągu całego życia nie przeżyje chyba równie rozpaczliwych dni... Porzucić musi wszystko, może za tydzień, dwa, trzy najdalej, porzucić, zapomnieć na zawsze... Tak, nie dla niego to szczęście.

I naraz przed oczyma stawał ponury obraz jakiegoś jeziora i dwojga utopionych osób.

Budził się z zamyślenia zauważywszy, że gra bardzo źle.

- Bój się Boga, Clyde, o czym ty myślisz? - wołała na niego Sandra albo Bertina.

A z głębi jego serca wychodziła bezgłówna odpowiedź:

- O Robercie...

Wieczorem u Brookshawów zebrało się niewielkie towarzystwo, złożone ze znajomych Sandry i Bertiny. Ponieważ byli tam i starzy Finchleyowie, Sandra udała, że Clyde'a widzi dziś po raz pierwszy, że nawet nie wiedziała o jego obecności w Twelfth Lake.

- Pan tutaj? Cóż się stało? U Cranstonów? O, to nieładnie, że pan nie odwiedził tak bliskich sąsiadów. Mieszkamy obok. A może jutro rano pojedziemy konno? Codziennie z Bertiną jeździmy. Po obiedzie, jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, odbędzie się piknik, zabawa na łodziach i motorówkach. Nic nie szkodzi, że pan dobrze nie jeździ... Powiem Bertinie, żeby panu dała Jerry'ego, spokojny jak baranek. O, dwa pierwsze tańce obiecałam już innym, ale proszę być cierpliwym, dla pana został trzeci. (Taki zaciszny kącik jest na balkonie...).

Wskazała ręką i spojrzała mu wymownie w oczy. A w chwilę później w zacisznym kąciku ujęła jego twarz w obie ręce i ucałowała gorąco. Później, przed ukończeniem tańców wymknęli się oboje na brzeg jeziora i tam przy świetle księżyca uścisnęli się namiętnie.

- Siandla taka lada, zie Cliduś psijechal... tak mi go blakowało...

Głaskała jego włosy, a on ją całował i tulił do siebie gorączkowo, rozpaczliwie.

- Moje ukochane maleństwo! moja cudna, urocza! żebyś ty wiedzieć mogła, jak ja cię strasznie kocham! gdybyś ty wiedzieć mogła! O, jakżebym chciał powiedzieć ci wszystko... gdybym mógł...

Nie powiedział jednak ani teraz, ani nigdy. Nie ośmieliłby się mówić o tej czarnej zaporze, jaka ich dzieliła. Znając jej życie, jej zapatrywania na miłość i małżeństwo, zasady wpajane przez rodziców wiedział, że nie zrozumiałaby go, nie zgodziłaby się na

żadne poświęcenie dla jego miłości, jakkolwiek kochała go może bardzo. Odeszłaby od niego natychmiast, ze zgrozą w oczach!

Spojrzała mu w oczy, błyszczące dziwnym blaskiem w świetle księżyca, spojrzała na twarz bladą, skupioną, gdy trzymał ją w mocnym uścisku, i zawołała:

- Więc tak bardzo kochasz Sandrę? Ukochany, najdroższy mój chłopcze! Sandra też cię kocha bardzo...

Ujęła twarz jego w obie dłonie i całowała szybko, gorączkowo, długo.

- Sandra nigdy cię nie opuści... nigdy. Musisz tylko poczekać jeszcze troszkę... Mniejsza o to, co się dzieć będzie... może nie przyjdzie to z łatwością, ale Sandra postawi na swoim...

Nagle jednak, jak to nieraz czyniła, odsunęła go od siebie i szepnęła:

- Idź już sobie! Teraz, zaraz! Nie! nie wolno już całować... Nie, nie! Sandra nie pozwala... mogą spostrzec, że nas nie ma...

I popychając go przed sobą pobiegła szybko ku domowi, spotkawszy po drodze ciekawe oczy Palmer Thurston.

Nazajutrz rano, stosownie do programu, Bertina i Sandra jeszcze przed siódmą, ubrane w czerwone kurtki, białe bryczesy i czarne buty, z gołymi głowami, śpiesznie pogalopowały konno do miejsca, gdzie miały spotkać się z Clyde'em. Nie widząc jeszcze dziewcząt, ukryty między drzewami słyszał nawołujące go wesołe głosy.

Bertina była teraz dla niego niezwykle uprzejma, widząc bowiem zachowanie Sandry przeczuwała, że jeśli nie znajdą jakieś przeszkody ze strony rodziny, skończyć się to może małżeństwem. Uśmiechała się więc uprzejmie do Clyde'a, zapraszała go, by przyjechał na dłużej i obiecywała otaczać taką opieką młodą parę, że z pewnością nie będą się na nią skarżyć.

Clyde drżał ze wzruszenia, a po głowie przesuwały mu się z niesłychaną szybkością przeróżne obrazy, myśli, pokusy, inspirowane ową wiadomością, o której czytał wtedy w gazecie, które jednak chciał zwalczyć i zabić w sobie.

Gdy dojechali do celu, Sandra zwróciła konia na ścieżkę wiodącą do strumienia o kamiennym łożysku i omszałych brzegach, który się przewijał meandrami w cieniu wysokich drzew.

- Clyde! - zawołała. - Chodź tu prędzej! Jerry zna drogę, nie pośliznie się... Chodź i napij się tej wody. Powiadają, że kto się jej napije, musi tu wrócić niedługo.

A zsiadłszy z konia zwróciła się do niego z poważniejszą miną:

- Wiesz, chciałam ci coś powiedzieć. Szkoda, żeś nie widział twarzy mamy, gdy się dowiedziała, że tu jesteś. Oczywiście nie była pewna, czy ja w tym maczałam palce, więc doszła do przekonania, że i Bertina obdarza cię swym uczuciem. Pozwoliłam jej się łudzić. Trochę mnie jednak podejrzewała i nie bardzo się jej to podobało. Nie mogła wszakże nic więcej powiedzieć nad to, co już od niej słyszałam. Mówiłam już o tym z Bertiną i obiecała mi pomagać, tylko musimy być teraz jeszcze ostrożniejsi, bo mama zanadto mnie podejrzewa i gotowa przyśpieszyć nasz wyjazd do Europy. Wtedy nie wiem nawet, kiedy moglibyśmy się zobaczyć. Znasz mamę i wiesz, że nie chce, abym zajęła się kimś z własnej woli, chce mi podsunąć kogoś, kto się jej podoba. To samo robi ze Stuartem...

Ale myślę, że jeśli będziesz uważny i nie dasz nikomu do zrozumienia, że ci na mnie zależy, to nic złego stać się nie może, a przynajmniej nie tak zaraz. Na jesieni zaś, kiedy powrócimy do Lycurgus, wszystko się zmieni... Będę już pełnoletnia, i będę wiedziała, co mam robić! Nigdy jeszcze nie kochałam nikogo, ciebie pierwszego kocham i nie opuszczę cię nigdy... wiedz o tym! I nikt mnie do tego nie zmusi!

Tupała nogą i uderzała szpicrutą po bucie. Oba konie rozglądały się leniwie dookoła.

Clyde, zdumiony, oczarowany tym wyznaniem, wpatrzył się w Sandrę oczami pełnymi nadziei i lęku. Może by teraz napomknąć o wykradzeniu i tajemnym małżeństwie? Tylko w ten sposób uniknąłby strasznej swej doli... Lecz czy nie zrazi jej swoją propozycją? Może odmówi i cofnie swe uczucie?... A gdyby się nawet zgodziła, dokąd ją zawiezie i za co? Nie ma wcale pieniędzy ani upatrzonego miejsca... Ona ma jednak pieniądze, a przynajmniej może je mieć i gdyby się zgodziła, czyżby mu nie pomogła?... Ach, z pewnością! Zaryzykuje, może się uda.

Więc odezwał się:

- Sandro, kochana! czy... nie moglibyśmy uciec razem?... Tak jeszcze daleko do jesieni... nie wytrzymam tak długo... Wyjedźmy. Matka ci nie pozwoli wyjść za mnie, ale jeżeli wyjedziemy i po paru miesiącach napiszesz do niej, będzie musiała pogodzić się z losem. Co myślisz o tym?

W jego głosie brzmiała nuta błagalna, oczy były pełne lęku przed odmową i przed niewiadomą przyszłością, jaka się przed nim rysowała.

Zaskoczona była namiętnością jego słów, drzeniem głosu, więcej nawet niż samą propozycją. Wzruszył ją naprawdę i miło jej było, że zdołała w Clydzie obudzić taką desperacką miłość. Tak był gwałtowny, tak płomienny, tak rozgrzany ogniem, jaki w nim wznieciła, że chociaż nie była zdolna odpowiedzieć mu tym samym uczuciem, rozkoszowała się jego namiętną miłością.

Ależ to świetna myśl! Naprawdę byłoby to coś niesłychanie cudownego uciec potajemnie do Kanady albo do Nowego Jorku czy Bostonu, mniejsza o to zresztą dokąd. Ile by o tym gadano w Lycurgus, Albany, Utica!... Co by na to jej rodzice powiedzieli? A Gilbert stałby się wbrew swoim chęciom jej kuzynem... i Griffithsowie także, a przecież rodzice tak ich admirują...

Przez chwilę w oczach jej malowało się pragnienie, a nawet zgoda na wypłatanie wszystkim takiego figla. Musieliby się przekonać, że kierowała nimi wielka, silna miłość!... Cóż rodzice mogliby im

zrobić, gdyby się już pobrali? Czyż Clyde jest gorszy od niej i całego tutejszego towarzystwa? Oczywiście pod pewnym względem nie może się z nimi równać, bo nie ma takiego majątku... Może go jednak mieć, zwłaszcza gdy się z nią ożeni, i może zająć wysokie stanowisko w zakładach jej ojca, podobnie jak Gilbert u swego ojca.

Zawahała się jednak. Przyszło jej na myśl, co pomyślą rodzice, gdy ich w ten sposób opuści. Pomyślała, że taka eskapada popsuje całkowicie jej plany tegoroczne i że matka miałaby do niej żal. Może nawet rozłączyliby ich ze sobą, opierając się na tym, że nie była pełnoletnia. Znikła z jej oczu żądza ciekawej przygody, zjawilo się natomiast baczne zastanowienie nad praktyczną i materialną stroną tej sprawy.

Po co to wszystko? Czy nie mogą poczekać jeszcze parę miesięcy? Mogą z pewnością, chyba że groziłaby natychmiastowa rozłąka z Clyde'em.

Potrząsnęła więc głową stanowczo i Clyde zrozumiał, że poniósł porażkę, najgorszą, niepowetowaną niczym porażkę. Nie pojedzie z nim? Jest więc zgubiony... zgubiony... i ona stracona dla niego na zawsze. Boże!

Twarz jej na chwilę przybrała wyraz niezwyklej słodczy.

- Chciałabym ukochany... bardzo bym chciała, ale pragnę to lepiej urządzić. Teraz jeszcze za wcześnie. Mama nie popsuje nam zresztą teraz planów... jestem tego pewna. Tyle tutaj przygotowuje zabaw i muszę przyznać, że tylko z myślą o mnie. Chce koniecznie żebym była uprzejma dla... już wiesz dla kogo. Mogę taka być, ale nie posunę się tak daleko, żeby to nam mogło zaszkodzić. - Uśmiechnęła się chcąc mu dodać odwagi. - Ale ty możesz przyjeżdżać, ile razy zechcesz, i nikt o tym nic złego nie pomyśli, bo nie jesteś przecież naszym gościem. Ułożyłam już to wszystko z Bertiną. Widzisz więc, że będziemy mogli widywać się całe lato, ile tylko zapagniemy: Po powrocie, w jesieni, jeżeli będę sądziła, że za wiele jest przeszkód najlepiej, moje ty życie, kochanie moje najmilsze... naprawdę tak będzie dobrze.

Kochanie najmilsze! W jesieni...

Zamilkła uszczęśliwiona, że udało się jej coś bardzo przebiegłego wymyślić, ujęła obie jego ręce i spojrzała mu prosto w oczy, a potem, nie mogąc się oprzeć, zarzuciła mu ręce na szyję i pochyliwszy jego głowę ku sobie ucałowała.

- Nie chcesz mi przyznać racji, jedyny? Nie patrz tak smutno, maleńki... Sandra bardzo cię kocha i zrobi wszystko, co tylko będzie można, żeby należeć do ciebie. Zobaczysz... Nikt nam nie przeszkodzi! Czekaj więc tylko! Sandra cię nigdy nie opuści... nigdy!

Clyde zrozumiał, że nie znajdzie żadnego argumentu, którym by mógł ją przekonać, który by w niej nie wzbudził podejrzania i nie pozwolił się domyślić, dlaczego jest tak niespokojny i smutny - rozumiał, że wszystko stracone, chyba... chyba że Roberta pozwoli mu odejść od siebie.

Patrzył więc z rozpaczą w jej oczy. Taka jest piękna! I ma ją stracić? a z nią wszystkie swe nadzieje?

Och, ta Roberta ze swymi żądaniami... Dlaczego jej dawał jakieś obietnice? I nie ma na to żadnego sposobu... chyba tylko ta ucieczka. O, Boże!

Zabłyśło coś w jego wzroku, jakieś zmieszanie, jakiś lęk - nic określonego, nic wyraźnego - coś, co stało na krawędzi rozumu i obłąkania, a jednak odbiło się tak wyraźnie, że zauważyła to i Sandra. Miał minę tak znękaną, złamaną, tyle rozpaczy malowało się w jego oczach, że zawołała z niepokojem:

- Co ci jest, Clyde? Miły mój, jak ty patrzysz? Och, nawet nie wiem, jak... tak beznadziejnym wzrokiem patrzysz na mnie... Czyż tak mnie kochasz? Nie możesz poczekać nawet parę miesięcy? Możesz chyba... to nie tak długo... Nie będzie nam źle, zobaczysz... Chciałbyś być ze mną ciągle... zawsze, prawda? Moje biedactwo... Ale Sandra będzie często pisywała... codziennie, przekonasz się!

- Ach, Sandro! Sandro! żebyś ci mógł wszystko powiedzieć... żebyś ty mogła wiedzieć, jakie to ma dla mnie znaczenie...

Zamilkł. Za wiele już powiedział. Sandra może go pytać, dlaczego mu tak pilno z nią wyjechać. Zrozumiał, jak ciasne są więzy jej świata, zrozumiał, że zbyt silnie wrosła w ten grunt i że nalegając zbyt mocno doprowadziłby tylko do tego, że dałaby mu do zrozumienia, iż wpływ jego nie może być silniejszy. Musi milczeć, nalegać nie może, gdyż ona mu zada pytanie, na które szczerze nie będzie mógł odpowiedzieć. Zrazi ją do siebie, może go przestać kochać, nie będzie już marzyła o jesieni, która ma im przynieść tyle szczęścia.

Nie wytłumaczył więc, dlaczego to miałyby takie dla niego znaczenie, odezwał się tylko po chwili milczenia:

- Kocham cię, Sandro... Brak mi ciebie ciągle... Chcę cię mieć zawsze przy sobie... Zdaje mi się nieraz, że nie wytrzymam ani chwili dłużej takiego życia w rozłące... Głodny jestem ciebie i spragniony!

Sandra uszczęśliwiona starała się go uspokoić tymi samymi słowami, które już słyszał od niej. Muszą czekać. Wszystko będzie dobrze, ale dopiero na jesieni.

Ostatnia droga ratunku zamknęła się przed nim.

Beznadziejność!

Niechże więc choć teraz oszołomi się ostatnimi chwilami szczęścia, mając przy sobie ukochaną dziewczynę. Precz z rozpaczą, cieszmy się słodką, upajającą chwilą!...

Sposób... znalazłby się może...

Łódka... jezioro... A może jeszcze coś innego!

Ale co?

Ach, nie! nie to! tylko nie to! Nie jest zbrodniarzem! Nigdy nim nie zostanie! Nie zabije... nigdy... ach, nigdy!...

Wszystko więc stracone! Nieszczęście kroczy tuż za nim... grozi mu nieuchronnie!

W jaki sposób go uniknąć? W jaki sposób zdobyć Sandrę?

Jak? W jaki sposób?

Rozdział XXXIII

W poniedziałek powrócił do Lycurgus i zastał list od Roberty:

Drogi mój Clyde!

Dotychczas słyszałam zawsze, że deszcz nie pada, tylko leje, ale do dzisiejszego dnia nie wiedziałam, co to znaczy. Czyli siła złego na jednego. Pierwszą osobą, jaką dziś rano zobaczyłam, był pan Wilcox, nasz sąsiad, który przyszedł powiedzieć, że pani Anse nie będzie mogła dziś przyjść, bo ma wykończyć pilną robotę u pani Dinwiddie w Biltz. Szkoda, bo wczoraj miałam już wszystko przygotowane dla niej, tak że przy mojej pomocy można by przyśpieszyć robotę, tymczasem okazuje się, że przybędzie dopiero jutro. Potem dowiedzieliśmy się, że siostra mojej matki jest bardzo chora, i mama musi pojechać do niej do Baker's Pond, o jakieś dwanaście mil stąd. Tom ją odwiezie, chociaż właściwie powinien pozostać, żeby pomóc ojcu w gospodarstwie. Wątpię nawet, czy matka będzie mogła wrócić przed niedzielą. Gdybym się tak źle nie czuła i nie miała tyle roboty, pojechałabym z nią, chociaż nie

prosiła mnie o to.

Następnie Tom i Emilka widząc, że tak składnie wszystko idzie przy mnie, a pragnąc mnie rozweselić, zaprosili ośmioro kolegów i koleżanek na wieczorną majówkę. Naturalnie trzeba było przedtem upiec ciastek i przygotować podwieczorek. Pomagałam w tym matce, ale biedactwo tak była zmęczona i przygnębiona, że poszła do telefonu do pani Wilcox, aby całą tę zabawę odwołać.

Co do mnie trzymam się, jak mogę, ale coraz mi trudniej przyznam Ci się. Bo przecież miałam z Tobą tylko trzy krótkie rozmowy telefoniczne i dowiedziałam się, że nie będziesz miał jeszcze dość pieniędzy na piętnastego czerwca. Na domiar wszystkiego dowiedziałam się dzisiaj, że rodzice wybierają się do wuja Karola do Hamilton i chcą mnie zabrać ze sobą, jeśli do tego czasu nie wrócę do Lycurgus. Mają wyjechać czwartego lipca i wrócić piętnastego. Tom i Milka byliby przez ten czas u Agnes. Ale czy będę mogła? Czuję się słaba i znużona. Dzisiejszej nocy miałam takie nudności, że byłam na pół żywa, i myślałam, że oszaleję.

Ukochany, co będzie dalej z nami? Czybyś nie mógł przyjechać po mnie trzeciego lipca, zanim się wszyscy rozjadą? Mógłbyś przyjechać i wcześniej, bo ja z nimi i tak nie będę mogła pojechać. To daleko, pewnie z pięćdziesiąt mil... Mogłabym im obiecać, że wyjadę z nimi razem, ale tylko wtedy, jeżeli będę wiedziała na pewno, że po mnie później przyjedziesz.

O Clyde, nic więcej tutaj nie robię, tylko ciągle płaczę. Gdybyś Ty był ze mną, nie byłoby mi tak źle. Staram się uspokoić i z większą rezygnacją patrzeć na swój los, ale cóż? przychodzą mi zbyt często myśli, że na Ciebie już chyba wcale liczyć nie mogę, jeżeli dotychczas nie napisałeś do mnie ani słówka i tylko trzy razy rozmawiałeś ze mną. Tłumaczę sobie nieraz, że chyba nie byłbyś tak podły, tym bardziej że mi już obiecałeś. Przyjedziesz? prawda, że przyjedziesz? Wszystko mnie tak męczy, pewnie dlatego, że tyle jest lęku we mnie. Myślę często o zeszłorocznym lecie i tym jedynym wspomnieniem pocieszam się ciągle.

Czyby Ci to nie zrobiło wielkiej różnicy, gdybyś przyjechał trochę wcześniej? co, jak uważasz? Chociażbyś jeszcze nie miał dostatecznej sumy. Wiem, że będzie można. Umiem być bardzo oszczędna. Nie zależy mi nawet na sukniach, wezmę je takie, jakie są, i dokończę później. Będę bardzo dzielnie się trzymała i nigdy Cię już niczym nie będę zanudzać. Przyjedź, kochany, bardzo Cię o to proszę. Musisz przyjechać, chyba to rozumiesz. Nie ma innego wyjścia, chociaż ze względu na Ciebie pragnęłabym, aby znalazło się inne.

Proszę Cię, bardzo Cię proszę, Clyde, napisz do mnie, że przyjedziesz na pewno. Tak mi strasznie przykro i taka się czuję osamotniona. Wrócę chyba sama, jeżeli nie przyjedziesz. Wiem, że Ci to nie będzie przyjemne, ale wierz mi, Clyde, że nie mogę tu zostać. A nie mogę także wyjechać z rodzicami, bo jakże?

Wiem, że nie będę spała ani chwili tej nocy, więc jeszcze raz Cię proszę, napisz do mnie, a w swym liście powiedz, że nie gniewasz się na mnie o to że musisz tu przyjechać. Ach, jakżebym się cieszyła, gdybyś już dziś tu mógł być, a chociażby w tym tygodniu, mój najdroższy! A tu jeszcze prawie dwa tygodnie...

Wszyscy już poszli spać, w domu jest zupełnie cicho, więc i ja już kończę.

Błagam Cię, napisz do mnie, a jeżeli nie będziesz mógł, to chociaż przez telefon porozmawiaj ze mną, bo nie będę miała spokoju, dopóki nie dowiem się czegoś pewnego.

Twoja nieszczęśliwa Roberta.

P.S. List mój jest okropny, wiem o tym, ale nie jestem w stanie napisać innego.

List ten nie zastał Clyde'a w Lycurgus, nie otrzymawszy więc odpowiedzi, Roberta oddała się czarnej rozpacz i, będąc przekonana, że Clyde ją porzucił zupełnie, nie zostawiwszy ani słówka do niej, zasiadła, płacząc, do pisania drugiego listu:

Mój najdroższy Clyde!

Piszę, aby Ci donieść, że wracam do Lycurgus. Nie mogę w żaden sposób wytrzymać tutaj. Mama dziwi się ciągle i martwi, że płaczę bezustannie, a ja czuję się coraz bardziej chora. Prawda, że obiecałam pozostać tutaj do dwudziestego piątego albo szóstego, ale Tyś także obiecał pisywać a tymczasem nie napisałeś ani razu, czasem tylko telefonowałeś, kiedy już byłam bliska obłądu. Płaczę dzisiaj od samego rana, toteż teraz, po południu, strasznie mnie głowa boli. Tak się obawiam, że nie przyjedziesz wcale, naprawdę strasznie się boję. Proszę Cię, przyjedź, wywieź mnie dokądkolwiek, dokąd tylko chcesz, abym tu nie musiała być i tak się martwić. Boję się o siebie, że w takim niepokoju i rozdrażnieniu mogę wygadać wszystko przed rodzicami albo oni domyślą się czegoś z mego postępowania.

O, Clyde, nie chcesz mnie zrozumieć zupełnie. Obiecałeś, że przyjedziesz i czasami zdaje mi się, że spełnisz swoją obietnicę, a czasami takie straszne myśli przychodzą mi do głowy, że jestem pewna, że nie myślisz o tym wcale. A najczęściej wtedy, gdy nie mam od Ciebie żadnej wiadomości. Gdybyś napisał, że przyjedziesz, może pozostałabym tutaj. Zaraz po otrzymaniu tego listu odpisz mi, kiedy się zobaczymy, podaj dokładną datę, ale żeby to było nie później jak pierwszego lipca, bo dłużej nie będę mogła zostać.

Clyde, czy jest choć jedna jeszcze dziewczyna na świecie tak nieszczęśliwa jak ja przez Ciebie. Ale nie, nie mam żalu do Ciebie, jedyny mój. Byłeś bardzo dobry dla mnie i jesteś jeszcze, boś obiecał przyjechać po mnie, i jeżeli spełnisz swą obietnicę, będę Ci tylko bardzo wdzięczna. Czytasz to i myślisz sobie, że jestem bardzo nierozsądna. Nie myśl tak o mnie, Clyde, zrozum tylko, że jestem nieprzytomna prawie ze zmartwienia i obawy i sama nie wiem, co robię. Proszę Cię, napisz do mnie, Clyde. Gdybyś wiedział, jak pragnę choć jednego dobrego słowa od Ciebie.

Roberta

Listy te, otrzymane zaraz po przyjeździe do domu, wprawiły Clyde'a w rozdrażnienie mniej więcej takie same, jakiego doświadczała Roberta. Nie miał i nie umiał wynaleźć odpowiednich, zrozumiałych słów, którymi mógłby przekonać Robertę, jak nierozsądne a nawet głupie są jej żądania. Łamał sobie głowę na próżno. Pisać nie może. Jeden, jedyny list w tej sprawie wystarczyłby jako dowód, że utrzymywał z nią nielegalny stosunek... Nie może pisać, to byłoby niemądre z jego strony... Nie ma przecież zamiaru żenić się z nią.

Nie umiał nic wymyślić, wyrwany niedawno z gorących objęć Sandry. Nie był w stanie, nie mógł mimo wielkiej chęci...

Ale musi ją w jakiś sposób choć trochę uspokoić.

Po przeczytaniu obu listów namyślił się z dziesięć minut, by w końcu dojść do wniosku, iż należy rozmówić się z nią telefonicznie. Po półgodzinnym, niecierpliwym wyczekiwaniu przy aparacie usłyszał nareszcie jej głos, słaby i jakiś stroskany, tak mu się przynajmniej zdawało, ale być może winne temu było złe połączenie.

- Halo, Clyde, halo! Jak to dobrze, że chcesz ze mną rozmawiać. Strasznie jestem zdenerwowana... Czyś otrzymał moje dwa listy? Miałam zamiar właśnie dziś wyjechać w razie gdybyś nie dał znaku życia. Nie chcę tu być ani chwili i nie chcę słyszeć o żadnej zwłoce! Kiedy przyjedziesz, najdroższy? Dowiedziałeś się z mojego listu, że rodzice wyjeżdżają? Tak, rzeczywiście. Dlaczego nie napisałeś do mnie ani słówka? mógłbyś chociaż zatelefonować... Co sądzisz o trzecim lipca? Czy będziesz mógł przyjechać? A może spotkamy się gdzie indziej? Tak się źle czułam od kilku dni, ale teraz, gdy usłyszałam twój głos, będę już spokojniejsza. Ale czyżbyś nie mógł naprawdę napisać do mnie co parę dni, choć króciutkiego liściku?... tak bym chciała... Dlaczego nie chcesz, Clyde. Ani razu do mnie jeszcze nie napisałeś... Trudno mi nawet opowiedzieć, jak się czuję i jak ciężko mi utrzymać spokój.

Istotnie znać było, że Roberta jest zdenerwowana i zaniepokojona. Przyszło jednak na myśl Clyde'owi, że Roberta zbyt nieostrożnie mówi przez telefon, który znajduje się w obcym domu. Uspokoił się

dopiero wtedy, gdy mu powiedziała, że jest sama i nikt jej nie może słyszeć. Jednak zapowiedział stanowczo, że nie chce, aby wymieniała jego imię albo mówiła o listach, które pisał czy nie pisał... Tłumaczył się przed nią, że jest teraz bardzo zajęty i nie ma czasu na pisanie listów. Czyż nie powiedział jej, że przyjedzie koło dwudziestego ósmego, jeżeli tylko będzie mógł? Sam już chciałby pojechać, ale nie jest pewien, czy mu się uda, kto wie nawet, czy nie będzie musiał odłożyć swego wyjazdu z Lycurgus do siódmego albo ósmego lipca. Tak, długo, ale ma otrzymać jeszcze pięćdziesiąt dolarów, na które nawet nie liczył, a przydadzą się im bardzo, prawda?

Odwlekał znowu termin przyjazdu, bo chciał właściwie raz jeszcze odwiedzić Sandrę, za którą już tęsknił. A tej Bóg wie czego się zachciwa!

Czy nie może jechać z rodzicami na jakiś tydzień, a on tam mógłby przyjechać po nią albo mogliby się gdzieś spotkać? Będzie miał więcej czasu na przygotowania...

Lecz Roberta oburzyła się na to. Odpowiedziała z gniewem, że w takim razie woli wrócić do swego pokoju u Gilpinów, jeżeli jest jeszcze wolny. Bo po co ma tracić czas na próżno i czekać na Clyde'a jeżeli on nie chce przyjechać?

Clyde na to pośpiesznie oświadczył, że przyjedzie trzeciego, a gdyby nie mógł, to porozumie się z nią, gdzie się mają spotkać.

Dotychczas co prawda nie wiedział jeszcze, jak to urządzi. Musi, musi koniecznie mieć trochę czasu, aby nad tym pomyśleć. Zmienił nieco ton, odzywając się znowu:

- Słuchaj, Berti, nie gniewaj się na mnie, proszę cię. Tak mówisz, jak gdybym nie miał z tym żadnych kłopotów. Nawet nie wiesz, ile mnie to będzie kosztowało, ciebie to wcale nie obchodzi... Wiem, że jesteś zdenerwowana i cierpiąca, ale nie zatroszczysz się, jak u mnie jest... Robię, co mogę, żeby tylko było jak najlepiej, Berti... Czyż nie potrafisz jeszcze cierpliwie poczekać do trzeciego? Proszę cię o to... Obiecuję ci, że napiszę, a gdybym

nie mógł, rozmówimy się telefonicznie. Cóż, będzie dobrze? Tylko bardzo cię proszę, żebyś imienia mojego nie wymieniała, jak to zrobiłaś przed chwilą. Mogę mieć z tego powodu przykrości. Proszę cię o to. Jeżeli zadzwonię kiedyś, to wymienię nazwisko Baker, a ty powiedz, że to ktoś z twoich znajomych. Gdyby zaś coś takiego się wydarzyło, że nasz wyjazd uległby znów zwłoce, to przyjedź, jeżeli już tak chcesz koniecznie, albo możesz zatrzymać się gdzieś w okolicy, w każdym razie zapewniam cię, że niedługo będziemy mogli wyjechać.

Brzmienie jego głosu było tak błagalne, łagodne, tak przekonywające, tyle węg wlał słodyczy i czułości, niepokoju i bezradności, że ujął zupełnie Robertę. Uczuła wielką, nie wytłumaczoną niczym i bezsensowną wdzięczność, odpowiedziała mu więc zaraz serdecznie i ze wzruszeniem:

- Ależ nie, mój kochany, wcale mi na tym nie zależy. Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi... Mówiłam tylko dlatego, bo czuje się niedobrze i nie mam ochoty, by rodzice z troską patrzyli na mnie...

Taka się czuję teraz bezradna... Znasz mnie, Clyde dobrze. I nie mogę cię przestać kochać, Clyde... i pewnie nigdy nie przestanę... Nigdy nie chciałabym ci zrobić przykrości i nie zrobiłabym wcale, gdybym umiała sama sobie poradzić.

Clyde słysząc tyle szczerego uczucia w jej głosie, zrozumiał, że ma taką samą, jak dawniej władzę nad Robertą, postanowił więc utrzymać ją w przekonaniu, że miłość jego nie wygasła zupełnie, aby skłonić ją do większej wyrozumiałości dla siebie. Cóż mu to szkodzi być dla niej dobrym i uprzejmym, chociaż już jej nie kocha i nie ma zamiaru żenić się z nią? Niech sobie myśli, że to prawda!

Skończyli więc rozmowę z obopólnym zadowoleniem.

Wczoraj jeszcze bawiąc w Twelfth Lake wybrał się na wycieczkę autem z całym towarzystwem. Obejrzelili Three Mile Bay, niewielkie miasteczko, położone nad jeziorami, a potem jadąc ciągle między wysokimi ścianami świerków i sosen, zwiedzili Big Bittern i kilka mniejszych, nie znanych, zapomnianych przez ludzi jezior, leżących

pośród zacisza lasów.

Dziś jeszcze Clyde przypominał sobie, jak wielkie wrażenie zrobiły na nim te bezludne okolice, leżące niby na końcu świata; te wielkie, niezmierzone bory, przetrzniete gdzieniegdzie wąskimi, wyboistymi drożynami, których liczne zakręty ginęły między wysokimi, milczącymi, posępными drzewami; dzikie tajemnicze bagna, moczary spotykane gęsto na nie uczęszczanych, trudnych do przebycia ścieżkach; fantastyczne girlandy żałośnie zwisających pnączy dzikiej winorośli; leżące w poprzek drogi zmurszałe, spróchniałe pnie, ciężarem wieków wciśnięte w zielony muł, który nagromadził się na nigdy nie wysychającej ziemi. Tu i ówdzie w mchach, pleśnią pokrytych pniach błyszcząły oczy, zieleniły się grzbiety żab, grzejących się w ciepłym czerwcowym słońcu, tańczyły chmary komarów w wilgotnych oparach, migał szybki grzbiet węża, uciekającego w niepokoju przed autem w ciepło nawozu lub między trawy.

Nie wiadomo dlaczego Clyde, rozejrzawszy się po tej dzikiej okolicy, przypomniał sobie wypadek w Pass Lake. Nie spostrzegł się nawet, że zupełnie bezwiednie badał uważnie to pustkowie, jakby czuł podświadomie, że może kiedyś skorzystać z tej niedostępnej puszczy.

Wstrząsnął się naraz ze zgrozą, usłyszawszy niespodzianie dziki, żałosny wrzask jakiegoś ptaka wodnego. Nic podobnego w życiu nie słyszał.

- Co to takiego? - zapytał Harleya Baggotta, który siedział obok niego.

- Ale co?

- Jakiś ptak przeleciał nad nami... i krzyknął...

- Nie słyszałem żadnego ptaka.

- Jak to? taki dziwny głos. Drgnąłem z przerażenia.

Jakież niesłychane wrażenie wywierała ta wielka ilość jezior i stawów, istnienia których nie podejrzewał nawet. Cała okolica, przez którą przejeżdżali, usiana nimi była prawie. Ich wody połyskiwały wszędzie między najgęstszymi chaszczami boru. Przy niektórych tylko był ślad obozowiska lub jakieś mieszkanie, wiodły do nich nie znane drogi, wyboiste, piaszczyste, ginące nieraz bez śladu w gęstwinie. Przeważnie jeziora te nie należały do nikogo, a ślady mieszkań ludzkich ukazywały się tak rzadko, że oglądano je z wielkim zainteresowaniem.

Dlaczego nawiedziło go wtedy wspomnienie jeziora w Massachusetts? Tej łódki? Dlaczego przypomniał sobie o znalezionych zwłokach dziewczyny, o mężczyźnie, którego ciała nie odszukano?... To straszne, naprawdę.

Dziś jeszcze, po rozmowie z Robertą, wspominał, jak auto naraz z lasów wjechało na otwartą przestrzeń i ujrzeni przed sobą długie, wąskie jezioro z wyspą pośrodku. To Big Bittern! Musiało być wielkie, bo i za wyspą niewątpliwie rozciągały się daleko wody jeziora. Prócz niewielkiego domku i przystani nie widać było, żeby ktoś zamieszkiwał te okolice, nie było widać nawet żadnej łodzi ani czółna. Podobnie jak i tamte jeziora było ono ocienione wysokimi, spiczastymi świerkami, które wyciągały w przestrzeń swe ramiona jak to drzewo które miał przed swymi oknami w Lycurgus.

Zza boru widniał garbaty, lecz wygładzony grzbiet Adirondacksu.

Lekki wietrzyk pomarszczył wody, połyskujące w południowym słońcu mocnym odcieniem błękitu pruskiego, co miało świadczyć o jej głębokości, jak im później tłumaczył przewodnik, który teraz siedział beczynnym na werandzie gospody. Głębokość jeziora dochodziła do siedemdziesięciu stóp i to już niedaleko od brzegu.

Harley Baggot zainteresował się tym mocno, bo zamyślał o wędkowaniu dla ojca na tym jeziorze.

- A jak długie jest to jezioro? - zapytał przewodnika.

- O, ma ze siedem mil długości.

- Czy są tu jakie ryby?

- Niech no pan zrzuci wędkę, a zobaczy... Najlepsze siedlisko czarnych węgorzy, ale jest i wiele innych ryb. Nigdzie ich tyle nie ma. Tam za wyspą, a także i z południowej strony, są doskonałe głębie rybne. Przyjeżdżali tu panowie, którzy wyłapywali do siedemdziesięciu pięciu ryb przez dwie godziny. Starczy tu dla każdego, starczy...

Przewodnik, wysoki, suchy, z długą, wąską czaszką i małymi bystrymi, żywymi oczami, zaśmiał się przyjacielsko do całego towarzystwa, chociaż nie przyglądał się nikomu ciekawie.

- Ale chyba dziś nie będzie pan próbował szczęścia?

- Nie, pytałem o to, gdyż może mój ojciec przyjedzie tu w przyszłym tygodniu. Chciałem tylko dowiedzieć się o szczegóły.

- Phi! szczegóły to w Racquette, ale ryby tutaj.

Obrzucił wszystkich chytrym spojrzeniem i uśmiechnął się przebiegle. Clyde nie znał jeszcze ludzi tego typu. Był dla niego interesujący ze względu na cechy nie znane u ludzi z miasta, z którymi Clyde wyłącznie się stykał. Ciekawe dlań było zarówno całe otoczenie, jak i sposób życia takich ludzi. Zaledwie sto mil od Lycurgus ukazywało mu się życie tak odmienne, tak dziwne na tym pustkowiu.

- Okropnie tu jest. Nie mógłbym tu mieszkać - odezwał się Stuart Finchley. - Tak blisko od naszego Indian Chain, a tak tu dziko. Nikt tu chyba nie przyjeżdża.

- O, tak, oprócz obozowisk podczas lata i myśliwych, którzy tu przyjeżdżają w jesieni na łosie, nikogo się tu nie spotka po pierwszym wrześniu - mówił przewodnik. - Od siedemnastu lat już tu jestem przewodnikiem i oprowadzam gości, wiem, że przyjeżdża dużo osób do innych jezior, ale u nas nic się nie zmieniło. Trzeba państwu wiedzieć, że nie tak łatwo do nas trafić, jak się zjedzie

z głównej drogi, chociaż o jakie pięć mil stąd idzie kolej żelazna. Gun Lodge nazywa się stacja. W lecie pasażerów stamtąd przywozimy autobusem. Z tamtej strony idzie droga do Greys Lake i Three Mile Bay. Pewnie państwo nawet stamtąd przyjechali, bo tylko stamtąd ta droga prowadzi. Gadali coś, że mają przeprowadzić jeszcze jedną drogę przez Long Lake, ale to pewnie tylko tak gadają. Dużo tu jest takich jezior, do których nie ma żadnej drogi i autem nie przejedzie się wcale. Nikt nie rozkłada tam żadnych obozów, bo trzeba wszystko na plecach przynosić... Ale nad Gun Lake byłem z Ellisem zeszłego roku. Z pakunkami na plecach przewędrowaliśmy każdy kąt. A ile tu jest, nie mówiąc o rybach, łosi i sarn! Przychodzą wszystkie na brzeg do wodopoju. Pełno ich co rano przy tym słupie...

Pozostało Clyde'owi z tej wycieczki wrażenie, że w tych borach, nad tymi jeziorami mieszka cisza, czar i jakaś tajemnica niezgłębiona. To tak niedaleko od Lycurgus, zaledwie sto mil drogą kołową, zaledwie siedemdziesiąt kolejają!

Gdy po rozmowie z Robertą powrócił do swego pokoju, dziwnym trafem znalazł gazetę, leżącą jeszcze na stole, z opisem wypadku na Pass Lake. I zupełnie bezwiednie oczy jego gorączkowo wyczytywały wszystkie szczegóły tej tragedii, która mu tyle dała do myślenia.

Tak, zupełnie pospolicie wyglądała ta para... Wynajęli sobie łódkę, wyjechali jak wszyscy na przejażdżkę, zginęli z oczu na zakręcie... A pozostała po nich przewrócona łódź i dwa pływające kapelusze. Wyczytywał wszystko gorliwie przy wieczornym świetle. Za oknem sterczały gałęzie sosny i przypominały mu sosny i świerki na brzegu Big Bittern.

Boże! Wielki Boże! Cóż za myśli okropne! On, Clyde Griffiths, bratanek Samuela Griffithsa... Co mu się stało? O czym myśli? O morderstwie? Tak... o morderstwie. Ten okropny opis... szatańska jakaś sprawa... ciągle mu to przywodzi na myśl... Najstraszniejsza zbrodnia, za którą siada się na elektrycznym fotelu!

Ależ on nie ma zamiaru zabijać nikogo... Nie zabije Roberty... Nie! Nie! Jak to, po tym wszystkim, co razem przeżyli?...

Lecz Sandra... ten cud życia... to bogactwo... Utraci wszystko, jeżeli nie zacznie działać stanowczo...

Ręce mu się trzęsły, powieki drgały, czuł jak korzenie włosów drętwieją, a ciało przebiega dreszcz łaskotliwy.

Morderstwo!

Nie! Tylko przypadkowe przewrócenie łodzi, takie same jak na Pass Lake... Roberta nie umie pływać, Clyde wie o tym. Ale może w jakiś sposób uratować się... Może krzyczeć, uchwycić się łodzi, a wtedy... jeżeli ktoś usłyszy... ona powie!

Zimny pot oblał mu czoło, wargi drżały, gardło paliło.

Nie może pozwolić, żeby... jeżeli ma to...

Nie! nigdy! Za nic!... Nigdy nie uderzyłby kobiety... Roberty... i to w chwili śmierci... Nie! nie! niepodobna!

Wziął kapelusz i wyszedł. Może dlatego, żeby nikt nie mógł "słyszeć jego myśli", jak to sobie określił. Takie straszne, okrutne myśli! Nie może, nie będzie myślał o tym. Nie jest tego rodzaju człowiekiem.

A! nie może... nie może opędzić się od nich.

To jedyne wybawienie... Mógłby tu pozostać... nie wyjeżdżać... ożenić się z Sandrą... odczepić się od Roberty i wszystkich kłopotów pozbyć się za jednym zamachem... tylko trochę odwagi i śmiałości...

Ale nie!

Chodził długo, wyszedł za miasto daleko na wieś. Był samotny, mógł myśleć i nikt nie będzie słyszał jego myśli.

Dzień z wolna zaczął topnieć i rozplynał się w ciemnej nocy. W

chatach rozbłysły światła. Drzewa stopniowo zatracaly swe kształty i wtapiały się w mrok. Było parno, powietrze ciche, senne. Clyde szedł szybko, zamyślony, spocony, jakby chciał uciec od samego siebie, od swych myśli,
jakby chciał zgubić to wewnętrzne Ja,
które nie chciało go opuścić jednak, tylko myślało... myślało...

Takie ponure, posępne jezioro wśród puszczy leśnej...

Wyspa.

Któż by mógł zobaczyć?

Czyżby kto usłyszał?

Ze stacji Gun Lodge można autobusem... (zapamiętał to sobie).

To naprawdę straszne pamiętać o takich rzeczach, które wodzą na pokuszenie... Ale jeżeli ma już myśleć o tym, niechże myśli porządnie... albo nie myśli wcale... niech zapomni o tym raz na zawsze...

Sandra!... Roberta!

Gdyby go złapano, zginie na krześle elektrycznym... Ale jakież jest teraz jego życie? Nędza! Same przykrości!

Prawdopodobnie straci Sandrę... Tak, ale popełnić zbrodnię?...

Otarł zgorączkowaną, spoconą twarz, stanął i wpatrywał się w kępę drzew, rosnącą na polu. Coś mu się przypomniało. Drzewa... ach, tak... nie, nie lubi tej drogi. Zresztą jest już tak ciemno...
Lepiej wrócić... Ale ta droga prowadzi do Three Mile Bay i Greys Lake. Gdyby miał jechać do Sharon lub do Cranstonów, czyżby wybrał sobie inną drogę? Dokądby mógł jeszcze zajechać tą drogą? Boże! do Big Bittern! te drzewa... tak podobne... tak samo posępne i takimi samymi plamami rysują się w zmroku.

Tak, to musiałyby się stać wieczorem... Nikomu nie przyszłoby do

głowy... naturalnie. Rano za wiele jest światła... Tylko szalony mógłby zdecydować się za dnia... Ale wieczorem, tak o zmierzchu, jak teraz, albo nawet trochę później... Ach, do diabła! nie będzie słuchał tych podszeptów!

Nikt by go tam nie zobaczył... ani Roberty... Któż by mógł zobaczyć? Bardzo łatwo dostać się do tego Big Bittern... można by urządzić taką przedślubną wycieczkę... około czwartego... albo może po piątym lipca, kiedy będzie już mniej osób. Może zapisać się nie pod swoim nazwiskiem... dla zatarcia śladów. A potem... łatwo byłoby pojechać do Sharon, do Cranstonów, późnym wieczorem albo nazajutrz rano. Powiedziałby tam, że przyjechał rannym pociągiem... A potem...

Przekleństwo! Myśl ta wrosła mu widocznie w mózg! Czy to on układa takie straszne plany? Ależ nie! Nie mógłby nawet! On, Clyde Griffiths, nie może myśleć o takich okrutnych czynach! Nigdy! Za nic! Niepodobna nawet pomyśleć, żeby mógł popełnić taki podły, nikczemny występki! I tylko...

Pewność, że niezdolny jest do takiego ohydnygo czynu, poniosła go ku miastu. Tam będzie między ludźmi. Uspokoi się.

Rozdział XXXIV

Nierzadko zdarzają się chwile w życiu człowieka o wrażliwej wyobraźni, kiedy umysł jego nie może wytrzymać naporu skomplikowanych zagadnień. Ulega wówczas fałszywemu rozumowaniu, waha się, chwieje, wola zanika, wytrwałość słabnie i ogarnięty panicznym strachem, nie znajdując rozsądnego wyjścia gotów jest do wszelkich szaleństw.

Umysł Clyde'a można było teraz porównać do oddziału wojska, który ucieka w rozsypce przed potężniejszym nieprzyjacielem, lecz w tym szybkim odwrocie zatrzymuje się co chwila, aby obmyślić, jak uniknąć zupełnego rozbicia. Ponieważ jednak nie umie zapanować nad paniką, przychodzą mu najbardziej szalone pomysły. We wzroku Clyde'a malował się czasem jakiś dziki wyraz i natężenie myśli, starał się opanować, nie umiał jednak, nie mógł, nie znajdując żadnego innego wyjścia z sytuacji.

Wiadomość przeczytana w gazecie stawała mu jak pokusa przed oczyma, obiecując łatwe rozwiązanie. I oto jak gdyby z jakichś głębin, nie przeczuwanych i nie zbadanych nigdy, ani za życia, ani po śmierci, z wyższych lub może niższych regionów świata, zaludnionych istotami nie mającymi nic wspólnego z człowiekiem, stawał przed nim ni to geniusz, władający lampą Aladyna, ni to duch, kształtujący się jak podmuch dymu z ołtarza ofiarnego - ucieleśnienie pokusy, szatańskiej żądzy niszczycielskiej czy też najwyższej mądrości. Stwór ten rodził odrazę, a zarazem pociągał, kusił i niepokoił. Przyjaźnie, z chytrym okrucieństwem dawał mu do wyboru: zło, które mimo najrozpaczliwszego jego oporu miało zgniebić wszystko, co mu było drogie i umiłowane, i inne zło, przejmujące go wstrętem, zgrozą, lecz obiecujące wolność i miłość.

Mózg Clyde'a można było przyrównać do szczelnej, cichej komnaty, w której jego ja zostało zamknięte wbrew swej woli, aby nie niepokozone przez nikogo mogło rozmyślać o występnych, budzących grozę pragnieniach i o nie znanych, pierwotnych cechach swego charakteru, o własnej niezdolności i braku odwagi do stanowczego czynu.

Tajemniczy duch sęczył mu do ucha:

- Pragniesz uniknąć spełnienia żądań Roberty i wydaje ci się, że uniknąć nie zdołasz? Patrz oto! Wskażę ci drogę... Prowadzi do jeziora... do jeziora Pass... Czytałeś gazetę? Czy sądzisz, że dostała się w twe ręce bez powodu? Czy pamiętasz Big Bittern? głęboką, granatową toń... wyspę pośrodku... pustą drogę od Three Mile Bay? Jak to się dobrze wszystko złoży... Łódź wywrócona na

jeziorze, i Roberta na zawsze usunie się z twego życia... Nie umie pływać! Jezioro... to jezioro, które ci wskazałem, czyż nie jest idealne do tego celu? Mało uczęszczane, niedostępne i względnie niedalekie... tylko sto mil stąd... Tak łatwo będzie wybrać się z Robertą, niekoniecznie umyślnie, można by tak... niechcący... podczas tej przedślubnej wycieczki. Czy tak wiele trzeba do tego przygotowań? Żadnych. Tylko zmienić nazwisko swoje i... jej. Zresztą ona może pozostać przy swoim. Nie pozwalałeś nigdy, żeby wspominała o tobie. Ona cię słuchała. Pisywałeś do niej, ale nigdy nic ważnego. Gdybyś mógł teraz spotkać się z nią w takim miejscu, gdzie by nikt cię nie zobaczył... mógłbyś z nią pojechać, a w drodze do Fonda... można wstąpić do Big Bittern, można... zresztą i gdzie indziej.

- Ale tam nie ma hotelu - zwrócił uwagę Clyde - zwykły barak na parę zaledwie osób...

- Tym lepiej. Im mniej osób, tym bezpieczniej.

- Może jednak zobaczyć nas kto w pociągu, jak będziemy razem jechali. Mogą mnie poznać...

- Czy widział was kto w Fonda, Gloversville, w Little Falls? Czyż nie jeździliście w oddzielnych przedziałach i czy teraz nie możecie tak samo się urządzić? Przecież o twym małżeństwie nikt nie może się dowiedzieć i o waszym miesiącu miodowym nikt nie będzie wiedział...

- To prawda, to prawda.

- A jak się już wszystko ułoży i przyjedziecie do Big Bittern, czy też gdzie indziej... tyle jest przecież jezior... nietrudno już będzie namówić Robertę na przejażdżkę czółnem... Z pewnością. Nie zapisuj się tylko pod własnym nazwiskiem. Łódź można wynająć na godzinę, na pół dnia albo nawet na cały dzień. Widziałeś tę wyspę na środku jeziora? Tak tam pusto... Może tam nie jest pięknie? Warto zobaczyć... Dlaczego nie moglibyście właśnie tam pojechać? Roberta będzie tym projektem uszczęśliwiona, taka jest teraz smutna, przygnębiona... Rozerwie się trochę. Dobrzej zrobi taka

przejażdżka, taki odpoczynek przed rozpoczęciem nowego życia. Tym ją łatwiej przekonasz, prawda?... No i... oczywiście, żadne z was już nie powróci... Oboje chyba utoniecie, co? Któż was będzie widział? Przewodnik, może dwóch najwyżej... właściciel gospody, jeśli się tam zatrzymasz, właściciel łódek i nikt więcej. Skądże będą mogli wiedzieć, kim ty jesteś? Albo kto jest ona? Dno jeziora wiedzieć tylko będzie o tym...

- Ależ ja nie chcę jej zabijać!. Nie chcę jej zabijać! Nie chcę jej robić żadnej krzywdy... Żeby tylko chciała opuścić mnie bez żadnych pretensji i pójść własną drogą... Byłbym najszczęśliwszy, żebym mógł jej więcej nie oglądać.

- Ależ ona wcale nie pragnie cię opuścić, ani iść własną drogą, lecz koniecznie w twoim towarzystwie... A co poczniesz bez Sandry, bez tego wytwornego towarzystwa, bez zabaw, posady u stryja, stosunków, samochodów, wyjazdów do tych ślicznych letnich posiadłości? Będziesz musiał wziąć się do jakiejś podłej pracy, kiepsko płatnej... I znowu wędrówka z miasta do miasta jak po ucieczce z Kansas City... Czy sądzisz, że uśmiechnie się znowu szczęście do ciebie? Więc to wolisz?

- Ale może właśnie podobny wypadek jak w Kansas City znów zniszczy całą przyszłość, zniweczy moje marzenia...

- No, tak... wypadek... oczywiście, ale zupełnie innego rodzaju. Teraz ty sam tym wypadkiem pokierujesz. Możesz ułożyć wszystko według własnej woli i zupełnie łatwo... Ileż to łódek wywraca się podczas lata, ilu ludzi tonie... tylko dlatego, że nie umieją pływać... A kto będzie wiedział, że mężczyzna, towarzyszący Robercie, umie pływać? A ze wszystkich rodzajów śmierci utonięcie jest najmniej przykre. Bez hałasu... bez żadnych krzyków... Jakieś przypadkowe uderzenie wiosłem... albo o breg łódki... A potem cisza... Wolność! Ciało może nigdy nikt nie znaleźć... A gdyby nawet znaleziono i poznano, możesz bardzo łatwo przekonać każdego, że byłeś w tym czasie gdzie indziej, że byłeś w zupełnie innej miejscowości przed wyjazdem do Twelfth Lake. Czy to zły plan? Czy jest w nim jakiś błąd?

- Przypuśćmy jednak, że wywrócę łódkę, a ona... tak się zdarzyć może przecie... że ona nie utonie... Co wtedy? Przyczepi się do łodzi, zacznie krzyczeć... wyratują... a ona wtedy zezna... Nie! nie zrobię tego... Nie chcę! Nie uderzę jej nigdy... to podłe! straszne...

- E, takie lekkie uderzenie... bardzo nawet lekkie... W takich okolicznościach odbierze jej zupełnie przytomność i sparaliżuje ruchy... Przyznaję, że to smutne, ale dlaczego nie chce odczepić się od ciebie? Nie chce najwyraźniej i nie pozwala ci odejść od siebie... Przecież to także nieuczciwie z jej strony... A nie zapomnij, że potem będziesz miał Sandrę... rozkosze... będziesz mieszkał z nią w Lycurgus, będziesz bogaty, będziesz miał wysokie stanowisko, takie, jakiego byś nigdy nie otrzymał... Nigdy! Czeka cię miłość i szczęście, staniesz na równym poziomie ze wszystkimi, staniesz nawet wyżej od swego kuzyna Gilberta.

Głos umilkł, wsiąkł w cień, w zadumę.

Clyde rozmyślając nad tym, co usłyszał, był jeszcze nie przekonany. Oblędny strach czy też lepsze porywy duszy chciały zagłuszyć złowrogie rady. Przyszła jednak myśl o Sandrze, potem o Robercie i ozwała się znowu pokusa przekonując z finezją i słodyczą.

- Zastanów się nad tym dobrze. Czy nie możesz znaleźć wyjścia, czy nie chcesz? Wskazałem ci jedyne pewne. Takie wielkie jezioro... Czy to trudno będzie wypłynąć łodzią, natrafić na jakieś niebezpieczne a zaciszne miejsce, gdzie woda jest głęboka? A stamtąd już chyba nic wielkiego przejść do lasów, prowadzących do Three Mile Bay do Uper Greys Lake... a potem do Cranstonów. Cóż za tchórzostwo, co za brak odwagi nie zdobyć tego, co jest twym najszczytniejszym marzeniem! Cały świat stanie przed tobą otworem! A cóż poczniesz ubogi, nie znany, z brzemieniem ciężkiej pracy na karku? Ale musisz się zdecydować... zde-cy-do-wać... koniecznie musisz! Musisz!

I echo powtórzyło ostatnie słowa kusiciela:

- Musisz!

Clyde słuchał z początku ze zgrozą i oburzeniem, potem z filozoficznym spokojem, jak człowiek, stojący z dala od omawianej sprawy, słucha o rzeczy zupełnie obojętnej i gotów jest wysłuchać najdziwniejszych, najbardziej obłądnych projektów, a w końcu przyzna, że nie odstąpi od swych daleko idących zamierzeń i ambicji. Słucha z pewną ciekawością, aż doprowadzi siebie do takiego stanu, że uzna to za możliwe...

Właściwie, dlaczego by nie? Czyż nie pozostaje mu jedynie ta droga do zrealizowania wszystkich swych dążeń?

Niełatwo mu było podjąć decyzję przy swym niestałym i zmiennym charakterze. Nie chciał, nie umiał sam się zdecydować, konieczne było, żeby go coś zmusiło do działania albo do poniechania tego potwornego planu.

Przez następne dziesięć dni otrzymał siedem listów od Roberty i pięć od Sandry. W jednych brzmiała nuta żalosna, w drugich wesoła i ożywiona, i one to przedstawiły mu dobitnie dwie strony nurtującego go dotkliwie zagadnienia.

Na skargi Roberty, groźne w swym znaczeniu, Clyde nie fatygował się odpowiadać i nie miał zamiaru telefonować. Uważał że gdyby odpowiedział, wydałby tym samym na nią wyrok, czyli, że pogodziłby się z fatalną pokusą. W listach zaś do Sandry wyrażał namiętne oświadczenia miłosne swej ukochanej, przecudnej dziewczynie. Jakże pragnie ujrzeć ją znowu! Ach, żebyż to jak najprędzej nadszedł ten czwarty lipca! Tylko niestety, nie jest tak bardzo pewny, czy uda mu się przyjechać na czas... Obawia się, że będzie miał nadetatową robotę, więc być może będzie musiał odwlec swój przyjazd na parę dni. Nie wie jeszcze nic pewnego, ale napisze w każdym razie, jak się to ułoży.

Pisząc te słowa pomyślał, co by to było, gdyby Sandra wiedziała, jaka to ma być ta nadetatowa robota... Nie znaczy to jednak wcale, chociaż nie odpisał na ostatni, dokuczliwy list Roberty, że ma ją

zamiar zabić. Ani razu jeszcze nie powiedział sobie na chłodno i ze spokojem, że zdecydowany jest na ten potworny czyn. Przeciwnie nawet, im bliższa stawała się chwila, kiedy będzie już musiał zdobyć się na stanowczość, tym straszniejsza mu ta myśl się wydawała - ohydna, trudna, niemożliwa do wykonania, zwłaszcza przez niego. Nie mogąc się czasem oprzeć pokusom, drętwiejąc od lęku, powtarzał sobie, że mógłby pojechać z nią do Big Bittern tylko w tym celu, aby wpływając na nią uspokajająco, uciszyć jej pogroźki i natrętne żądania, a sobie zapewnić więcej czasu na obmyślenie jakiegoś możliwego planu.

Więc nad jezioro...

Nad jezioro...

Pojadą... tak, pojedą... nie wie wszakże jeszcze, co tam będzie robił. Może uda mu się przekonać Robertę, żeby chciała inaczej rozwiązać tę sytuację. Należy przyznać, że jednak ona postępuje wcale niepięknie, a nawet przebiegle. Robi z muchy słonia z tym swoim stanem, który czymże się różni od stanu, w jakim się znalazła Esta? A Esta nie zmuszała nikogo do małżeństwa... A niby dlaczego Aldenowie mają być lepsi niż jej rodzice? Zwykli farmerzy... Dlaczego tak się o nich martwi? Esta nie zatroszczyła się wcale, czy jej rodzice bardzo się zmartwią...

Roberta tyle mówi o wstydzie, ale czy jest bez winy? Prawda, starał się ją uwieść, ale czy to znaczy, że ona nie zgodziła się na to dobrowolnie? Mogła przecież opierać się, gdyby istotnie była tak cnotliwa... nie opierała się jednak tak bardzo. Przypuśćmy jednak, że zawinił, czyż nie starał się jej pomóc? A przecież tak niewiele zarabia... W jakim położeniu znalazł się teraz? Ona w każdym razie tyleż jest winna, co i on. I jeszcze się koniecznie upiera, żeby się z nią ożenił. A przecież gdyby go chciała uwolnić od siebie - jakże chętnie dopomagałby jej; obojgu z tym byłoby lepiej.

Ale ona nie chce, a on też nie chce z nią się żenić... i w tym cała rzecz. Roberta nie zastanawia się nawet, jaką mu krzywdę czyni.

Oburzenie w nim grało i w takich chwilach czuł, że gotów jest na wszystko... gotów ją był utopić nawet z czystym sumieniem, bo z jej strony większa była wina.

I znów z najtajniejszych zakątków wypełzła myśl, co powiedziałyby całe towarzystwo, gdyby wiedziało, że mogąc zostać, uważał za konieczne uciekać jak zapowietrzony z Lycurgus.

Trwały te zmagania przez cały wtorek, środę i czwartek. W czwartek wieczorem, po ciężkim dniu, pełnym nieustannej udręki, otrzymał znów od Roberta list następujący:

Biltz, wtorek 30 czerwca

Drogi Clyde!

Jeżeli nie otrzymam przed piątkiem od Ciebie żadnej wiadomości, chociażby tylko telefonicznej, to w piątek wracam do Lycurgus i wszyscy dowiedzą się, jak mnie traktujesz. Nie chcę i nie mogę czekać i cierpieć ani godziny dłużej. Żałuję bardzo, że zgodziłam się na taki projekt, ale tak mnie zapewniałeś, że mogę być spokojna. W sobotę będzie już trzeciego, a ja nie dowiedziałam się dotychczas, co masz zamiar robić. Życie moje zmarnowane, twoje będzie też do pewnego stopnia, ale nie czuję w sobie winy z tego powodu. Robiłam, co mogłam, żebyś jak najmniej miał przykrości z mojej przyczyny, ale boleję teraz nad rodzicami i całą moją rodziną, dla których to będzie wielkim ciosem. Czekać więc i cierpieć dłużej nie mogę.

Roberta

Stał jak porażony z listem w ręce. Przyjeżdża więc do Lycurgus! Trzeba się na coś zdecydować! Jeżeli jej jakoś nie ułagodzi i nie powstrzyma, jutro już tu będzie, to znaczy drugiego. A wyjechać

przed czwartym nie może, bo... wszędzie jest pełno ludzi. Nigdzie nie będzie można skryć się, każdy ich może zobaczyć... Ale musi mieć trochę więcej czasu, żeby się przygotować... Musi obmyślić śpiesznie, jak to zrobić... Wielki Boże! więc to już! Może by zatelefonować, że jest chory albo że ma wiele kłopotów z zebraniem pieniędzy, albo coś takiego... Pisać o tym nie może... Ale może powiedzieć, że stryj przysłał po niego, żeby właśnie czwartego przyjechał do Greenwood Lake... Stryj! Czy stryj? Nie, nie może tego powiedzieć... Za często już się nim posługiwał. To jej wcale nie przekona...

A zresztą czyż nie może zobaczyć się jeszcze raz ze stryjem? Można by powiedzieć, że jedzie do stryja, aby go zawiadomić, że musi wyjechać, i dowiedzieć się, czy nie mógłby po roku powrócić. W to mogłaby uwierzyć.

Musi jej w każdym razie coś powiedzieć, nie dopuścić do jej przyjazdu przed czwartym lipca. On tymczasem wszystko przemyśli dobrze... musi jeszcze raz obejrzeć miejsce, gdzie ma to wykonać...

Wykonać...

Nie wahając się dłużej pośpieszył do najbliższego telefonu, gdzie było najmniejsze prawdopodobieństwo podsłuchania. Połączywszy się z nią, zaczął jak zwykle niezmiernie czule tłumaczyć się, że był chory, miał gorączkę, nie wychodził nigdzie, nie mógł więc podejść do telefonu. Postanowił wszakże przez ten czas powiedzieć stryjowi o swym wyjeździe i zapewnić sobie możliwość powrotu.

Używszy wiele tkliwych słów, serdecznego tonu, starał się nakłonić ją, żeby uwierzyła w jego chorobę i prawdziwość jego projektów. Gdyby tylko chciała zaczekać do szóstego, to, jeśli nie zajdzie coś ważnego, spotka się z nią na pewno albo w Fonda czy w Homer, może nawet w samym Lycurgus albo w Little Falls.

Ponieważ musi być utrzymana tajemnica, proponuje, żeby spotkać się w Fonda szóstego lipca rano. Następnym pociągiem pojedą do Utica, tam przenocują i przedyskutują cały projekt, bo przez telefon nie

można o wszystkim mówić. Poza tym obmyśli specjalnie dla niej pewną przyjemność, z której z pewnością będzie zadowolona. Przed wzięciem ślubu pojedą sobie na wycieczkę do jakiejś pięknej miejscowości.

Głos mu w tym miejscu ochrypl, nogi się zatrzęsły, lecz Roberta nie zauważyła żadnej zmiany.

Niech się teraz o nic nie pyta. Przez telefon trudno o tym mówić. Może jednak być pewna, że szóstego w południe będzie na dworcu w Fonda. Gdy go Roberta zobaczy, niech sobie kupi bilet do Utica i wsiądzie do wagonu. On kupi bilet także i wsiądzie do innego. W drodze, gdyby nie zobaczyli się na poprzedniej stacji, on przejdzie przez jej wagon, będzie więc mogła przekonać się, że jedzie z nią także. Ale rozmawiać z nią nie będzie, niech na to nie liczy.

W Utica niech Roberta weźmie walizkę i wyjdzie na ulicę. On pójdzie za nią, i gdy znajdą się na jakiejś zupełnie pustej ulicy, udadzą się razem do któregośkolwiek małego hoteliku i tam rozmówią się dokładnie.

Taki jest jego projekt. Czy ufa mu dostatecznie? Jeżeli tak, to on zatelefonuje jeszcze drugiego, a następnie szóstego rankiem porozumieją się ostatecznie i będzie mogła wyjechać. Dobrze?

Bagaż? Niech nic ze sobą nie bierze. No tak. Jeżeli już koniecznie jest jej potrzebny, to niech zabierze. Gdyby jednak był na jej miejscu, nie zabierałby ze sobą rzeczy, gdyż jak tylko gdzieś się zainstalują, będzie można po nie przysłać.

Clyde stał przy telefonie w małym składziku aptecznym, a jego właściciel zakopał się gdzieś między słoikami i flaszkami. Zdawało się Clyde'owi, że ów duch, który kiedyś wyłonił się z ciemnych otchłani jego mózgu, stanął teraz przy jego boku i wpada mu w słowa, przemawia jego głosem, nabrzmiałym trwogą i chłodem:

Pojedziesz do jeziora, gdzie byłeś razem z Sandrą...

Z Lycurgus House

weźmiesz przewodniki hotelowe i letniskowe.

Przybędziesz na południową stronę, a... potem wracaj, także kierując się na południe.

Wynajmiesz łódkę, łatwo wywrotną, o okrągłym dnie, taką jakęś widział na Crum Lake.

Kupisz nowy, zupełnie odmienny kapelusz i rzucisz go na wodę, żeby żaden prawdziwy ślad po tobie nie pozostał. Trzeba nawet wydrzeć firmę, aby nie można było rozpoznać, gdzie był kupiony.

Zapakujesz w domu wszystkie rzeczy do kufra, ale je tu pozostawisz, by w razie niepowodzenia można było przyjechać śpiesznie, zabrać je i wyjechać.

Ze sobą zabierzesz tylko te rzeczy, które ci będą potrzebne podczas pobytu w Twelfth Lake, bo gdyby cię tam szukano, niech wygląda, że wyjechałeś tylko na urlop, nie zaś z zamiarem ucieczki.

Powiesz jej, że weźmiesz z nią ślub, ale dopiero po powrocie z wycieczki.

A jeżeli zajdzie potrzeba... to ją lekko uderzysz... tylko tyle, żeby ogłuszyć... łatwiej utonie.

Nie bój się!

Więcej odwagi!

Przez lasy wracaj nocą... byle nie w dzień! Jeżeli cię kto rankiem spotka, będziesz już w Three Mile Bay albo w Sharon i możesz powiedzieć, że przybywasz z Racquette albo z Long Lake, a nawet z Lycurgus.

Zmień nazwisko i charakter pisma.

Możesz być pewny, że ci się uda.

I szepcz, szepcz słodkie słowa. Niech twoja mowa będzie czuła, miłosna nawet. Tak być musi, jeżeli nie chcesz wzbudzić w niej podejrzeń.

Tak mówił duch najciemniejszych głębi jego duszy.

Rozdział XXXV

Szóstego więc lipca w Fonda, z pociągu idącego z Biltz, wyszła Roberta, stanęła na peronie i rozejrzała się, czy nie zobaczy gdzieś Clyde'a, bo do pociągu idącego do Utica było jeszcze pół godziny. W piętnaście minut później z bocznej uliczki wyszedł Clyde i skierował się na stację. Roberta ze swego miejsca widzieć go nie mogła, on jednak przyglądał się jej stanąwszy za stosem pudeł.

- Jaka szczupła i blada! Jakże marnie ubrana!

Ubrała się w granatowy kostium podróżny i mały brązowy kapelusik, specjalnie na tę uroczystość kupiony.

Co za różnica między nią a Sandrą! Jakież życie może mu ona ofiarować? I to właśnie ona chce go zmusić do tego, żeby zapomniał o Sandrze i ożenił się z nią! Niełatwo by mu było uwolnić się od takiego małżeństwa, rozwieść się z nią... może dopiero wtedy, gdy Sandra i wszystko z nią związane przejdzie do wspomnień.

Dwa kontrasty. Sandra ma wszystko i niczego od niego nie żąda - Roberta nie ma nic, a żąda wszystkiego.

Gorycz zalała mu duszę i poczuł prawdziwą sympatię do tego nieznanego mężczyzny z Pass Lake. Życzył mu z głębi duszy, żeby nigdy nie został wykryty. Może on też był w podobnej sytuacji? Widocznie słuszność była po jego stronie, skoro go nie wykryto.

Nerwy rozedrgały mu się, oczy patrzyły ponuro, z urazą, niespokojnie.

Czy mu się powiedzie? Tylko wskutek jej nalegań i głupich żądań znalazł się tu, na tej stacji, musi więc za wszelką cenę dążyć do wykonania swego planu, który już od dziesięciu dni zarysowywał się mu coraz mocniej w głowie. Nic już nie przeszkodzi w spełnieniu tego czynu! Musi działać! Nic nie powinno wpłynąć na zmianę planów...

Wysunął się teraz naprzód, żeby mogła go zobaczyć i spojrzął na nią porozumiewawczo, życzliwie, jakby chciał powiedzieć: - Widzisz, już tu jestem.

Lecz co się działo w jego duszy? Gdyby Roberta mogła przeniknąć całą głębię jego uczuć, jakżeby śpiesznie stąd uciekała!

Zobaczywszy go wszakże rozpromieniła się, oczy jej, ciężką chmurą smutku przysłonięte, rozjaśniły się, opuszczone kąciki ust podniosły się, nie dając jednak poznać, że go widzi. Ucieszona bardzo skierowała się do okienka kasowego, aby według jego wskazań kupić bilet do Utica.

Przyjechał więc! Przyjechał nareszcie... I zabierze ją z sobą. Jakże wielką wdzięczność uczuła dla niego. Będą teraz razem co najmniej siedem albo osiem miesięcy... A jeśli będzie postępowała z cierpliwością i taktem, wiele rzeczy da się zrobić. Przede wszystkim musi być nadzwyczaj wyrozumiała i ostrożna, nie powinna żadnym słowem ani czynem go irytować. Musi zrozumieć, że nie może mu być przyjemne to, co dla niej robi. Widocznie jednak zmienił się trochę, gdyż patrzy teraz na nią o wiele życzliwiej i chyba nie było mu zbyt trudno pogodzić się z losem.

Spojrząwszy uważnie na jego jasnopopielaty garnitur, nowy kapelusz, pięknie świecące buty i ciemną, skórzaną walizkę z przytroczonym do niej statywem aparatu fotograficznego, rakietą tenisową w płóciennym futerale, głównie dla ukrycia na wierzchu walizki inicjałów C. G. - uczuła, że budzi się w niej dawna miłość do niego. Oto człowiek, który ją kochał, a teraz będzie do niej należał. A chociaż zobojętniał dla niej, jest to jej, jej własny Clyde!

Gdy zobaczył, że kupiła bilet, sam podszedł do kasy i, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie w jej stronę, jakby chcąc zaznaczyć, że wszystko idzie dobrze, stanął na jednym końcu peronu, gdy ona zajęła miejsce na drugim.

(Co to za człowiek w brązowym, zimowym palcie, z klatką w ręce? Dlaczego tak mu się przygląda? Czyżby się czegoś domyślał? A może pracował kiedy w Lycurgus albo widział go tam kiedy?).

Musi kupić sobie inny, słomkowy kapelusz... Dziś jeszcze, w Utica... włoży go zamiast tego, który ma na sobie. Upatrzy sobie chwilkę, kiedy Roberta nie będzie patrzeć na niego, i ten włoży do walizki. Opuści ją na chwilkę, jak tylko przyjadą do Utica, albo ją zaprowadzi do małego hoteliku, jak to już sobie projektował, i tam zapisze siebie jako Carla Grahama z żoną albo może Clifford Goldeną... albo Gehringa (w stemplarni była robotnica tego nazwiska), bo gdyby robiono jakieś poszukiwania, dowiedziano by się, że Roberta wyjechała z jakimś mężczyzną tego nazwiska.

(Słysząc gwizd pociągu. Może to ich pociąg nadjeżdża?).

Na jego zegarku było dwadzieścia siedem minut po dwunastej.

Musi teraz zdecydować się, jak ma się względem niej zachować w Utica. Czy ma być serdeczny, czy oziębły? Przez telefon mówił łagodnie i czule. Może więc lepiej pozostać przy tym, bo mogą obudzić się w niej podejrzenia, rozgniewa się, będzie się opierała, i wszystko trudniej będzie wykonać.

(Czy ten pociąg nigdy nie nadejdzie?)

Cieężko mu będzie udawać wesoły nastrój mając pełną świadomość, że to ona doprowadziła go do całej tej historii, stawiając mu tak ostro swoje żądania. I teraz ma być dla niej czuły! Do diabła!

A gdyby takim nie był? Roberta może wyczuć coś w jego postępowaniu, nie zechce z nim pojechać dalej i zepsuje cały plan.

(Żeby mu tylko ręce i nogi nie drżały w decydującym momencie!)

E! skądże by mogła się domyślić czegoś, jeżeli on sam nie jest jeszcze pewien, czy wystarczy mu odwagi? Wie tylko, że nie wróci z nią jako jej mąż, a to jest najważniejsze. Może łódki nie zatopi, ale nie wróci z nią jako jej mąż...

Ale jest już i pociąg. Roberta niesie swoją walizkę. Czy to dla niej nie za ciężko, zwłaszcza w jej stanie? Tak, to niedobrze dla niej. Dziś jest bardzo gorąco. Jak przyjadą do Utica, pomoże jej, jeśli naturalnie nikt nie będzie ich widział. Patrzy teraz na niego, chce widocznie się upewnić, czy i on wsiądzie. Nie pozbyła się wątplenia i podejrzeń. Ale oto jest miejsce na samym końcu pociągu. Nie będzie tu źle. Usiądzie tam wygodnie i będzie wyglądał oknem.

Oczom jego ukazała się rzeka Mohawk, ta sama, która płynęła pod Lycurgus, pod samymi oknami stemplarni, i na której wybrzeżach odbyli zeszłego roku tyle spacerów z Robertą. Wspomnienia te niezbyt mu były miłe, odwrócił więc oczy i udawał, że czyta gazetę, za którą mógł się ukryć, rozważyć wszystko dokładnie i przypomnieć sobie położenie jeziora Big Bittern, które go bardziej interesowało niż jakakolwiek inna miejscowość na świecie.

W piątek wstąpił do Lycurgus House i wziął stamtąd trzy spisy hoteli, letnisk i gospód leżących w dalszych okolicach i wokoło Big Bittern i Long Lake. Prawdopodobnie można by dostać się do jakiegoś jeziora najmniej uczęszczanego tylko, czy tam dostanie się łódkę? W sobotę wziął jeszcze cztery informatory. Dowiedział się z nich, że istnieje wiele mniejszych jezior wzdłuż tego samego toru kolejowego, który prowadzi do Big Bittern. Jest tam również

wiele gospód, gdzie mogliby zatrzymać się nawet na jakie dwa dni przed wyjazdem do Big Bittern i Grass Lake. O Grass Lake pisano, że jest niezwykle malownicze, leży blisko stacji i że są tam trzy wiejskie gospody, gdzie tanio, bo za dwadzieścia dolarów, można siedzieć cały tydzień. Dwie osoby zapłacą więc za jedną noc około pięciu dolarów. Wiedział już, jakimi słowami przekona Robertę, że należy się jej odpoczynek, zanim zabierze się do nowego życia. Nie będzie to ich drogo kosztowało, najwyżej piętnaście dolarów ze wszystkim. Przedstawi to jej jako początek miodowego miesiąca, jako podróż nie tyle poślubną, co przedślubną. Będzie to sobie taka miła wycieczka! Nie zgodzi się tylko, aby wziąć ślub przed wycieczką, tego nie zrobi za nic!

(Co to za ptaszki? Tak szybko lecą ku tej kępie drzew na wzgórzu!)

Ale czy to jej nie zdziwi, że jadą siedemdziesiąt mil z Utica, żeby tylko popływać po jeziorze? Może to wzbudzi jej podejrzenia? No, tak, ale zatrzymają się w Utica, przenocują nawet w jakimś niedrogim hotelu, a tam namówi ją na wycieczkę do Grass Lake. Zresztą w Utica musi kupić sobie kapelusz. A stamtąd będą mogli się udać do Big Bittern. Powie jej, że Big Bittern jest o wiele ładniejsze albo że stamtąd pojedą do Three Mile Bay, gdzie wezmą ślub, i tylko po drodze tam się zatrzymają. Powie jej, że chce pokazać jej tę miejscowość i zrobić kilka zdjęć na tle jeziora. Umyślnie w tym celu wziął ze sobą aparat fotograficzny.

Wziął go właściwie po to, aby zrobić kilka fotografii Sandry.

Ach! jakież to wszystko wstrętne!

(Ileż tych krów tam się pasie? Dziewięć. Czarne i białe.)

Gdy pokaże się wszystkim z tym trójnogiem fotograficznym, rakieta tenisową, każdy będzie myślał, że jest jakimś turystą, przybyłym z daleka, a gdy naraz znikną oboje, czy to nie wzbudzi od razu podejrzenia? Przewodnik mówił, że jezioro ma siedemdziesiąt stóp głębokości, tyle co Pass Lake...

Ach, ten wygląd Roberty! Ani razu o tym nie pomyślał...

(Te trzy auta pędzą równie szybko jak pociąg.)

Więc jak przyjadą do Grass Lake (powie jej, że wezmą ślub w Three Mile Bay, gdzie ma znajomego księdza), namówi ją, żeby zostawiła walizkę w gospodzie, a sami wsiądą do autobusu. On swoją walizkę zabierze ze sobą. Jej, a również i szoferowi powie, że ma w niej aparat fotograficzny, i zapyta nawet, gdzie są najpiękniejsze widoki... Albo jeszcze lepiej będzie, jeśli powie, że ma w niej śniadanie. Rzeczywiście, tak będzie doskonale. Ani Roberty, ani szofera to zdziwić nie może. W każdym razie walizkę musi wziąć ze sobą. Nie może wracać po nią.

(Jakież podłe, straszne czyni plany! Czyżby miał naprawdę je wykonać?)

Ale ten ptak w Big Bittern... jak strasznie krzyknął wtedy... jakoś tak dziwnie... Nie chciałby go znowu usłyszeć... Nie chciałby również spotkać się z tym samym przewodnikiem, który go mógł zapamiętać. Nie rozmawiał z nim co prawda, nie wysiadł nawet z auta, przyglądał mu się tylko przez okno i jeśli dobrze pamięta, przewodnik nie spojrział na niego ani razu. Rozmawiał z Grantem Cranstonem i Harleyem Baggottem. Tylko oni wysiedli i prowadzili rozmowę.

Przypuśćmy jednak, że spotka tego samego przewodnika, który go pozna... Czy to jednak możliwe, żeby go poznał, jeżeli nie patrzył nawet na niego? Nie, nie zapamiętał go sobie na pewno, i z pewnością tam się z nim nie spotka...

Ale dlaczego jego ręce i twarz są takie wilgotne?... spocone i chłodne... Kolana mu drżą...

(Pociąg biegnie brzegiem strumyka i zeszłego lata on z Robertą... Ale nie...)

Kiedy przyjadą do Utica, koniecznie musi wykonać to wszystko, co sobie uplanował, i pod żadnym pozorem nie może odstąpić ani na

włos! Nie wolno mu... nie wolno!

Niech więc ona idzie naprzód, a dopiero za nią, o jakie sto kroków, on pójdzie, żeby nikt nie mógł się domyśleć, że jej towarzyszy. Gdy znajdą się na jakiejś opustoszałej ulicy, przyłączy się do niej i wytłumaczy wszystko... Będzie dla niej bardzo dobry, tak że powinna sobie wyobrazić, że kocha ją bardzo... Musi być dobry, jeżeli chce spełnić, co zamierza. Potem... potem... niech poczeka gdziekolwiek, a on pójdzie kupić sobie inny kapelusz, ten... który... no, tak... ten, który zostawi na wodzie... I wiosła także, oczywiście... I jej kapelusz... i... no, tak...

(Jakiż dziwnie ponury gwizd tego pociągu! Co u diabła, dlaczego jest taki zdenerwowany?)

Ale zanim pójdą do hotelu, musi wrócić na stację i włożyć nowy kapelusz do walizki, a nawet lepiej będzie kupić go przed spotkaniem z Robertą i schować od razu. Potem pójdzie po nią, zostawi ją przy wejściu do hotelu, a sam zabierze walizki. Jeżeli nie będzie nikogo albo niewiele osób, mogą wejść razem, ale ona powinna poczekać chwilę w pokoju dla pań, a on tymczasem zapisze się jako Carl Graham z żoną.

Nazajutrz rano, jeśli ona się zgodzi i będą mieli pociąg, pojechaliby do Grass Lake, każdy w oddzielnym przedziale, dopóki nie miną Twelfth Lake i Sharon.

(Tę prześliczną willę Cranstonów... ach, i Sandrę!)

A potem... potem...

(Taka wielka czerwona stodoła i przy niej mały biały domek... I wiatrak. Takie same stodoły i domki widywał w Illinois, Missouri, a także w Chicago).

Roberta zaś, siedząc w swoim przedziale cieszyła się, że Clyde był teraz taki dla niej dobry. Oczywiście, nie może mu być miło opuszczać w ten sposób Lycurgus, tym bardziej że tak dobrze tam

się bawił. Zgodził się jednak widząc, że nie ma innego wyjścia. Powinna więc ocenić jego poświęcenie, przyjąć to z wdzięcznością i nie posuwać już dalej swych wymagań. Ale nie powinna jednak być zanadto ustępliwa. Z winy Clyde'a stało się to wszystko... On spełnia tylko obowiązek uczciwego człowieka i niewiele go to kosztuje. Ona zaś będzie miała dziecko, na niej będzie spoczywał ciężar utrzymania go w przyszłości i wszystkie kłopoty wynikające z tego. Później wytłumaczy rodzicom przyczyny tej tajemniczości, swój wyjazd i potajemne małżeństwo, jeżeli Clyde naprawdę z nią się ożeni. Ale już na to musi koniecznie nalegać i to zaraz, już w Utica, gdziekolwiek się zatrzymają, i dostać kopię aktu ślubnego, nie tylko dla siebie, lecz i dla dziecka. On będzie chciał uzyskać rozwód i będzie mu z tym dobrze, ona zaś pozostanie tylko panią Griffiths. Dziecko ich też się będzie nazywało Griffiths. To już jest coś.

(Jakaż to śliczna rzeka! Przypomina zupełnie Mohawk... Ach, te ich spacerunki zeszłego lata... A teraz...).

Muszą gdzieś zamieszkać, w jednym, a może w dwóch pokojach. Ale gdzie? w jakim mieście? Aby tylko dalej od Lycurgus i Biltz. Im dalej od Biltz, tym lepiej, chociaż bardzo pragnęłyby zobaczyć się z rodzicami i to, jeśli się da, najprędzej. Ale mniejsza o wszystko! Wyjeżdżają razem i ona ma wyjść za mąż! Czy Clyde zauważył jej nowy kapelusz? A teraz, kiedy tak ślicznie wygląda i elegancko, czy porównał ją z którąś z tych panien, za którymi tak lata? Musi bardzo taktownie z nim postępować... nie irytować go wcale...

Boże! jakie szczęśliwe dni przeżyli z sobą!... Gdyby choć trochę ją kochał... tylko trochę!...

W Utica spotkali się wreszcie na ustronnej uliczce. Clyde miał na twarzy wyraz dobrodusznej wesołości, kryjący z trudem niepokój, bunt i lęk przed obmyślonym czynem. Zdecydowany już był na to...

Rozdział XXXVI

Nazajutrz z rana znaleźli się w Grass Lake, lecz ku wielkiemu zdziwieniu Clyde'a miejscowość ta była bardziej zaludniona, niż się spodziewał. Zaniepokoił się zobaczywszy, że wszędzie wrzało życie. Wyobrażał sobie, że będzie tutaj pusto jak w Big Bittern. Były tam lotniska i punkt zborny jakiejś religijnej organizacji Winebrennarianów z Pensylwanii... Nad jeziorem rozłożyli swe liczne namioty i ustawili chatki.

- Nie uważasz, że to świetnie? - zawołała Roberta. - Moglibyśmy tutaj wziąć ślub. Jeden z tych pastorów mógłby go nam dać!

- Pewnie - odpowiedział Clyde, zaskoczony tym niespodziewanym projektem. - Pójdę zaraz i dowiem się...

Głowił się nad tym, w jaki sposób będzie można ją znów okłamać. Wsadzi ją chyba do łodzi, wywiezie... Ale trzeba poszukać jakiegoś bardziej odosobnionego miejsca... Ale nie! za dużo tu się kręci ludzi. Jezioro nie jest zbyt wielkie, a pewnie nie jest i głębokie. Czarne i nieprzejrzyste jak smoła. Ciemne świerki na północno-wschodnim brzegu jak czujne olbrzymy wyciągają ku niebu szczupłe ramiona niby potwory strzegące podejrzliwie czarnej toni. W duszy Clyde'a, pełnej lęku, ponurych przerażeń i rozbudzonej fantazji, każdy szczegół nabierał doniosłego znaczenia.

- Tak, za dużo tu ludzi... Na samym jeziorze widać co najmniej dziesięć osób.

Ta myśl opętana! Niepodobieństwo!

Szept w głębi duszy:

- Nie można stąd przejść lasami do Three Mile Bay... Nie uda się!

Jest to co najmniej trzydzieści mil... Przy tym jezioro jest zanadto obserwowane przez członków tego religijnego stowarzyszenia... Nie, nie można!

Powie jej... powie... co?... Co powie? Tak... powie jej, że oświadczone mu, iż bez pozwolenia nie może otrzymać tu ślubu... Albo, że pastor jest nieobecny... albo, że żądano od niego osobistych dokumentów, których nie ma przy sobie... albo... albo... A! wszystko jedno, co... byle uspokoić Robertę, dopóki nie wyjadą do Big Bittern. Tam na pewno będą mogli wziąć ślub.

Dlaczego Roberta jest taka natarczywa? Dlaczego każda godzina, każda nawet minuta z nią spędzona sprawia mu niewymowną udrękę, isticie krzyżową drogę przebywa, aby tylko uwolnić się od niej.

O, Sandro! Sandro! gdybyś mogła ze swych wspaniałych pałaców zniżyć się do mnie i pomóc mi! Dostyc, dostyc tych kłamstw! Dostyc nędzy wszelkiego rodzaju!

Tymczasem jednak więcej jeszcze kłamstw było trzeba. Zacznie się poszukiwanie bezcelowe, idiotyczne poszukiwanie lilii wodnych, a on wie, że targany niepokojem, nie zdoła zadowolić wymagań Roberty. I co wtedy ona pomyśli? Zacznie znowu wątpić, czy ich małżeństwo przyjdzie do skutku... Chciała, żeby ich ślub mógł odbyć się w Utica, a teraz musi czekać, patrzeć na jego wahania, słuchać wykrętów...

Ach, mniejsza o to! Jutro albo pojutrze skończy się wszystko, po cóż więc teraz ma się martwić!

Następnego dnia wysiedli z pociągu w Gun Lodge. Clyde odprowadził Robertę do autobusu i namówił ją, żeby zostawiła walizkę tutaj, on zaś zabierze swoją. Ma w niej aparat fotograficzny i śniadanie, które zjedzą na jeziorze.

Zbliżywszy się do autobusu zatrwożył się bardzo, zobaczywszy, że samochód prowadzi ten sam przewodnik, którego już raz widział w Big Bittern. Co będzie, jeżeli go pozna? Przypomni sobie zaraz prześliczne auto Finchleyów, Bertinę i Stuarda, Sandrę i jego, a

Granta i Harleya doskonale będzie pamiętał, bo z nim rozmawiali. Ten sam zimny, lodowaty pot, który go często oblewał podczas rozmyślań ostatniego tygodnia, pokrył mu znowu twarz i rękę.

Jakże to wszystko sobie obmyślił? Jakie głupie robił plany? Czy może się spodziewać, że uda mu się całe przedsięwzięcie, jeżeli zaraz na wstępie popełnił błąd? Równie głupio zrobił, przyjechawszy z Lycurgus do Utica we własnym kapeluszu.

Na szczęście przewodnik go wcale nie poznał. Zapytał nawet z pewnym zaciekawieniem:

- Jedziecie, państwo, do Big Bittern? Pierwszy raz?

Clyde poczuł niewymowną ulgę, ale jeszcze drżący odpowiedział:

- Tak... - i nie panując nad sobą zapytał: - Dużo tam dzisiaj ludzi?

Zanim dokończył pytanie, spostrzegł, że znów popełnił błąd. Dlaczego, u Boga, właśnie o to się zapytał? Czy nigdy nie przestanie popełniać takich błędów?

Tak się tym przeraził, że odpowiedź przewodnika doszła do jego uszu jakby z wielkiej oddali:

- Niewiele. Zaledwie siedem czy osiem osób. Do czwartego lipca było ze trzydzieści, ale wczoraj rozjechali się wszyscy.

Wjechali

między nieruchome, wysokie świerki, ocieniające żółtą drogę i owiał ich w samo południe chłód i cisza. Mijali ocienione polany, brunatne i zielone zapadliska i tajemnicze uroczyiska. Gdzieś z dala niebieskie sójki wydawały metaliczne okrzyki, polne wróble ćwierkały na gałązkach; chór ptasich głosów przenikał srebrne cienie lasu.

Roberta, gdy mijali drewniane mostki, przerzucone nad wąskimi strumyczkami, zwracała uwagę na przejrzystość i połysk wody,

mówiąc z zachwytem:

Jakie to prześliczne! Słyszysz, Clyde, jak ta woda szemrze? Jak świeże jest powietrze!...

A jej śmierć sądzona! Ma przecież umrzeć, i to za chwilę! Boże!

A jeżeli w Big Bittern przy gospodarze i przystani będzie dużo ludzi?... albo jezioro będzie otoczone jak Grass Lake amatorami rybołówstwa i nie będzie można znaleźć swobodnego miejsca? Naprawdę, że też o tym nie pomyślał! Z pewnością Big Bittern nie będzie tak opustoszałe, jak to sobie wyobraża, a przynajmniej dzisiaj... A co wtedy?

Uciekać... uciekać! i niech się co chce dzieje. Znadto się męczy... zamęczy się chyba na śmierć, jeżeli będzie dłużej o tym rozmyślał. Skąd się wzięła ta myśl, żeby zapewnić sobie szczęście przez spełnienie takiego obłędnego, potwornego czynu? Skąd mu przyszło do głowy żeby... zabić... zabić... a potem uciec. Zabić pod pozorem wypadku, aby wszyscy byli przekonani, że oni utonęli... samemu... samemu zaś zostać przy życiu i zażywać szczęścia...

Ohydny pomysł!

Ale cóż mu pozostaje innego? Jak inaczej wybrnąć z tego? Jak? Czyż nie przemyślał wszystkiego, zanim powziął takie postanowienie? Zacząć ma teraz na nowo... Od początku?

Roberta zaś, siedząc koło niego, odczuwała pełnię radości. Każda oto chwila zbliża ją ku małżeństwu z Clyde'em. Jutro... już jutro! A teraz taka miła wycieczka, o której Clyde mówił, jakby miała stanowić niezwykle ważną chwilę w jej życiu.

- Pan chyba nie ma zamiaru pozostać tutaj dłużej - odezwał się znowu przewodnik. - Widziałem, że pan tam - wskazał głową w kierunku Gun Lodge - pozostawił walizkę wielmożnej pani.

- Nie, wrócimy tam wieczorem, o 8,10. Czy z powrotem też

dostaniemy się autobusem.

- Naturalnie.

- Zapewniano mnie o tym w Grass Lake.

Po kiego licha wspominał teraz o Grass Lake? Chyba po to, żeby każdy wiedział, że był tam z Robertą. Ale skąd, u diabła, wzięło mu się z tą walizką "wielmożnej pani"? Nie może pilnować swego nosa? Widocznie wziął ich za małżeństwo... Dlaczego to go tak zdziwiło, że on wziął ze sobą walizkę, a ona pozostawiła swoją? Co za szczególne natręctwo! Skąd mu się to wzięło? Czy to ważne, czy są małżeństwem, czy nie? Co to kogo może obchodzić? Ale... gdyby się ktoś przekonał, że nie są małżeństwem, mogłoby to oznaczać, że ona wybrała się na wycieczkę z jakimś obcym człowiekiem. Naturalnie! No właśnie! Jest się czym martwić!

- Czy jest dużo tam hoteli i zabudowań - spytała Roberta.

- O, niejeden. Zaraz nawet, niedaleko gospody, do której jedziemy. Wczoraj był tam cały obóz młodych chłopców i pańienek nad samym brzegiem jeziora. Niedaleko, może będzie milka od gospody... Ale czy dziś tam jeszcze są, nie wiem. Dzisiaj nie widziałem nikogo z nich.

Młodych chłopców i pańienek! Na miłość Boską! A jeżeli to wszystko teraz znajduje się na jeziorze? Może wiosłują albo pływają?... Co wtedy? Może znajdzie się ktoś między nimi z Twelfth Lake? Może jest tam ktoś z jego znajomych i pozna go? A on jest z Robertą! Cały ten pomysł, cała ta wycieczka może okazać się bezcelowa! Co za głupi pomysł. Dlaczego właśnie tutaj się wybrał? Nie mógł obrać sobie jakiegoś innego jeziora, gdzieś dalej?

Był jednak już tym wszystkim tak wyczerpany, że nie umiał się zdobyć na lepszy pomysł. Trzeba dojechać i zobaczyć samemu. Jeżeli rzeczywiście będzie dużo osób, pojedą na większe pustkowie albo wrócą do Grass Lake...

Boże! Cóż on pocznie, jeżeli tam będzie rojno?

Ale oto przed ich oczyma roztacza się nawa zielonych drzew, kwadrat łąki i samo jezioro oraz maleńka gospoda z werandą na słupkach, patrząca w granatowe wody Big Bittern. Oto przystań z czerwonym dachem, ta sama, którą już poprzednio widział.

- Patrz! jakie to śliczne! - woła Roberta.

A Clyde szybkim okiem robiąc przegląd wodnej przestrzeni, ciemniejącej z dala wyspy, widzi, że niewiele jest osób. Na jeziorze nie ma zupełnie nikogo. Odpowiada jej z zadowoloną miną:

- Naturalnie, że ładnie. Mówiłem ci o tym.

Lecz drzenie przebiega mu ciało, gdy wymawia te słowa.

Podchodzi do nich czerstwy, barczysty właściciel gospody i pyta:

- Państwo na długo?

Ale Clyde zdenerwowany odpowiada z irytacją w głosie:

- Nie na długo. Przyjechaliśmy tylko na parę godzin. Wyjedziemy wieczorem.

- Czy zostaną państwo na obiedzie? Pociąg odchodzi dopiero 8.15

- Owszem... zostaniemy... Dobrze.

Oczywiście muszą zostać, bo Roberta nawet pewnie się spodziewa, że podczas tej przedślubnej wycieczki zjedzą razem obiad w tak ślicznej miejscowości. Co za pomysł miał ten matoł z czerwonym pyskiem.

- To wezmę od pana walizkę, państwo się tymczasem zapiszą, a może żona pańska zechce odpocząć trochę...

Prowadził ich przodem niosąc walizkę, którą Clyde miał ochotę

wyrwać mu z ręki. Wcale nie chciał zapisywać się tutaj i zostawiać walizki. Trzeba ją odebrać i wynająć łódkę.

Jeżeli już ma się zapisać, to jako Clifford Golden z żoną.

Jakby dla dopełnienia miary wszystkich niespodzianek tego dnia, Roberta oznajmiła, że jest jej gorąco, więc zostawi tu kapelusz i płaszcz, ponieważ i tak mają tu wrócić na obiad.

Kapelusz... ten właśnie kapelusz z firmą Braunsteina z Lycurgus, który go już z dawna niepokoił i nasuwał różne pomysły, w jaki sposób mógłby się go pozbyć. Doszedł jednak do przekonania, że ostatecznie jeżeli... jeżeli spełni to... istotnie, co zamierza, to, to czy Roberta będzie go miała na głowie, czy nie, nie może mieć znaczenia. Czyż dochodzenie śledcze nie udowodni, kim jest, jeżeli ją znajdą, a nawet jeżeli nie znajdą?

Wyszedł z gospody pełen niepokoju, zdenerwowany, i nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co ma teraz uczynić, wziął walizkę i ruszył na przystań. Wrzucił walizkę do łódki, spytawszy się wprzód właściciela, gdzie są najpiękniejsze widoki, bo chce zrobić kilka zdjęć.

Nie słyszał już odpowiedzi, wprowadził do łodzi Robertę - jakąś mglistą postać, wchodzącą do jakiejś niematerialnej łodzi, kołyszącej się na jakimś jak we śnie jeziorze. Wsiadł potem sam, zajął miejsce pośrodku i wziął w ręce wiosła.

Cicha, opalizująca toń, jak ciężka oleista masa, jak szkło płynne, rozlane we wklęśnięciu ziemi. Lekkie, świeże, upajające powietrze zaledwie muskało powierzchnię wody, z lekka ją fałdując. Gęsto rosnące kosmate świerki, wysokie, o czubkach podobnych do włóczni. Świerki, wszędzie świerki... Za nimi garbate szczyty ciemnego, odległego Adirondacksu. Nigdzie żadnej łódki. Żadnego bungalowu ani domu. Szukał oczami obozu, o którym mówił przewodnik. Nie znalazł. Nasłuchiwał głosów ludzkich. Nic. Prócz plusku własnych wiosel i rozmowy właściciela przystani z przewodnikiem już o sto, teraz o trzysta, a teraz o pięćset łokci za nim nic nie było słychać.

- Jak tu cicho i spokojnie - odezwała się Roberta. - To dla duszy prawdziwe ukojenie... Prześlicznie, naprawdę, o wiele ładniej niż nad tamtym jeziorem. Jakże te drzewa są wysokie!... I te góry. Całą drogę zachwycalam się tą ciszą i chłodem, chociaż droga była wyboista.

- Czy rozmawiałaś z kimś w gospodzie?

- Ja? Nie. Dlaczego się pytasz?

- Tak sobie. Myślałem, że spotkałaś kogoś ze znajomych. Ale zdaje mi się, że dziś niewiele tu osób. Zresztą może gdzieś i są.

- Nie. Nie widzi nikogo na jeziorze. W bilardowym pokoju widziałam dwóch mężczyzn i jakąś dziewczynę w pokoju dla pań, a więcej nikogo. Czy ta woda zimna?

Włożyła rękę do wody i przesuwała między palcami kropelki ściekające z wioseł.

- Chłodna? Nie wiem.

Zatrzymał się i zanurzył rękę, zadumany. Nie pojedzie od razu do tej wyspy. Za daleko - za wcześnie. Roberta zacznie się dziwić... Trochę później. Musi jeszcze namyśleć się, rozważyć wszystko... Roberta pewnie będzie chciała zjeść śniadanie (śniadanie!); a tam o milę zaledwie jest śliczny widok. Pojadą tam i mogą zjeść, właściwie tylko ona, bo on dziś jeść nie może. A potem... potem...

Patrzyła w stronę, gdzie miał być ten śliczny widok, na cypel wrzynający się głęboko w wodę i nastrzępiony strzelistymi świerkami.

- Czy znasz tu jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli zatrzymać się i zjeść cokolwiek? Jestem już trochę głodna... A ty, mój ukochany?

Po co nazwała go teraz ukochanym?

Mała gospoda i przystań zmały jeszcze bardziej i stały się podobne do budyneków na Crum Lake, kiedy wiosłował tam zeszłego roku i marzył, żeby mógł kiedyś znaleźć się na takim jak to jeziorze i spotkać taką istotę jak Roberta... Nad ich głowami płyną takie same wełniste obłoczki, jak owego fatalnego dnia.

O, zgrozo! do czego on doszedł? Teraz również mogą sobie poszukać lilii wodnych dla zabicia czasu, zanim... dla zabicia czasu... zabicia... Boże!

Musi jednak myśleć ciągle o tym, jeżeli trwa w tym zamiarze...
Musi myśleć o tym.

Popłynęli więc tam, gdzie miał być ten piękny widok, do maleńkiej zatoki i zatrzymali się przy piaszczystym brzegu koloru miodu, ukrytym zupełnie przed ludzkimi oczami.

Wysiedli. Roberta ostrożnie wyjęła śniadanie z walizki, odrzuciwszy gazetę, w którą było owinięte, na piasek. Clyde przechadzał się po brzegu. Uważał, że teraz właśnie trzeba wyrazić zachwyt nad pięknem przyrody. Myślał przy tym bez przerwy o wyspie i zatoce przy niej, gdzie musi wreszcie dokonać tego strasznego, ohydneho czynu i nie dopuścić, aby starannie opracowany plan miał spełznąć na niczym, jeśli... jeśli nie chce zrezygnować ze wszystkich swych zamierzeń. Lecz teraz, gdy zbliża się ta decydująca chwila... jakaż go ogarnia zgroza... Może popełni jakiś błąd, może źle

wywróci łódkę, może... może nie będzie miał odwagi... do... do... O, Boże! Stanie się więc... stanie się mordercą! Aresztują go! Osądzą! Nie! nie! nie może! nie chce!

Zasiedli razem na piasku do śniadania. Dokoła panował spokój. Roberta zaczęła się zastanawiać, jak sobie będą dalej radzili, obliczać wspólny stan majątkowy, namyślać się, dokąd powinni teraz pojechać. Może do Syracuse, tam chyba będzie najlepiej, jeżeli oczywiście dogadza to Clyde'owi. I co dalej mają robić... Słyszała od szwagra, Gabela, że w tym mieście powstaje nowa fabryka kołnierzyków i koszul męskich. Może by Clyde mógł dostać tam taką samą posadę, jaką tu zajmował? A potem, gdy najgorsze ich

zmartwienie minie, będą mogli znów razem pracować w tej samej fabryce. Teraz wynajmą chyba tylko jeden pokój, bo na więcej ich nie stać. Taki pokój przy rodzinie. Gdyby jednak Clyde nie chciał, bo jakoś teraz nie bardzo się zgadzają, a przynajmniej nie tak, jak to dawniej bywało, mogą wziąć dwa połączone ze sobą pokoje. Ona rozumie przecież doskonale, że Clyde z niezbyt wielką chęcią i radością tak się poświęca.

Po co ona tyle gada? Niech sobie zresztą gada, jeżeli jej to sprawia przyjemność... Czy to może teraz mieć jakieś znaczenie? Cóż z tego, czy on zgodzi się z jej zdaniem, czy nie.

Wielki Boże! ona mówi tak, jakby jutro jeszcze miała istnieć! A jej już na świecie nie będzie...

Żeby mu tylko nogi nie bardzo drżały... i żeby ręce, twarz, ciało nie oblewały się potem...

Usiedli znów w łódce. Clyde bez przerwy spoglądał w stronę wyspy. Nie, nie ma tam nikogo... nikogo zupełnie. Nigdzie, ani w lesie, ani na wodzie... nikogo. Tak tu jest cicho, dzięki Bogu, i spokojnie. Mógłby już... tutaj... albo trochę dalej... to zrobić... jeżeli tylko nie zabraknie mu odwagi... Teraz jej jeszcze nie ma.

Roberta zanurzyła rękę w wodzie i spytała się, czy nie ma tu gdzie lilii wodnych albo jakichś innych kwiatów.

Lilii wodnych!

Upewnił się, że na całej wielkiej przestrzeni tego pięknego jeziora nie ma żadnych śladów ludzkiego życia. Nie widać żadnych dróg ani nawet ścieżek, żadnych bungalowów, namiotów... Ale może być gdzieś niedaleko w lesie jakiś myśliwy czy traper albo rybak... Czy to możliwe? A gdyby właśnie był? I zauważył...

O! losie!

Rozpacz! Śmierć! Wszystko na nic!

Ale chyba nie... Znikąd nie dochodzi żaden dźwięk. Nigdzie nie widać żadnego dymu, tylko... tylko te wysokie, ciemne świerki jak włócznie, sterczące ku niebu, a między nimi jeden, drugi, uschły, bez życia, szary, martwe ramiona wyciąga do słońca.

Śmierć!

Tylko ostry, metaliczny krzyk sójki gdzieś w głębi lasu. Tylko gdzieś ruda smuga przelatującego dudka i czarne skrzydła. Tylko tajemnicze niby zaświatowe pukanie samotnego dziecięcia.

"Słońce ozłaca mój dom w Kentucky" - śpiewała Roberta bawiąc się kroplami błękitnej wody. A potem jeszcze: "Będę tam w niedzielę, jeżeli tylko chcesz" - najmodniejszą piosenkę dansingową.

Po dobrej godzinie pływania, śpiewania, gadania, przyglądania się pięknym widokom, napotkali małą wysepkę, gdzie mogły znajdować się lilie wodne. Roberta przypomniała, że niedługo powinni wracać, bo czas mija.

Zatoka w południowej części wyspy - przepiękna, żałobnie obrzeżona czarnymi świerkami - wyglądała jakby drugie mniejsze jeziorko, łączące się wąską cieśniną z większym, jednak mierzące co najmniej dwadzieścia akrów. I wszędzie dokoła na straży tego stawu stały gęsto zbite świerki. I tylko tu i ówdzie jaskółki, i tylko tu i ówdzie na tafli wody - lilie. Byłoby tu cudowne zacisze dla człowieka zmęczonego życiem, pragnącego wytchnienia.

Łódź wypłynęła na tę cichą, ciemną wodę. Urok czarownego zakątka przeniknął duszę Clyde'a mocniej niż wszelkie rozumowania. Opływać dokoła te ciche, tajemnicze brzegi, pływać bez końca w jakiejś bezkresnej przestrzeni, gdzie nie ma żadnych zamysłów, żadnych planów, żadnych praktycznych zagadnień do rozwiązania...

Uroczy, zdradliwy zakątek! Ta zapomniana, ciemna woda, te milczące drzewa zdawały się szydzić z niego. Jak wielką, potężną dłoń, być może w jakimś gniewie, być może z fantazji tylko wyłowiona czarna perła, umieszczona na dnie tej doliny, ułożona na ciemnym,

zielonym aksamicie, a taka bezdenna, gdy się w jej głąb patrzyło.
O czym tu wszystko szepcze?

O śmierci... o śmierci... wyraźniej niż kiedykolwiek w życiu
Clyde'a.

O śmierci... O spokojnej, niebolesnej śmierci, którą każdy,
strudzony życiem, chętnie by powitał. Taka cicha, taka opiekuńcza,
taka łagodna... Nawet Roberta sama by ją wybrała.

Miał uczucie, jak gdyby jakaś życzliwa, przyjazna ręka dotknęła
mocno jego ramienia. Jak miło! Jakie ciepło z niej promieniuje!
Jaka moc! Tyle krzepiącej siły wlewało się w jego żyły... takie
oparcie, uspokojenie. Żeby go tylko nie opuściło! Żeby chciała
pozostać na nim ta przyjacielska ręka... Czy kiedykolwiek w życiu
doznał takiego pokrzepienia? Nigdy! Czuł się uspokojony i dusza
jego oddaliła się od rzeczywistości.

Tak, Roberta była tutaj, lecz zapadła się gdzieś w cień, nabrała
kształtów jak mgła przejrzystych. A chociaż były koło niej jakieś
barwy realne, sama stała się istotą nierealną i Clyde czuł, że był
tu tylko sam.

Życzliwe, przyjazne ręce znikły również. A Clyde został samotny i
zapomniany w tej ciemnej, przepięknej krainie, w którą wcielił się
widocznie.

Opuszczony.

Zrobiło mu się dziwnie zimno. Czar tego piękna wzbudził w nim
chłód. Po co tu przybył? Czy musi wykonać tę... Ma zabić Robertę?
Nie!

Schylił głowę i spojrział w fascynującą głębinę tej mieniącej się
błękitem i purpurą wody, magnetycznie przyciągającej wzrok, która,
gdy zatapiał w nią spojrzenie, zmieniała się w kryształową wielką
banię.

Ale co się porusza w tej bani? Jakiś kształt. Zbliża się... staje

się wyraźniejszy... To Roberta! Walczy... wyciąga białe ramiona z wody, sięga ku niemu!

Boże! jakie to straszne! Jakiż wyraz na jej twarzy! Co się tu stało? O, Boże! Śmierć! Zbrodnia!

Pojął nagle, że odwaga, na którą liczył, zupełnie go opuściła, i na próżno sięgał do głębi duszy, żeby ją zatrzymać.

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Znów ten straszny krzyk! Duch-pokusa woła głosem nie istniejącego ptaka. Jaki ostry! Jaki okropny!

Obudziło się w jego duszy pragnienie, aby jak najszybciej roztrzygnąć stojące przed nim zadanie, bez względu na konsekwencje, jakie go potem mogły czekać.

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Ostrzeżenie... czy protest... czy wyrok?

Ten sam ptak, który nasunął na myśl te plany... Siedzi teraz na tym uschłym, umarłym drzewie... ptak przeklęty! A teraz przefrunął na inne, także uschłe... dalej trochę... i krzyczy! Boże!

Mimo woli kieruje łódkę ku brzegowi.

Tak, wziął walizkę, musi więc zrobić kilka zdjęć... Chce sfotografować Robertę i siebie... w łódce i na brzegu. Ale wsiada znowu do łódki, w której nie będzie już walizki, bo pozostanie w

bezpiecznym miejscu. Wsiadłszy szukał oczyma miejsca, gdzie u stóp jakiegoś drzewa, gdzie potem mógłby łatwo ją znaleźć. Zjawi się tutaj niedługo. Nie będzie już wtedy ich dwoje. Z pewnością!

Nie słuchając protestów Roberty, która zapewniała, że jest już zmęczona, że mógł pomyśleć o tym wcześniej, że pewnie jest już około piątej, Clyde uspokoił ją, że zrobi tylko kilka zdjęć, że musi mieć jej fotografię pod tymi ślicznymi drzewami w łódce. Musi mieć obraz tego ciemnego jeziora.

Jakież spocone, zdenerwowane ma ręce!

I wzrok, którego nie może od niej oderwać!

Znowu są na wodzie. Pewnie z pięćset stóp od brzegu. Jeszcze bezładnie rozważa, trzymając ciężki, choć mały aparat fotograficzny. Łódź zbliża się ku środkowi jeziora. Jak tu dziwnie i strasznie! Nikogo dokoła... Ani żadnej drogi, ani domu, ani ruchu...

Oto chwila, kiedy ma spełnić obmyślony przez siebie czy też przez kogoś plan, który wpłynie na jego dalsze losy.

Chwila czynu... ostatecznego!

Czynu? Musi tylko szybko a uważnie przechylić się na jedną stronę, podskoczyć ku prawej stronie... albo ku lewej i wywrócić łódź, a gdyby się nie udało, zachwiać nią mocno. A gdyby Roberta krzyczała, trzepnąć ją aparatem albo wolnym wiosłem. Zrobi to... zrobi to chyba szybko, zupełnie zwyczajnie, jeśli mu starczy odwagi i przytomności umysłu... A może mu zabraknie?... Potem popłynie swobodnie ku swej wolności, do szczęścia, do Sandry, ku lepszemu, wspanialszemu życiu...

Na cóż więc jeszcze czeka?

Nad czym się namyśla? Na co czeka?

W decydującej chwili, kiedy ma właśnie zabrać się do czynu, nagły

paraliż woli, odwagi, brak dostatecznej nienawiści czy gniewu...

Roberta siedzi z tyłu łodzi, patrzy w jego zmieszaną, wykrzywioną twarz, w błyszczące oczy, w których maluje się okrucieństwo, pasja, szatański jakiś wyraz, toczy się walka między lękiem a pełną niepokoju i wahań żądzą spełnienia... spełnienia... Jest w nim wrodzony wstręt przeciw brutalności, jaką jest śmierć... wstręt, a zarazem chęć niezwalczona... wahanie, czy ma to spełnić... a może nie.

A wyraz tych oczu, źrenic samych, staje się z każdą sekundą coraz bardziej ponury, twarz skupiona, ciało zwarte, pięści zaciśnięte, postać nieruchomieje, w głowie chaos myśli złowrogich, w których wszakże nie przeważa brutalna, niszczycielska siła, lecz jakby z nich wyłonić się miał bezwładny trans czy bezmyślny szal.

Roberta widząc dziwny wyraz twarzy Clyde'a, jego obłądny wzrok, jakieś wahanie, zawołała z przerażeniem:

- Clyde, co ci jest? Co ci się stało? Wyglądasz tak... dziwnie... tak... Nigdy jeszcze tak nie patrzyłeś... Co ci jest...

Zerwała się z miejsca, a raczej pochyliła ku niemu i czołgając się na kolanach chciała się ku niemu zbliżyć. On zaś wyprężył się, jakby miał upaść na przód łodzi albo przechylić się na bok czy też wskoczyć do wody.

Uczuł naraz, całą swą niemoc, całe swe tchórzostwo, a przy tym

uczuł wyłaniającą się z jakichś głębin swej duszy nienawiść nie tylko do Roberty, lecz i do siebie, jakąś władzę, władzę życia zapewne, która ma go powstrzymać na tej drodze.

Nie! nie spełni... nie chce! nie może... nie może! Powie jej tylko, że się z nią nigdy nie ożeni... Nigdy! Chociażby miała spełnić swe groźby... chociażby zniszczyła mu całą przyszłość... nie ożeni się z nią nigdy... bo kochają się z Sandrą... Tylko z Sandrą połączy swe życie...

Lecz nie był nawet zdolny i tego powiedzieć. Patrzył na nią pałającym wzrokiem, zmieszany, zły.

Roberta na kolanach przysunęła się do niego i sięgnęła po aparat, chcąc go położyć na dnie łodzi, a Clyde'a wziąć za rękę, on jednak rzucił się w tył. Nie chciał jej dotknięcia, jej uspokajań, jej żalów, nie chciał patrzeć na nią! chce być od niej wolny! Wolny!

Nie panując nad sobą, pchnął ją mocno aparatem w twarz, aby się odsunęła. Roberta upadła w tył. Opierając się o burtę przechyliła łódź. Opamiętał się natychmiast. Słyszając jej krzyk uniósł się i sięgnął ręką, by ją przytrzymać i przeprosić za bezmyślne uderzenie. Wtedy łódź przechyliła się jeszcze mocniej i oboje znaleźli się w wodzie. Walcząc ze śmiercią, Roberta silnie uderzyła się o burtę i zanurzyła się natychmiast. Po chwili ukazała się na powierzchni wody. Jej wykrzywiona strasznym przerażeniem twarz zwróciła się do Clyde'a. Ogłuszona, przejęta zgrozą i panicznym strachem wołała jeszcze:

- Pomocy! ratunku! Boże! tonę! tonę!... pomocy!... Boże! Clyde! ratuj!... Ten straszny głos ścinający krew w żyłach!...

Otrzymała więc ten cios, który jej przeznaczał, a jednak stało się to niechcący...

Ale to, co się stało, to nie to, o czym zamyślałeś szukając wyjścia... Stało się samo! samo! Mimo twych obaw, twego tchórzostwa to... to stało się samo! Wypadek... zwykły wypadek. Bezwiedny cios z twej ręki uwolnił cię od wykonania tego, do czego nie miałeś odwagi!

Lecz czemu zgroza cię nie opuszcza, jakkolwiek to był tylko wypadek, jakkolwiek stało się to nie z twojej woli... Czemu? Nie opuszcza cię lęk gorszy stokroć od tego, który cię torturował i od którego powinienes teraz być wolny... dlaczego?

Mogłeś ją ratować. Ale nie byłeś do tego zdolny. Widziałeś, że uderzyła się o burtę łódki. Widziałeś, że była ogłuszona...

No, tak, ale walcząc z jej przerażeniem, mogłeś sam postradać życie. A tak żyć pragniesz! A cóż z jej życia? Zatrulałaby ci twoje...

Odpocznij chwilkę... tylko sekundę. Czekaj... czekaj... nie poddawaj się uczuciu litości... A potem...

Patrz! Już wszystko skończone... Utonęła. Nigdy już nie zobaczysz jej żywej... nigdy. O, patrz!... twój własny kapelusz pływa po wodzie... tak jak chciałeś. A na łodzi uciepiony jej woal. Zostaw go. Będzie świadkiem, że stał się wypadek.

I nic... żadnych śladów... tylko kilka kręgów na wodzie... spokój uroczysty.

A! znowu ten głos, szyderczy, diaboliczny nieznanego ptaka.

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Kit, kit, kit! Ca-a-a-ah!

Krzyk szatańskiego ptaka na umarłym drzewie...

Clyde z obłądnym, nieruchomo utkwionym w przestrzeń wzrokiem płynął ciężko, wolno ku brzegowi, mając w uszach przedśmiertny krzyk Roberty. Myślał tylko o jednym... o jednym tylko. Nie zabił jej przecież. Nie, nie zabił. Dzięki za to Bogu... Nie zabił.

A może?

Stanął już na brzegu i wykręcał ubranie z wody. Czy nie zabił?

Bo jednak nie przyszedł jej z pomocą. Mógł ją uratować... A ten jej upadek z łodzi, czy był tylko wypadkiem? Nie wie... nie wie...

Zmierzch i cisza kończącego się dnia. Cichy zakątek lasu, gdzie spoczywała jego sucha walizka. Clyde stanął przy niej i czekał na wyschnięcie ubrania. Tymczasem odczepił od boku walizy trójnog aparat i szukał wypróchniałego pnia, gdzie mógłby go ukryć. A

może go ktoś widzi? Może ktoś patrzy na niego? Wrócił i rozglądał się, jaki ma obrać kierunek. Pójdzie najprzód na zachód, potem na południe. Tutaj nie może się kręcić...

Tylko ten ptak... ten jego ciągle powtarzający się ostry, przenikliwy krzyk... tak szarpie nerwy... Tak jakoś ciemno, ponuro zrobiło się mimo pogodnego, usianego gwiazdami nieba...

Nie znanym lasem, po ciemku, w suchym kapeluszu na głowie, z walizką w ręku, prędko, lecz ostrożnie poszedł na południe, ciągle na południe.

Tom 3

Kara

Rozdział I

Okręg Cataraqui jest bardzo słabo zaludniony, liczy bowiem zaledwie pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców na całym obszarze.

Większą jego część zajmują bezludne, nieprzebyte bory i jeziora, a tylko gdzieniegdzie spotyka się wioski i małe miasteczka, jak Koontz, Grass Lake, North Wallace i Bridgeburg, który jest głównym miastem tego okręgu i liczy aż dwa tysiące dusz. Na głównym placu miasta stoi sąd, budynek stary, lecz godnie wyglądający, ozdobiony kopułą, w której gnieźdzą się gołębie. Sprzed sądu wybiegają

cztery spore handlowe ulice.

Dziewiątego lipca w jednej z sal sądowych siedział Fred Heit, miejscowy koroner. Wysoki, barczysty, z siwiejącymi faworytami, które mogłyby godnie ozdobić twarz jakiegoś mormona, ręce i nogi miał duże, stosowne zresztą do wzrostu i tuszy.

Około więc trzeciej po południu siedział i sennie przerzucał kartki katalogu, który właśnie sprowadził na życzenie żony. Wczytywał się z zajęciem w ceny butów, zakietów, kapeluszy i czapek, które przydałyby się bardzo jego pięciorgu dzieciom, sam nie miał również płaszcza, oczywiście odpowiednich rozmiarów, wysokich kołnierzy, szerokiego pasa, wielkich, pięknych guzików, na których z przyjemnością zatrzymał wzrok. Podniósł głowę i pomyślał z żalem, że budżet jego nie pozwala na takie zbytki, tym bardziej przy nadchodzącej zimie, wiedział bowiem, iż Ella, jego żona, marzy już od trzech lat o futrze. Może by doszedł do jakiej konkluzji, gdyby dzwonek telefoniczny nie przerwał jego zadumy.

- Tak, Heit przy telefonie... A, to Wallace Upham z Big Bittern?... No... i co dalej? Utonęło dwoje ludzi... zaraz... poczekaj chwileczkę...

Zwrócił się do młodego urzędnika, który przyniósł właśnie pensję z kasy okręgowej: - Zapisuj to, Earl! - a dalej do mikrofonu: - No, już, Wallace... mów dalej... proszę o szczegóły... wszystkie... dokładnie. Ciało żony znaleziono, męża zaś nie... Łódź wywrócona na brzegu... tak... Kapelusz słomkowy bez firmy... już... Znaki koło ust i oka... płaszcz i kapelusz pozostały w gospodzie... tak... List w kieszeni palta... do kogo zaadresowany? Do pani Tytusowej Alden, Biltz, okręg Mimico... Tak... Szukają ciała mężczyzny... Tak? Dotychczas nie znaleziono?... A teraz pamiętaj, Wallace, żeby kapelusz i płaszcz zostawić tam, gdzie są... Ja sam zobaczę... Teraz jest 2,30... będę tam o czwartej. Dostanę samochód z gospody, prawda?... Dobrze, jadę zaraz.

A teraz, Wallace, zapisz sobie nazwiska tych, którzy znaleźli ciało... Gdzie to było?... osiemnaście stóp głębokości? Tak... Znaleziono woal, zaczepiony na łodzi... tak... dobrze. Ale niech

wszystko tak zostanie... Nie ruszać nic. Zaraz tam jadę. Dziękuję ci, Wallace. Do widzenia.

Koroner Heit powoli położył słuchawkę na widełkach, z wolna podniósł się z głębokiego fotela, pogładził gęste faworyty i spojrzął na Earla Newcomba, który był jednocześnie stenotypistą, archiwistą, jednym słowem - wszystkim.

- Wszystko pan zapisał?

- Wszystko.

- Niech pan włoży palto i kapelusz i wybierz się ze mną. Pociąg odchodzi o 3,10. W drodze może pan wypełnić kilka formularzy do zeznań. Weź ich pan z piętnaście albo i dwadzieścia, wpiszemy na miejscu nazwiska świadków. Ale najprzód zatelefonuj pan do mojej żony i powiedz, że nie będę wcześniej na obiedzie jak po ostatnim pociągu. Być może zostaniemy tam do jutra rana. W takich sprawach nigdy nie wiadomo, co się wyklaruje i jak to długo potrwa.

Przeszedł do szatni i z zatęchłego kąta wy dostał wielki, miękki kapelusz słomkowy ze spuszczonego rondem, który mu jednak nie zakrywał łagodnych, lecz niezwykle wypukłych oczu i olbrzymich faworytów. Ubrawszy się odezwał się znowu:

- Idę teraz na chwilkę do szeryfa, a pan, panie Earl, zatelefonuj do "Republikanina" i do "Demokraty" i opowiedz im o tym wypadku, bo pomyślą, że ich zaniedbujemy. Spotkamy się na stacji.

I wyszedł wolno z pokoju.

Earl Newcomb, młodzieniec wysoki, szczupły, lat dziewiętnastu, bardzo poważny i przejęty własną godnością, wziął zaraz paczkę blankietów i kładąc je do kieszeni telefonował do pani Heit i do dwóch redakcji, którym zakomunikował o utonięciu pary małżeńskiej na Big Bittern. Potem włożył kapelusz przynajmniej o dwa numery za wielki na niego i wybiegł śpiesznie z sali. Wpadł na korytarzu na Zillę Saunders, starą pannę, sekretarkę słynnego pana Masona, prokuratora okręgowego. Szła właśnie do swego biura, zobaczywszy

jednak szybko wybiegającego Earla, który zazwyczaj odznaczał się bardziej rozważnymi ruchami, zawołała:

- Dokąd tak śpieszno, panie Earl? Dokąd pan tak pędzi?

- Dwie ofiary na jeziorze Big Bittern. Wypadek, a może co gorszego nawet. Pan Heit wyjeżdża i ja z nim. Zaraz, o 3,10.

- Skąd ta wiadomość? Czy był kto stamtąd?

- Nie wiem dokładnie, ale nie o to chodzi. W kieszeni kobiety znaleziono list zaadresowany do pani Alden z Biltz... Opowiem pani szczegółowo, jak wrócę, albo zatelefonuję stamtąd.

- O, Boże! a gdyby to była zbrodnia, to pan Mason miałby robotę, prawda?

- Z pewnością. Zatelefonuję do niego albo go sam pan Heit zawiadomi. Gdyby pani zobaczyła Buda Parkera albo Charlie Badnella, proszę im powiedzieć, że musiałem wyjechać. A może zechce pani zawiadomić także moją matkę, panno Zillo. Boję się, że się spóźnię!

- Bardzo chętnie.

- Dziękuję.

Przejęty wypadkiem, który wnosił nieco urozmaicenia w codzienność spraw, Earl wesoło zeskakiwał ze stopni śpiesząc na pociąg, panna Saunders zaś, wiedząc, że jej szef wyjechał w sprawie Zgromadzenia Republikańskiego i że w jej biurze nie ma absolutnie nikogo, z kim mogłaby się porozumieć, weszła do kancelarii pana Masona, gdzie więcej mogła zastać osób, które chętnie wysłuchają wiadomości o tragedii na jeziorze w Big Bittern.

Rozdział II

Wiadomości zebrane przez koronera Heita były niezwykle i bardzo niepokojące. Gdy do gospody nie przybyła na noc sympatyczna, młoda para małżeńska, a na dodatek zauważono brak łódki, rozpoczęto nazajutrz rano poszukiwania i w Moon Cove, małej zatoczce jeziora, znaleziono wywróconą łódź, zaczepiony o nią woal i kapelusz męski, pływający po wodzie. Kto tylko żył, ruszył na zbadanie dna jeziora, każdy chciał wziąć udział w wyłowieniu ciał. Wszyscy, którzy widzieli tę parę, zgodnie twierdzili, że oboje byli młodzi i przystojni, i fakt ten zaostriżył jeszcze bardziej ciekawość i wzbudził współczucie. Dziwili się tylko wszyscy, że w taki bezwietrzny dzień łódź mogła się wywrócić.

Podniecenie wzrosło, gdy Johnowi Pole, leśnikowi, udało się wydobyć ciało kobiety i gdy stwierdzono, że denatka ma siniaki na twarzy, a zwłaszcza na nosie, wargach i pod prawym okiem. Wzbudziło to od razu podejrzenie.

Gdy John Pole wraz z Johnem Rainerem wyciągnęli ją na powierzchnię, spojrzeli na nią z wielkim współczuciem.

- O, biedactwo! - zawołał John. - Takie to leciutkie, nic a nic prawie nie waży. Dziwne nawet, że mogła utonąć...

Wziął ją, bezwładną, zwisającą mu w rękach, w swe silne ramiona, ułożył na ziemi, a odrzuciwszy z czoła dziewczyny włosy, okrywające prawie całą twarz, zawołał:

- Patrz no, Joe! Spójrz tylko! To maleństwo uderzyło się o coś! Patrz!

Nad Robertą pochylili się leśnicy i lokatorzy gospody i wpatrzyli się w sine znaki na jej twarzy. Ciało jej zaniesiono do przystani

i zabrano się do poszukiwania zwłok towarzysza. Gdy jednak trudy ich nie dały żadnego rezultatu, coraz silniej utrwalalo się podejrzenie, że jego ciała na dnie jeziora nie było wcale.

- Dziwnie to jakoś wszystko wygląda... te siniaki... łódka wywrócona w taki śliczny dzień jak wczoraj... Jego ciała nie ma w jeziorze, nie ma!

Przewodnik, który ich przywiózł z Gun Lodge, i właściciel gospody długo o tym gadali i stwierdzili: 1) że utopiona kobieta zostawiła swoją walizkę w Grass Lake, a Clifford Golden czy też Carl Graham wziął swoją ze sobą, 2) że dziwnie wygląda ta niezgodność nazwisk osobnika, którego identyczność stwierdzono w Grass Lake i Big Bittern, 3) że ów Graham czy Golden pytał się przewodnika, czy wiele jest tego dnia osób na jeziorze.

Wszystkie te dane stworzyły prawie pewność, że była to zbrodnia z premedytacją. Nikt już w to nie wąpił.

Natychmiast po przybyciu koroner Heit spostrzegł podniecenie świadków, którzy wyrazili swe podejrzenia. Dowiedział się, że nikt z nich nie wierzy, aby ciało tego Grahama czy Goldena znajdowało się w jeziorze. Heit przyjrzał się zwłokom dziewczyny, ułożonym troskliwie w budynku przystani. Była młoda i przystojna. Koroner zainteresował się sprawą słysząc, ile podejrzeń krąży dokoła. Trudno mu było je zwalczyć, zwłaszcza gdy przeczytał list, znaleziony w kieszeni płaszcza Roberta. Brzmiał, jak następuje:

Grass Lake, 8 lipca

Najdroższa Matuchno!

Jesteśmy teraz tutaj i mamy się pobrać. Małżeństwo to jednak będzie zawarte tylko dla Ciebie, Mateńko. Nie pokazuj tego listu ojcu ani nikomu, bo nikt nie powinien o tym wiedzieć. A dlaczego, to Ci już mówiłam podczas świąt Bożego Narodzenia. Ale nie martw się niczym i nie pytaj mnie o nic, dopóki sama nie napiszę do Ciebie, gdzie mieszkam. I nie myśl o mnie źle, Mateczko. Tu, w tym miejscu, leży gorący, serdeczny pocałunek dla Ciebie, Mamo. Bądź

spokojna, a ojcu powiedz, że wszystko jest dobrze, ale więcej nie mu nie mów. Tomowi, Emilce i Giffordowi także. Będziesz pamiętała? Zasyłam dużo, bardzo dużo całusów.

Kochająca Berti.

P. S. To będzie tajemnicą między mną a Tobą, dopóki nie napiszę znowu.

Papier miał stempel: Grass Lake, gospoda Jacka Evansa. List był widocznie napisany z rana, po nocy przespanej tam z Carlem Grahamem.

Oto jak wygląda samodzielność młodych dziewcząt!

Heit czytał ten list ze zmarszczonym czołem, sam bowiem miał córki, które bardzo kochał.

Z listu można się było domyślić, że nie będąc jeszcze małżeństwem zatrzymali się jednak w tej gospodzie w jednym pokoju na noc. Koroner zamyślił się. Nadchodziły wybory okręgowe, odbywające się co cztery lata. Głosowanie nastąpi już w październiku i ma być wybrany na dalsze trzy lata szef wszystkich oddziałów sądowych tego okręgu oraz sędzia okręgowy na sześć lat. W sierpniu, czyli za sześć tygodni, mają się zebrać republikanie i demokraci i wybrać kandydata z każdego obwodu, odpowiedniego na to stanowisko. Zostać nim mógł jednak tylko ten, kto był już prokuratorem. Ponieważ Heit był już dwa razy na tym urzędzie, a ceniono go jako świetnego mówcę oraz dzielnego polityka, mógł więc mieć nadzieję, że zostanie wybrany. Szkodziłoby mu tylko to jedynie, że przez cały czas jego urzędowania ani razu nie zdarzyła się porządna sprawa, w której mógłby wykazać swoje zdolności. Ale teraz...

Teraz wszakże ta sprawa mogła posłużyć jedynie obecnemu prokuratorowi, który był jego najserdeczniejszym przyjacielem; jemu tylko mogła zaszkodzić przychylność ludności i wyrobić znaczenie w partii, i podczas wyborów on właśnie mógł być wybrany.

Dziwniejsze jeszcze rzeczy zdarzają się w świecie polityki.

Postanowił więc na razie nie zajmować się tym listem, jakkolwiek mógłby mu dopomóc do wykrycia sprawcy zbrodni, jeżeli oczywiście sprawa ta była zbrodnią. Kazał tymczasem przewodnikowi, który przywiózł Clyde'a i Robertę, oraz Earlowi, żeby udali się obaj do Gun Lodge, skąd ta para przybyła, i powiedzieli właścicielowi gospody, że walizka, pozostawiona tam przez Robertę, nie może być pod żadnym pozorem wydana nikomu, tylko jemu lub prokuratorowi.

Miał zamiar następnie zatelefonować do Biltz i dowiedzieć się, czy mieszka tam rodzina nazwiskiem Alden, która ma córkę imieniem Berta czy Alberta, gdy nagle weszło hałaśliwie do pokoju dwóch dorosłych mężczyzn w towarzystwie młodego chłopca oraz wielu jeszcze leśników i rybaków, zaciekawionych tą tragedią. Mają nowe, bardzo ważne wiadomości!

Opowiadali dosyć bezładnie, przerywając jeden drugiemu, że wczorajszej nocy, około dziewiętej, jakie trzy mile od jeziora Big Bittern spotkali młodego człowieka, który szedł w stronę Three Mile Bay. Był bardzo przyzwoicie, a nawet elegancko ubrany, na głowie miał słomkowy kapelusz, a w ręku walizkę. Od razu wydało się im podejrzane, że o takiej porze taki wytworny pan wędruje lasem, zamiast jechać koleją. I dlaczego, spotkawszy ich, tak był przerażony? Bo cofnął się jakby w popłochu, jakby chciał uciekać zobaczywszy ich. Może przestraszył się latarni, którą nieśli, może tego, że szli tak szybko, jak zresztą zwykle chodzą ludzie nocą w dzikim lesie. W każdym razie ich okolica jest zupełnie bezpieczna, chodzą tędy zazwyczaj uczciwi ludzie, tacy właśnie jak oni, i nie ma się czego przerażać, jak ten młodzieniec, który wykonał zwrot jak do ucieczki albo jakby chciał się schować w krzaki. Potem jednak, gdy chłopiec oświecił mu latarnią twarz i spytał: Kto idzie? tamten odpowiedział: Dobry wieczór. Czy daleko jeszcze do Three Mile Bay? Odpowiedzieli mu, że około siedmiu mil. Wtedy oddalił się, a oni też poszli w swoją stronę rozmawiając o tym spotkaniu.

Ponieważ charakterystyka postaci spotkanego młodzieńca zgadzała się zupełnie z opisem przewodnika i właścicieli gospód w Gun Lodge i Big Bittern, nie było prawie żadnej wątpliwości, że spotkany w

nocy młodzieniec był tym samym, który wypłynął na jezioro z tajemniczą kobietą.

Earl Newcomb poddał myśl, żeby zatelefonować do gospody w Three Mile Bay i dowiedzieć się, czy ten młody człowiek zatrzymał się tam i pod jakim nazwiskiem się zapisał.

Nie, nikt nie przybył do gospody. I nikt go już więcej nie widział. Znikł, jakby rozpułynał się we mgle.

Przed nocą jednak przyszły nowe wiadomości. Widziano młodego, obcego człowieka, z walizką w ręku, którego powierzchowność zgadzała się ze znanym już rysopisem, ale na głowie miał czapkę, nie zaś słomkowy kapelusz. Udał się on w stronę Sharon małym statkiem parowym "Cygnus", kursującym po jeziorze między Three Mile Bay a Sharon. Ale już w tym miejscu ślad ginął zupełnie. Nikt w Sharon nie spostrzegł ani przybycia, ani odjazdu takiej osoby. Nawet sam kapitan statku nie zauważył, kiedy wysiadł ten młodzieniec. Było co prawda kilkunastu pasażerów więc mógł nie zauważyć.

W Big Bittern tymczasem utrwaliło się przekonanie, że kimkolwiek był ten osobnik, niezaprzeczenie był wielkim łajdakiem. Nikczemnikiem, który jak najprędzej powinien być aresztowany. Szubrawiec! Zbrodniarz!

Wszystkie telegrafy radiowe i zwykłe rozniosły wieść do całej prasy o tej wstrząsającej tragedii, w której kryła się jakaś ponura tajemnica.

Rozdział III

Mocno się namyślał koroner Heit, gdy zebrał już wszystkie dane, co ma dalej robić, jakie ma poczynić dalsze kroki w tej sprawie. Patrząc w twarz Roberty odczuwał wielkie wzruszenie. Taka była młoda, ładna i tak niewinnie wyglądała. Skromna granatowa sukienka opadała ciężko i oblepiała jej kształty, włosy, mokre jeszcze od dwudziestoczworgodzinnej leżenia w wodzie, miały gorący, brązowy odcień, który świadczył o żywym, bujnym temperamencie. Małe dłonie złożyła na piersiach. Musiała to być istota łagodna i dobra. Z jakiej więc przyczyny padła ofiarą zbrodni?

Wszystko to było tragiczne, tymczasem jednak Heita obchodziła głównie jego własna sprawa. Czy ma sam wybrać się do Biltz i zawiadomić Aldenową o śmierci córki i zbadać, czy nie wie czegoś więcej o tym młodym człowieku, z którym Roberta wyjechała, czy też zawiadomić najprzód prokuratora okręgowego i oddać mu wszystkie dane tej sprawy, a tym samym pozwolić mu wziąć na siebie odpowiedzialność za wywołanie skandalu w jakiejś przyzwoitej rodzinie. Sam, działając na własną rękę mógłby narazić się partii, do której należał. Prokurator nie będzie na nic zważał, tylko od razu zacznie działać. No tak, jest to dla Heita doskonała sposobność. Oddaje w ręce najlepszego przyjaciela sprawę, która go może wsławić.

Pojechał więc do Bridgeburga i czym prędzej poszedł do prokuratora, który spostrzegłszy niezwykłą minę przyjaciela z wielkim zainteresowaniem wysłuchał szczegółów, bo od panny Saundexs wiedział już o wypadku.

Prokurator Mason był niskim, barczystym mężczyzną. Jego miłą i przystojną twarz szpecił złamany nos, tak że sprawiało to jakieś przykre a nawet odstręczające wrażenie. W charakterze nie miał jednak nic odpychającego, przeciwnie, - był bardzo romantycznie, wrażliwie usposobiony. W młodości znosił ciężkie koleje i później, w wieku męskim, gdy powodziło mu się lepiej w życiu, patrzył na tych, którzy od dzieciństwa gładko szli przez życie, jako na istoty nazbyt przez los faworyzowane.

Syn ubogiej wdowy po farmerze, od zarania życia patrzył na borykanie się matki z losem, toteż od dwunastego roku postanowił zrzec się wszelkich przyjemności, aby jej tylko nie być ciężarem. Nie umiał jednak wyrzec się ślizgawki, która co prawda nie była wcale kosztowną rozrywką, i mając lat czternaście upadł na lodzie i złamał sobie nos tak nieszczęśliwie, że zeszpeciło mu to twarz na całe życie.

Gdy doszedł do wieku młodzieńczego, zrozumiał że nie może współzawodniczyć ze swymi kolegami w ubieganiu się o względy niewieście, i stał się bardzo drażliwy na punkcie swej wady fizycznej. Zwolennicy Freuda powiedzieliby, że czuł się płciowo upośledzony.

Gdy zaczął rok siedemnasty, udało mu się swym darem pisarskim zainteresować redaktora i wydawcę wychodzącego w Bridgeburgu "Republikanina" i został przyjęty do tego pisma jako reporter. Później został korespondentem pism wychodzących w Albany i Utica. W osiemnastym roku życia zaczął studiować prawo w biurze Davisa Richofera, byłego sędziego. W parę lat potem otrzymał prawo stawania w sądzie i pracował tam ku wielkiemu zadowoleniu miejscowych polityków i kupców, którzy przez wdzięczność postarali się, aby został przydzielony do Niższej Izby Prawodawczej. W stolicy dzięki energii i pełnej ambicji gorliwości zyskał takie samo uznanie jak na poprzednim stanowisku. Powrócił potem do Bridgeburga, a ceniony za talent oratorski, otrzymał stanowisko prokuratora okręgowego, które mógł piastować przez całe cztery lata, jednak gdy następnie został wybrany na audytora, tym samym został prokuratorem na następne cztery lata. Ożenił się wtedy z córką miejscowego aptekarza i miał z nią dwoje dzieci.

Podobnie jak koroner zrozumiał od razu, jaką może mieć wagę ta sprawa, jak może podnieść polityczny prestiż człowieka, który ją wyświecili. Rozwiązałyby to problemat jego przyszłości. Oczywiście zainteresował się tym mocno. Powitał Heita z wielkim zadowoleniem.

- A, pułkownik Heit.

- Tak, Orville, wracam właśnie z Big Bittern. Sprawa jest tego

rodzaju, że muszę zająć ci trochę czasu.

Wielkie, wylupiaste oczy mówiły, że pod tą skromną uwagą kryje się coś ważniejszego.

- Mówisz o tym utonięciu? - spytał prokurator.

- Właśnie.

- Czy masz jakie dane, by sądzić, że kryje się w tym jakieś przestępstwo?

- Oczywiście. Nie mam wątpliwości, że jest to morderstwo. - Poważne oczy Heita połyskiwały posępnym blaskiem. - Naturalnie, nie ma nic jeszcze pewnego. Nie mogę zaręczyć, czy ciało tego młodego człowieka nie leży jeszcze na dnie jeziora, ale podejrzanie mi to wszystko wygląda, Orville. Piętnaście osób prowadziło poszukiwania, przeciągali sieci, zapuszczali sondy w różnych miejscach, a jezioro w tym miejscu ma zaledwie piętnaście stóp głębokości. Nigdzie nie było ani śladu tego młodzieńca. Dziewczynę wyciągnęli około pierwszej w południe, po parogodzinnej zaledwie pracy. Zupełnie ładna dziewczyna, powiadam ci, Orville, młodziutka... może ma osiemnaście, a co najwyżej dwadzieścia lat. Nagromadziło się jednak tyle podejrzanych okoliczności, że doszedłem do przekonania, że nie warto go szukać. Przyznam ci się, że nie miałem jeszcze nigdy do czynienia z tak ohydą zbrodnią.

Mówiąc to wyjął z kieszeni list Roberty i podał przyjacielowi. Przynurzył się do krzesła, usiadł, a Mason zajął się czytaniem.

- Rzeczywiście, że to podejrzanie wygląda - odezwał się po przeczytaniu listu. - Powiadasz, że ciała jego nie znaleziono? Czy skomunikowałaś się z matką tej dziewczyny, żeby się czegoś więcej dowiedzieć?

- Nie, Orville, jeszcze nie - odrzekł z wolna zamyślony Heit - a dlaczego, powiem ci zaraz. Postanowiłem najprzód z tobą pomówić. Wiesz, jaka jest teraz sytuacja polityczna i jakie wrażenie w jesieni może wywołać taka sprawa na publiczności. Wprawdzie nie

chciałbym mieszać polityki partyjnej do takich rzeczy, ale nie widzę racji, dlaczego nie mielibyśmy tak działać, żeby to była woda na nasz młyn. Dlatego postanowiłem z tobą się najprzód naradzić. Naturalnie, jeżeli mi powiesz, Orville, że ta sprawa tylko do mnie należy, zabiorę się zaraz do roboty. Myślałem jednak, że o wiele lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś tam się udał osobiście i na miejscu postarał się zbadać, kim był ten młodzieniec, i zebrać wszystkie o nim szczegóły. Rozumiesz przecież, jakie znaczenie może mieć ta sprawa z punktu widzenia partyjnego, jeżeli uda nam się ją wyjaśnić, a uważam, że ty jesteś jedynym do tego człowiekiem.

- Dziękuję ci, Fred, bardzo dziękuję - odezwał się Mason, z wielką powagą patrząc na przyjaciela i uderzając listem o biurko. - Bardzo ci jestem wdzięczny za twoją opinię i za wskazanie sposobu prowadzenia sprawy. Czy jesteś pewien, że nikt prócz ciebie nie widział tego listu?

- Sam tylko właściciel gospody widział kopertę i powiedział mi, że znalazł ją w kieszeni ofiary i wziął do siebie w obawie, że list mógłby się zagubić albo mógłby go ktoś przeczytać, zanim dostałby się w moje ręce. Powiedział mi również, że od razu miał pewne podejrzenia, gdy usłyszał o tym wypadku. Ten młody człowiek okazywał tyle zdenerwowania, taki był jakiś dziwny - tak mi przynajmniej powiedział...

- To dobrze, Fred. Nie mów więc o tym nikomu, przynajmniej na razie. Zaraz tam pojadę. A czego jeszcze się dowiedziałeś?

Ostatnie pytanie Mason postawił już z miną prokuratora i urzędowym tonem.

- Bardzo dużo, bardzo, bardzo dużo - odrzekł koroner z powagą i namysłem. - Na twarzy dziewczyny są jakieś podejrzone znaki od uderzeń czy cięć... Pod prawym okiem, nad lewą skronią, wzdłuż nosa i wargi są ślady, jak gdyby białe stworzenie czymś uderzono - kamieniem czy też końcem wiosła, które znaleziono pływające po wodzie. Biedactwo... wygląda jak dziecko, taka drobna i delikatna... bardzo ładna dziewczyna... choć nie tak niewinna,

jakby się zdawać mogło...

Koroner zamilkł na chwilę, wyjął wielką chustkę, wytarł głośno nos, a potem palcami przeczesał brodę.

- Nie miałem już czasu czekać na doktora, zresztą będę prowadził dalsze dochodzenie w poniedziałek. Kazałem ludziom tutaj przywieźć jej ciało. Najciekawsze jednak są zeznania trzech mieszkańców Three Mile Bay, którzy tamtej nocy szli do Big Bittern na ryby. Kazałem Earlowi, żeby wciągnął to do protokołu, a im, żeby stawili się do złożenia zeznań w poniedziałek.

Tu koroner powtórzył dokładnie, co zeznali świadkowie o spotkaniu się z Clyde'em.

- Dobrze, dobrze! - przerywał od czasu do czasu prokurator, słuchający z zajęciem.

- Ale jeszcze jest coś, Orville - ciągnął dalej koroner. - Kazałem Earlowi zatelefonować do różnych osób w Three Mile Bay. Nikt o nim nie wiedział, spostrzegł go jedynie kapitan małego statku, który kursuje między Sharon a Three Mile Bay. Znasz, zdaje się, kapitana Mooneya... Poleciałem go także wciągnąć na listę świadków. Otóż według niego w piątek około wpół do dziewiątej rano na pokład jego statku wszedł młody człowiek, bardzo podobny do opisanego, z walizką w ręku, lecz w czapce na głowie, nie zaś w słomkowym kapeluszu i zapłacił za przejazd do Sharon. "Bardzo przystojny młodzieniec" - opowiadał kapitan - "bardzo dystyngowany" i dobrze ubrany. Najwyraźniej należy do wyższego towarzystwa".

- Mhm... tak... - mruzczał Mason słuchając relacji.

- Poleciałem również Earlowi zatelefonować do Sharon, czy go tam kto nie zauważył, ale dotychczas nikt się taki nie znalazł. Earl miał również zatelefonować i telegrafować do wszystkich hoteli i okolicznych stacji, aby mieli na niego oko, gdyby się zjawił. Byłem pewien, że postąpiłbyś tak samo. Chciałbym jednak, żebyś dał mi upoważnienie na obejrzenie tej walizki w Gun Lodge. Znajdują się tam prawdopodobnie rzeczy, które mogłyby nas zainteresować.

Pojadę i sam ją przywiozę. Chciałbym również pojechać osobiście do Grass Lake, do Three Mile Bay i do Sharon, jeszcze nawet dzisiaj, jeżeli się na to zgodzisz, i mam nadzieję, że uda mi się czegoś więcej dowiedzieć. Zdaje się jednak, Orville, że mamy do czynienia ze zbrodnią. Całe postępowanie tego młodego człowieka jest podejrzane... Po co jechał z tą dziewczyną do hotelu w Grass Lake, a potem zapisał się w Big Bittern pod innym nazwiskiem? Dlaczego kazał jej zostawić walizkę, a zabrał swoją? To nie jest szczerze postępowanie, zgodzisz się chyba ze mną, Orville? Najbardziej mnie dziwi to, że rodzice pozwolili córce wyjechać z nie znanym im człowiekiem.

- Rzeczywiście, masz rację - odparł Mason, zainteresowany głównie tym, że dziewczyna nie była jednak tak uczciwa, jakby się mogło wydawać.

Więc uwiedzenie! Przez jakiegoś zamożnego młodzieńca, niewątpliwie z dużego miasta. Sprawa jest poważna i stanie się głośna. Powstał naraz, bardzo tym poruszony. Żeby mógł tylko przyłapać tego bestialskiego zbrodniarza! A tu nadchodzą wrześniejsze zgromadzenia... jesienne wybory...

- Tak, zajmę się tym energicznie! - zawołał. - Mam wrażenie, że jesteśmy na tropie bardzo poważnej sprawy. Tak mi się przynajmniej zdaje...

Sprawa jest ciemna... Nikczemny występki! Ale sądzę, że przede wszystkim trzeba zatelefonować do Biltz i dowiedzieć się czegoś o rodzinie Aldenów. Nie jest to tak bardzo daleko, około pięćdziesięciu mil... tylko, że dla samochodu są tam złe drogi... Biedna kobieta... - dodał po chwili. - Będzie przykra scena.

Zawołał pannę Zillę i polecił jej dowiedzieć się, czy w Biltz mieszka niejaki Tytus Alden i jak tam można się dostać. Następnie dodał:

- Potrzebny mi będzie Burton. Trzeba go jak najprędzej sprowadzić z powrotem.

Burton Burleigh, jego urzędowy pomocnik, wyjechał na zwykły swój

weekend.

- Niech zabierze się zaraz do roboty, będzie potrzebny tobie, Fred, gdy ja wyjadę, żeby zobaczyć się z tą nieszczęśliwą kobietą. Każ również swemu Earlowi, żeby przywiózł tu walizkę ofiary, ja zaś przywiozę starego Aldena, żeby stwierdził tożsamość denatki. Nic jednak nie mów nikomu o tym liście, Fred, ani o tym, że tam pojechałem, dopóki nie zobaczę się z tobą po powrocie. - Ujął rękę przyjaciela. - Teraz - mówił dalej z pewnym patosem, przejęty ważnością sprawy - muszę ci podziękować, Fred.

Bardzo ci jestem wdzięczny i nigdy ci tego nie zapomnę. Chyba mi wierzysz, prawda? - Patrzył szczerze w oczy przyjacielowi. - Może to być dla nas szczęśliwe zdarzenie. Jest to największa i bodaj jedna z najważniejszych spraw, jakie miałem podczas mego urzędowania, a jeżeli uda się nam wyświecić ją pomyślnie i szybko, jeszcze przed jesienią, będzie to dla nas z korzyścią.

- Z pewnością, Orville, z pewnością - zgodził się Heit. - Nie powinno się wprowadzić mieszań spraw partyjnych do spraw sądowych, jak już powiedziałem, w tym wypadku jednak... - przerwał zamyślając się.

- Ale - przerwał prokurator - powiedz jeszcze Earlowi, żeby zrobił kilka zdjęć wywróconej łódki, wiosła i kapelusza, a również i miejsca, gdzie ciało znaleziono. Niech zbierze także zeznania świadków, bo chcę mieć wszystko pod ręką. Jutro albo w poniedziałek sam wszystko przejrę.

Podał rękę Heitowi i poklepał go przyjaźnie po ramieniu. A Heit, zadowolony ze swej dyplomacji, żywiąc wielkie nadzieje lepszej przyszłości, wziął kapelusz, zapiął lekkie, luźne palto i wrócił do swego biura, aby raz jeszcze zatelefonować do Earla i zawiadomić go, że wraca znowu na widownię tej tragedii.

Rozdział IV

Orville Mason miał zawsze serce otwarte dla ludzi biednych i upośledzonych, pamiętał bowiem swe lata dziecińne, spędzone przy matce, nieszczęśliwej i ciężko pracującej na kawałek chleba; jadąc do Biltz współczuł więc bardzo Aldenom, których los nie faworyzował.

Gdy zajechał samochodem przed zrujnowane zabudowania, wyszedł do niego sam Alden, z zawiniętymi rękawami, w zniszczonych spodniach. Wyszedł z chlewika, z pokorną miną człowieka, który sam wie o tym, że nędznie wygląda. Spojrzawszy na niego Mason zawahał się. Jakże powie temu niedołącznemu człowiekowi o strasznym losie, jaki spotkał jego córkę? Przecież to wstrząśnie nim do głębi! Żałował, że go nie przygotował telefonicznie do tej rozmowy.

Tytus Alden już zauważył gościa, myślał jednak, że to ktoś szukający drogi, zbliżył się więc z uprzejmą miną, gotów udzielić pomocy.

- Czy to pan Tytus Alden?

- Tak, proszę pana.

- Jestem Mason. Przyjeżdżam z Bridgeburga, pełnię obowiązki prokuratora okręgowego.

Alden zdziwił się bardzo, co mogło skłonić prokuratora okręgowego do przybycia na jego farmę. Mason zaś przyglądał się farmerowi nie wiedząc, od czego zacząć. Jak przyjmie wiadomość ten pokorny człowieczyna? Przyglądali się sobie w milczeniu, stojąc pod sosną rosnącą przed dworkiem, a wiatr szeptał coś cicho w jej starych jak świat igielkach.

- Panie Alden - zaczął Mason z powagą i z większą delikatnością,

niż to było w jego zwyczaju - pan zdaje się jest ojcem panny Alden, imieniem Berta, a może Alberta, prawda? Nie znam dokładnie imienia.

- Roberta - poprawił Alden, czując jak narasta w nim niepokój.

Mason, nie mając odwagi powiedzieć od razu, co go tu przywiodło, zapytał:

- Czy nie zna pan młodego człowieka nazwiskiem Golden, Clifford Golden?

- Nie, nie przypominam sobie, żebym kiedy słyszał takie nazwisko - odparł wolno Alden.

- A Carl Graham?

- Nie, proszę pana. I takiego nazwiska nie znam.

- Tak myślałem! zawołał Mason bardziej do siebie niż do Aldena. - A gdzie jest teraz pańska córka? - zapytał ostrzejszym tonem.

- Ona? W tej chwili jest w Lycurgus... Pracuje tam. Ale dlaczego pan pyta? Czy ona coś takiego zrobiła, czego nie powinna była zrobić... i... pan jej szuka?

Próbował się uśmiechnąć, lecz w oczach był niepokój i zdziwienie.

- Zaraz panu to wytłumaczę, ale przedtem chciałem zadać kilka pytań. - Spojrzał na Aldena ze współczuciem. - Kiedy widział pan ostatni raz swoją córkę?

- Ją? Wyjechała stąd przecież we wtorek do Lycurgus. Pracuje w warsztatach Griffithsa. Ale...

- Zaraz, chwileczkę - przerwał prokurator. - Przyjechała do państwa tylko na niedzielę?

- Nie. Była u nas prawie cały miesiąc. Dostała urlop - odpowiadał

z namysłem Alden. - Nie czuła się zdrowa i, przyjechała do domu wypocząć trochę. Ale gdy wyjeżdżała, była już zdrowa. Ale, panie Mason, niech mi pan powie, czy może jej stało się coś złego?

Podniósł wychudzoną, opaloną rękę do twarzy gestem niepokoju. - Ale nic takiego?... - przesunął ręką po rzadkich, siwych włosach.

- Czy państwo otrzymali od niej jakąś wiadomość po wyjeździe? - pytał dalej prokurator, pragnąc jak najwięcej wyciągnąć zeznań z Aldena, zanim mu wyjawia straszną nowinę. - Czy nie pisała na przykład, że wyjeżdża dokądś?

- Nie, nie pisała. Czy jej się coś stało? Może ma jakieś przykrości albo kłopoty. Ale skądże by ona... Pan tak pyta... pan tak dziwnie jakoś mówi...

Drżał lekko, a ręka nerwowo błądziła po twarzy i zatrzymała się bezmyślnie przy wąskich, bladych ustach. Prokurator jednak nic na to nie odpowiedział, tylko wyjął list Roberty i pokazując zapytał:

- Czy to jest charakter pisma pańskiej córki?

- Tak, to jej pismo - odrzekł Alden nieco głośniejszym głosem. - Ale dlaczego ten list jest u pana panie prokuratorze? - Zacisnął ręce przeczuwając coś strasznego. - Co to jest? co... co ona napisała w tym liście?... Niech mi pan powie, co jej się stało?

Rozglądał się bezradnie dokoła, jakby chciał śpieszyć po ratunek, po jakąś pomoc czy podzielić się z kimś swym niepokojem. Mason, widząc jego mękę, położył mu rękę na ramieniu i zaczął:

- Panie Alden, zdarzają się czasem w życiu chwile tak straszne, że za wszelką cenę trzeba utrzymać całą moc charakteru. Trudno mi to panu powiedzieć, bo sam jestem człowiekiem, który też doznał wiele cierpienia w życiu, i rozumiem dobrze pańskie cierpienie...

- Co jej się stało? Czy może umarła? - krzyknął Alden nieswoim głosem, mrugając szybko oczami.

Orville Mason kiwnął głową.

- Roberta! moja pierworodna!... Boże mój! Wielki Boże!... Panie Święty!

Zachwiał się jak pod silnym ciosem i musiał się oprzeć o drzewo:

- Ale jak? Kiedy? Może w fabryce przy maszynie?... Boże! Boże!

Zwrócił się ku domowi, lecz prokurator zatrzymał go.

- Jeszcze chwilę, panie Alden, jeszcze chwileczkę. Niech pan nie idzie teraz do żony. Ja wiem, że to jest straszne, ale... muszę wszystko panu powiedzieć. Otóż nie w Lycurgus, nie przy maszynie... Nie! Utonęła... w Big Bittern. Była tam na wycieczce w czwartek i wtedy utonęła. Utonęła w Big Bittern - powtarzał słowa nieprzytomnemu Aldenowi - w czwartek. Łódź się wywróciła.

Alden jednak gestykulował gwałtownie i wykrzykiwał coś bez związku i prokurator widział, że jego słowa nie trafiają mu do umysłu, bo jakiś chaos zapanował w głowie nieszczęśliwego ojca, kiedy dowiedział się o śmierci córki. Po kilku pierwszych pytaniach zaczął wydawać głośnie jęki, prawie zwierzęce wycia, jakby mu tchu brakowało. Pochylił się, skulił, zacisnął pięści i uderzył się w skronie.

- Roberta! moja Roberta... Nie żyje! Moja córuchna najmilsza! Boże... Nie! To nieprawda! Ona nie utonęła! to nie może być!... A matka jeszcze przed godziną mówiła o niej... Ona umrze, kiedy się o tym dowie... Ja bez niej żyć nie mogę... umrę... O, moje biedne, ukochane dzieciątko! Najdroższe, najmilsze! Nie wytrzymam, panie prokuratorze, nie wytrzymam tego!

Osunął się na ramię Masona, który go podtrzymał. Po chwili zwrócił się ku domowi i tocząc błędnym wzrokiem zapytał:

- Kto jej o tym powie? Jakże można jej o tym powiedzieć?

- Panie Alden - perswadował prokurator - zaklinam pana, dla

pańskiego dobra, dla dobra pańskiej żony, niech się pan uspokoi i pomoże mi wyświecić sprawę. Niech pan ochłonie i odpowie mi na kilka ważnych pytań, spokojnie, jak gdyby tu nie chodziło o pańską córkę. Jest wiele jeszcze rzeczy do wyjaśnienia, ale musi się pan uspokoić. Proszę mi pozwolić wytłumaczyć wszystko... to jest naprawdę straszne i serdecznie panu współczuję. Rozumiem pana zupełnie, ale jest tyle przykrych szczegółów w tej sprawie, o których chciałbym, żeby pan wiedział. Niechże pan posłucha.

Trzymając Aldena za ramię opowiadał mu wszystkie fakty dotyczące się śmierci Roberty, wszystkie swe podejrzania, w końcu oddając mu list dodał:

- To zbrodnia, panie Alden! tylko zbrodnia! Doszliśmy do przekonania, że popełnione zostało morderstwo.

Zamilkł na chwilę, a Alden patrzył na niego w osłupieniu, wstrząśnięty wyrazem "zbrodnia", jak gdyby niedokładnie pojmował.

- Bardzo panu współczuję, ale przybyłem tu jako przedstawiciel prawa, żeby dowiedzieć się przede wszystkim, czy pan albo pańska żona nie słyszeli o Cliffordzie Goldenie albo Carlu Grahamie, albo kimś takim, kto mógł córkę państwa zwabić na to opustoszałe jezioro. Jakkolwiek wiem, jak strasznie pan cierpi, jednak sądzę, że byłoby chyba pańskim życzeniem, a nawet obowiązkiem, pomóc nam wyświecić tę sprawę. Z listu tego można wywnioskować, że żona pańska wie coś o tym osobniku, a przynajmniej zna jego nazwisko.

Alden powoli przychodził do siebie. Gdy usłyszał, że prokurator mówi coś o zbrodni, o gwałcie, wezbrało w nim oburzenie, starał się odzyskać równowagę i dalej w milczeniu, spokojniej już słuchał słów prokuratora.

Córka jego nie utonęła więc, lecz została zamordowana i to przez człowieka, za którego, jak pisze w liście, ma wyjść za mąż!

A on, ojciec, nie wie nawet o jego istnieniu! To dziwne, że żona jego wiedziała, a on nie... Dlaczego Roberta nie chciała, żeby się

ojciec dowiedział?...

Urodzony i wychowany na wsi, Alden, jak wszyscy wieśniacy, miał wrodzoną niechęć do miejskiego życia, nie stosującego się do bogobojnych zwyczajów wiejskich, i od razu wpadł na myśl, że musiał to być jeden z tych miejskich elegantów. Uwiódł ją obietnicą małżeństwa, której nie miał zamiaru dotrzymać.

Zapaliła się w nim żądza zemsty, żądza niepokonana, straszna, by pomścić się okrutnie na człowieku, który był zdolny uknuć taki spisek na życie jego córki. Łajdak! Uwodziciel! Zbrodniarz!

A oboje z żoną byli tak pewni, że Roberta, aby im pomóc materialnie, prowadzi spokojne, pracowite i uczciwe życie w Lycurgus... Tak spokojnie zasypiali w swych łóżkach albo chodzili koło gospodarstwa, nie wiedząc nic o swoim nieszczęściu... A teraz ciało jej leży w jakimś nieznanym miejscu, może nawet w trupiarni, samotnie, daleko od tych, którzy ją całym sercem kochają... a jutro przewiezione będzie do zimnego, obojętnego urzędu w Bridgeburgu.

- Jeżeli jest Bóg na niebie - wykrzyknął nagle w uniesieniu - to nie dopuści, aby ten łajdak chodził swobodnie po świecie! Nie! nie dopuści! - Obudziła się w nim chęć jakiegoś czynu, działania i dodał: - Muszę o tym pomówić z żoną... Tak, muszę koniecznie... Nie, nie, niech pan tu poczeka. Wiem, że to ją może zabić, ale dowiedzieć się o tym musi... Może ona powie nam, kto to jest i złapiemy go, zanim zdoła uciec! O, moje biedne dzieciątko!... moja maleńka, droga Roberta! Moja najmilsza, ukochana dziewczynka!

Szepcząc żalonym głosem te pieścotliwe słowa, z obłądnym wyrazem twarzy, ciężkim, automatycznym krokiem skierował się do szopy, gdzie Aldenowa przyrządzała jakieś lepsze potrawy na jutrzejszą niedzielę. Kiedy jednak stanął przed drzwiami, zatrzymał się nie mając odwagi wejść, jak człowiek, który dojrzał w głębi swej duszy całą beznadziejność ludzkiego losu wobec niezłomnych, nieugiętych i niewytłumaczonych potęg Życia.

Aldenowa zwróciła oczy ku drzwiom i na widok zmienionej twarzy

męża opuściła ręce bezwładnie, a z oczu jej znikł zwykły spokój i znużenie.

- Tytus! co się stało? Mów, na miłość Boską!

Podniesione ręce, wpólotwarte usta, jakieś dziwne skupienie na twarzy, szeroko otwarte oczy i tylko jedno słowo:

- Roberta!...

- Co jej się stało? Co się stało? Tytus!... co jej się stało?

Milczenie. Dziwne ruchy warg, rąk, oczu. Potem:

- Umarła!... Została... została utopiona... - padło z jego ust, gdy bezwładnie osuwał się na ławę.

Aldenowa stała przez sekundę nieruchomo, nie rozumiejąc, lecz nagle w milczeniu upadła na podłogę, a Tytus patrząc na nią kiwał tylko głową, jakby chciał powiedzieć:

- Tak. Tak musiało być. Niech choć na chwilę zapomni o tym.

Wstał wolno, podszedł do niej, ukląkł i próbował ją unieść, potem wyszedł powoli i zbliżył się do Masona, który, siedząc na połamanych stopniach ganku, w blasku zachodzącego słońca przyglądał się całej nędzy tego gospodarstwa. Żał mu się zrobiło, że wniósł do tego domu jeszcze większą troskę, jakkolwiek sprawa ta była osobiście dla niego korzystna. Ujrzawszy Aldena we drzwiach szopy zerwał się i poszedł ku niemu, a rzuciwszy okiem na nieprzytomną kobietę zauważył, że jest równie drobna i delikatna jak jej córka.

Wziął ją w swe silne ramiona i zaniósł przez jadalnię do tak zwanego saloniku. Zbadał puls i pobiegł po wodę, rozglądając się po drodze, czy nie zobaczy jeszcze kogo - syna, córki, sąsiada, kogo bądź jednym słowem. Nikogo jednak nie było, więc powrócił z wodą i spryskał twarz i ręce Aldenowej.

- Czy jest tu gdzieś blisko lekarz? - zapytał Tytusa, który klęczał przy żonie.

- Jest w Biltz, doktor Crane.

- Czy ma pan... gdzie jest telefon?

- U państwa Wilcox. Stamtąd Roberta często telefonowała.

- Niech pan tu pozostanie. Zaraz powrócę.

Wrócił istotnie zaraz po zawezwaniu doktora i przyprowadził ze sobą panią Wilcox i jej córkę. Przyszło też więcej sąsiadów, przyszedł i doktor Crane, którego Mason zapytał, czy można będzie jeszcze dziś wy badać Aldenową o szczegóły dotyczące tej dziwnej, tajemniczej sprawy, która go tu przywiodła. Doktor Crane uznał, że lepiej nawet będzie dzisiaj to wszystko omówić.

Dzięki życzliwym staraniom obecnych Aldenowa odzyskała wreszcie przytomność i mogła wysłuchać ostrożnie podanej wiadomości. Musiała potem odpowiedzieć na pytanie, co mogły oznaczać tajemnicze słowa w liście Roberty.

Aldenowa poza Clyde'em Griffithsem o nikim więcej nie wiedziała. Był to bratanek bogatego Samuela Griffithsa z Lycurgus; u którego Clyde miał stanowisko szefa wydziału, w którym pracowała Roberta.

Ani jednak rodzice nieszczęsnej dziewczyny, ani prokurator nie byli zdolni przypuścić, żeby bratanek tak znanego człowieka mógł dopuścić się zbrodni. Dlaczego?

Prokurator Mason zamyślił się jednak głęboko. Taka wielka różnica socjalna między tą dziewczyną a bratankiem Griffithsów... Czy to takie niemożliwe? Zupełnie nawet prawdopodobne, że młodzieniec o zapewnionej pozycji chciał się równie dobrze bawić jak każdy inny, a że Roberta była przystojna, nic więc dziwnego, że zwrócił na nią uwagę. Pracowała przecież w jego wydziale... była uboga... Mason dowiedział się przy tym od Heita, że Roberta, jakkolwiek wyglądała bardzo niewinnie, nie zawahała się jednak zamieszkać wspólnie w

jednym pokoju z mężczyzną przed zawarciem ślubu. Czyż nie w ten sposób młodzi, bogaci ludzie uwodzą ubogie dziewczęta? Sam prokurator zbyt wiele przeszedł w życiu i zbyt wiele brzydkich postępów widział żeby nie mógł uwierzyć w winę takiego rozpanoszonego eleganta. Ileż nikczemności jest w ich świecie! Jaka obojętność na los bliźniego! A ci rodzice wierzą święcie w niewinność i cnotę swej córki!

Z dalszych pytań dowiedział się, że Aldenowa nie widziała nigdy tego młodzieńca, a nie słyszała o nikim innym.

Nic już więcej oboje małżonkowie nie mieli do powiedzenia prócz tego, że Roberta przyjechawszy teraz do nich nie czuła się dobrze i bardzo wiele odpoczywała. Pisywała również bardzo dużo listów, które od razu oddawała listonoszowi albo wkładała do przydrożnej skrzynki. Rodzice nie mieli pojęcia, do kogo były adresowane, przyszło jednak na myśl Masonowi, że urzędnik na poczcie będzie wiedział. Przez cały czas pobytu u nich uszyła sobie parę sukien, zdaje się, że cztery. W ostatnich czasach chodziła często do telefonu, wołana przez niejakiego Bakera, jak to stwierdził pan Wilcox. Wyjeżdżając zaś, wzięła ze sobą bardzo niewiele rzeczy, tylko te, które ze sobą przywiozła: mały kuferek i walizkę. Kuferek nadała na bagaż, ale do której stacji, tego ojciec nie wiedział.

Mason zwrócił uwagę na nazwisko "Baker", ale głównie zajęły go inicjały Clyde'a Griffithsa, doskonale pasujące do nazwisk Carla Grahama i Clifforda Goldeny. Zadziwiający zbieg okoliczności. Czyżby ten Clyde Griffiths miał co wspólnego z tą zbrodnią?

Mason postanowił jak najprędzej zobaczyć się z urzędnikiem pocztowym. Potrzebny mu był jednak stary Alden, który musi stwierdzić identyczność ciała Roberty, zawartość walizki, a również musi wpłynąć na urzędnika poczty, żeby powiedział prawdę prokuratorowi. Poleciał więc mu ubrać się i zapewnił go, że nazajutrz powróci do domu. Ostrzegł przy tym Aldenową, żeby nikomu nie powtarzała treści ich rozmowy.

Udali się naprzód na pocztę. Urzędnik, widząc Aldena, który stał u

boku Masona jak zgalwanizowany trup, przypomniał sobie że było sporo listów, może nawet ze dwanaście albo i piętnaście, które mu wręczała Roberta podczas swego pobytu, i wszystkie adresowane były do jednej osoby... zaraz... tak... do Clyde'a Griffithsa... na pewno.

Prokurator zabrał urzędnika pocztowego do rejenta, gdzie zostało spisane to zeznanie, następnie zatelefonował do swego biura i dowiedział się, że ciało Roberty zostało już przywiezione do Bridgeburga. Pojechał więc tam śpiesznie razem z Aldenem.

Nieszczęśliwy ojciec stanął przed zwłokami córki i nieprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w swe ukochane dziecko, po czym w obecności koronera Heita, Burtona Burleigha i Earla Newcomba stwierdzono identyczność osoby Roberty Alden.

Prokurator przyglądał się rysom młodziutkiej dziewczyny i zastanawiał się, czy to możliwe, żeby była jedną z tych rozpustnych dziewcząt, które pozwalają sobie na wszelkie swawole. Cóż innego można było o niej pomyśleć wiedząc, że zamieszkała razem z obcym mężczyzną w gospodzie. Doszedł jednak do przekonania, że musiał tu zajść wypadek przebiegłego, wyrafinowanego uwiedzenia, a potem morderstwa.

A, łajdak! I to w wielkim stylu!

Dawna odraza do ludzi uprzywilejowanych odnowiła się w prokuratorze. Patrząc, jak stary Alden, klęcząc u zwłok córki, przyciskał ze wzruszeniem do ust jej małe, chłodne dłonie, jak wpatrywał się z bólem i rozpaczą w woskową twarzyczkę, okoloną długimi, złocistymi włosami, uroczyście obiecał sobie, że sprawę tę musi wyświecić nie kierując się żadnymi ubocznymi względami.

Nikt z obecnych nie mógł się powstrzymać od łez, gdyż Alden niespodziewanie nadał jeszcze bardziej dramatyczny ton tej scenie. Powstał nagle i zwracając się do Masona w obecności wielu osób i przedstawicieli prasy miejscowej zawołał:

- Pragnę, żeby pan, panie prokuratorze, odnalazł tego nikczemnika.

Chcę, żeby tak cierpiał, jak to biedne dziecko cierpiało. Ona została zamordowana, to pewne. Tylko zbrodniarz mógł ją tak uderzyć. Każdy może to zauważyć! - Wskazał ręką na swe dziecko. - Nie mam pieniędzy, żeby móc ścigać tego nikczemnika, ale będę je miał. Sprzedam farmę.

Głos mu się załamał i o mało nie upadł spojrzawszy znów na Robertę. Orville Mason rozumiejąc doskonale tę chęć odwetu zbliżył się do niego i odezwał się:

- Chodźmy stąd, panie Alden. Już wiemy, że to pańska córka. Biorę wszystkich panów na świadków, że stwierdzona została tożsamość osoby... A jeśli się okaże, że córka pańska została zamordowana, obiecuję panu solennie jako prokurator, że nie pożałuję czasu ani pieniędzy, aby wykryć tego zbrodniarza i oddać go w ręce właściwej władzy. A że mam pewność, że w naszym okręgu panuje poczucie sprawiedliwości, może pan w spokoju zostawić swą zemstę legalnym władzom. Farmy nie powinien pan sprzedawać.

Orville Mason był istotnie wzruszony, a mając przed sobą podniecone, liczne audytorium bardzo pięknie wypowiedział te słowa.

Obecni przyjęli to z powagą, nie szczędząc mu uznania, a Earl Newcomb dodał:

- Życzę panu powodzenia, panie prokuratorze. Pomożemy panu wszyscy, jeśli tylko sił nam starczy. Walizka, którą polecono mi przywieźć z Gun Lodge, jest w pańskim biurze. Oddałem ją przed dwiema godzinami Burtonowi.

- Ach, prawda! Omal nie zapomniałem o niej! - zawołał pan Mason, trochę już uspokojony. Niezmiernie był z siebie zadowolony.

Rozdział V

Idąc do biura z Aldenem i urzędnikami, przebiegał myślą przypuszczalne motywy tej bestialskiej zbrodni. Tak, jaki też był jej motyw? Mimo że sam w młodości odmawiał sobie wszelkich miłostek, znał jednak dzisiejszą młodzież i powodów zbrodni szukał w jej rozpasaniu. Miał w pamięci wdzięk i urodę tej dziewczyny, wiedział, jak bardzo była biedna, w jakich moralnych zasadach wychowana, i był przekonany, że najprawdopodobniej młody ten człowiek uwiódł ją, a potem, mając jej dosyć, postanowił pozbyć się jej urządziwszy przedtem niby przedślubną przejażdżkę po jeziorze. Poczul do niego prawdziwą nienawiść.

Oto przewrotność bogatego młokosa! Nikczemność! I to potomek albo reprezentant możnego rodu! Żeby też go mógł ująć!

Przyszło mu na myśl, czy ta dziewczyna, która zgodziła się mieszkać z nim w jednym pokoju, nie była przypadkiem w ciąży?

Utrwaliwszy w sobie to podejrzenie zastanawiał się, jakimi słowami uwodziciel przekonywał cnotliwą dziewczynę i czym ją skusił, że znalazła się w takim położeniu. Chciał również się upewnić, czy jego podejrzenia są słuszne. Postanowił wezwać do wykonania sekcji któregoś z tutejszych lekarzy lub z Utica czy Albany. Należy również podzielić się swym podejrzeniem z Heitem i zastanowić się, skąd mogły powstać te sine znaki na twarzy ofiary.

Przy badaniu zawartości walizki znalazł się jeszcze jeden dowód przeciw temu tajemniczemu osobnikowi i to dowód wielkiej wagi. Oprócz sukien, bielizny, kapeluszy, pary jedwabnych podwiązek, kupionych u Braunsteina w Lycurgus, jeszcze nie używanych, był tam komplet toaletowy, przy którym leżała niewielka kartka, a na niej odczytano słowa: "Dla Berti od Clyde'a. Wesołych Świąt!" Nie było jednak nazwiska. Pismo też nie było zbyt czytelne, pisane w pośpiechu, w czasie, gdy Clyde był już myślą gdzie indziej.

Zdziwił się prokurator, iż zbrodniarz nic nie wiedział, że w walizce ofiary może istnieć taki dowód przeciw niemu. A jeżeli wiedział i nie zabrał tej kartki, to prawdopodobnie ów Clyde nie jest mordercą. Czyż człowiek obmyślający zbrodnię zostawiłby kartkę ze swym imieniem, pisaną własną ręką?

Przyszło mu naraz na myśl, żeby tę kartkę ukryć aż do dnia procesu i nagle okazać ją, w chwili kiedy człowiek ten będzie zapierał się wszelkich stosunków z Robertą Alden i nie przyzna się, że podobne podarunki pochodzą od niego. Schował więc kartkę do kieszeni, jednak Earl spostrzegł ją już wcześniej i przyjrząwszy się uważnie, odezwał się:

- Nie jestem pewien, panie prokuratorze, ale zdaje mi się, że jest to ten sam charakter pisma, co w książce meldunkowej w Big Bittern.

- Dobrze, przekonamy się o tym - odrzekł prokurator.

Po skończonych formalnościach dał znak Heitowi, żeby poszedł za nim do drugiego pokoju, i tam na osobności, bez świadków oświadczył mu:

- Tak, Fred, przeczucia cię nie myliły. Ona dobrze znała tego człowieka, ale gdybyś całe swe życie myślał, nie domyśliłbyś się, kto to taki... - Pochylił się i patrzył bacznie w oczy Heitowi.

- Rzeczywiście, Orville, nie mam najmniejszego pojęcia.

- Hm, a słyszałeś coś o warsztatach Griffithsa w Lycurgus?

- Wyrób kołnierzyków?

- Tak.

- Chyba nie syn? - Fred Heit wytrzeszczył szeroko oczy, a wielką, ogorzałą ręką gładził brodę.

- Nie, nie syn. Bratanek.

- Bratanek? Samuela Griffithsa? Niemożliwe!

Stary, wytrawny, konserwatywny koroner targał brodę i patrzył ze zdumieniem.

- Dotychczas jednak wszystkie fakty za tym przemawiają, Fred. Jadę tam jeszcze dzisiaj, a mam nadzieję, że jutro będę jeszcze więcej wiedział. Ta dziewczyna, córka Aldenów, nadzwyczaj ubogich farmerów, pracowała w warsztatach Griffithsa, a bratanek Samuela Griffithsa był szefem wydziału, gdzie była zatrudniona.

- No! no! no! - dziwił się koroner.

- Od miesiąca była "słaba" - położył nacisk na tym słowie - zanim jeszcze wyjechała od rodziców. W czasie pobytu w domu napisała do niego przynajmniej dziesięć listów, a może nawet więcej. Wiem to od urzędnika pocztowego. Mam jego zeznanie - trzepnął się po kieszeni. - Wszystkie były adresowane do Clyde'a Griffithsa w Lycurgus. Mam nawet jego adres i nazwisko rodziny, u której mieszka. Telefonowałem tam z Biltz. Wezmę ze sobą starego Aldena, bo może mi się jeszcze przydać.

- No tak, tak... bardzo wszystko dobrze... ale żeby Griffiths... - cmoknął językiem. - Ts! ts! ts!

- Chciałem z tobą pomówić o tym, co należy dalej robić - mówił Mason szybko z przejęciem. - Otóż nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby ją zabijał tylko dlatego, że nie chciał się z nią ożenić, to nie mogło być powodem zbrodni, ale... - tu opowiedział mu o swych przypuszczeniach co do ciąży Roberty. Heit poparł je od razu.

- Trzeba więc pomyśleć o sekcji - mówił dalej Mason.

- Zobaczymy również, jaką opinię wydadzą doktorzy o jej ranach i siniakach. To jest bardzo ważne w tej sprawie. Nie będziemy wtedy mieli żadnej wątpliwości, czy dziewczyna została zabita, zanim łódka się wywróciła, czy też tylko była ogłuszona i wypadła z

łódki sama, a może stało się to dopiero wówczas, gdy łódź się wywróciła. Nie zrobimy kroku dalej, jeżeli tego nie będziemy pewni. Skąd jednak wziąć takiego doktora? Może znasz takiego, który by potem oczywiście chciał stanąć w sądzie?

Mason zamyślił się. Już budował sobie powoli całą sprawę.

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć, Orville - odrzekł wolno Heit. - Jesteś w tych sprawach bardziej kompetentny niż ja. Sam już prosiłem doktora Mitchella, żeby tu jutro wstąpił i obejrzał naszą denatkę. Bettsa także prosiłem, ale jeżeli masz kogo innego... Bavo na przykład albo Lincolna z Coldwater... Co powiesz o Bavo?

- Wolałbym Webstera z Utica albo Beemisa, a może obu razem. Im więcej zdań, tym lepiej.

Heit czując, jak wielka odpowiedzialność na nim ciąży, dodał:

- Masz rację. Jeżeli czterech lekarzy wyda opinię, będzie to miało większe znaczenie niż zdanie jednego lub dwóch. Jeżeli dziś albo jutro chcemy zakończyć śledztwo, trzeba ich zaraz wezwać.

- Naturalnie! naturalnie! Dziś jeszcze pojedę do Lycurgus i mam nadzieję, że zbiorę tam wiele wiadomości. Może spotkam się osobiście z tym Griffithsem... A gdyby nawet nie, to w każdym razie znajdzie się coś, co rzuci więcej światła na tę sprawę. Znosi się na coś poważnego, Fred. Mam wrażenie, że żaden z nas nie miał jeszcze w ręku takiej sprawy i dlatego powinniśmy bardzo uważnie brać się do niej. Młodzieniec ten jest, zdaje się, bardzo bogaty, a jeżeli tak, to nam ucieknie. Rodzina jego też stanie za nim... - Przesunął nerwowo ręką po włosach i dodał: - Ale to nic. Teraz tylko trzeba koniecznie sprowadzić Beemisa i Webstera a najlepiej zatelegrafować do nich jeszcze dziś wieczorem albo zatelefonować. Z Albany weźmiemy Sprulla, a żeby mieć spokój z miejscowymi, weźmy stąd Lincolna i Bettsa. A może Bavo...

- Pozwolił sobie na cień uśmiechu. - Teraz jadę. A ty, Fred, postaraj się o lekarzy na poniedziałek albo na wtorek, ja zaś będę się starał wrócić jak najprędzej i zabierzemy się do roboty. Lepiej, żeby byli tu już w poniedziałek, im prędzej tym lepiej.

Włożył do szuflady kilka dokumentów, a potem w drugim pokoju oznajmił Aldenowi, że czeka go nowa podróż. Następnie polecił Burtonowi zatelefonować do pani Mason i wytłumaczyć, że jest bardzo zajęty sprawą i nie będzie mógł przed poniedziałkiem wrócić do domu.

Podczas drogi, która trwała kilka godzin, Orville Mason usiłował wydobyć z przygnębionego Aldena nieco wiadomości o przeszłości Roberty i słuchał o jej szlachetności, uczciwości, cnocie, dobroci serca i słodczy charakteru, dowiedział się, gdzie poprzednio pracowała, ile zarabiała, co robiła z pieniędzmi.

Była to zwykła, pospolita historia ubogiej dziewczyny, którą jednak Mason umiał należycie ocenić.

Przybywszy do Lycurgus poszedł razem z Aldenem do hotelu, gdzie wziął dla niego pokój, żeby mógł odpocząć, potem udał się do biura miejscowego prokuratora, z którym musiał się porozumieć i otrzymać pozwolenie na działanie na tym terenie. Po czym w towarzystwie detektywa wybrał się do mieszkania Clyde'a na Jefferson Avenue, licząc na to, że go zastanie w domu.

Pani Peyton jednak oświadczyła mu, że Clyde istotnie mieszka tutaj, ale dzisiaj nie ma go w domu. Wówczas przedstawił się jej jako prokurator, który wobec pewnych poszlak związanych z utonięciem dziewczyny w Big Bittern, a z którą, jak przypuszczano, Clyde żył jakiś czas - musi wejść do jego pokoju.

Pani Peyton tak była zdumiona, że cofnęła się z wyrazem zgrozy, oburzenia i niewiary na twarzy.

- Ależ to niemożliwe! Pan Clyde Griffiths? Ależ to śmieszne podejrzenie!

On jest bratankiem Samuela Griffithsa i dobrze jest wszystkim znany... Każdy krewny może stwierdzić jego niewinność... Powiedzą panu o nim wszystko, ale nie to... nie to... to niemożliwe!

Patrzyła ze zdumieniem na Masona i detektywa, który chcąc rozproszyć jej wątpliwości okazał jej swój znaczek urzędowy oraz dokument zezwalający na rewizję mieszkania, a będąc przyzwyczajony do takich sytuacji, skierował się sam na schody, prowadzące na wyższe piętro.

- Bardzo mi przykro, moja pani, ale jestem zmuszony prosić, żeby nam pani pokazała jego pokój. Musimy zrobić rewizję.

Widząc, że nie może sprzeciwić się osobom urzędowym, pani Peyton w najwyższym zdenerwowaniu wskazała pokój Clyde'a, uważając jednak tę rewizję za jakąś niewytłumaczalną pomyłkę.

W pokoju Clyde'a od razu wpadł im w oczy niewielki, niezbyt ciężki, stojący w kącie kuferek, którym Faunce, detektyw, zaraz się zajął. Podniósł go naprzód, chcąc zbadać jego wagę. Mason zaś obejrzał wszystkie rzeczy w pokoju, zawartość szuflad i pudełek oraz kieszeni ubrań. W jednej z szuflad, między bielizną, znalazł kilka starych zaproszeń od Trumbullów, Starków, Griffithsów, Harrietów, a przy nich kartkę z notatnika Clyde'a: "Środa, 20 luty obiad u Starków", a niżej: "Piątek, 22, u Trumbullów". Porównał natychmiast charakter pisma z kartką znalezioną w walizce Roberty i przekonał się, że są identyczne. Spojrzał teraz na detektywa, który jeszcze oglądał kuferek.

- Co z tym zrobimy, szefie? Czy zabierzemy z sobą, czy otworzymy tutaj?

- Myślę - odparł z powagą prokurator - że lepiej będzie tu zrewidować. Mogę po to przysłać później, ale chcę zawartość kufra zobaczyć od razu.

Detektyw wyjął z kieszeni ciężkie dłuto i zaczął się rozglądać za młotkiem.

- Nie jest to zbyt mocny zamek - powiedział - i myślę, że uda się nam go łatwo otworzyć.

Pani Peyton, niesłychanie zgorszona takim uproszczeniem sprawy,

zawołała:

- Młotek mogę panu dać, ale dlaczego nie można posłać po ślusarza? Nie słyszałam jeszcze, żeby ktoś w ten sposób postępował...

Jednak detektyw za pomocą młotka i dłuta otworzył kuferek i oczom przedstawicieli władzy ukazały się różne drobiazgi garderoby Clyde'a. Skarpetki, kołnierzyki, krawaty, szaliki, szelki, sweter, para zimowych wysokich butów, cygarniczka, popielniczka z laki i para łyżew. Była też między tym wszystkim i paczka listów Roberty, pisanych z Biltz, wraz z małą jej fotografią jeszcze sprzed roku, a obok nich druga paczka wszystkich liścików, kartek, zaproszeń od Sandry do czasu jej wyjazdu do Twelfth Lake. Listy stamtąd pisane Clyde wziął ze sobą, leżały one zawsze na jego sercu. Jeszcze ciekawsze były listy w trzeciej paczce, pisane przez matkę Clyde'a. Pierwszy z nich adresowany był do Harry'ego Teneta do Chicago, co niezmiernie podejrzanie wyglądało, reszta pod adresem Clyde'a Griffithsa do Union Clubu w Chicago i do Lycurgus.

Mason nie szukał niczego więcej w kuferku, lecz zaraz zabrał się do listów. Przeczytał najprzód trzy od Roberty, z których dowiedział się o przyczynie wyjazdu do Biltz, potem trzy pierwsze od matki, pisane niezwykle patetycznym stylem, w których wspominała o jakimś szaleństwie, o jakimś wypadku, który miał miejsce w Kansas City, oraz tkliwie i czule zalecała, żeby wybrał prostą ścieżkę życia, co na Masonie wywarło takie wrażenie, że poszukiwany przez niego osobnik był jakimś wykolejeńcem, rozwiązłym, błakającym się bez celu po świecie próżniakiem. Dalej ku wielkiemu swemu zdumieniu dowiedział się, że oprócz opieki stryjowskiej Clyde nic więcej nie posiada. Jest ubogim potomkiem wysoce religijnej gałęzi rodu Griffithsów. Mogło to prokuratora usposobić nieco dla niego łaskawiej, gdyby nie kartki od Sandry, rozpaczliwe listy Roberty i mgliste wzmianki w listach matki o jakiejś zbrodni w Kansas City. Z tego wszystkiego wywnioskował prokurator, że Clyde nie tylko był zdolny uknuć spisek na życie dawnej kochanki, lecz z całkiem zimną krwią wykonać zbrodnię.

Co to za zbrodnia w Kansas City? Trzeba zatelegrafować do tamtejszego prokuratora i dowiedzieć się szczegółów.

Zanotowawszy to sobie w pamięci przeglądał krytycznym, ciekawym wzrokiem dalsze listy, zaproszenia, pięknie pachnące, ze złożonymi monogramami, i wyznania miłosne Sandry, które stawały się coraz gorętsze, a ostatnie zaczynały się od: "Najsłodsze moje czarne oczy!" albo "Chłopcze mój najdroższy!", a podpisywane były "Sandra" albo "Twoja Sandra". Niektóre z nich miały dawniejsze daty: 10 maja, 15, 26, maja, a porównawszy z datami listów Roberty dowiedział się Mason, że opuszczona kochanka w tym samym czasie pisywała bardzo żałosne listy.

Teraz już wszystko było jasne. Rozkochał w sobie jakąś bogatą pannę i dla niej zdradził dawną kochankę!

Jakkolwiek rewelacyjne było dla prokuratora to odkrycie, czuł jednak, że nie pora siedzieć teraz i medytować nad tym. Kuferek trzeba przenieść do hotelu.

Kazał więc detektywowi zatelefonować na policję, żeby przeniesiono kufer do hotelu, a sam udał się do rezydencji Samuela Griffithsa, lecz tam dowiedział się, że nie ma nikogo z rodziny w mieście. Wszyscy wyjechali do Greenwood Lake. Zatelefonował tam. Powiedziano mu, że Clyde Griffiths znajduje się obecnie u państwa Cranstonów w Twelfth Lake, niedaleko Sharon.

Oczywiście, taki paniczyk jak Clyde Griffiths nie może przecież gdzie indziej przebywać, tylko na eleganckim lotnisku!... prawdopodobnie nawet u tej panny, od której otrzymywał tyle słodkich liścików...

Ale!... przecież także kapitan statku mówił o młodym człowieku, jechał do Sharon! Eureka! Już go ma w swoich rękach!

Skoro nacieszył się własną przenikliwością, postanowił udać się osobiście do Sharon i Pine Point, rezydencji Cranstonów nad Indian Chain, jeziorem, które znane jest pod nazwą Twelfth Lake.

Znał już dokładnie rysopis Clyde'a ale że chodziło tu o zbrodnię, chciał mieć więcej osób przy sobie, zatelefonował więc do Newtona

Slacka, szeryfa z Bridgeburga, oraz do Heita i jego pomocnika, ażeby wszyscy trzej jak najspieszniej wyjechali do Sharon, gdzie z nimi się spotka.

Zatelefonował potem do willi Cranstonów w Pine Point.

Odezwał się kamerdyner, którego zapytał, czy pan Clyde Griffiths jest obecny.

- Owszem, przyjechał tutaj, ale na razie jest nieobecny, bo wyjechał z całym towarzystwem na wycieczkę. Czy jest dla niego zlecenie?... Nie, nie może powiedzieć, jak daleko wyjechali, prawdopodobnie jednak do Bear Lake, o jakie trzydzieści mil stąd. Nie umie też powiedzieć, kiedy wrócą, ale pewnie nie prędzej jak za dwa dni... Tak... pan Clyde bierze na pewno udział w tej wycieczce...

Zatelefonował więc Mason jeszcze raz do szeryfa, polecając mu zabrać ze sobą czterech, a nawet pięciu wywiadowców, bo obawiał się, że uczestnicy wycieczki mogą się rozdzielić, trzeba będzie mieć baczenie na obie grupy tego towarzystwa.

Zobaczysz ptaszku! znajdziesz się niedługo w więzieniu w Bridgeburgu, a tam już wytłumaczysz się, co cię skłoniło do zamordowania tej biednej dziewczyny!

Rozdział VI

Kiedy woda zamknęła się nad Robertą, Clyde z wolna dopłynął do brzegu, wszedł do lasu, tam w największym zdenerwowaniu wyszukał walizkę, zmienił ubranie, wykręcił z wody mokry garnitur i starał

się go wysuszyć. Zbyt późno było już jednak. Ułożył go więc w walizce między suchymi gałązkami i igłami drzew, trójnog aparatu wetknął w dziuplę spróchniałego drzewa i przy zapadającej nocy zanurzył się w ciemności lasu.

Był zupełnie rozstrojony. Nie miał pewności, czy popełnił zbrodnię, czy też jej nie popełnił. Wiedział, że lepiej byłoby powrócić do gospody i zawiadomić o wypadku, lecz nie!... nie mógłby tego zrobić. Sama myśl o tym przerażała go. Byłoby to zuchwalstwo z jego strony! Nie mógłby spokojnie patrzeć ludziom w oczy i każdy z jego miny mógłby wywnioskować, że to nie był zwykły wypadek, lecz zbrodnia, którą popełnił.

A właściwie, czy był winien? W ostatniej chwili zaniechał nawet swego projektu... Ale któż w to uwierzy, jeżeli natychmiast nie zawiadomił o wypadku? Nie mógłby jednak... nie poszedłby między ludzi...

Jakże? Sandra dowiedziałaby się, że był na wycieczce z robotnicą, którą zameldował w gospodzie jako swoją żonę!... O, Boże!

Jakżeby się wytłumaczył z tego przed swoim stryjem, przed tym chłodnym, aroganckim kuzynem, przed całym wytwornym, obojętnym towarzystwem z Lycurgus? Nie! Nie! Zbyt daleko już zaszedł... nie może się cofać! W powrotnej drodze spotkałby go wstyd, hańba... czyha tam na niego śmierć!... Musi jakoś wybrnąć z tej straszliwej sytuacji, przeprowadzić do ostatka swój plan, który zakończył się tak dziwnie, bez winy z jego strony.

Ach, te lasy! Ta zbliżająca się noc! Ta przerażająca samotność i pamięć o niebezpieczeństwie! Jak ma się zachować, co powiedzieć, jeżeli kogoś spotka? Taki jest roztrzęsiony... czuje się bardzo chory... Przy najlżejszym trzaśnięciu suchej gałązki jak zając rzuca się do ucieczki.

I znów wisi nad nim groźne niebezpieczeństwo!

No, tak! wprawdzie niechcący tylko uderzył Robertę, ale gdy oboje wpadli w wodę, ona wydała taki straszny krzyk... Może kto

usłyszał... któryś z tych silnych, krzepkich chłopców, kręcących się na brzegu w ciągu dnia... i teraz zwołał ludzi... i szukają go... ścigają po lesie... Ścigają!

Złapią go... i nikt nie uwierzy, że on ją uderzył niechcący... Mogą go nawet zlinczować, zanim odstawią do sądu... Wszystko możliwe... zdarzało się to już nie raz... Sznur na szyi... albo strzał, jeszcze tu, w lesie... I nawet nie zdąży się wytłumaczyć, jak się to wszystko stało... jak go dręczyła od tyłu miesiące...

Nie zrozumieliby go zresztą!

Szedł coraz śpieszniej, coraz śpieszniej, na ile pozwalały mu głogi, uschłe gałęzie trzeszczące pod nogami. Nie był pewien, czy droga do Three Mile Bay znajduje się z prawej strony, nie było bowiem jeszcze księżyca, a miałby go po lewej ręce.

O, Boże!
co to!

Jaki straszny, żaloszny jęk...

Duch... czy co?

Tutaj?

Co to jest? Opuścił walizkę na ziemię i oblany zimnym potem przywarł do grubego, wysokiego drzewa, sztywniejąc ze strachu.

Taki jęk! Co to było?

Ach... to tylko hukanie sowy! Słyszał je już raz w Pine Point... Ale tutaj? w tym lesie?...

Tak ciemno... Trzeba czym prędzej wyjść z tego gęstego lasu... Nie powinien myśleć o takich strasznych, okropnych rzeczach, odbiera mu to zupełnie odwagę... a tak jest mu potrzebna...

Ten wyraz przerażenia w oczach Roberty... Ten wymowny, błagalny

wzrok... Boże! Ma go ciągle przed sobą... Ten żłosny, straszny krzyk! Czy zapomni kiedy, czy przestanie go słyszeć? Chyba wtedy, gdy opuści te strony...

Czy ona wiedziała, że uderzył ją nienaumyślnie? Że był to tylko gest gniewu i protestu? Czy ona teraz wie o tym, gdziekolwiek się znajduje?...

Gdzie? Na dnie jeziora... A może tu, w tym ciemnym lesie... tuż przy nim?... Duch... jej duch...

O! jak najprędzej stąd wyjść! jak najprędzej!

Ale tu... jest bezpieczniej... Nie powinien wychodzić na żadną drogę... Tylu przechodniów... i ci, co go szukają...

Czy też naprawdę człowiek żyje po śmierci? Czy są jakieś duchy? I czy wiedzą wszystko... całą prawdę? Więc i ona wie teraz... wie, jak układał plany zbrodni... Co też sobie myśli o tym?

Może będzie go prześladowała... za ten zamiar... za to, że miał zamiar ją zabić? Tak... miał zamiar... Miał zamiar! A i to jest wielkim grzechem... chociażby jej nie zabił!... jednak gotów był...

Duch jej... o, Boże!... może go prześladować... może naprowadzić na jego ślad...

Kto to powiedział?

Matka jego mówiła to nieraz, a Esta, Frank i Julia wierzyli w duchy...

Nareszcie ukazał się księżyc, po trzech godzinach nasłuchiwania, drętwienia za każdym krokiem ze strachu, oczekiwania, pocenia się, nieustannych dreszczy... Nie, nikogo tu nie ma, dzięki Bogu!

Nad głową świecą gwiazdy, tak łagodnie, tak jasno jak w Pine Point, gdzie jest Sandra...

Gdyby go ona widziała teraz, uciekającego po zabiciu Roberty...
gdyby widziała jego kapelusz, pływający po jeziorze... Gdyby...
ach!... mogła słyszeć ostatni krzyk Roberty!

To okropne! on nigdy, nigdy nie będzie mógł jej powiedzieć, że dla
niej, dla jej urody, dla jej miłości i dla tego wszystkiego, co
się z jej osobą łączy, zdolny był... zdolny był... no, tak...
wykonać zamach... zabić dziewczynę, którą kiedyś kochał. Zostanie
w nim na zawsze ta myśl... ta myśl. Nigdy nie otrząśnie się z
tego... nigdy... nigdy!

Dawniej nigdy nie myślał w ten sposób... To przecież straszne,
naprawdę straszne...

Było już koło jedenastej (nie wiedział dokładnie, gdyż zegarek
zamókł mu w wodzie), gdy dotarł do drogi i szedł nią parę mil.
Nagle, znienacka, wysunęło się z lasu trzech ludzi. Pierwszą jego
myślą było, że są wysłani na jego poszukiwanie. Ktoś musiał
wiedzieć, jak uderzył Robertę!

Zimny pot na czole! Odrętwienie!

Chłopiec niosący latarnię podniósł ją w górę, oświetlając jego
twarz. Myśl nagła, przerażająca, że zapewne pozostawił jakiś ślad,
po którym od razu do niego trafi...

Odkoczył. Tak, to są ludzie ścigający go.

Jeden z tych przechodniów, rozśmieszony takim tchórzostwem,
zawołał:

- E! panie obcy! - i wtedy chłopak, bez żadnej ubocznej myśli
podniósł latarnię do góry.

Clyde spojrział na nich podejrzliwym wzrokiem, lecz domyślił się od
razu, że są to tylko miejscowi chłopci albo przewodnicy, nie mający
wcale zamiaru go ścigać. Okaze zupełny spokój i będzie dla nich
uprzejmy, niech nie podejrzewają, że mają przed sobą zabójcę.

Jednak niewątpliwie zapamiętają sobie, że szedł przez las jakiś nieznany tu człowiek o tak późnej godzinie, z walizką w ręku. Tak, trzeba się spieszyć, spieszyć, aby jak najprędzej opuścić te strony.

Minęło już dużo czasu. Żółtawa, chorobliwa bladość zaczęła przenikać leśne gąszcze, takie tajemnicze o świcie.

Clyde doszedł nareszcie do Three Mile Bay, małego miasteczka składającego się z niewielkich domków i dworków, gniezdzących się na najbardziej na północ wysuniętym krańcu jeziora Indian Chain. Tu i ówdzie paliły się światła w sklepach, w domach, latarnie uliczne. Wszystkie jakby zamglone, jakby pogrzebowe...

Clyde wiedział, że w tym ubraniu, o tej porze, z walizką w ręku, nie może wejść do miasta. Wszyscy zwrócą na niego uwagę, wzbudzi podejrzenie. Zatrzyma się gdzieś w krzakach, poczeka co najmniej do wpół do dziewiątej i zmieni nieco swój wygląd.

Znalazł odpowiednią kępę świerków, ukrył się między nimi, a mając przed sobą wieżę kościoła z zegarem, czekał aż zbliży się oczekiwana godzina.

- Czy jednak roztropnie to robię? - rozmyślał przy tym. - A może już tam ktoś czeka na mnie? Może ci trzej ludzie, którzy go widzieli? a może policja już zawiadomiona?...

Po namyśle zdecydował, że musi albo iść dalej, kryć się po lasach i tylko w nocy wychodzić, albo teraz ominąć miasteczko, i wsiąść od razu na statek, a wtedy za jaką godzinę, najwyżej półtorej będzie już u Cranstonów. Pieszko przyszedłby dopiero jutro. Ale czy to będzie dobrze?... czy bezpiecznie?...

Bertinie i Sandrze obiecał, że będzie u nich we wtorek... A dziś już piątek! Jutro wypadek może stać się głośny, będą o tym pisali, jego rysopis zostanie wszędzie rozesłany, dzisiaj zaś chyba mu nic nie grozi? Czy to możliwe, żeby znaleziono już Robertę?

Tak, tak, lepiej ruszać dalej. Któż go tutaj może znać, kto będzie z nim porównywał rysopis Carla Grahama albo Clifforda Goldeny? Iść, iść jak najprędzej, zanim rzecz stanie się głośna!... Tak... tak!

Zegar wskazywał zaledwie dziesięć po ósmej, gdy ostatecznie zdecydował się na ten plan, lecz serce biło mu mocno, gdy wychodził z kępki świerków.

Droga kończyła się przy przystani, skąd miał zaraz odejść statek do Sharon. Obejrzał się dokoła i zobaczył, że do przystani zbliża się omnibus z Racquette. Doskonale! Jeżeli spotka na statku jakiego znajomego, może powiedzieć, że przyjechał dopiero co z Racquette, gdzie Sandra i Bertina miały wiele znajomych. A jeżeliby właśnie był ktoś stamtąd, to powie, że był tu, w Sharon, u swoich znajomych przez parę dni. Poda jakąkolwiek nazwę Willi albo zmyśli jakąś.

Wsiadł więc na statek i szczęśliwie dojechał do Sharon nie zwróciwszy, jak mu się zdawało, niczyjej uwagi. Widział, że jedenastu pasażerów nie patrzyło wcale na niego, jedna tylko młoda wiejska dziewczyna w niebieskiej sukience i słomkowym kapeluszu przyglądała mu się ciekawie.

Choć jej wzrok wyrażał tylko zachwyt, Clyde jednak cofnął się na tył statku, podczas gdy wszyscy pasażerowie woleli przesiadywać na przodzie.

Dostawszy się do Sharon zobaczył, że prawie wszyscy pasażerowie śpieszą na stację, aby zdążyć na ranny pociąg. Poszedł i on w tym kierunku, lecz na stacji wstąpił do restauracji, aby zgubić ślad, w razie gdyby go kto śledził. Odbył dość długą wędrówkę, poprzedniego dnia wiosłował kilka godzin i nic nie jadł, udając tylko, że je śniadanie z Robertą, ale mimo to nie był teraz głodny. Widząc więc, że z peronu wychodzi kilka osób, a między nimi nie ma żadnego znajomego, przyłączył się do nich, jak gdyby dopiero co wysiadł z pociągu, który szedł z Albany przez Utica. Udając, że wchodzi na stację z innymi pasażerami, zatrzymał się, żeby zatelefonować do Bertiny i Sandry i dowiedziawszy się, że

wysła po niego auto, nie zaś łódkę, powiedział, że będzie na nie oczekiwał na werandzie gospody.

Po drodze kupił sobie gazetę, chociaż wiedział, że nie może jeszcze być wiadomości o tym wypadku. Usiadł potem na werandzie i doczekał się chwili, kiedy samochód Cranstonów zatrzymał się przed gospodą.

Na powitalny uśmiech szofera, który go znał dobrze i zawsze witał przyjaźnie, Clyde odpowiedział również wesołym uśmiechem, chociaż był ciągle pod wrażeniem grożącego mu niebezpieczeństwa. Myślał bezustannie o tym, że ci mężczyźni, których spotkał w lesie, musieli już dojść do Big Bittern. A tam zapewne już spostrzeżono zniknięcie jego i Roberty, a może nawet znaleziono wywróconą łódź, pływający kapelusze i woal Roberty... A czyż wtedy ci ludzie nie powiedzą, że spotkali jakiegoś mężczyznę z walizką w ręku, idącego nocą przez las... i w ten sposób od razu powstaną wątpliwości, czy obie osoby utonęły... A może przypadkiem ciało Roberty wypłynęło na powierzchnię?... co wtedy? A może ma jakiś znak od jego uderzenia? Wtedy od razu przyjdzie każdemu na myśl, że popełniona została zbrodnia... zwłaszcza gdy nie znajdą jego ciała... Ci ludzie z lasu podadzą jego rysopis, który będzie zgodny z osobą Goldeną czy Grahama. No tak, któregoś z nich posądzą o zbrodnię, lecz ani Golden, ani Graham nie jest przecież Clyde'em Griffithsem, a trudno posądzić Clyde'a Griffithsa, że jest którymś z nich.

Czego ma się obawiać? Zastosował wszelkie środki ostrożności, przeszukał nawet podczas jej chwilowej nieobecności walizkę Roberty i torebkę. Znalazł dwa listy od Teresy Bouser, adresowane do Roberty do Biltz, i zniszczył je. Był między innymi rzeczami i jego prezent gwiazdkowy, komplet na toaletę z firmy "Whitely-Lycurgus"; zostawił go oczywiście, bo równie dobrze mógł jej to kupić ten Golden czy Graham... Po sukniach rodzice Roberty mogliby rozpoznać, że należały do ich córki, ale jeżeli dojdzie do ich wiadomości, że wybrała się z jakimś obcym mężczyzną na wesołą wycieczkę, będą woleli nie przyznawać się do niej...

Nie ma się więc czym martwić! Musi trzymać nerwy na wodzy, mieć

wesołą, spokojną minę, aby nikomu nawet nie mogło przyjść do głowy, że może być obwiniony o popełnienie zbrodni.

Siedzi sobie w prześlicznym samochodzie, jedzie do prześlicznej willi, Sandra i Bertina czekają na niego... Powie im, że dopiero co przyjechał z Albany. Spóźnił się trochę, bo stryj od wtorku trzymał go w fabryce. A kiedy znajdzie się w gorących objęciach Sandry, musi... musi zapomnieć o tych strasznych chwilach, których wspomnienie nie chce go opuścić...

Najgorsze tylko, że nie jest pewien, czy dobrze zatarł za sobą wszystkie ślady... Bo jeżeli nie? Aresztują go! Wydadzą szybki, niesprawiedliwy wyrok! Skażą!

Żeby tylko pozwolili mu wytłumaczyć, jak doszło do tego przypadkowego uderzenia... Bo co wtedy? Skończą się piękne marzenia o Sandrze... o życiu w wielkim świecie, z którego tak się cieszył... Czy będzie mógł się wytłumaczyć? O, Boże, czy będzie mógł się wytłumaczyć!

Rozdział VII

Niestety, obecność ukochanej kobiety i jej czułe pieszczoty nie zmniejszyły lęku, w jakim Clyde żył bezustannie, nie mogąc się otrząsnąć z przygnębiającego nastroju.

Do Pine Point dostał się szczęśliwie, bez żadnych przygód; Sandra i Bertina przywitały go serdecznie, same zaprowadziły do przeznaczonego dlań pokoju, mimo to Clyde nie odczuwał żadnej przyjemności, widząc wszędzie grożącą mu zgubę.

Witając go, Sandra szepnęła cichutko:

- Brzydki, niedobry! cały tydzień siedział Bóg wie gdzie, a mógł być tu już od dawna!... A Sandra tyle miała projektów! Powinien dostać porządnego klapsa! Miałam już dziś telefonować i dowiedzieć się, gdzie się podziewasz!

Mówiła to tonem żalonym, a oczy jej wyrażały głębokie, namiętne oddanie.

Na chwilę ucichły ponure myśli Clyde'a. Patrząc na jej śliczną twarzyczkę zdobył się nawet na wesoły uśmiech.

O, gdyby wszystko dobrze się udało! Żeby nie trafili na jego ślad! Ile szczęścia go czekało! jaka wspaniała przyszłość! Tę precudną Sandrę mógłby nazwać swoją! jej miłość, majątek należałyby do niego!

Wszedł do pokoju, walizkę jeszcze przedtem wniósł mu służący, rozpakował się. Ręce mu zadrżały. Garnitur jego leżał mokry, pognieciony. Musi go gdzieś ukryć... na górnej półce szafy... Jest teraz sam... drzwi są zamknięte. Ubranie jest wilgotne... w fałdach pełno mułu jeziornego... Nie... lepiej je zostawić w walizce... w nocy namyśli się, co z nim zrobić...

Zebrał razem wszystkie drobiazgi, jakie miał przy sobie tego dnia, aby je razem z garniturem oddać do prania.

Przy tej robocie dziwnie wyraźnie przesunęło się przed nim jego życie, pełne dramatycznych sytuacji. Młodość! Cóż mu dała ta młodość? Co mu teraz daje? Zbytek, wytworność tego pokoju daje mu tylko silniej odczuć ubóstwo jego lichego pokoiku w Lycurgus. Jak silnie kontrastuje pobyt jego w tym domu z tym, co przeżył wczoraj! Czyż nie są silnym kontrastem błękitne wody tego jeziora, nie stanowią kontrastu dla ponurej, ciemnej toni Big Bittern? Pięknie tu jest, ale czy dla niego? Na zielonym trawniku przed tym wielkim, jasnym domem Stuart Finchley i Violeta Taylor grają w tenisa z Frankiem Harrietem i Wynettą Phant. Wszyscy w szykownych

jasnych kostiumach. Na werandzie, w cieniu markizy, Bertina i Harley Baggott zażywają chłodu.

Wykąpał się, przebrał, nadał twarzy spokojny, wesoły wyraz mimo naprężonych nerwów i głuchej obawy i wyszedł do towarzystwa. Sandra, Burchard Taylor i Jill Trumbull śmiali się wesoło, przypominając sobie przygody z jakiejś wycieczki.

- Clyde! jakże się miewasz! - zawołała Jill. - Grałeś sobie gdzieś w hokeja, czy co? Nie widzieliśmy się chyba kopę lat.

Clyde uśmiechnął się wymownie do Sandry, spragniony więcej niż zwykle jej sympatii i miłości, przysunął się do balustrady werandy i odpowiedział siląc się na spokój:

- Od samego wtorku pracowałem cały czas w Albany. Ale dziś upał! Jak przyjemnie odpocząć sobie tutaj w taki dzień! Czy wszyscy już się zjechali?

- O, chyba wszyscy - odpowiedziała Jill Trumbull z uśmiechem. - Widziałam wczoraj Wandę i Randallów, a Scott pisał do Bertiny, że przyjedzie we wtorek. Zdaje się, że do Greenwood nikt w tym roku nie pojedzie.

Nastąpiła długa, wyczerpująca dyskusja, dlaczego Greenwood nie jest teraz tym czym było dawniej.

- Ale! prawda! - zawołała naraz Sandra. - Telefonowałam dzisiaj do Belli. Obiecała, że przyjedzie tutaj w przyszłym tygodniu na wystawę koni.

Zaczęła się rozmowa o koniach i o psach. Clyde starał się całą swą uwagę skupić na poruszanej temacie, lecz na dnie świadomości leżała wiadoma mu utajona troska.

Ci trzej spotkani ludzie... Roberta... Pewnie już znaleziono jej ciało... Nie! do niczego niepodobne są te jego obawy! Skądże by znaleziono? Podobno pięćdziesiąt stóp głębokości... I skąd mogliby się dowiedzieć, że on jest Goldenem czy też Grahamem? W jaki

sposób? Tak dobrze zatarł za sobą ślady... Tylko... ci trzech ludzie...

Zadrzał jak pod mroźnym tchnieniem.

Sandra zauważyła wyraz przygnębienia na jego twarzy. Trzeba go jakoś rozruszać. Może by zagrać w golfa, a wtedy łatwo będzie znaleźć chwilę i miejsce na pieszczoty, których nikt nie zdoła zauważyć.

- Kto ze mną do czwórki? - zawołała - Chodźcie, Jill, Clyde, Burchard! Założę się, że my z Clyde'em będziemy mieli przewagę! Zobaczycie!

- Trzymam zakład - odkrzyknął Burchard, powstając z krzesła i obciągając na sobie sweter w niebieskie i żółte paski. - Co ty na to, Jill? Ale ty, Sonny, jeżeli przegrasz, stawiasz wszystkim lunch, co?

Clyde żałośnie westchnął w głębi duszy. Pomyślał o tych nieszczęsnych dwudziestu pięciu dolarach, które mu pozostały po tych okropnych przygodach. Taki lunch dla czworga kosztować będzie co najmniej osiem albo dziesięć dolarów. A może nawet więcej...

Sandra jednak, widząc jego smętną minę, przysunęła się i trącając go lekko stopą zawołała:

- Ale ja muszę się przebrać! A tymczasem ty, Clyde... zaraz, powiem ci, co masz zrobić... Aha! idź i poszukaj Andrew. Niech nam przyniesie kije, dobrze? Ale chyba w twojej łódce pojedziemy, Bertino, prawda?

Clyde śpiesznie pobiegł do Andrew, rozmyślając po drodze, ile też będzie kosztował lunch, jeżeli przegrają partię. Niespodzianie natknął się na Sandrę. Zatrzymała go.

- Poczekaj minutkę, mój miły, wrócę za chwilę!

Pobiegła do swego pokoju i istotnie natychmiast zjawiała się znowu

trzymając w ręku garść banknotów.

- Masz! schowaj to, prędko! - szepnęła wtykając je do kieszeni Clyde'a - Cicho! ani słowa! A teraz śpiesz się! Będziesz miał czym zapłacić za lunch, jeżeli przegramy. Potem ci powiem... Nie, powiem ci teraz... że strasznie cię kocham, mój cudny chłopcze!

Ciemne, pełne żaru źrenice utkwiała w jego oczach z gorącym uwielbieniem.

- Nie stój tutaj, głuptasku! leć po kije do golfa!

Uciekła.

Clyde wyczuł pełną kieszeń i odetchnął z ulgą, bo wiedział, że dała mu dużo, bardzo dużo, że wystarczy mu tutaj na wydatki, a nawet może się przydać, gdyby musiał uciekać.

Drogie, kochane stworzonko! Cudna, dobra, szlachetna Sandra! Jak ona go kocha! Kocha go prawdziwie... gorąco! Ale gdyby wiedziała... o, Boże! A to przecie dla niej, tylko dla niej! Ach, gdyby o tym wiedziała...

Znalazł Andrew, który niósł sprzęt do gry, i zastał Sandrę w eleganckim zielonym kostiumie. Jill w nowej czapeczce wyglądała jak dżokej i ze śmiechem sprzeczała się o coś z Burchardem, który siedział już w łodzi. Sandra zwoływała Bertinę i Harleya:

- Hej, dzieci! nie macie zamiaru jechać?

- Dokąd?

- Do klubu golfowego.

- E, za daleko! Może zresztą przyjedziemy po lunchu.

Burchard zepchnął z hałasem łódź a ta stoczyła się do wody jak świnka morska. Clyde patrzył na wszystko jak we śnie; czuł radość i szczęście, a jednocześnie targał nim niepokój i lęk.

Więzienie! Śmierć!

Tak... czyhało to na niego. Nurtowały go wątpliwości, czy dobrze zrobił wychodząc dziś z lasu. Może powinien był zostać jeszcze przez cały dzień, wyjść dopiero w nocy i pieszo iść do Sharon. Ale to by zajęło dwa albo i trzy dni, a Sandra, zaniepokojona, zatelefonowałaby do Lycurgus i otrzymałaby wiadomości, które mogłyby w przyszłości okazać się niebezpieczne.

Tu przecież nie powinien się niczym martwić ani przejmować, tylko coś tkwi... tam... w głębi duszy.

Sandra spostrzegłszy go podskoczyła i powiewając szarfą jak chorągiewką wołała:

- Kleopatra odpływa na spotkanie... na spotkanie... na czyje... no, na czyje odpływa spotkanie?

- Charlie Chaplina - roześmiał się Taylor i tak mocno trącił łódź, że rozbijała się gwałtownie i Sandra o mało nie straciła równowagi.

- Co wyprawiasz, głuptasie! - zawołała. Oparła się jednak nogą o burtę, żeby nie wypaść. - Nie żartuj, Burchard! Kleopatra odpływa... odpływa... - odrzuciła w tył głowę i rozpostarła ręce, a łódź tymczasem podskakiwała jak rozwierzgany koń. - Uważaj! wyrócisz łódkę!

Burchard nie zważał na nic, tylko kołysał łódką ze śmiechem. Jill, zaniepokojona, zawołała z oburzeniem:

- Co ty wyprawiasz? czy chcesz nas wszystkich potopić?

Clyde zbladł nagle. Zrobiło mu się słabo. Nie wyobrażał sobie, że będzie przeżywał takie straszne chwile, że będzie tak cierpiał. Był pewien, że będzie zupełnie inaczej... A teraz blednie pod wrażeniem każdego słowa wypowiedzianego bez żadnej ubocznej myśli.

A gdyby teraz ukazał się ktoś z policji i zapytał go, gdzie wczoraj przebywał i co wie o śmierci Roberty? Co zrobiłby wtedy? Drżałby, jąkał się, nie miałby siły odpowiedzieć... Tak, to byłoby straszne! Musi koniecznie się opanować, musi wyglądać naturalnie... właśnie od dziś... od pierwszego dnia.

Na szczęście przy ogólnym zamieszaniu nikt nie zauważył, jak wstrząsające wrażenie zrobiła na nim ta uwaga, i Clyde starał się z wolna odzyskać spokój.

Tymczasem łódź zbliżała się do Kasyna. Sandra, pragnąc zaimponować swoją odwagą, chwyciła się poręczy i zanim łódź przybiła do brzegu wyskoczyła pierwsza. A Clyde ujrawszy jej uśmiech w jego stronę rzucony poczuł w głębi duszy pragnienie, by odwołać się do jej miłości, współczucia, szlachetności. By zyskać jeszcze jeden jej uśmiech, wyskoczył natychmiast za nią, pomógł Jill wysiąść i pobiął szybko za Sandrą z pozornie wesołym ożywieniem, którego w duszy nie czuł wcale.

- Cóż za odwaga! - zawołał.

Mając ją ciągle przy sobie grał dość szczęśliwie, jeśli tylko miała jego wprawa i rozstrój duchowy na to pozwalały. Ona zaś uszczęśliwiona, że ma go tylko dla siebie i że zdarzały się chwile, kiedy mogli się ścisnąć i całować po kryjomu, zaczęła opowiadać mu z zapałem o jutrzejszej wycieczce, w której weźmie udział prawie całe tutejsze młode towarzystwo. Wycieczka ma trwać cały tydzień. Popłyną łodziami aż do jeziora Bear. Tam na wybrzeżu rozbiją namioty i dopiero stamtąd będą robić wycieczki w różne miejscowości. Ile dni, tyle zwiedzą miejscowości! Chłopcy polowaniem i rybołówstwem będą dostarczać żywności. Wieczorami przy blasku księżyca będą odbywać spacery łodziami do którejś z gospód na kolację i tańce. Wezmą ze sobą paru służących i przewodników. Ach, te przechadzki po lasach i polach! Ileż chwil można będzie poświęcić miłości... cały tydzień nieprzerwanego szczęścia!

Choć Clyde uważał swój pobyt w Twelfth Lake za pewnego rodzaju

wychnienie, jednak pragnął wyjechać dalej. Tak, lepiej będzie wyjechać! Boże! jakże powinien być szczęśliwy mając tak kochającą go Sandrę, jednak powinien wyjechać, bo cóż mu innego pozostaje... Tak, oddalić się jak najprędzej z tych miejsc... gdzie... stał się ten... wypadek. Bo gdyby nawet poszukiwano... kogoś... podobnego do niego, lepiej, żeby go tu nie zastano... nie zadawano mu pytań. Ci trzej ludzie...

Przyszło mu naraz na myśl, że nie powinien stąd się ruszać, dopóki się nie dowie, co tam zaszło, czy istnieją już jakie podejrzenia. Skorzystawszy więc z momentu, gdy nikt na niego nie zwracał uwagi, zaraz tu w kasynie, zapytał o gazety, lecz dowiedział się, że pisma przychodzą dopiero około siódmej wieczorem.

Po lunchu była kąpiel, pływanie, tańce, potem powrót do Cranstonów. W drodze Sandra zapowiedziała Clyde'owi, że spotkają się u Harrietów po obiedzie.

Wszystko to było miłe, lecz nie mógł się oddać swobodnej zabawie, ciągle tylko myśląc, że powinien otrzymać gazety i dowiedzieć się, co mu grozi. U Harrietów będzie mógł na pewno przeczytać niejedną gazetę, jutro rano jednak musi wstąpić do Kasyna i zabrać poranne pisma przed wyjazdem do Bear Lake. Tak, koniecznie trzeba dowiedzieć się, co mówią i co już zrobiono po stwierdzeniu takiego strasznego wypadku. Lecz u Harrietów nie było gazet. Jeszcze nie przyszły.

Po obiedzie całe towarzystwo zasiadło na werandzie i gawędziło sobie mile o wszystkim i o niczym, gdy weszła Sandra.

- Wiecie? Stał się straszny wypadek! - zawołała od razu na wstępie. - Wczoraj czy też dziś rano utonęły dwie osoby na jeziorze Big Bittern. Dowiedziałam się przez telefon od Blanki Locke. Była dziś w Three Mile Bay i słyszała, że ciało kobiety już znaleziono, a mężczyzny jeszcze nie. Utonęli oboje gdzieś w południowej stronie jeziora...

Clyde zeszywniał, zbladł, z warg uciekła wszystka krew, oczy, szeroko otwarte, wpatrzyły się w przestrzeń... wpatrzyły się w

daleką scenę na Big Bittern. Widziały wysokie świerki i wodę zamykającą się nad Robertą.

Więc znaleziono już jej ciało... Czy są jednak przekonani, że ciało jego znajduje się także na dnie jeziora?

A! musi słuchać dalej, co mówią o tym... Musi słyszeć wszystko mimo odrętwienia...

- Co ty mówisz? - zawołał Burchard przestając brząkać na mandolinie. - Może to ktoś ze znajomych?

- Blanka mówiła, że nie wie.

- Nigdy nie lubiłem tego jeziora - odezwał się Frank Harriet. - Takie opustoszałe... dzikie. Byłem tam z ojcem i z panem Randallem zeszłego lata na rybach, ale nie mieliśmy ochoty przedłużać tam pobytu. Tak tam ponuro...

- Ależ i my byliśmy tam przed trzema tygodniami... Nie pamiętasz, Sandro? - spytał Burchard - zapomniałaś już o tym?

- Owszem, pamiętam - odrzekła Sandra. - Takie pustkowie. Nie wiem, czyby tam kto chciał zamieszkać...

- Daj Boże, żeby to nie był ktoś z naszych znajomych - dodał Burchard zamyślając się. - Rzuciłoby to popłoch na całe nasze towarzystwo, przynajmniej na jakiś czas.

Clyde bezwiednie oblizywał językiem suche wargi i łykał ślinę, by zwilżyć suche gardło.

Czy pisano już coś w gazetach? Czyście czytali gazety? - spytała Wynette Phant.

- Nie ma jeszcze gazet - odrzekł Burchard - ale chyba nic o tym nie będzie. Sandra przecież otrzymała telefoniczną wiadomość od Blanki, która przypadkiem znajdowała się w pobliżu.

- A prawda, masz rację!

- Może jednak w tym naszym tutejszym świstku, w "The Banner" z Sharon, coś będzie?... Żeby go skądś dostać?

Boże... Przyszło mu zaraz na myśl coś, o czym zupełnie zapomniał, czego wcale nie przewidział... Ślady jego stóp! Czy pozostały na piasku wybrzeża? Nawet nie obejrzał się za siebie, tak pośpiesznie uciekał... Czyżby nie pozostały? Będą szli śladem człowieka, którego... widzieli ci trzej ludzie... tego Clifforda Goldena... Dowiedzą się, że odjechał dziś rano do Sharon... że przybył do Cranstonów w ich samochodzie... Może już kto był w jego pokoju... otworzył walizkę... przeglądał rzeczy?... Ktoś z policji!

Mokry garnitur! Boże! Jest jeszcze w walizce... Dlaczego go tam zostawił? Dlaczego nie wrzucił do jeziora z uwiązany kamieniem? Zatrzymał go sobie... Boże! dlaczego nie pomyślał o tym przedtem? Na co mu był potrzebny mokry garnitur?

Stał zmrożony, drętwiejący od każdej nowej myśli powstającej mu w głowie. Oczy jego miały wyraz kamienny.

Trzeba wyjść stąd jak najprędzej... Trzeba coś zrobić z tym garniturem... wrzucić go do jeziora... schować gdzieś w lesie...

Jednak czy może wyjść tak nagle... gdy wszyscy o tym rozmawiają? Jakże to będzie wyglądało? Tak, musi być przede wszystkim spokojny, musi opanować się, nie okazywać żadnego wzruszenia... tak, jakby go to nic nie obchodziło...

Zbliżył się do Sandry i odezwał się:

- Niemiła wiadomość... - ale z trudem opanował drżenie głosu. Ręce i nogi drżały mu jak w febrze.

- Rzeczywiście - odpowiedziała Sandra zwracając się ku niemu. - Nie lubię słuchać o takich rzeczach. Mama martwi się już zawczasu o mnie i o Stuarta, żeby nam się co nie stało na jutrzejszej

wycieczce.

- No, to zupełnie naturalne.

Głos jego stał się teraz głęboki i twardy. Z trudem układał słowa. Były przytłumione, zdławione. Wargi tworzyły cienką, białą linię na twarzy, po której rozlewała się coraz silniejsza bladość.

- Co ci jest, Clyde? - zapytała Sandra spojrzawszy nań uważnie. - Jesteś taki blady! Jakie ty masz oczy? Co ci się stało? Czy się źle czujesz? A może tutaj takie światło?

Obejrzała się, żeby się przekonać, czy inni tak samo wyglądają, potem znów spojrzała na niego. On zaś czując, jak ważna jest ta chwila, zebrał wszystkie swe siły i odpowiedział:

- E, nie! nic mi nie jest. To pewnie takie światło... Tak, to musi być światło... A swoją drogą miałem wczoraj... ciężki dzień. Dziś już nie mógłbym znieść tego.

Wysilił się z wielkim trudem na uśmiech, a Sandra ze współczuciem patrząc na niego spytała:

Taki byłeś zmęczony? Mój biedny chłopiec... cały dzień tak ciężko pracował... Dlaczego mi nic nie powiedział, nie męczyłabym go tak przez cały dzień... Może chcesz wrócić do siebie i położyć się wcześniej? Powiem Fredowi, to cię odwiezie do Cranstonów.

Zwróciła się do Freda, lecz Clyde, zaniepokojony, czując, że musi się jakoś wytłumaczyć, zawołał pośpiesznie, drżącym jeszcze głosem:

- Nie! nie rób tego! proszę cię, najdroższa... Nic mu nie mów... Już mi jest lepiej... Sam pójdę, jeżeli będę czuł się gorzej, ale wtedy, kiedy i ty pójdziesz. Teraz nie... Nie czuję się zupełnie dobrze, ale jest mi już lepiej...

Sandra wyczuła rozdrażnienie w jego głosie, więc odpowiedziała łagodnie:

- Dobrze, dobrze, mój miły... Ale jeżeli nie będzie ci lepiej, niech cię Frank odwiezie, a ja też pójdę niedługo. Przepraszę wszystkich i będziemy mogli wyjść razem. Pójdziemy wcześniej niż wszyscy. Cóż? Chłopczyk zadowolony? Moje drogie maleństwo!...

- Dobrze - odrzekł Clyde. - Pójdę tylko napić się czego.

Zniknął w jednym z pokoiów domu Harrietów, zamknął drzwi, usiadł i myślał, myślał.

Ciało Roberta już znaleziono... Rozpoczęła się gadanina... Jego ślady na piasku... Mokry garnitur w walizce, u Cranstonów... Ci ludzie w lesie... Walizka, kapelusz i płaszcz Roberta w gospodzie... Jego kapelusz bez firmy, pływający po jeziorze... Co dalej robić? Jak działać? Co mówić? Czy iść teraz do Sandry i namówić ją, żeby zaraz z nim poszła do domu, czy siedzieć tu i dręczyć się dalej? Co będzie w jutrzejszych pismach? Co będzie? co będzie? Czy to będzie rozsądnie... w razie, gdy wywnioskuje z jutrzejszych gazet, że jest poszukiwany... czy to będzie rozsądnie jechać jutro na tę wycieczkę? Może lepiej uciec stąd jak najszybciej?... Ma trochę pieniędzy... może jechać do Nowego Jorku, do Bostonu, Nowego Orleanu... tam jest Ratterer... Ale nie! nie tam, gdzie go ktoś zna! O, Boże! jakże głupio wszystko sobie uplanował! Same błędy! Jakże mógł robić takie głupie plany!... Czy mógł jednak przypuszczać, że z takiej głębiny tak szybko wyłowią jej ciało?... i że zapewne od razu, od pierwszego dnia znajdą się poszlaki przeciw niemu? Cóż z tego, że zapisał się pod innym nazwiskiem, ludzie ci, którzy go w lesie widzieli, i ta dziewczyna na statku opiszą go doskonale... Co robić? co robić? co robić? Trzeba myśleć... myśleć!... może co wymyśli... Może by zaraz stąd wyjść, odejść bez niczyjej wiedzy, bo może już kto zajrzał do jego walizki. Lęk mu obezwładniał mózg, nie czuł się zdolny do myślenia, czuł się naprawdę chory, powiedział więc Sandrze, że nie czuje się dobrze i chętnie poszedłby do domu z nią razem, jeżeli to byłoby możliwe.

O wpół do jedenastej więc, kiedy można było wyjść nie wywoławszy wielkiego zdziwienia, Sandra oświadczyła, że czuje się bardzo

zmęczona, i prosi Burcharda, żeby ją, Jill i Clyde'a odwiózł do domu. Jutro rano wszyscy się zobaczą, żeby ułożyć ostatecznie projektowaną wycieczkę do Bear Lake.

A Clyde znów się zastanawiał, czy to wcześniejsze wyjście nie jest również jednym więcej błędem, które popełnia na każdym kroku w swym zbrodniczym planie.

Motorówka pomknęła

szybko i wkrótce znalazł się w willi Cranstonów. Tam przeprosiwszy Sandrę i Burcharda swobodnym, jak mu się zdawało, tonem, poszedł śpiesznie do swego pokoju i z radością ujrzał swój garnitur, leżący na tym samym miejscu, gdzie go położył. Nie znalazł też żadnego śladu, by ktoś niepożądany wtargnął do jego pokoju. Następnie wykręcił jeszcze raz ubranie z wody i nasłuchując niespokojnie postanowił wymknąć się niepostrzeżenie z domu.

Po chwili więc wyszedł swobodnym krokiem, niby na krótką przechadzkę, a znalazłszy się na brzegu jeziora, wziął wielki kamień, uwiązał go do ubrania i rzucił, jak tylko mógł najdalej.

Wrócił do domu wcale nie w lepszym humorze, nie opuszczał go ponury nastrój ducha i znów rozmyślał, co mu jutro przyniesie, co ma powiedzieć, jeżeli go kto o te sprawy zapyta.

Rozdział VIII

Przyszło owo jutro po bezsennej nocy, ciężkich rozmyślaniach o Robercie, o policji, która go przyjdzie aresztować, i o dalszych konsekwencjach.

Na dole zobaczył szofera Fryderyka, który go tu wczoraj przywiózł. Poprosił o dostarczenie wszystkich gazet z Albany i Utica. Po chwili miał je już w ręku. Poszedł do swego pokoju i zamknąwszy się na klucz rozłożył pisma przed sobą. Oczy jego padły na nagłówek, wypisany wielkimi literami:

Tajemnicza śmierć młodej kobiety.

W Adirondack Lake z jeziora Big Bittern wydobyto wczoraj jej ciało.

Towarzyszający jej mężczyzna zginął bez wieści.

Clyde zbladł, jak gdyby wiadomość ta była dlań niespodzianką, z trudem przysunął sobie krzesło do okna i czytał:

Bridgeburg, 9 lipca. Wczoraj wydobyto z jeziora Big Bittern ciało nieznaney kobiety, prawdopodobnie żony młodego mężczyzny, który zameldował się naprzód w Grass Lake jako Carl Graham, a później w Big Bittern jako Clifford Golden z żoną. Wczoraj z rana zauważono wywróconą łódkę i kapelusz męski pływający po wodzie, zaczęto więc sondować jezioro. Trwało to cały ranek i przed południem wyłowiono ciało młodej kobiety: Do siódmej zaś wieczorem ciała mężczyzny nie znaleziono. Koroner Heit, który został przede wszystkim zawiadomiony o wypadku, twierdzi, że ciała tego w wodzie nie ma. Pewne znaki i obrażenia na głowie kobiety, jak również zeznanie trzech mężczyzn o spotkaniu wczorajszej nocy w lesie jakiegoś młodzieńca, którego rysopis zgadzał się z opisem Goldena i Grahama, zrodziły podejrzenie, iż popełnione zostało morderstwo, a zabójca zdążył uciec. Pozostała walizka kobiety, jej kapelusz i płaszcz. Walizka w Gun Lodge, a kapelusz i płaszcz w gospodzie przy jeziorze Big Bittern. Ów Golden czy Graham zabrał wszakże swoją walizkę do łódki. Według zeznania właściciela gospody młoda para nie zatrzymała się długo w gospodzie, bo młody człowiek udał się zaraz do przystani, gdzie wynajął małą, lekką łódkę; przyprowadził później swoją żonę, wsadził ją do łodzi, a umieściwszy tam swoją walizkę wsiadł sam również.

Nie powrócili już, a nazajutrz rano w Moon Cove, która jest małą zatoczką wielkiego jeziora, znaleziono przewróconą do góry dnem łódkę. Z tego samego miejsca wydobyto ciało kobiety. Nie ma tam żadnych skał na dnie, więc nie można przypuszczać, żeby się o nie mogła poranić, znaki więc i sińce na jej twarzy wzbudziły podejrzenia. Zeznania trzech ludzi oraz wypruta firma z kapelusza męskiego doprowadziły do wniosku, że miała tu miejsce zbrodnia.

Golden czy Graham według opisu świadków nie liczy więcej niż dwadzieścia cztery albo dwadzieścia pięć lat, jest szczupły, ma ciemne włosy i pewnie nie więcej niż pięć stóp i osiem albo dziewięć cali wysokości. Podczas tej wycieczki nosił jasno popielaty garnitur, kapelusz słomkowy i miał ze sobą brązową walizkę, do której były przytroczone jakieś rzeczy, zdaje się, że parasol, a może i laska. Pozostawione w gospodzie płaszcz i kapelusz tej kobiety są ciemne, suknia granatowa.

Do wszystkich stacji kolejowych rozesłano zawiadomienie, żeby mieć na oku mężczyznę opisanego wyglądu i nie pozwolić mu uciec.

Ciało kobiety przywieziono do Bridgeburga, gdzie będzie się odbywać dochodzenie śledcze.

Clyde siedział odrętwiały i rozważał. Wiadomość o zbiegłym zbrodniarzu poruszy wszystkie umysły, każdy będzie spoglądał z uwagą na nieznanego przechodnia, zwłaszcza na takiego, którego rysopis zgadzać się będzie z opisanym. Czy nie lepiej byłoby, jeżeli są już na jego tropie, zgłosić się dobrowolnie i wyznać wszystko? Wyznać wszystko... wytłumaczyć, że jej nie zabił, że nie... miał odwagi wykonać swego planu?

Nie! nie może! Wyznać dobrowolnie, to znaczy z własnej woli porzucić wszystko... Sandrę... Griffithsów... wszystko, jednym słowem, co stało między nim a Robertą. Czy uwierzono by mu zresztą... teraz, po tej ucieczce, gdy spostrzeżono znaki na twarzy Roberty? Wszystko przemawia za tym, że ją zabił, chociażby nie wiem jak tłumaczył...

Na pewno już ktoś wpadł na jego ślad i znajdzie go, chociaż nie ma

już szarego garnituru i słomkowego kapelusza... Boże! Już go szukają... a właściwie tego Goldena czy Grahama, do którego jednak jest zupełnie podobny... Oskarżą go o zabójstwo! Ci trzej ludzie poznają go przecież!

Przeszedł go zimny dreszcz. Nagle znowu mu coś przyszło na myśl. Jest jeszcze coś gorszego... Podobieństwo inicjałów. Przedtem wcale nie sądził, by mu to mogło zaszkodzić... Dlaczego przedtem nie pomyślał o tym? Dlaczego? dlaczego? Boże!

Zapukano do drzwi z zawiadomieniem, że jest telefon od Sandry. Opanował się nadludzkim wysiłkiem, opanował nawet drzenie głosu.

Jakże się miewa jej kochany chłopczyk? Czy jest już lepiej? Tak okropnie osłabł nagle wczorajszego wieczoru... Rzeczywiście jest mu już lepiej? A będzie mógł pojechać na wycieczkę? To doskonale! Tak się przestraszyła i martwiła całą noc, że nie będzie mógł pojechać. Ponieważ jednak jedzie, to już wszystko dobrze. Ukochany! Moje najmilsze maleństwo! Czy ten najśłodszy, najdroższy chłopiec kocha ją bardzo? Jest pewna, że ta wycieczka zrobi mu dobrze... Teraz wszakże Sandra musi się śpieszyć, bo na pierwszą, a najdalej wpół do drugiej wszyscy mają się stawić przy kasynie. Pamiętaj, maleńki! Ona przyjdzie z Bertiną i Grantem, a może będzie z nimi także ktoś z sąsiedztwa. Bawić się będą doskonale, z pewnością! Do widzenia więc tymczasem, musi iść do roboty. Do zobaczenia!

Umilkł jej śliczny głosik.

Jeszcze trzy godziny do wyjazdu... Każda chwila może mu przynieść niebezpieczeństwo... Każda spotkana osoba będzie patrzyła na niego jak na Grahama lub Clifforda... Może teraz pójść lasem na wybrzeże jeziora i tam czekać?... Wziąć ze sobą walizkę i patrzeć, czy ktoś idzie po niego? Gdyby zobaczył kogoś podejrzanego, mógłby od razu uciec... Tak, mógłby uciec! Uciekłby do lasu i tam kryłby się jak ścigane zwierzę... Mógłby potem powrócić, ale miałby się ciągle na ostrożności... ciągle na ostrożności...

Jakżeby wyglądał ten, który by przyszedł po niego? Z której strony

by się zjawił? Może przyplłynąłby łódką? Musi bacznie przyglądać się każdej i uważać, kto w niej siedzi... Gdyby policjant... albo detektyw... wtedy w nogi! co sił! Tylko czy zdąży?

O pierwszej godzinie wyjechał jednak łodzią Cranstonów z Bertiną, Harleyem i Wynette na punkt zborny. Wszyscy tam się z wolna zjeżdżali z pakunkami i ze służbą. Na Little Fall, o trzydzieści mil dalej, spotkali się z Baggottami, Harrietami i resztą dobranego towarzystwa i wreszcie cała flotyła łodzi skierowała się ku Bear Lake. Było to jezioro równie dzikie i opustoszałe jak Big Bittern.

Wycieczka byłaby bardzo przyjemna, gdyby własne sprawy nie torturowały duszy Clyde'a. A przecież ile rozkosznych rzeczy mówiły mu oczy Sandry! Jakież to szczęście mieć ją tak blisko i ciągle przy sobie! Jaka była ożywiona, uszczęśliwiona z jego obecności!

Roberta... jest już znów na ziemi... Szukają wszędzie Goldena, Grahama... Rysopis jego roznoszą wszystkie druty telegraficzne, wszędzie zostanie ogłoszony... Ci oto, którzy przy nim siedzą, już czytali... a tylko dzięki przyjaznym dla niego uczuciom i stosunkom z Griffithsami i Sandrą nikt go tu nie podejrzewa, nie myśli nawet, żeby spojrzeć nań uważniej i porównać rysopis... A gdyby jednak przyszło im to na myśl? Gdyby zrodziło się jakieś podejrzenie? Wszyscy odwróciliby się od niego... Może tylko jedna Sandra nie... A gdyby i ona... Tak. I ona także... Jakąż zgrozę ujrzałyby w jej oczach!

Wieczorem o zachodzie słońca cała młodzież rozłożyła się na trawie, tak gładkiej jak pięknie utrzymany trawnik, przed różnokolorowymi namiotami, gdzie kręcili się kucharze i służba. Na środku płonął ogień jak w indiańskiej wiosce. Podobne do olbrzymich ryb leżały przy brzegu wielkie łodzie. Chłopcy zorganizowali zabawę. Dla jednych muzykę do tańca, dla innych przy oświetleniu gazowych lamp - pokera. Część towarzystwa śpiewała, jedni wesołe, modne piosenki, inni pieśni szkolne, z których Clyde żadnej nie znał, lecz mimo to starał się też swój głos przyłączyć do chóru. Rozlegały się okrzyki i śmiechy, zakłady, kto pierwszy

złapie rybę, kto zastrzeli pierwszą wiewiórkę czy kuropatkę, kto wygra pierwszy wyścig... Roilo się od projektów. Zaraz nazajutrz po śniadaniu trzeba założyć obóz o jakie dziesięć mil dalej. Jest tam prześliczna plaża, a zaledwie o pięć mil gospoda Wetissic, gdzie można jadać obiady i tańczyć do upadłego.

A potem urocza, cicha noc, rozkoszne chwile samotności, gdy wszyscy kładą się spać! Gwiazdy! Tajemnicza, ciemna toń, którą wietrzyk lekko falował, tajemnicze, czarne świerki, skąd odzywały się głosy nocnych ptaków czy puszczyków.

Było to piękne, lecz przerażało Clyde'a. Wolałby już nie widzieć tego ani o tym nie słyszeć. Byłoby to wszystko cudowne, gdyby... gdyby tylko nie miał przy sobie zjawy Roberta i głuchego lęku przed prawem, które wyciągało po niego ręce.

Wszyscy już rozeszli się do swych namiotów, lecz Sandra wysunęła się z cicha, żeby zamienić z nim kilka słów i pocałunków pod gwiazdzistym niebem.

Clyde szeptał, że czuje się szczęśliwy niewymownie, że wdzięczny jest za jej miłość i wiarę, a chciałby zapytać, czy gdyby zawiódł jej oczekiwania, gdyby okazało się, że nie jest takim, jak go sobie wyobraża... czy kochałaby go jeszcze troszkę, czy nie znienawidziłaby go zupełnie... Nie zapytał jednak. Przypuszczał, że pytanie takie dałoby jej wiele do myślenia, zwłaszcza że wczoraj zauważyła jego zmieszanie podczas rozmowy o wypadku. Mogłaby się domyślić, że on tai w sobie jakąś straszną tajemnicę, która mu zatruwa życie.

Leżał potem w jednym namiocie z Baggotem, Harleyem i Grantem i całymi godzinami nasłuchiwał z niepokojem kroków, które miały skądś nadejść. Byłyby to kroki... Boże! czyje to miały być kroki?... Aresztują go! Skażą! Uśmiercą!

Dwa razy budził się w nocy, dręczyły go jakieś sny i zdawało mu się... tak... obawiał się, że krzyczał przez sen.

Lecz oto zajaśniał poranek, nad wodami jeziora wzeszło okrągłe, złociste słońce. Z nadbrzeżnych trzciny wypłynęły dzikie kaczkę, a Grant, Stuart i Harley, na pół odziani, ze strzelbami, z gorliwością zapalonych myśliwych wpadli szybko do łodzi z nadzieją, że przyniosą wyładowane torby.

Nic jednak nie przynieśli, ku wesołości reszty młodzieży. Chłopcy i panny w bajecznie kolorowych kostiumach wskakiwali ochoczo do wody wydając radosne okrzyki.

O dziewiątej odbyło się śniadanie, potem wesoły odjazd całej floty przy dźwiękach mandolin, banjo, gitar, przy śpiewach rozgłośnych, pełnych upojenia młodości.

- Co dzidziusiowi jest? Buzia smutna! Nie cieszy się, że jest z Sandrą i tyloma ślicznymi panienkami? Trzeba być wesołym! Musi być wesoły!

Chłopcy, którzy znali te okolice, oświadczyli, że już na dwunastą dopłyną do tej prześlicznej plaży, gdzie będzie wiele miejsca na namioty i drobiazgi obozowe.

Istotnie, przybyli tam na czas i wypełniali zwykły program zabaw. Zjedli lunch, pływali, tańczyli, spacerowali, grali w karty i zabawiali się muzyką i śpiewem. Sandra i Clyde wymknęli się za skałę, gdzie w cieniu świerków Sandra mogła leżeć w ramionach Clyde'a i snuć projekty na przyszłość.

Pani Finchley zapowiedziała córce, żeby nie ważyła się niczym ośmielać tego młodego Griffithsa. Jest ubogi, a poza pokrewieństwem z Griffithsami jest niczym. Sandra powtórzyła to Clyde'owi, w takich jednak słowach, żeby go nie zranić. Dodała przy tym:

- To śmieszne! Nie przejmuj się tym, maleńki! Zgodziłam się oczywiście na wszystko, bo nie chcę mamy rozdrażniać, ale spytałam się, w jaki sposób mam unikać spotkania z tobą, skoro przecież bywasz wszędzie. Mój chłopczyk jest taki śliczny i każdy przepada za nim - nawet chłopcy.

Na werandzie gospody w Sharon zasiadł cały urząd prokuratorski. Był tam Mason ze swym sekretarzem Burtonem, koroner Heit, Earl Newcomb, szeryf Slack, brzuchaty, o groźnym spojrzeniu, patrzący ciągle spode łba, lecz w zwykłych towarzyskich stosunkach dość wesoły. Byli tam również zastępcy szeryfa, pełniący urząd wywiadowców - Kraut, Sissel i Swenk. Naradzali się, w jaki sposób najszybciej i najenergiczniej wziąć się do dzieła. Przyjechali do Sharon, by dowiedzieć się dokładnej daty przybycia Clyde'a do tego miasteczka i jego odjazdu do Cranstonów. Wypytywali różne osoby, które mogły rzucić jakieś światło na jego poczynania. Heit był w Three Mile Bay, widział się z kapitanem statku, po czym trzej spotkani przez Clyde'a ludzie z lasu, Mason, szeryf i jego pomocnicy pojechali śladem wycieczki w wynajętej specjalnie na ten cel motorówce, najprzód do Little Fish Inlet, a stamtąd do Bear Lake. Niestety! znaleźli tam opuszczone obozowisko, gdyż całe towarzystwo wyruszyło już do Shelter Beach. Tu nastąpił podział obławy, gdyż nie wiedzieli dokładnie, w którą stronę mają się udać. Mason z Krautem popłynęli południowym szlakiem, Slack z Sisselem na północ, a młody Swenk, który drżał z niecierpliwości, by móc osobiście aresztować i własnoręcznie nałożyć kajdany zbrodniarzowi, udawał zwykłego myśliwego i pojechał na środek jeziora, żeby stamtąd rozejrzeć się po brzegach, czy nie zobaczy namiotów lub dymu w jakiejś stronie.

Marzył o tym, żeby mógł wygłosić słowa:

- Clydzie Griffiths! aresztuję cię w imieniu prawa!

Wiedział jednak, że nie do niego należy taka funkcja, miał bowiem rozkaz, w razie gdyby natrafił na jakiś ślad, tak się zachowywać, by nie przstraszyć ściganego, tylko zapamiętać, gdzie się znajduje, a oddalwszy się od tego miejsca - wystrzelić. Wówczas reszta urzędników, usłyszawszy strzał, odpowie mu podobnym strzałem i wyruszy w jego stronę. Pod żadnym jednak pozorem nie wolno mu samemu dokonać aresztowania, jedynie tylko w tym wypadku miałby do tego prawo, gdyby podejrzany osobnik starał się umknąć.

Tymczasem rozbawiona młodzież jechała do Shelter Beach. Clyde oglądał się ciągle za siebie. Może już jedzie za nim jakiś policjant... Nietrudno mu będzie dowiedzieć się, gdzie całe towarzystwo pojechało, a jeżeli wie, że Clyde się tam znajduje... Bo pewnie już znają jego nazwisko...

Ale skąd mogli wiedzieć? W gazetach nic o tym nie było... Po co ma się martwić przed czasem, zwłaszcza podczas tej rozkosznej wycieczki, mając Sandrę przy sobie? Zresztą nietrudno mu będzie skryć się w tych gęstych borach, uciec w zupełnie przeciwną stronę i... nie powrócić więcej. Pytał już od niechcienia Harleya o kierunek tutejszych dróg i wie, którądy uciekać.

W południe dojechali do Shelter Beach, który był właściwym celem tej wycieczki, i tam Clyde pomagał rozpinać namioty.

O tej samej porze Swenk dojechał do ostatniego opustoszałego obozowiska i ujrzał tylko wygasłe ogniska. Przyjrzał się im bacznie i odjechał. W godzinę później nadjechali Mason z Krautem w to samo miejsce, rzucili jednak przelotne tylko spojrzenie na wygasłe popioły i ruszyli dalej widząc, że nie ma tu co robić.

Szybko wiosłował młody Swenk, ale dopiero na czwartą przyplłynął do Shelter Beach i od razu ujrzał kąpiące się w jeziorze towarzystwo. Zawrócił czym prędzej, żeby dać znać swej władzy umówionym sygnałem.

Odplłynawszy ze dwie mile wystrzelił, na co mu również odpowiedzieli strzałem jego zwierzchnicy i szybko skierowali swe łodzie w jego stronę.

Lecz i Clyde usłyszał ten strzał i nadstawił uszu.

Co to za strzał? Odpowiedzią na to były dwa strzały... w innej stronie... To sygnały! A potem taka cisza... Co to znaczy?

- Słyszycie? - zawołał Harley. - To chłopci strzelają... teraz, kiedy nie zaczął się jeszcze sezon polowań... Wbrew prawu!

- Aha! - roześmiał się Grant. - To do moich kaczek. Niech sobie strzelają...

- Jeżeli tylko lepiej strzelają niż ty, pozwól im, proszę cię - zawołała Bertina ze śmiechem.

Clyde chciał też się roześmiać, patrzył jednak w stronę strażów i nasłuchiwał z lękiem.

Trzeba jak najspieszniej wyjść z wody, ubrać się i uciekać! Prędeż! prędeż! Do swojego namiotu... do lasu... prędeż!

Upatrzwszy chwilę, gdy nikt na niego nie zwracał uwagi, pobiegł do namiotu, włożył granatowy garnitur, kapelusz i wymknął się cichaczem do lasu. Byle z oczu ludzkich... byle jak najdalej od jeziora... dopóki... dopóki nie dowie się, co znaczyły te strzały.

A Sandra? Te jej słowa, którymi go dzisiaj i wczoraj pocieszała?... Czy powinien uciekać od niej, nie będąc pewnym jeszcze, czy mu coś grozi? Czy powinien? A jej pocałunki... jej szczerze obietnice szczęśliwej przyszłości... Co ona o nim pomyśli... ona i wszyscy jego przyjaciele?... Co pomyśli, jeżeli on nie powróci? Jego ucieczka naprowadzi wszystkich na myśl, że on i Graham czy Golden to jedna i ta sama osoba... Z pewnością!

Myśl pracowała gorączkowo. Może zupełnie bezpodstawne są jego obawy, może to były przypadkowe strzały leśników czy rybaków?...

Wracać czy nie?

Ach, jakież tu spokoj wśród tych wysokich, prostych jak kolumny drzew! jak wygodnie leży się na kobiercu z mchu! jak tu bezpiecznie w tej gęstwinie, jak doskonale można się ukryć aż do nocy między pniami... A potem... dalej... dalej!

Postanowił jednak wrócić do obozu i zobaczyć, czy się kto nie zjawił. Gdyby nie było nikogo, powie, że poszedł do lasu i zabłądził trochę.

W chwili gdy Clyde ostrożnie zbliżał się lasem do obozowiska, przedstawiciele władzy odbyli krótką naradę i w chwilę później Mason skierował łódź do kąpiącej się młodzieży i zapytał, czy pan Clyde Griffiths znajduje się między nimi i czy może się z nim zobaczyć.

- Ależ naturalnie - odpowiedział Harley. - Jest tutaj gdzieś blisko.

- Hop! hop! Clyde! - zawołał Stuart.

Odpowiedzi nie było.

Clyde jeszcze nie zbliżył się na tyle do jeziora, żeby mógł usłyszeć wołanie, a powracał bardzo wolno i ostrożnie.

Mason domyślił się, że Clyde znajduje się gdzieś w pobliżu, nieświadomy tego, co go czeka, postanowił więc poczekać chwilkę. Rozkazał przy tym Swenkowi udać się do lasu i polecić ludziom, by osaczyli teren przyległy do obozu; następnie miał się udać do gospody i zawiadomić, aby wszyscy byli w pogotowiu do dalszej obławy, gdyż podejrzany znajduje się w tym rejonie.

Clyde był teraz oddalony od brzegu o jakieś trzy czwarte mili i jeszcze się wahał, jeszcze rozmyślał:

- Uciekać... uciekać! nie wahać się dłużej!

A jednak wahał się i myślał o Sandrze, o jej pałacach. Czy może tak odejść od niej? Nie! byłby to wielki błąd z jego strony. Powinien zostać. Cóż z tego, że słyszał jakieś strzały? Z pewnością nie miały żadnego znaczenia... Ktoś tam sobie strzelał dla zabawy, a on przez tchórzostwo zrujnuje sobie całą przyszłość!

Zawrócił wszakże znów do lasu, mówiąc sobie, że jednak lepiej teraz nie wracać... może później... jak się ściemni... Wtedy dowie się, co znaczą te strzały.

Ale znów zatrzymał się, pełen wątpliwości. Ptaki nad nim ćwierkały, zaglądały mu w oczy i skakały po gałązkach.

Naraz tuż przed nim, spomiędzy drzew wysunął się jakiś mężczyzna, wysoki, kościsty, w brązowym filcowym kapeluszu i niezbyt wykwintnym ubraniu, które zgniecione i zniszczone wisiało luźno na jego wielkim ciele. Zbliżył się szybko i odezwał się tak groźnie, że Clyde czuł, jak krew zastygła mu w żyłach i przestaje krążyć.

- Poczekaj no pan chwileczkę i nie ruszaj się z miejsca! Zdaje się, że pan nazywa się Clyde Griffiths, prawda?

Clyde dostrzegł groźny wzrok natręta i rewolwer, skierowany w jego stronę, i mróz przeszedł mu po kościach. Czyżby to aresztowanie? Więc już go znaleziono... już stróże prawa przyszli po niego? Boże! Uciec już nie może! Dlaczego nie uciekł przed chwilą? Dlaczego?

Poczuł nagle osłabienie, nie chcąc jednak pogłębiać podejrzeń, odpowiedział:

- Tak, nazywam się Clyde Griffiths.

- Pan należy do wycieczki, która tu obozuje?

- Tak.

- A więc doskonale. Przepraszam za rewolwer, ale za wszelką cenę postanowiłem pana ująć. Nazywam się Kraut. Mikołaj Kraut. Jestem zastępcą szeryfa w okręgu Cataraqui. Wysłany zostałem z poleceniem aresztowania pana. Przypuszczam, że pan wie za co i zgodzi się pójść ze mną spokojnie.

Kraut ujął silniej wielki, ciężki rewolwer i spojrzał stanowczym wzrokiem na Clyde'a.

- Ale... dlaczego... dlaczego? Nie rozumiem! - mówił Clyde słabym głosem. Twarz mu zbieleła jak płótno i policzki zapadły się.

- Jeżeli pan ma polecenie aresztowania mnie, pójdę za panem bez oporu. Tylko... ja... ja nie rozumiem... dlaczego... pan ma mnie aresztować?

- Nie rozumie pan, eh! Czy pan przypadkiem nie był w zeszłą środę i czwartek w Grass Lake i Big Bittern, co?

- Nie, proszę pana, nie byłem - odrzekł Clyde niepewnym głosem.

- I nic pan nie wie o utopionej dziewczynie, z którą pan tam jeździł? Nic pan nie wie o Robercie Alden z Biltz?

- Ależ... nie wiem nic! - odparł Clyde drżącym głosem.

Dowiedziano się więc o nazwisku Roberty i jej adresie... Wiedzano już! I po nitce do kłębka... Jego prawdziwe nazwisko i adres...
Boże!

- Jestem więc posądzony o zabójstwo? - spytał ledwo dosłyszalnym głosem.

- To pan niby nie wiedział, że w czwartek utonęła? Nie był tam pan z nią wcale, prawda?

Przenikliwy, niedowierzający wzrok Krauta utkwiał w oczach Clyde'a.

- Ależ oczywiście... nie byłem... - mówił Clyde, postanawiając przeczyć wszystkiemu, dopóki nie wymyśli jakiegoś planu.

I nie spotkał pan w lesie, między Three Mile Bay a Big Bittern, trzech ludzi? Było to w nocy z czwartku na piątek, około jedenastej.

- Skądże? Nie mogłem spotkać. Nie byłem tam wcale... zapewniam pana!

- Niech tak będzie, panie Griffiths. Nie mam nic więcej panu do powiedzenia. Muszę jednak aresztować pana pod zarzutem morderstwa

na osobie Roberty Alden. Jest pan moim więźniem!

Aby pokazać, czym może grozić upór, wyjął parę stalowych kajdanek, na widok których Clyde o mało nie zemdlał. Drgnął jak pod silnym ciosem.

- Niech pan mi ich nie nakłada - prosił. - Proszę pana... taki wstyd... Pójdę z panem bez oporu...

Spojrzał z żalem i smutkiem w te mroczne zarośla, gdzie tak dobrze mógłby się ukryć.

- Dobrze. Zgadzam się na pańską prośbę, musi pan jednak iść spokojnie.

Wziął Clyde'a za ramię, które jak sparaliżowane nie czuło prawie dotknięcia.

- Czy pan mi nie weźmie za złe, jeżeli się o coś zapytam? - Clyde był przerażony, że stanie przed Sandrą i całą swą kompanią jako ujęty morderca. Przed Sandrą... przed Bertiną! Nie! nie! za nic! - Czy pan ma zamiar zaprowadzić mnie do obozu?

- Tak. Właśnie tam pana prowadzę. Ma tam być prokurator i ja tam muszę się z panem stawić.

- Tak, wiem o tym... wiem... Ale czy pan nie może... czy nie może... - błagał Clyde żałośnie, płacząco, bo już zupełnie przestał panować nad sobą. - Ja pójdę wszędzie... gdzie pan tylko chce... ale tam są moi... moi przyjaciele... Jakże patrzeć na mnie będą? Czy pan nie może zaprowadzić mnie gdzie indziej... nie do obozu... Ja mam specjalne przyczyny... to jest... jest... o, Boże! Panie, niech mnie pan tam nie prowadzi... Błagam pana... panie Kraut!

Kraut patrzył na mężczyznę, który wyglądał jeszcze tak dziecinnie. W oczach miał prawie niewinny wyraz, ubrany porządnie i taki wytworny. Nic nie miał wspólnego z dzikim, brutalnym typem mordercy, jakiego spodziewał się zobaczyć. Najwyraźniej należał do

wyższych sfer, które Kraut bardzo cenił. Stoją za nim z pewnością moiżni, bogaci krewni, wyrozumiał już bowiem z rozmowy swych zwierzchników, że młodzieniec ten należy do jednej z najbardziej szanowanych rodzin w Lycurgus. Przejęty tym nieco, dodał trochę uprzejmiej:

- Dobrze, młody człowieku. Nie chcę być dla ciebie zbyt surowy. Nie jestem zresztą szeryfem ani prokuratorem, tylko ich podwładnym. Niech już inni sobie decydują, co dalej zrobić z panem. Zaprowadzę pana do nich, a oni sami postanowią, czy koniecznie trzeba tam pana zaprowadzić. Tylko że zostały tam pańskie rzeczy...

- Och, mniejsza o to - odezwał się Clyde. - Będę je mógł zabrać w każdym czasie... tylko teraz... nie, nie chcę tam wracać... za nic!

- Dobrze więc, nie idźmy tam - odrzekł Kraut.

Szli teraz w milczeniu. Clyde niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w wysokie kolumny świerków, tworzące w zapadającym zmierzchu niby nawę kościoła, do którego oni śpieszyli na modlitwę. Na zachodzie gorąca czerwień przeświecała jeszcze przez drzewa.

Oskarżony o morderstwo! Roberta nie żyje, ale i Sandra nie żyje - dla niego. A Griffithsowie! Stryj! Matka! Ci wszyscy w obozie...

Boże! Boże! dlaczego nie uciekł, przecież wyraźnie przeczucie nagliło go do tego.

Rozdział IX

Zanim jeszcze Mason dostał w swe ręce Clyde'a, przychodziło mu na myśl, że niełatwo jednak będzie poradzić sobie z takim więźniem. Ma bardzo wpływową rodzinę, która bez wątpienia zrobi wszystko, żeby tylko swego imienia nie narazić na pohańbienie. Wezmą sobie najlepszego adwokata, który niewątpliwie wysili całą swą inteligencję i dokaże tyle, że niełatwo będzie skazać zbrodniarza. On sam będzie jako prokurator jedynym oskarżycielem i to jeszcze przed wyborami na sędziego, choć na to stanowisko tak już liczył.

W czasie gdy aresztowano Clyde'a siedział na wybrzeżu i przyglądał się ślicznym namiotom. Harley Baggott, ubrany w jaskrawy sweter i flanelowe spodnie, układał wędkę i wiązał do nich linki. Z namiotów wybiegały i znikały w nich Sandra, Bertina, Wynette i inne, zajęte dobieraniem kostiumów do kąpieli.

Mason nie był pewien, czy wobec tego wytwornego towarzystwa może szczerze powiedzieć, co go tu przywiodło, siedział więc w milczeniu, porównując młodość swoją i Roberty do młodości tych oto, których miał przed sobą. I taki Griffiths, należący do ich kompanii, wykorzystał brutalnie, podle niedoświadczenie Roberty, a potem pozbył się jej.

Pragnął wszakże wydobyć jak najwięcej wiadomości ubocznych, zbliżył się więc do Harleya i od niechcienia, bardzo uprzejmie się odezwał:

- Śliczne sobie państwo wybraliście miejsce na obozowisko.
- A tak, rzeczywiście.
- Ale całe lato zapewne spędzacie w willach koło Sharon, prawda?
- Tak, istotnie.
- Czy mieszka tam kto z Griffithsów prócz pana Clyde'a?
- Nie. Rodzina Griffithsów mieszka w lecie w Greenwood.

- Pan zapewne zna pana Clyde'a osobiście?
- Oczywiście. Należy przecież do naszej wycieczki.
- Czy pan nie wie, kiedy tu przyjechał? Mieszka zdaje się u państwa Cranstonów?
- W piątek, jeśli dobrze pamiętam. Ja przynajmniej zobaczyłem się z nim w piątek rano. Clyde zresztą zaraz wróci i będzie pan mógł go sam o to zapytać.

Harley był nieco zdziwiony, że Clyde wzbudził takie zainteresowanie przybysza.

Z rakieta w ręku podszedł do Harleya Frank Harriet.

- Dokąd to, Fred?
- Na partię, o którą dziś rano założył się Harrison.
- Kto z wami?
- Violeta, Nadina i Stuart.
- Czy będzie miejsce na drugą partię?
- Naturalnie. Zabierz Bertinę, Clyde'a, Sandrę i przychodź.
- Dobrze, tylko to ułożę.

Clyde i Sandra. Clyde Griffiths i Sandra Finchley, właśnie ta panna, której liściki miał przy sobie w kieszeni. A może by spojrzeć na nią... może nawet z nią o nim porozmawiać?

W tej chwili właśnie Sandra, Bertina i Wynette wyszły z namiotu.

- Słuchaj, Harley, nie widziałeś Nadiny? - spytała Bertina.
- Nie widziałem, ale właśnie Fred mówił, że ma grać z nią, Violetą

i Stuartem w tenisa.

- Tak? A, no to dobrze! Chodź, Sandra, i ty także, Wynette.

Zobaczymy, jak to wygląda.

Bertina mówiąc do Sandry wzięła ją pod rękę, dzięki czemu Mason mógł przyjrzeć się pannie, która w tak tragiczny sposób zajęła w sercu Clyde'a miejsce Roberty.

Tak, była rzeczywiście piękniejsza i wytworniejsza od tej biednej dziewczyny. A przy tym cieszyła się życiem, gdy tamta leżała w kostnicy w Bridgeburgu.

Panny pobiegły, a Sandra po drodze zwróciła się jeszcze do Harleya:

- Jak zobaczysz Clyde'a, powiedz mu, żeby tam przyszedł.

- Czy przypuszczasz, że twemu cieniowi trzeba o tym mówić? - odrzekł na to Harley.

Mason przyglądał się temu życiu z zaciekawieniem, a nawet z pewnym zawodowym podnieceniem, widząc wyraźnie, w jaki sposób kształtowała się w mózgu Clyde'a ta zbrodnia. Pewien był miłości tej panny, cały jej majątek należeć miał do niego. Niesłychane to wszakże, żeby w tak młodym wieku, żyjąc w takich warunkach, wpaść na ten ohydny, potworny pomysł! Nie do uwierzenia wprost! I dziś, zaledwie w cztery dni po zabójstwie tamtej, bawi się doskonale w towarzystwie tej ślicznej panienki, myśląc, że się z nią ożeni. Lecz i Roberta sądziła, że wyjdzie za mąż za niego... Okrutne bywają sprawy ludzkie!

Widząc, że nikt jakoś nie przyprowadza Clyde'a, postanowił pójść tymczasem przeszukać jego rzeczy, gdy na skraju lasu ujrzał Swenka, który ruchem głowy przyzywał go do siebie. Na brzegu lasu stał ukryty za drzewem Kraut w towarzystwie szczupłego, przyzwoicie ubranego młodego człowieka o woskowo bladej twarzy, którego lata i wygląd odpowiadały rysopisowi poszukiwanego Clyde'a

Griffithsa.

Mason podszedł do niego z surową miną, sztywno, jak przystało na przedstawiciela władzy. Na chwilę zatrzymał się przy Swenku, aby zapytać, gdzie Clyde został aresztowany i przez kogo, ale natychmiast zwrócił się do obwinionego.

- Pan jest Clyde Griffiths?

- Tak, proszę pana.

- Jestem Orville Mason, prokurator okręgowy. Do mojego okręgu należą Big Bittern i Grass Lake. Przypuszczam, że miejscowości te są panu dobrze znane? Patrzył uważnie, jakie wrażenie zrobiły na nim te ironiczne, gorzkim sarkazmem zaprawione słowa. Liczył, że Clyde się zmiesza i straci zupełnie kontenans, ten jednak spojrział na niego ciemnymi, niespokojnymi oczyma i z nadzwyczajnym wysiłkiem odpowiedział:

- Nie, proszę pana, nie mogę powiedzieć, żebym je znał.

Chociaż Clyde wiedział, że Mason musiał mieć dowody jego winy, nie był w stanie przyznać się do związku z Robertą i do wspólnej wycieczki do Big Bittern. Nie mógł. Byłoby to przyznaniem się do winy, do której się wcale nie poczuwał. Nikt nie powinien uwierzyć, ani Sandra, ani Griffithsowie, ani żaden z jego przyjaciół, że on mógłby popełnić taką zbrodnię, że mogło mu to nawet przyjść na myśl. Przecież są tu niedaleko, mogą podejść i dowiedzieć się, o co go posądzają... Musi koniecznie przeczyć wszystkiemu...

Patrzył jednak ze strachem na tego człowieka, który niewątpliwie zaraz wybuchnie gniewem. Ten złamany nos... te straszne, przenikliwe oczy...

Mason, zirytowany zaprzeczeniem, patrzył na niego jak na jakieś nieznane, doprowadzone do rozpaczliwej zwierzę i wydało mu się, na ile mógł to wyczytać z wyrazu twarzy obwinionego, że gotów jest prawie

przyznać się do winy.

- Pan wie, panie Griffiths, o co jest pan oskarżony?

- Owszem, wiem... ten pan mi powiedział.

- I przyznaje się pan?

- Ja? Skądże... Nie mogę się przyznać... - odrzekł Clyde zaciskając blade wargi. Z oczu wyzierała straszna, choć tajona obawa.

- Cóż za głupstwa pan mi tu opowiada! Co za bezczelność! Zaprzecza pan, że w środę był pan w Grass Lake, a w czwartek w Big Bittern?

- Zaprzeczam.

- Dobrze! - coraz groźniejszym tonem grzmiał pan Mason. - Więc zaprzeczy pan również, że znał Robertę Alden, robotnicę, i pojechał z nią najprzód do Grass Lake, a potem do Big Bittern? Zaprzeczy pan, że znał pan tę dziewczynę w Lycurgus, gdzie mieszkała u państwa Gilpin i pracowała w pańskim wydziale w warsztatach Griffithsa? Zaprzeczy pan, że dał jej na gwiazdkę przybory na toaletę? Może pan nawet zaprzeczy, że nazywa się Clyde Griffiths, i powie, że nie mieszka u pani Peyton na Jefferson Street i że te listy, pisane przez Robertę Alden i przez pannę Finchley, nie pochodzą z pańskiego kufra?

Wyjął listy i pokazał mu z daleka. Wysunął naprzód szeroką, wymowną twarz z płaskim, zmiażdżonym nosem i wpatrzył się w Clyde'a błyszczącymi, wzgardliwymi oczyma. Chłopiec cofnął się nagle i zadrżał prawie widocznie, bo czuł, jak lodowaty podmuch mrozi mu plecy, sięga serca i mózgu. Listy! Z nich... z nich wszystkiego się dowiedzieli! A tam, w namiocie, w jego walizce, leżą jeszcze świeższe listy Sandry, w których pisze o projekcie porwania jej w jesieni...

Dlaczego ich nie zniszczył? Teraz ten człowiek znajdzie je... na pewno... będzie pytał Sandry i innych także... Zdrętwiał

przejrzawszy swój tak nędznie opracowany plan, który opadł na jego wątłe barki całym ciężarem jak świat na ramiona Atlasa. Czuł, że musi... że trzeba koniecznie coś powiedzieć, ale że nie powinien się jednak przyznać.

- Tak, nazywam się Clyde Griffiths i to jest prawda. Nie jest jednak prawdą to, co mi pan powiedział.

- O, panie Griffiths! Niech pan w ten sposób nie próbuje mnie bałamucić. Niedaleko pan zajedzie taką metodą... Nic to panu nie pomoże, a ja nie mam czasu na takie głupstwa. Proszę pamiętać, że ci panowie są świadkami tego, co pan tu plótł. Przyjeżdżam właśnie z Lycurgus, byłem u pani Peyton i mam pański kufer oraz listy pisane do pana przez pannę Alden, a są one niezaprzeczoną dowodem, że pan znał tę dziewczynę, że się do niej zalecał, a w zimie uwiódł. Kiedy zaś zaszła w ciążę, kazał jej pan pojechać do domu, a potem zabrał ją na wycieczkę, podczas której mieliście się pobrać. Tak przynajmniej jej pan obiecywał... O, tak! poślubił ją pan... poślubił z grobem... dno jeziora było jej ślubnym łóżem!... I pan śmie stać tu przede mną i zapierać się, kiedy ja mam wszystkie na to dowody! Śmie pan twierdzić, że jej wcale nie znał!

Do diabła z tym!

Grzmiał tak głośno, że Clyde się obawiał, iż usłyszą go w obozie. I Sandra może usłyszeć i gotowa tu przyjść... Nerwowo zaciskał i otwierał palce, gardło miał tak zdławione, że nie mógł nic więcej wykrztusić tylko:

- Nie znałem...

- Do diabła z tym! - powtórzył Mason. - Wiem na pewno, że pan zabił tę dziewczynę i wymknął się potem zręcznie, więc nie może pan wyprzeć się tych listów. Gotów nawet pan zaprzeczyć, że pan tu stoi przede mną i żyje!... A cóż te listy i kartki? Nie przekonają pana? Może nie pochodzą od panny Finchley, co? Cóż pan na to powie? Powie mi pan zapewne, że nie są wcale od niej?

Podsunał je Clyde'owi przed oczy. Clyde, mając przed sobą dowód,

którego by nie zaparła się sama nawet Sandra, gdyby ją tu zawezwano, odpowiedział:

- Nie, nie zaprzeczę temu.

- Doskonale. A tamte, także z pańskiego kufra, czy nie pochodziły od panny Alden?

- O nich nie mam nic do powiedzenia... - odrzekł mrugając oczyma na widok listów.

- No, no, no! to już bezczelność! Ale mniejsza o to! nie będziemy się tym martwili. Jak przyjdzie czas, dostarczę wszystkich dowodów! Nie rozumiem jednak, jak pan śmie zaprzeczać, widząc, że mam dowody w ręku. Jest... jest na przykład pewna kartka, którą pan zapomniał zabrać z walizki tej dziewczyny, z walizki, pozostawionej w Grass Lake... kartka pisana pańską ręką... Tak, panie Graham, panie Golden, panie Clyde Griffiths... napisał pan wyraźnie: "Od Clyde'a dla Berti. Wesołych Świąt". Przypomina pan sobie? Oto ona!

Wyjął małą kartkę z kieszeni i podsunął mu pod sam nos.

- Zapomniał pan o niej, co? Pański charakter pisma... - Czekał na odpowiedź, nie otrzymawszy jej jednak dodał z pasją: - A, cóż za idiota! Tak głupio obmyślić plan i użyć własnych inicjałów przy wyborze fałszywych nazwisk! Trzeba nie mieć ani krzty rozumu, aby sobie wybrać takie nazwiska...

Spojrzał uważnie na Clyde'a, a widząc nieludzkie wprost przerażenie na jego twarzy, zawahał się. Pojął, że jeżeli Clyde się nie przyznaje, to prawdopodobnie strach mu zamyka usta. Postanowił, więc zmienić taktykę pragnąc koniecznie wydobyć z niego zeznanie. Wygładził tedy zmarszczki na czole, złagodził wyraz ust i zniżył nieco głos.

- Niechże pan weźmie pod uwagę - odezwał się spokojniejszym głosem - że takie bezmyślne wypieranie się nie doprowadzi do niczego dobrego, a przeciwnie, może nawet pogorszyć sprawę. Może panu

przykro, że byłem szorstki, ale zależało mi bardzo, żeby ująć winnego, którego sobie zresztą zupełnie inaczej wyobrażałem, w każdym razie nie w typie pana. Otóż pański wygląd i przerażenie przekonują mnie, że muszą być jakieś łagodzące okoliczności, które rzucają odmienne światło na tę sprawę. Oczywiście, nic dotychczas o tym nie wiem. Pan sam to powinien rozważyć, a ja przedstawiam panu tę myśl do oceny... Sam pan widzi, że mam pańskie listy, prócz tego zaświadczą przeciw panu ludzie, którzy pana wtedy w nocy spotkali, a oprócz nich świadkami będą właściciele gospód w Grass Lake i Big Bittern, przedsiębiorca utrzymujący łódki oraz woźnica, który pana i Robertę Alden przywiózł z Grass Lake. Wszyscy twierdzą pańską tożsamość. Czy pan przypuszcza naprawdę, że nie poznają pana i nie będą świadczyć przeciw niemu albo że sąd podczas procesu im nie uwierzy?

Jego słowa wbijały się w mózg Clyde'a, który jednak nic nie odpowiedział, patrzył tylko w prokuratora, odrętwiały, zmrożony.

- Znajdą się jeszcze inni świadkowie - mówił dalej Mason łagodnie i przekonywająco - chociażby taka pani Peyton, która widziała, jak zabierałem listy z pańskiego kufra i z górnej szuflady komody. Poza tym będą robotnice, które pracowały razem z Robertą w pańskim oddziale... Czy pan sądzi, że nie przypomną sobie różnych szczegółów, gdy dowiedzą się o jej śmierci? Pan sam powinien był o tym pomyśleć, gdy układał ten zbrodniczy plan... Jaki w tym sens? Mając takie dowody przeciw sobie, nie powinien pan być się spodziewać, że uda mu się umknąć. Wyraźne szaleństwo z pańskiej strony... Niechże pan rozważy, że mówię to wszystko dla pańskiego dobra.

Zamilkł znowu, oczekując przyznania się, lecz Clyde, jakkolwiek rozumiał, że wszystkie jego plany zawiodły, stał tylko wpatrzony w Masona, który nie doczekawszy się odpowiedzi znów zabrał głos:

- Panie Griffiths, gdyby pan był moim synem albo bratem, nie mógłbym dać lepszej rady, namawiając do wyznania prawdy. Jeżeli chce pan liczyć na niezbyt surowy wyrok, to zaprzeczaniem nic pan nie zrobi. Sam się pan potępia w ludzkich oczach. Nie rozumiem, dlaczego pan nie chce się przyznać, że pan ją znał, że ona

pisywała do pana te oto listy i że był pan z nią na wycieczce. Niech pan nie liczy, że przy swoim postępowaniu wygra pan sprawę, przyznawszy się zaś szczerze, kto wie, może by pan i wygrał. Każdy rozsądny człowiek, matka pańska na przykład, powiedziała by panu to samo. To, co pan robi, jest tylko śmieszne i dowodzi pańskiej winy, nie zaś niewinności. Dlaczego nie wyznać szczerze wszystkiego, zanim będzie za późno szukać jakichś łagodzących okoliczności, bo może jakieś i są, czy ja wiem? Jeżeli pan teraz się przyzna, a będzie w mojej mocy ulżyć pańskiej doli, obiecuję panu, że uczynię to z całą gorliwością i będę zadowolony, jeżeli mi się to uda. Niechże pan zrozumie, że nie jestem po to, żeby tropić człowieka i skazywać go na śmierć, albo zmuszać go do wyznania tego, czego nie uczynił, lecz po to, bym mógł wykazać całą prawdę w każdej sprawie. Ale jeżeli pan będzie utrzymywał, że wcale nie zna tej dziewczyny, kiedy ja pana zapewniam, że mam na to dowody, wtedy... - tu prokurator wzruszył ramionami z niechęcią i politowaniem.

Lecz i teraz Clyde stał w milczeniu. Mimo przekonywających słów i rad, udzielanych życzliwym tonem, Clyde nie wyobrażał sobie, by przyznanie się do znajomości z Robertą nie było dla niego czymś zgubnym i hańbiącym. Co o nim wszyscy pomyślą? Jakże to będzie wyglądało wobec projektów małżeństwa z Sandrą, które też się nie ukryją? Milczał więc.

Mason, zirytowany w najwyższym stopniu, zawołał:

- Dobrze więc! Postanowił pan nic nie mówić! Nie chce pan!

A Clyde, zsiniały, osłabiony, wyjąkał:

- Ja... ja nie mam... nie mam nic wspólnego z jej... z jej śmiercią... Tyle tylko mogę powiedzieć...

Mówiąc to pomyślał jeszcze, że i tego nie należało mówić... a może lepiej mówić? Ale co? Że znał Robertę, naturalnie, że był tam z nią... no tak... ale nie miał zamiaru pozbawić jej życia... że to utonięcie było przypadkowe... Uderzył ją... to prawda, ale tylko

przypadkiem... No, bo tak było! A może nie przyznać się wcale, że ją uderzył? Bo kto uwierzy w przypadkowe uderzenie aparatem fotograficznym? Lepiej nie wspominać o aparacie, bo nawet w pismach nie było żadnej wzmianki, że go miał przy sobie. Milczał i rozmyślał. Wreszcie Mason zniecierpliwiony, zawołał:

- Przyznaje się pan, że ją znał?

- Nie.

- Dobrze więc - zwrócił się do pomocników. - Trzeba go teraz zaprowadzić do jego przyjaciół, skonfrontować tego ptaszka z nimi, może od nich dowiemy się czegoś więcej. Rzeczy jego muszą znajdować się w jednym z tych namiotów. Zaprowadźcie go więc tam, panowie, zobaczymy, co jego przyjaciele o nim powiedzą.

Odwrócił się szybko od Clyde'a, który zadrżał z rozpacz i zawołał:

- O, panie! proszę bardzo... tylko nie to! tylko nie to! Błagam...

- Ten pan właśnie - odezwał się Kraut - bardzo mnie prosił, żebym go tam nie prowadził.

- A! o to chodzi! - zawołał Mason. - Taki delikatny, że nie chce się pokazać przed swoimi eleganckimi przyjaciółmi w naszym towarzystwie i dlatego nie chce się przyznać, że znał biedną robotnicę... Bardzo dobrze... Teraz, mój przyjacielu, albo powiesz wszystko, co wiesz, albo zaraz tam pójdziemy.

Spojrzał na Clyde'a chcąc zobaczyć, jakie to na nim wywarło wrażenie.

- Możemy nawet zebrać całe to towarzystwo i opowiedzieć im, co się stało. Ciekaw jestem, czy i wtedy będzie się pan zapierał. -
Zauważywszy wahanie Clyde'a dodał: - Prowadźcie go, chłopcy!

Ruszył naprzód. Kraut wziął Clyde'a za jedno ramię, Swenk za drugie i ruszyli go z miejsca. Clyde w najwyższym przerażeniu

zawołał:

- Błagam... proszę... tylko nie to! tylko nie to, panie Mason...
Ja nie chcę tam iść! Nie dlatego, żebym był winny... ale to takie
dla mnie okropne! Przecież rzeczy moje może pan odebrać beze
mnie...

Krople potu ukazały się na bladej twarzy i chłodnych rękach.

- Nie chce pan tam iść? - zapytał Mason zatrzymując się. - Zrani
to pańską dumę, co? A więc mów pan wszystko, o czym chcę wiedzieć!
Jeżeli jeszcze będzie się pan opierał, to bez żadnego zwlekania
pójdziemy do obozu. Będzie pan odpowiadał czy nie?

Stanął przed Clyde'em, który drżącymi wargami, zmieszany, drżący,
wyjąkał:

- Naturalnie... tak... znałem ją. Oczywiście... z pewnością...
Listy te są dowodem... Ale cóż z tego? Nie zabiłem jej przecież.
Pojechałem z nią bez zamiaru zbrodni... Nie zabiłem... Mówię panu,
że nie zabiłem. To był wypadek. Nie chciałem nawet jej zabierać z
sobą... Ona koniecznie chciała... chciała koniecznie, żebym ją
zabrał z Lycurgus... żebym z nią dokądś wyjechał... bo... bo...
pan wie zresztą... jest to w listach... Chciałem tylko ją gdzieś
umieścić... żeby mogła sama mieszkać... żeby mi dała spokój...
bo... bo nie chciałem się z nią żenić... I to wszystko. Wziąłem ją
ze sobą... nie dlatego, żeby... żeby ją zabić, tylko chciałem
przekonać... chciałem jej wyperswadować... Łódki nie wywróciłem...
nie miałem przynajmniej zamiaru... Wiatr zrzucił mi kapelusz...
ona i ja... wstaliśmy, żeby go złapać i... łódka się wywróciła i
to wszystko. Wypadając... uderzyła się o brzeg łódki. Widziałem
to... widziałem, jak walczyła z wodą, ale... obawiałem, że
pociągnie mnie ze sobą... Zapadła się w wodę... a ja popłynąłem do
brzegu... To jest cała prawda.

Podczas tego wyznania twarz mu nabiegła krwią, ręce pałały, w
oczach znać było mękę, rozpacz. Opowiadał, a myślał jednocześnie,
czy dnia tego był wiatr, czy nie znaleziono w lesie trójnogu od
aparatu fotograficznego. Gdyby znaleźli, mogą przypuszczać, że

posłużył mu do uderzenia Roberty. Drżał i był cały mokry od potu.

- Zaraz. Muszę się zastanowić... - odezwał się prokurator. - Mówi więc pan, że nie brał ze sobą Roberty Alden z zamiarem popełnienia na niej zbrodni?

- Nie, nie miałem zamiaru.

- Dlaczego więc zapisał się pan dwa razy pod zmyślonymi nazwiskami?

- Nie chciałem, żeby ktoś z moich znajomych dowiedział się że byłem tam z nią.

- Patrzcie państwo! Uważał pan więc za coś skandalicznego stosunek z biedną robotnicą, prawda?

- Nie... to jest... tak...

- Nie pomyślał pan jednak, że ona będzie skompromitowana, gdy ją tam znajdą?

- Nie mogłem przecież wiedzieć, że utonie - zorientował się od razu Clyde.

- Wiedział pan jednak, że nie wróci pan już do gospody, prawda?

- Skądże? Nie mogłem wiedzieć, że nie wrócę. Byłem pewien, że wrócę.

- Sprytnie, bardzo sprytnie - pomyślał prokurator, ale rzucił szybko nowe pytanie. - I dlatego, żeby było tam panu wygodniej wracać, wziął pan ze sobą swoją walizkę, a jej pozostawił? Tak było, prawda?

- Wziąłem walizkę nie dlatego, że miałem zamiar uciekać, lecz że zapakowałem do niej śniadanie.

- Dla dwojga, czy dla siebie?

- Dla dwojga.

- I tylko dlatego, żeby w nią włożyć śniadanie, brał pan ze sobą ciężką walizkę? Czyż nie mógł zabrać pan w papierze albo w walizeczce panny Alden?

- Jej walizka była pełna, a nie lubię nosić paczek w papierze.

- Patrzcie państwo! Jaki dumny i delikatny! Duma jednak pozwoliła panu na dźwiganie ciężkiej walizki w nocy przeszło dwanaście mil. Niósł ją pan przecież własnoręcznie do Three Mile Bay. Nie wstydził się pan jakoś tego, co?

- Bo... jak utonęła... nie chciałem, żeby ktoś wiedział, że byłem z nią razem... więc poszedłem...

Zamilkł. Mason patrzył na niego rozważając, jakie mu jeszcze zadać pytanie. Ale było już późno. Trzeba jeszcze wstąpić do obozu po rzeczy Clyde'a - walizkę i niewątpliwie ten szary garnitur, który miał na sobie w Big Bittern. Tak, był na pewno szary... To nie ten, który ma na sobie. A podczas powrotnej drogi wybada do końca tego ptaszka.

Zwrócił się do aresztowanego:

- No, dosyć tego na razie. Odpocznie pan teraz trochę. Być może było tak, jak pan mówi - nie wiem. Chciałbym, żeby tak było, dla pańskiego dobra. Niechże więc pan idzie teraz z Krautem. On panu wskaże drogę.

Następnie zwróciwszy się do Krauta i Swenka dodał:

- Już jest późno i musimy się śpieszyć, żeby dostać się gdzieś na noc. Pan, panie Kraut, niech zaprowadzi tego człowieka do jednej z łodzi i czeka. Można też wywołać z lasu szeryfa i Sissela i powiedzieć im, że jesteśmy gotowi. A ja ze Swenkiem usiądziemy w drugiej łodzi po załatwieniu wszystkiego.

Zabrał ze sobą Swenka i poszli w stronę obozu, Kraut zaś, mając przy sobie Clyde'a zaczął wołać szeryfa, żeby powracał.

Rozdział X

Wstrząsające wrażenie wywarła w obozie wiadomość o aresztowaniu Clyde'a w związku ze zbrodnią popełnioną na jeziorze Big Bittern. Prokurator opowiedział o wszystkim, żeby móc zabrać rzeczy, i wspomniał, że Clyde przyznał się do tego, że był na jeziorze z Robertą Alden. Czy ją zabił, nie wiadomo jeszcze. Mason dodał, że osobiście przychodzi po rzeczy Clyde'a na jego wyraźne życzenie.

Frank Harriet, najbardziej praktyczny, zaprowadził prokuratora do namiotu Clyde'a, gdzie Mason zabrał się zaraz do przeglądania jego walizki.

Tymczasem Frank z Baggottem znając uczucia Sandry poszli najprzód zawiadomić o tym Stuarda i Bertinę, po czym udali się do Sandry i tam ostrożnie opowiedzieli jej, co zaszło.

Sandra zbladła i zemdląła. Grant złapał ją i przeniósł do namiotu.

- Nie wierzę w to! nie wierzę! - zawołała odzyskawszy przytomność.
- To niemożliwe! Nie wierzę temu wcale! Biedny chłopiec! O, Clyde!
Gdzie on jest? Gdzie go zabrano?

Stuart i Grant, mniej przejęci tym wypadkiem, prosili ją, żeby się uspokoiła. Może to prawda... a jeżeli okaże się prawdą, lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział. Gdyby zaś nie było prawdą, Clyde łatwo wykaże swą niewinność i zostanie zaraz zwolniony. Nie trzeba jeszcze rozpaczać.

Sandra sama już zdała sobie sprawę, że sprawa staje się skandaliczna. Wszyscy wiedzieli, jak się nim interesowała, a rodzice... jeżeli się dowiedzą... Może nawet będą wzmianki w gazetach... pisywała przecież do niego... Ale to niemożliwe... Clyde musi być niewinny... To musi być omyłka!

Przypomniała sobie rozmowę o tej utopionej dziewczynie, o której Blanka opowiadała jej przez telefon... ta błądź Clyde'a jego osłabienie... jego zupełny brak humoru, ożywienia... Ach, nie! to niemożliwe!

Dlaczego jednak przyjechał dopiero w piątek? Dlaczego nie pisał od wtorku?

I znów pełna rozpacz upadła na duchu. Tymczasem Grant z przyjaciółmi postanowili jak najspieszniej zwinąć obóz i powrócić do Sharon. Sandra też po długich płaczach oprzytomniała nieco i oznajmiła, że chce wracać, że "nie może patrzeć na jezioro"; prosiła Bertinę, żeby siedziała przy niej i nie mówiła nikomu o jej łzach i omdleniach, bo rozpoczną się plotki. Cały czas przy tym myślała, w jaki sposób odebrać listy pisane do Clyde'a. Boże! wpadną w ręce policji i może zostaną ogłoszone w pismach?...

Po raz pierwszy stanęła oko w oko z twardym, bezlitosnym życiem.

Tego samego dnia wszyscy z Bertiną, Stuartem i Grantem odjechali do Metissic, aby stamtąd o świcie wyruszyć do Albany, skąd okólną drogą mieli się dostać do Sharon.

Mason więc miał już wszystkie rzeczy Clyde'a w swoim posiadaniu, ponieważ jednak nie znalazł między nimi szarego garnituru, musiał znów Clyde znieść inkwizytorskie przesłuchanie. Na pytanie Masona o ów szary garnitur, Clyde, zmieszany nową komplikacją, oznajmił stanowczo, że nie miał go wcale na sobie. Miał to samo ubranie, w którym jest teraz.

- Jak to? Byłeś pan przecież przemoczony?

- Tak, byłem.

- A gdzie je pan oczyścił i odprasował?

- W Sharon.

- W Sharon?

- Tak.

- U krawca?

- Tak.

- U którego?

Niestety, Clyde nie pamiętał.

Przez całą więc drogę z Big Bittern do Sharon miał je pan na sobie, mokre i pogniecione?

- Tak.

- I nikt jakoś tego nie zauważył?

- Jeśli pamiętam, to - nie.

- Jeśli pan pamięta, co? Dobrze, dowiemy się o tym później.

Mason doszedł do przekonania, że Clyde popełnił zbrodnię i że powinien go skłonić do przyznania się. Był przy tym ciekaw, gdzie Clyde ukrył garnitur. Pozostawała także do wyświecenia sprawa kapelusza znalezionej na jeziorze. Ponieważ Clyde sam powiedział, że wiatr mu go zrzucił, przyznał więc, że na jeziorze był w kapeluszu. Musiał więc Mason stwierdzić fakt, że kapelusz, który znaleziono na jeziorze, należał do Clyde'a, a więc oskarżony miał widocznie jeszcze jeden w zapasie.

- Powiedział pan, że wiatr mu zrzucił kapelusz z głowy, prawda?
Czy nie udało się go panu złapać?

- Nie.

- W tym nieszczęściu nie pomyślał pan o tym?

- Nie, nie pomyślałem.

- W takim razie musiał pan mieć inny w zapasie, gdy udawał się w dalszą drogę przez lasy?

Gdzież go pan nosił przedtem?

Clyde zmieszany w najwyższym stopniu nie wiedział, co odpowiedzieć na to pytanie. Czy się przyznać, że miał inny kapelusz czy nie?
Nie, nie przyzna się.

- Ależ ja nie miałem innego kapelusza...

Mason nie zwracając uwagi na odpowiedź, zdjął z głowy Clyde'a kapelusz i wskazał na firmę, umieszczoną wewnątrz: "Stark & Company. Lycurgus".

- Jest tu firma, widzę. Kupiony w Lycurgus, co?

- Tak.

- Kiedy?

- O, jeszcze w czerwcu.

- Czy pan jest pewien, że to nie ten sam, który miał pan na sobie tej nocy?

- Nie, nie ten sam.

- A gdzież był ten?

Clyde zawahał się. Boże! co ja mam odpowiedzieć? Dlaczego przyznałem się, że ten na jeziorze należał do mnie? Przyszło mu jednak na myśl, że ci, co go widzieli w Grass Lake i w Big Bittern, pamiętali, jaki miał kapelusz.

- Gdzież więc był ten? - nalegał Mason.

- Ten? Tak... byłem już tu kiedyś i miałem go ze sobą. Zapomniałem go wtedy zabrać i teraz po przyjeździe znalazłem go...

- Patrzcie państwo! Bardzo wygodnie.

Chytra sztuka! pomyślał sobie. Należy wypytać Cranstonów lub kogo innego, może ktoś będzie pamiętał, czy istotnie Clyde zostawił tam kiedyś kapelusz. Najwyraźniej kłamie, ale trzeba go złapać na kłamstwie. Nie dawał więc spokoju Clyde'owi w drodze do więzienia. Rzucił mu pytania to z tej, to z innej flanki:

- Dlaczego jedliście śniadanie na wybrzeżu południowym, które wcale nie jest tak bardzo malownicze?

Albo:

- Gdzieś pan spędził resztę wieczoru? Z pewnością nie na miejscu wypadku?

Lub przypomniawszy sobie o listach Sandry:

- Jak dawno ją pan zna? Czy rzeczywiście kocha ją pan równie silnie, jak ona pana? A może to właśnie jej obietnica, że wyjdzie za pana, skłoniła go do zabicia panny Alden?

Clyde zaprzeczył gwałtownie, znać było, że cierpiał okropnie.

W Three Mile Bay dostał posłanie na zwykłej pryczy na strychu. Od trzeciej rano słyszał szmer licznych głosów pod farmą. Zbierał się tłum żądny sensacji i widoku zbrodniarza, bo doszły już tu wieści, że ten nikczemnik pragnąc ożenić się z bogatą panną, w okrutny sposób zamordował młodą, śliczną robotnicę, której jedyną winą

było, że go bez pamięci kochała. Clyde słyszał groźne okrzyki:

- Tutaj jest ten nędznik! Powinieneś wisieć za to, ty łajdaku!
Czekaj! popamiętasz nas jeszcze!

Clyde widział przez okno, że krzyczał tak młody chłopiec o
zuchwałych, groźnych oczach, a jaskrawo ubrana dziewczyna o
zamglonym spojrzeniu, pochodząca pewno z zaułków miejskich
wrzeszczała:

- Widzisz go, tego zbrojaka! Zakatrupił taką dziewczuchę! Myślałeś, że
uda ci się dać nogę... Nie udało ci się, gnojku!

Zjawili się wezwani świadkowie, przyjechał i sędzia śledczy
Gabriel Gregg, chudy, sztywny, na ręce którego Mason złożył
oskarżenie Clyde'a Griffithsa o zabójstwo Roberty Alden i zażądał
umieszczenia go w więzieniu w Bridgeburgu, na co sędzia się
zgodził.

Thumy niecierpliwiły się przed domem, a Clyde, słysząc groźne
okrzyki, przysunął się z lękiem do szeryfa.

Jak to, więc naprawdę wszyscy są przekonani, że ją zabiłem?... -
myślał z rozpaczą. - Gotowi mnie zlinczować... o Boże!

Z westchnieniem ulgi wkroczył w otwierające się przed nim
gościnnie wrota więzienne. Wprowadzono go do celi. Tam na nowo
opadły go straszne, ciężkie myśli i już go nie opuściły. Całą noc
przeżywał od początku wszystko, co już minęło.

- Sandra? Bertina! Griffithsowie! Nie tylko oni... wszyscy w
Lycurgus dziś już się o tym dowiedzą...

Matka!... Gdzie jest teraz Sandra?

Mason zabierając jego rzeczy musiał o wszystkim powiedzieć...
Wiedzą już wszystko o nim... myślą jak o zbrodniarzu... Gdyby
jednak... mogli wiedzieć... jak to się stało... Żeby Sandra...
żeby chociaż matka mogła wiedzieć prawdę!...

A może opowiedzieć wszystko szczerze Masonowi? Tylko... czy ma wyznać również wszystkie swoje rozmyślania... swe właściwe zamiary... plany... ma powiedzieć o statywie... o tym, jak uciekał z miejsca wypadku?... Że uderzył ją niechcący... że schował statyw od aparatu... Gdyby nawet nie powiedział, domyślą się, że planował zbrodnię... Bo któż mu uwierzy? Nic mu nie pomoże wyznanie... zostanie osądzony i stracony jako zbrodniarz. Zbrodniarz!... O, Boże! Odbędzie się sprawa... dowiodą mu tej zbrodni! Krzesło elektryczne!...

W pełni świadomości tego, co go czeka, przejęty grozą, siedział jak tknięty paraliżem.

Czeka go śmierć!... Boże!... Dlaczego zostawił u Peytonowej listy Roberty? Dlaczego przed wyjazdem nie wyniósł gdzieś swego kufra? Dlaczego nie pomyślał o tym przedtem? Ale jakim sposobem padło na niego podejrzenie? Jak się dowiedzieli, skąd jest, jak się nazywa, gdzie mieszka?

Przypomniały mu się znów listy w kufrze. Jeśli dobrze pamięta, w jednym z listów matki była wzmianka o sprawie z Kansas City. A więc Mason już wie i o tym... Dlaczego nie zniszczył tych listów? I Roberty i matki, i wszystkich... Dlaczego nie zniszczył?

Nie umiał powiedzieć dlaczego - były to listy, które mu przywodziły na pamięć całe dzieciństwo! miłosne uniesienia, beztrudne chwile życia.

Po co kładł ten słomkowy kapelusz uciekając przez las? Widzieli go w nim ci trzej ludzie... Boże! nie przyszło mu na myśl; że w ten sposób go wyśledzą... Dlaczego nie uciekł zupełnie, zabrawszy ze sobą walizkę i listy Sandry? Może... może w Bostonie albo w Nowym Jorku zdołałby się ukryć?...

Rozstrojony, wyczerpany nie mógł wcale spać, przemierzał tylko celę gorączkowymi krokami, siadał na brzegu twardego, wytartego tapczana i myślał, myślał...

O świcie stary dozorca więzienny wsunął mu przez otwór w drzwiach żelazną tacę, a na niej cynowy kubek z kawą, trochę chleba, kawałek szynki i jedno jajko, i sam zajrzał ciekawie. Clyde jednak jeść nie chciał. W ciągu dnia zjawiali się kolejno Kraut, Sissel i Swenk, a każdy pytał:

- Cóż, panie Griffiths, jakże się spało?

Albo:

- Może pan czego potrzebuje?

Pytania były uprzejme, ale ich oczy wyrażały zdumienie, niechęć, zgrozę, jaką przejmowała okrutna zbrodnia. Byli też poniekąd dumni, że mają takiego przestępcę w swoim więzieniu. Bądź co bądź, to nie byle co, iż dzięki ich zręczności tak przebiegły zbrodniarz został wytropiony. A był to przy tym Griffiths, członek wyższych sfer społecznych... Wszystkie gazety będą o tym pisać, ich zdjęcia umieszczone będą obok podobizny zbrodniarza, wymienione nazwiska...

Clyde podczas takich wizyt wysiłał się na uprzejmość i swobodę. Był przecież w ich mocy, mogą z nim zrobić, co im się spodoba.

Rozdział XI

Pięciu lekarzy dało po wykonaniu sekcji niezmiernie ciekawe sprawozdanie. Na twarzy denatki znaleziono obrażenia ust i nosa.

Czubek nosa lekko spłaszczony, wargi obrzmiałe, przedni ząb obluzowany i zupełne zmiążdżenie gruczołu ślinowego jamy ustnej.

Najsilniejsze były obrażenia czaszki (o łódkę, jak wspominał Clyde w swym pierwszym zeznaniu). Po silnym ciosie jakiegoś tępego narzędzia nastąpiło złamanie kości i krwotok wewnętrzny, pod wpływem czego nastąpiła śmierć.

Płuca wszakże denatki, zanurzone w wodzie, opadły na dno, a to dowodziło niezbicie, że Roberta tonąc żyła jeszcze, co twierdził również Clyde. Nie znaleziono także żadnego śladu gwałtu czy walki, chociaż palce zeszywniały w pozycji, jak gdyby pragnęła uchwycić się czegoś. Może brzegu łódki? Mogło tak być. Czyżby więc opowiadanie Clyde'a było wiarogodne? Istotnie, te szczegóły broniły go nieco.

Mason wszakże był innego zdania. Utrzymawał, że Clyde mógł jej nie zabić w łódce, uderzył ją jednak i wrzucił, może nawet niechcący, do wody.

Czym uderzył? Jak skłonić Clyde'a, aby się przyznał do tego?

Przyszła Masonowi genialna myśl do głowy. Jakkolwiek prawo nie pozwala na żaden przymus względem więźniów, prokurator postanowił zmusić go do odtworzenia sceny śmierci Roberty. Być może Clyde będzie się ostrożnie zachowywał, gdy znajdzie się jednak na miejscu wypadku i zobaczy scenę przypominającą mu dokładnie śmierć Roberty, zachowaniem swym zdradzi się i Mason będzie mógł rozwiązać tajemnicę szarego garnituru i tego jakiegoś narzędzia, którym ją uderzył.

Na trzeci więc dzień po uwięzieniu Clyde'a, Mason, Heit, Kraut, Burton, Earl i szeryf Slack ze swymi pomocnikami wyruszyli ponownie do Big Bittern tym samym szlakiem, którym jechał Clyde w ten fatalny dzień.

Clyde miał przy sobie Krauta, który według instrukcji Masona starał się trafić mu do rozumu mówiąc, że sąd nie uwierzy nigdy w jego zupełną niewinność, ale "gdyby pan szczerze wszystko wyznał panu prokuratorowi, jestem pewien, że wiele mógłby zrobić dla pana. Mógłby przynajmniej ocalić panu życie, a postępując w ten

sposób, milcząc uporczywie, może pan się doczekać krzesła".

Clyde wszakże przez całą drogę do Big Bittern zachowywał milczenie, mając duszę pełną lęku. Dlaczego ma się przyznawać, że ją uderzył? przecież tego nie zrobił, a przynajmniej zupełnie niechcący? Dotychczas nikomu jeszcze nie przyszło na myśl, że miał ze sobą aparat fotograficzny...

Przyjechano do Big Bittern i odnaleziono dokładnie miejsce, gdzie utonęła Roberta i gdzie Clyde wy dostał się na brzeg, gdy naraz do Masona zwrócił się z ciekawym odkryciem Earl. Okazało się, że niedaleko miejsca, gdzie się Clyde musiał przebierać, znaleziono ukryty pod pnem statyw od aparatu, zardzewiały i wilgotny. Mason ocenił jego wagę i stwierdził, że wymierzony nim cios w czaszkę mógłby bezwarunkowo spowodować śmierć.

Clyde zbladł ujrawszy swój trójnóg, zaprzeczył wszakże stanowczo.
- Nie, nie miał przy sobie statywu ani aparatu.

Mason postanowił wezwać wszystkich świadków, żeby przypomnieli sobie, czy Clyde niósł ze sobą coś podobnego. Jeszcze tego samego dnia wezwani świadkowie przypomnieli sobie i stwierdzili jednomyślnie, że podsądny miał przy walizce jakieś żółte pręty. Musiał to być niewątpliwie ów trójnóg.

Burton nie chciał się zgodzić z tym, by statywem można było zadać tak silne ciosy. Clyde musiał mieć przy sobie aparat i kantem tegoż zrobił ranę na głowie i na twarzy Roberty.

Nie wtajemniczając w to Clyde'a, Mason obiecał nagrodę za znalezienie lub wydobywanie z jeziora aparatu fotograficznego. Znaleźli się chętni i pracując prawie przez cały dzień, wydobyli z dna jeziora aparat, który wypadł z wywróconej łódki.

Okazało się, że uchowały się zdjęcia, które po wywołaniu okazały się fotografiami Roberty, zdjętej w różnych pozach. Były zamglone, nasiąknięte wodą, na tyle jednak wyraźne, że postać Roberty można było rozpoznać. A szersze kanty aparatu doskonale pasowały do ran denatki, co nareszcie pozwoliło stwierdzić, czym Clyde zadał te

rany. Na aparacie jednak nie było żadnego uszkodzenia ani śladów krwi. Nie było też krwi na brzegu łódki, którą przywieziono do Bridgeburga dla zbadania. Nie było jej także na dywaniku, leżącym na dnie łodzi.

Burton Burleigh był, okazuje się, urodzonym intrygantem. Przyszło mu na myśl, że nietrudno byłoby skaleczyć się w palec i krwią swoją zaplamić dywanik albo brzeg łódki. Można by również wyrwać parę włosów z głowy Roberty i przyklepić je do kantów aparatu albo do haka, na którym zawisł woal. Pójdzie potajemnie do kostnicy i przyniesie kilka włosów Roberty. Był niezbitie przekonany, że Clyde jest zabójcą, i dlatego tylko, że brakowało dostatecznych dowodów, taki łajdak, taki paniczyk miałby ująć kary? Nie ujdzie, jeżeli tylko uda mu się przyczepić włosy do aparatu! Zwróci potem na to uwagę pana Masona.

Tego samego jeszcze dnia, gdy Heit i Mason byli zajęci wymierzaniem ran Roberty, Burton zręcznie umieścił włosy Roberty między wieczkiem a soczewką aparatu. Spostreegli to w chwilę później Mason i Heit, zdumieni, że przedtem nie zauważyli tych niezbitych dowodów winy Clyde'a.

Nazajutrz prokurator oznajmił, że dochodzenie już skończono i gotów jest rozpocząć sprawę chociażby jutro.

Mając dostateczną ilość obciążających zeznań świadków, postanowiono nie wspominać o aparacie fotograficznym i dopiero jeżeli Clyde będzie się zapierać i zapewniać, że nie miał aparatu, Mason wobec wszystkich pokaże fotografie Roberty i wymiar kantów, pasujących dokładnie do ran ofiary. Efekt będzie nadzwyczajny! bo i jego adwokat nie będzie wiedział, że taki dowód znajduje się w rękach prokuratora.

Sprawa mogłaby się odbyć najprędzej, jak to tylko możliwe. Po co zwlekać? Po co trzymać przestępcę, który może teraz chytrze obmyślać plan ucieczki? Nie przewlekać sprawy, tym bardziej że przyniesie ona sławę Masonowi.

Rozdział XII

Wypłynęła oto z nieprzebytych północnych borów sensacja, wieść o ponurej zbrodni, zabarwionej intrygującym kolorytem, zbrodni okrutnej, na którą złożyły się: miłość, ambicja, bogactwo, ubóstwo, śmierć. W pismach żerujących na sensacji i zbrodni wypisywano obszernie sprawozdania o życiu Clyde'a w Lycurgus, o tym jak i gdzie mieszkał, kogo znał, co robił, by ukryć swój stosunek z dziewczyną, którą miał zamiar dla innej porzucić. Do Masona napływały telegramy z Nowego Jorku, Chicago, Bostonu, Filadelfii, ze wszystkich prawie większych stolic amerykańskich z zapytaniami o bliższe szczegóły zbrodni. Kim jest ta piękna, bogata panna, którą podobno Griffiths kochał? Gdzie mieszka? Jaki był do niej stosunek tego młodzieńca?

Sandry jednakże broniła jej pozycja społeczna, majątek, stosunki i Mason nie miał odwagi podać do wiadomości publicznej jej nazwiska; odpowiadał tylko, że jest to córka bardzo majątnego przemysłowca w Lycurgus, której nazwiska nie może wyjawić, i pokazywał z daleka paczkę listów, własnoręcznie związanych przez Clyde'a wstążką.

Listy zaś Roberty przepisano prawie dosłownie, a głównie najbardziej poetyczne i bolesne wyjątki. Publikacje te wzbudziły w czytelnikach oburzenie na Clyde'a, a współczucie dla tej biednej wiejskiej dziewczyny, która nie miała żadnej przyjaznej duszy przy sobie. Powiesić takiego wiarołomnego mordercę to jeszcze byłoby za małą karą!

W drodze do Big Bittern i z powrotem Mason odczytywał te listy. Wzruszyły go szczególnie ustępy, odzwierciedlające życie domowe Roberty, ponure przeczucia przyszłości, słowa malujące stan jej osamotnionego, złamanego serca. Przejęty niewysłowionym

współczuciem rozmawiał o tym z żoną i Heitem, a później i z dziennikarzami. Dzięki niemu opisano w gazetach, jak się Clyde zachowuje w więzieniu, jego upór, milczenie, brak skruchy.

Znalazł się i pewien młody reporter, który dotarł do Biltz i podał do wiadomości wzruszający opis rodziny nieszczęśliwej Aldenówny, udatnie odmalował rozpacz i przygnębienie matki tak zbolalej, a jednak nie umiejącej znaleźć w swym sercu potępienia czy oburzenia. We wzruszających słowach, znajdując w tym pewną pociechę, odmalowała wierny, jasny obraz swej córki.

Ile w niej było gorącego przywiązania do rodziców, jaka była skromna, moralna, religijna... Kiedyś miejscowy pastor wyraził się o niej, że jest to najmiłsze, najmądrzejsze i najcnotliwsze dziewczę w jego parafii. Dawniej, zanim jeszcze zaczęła pracować poza domem, matka nazywała ją swoją prawą ręką. Biedactwo... w Lycurgus była taka samotna... łatwo ją było widocznie wziąć na słodkie słówka. Pokochała... mówiła matce, że pokochała... a ten nędznik uwiódł ją z pewnością obietnicą małżeństwa, zbeczczył i zabił! A była zawsze tak skromna, czysta, niewinna!... Nie! nie mogę uwierzyć, że już nie żyje! Nie mogę! Boże, Boże...

W poniedziałek, tydzień temu była jakaś przygnębiona, chociaż jak zwykle uśmiechnięta. Chodziła wszędzie, oglądała różne rzeczy, zbierała kwiaty, a potem przyszła do mnie i objęła mnie za szyję.

- Tak bym chciała być jeszcze małą dziewczynką - powiedziała - wzięłabyś mnie na ręce i przytuliła do siebie... jak to potrafisz, mammo...

A ja spytałam:

- Dlaczego moja Berti taka dziś smutna?

- E, tak sobie, mammo. A zresztą wiesz przecież, że już jutro wyjeżdżam... I tak mi jakoś dziwnie... może głupstwo robię...

Miała widocznie na myśli tę wycieczkę. Myślę, że miała jakieś przeczucie, że sprawy jej nie pójdą tak, jak myślała. I ten łajdak

miał czelność uderzyć moje maleństwo... ją, która nigdy nikomu krzywdy nie wyrządziła... nie zabiłaby nawet muchy!...

Aldenowa nie mogła już się powstrzymać od łez i zaczęła cicho płakać.

Ze strony Griffithsów zamieszkałych w Lycurgus i bliższej rodziny Clyde'a nikt nie dawał znaku życia.

Samuel Griffiths nie mógł wprost pojąć tego, co się stało, i nie chciał uwierzyć w winę Clyde'a. Jak to? taki układny, przyzwoity chłopiec mógł być oskarżony o zabójstwo? Pan Samuel był nieobecny w Lycurgus, zawiadomił go o tym wypadku Gilbert.

Nie! to niemożliwe! to chyba omyłka. Musieli Clyde'a wziąć za kogoś innego...

Gilbert jednak zapewnił ojca, że jest to szczerą prawdą. Dziewczyna pracowała w wydziale Clyde'a, w posiadaniu prokuratora są jej listy do Clyde'a, których on sam nawet się nie zapiera.

- Przypuśćmy, że tak było - odrzekł pan Samuel. - Nie należy jednak zbyt śpiesznie działać przeciwko niemu. Nie mów o tym z nikim, jedynie ze Smillie'em i Gotboyem, dopóki znów się z tobą nie rozmówię. Gdzie jest Broockhart? - zapytał o radcę prawnego domu Griffiths & Company.

- Jest teraz w Bostonie. Jeśli sobie przypominam, mówił mi w zeszły piątek, że wróci dopiero w poniedziałek albo we wtorek.

- Zadepeszuj więc do niego, niech przyjeżdża natychmiast. Spytaj jeszcze Smilliego, czy nie potrafi ułożyć się z dziennikarzami, żeby przerwali wszelkie komentarze, dopóki nie powrócę. Jutro rano będę już na miejscu. Powiedz mu, żeby wziął samochód i pojechał do Bridgeburga jeszcze dzisiaj. Niech się zobaczy z Clyde'em i z prokuratorem i przywiezie mi wszystkie szczegóły tej sprawy. I gazety także... chcę sam przeczytać wszystko, co już opublikowano.

Tymczasem Sandra, przeżywszy przez te parę dni wiele strasznych,

rozpaczliwych chwil, postanowiła wyznać wszystko ojcu, do którego większe miała zaufanie niż do matki. Weszła więc któregoś dnia do biblioteki, gdzie Finchley miał zwyczaj odpoczywać po obiedzie. Wzruszona, boleśnie dotknięta w swych uczuciach, przerażona grożącym jej rodzinie skandalem, nie była w stanie odezwać się do ojca, tylko głośno się rozplakała. Co powie teraz matce, która nie szczędziła przestróg? Co powie na to nawet tak wyrozumiały ojciec?

A Gilbert i jego narzeczoną? albo Cranstonowie, którzy oprócz oddanej jej Bertiny nigdy nie mieli dla Clyde'a wielkiej sympatii?

Usłyszawszy jej płacz ojciec obejrzał się, domyślając się, że pieszczotka jego ma jakieś zmartwienie, wziął ją w ramiona i szepnął z czułością:

- Cóż tam mojej córeczce się stało? Kto skrzywdził moje maleństwo?

Patrzył na stroskaną twarzyczkę Sandry i słuchał ze zdumieniem i przerażeniem jej spowiedzi. A więc o jej pierwszym spotkaniu z Clyde'em, jej zainteresowaniu, o nieprzychylności Griffithsów dla swego kuzyna, potem o jej miłości, listach do niego... a teraz... teraz takie straszne padło nań oskarżenie... Aresztowali go! A jeżeli to prawda, że jest zabójcą?... Skompromitowała swe nazwisko... nazwisko ojca...

Płakała bez przerwy, chociaż wiedziała, że może być pewna ojcowskiego przebaczenia i współczucia, jakkolwiek mógłby się czuć dotknięty jej postępowaniem.

Finchley, przyzwyczajony, że w jego domu panowały rozsądne, taktowne obyczaje, patrzył na córkę ze zdumieniem, chociaż bez oburzenia.

- A to dopiero historia! - zawołał w końcu. - Nie spodziewałem się tego nigdy po tobie, Sandro! Muszę przyznać, że to już trochę za wiele! Oskarżony o zabójstwo! I tyś do niego pisywała listy. Są więc u niego albo u prokuratora... mogą zostać ogłoszone!... No, no, no! to szaleństwo z twojej strony, moja Sandro, prawdziwe szaleństwo! Matka już mi o tym mówiła przed paroma miesiącami, a

ja wtedy stanąłem po twojej stronie, pamiętasz? - A teraz taka historia! Czemuż mi nic o tym nie mówiłaś, a przynajmniej trzeba było słuchać ostrzeżeń matki... A teraz zaszło tak daleko... Myślałem, że masz do mnie zaufanie... Czy ty jeszcze nie rozumiesz, że oboje z matką czynimy wszystko dla twojego dobra? No, no! przypuszczałem, że jesteś rozsądniejsza... Doprawdy, byłem tego pewien... Sprawa o zabójstwo i ty jesteś w to wmieszana... Boże Świąty!

Wstał i przemierzał pokój wielkimi krokami, trzaskając palcami z irytacji, a Sandra zalewała się łzami.

- Czego płaczesz? Cóż ci z tego przyjdzie? Płacz nic na to nie pomoże! Przecież jakoś to przeżyjemy... A co do ciebie, to nie wiem właściwie, co cię w tej sprawie najwięcej boli. Ale przede wszystkim należy dowiedzieć się czegoś pewnego o tych listach.

Finchley nie pocieszał już córki, zostawił ją płaczącą i poszedł przede wszystkim do żony podzielić się z nią wiadomością. Matka Sandry mocno odczuła cios i do końca życia miała zapamiętać ów skandal, który rzucił cień na ich domowe ognisko. Następnie Finchley zawezwał swego prawnika, Legare Atterbury'ego, prezesa komitetu republikańskiego, a swego prywatnego doradcę, któremu wytłumaczył przykre położenie, w jakim się znalazła jego córka, i zapytał o radę.

- Niech się pan nie denerwuje- odrzekł Atterbury. - Myślę, że nie ma się czym przejmować. Sądzę, że uda mi się pomyślnie to załatwić. Rozejrzę się w tej sprawie, spróbuję poczynić pewne kroki i zawiadomię pana, co się da zrobić. Kto jest teraz prokuratorem w okręgu Catakaqui? Pomówię z nim i sądzą, że odda mi te listy bez wahania. Chciałbym je mieć w swych rękach jeszcze przed sprawą, gdyby się to jednak nie udało, obiecuję panu solennie, że nazwisko pańskie w procesie nie będzie wymienione. Niechże się więc pan tym nie martwi.

Stosownie do obietnicy wybrał się do prokuratora Masona i wyłuszczył mu, o co chodzi.

Mason był zdania, że listy będą mu potrzebne, widząc jednak, jak poważnie tę sprawę traktuje pan Atterbury, dodał szybko, że nigdy nie miał na myśli publikowania nazwiska Sandry, ani jej listów, lecz zatrzyma je do poufnej wiadomości władz sądowych i dopóki Clyde nie zgodzi się na szczere, dobrowolne wyznanie nie znanych jeszcze szczegółów, nie odda ich nikomu.

Finchley dowiedziawszy się o zamiarach Masona z całą stanowczością domagał się oddania listów i zapewnił, że w żaden sposób nie zgodzi się na robienie użytku z listów Sandry i jej nazwiska. Atterbury zapewnił wówczas, że użyje takiego argumentu, który skłoni prokuratora do większej względności.

Pani Finchley z Sandrą, nie chcąc być narażone na pytania reporterów i ciekawość znajomych, postanowiły wyjechać na resztę lata w jakieś dalsze strony. Wyjechały więc wkrótce ze Stuartem do Narragansett i tam pod nazwiskiem Wilson zainstalowały się na sześć tygodni. Pan Finchley zaś wrócił do Lycurgus.

Dla tych samych prawie przyczyn Cranstonowie przenieśli się na jedną z Tysiąca Wysp, gdzie również było bardzo wytworne lotnisko. Baggottowie i Harrietowie, którzy nie mieli wyraźnych powodów do ucieczki, pozostali nadal w Twelfth Lake i mogli sobie urozmaicać rozmowy dalszymi szczegółami tego strasznego morderstwa, które stało się przyczyną skompromitowania tylu osób.

Tymczasem Smillie na życzenie pana Samuela udał się do Bridgeburga i tam po dłuższej rozmowie z Masonem uzyskał pozwolenie odwiedzenia Clyde'a w więzieniu i zobaczenia się z nim sam na sam. Smillie powiedział Masonowi, że Griffithsowie gotowi są bronić Clyde'a, jeśli okaże się wart ich opieki. Prokurator zaś zaprosił Smilliego, żeby przekonał Clyde'a, że dla swojego dobra powinien dobrowolnie przyznać się do wszystkiego. Nie ma żadnej wątpliwości, że jest winien, proces będzie utrudniony i z rezultatem dla Clyde'a niekorzystnym; gdyby się jednak przyznał, mogą się znaleźć jakieś okoliczności łagodzące i uniknie się wielkiego skandalu, który spadnie na całe towarzyskie sfery.

Wprowadzono więc Smilliego do celi Clyde'a, który bezustannie bił

się z myślami, co ma dalej czynić, co mówić. Usłyszawszy nazwisko Smilliego drgnął jak pod uderzeniem bata.

Reprezentant Griffithsów!... Gilberta... Co mu powie? Smillie niewątpliwie rozmówił się już z prokuratorem i teraz patrzy na niego jak na winnego... Jak ma z nim mówić? Co mu opowie... prawdę?...

Nie miał dużo czasu do namysłu, bo Smillie już stanął przed nim. Clyde oblizał tylko suche wargi i szepnął:

- Dzień dobry panu, panie Smillie.

- No, no! kto by się spodziewał, że zobaczę pana w takim miejscu - odpowiedział na to Smillie nieco drwiącym tonem. - Gazety piszą o panu i o całej historii, same już nie wiedzą co, ja wszakże nie chcę w to uwierzyć... To musi być chyba jakaś omyłka... i dlatego tu przyszedłem. Stryj pański dziś do mnie telefonował i zażądał, żebym zobaczył się z panem i dowiedział się, jakie są przyczyny pańskiego uwięzienia. Może pan sobie wyobrazić, jak im jest przyjemnie... Dlatego też gotowi są na wszystko i prosili mnie, żebym się dowiedział, czy nie uda się uwolnić pana. Bardzo to jest możliwe, o ile zechce mnie pan wtajemniczyć we wszystkie szczegóły...

Zamilkł, znając bowiem skryty charakter Clyde'a, nie wierzył, żeby ten chciał być z nim szczery. Clyde znów oblizał suche wargi i odpowiedział:

- O, panie Smillie, wszystkie pozory są przeciw mnie. Gdybym wiedział, że taki będzie koniec, nigdy bym nie szukał znajomości z panną Alden. Klnę się jednak na Boga, że nie zabiłem jej... I nie miałem zamiaru zabijać... i nie chciałem brać jej z sobą na tę wycieczkę... To jest szczerą prawdą i takie złożyłem zeznanie prokuratorowi. Wiem, że są u niego listy, które Roberta pisała do mnie, ale i z tych listów widać wyraźnie, że ona chciała mnie zmusić, abym z nią dokądś wyjechał... tylko, że ja na to nie miałem wcale ochoty...

Spojrzał na Smilliego mając nadzieję, że ten przyjmie to w dobrej wierze, lecz on słyszał już to samo od Masona i widząc, że Clyde nic nowego nie mówi, odpowiedział:

- Tak, słyszałem o tym. Pan Mason pokazywał mi je nawet.

- Wiedziałem, że tak będzie - mruknął Clyde niechętnie. - Pan jednak wie, jak to bywa czasami... - zniżył głos z obawy, że pod drzwiami podsłuchuje może Kraut. - Nieraz mężczyzna wpada w kabałę z powodu dziewczyny... Pan to wie z pewnością równie dobrze... Rzeczywiście, lubiłem z początku Robertę i doprowadziłem ją istotnie do... stanu, o czym zresztą pisze w swych listach... ale wie pan również o przepisach, panujących w naszych warsztatach, które nie pozwalają na żadne stosunki z robotnicami... Ten przepis właśnie najwięcej przyczynił się do mego nieszczęścia. Ciągle się bałem, żeby nikt się o tym nie dowiedział, rozumie pan?

- Rozumiem, oczywiście...

I z wolna, po kolei opowiedział Clyde o swym związku z Robertą od początku do końca, w taki jednak sposób, żeby siebie nie obwinić. Nie powiedział naturalnie ani słowa o aparacie fotograficznym, ani o dwóch kapeluszach, ani o szarym garniturze, choć te rzeczy najbardziej go niepokoiły.

Smillie, wiedząc o tym wszystkim już od Masona, zapytał jeszcze:

- A jak to było z tymi kapeluszami? Pan Mason mówił, że miał pan dwa kapelusze. Jeden znaleziony na jeziorze, a drugi miał pan na głowie podczas swej ucieczki przez las.

Clyde nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć, ale odrzekł:

- Mylą się przypuszczając, że miałem wtedy kapelusz na głowie, to była czapka.

- No, tak, ale w Bear Lake miał pan kapelusz, jak słyszałem.

- Miałem, ale mówiłem już panu Masonowi, że to był kapelusz, który

kiedyś zostawiłem u Cranstonów... Zapomniałem go zabrać i potem mi się przydał.

- Rozumiem. Tylko, że mówią coś o jakimś garniturze... jakiś szary, podobno... Powiadają, że go pan miał na sobie, a teraz nie mogą go znaleźć. Nigdzie. Miał go pan na sobie?

- Nie. Miałem na sobie garnitur granatowy, w którym tu przyszedłem. Zabrali mi go i dali mi to.

- Słyszałem, że dał go pan odprasować w Sharon, ale też nie znaleziono takiego krawca, który by coś o tym wiedział. Jakże to było? Czy rzeczywiście dał go pan do odprasowania?

- Ależ tak, naturalnie.

- Do kogo?

- Właśnie, nie mogę sobie przypomnieć. Przypuszczam jednak, że trafiłbym do niego, gdybym tam pojechał. Gdzieś przy stacji...

Nie patrzył jednak w oczy Smillie'emu. Ten zaś w dalszym ciągu zadawał mu pytania. Po co brał walizkę do łódki, dlaczego nie pomógł wyratować się Robercie, jeżeli sam umiał dopłynąć do brzegu w ubraniu i obuwiu.

Clyde powtarzał to samo, co już mówił Masonowi, dodał jednak w zapale to, czego jeszcze Mason nie słyszał, mianowicie, że wołał na nią jeszcze z łodzi, żeby uchwyciła się krawędzi łódki, chociaż przedtem utrzymywał, że oboje jednocześnie wpadli do wody. Wspomniał również o wietrze, który miał zrzucić kapelusz z głowy Clyde'owi, a tymczasem Mason powiedział przedtem Smillie'emu, że dowiedział się z zupełnie pewnych ust, jakoby dzień ten był zupełnie bezwietrzny.

Najwyraźniej Clyde kłamie. Bardzo nędznie ułożył sobie tę historię. Smillie nie dawał jednak do poznania Clyde'owi, że nie wierzy, i odpowiadał mu tylko co jakiś czas:

- Naturalnie! - albo: - Aha! rozumiem... - lub: - A więc to tak było?

Wreszcie chciał się dowiedzieć, co znaczyły sińce na twarzy Roberty, bo Mason twierdził, że uderzenie o łódkę nie mogło spowodować takich obrażeń.

Clyde znowu zapewniał, że widział jak Roberta uderzyła się o łódkę tylko raz jeden, jeżeli więc było więcej znaków, on nie umie tego wytłumaczyć.

Czuł wszakże, że na próżno traci słowa. Po co to wszystko, kiedy Smillie mu na pewno nie wierzy. Jakże, na przykład, usprawiedliwi się przed nim ze swego tchórzostwa, gdy zrobi mu zarzut, że nie ratował tonącej Roberty?

Nie miał już chęci i odwagi kłamać dłużej, więc w końcu zamilkł. A Smillie, też przygnębiony, nie miał serca robić mu więcej przykrości zadając pytania, na które Clyde nie miał ochoty odpowiadać, pokręcił się więc niespokojnie i wreszcie wybąkał:

- Ale czas już na mnie, muszę iść. Bardzo jestem zadowolony, że usłyszałem to z ust pańskich. Teraz złożę całe sprawozdanie pańskiemu stryjowi. Niech pan jednak nic o tym nie mówi nikomu, że dostałem polecenie, aby panu dopomóc. Mam wystarać się o dobrego adwokata i powierzyć mu pańską sprawę. Dziś jest już późno i pana Brookharta nie ma w domu. Zdaje się jednak, że trzeba będzie na niego poczekać i rozmówić się z nim jutro. Proszę tylko o nierozgłaszanie tego. On sam się zgłosi do pana albo przyśle kogoś od siebie i da panu jakąś radę.

Wyszedł przekonany o bezwzględnej winie Clyde'a i przeczuwał że wszystkie miliony Griffithsów nie ochronią go od losu, na który bezwzględnie zasłużył.

Rozdział XIII

Nazajutrz rano Smillie zdawał raport panu Samuelowi z rozmów z prokuratorem i Clyde'em. Gilbert, obecny przy tym, wysłuchawszy sprawozdania wykrzyknął rozjątrzony:

- A to łajdak! To potwór! Nie mówiłem ci, ojcze? Nie ostrzegałem cię przed nim?

A pan Samuel, który miał tyle sympatii dla Clyde'a, rzucił na syna wymowne, zakłopotane spojrzenie, które zdawało się mówić:

- Czy mamy teraz mówić o mym szaleństwie, które być może było szaleństwem, jednak kierowane było dobrą intencją, czy będziemy dyskutowali o nieszczęściu?

Gilbert wszakże myślał prawie z zadowoleniem:

- Zbrodniarz! Clyde jest przestępcą! A ta sroka, Sandra, afiszowała się z nim, wciągnęła go do towarzystwa, aby tylko mnie na złość zrobić... Teraz sama się skompromitowała! Dobrze jej! Wariatka! ma teraz nauczkę... Będzie już uważniejsza... Ile jednak kłopotów mieli z tego powodu... ona i jej ojciec... Ba! ale ta hańba spadnie również i na nich, Griffithsów... na niego, na jego narzeczoną, na Bellę, na Myrę... wszystkich! Może zachwiać nawet ich pozycją towarzyską w Lycurgus... A jeżeli go skażą na śmierć? Taki wstyd... w jego rodzinie!

Pan Samuel zatopił się w rozmyślaniach. Rozpamiętywał etapy kariery Clyde'a od przyjazdu do Lycurgus.

Na samym początku umieszczono go w pralni, przy strasznym, przykrym zajęciu i... zapomniano o nim. Zostawiono go samemu sobie przez całe osiem miesięcy. Czy takie osamotnienie nie mogło się

przyczynić do tej tragedii? Potem umieszczono go między tyloma dziewczętami... Czyż to nie był błąd?

Widział to jasno teraz, jakkolwiek nie był wcale skłonny przebaczyć Clyde'owi tego ohydneho czynu, tego wstrętnego pomysłu i zmysłowych pożądań. Z jakąż nieopanowaną brutalnością uwiódł tę dziewczynę i pozbył się jej dla Sandry! Dla tej milutkiej Sandry! Jakże głupio teraz tłumaczy się w więzieniu! Że nie miał zamiaru jej zabijać, że nie zabił jej... że wiatr mu zrzucił kapelusz... same głupstwa! Nie umie się nawet wytłumaczyć z posiadania dwóch kapeluszy, z szarego ubrania, nie umie wytłumaczyć się, dlaczego nie wyratował tej biednej dziewczyny... A te dziwne sińce na jej twarzy! Wszystko przemawia za jego winą...

- Na miłość Boską! Czyż ten wariat nie umie nic lepszego wymyślić?

Smillie odpowiedział, że na ile mógł wymiarkować, pan Mason jest stanowczo przekonany o jego winie.

- Straszne! straszne! - mówił pan Samuel. - Nie mogę doprawdy zrozumieć tego! Nie mogę! Wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby ktoś jednej ze mną krwi mógł popełnić taki straszny czyn!

Powstał z miejsca i pełen niepokoju, lęku, smutku zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju. Myślał o swej rodzinie, o Gilbercie, jego przyszłości, o Belli, jej ambicjach i marzeniach. A Sandra! a Finchleyowie!

Zacisnął pięści, zmarszczył brwi, zagryzł usta i spojrzał na Smilliego, który, zawsze spokojny i ugrzeczniomy, kiwając smutnie głową starał się okazać całe swe współczucie.

Po dłuższym namyśle, wypytawszy się jeszcze o niektóre szczegóły, pan Samuel odezwał się:

- Niedobrze jest, muszę przyznać. Wnosząc jednak z tego, co pan nam powiedział, nie mam powodu bezapelacyjnie go potępiać. Nie wiemy jeszcze wielu rzeczy. Muszą być prawdopodobnie jakieś fakty, dotychczas nie wyjaśnione, o których on nie chce mówić, jakieś

drobne szczegóły, których nie znamy, coś, co może mogłoby go usprawiedliwić. Po wyjaśnieniu takich faktów wina jego może okazać się o wiele mniejsza. Czy pan Brookhart wrócił już z Bostonu?

- Wrócił i jest już u siebie - odrzekł Gilbert. - Telefonował do pana Smilliego.

- Dobrze. Powiedz mu, żeby przyszedł do mnie o drugiej. Teraz jestem zanadto zmęczony i nie mogę dłużej o tym mówić. Powiedz mu, Smillie, wszystko, co mnie powiedział, i przyjdź razem z nim o drugiej. Może jemu przyjdzie jakaś świeża myśl do głowy, której my wykrzesać z siebie nie jesteśmy zdolni. O, Boże! tak bym pragnął, żeby nie był winny... Zrobię wszystko, co tylko będę mógł, żeby wykryć, czy jest winny, czy nie; jeżeli nie, będę go bronił z całą energią, z całym zaparciem się siebie! Jeżeli jednak jest winien, niech się po mnie nie spodziewa niczego! Zbrodniarza bronić nie będę!... chociażby nawet był moim bratankiem... Niech na to nie liczy! Zniosę zaś wszystko, kłopoty, przykrości, niesławę nawet, jeżeli tylko jest niewinny, jeżeli będzie choć cień nadziei, żeby móc uwierzyć w jego niewinność... Jeżeli jednak popełnił rzeczywiście to przestępstwo... nigdy! Niech sam ponosi wszystkie tego konsekwencje... Ani jednego dolara, jednego nawet centa nie poświęcę zbrodniarzowi, chociaż jest moim bratankiem!

Odwrócił się wolno i ciężkim krokiem zaczął wchodzić na górę, do swego pokoju. Smillie patrzył za nim rozszerzonymi z przestachu oczyma. Jakaż w nim moc charakteru! Ile siły w postanowieniu! Jakaż prawość duszy!

Gilbert również z uwielbieniem patrzył na odchodzącą postać ojca, przejęty wielkim szacunkiem. Tak mocno go to dotknęło, a jednak nie okazał małostkowości ani zawiści.

O wyznaczonej godzinie zjawił się pan Darrah Brookhart. Wysoki, wytwornie ubrany, dobrze odżywiony, poważny prawnik, o jednym oku na pół ukrytym pod opadającą powieką, bardzo wydatnym brzuchu, dzięki któremu robił wrażenie balonu, poruszającego się łatwo w rozrzedzonej atmosferze przy najlżejszym powiewie jakiegś interpretacji czy dyskusji.

Sądząc z tego, co dotąd słyszał, pan Brookhart uważał Clyde'a za bezwzględnie winnego. Obecnie, po uważnym wysłuchaniu sprawozdania Smilliego, orzekł, iż żaden adwokat nie podejmie się obrony, dopóki nie zapozna się z faktami, których Clyde nie chce wyznać. Te dwa kapelusze, walizka, ucieczka... Listy. Chciałby je przeczytać. Należy również liczyć się z opinią, która jest przeciw Clyde'owi, a stoi murem za biedną zamordowaną dziewczyną. Sędziowie będą się na pewno z tym liczyć i wobec tego trudno będzie uzyskać przychylny wyrok. Wprawdzie Clyde był także ubogi, miał jednak bogatych krewnych, chętnie był przyjmowany w towarzystwie i to samo już źle usposabiało do niego małomiasteczkową i wiejską ludność. Dlatego więc należałoby domagać się odwleczenia terminu sprawy, czas bowiem mógłby osłabić wrogie uczucia.

Do Clyde'a tedy należy ostro się zabrać, adwokat powinien mu wytłumaczyć, że od szczerych zeznań zależy jego życie.

Pan Brookhart nie może teraz nic powiedzieć, czy jest jakaś nadzieja, czy nie. Pracuje u niego pan Catchuman, bardzo zdolny człowiek. Niech zobaczy się z Clyde'em, może prędzej coś z niego wydobędzie, a na jego zdaniu można się oprzeć stanowczo. Musi jednak uprzedzić pana Samuela, że istnieje jeszcze wiele względów, dla których w takiej jak ta sprawie należy ostrożnie postępować. Dla Griffithsa każdy prawnik wszystko zrobi, gdyż ceni i szanuje nazwisko Griffithsów. W Nowym Jorku, w Utica, w Albany jest wielu dobrych prawników, doskonale obznajmionych z zawiłościami prawa karnego i każdy z nich dla dobrego klienta opracuje doskonałą obronę. Prawnik taki, odwołując się do różnych instancji, przewlecze proces i nie dopuści do kary śmierci, jeżeli taka będzie wola znakomitego rodu. Należy jednak przypuścić, że proces, który już teraz zaostrzył ciekawość ludzką, zgromadzi wiele publiczności i wywoła sensację. Czy więc pan Samuel Griffiths będzie sobie tego życzył? Niewątpliwie, mogą się odezwać głosy, że dzięki swemu olbrzymiemu majątkowi nie dopuścił do tego, aby sprawiedliwości stało się zadość... Opinia społeczna lubi wydawać nieprzychylny sądy o ludziach majątnych... Z drugiej strony jednak ci sami ludzie oczekiwali będą, aby Griffithsowie wzięli w obronę,

zatoszczyli

się o członka swego rodu. Niechże więc szanowny pan Griffiths zdecyduje, jak ma być. Czy wezwać najsłynniejszych prawników, czy oddać obronę mniej znanemu adwokatowi, czy umyć zupełnie od tego ręce. Może byłoby praktycznie dać Clyde'owi jakiegoś tutejszego adwokata; można by wyszukać zdolnego człowieka, którego obowiązkiem byłoby dać do zrozumienia opinii ludzkiej, że rodzina Griffithsów nie bierze w tym wcale udziału.

Po trzygodzinnej przeszło konferencji zdecydowano, że pan Brookhart pośle do Bridgeburga swego pomocnika, pana Catchumana, aby wybadał Clyde'a, a potem, bez względu na to, jakie będzie jego zdanie o winie czy niewinności Clyde'a, pan Brookhart wybierze któregoś z wybitnych miejscowych adwokatów na obrońcę. Oczywiście, wszystko zależy od tego, czy uda się wydobyć od Clyde'a szczere wyznanie, z którego można będzie wybrać tylko takie fakty, które będą mogły służyć do uczciwej obrony, bez uciekania się do kazuistyki dla wykazania nie istniejącej niewinności.

Rozdział XIV

Panu Catchumanowi nie udało się indagacja Clyde'a lepiej niż jego poprzednikom. Może był zanadto surowy i chłodny i kierując się taką taktyką nie umiał nakłonić go do powiedzenia prawdy. Po czterogodzinnym przypiekaniu Clyde'a na wolnym ogniu podczas gorącego, lipcowego dnia wyszedł od niego z uczuciem niechęci i powiedział sobie, że nie widział jeszcze w swym życiu równie głupiego i źle rozumującego przestępcy.

Wiadomo było wszystkim, że w lesie Big Bittern znaleziono trójnog od aparatu fotograficznego a na dnie jeziora sam aparat; mimo to

musiał wysłuchać idiotycznych kłamstw Clyde'a, który stanowczo wyparł się posiadania aparatu, chociaż nie było żadnej wątpliwości, że należał on do niego i że zabrał go ze sobą wyjeżdżając z Lycurgus. Clyde jednak uparcie obstawał przy swoim, że ani statyw, ani aparat nie były jego własnością.

Zirytowany Catchuman nie chciał z nim dłużej rozmawiać. Brookhart jednak perswadował mu, że może mieć, jakie chce, zdanie o Clydzie, w tym wypadku chodzi głównie o honor domu Griffithsów i należy koniecznie postarać się o dobrego adwokata.

Wobec tego Catchuman, stojący dotychczas na uboczu walk partyjnych i nie znający obecnej sytuacji, udał się do pana Iry Kelloga, który był prezesem Banku Narodowego w okręgu Cataraqui i grał wybitną rolę w organizacji demokratów.

Kellog głosił zwykle wielce moralne zasady i oczywiście był niezmiernie oburzony na zbrodnię, o którą oskarżano Clyde'a, mimo to jednak, pamiętając o nadchodzących wyborach, czuł, że taka sprawa przyczyni się do przesiania zbyt licznych kandydatów i że opozycja przeciw Masonowi może tylko dobrze wpłynąć na rezultat wyborów. Los najwyraźniej sprzyja republikańskiej machinie, dając sprawę Griffithsa. Od czasu wykrycia tej zbrodni Mason cieszył się zbyt wielką popularnością i rozgłosem, czego nie zaznał od wielu lat w tym okręgu żaden prokurator. Korespondenci gazet z różnych miast, nawet tak odległych, jak Buffalo, Rochester, Chicago, Nowy Jork i Boston, zjeżdżali się, błagali o wywiady, fotografowali Clyde'a, Masona, rodzinę Aldenów. Wszyscy przyznawali Masonowi niezwykle zdolności. Demokraci byli nawet jednomyślni z republikanami co do tego, że Mason wykazał wielką inteligencję ujawnszy w nadzwyczaj zręczny sposób niepospolitego zbrodniarza i że ani majątek, ani rodzina tej bogatej panny, u której go podobno przyłapano, nie wpłyną na zmianę przekonań opinii, którą już urobił Mason. Oto jest prawdziwy prokurator! Słyszysz, jak trawa rośnie!

Istotnie Mason z całą energią zabrał się do pracy. Natychmiast po zamknięciu dochodzenia odbyło się u koronera zebranie, któremu przewodniczył Mason; zakończono je rezolucją, iż Clyde Griffiths

popęłnił na osobie Roberty Alden zbrodnię z premedytacją i w więzieniu w Bridgeburgu będzie oczekiwał wyroku Sądu Okręgowego, któremu została przedłożona sprawa. Mason zaś przez odwołanie się do gubernatora będzie się starał, aby mogło się odbyć specjalne posiedzenie Sądu Najwyższego, który zwoła natychmiastową sesję Sądu Okręgowego do osądzenia sprawy Clyde'a Griffithsa.

Catchuman tedy przybył do Kelloga, aby od niego dowiedzieć się o jakimś zdolnym prawniku, który by chciał podjąć się obrony młodego Griffithsa. Kellogowi przyszedł na myśl Alvin Belknap, osobistość ciesząca się ogólnym szacunkiem. Był już dwukrotnie senatorem i trzy razy posłem z ramienia organizacji demokratycznej, co pozwoliło demokratom objąć władzę w samorządzie lokalnym. Przed trzema laty w walce wyborczej o stanowisko prokuratora okręgowego Belknap zdobył największą liczbę głosów po Masonie. W tym zaś roku, gdy miały się odbyć wybory na urząd sędziowski, o którym już zamyślał Mason, wszystkie oczy zwrócone były na Belknapa.

Kellog nie mówił nic Catchumanowi o tej sytuacji politycznej, polecił tylko Belknapa jako jednego z najzdolniejszych adwokatów, a nawet chętnie do niego poszedł z Catchumanem.

Drzwi otworzył im sam Belknap. Był to sympatyczny mężczyzna; przez jego szaroniebieskie oczy wyglądała dusza niepośledniej miary. O bo Alvin Belknap umiał zadbać o taką opinię o sobie, że wszyscy musieli go szanować. Posiadał wyższy stopień naukowy, a w młodości dzięki zaletom fizycznym, zamożności i pozycji towarzyskiej (ojciec jego był sędzią okręgowym i senatorem tego stanu) miał sposobność przyjrzeć się bliżej szerokiemu życiu i były mu nieznane wszelkie abnegacje i niezaspokojone pożądania młodzieńcze, które tak bardzo nękały, a potem tak silnie zaważyły na życiu Masona. Szybko zdobył pewność siebie i mądrze oceniał ludzką moralność i społeczne komplikacje, jakimi życie obdarza każdego śmiertelnika. Tak, tylko on mógł skutecznie bronić Clyde'a, nie posiadając w swym charakterze gwałtowności i gorączkowej energii Masona.

Sprawa młodego Griffithsa przypominała mu własne podobne przeżycie. Mając bowiem lat dwadzieścia zabiegał o dwie

jednocześnie kobiety, z których jedną więcej się bawił niż kochał. Uwiódł ją w końcu, a mając do wyboru małżeństwo lub ucieczkę wybrał ucieczkę. Dopomógł mu w tym ojciec, który gdy wyznał wszystko, sam mu doradził wyjazd, a podczas jego nieobecności zajął się sprawą, tysiącem dolarów zaspokoił brzemienną dziewczynę i w ten sposób uwolnił syna od ciężących na nim zobowiązań. Syn wkrótce powrócił i mógł zawrzeć małżeństwo z drugą panną.

Usłyszawszy o zbrodni Clyde'a, chociaż nie czuł do niego sympatii i wstręt wzbudzały w nim jego pokrętne próby wywikłania się z trudnej sytuacji (nigdy co prawda w całej swej praktyce prawniczej nie umiał pojąć psychologii zbrodniarza), przypuszczał, że w owej fatalnej chwili musiało nastąpić u niego jakieś zamroczenie umysłu. Był przecież ubogi, próżny i ambitny i musiał działać w afekcie.

Sam już nawet rozmyślał nad tym, że mógłby podjąć się obrony tego młodzieńca. Miejskowa sytuacja polityczna była dla niego niezmiernie korzystna; mógłby ją wykorzystać i zadać cios najtajniejszym marzeniom Masona. Gdyby przyjął obronę Clyde'a, starałby się wysunąć jak najwięcej spornych kwestii i odwlec sprawę do wyborów, a potem niełatwo będzie Masonowi walczyć przeciw sędziemu. Można by również, posługując się oczywiście tylko legalnymi sposobami, zmienić termin rozprawy lub zarządzić ponowne rozpatrzenie procesu, który będzie mógł ponownie się rozpocząć dopiero wtedy, gdy Mason zakończy urzędowanie.

Rozmawiał o tym nieraz ze swym współnikiem, Reubenem Jephsonem, z którym razem prowadził biuro.

Z wielką przyjemnością przyjął więc Catchumana i Kelloga, który chcąc go zachęcić przekonywał, że nawet z politycznych względów powinien podjąć się tej obrony. Belknap sam jednak wiedział, ile mu to korzyści może przynieść, więc po naradzie ze swym współnikiem zgodził się. Mimo że opinia publiczna była przekonana o winie Clyde'a i na razie mogła mu wziąć za złe, że chce bronić takiego przestępcy, to jednak miał nadzieję, że jeżeli sprawę się przewlecze, czas złagodzi niechęć.

Zgodziwszy się więc na propozycję Catchumana zawiadomił zaraz Masona, że na żądanie Samuela Griffithsa podejmuje się obrony jego bratanka i prosi o doręczenie mu wszelkich zeznań, badań lekarskich i sprawozdania z dochodzenia koronera. Prosi również o zawiadomienie, czy Sąd Najwyższy wyznaczył już termin sprawy, a jeżeli tak, to jaki sędzia tę sprawę prowadzi oraz kiedy i gdzie zbierze się Sąd Okręgowy. Prócz tego dodał, że chociaż ciało Roberta Alden oddano rodzicom w celu pochowania go, Belknap prosi, aby mogła nastąpić ekshumacja zwłok dla ponownego zbadania przez innych lekarzy, wybranych przez obronę.

Mason oburzył się na tę propozycję i zamierzał protestować, w końcu jednak zgodził się, a raczej poddał się, na polecenie sędziego Sądu Najwyższego.

Gdy Belknap wszystkie te szczegóły już ustalił, wtedy zawiadomił Clyde'a, że chce go odwiedzić w więzieniu. Było późno, adwokat nie jadł jeszcze obiadu, a później mógł go już nie dostać, chciał jednak koniecznie porozmawiać szczerze z tym młodzieńcem, o którym Catchuman mówił, że trudno z nim się porozumieć. Nie zniechęcił się wcale. Zadowolony był, że i pod tym względem może się zmierzyć z Masonem, i pewien był, że spokojem i perswazją zdobędzie zaufanie Clyde'a i wydostanie od niego całkowite, szczerze zeznanie.

Niezwykle ciekawa sprawa! Cały romans tkwi w tym dramacie! Co to za typ ta panna Finchley, o której już coś słyszał w tej sprawie? Czy można by jej osobę umieścić w obronie? Wiedział jednak, że jej nazwiska nie można będzie wspomnieć - wymagały tego wyższe względy. Palił się więc do rozmowy z tym przebiegłym, ambitnym młodzieńcem.

Gdy przybył do więzienia poprosił szeryfa, żeby zanim go wpuszczą do celi Clyde'a mógł najprzód przyjrzeć się więźniowi, nie będąc przez niego widziany. Zaprowadzono go do korytarza, skąd przez otwór w drzwiach mógł widzieć wątłą postać młodzieńca, leżącego na łóżku, z twarzą ukrytą w poduszce i zarzuconymi na głowę

ramionami. Taca z nietkniętym jedzeniem stała przy drzwiach.

Clyde zupełnie upadł na duchu po wizycie Catchumana, widział bowiem, że nie mogą nikogo przekonać jego marne, głupie kłamstwa. Płakał teraz straciwszy zupełnie nadzieję.

Wzruszony tym widokiem Belknap przypomniał sobie swoje przeżycia młodzieńcze. Nie, nie może na nim ciążyć wielka wina... Żaden zatwardziały zbrodniarz tak by nie płakał!

Wszedł do celi.

- Panie Griffiths - odezwał się. - Uspokój się pan! Nie trzeba płakać... Niewiele tym pan wskóra. Sprawa pańska może nie jest jeszcze taka beznadziejna. Usiądź pan i zechciej porozmawiać z prawnikiem, który czuje, że będzie mógł panu pomóc. Jestem Belknap, Alvin Belknap. Mieszkam w Bridgeburgu i przysłała mnie tu pan Catchuman, który niedawno był u pana. Nie podobał się panu, zdaje się... Mnie również... Nie jest to człowiek naszego pokroju, prawda? Dał mi jednak list polecający mnie jako pańskiego adwokata. Chce go pan zobaczyć?

Podał go Clyde'owi, który zaciekawiony, choć z pewnym jeszcze wahaniem, podniósł się z łóżka. Człowiek ten wydał mu się sympatyczny - miał tak miło brzmiący głos - poczuł też od razu do niego zaufanie. Wziął list do ręki, obejrzał go i oddał Belknapowi z uśmiechem.

- Widzi pan... - odezwał się Belknap, zadowolony z dobrego początku, co przypisywał swym sugestywnym zdolnościom i osobistemu urokowi - widzi pan, że chyba będziemy mogli się porozumieć. Powinien pan mówić ze mną szczerze, jak z rodzoną matką. Może pan być pewien, iż żadne słowo, które mi powierzy, nie będzie nikomu powtórzone. Mam pana bronić, jeśli naturalnie pan się na to zgodzi, muszę więc dokładnie poznać sprawę. Niekoniecznie zaraz, może jutro czy też którego innego dnia powie mi pan to, co będzie uważał za konieczne, a ja zastanowię się, czy będę mógł panu pomóc. Chcę pana przekonać, że pomagając mi zrozumieć sprawę pomaga pan sobie. I cóż pan na to, panie Clyde?

Uśmiechał się do niego tak sympatycznie, niemal serdecznie, że Clyde po raz pierwszy od czasu uwięzienia uczuł, że spotkał człowieka, któremu będzie mógł zwierzyć się ze wszystkiego, nie narażając się na niebezpieczeństwo. Miał wielką, niepohamowaną chęć powiedzenia wszystkiego - wszystkiego. Nie rozumiał nawet, dlaczego uczuł dla niego tak wielką sympatię. Nie zdając sobie sprawy z tego, zupełnie podświadomie wiedział, że człowiek ten go zrozumie i nie będzie odnosił się doń wrogo, nawet jeżeli dowie się o wszystkim.

W dalszej rozmowie Belknap wyznał, że największym jego osobistym wrogiem jest Mason i jeżeli Clyde mu powierzy swoją sprawę, to postara się nią tak pokierować, żeby proces mógł odbyć się w czasie, gdy Mason skończy swoją kadencję. Wobec tego Clyde prosił Belknapa, żeby dał mu jeden dzień na dokładne zebranie wspomnień. Jeśli jutro pan Belknap zechce pofatygować się tu znowu, to on gotów mu wyznać wszystko.

Następnego więc dnia Belknap siedział przy stole w celi Clyde'a i chrupiąc tabliczkę czekolady słuchał jego opowieści. Clyde mówił mu o wszystkich szczegółach swego życia od przyjazdu do Lycurgus, o tym, jak i dlaczego tu przybył; potem cofnął się do Kansas City, wspominał o przejechanym dziecku, następnie opisał pracę w warsztatach, poznanie Roberty, jego zainteresowanie nią, ich miłość, jej ciążę, swą trudną sytuację, mówił o tym, jak chciał siebie i ją uwolnić od przykrych następstw, opowiedział o swych staraniach aż do chwili, kiedy zagroziła mu żądaniem małżeństwa. Opowiedział, jak przypadkiem przeczytał w gazecie wiadomość o wypadku w Pass Lake i jak mu to trafiło do przekonania. Nie obmyślał tego jednak na serio - zapewniał Belknapa - nie miał wcale zamiaru jej zabijać... Nigdy! I nie zabił jej wcale... Pan Belknap musi w to uwierzyć, chociażby były przeciw niemu dowody. Nie uderzył jej umyślnie... Nie! nie! stało się to przypadkiem...

Miał aparat fotograficzny i statyw, który został znaleziony i oddany panu Masonowi. Tak, należał do niego. Ukrył go w wypróchniałym pniu dlatego, że przypadkiem uderzył Roberte aparatem, który zatonął w jeziorze i niewątpliwie spoczywa tam do

tej pory. Są w nim zdjęcia jego i Roberty, jeżeli woda ich nie uszkodziła. Nie uderzył jej jednak umyślnie... Nie, nie uderzył. Chciała się przysunąć do niego, on ją chciał odsunąć i niechcący uderzył. Wtedy łódka się wywróciła... Opowiedział przy tym, że zanim Roberta przysunęła się do niego, doznał jakiegoś wstrząsu, jakiegoś zamroczenia, że nie wiedział nawet, co robi, że przygotowawszy wszystko do wykonania zbrodni, nie mógł jednak jej spełnić.

Belknap słuchał cierpliwie tej długiej i osobliwej historii i coraz bardziej się niepokoił. Czy będzie można przekonać sąd o niewinności jego klienta, uwikłanego w takie dziwne okoliczności, sąd złożony z ludzi o niezbyt subtelnym mózgu?

Powstał więc i kładąc rękę na ramieniu Clyde'a rzekł:

- Dosyć będzie na dzisiaj, panie Griffiths. Widzę, jak ciężko panu o tym mówić. Zresztą jest już pan znużony. Jestem bardzo zadowolony, że wyznał pan wszystko szczerze przede mną, i rozumiem, z jaką to panu przyszło trudnością. Na dzisiaj więc będzie dosyć. Chciałbym jeszcze dowiedzieć się paru drobniejszych szczegółów, ale odłóżmy to na kiedy indziej. Niech się pan teraz położy i zaśnie. Potrzebuje pan odpoczynku, bo razem zabierzemy się do pracy. Niech się pan nie martwi przed czasem, bo jeszcze nie warto.

Postaram się uwolnić pana od tego zarzutu, a raczej, postaramy się - mój wspólnik i ja. Bo musi pan wiedzieć, że mam wspólnika, który też przyjdzie do pana. Jestem pewien, że także się panu spodoba. Chciałbym tylko, żeby pan pamiętał o dwóch warunkach, koniecznie. Po pierwsze, żeby pan nie pozwolił się niczym i nikomu zastraszyć, bo ja i mój wspólnik zawsze pana obronimy; żeby pan z nikim się nie porozumiewał, nie wyrażał swych życzeń nikomu, tylko nam, my zaś często będziemy pana odwiedzać. W ogóle niech pan z nikim nie rozmawia, ani z Masonem, ani z szeryfem, ani z dozorcami więziennymi. Z nikim! Słyszysz pan? Po drugie nie należy płakać. Niech pan pamięta, że obojętne czy byłby pan czysty i niewinny jak anioł, czy też brudny i występny jak sam szatan nie powinien pan

nikomu pokazywać swych łez. Wszyscy sędziacy czy dozorczy biorą to za przyznanie się do winy i bezsilną rozpacz. Wcale nie życzyłbym sobie, żeby mieli o panu takie przekonanie, tym bardziej gdy wiem już, że nie jest pan winny.

Zrozumiałem pańskie uczucia i wierzę panu. Niech się pan więc nie daje Masonowi i nikomu innemu. Wolałbym nawet, żeby pan zaczął się uśmiechać, a nawet śmiać wesoło i domagać towarzystwa. Jest taka sobie stara gadka prawnicza, że człowiek niewinny i o czystym sumieniu jest zawsze spokojny i wesoły. Proszę więc myśleć i wyglądać jak człowiek niewinny. Nie wolno siedzieć z rozpaczliwą miną, jak gdyby pan stracił najlepszego przyjaciela, bo nic podobnego się nie zdarzyło. Jestem przy panu ja albo mój wspólnik Jephson. Przyślę go do pana i musi pan odnosić się do niego równie przyjaźnie jak w tej chwili do mnie. Zapewniam pana, że zasługuje na wiarę, bo w sprawach prawnych jest jeszcze biegłyjszy ode mnie. Jutro przyślę panu trochę książek i pism ilustrowanych, niech pan czyta i przegląda ilustracje, zapomni pan o swoim zmartwieniu.

Clyde uśmiechnął się blado i kiwnął głową.

- Jeszcze jedno... Nie wiem, czy pan jest religijny, ale radziłbym panu uczęszczać regularnie na nabożeństwa, które odbywają się w więzieniu co niedziela. Jeżeli oczywiście pozwolą panu na to. Wszyscy są tu bardzo religijni, a ja chciałbym, żeby pan wywarł na nich dobre wrażenie. Niech pan nie zwraca uwagi na to, co kto mówi, czy jak patrzy, proszę robić tylko to, co panu mówię. A jeżeli pan Mason albo kto inny będzie zanadto dokuczał, niech pan przyśle po mnie. Teraz muszę już iść, proszę się więc do mnie uśmiechnąć na pożegnanie, a jak znowu tu się zjawię, czekam na powitalny uśmiech! I z nikim nie rozmawiać!... dobrze?

Poklepał go po ramieniu, potrząsnął nim trochę i wyszedł, mówiąc do siebie:

- Czyż ja rzeczywiście wierzę że ten młokos jest rzeczywiście niewinny, jak mnie zapewniał? Czy to jest prawdopodobne, żeby uderzył dziewczynę, prawie o tym nie wiedząc, i przypuszczał, że to się stało mimo woli? I żeby uciekał od niej czym prędzej z

obawy, by go nie pociągnęła w głębinę? Niezbyt to jakoś prawdopodobnie wygląda... Czy uwierzy w to dwanaście osób, które go będą sądzić? Albo ta walizka... dwa kapelusze... ubranie... Przysięga jednak, że uderzył ją nieumyślnie... Kłuł się przecież w jego głowie jakiś plan czy zamiar, a to nie wygląda niewinnie w obliczu prawa. Czy mówił prawdę, czy kłamał? Prawdopodobnie oszukiwał siebie tak samo jak i mnie. Ten aparat... Należy go wyszukać, zanim go Mason wydobędzie i wprowadzi do sprawy. I to ubranie... Trzeba je również odszukać i wspomnieć o nim dopiero wtedy, gdy będą o nim mówić i podejrzewać jakieś kombinacje. Powiemy wtedy, że mieliśmy je u siebie. Trzeba je tylko odprasować... Albo nie... zaraz... muszę się trochę namyśleć.

Po dłuższej chwili doszedł do przekonania, że nie będzie korzystał z opowiadania Clyde'a, lecz wymyśli... zmieni trochę tę historię, żeby wyglądała bardziej niewinnie.

Rozdział XV

Pan Ruben Jephson nie przypominał niczym Masona ani Belknapa, ani Catchumana czy Smilliego, jednym słowem żadnego z tych ludzi, którzy odwiedzali Clyde'a. Był to człowiek młody, wysoki, szczupły, szorstki, lecz nie o chłodnej duszy, posiadający moc charakteru o sile niezłomnej stali. Przenikliwością ducha i umysłu przypominał rysia lub łasicę. Miał czujne, twarde spojrzenie jasnyniebieskich oczu, ciemną cerę; długi nos wyrażał stanowczość i ciekawość, siłę - jego ręce i całe ciało.

Nie stracił ani chwili czasu, gdy dowiedział się, że ma ze swym współnikiem wziąć w obronę Clyde'a. Zabrał się zaraz do uważnego

szperania w raporcie koronera, w lekarskich zeznaniach i w listach Roberty i Sandry.

Belknap wróciwszy z więzienia od razu mu oświadczył, że dowiedział się od podsądnego, iż obmyślił wprowadzić plan zgładzenia Roberty ze świata, lecz nie zabił jej, gdyż w ostatecznej chwili przyszedł na niego jakiś stan kataleptyczny i pewna skrucha. W stanie tym uderzył ją, lecz zupełnie mimo woli.

Jephson słuchał tego patrząc z uśmiechem na Belknapa.

- Nie był jednak w kataleptycznym stanie, gdy z nią wyjeżdżał?

- Nie.

- Ani wtedy, gdy płynął co sił do brzegu z miejsca wypadku?

- Nie.

- Ani wtedy, gdy wędrował przez lasy, zmieniał ubranie i kapelusz i ukrywał statyw?

- Nie.

- Pan chyba zdaje sobie sprawę z tego, że jeżeli opowiemy tę historię przed sądem, nikt nam nie uwierzy, a jego osądzą, jak gdyby uderzył ją umyślnie?

- Wiem, oczywiście. Myślałem już nad tym.

- Więc...

- Więc muszę przyznać, że jest to ciężka sprawa. Zdaje mi się, że Mason ma wszystkie karty w ręku. Gdybyśmy mogli wysadzić z siodła tego mądralę, to z każdym innym dałoby się wszystko zrobić. W każdym razie sądzę, że lepiej będzie nie wspominać o tym "kataleptycznym" stanie, a przynajmniej do czasu, dopóki nie uda się nam stwierdzić istotnie chorobliwego stanu jego umysłu czy czegoś podobnego. Tak, jak było w sprawie Henry Thawa.

Umilkł i podrapał się w głowę.

- Pan oczywiście sądzi, że jest winien? - przerwał milczenie Jephson suchym głosem.

- Wie pan, może to panu wydać się zdumiewające, ale - nie. A przynajmniej nie mam jeszcze tej pewności. Muszę się panu przyznać, że jest to dla mnie najdziwniejsza sprawa pod słońcem. Nie miałem nic podobnego w swej praktyce. Chłopak ten nie jest wcale takim zatwardziałym zbrodniarzem, jak go może pan sobie wyobrazić, nie można też nazwać jego milczenia chłodnym uporem, nie! Taki sobie zwykły, wrażliwy chłopaczyna... zresztą, zobaczy pan sam. Ma dwadzieścia jeden czy dwa lata i mimo bogatej paranteli jest zupełnie ubogim urzędnikiem w biurach swych krewnych. Opowiadał mi, że jego rodzice są również ubodzy. Prowadzą jakąś misję w Denver... czy gdzieś, a przedtem w Kansas City. W domu nie był od czterech lat. Gdy mieszkał jeszcze w Kansas City, dostał się jako pikolak do jednego z największych hoteli i wtedy zdarzyła się mu pewna przykra przygoda, skutkiem czego musiał uciekać z tego miasta. Nieco później będziemy musieli rozpatrzyć tę sprawę i dowiedzieć się, czy Mason wie coś o tym. Młody Griffiths brał udział wraz z innymi swymi kolegami w jakiejś wycieczce, na którą jeden z nich wziął bez pozwolenia samochód swego pryncypała; pędząc z powrotem na złamanie karku, aby się nie spóźnić do pracy, przejechali jakieś dziecko. Musimy to zbadać dokładnie, bo Mason gotów włączyć to do tej sprawy, licząc na to, że nic o tym nie wiemy: my zaś będziemy gotowi i to odeprzeć.

- Niech na to nie liczy - odparł Jephson, błyskając oczyma. - Pojadę sam do Kansas City w tej sprawie.

Dalej Belknap wtajemniczył swego współnika we wszystko, co mu Clyde powiedział. Opisał mu ciężkie jego koleje, jego różnorodne prace - pomywacza w restauracji, robotnika w fabryce wody sodowej, woźnicy w składzie towarów, wszystko, jednym słowem, co Clyde przeżywał do swego przyjazdu do Lycurgus. Wspomniał o tym, jak wielkie zawsze wrażenie wywierały na nim dziewczęta, o tym, jak poznał najprzód Robertę, później Sandrę, jak się zaplątał w

stosunek z jedną i zakochał w drugiej, wiedząc, że nie będzie jej miał, dopóki nie pozbędzie się pierwszej.

- Z tego wynika, że ma pan wątpliwości, czy on ją zabił? - zapytał w końcu Jephson.

- Istotnie nie mam tej pewności, jak to już powiedziałem. Jak mi się wydaje młokos ten do dzisiejszego dnia kocha jeszcze tę drugą. Zmienia się zupełnie na samo wspomnienie o niej. Zapytałem go, na przykład, o jego stosunek do niej. Spojrzał na mnie z obrazą, mimo że oskarżony jest o uwiedzenie i zabicie tamtej dziewczyny...

Belknap mówił to z uśmiechem, a Jephson, wyciągnąwszy swe długie nogi pod biurkiem, wpatrywał się w niego.

- I nie tylko spojrział na mnie z oburzeniem, lecz odpowiedział ostro: Nic między nami nie było. Na nic by zresztą nie pozwoliła... A poza tym... Co poza tym? - spytałem. Chciałbym, żeby pan o niej zapomniał zupełnie - odpowiedział. I czy pan uwierzy, że chciał koniecznie się dowiedzieć, czy jej nazwisko i listy nie zostały opublikowane w gazetach, i prosił, aby w jakiś sposób zapobiec wplątaniu jej wraz z rodziną w tę sprawę.

- Rzeczywiście? A co mówił o tamtej?

- To jest właśnie węzeł, który pragnę rozwikłać. Może i zamyślał ją zabić, może nawet ją zabił, ale tak miał zaprzątniętą głowę swymi wielkimi ambicjami, że naprawdę nie wiedział chyba, co robi. Rozumie pan to? Bywa tak z młodymi ludźmi. Biedując długie lata i nie znając zbyt wielu dziewcząt, potrafią nieraz zawrócić sobie głowę kimś dla siebie nieodpowiednim...

- Sądzi pan, że rozbudzone ambicje nadwerężyły jego umysł?

- To bardzo możliwe. Mogło nastąpić jakieś oszołomienie, opętanie czy ogłupienie, wzburzenie umysłu, jak to nazywają w Nowym Jorku. On dotychczas szaleje za tą dziewczyną. Widziałem, jak płakał w swej celi i to z pewnością po niej. Tak płakał, tak szlochał, jak gdyby mu serce miało pęknąć.

Belknap w zadumie podrapał się w ucho.

- Cóż dziwnego, że jego umysł nie wytrzymał. Jedna dziewczyna zmusza go do małżeństwa, serce ciągnie go do drugiej i ta druga zgadza się na małżeństwo z nim... Dobrze to rozumiem. Sam byłem w takich tarapatach.

Opowiedział swe młodzieńcze przeżycie Jephsonowi.

- Musimy odszukać opis tego wypadku w Pass Lake. To z 18 czy 19 czerwca w "The Times Union".

- Dobrze, zajmę się tym - odrzekł Jephson.

- Chciałbym bardzo - mówił dalej Belknap - żeby pan jutro poszedł do niego, ciekawy jestem, jakie on na panu zrobi wrażenie. Czy też będzie opowiadał panu to samo co mnie? Ciekawy jestem pańskiego poglądu na tę sprawę.

- Będzie go pan miał - odburknął Jephson.

Nazajutrz obaj poszli do więzienia. Istotnie, ciekawe było, że i Jephson po przesłuchaniu Clyde'a nie umiał sobie wyrobić zdania czy Clyde jest winny czy nie - czy umyślnie uderzył kochankę, czy stało się to niechcący. Bo jeżeli uczynił to nienaumyślnie, to dlaczego odpłynął pozostawiając ją swemu losowi. Oczywiście, jeżeli on nawet nie był pewien jego niewinności, to jakże trudno będzie przekonać cały sąd.

Belknap jednak trwał w przekonaniu, że Clyde nieco szwankował na umyśle od chwili, gdy przeczytał tę wiadomość w "The Times Union" i działał pod jej wpływem. Nie było to nieprawdopodobne, jednak Jephson twierdził, że Clyde jest zupełnie zdrow psychicznie. Na ile mógł to wywnioskować z rozmowy z nim, uważał, że jest śmielszy i przebieglejszy, niż Belknapowi się zdaje. Przebiegłość jego jest złagodzona nieco przez miękki, ujmujący wdzięk towarzyski, którym wszystkich sobie zjednuje.

Nie można powiedzieć, żeby Clyde okazał Jephsonowi tyle samo zaufania co Belknapowi, i nie mogło to oczywiście przychylnie usposobić tego pierwszego, mimo wszystko jednak Clyde wyczuł w nim zapal i wielkie zawodowe, a może nawet emocjonalne zainteresowanie. Po chwili więc patrzył na młodszego prawnika częściej niż na Belknapa, czując, że on więcej zrobić może dla niego.

- Odczuwał pan chyba, że listy, które do pana pisała panna Alden, są pełne uczucia? - zapytał Jephson po wysłuchaniu historii Clyde'a.

- Tak, czułem to.

- Są smutne i mogą wzruszyć każdego, kto nie zna wszystkich faktów. Mogą źle usposobić sąd do pana, zwłaszcza w porównaniu z listami panny Finchley.

- Pewnie - odrzekł Clyde - Roberta wszakże nie zawsze była taka. Zmieniła się bardzo, gdy znalazła się... w kłopotcie. Chciałem, żeby mi dała spokój, i wtedy pisała takie listy.

- Wiem, wiem. To jest właśnie punkt, nad którym musimy się dobrze namyślić i może nawet użyjemy go w obronie. Gdybyśmy mogli w jakiś sposób dostać te listy - zwrócił się do Belknapa. - Żył pan jednak z nią coś około roku - spojrzał na Clyde'a - prawda?

- Tak.

- Czy przez cały czas pożycia z nią, a może przedtem, nie zauważył pan, by była związana z jakimś innym, młodym człowiekiem?

Clyde zorientował się, że Jephson nie zawahał się podsunąć mu myśli, która mogłaby ułatwić obronę. Nie przyjął jej jednak z zapalem, przeciwnie, odpowiedział z nieklamany oburzeniem. Jakżeby mógł, znając czysty charakter Roberty, posługiwać się takim kłamstwem? Nie chce korzystać z takiej insynuacji i nie będzie zeznawał fałszywie!

- Nie. Nie słyshałem nigdy o czymś podobnym. A nie tylko nie słyshałem, lecz wiem na pewno, że nie miała nikogo!

- Doskonale! to się ustali! Na ile mogę sądzić z jej listów, mówi pan prawdę. My jednak musimy znać fakty, a wielkie to miałyby znaczenie dla pana, gdyby było inaczej.

Clyde nie był pewien, czy prawnik chce zwrócić jego uwagę na samą wartość tego pomysłu, sądził jednak, że nie warto się nad tym zastanawiać. O, gdyby ten adwokat chciał go wziąć w obronę. Tak inteligentnie wygląda.

- Chciałbym jeszcze pana o coś spytać - odezwał się znów Jephson tym samym twardym, inkwizytorskim tonem, wyzutym ze wszelkiego współczucia czy litości. - Czy przez cały czas znajomości z panem lub jeszcze przed zawiązaniem ściślejszych stosunków, czy też potem, nie pisywała do pana jakichś przykrych, grożących czymś listów?

- Nie, proszę pana, nigdy nic podobnego nie pisała. Prócz tych paru ostatnich... rzeczywiście ostatnich...

- A pan pisywał do niej?

- Nie. Nie pisywałem nigdy.

- Dlaczego?

- Po co? Pracowała ze mną w fabryce, widywaliśmy się ciągle, a teraz, gdy wróciła do domu, bałem się trochę...

- Rozumiem.

W dalszym ciągu swego zeznania Clyde opisał jednak Robertę jako osobę nie zawsze odznaczającą się łagodnym charakterem. Bywała w swych zamierzeniach stanowcza i uparta. Nic jej nie obchodziło, że zmuszając go do

małżeństwa rujnuje mu przyszłość pod każdym względem, że straci przez nią posiadłość, z której przecież mógłby

dawać i na jej utrzymanie. Jej upór właśnie przyczynił się do całego tego nieszczęścia... Panna Finchley zaś - w jego głosie można było wyczuć wielki entuzjazm, na co Jephson zwrócił uwagę - gotowa była wszystko dla mnie poświęcić!

- Kochał więc pan naprawdę gorąco pannę Finchley?

- O, tak!

- I przestał pan kochać zupełnie Robertę po poznaniu się z tamtą?

- Naturalnie. Nie mogłem już jej kochać!

- Rozumiem - mruknął Jephson, uroczyście kiwając głową i konstatując, że sąd za żadną cenę nie może się o tym dowiedzieć.

Lepiej chyba będzie przychylić się do zdania Belknapa o tych zaburzeniach umysłowych Clyde'a, a łatwo to będzie wytłumaczyć trudną sytuacją, w jakiej się znalazł. - Mówił pan coś, że gdy tego dnia znalazł się pan z nią w łódce, przyszła jakaś chwila, kiedy pan nie wiedział, co się z nim dzieje, i niechcący ją wtedy uderzył? - Tak proszę pana. Naprawdę tak było.

Tu Clyde znów obszernie tłumaczył dziwny stan swego ducha tego dnia.

- Wierzę, wierzę panu - odrzekł Jephson, jakkolwiek daleki był od tego, żeby mu wierzyć zupełnie. - Niech pan jednak zrozumie, iż żaden sąd rozważywszy wszystkie okoliczności nie da wiary... Jest tyle rzeczy niezrozumiałych i nie będziemy mogli ich wytłumaczyć. Sam nie wiem, co z tym zrobić... - zwrócił się znów do Belknapa. - Te dwa kapelusze... walizka... chyba, że staniemy na gruncie stanu chorobowego. Nie wiem jeszcze sam... Czy w pańskiej rodzinie nie zdarzyły się wypadki choroby umysłowej? - spytał Clyde'a.

- Nie, proszę pana. Nie słyszałem przynajmniej o tym nigdy.

- Czy żaden stryj, wuj, a może dziadek nie miał jakichś szalonych pomysłów albo coś podobnego?

- Nigdy o niczym podobnym nie słyszałem.

- A jak pan sądzi, czy pańscy krewni tutaj bardzo byliby niezadowoleni, gdybym zwrócił się do nich z tym pytaniem?

- Obawiam się, że nie będzie im przyjemnie - odrzekł Clyde myśląc o Gilbercie.

- Zobaczymy - mruknął Jephson po chwili milczenia. - Ciężka sprawa, coraz trudniej wygląda, ale chyba to jedno zdoła pana uratować.

Spojrzał na Belknapa i spytał, co w ogóle myśli o możliwości samobójstwa. Listy Roberty wyrażały smutek, z którego często rodzą się myśli samobójcze. Może by przypuścić, że podczas tej wycieczki z Clyde'em po jeziorze błagała go o wzięcie z nią ślubu, a gdy on odmówił, rzuciła się do wody? On zaś był tak przerażony i oszołomiony tym wypadkiem, że nie zdążył jej uratować.

- A cóż będzie w takim razie z tym wiatrem, który mu zrzucił kapelusz, z tą wywróconą łódką? - zapytał Belknap. Naradzali się, jak gdyby Clyde był nieobecny.

- Owszem, i to jest dosyć prawdopodobne, ale można by powiedzieć, że ponieważ czuł, iż ma jej życie na sumieniu, nie chciał się przyznać, że popełniła samobójstwo.

Na to już Clyde oburzył się i poruszył niespokojnie, lecz nikt na niego nie zwracał uwagi. Mówią tak, jak gdyby go tu nie było albo nie miał swojego zdania w tej sprawie. Czuł oburzenie i zdumienie, nie śmiał się jednak sprzeciwić wiedząc, że jest bezradny.

- Jak to, fałszywe zeznania? Dwa kapelusze... garnitur... walizka... - wyrzucał z siebie Belknap takim tonem, że Clyde zrozumiał, jak bardzo poważnie adwokat myśli o jego losie.

- No i co z tego? - odrzekł Jephson z namysłem. - Jaką bądź teorię wypracujemy, zawsze natkniemy się na to samo. Nie możemy przecież

się przyznawać, że uplanował sobie całą rzecz, jeżeli nie oprzemy się na niepoczytalności umysłowej. Jeżeli użyjemy tego stwierdzenia, dopiero wtedy stanie się wszystko jasne.

Rozłożył ręce szeroko, jakby chciał powiedzieć: Przysięgam że nie wiem sam, co robić.

- To na nic - protestował Belknap. - Mocniej jeszcze stanie przeciw niemu opinia publiczna, gdy się dowie, że obiecywał małżeństwo, o czym zresztą mówią jej listy, a potem nie chciał dotrzymać słowa... To na nic. Musimy wymyślić coś takiego, co mogłoby obudzić sympatię, współczucie dla niego...

Spojrzał na Clyde'a wzrokiem, który mówił wyraźnie: A to mamy z tobą robotę!

Jephsonowi przyszło znów coś nowego do głowy.

- Ale! ten garnitur, który pan wrzucił do jeziora przy willi Cranstonów... Niech mi pan opisz to miejsce... Jak to daleko od domu?

Czekał aż Clyde się namyśli i przypomni sobie dokładnie miejsce.

- Gdybym tam był, znalazłbym je od razu.

- Wiem o tym, ale pan nie może oddalać się stąd bez Masona - odparł Jephson. - Nawet w ogóle nie pozwolono by panu stąd wyjeżdżać. Jest pan w więzieniu i nigdzie pan wyjść bez pozwolenia władz nie może. My jednak musimy wydobyć ten garnitur.

- Spojrzał na Belknapa i zniżając głos dodał: - Musimy go wydobyć, oczyścić, odprasować i odesłać, mówiąc, że był dany do oczyszczenia, nie zaś ukryty. Rozumie pan?

- Mhm, ma pan rację - przyznał Belknap. Clyde zaś stał i słuchał z ciekawością, jak dwaj prawnicy naradzali się nad różnymi fortelami, aby go uratować.

- A teraz ten aparat, który wpadł do jeziora. Musimy go również wydostać. Sądzę jednak, że i Mason musiał wpaść na ten sam pomysł, ale dla nas byłoby to bardzo korzystne, gdybyśmy wcześniej od niego zabrali się do tej roboty. Jak pan sądzi, czy aparat leży w tym samym miejscu, gdzie się łódka wywróciła?

- Pewnie.

- Musimy się naradzić, jak się do tego zabrać - mówił dalej do Belknapa. - W ten sposób nastąpi zmiana w oskarżeniu, co posłuży do przewleczenia sprawy. Oni będą twierdzili, że uderzył ją trójnogiem, my zaś im w ten sposób podstawimy nogę.

- Rzeczywiście, prawda! - ucieszył się Belknap.

- A teraz sprawa walizki, która jest w rękach Masona. Nie widziałem jej jeszcze, ale jutro obejrzę. Włożył więc pan do niej ten mokry garnitur od razu, po wyjściu z wody?

- Nie, proszę pana. Wyżąłem go najprzód. Trochę go nawet wysuszyłem, a potem owinąłem w papier, który pozostał po śniadaniu, i położyłem między igłami świerków, które nasypałem pod spód i na wierzchu.

- Nie pozostały więc ślady wilgoci w walizce, gdy go pan później wyjął?

- Nie, zdaje się, że nie pozostały.

- Nie jest jednak pan tego pewien?

- Nie. Nie mogę powiedzieć, bym tego był zupełnie pewien.

- Dobrze. Jutro to sam zobaczę. A co do tych znaków na twarzy, czy pan się na pewno nie przyznał, że ją sam uderzył?

- Nie.

- A czy ten znak na wierzchu głowy powstał rzeczywiście od

uderzenia o burtę łodzi, tak jak pan twierdził?

- Tak.

- Mogą wszakże posądzać pana, że ją uderzył aparatem?

- Przypuszczam, że tak.

- Tak! Zaczynam się już orientować - odezwał się Jephson do Belknapa. - Zdaje mi się, że będziemy mogli zupełnie spokojnie utrzymywać, że on jej w ogóle niczym nie uderzył. Oni sami, wyciągając ją drągami, porobili te znaki... Można by spróbować tego twierdzenia. A jeżeli nie drągami... - dodał z ironicznym uśmiechem - to wtedy, gdy ją przenosili z jeziora na stację kolejową albo w wagonie...

- Hm, myślę jednak, że Mason musi mieć już pewność, że nie stało się to w ten sposób - odrzekł Belknap z powątpiewaniem.

- A co do statywu, zażądamy ekshumacji ciała i zrobimy nowe pomiary grubości burty, w ten sposób niełatwo będzie Masonowi skorzystać z trójnogu.

Oczy Jephsona zrobiły się przy tych słowach maleńkie, przezroczyście i bardzo niebieskie, głowa i ciało nabrały giętkości łasicy. Clyde przyglądał mu się z ciekawością i zdumieniem i odczuwał wyraźnie, że jest to jedyny człowiek, który może mu pomóc. Taki był bystry, praktyczny, zrównoważony, chłodny, obojętny, a zarazem pomysłowy, zupełnie jak jakaś nie pojęta machina z rodzaju tych, co wytwarzają energię elektryczną.

Zmartwił się szczerze, gdy zabrali się do wyjścia. Przy nich czuł się bezpieczniejszy, silniejszy, nabierał nadziei, bardziej był pewny tego, że zostanie uwolniony, może nawet niedługo.

Rozdział XVI

Obaj prawnicy doszli więc do przekonania, że najłatwiej będzie oprzeć obronę na niepoczytalności umysłowej Clyde'a, jeżeli Griffithsowie zgodzą się na to. W obronie mogą przytoczyć przykłady takiego obłąkania umysłu z miłości i z ambicji, wzbudzonych przez Sandrę Finchley, i ze zniszczonych nadziei, które Roberta swymi groźbami niweczyła.

Jednak po naradzie z Catchumanem i Brookhartem, którzy w tej sprawie odwołali się do Griffithsów, obaj prawnicy zrozumieli, że nie da się to zrobić. Musieliby na to znaleźć się świadkowie, a między nimi i krewni - Griffithsowie, którzy pod przysięgą musieliby zeznać, że Clyde przez całe życie objawiał pewną słabość umysłu. Trzeba byłoby kłamać i krzywoprzysięgać, na co Griffithsowie nie chcieli się zgodzić. Brookhart więc musiał przekonać Belknapa, że trzeba zmienić linię obrony.

Wobec tego obaj współpracownicy musieli się znów naradzić. Tak jednemu jak i drugiemu każda inna linia obrony wydawała się beznadziejna.

- Przychodzi mi na myśl - odezwał się pomysłowy Jephson, wskazując paczkę listów Roberty i Sandry - że listy tej Aldenówny są tak rozpaczliwe, że cały zespół sędziowski rozbeczy się przy ich czytaniu, a będzie fatalne, jeżeli po nich przeczytają listy tej drugiej panny. Myślę, że lepiej byłoby wcale nie wspominać o listach, chyba że prokurator sam to zrobi. Wynika z nich najwyraźniej, że ten smarkacz zabił Aldenównę, żeby tylko się od niej odczepić. Mason, oczywiście, nie żądałby niczego innego.

Belknap zgodził się z nim zupełnie.

Należało jak najprędzej opracować jakiś plan. Po długich więc namysłach doszedł Jephson do wniosku, że trzeba przede wszystkim oczyścić Clyde'a z zarzutu premedytacji morderstwa. Ten bogobojny,

moralnie wychowany młodzieniec jest tchórzem, co zresztą widać z historii całego jego życia. Z obawy o to, że Roberta spełni groźby, z obawy, że będzie musiał się usunąć z Lycurgus, odjechać od ukochanej kobiety, o której Roberta nic nie wiedziała (a przypuszczał, że gdyby dowiedziała się o jego wielkiej miłości dla tamtej, sama usunęłaby się mu z drogi) - uplanował tedy, bez żadnej złej myśli zresztą, wycieczkę z Robertą, niekoniecznie do Big Bittern. Miał jej wtedy powiedzieć o wszystkim, uzyskać w ten sposób wolność, zapewniwszy ją przy tym, że wszystkie koszty, związane z jej stanem, poniesie z ochotą.

- Bardzo to wszystko pięknie - przerwał Belknap - ale tym samym przyznamy, że odmówił jej jedynej rehabilitacji - małżeństwa. Czy sąd zechce to odpowiednio zrozumieć albo czy uwierzy, że nie miał zamiaru jej zabijać?

- Czekaj pan, czekaj! - odparł zgryźliwie Jephson. - Może to tak wygląda, ale nie skończyłem jeszcze...

- A więc co dalej? - pytał zaciekawiony Belknap.

- Otóż plan mój jest taki: pozostawić wszystkie fakty tak, jak on je nam zeznał i jak je Mason wyszperał, wszystko, jednym słowem, zostawić, oprócz tego, że ją uderzył: Wytłumaczyć wszystkie tajemnice listów, ran, walizki, dwóch kapeluszy, wszystko - nie zaprzeczać niczemu...

Umilkł. Przeciągnął długą, piegowatą ręką po jasnych włosach i spojrzął w okno w kierunku więzienia, po czym zwrócił wzrok na Belknapa.

- No, dobrze, ale co z tego? - pytał Belknap.

- Nie ma innej drogi, mówię panu, i zdaje mi się, że tylko to nam pozostaje. - Spojrzął znów w okno i mówił jak gdyby do kogoś z zewnątrz: - Przestraszony jej groźbami chciał się koniecznie z nią porozumieć. Podpisał się fałszywymi nazwiskami, bo się obawiał, by nikt z Lycurgus nie dowiedział się, że on tam jest z robotnicą. A

miał tylko taki plan, żeby wyznać jej wszystko o swej nowej miłości. Ale - zatrzymał się i spojrzał na kolegę - i w tym jest sedno całej sprawy... Jeżeli to nie będzie miało znaczenia...

Słuchaj pan! Wybrał się więc z nią, nie mając jednak zamiaru żenić się z nią ani jej zabijać, lecz tylko by ją przekonać, aby odczepiła się od niego. Pojechali więc razem. W drodze, mając ją ciągle przed oczyma, spostrzegł, jak bardzo jest osłabiona, chora nieszczęśliwa, smutna... widział też; że go jeszcze bardzo kochała. Podczas wycieczki spędził z nią dwie noce... Rozumiesz pan?

- Rozumiem - odrzekł Belknap, słuchając z zaciekawieniem i już bez powątpiewania.

- To może właśnie wytłumaczyć te dwie noce - dodał Belknap po chwili.

- Może? Musi - odparł spokojnie z przebiegłą miną Jephson. W jego chabrowych oczach widniał chłód, praktyczna logika, przejęcie się sprawą, nie było zaś w nich ani cienia wzruszenia lub współczucia i ani jeden mięsień nie drgnął mu nawet na twarzy. - Otóż kiedy przeżył z nią te dwie noce, nastąpiła zmiana w jego uczuciach. Pojmujesz mnie pan? Uczuł dla niej litość. Zawstydział się swojego postępowania, czuł się występny... To może się podobać publiczności podczas procesu i zaapelować do serc ludzkich, prawda?

- Może - odrzekł spokojnie Belknap, w którym budziła się nadzieja, że może da się coś zrobić.

- Widział, że uczynił jej krzywdę - mówił dalej Jephson, uważnie jak pajak pajęczynę snujący swój plan - i mimo całej miłości do tamtej osoby gotów był naprawić krzywdę, - tak się bowiem wzruszył losem kochanki i zawstydział własnej nikczemności... Odsunie to podejrzenie o premedytację zbrodni, oparte na tych nocach spędzonych w Utica i Grass Lake.

- Ale kochał jeszcze tamtą osobę? - przerwał Belknap.

- No, oczywiście. Kochał ją bardzo, był pod wrażeniem wytwornego życia które prowadziła a które miało go również czekać... gotów był jednak ożenić się z Robertą po wyznaniu jej wszystkiego, po wyznaniu jej, że kocha inną kobietę...

- Rozumiem, ale co w takim razie robić z łódką, walizką, z tą całą jego ucieczką prosto do Finchleyów?

- Zaraz, zaraz dowie się pan zaraz! - mówił Jephson, błękitnym okiem świdrując przestrzeń jak promieniem świetlnym. - Oczywiście, że pływał z nią po jeziorze, oczywiście, że wziął z sobą walizkę, oczywiście że podpisał się fałszywymi nazwiskami i wędrował przez lasy do tamtej panny po utonięciu Roberty. A dlaczego? dlaczego? Chcesz pan wiedzieć, dlaczego? Zaraz panu powiem. Miał wielkie dla niej współczucie i chciał się z nią ożenić, tak? albo też chciał jej w jakiś sposób wynagrodzić krzywdę, prawda? Ale nie przedtem, nie przed wycieczką, zapamiętaj to pan sobie! tylko po spędzeniu z nią dwóch ostatnich nocy. Utonęła, to prawda... ale przypadkiem, tak jak on to nam opowiedział, i wówczas - cóż dziwnego, że wrócił do tej osoby, którą kochał. Nie przestał jej przecież wcale kochać, nawet wtedy, kiedy chciał poświęcić tę miłość... rozumiesz pan?

- Rozumiem.

- Jakże mu dowiodą, że nie nastąpiła w nim całkowita zmiana uczuć, sam przecież o tym mówi i twardo przy tym stoi?

- Dobrze, tylko on powinien był najprzód opowiedzieć jakąś bardziej prawdopodobną historię - odparł Belknap, niezbyt przekonany. - A te dwa kapelusze? Trzeba przecież jakoś to wszystko porządnie wytłumaczyć...

- Zaraz przejdę i do tego. Miał już jeden, ale był trochę brudny, kupił więc sobie drugi. A że mówił Masonowi, że miał na głowie czapkę, to oczywiście skłamał ze strachu. Oczywiście, że kochał się w tej pannie jeszcze za życia Roberty i pokładał w niej wielkie nadzieje, lecz podczas tej wycieczki nastąpiła zmiana usposobienia, chciał naprawić krzywdę wyrządzoną Robercie, ale

miał zamiar potem napisać do tamtej albo pojechać do niej i powiedzieć jej o sobie i Robercie.

- Rozumiem.

- Nazwiska jednak tej panny niepodobna włączyć do sprawy nie ma na to rady, ale wspomnieć o niej musimy. Może by do niej zatelefonować, co?

- Dobrze, możemy zatelefonować - zgodził się Belknap.

- Bo jeżeli on postanawia naprawić krzywdę wyrządzoną Robercie, to musi o tym zawiadomić i pannę Finchley, musi jej powiedzieć, że ją opuszcza, rozumie pan?

- Rozumiem.

- Potem ma zamiar wziąć z nią ślub w Three Mile Bay albo gdzie indziej.

- Mhm.

- Niech pan wszakże nie zapomni, że na tej wycieczce czuł się nieszczęśliwy i zrozpaczony i dopiero po drugiej nocy w Grass Lake, zrozumiał, jak nikczemnie z nią poczynał. Coś na to wpłynęło... Może ona płakała albo mówiła, że się zabije, o czym zresztą pisała w swych listach.

- Mhm.

- Musiał więc, oczywiście, pomyśleć o jakimś spokojnym miejscu, gdzie mogliby pomówić ze sobą, gdzie nikt nie mógłby ich widzieć ani słyszeć.

- Mhm. I co dalej?

- Przyszło mu wtedy na myśl Big Bittern. Był już tam kiedyś, a to przecież niedaleko od Three Mile Bay, gdzie mieli się pobrać.

- Mhm.

- Gdyby ona zgodziła się odejść od niego po wysłuchaniu jego wyznań, odwiózłby ją z powrotem do gospody, skąd mogliby rozjechać się w różne strony.

- Mhm.

- Dla oszczędności wziął ze sobą śniadanie, nie miał bowiem za dużo pieniędzy. Wziął również aparat fotograficzny, aby zrobić kilka pięknych zdjęć. Trzeba koniecznie wspomnieć o aparacie, bo jeżeli Mason dostanie go w swe ręce, odpowiednio to wytłumaczy, lepiej więc, żebyśmy sami wyjaśnili, jak się to wszystko odbyło.

- Rozumiem! rozumiem! - zawołał Belknap, ucieszony, uśmiechnięty, zacierając ręce.

- Popłynęli więc łodzią na jezioro...

- Aha!

- I pływali sobie dokoła...

- Aha!

- Po śniadaniu zrobił kilka zdjęć...

- Aha!

- I w końcu postanowił powiedzieć jej wszystko o sobie. Był pełen dobrych chęci...

- Rozumiem.

- Nie, przedtem jeszcze chciał sfotografować ją w łódce i na wybrzeżu...

- Aha!

- Wyłynęli znowu na jezioro... sam przecie tak opowiadał...
- No tak.
- A ponieważ mieli zamiar jeszcze narwać sobie kwiatów w tym samym miejscu, pozostawił walizkę... Tym się tłumaczy walizka...
- Mhm.
- Zanim jednak zabrał się do zdjęć, zaczął jej mówić o swej miłości do innej kobiety, zgodził się jednak ożenić się z nią, a do tamtej napisać list pożegnalny. Gdyby jednak ona nie chciała poślubić człowieka, który kocha inną...
- No, no, dalej - przerywał co chwila zainteresowany Belknap.
- On będzie wspomagał ją materialnie, pieniędzy bowiem będzie miał dużo, gdy zawrze związek z bogatą panną.
- Aha!
- Ona wszakże z uporem przypominała mu jego obietnice. Musi się z nią ożenić i puścić kantem pannę Finchley.
- Rozumiem. I on się zgodził?
- Zgodził.
- I wtedy to z wielkiej ku niemu wdzięczności chciała mu się rzucić w ramiona, prawda?
- Ano tak.
- Łódka zakołysała się, on poderwał się ku niej, by ją przytrzymać, obawiał się bowiem, żeby nie wypadła z łodzi...?
- No tak.
- I teraz występuje na scenę aparat fotograficzny, który Clyde

trzymał w ręku.

- Oczywiście. On go trzyma w ręku, łódka zakołysała się, on czy ona robią fałszywy krok, i wtedy w tym ruchu on ją mimo woli uderza...

- Rozumiem! rozumiem! doskonale! cudownie! - krzyczał Belknap.

- Z łódki wypadli oboje - mówił dalej Jephson, nie zważając na wybuch radości Belknapa - ona uderzyła się o łódkę i on także, ale lekko. On był przerażony...

- Tak, tak!

- Słyszał jej krzyki i widział ją walczącą z wodą, ale sam był ogłuszony... i zanim przyszedł do siebie...

- Już było po niej - zakończył Belknap.

- Utonęła... Tak, tak! Potem zrozumiał, że może być podejrzewany o zbrodnię z powodu podania fałszywych nazwisk i w ogóle wszystkich podejrzanych okoliczności... że jej nie ratował, na przykład... Wiedział, że nic już dla niej nie może zrobić... bo jej rodzina mogła nie wiedzieć o jej stanie...

- Mhm.

- Wymknął się po cichutku, po tchórzowsku, jak to już stwierdziliśmy od początku. Uciekł bojąc się dalszych konsekwencji, utraty stanowiska w świecie. Chyba to wszystko dobrze tłumaczę, co?

- Nic lepszego chyba nie można było wymyślić. Tak, to jedyne stanowisko, jakie możemy zająć, muszę powinszować panu tego scenariusza. Może go to zupełnie nie ocali, ale dadzą mu co najwyżej dwadzieścia lat, prawda?

Zachwycony tym pomysłem spojrzał z uznaniem na swego kolegę i dodał:

- Wspaniale!

- Jephson tymczasem patrzył gdzieś w przestrzeń martwymi, podobnymi do stojącej wody oczami.

- Ale czy pan rozumie, od czego teraz zależy, żeby nam się ta obrona udała? - spytał Jephson cichym głosem. - Wszystko zależy od niego... od jego zeznań. Tylko. Jest to jego jedyna nadzieja. Boję się również, żeby nie wywarł w sądzie złego wrażenia. Taki jest nerwowy, niepewny w swych zeznaniach...

- Tak, rzeczywiście - przyznał Belknap. - Jest bardzo wrażliwy. Mason napadł na niego jak dziki byk, ale my go ukołyszemy, wymuszujemy, jak ma odpowiadać. Musi zrozumieć, że to dla niego jedyne wyjście, że od tego zależy jego życie. Będziemy go musztrowali całymi miesiącami.

- Jeżeli skrewi - przepadł. Gdybyśmy mogli tylko natchnąć go odwagą, nauczyć, jak i co ma gadać...

Oczy Jephsona widziały już Clyde'a siedzącego na ławie oskarżonych, a przed nim Masona. Potem wziął do ręki listy Roberty (kopie, które udostępnił mu Mason) i patrząc na nie zakończył:

- Gdyby ich nie było... Jezu! cóż to za sprawa! a jeszcześmy jej nawet nie liznęli, nawet odrobinki... Walka się jeszcze nie zaczęła! A ile to publiczności na niej będzie!... Na pewno! Dziś w każdym razie pošlę pewnego chłopaka, żeby sobie pogrzebał trochę w Big Bittern... szukając aparatu. Życz mi pan szczęścia.

- Czyżbym mógł nie życzyć? - odpowiedział na to Belknap.

Brookhart i Catchuman również uznali plan Jephsona za "jedyną drogę ratunku", zastrzegli tylko, żeby jak najmniej wspominać o Griffithsach.

Obaj więc wspólnicy rozpoczęli przedwstępne kroki od tego, iż każdego, kto tylko chciał ich słuchać, zapewniali, że zeznania Clyde'a Griffithsa zasługują całkowicie na wiarę, bo młodzieniec ten został źle zrozumiany przez prokuratora, gdyż zamiary jego i czyny względem panny Alden były zupełnie inne, niż je pan Mason przedstawił. Pośpieszne zaś starania pana prokuratora o uzyskanie jak najszybszego terminu rozprawy mają zapewne bardziej polityczne niż prawne znaczenie. Bo dlaczego by tak się śpieszył, jeżeliby mu nie chodziło o zbliżające się wybory? Czyżby miał zamiar zużytkowania rezultatów procesu dla osobistych korzyści? Panowie Belknap i Jephson przypuszczają atoli, że chyba tak nie jest... Oni stanowczo jednak, bez względu na to, jakie polityczne czynniki, osobiste czy partyjne, kierują tą sprawą, oni, obrońcy tego niewinnego i spotwarzanego chłopca, Clyde'a Griffithsa, na którego sprzysięgły się niełaskawe okoliczności, nie pozwolą go zaprowadzić na krzesło elektryczne jedynie dlatego, żeby w listopadzie mogła zwyciężyć partia republikańska.

Aby wszakże wykazać jego niewinność, aby obalić fałszywe oskarżenie i wyjaśnić właśnie ten dziwnie nieprzyjazny mu stan rzeczy, obrońcy jego muszą mieć dostateczną ilość czasu na przygotowanie obrony. A więc muszą założyć wyraźny protest wobec stanowiska zajętego przez prokuratora, który żąda w tym celu specjalnego posiedzenia Stanowego Sądu Najwyższego. Normalny termin tej sprawy wypadłby dopiero w styczniu i obrońcy twierdzą stanowczo, że przygotowania do obrony nie będą ukończone przed tym czasem.

Kiedy ta mocna, aczkolwiek nieco spóźniona odezwa została wysłuchana z właściwą powagą przez różnych dziennikarzy i

rozgłoszona przez nich, Mason z oburzeniem i zjadliwą ironią odpierał insynuacje co do tych jakoby politycznych względów i niewinności Clyde'a.

- Po cóż ja, reprezentant tutejszej ludności, miałbym z zawziętością oskarżać niewinnego człowieka o zbrodnię, ciągnąć go na krzesło elektryczne, gdyby wszystkie dowody nie były przeciw niemu? Każdy szczegół tej sprawy jest już aktem oskarżenia. Przecież on sam nie postarał się o usunięcie dowodów zbrodni, żadnym słowem nie rozproszył podejrzeń! Albo milczy, albo kłamie. Dopóki więc nie przedstawią mi dowodów jego niewinności ci dwaj wielce zdolni jego obrońcy, mam prawo dążyć do rozprawy. Wszystkie dowody przeciw niemu mam już w ręku i dopiero przekonam, gdzie jest prawda! Nie ma najmniejszego sensu zwlekać ze sprawą do stycznia. Nie będę wtedy już prokuratorem, sprawę obejmie nowy zupełnie człowiek, gdy tymczasem ja jestem obznajmiony ze wszystkimi jej szczegółami... Podniosłoby to tylko koszty sprawy. Teraz jeszcze łatwo jest sprowadzić świadków do Bridgeburga nie narażając się na wielkie koszty, w styczniu zaś czy lutym w jaki sposób ich się zbierze? Nie, nigdy się na to nie zgodzę! Jeżeli jednak w ciągu dziesięciu dni albo dwóch tygodni przyniosą mi jakieś wiarogodne szczegóły lub zapewnią, że mają pewne dowody jego niewinności, a przynajmniej mają nadzieję, że je będą mieli - dobrze! zgodzę się na wszelką zwłokę. Sam nawet poproszę prezesa sądu, żeby dał im tyle czasu, ile będzie trzeba, zrezygnuję nawet z prowadzenia sprawy. Jeżeli jednak proces odbędzie się podczas mego urzędowania, a mam nadzieję że tak, to będę oskarżał ze zwykłą sobie gorliwością, nie dlatego żebym miał czekać na jakieś odznaczenie, lecz jedynie dlatego, że jestem prokuratorem i to jest mój obowiązek. A czy to jest sprawa polityczna, to się dopiero pokaże. Pan Belknap walczył już raz przeciwko mnie, więc i teraz pragnie walczyć.

Pojechał zatem do Albany, żeby wywrzeć nacisk na gubernatora i przyspieszyć termin rozprawy. Gubernator wysłuchawszy osobistych argumentów Masona i Belknapa przychylił się do prośby Masona z tej racji, że zwołanie specjalnego posiedzenia Sądu Najwyższego jest uzasadnione okolicznościami. To zaś, czy sąd zajmie się sprawą, czy nie, nie leży już w zakresie jego kompetencji, sam Sąd

Najwyższy zadecyduje o tym. Wyznaczył więc posiedzenie na piątego sierpnia pod przewodnictwem Fryderyka Oberwaltzera.

Nie mogąc nic uzyskać od gubernatora, Belknap i Jephson poszli do Oberwaltzera, żeby go przekonać o potrzebie zmiany terminu, ponieważ cała opinia publiczna jest przeciw oskarżonemu i niepodobna będzie znaleźć dwunastu ludzi w całym Okręgu, którzy na skutek insynuacji Masona nie byłiby do niego uprzedzeni. Wszyscy są przekonani o jego winie i zanim obrona zabierze głos, on będzie już skazany w opinii publicznej.

- W jakiż sposób dowiedziecie panowie jego niewinności? - zapytał Oberwaltzer, który był na ogół bezstronny.

- Ależ, panie prezesie, zbrodnię tę tylko pan prokurator tak wyolbrzymił... - Tu Mason gorąco zaprotestował. - Rozjątrzył ... i obalamucił publiczność... Śmiem twierdzić, że nie znajdziemy dwunastu przysięgłych, którzy by umieli osądzić go bezstronnie.

- Nonsens! - zawołał Mason gniewnie. - Jak to? Sami dziennikarze przecież zebrali więcej materiału obciążającego niż ja. Ogólnie wiadome fakty wywołały to uprzedzenie do oskarżonego. Ja tyle wiem i utrzymuję, co inni. Jeżeli sprawa zostanie przeniesiona do innego okręgu, dokąd większość tutejszych świadków będzie musiała jechać, okręg nasz narażony będzie na wielkie koszty, których ponieść nie będzie w stanie, i zresztą nie jest to konieczne.

Oberwaltzer spokojny i zrównoważony urzędnik, zawsze gotów był zgodzić się z konserwatywnym ujęciem sprawy, więc i teraz przychylił się do stanowiska Masona. Po pięciu dniach namysłu odpowiedział obrońcom odmownie. Jeżeli zresztą przegrają sprawę, mają jeszcze w odwodzie sąd apelacyjny. Wyznaczył więc termin rozprawy na piętnasty października. Dostyc mają czasu na przygotowanie obrony - pomyślał sobie, po czym udał się na resztę lata do Blue Mountain Lake, gdzie oskarżyciel i obrońcy, w razie gdyby zaszły jakieś komplikacje, mogli go zawsze znaleźć.

Odkąd adwokaci zajęli się sprawą, Mason podwoił starania, żeby jego wysiłki mające na celu udowodnienie winy Clyde'owi nie poszły

na marne. Obawiał się młodego Jephsona prawie tyle samo, co i Belknapa. Do pomocy zarezerwował sobie Burtona i Earla i pojechał z nimi do Lycurgus po dalsze dowody winy Clyde'a. Tam dowiedział się: 1) gdzie Clyde kupił aparat fotograficzny, 2) że na trzy dni przed wyjazdem powiedział pani Peyton, iż zamierza wziąć ze sobą aparat, 3) że w Lycurgus jest sklep z konfekcją męską, którego właściciel, Orrin Short, opowiedział pod wielkim sekretem Burtonowi, iż cztery miesiące temu Clyde Griffiths zapytywał go o radę, jak ma pozbyć się płodu żona pewnego robotnika; opowiedział dalej, że on mu poradził udać się do doktora Glenna, 4) że wyszukawszy doktora Glenna dowiedziano się, iż istotnie była u niego Roberta, której rysopis podał, Clyde'a jednak nie widział, gdyż jej nie towarzyszył, ale powiedział przy tym, jaki straszny rozstrój nerwowy miała Roberta oraz powtórzył jej opowiadanie, z którego można by wywnioskować, że i ona nie była bez winy, o czym jednak Mason wolałby na razie nie wiedzieć; wreszcie 5) po długich poszukiwaniach odnaleziono kapelusznika, który sprzedał Clyde'owi kapelusz w Utica; stało się to zupełnie przypadkowo: kiedy Burton zjawił się w Utica, miejscowe pismo czym prędzej postarało się o wywiad, który został opublikowany wraz z portretem jego i Clyde'a; kapelusznik poznał swego klienta, skomunikował się z Masonem i zeznanie jego, spisane i opatrzone własnoręcznym podpisem, znalazło się w teczce prokuratora.

Prócz tych nowych, rewelacyjnych wprost dowodów otrzymał Mason list od owej wiejskiej dziewczyny, która z takim zachwytem przyglądała się Clyde'owi na statku "Cygnus". Pisała, że pamięta doskonale młodzieńca w słomkowym kapeluszu, który wysiadł w Sharon. Był to jeden dowód więcej, zgadzający się zresztą z zeznaniem kapitana, i Mason widział w tym palec Opatrzności, który mu najwyraźniej wskazywał drogę.

W końcu przyszło jeszcze niesłychanie ważne zeznanie od pewnej kobiety mieszkającej w Bedford w Pensylwanii, która pisała że od trzeciego do dziesiątego lipca bawiła ze swym mężem nad jeziorem Big Bittern. Ósmego lipca, około szóstej wieczorem, oboje z mężem wypłynęli łodzią i wówczas usłyszała krzyk - dziewczęcy, żalony, śmiertelny krzyk. Brzmiał dosyć słabo z oddali, z drugiej strony wyspy.

Mason postanowił zatrzymać przy sobie na razie wszystkie te wiadomości, o aparacie i zdjęciach w nim się znajdujących, o sprawie Clyde'a w Kansas City, i podać je do wiadomości publicznej dopiero przed samym procesem albo na samej sprawie i uniemożliwić w ten sposób obronie odparcie tych dowodów lub ich złagodzenie.

Obaj obrońcy niewiele mieli na razie do roboty prócz wbijania Clyde'owi w głowę, na czym ma polegać jego obrona. Znalaziono już w jeziorze koło Willi Cranstonów garnitur, wyczyszczono go, odprasowano i powieszono w zamkniętej na cztery spusty szafie w biurze obu współników. Poszukiwano również aparatu, lecz go nie znaleziono, co nasunęło Jephsonowi myśl, że Mason już się nim zaopiekował. Należy więc to wziąć pod uwagę.

Co do znaków na twarzy Roberty, postanowiono stanowczo utrzymywać, że Clyde jej nie uderzył, nawet przypadkowo, chociaż po ekshumacji ciała Roberty, przekonano się, że znaki te mogły być wywołane tylko uderzeniem aparatu.

Tak bardzo jest wątpliwe, czy ktokolwiek zechce uwierzyć, aby uderzenie Clyde'a mogło być przypadkowe... Wszystko zależało od tego, czy sędziowie skłonni będą mu w ogóle uwierzyć, w zmianę jego nastroju, uczuć itp. Gdyby zaś nie znalazł u nich wiary, odrzucą również nieumyślne uderzenie. I wyrok skazujący gotowy!

Przygotowywali się więc już po trosze do procesu, starając się tymczasem uzyskać świadectwa o Clydzie jako o młodzieńcu mogącym się szczycić uczciwym charakterem, chociaż to z trudem przychodziło, bo jakkolwiek w Lycurgus miał dobrą opinię, jednakże fakty świadczyły, że prowadził podwójne życie. W Kansas City też na samym początku swej kariery musiał uciekać z obawy przed więzieniem.

Była wszakże pewna okoliczność, na którą zarówno obrońcy jak i oskarżyciel zwrócili uwagę, że nikt z jego krewnych ani bliższej rodziny nie zjawił się u Clyde'a, co prawda nikomu prócz swych obrońców nie przyznał się, gdzie mieszkają jego rodzice.

Belknap i Jephson zastanawiali się długo, czy nie warto byłoby zawiadomić jego rodzinę, żeby ktoś z najbliższych, jeżeli nie ojciec, to matka lub ktokolwiek z rodzeństwa przemówił za nim do serc ludzkich. Każdy bowiem, widząc jego osamotnienie, może uważać go za jakiegoś pariasa, za wyrzutka społeczeństwa, do którego nikt nie chce się przyznać.

Poszli naradzić się w tej kwestii z Brookhartem. Dowiedzieli się od niego, że między tutejszymi Griffithsami a drugą ich linią leży zbyt wielka przepaść, aby przybycie rodziców Clyde'a mogło sprawić przyjemność możnemu rodowi Griffithsów w Lycurgus. Obawiano się zresztą prasy, która dowiedziawszy się o istnieniu rodziców oskarżonego potrafiłaby należycie wykorzystać tę wiadomość. Brookhart nadmienił jeszcze, że i Samuel Griffiths, i jego syn są bardzo zadowoleni, iż Clyde nic nie wspomina o swych koneksjach i o krewnych. Brookhart ma nawet wrażenie, że od tego właśnie, w pewnej przynajmniej mierze, zależy ich pomoc finansowa w tej sprawie.

Clyde więc postępował zgodnie z życzeniami Griffithsów, nie wspominając nigdy ich nazwiska, nikt wszakże nie mógł wątpić w jego uczucia dla matki. Jakże martwił się wiedząc, ile bólu i cierpień jej sprawił. Nie można było wątpić w ścisły związek krwi i uczuć, wiążący go z jego rodzicielką. Znać było, że miota nim wstyd i obawa, jak przyjmie ona jego moralny i społeczny upadek. Czy uwierzy w całą tę historię, preparowaną przez Belknapa i Jephsona, czy wierzy w rzekomą zmianę jego uczuć przed fatalną chwilą? Jakże będzie mógł spojrzeć w jej jasne, pytające, udręczone oczy, jeżeli tu przyjdzie? Jakże on, obwiniony o tak straszną zbrodnię, będzie mógł z nią rozmawiać przez tę straszną kratę? Jakże będzie nieszczęśliwy, gdy ujrzy w jej oczach zwątpienie. Bo czyż może mu uwierzyć, jeżeli jego obrońcy mimo obmyślonych głęboko argumentów, które mieli umieścić w obronie, niezbyt wierzą w jego nieumyślne uderzenie? Tak, nie wierzą mu i ich wątpliwości mogą się udzielić matce! Czyż jego matka, pobożna, bogobojna, o niewinnym sercu; bardziej byłaby łatwowierna niż oni?

Kiedy go więc zapytano, czy chce, aby zawiadomiono rodziców,

odpowiedział, że nie może jeszcze spojrzeć w oczy matce i uważa, iż byłoby to dla obojga zbyt wielką męką.

Na szczęście, jak się domyślał, nie doszła jeszcze rodziców w Denver wiadomość o jego uwięzieniu. Hołdując religijnym zasadom nie dopuszczali w swe progi żadnego pisma traktującego o sprawach światowych, a nikt z ich krewnych w Lycurgus nie pomyślał, aby ich zawiadomić o nieszczęściu.

Pewnego wszakże wieczora Esta, która już wyszła za mąż i mieszkała oddzielnie, przeczytała w "The Rocky Mountains News" anons:

Młody, wytworny młodzieniec oskarżony o zabójstwo robotnicy

Bridgeburg, 6 sierpnia. Gubernator Stouderback zwołał posiedzenie sądu w sprawie Clyde'a Griffithsa - bratanka bogatego przemysłowca, właściciela wielkich warsztatów w Lycurgus - oskarżonego o zabicie Roberty Alden, pochodzącej z Biltz. Morderstwo popełnione zostało dnia 8 lipca br. na jeziorze Big Bittern.

W odpowiedzi na to oskarżenie Griffiths mimo obciążających go dowodów wyparł się udziału w zbrodni twierdząc, że śmierć Roberty Alden nastąpiła wskutek wypadku. Za pośrednictwem swych obrońców, Alvina Belknapa i Reubena Jephsona, prosi o uniewinnienie. Sprawa jego odbędzie się 15 października.

Młody Griffiths liczy zaledwie dwadzieścia dwa lata i do dnia uwięzienia należał w Lycurgus do najwytworniejszego towarzystwa. Oskarżony jest o ogłuszenie i utopienie swej kochanki, robotnicy z warsztatów Griffithsa. Uwiódł ją, a potem zamierzał porzucić, aby ożenić się z osobą posiadającą wielki majątek. Obrońców jego opłaca jego bogaty stryj, Samuel Griffiths, który sam jednak trzyma się od sprawy z daleka.

Jak nam wiadomo, nikt z bliskich mu osób nie przemówił dotychczas w jego obronie.

Esta przeczytawszy to pośpieszyła czym prędzej do matki. Mimo

zupełnie wyraźnej wiadomości nie chciała uwierzyć, że chodzi o ich Clyde'a. Wszystko jednak się zgadzało: i Lycurgus, i bogaci Griffithsowie, i nieobecność rodziny...

Szybko zajęła taksówką przed dom rodziców na Bidwell Street, gdzie mieściła się misja i pokoje umeblowane pod firmą "Gwiazda Nadziei". Obecne siedlisko Griffithsów niewiele lepiej się prezentowało niż dawniejsze ich mieszkanie w Kansas City. Ponieważ było tam kilkanaście pokoi dla przyjezdnych, którzy płacili dwadzieścia pięć centów za noc, uważano, że interes ten daje utrzymanie całej rodzinie, tymczasem było z tym więcej kłopotu i pracy niż dochodu.

Frank i Julia nie mogli znieść dłużej tego bezładnego, nieregularnego życia, wyzwolili się spod skrzydeł macierzyńskich i zajęli się pracą poza domem, cały ciężar prowadzenia misji pozostawiając rodzicom. Dziewiętnastoletnia Julia była kasjerką w restauracji, siedemnastoletni Frank dostał pracę w domu handlowym, dostarczającym owoców i warzyw do miasta. Pozostało tedy w domu Griffithsów jedyne dziecko, maleńki Russel, nieprawy syn Esty, który teraz miał już czwarty rok i przedstawiony był przez dziadków jako sierota, adoptowany przez nich w Kansas City. Milutki ten, o ciemnych włosach chłopczyzna podobny był do Clyde'a i już w tak wczesnym wieku musiał uczyć się pierwszych zasad wiary, co niegdyś tak drażniło jego wuja.

Esta weszła więc do mieszkania rodziców i zastała matkę zajęłą sianiem łóżek. Ujrawszy córkę o tak niezwyklej porze, bladą, stanęła zdumiona. Jakkolwiek w różnych ciężkich kolejach życia przywykła już do niezbyt wesołych niespodzianek losu, teraz jednak niepokój wyjrzał z jej oczu.

Co się stało? Jakież znowu nieszczęście ich spotkało? Esta skinieniem ręki wezwała ją do drugiego pokoju. Co to za tajemnica?

W oczach Esty wyczytała przerażenie i zapowiedź nieszczęścia. W rękę trzymała gazetę, którą zaraz rozłożyła przed matką i rzuciwszy na nią współczujące spojrzenie, wskazała palcem wiadomość.

Co to takiego?

Młody, wytworny młodzieniec oskarżony o zabójstwo...

...o zabicie Roberta Alden... na jeziorze Big Bittern... mimo obciążających dowodów wyparł się udziału w zbrodni... prosi o uniewinnienie. Sprawa odbędzie się 15 października... Oskarżony o ogłuszenie i utopienie swej kochanki... nikt z bliskich mu osób nie przemówił...

Oczy jej bezwiednie wybierały najważniejsze zdania, potem szybko przebiegły po nich raz jeszcze.

...Clyde'a Griffithsa - bratanka bogatego przemysłowca, właściciela warsztatów w Lycurgus...

Clyde! jej syn! I to teraz... nie! przed miesiącem... A ona tak się martwiła, że tak dawno nie... Ósmego lipca! a teraz jest jedenasty sierpnia... No tak... Ależ to nie jej syn! To niemożliwe! Clyde zabiłby swoją kochankę? Ależ to niepodobne do niego. Pisał przecież do domu, że tak mu się dobrze powodzi... że jest szefem wydziału... że ma przyszłość przed sobą... Nic nie pisał o żadnej dziewczynie... Czyżby?... Ale miał także i w Kansas City dziewczynę... Boże Wielki! A ten Griffiths, brat jej męża w Lycurgus, wiedział o tym i nic nie napisał... Wstydzą się teraz... są oburzeni, na pewno... Obojętni zupełnie! Ach, nie! dał mu przecież dwóch adwokatów... O, Boże! Asa! dzieci! Gazety o tym rozgłoszą! A misja? Będą musieli wszystko rzucić i znów wędrować gdzie indziej... Czy on jest winien, czy nie? Musi, musi koniecznie dowiedzieć się prawdy jeszcze przed sprawą... Piszą, że wypiera się zbrodni... Ach, winien wszystkiemu ten wielki, bogaty hotel w Kansas City! Ci źli chłopcy!... Albo te dwa lata, kiedy wędrował z miasta do miasta i uchodził za Harry'ego Teneta... Co wtedy robił? Czego się nauczył? Czym nasiąkł?

Myśli uciekły z głowy, przez chwilę stała odrętwiała, przytłoczona bólem i zgrozą, nie czując w sobie ani żdźbła ufności, by te pogrzipiające zasady, które zawsze głosiła, ta łaska Boża, to

zbawienie mogły ją obronić i przynieść ulgę. Jej syn! Clyde! W więzieniu, oskarżony o zbrodnię! Trzeba zatelegrafować... Napisać... Nie, pojedzie sama... Ale skąd wziąć pieniądze? Co ma powiedzieć, co zrobić, gdy tam przyjedzie? Skąd ma czerpać odwagę... wiarę, by wytrzymać ten cios, skąd? Asie nic! ani słowa! Julia i Frank też nie

powinni dowiedzieć się o tym... Jakże mówić Asie? Jakże on to zniesie z tą wiarą tak zażartą, z tymi oczyma nieśmiały i znużonym czołem... A dzieciom?... Zaraz na progu ich życia tak ich zasmucać... tak ich napiętnować... Wielki Boże, czyż jej nieszczęściom nie będzie końca?...

Esta ze współczuciem patrzyła na tę twarz zgnębioną, na spracowane ręce, w których drżała gazeta. Ileż cierpień w swym życiu ta kobieta znieść musiała, ile razy serce jej krwawiło! A jednak była najsilniejsza z całej rodziny. Taka zawsze odporna, tak urągająca ciosom losu, że uważano ją za prawdziwą przewodniczkę całej rodziny w tej ziemskiej wędrówce.

- Mamo - odezwała się Esta nieśmiało - nie mogę uwierzyć, żeby to był Clyde... To niemożliwe...

Lecz matka nie odrywała jeszcze oczu od gazety. Wreszcie szybkim spojrzeniem obrzuciła cały pokój. Na szeroką, zbladłą śmiertelnie twarz wypełzło cierpienie i straszny, tajony ból.

Jej syn - występny, czerpał złe przykłady z życia i teraz... ach, teraz... grozi mu śmierć! Taki ambitny i... będzie skazany na śmierć! Na śmierć... za morderstwo... Ach, za morderstwo! Zabił!

Tak... zabił jakąś biedną dziewczynę... robotnicę...

- Ciiicho! - szepnęła, kładąc palec na ustach. - On... - miało to oznaczać Asę - nie powinien dowiedzieć się o tym... wcale. Trzeba zaraz napisać albo zatelegrafować... zaraz. Odpowiedź może przyjść do ciebie... Dam ci pieniądze... Ale... ale ja muszę usiąść na chwilę... tak mi słabo... Usiądę sobie tutaj... Daj mi Biblię.

Na małym nocnym stoliczku leżała Biblia. Griffithsowa przysiadła

na brzegu prostego, żelaznego łóżka, wzięła księgę i otworzyła ją od razu na psalmie trzecim i czwartym.

"Panie, jako się namnożyło nieprzyjaciół moich"

"Przyjmij Panie w uszy swe słowa moje i wyrozumiej dolegliwości moje".

I czytała psalmy w milczeniu, na pozór nawet spokojnie, nie zwracając uwagi na Estę, która stała w zdumieniu.

- Mamo! mammo! nie mogę w to uwierzyć... to straszne, naprawdę straszne!

Lecz Griffithsowa czytała dalej, jak gdyby odgradziła się od całego świata w jakimś spokojnym ustroniu, gdzie żadne zło ludzkie dosięgnąć jej nie mogło.

Po dłuższej chwili spokojnie zamknęła księgę, wstała i zwróciła się do Esty: - Teraz musimy się zastanowić, co napisać i do kogo wysłać telegram. Może do... Clyde'a. Tak, naturalnie... tam... gdzie go trzymają... Do Bridgeburga - dodała zaglądając do gazety i zacytowała werset z Biblii: - "Straszliwymi sprawami odpowiesz nam w sprawiedliwości swej, Panie". A może do tych dwóch prawników... Nazwiska ich są wydrukowane. Boję się telegrafować do brata Asy, bo on gotów odpowiedź przysłać do niego. - I znowu: "Tyś mym przedmurzem, ostoją moją Panie! W tobie ufność pokładam". Myślę wszakże, że oddadzą mu chyba telegram, jeżeli go wyślemy do sędziego albo do tych adwokatów... jak sądzisz? A może by lepiej było wysłać wprost do niego? ("Prowadzi mnie Pan przez spokojne wody"...) Trzeba napisać, że jestem gotowa stanąć przy nim, że mu wierzę i kocham go zawsze, tylko powinien mi wyznać prawdę i poradzić mi, co mam dalej robić. Może potrzebuje pieniędzy... Musimy wystarać się dla niego... ("On uspokoi moją duszę"...)

Naraz załamała swe wielkie, szorstkie ręce.

- Nie! to nie może być prawdą! Boże! to niemożliwe! Przecież to mój syn! Wszyscy go kochamy... wierzymy mu!... Będziemy świadczyć

za nim! Tak, wola Boża wyswobodzi go... Czuwajmy i módlmy się... Miejmy nadzieję... Pod Jego skrzydłami opiekuńczymi znajdziemy otuchę... "

Była prawie nieprzytomna i nie wiedziała nawet, co mówi. Esta jednak jej odpowiadała:

- Tak, mamó. Naturalnie. Trzeba tak zrobić. Wiesz przecie, że on będzie wolny... - lecz w głębi duszy myślała: - Boże, Boże! już chyba nic gorszego być nie może! Oskarżony o zbrodnię... Ale naturalnie to nie może być prawda... to nie może być prawda! Gdyby tak się dowiedział... - pomyślała o swym mężu - albo ten mały Russel... Ale i w Kansas City Clyde miał też przykrą sprawę... Biedna mama! Tyle na nią nieszczęść...

Aby nie spostrzegł ich Asa sprzątający przyległy pokój, wysunęły się po cichu do sali misyjnej, gdzie miały ciszę, a przed oczyma dużo napisów sławiących miłosierdzie, mądrość i sprawiedliwość Bożą.

Rozdział XVIII

Telegram został wysłany na ręce panów Belknapa i Jephsona. Oddali go Clyde'owi i poradzili, żeby odpisał matce, aby się nie martwiła, gdyż wszystko idzie dobrze; obrońców ma dobrych, którzy starają się wykazać jego niewinność, radzą jednak, aby nikt z rodziny na razie nie przyjeżdżał, gdyż niczyja pomoc na nic się nie przyda.

W tym samym mniej więcej sensie napisali również sami do matki Clyde'a.

Telegram ten przyszedł do kancelarii obrońców w chwili, gdy było tam parę osób interesujących się sprawą Griffithsa. Belknap i Jephson skorzystali z tego i odczytali telegram głośno; w ten sposób zupełnie nieurzędowo dostała się wiadomość do prasy, która coraz częściej wyrażała zdziwienie, że nikt z rodziny Clyde'a o niego się nie troszczy.

Zupełnie naturalnym porządkiem rzeczy zjawili się czym prędzej reporterzy w Denver, spragnieni poznać jak najwięcej intymnych szczegółów z życia Clyde'a. Ukazały się zaraz artykułki opisujące całą rodzinę Griffithsów, ich ciasne, wysoce indywidualne zapatrywania i wierzenia, działalność misyjną i prawie wszystkie koleje ich życia.

Griffithsowa, uczciwa, szczerą kobietą, która święcie wierzyła w zbawienną działalność misji, bez wahania opowiadała każdemu reporterowi wszystkie szczegóły. Opowiadała, że część swej pracy misyjnej wykonywali wraz z dziećmi na ulicach miasta, śpiewając przechodniom i głosząc im zasady wiary. Clyde również, aczkolwiek niechętnie, śpiewał z nimi pobożne hymny na ulicy Kansas City. Tak, ani Clyde, ani żadne z jej dzieci nie miało jasnego, wesołego dzieciństwa. Chłód i głód nierzadko im dokuczały.

Chłopiec jej wszakże nie miał nigdy złych skłonności, nie rozumie więc skąd tak ciężkie oskarżenie mogło paść na niego. Nie uwierzy nigdy, żeby mógł popełnić zbrodnię, pewna jest, że musi to być zbieg jakichś nieszczęśliwych okoliczności, które wyjaśnią się rychło. Jeżeliby jednak miał popełnić istotnie jakieś szaleństwo, to przyczyną tego może być nagły ich wyjazd z Kansas City. Przed pięciu laty musieli tam na skutek nieszczęśliwego wypadku przerwać prace misyjne, przeprowadzić się do Denver i pozostawić Clyde'a na łasce losu. Wówczas ona sama radziła synowi, aby napisał do brata jej męża, mieszkającego w Lycurgus, z prośbą o zajęcie się nim.

Można sobie wyobrazić, z jakim niesmakiem przyjęło zwierzenia prostodusznej Griffithsowej całe wytworne towarzystwo w Lycurgus.

Czytając w pismach relacje matczyne, Clyde czuł się dotkliwie

urazony i napisał do matki list z wymówkami.

Po co tak szczegółowo opowiada wszystkim o ich przeszłości i o tej misji? Dlaczego mówi, że on też brał w tym udział, kiedy wie, że zawsze buntował się przeciw temu, że nie chciał chodzić z nimi po ulicach, że sprawiało mu to przykrość. Jego znajomi nie wiedzieli wcale, czym zajmują się jego rodzice... co teraz będą o nim sądzić? Zniechęcą się do niego zupełnie.

Po co matka mówiła o tym? Sandra dowie się teraz o wszystkim... wszystkim. A tak starannie ukrywał swą przeszłość i miał nadzieję, że nikt nigdy o tym się nie dowie.

Mimo żalu do matki nie osłabło w nim wszakże uczucie i szacunek dla niej, a ze wzruszeniem myślał zawsze o jej ufności i miłości ku niemu.

Na list odpisała, że przykro jej bardzo, iż dotknęła jego uczucia, a może nawet wyrzuciła mu krzywdę. Czyż prawda jednak nie wyjdzie zawsze na jaw? Boskie drogi są zawsze niezawodne i kto nimi kroczy, nigdy mu się krzywda nie stanie. Niech więc syn jej nigdy nie żąda od niej kłamstwa... Jeżeli będzie chciał, niech do niej napisze, ona postara się o pieniądze i przybędzie mu pomóc. Chętnie zamknie się z nim w celi i trzymając jego ręce będzie go pocieszać...

Clyde jednak nie chciał, nie śmiał, nie czuł się na siłach spojrzeć w te jasne, czyste oczy, żądające od niego prawdy.

Czekał go proces. Groźna jak olbrzymia bazaltowa skała nad burzliwym, gniewnym morzem zbliżała się ku niemu jego sprawa sądowa. Musi stanąć przed sądem, wysłuchać ciężkiego oskarżenia Masona, któremu odpowie kłamstwami, uknutymi na jego korzyść przez Belknapa i Jephsona. Chociaż bowiem starał się uspokoić sumienie przekonaniem, że nie byłby zdolny uderzyć Roberty, jednak historię zmyśloną przez obrońców dziwnie trudno było mu podać za swoją. Wiedzieli o tym Belknap i Jephson, często więc zaglądali do celi Clyde'a z zapytaniem:

- No, jakże z tym będzie?

Ach, ta postać Jephsona w osobliwie skrojonym i osobliwie znoszonym ubraniu... Zbójceki jakiś kapelusz, ponuro wciśnięty na oczy... Te ręce, długie, węzłowate, kościste, znamionujące wielką siłę... I to twarde, czujne spojrzenie przebiegłych niebieskich oczu, którymi się starał zaszczepić odwagę w duszy Clyde'a...

- Cóż, nie było dziś żadnego kaznodziei, żadnej wiejskiej dziewczeczki albo któregoś z chłopców Masona?

Od samego bowiem dnia uwięzienia, dzięki niezwykłemu rozgłosowi towarzyszącemu sprawie, w której jawiły się jakże ciekawe dwie postacie: utopionej kochanki i jej bogatej, pięknej rywalki, Clyde narażony był ciągle na wizyty różnych podejrzanych kauzyperdów, doktorów, kupców, misjonarzy z dzikich krajów, przyjaciół i znajomych urzędników sądowych, którzy zjawiali się przed jego drzwiami i spoglądając ciekawymi, czasem pełnymi gniewu a nawet zgrozy oczami rzucali pytania:

- Czy się modlisz, bracie? Czy modlisz się na klęczkach?

Albo rozmawiali ze sobą:

- Czy też on pojednał się z Bogiem? Czy naprawdę nie przyznaje się, że zabił Robertę Alden?

Czasem znów zapytywało go jakieś skromne dziewczę:

- Czy pan nie może nam podać nazwiska tej damy, w której się pan podobno kochał? Gdzie ona teraz jest? Nie powiemy o tym nikomu.

Czy ona będzie na sprawie?

Clyde najczęściej nie odpowiadał na takie pytania albo jeżeli dawał odpowiedzi, to tak wymijające lub dwuznaczne, że nikt niczego się nie dowiedział. Miał nieraz ochotę nawymyślać im wszystkim, lecz panowie Belknap i Jephson wbijali mu ciągle w głowę, że dla własnego dobra powinien okazywać spokój, wesołość i

swobodę.

Przychodzili również dziennikarze w towarzystwie różnych fotografów. Robili wywiady i zdjęcia. Z tymi jednak, za radą obrońców, nie rozmawiał wcale lub odpowiadał na takie tylko pytania na które mógł odpowiedzieć.

- Możesz pan mówić, rozmawiać, ile tylko chcesz, tylko uważaj pan, żebyś za dużo nie powiedział - uczył go Jephson.

- Język za zębami, rozumiesz pan! i zawsze z uśmiechem... i nie przekraczać listy...

Dał Clyde'owi długą listę pytań, którymi przypuszczalnie mogli go odwiedzający zasypywać, i wolno mu było tylko odpowiadać słowami, wypisanymi poniżej. Wolno mu było także urozmaicać je dowcipami. Wszystkie pytania dotyczyły wycieczki na Big Bittern, drugiego kapelusza, zmiany uczuć itp.

- Masz pan swoją litanię i tylko podług niej odpowiadaj - mawiał Jephson i zapalał papierosa, nigdy jednak nie częstował nim Clyde'a, gdyż ten chcąc zyskać sobie opinię wstrzemięzliwego nie palił tu wcale.

Po każdej takiej wizycie Clyde uważał, że stosując się do wskazówek Jephsona kroczy ku wyzwoleniu i wychodził rażno z dozorcą na podwórze, nabierał odwagi, patrzył śmiało wszystkim, nawet samemu Masonowi w oczy, zapominał, że powinien się obawiać, zapominał o wszystkich dowodach winy, które Mason miał w rękę, zapominał o Robercie, jej ostatni krzyk cichł mu w uszach i ulatniały się wszelkie troski, a z nimi myśl o utracie Sandry.

Jeżeli jednak miał noc źle przespaną lub w ciągu dnia zjawił się u niego brodaty Kraut, przebiegły Sissel albo i obaj razem, gdy rzucali mu ode drzwi wesole "dzień dobry" i opowiadali potem nowinki miejskie, gdy wreszcie któryś z nich zostawał na partię szachów, wówczas Clyde posepniał, gryzł się, tracąc zupełnie nadzieję.

Jakże jest osamotniony! Nikogo z życzliwych przy sobie nie ma, tylko tych zainteresowanych adwokatów... Tak, ma matkę i rodzeństwo, lecz jakże daleko! Ani słowa od Sandry - zupełnie naturalne...

Gdy pierwsze straszne wrażenie minęło nieco, Sandra zaczęła z innego punktu rozpatrywać tę sprawę. Może Clyde zabił dawną swą kochankę z miłości dla niej? Dla niej stał się wyrzutkiem społeczeństwa?...

Znając wszakże swój świat, jego przesady, jego uprzedzenia, nie miała odwagi napisać do Clyde'a. Był przecież zbrodniarzem... A przy tym prasa tak malowniczo opisała jego rodzinę, odprawiającą jakieś misje na ulicach... i jego też... jako śpiewaka ulicznego!

Wracało jednak bezwiednie wspomnienie jego gwałtownej, gorącej, nierozsądnej miłości. Jak namiętnie musiał ją kochać, jeżeli mógł popełnić tak straszny czyn! Często o tym myślała. Gdyby ta sprawa nie zainteresowała tak bardzo opinii publicznej, mogłaby się z nim w jakiś ostrożny sposób skomunikować, dać mu znać, że nie jest zupełnie zapomniany. Tak, trzeba.

Lecz nie! nie!... rodzice... mogą się dowiedzieć... albo domyślić... albo ktoś z obcych... Nie, nie teraz... przynajmniej nie teraz. Może później, gdy go uwolnią... albo... albo... - nie mogła dokończyć - skazą...

Serce wspominało i kurczyło się boleśnie, chociaż wielki wstręt wzbudzała w niej zbrodnia, przez którą chciał ją zdobyć.

Clyde tymczasem chodził tam i z powrotem po swojej celi, wyglądał na pusty plac przez gęsto okratowane okna, czytał kilkakrotnie te same gazety, przerzucał pisma ilustrowane i książki, dostarczone przez Jephsona, grał w szachy i warcaby; jadał, co mu przynoszono, a posiłki miał lepsze i pożywniejsze na zlecenie stryja, jednak nigdy nie opuszczała go jedna myśl: że bezpowrotnie utracił Sandrę.

Czasami nocą, przed samym świtem, w ciszy więziennej rodziły się

chwile pełne przerażeń, stawał wtedy przed nim upiorny obraz tego, czego się obawiał najstraszniej, co mu zapierało dech, gasiło ostatni okrucuch odwagi, od czego serce biło, jakby miało pęknąć, oczy rozszerzały się, zimny pot pokrywał twarz i ręce.

Fotel... fotel w kaźni więziennej.

Czytał nieraz o tym, jak ludzie na nim umierają. Zrywał się z posłania, biegał po celi, szalone myśli błyskawicznie przelatywały mu przez głowę. Co robić?... co robić, jeżeli go nie uniewinnią... jeżeli zostanie skazany, a apelacja zostanie odrzucona?... Może... może by wymknąć się jakoś z więzienia... uciec... Ale jak? Takie stare, kamienne mury... Jakże one muszą być grube!... Może by jednak młotem... kamieniem... czymś takim, co by je mogło rozbić... Może by ktoś... Frank może... albo Julia... Ratterer, Heglund... żeby tylko mógł się z nimi skomunikować. Gdyby miał piłę... przepiłowałby te kraty! A potem uciec... uciec w te lasy gęste, nieprzebyte... Lecz którądy... dokąd?

Rozdział XIX

Nad miastem zawisły ciężkie, ciemne chmury. Ostry wiatr, zapowiedź surowej zimy, zawzięcie zmiatał w sterty uschłe, żółte liście i natychmiast rozdmuchiwał je w różne strony, unosząc wysoko w powietrze, gdzie wyglądały jak spłoszone ptactwo.

Ponure więzienie, z którego wylaniała się przerażająca wizja elektrycznego krzesła, kładąc na całe otoczenie złowrogie piętno, nie na wszystkich wszakże działało odstręczająco. Tłumy farmerów, gajowych, kramarzy, kupców, z całymi rodzinami, nierzadko nawet z niemowlętami przy piersi, zjeżdżały się swymi fordami lub

buickami, żadne sensacji. Prawie od świtu plac więzienny zapełniał się szczerlnie, a na godzinę przed rozpoczęciem sprawy tłumy obległy bramę więzienną, licząc, że uda się rzucić okiem na oskarżonego i dostać lepsze miejsce w sali. Na gzymsach i rynnach gmachu całe stada gołębi przechadzały się z ponurą powagą.

Zjawił się już Mason ze swymi urzędnikami, do których prócz Burtona, Burleigha, Earla Newcomba i Zilli Saunders należał jeszcze Manigault, młody prawnik, wielce pomocny przy układaniu listy świadków, powoływaniu ich i załatwianiu interesantów niesłuchanie teraz popularnego prokuratora.

- Pistacje! Kukurydza pieczona! - słyhać było spoza gmachu. -
Kiełbaski gorące! Wzruszająca historia Clyde'a Griffithsa i
Roberty Alden z wszystkimi listami!

Listy leżące w biurku Masona ktoś ukradł (prawdopodobnie maczał w tym palce Burleigh) i wydał je w formie pamfletowej z portretami Clyde'a i Roberty.

Tymczasem w sali konferencyjnej więzienia panowie Alvin Belknap i Reuben Jephson siedzieli obok Clyde'a ubranego w ten sam garnitur który już leżał kiedyś na dnie jeziora. W nowym krawacie, koszuli, butach, wyglądał jak za swych najlepszych czasów w Lycurgus. Jephson był ubrany jak zwykle niedbale, lecz z każdego rysu twarzy, z każdego jego gestu promieniowała jakaś niepospolita siła czy też dziwna moc. Belknap zaś, mający wygląd małomiasteczkowego eleganta, godnie reprezentował obronę.

- Jakże tam, panie Clyde? - zapytał. - Czy nie jest pan zdenerwowany, czy wytrzyma spokojnie wszystkie pytania? Proszę o tym pamiętać, że przez cały czas będziemy przy panu. Usiądzie pan między nami. Powinien pan być uśmiechnięty, okazywać zainteresowanie sprawą albo obojętność, co pan woli, nigdy zaś zaniepokojenie czy trwogę. Nie trzeba mieć miny zanadto zuchwałej albo wesołej, ale niech wiedzą, że pan tej sprawy nie traktuje poważnie, nie przejmuje się nią zbyt. Rozumie pan? Należy zdobyć sobie publiczność dżentelmeńskim wyglądem, pogodą i spokojem, których nie powinien zamącić przestrasz czy niepokój.

Tym bardziej, że nie ma pan powodu bać się czegokolwiek, jest pan niewinny, jakkolwiek taka sprawa nie może być przyjemna. Myślę, że mnie pan dobrze rozumiał.

- O, tak, rozumiałem - odrzekł Clyde. - Będę się tak zachowywał, jak mi pan radzi. Zresztą, nie czuję się winny, nie uderzyłem jej umyślnie, czegóż więc mam się bać?

Spojrzał na Jephsona, na którym zupełnie polegał. Istotnie, słowa, które w tej chwili wypowiedział, były słowami Jephsona. Wkładał mu je on w głowę przez całe dwa miesiące.

Jephson też spojrzał na niego i przysunawszy się bliżej wświdrował się weń swymi błękitnymi, dodającymi otuchy oczyma i szeptał:

- Nie jesteś pan winny! Nie jesteś winny! pamiętaj pan, Griffiths! Zrozum, że to jest ważne, bardzo ważne, i powinieneś lepiej pamiętać, że to jest rzeczywista prawda. Wcale nie miałeś zamiaru jej uderzyć, słyszysz? Przysięgłeś przecież? przysięgłeś przede mną i przed Belknajem! Myśmy ci uwierzyli... Musisz się jednak przygotować na to, że zbyt wiele się zebrało okoliczności obciążających i wpłynąć one mogą na to, iż sąd gotów nie uwierzyć w twoją niewinność, w każdym razie jednak sam wiesz, co jest prawdą, a co nią nie jest. My też o tym wiemy. Ażeby wszakże osiągnąć sprawiedliwy wyrok, nie powiemy na razie nic o tym nieumyślnym uderzeniu. Jakkolwiek to jest prawda, sąd jednak może inaczej na to patrzeć, rozumiesz?

- Rozumiem - odrzekł Clyde, na którego zawsze dobrze działał ten energiczny człowiek.

- Dlatego więc opowiem im historię zupełnie inną. Powiem im o nagłej zmianie pańskich uczuć. Nie będzie to przecież kłamstwo, bo pan zapewniał nas, że w ostatniej chwili nie był zdolny do spełnienia obmyślnego czynu. Trudno może będzie im uwierzyć w taką nagłą zmianę, musimy więc odsunąć ten moment na parę dni przed pańskim wejściem do łódki. Będzie to jedyny argument obrony. A chociaż wiemy, że nie jest to całkowita prawda, sąd nam jednak tego dowieść nie może, a za to, co nie jest dowiedzione, nie wolno

skazywać na śmierć. - Jeszcze raz patrzył w oczy Clyde'owi. - To jedyne wyjście, panie Clyde. To jest tak, jak gdyby ktoś chcąc zapłacić za kartofle czy ubranie zamiast pieniędzy dawał zboże albo groch, bo jakkolwiek ma pieniądze na zapłacenie, jednak sprzedawca twierdzi, że pieniądze są fałszywe. I my więc musimy użyć ziarna i grochu i ofiarować je zamiast pieniędzy i tym tylko możemy dowieść, że nie jesteś pan winny. Przysiągł mi pan, że uderzył ją niechcący, jakkolwiek z początku miał pan ten zamiar. To mi wystarcza. Nie jest pan winny.

Tonem przekonywającym, stanowczym chciał utrwalić w Clydzie przekonanie o braku winy; podniósł mu nieco rondo kapelusza, spojrzał bacznie w ciemne, przesłonięte niepokojem oczy i dodał:

- Jest pan niespokojny i zdenerwowany, a jednak w sądzie, słuchając oskarżenia prokuratora, powinien pan pamiętać i powtarzać sobie: Jestem niewinny! Jestem niewinny! Nie mogą mi dowieść winy i nie dowiodą, chyba że byłbym istotnie winien. A jeżeli nie będzie pan umiał wytrwać w spokoju, spójrz pan wtedy na mnie. Będę koło pana. Jeżeli tylko coś pana zbije z tropu, spójrz pan na mnie - prosto w oczy, tak jak ja teraz patrzę w pańskie. Będziesz pan wtedy pewny, że uczynię wszystko, by pana pokrzepić. Zachowuj się tak, jak się zachowywał się przed nami, przysięgnij, jak się przed nami przysięgał, chociażby to im wydawało się kłamstwem. Nie chciałbym, żebyś zapewniał o tym, czegoś nie zrobił i wówczas nie pozwoliłbym ci przysięgać, Griffiths.

Poklepał go wesoło i przyjaźnie po plecach, a Clyde, bardzo wzruszony, solennie obiecał sobie w duszy, że uczyni wszystko, co mu Jephson radzi.

Jephson wyjął zegarek, spojrzał najprzód na Belknapa, potem przez okno i ujrzał tłumy, podsuwające się prawie pod same schody sądu. Dziennikarze, fotografowie tłoczyli się przy wejściu, nastawiali aparaty, czyhając na chwilę, by uchwycić twarz Clyde'a lub innej jakiejś osoby grającej ważną rolę w tej sprawie.

- To już czas, zdaje się - odezwał się Jephson. - Spójrzcie no

tylko. Chyba cały nasz okręg tutaj się zebrał. Będziemy mieli pełną salę.

A zwracając się do Clyde'a, dodał:

- Niech pana ten tłum nie przeraża. Któż tam jest? Farmerzy przeważnie; zeszli się do miasta, by ujrzeć sensacyjne widowisko.

Obaj obrońcy wyszli, natomiast Kraut i Sissel stanęli jako straż przy Clydzie. Adwokaci przeszli podwórze więzienne i ścigani spojrzeniami i szeptem tłumu weszli do sądu.

Dopiero w pięć minut później wyszedł za nimi Clyde w otoczeniu Krauta i Sissela oraz dwóch policjantów dla obrony przed możliwymi demonstracjami. Oskarżony starał się zachować minę jak najbardziej obojętną i swobodną. Widział dokoła siebie same wrogie, obce twarze mężczyzn w skórzanych płaszczach i czapach lub w ciężkich, znoszonych ubraniach, po których łatwo poznać farmerów. Były tam także ich żony i dzieci.

Clyde był silnie zdenerwowany, gdyż wszyscy patrzyli nań ciekawie z dziwnym jakimś wyrazem na twarzach. W każdej chwili przecież mógł paść strzał rewolwerowy lub cios nożem w piersi. Policjanci z karabinami w rękach dodawali mu wszakże nieco odwagi. Drażniły go krzyki:

- Idzie! idzie! Patrzcie idzie! Kto by pomyślał, że on mógłby zamordować!

Trzask aparatów fotograficznych - opiekunowie przysuwają się bliżej, a ciało obezwładnia skurcz moralny i fizyczny. Nareszcie stopnie wiodące do gmachu sądowego, za drzwiami znowu schody do wielkiej, długiej, ponurej, wysoko sklepionej sali. Tam po obu jej stronach i w głębi widniały wysokie, wąskie okna o cienkich szybach, przepuszczających dużo światła. W jednym końcu było wzniesienie, a na nim ciemne, bogato rzeźbione ławy. Nad wzniesieniem wisiał portret, a na całej sali od początku do końca ciągnęły się szeregi ław, ustawionych amfiteatralnie i już zapelnionych ludźmi, którzy stali nawet w przejściach.

Gdy Clyde wszedł, wszyscy wyciągnęli szyje i utkwili w nim ciekawie oczy. Szmer rozległ się po sali.

Gdy przechodził balustradę, za którą przy stole siedzieli już Belknap i Jephson (a między nimi było wolne krzesło dla niego), słyszał wyraźnie, jak obracały się bez przerwy niezmordowane języki. Czuł na sobie oczy wszystkich, na nikogo jednak nie miał ochoty spojrzeć.

Naprzeciw niego, tuż pod wzniesieniem, siedział prokurator z kilkoma urzędnikami, z których Clyde znał już Earla Newcomba i Burtona Burleigha. Był jeszcze między nimi jeden, którego Clyde widział po raz pierwszy. Poza nimi siedziało kilku mężczyzn i parę kobiet. Byli to sprawozdawcy i artyści graficy. Zwrócili głowy ku niemu i wlepili weń oczy.

Po chwili Clyde, przypomniawszy sobie radę Belknapa, wyprostował się i z wystudiowaną, spokojną miną, o błędnym jednak wzroku, rozejrzał się po sali i spojrzął na dziennikarzy i rysowników, zajętych już portretowaniem. Szepnął:

- Pełna sala, prawda?

Zanim jednak zdążył coś więcej powiedzieć, rozległo się jakieś pukanie i głos:

- Proszę się uciszyć! Sąd wchodzi! Proszę wstać!

Umilkł nagle szmer głosów, nastąpiła zupełna cisza. Przez drzwi w głębi wszedł wysoki, czerstwy mężczyzna w obszernej czarnej todze i skierował się szybko ku fotelowi, stojącemu za stołem. Spojrzął po wszystkich, najwyraźniej nie widząc nikogo, i usiadł, po czym wszyscy usiedli, prócz jednego starszego jegomościa, który stał jeszcze przy mniejszym stole i wołał:

- Uciszcie się! uciszcie! Wszyscy, którzy mają coś do powiedzenia w sprawie przed Sądem Najwyższym stanu Nowy Jork, niech się zbliżą i uważają. Sąd rozpoczyna posiedzenie!

Po chwili ten sam jegomość powstał znowu i oznajmił:

- Stan Nowy Jork przeciw Clyde'owi Griffithsowi.

Wówczas Mason powstał ze swego miejsca i odrzekł:

- Oskarżenie gotowe.

Po czym wstał Belknap i z niezwykłą kurtuazją oświadczył:

- Obrona jest gotowa.

Ten sam jegomość otworzył kwadratową szkatułkę stojącą przy nim, wyjął z niej jakiś papier i wywołał:

- Simeon Dinsmore!

Niski garbaty człowieczek o twarzy łasicy, w ciemnym ubraniu, z dziwnie szponiastymi rękami, szybkim krokiem zbliżył się do pulpitu dla świadków. Mason zaczął go żywo wypytywać, ile ma lat, czym się zajmuje, czy jest kawalerem, czy żonatym, ile ma dzieci i czy uznaje, czy nie uznaje kary śmierci.

Ostatnie to pytanie wzbudziło w nim coś podobnego do urazy, czy też hamowanego wzruszenia, bo zaraz z pewną emfazą odpowiedział:

- Zgłosiłem się tu... z pewnych względów...

Mason uśmiechnął się lekko do Jephsona, który spojrzał na Belknapa, a ten szepnął z ironią:

- I powiadają, że można tutaj sprawę bezstronnie prowadzić!

Mason wszakże czuł sam, że ten uczciwy, tylko zbyt gorliwy w swych przekonaniach farmer zanadto surowo jest usposobiony, więc odezwał się:

- Za pozwoleniem Sądu wyłączam przysięgłego!

Belknap spojrział pytającym wzrokiem na Jephsona, ten kiwnął potakująco głową, wobec czego zbyt przewidujący przysięgły został wyłączony.

Urzędnik znów wyjął z pudła drugi papier i wywołał:

- Dudley Scheerline!

Na to wezwanie wstał szczupły, wysoki mężczyzna, jeszcze młody, schludnie ubrany, i zbliżył się do kratki. Mason na nowo rozpoczął pytania te same, jakie zadawał poprzednikowi.

Clyde tymczasem, jakkolwiek pomny na przestrogi Belknapa i Jephsona, czuł, jak mu z każdą chwilą krew ucieka, że drętwieje i czuje chłód w całym ciele. Rozumiał doskonale, że całe audytorium jest do niego wrogo usposobione. Może między tym zwartym tłumem jest ojciec i matka Roberty, może jest i jej rodzeństwo... Patrzą na niego i cieszą się nadzieją, że odpokutuje ciężko swą zbrodnię. A czyżby nikogo nie było z Lycurgus i Twelfth Lake? Nikt z nich nie skomunikował się z nim ani razu, lecz czyżby nikt nie przyszedł przez samą ciekawość? Może jest Jill albo Gertruda, albo Tracy Trumbull? Może Wynnette Phant z bratem? Ona też była w obozie, gdy go aresztowano...

Myślą przebiegł wszystkich, których poznał w tym roku, a którzy może chcieliby zobaczyć, jak jest poniżony, nędzny, samotny i oskarżony o tak okropną zbrodnię? Uwierzą bez zastrzeżeń w jego straszne zamysły, nie wiedząc i nie dbając nawet o to, ile przecierpiał, ile przeżył obaw i niepokoju, jakie było jego położenie, gdy Roberta nie chciała go uwolnić od siebie. Czy domyślano się, jak bardzo kochał Sandrę i jakie ta miłość miała dla niego znaczenie? Nic ich to nie obchodzi i nie są nawet ciekawi, jak się z tego usprawiedliwi...

Tak, musi za radą swych obrońców siedzieć spokojnie, uśmiechać się, patrzeć swobodnie i każde spojrzenie odpierać z dumą.

Obejrzał się za siebie i naraz uczuł przeszywający ból w sercu.

Boże! kto to? Cóż za podobieństwo!... Na jednej z ław pod ścianą siedzi jakaś dziewczyna... żywy obraz Roberty! tak... tak, to pewnie jej siostra, Emilia, o której ona mówiła... Ale jakież wrażenie! Serce mu prawie zamarło. A może to Roberta... Przeszywa go swymi upiornymi, wszystko już widzącymi oczyma! Koło niej druga dziewczyna, też podobna nieco do niej, a dalej starszy mężczyzna... ojciec Roberty. Tak, to ten sam pokraczny starzec, którego już raz widział przed drzwiami jego farmy. Patrzy przenikliwymi, zmęczonymi oczami, mówiącymi mu wyraźnie:

- Ty, zbrodniarzu! morderco!

Koło niego drobna, wątła kobiecina o łagodnej cierpiącej twarzy. Zamglone, wypłakane oczy utkwiła w źrenicach Clyde'a i natychmiast cofnęła je z wielkim bólem, lecz bez nienawiści.

O, jakże okropne, jakże nędzne jest jego położenie! Serce mu trzepotało w piersiach, ręce się trzęsły.

Aby się opanować, spojrzął przed siebie. Spojrzął na leżące przed nim na stole ręce Belknapa i Jephsona. Każda z nich bawiła się ołówkiem, ich właściciele zaś patrzyli na Masona i na stojącego przed nim człowieka o dziwnie błędnym wzroku. Jakaż różnica między małymi, miękkimi i białymi rękami Belknapa, a długimi, opalonymi, węzłowatymi, kościstymi dłońmi Jephsona. A jakaż różnica między zachowaniem Belknapa, który delikatnie, słodziutko wymawiał miłym głosem: - Myślę, że przysięgłego można będzie przyjąć - a głosem Masona, z którego ust wypadało jak strzał z rewolweru: - Wyłączony! - albo powolnym, lecz silnym szeptem Jephsona: - Usuńmy go lepiej. Nic nam z niego nie przyjdzie.

Naraz Jephson zwrócił się do Clyde'a:

- Siedz pan prosto! rozejrzyj się dokoła! Nie pochylaj się tak!

Patrz

ludziom w oczy, uśmiechaj się swobodnie, jeżeli, oczywiście, masz ochotę się uśmiechać. Patrz im koniecznie w oczy, Clyde. Oni ci nic złego nie zrobią. To tylko farmerzy, którzy się zeszli na

ciekawe dla nich widowisko.

Clyde widział tylko, że jest pod baczna obserwacją reporterów i rysowników, i zaczerwienił się mocno. Domyślał się, co jest w tych słowach rzucanych szybko na papier, co jest w tych oczach, pełnych gorliwości, studiujących każdy jego rys, każdy gest.

Wszystko dla dzienników - jego twarz pobladła i drżące ręce - wszystko tam umieszczą... jego matka w Denver i każdy w Lycurgus będzie czytać i oglądać. Dowiedzą się, jak spojrzał na Aldenów, jak oni wpatrywali się w niego i jak on oczy zwrócił w inną stronę... musi, musi koniecznie wziąć się w karby, usiąść spokojnie i patrzeć swobodnie, bo Jephson może zniechęcić się do niego.

Zdusił w sobie przemożny lęk, podniósł oczy, spojrzał na prawo, na lewo i rozejrzał się po sali. Od razu oczy jego padły na postać, którą tak się obawiał ujrzeć. Był to Tracy Trumbull, który przyszedł tutaj zainteresowany może sprawą z punktu widzenia prawnego, a może tylko przez ciekawość, bo chyba nie przez współczucie i sympatię dla Clyde'a. Patrzył teraz nie na niego na szczęście, lecz na Masona, który zadawał pytania jakiemuś grubemu jegomościowi. Koło Trumbulla stał Eddie Sells, który zaopatrzywszy swe krótkowzroczne oczy w silne szkła zwrócił je w stronę Clyde'a, lecz chyba go nie widział, gdyż nie uczynił żadnego znaku. Ach, jakież to wszystko niemiłe!

O parę rzędów dalej oboje państwo Gilpinowie, których, oczywiście, musiał Mason wynaleźć. Co oni mają do powiedzenia? Czy o jego bywaniu u Roberty? Czy o tym, w jakiej tajemnicy to się odbywało? Nie bardzo to będzie dla niego korzystne, z pewnością... O! są i Newton'owie! A oni co opowiedzą? Pewnie o życiu Roberty, jakie prowadziła, zanim go poznała... A to jest Gracja Marr, którą często widywał, lecz spotkał się z nią raz tylko na Crum Lake. Roberta wcale jej nie lubiła. Cóż ona powie? Opowie naturalnie o tym, jak się spotkał z Robertą, bo cóż by mogła powiedzieć innego? A tam... kto to? Nie, to nie może być! ale chyba tak... tak, na pewno... to Orrin Short, którego prosił o radę, a który go skierował do doktora Glenna. Więc to tak! przyszedł, aby o tym

powiedzieć... z pewnością! Jak to ludzie pamiętają takie rzeczy, nigdy by nawet nie przypuszczała... A tam dalej... za tymi... Aldenami, jakiś wielki, wąsaty jegomość, podobny do kwakra, awansującego na bandytę... tak, to Heit. Widział go w Three Mile Bay, a potem tego dnia, kiedy go wbrew jego woli zawieziono znów do Big Bittern. Tak, to koroner, a koło niego właściciel gospody, który kazał mu się zapisać w gospodzie. Tuż obok nich przedsiębiorca łódek, od którego wynajął łódź. Przy nich wysoki chudy przewodnik, ten sam, który wiozł go z Robertą ze stacji Gun Lodge; teraz w taki prostacki sposób przygląda mu się głęboko osadzonymi, małymi, zwierzęcymi oczami i gotów jest najwidoczniej opisać ze wszystkimi szczegółami ich jazdę z Gun Lodge. Czy też pamięta jego zdenerwowanie i niepokój? Clyde pamięta to doskonale. Jeżeli tak jest, to co może osiągnąć obrona, mówiąc o zmianie uczuć? Może by pomówić o tym jeszcze z Jephsonem?

Mason! Jakże on odstręczająco wygląda... ale jaki jest energiczny! Ile musiał włożyć pracy, żeby odnaleźć wszystkich tych świadków i wydobyć od nich zeznania! Teraz siedzi i przyjmuje przysięgłych, a za każdym razem, gdy zawoła: - Przyjęty! - Jephson odwraca się lekko, nie patrząc nawet, i mówi do Belknapa:

- Nic nam z niego nie przyjdzie, Alvinie. Potrzebny jak dziura w moście!

Belknap zawsze wykwinny i słodki, odrzucał przysięgłego i okazywał zadowolenie, gdy jego zdanie przeważało.

Wreszcie ku wielkiej uldze Clyde'a ów wiekowy urzędnik obwieścił starczym głosem przerwę do drugiej po południu.

Jephson uśmiechnął się do Clyde'a.

- Cóż? dopiero pierwszy akt się skończył - odezwał się. - Nie był chyba taki przykry, co? Trzeba teraz wyjść i najeść się porządnie o zwykłej porze. Popołudnie będzie długie i nudne, przekonasz się pan.

Kraut z Sisselem i policjantami znów otoczyli Clyde'a. I znów tłum

krzyczał:

- Idzie! idzie! tutaj idzie!

A jakaś otyła, rozlana kobieta przecisnęła się przez tłum wołając:

- Chcę na ciebie popatrzeć, chłopczyku. Mam także dwie córki!

Nikt jednak z jego znajomych z Lycurgus ani z Twelfth Lake nie zbliżył się do niego, nikt z tych, których widział w sali sądowej. Oczywiście, Sandry też nie było. Wiedział już co prawda od swych obrońców, że nie mogła przyjść. Nazwisko jej nie było wymienione w akcie oskarżenia i nikt się o niej nie dowie. Sprzeciwili się temu zarówno Griffithsowie jak i Finhleyowie.

Rozdział XX

Przez pełne pięć dni Mason i Belknap wybierali przysięgłych. W końcu dwunastu mężów, od których miał zależeć los Clyde'a, przysięgło i zasiadło na swych ławach. Starzy, siwi, pomarszczeni farmerzy, sklepikarze, agent Forda, właściciel gospody z Tom Dixon's Lake, właściciel magazynu towarów łokciowych, agent towarzystwa ubezpieczeń. Z wyjątkiem jednego wszyscy byli żonaci i z wyjątkiem jednego wszyscy pobożni, prawdopodobnie moralni, i zanim zasiedli na ławie przysięgłych, upewnieni już o winie Clyde'a. Wszyscy jednomyślnie mieli się za ludzi uczciwych i mądrych, a że wybrani zostali na sędziów przysięgłych, więc też uczciwie i bezstronnie rozpatrzą fakty, jakie im zostaną przedstawione.

Wszyscy więc wstali i złożyli przysięgę.

Teraz Mason powstał z miejsca i rozpoczął przemowę:

- Panowie sędziowie!

Clyde i jego obrońcy nadstawili uszu, zaciekawieni, co Mason powie w swym oskarżeniu, trudno bowiem byłoby znaleźć bardziej energicznego i zawziętego oskarżyciela. Trafiła mu się doskonała gratka. Przecież to obywatele Stanów Zjednoczonych patrzają na niego...

- Niezawodnie każdy z was, panowie, jest znużony pracą tych paru dni, gdy z takim staraniem dokonywaliśmy wyboru przysięgłych. Niełatwa to rzecz wybrać dwunastu mężów, którym należy przedstawić wszystkie fakty tej zdumiewającej sprawy, z nimi razem rozważyć je uczciwie i ocenić według paragrafów prawa. Poniosłem ten trud jedynie po to, by sprawiedliwości stało się zadość. Nie wolno nam się rządzić uprzedzeniem, gniewem ani zbytnią surowością. Ja sam do dziewiątego lipca nie wiedziałem jeszcze, że istnieje ten oto młody człowiek i jego ofiara i że popełniona została zbrodnia, o którą jest oskarżony. Przyznam się wam, panowie, że byłem z początku zdumiony i nie chciałem wierzyć, żeby człowiek w jego wieku, dobrze wychowany i mający piękne stosunki, mógł się znaleźć w takim położeniu, mógł być oskarżony o taki haniebny czyn. Stopniowo jednak musiałem zmienić przekonanie i usunąć wątpliwości dzięki wielkiej ilości dowodów. Musiałem go oskarżyć, gdyż sprawiedliwość musi zwyciężyć.

Rozpatrzmy najprzód fakty. Głównym motywem tej zbrodni są dwie kobiety. Jedna już nie żyje, druga - tu zwrócił się w stronę Clyde'a i wskazał Belknapa i Jephsona - po porozumieniu się oskarżyciela i obrońców pozostanie nieznana, nazwisko jej bowiem nie może wpłynąć na tok procesu. Przedstawiam panom te fakty w jednym tylko celu, żeby istotnie sprawiedliwie osądzić tę sprawę. Istotnie sprawiedliwie, panowie, i uczciwie. Gdybyście, panowie sędziowie nie osądzili uczciwie i nie wydali sprawiedliwego wyroku, ludność całego stanu Nowy Jork zupełnie poważnie czułaby się dotknięta. Ludzie patrzają na was, panowie z nadzieją, że wykryjecie prawdę i wydacie sprawiedliwy wyrok.

Tu Mason zrobił pauzę i dramatycznym gestem wyciągnął palec w stronę Clyde'a.

- Stan Nowy Jork oskarża - zatrzymał się na tym słowie, jak gdyby chciał nadać mu najwyższe znaczenie, znaczenie padającego gromu - znajdującego się tu, na ławie oskarżonych, Clyde'a Griffithsa o popełnienie zbrodni morderstwa pierwszego stopnia. Oskarża go, że z całą świadomością, podstępnie, z okrucieństwem, przebiegle zamordował, a potem starał się ukryć przed światem ciało Roberty Alden, córki farmera, zamieszkałego od dawnych czasów w swej farmie niedaleko Biltz, w okręgu Mimico. Oskarża go - tu Clyde za radą Jephsona oparł się wygodnie na krześle i patrzył niewzruszenie w Masona, który też nie spuszczał zeń oczu - że tenże Clyde Griffiths, zanim popełnił zbrodnię, całymi tygodniami przemyślał, w jaki sposób ją popełnić, i robił odpowiednie plany, by z zimną krwią, podstępnie, z całą premedytacją je wykonać. Oczekując sprawiedliwości, stan Nowy Jork przedstawia panom dowody rzeczowe stwierdzające winę oskarżonego. Przedstawię fakty i na tej podstawie wy, panowie, nie zaś ja, wydacie wyrok.

Zatrzymał się znowu i zmienił nieco pozycję, podczas gdy zaciekawione audytorium pochyliło się ciekawie naprzód, chłonąc uważnie każde słowo prokuratora. Mason odrzucił z czoła kędzierzawe włosy i mówił dalej:

- Panowie, nietrudno mi będzie odmalować typ dziewczęcia, którego życie zostało tak zbezczeszczone, a ciało ukryte w wodach Big Bittern. Liczyła zaledwie dwadzieścia wiosen - Mason wiedział doskonale, że miała dwadzieścia trzy i była starsza od Clyde'a. - Nikt, kto ją znał, nie mógł nic złego powiedzieć o jej charakterze. Nie znalazł się ani jeden świadek, który by miał przeciwne zdanie.

Prawie przed rokiem przybyła do Lycurgus, aby swą ciężką pracą dopomóc rodzicom...

Rozległ się płacz rodziców i rodzeństwa.

- Panowie - ciągnął dalej Mason i udatnie kreślił obraz życia Roberty od chwili, gdy opuściła dom rodzicielski, by zamieszkać razem z Gracją Marr. Wszystko szło dobrze, dopóki nie spotkała Clyde'a Griffithsa na Crum Lake. Wówczas porzuciła swych przyjaciół i opiekunów, Newtonów, poddając się całkowicie woli młodego Griffithsa. Zamieszkała samotnie, u obcych ludzi, ukrywając prawdę przed rodzicami, a w końcu uległa mu zupełnie, o czym wzmiankuje jej listy, pisane ostatnio z Biltz.

W ten sam drobiazgowy sposób opisał Clyde'a, jego bywanie w wyższych sferach w Lycurgus, piękną, bogatą pannę X, którą opanował, rozkochał w sobie i rozpłomienił do tego stopnia, że mógł śmiało liczyć na jej rękę, co wpłynęło oczywiście na zmianę uczuć wobec dawnej kochanki. Wówczas, nie chcąc jej jawnie porzucić, obmyślił sposób pozbycia się jej.

- A teraz, panowie - podniósł nagle głos nadając mu ton dramatyczny - muszę podkreślić niezmiernie charakterystyczny rys. Oto siedzi tu, między nami, ów Clyde Griffiths... Czyżby to był syn ludzi lekkomyślnych, próżniaczych, czy też zaułki miejskie na świat go wydały, a może jest to jeden z tych nieszczęsnych, którzy nie mieli sposobności zaznać słodczy domowego ogniska, uczciwego, skromnego życia? Czyżby istotnie był jednym z takich ludzi? O nie! Przeciwnie! W jego żyłach płynie ta sama krew, co i w żyłach człowieka, który obdarzył Lycurgus największymi, najbardziej twórczymi warsztatami kołnierzy i koszul Griffiths & Co.

- Clyde Griffiths jest ubogi, to prawda, jednak nie uboższy od Roberty Alden, ona wcale zaś nie czuła się upokorzona swym ubóstwem. Rodzice jego w Kansas City, w Denver, przedtem w Chicago, Grand Rapids, chociaż nie otrzymali święceń kapłańskich, głosili zasady wiary, prowadzili religijną misję. Są to ludzie, na ile mogłem zebrać o nich wiadomości, szczerze, prawdziwie religijni, kroczący prawą drogą życia. Ten jednak ich najstarszy syn, na którym powinny były najwięcej się odbić moralne ich zasady, wcześniej porzucił dom rodzicielski, żeby oddać się swobodniejszemu życiu. Otrzymał miejsce pikolaka w słynnym hotelu Green-Davidson.

Opowiadał dalej, że Clyde nigdzie nie mógł dłużej zagrzać miejsca, że dzięki lekkomyślnemu usposobieniu wolał włóczyć się z miejsca na miejsce. Później otrzymał doskonałe, odpowiedzialne stanowisko szefa wydziału w wielkich warsztatach swego stryja i wkrótce zaczął bywać w kołach towarzyskich, gdzie bywali i jego krewni. Pensję miał tak dużą, że mógł wynająć sobie pokój w najpiękniejszej dzielnicy miasta, podczas gdy dziewczę, które zabił, mieszkało w nędznym pokoiku na ustronnej uliczce.

- Któż to jest ten młodzieniec? - pytał z pogardliwą miną. - Dziennikarze i obrońcy zwą go ciągle chłopcem. To nie jest wcale młody chłopiec, panowie. To dojrzały mężczyzna. Jest bardziej towarzysko i fizycznie rozwinięty niż niejeden z was, panowie. Podróżował. W hotelach, klubach, towarzyskich sferach w Lycurgus miał ciągłą styczność z ludźmi wytwornymi, szanownymi, inteligentnymi. Nawet dwa miesiące temu jeszcze, w chwili aresztowania, bawił między najwytworniejszymi ludźmi na eleganckim letnisku... Pamiętajcie o tym! Umysł jego jest dojrzały, wcale nie chłopięcy! Jest doskonale rozwinięty i daje sobie radę wybornie!

Panowie, mam wszelkie dowody na to, że w cztery miesiące po jego przybyciu do Lycurgus Roberta Alden zaczęła pracować w wydziale, którego szefem był oskarżony. W dwa miesiące później nakłonił ją do wyprowadzenia się z porządnego, religijnego domu i zajęcia mieszkania u ludzi, o których nic nie wiedziała, uczynił to jedynie dlatego, żeby mogła tam mieć zupełną swobodę i utrzymać w tajemnicy niedozwolony stosunek, który zamierzał z nią nawiązać.

W warsztatach Griffithsa istniał przepis - o którym dowiemy się bliżej podczas sprawy, a który wiele tłumaczy - iż żaden urzędnik ani szef wydziału nie może zawierać bliższej znajomości z robotnikami tak w samej fabryce jak i poza nią. Autorom tego przepisu zupełnie słusznie chodziło o przyzwoitość i honor instytucji i pracowników. Zaraz po objęciu swych obowiązków młodzieniec ten został poinformowany o tym warunku. Lecz czy go to odstręczyło? Ani na chwilę! Tajemnica! tajemnica! od samego początku! Uwiedzenie... Tajemnica niemoralnego, nielegalnego, nie uznanego społecznie korzystania z ciała młodego, niewinnego

dziewczęcia poza rehabilitującym, uszlachetniającym wszystko sakramentem małżeństwa!

- Taki to był cel, panowie! Czy była w Lycurgus choć jedna osoba, która by wiedziała, że istnieje taki stosunek między nim a Robertą Alden? Żywa dusza nie wiedziała o tym... Żywa dusza! Tak, tak!

- Panowie sędziowie! - głos prokuratora brzmiał wielką powagą. - Roberta Alden kochała oskarżonego całą siłą swej duszy. Kochała go miłością, jaka jest koroną tajemnic ludzkiego rozumu i ludzkiego serca, jaka przewyższa siłą swą i słabością obawy hańby, wstydu, wszelkich następstw na tym i na tamym świecie. Było to dziewczę proste, skromne, lecz zarazem namiętne i kochające... Tak kochając, dała mu to, co kobieta może dać mężczyźnie, którego kocha... Panowie, sprawy takie zdarzały się po milion razy na naszym świecie i zdarzać się będą jeszcze również milion razy, póki świat istnieć będzie. Nie jest to nowe i nigdy starym nie będzie.

- W styczniu czy w lutym dziewczę to zmuszone było zwierzyć się temu oto oskarżonemu, że stanie się matką. Mamy na to dowody, że wtedy i później błagała go, żeby zabrał ją z miasta i uczynił swą żoną. Czy to uczynił? Czy chciał chociaż uczynić? O, nie! Nie, bo w tym właśnie czasie inne się roiły marzenia i inne były uczucia w sercu Clyde'a Griffithsa. Miał już czas zrozumieć, że nazwisko Griffiths otwiera wszystkie podwoje wybranego towarzystwa, że człowiek, który był niczym w Kansas City lub Chicago, tu jest ważną osobą, tu może nawiązać stosunki z pannami wykształconymi, majątnymi, z pannami, które nigdy nie stykały się ze sferą, z jakiej wyszła Roberta. Tak, znalazł taką. Piękną, bogatą, zajmującą odpowiednie miejsce w swej sferze. Tej właśnie panny Clyde Griffiths zapragnął. Cóż przy niej mogła znaczyć skromna, wiejska dziewczeczka w romantycznie ubogim pokoiku, gdzie potajemnie się spotykali? Oczywiście, nie mogła wytrzymać porównania, straciła na uroku. Można ją było zdradzić, lecz po cóż żenić się z nią? Żenić się nie chciał stanowczo:

Zamilkł Mason, lecz tylko na chwilę, po czym ciągnął dalej:

- Nie mogłem znaleźć dowodu, żeby od tego czasu unikał rozrywek światowych. Przeciwnie, bawił się wiele od stycznia do lipca, a nawet po rozmowie z Robertą, kiedy mu zagroziła, że jeżeli nie ożeni się z nią, poszuka dla siebie sprawiedliwości w tych kołach, w których się on obraca. Tak... dlatego znalazła się, zimna i martwa, na dnie Big Bittern, a on w dalszym ciągu uprawiał wszelkiego rodzaju zabawy, wycieczki samochodowe, fety, wyjazdy łodziami do Twelfth Lake i Bear Lake, jakkolwiek powinien był chociaż potem zmienić tryb życia.

Przerwał i spojrzał na Belknapa i Jephsona, którzy ze swej strony odpowiedzieli mu uśmiechem, potem uśmiechnęli się do siebie, nie będąc wcale zaskoczeni dowodzeniami Masona.

Clyde zaś, przerażony siłą i gwałtownością słów prokuratora, z rozpaczą myślał, ile jest w nich przesady i nieprawdy.

- Jednak, panowie - mówił dalej Mason - Roberta stale nalegała, żeby Clyde Griffiths uczynił ją swą żoną. Obiecał. Ale jeśli sądzić można z dowodów, nigdy nie miał zamiaru dotrzymać słowa. Przeciwnie, gdy nie mógł dłużej słuchać jej żalów i bał się, że może jej przyjść ochota wyjawienia przed kimś swego położenia, namówił ją na wyjazd do domu, do rodziców, pod pozorem przygotowania sobie wyprawy ślubnej. Zabierze ją przecież ze sobą do jakiegoś wielkiego miasta, gdzie nikt ich nie będzie znać i gdzie jako jego żona będzie żyć z wielką godnością i wyda swe dziecko na świat. A jeśli można sądzić z listów, które zaraz panom pokażę, ten wspólny wyjazd miał nastąpić w trzy tygodnie po jej przyjeździe do rodziców. I cóż? czy przyjechał, jak to jej obiecywał? Nie. Nie miał nawet zamiaru.

Tylko dlatego, że nie miał innej drogi do wyboru, pozwolił jej przyjechać do Utica, gdzie mieli się spotkać. Było to szóstego lipca, ściśle na dwa dni przed jej śmiercią. Nie wolno jej było przyjechać wcześniej. Nie! Od piątego czerwca do szóstego lipca pozwolił jej się martwić na tej samotnej farmie, gdzie sąsiadki schodziły się pomagać jej przy szyciu sukien, których jednak ona nigdy nie nazwała swą ślubną wyprawą. Żyła tam wszakże bezustannie podejrzeniem, że narzeczony ją opuści. Codziennie, czasem parę

razy na dzień, pisywała do niego, wyrażając mu swe obawy i błagając o zapewnienie listowne czy ustne, że przyjedzie i zabierze ją ze sobą.

Czy spełnił jej prośby? Listownie nigdy! Nigdy! Tak, panowie, nie napisał ani jednego listu. Parę razy zatelefonował tylko, bo tego nie można wyśledzić... Rozmowy były zawsze tak krótkie, że biedna istota skarżyła się ciągle na brak z jego strony zainteresowania jej stanem i zdrowiem. Tak już była tym wszystkim wyczerpana, że pod koniec piątego tygodnia napisała: - Tu Mason wziął jeden z listów i czytał: - "Muszę cię zawiadomić, że jeżeli do piątku nie będę miała od ciebie listu, wracam do Lycurgus i wszyscy dowiedzą się, jak mnie traktujesz". - Oto są słowa, moi panowie, które to biedne dziewczę było zmuszone napisać. Oczywiście, Clyde Griffiths wcale nie życzył sobie, żeby się ktoś dowiedział, jak on traktuje swą kochankę. Naturalnie! Wtedy to w jego przebiegłej głowie zaczął się rysować plan, w jaki sposób można będzie uniknąć gróźb i zamknąć usta Robercie na zawsze.

Tu Mason przedstawił wykonaną specjalnie w tym celu mapę Adirondacksu, na której czerwonym atramentem zaznaczone były ruchy Clyde'a przed i po jej śmierci aż do chwili jego aresztowania na Bear Lake. Tłumaczył sędziom, jaki to plan Clyde wypracował, jak zataił swe nazwisko, zmieniając je dwukrotnie, powiedział o dwóch kapeluszach, przypomniał, że w pociągu, idącym z Fonda do Utica i dalej do Grass Lake, Clyde nie jechał w jednym wagonie z Robertą.

- Pamiętajcie, panowie - mówił - że chociaż powiedział Robercie, że jest to ich przedślubna wycieczka, jednak nie życzył sobie, żeby ktokolwiek wiedział o tym, że jedzie razem ze swą przyszłą żoną, nawet wtedy, gdy już przyjechali do

Big Bittern. Po cóż ta tajemnica? Po to, że wcale nie miał zamiaru z nią się żenić, jeno szukał sposobności, by móc zgasić życie tego dziewczęcia, które go już znudziło i zaczęło męczyć. Nie przeszkadzało mu to jednak na dwa dni przedtem pieścić ją i powtarzać obietnice, których nie miał zamiaru dotrzymać. Złożę panom na dowód tego dwa meldunki: w hotelu i gospodzie, gdzie się oboje zatrzymali, zajmując wspólnie jeden pokój. Liczył na pewno, że cały swój plan urzeczywistni w

dwadzieścia cztery godziny, zawiódł się wszakże na Grass Lake. Nie było tam wcale pusto. Było pełno osób, a między nimi jakaś religijna kolonia. Postanowił więc opuścić to miejsce i udać się do Big Bittern, gdzie zazwyczaj bywa pusto. Czyście widzieli panowie sytuację bardziej osobliwą, w której młodzieniec ciągnie cierpiącą narzeczoną z miejsca na miejsce, aby znaleźć dostatecznie opustoszałe miejsce, gdzie mógłby bezpiecznie dla siebie ją utopić? I to istotę, która za cztery miesiące miała zostać matką!

Przyjechawszy tam wsadził ją zaraz do łódki, a w gospodzie podpisał się znów fałszywym nazwiskiem jako Clifford Golden z żoną. Biedne stworzenie było pewne, że jest to ich krótka, miła wycieczka przed ślubem, jako że jej opowiadał, iż ślubem przypieczętuje i uświęci ich związek. Przypieczętuje i uświęci! Tak! zamykająca się nad nią woda była tą pieczęcią, a uświęcenie odbyło się nie przy ślubnym ołtarzu... nie przy ołtarzu! Szła za nim pełna ufności ku swobodzie, ku małżeństwu, ku moralnie i materialnie lepszej przyszłości, a została pogrzebana w czarnej toni jeziora...

Panowie! zamierzenia Opatrzności, która obmyśla nam rodzaj zgonu, są niezbadane... Tak... człowiek strzela, a Bóg kule nosi! Oskarżony jeszcze ma nadzieję, jeszcze nie jest pewny, skąd mogą mieć te wszystkie dowody, skąd mogą wiedzieć, że to miała być przedślubna wycieczka, że potem miał nastąpić ślub... Bo skądże mógłby znać ktoś wszystkie szczegóły wypadku? Siedzi oto przed nami oskarżony, pewien, że obrona wyciągnie go z tej opresji - istotnie Clyde siedział wyprostowany, śmiałym okiem mierząc prokuratora, lecz włosy sztywniały mu na głowie, a ręce, ukryte pod stołem, drżały z lekka - i nic nie wie, że Roberta Alden napisała list do matki w gospodzie w Grass Lake. Nie miała czasu go wysłać, pozostał więc w kieszeni płaszcza, który zapomniała w gospodzie w Big Bittern, gdyż myślała, biedactwo, że tam jeszcze powróci. List ten leży teraz przed wami, panowie.

Zęby Clyde'a szczęknęły. Zatrząśł się jak pod mroźnym powiewem.

Prawda! zostawiła płaszczyz w gospodzie!

Belknap i Jephson siedzieli zdumieni, lecz ciekawi, co dalej z tego wyniknie. Może się wytworzyć fatalna sytuacja, list ten może zniweczyć całą linię obrony! Ale należy czekać i przekonać się, co dalej nastąpi.

- W tym liście - mówił Mason - pisze ona, dlaczego tu się znajduje. Ma wyjść za mąż!

Obaj obrońcy i Clyde wydali westchnienie ulgi - doskonale zgadzało się to z ich planem.

- I to zaraz... za jakieś dwa dni najdalej... - mówił Mason ciesząc się, że zaskoczył Clyde'a - Griffiths czy Graham, czy też Golden wiedział lepiej. Wiedział, że narzeczona i narzeczony już tam nie powrócą, swoje więc wszystkie rzeczy wziął do łódki. Od samego południa do wieczora prawie pływał po jeziorze, szukając miejsca odosobnionego i wygodnego, skąd nie mógłby być widziany.

Znalazł takie nad samym wieczorem...

A potem wędrował sobie przez lasy w nowym kapeluszu na głowie, z czystą, suchą walizką w ręku i wyobrażał sobie, że jest zupełnie bezpieczny. Clifford Golden już nie istniał. Carl Graham nie istniał - utopił się razem z Robertą Alden, Griffiths jednak był żywy i wolny w drodze do Twelfth Lake, gdzie czekało nań tak miłe towarzystwo.

Panowie! Clyde Griffiths zabił Robertę Alden, zanim ją wrzucił do jeziora! Uderzył ją w głowę i w twarz i pewien był, że nikt tego nie widział. Gdy jednak ostatni jej krzyk brzmiał jeszcze w powietrzu, znalazł się świadek... i zanim zamkniemy tę sprawę, świadek ten opowie, co wie o tym.

Nie było żadnego takiego świadka, Mason jednak nie mógł powstrzymać się w zapale, żeby nie rzucić myśli, która by mogła zaskoczyć przygotowaną obronę.

Istotnie efekt był niesłychany. Clyde, który po wstrząsie

spowodowanym wiadomością o liście starał się wrócić do równowagi i przybrać znów niewinną minę, teraz na nowo upadł na duchu.

Świadek? Ma tu zeznawać? Boże! Był więc ktoś, kto dojrzał jego nieumyślne uderzenie... słyszał jej krzyki... widział, że jej nie ratował... Może widział, jak szybko płynął do brzegu... może widział, jak zmieniał ubranie?... Boże!

Ręce jego drapały poręcz krzesła, głowa pochyliła się w tył. To znaczy dla niego śmierć - egzekucję... Boże! Już żadnej nadziei... Opuścił głowę, jakby go sen ogarniał.

Dla Belknapa rewelacje Masona były nieoczekiwane i zdumiewające. Opuścił ołówek, którym robił notatki, i patrzył oszołomiony, nie wiedząc, co ma teraz mówić w obronie. Opanował się jednak natychmiast, czując, że i na niego są oczy zwrócone. Czyżby Clyde kłamał? Czyżby rzeczywiście ją zabił i to na oczach ukrytego świadka? W takim razie powinni jak najspieszniej zrzec się tak beznadziejnej, wstrętnej sprawy.

Jephson również przez chwilę był zdumiony i prawie upadł na duchu. I przez jego mózg błyskawicznie przeleciała myśl, że Clyde musiał skłamać, jeżeli istotnie był taki świadek. Zabił. Nie powiedział im, że umyślnie uderzył Robertę i że mógł być świadek tego... Jakże go więc teraz bronić twierdzeniem, że nastąpiła w nim zmiana uczuć? Któż w to uwierzy po takim zeznaniu?

Ponieważ jednak wiele w naturze Jephsona było przekory i determinacji, nie pozwolił sobie na długie oszołomienie pod wrażeniem tej rewelacji. Zwrócił się w stronę Belknapa i Clyde'a, skarcił ich wzrokiem i rzekł:

- Nie wierzę w to. Mason kłamie albo bluguje. W każdym razie czekajmy, zobaczymy dalej. Świadców jest dużo, my mamy również prawo ich badać, zadawać krzyżowe pytania, możemy nawet przeciągnąć to przez cały tydzień, jeżeli tak się nam będzie podobać. Mamy masę czasu, możemy nawet doczekać się ustąpienia Masona, możemy sami tymczasem znaleźć różnych świadków. My wiemy,

że mogło to być samobójstwo lub zwykły wypadek. Możemy nawet kazać przysiąc Clyde'owi, że znajdował się w jakimś kataleptycznym stanie, że nie miał odwagi do spełnienia tego czynu. A niełatwo komuś dokładnie coś zobaczyć z odległości pięciuset stóp!

Uśmiechnął się, niezbyt jednak wesoło, a po chwili dodał, nie przeznaczając wszakże swych słów dla uszu Clyde'a:

- W najgorszym razie otrzymamy dla niego ze dwadzieścia lat, prawda?

Rozdział XXI

Teraz zeznawali świadkowie, prawie bez końca. Było ich ni mniej, ni więcej tylko stu dwudziestu siedmiu. Zeznania lekarzy, trzech przewodników, damy, która usłyszała ostatni krzyk Roberty, kwestionowane były przez Jephsona lub Belknapa, którzy właśnie na różnych omyłkach i osłabieniu pamięci oprzeć mogli obronę Clyde'a. Takie manipulacje przeciągną proces do listopada, a wtedy już Mason będzie wybrany na sędziego, o czym przecież od dawna już marzy.

Publiczność coraz bardziej interesowała się sprawą, widząc, ile energii i zapału kładą w nią obie strony. Jak dotychczas cała prasa przekonana była o winie Clyde'a, lecz ten, stosując się do przestróg Jephsona, ukazywał twarz spokojną i śmiałą.

- Pańskie nazwisko?

- Tytus Alden.

- Jest pan ojcem Roberty Alden?

- Tak.

- Niech nam pan, panie Alden, powie, jakie okoliczności zmusiły córkę pańską do wyjazdu do Lycurgus?

- Wnoszę sprzeciw! - wołał Belknap. - Bezcelowe, nie tyczące sprawy, niepotrzebne pytanie.

- Musimy znać dokładnie przyczyny, a jeżeli okaże się zbędne, można będzie wówczas wykreślić zeznanie - bronił się Mason patrząc na przewodniczącego, a ten dopuścił pytanie.

- Pojechała do pracy - odpowiedział Alden.

- A dlaczego musiała pracować?

Znowu sprzeciw, znowu przewodniczący udziela pozwolenia na pytanie.

- Bo nasza farma, którą mamy niedaleko Biltz, nie przynosi wiele dochodu i dzieci muszą również pracować i pomagać nam, więc i Bobbie też...

- Proszę wykreślić! wykreślić!

Bobbie, to było jej imię zdrobniałe, a nazywała się naprawdę Roberta, tak?

- Wnoszę sprzeciw! sprzeciwiam się!

- Tak, proszę pana. Nazywałem ją Bobbie.

Clyde słuchał z uwagą, nie spuszczać oczu przed groźnym wzrokiem tego niedołęznego Priama z farmy. Teraz dopiero dowiedział się, jak ojciec nazywał jego kochankę. Clyde mówił do niej "Berti", ona zaś nigdy mu nie powiedziała, że ją nazywano "Bobbie".

Alden ciągnął dalej zeznanie przy akompaniamencie nieustannych sprzeciwów, przekonywań, decyzji przewodniczącego i opowiedział, że córka jego zdecydowała się pojechać do Lycurgus po otrzymaniu listu Gracji Marr i postanowiła zamieszkać u Newtonów. Od czasu gdy otrzymała stałą pracę w warsztatach Griffithsa, bardzo rzadko widywała się z rodziną, dopiero teraz, piątego czerwca, przyjechała do domu, żeby uszyć sobie parę sukien.

- Czy nie mówiła nic o projektowanym małżeństwie?

- Nie. Pisywała tylko bardzo dużo listów, lecz do kogo - ojciec wtedy nie wiedział. Ciągle była bardzo przygnębiona i czuła się słaba. Dwa razy widział, jak płakała, nie powiedział jej jednak o tym i nie zapytał o nic, widział bowiem, że nie chciała, aby ktoś jej płacz zauważył. Było też do niej kilka telefonów z Lycurgus, ostatni był czwartego czy piątego lipca, na dzień przed jej odjazdem.

- Co wzięła ze sobą wyjeżdżając z domu?

- Walizkę i mały kuferek.

- Czy poznałby pan tę walizkę?

- Naturalnie.

- Czy to ta walizka?

Woźny sądowy przyniósł walizkę i położył ją na małym stoliku. Alden spojrzał na nią i ocierając oczy dłonią potwierdził:

- Tak, ta sama.

Z dramatyczną miną wniósł teraz woźny kuferek Roberty i na jego widok cała rodzina Aldenów zaczęła płakać. Po stwierdzeniu, że walizka i kuferek należały do Roberty, otworzono je. Były tam suknie uszyte podczas pobytu u rodziców, trochę bielizny, buciki,

kapelusze, przybory toaletowe ofiarowane przez Clyde'a, fotografie matki, ojca, rodzeństwa, stara książka kucharska, parę noży, widelców, komplet do soli i pieprzu, wszystko to niegdyś ofiarowane jej przez babkę na prezent ślubny. Każdy drobiazg wyjmowano teraz i Alden musiał potwierdzić, że zna te rzeczy. Wszystko to odbywało się przy ciągłym wnoszeniu sprzeciwu przez Belknapa i odwoływaniu się Masona do przewodniczącego; było jednak widoczne, że głównym zamiarem prokuratora jest wywołać wzruszenie przysięgłych.

Ktoś z zebranych na sali osób, zirytowany ciągłym przerywaniem Belknapa i uporem Masona, zapytał głośno:

- A któż to wnosi oskarżenie, chciałbym wiedzieć?

Na co Belknap odpowiedział:

- Zdaje się, że kandydat partii republikańskiej na sędziego okręgowego.

Rozległy się śmiechy, a Mason odpalił natychmiast:

- Wysoki sądzie, protestuję! Uważam za bezprawne i nieetyczne wtrącanie do takiej jak ta sprawy kwestii politycznych, które nic z tym nie mają wspólnego. To nieuczciwie i złośliwie podsuwać myśl, że ja jako kandydat partii republikańskiej nie jestem w stanie uczciwie i przyzwoicie wnosić oskarżenia w takiej sprawie. Żądam przeproszenia, zanim przystąpię do dalszego ciągu.

Przewodniczący Oberwaltzer musiał pojednać powaśnione strony, wezwał przed pulpit Belknapa i Masona, a wysłuchawszy tłumaczenia zażądał surowo, aby żaden z nich nie robił politycznych wycieczek. obrońcy jednak byli zadowoleni, że osobista sprawa Masona, tyżająca się wyborów, dostała się do wiadomości ogółu.

I znów świadkowie, świadkowie...

Stała teraz Gracja Marr i płynnie, wymownie opowiadała o tym, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Robertę i jaka to była niewinna,

pobożna dziewczyna. Po spotkaniu się jednak z Clyde'em Griffithsem w Crum Lake zaszła w niej wielka zmiana. Stała się jakaś tajemnicza, umiała wynajdywać różne fałszywe przyczyny, by upozorować swe awanturki, starała się unikać wspólnych z nią spacerów, aż w końcu, niezadowolona z jej uwag, wyprowadziła się nagle, nie podając nawet adresu. Któregoś dnia Gracja szła za nią do jej nowego mieszkania - było to we wrześniu czy w październiku - i widziała ją z Clyde'em tuż pod domem Gilpinów. Stali pod drzewami i on ją obejmował ręką.

Belknap, naradziwszy się z Jephsonem, zadał tej przebiegłej (za jaką ją uznał) osóbcie pytanie, czy przed przyjazdem do Lycurgus Roberta rzeczywiście była taka pobożna i skromna, jak to Gracja Marr opowiada; wtedy odpowiedziała z irytacją w głosie, że do spotkania Clyde'a na jeziorze Crum Roberta było uosobieniem prawdy i niewinności. Wie o tym dobrze. Newtonowie też to potwierdzili i zaprzysięgli swe zeznania.

Potem przysięgli i zeznawali Gilpinowie, żona i mąż oraz dwie córki. Gilpinowa opowiedziała, kiedy mniej więcej Roberta sprowadziła się do nich. Przyszła z małym kuferkiem i walizką, o, z tymi samymi, które tu przed chwilą leżały. Mieszkała u nich obywając się bez wszelkiego towarzystwa, tak że Gilpinowie litując się nad jej osamotnieniem proponowali jej różne wspólne rozrywki, Roberta jednak zwykle odmawiała. Później wszakże tak gdzieś w końcu listopada, ona i jej obie córki zorientowały się, że Roberta przyjmuje kogoś u siebie, a bywało to zawsze około jedenastej w nocy. Nie chciała jej o tym mówić, zauważywszy skrytość swej lokatorki, a poza tym nie chciała robić jej przykrości, ceniąc bardzo słodycz jej charakteru.

Belknap, zadając różne pytania, chciał podsunąć myśl, że Roberta zapewne nie prowadziła tak nadzwyczajnie purytańskiego życia, jak to starali się dowieść świadkowie, nie udało mu się to jednak, bo Gilpinowie, obdarzając Robertę wielką sympatią, odparli z oburzeniem insynuację, dodając, że tylko konieczność zmusiła ich do wyjawienia wizyt Clyde'a.

Następnie zeznawała starsza ich córka, która opowiedziała, że

któregoś dnia przy końcu października czy na początku listopada, niedługo po sprowadzeniu się do nich Roberty, widziała ją z jakimś mężczyzną, którym był, zdaje się, Clyde. Stali oboje o kilkadziesiąt kroków od domu i widocznie się sprzecali. Stella, zaciekawiona, przystanęła, by dowiedzieć się, o co chodzi. Wyraźnie słów nie słyszała, lecz przypomina sobie, że Roberta nie pozwalała mu wejść do swego pokoju, "bo to nie będzie przyzwoicie" - mówiła. On zaś w końcu wykręcił się na pięcie, pozostawiając Robertę z wyciągniętymi ramionami, błagającą go o powrót.

Clyde wysłuchał tego wszystkiego z najwyższym zdumieniem. Był najpewniejszy, że o jego związku z Robertą nikt absolutnie nie wiedział. Mason jednakże wyszperał już wszystko i ustalił doskonale, jakiego rodzaju znajomość łączyła go z Robertą i w jaki sposób Clyde namówił ją do tego, czego nie chciała uczynić. Tak, nie pomoże mu to wcale do oczyszczenia się z podejrzania i wrogo wszystkich przeciw niemu usposobi. Belknap rozumiejąc, o co chodzi Masonowi, starał się Stellę zmieszać odpowiednimi pytaniami, aby ją zmusić do przyznania się, że nie jest całkowicie pewna, czy to był Clyde; ale i to się nie udało, gdyż Stella widziała jeszcze raz Clyde'a przed Bożym Narodzeniem, był z jakimś pakunkiem w ręce, pukał do drzwi Roberty i wtedy przekonała się, że to ten sam młody człowiek, którego już raz widziała wieczorem przy świetle księżyca, sprzecającego się z Robertą.

Następnie Whiggam, potem Liggett podali dokładną datę przybycia Clyde'a do warsztatów oraz datę przyjęcia Roberty. Potwierdzili istnienie przepisu, zabraniającego wszelkich stosunków między szefem oddziału a robotnicami. Mogą wszakże z czystym sumieniem zaświadczyć, że nigdy nie zauważyli między Clyde'em a Robertą żadnego porozumienia. Nawet nie spoglądali nigdy na siebie.

Po nich nastąpili inni świadkowie. Pani Peyton streściła, jakiego rodzaju życie prowadził Clyde, wiedziała również, że bywał dużo.

Aldenowa opowiedziała, że Roberta, będąc u nich przez święta Bożego Narodzenia, zwierzyła się jej, że szef wydziału, w którym pracowała, Clyde Griffiths, bratanek właściciela, zwrócił na nią uwagę, zastrzegła jednak, iż do czasu należy trzymać to w

tajemnicy.

Frank Harriet, Harley Baggott, Tracy Trumbull i Eddie Sells zeznali, że od grudnia roku zeszłego Clyde Griffiths był wszędzie zapraszany i chętnie przyjmowany.

John Lambert, właściciel składu aptecznego w Schenectady, zeznał, że w styczniu jakiś młodzieniec, którego poznaje teraz w oskarżonym, prosił go o jakiś środek na spędzenie płodu.

Orrin Short złożył zeznanie, że przy końcu stycznia Clyde pytał go, czy nie zna jakiegoś doktora, który by chciał dopomóc młodej kobiecie - podobno żonie jakiegoś urzędnika z warsztatów Griffithsa. Mąż zwrócił się właśnie do Clyde'a z prośbą o radę, bo nie mając dostatecznych środków nie mogli sobie pozwolić na dzieci.

Potem zeznawał doktor Glenn. Mówił o bytności u niego Roberty, powtórzył wszystko, co już kiedyś było podane w gazetach, dodał przy tym, że nie chciał jej służyć żadaną pomocą.

Potem Wilcox, farmer, sąsiad Aldenów, mówił, że dwudziestego piątego czy dwudziestego szóstego czerwca był w kuchni i słyszał jak Roberta telefonowała do jakiegoś Bakera z Lycurgus i mówiła: - Ależ Clyde, nie mogę czekać tak długo. Wiesz dobrze, że nie mogę... I nie chcę!

Głos miała podniecony i żaloszny. Pan Wilcox jest zupełnie pewny, że wymieniła imię Clyde'a.

Potem Ethel Wilcox, jego córka, tęga, sepleniąca niewiasta potwierdziła słowa ojca i dodała, że jeszcze przedtem trzy razy odbierała telefon do Roberty, za każdym razem z Lycurgus, od pana Bakera. Raz słyszała także, jak Roberta wymieniła imię Clyde'a i powiedziała, "że pod żadnym pozorem nie może czekać tak długo", ale co to miało znaczyć, nie wie.

Następnie Roger Beane, listonosz wiejski, zaświadczył, że w ciągu czerwca i lipca otrzymał co najmniej piętnaście listów bądź to

osobiście od Roberty Alden, bądź wrzuconych do skrzynki pocztowej na drodze przy domu Aldenów; jest pewien, że wszystkie były adresowane do Clyde'a Griffithsa na pocztę główną w Lycurgus.

Po nim zeznał Amos Showalter, urzędnik pocztowy w Lycurgus, że w tym czasie odesłał Clyde'owi Griffithsowi, którego znał ze słyszenia, bardzo dużo listów.

Następnie R.T. Biggen, przedsiębiorca stacji benzynowej w Lycurgus, opowiedział, że szóstego lipca, idąc o ósmej rano przez Fielding Avenue; która się znajduje na samym końcu miasta, spotkał Clyde'a w szarym garniturze, słomkowym kapeluszu; niósł brązową walizkę w ręku, do której przytwierdzony był trójnóg od aparatu fotograficznego i coś jeszcze. Może to był parasol. Wiedząc, że Clyde mieszka blisko Central Avenue, gdzie sam też zajmował mieszkanie, zdziwił się, dlaczego nie wsiadł do tramwaju.

Belknap na to zadał pytanie, jakim sposobem, będąc oddalony o jakieś sto kroków od Clyde'a, mógł rozpoznać, że był to statyw od aparatu. Biggen jednak upierał się, że nie mogło to być nic innego. Widział trzy żółte nóżki i mosiężne okucia przy nich.

Po nim John Troescher, naczelnik stacji w Fonda, zeznał, że rankiem szóstego lipca sprzedał Robercie bilet do Utica. Poznał pannę Alden, gdyż nieraz już tej zimy widywał ją wyjeżdżającą. Wyglądała źle, jakby była chora. Niosła brązową walizkę podobną do tej, którą tu widział. Przypomina sobie także oskarżonego, który również miał podobną walizkę. Nie widział, by zbliżył się do panny Alden i z nią rozmawiał.

Potem Quincy B. Dale, konduktor zwyczajnego pociągu z Fonda do Utica, zauważył, że Clyde był w wagonie na samym końcu pociągu. Zauważył również Robertę i potem ją poznał z fotografii, umieszczanych w pismach. Uśmiechnęła się do niego przyjaźnie, a on zwrócił jej uwagę, że walizka jest pewnie za ciężka dla niej i że mógłby dać tragarza, który by jej pomógł wynieść rzeczy z wagonu, lecz podziękowała. Widział, jak wysiadła w Utica i poszła do sali bagażowej, Clyde'a jednak tam nie zauważył.

Potem nastąpiło stwierdzenie przez urzędnika bagażowni w Utica, że jest to ten sam kuferek, który pozostał na przechowaniu w Utica i leżał tam przez wiele dni.

Stwierdzono również, że w hotelu prowadzonym przez pana Jerry Kernociana Clyde i Roberta zapisali się jako Clifford Golden z żoną. Porównano wówczas charakter pisma z meldunkiem w Grass Lake i Big Bittern i stwierdzono, że jest identyczny. Porównano go również z kartką znalezioną w walizce Roberta, przy czym każdy przysięgły brał ją do ręki i oglądał.

Belknap znowu zaprotestował, uważając taki sposób prowadzenia oskarżenia przez prokuratora za haniebnny, niezgodny z prawem i nie praktykowany.

I tak spory i scysje toczyły się przez całe dziesięć dni.

Rozdział XXII

Jedenastego dnia Frank Schaefer, urzędnik hotelu w Utica, przypomniał sobie przybycie Clyde'a i Roberta. Clyde zapisał tam siebie i Robertę jako Clifford Golden z żoną z Syracuse. Wallace Vanderhoff, subiekt sklepu z konfekcją męską w Utica, opowiadał o kupnie słomkowego kapelusza przez Clyde'a. Potem zeznawał konduktor tramwaju kursującego między Utica a Grass Lake, a po nim właściciel gospody w Grass Lake. Blanche Pettingill, pokojowa, słyszała, jak podczas obiadu Clyde przekonywał Robertę, że niepodobna będzie tu dostać pozwolenia na zawarcie ślubu, że lepiej będzie poczekać do jutra.

Nie było to dla obrony wygodne zeznanie, gdyż dzień ten właśnie kolidował z dniem, w którym Clyde miał jakoby uczynić wyznanie Robertcie. Belknap jednak po naradzie z Jephsonem doszedł do przekonania, że łatwo będzie można poczynić pewne zmiany w obronie.

Potem zeznawał konduktor pociągu, którym przyjechali do Gun Lodge, ostatniej stacji przed Big Bittern. Po nim mówił przewodnik, a zarazem szofer autobusu, przypomniawszy sobie pytanie Clyde'a, czy w Big Bittern jest dużo ludzi oraz to, że Clyde zostawił w Grass Lake walizkę Roberty, sam zaś zabrał swoją i zapewniał, że dziś jeszcze tam powrócą.

Zeznawali następnie właściciel gospody w Big Bittern, przedsiębiorca łódek i trzech ludzie z lasu. Zeznanie tych ostatnich zaważyło bardzo na sprawie Clyde'a, opowiedzieli bowiem o jego przestרחu przy spotkaniu z nimi.

Nastąpiło potem opowiadanie o znalezieniu przewróconej łódki, wydobyciu ciała Roberty, przybyciu koronera Heita i o znalezieniu przez niego listu w płaszczu Roberty: Dziesiątki świadków powtarzały te zeznania. Zjawił się również kapitan statku, wiejska dziewczyna, szofer Cranstonów; opowiedziano o przybyciu Clyde'a do Twelfth Lake, w końcu o jego przyjeździe do Bear Lake, o pościgu i aresztowaniu go oraz o wyparciu się przezeń znajomości z Robertą. To go bardzo obciążyło; wykazując jego chwiejny, fałszywy i tchórzliwy charakter. Najbardziej wstrząsającą chwilą było dla Clyde'a ujawnienie aparatu fotograficznego. Opisano okoliczności, w jakich znaleziono aparat i trójnóg, a Mason wykorzystał to w celu wykazania Clyde'owi kłamstwa. Zeznawał przy tym Earl Newcomb, który wraz z Billem Swartsem znalazł między spróchniałymi pniami i krzakami ukryty tam statyw. Dodał przy tym na żądanie Masona, a czemu sprzeciwił się Belknap, że Clyde pytany, czy do niego należy ten trójnóg, wyparł się tego stanowczo. Belknap i Jephson głośno protestowali przy tym zeznaniu.

Wobec tego pokazano protokół, podpisany przez Heita, Burleigha, Slacka i innych, z którego odczytano, że Clyde, gdy mu pokazano trójnóg, "z całą mocą i uparcie wypierał się posiadania takiego

przyrzędu".

Mason, chcąc utrwalić swą opinię, oświadczył:

- Wysoki Sądzie! mam jeszcze inne dowody i innych świadków.

I zawezwał Józefa Frazera. Przed sądem stanął właściciel składu przyrzędów sportowych, aparatów fotograficznych i innych tego rodzaju rzeczy i zeznał, że między piętnastym maja a pierwszym czerwca Clyde Griffiths, którego znał z nazwiska i widzenia, przyszedł do niego kupić aparat wraz ze statywem. Wybrał sobie aparat Sanka 3 1/2 x 6 1/2. Frazer poznał aparat i trójnóg, kupione u niego.

Clyde siedział teraz odrętwiały z przerażenia. Znaleźli więc aparat, znaleźli... A on zaprzeczał, zapierał się... Co teraz sobie pomyślą o nim? Będą wiedzieli, że kłamał... Czyż uwierzą teraz w tę zmianę uczuć?... po tym wszystkim, co nakłamał? Lepiej było przyznać się od razu do wszystkiego.

Następnie Mason wezwał Simeona Dodge'a, młodego leśnika, który opowiedział, że w sobotę, szesnastego lipca, znalazł z pomocą Johna Pole na dnie jeziora, ściśle w tym samym miejscu, gdzie leżało ciało Roberty, aparat fotograficzny, który tu właśnie leży na stole.

Po tych zeznaniach pokazano zdjęcia, odkryte w aparacie i przedstawiające Robertę wraz z Clyde'em, których podobieństwa nikt nie mógł zaprzeczyć.

Następnie jeden z gości Cranstonów, Floyd Thurston, stwierdził, że Clyde za pierwszą u nich bytnością zrobił dużo zdjęć aparatem tych samych co ten wymiarów, lecz czy jest to ten sam, powiedzieć nie może. Wobec tego zeznania jego nie wciągnięto do protokołu.

Po nim zeznawała Edna Patterson, pokojowa w gospodzie w Grass Lake, która wszedłszy do pokoju zajmowanego przez Clyde'a i Robertę widziała tego pana z aparatem, podobnym wymiarami i kolorem do tego, który tu widzi. Widziała również i trójnóg.

Clyde, zasłuchany, struchlały, odrętwiały prawie, przypomniał sobie wejście tej dziewczyny do pokoju i zdumiewał się, jaki to wytworzył się łańcuch faktów, które go muszą pogrzebać.

Po niej przez kilka dni stawało jeszcze dużo świadków, a między nimi i pięciu lekarzy, którzy na żądanie Masona robili sekcję zwłok Roberta; oświadczyli oni, że uderzenia wymierzone Robercie w twarz i czaszkę były dostateczne, zważywszy na jej wątki organizm, by ją ogłuszyć. Chociaż więc doświadczenie z płucami nieboszczki wykazało, że Roberta wpadając do wody żyła jeszcze, mogła już być wszakże nieprzytomna. Co do narzędzi, jakim miały być zadane te rany, doktorzy nie chcieli się wypowiedzieć, aby nie wydać mylnego orzeczenia. Pod krzyżowymi pytaniami obrońców Clyde'a musieli jednak przyznać, że cios zadany Robercie w twarz nie był może tak ciężki, aby ogłuszyć i odebrać przytomność, największa jednak rana na samej czaszce była taka głęboka, co zresztą wykazały fotografie pośmiertne, że przyczyniła się do wielkiego upływu krwi. Obejrzano teraz fotografie, które wywołały wielkie wrażenie, i udowodniono, że rozmiary ran pasowały dokładnie do rogów aparatu, a Burton Burleigh pod przysięgą zeznał, że znalazł dwa włosy między soczewką a wieczkiem aparatu, podobne zupełnie do włosów denatki.

Belknap, wyprowadzony z cierpliwości takim dowodem, wyrwał jasny włos z własnej głowy i zapytał z ironią sędziów, czy na podstawie jednego włosa można wydać sąd o kolorze wszystkich włosów na głowie, a przynajmniej być pewnym, że jest to włos z głowy Roberta.

Mason zawezwał teraz panią Rutger Donahue, która z wielkim spokojem opowiadała, jak wieczorem ósmego lipca między 5,30 a 6 wyszła z mężem z namiotu, ustawionego nad zatoką Moon Cove. Wsiedli do łódki i pojechali na ryby. Gdy już byli o jakie pół mili od brzegu, pani Donahue usłyszała krzyk.

- Między piątą a szóstą po południu, powiada pani?

- Tak.

- Którego to było dnia?

- Ósmego lipca.

- I gdzie pani była w tym czasie?

- Byliśmy...

- Nie "byliśmy", tylko gdzie pani była osobiście?

- Przepływałam z mężem zatokę, która, jak później dowiedziałam się, nazywa się South Bay.

- Dobrze, proszę opowiadać dalej.

- W chwili, gdy dopłynęliśmy do połowy tej zatoki, usłyszałam krzyk.

- Jaki to był krzyk?

- Przenikliwy. Krzyk człowieka w niebezpieczeństwie... Ostry, przerażający krzyk!

Znów sprzeciw Belknapa, po którym wykreślono ostatnie zdanie.

- Skąd dochodził ten głos?

- Z oddali. Tak jakby zza lasów.

- Czy pani wiedziała wtedy, że za tą częścią lasów, wrzynających się w jezioro, istnieje druga zatoka?

- Nie, nie wiedziałam.

- Dobrze. A dlaczego pani pomyślała, że to jest za lasem?

Znów sprzeciw, który został utrzymany.

- Niech mi pani teraz powie, jaki to był krzyk; męski czy kobiecy?

Jakiego rodzaju był ten krzyk?

- Był to krzyk kobiecy, coś w rodzaju: "Och! och!", czy też: "O, mój..." bardzo przenikliwy, wyraźny, lecz, oczywiście, oddalony. Dwukrotny krzyk człowieka, któremu sprawiano ból.

- Czy pani się nie myli co do brzmienia tego głosu? Czy to na pewno był głos kobiecy, nie męski?

- Nie, panie prokuratorze, jestem tego pewna. Był to krzyk kobiecy. Był za wysoki na krzyk mężczyzny, a nawet młodego chłopca.

- Tak. A teraz niech mi pani powie, czy widzi pani ten znak na mapie, gdzie zostało znalezione ciało panny Alden?

- Widzę.

- Czy widzi pani jeszcze jeden znak obok tych trzech, które będą prawdopodobnie wskazywały miejsce, gdzie pani łódka się znajdowała?

- Widzę.

- Czy pani sądzi, że krzyk mógł wychodzić ze strony Moon Cove?

Sprzeciw. Podtrzymany.

- Czy ten krzyk powtórzył się znowu?

- Nie. Nasłuchiwałam, zwróciłam mężowi uwagę, żeby też słuchał, nic jednak nie usłyszeliśmy.

Belknap starał się przekonać, że był to prawdopodobnie krzyk, wywołany przestrawieniem, niekoniecznie zaś bólu czy cierpienia. Zadał jeszcze raz te same pytania świadkom pragnąc dojść do wniosku, że taki krzyk nie mógł na nich wywrzeć wielkiego wrażenia. Oni wszakże utrzymywali (gdyż i mąż tej kobiety stawiał się w sądzie), że mieli ciągle w uszach to okropne wołanie i nie

mogli o nim zapomnieć. Byli ciągle pod przykrym wrażeniem i wróciwszy do namiotu w rozmowie stale wracali do niego. Ponieważ już się ściemniło, nie mogli podążyć w kierunku tego głosu, a wyobraziwszy sobie, że popełniono jakąś zbrodnię, pani Donahue nie chciała tam przebywać dłużej i następnego dnia osiedlili się nad innym jeziorem.

Tom Barrett, drugi przewodnik Adirondacksu, zeznał, że idąc z Dam's Lake do Big Bittern widział dwie osoby, wypływające łodzią z punktu opisanego przez panią Donahue, i widział istotnie namiot tych państwa na brzegu. Dodał przy tym, że punkt Moon Cove, na którym stał się wypadek, nie mógł być przez nikogo obserwowany, cieśnina bowiem prowadząca do tej zatoki jest wąska, a widok na jezioro zatarasowany jest zakrętem lądu. Inni świadkowie też to potwierdzili.

Nadeszła chwila bardzo dramatyczna. Promienie zachodzącego słońca zaczęły już blednąć w wąskiej sali sądowej, kiedy Mason zaczął odczytywać wszystkie listy Roberty, jeden po drugim. Czytał spokojnie, bez żadnej deklamacji, lecz ze współczuciem i wzruszeniem, którego doznawał już wtedy, gdy je po raz pierwszy czytał. Teraz łzy toczyły mu się z oczu.

Zaczął od pierwszego, z datą ósmego czerwca, pisanego za ledwie w trzy dni po wyjeździe z Lycurgus. Z siedemnastu tych listów ujawniał się cały stosunek wzajemny Roberty i Clyde'a, jego projekt wysłania jej do domu na trzytygodniowy pobyt, który przedłużył się do miesiąca. Potem następowała nagła groźba z jej strony, która zmusiła Clyde'a, by przyśpieszył spotkanie z Robertą w Fonda. Mason czytał głosem nabrzmiałym łzami, a słuchacze wyjęli chusteczki i szlochali z cicha.

"Powiedziałeś mi, że bym się nie martwiła i cieszyła z wakacji. Dobrze ci to mówić. Sam jesteś w Lycurgus, otoczony przyjaciółmi i wszędzie zapraszany. Ja zaś z nikim nie mogę rozmawiać o tym, co mnie boli, i do ciebie nie mogę mówić swobodnie przez telefon u Wilcoxów, gdyż boję się podsłuchiwanie, a i ty mi ciągle przypominasz, że bym tego lub owego nie mówiła. A mam tyle rzeczy

do powiedzenia i pytania i nie mam sposobności. Ciągłe mi powtarzasz, że wszystko będzie dobrze, nie mówisz jednak, że dwudziestego siódmego przyjedziesz na pewno i jakie są tego przyczyny. W aparacie były jakieś szmery i nie mogłam dobrze zrozumieć. Powiedziałeś także, że prawdopodobnie opóźnisz swój przyjazd, ale tak być nie może, Clyde. Rodzice moi wyjeżdżają do Hamilton do stryja, Tom i Emilka jadą tego samego dnia do siostry, a ja nie chcę jechać z nimi i nie chcę tu pozostać. Więc musisz przyjechać koniecznie, przyrzekłeś zresztą. Nie chcę już dłużej czekać, Clyde, w takich warunkach, musisz więc przyjechać i zabrać mnie stąd. Proszę cię, bardzo cię proszę, błagam, nie męcz mnie dłużej tą zwłoką."

Dalej:

"Clyde, przyjechałam do domu, bo ci ufałam. Mówiłeś mi zupełnie poważnie przed moim wyjazdem, że jeśli będę tego żądała, przyjedziesz po mnie i zabierzesz ze sobą jeszcze przed upływem trzech tygodni, że więcej ci czasu nie będzie trzeba na przygotowanie się do ślubu, zebranie pieniędzy na ten cel i na otrzymanie gdzie indziej posady. Tymczasem miesiąc już dobiega, a ty wcale nie jesteś pewny, czy będziesz mógł przyjechać teraz, chociaż mówiłam ci, że rodzice moi wyjeżdżają do Hamilton na dziesięć dni. Potem, oczywiście, powiedziałeś, że przyjedziesz, ale wiem, że to dlatego tylko, żeby mnie uspokoić.

Clyde, jestem naprawdę chora, bardzo chora. Czuję się ciągle, jakbym miała zemdleć za chwilę, a poza tym stale nęka mnie myśl, co mam zrobić, jeżeli nie przyjedziesz. Bliska jestem obłędu".

"Clyde, wiem, że mnie już nie kochasz, jakeś dawniej kochał, i chciałbyś, żeby nasze sprawy poszły innym torem. Co jednak mogę zrobić? Wiem, że powiesz na to, że to zarówno jest moja, jak i twoja wina. Ludzie też myśleliby to samo. Ileż jednak razy błagałam cię, żebyś mi tego nie robił, ja wcale tego nie chciałam, wcale nie chciałam, bałam się i zawsze żalowałam, że się to stało, jakkolwiek wielka była moja miłość dla ciebie, zbyt wielka nawet, bo obawiałam się, żebyś nie odszedł ode mnie. I stało się tak, jakeś sam chciał".

"Clyde! gdybym umrzeć mogła! To byłoby jedyne dla nas wyjście. Ciągłe się o to modliłam i modlę. Życie już nie ma dla mnie tej wartości, jaką miało niegdyś, gdym cię poznała i tyś mnie kochał... O, szczęśliwe dni zeszłoroczne! Gdyby to wszystko stało się inaczej! Gdybym mogła zejść ci z drogi! Byłoby lepiej dla ciebie i dla nas obojga. Cóż wszakże mogę poradzić nie mając grosza przy sobie ani sposobu, aby zdobyć nazwisko dla dziecka. Jedno mi tylko pozostaje. Gdyby to nie sprawiło takiego bólu rodzinie i nie przysporzyło jej hańby, zakończyłabym z sobą w inny sposób... Zapewniam cię, Clyde, że nawet bez żadnej bojaźni".

W następnym:

"Och, Clyde, Clyde! Jakże życie moje różni się od życia w zeszłym roku! Pamiętasz? Jeździliśmy po Crum Lake i po innych jeziorach, i do Fonda, i do Gloversville, i do Little Fall, a teraz...

Dziś do Toma i Emilki przyszli ich koledzy i koleżanki i chcieli, żebym poszła z nimi na poziomki. Nie mogłam i wiem, że już nigdy nie będę chodzić na poziomki, i płakałam bardzo długo".

Wreszcie ostatni:

"Żegnałam się dzisiaj z całym otoczeniem. Tyle jest tutaj miłych zakątków i wszystkie są dla mnie drogie. Przeżyłam tu prawie całe swe życie. Najprzód poszłam do źródła, gdzie jest tyle zielonego mchu, i pożegnałam je, bo wiem, że już tu nie wrócę tak prędko... a może nawet nigdy. Potem do starej jabłoni, na której często siadywaliśmy - Emilka, ja, Tom i Gifford. Potem żegnałam "Ustronie", maleńki, śliczny domek w warzywnym ogrodzie, gdzie bawiliśmy się często.

O, Clyde! Nie możesz nawet zrozumieć, jakie to wszystko ma dla mnie znaczenie. Zdaje mi się, że już nigdy nie ujrzę swego domu, jeżeli go teraz porzucę. I mamę moją najdroższą, którą tak bardzo kocham i tak boleję, że przed nią kłamać muszę. Nigdy mi się w niczym nie sprzeciwiała i zawsze była pomocą. Czasem tak pragnę powiedzieć jej wszystko... wszystko zupełnie, ale cóż, nie mogę!

Ma tyle zmartwień i beze mnie, po cóż więc mam ją jeszcze więcej zasmucać? Tak, jeżeli tu kiedy powrócę, to już jako zameżna, a jeżeli jako zmarła, nie będzie wielkiego z tego strapienia. Nie dowiedzialaby się przynajmniej nigdy i nie sprawiłabym jej swą śmiercią większego bólu, niż gdybym jej teraz o wszystkim powiedziała, a nie wiem, co już byłoby lepsze od takiego życia jakie teraz prowadzę.

Do widzenia więc, Clyde. Spotkamy się niedługo; jakieś telefonował. Przebacz mi kłopot, jaki ci sprawiam swoją osobą.

Twoja stroskana Roberta".

W tym miejscu wzruszony, zmęczony, lecz zadowolony z siebie Mason zawołał:

- Przerwa!

Naraz na sali rozległ się okrzyk i łoskot padającego ciała. To Aldenowa zemdląła, wyczerpana nie tylko długotrwałym siedzeniem, lecz i wzruszeniem doznany przy czytaniu listów.

Clyde, słysząc jej krzyk, zerwał się, ale silna ręka Jephsona powstrzymała go natychmiast, woźni zaś pomagali Aldenowi podnieść żonę. Całe audytorium, oburzone na Clyde'a, szemrało głośno, jak gdyby popełnił teraz nową zbrodnię.

Gdy sala się uspokoiła, było już zupełnie ciemno, a że zegar wskazywał piątą, przewodniczący odroczył dalszy ciąg posiedzenia do dnia następnego.

Dziennikarze i graficy rozmawiali ze sobą o obronie, która miała prawdopodobnie rozpocząć się nazajutrz; byli ciekawi, czy pozwolą Clyde'owi przemówić za sobą, czy też adwokaci wezmą cały trud na siebie. Wszyscy byli przekonani, że oskarżonego czeka co najmniej dożywotnie więzienie.

Clyde, słysząc klątwy i gwizdania pod swoim adresem, nie był pewien, czy nazajutrz będzie miał dosyć odwagi, by stanąć w swej

obronie, jak to już od dawna było w projekcie. Może lepiej byłoby... gdy nikt na niego patrzeć nie będzie - a nie miał dotychczas na rękach kajdanek - może jutro rano, jak tłumy zaczną się zbierać... w chwili, gdy policjanci zbliżyć się będą do niego... uciec... Może by się udało... Albo lepiej wolno, spokojnie pójść ku schodom, a potem na dół... tak... a potem za bramę... tymi małymi bocznymi drzwiami na główne schody... Gdyby się tylko mógł dostać do lasu, a potem iść, iść, a nawet biec bez ustanku, bez zatrzymywania się, dopóki nie dostałby się... dokąd bądź! Jakież to byłoby szczęście! Mógłby go kto po drodze zastrzelić albo poszczuto by go psami, goniliby go, ale może by się udało? Bo tu, w tym sądzie, nic dobrego go nie spotka. Czyż jest choć jeden człowiek na sali, który by wysłuchawszy wszystkich świadków uważał go za niewinnego? A on wcale nie ma ochoty umierać w ten sposób... Nie! nie w ten sposób...

Idzie już czarna, ponura noc... Zbliża się szary, wietrzny poranek.

Rozdział XXIII

Następnego dnia z rana wszystkie wielkowiejskie dzienniki wyszły opatrzone wielkimi tytułami, ciągnącymi się przez wszystkie szpalty:

"W sprawie Griffithsa skończono przesłuchania niezmiernej ilości świadków oskarżenia". "Motywy i plany zabójstwa wyjaśnione". "Rany na twarzy pasują do kantów aparatu fotograficznego". "Matka zamordowanej mdleje słuchając listów córki".

Bardzo kunsztownie zbudował Mason całe oskarżenie i prokuratorską

mowę, a obrońcy Clyde'a mogli łatwo przewidzieć swoją porażkę i czuli, jak trudno będzie sędziów przekonać, że oskarżony nie jest urodzonym zbrodniarzem.

Mason odbierał gratulacje, a Clyde, zgnębiony zupełnie, myślał tylko o tym, co matka powie, gdy przeczyta to wszystko. Prosił nawet Jephsona, żeby zatelegrafował do niej, by nie wierzyła gazetom. A Frank, a Julia... Esta... I Sandra bez wątpienia też czyta o nim wszystko... bierze co dzień z zaciekawieniem dziennik do ręki... Od tylu dni, od tylu strasznych nocy - ani słówka od niej... ani słówka! Pisma ciągle wspominają o tajemniczej pannie X, lecz żadne nie odważyło się podać jej portretu... Oto, co robią pieniądze!

Dziś rozpoczną się przesłuchania świadków obrony. Clyde wie, że jest on jedyną osobą, przemawiającą na korzyść oskarżonego. Czy potrafi jednak? Takie tłumy... Ich wrogie uczucia... Przekonanie, że mu nie uwierzą i że go nienawidzą... A przy nim tylko Belknap i Jephson. Im dobrze. Nie czują nad sobą tego straszego niebezpieczeństwa, nie czekają ich cierpienia... na jakie on musi... tak, musi być przygotowany.

Całą godzinę przed posiedzeniem przesiedział Clyde ze swymi obrońcami, wreszcie przeprowadzono go do sali sądowej.

Belknap rozpoczął mowę:

- Panowie sędziowie przysięgli! Prawie trzy tygodnie temu powiedziano wam ustami pana prokuratora, że wina oskarżonego jest już bezsporna. Byliśmy świadkami długiej i nużącej procedury. Czyny młodego chłopca, może szalone, nie przemyślane, lecz w każdym razie niewinne, przedstawione wam były, panowie jako czyny doświadczonego kryminalisty, przedstawione z wyraźnym celem, aby was, panowie sędziowie, uprzedzić do oskarżonego, który - oprócz wypadku w Kansas City (mówiąc nawiasem, opisanego wam w brutalny i przebiegły sposób w bardzo złym świetle, chociaż wtedy oskarżony nic zupełnie nie zawinił) - może być uznany za młodzieńca o niezwykle czystym charakterze.

Słyszeliście, panowie sędziowie, że go nazwano mężczyzną, dojrzałym mężczyzną, w którego duszy jakby z dna piekieł wyplutej, tkwiły już od urodzenia zbrodnicze skłonności... Pamiętajcie, panowie, że chłopiec ten ma dopiero dwadzieścia jeden lat. Spójrzcie na niego, wszak siedzi tu między wami... Gdybym jakimś czarodziejskim sposobem mógł duszę waszą wyzuć ze wszystkich tych okrutnych pojęć i myśli, którymi was pan prokurator napoił w specjalnym i - powiedziałbym, gdybym nie otrzymał ostrzeżenia - w politycznym celu, spojrzelibyście na niego pod innym kątem widzenia.

Panowie sędziowie, musieliście się zapewne dziwić, że my, to jest ja, mój kolega i oskarżony, pod całym tym potokiem najbardziej złośliwych zeznań zachowaliśmy spokój ducha. Widzieliście, panowie, że zachowaliśmy spokój jak ci, co nie tylko czują, lecz i wiedzą, że prawda w tym prawnym sporze jest po ich stronie.

Pamiętacie niewątpliwie słowa barda znad Avonu: "Trzykrotnie zbrojny ten, kto w sporze ma za sobą prawo".

Istotnie, wiemy dobrze, iż oskarżenie w tej sprawie wyzyskało tylko nieszczęśliwe okoliczności, w których nastąpiła śmierć dziewczyny. Postaramy się jednak je wytłumaczyć należycie. Mam wszakże nadzieję, że nie oglądając się na obronę, w której mam zamiar wyjaśnić straszną tę tragedię, żaden z was, panowie sędziowie, nie wierzył chyba aby tą brutalną i bestialską zbrodnią można było obciążyć sumienie oskarżonego. O, tak, żaden z panów nie mógł w to uwierzyć! Przecież miłość jest miłością, a drogi namiętności i występne wzruszenia, którym podlegają obie płci, niekoniecznie muszą być zbrodnicze. Pamiętajcie, panowie że wszyscy byliście kiedyś młodymi. Panie, niegdyś młode dziewczęta, teraz kobiety dojrzałe, znają dobrze, och, jak dobrze, gorączkowe marzenia i cierpienia wieku młodzieńczego, o których się zapomina w wieku dojrzałym. "Nie sądź, abyś nie był sądzonym" i "jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzają".

Musimy pamiętać ciągle, że istniała czarująca panna X i że listy jej wykazują wiele miłości. Nie możemy ich tu przedstawić i

przekonać, jak mogły działać na oskarżonego, możemy tylko zapewnić, że miłość do panny X istniała i postaramy się przez zeznanie własnych świadków oraz przez analizę tych zeznań, które już tu słyszeliśmy, wykazać, że podstępne i lubieżne propozycje, którymi oskarżony miał podobno tak brutalnie sprowadzić kochającą go dziewczynę z prostej, wąskiej ścieżki moralności, nie były może bardziej chytre i lubieżne niż każde inne, które czyni młodzieniec dziewczynie wybranej, a pochodzącej ze środowiska, gdzie życie jest wtłoczone w najprostsze i najciaśniejsze zasady moralne.

Panowie sędziowie! Pan prokurator powiedział już, że Roberta Alden kochała Clyde'a Griffithsa. Od samego początku ich znajomości, która miała zakończyć się tak straszną tragedią, dziewczę to kochało go głęboko i wiernie, wtedy gdy jemu zdawało się tylko, że je kocha. Istoty, które gorąco kochają, nie zważają na to, co ludzie powiedzą. Kochają i to im wystarcza! Nie mam zamiaru, panowie sędziowie, zatrzymywać się dłużej na tym okresie życia, muszę bowiem dać więcej wyjaśnień co do niektórych szczegółów sprawy. Co robił Clyde Griffiths w Fonda, po co jechał do Utica, do Grass Lake czy do Big Bittern? Może panowie sądzą, że mam zamiar coś zmieniać lub odbarwiać czy uniewinniać oskarżonego, że po nagłej i pozornie tajemniczej śmierci dziewczyny uciekał z tego miejsca? Nie, jesteście w błędzie panowie, bo my nie będziemy korzystali teraz ze swego przywileju.

Panowie sędziowie, powiedziałem wam, że Clyde Griffiths nie jest winien zarzucanej mu zbrodni, i nie jest winien istotnie. Może wam się zdaje, że my sami w głębi duszy jesteśmy przekonani o jego winie? Mylicie się, panowie. Jakże często zdarza się w życiu - i na tym polega jego osobliwość, że człowiek bywa obwiniony dlatego tylko, iż niefortunne okoliczności tak się złożyły, że wygląda na winnego. Ileż to było wypadków strasznych pomyłek sądowych tylko dzięki takim okolicznościom i fałszywym zeznaniom. Zapewniam was, panowie, że takie pomyłki nie wynikały z błędnej teorii czy nieudolnego prowadzenia sprawy, nie, panowie! wynikały właśnie z tego, że panowie sędziowie, w zupełnie dobrej wierze, z najlepszą intencją, nasłuchawszy się zeznań świadków byli przekonani o popełnionej zbrodni lub zamiarze jej popełnienia, gdy tymczasem myśl o takim czynie ani nawet zamiar nie powstał w głowie

oskarżonego!

Zatrzymał się i zamyślił smutnie, Clyde zaś zaciekawiony energicznym wstępem, nabrał nieco otuchy. Po chwili Belknap znów zabrał głos, a Clyde słuchał nie tracąc ani słowa z tej przemowy.

- Gdy ciało Roberty wydobyto z wody, obejrzeni je zaraz lekarze i orzekli, że śmierć nastąpiła wskutek utonięcia. Są tutaj i mogą złożyć zeznania, które będą całkowicie korzystne dla oskarżonego.

Pan prokurator powiedział, że Roberta Alden i Clyde Griffiths byli zaręczeni i mieli się pobrać, że ona wyjechała z domu rodzicielskiego szóstego lipca i udała się z nim na przedślubną wycieczkę. Nietrudno mi będzie, panowie sędziowie przedstawić pewne okoliczności w nieco odmiennym świetle. "Byli zaręczeni" i "mieli się pobrać" - tak pompatycznie nazwał pan prokurator zamiar owej wycieczki. Otóż, jeżeli o to chodzi, nic absolutnie nie wskazuje, że Clyde Griffiths był z nią formalnie zaręczony albo że obiecywał jej małżeństwo. I chociaż listy jej co innego mówią, można jednak domyślić się wyraźnie, iż tylko dlatego mógł zgodzić się na ślub, że uległ moralnej przemocy i fizycznej potrzebie, wynikłej z jej stanu, za który on, niestety, był odpowiedzialny - chociaż, oczywiście nie tylko sam był temu winien, był to bowiem chłopiec dwudziestojednoletni i kobieta dwudziestotrzyletnia. Zapytuję teraz panów, czy to były formalne zrękowiny, takie, jakie zazwyczaj bywają między panną i młodym człowiekiem? Nie mam zamiaru szydzić ani poniżać moralności tego biednego dziewczęcia, ustalam tylko z punktu widzenia prawnego, że chłopiec ten nie był formalnie zaręczony z zamiarem małżeństwa. Ani słowa jej przedtem nie powiedział, że się z nią ożeni... Nigdy! Nie ma na to dowodu. Musicie panowie to przyznać. Tylko ze względu na jej stan, za który sam się czuł odpowiedzialny, zgodził się z wielką przykrością na małżeństwo, chyba że... chyba że... - przerwał na chwilę - chyba że ona zechciałaby go uwolnić od siebie. Ponieważ jednak ona nie miała tego zamiaru, jak na to zresztą wskazują jej listy, czuł, że musi dotrzymać zobowiązania pod grozą wystawienia siebie na pośmiewisko w Lycurgus. To właśnie zobowiązanie stało się w oczach i słowach pana prokuratora uświęconymi zaręczynami, których tylko łotr i nędznik nie stara się dotrzymać. Zastanówcie

się jednak, panowie sędziowie, że najsolenniejsz nawet uświęcone zaręczyny w oczach prawa i religii bywają zrywane. Iluż mężczyzn, ileż kobiet, widząc, że następuje zmiana uczuć w sercach, że wiara ich i śluby są wyszydzone, kryją na dnie serca swój ból i uciekają częstokroć w objęcia śmierci. Sam pan prokurator powiedział trafnie, że nie jest to rzecz nowa i nie będzie nigdy stara. Nigdy!

W tej oto sprawie można właśnie powiedzieć, że zaszła taka zmiana w sercu oskarżonego. Nie jest to wszakże z punktu prawnego wielkie przestępstwo, jakkolwiek ze względów moralnych i socjalnych może być wielkie. W tym zaś wypadku zmiana taka stała się powodem ciekawego i osobliwego zbiegu okoliczności, które zaprowadziły tego chłopca na ławę oskarżonych. Był to tylko nieszczęsny zbieg okoliczności, na co wam przysięgam, panowie sędziowie, bo święcie w to wierzę i moim obowiązkiem jest je sumiennie wyjaśnić ku zupełnemu waszemu zadowoleniu. Przede wszystkim muszę zwrócić uwagę na pewien rys charakteru oskarżonego, który wytłumaczyć może wszystkie jego postęпки.

Panowie sędziowie, osobnik, który znajduje się przed wami, nie jest bezwzględnie żadnym zbrodniarzem i nie może nim być, gdyż jest to tchórz pod każdym względem. Jest on ofiarą ciągłych obaw, nie umiał bowiem nigdy stawić czoła przeciwnościom, które ktoś inny z łatwością by pokonał. Jeżeli coś uczynił, trudno byłoby wytłumaczyć - dlaczego. W każdym z nas wszakże istnieje pewien tajemny lęk czy jakiś straszak moralny. Ta więc cecha jego, nie inna, postawiła go w tak niebezpiecznym położeniu i pchnęła na ławę oskarżonych. Tylko tchórzostwo, panowie, tylko obawa przed przepisem fabrycznym, obawa przed stryjem, który był właścicielem fabryki, jak również wstyd, że złamał słowo dane swym przełożonym, były przyczyną, że ukrywał głęboko swe zainteresowanie piękną robotnicą, a następnie ukrywał swój z nią związek. Nie ma w tym jednak dotychczas żadnej zbrodni, żaden z was, panowie skazać go za to nie może, chociażby z całej duszy nim pogardzał.

Zwykłe pospolite tchórzostwo go ogarnęło, gdy sobie uprzytomnił, że dłużej tego stosunku nie może utrzymywać ani też żenić się z Robertą. Więc jakże, panowie? Czy byście chcieli zabić człowieka

za to, że był ofiarą lęku? Spójrzmy teraz na to z innej strony. Jeżeli mężczyzna czy kobieta czuje, że niegdyś miła obecność towarzyski czy towarzysza staje się nienawistna, że stosunek taki

staje się torturą, co według waszego zdania ma taka istota czynić? Koniecznie musi wiązać się na wieki? Po co? Ażeby do końca życia torturowali się wzajemnie? Powiedźcie, panowie sędziowie szczerze, czy zgadzacie się z takim prawem, pojęciem czy metodą? A jednak mimo wszystko takie przyrzeczenie zostało dane w tym wypadku, jak to obrona udowodni. Dane było uczciwe przyrzeczenie, nie małżeństwa wszakże, i niestety; nie zostało urzeczywistnione. Oskarżony obiecał swej kochance, że będzie jej pomagał, jeżeli zgodzi się prowadzić oddzielne życie i mieszkać poza Lycurgus. Że tak było, mówią o tym jej listy, które tu w sądzie zostały przeczytane. Niestety, ileż razy takie zamierzenia pozostają nie spełnione!

Pojechali więc na ostatnią wycieczkę do Utica, Grass Lake i Big Bittern. Zupełnie bez celu. Bez żadnego zamiaru zbrodni, bez żadnego złego celu, a dlaczego, zaraz to wykażemy.

Panowie, upieram się usilnie przy swym zdaniu, iż nie żaden plan zbrodniczy, tylko zwykłe tchórzostwo skłoniło go do zapisania się pod różnymi nazwiskami w gospodach, obawa, że wyjawiając swój stosunek z Robertą Alden upadnie w oczach swego towarzystwa. Tylko tchórzostwo skłoniło go do natychmiastowej ucieczki, gdy wody jeziora zamknęły się nad Robertą Alden. Obawiał się wrócić do gospody i zawiadomić o jej śmierci. Tylko tchórzostwo i nic więcej! Myślał o możliwych swych krewnych w Lycurgus, o przepisie fabrycznym, dowodem przekroczenia którego jest ta dziewczyna na dnie jeziora, myślał o cierpieniu i wstydzie, i gniewie swych rodziców... Poza tym była jeszcze panna X - najwspanialsza gwiazda ze wspaniałej konstelacji jego marzeń.

Tak, możemy zapewnić, że o tym myślał, gdyż nie mamy co do tego żadnej wątpliwości. Pan prokurator oskarża go, że był pod wpływem czaru panny X i ona również była pod jego urokiem. Tak, przyznajemy to. Oskarżony gotów był zrzec się pierwszej swej miłości, która mu

się sama ofiarowała, dla tej, którą trzeba było zdobyć, która wydawała mu się bardziej pożądana dzięki swej urodzie, pozycji w świecie i bogactwu. Tak dla Roberta on znów był bardziej pożądanym niż kto inny. Wszak zbłądziła dla niego, czyż on także nie mógł... nie mógł zbłądzić dla jej czarującej następczyni, która znów ze swej strony mogła ostatecznie - bo cóż wiemy o tym? - nie dbać tak bardzo o niego. Jedyłą więc jego obawą było, jak to nam, swym obrońcom, wyznał, aby panna X nie dowiedziała się o jego wycieczce z inną kobietą, o której nawet nigdy nie słyszała, bo to mogło źle wpłynąć na jego projekty.

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego że takie rozumowanie nie może liczyć na wyrozumiałość. Można być ofiarą wewnętrznego konfliktu, ofiarą walki uczuć, ze strony jednak prawnej lub religijnej jest się winnym grzechu lub zbrodni. Musimy uznać tedy bezsprzecznie, że w sercu ludzkim bez względu na prawo czy religię walki takie w większości wypadków są przyczynami ludzkich czynów i zgodzić się musimy z tym, że one to kierowały czynami Clyde'a Griffithsa.

Czy zabił jednak Robertę? Nie! Nie zabił! Czy planował jakieś zbrodnicze czyny, by się od niej uwolnić? Czyżby tylko dlatego, że nie chciała go od siebie uwolnić, zaplanował zbrodnię?

Śmieszne, nieprawdopodobne, chorobliwe posądzenie!

Nie! on miał zupełnie inne plany. Jednak, panowie sędziowie - zatrzymał się, jakby nowa jakaś myśl przyszła mu do głowy - może będziecie zadowoleni, jeżeli usłyszycie z własnych ust zeznanie naoczego świadka śmierci Roberta Alden. Był tam obecny i wie, w jaki sposób śmierć ją spotkała.

Spojrzał na Jephsona, jak gdyby mówiąc: "No Reubenie, dopływamy do brzegu".

A Reuben szepnął do Clyde'a, zdenerwowanego w najwyższym stopniu:

- Clyde, teraz na ciebie kolej. Wstań. Jestem z tobą i będę ci zadawał pytania. Przygotowywałem cię tak długo i mam nadzieję, że zachowasz spokój, prawda?

Nachylił się nad Clyde'em dodając mu odwagi wesołym spojrzeniem, a ten, pokrzepiony nieco mową Belknapa, wstał z dobrą miną i szepnął:

- Jestem gotów. Zdaje mi się, że nie zrobię wstydu.

Publiczność słysząc, że będzie zeznawał nowy świadek, wybrany nie przez prokuratora, lecz przez obrońców, zaczęła wstawać z ław, popychając się i hałasując. Sędzia Oberwaltzer, zirytowany tym, zaczął walić pięścią w stół, a sekretarz wołał:

- Spokojnie! spokojnie! jeżeli wszyscy nie usiądą, cała publiczność zostanie z sali usunięta! Woźni niech zwrócą uwagę, czy wszyscy usiedli!

Zapanowała cisza, a wtedy rozległ się głos Belknapa:

- Clyde Griffiths, proszę zająć miejsce na ławie świadków!

Publiczność widząc, że to Clyde w towarzystwie Jephsona występuje naprzód, znowu się podniosła i szeptała. Nawet Belknap, spostrzegłszy zbliżającego się Jephsona, był nieco zdziwiony, gdyż nie wiedział, że to Jephson będzie mu zadawał pytania. Wspólnik zaś jego szepnął w chwili, gdy Clyde składał przysięgę:

- Zostaw to mnie, Alvin, myślę, że tak właśnie będzie dobrze.

Chociaż Clyde jest trochę zdenerwowany, sędzę, że uda mi się dobrze go poprowadzić. Publiczność już zauważyła szepty, a Clyde niespokojnymi oczyma rozglądał się na wszystkie strony i zdawał sobie sprawę, że jest teraz na ławie świadków, że każdy mu się przygląda i że on sam powinien zachować spokój, jak gdyby nie dbał wcale o to, co o nim myślą, bo przecież nie popełnił zbrodni. Miał jednak szarą twarz, zaczerwienione powieki i drżące ręce. Jephson zwrócił ku Clyde'owi swą długą, podobną do chwiejnej brzozy postać, wtopił w jego ciemne oczy swe błękitne źrenice i przemówił:

- Clyde, pamiętaj przede wszystkim, że wszyscy mają słyszeć nasze pytania i odpowiedzi, że musisz opowiedzieć swe życie, odkąd je pamiętasz, a więc, gdzie się urodziłeś, co robią twoi rodzice i wreszcie, co sam robiłeś do przyjazdu do Lycurgus. Ja mogę przerywać pytaniami, ale w ogóle pozwolę ci mówić samemu, bo wiem, że mówisz dobrze.

Ażeby dodać Clyde'owi odwagi swoją obecnością, która była jak ściana między nim a nienawistnym, nieufnym tłumem, przysunął się bliżej, czasami nawet wspierając stopę o podnóże stołu, przy którym stał Clyde, pochylał się ku niemu lub opierał rękę na poręczy krzesła Clyde'a.

Tymczasem wszyscy szeptali:

- No i co? i co?

Silny, krzepiący głos Jephsona dodawał Clyde'owi odwagi i siły, zaczął więc pewnym głosem, bez drżenia, opowiadać w skróceniu historię swej młodości:

- Urodziłem się w Grand Rapids, w stanie Michigan. Rodzice moi prowadzili w tym czasie misję religijną i zwoływali mityngi pod gołym niebem...

Rozdział XXIV

Opowiedział już swe dzieje do czasu, gdy jego rodzice wyjechali z Quincy, w stanie Illinois (gdzie oboje rodzice pracowali w Armii Zbawienia) do Kansas City; opowiedział, jak już od dwunastego roku życia rozmyślał ciągle, żeby znaleźć sobie

samodzielną pracę, gdyż nienawidził szkoły i prac misyjnych.

- Czy oskarżony skończył szkołę powszechną?

- Nie. Zbyt często przeprowadzaliśmy się z miasta do miasta.

- W którym oddziale był, gdy miał dwanaście lat?

- Powinienem być w siódmym, ale byłem dopiero w szóstym i wstydzilem się tego.

- A jakże to było z religijną pracą rodziców?

- Owszem, wszystko było dobrze, ale ja nie lubiłem wychodzić z nimi na ulice.

Dalej opowiadanie o jego zajęciach - w fabryce wody sodowej, wreszcie o posadzie pikolaka w Greenie-Davidsonie, najpiękniejszym hotelu w Kansas City.

- Niech mi oskarżony powie... - przerwał Jephson bojąc się, żeby Mason nie zabrał się do pytania Clyde'a o wypadek z samochodem i zabitym dzieckiem, czym zepsułby cały efekt opowiadania. Postanowił uprzedzić prokuratora. Wiedział, że pytając sam, potrafi złagodzić całą tę historię, która w oświetleniu Masona wydała się niewątpliwie bardziej ponura...

- ...jak długo tam pracował?

- Prawie rok.

- Dlaczego opuścił to miejsce?

- Z powodu pewnego wypadku.

- Jaki to był wypadek?

Clyde, przygotowany na to pytanie, opisał wszystkie szczegóły wycieczki wraz z wypadkiem śmierci dziewczynki i swoją ucieczką.

Mason miał ochotę przerwać, słuchając jednak dalej, pokręcił tylko głową i mruknął z ironią:

- Lepiej by nie mówił o tym...

Jephson jednak, rozumiejąc, że wyjaśnienie tego okresu może mieć wielkie znaczenie dla oskarżonego, zaostrzył jeszcze sytuację:

- Ile lat wtedy liczył oskarżony?

- Zacząłem osiemnasty.

- Niech mi oskarżony powie - dopytywał się Jephson - czy nie wiedział o tym, że mógł powrócić do Kansas City, bo przecież w niczym nie zawinił. Mógłby się przecież wytłumaczyć, albo rodzice by poręczyli...

- Zgłaszam sprzeciw! - zawołał Mason. - Nie mamy wcale dowodu, że mógł wrócić do domu lub że rodzice mogliby poręczyć.

- Uwzględniam sprzeciw - zdecydował przewodniczący. - Obrona niech treściwiej redaguje swe pytania.

- Wyjątek... - zauważył Belknap ze swej strony.

- Nic o tym nie wiedziałem - odpowiedział jednak Clyde na to pytanie.

- I dla tej samej przyczyny zmieniłeś nazwisko na Tenet, jak mi to mówiłeś? - zapytał Jephson.

- Tak.

- A skąd wzięłeś sobie to nazwisko?

- Tak się nazywał jeden chłopiec w Quincy.

- Czy to był dobry chłopiec?

- Wnoszę sprzeciw! - zawołał Mason. - Niewłaściwe, nieodpowiednie, niepotrzebne!

- Dlaczego? może wolał wziąć sobie nazwisko porządnego chłopca, wbrew temu co sąd insynuuje, i dlatego pytanie może być bardzo potrzebne.

- Uwzględniam sprzeciw - ogłosił przewodniczący.

- A czy nie pomyślałeś sobie, że narażasz tym owego chłopca?

- Nie, proszę pana. Pomyślałem tylko, że jest dużo Tenetów.

Można się było spodziewać w tym miejscu pobłażliwego uśmiechu, publiczność jednak odnosiła się do oskarżonego tak wrogo, że owa lekkomyślność lepiej jej nie usposobiła.

- Niech mi oskarżony powie - pytał znów Jephson, który sam widział, że trudno będzie przełamać niechęć słuchaczy - czy kochał swą matkę?

Znowu sprzeciwy, znowu tłumaczenia, wreszcie dopuszczono pytanie.

- Tak, kochałem - odrzekł

Clyde, po krótkim wahaniu jednak, co nie uszło uwagi. Miał ściśnięte gardło i z trudem oddychał.

- Bardzo?

- Tak, proszę pana, bardzo.

- Czy była dla oskarżonego dobra? Czy robiła wszystko, co było w jej możliwości?

- O, tak.

- Jakże więc oskarżony mógł, nawet po tak dla niego strasznym wypadku, uciekać od niej i tak długo zostawiać ją bez wiadomości, nie tłumacząc się nawet z braku winy, tym bardziej że oskarżony

zajął się zaraz pracą i był przyzwoitym człowiekiem?

- Ależ pisałem do niej, tylko nie pod swoim nazwiskiem.

- Aha. Czy oskarżony tylko pisał?

- Posłałem jej trochę pieniędzy - dziesięć dolarów.

- Nie zamyślał oskarżony jednak powracać?

- Nie. Bałem się, że gdybym powrócił, mógłbym być aresztowany.

- Oto widać z tego najwyraźniej - zakończył z patosem Jephson - że oskarżony był prawdziwym tchórzem, jak to już powiedział mój kolega Belknap.

- Sprzeciwiam się takiej interpretacji zeznania oskarżonego! - wołał Mason.

- Zeznanie oskarżonego nie wymaga interpretacji. Jest zupełnie szczerze i uczciwe, jak to każdy mógł zauważyć - szybko wtrącił Jephson.

- Sprzeciw uwzględniony! - zawołał przewodniczący. - Dalej! dalej!

- Ponieważ, jak z tego wynika, oskarżony jest tchórzem, nie mam prawa go potępić, bo każdy czyn oskarżonego był rezultatem tchórzostwa.

Tego było już za wiele i teraz sam przewodniczący ostrzegł Jephsona, by lepiej formułował pytania.

- Oskarżony więc wędrował z Altony do Peor, Bloomington, Milwaukee, do Chicago, ukrywając się w małych pokoikach, na bocznych uliczkach, i pracował jako pomywacz w restauracji, jako posługacz w fabrykach wody sodowej lub jako woźnica, zmieniawszy nazwisko na Tenet wówczas, gdy mógł zupełnie swobodnie powrócić do Kansas City i zająć dawne miejsce.

- Sprzeciwiam się! Sprzeciwiam się! - krzyczał Mason. - Nie ma żadnego dowodu na to, że mógł powrócić i zająć dawne miejsce.

- Sprzeciw uwzględniony - oświadczył przewodniczący.

Było to bardzo nie na rękę Jephsonowi, który miał w kieszeni list Franciszka Squiresa, dawnego szefa boyów w Greenie-Davidsonie. Pisał w nim, że nie może nic zarzucić młodemu Griffithsowi prócz udziału w tym wypadku z samochodem. Zawsze uważał go za chłopca uczciwego, uprzejmego, posłusznego i dobrze wychowanego i widział, że Clyde wyróżniał się spośród reszty chłopców. Gdyby po tym wypadku wrócił i wytłumaczył się, zostałby z chęcią na powrót przyjęty. Listu jednak tego Jephson nie mógł już odczytać.

Dalej nastąpiła długa historia ciężkich i przykrych wędrówek Clyde'a przez całe dwa lata, aż do chwili, gdy otrzymał wreszcie pracę w Chicago jako boy w Union Clubie, i jak zaraz po otrzymaniu posady napisał do matki i otrzymał od niej radę, by się zwrócił do stryja. Potem szła opowieść o przypadkowym spotkaniu się ze stryjem, który go namówił do przyjazdu do Lycurgus. Dalej oczywiście nastąpiły szczegóły o rodzaju pracy, jaką tam otrzymał, o tym, jak kuzyn i inni przełożeni uprzedzali go o przepisach panujących w warsztatach, potem o poznaniu się z Robertą, następnie o pannie X. Nastąpiły szczegóły, jak i dlaczego zalecał się do Roberty Alden, skąd miał pewność jej miłości, ile mu to dało szczęścia, jak spotkanie z panną X i jej niewypowiedziany czar zmienił zupełnie jego uczucie do Roberty. Mówił jeszcze, że chociaż ją przez jakiś czas jeszcze kochał, nigdy jednak już mu na myśl nie przychodziło, że mógłby się z nią ożenić.

Jephson, zaniepokojony, by Clyde'a nie uznano za człowieka o bardzo chwiejnym charakterze, co koniecznie oskarżyciel chciał mu udowodnić, przerwał:

- Czy oskarżony istotnie z początku kochał Robertę Alden?

- Kochałem.

- Musiał chyba widzieć i poznać od razu po jej postępowaniu, że

była to naprawdę niewinna i bardzo przyzwoita dziewczyna?

- O, tak - odrzekł Clyde, powtarzając to, co mu wtłoczono w głowę.
- To właśnie mi się w niej najbardziej podobało.

- Czy więc oskarżony będzie umiał nam wytłumaczyć, jak i dlaczego, i kiedy, i gdzie znajomość ta zmieniła się w tak haniebnny stosunek?

Tu Jephson spojrział mądrym a twardym wzrokiem na audytorium.

- Jakże oskarżony mógł, tak wysoko ją ceniąc, zmusić Robertę Alden do uległości? Czyż nie wiedział, że każdy uczciwy człowiek uważa to za niewybaczalny występki?

Śmiałość tego wystąpienia i ironiczny ton wywołał na razie ciszę, a potem lekkie poruszenie u części publiczności. Mason i przewodniczący zmarszczyli się z obawą. Patrzcie państwo! Co za cynizm! Jakże on śmie podawać taką insynuację pod pozorem poważnego pytania, w którym czaiła się myśl podważająca fundamenty społeczne, religijne i moralne?

Jephson patrzył jednak śmiało wszystkim w oczy, a Clyde odpowiedział:

- No... tak... zdaje mi się... Ja naprawdę nie miałem zamiaru... jej uwieść. Ani na chwilę ta myśl nie przeszła mi przez głowę. Ja ją tylko kochałem...

- Kochał ją oskarżony?

- Tak, kochałem.

- Bardzo?

- Bardzo.

- Czy i ona kochała wtedy oskarżonego?

- O, tak, kochała mnie również.

- Od pierwszego spotkania?

- Tak.

- Czy to powiedziała?

- Tak.

- A gdy wyprowadziła się od państwa Newtonów - słyszał przecież oskarżony wszystkie te zeznania - czy to oskarżony starał się nakłonić ją do wyprowadzenia się stamtąd?

- Nie, ona sama chciała wyprowadzić się od nich.

- Czy to ona chciała, żeby oskarżony pomógł jej w wyszukaniu mieszkania?

- Chciała, rzeczywiście.

- Dlaczego?

- Nie знаła dobrze miasta i myślała, że będę mógł jej udzielić wskazówek, gdzie można będzie znaleźć jakiś ładny pokój.

- Czy oskarżony powiedział jej o pokoju państwa Gilpinów?

- Nie, nic jej nie mówiłem. Nie mówiłem jej ani razu o żadnym pokoju. Znalazła go sama.

Była to odpowiedź, której musiał się nauczyć.

- A dlaczego jej oskarżony nie pomógł?

- Byłem bardzo zajęty w dzień, a często i wieczorami. Myślałem przy tym, że ona sama będzie wiedziała lepiej, czego jej potrzeba, lepiej niż ja.

- Czy oskarżony widział przedtem mieszkanie u państwa Gilpinów, zanim je wynajęła?

- Nie.

- Czy nie rozważaliście, zanim ona się wprowadziła, jaki rodzaj pokoju ma znaleźć, nie myśleliście o kwestii oddzielnego wejścia, braku skrzepowania, swobody czy czymś podobnym?

- Nie. Nie rozmawialiśmy o tym.

- Czy oskarżony nie należał, żeby wzięła taki pokój, który by zapewniał mu swobodę wchodzenia do niej dniem i nocą?

- Nigdy. Zresztą z tego mieszkania trudno byłoby wejść i wyjść niepostrzeżenie.

- Dlaczego?

- Dlatego że drzwi jej pokoju były naprzeciw wejścia frontowego, które każdy wchodził i wychodził i gdzie łatwo było zawsze spotkać kogoś.

Była to druga odpowiedź, którą mu wbito w głowę.

- Jednakże potrafił oskarżony wśliznąć się do niej i wyjść ukradkiem, prawda?

- No tak... bo oboje postanowiliśmy spotykać się w ten sposób codziennie.

- Z racji tego przepisu fabrycznego?

- Tak, proszę pana, tylko dlatego.

Potem nastąpiło opowiadanie o różnych trudnościach z Robertą, gdy na widowni ukazała się panna X.

- Teraz musimy pomówić nieco o panie X. Jakkolwiek w porozumieniu

z prokuratorem - a powody panowie sędziowie rozumieją niewątpliwie - możemy z lekka tylko dotknąć tej sprawy, gdyż dotyczy to osoby, która nic tutaj nie zawiniła, nazwisko jej więc musi pozostać nieznane.

Będziemy jednak delikatnie do niej nawiązywać, jeśli tylko tyczyć się to będzie tej nieszczęsnej zmarłej. Jestem pewien, że gdyby żyła panna Alden; sama zgodziłaby się na to. Więc co do panny X - mówił dalej, zwracając się do Clyde'a - wiemy już o tym, że oskarżony poznał ją w Lycurgus w listopadzie czy grudniu. Czy to prawda?

- Tak, to prawda - odrzekł smutnie Clyde.

- I od razu się w niej zakochał?

- Tak, od razu.

- Czy ona jest bogata?

- Bardzo bogata.

- Piękna? - i odrzekł sam, zwracając się do sędziów, nie czekając na odpowiedź Clyde'a. - Zdaje się, że nikt nie wątpi, że jest piękna.

A Clyde odpowiedział:

- O, tak! bardzo piękna.

- Czy związek między wami, to jest między oskarżonym i Robertą Alden, był już utrwalony, gdy doszło do zawarcia znajomości z panną X?

- Tak.

- Mhm. Ale czy wtedy... Nie. Zaraz... chcę się zapytać o coś innego... Czy wtedy, gdy oskarżony poznał pannę X, kochał jeszcze Robertę, czy już nie?

- O, tak, kochałem ją jeszcze.

- Czy nie był już nią znudzony?

- Nie, proszę pana. Kochałem ją wtedy.

- Czy jej towarzystwo i ona sama były tak samo pożądane jak dawniej.

- O, tak.

Mówiąc to, Clyde sięgnął pamięcią i uczył, że powiedział prawdę. Była to prawda, że przed spotkaniem się z Sandrą cieszył się i rozkoszował towarzystwem Roberty.

- A jakie miał oskarżony zamiary względem Roberty Alden przed poznaniem panny X? Musiał chyba czasami myśleć o tym, prawda?

- Nie, chyba nie myślałem. - Mówiąc to, zwilżał sobie usta w zdenerwowaniu. - Nigdy nie miałem zwyczaju robić jakichś planów na przyszłość, tym bardziej co do niej. Wiem także, że i ona też nie robiła żadnych planów na przyszłość. Od razu oddaliśmy się sobie z całą namiętnością, nie zastanawiając się nad niczym. Wpłynęła na to nasza samotność. Roberta nigdy nie kochała nikogo i ja też. Był przecież taki przepis, że nie wolno mi było zająć się nikim; kiedy jednak doszliśmy do przekonania, że się kochamy, nie zastanawialiśmy się nad niczym.

- Oskarżony nie zastanawiał się nad niczym, bo nic na razie złego się nie stało, i nie liczył, że się coś stać może, prawda?

- Nie, proszę pana... to jest, tak, proszę pana.

Clyde pragnął, żeby odpowiedzi jego wypadły jak najstosowniej.

- Musieliście chyba choć trochę myśleć o przyszłości. Oskarżony miał dwadzieścia jeden lat, ona dwadzieścia trzy...

- No, tak, zdaje się, że czasem myślałem o tym.
- Jakież to były myśli? Czy oskarżony może sobie przypomnieć?
- Zdaje się, że będę mógł sobie przypomnieć. Myślałem, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, zaoszczędzę trochę pieniędzy, ona powinna postarać się o miejsce w innej fabryce i że wtedy będziemy żyli ze sobą otwarcie, a później, jeżeli będziemy się kochali, to się z nią ożenię.
- Myślał więc oskarżony o ożenieniu się z nią?
- Tak, proszę pana, czasami myślałem.
- Było to jednak przed spotkaniem pani X?
- Tak, proszę pana. Było to przed spotkaniem.
- Wyśmienicie odegrane! - szepnął Mason do senatora Redmonda.
- Prześliczna scenka - odpowiedział senator szeptem.
- I mówił jej oskarżony o tym często? - pytał Jephson.
- O, nie, proszę pana. Wcale nie pamiętam, żebym jej to mówił.
- Więc mówił o tym, czy nie mówił? Jakże to było?
- Nic nie było. Mówiłem jej często, że ją bardzo kocham, że nigdy bym nie chciał się z nią rozstać i przypuszczam, że i ona tego by nie chciała.
- Nie mówił jej jednak oskarżony, że chce się z nią ożenić?
- Nie! nigdy nie mówiłem o małżeństwie.
- No, dobrze... dobrze! a ona... co ona mówiła?

- Ona?... że nigdy mnie nie opuści... - odrzekł Clyde smutny i pełen dziwnego lęku. Zabrzmiało mu w uszach ostatni krzyk Roberty i ujrzał przed sobą utkwione w nim jej oczy. Wyjął chustkę i zaczął sobie obcierać wilgotną, chłodną twarz i rękę.

- Wspaniała scena! - szepnął Mason z ironią.

- Dowcipnie! dowcipnie! - cicho mruczał Redmond.

- Niechże mi teraz oskarżony powie - pytał dalej Jephson chłodnym tonem - jakże to mam wytłumaczyć, że mając tyle uczucia dla Roberty, oskarżony tak się zmienił w stosunku do niej po spotkaniu się z panną X? Czyż oskarżony jest bardzo zmienny i sam nie zna siebie?

- Nie myślałem wtedy o tym wcale.

- Czy oskarżony utrzymywał jakieś miłosne stosunki przed poznaniem panny Alden?

- Nie. Nie utrzymywałem.

- Przed spotkaniem z panną X uważał więc swą miłość dla panny Alden za silną i trwałą?

- Tak, proszę pana.

- A potem? Co potem?

- Potem... już nie było to samo...

- To znaczy, że po spotkaniu się z panną X przestał oskarżony zupełnie kochać pannę Alden?

- Nie, proszę pana. To nie było zupełnie tak, jak pan mówi - zaprzeczył gorąco Clyde. - Jeszcze ją trochę kochałem... a nawet bardzo ją kochałem... ale nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak dalece straciłem głowę dla panny... panny...

- Panny X. Wiem. Rozkochał się w niej oskarżony jak szalony i stracił dla niej głowę. Czy tak było?

- Tak.

- A potem?

- Potem... potem... przestałem już zupełnie kochać Robertę.

Drobne kropelki potu osiadły na czole i twarzy Clyde'a.

- Tak! tak! - mówił Jephson z przekonaniem, głośno, myśląc ciągle o słuchającym go audytorium. - Coś niby z bajek z tysiąca i jednej nocy o czarodziejce i zaczarowanym...

- Nie wiem, o czym pan mówi - szepnął Clyde.

- Mówię o tym, mój chłopcze, że byłeś oczarowany pięknnością, kochaniem, bogactwem, tym, jednym słowem, co często pragniemy posiadać, a czego, i o tym też wiemy, nigdy posiadać nie będziemy, i co prawie zawsze ma tak wielkie znaczenie w miłości...

- A, tak, rzeczywiście - odrzekł Clyde, uważając słowa Jephsona za retoryczny zwrot.

- Chodzi mi teraz, mój chłopcze, o to, dlaczego, będąc związanym gorącą miłością z panną Alden i mając względem niej obowiązki mogłeś tak szybko stracić dla niej uczucie, aby je oddać czym prędzej pannie X? Jakże się to stało? Chcielibyśmy o tym wiedzieć. Czy nie poczuwałeś się do żadnej wdzięczności? Nie czułeś, że masz obowiązki względem niej? Czyś myślał, że nic jej nie jesteś dłużny? Chcielibyśmy wiedzieć o tym.

Było to prawdziwie ciężkie pytanie - zaatakowanie własnego świadka. Jephson jednak był w swoim prawie i Mason nie kwestionował tego pytania.

- No, tak... - tu Clyde zawahał się i zająknął, jak gdyby nie miał odpowiedzi od dawna wbitej w głowę i wydawało mu się, że istotnie

jest w kłopotcie i szuka odpowiednich słów. Jakkolwiek nauczył się odpowiedzi na to pytanie, jednak zadawał je sobie sam często dawniej w Lycurgus. Teraz oto słyszał je w sądzie i nie wiedział na razie, co odpowiedzieć. - Prawdę mówiąc to nad tymi sprawami niewiele się zastanawiałem. A potem, gdy zobaczyłem pannę X, nie potrafiłem już o tym myśleć. Chciałem nawet czasami, ale nie mogłem. Pożądałem tamtej, a panny Alden nie pragnąłem już wcale. Wiedziałem, że nie postępuję uczciwie... i nawet było mi przykro... ale nie byłem w stanie o niej już myśleć. Myślałem tylko ciągle o pannie... X i dlatego o Robercie... Starłem się myśleć o niej, jednak nie mogłem się przewyciężyć, bo miałem ciągle przed oczami pannę X...

- Wynika z tego, że oskarżony niezbyt cierpiał nad tym?

- O, cierpiałem bardzo - odrzekł Clyde. - Wiedziałem, że nie postępuję dobrze i martwiłem się bardzo o Robertę i o siebie, ale nie byłem w stanie zdobyć się na jakiś czyn.

Powtarzał słowa, które mu zapisał Jephson, chociaż, gdy je pierwszy raz przeczytał, czuł, że to jest istotna prawda. Przecież cierpiał trochę.

- Więc?

- Więc ona zaczęła się żalić, że nie odwiedzam jej tak często jak dawniej.

- A więc już oskarżony zaczął ją zaniedbywać?

- No, tak... trochę... niezupełnie... nie!

- A gdy oskarżony przekonał się już, że jest pod wpływem uroku panny X, co wtedy zrobił? Czy poszedł do panny Alden i powiedział, że nie może jej kochać dłużej, bo kocha inną kobietę?

- Nie, nie powiedziałem... nie powiedziałem tego.

- Dlaczego? Czy oskarżony uważał, że to przyzwoicie i uczciwie

wyrażać miłość dwóm kobietom?

- Nie, proszę pana, to nie było tak, jak pan myśli. W tym czasie widywałem się często z panną X, ale nie mówiłem jej wcale o swej miłości. Nie pozwoliłaby mi zresztą na to... Wiedziałem już jednak, że nie mogę dłużej kochać panny Alden.

- Panna Alden jednak żaliła się, prawda? i co wtedy? Czy oskarżony starał się pokonać swą miłość do innej kobiety?

- Tak, proszę pana.

- I co?

- Nie mogłem jej się wyrzec.

- Kogo? panny X? tak?

- Tak.

- I zalecał się oskarżony do niej dopóty, dopóki go nie pokochała, tak?

- Nie, proszę pana, to niezupełnie tak było...

- Jakże więc było?

- Bywając wiele, spotykałem ją często i miłość moja stawała się coraz silniejsza.

- Rozumiem. Ale i teraz nie powiedział oskarżony pannie Alden, że jej nie kocha?

- Nie, nie powiedziałem.

- Dlaczego?

- Nie chciałem jej robić przykrości i dlatego nie powiedziałem.

- Rozumiem. Oskarżony nie miał cywilnej odwagi, by jej to powiedzieć, prawda?

- Nie rozumiem, proszę pana, co to jest cywilna odwaga - odrzekł Clyde, nieco zirytowany ciągle stawianym mu zarzutem tchórzostwa - ale było mi przykro i nie chciałem jej powiedzieć, bo zaraz zaczęłaby płakać. Jakże jej miałem to powiedzieć.

- Rozumiem. Zostawmy więc to tymczasem. Chcę się teraz dowiedzieć czegoś innego. Czy ten stosunek między wami, pomimo braku miłości ze strony oskarżonego, trwał jeszcze?

- Nie... nie tak już długo - mówił Clyde ze zdenerwowaniem i zawstydzoną miną. Myślał, że wszyscy go słuchają, wszyscy będą o tym wiedzieć - jego matka... Sandra... cała ludność Stanów Zjednoczonych... wszyscy to przeczytają... Miał te pytania przed sobą od kilku tygodni i zapytywał Jephsona, na co mu się przydadzą. A Jephson odpowiadał: - Będzie to wielki efekt. Im mocniej wstrząsną nimi istotne fakty twego życia i obrazy tutejszego społeczeństwa, tym łatwiej zyskamy dla ciebie trochę wyrozumiałości. Zresztą nie łam sobie tym głowy. Gdy przyjdzie czas, odpowiadaj tak, jak ci mówię, a nam zostaw resztę.

Więc teraz mówił:

- Od chwili, gdy poznałem pannę X, nie dbałem już o Robertę tak jak dawniej i starałem się rzadziej u niej bywać... okazało się jednak niedługo potem, że była już w poważnym stanie i... wtedy...

- Mhm. I co wtedy? Kiedy to było?

- W drugiej połowie stycznia tego roku.

- Więc, gdy się to stało, czy oskarżony nie sądził, że jego obowiązkiem jest ożenić się z nią?

- Nie... to nie o to chodziło... Starałem się jej dopomóc w inny sposób... chciałem, żeby się pozbyła... kłopotu.

- A dlaczego? Co to znaczy "to nie o to chodziło?".
- No, właśnie tak, jak panu mówiłem. Nie obiecywałem jej przecież nigdy małżeństwa i ona wiedziała o tym, a teraz, gdy jej już nie kochałem... Uważałem, że z mojej strony byłoby wiele, gdybym jej pomógł pozbyć się kłopotu. A wtedy dopiero wyznałbym jej prawdę, że jej nie kocham.
- Nie udało się jednak oskarżonemu pomóc jej?
- Nie. Staralem się jednak.
- Czy chodził oskarżony do tego drogisty, który tu składał zeznanie?
- Chodziłem.
- Czy jeszcze do kogo?
- O, tak. Do siedmiu, zanim coś dostałem.
- To jednak, co oskarżony dostał, nie pomogło jej?
- Nie, proszę pana.
- Czy oskarżony chodził również do tego właściciela magazynu z konfekcją męską, który też tu składał zeznanie?
- Chodziłem.
- I wskazał oskarżonemu doktora?
- Tak, ale ja... wolałbym nie wymieniać, którego...
- Dobrze, można nie wymieniać. Czy oskarżony posłał pannę Alden do tego doktora?
- Tak.

- Czy poszła tam sama, czy z oskarżonym?
- Poszedłem z nią tylko do jego drzwi.
- Dlaczego tylko do drzwi?
- Zastanawialiśmy się nad tym i ona mi poradziła, żebym tak zrobił. Bardzo niewiele miałem wtedy pieniędzy i miałem nadzieję, że kuracja taniej wypadnie, jeżeli doktor zobaczy ją samą, a gdybym i ja z nią poszedł, żądałby więcej.
- Co, do pioruna! widzę, że włązi na moje podwórko - doszedł do wniosku Mason. - Uprzedził mnie w kilku punktach, którymi go chciałem zaskoczyć. - Usiadł z irytacją. - Wszyscy doskonale rozumieją, do czego dąży Jephson.
- Rozumiem. A czy to czasem nie było dlatego, żeby się o tym nie dowiedzieli stryj oskarżonego i panna X?
- Ta...ak. Omawialiśmy razem z Robertą te sprawy. Ona wiele rzeczy rozumiała i wiedziała o mnie.
- Nie o panie X jednak?
- Nie. O panie X nie wiedziała.
- A dlaczego?
- Bo... bo nie chciałem jej robić przykrości... Mogłoby to jej zaszkodzić. Chciałem poczekać, aż będzie znowu zdrowa.
- Miał więc oskarżony powiedzieć i wtedy ją opuścić? Tak było?
- Tak... gdybym już jej nie kochał tak jak dawniej.
- Ale nie teraz, gdy miała takie zmartwienie?
- O, nie, teraz jej nie mogłem powiedzieć. Miałem jednak nadzieję,

że uda się jej pozbyć... kłopotu.

- Rozumiem. Czy jednak, widząc jej ciężkie położenie, nie uważał oskarżony, że można było uprościć całą tę sytuację i wyrzec się panny X, a ożenić się z panną Alden?

- Nie... proszę pana... to nie wtedy... to nie w tym czasie...

- Co to znaczy "nie w tym czasie"?

- Zrozumiałem to dopiero później, jak to już panu mówiłem, ale nie w tym czasie... tylko później... jak wyjechaliśmy na wycieczkę do Adirondacks.

- A dlaczego nie wtedy?

- Wtedy... byłem zanadto pod urokiem panny X, abym mógł myśleć o czym innym.

- Oskarżony nie mógł się opanować?

- Nie, nie mogłem. Byłem tym zmartwiony, ale nie mogłem.

- Rozumiem. Mniejsza o to zresztą. Poruszę tę kwestię jeszcze raz. Chciałbym teraz, żeby oskarżony wytłumaczył się przed sądem, jak to było z panną X. Czyż tak bardzo różniła się od panny Alden, że stała się bardziej od niej pożądana? Co ją charakteryzowało: czy sposób zachowania, czy uroda, czy jej pozycja w świecie, czy też było jeszcze coś innego, co wywierało taki urok na oskarżonego?

Było to pytanie, które Belknap i Jephson zadawali Clyde'owi kilkakrotnie, starając się dociec prawdy ze stanowiska psychologicznego, prawnego, a nawet osobistego i za każdym razem otrzymywali inną odpowiedź. Z początku Clyde nie chciał wcale o tym mówić z obawy, że cokolwiek powie, będzie użyte w procesie, a dzienniki gotowe podać jej nazwisko. Później, gdy pisma zachowywały milczenie w tej kwestii i kiedy nabrał pewności, że nikt Sandry nie będzie niepokoić, zaczął o niej mówić nieco swobodniej. Dziś jednak w sądzie zdenerwowało go to pytanie i nie

miał wielkiej ochoty rozwodzić się nad nim.

- To trudno dokładnie określić. Uważałem, że panna X była bardzo piękna, o wiele piękniejsza od Roberty. Nie tylko to jednak... różniła się pod każdym względem od wszystkich kobiet. Była bardziej niezależna, każdy musiał zwracać uwagę na to, co robiła lub mówiła. Wydawało mi się, że była rozumniejsza od innych kobiet. Ubierała się wspaniale, była bardzo bogata, a jej nazwisko i portrety były stale w dziennikach. Kiedy jej nie znałem jeszcze bliżej, czytywałem pisma tylko z jej powodu i zdawało mi się wtedy, że widzę ją przed sobą. Była bardzo dobra... może nie taka prostoduszna i ufna jak panna Alden i dlatego trudno mi było wprost uwierzyć, że zwróciła na mnie uwagę. Byłem tym zachwycony, oczarowany, nie mogłem o czym innym myśleć i nie chciałem już mieć nic wspólnego z Robertą. Nie mogłem... Panna X stała mi ciągle przed oczami.

- Widzę z tego, że miłość przyszła od pierwszego spojrzenia, prawie oczarowanie - skonkludował Jephson zerkając z boku na zespół sędziowski. - Jeżeli nie jest to obraz zbyt pięknymi malowany kolorami, nie zdaje mi się, żebym kiedy widział taką osobę.

Publiczność i sąd zachowały kamienny wyraz twarzy.

Jephson przyspieszył badanie i zaczął się dopytywać o szczegóły wypadku, które go zaprowadziły na ławę oskarżonych.

- Proszę nam teraz opowiedzieć, co się dalej stało. Niech oskarżony opowie nam wszystko, co tylko pamięta, nie stara się nic ukryć lub wydać się lepszym czy gorszym. Roberta Alden nie żyje i ty, Clydzie Griffiths, możesz rychło życie zakończyć, jeżeli tych dwunastu mężów tak zdecyduje.

Chłodny dreszcz przebiegł nie tylko po plecach Clyde'a. Każdy na sali odczuł powiew śmierci.

- Zawsze jednak prawda, chociażby dla uspokojenia własnego sumienia, jest najlepsza - kończył Jephson. (Niech mi teraz

podstawi nogę, jeżeli potrafi - pomyślał o Masonie.)

- Dobrze - odrzekł Clyde.

- Co się więc dalej działo, gdy ona znalazła się w odmiennym stanie, a oskarżony nie umiał jej pomóc, co się wtedy stało? Co oskarżony robił? Co przedsięwziął? A jaką wtedy otrzymywał pensję?

- Dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo - odrzekł Clyde.

- Czy żadnych innych źródeł dochodu nie było?

- Nie rozumiem.

- Czy nie zarabiał oskarżony w inny jeszcze sposób, żeby mieć nieco więcej pieniędzy?

- Nie, nie zarabiałem.

- Ile płacił oskarżony za pokój?

- Siedem dolarów tygodniowo.

- A za utrzymanie?

- Pięć do sześciu.

- A inne wydatki?

- No, tak. Ubranie i praczka.

- Musiał też oskarżony mieć inne wydatki, związane z bywaniem w świecie?

- Zgłaszam sprzeciw! - krzyknął Mason.

- Sprzeciw uwzględniony - odparł na to przewodniczący.

- Więc jakie jeszcze oskarżony miał wydatki?

- Tramwaje, pociągi, a prócz tego były i wydatki, które ponosiłem wraz z innymi w towarzystwie.

- Rzeczywiście - zawołał Mason z wściekłością. - Mógłbyś pan inaczej kierować tą papugą.

- A pan mógłbyś pilnować swoich spraw - burknął Jephson zarówno za Clyde'a jak i za siebie. Pragnął przede wszystkim, żeby Clyde przestał się bać Masona. - Badam oskarżonego, a co do papug, to widzieliśmy ich tu bardzo dużo podczas ostatnich tygodni, kiedy ładowano im zeznania w głowy jak sztubakom.

- To jest złośliwe kłamstwo! - darł się Mason. - Protestuję i wymagam przeproszenia.

- Przeproszenie należy się mnie i oskarżonemu, jeżeli na to Wysoki Sąd się zgodzi i zechce przerwać na kilka minut posiedzenie - zawołał Jephson i podchodząc do Masona dodał: - A tymczasem potrafię je otrzymać bez sankcji prawnej...

Mason widząc, że szykuje się nań atak, skupił się w sobie. Urzędnicy, woźni, szeryfowie, stenografki i maszynistki zbiegli się do nich i przytrzymały obu przeciwników, a przewodniczący walił gwałtownie pięścią w stół i krzyczał:

- Panowie! Panowie! W jakim położeniu stawiacie się obaj? Macie się przeprosić wzajemnie i przeprosić sąd, bo w przeciwnym razie ogłoszę zawieszenie procesu i skażę was obu na dziesięć dni i po pięćset dolarów.

Jephson zwrócił się na to czym prędzej z wyszukaną uprzejmością do przewodniczącego i uroczystym tonem wyrzekł:

- Wobec tego, proszę Wysoki Sąd, pana prokuratora i publiczność o przebaczenie. Atak pana prokuratora na oskarżonego wydał mi się niezgodny z prawem, niesłychany i dlatego się uniosłem.

- Przyjmuję - odparł przewodniczący.

- Wobec tego proszę Wysoki Sąd i pana obrońcę o przebaczenie - drwiącym głosem prawil Mason, spojrzawszy najprzód gniewnie na przewodniczącego Oberwaltzera, a następnie na Clyde'a, który cofnął się pod tym wzrokiem i odwrócił oczy. - Byłem zbyt gwałtowny, przepraszam więc i oskarżonego.

- Dalej - warknął odęty Oberwalter. - Sprawa toczy się dalej.

- Teraz, Griffiths - odezwał się Jephson tak spokojnie, jak gdyby przez ten czas zapalał tylko papierosa - mówiłeś, że zarabiałeś tygodniowo dwadzieścia pięć dolarów i że miałeś rozliczne wydatki. Czy mogłeś wobec tego odłożyć coś na czarną godzinę?

- Nie, proszę pana... niewiele... prawie nic.

- A więc gdyby jakiś doktor zgodził się pomóc panie Alden i zażądał na przykład stu dolarów, czy mógłbyś zapłacić?

- Nie, nie mógłbym.

- Może panna Alden miała własne pieniądze?

- O żadnych nie wiedziałem.

- Więc jakże oskarżony mógł jej pomóc?

- Myślałem, że może by doktor pozwolił mi spłacić honorarium ratami albo by poczekał, aż zbiorę pieniądze dla niego.

- Mhm. I rzeczywiście miał oskarżony ten zamiar?

- Tak. Taki miałem projekt.

- Powiedział jej oskarżony o tym?

- Powiedziałem. Ona o tym wiedziała.

- Więc, Clydzie Griffiths, cóżeś dalej robił, gdy ani ty, ani ona

nie znaleźliście żadnej pomocy?

- Wtedy ona zażądała, żebym się z nią ożenił.

- Tak bez ceremonii?

- Tak. Bez namysłu.

- I cóż jej na to oskarżony odpowiedział?

- Powiedziałem jej, że nie mogę, że nie mam pieniędzy, aby móc się żenić. Poza tym nie mógłbym pozostać na swej posiadzie, bo po urodzeniu dziecka każdy by się o tym dowiedział i nie mógłbym już pozostać przy swym zajęciu, a i ona również.

- Dlaczego?

- Przecież to moi krewni. Mogliby nie chcieć ani mnie, ani jej trzymać dłużej.

- Mhm. Uważaliby oskarżonego za nieodpowiedniego do pracy w swej fabryce, czy tak?

- Tak właśnie myślałem.

- No i co dalej?

- Gdybym nawet chciał gdzieś wyjechać i ożenić się z nią, to przecież ani ja, ani ona nie mieliśmy pieniędzy. Mógłbym wszakże rzucić zajęcie w Lycurgus i poszukać sobie innej posady w jakimś innym mieście i dopiero wtedy mogłaby Roberta do mnie przyjechać, nie wiedziałem jednak nawet, dokąd mógłbym pojechać i zarobić tyle, co tutaj.

- A czy oskarżony nie mógłby pracować w jakimś hotelu? Nie mógłby wrócić do dawnego zajęcia?

- Mógłbym może, gdybym miał jakieś referencje. Woląłem jednak nie pracować w ten sposób.

- Dlaczego?

- Nigdy mi się, w gruncie rzeczy nie podobał... taki rodzaj życia...

- Ale to chyba nie znaczy, że oskarżony nie miał ochoty na żadne zajęcie. Może nie miał zupełnie zamiaru szukać gdzie indziej pracy?

- O, nie! Miałem zresztą zupełnie inne zamiary. Zaproponowałem jej, aby sama wyjechała tam, gdzie mogłoby się urodzić dziecko, a mnie pozwoliła zostać w Lycurgus. Starałbym się żyć oszczędniej i wszystko, co by mi pozostawało, odsyłałbym jej, dopóki nie zaczęłaby pracować.

- Bez obietnicy małżeństwa?

- Czulem, że nie będę mógł się ożenić bez niechęci.

- Cóż ona na to powiedziała?

- Powiedziała, że nie pojedzie nigdzie, dopóki się z nią nie ożenię.

- Mhm. Tak powiedziała bez ogródek?

- Tak. Gotowa była poczekać jakiś czas, ale nie chciała nigdzie wyjeżdżać przed ślubem.

- Czy oskarżony powiedział wtedy, że już jej nie kocha?

- Tak... prawie, że powiedziałem.

- Jak to "prawie"?

- Właściwie... nie chciałem jej tego powiedzieć, ale ona wiedziała dobrze, że jej nie Kocham. Sama mi to powiedziała.

- Powiedziała? Wtedy?

- O, tak. Parę razy nawet.

- Hm, to prawda, bo i z jej listów widać było, że wiedziała o tym. Więc, gdy ci stanowczo odmówiła, co wtedy?

- Sam nie wiedziałem, co mam robić. Przyszło mi na myśl, żeby wysłać ją na jakiś czas do domu, a ja przez ten czas oszczędziłbym cośkolwiek pieniędzy...

a może... może by ona wreszcie zrozumiała, że nie mogę się z nią ożenić...

Clyde urwał i sięgnął ręką do ust. Ciężko mu było kłamać.

- No dalej! Lecz pamiętaj, Clydzie Griffiths, że musisz mówić tylko prawdę, chociażby ci było wstyd. Lepsze to niż kłamstwo.

- I... liczyłem, że może mniej się będzie bała i... nie będzie taka stanowcza.

- Czy oskarżony bał się także?

- No... tak... i ja się bałem.

- Dalej!

- Więc... więc miałem zamiar oddać jej wszystko, co bym uzbierał... nawet chciałem dopożyczyć od kogoś trochę pieniędzy... żeby... żeby skłonić ją do ustępstw... żeby nie nalegała na małżeństwo i żeby sobie gdzieś wyjechała. Mogłaby mieszkać gdzie indziej, a ja bym jej pomagał.

-Mhm. A ona nie zgodziła się na to?

- Nie... to jest, nie co do małżeństwa, ale... zgodziła się wyjechać na miesiąc. Nie mogłem jej przecież powiedzieć, żeby się ode mnie odczepiła...

- Czy jednak wtedy powiedział oskarżony, że przyjedzie po nią, aby się z nią pobrać?

- Nie! Nigdy jej tego nie mówiłem.

- A co?

- Powiedziałem... że jak tylko będę miał pieniądze... - jąkał się Clyde, zdenerwowany i zawstydzony - przyjadę po nią i wyjedziemy do jakiegokolwiek miasta, gdzie zamieszkamy, dopóki ona nie urodzi...

- Nie powiedział jej wszakże oskarżony, że się z nią ożeni?

- Nie, nie powiedziałem.

- Ona jednak ciągle na to liczyła, naturalnie?

- Tak.

- Czy oskarżony miał wrażenie, że ona gotowa jest go zmusić... do ożenienia się z nią wbrew jego woli?

- Nie, proszę pana. Moim zamiarem było wyczekać tak długo, dopóki nie zbiorę dosyć pieniędzy, dać jej wszystkie i odpowiedzieć odmownie na żądania, lecz pomagać wedle możliwości.

- Dobrze - mówił Jephson ze słodyczą, dyplomatycznie dobierając słowa - ale z tych listów, które panna Alden pisała, wyczytać można wiele rzeczy - wyciągnął rękę do stołu prokuratorskiego, wziął jeden z listów i ważył go uroczyście w rękę. - Jest w nich na przykład wzmianka o projekcie wycieczki, który powzięliście oboje. Proszę mi powiedzieć, jaki to był projekt. On~ wyraźnie pisze, jeśli dobrze pamiętam, o "naszym projekcie".

- Wiem o tym - odrzekł Clyde, bo od dwóch miesięcy rozmawiał o tym z Belknapem i Jephsonem. - Był to właśnie projekt - powiódł po wszystkich wzrokiem, który starał się uczynić szczerym i przekonującym - jaki jej ciągle proponowałem.

- Jakiż to projekt?

- Żeby gdzieś wyjechała, wynajęła pokój i pozwoliła mi sobie pomagać.

- O, nie, nie o tym myślała w tym liście - odparł Jephson drwiąco.

- Panna Alden pisze przecież w jednym z listów, że to dla oskarżonego będzie przykre wyjechać z Lycurgus i być przy niej do chwili, gdy ona pozbędzie się kłopotu, ale na to nie ma rady.

- Tak, wiem o tym - odpowiedział śpiesznie Clyde, jak gdyby miał właśnie o tym mówić. To był wszakże projekt nie mój, tylko ona mi ciągle powtarzała, że powinienem to zrobić, bo to jest jedyne wyjście dla niej. Mówiła mi to przez telefon, a ja dla świętego spokoju mówiłem jej: "dobrze, dobrze", wcale nie mając zamiaru przystać na jej żądania, i postanowiłem później z nią o tym pomówić.

- Mhm. To znaczy że oskarżony miał co innego na myśli, a ona co innego?

- Tak. Wiedziałem, że nie mogę w żaden sposób zgodzić się na jej zamysły. Prosiłem więc, aby czekała, dopóki nie zbiorę trochę pieniędzy. Obiecałem, że wtedy przyjadę, aby ją gdzieś zawieźć i tam chciałem rozmówić się z nią ostatecznie.

- A gdyby nie zgodziła się na ten projekt, co wtedy?

- Miałem jej przecież powiedzieć o pannie X i prosić, żeby mi zwróciła wolność.

- A gdyby nie chciała?

- W ostateczności miałem zamiar uciec gdziekolwiek, ale to mi się nie bardzo uśmiechało.

- Clydzie Griffiths, zrozumże, iż wszyscy są przekonani, żeś uplanował pozbycie się jej i że zapisując się pod fałszywymi

nazwiskami miałeś zamiar wyciągnąć ją na przejażdżkę po mało znanym jeziorze, zabić ją tam z zimną krwią, a potem utopić, aby odzyskać wolność i móc ożenić się z panną X. Czy to prawda? Powiedz teraz sądowi, czy to prawda, czy nie? Jak to było?

- Nie! nie! nigdy nic podobnego nie planowałem... nie miałem wcale zamiaru jej zabijać - zawołał Clyde z przejęciem, zaciskając ręce na poręczach krzesła, bo go tak nauczono.

Starał się patrzeć pewnie i stanowczo, jakkolwiek w jego sercu panowała straszliwa świadomość że knuł takie plany, i to go w tej chwili niewypowiedzianie dręczyło. Czuł na sobie oczy całej publiczności, oczy wszystkich sędziów, Masona i przedstawicieli prasy. I znowu czoło jego pokryło się chłodnym potem, oblizywał bezwiednie wargi i z trudnością przełykał ślinę, tak mu zaschło w gardle.

Jephson czynił teraz z wolna rozbiór każdego listu Roberty, pisanego z domu, kończąc na tym, w którym mu grozi. Starał się obniżyć i zbagatelizować zarzut uknutej zbrodni i rozproszyć grozę, wywołaną zeznaniami świadków.

A więc najprzód podejrzenia, dlaczego Clyde nie pisywał nigdy do Roberty? Oczywiście tylko dlatego, że obawiał się, by nie dowiedzieli się o tym związku jego krewni, gdyż posada mogła być zakwestionowana.

Dlaczego umówił się z Robertą w Fonda? Nie miał wtedy na myśli żadnej wycieczki, pragnął tylko spotkać się z nią gdziekolwiek, aby wyperswadować jej projekty, a przeprowadzić swoje. To właśnie Roberta poddała mu myśl, żeby wybrać się nad jakieś jezioro. Wtedy w Utica, w hotelu, na jej żądanie wziął kilka przewodników i planów różnych miejscowości.

Ta wiadomość była nieco sprzeczna z prawdą, gdyż w rękach Masona był jeden przewodnik z pieczęcią Lycurgus House, na co Clyde na razie nie zwrócił uwagi. Gdy mówił więc o przewodnikach, wziętych z hotelu w Utica, Mason mruknął do siebie, że ma coś o tym do powiedzenia.

Dlaczego wybierał się z Lycurgus idąc bocznymi drogami?

Tylko dlatego, żeby nikt nie widział, iż wyjeżdża z Robertą. Nie chciał narażać przy tym i jej opinii.

W ten sam sposób wytłumaczono podróż w oddzielnych wagonach, podpisywanie się zmyślonymi nazwiskami i w ten sposób objaśniano wszystkie tajemnicze szczegóły tej sprawy.

Co do dwóch kapeluszy - no tak, miał już jeden dosyć zniszczony i gdy przechodził koło kapelusznika, przyszło mu do głowy, że warto sobie kupić nowy. Oczywiście, gdy stracił jeden w tym wypadku, zupełnie naturalnie musiał włożyć na głowę drugi.

Prawdą jest również, że miał aparat fotograficzny i miał go u Cranstonów, gdy był u nich osiemnastego czerwca. Dlaczego zaprzeczał temu?. Bał się, żeby go nie posądzono o zbrodnię, gdy stał się ten straszny wypadek, i czuł, że nie potrafi się wytłumaczyć.

Aresztując go w lesie od razu mu powiedziano, że jest oskarżony o zbrodnię, a zresztą sam rozumiał że wszystkie okoliczności świadczą przeciw niemu. Nie wiedział, jak z tego wybrnąć, nie miał się kogo poradzić, wołał więc przeczyć wszystkiemu, wyprzec się, chociaż gdy obrońcy zjawili się u niego, od razu im wszystko wyznał.

Co do szarego garnituru, to ponieważ był mokry i zabłocony, związał go i będąc u Cranstonów ukrył pod kamieniem ponieważ miał zamiar go potem wydobyć, wysuszyć i oczyścić. Gdy się o tym dowiedzieli panowie Belknap i Jephson, sami się zajęli garniturem i dali go do odprasowania.

- Niech nam teraz oskarżony opowie o całej tej wycieczce.

Wówczas ściśle podług planu, naszkicowanego niegdyś przez Jephsona, począł opowiadać o tym, jak dojechali z Robertą do Utica, a potem do Grass Lake. Planu jednak nie miał żadnego.

Chciał jedynie w najgorszym razie opowiedzieć jej o swej miłości ku pannie X, i zaapelować do jej współczucia, ubłagać, żeby zwróciła mu wolność, a za to miał zobowiązać się do pomocy, jaka tylko będzie w jego możliwości. Gdyby mu zaś odmówiła, miał zamiar ją porzucić i wyjechać z Lycurgus.

- Kiedy jednak w Utica zobaczyłem ją tak zmęczoną, zmizerowaną - mówił Clyde z przekonaniem w głosie i starał się nadać szczery wyraz swym słowom - taką bezradną, zrobiło mi się jej żal.

- Jak to?

- Tak. Nie byłem pewny, czy gdy mi odmówi, potrafię ją porzucić.

- Więc cóż oskarżony postanowił?

- Na razie nic. Słuchałem, co mi opowiadała, i próbowałem jej wytłumaczyć, jak mi ciężko porzucać wszystko i wyjeżdżać z nią w świat. Miałem przy sobie tylko pięćdziesiąt dolarów.

- Tylko?

- Wtedy ona zaczęła płakać, a ja zamilkłem, nie chcąc jej więcej przyczyniać zmartwienia. Była taka przygnębiona i zdenerwowana. Spytałem się wtedy, czy nie chciałaby gdzie pojechać, żeby się trochę rozerwać - mówił dalej Clyde jękając się i płacząc, tak mu dokuczały kłamstwa, które musiał wygłaszać. - Ona wtedy zaproponowała, żeby pojechać nad któreś z jezior koło Adirondacksu, jeżeli tylko wystarczy nam na to pieniędzy. Zapewniłem, chcąc jej zrobić przyjemność, że wystarczy.

- Oskarżony pojechał tedy głównie ze względu na nią?

- Tak, tylko z tego względu.

- Mhm. I co dalej?

- Wtedy ona poprosiła mnie, żebym poszedł na górę i przyniósł parę przewodników po okolicy, to łatwiej się zorientujemy gdzie

najlepiej będzie pojechać, żeby nie wypadło bardzo drogo.

- Oskarżony przyniósł te przewodniki?

- Przyniosłem.

- No i co dalej?

- Przejrzeliśmy je i wybraliśmy ostatecznie Grass Lake.

- Kto wybrał? Oskarżony czy ona?

- Było to tak. Ona wzięła jeden przewodnik, ja drugi i ona znalazła miejscowość, w której mogły dwie osoby za dwadzieścia jeden dolarów utrzymać się przez cały tydzień albo za pięć dolarów dziennie na dwoje. Uważałem więc, że taka jednodniowa wycieczka nie będzie nas drogo kosztowała.

- Mieliście zamiar pojechać tylko na jeden dzień?

- Na jak długo by chciała. Miałem zamiar pobyć tam parę dni... tak mi było trudno zdobyć się na ostateczną rozmowę.

- Mhm. I co dalej?

- Następnego ranka pojechaliśmy do Grass Lake.

- W oddzielnych wagonach?

- Tak, w oddzielnych wagonach.

- A gdy tam przyjechaliście?

- Zameldowaliśmy się.

- Jak?

- Jako Carl Graham z żoną.

- Z obawy, żeby nikt się nie dowiedział o bytności tam oskarżonego?

- Tak.

- Czy próbował oskarżony zmienić charakter pisma?

- Tak... trochę.

- A dlaczego za każdym razem używał własnych inicjałów - C. G.?

- Chciałem, żeby pasowały do liter na mojej walizce.

- Mhm. Bardzo dowcipnie z jednej strony, niezbyt jednak pomysłowo z drugiej i wyszło ci to na złe.

Mason uniósł się trochę z miejsca, jakby chciał zaprotestować, zmienił jednak widocznie zamiar, gdyż opadł z powrotem na krzesło. Jephson zaś szybkim okiem przebiegł po twarzach sędziowskich.

- No i co? Oskarżony wyznał wreszcie Robercie Alden wszystko, do czego zmierzał?

- Chciałem jej powiedzieć zaraz po przyjeździe, ale mnie uprzedziła i oświadczyła stanowczo, że muszę się ożenić, ona zaś za to nie będzie nalegała, abym z nią mieszkał. Chodziło jej tylko o to, żebym dał nazwisko dziecku, a po urodzeniu go ona pójdzie swoją drogą.

- No i co?

- Wtedy pojechaliśmy łodzią na jezioro.

- Na które jezioro?

- Na Grass Lake. Przyjechaliśmy przecież po to, żeby popływać łódką.

- I tak zaraz? Zaraz po południu?

- Tak. Ona bardzo tego chciała. A gdyśmy po tym spacerze powrócili do hotelu...

- To co?

- Zaczęła znowu płakać, była przygnębiona i tak mizernie wyglądała... i zrobiło mi się strasznie przykro... Czułem, że ona jest w swoim prawie, że uczyniłem jej krzywdę, że nie byłoby uczciwie ze względu na dziecko nie ożenić się z nią i czułem w głębi serca, że powinienem to zrobić.

- Mhm. Nastąpiła zmiana uczuć. Powiedział jej o tym oskarżony?

- Nie.

- Dlaczego nie? Czyżby sprawiało mu przyjemność patrzeć na jej zmartwienia?

- No... nie... Ale miałem przecież zamiar powiedzieć jej o wszystkich tych sprawach...

- Jakich?

- O panie X, o moich projektach i jak to wszystko pokrzyżuje moje plany...

- Mhm.

- I... i... jakoś... nie mogłem... jej tego dnia o tym powiedzieć.

- A kiedy jej to oskarżony powiedział?

- Ja... ja najprzód prosiłem ją, żeby przestała płakać i... i byłem zadowolony, że cała ta rozmowa odwlecze się jeszcze na dwadzieścia cztery godziny... żebym mógł dobrze wszystko rozważyć... może się jeszcze da coś postanowić...

- No i...?

- Po chwili Roberta powiedziała, że jej się nie podoba Grass Lake i chce jak najprędzej stąd wyjechać.

- Ona tego chciała?

- Tak. Wyjęliśmy znowu mapy, a oprócz tego spytałem się służącego w gospodzie, czy nie wie o jakiejś pięknej miejscowości nad jeziorem. Odpowiedział mi na to, że ze wszystkich najpiękniejsze jest Big Bittern. Widziałem już je kiedyś, powtórzyłem więc Robertcie, co mówił służący, a ona wyraziła wtedy chęć pojechania tam.

- I dlatego tam pojechaliście?

- Tak.

- Niczym innym nie kierował się oskarżony?

- Nie... niczym. Więc pojechaliśmy tam.

- Kiedy to było? W czwartek, ósmego lipca?

- Tak.

- Otóż, Clydzie Griffiths, wiesz przecież, że jesteś oskarżony o to, iż wywiozłeś pannę Alden z Grass Lake w nieuczeszczane strony z myślą, by ją tam zabić, gdyż było to miejsce, gdzie mogłeś popełnić mord spokojnie, nie będąc przez nikogo obserwowany. Tam mogłeś uderzyć ją aparatem, wiosłem czy jakąś pałką, a nawet kamieniem, a potem utopić. Cóż teraz powiesz na to? Czy to prawda?

- Nie! Nieprawda! To nie jest prawdą! - zawołał Clyde z przejęciem. - Nie przyjechałem z własnej woli ani do Grass Lake, ani do Big Bittern, przyjechałem dlatego, że ona tego pragnęła. - Rozejrzał się po sędziowskich twarzach wzrokiem silnym, pewnym, jak miał to nakazane, i dodał: - Chciałem zrobić jej przyjemność, pragnąłem, żeby choć trochę się rozweseliła.

- Czy trwały jeszcze w oskarżonym te same uczucia, które się obudziły w przeddzień?

- O, tak, może nawet silniejsze!

- I był już zupełnie zdecydowany?

- Tak, zupełnie zdecydowany.

- Jakże to miało się stać?

- Chciałem zakończyć uczciwie z Robertą. Rozmyślałem nad tym całą noc. Widziałem, jak źle się czuła, i zdawałem sobie sprawę, że sumienie będzie mnie dręczyło, jeżeli nie spełnię tego obowiązku. Powiedziała mi już parę razy, że jeśli nie ożenię się z nią, zabije się... Postanowiłem więc już nie odwlekać i nieodwołalnie tego dnia cokolwiek się zdarzy, postawić sytuację jasno i uczciwie.

- To było jeszcze w Grass Lake. W czwartek rano byliście tam jeszcze w gospodzie?

- Tak.

- I miałeś zamiar jej to wszystko powiedzieć?

- Tak. Zrozumiałem, że jej dobrze nie traktowałem, i było mi bardzo przykro, tym więcej iż żądanie Roberty było zupełnie słuszne. Chciałem jej jednak powiedzieć, że moja niechęć wypływała z tego, że pokochałem inną osobę i że nie pokonam tej miłości w sobie, chociażbym się z nią ożenił...

- Z kim? Z panną Alden?

- Tak. Nie mógłbym przestać kochać... panny... X. Nie mógłbym o niej zapomnieć... Sądziłem jednak, że Robertcie chyba będzie wszystko jedno, bylebym się tylko z nią ożenił.

- A cóż oskarżony postanowił z panną X?

- Owszem, myślałem o niej. Sądziłem przecież, że ona lepiej zniesie rozstanie ze mną niż Roberta. Mimo wszystko łudziłem się jeszcze nadzieją, że Roberta zechce mnie uwolnić od siebie, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi, a ja będę jej materialnie pomagał.

- Czy oskarżony wybrał już miejsce, gdzie mieliście wziąć ślub?

- Nie. Wiedziałem wszakże, że nietrudno będzie wybrać, gdyż w okolicach Grass Lake i Big Bittern dużo jest miast i miasteczek.

- I bez żadnego uprzedzenia panny X miał zamiar oskarżony wziąć ślub z Robertą Alden?

- Nie... Liczyłem na to, że gdyby nawet Roberta nie zwróciła mi swobody, to może by zechciała zwolnić mnie choć na parę dni. Wtedy miałem zamiar udać się do panny X. Opowiedziałbym jej o wszystkim, co musiałem uczynić, i powróciłbym do Roberty. Gdyby zaś i na to nie chciała się zgodzić, wtedy napisałbym do panny X i wytłumaczył, co się stało.

- Tak, to wszystko może być prawda, ale sam oskarżony widział, że między różnymi dowodami znajduje się list panny Alden, znaleziony w kieszeni jej płaszcza, napisany w Grass Lake i zaadresowany do matki, w którym pisze, że ma wyjść za męża. Czy oskarżony powiedział jej już w Grass Lake, że ożeni się z nią na pewno?

- Niezupełnie. Powiedziałem jej tylko tego dnia, że to dla nas dzień decydujący i że ona sama będzie musiała postanowić, czy chce wyjść za mnie, czy nie...

- Aha, to tak jednak było - uśmiechnął się Jephson jak gdyby z wielką ulgą.

- Mason, Newcombe, Burleigh i senator Remond słuchali tych zeznań z najwyższą uwagą, a w tym punkcie zawołali półgłosem prawie jednocześnie:

- Same łgarstwa!

- Teraz, Clydzie Griffiths, rozpatrzemy wycieczkę. Słyszałeś już z zeznań, że cię posądzają o zbrodnicze plany, o czym miał świadczyć każdy twój krok. Musisz więc sam opowiedzieć, jak to było. Przeciw tobie przemawiają dwie walizki, z których jedną - Roberty - pozostawiłeś na stacji w Grass Lake, a swoją zabrałeś do łódki. Powiedz teraz, dlaczegoś to zrobił. Mów tak, żeby każdy sędzia wyraźnie cię słyszał.

- Jediną przyczyną tego było, że nie wiedzieliśmy, czy dostaniemy jakiś lunch w Big Bittern - mówił Clyde z tak zaschniętym gardłem, że z trudnością wymawiał słowa - i dlatego postanowiliśmy wziąć coś do zjedzenia. Jej walizka była przepelniona, a w mojej było jeszcze dużo miejsca. Miałem w niej prócz tego aparat fotograficzny, a trójnog umieściłem zewnątrz. Doszedłem do przekonania, że należy wziąć moją, a jej zostawić.

- Doszedłeś do przekonania?

- Zapytałem ją, jak to zrobić, a ona mi właśnie tak doradziła.

- Gdzie ją zapytałeś?

- W pociągu.

- Czy wiedziałeś, że wrócicie na stację po przejeździe po jeziorze?

- Oczywiście, że wiedziałem. Oboje wiedzieliśmy. Nie było przecież innej powrotnej drogi. Tak nam przynajmniej powiedziano w Grass Lake.

- Czy przypominasz sobie zeznanie woźnicy, który powiedział, że jadąc do Big Bittern byłeś bardzo zdenerwowany i pytałeś, czy dużo jest tam ludzi?

- Przypominam sobie, ale pamiętam, że nie byłem wcale

zdenerwowany. Mogłem zadać takie pytanie, nie wiedziałem wszakże, że to oznacza coś podejrzanego. Zdaje się, że o to każdy mógł się spytać.

- I mnie się tak zdaje - zgodził się Jephson. - Co więc dalej się stało, gdyś zapisał się w gospodzie i wypłynęliście z panną Alden na jezioro? Czy któreś z was było szczególnie zdenerwowane? A może wyglądaliście inaczej niż wszyscy, którzy przyjeżdżają z zamiarem wiosłowania po jeziorze? Czy byliście wyjątkowo weseli, czy wyjątkowo smutni? Jak to było?

- Mnie się zdaje, że jeśli dobrze pamiętam nie byliśmy tak bardzo smutni. Rozmyślałem, co mam jej powiedzieć, co mnie czeka, co ona postanowi. Może nie byłem bardzo wesoły, myśląc o tym wszystkim, bo już prawie zdecydowałem się na ślub.

- A ona? Czy była wesoła?

- O, tak! Była weselsza niż zwykle.

- O czym rozmawialiście?

- Najprzód o jeziorze, że jest piękne, później o tym, gdzie zjemy swój lunch, a przez ten czas płynęliśmy zachodnią stroną, szukając lilii wodnych. Roberta tak się ucieszyła, gdym jej kilka zerwał. Potem pływaliliśmy prawie do drugiej i zatrzymaliśmy się, żeby zjeść lunch.

- Gdzież to było? Niech mi oskarżony pokaże na mapie, gdzieście się zatrzymali, i powie, jak długo trwał lunch.

Clyde wziął pręt do ręki i stanąwszy przed wielką mapą wskazywał miejsca, któredy płynęli, grupę drzew, pod którymi zjedli lunch, gdzie zrywali lilie - każdy punkt, gdzie się zatrzymywali, aż do Moon Cove, gdzie byli o piątej po południu. Tam byli tak zachwyceni pięknem przyrody, że siedzieli jakiś czas nieruchomo i przyglądali się. Potem wyprowadził Robertę na brzeg i zrobił kilka zdjęć; wtedy to zostawił walizkę na brzegu. I znowu pływali, napawając się ciszą i pięknem całego otoczenia, aż wreszcie uznał,

że nadeszła stosowna chwila, by jej powiedzieć, co miał na sercu.

Gdy zaczął jej mówić o swej miłości do panny X, Roberta okazała zdumienie, przerażenie i zaczęła płakać, wołając, że lepiej byłoby skończyć z życiem, tak czuła się nieszczęśliwa. Kiedy jednak później wyraził

swe współczucie, rozjaśniła się od razu, zaczęła się uśmiechać i nagle, z czułości czy wdzięczności - nie wie, co to miało być właściwie, poderwała się i chciała zbliżyć się do niego. Wyciągnął do niej ręce, a ona wykonała ruch, jakby chciała mu się rzucić do nóg czy w ramiona. Potknęła się jednak, a on, trzymając aparat fotograficzny w ręce (w ostatniej chwili podsunął mu tę myśl Jephson) - podniósł się szybko, żeby ją podtrzymać. Nie wie na pewno, ale jest to bardzo prawdopodobne, że ją uderzył niechcący tym aparatem w rękę czy twarz. Nie ma pojęcia, jak to się stało, ale oboje znaleźli się nagle w wodzie, łódź leżała obok wywrócona i o nią prawdopodobnie musiała się uderzyć Roberta, bo chyba była ogłuszona.

- Krzyczałem na nią, żeby się chwyciła łodzi, ale miałem wrażenie, że nie słyszy mnie i nie rozumie. Obawiałem się zbliżyć do niej, bo rzucała się na wszystkie strony i zanim zdążyłem dopłynąć w jej stronę, ona już się zanurzyła. Wyłynęła na powierzchnię, ale łódź tymczasem była już daleko i czułem, że nie będę mógł jej przyciągnąć. Wtedy postanowiłem ratować się sam i dopłynąłem do brzegu.

Mówiąc to, Clyde uświadomił sobie błyskawicznie, że wszystkie przytoczone nawet przez niego samego okoliczności przemawiają przeciw niemu. Jakże podejrzanie to wszystko wygląda. Te fałszywe nazwiska, fakt, że jego walizka była tuż pod ręką, a jej daleko...

A wzięwszy pod uwagę jego położenie, pannę X, grającą taką dużą rolę w jego życiu, pierwotne jego zaprzeczanie przed Masonem i całe jego starania, żeby każdy mógł sądzić, że i on w tym wypadku postradał życie - któż mu teraz zechce uwierzyć?

Mówił więc dalej, że doszedłszy do przekonania, iż żadną siłą życia jej wrócić nie może, a gdyby zawiadomił władze o jej śmierci, naraziłby się tylko na wielki wstyd i kłopoty, postanowił

nic o tym nie mówić i wyprzeć się wszelkiego w tym udziału... Gdy więc wypłynął na brzeg, zdjął ubranie, wyjął je z wody i włożył do walizki. Potem odczepił trójnog i ukrył go. Słomkowy kapelusz pozostał na wodzie (o braku przy nim firmy powiedział, że nic o tym nie wie), włożył więc drugi, który miał w walizce, chociaż miał również w niej i czapkę. Zawsze brał ze sobą zapasowy kapelusz, bo często mu się zdarzało, że jeden niszczył się prędko. Potem zdecydował się powędrować przez las ku linii kolejowej. Nie słyszał o żadnej szosie, a szedł do Cranstonów, bo istotnie chciał się tam dostać. Tam miał życzliwych sobie ludzi, chciał się nieco otrząsnąć po tej strasznej przygodzie, która spadła nań jak piorun z jasnego nieba.

Skończył zeznanie. Nie miał już nic do powiedzenia. Jephson wstał więc i z wielkim spokojem, głośno przemówił:

- Teraz oskarżony ma złożyć uroczystą przysięgę przed całym sądem, przed ławą przysięgłych, przed całą publicznością, a nade wszystko przed Bogiem, że powiedział prawdę, tylko szczerą prawdę. Czy oskarżony zdaje sobie sprawę z tego, co to znaczy?

- Tak.

- Przysięgasz przed Bogiem, żeś umyślnie nie uderzył Roberty Alden?

- Przysięgam, że nie uderzyłem.

- I nie wrzuciłeś jej do wody?

- Przysięgam, że nie wrzuciłem.

- I świadomie nie wywróciłeś łodzi, aby ją pozbawić życia?

- Przysięgam, że nie wywróciłem - wołał Clyde z przejęciem, uroczyście.

- Przysięgasz, że to był wypadek? Nie zaplanowany i nie obmyślony przez ciebie?

- Przysięgam - skłamał Clyde. W walce o życie powiedział tylko część prawdy.

Odbyło się to przecież zupełnie nie podług jego planu, mógł więc na to przysiąc.

Jephson zaś przesunął długą dłonią po twarzy i potoczył niedbałym spojrzeniem po całej sali a zacisnąwszy wąskie usta w prawie niedostrzegalną linię, oświadczył:

- Oddaję świadka panu prokuratorowi.

Rozdział XXV

Niby pies gończy, który pędzi śladem zwierzyny i już, już ma się rzucić na swą zdobycz, tak Mason aż drżał z niecierpliwości, patrząc na Clyde'a podczas zeznań. Paliło go pragnienie podarcia na strzępy protokołu z zeznaniem oskarżonego, z trudnością wstrzymywał się od zawołania na głos, że wszystko od początku do końca jest kłamstwem. Z chwilą gdy Jephson oddał mu Clyde'a poskoczył ku niemu. Clyde widząc, jaka w nim pała chęć zniszczenia, cofnął się struchlały, jak gdyby go fizycznie zaatakowano.

- Griffiths, czy miałeś w ręku aparat w chwili, gdy Roberta Alden zbliżyła się w łodzi do ciebie?

- Miałem.

- Ona potknęła się i ty ją niechcący uderzyłeś?

- Tak.

- Jakże ci mogę wierzyć teraz, gdy tam na brzegu jeziora zapewniałeś mnie żeś nie miał aparatu? Przypominasz sobie?

- Tak... przypominam.

- Więc to było kłamstwo, oczywiście?

- Tak.

- A mówiłeś to z takim samym przejęciem i przekonaniem, z jakim dziś wygadywałeś inne kłamstwa.

- Dziś nie kłamałem. Wy tłumaczyłem przecież, dlaczego tak z początku mówiłem.

- Wy tłumaczyłeś, dlaczego tak mówiłeś! Wy tłumaczyłeś, dlaczego tak mówiłeś! Kłamałeś wtedy, a teraz liczysz na to, że ci uwierzą!

Belknap powstał, żeby zaprotestować, ale Jephson pociągnął go na krzesło.

- Dziś powiedziałem prawdę.

- I nie potrafisz dziś prawić nam kłamstw? Nic, żadna siła, żaden lęk cię do tego nie zmusza? Czyżbyś wcale nie obawiał się krzesła elektrycznego?

Clyde zbladł i drgnął lekko. Zmrużył czerwone, znużone powieki.

- Może i tak ale pod przysięgą nie kłamałbym chyba.

- Chyba... O, rozumiesz to dobrze! Kłamać możesz, ile chcesz i kiedy ci się podoba, w najrozmaitszych okolicznościach, tylko nie podczas rozprawy sądowej o zabójstwo!

- Nie dlatego, wcale nie dlatego, panie prokuratorze, ale ja

przecież wytłumaczyłem się z tego.

- I przysięgasz na Biblię, że nastąpiła w tobie zmiana uczuć?

- Przysięgam.

- I tylko dlatego, że panna Alden była smutna, zmieniły się twoje uczucia dla niej?

- Tak, bo istotnie tak było.

- Teraz powiedz mi, czy to wtedy, gdy była na wsi, panna Alden napisała do ciebie wszystkie te listy?

- Tak.

- Otrzymywałeś przeciętnie co drugi dzień jeden list od niej, prawda?

- Tak.

- I wiedziałeś o tym, że jest tam osamotniona i nieszczęśliwa co?

Wiedziałem. Ale przecież wytłumaczyłem...

- Wytłumaczyłeś... To twoi adwokaci wytłumaczyli na twoją korzyść. Czy ci nie wbijali w głowę dzień w dzień, żebyś umiał odpowiadać?

- O, nie! - zawołał Clyde zamieniając spojrzenie z Jephsonem.

- Dlaczegoż więc, kiedym cię pytał, w jaki sposób dziewczę to postradało życie, nie powiedziałeś mi wszystkiego szczerze? Oszczędziłbyś sobie całej tej sprawy, kłopotów i podejrzeń, i śledztwa. Może uważasz, że publiczność słucha cię tu z większą uprzejmością i wiarą niż ja, czy też przyszedłeś do przekonania po pięciu długich miesiącach przy pomocy swych adwokatów, że łatwiej w ten sposób wybrniesz z kłopotu?

- Nie myślałem o wybrnięciu przy pomocy adwokata - utrzymywał

Clyde patrząc ciągle na Jephsona, który wysiłał całą swą siłę duchową, żeby go podtrzymać. Przecież już wytłumaczyłem, dlaczego tak powiedziałem.

- Wytłumaczyłem! wytłumaczyłem! - grzmiał Mason, chociaż w głębi ducha rozumował jasno, że jakkolwiek mogło to być fałszywe zeznanie, jednak jest na tyle dobre, że Clyde może się za nim ukryć, chociażby go nawet bardzo naciskano. Nie dopuści jednak do tego, żeby ten nędznik miał się cieszyć wolnością.

- Czułeś wszakże, jak listy jej były smutne?

- No... tak, rzeczywiście... jękał się - niektóre z nich przynajmniej...

- Patrzcie, państwo! Niektóre z nich! Zdaje mi się, żeś się zgodził już z tym, że były smutne?

- Tak... rzeczywiście... istotnie są smutne.

- I wiedziałeś o tym?

- No... tak, wiedziałem.

Oczy Clyde'a ciągle wędrowały w kierunku Jephsona, który nie spuszczał zeń wzroku, jak gdyby słał ku niemu promienie krzepiącego światła.

- Przypominasz sobie, co pisała?

Tu Mason wziął jeden z listów i zaczął czytać: "Clyde, z pewnością umrę, jeżeli nie przyjedziesz po mnie. Jestem taka samotna. Chodzę jak obłąkana. Chciałabym odejść gdzieś, nigdy już nie powrócić i nigdy ci nie przysparzać kłopotu. Gdybyś tylko chciał chociaż raz na dzień zatelefonować do mnie, jeżeli już nie chcesz pisać... bo tak potrzebuję od ciebie słowa otuchy".

Głos Masona załamał się. Były to słowa niewymownie rozpaczliwe i każdego mogły wzruszyć.

- Czy to wydaje ci się smutne?

- Tak, rzeczywiście... jest smutne.

- I myślałeś otrzymując te listy, że były smutne?

- Myślałem.

- Czy wierzyłeś, że to jest szczerze?.

- Wierzyłem.

- I to cię jednak wcale nie wzruszyło, dopiero na środku Big Bittern się wzruszyłeś? Nie wzruszyłeś się do tego stopnia, żeby chociaż ująć słuchawkę telefonu w domu pani Peyton i uspokoić biedną dziewczę jednym dobrym słowem? Nie mogłeś zdobyć się na współczucie, dopóki nie napisała do ciebie listu z groźbami? A może już wtedy czyniłeś zbrodnicze projekty i obawiałeś się, że częste telefonowanie może zwrócić czyjąś uwagę? Jakże się to stało, że miałeś tyle współczucia w Big Bittern, ani trochę zaś w Lycurgus? Jakoś zmienne są twe uczucia, paniczu!

- Nie powiedziałem wcale, że nigdy dla niej nie miałem współczucia - odpowiedział wyzywającym głosem Clyde czując na sobie oczy Jephsona.

- O, tak! Pozwoliłbyś jej czekać w nieskończoność!

- Przyznałem się przecież, że nie... obchodziłem się z nią dobrze...

- Ha! ha! Nie traktował jej dobrze! I dlatego że się przyznałeś i że inni świadkowie też coś o tym mówili, masz nadzieję, że wyjdiesz stąd jako człowiek wolny, prawda?

Belknap nie mógł już dłużej wytrzymać. Zwrócił się gwałtownie do przewodniczącego i zawołał:

- To jest haniebne, Wysoki Sądzie! Czy pan prokurator ma zamiar roztrząsać każde pytanie?

- Nie widzę w tym nic nieodpowiedniego - odrzekł przewodniczący. - W każdym razie pan prokurator zechce formułować pytania wyraźnie.

Mason przyjął naganę lekko i zwrócił się znów do Clyde'a.

- Griffiths, przyznajesz się, że siedząc w łodzi na środku jeziora trzymałeś w ręce aparat fotograficzny, do którego z początku nie chciałeś się przyznać?

- Tak, trzymałem.

- A panna Alden siedziała u steru łodzi?

- Tak.

- Proszę cię, Burton, każ przynieść tę łódź - zwrócił się do swego urzędnika.

Po chwili czterech woźnych wniosło z biura prokuratora łódź, tę samą łódź z jeziora Big Bittern i ustawiło ją przed stołem sędziowskim. Clyde'a przeszedł mróz. Wpatrzył się nieprzytomnym wzrokiem. Ta sama łódź! Mrugał oczyma i trząśł się, a w całej sali panowało poruszenie, wywołane tym widokiem.

Mason trzymał w ręku aparat i machając nim w powietrzu zawołał:

Masz teraz wszystko, nawet aparat, który "nigdy do ciebie nie należał", Griffiths! Wejdźże teraz do łodzi, z łaski swojej, weź aparat i pokaż wszystkim, gdzie siedziałeś, a gdzie panna Alden, i wiernie, na ile się da, odtwórz, jak ją uderzyłeś, gdzie i jak ona upadła.

- Oponuję! - zawołał Belknap.

Nastąpiły długie i nużące argumentacje zakończone tym, że przewodniczący zgodził się na tego rodzaju rekonstrukcję wydarzeń, Clyde jednak zawołał jeszcze:

- Przecież jej umyślnie nie uderzyłem!

- Tak, słyszałem o tym - odpowiedział na to Mason.

Wszedł więc Clyde do łodzi, usiadł na środkowym siedzeniu, a trzech ludzie trzymali łódź mocno.

- A teraz, Newcombe, usiądź, proszę cię, na miejscu, gdzie siedziała panna Alden, i przyjmij taką pozycję, jaką podobno zachowała panna Alden.

Newcombe wszedł do łodzi, a Clyde na próżno szukał oczu Jephsona, który w tej chwili był do niego obrócony tyłem.

- Teraz Clydzie Griffiths - dyrygował Mason - pokaż, jak panna Alden zbliżyła się do ciebie. Pokaż mu, jak to ma zrobić!

Clyde z sercem strwożonym, odczuwając całą niewiarogodność tej sytuacji, podniósł się i w zupełnie niezręczny, nieprawdopodobnie niezgrabny sposób starał się pokazać, jak Roberta się podniosła i prawie pełznąco przybliżyła się do niego i w czasie tego potknęła się i upadła. Następnie z aparatem w ręce próbował pokazać, o ile sobie mógł przypomnieć, jak bezwiednie podniósł rękę i uderzył Robertę. Nie wie nawet, w jakie miejsce, może w brodę czy w policzek, nie jest tego pewien, ale zupełnie niechcący i chyba tak lekko, że nie mógł jej zranić.

Teraz zawrzał spór między Masonem i Belknapem co do wartości takiej demonstracji, tym bardziej że Clyde sam powiada, że nie pamięta dobrze. Przewodniczący jednak zezwolił na dalszy ciąg spektaklu, który miał wykazać, czy uderzenie Clyde'a było silne czy lekkie.

- Ależ, na miłość Boską - upierał się Belknap - jak można demonstrować na panu Newcombie, który jest człowiekiem dobrze

zbudowanym, i porównywać go z dziewczyną wątłą i lekką?

- Dobrze! Weźmy w takim razie kobietę o wadze i budowie panny Alden!

Tu Mason zwrócił się do Zilli Saunders i kazał jej zająć miejsce Newcombe'a. Belknap oponował i przeciw temu:

- I cóż z tego? Warunki przecież nie są takie same! Łódź nie jest na wodzie. Ludzie nie są w tym samym usposobieniu i nie będzie to nieumyślne uderzenie.

- Więc pan nie zgadza się na tę demonstrację? - zapytał z ironią Mason.

- O, może pan to robić, jeżeli tak się panu podoba, ale nie będzie to miało żadnego znaczenia - odrzekł niedbale Belknap.

Clyde więc pod kierunkiem Masona popchnął Zillę równie mocno jak Robertę. Sekretarka zachwiała się lekko, lecz uchroniła od upadku tylko tym, że oparła się obiema rękami o bok łodzi.

Sędziowie wszakże, wbrew przypuszczeniom Belknapa, doszli do przekonania, że Clyde w obawie o siebie, o swe życie, wykonał ten gest o wiele łagodniej niż w rzeczywistości. Czyż doktorzy nie zeznali pod przysięgą, że na szczycie głowy ofiary znaleźli ciężkie rany od uderzenia? Czy Burton Burleigh nie zeznawał, że znalazł włos Roberty na aparacie? A przecież ta pani słyszała straszny krzyk ofiary... Czyżby to nic nie miało znaczyć?

Na tym posiedzenie się skończyło.

Następnego ranka Mason zjawił się w sądzie, świeży, wypoczęty i pełen energii. Zjawił się i Clyde po bezsennej nocy spędzonej w swej celi i po konferencji z obrońcami, którzy mu dodawali odwagi.

Będzie dziś spokojny, chłodny, przybierze niewinną minę, jeśli tylko mu się to uda. W głębi jednak duszy nie miał dość mocy, nie miał już bowiem przekonania, że to się na coś przyda, widział, że

nikt mu nie współczuje, że wszyscy są przeciwko niemu, że każdy jest pewien jego winy.

- Clydzie Griffiths, utrzymujesz więc stale, że nastąpiła w tobie zmiana uczuć? - spytał Mason głosem, w którym słychać było okrucieństwo i zajadłość.

- Tak, panie prokuratorze, utrzymuję to zawsze...

- Czyś słyszał kiedy o ludziach utopionych, których jednak przywrócono do życia?

- Nie rozumiem, o co chodzi.

- Są widzisz, ludzie, których wydobyto z wody jako topielców i którzy zanurzywszy się po raz ostatni, nie ukazali się już więcej na powierzchni wody, wydobyli jednak odzyskiwali przytomność za pomocą pewnych zabiegów, zwanych sztucznym oddychaniem, a polegających na poruszaniu rąk, taczaniu po pniu drzewa i tym podobnych. Musiałeś chyba o tym słyszeć?

- Owszem, słyszałem o czymś podobnym. Słyszałem o ludziach utopionych, których przywrócono do życia, ale nigdy nie słyszałem, jakim sposobem.

- Nigdy nie słyszałeś?

- Nigdy.

- I nie słyszałeś również, jak długo mogą pozostawać pod wodą, ażeby można im życie przywrócić?

- Nie, nigdy nie słyszałem.

- Nie słyszałeś nigdy, że ludzie, którzy nawet piętnaście minut leżeli pod wodą, mogą jeszcze odżyć?

- Nie.

- Nie przyszło ci nigdy na myśl podczas pływania, że może ci zdarzyć się wypadek, że będziesz musiał wołać o pomoc i w jakiś sposób uratować sobie życie?

- Nie, nigdy mi to nie przyszło na myśl. A wtedy byłem pewien, że ona od razu... umarła...

- Mhm. Ale żyła jeszcze, gdy... wynurzyła się z wody... Co wtedy robiłeś? Podobno pływasz doskonale?

- Tak, pływam bardzo dobrze.

- Wierzę. Jeżeli mogłeś się sam uratować, płynąc przeszło pięćset stóp w ubraniu i obuwiu. Tak było, prawda?

- Tak, istotnie przepłynąłem taką przestrzeń.

- Tak, istotnie... To było bardzo po rycersku dla młodzieńca, że nie mógł przepłynąć jakichś trzydziestu pięciu stóp do przewróconej łodzi - zakonkludował Mason.

Tu Jephson skinął na Belknapa, żeby ten komentarz wykreślono.

Zaczęto teraz Clyde'a ostro przepytawać ile razy pływał łódką i musiał przyznać, że wiosłując nawet w małych czółenkach, nigdy nie doznał żadnego wypadku.

- Za pierwszym razem też pływałeś z Robertą czółnem, prawda?

- Tak.

- I nie zdarzył się wtedy żaden wypadek?

- Nie.

- Kochałeś ją wtedy bardzo, co?

- Kochałem.

- Gdy jednak utonęła w Big Bittern w tej mocnej, szerokiej łodzi, nie kochałeś już jej wcale?

- Powiedziałem już przecież, co wtedy czułem dla niej.

- No, tak... oczywiście, nie ma mowy o jakimkolwiek podobieństwie między przejażdżką po Crum Lake, kiedyś ją kochał tak bardzo, a wycieczką po Big Bittern, gdy...

- Powiedziałem już, co wtedy czułem.

- W każdym jednak razie pragnąłeś się jej pozbyć, prawda?

W chwili gdy życie kończyła, tyś uciekał do innej panny. Nie zaprzeczysz chyba temu?

- Już mówiłem, dlaczego to robiłem - powtarzał Clyde.

- Mówiłeś, mówiłeś! I liczysz jeszcze, że znajdzie się ktoś inteligentny a uczciwy, kto zechce w to uwierzyć?

Mason tracił już panowanie nad sobą pieniąc się ze złości i Clyde nie miał odwagi wtrącać słowa na usprawiedliwienie. Przewodniczący przyjął sprzeciw Jephsona i oznajmił:

- Sprzeciw uwzględniony.

Mason jednak ciągnął dalej:

- Coś mi się zdaje, że niezbyt uważnie tę łódź prowadziłeś i sam ją wywróciłeś?

Przysunął się bliżej i patrzył mu bacznie w oczy.

- Nie, panie prokuratorze, to nie było z mojej winy. To był naprawdę wypadek, któremu nie mogłem zapobiec.

Clyde powiedział to chłodnym tonem, był jednak blady i czuł ogromne znużenie.

- Wypadek! Taki sam wypadek, jak ten w Kansas City. Jakoś często zdarzają ci się takie wypadki, panie Griffiths - z wolna a szyderczo wypowiedział Mason te słowa.
- Wytłumaczyłem już, jak to się stało - odparł Clyde, zdenerwowany w najwyższym stopniu.
- Jakoś często zdarzają ci się wypadki, które kończą się śmiercią dziewcząt... I zawsze uciekasz, gdy która z nich umiera?
- Sprzeciwiam się! - krzyczał Belknap, tupiąc nogą.
- Sprzeciw uwzględniony - zawołał przewodniczący ostro. - Tamten wypadek nie ma nic wspólnego z tą sprawą.
- Griffiths - ciągnął dalej Mason, zadowolony, że odpłacił się Jephsonowi - gdy łódź się wywróciła po tym przypadkowym uderzeniu i oboje wpadliście w wodę, jak daleko byłeś od niej?
- Nie wiem. Nie pamiętam.
- Czy bardzo blisko? Pewnie nie dalej jak o stopę lub co najwyżej o dwie... z pewnością, boś przecie stał obok niej w łódce.
- Nie wiem, nie zauważyłem. Może tak było.
- O tyle blisko, żeś mógł ją uchwycić i przyciągnąć do siebie, gdyby to było twym zamiarem, naturalnie. Przecież się zerwałeś, gdy ona upadła, co?
- Tak zerwałem się - odpowiedział Clyde z namysłem - ale nie byłem tak blisko, żeby móc ją uchwycić. Wiem tylko, że poszedłem pod wodę, a gdy wypłynąłem na powierzchnię, Roberta już była trochę dalej.
- A o ile dalej? Czy tak daleko, jak stąd do końca stołu sędziowskiego, czy tylko połowę tej przestrzeni?

- Kiedy naprawdę nie zauważyłem tego, ale chyba tak daleko, jak stąd do końca stołu - kłamał obliczając, że ta przestrzeń może wynosić co najmniej osiem stóp.

- To niemożliwe - zawołał Mason starając się w tonie głosu wykazać wielkie zdumienie. - Łódź się przewróciła, oboje wpadliście jednocześnie w wodę, jedno tuż przy drugim, a gdyś wypłynął na powierzchnię, ona już się oddaliła prawie o dwadzieścia stóp? A może twoja pamięć szwankuje nieco?

- Nie wiem, tak mi się przynajmniej wtedy zdawało.

- Przypuśćmy. Gdy więc łódź się wywróciła i oboje wypłynęliście, gdzie była wówczas łódź? Czy była tak daleko, jak stąd do publiczności?

- Już powiedziałem, nie zwróciłem na to uwagi - odrzekł Clyde, patrząc z niepokojem na przestrzeń, dzielącą go od publiczności.

Pewnie Mason przygotował na niego jakąś zasadzkę. - Pewnie była tak daleko, jak stąd do poręczy za pańskim stołem.

- A więc jakieś trzydzieści albo i trzydzieści pięć stóp, prawda?

- podsunął Mason przebiegle.

- Tak... może tyle... nie jestem zupełnie pewny.

- Wiem już teraz, gdzie byłeś ty, Griffiths, i gdzie łódź, a jak daleko była panna Alden?

Clyde zaczął podejrzewać, że Mason zna jakąś regułę matematyczną, która miała udowodnić jego winę, miał się więc teraz na baczności i często spoglądał w kierunku Jephsona. Nie wiedział dobrze, gdzie umieścić Robertę, czy daleko od siebie, czy blisko. Powiedział, że nie umiała pływać... czy więc mogła być bliżej łódki niż on? Chyba...

Myśli obłądne, szalone przewalały mu się błyskawicznie przez

głowę, wreszcie doszedł do wniosku, że najlepiej powiedzieć, że była na połowie tej przestrzeni... tak będzie najlepiej. I tak powiedział.

- Nie była więc dalej od oskarżonego jak o piętnaście stóp? - rzucił natychmiast pytanie Mason.

- Pewnie... że tyle było, zdaje się...

- Przyznajesz się więc, że nie chciałeś przepłynąć tak małej przestrzeni i utrzymać ją na wodzie, dopóki nie dopłynąłbyś do łódki?

- Tak... ale jak powiedziałem, byłem wtedy oszołomiony... kiedy wypłynąłem na powierzchnię... a ona tak się rzucała i krzyczała...

- O, tak! Łódź była nie dalej jak trzydzieści stóp od oskarżonego - stosownie do jego opowiadania - co prawda dość daleko, ale jeżeli oskarżony mógł przepłynąć przeszło pięćset stóp do brzegu, czyż nie mógł się zbliżyć do łodzi i pchnąć ją do tonącej, ażeby się mogła uratować? Ona przecież starała się utrzymać na wodzie, prawda?

- Tak... ale ja byłem tak oszołomiony - powtarzał Clyde posępnie, czując oczy wszystkich na sobie - i... i... - widział coraz większe podejrzenie na twarzach słuchaczy, upadał zupełnie na duchu i nie miał pojęcia, co ma powiedzieć - i sam nie wiedziałem, co mam robić. Obawiałem się przy tym, że gdy zbliżę się do niej...

- Rozumiem. Brak cywilnej odwagi - roześmiał się szyderczo Mason.
- Bardzo to wygodnie być powolnym w myśleniu, kiedy to potrzebne, albo szybkim, także wedle okoliczności, prawda?

- Nie, panie prokuratorze.

- Hm, jeżeli więc tak było, dlaczego dopłynąwszy do brzegu w parę minut po wypadku byłeś na tyle przytomny i pamiętałeś, że trzeba ukryć trójnog od aparatu. Byłeś dostatecznie przytomny i umiałeś sprawnie rozumować, dotknąwszy nogą ziemi... Cóż mi na to powie

oskarżony?

- Ja... ja... powiedziałem już, że doszedłem do przekonania, że nic mi już innego nie pozostało do zrobienia...

- Tak, wiemy już o tym. Czy nie przyszło jednak na myśl oskarżonemu, że ukrywając statyw wykazał wiele zimnej krwi po tak wstrząsającym wypadku? Jakże się to stało, że na łódzie umiał oskarżony myśleć tak logicznie, a na wodzie przed paru jeszcze minutami nie zastanawiał się nad niczym?

- Rzeczywiście... tylko...

- Nie! to nie było celowe! Pragnąłeś jej śmierci mimo całej gadaniny o zmianie uczuć! Może nie tak było? - krzyczał Mason. - Czy to może nie jest prawdą, okrutną, przerażającą prawdą? Utonęła, boś tego pragnął i pozwoliłeś jej utonąć.

Mason trząsł się cały wykrzykując te słowa, a Clyde, mając przed oczyma tę samą łódź, w uszach jeszcze krzyk Roberty, a w pamięci oczy jej i wodę, zamykającą się nad nią, drżał również i opadł na krzesło, zdruzgotany słowami Masona. Nigdy, nikomu, nawet samym obrońcom nie przyznał się, że widząc tonącą Robertę nie pragnął wcale jej uratować. Powtarzał niezmiennie, że boleje nad tym, iż nie mógł jej uratować, stało się to jednak tak szybko a on był tak oszołomiony i przerażony jej krzykami, że nie był w stanie przyjść jej z pomocą.

- Ja... ja chciałem... ją uratować - jąkał się, a twarz mu zupełnie zszarzała - tylko... tylko... powiedziałem już... byłem oszołomiony... i... i...

- Czy oskarżony nie czuje, że kłamie? - wrzasnął Mason przysuwając się bliżej. Ręce podniósł do góry, zniekształcona twarz pałała, patrzył złowrogimi oczyma jak mściwa Nemezis, jak uosobienie nieubłaganego gniewu. - Przecież umyślnie, z zimną krwią chytrze dopuścił, aby to biedne, udręczone dziewczę straciło życie! Łatwo mógłby ją uratować! Sam potrafił bez trudu dopłynąć do brzegu,

choć było dość daleko...

Teraz już Mason miał niezbitą przekonywaność, że Clyde zamordował Robertę. Było coś w zachowaniu oskarżonego, co go przekonywało, i za wszelką cenę usiłował wydobyć z niego przyznanie się do winy.

Belknap zaprotestował gwałtownie. Postępując w ten sposób, wywołuje się uprzedzenie do oskarżonego. Zażądał przerwy w posiedzeniu, na co przewodniczący zgodził się, jednak Clyde zdążył jeszcze zawołać:

- Nie! nie! nie kłamię! uratowałbym ją, gdybym mógł!

Z zachowania Clyde'a wyczuwało się, że kłamię, że nie tylko jest tchórzem, jak go określili obrońcy, lecz że winien jest stanowczo śmierci Roberty. Wszyscy bez wyjątku stawiali sobie pytanie, dlaczego oskarżony nie ratował tonącej, jeżeli na tyle był silny, by dopłynąć do odległego brzegu. Dlaczego nie popłynął do łodzi i pchnąwszy ją w stronę tonącej dziewczyny nie próbował chociażby w ten sposób jej uratować?

- Panna Alden ważyła podobno sto funtów? - pytał gorączkowo po przerwie Mason. - Prawda?

- Tak, pewnie tyle...

- A ile oskarżony ważył w tym czasie?

- Coś około stu czterdziestu.

- I mężczyzna tej wagi - szydził Mason, zwróciwszy się do przysięgłych - obawia się zbliżyć do walczącego z życiem dziewczęcia, wątłego, osłabionego, z obawy, żeby go nie pociągnęła za sobą! A łódź była mocna, utrzymać mogła co najmniej cztery osoby i była tak niedaleko... Jakże to?

Aby utrwalić tę myśl w obecnych i nadać jej większą wagę prokurator zamilkł. Wyjął z kieszeni wielką, białą chustkę i otarł nią twarz, wilgotną z wysiłku emocjonalnego. Po czym zwrócił się

do Burleigha:

- Proszę kazać zabrać tę łódź. Niepotrzebna nam będzie na razie.

Weszli woźni i łódź zabrali.

Przybrawszy znów zwykłą powagę zapytał Clyde'a:

- Oskarżony zapewne zna bardzo dobrze kolor i miękkość włosów Roberty Alden? Żyliście przecież ze sobą tak intymnie, prawda?

- Znam dobrze kolor jej włosów, a przynajmniej zdaje mi się, że znam - odparł Clyde niepewnie. Obezwładniający dreszcz przebiegł po nim prawie widzialnie.

- I miękkość ich również, zapewne? - nalegał Mason. - Podczas tych pięknych dni obopólnej miłości, przed poznaniem panny X oczywiście, dotykał ich oskarżony z pewnością bardzo często?

- Nie pamiętam, czy dotykałem, czy nie - odrzekł Clyde rzucając spojrzenie na Jephsona.

- Hm! sprytnie! Może jednak oskarżony wie, czy były jedwabiste, czy szorstkie, co?

- Były jedwabiste.

- Oto właśnie są jej włosy. - Podeszedł do stołu i wyjął z koperty jasny kosmyk. - Prawda, że to jej włosy? - zbliżył się z nimi do Clyde'a, który cofnął się jak przed czymś wstrętnym czy niebezpiecznym. Trwało to może sekundę, gdyż natychmiast się opanował, lecz baczne oczy sędziów zanotowały to sobie. - Proszę się nie bać! - drwił Mason. - To są przecież włosy ukochanej zmarłej!

Urażony tym komentarzem, czując na sobie oczy wszystkich, Clyde przemógł się i wziął włosy Roberty do ręki.

- Cóż? Podobne są do włosów panny Alden?

- Podobne są, rzeczywiście - odrzekł Clyde cicho.

- A teraz... tu Mason podszedł szybko do stołu i wziął aparat fotograficzny, w którym między wieczkiem przytrzaśnięte były dwa włosy, umieszczone tam przez Burleigha. Mason podał aparat Clyde'owi.

- Niech oskarżony weźmie ten aparat. Należy do niego, chociaż oskarżony zapewniał mnie mocno, że nie posiada żadnego, i niechaj obejrzy te dwa włosy. Czy oskarżony je widzi?

Zamierzył się aparatem na Clyde'a, jakby miał zamiar go uderzyć.

- Znalazły się tam widocznie wtedy - mówił dalej - gdy oskarżony uderzył ją tak lekko, że utworzyły się rany na twarzy. Może oskarżony zechce powiedzieć sądowi, czy są to włosy panny Roberty Alden?

- Nie wiem. Nie mogę tego powiedzieć - szepnął Clyde.

- Dlaczego? Powiedz! nie bądź takim tchórzem! Czy są to jej włosy, czy nie?

- Nie wiem - powtórzył Clyde, nie patrząc nawet na nie.

- Spójrz na nie! spójrz! Porównaj z tamtymi! My wiemy na pewno, że tamte są jej, a ty wiesz, że te w aparacie są także jej... Spójrz! Nie bądź taki wrażliwy. Często dotykałeś tych włosów za życia. Ona już nie żyje, a włosy jej nie ukąszą! Czy te włosy, te dwa włoski są te same, te same, co tamte? My jesteśmy pewni, że tamte są jej włosami, a te w aparacie mają ten sam kolor, tę samą miękkość... Spójrz! odpowiedz! No! są te same, czy nie?

Clyde, tak przymuszany, musiał spojrzeć i wziąć je w palce. Odpowiedział jednak ostrożnie:

- Są podobne, ale zapewnić nie mogę.

- Nie możesz? Nawet wtedy, gdy wiesz doskonale, że przy tym brutalnym uderzeniu wyrwałeś te dwa włosy?

- Ależ ja wcale Roberta gwałtownie nie uderzyłem - przekonywał Clyde, patrząc na Jephsona- a co do tych włosów, nie mogę powiedzieć, że są jej.

Zawziął się. Nie pozwoli się nastraszyć takiemu brutalowi, jak Mason, czuł się jednak bardzo źle.

Mason, zadowolony z efektu, położył aparat i kosmyk włosów na stole, mówiąc:

- Mamy dosyć dowodów na to, że włosy te były na aparacie, gdy go wydobyto z wody, a od oskarżonego wiemy, że miał aparat w ręce, zanim wpadł do wody.

Zaczął się chwilę namyślać nad nowym pytaniem, którym miał zamiar na nowo zacząć torturować Clyde'a.

- Niech mi oskarżony powie, o której godzinie stanął w Three Mile Bay, uciekając całą noc przez lasy?

- Koło czwartej nad ranem, przed świtem.

- A co oskarżony robił, zanim wsiadł na statek?

- Przechadzałem się trochę.

- Po Three Mile Bay?

- Nie. Za miastem.

- Po lesie. Domyślałem się, że oskarżony czekał, aż się miasto rozbudzi, żeby nie zwracać na siebie większej uwagi. Tak było?

- Czekałem, aż słońce wzejdzie. Byłem zmęczony i usiadłem na chwilę, żeby trochę odpocząć.

- Spałeś, Griffithsie, i miałeś miłe sny?
- Byłem zmęczony i rzeczywiście usnąłem trochę.
- A skądżeś wiedział, o której statek przychodzi do Three Mile Bay? Dowiedziałeś się przedtem?
- Przecież każdy wie o statku z Three Mile Bay.
- Istotnie? I oskarżony wiedział tak... znikąd?
- Szukając miejscowości, gdzie mieliśmy wziąć ślub, oboje wiedzieliśmy o tym - odparł ostro Clyde. - Wiedzieliśmy, że tam kolei nie ma, dopiero w Sharon.
- Wiedziałeś jednak, że to jest na południe od Big Bittern?
- Zdaje się, że wiedziałem.
- I że droga na zachód od Grass Lake prowadzi do Three Mile Bay, okrążając niższe części jeziora Big Bittern?
- Wiedziałem, że jest tam jakaś droga, może nawet tylko ścieżka, nie myślałem wszakże, że jest to uczęszczana droga.
- Mhm. Dlaczegoż to więc, spotkawszy w lesie trzech ludzi, zapytałeś, jak daleko jeszcze do Three Mile Bay?
- Nie tak ich pytałem - odpowiedział Clyde, wiedząc teraz, co ma odpowiedzieć, bo już o tym Jephson pomyślał. - Spytałem ich, czy nie wiedzą, jaka droga prowadzi do Three Mile Bay i jak to jest daleko. Nie wiedziałem wcale, czy jest jakaś droga, czy nie.
- Oni jednak zeznawali co innego.
- Nic mnie nie obchodzi, co oni zeznawali, mówię tylko, o co ich pytałem.

- Zdaje mi się, że w twoich oczach, Griffiths, wszyscy świadkowie są kłamcami, tylko ty jeden mówisz prawdę... co? Po przybyciu do Three Mile Bay zatrzymałeś się, żeby się posilić. Musiałeś być bardzo głodny?

- Nie, nie byłem głodny.

- Wolaleś opuścić te miejsca jak najprędzej, z pewnością, co? Obawiałeś się, że ci trzej ludzie przyszli już do Big Bittern, a usłyszawszy o wypadku przypomniał sobie, że cię widzieli w lesie, prawda?

- Nie, nie dlatego. Mówiłem już, dlaczego nie chciałem tu pozostać dłużej.

- Tak. O, tak, Clydzie Griffiths, przybywszy do Sharon, gdzie czułeś się nieco bezpieczniej, trochę dalej, nie traciłeś czasu na jedzenie. A tam jedzenie jest bardzo dobre!

- Nie wiem nic o tym. Wypiłem filiżankę kawy i zjadłem sandwicza.

- I kawałek pasztetu, jak się już dowiedzieliśmy - dodał Mason. - Potem połączyłeś się z tłumem idącym ze stacji, żeby wyglądało, że przejeżdżasz z Albany, jakieś to potem wszystkim mówił. Czy tak było?

- Tak było rzeczywiście.

- Dziwne, bardzo dziwne, żeby tak niewinny, jak ty, człowiek, myślał o tylu środkach ostrożności. Kryć się w cieniu, oczekiwać na sposobność, żeby utrzymać wszystkich w przekonaniu, że przejeżdżasz z Albany...

- Już się z tego wytłumaczyłem.

Następnie Mason wziął się, żeby upokorzyć Clyde'a za zapisanie Roberta w dwóch hotelach jako żony dwóch mężczyzn.

W taki to sposób jej się odwdzieczył za wszystko, co dla niego

uczyniła.

- Dlaczego nie wzięliście dwóch oddzielnych pokojów?

- Roberta nie chciała. Chciała koniecznie być razem ze mną. Prócz tego miałem niewiele pieniędzy.

- Chociażby nawet... Jakże oskarżony mógł jej okazać tak mało szacunku, tak mało troszczyć się o jej reputację. Gdy zakończyła życie, uciekł i zatrzymał przy sobie jej tajemnicę i to niby w tym celu, żeby osłonić jej imię i opinię, jak to nam przynajmniej powiedział...

- Panie prokuratorze - przerwał Belknap - to już nie jest pytanie, to cała oracja.

- Utrzymuję się przy tym pytaniu - odparł Mason. - Przyznajesz się więc, że jesteś kompletnym tchórzem?

- Nie, nie przyznaję się.

- Nie?

- Nie.

- Jeżeli ktoś pod przysięgą kłamie, nie jest nikim innym tylko tchórzem, zasługującym na wzgardę i karę, stosowaną względem krzywoprzysięzcy i fałszywego świadka. Czy mam rację?

- Zdaje się, że tak.

- A więc jeżeli nie jesteś tchórzem, czy potrafisz się usprawiedliwić, dlaczegoś pozostawił utopioną dziewczynę na dnie jeziora, tym bardziej jeżeli, jak sam mówisz, był to tylko wypadek, boś przecie uderzył ją niechcący? Wiedziałeś, jak jej rodzice cierpieć będą po stracie ukochanego dziecka. Ani słowa nie powiedziałeś o tym nikomu, tylkoś czym prędzej uciekł stamtąd, schował statyw i ubranie i skrył się jak zwykły zbrodniarz. Czyś się nie zastanowił, że swym postępowaniem zdradziłeś, iż w

cichości ducha planowałeś zbrodnię, a potem starałeś się uniknąć wszelkiej odpowiedzialności. Albo też uciekając z miejsca śmierci uwiedzionej dziewczyny, bojąc się o swą opinię i przyszłość, uważałeś swe postępowanie za zwykły chytry wybieg człowieka tchórzliwego... Jakże, Griffiths, usprawiedliwisz się z tego?

- Ale ja jej nie zabiłem! naprawdę nie zabiłem - upierał się Clyde.

- Odpowiadaj na pytanie!

- Prosiłbym Wysoki Sąd - wtrącił Jephson, rzucając spojrzenie najprzód na Clyde'a, a potem zwracając się do przewodniczącego - o uświadomienie oskarżonego, że nie jest obowiązany odpowiadać na takie pytanie. Jest to pytanie argumentacyjne, nie mające istotnego znaczenia w tej sprawie.

- Oznajmiam - wyrzekł przewodniczący - że oskarżony ma prawo nie odpowiadać.

Clyde odetchnął z ulgą, otrzymawszy tak niespodziewaną pomoc.

- Dobrze, idźmy w takim razie dalej - mówił Mason, dotknięty do żywego czujną uwagą Jephsona i Belknapa, którzy czynili, co mogli, by mu odebrać chęć do dalszych ataków i osłabić je. Mason jednak zawział się, żeby postawić na swoim.

- Oskarżony powiedział, że przed wyjazdem na tę wycieczkę nie miał zamiaru żenić się z Robertą Alden. Tak było?

- Tak.

- Że ona tego pragnęła, lecz oskarżony wcale nie dążył do tego.

- Tak.

- Czy oskarżony przypomina sobie książkę kucharską, serwis do soli i pieprzu, łyżki i noże, które ona włożyła do walizki?

- Przypominam sobie.

- Czy oskarżony sobie wyobraża, że ona zabierała te rzeczy po to, żeby mieszkać samotnie jako niezamężna i oczekiwać jego przyjazdu raz na tydzień albo nawet raz na miesiąc?

Zanim Belknap zdążył zaprotestować, już Clyde odpowiedział:

- Nie wyobrażałem sobie nic i nie wiedziałem, co ona ma na myśli.

- Czy oskarżony powiedział jej przez telefon po tym liście z pogrózkami, że ma zamiar się z nią ożenić?

- Nie, nie powiedziałem tego.

- Nie byłeś na tyle tchórzem, żeby dać się zastraszyć takimi pogrózkami, co?

- Nigdy nie przyznawałem się do tchórzostwa.

- Więc nie dałeś się zastraszyć pogrózkami uwiedzionej dziewczyny?

- Nie, bo nie uważałem, że powinienem się z nią żenić.

- Nie uważałeś jej za tak dobrą partię, jak pannę X?

- Czułem, że nie powinienem się z nią żenić, jeżeli jej nie kocham.

- Nawet wtedy, gdy należało zwrócić jej cześć i spełnić obowiązek uczciwego człowieka?

- Byłem pewien, że w tych warunkach nie bylibyśmy szczęśliwi.

- To było przed tą wielką, niezwykłą zmianą uczuć, przypuszczam?

- Tak, to było przed naszym wyjazdem do Utica.

- Chociaż trwałeś w zachwycie dla panny X?

- Tak, kochałem pannę X.

- Czy oskarżony przypomina sobie jeden z listów, na który wcale, oczywiście, nie odpowiedział? - Tu Mason wziął jeden i zaczął czytać: - "Jestem ciągle niespokojna i przygnębiona, chociaż staram się nie myśleć o tym, bo przecież ustaliliśmy już nasze projekty i wiem, że przyjedziesz po mnie, boś mi to obiecał".

- Cóż więc znaczy w tym liście zwrot: "nasze projekty"?

- Wiem tylko o tym, że miałem przyjechać po nią, zawieźć do jakiegoś miasta, żeby tam jakiś czas przebyła.

- Nie żeniąc się z nią jednak, oczywiście?

- Tak, tego jej nie obiecywałem.

- Jednak ona w tym samym liście pisze: "Zamiast pojechać do domu, wstąpiłam do Homer, do siostry, bo nie jestem pewna, kiedy ją znów zobaczę, a pragnęłabym, żeby mnie ujrzała jako kobietę godną szacunku - albo wcale". Co oskarżony myśli, jakie znaczenie mają słowa: "kobieta godna szacunku"? Widocznie rozumiała pod tym, że będzie mieszkała gdzieś w ukryciu, da potajemnie życie dziecku, a od uwodziciela otrzymywać będzie od czasu do czasu trochę pieniędzy, prawda? Mogłaby potem wrócić do domu jako niewinna dziewczica lub utrzymywać, że mąż jej umarł, czy coś podobnego, co? Czy oskarżony nie domyśla się, że pragnęła widzieć siebie mężatką z dzieckiem prawym, obdarzonym nazwiskiem męża? Taki to miał być projekt i nie mógł być inny.

- Może być, że sobie tak projektowała - ominął pytanie Clyde - ja jednak nigdy jej nie mówiłem, że się z nią ożenię.

- Tak, tak. Odpocznijmy sobie chwileczkę.

Po chwili zaczął znów czytać jeden z listów:

"Czy Ci nie robi wielkiej różnicy, gdybyś przyjechał o parę dni

wcześniej, niż miałaś zamiar, ukochany? Nawet gdyby to miało skrócić nasz wspólny pobyt, bo przecież dłużej nad sześć czy osiem miesięcy nie będziesz przy mnie. Zgodzę się, żebyś potem mnie opuścił, jeżeli już tego tak pragniesz koniecznie. Umiem być oszczędna i gospodarna. O, Clyde! gdyby było inne wyjście, wiedz, że dla miłości do Ciebie zgodziłabym się na każde".

- Jak się zdaje oskarżonemu, co to ma oznaczać "umiem być oszczędna i gospodarna" i "osiem miesięcy będziesz przy mnie". Czy to ma oznaczać, że będzie mieszkała samotnie, a pan Griffiths będzie ją od czasu do czasu odwiedzał? Czy to nie znaczy przypadkiem, żeś się zgodził z nią wyjechać, ożenić się? Przecież najwyraźniej pisze o tym, co?

- Nie wiem nic o tym, chyba że miała zamiar zmusić mnie - odrzekł Clyde, a całe audytorium, złożone przeważnie z farmerów, robotników, rybaków, sapało groźnie i szyderczo mrucało, oburzone wyrażeniem "zmusić mnie". Clyde tego prawie nie zauważył i kończył:

- Nigdy nie zgadzałem się na to - chyba, że zmusiłaby mnie...

- Istotnie takiego byłeś mniemania?

- Tak.

- Możesz na to przysiąc równie chętnie, jak przysięgałeś na tamte zeznania?

- Owszem, mogę i przysiąc.

Nie można było mieć żadnych wątpliwości co do uczuć audytorium. Niektórzy wstali gestykułując z oburzeniem.

Mason na los szczęścia wybierał zeznania, żeby dręczyć Clyde'a, drwić z niego i doprowadzić do wściekłości. Spojrzawszy więc na swe notatki, rozłożone na stole, zaczął znowu:

- Oskarżony we wczorajszym zeznaniu pod kierunkiem swego obrońcy -

tu skłonił się szyderczo Jephsonowi - opowiadał o niezwyklej zmianie

uczuć wobec Roberty Alden podczas pobytu w Fonda i Utica, właśnie w chwili, gdy wyruszał na tę zbrodniczą wycieczkę.

Clyde odpowiedział: - Tak - zanim Belknap zdołał sprzeciwić się temu pytaniu. Zmieniono wszakże "zbrodniczą wycieczkę" na "wycieczkę".

- Przed wyjazdem więc oskarżony nie kochał jej wcale?

- Nie tyle przynajmniej, co dawniej.

- A jak dawno... od jakiego czasu kochał ją bardzo i kiedy ta miłość się skończyła?

- Od poznania jej i do poznania panny X.

- Potem więc nie kochał już jej oskarżony?

- Nie mogę powiedzieć, żebym zupełnie nie kochał. Lubiłem ją... nawet bardzo, ale już nie w tym stopniu, co dawniej. Lubiłem ją może więcej niż kogo innego.

- A kiedy to było? Od początku grudnia, zdaje się, do końca kwietnia czy maja.

- Tak... zdaje się...

- A w tym właśnie czasie żyliście ze sobą w ścisłym związku?

- Tak.

- Jakkolwiek oskarżony już jej nie kochał?

- Tak... jednak było - odpowiedział Clyde, zawahawszy się z lekka.

Publiczność robiła kiepskie dowcipy usłyszawszy tak intymne szczegóły.

- A tymczasem oskarżony wieczorami, nie troszcząc się wcale, że ona siedzi tam samotnie w swym małym pokoiku tak wierna i oddana, chodził na bale, zabawy, odbywał wycieczki samochodami, pozostawiając ją w opuszczeniu.

- Ależ ja się ciągle nie bawiłem!

- Jak to? Czy nie słyszeliśmy zeznań Tracy Trumbulla i jego siostry, Fryderyka Sellsa i Franka Harrieta, i Burcharda Taylora? Czy oskarżony nie słyszał?

- Słyszałem.

- Czyżby więc kłamali?

- Mówili prawdę, na ile ją pamiętali.

- Czyż nie mogli dokładnie pamiętać?

- Nie bawiłem się co dzień, co najwyżej ze dwa... może trzy razy na tydzień... czasami cztery.

- A resztę czasu poświęcał panie Alden?

- Tak.

- Czyby to ona właśnie o tym pisała w swym liście! - Mason znów wziął jeden z listów i czytał: - "Prawie każdej nocy, począwszy od tego nieszczęsnego wieczoru przed Bożym Narodzeniem, jestem teraz sama".

- Ona więc kłamie, prawda? - warknął Mason groźnie.

Clyde rozumiał, że niezbyt bezpiecznie pomawiać będzie Robertę o kłamstwo cicho więc, z zawstyżeniem odpowiedział:

- Nie, nie kłamie. Mimo to spędzałem z nią wieczory od czasu do czasu.

- Czy słyszał oskarżony zeznanie państwa Gilpin, którzy wiedzieli, że począwszy od grudnia panna Alden zawsze samotnie przesiadywała w swym pokoiku. Martwili się o nią, uważali to za nienaturalne, chcieli ją zapraszać do siebie, lecz ona odmawiała stale. Słyszał oskarżony te zeznania?

- Słyszałem.

- I upiera się przy swoim, że bywał u niej?

- Tak.

- I to w tym czasie, gdy kochał się w pannie X i szukał jej towarzystwa?

- Tak.

- I licząc na to, że będzie się mógł z panną X ożenić?

- Istotnie myślałem, że będę mógł się z nią ożenić.

- I utrzymywał stosunek z panną Alden, gdy inne uczucie zabierało mu czas?

- Tak... utrzymywałem - bąkał Clyde, przygnębiony nędznym obrazem swego charakteru. W głębi duszy nie sądził tak źle o sobie, bo czyż ci wszyscy jego młodzi towarzysze zabaw w Lycurgus nie robili tego samego, czyż nie słyszał o tym?

- Czyż oskarżony zwrócił uwagę na to, że jego obrońcy wymyślili bardzo łagodny termin, nazywając go tchórzem? - szydził Mason.

Zanim Belknap wniósł sprzeciw przeciw takiemu stawianiu kwestii, ciszę panującą w tej długiej, wąskiej sali przerwał gromki głos jakiegoś rozwścieczonego słuchacza:

- Czemuż nie zakatrupią od razu tego bydlaka! nie skończą z nim od razu?

Przewodniczący zadzwonił gwałtownie i kazał aresztować sprawcę zamieszania, a tych, którzy powstali z miejsc, wyprowadzić z sali.

Po uciszeniu audytorium Mason ciągnął dalej:

- Oskarżony powiedział, że opuszczając Lycurgus nie miał zamiaru poślubić panny Alden, chyba że nie udałoby się uspokoić jej w inny sposób.

- Tak, rzeczywiście myślałem o tym.

- I oskarżony był pewien, że wróci do Lycurgus?

- Pewien byłem.

- Dlaczego więc oskarżony zapakował wszystkie swoje rzeczy do kufra i zamknął go?

- To... to... dlatego... - bąkał Clyde, nie wiedząc, co odpowiedzieć, nie był bowiem przygotowany na to pytanie. - Ja... właściwie... nie byłem pewny... Nie wiedziałem, czy będę mógł wrócić, czy nie...

- Mhm. Bo gdyby oskarżony musiał powrócić... nagle... - tu Mason uśmiechnął się ironicznie, jak gdyby chciał powiedzieć: Myślisz, że ci kto uwierzy? - Bo gdyby musiał nagle wrócić, nie miałby czasu zapakować się porządnie...

- Nie... wcale nie dlatego...

- Więc dlaczego...

- Dlatego... - tu Clyde zawahał się, nie mając gotowej odpowiedzi.

- Dlatego... że gdybym musiał wrócić na krótki przeciąg czasu, musiałbym w pośpiechu pakować wszystko...

- Oskarżony nie był pewny, czy policja nie wykryje zbyt szybko, kim był Clifford Golden czy też Carl Graham. Trzeba byłoby wtedy śpiesznie uciekać...

- Nie. O tym wtedy nie myślałem.
 - I nie powiedziałaś pani Peyton, że wyprowadzasz się od niej?
 - Nie.
 - Mhm. W jednym ze swych zeznań powiedział oskarżony, że nie miał tyle pieniędzy, by wywieźć gdzieś pannę Alden i zawrzeć z nią małżeństwo, chociażby nie miało ono trwać dłużej nad sześć miesięcy, co?
 - Powiedziałem.
 - Ile miał oskarżony pieniędzy, gdy wyjeżdżał z Lycurgus?
 - Około pięćdziesięciu dolarów.
 - Około? Czy oskarżony nie wie dokładnie, ile miał przy sobie?
 - Miałem pięćdziesiąt dolarów.
 - A ile wydał w Utica i Grass Lake, a potem w Sharon?
 - Wydałem, zdaje się, około dwudziestu dolarów.
 - Oskarżony nie wie dokładnie?
 - Nie, dokładnie nie wiem... tak... coś około dwudziestu dolarów.
 - Zobaczmy więc, ile to było dokładnie.
- Clyde zaniepokoił się, czując, że wpada w jakąś pułapkę. Miał przecież pieniądze, dane mu przez Sandrę, i z tych też już trochę wydał.
- Ile oskarżony wydał za bilet z Fonda do Utica?
 - Dolara i dwadzieścia pięć centów.

- Ile zapłacił za pokój w hotelu w Utica, za siebie i Robertę Alden?

- Cztery dolary.

- Był z pewnością tego dnia obiad i nazajutrz śniadanie, które też coś kosztowało?

- Prawie trzy dolary dla nas obojga.

- Czy to już wszystkie wydatki w Utica?

Mason rzucił okiem na skrawek papieru, na którym były jakieś rachunki i notatki, Clyde jednak tego nie zauważył.

- Wszystko.

- A jeszcze ten kapelusz słomkowy? Wiemy przecież, żeś go kupił.

- Ach, tak! prawda... zapomniałem o tym - jękał się Clyde z niepokojem. - Tak... to dwa dolary... prawda!

- Oj, trzeba bardzo uważać. Przejazd do Grass Lake kosztował, zdaje się, pięć dolarów, prawda?

- Tak.

- Potem oskarżony wynajął łódkę w Grass Lake. Ile kosztowała?

- Po trzydzieści pięć centów za godzinę.

- Ile czasu oskarżony jej używał?

- Trzy godziny.

- A więc zapłacił jednego dolara i pięć centów?

- Tak.

- Potem noc w hotelu. Ile kosztowała? Pięć dolarów, zdaje się?

- Tak.

- I tam, zdaje się, oskarżony kupił ten lunch, który zawiózł ze sobą do Big Bittern?

- Tak, kosztowało to około sześćdziesięciu centów.

- Ile kosztował przejazd do Big Bittern?

- Dolara za bilety kolejowe i dolara za autobus.

- Pamiętasz dokładnie ceny, jak widzę. Oczywiście, że możesz je pamiętać. Nie miałeś za dużo pieniędzy, a to jest ważne. A ile kosztował przejazd statkiem do Sharon?

- Siedemdziesiąt pięć centów.

- Czy oskarżony zsumował ten rachunek?

- Nie.

- A wie, ile to wynosi?

- Pan już zapewne dodał.

- Tak, szanowny panie. Ni mniej ni więcej, tylko dwadzieścia cztery dolary i sześćdziesiąt pięć centów. Oskarżony powiedział, że wydał około dwudziestu dolarów, a ja znalazłem różnicę czterech dolarów i sześćdziesięciu pięciu centów. Jakże więc wygląda jego rachunek?

- Pewnie... tak... nie obliczyłem dokładnie... - denerwował się Clyde taką pedanterią.

Mason z przebiegłą ironią w oczach znęcał się dalej:

- Nie pamiętam, tylko... - mówił wolno - ile kosztowała łódź, którą oskarżony wynajął w Big Bittern?

Niezmiernie był ciekawy, co mu Clyde na to odpowie, troskliwie mu bowiem przygotował ten wilczy dół.

- Kosztowała... kosztowała... - bąkał Clyde zaniepokojony, bo przypomniał sobie, że w Big Bittern nie zapytał nawet, ile miała kosztować łódka, będąc pewien, że ani on, ani Roberta już nie powrócą. Teraz mu to dopiero po raz pierwszy przyszło na myśl.

Mason zadowolony, że go nareszcie przyłapał, pytał natarczywie:

- No i co? No i co?

Clyde, zdenerwowany, odpowiedział niepewnie:

- Tak samo jak i w Grass Lake. Trzydzieści pięć centów za godzinę.

Powiedział to jednak zbyt szybko. Nie wiedział, czy nie było tu przewoźnika, który mógłby zeznać, że nie zapytał się wcale o cenę najmu.

- Czyżby? - pytał Mason. - Tyle zażądał od oskarżonego przewoźnik?

- Tak.

- Mhm. Oskarżony więc nie pamięta, że nie zapytał się nawet o cenę? Wcale nie trzydzieści pięć, tylko pięćdziesiąt. Cóż dziwnego, że oskarżony nic o tym nie wie, tak mu było pilno dostać się na wodę. Wiedział doskonale, że już tam nie powróci, po co więc było się pytać... Nie wie nic o tym... nie przypomina sobie, prawda?

Tu Mason pokazał rachunek, przygotowany przez przewoźnika.

- Pięćdziesiąt centów za godzinę - powtórzył. - Więcej to kosztowało niż w Grass Lake, tak. Chciałbym tedy wiedzieć, dlaczego oskarżony, tak dokładnie pamiętający tamte wydatki i

orientujący się w nich, nie pomyślał nad tym jednym wydatkiem, nie zastanowił się, ile będzie musiał zapłacić za łódkę, którą zatrzymał do samego wieczora?

Clyde zmieszał się strasznie, tak nagle padło to zapytanie i takim szyderskim tonem było zadane. Kręcił się, przetykał ślinę, patrzył niespokojnie w ziemię, wstydził się spojrzeć na Jephsona, któremu nie przyszło na myśl dać mu odpowiednich instrukcji.

- I cóż? - warknął Mason. Nie otrzymam żadnej odpowiedzi? Czy to oskarżonego nie uderza, że pamiętał o wszystkich wydatkach, a o tym jednym zapomniał?

Clyde patrzył, jak sędziowie wszyscy co do jednego powyciągali szyje z zaciekawieniem, widział ich zainteresowanie, przeczuwał nurtujące podejrzenie.

- Sam
nie wiem, dlaczego zapomniałem o tym - odparł.

- Ach naturalnie! Oskarżony nie mógł o tym pamiętać - szydził Mason. - Człowiek, który nosi się z zamiarem zbrodni, który ma zabić dziewczynę na odludnym jeziorze, musi o wielu rzeczach myśleć i nic dziwnego, że o drobniejszych sprawach może zapomnieć. Nie zapomniał jednak oskarżony zapytać kasjera, ile kosztuje przejazd do Sharon. Załedwie stanął w Three Mile Bay, zaraz o to spytał... prawda?

- Nie pamiętam, czym go pytał, czy nie.

- Ale on pamięta... Zeznawał już tutaj. Griffiths, pytałeś o cenę pokoju w Grass Lake, pytałeś tamże o cenę wynajmu łodzi, pytałeś nawet o cenę biletu w autobusie, jadąc do Big Bittern, czemuż więc nie zapytałeś o cenę wynajmu łodzi w Big Bittern? Może miotał tobą jakiś niepokój, jakieś zdenerwowanie, co?

Mason spojrział z triumfem na sędziów.

- Widocznie zapomniałem zapytać - odpowiedział Clyde.

- Bardzo zadowolające tłumaczenie! - drwiąco uśmiechnął się Mason.
- Nie wiem jeszcze, czy oskarżony pamięta także o rachunku za lunch w klubie, który wynosił trzynaście dolarów dwadzieścia centów. Było to dziewiątego lipca, nazajutrz po śmierci Roberta Alden. Przypomina to sobie oskarżony? - grzmiał Mason zajadle, szybko, nie dając Clyde'owi odetchnąć ani zastanowić się.

Clyde drgnął. Nie przypuszczał nigdy, że ktoś może dowiedzieć się o tym lunchu.

- A czy oskarżony pamięta, że przy aresztowaniu znaleziono przy nim osiemdziesiąt dolarów?

- Pamiętam.

I o tych pieniądzach zapomniał. Nie wiedział teraz, co ma odpowiedzieć. Milczał.

- Jakże to było? - pytał Mason ze złowrogą miną. - Jeżeli wyjeżdżając z Lycurgus oskarżony miał tylko pięćdziesiąt dolarów, a przeszło osiemdziesiąt przy aresztowaniu, wydatki zaś wynosiły dwadzieścia cztery dolary sześćdziesiąt pięć centów plus trzynaście za lunch, skądże wziął te pieniądze?

- Na to nie mogę odpowiedzieć - odrzekł Clyde z obrażoną miną. Były to pieniądze Sandry i nikt go nie zmusi do wyznania tego.

- Dlaczego oskarżony nie może powiedzieć? - krzyczał Mason. - Jak się oskarżonemu zdaje, gdzie się znajduje? I po co tu wszyscy zebraliśmy się? Żeby dowiedzieć się, co oskarżony chce albo nie chce powiedzieć? Tu jest sąd i chodzi o życie oskarżonego, proszę o tym nie zapominać. Oskarżony nie może igrać sobie z prawem, jakkolwiek tyle już nakłamał! Oskarżony znajduje się przed dwunastoma sędziami przysięgłymi, którzy chcą wszystko wiedzieć! No, dalej! Skąd oskarżony wziął te pieniądze?

- Pożyczyłem od przyjaciela.

- Proszę o nazwisko. Jakiego przyjaciela?

- Nie powiem.

- Nie powie! W takim razie oskarżony kłamał mówiąc o sumie, wziętej z Lycurgus - to jest wyraźne! Powiedział to oskarżony pod przysięgą, proszę o tym nie zapominać! Przysięga jest święta i należy ją szanować. Więc to nie była prawda?

- Powiedziałem prawdę - odrzekł Clyde ukłuty do żywego. - Pieniądze pożyczyłem po przybyciu do Twelfth Lake.

- Od kogo?

- Nie mogę powiedzieć.

- Taka odpowiedź jest bezwartościowa!

Clyde zupełnie już stracił nadzieję. Mówił tak cicho, że Mason kilkakrotnie zwracał mu uwagę, żeby mówił głośniej i w stronę sędziów. Zastosował się do życzenia, ale czuł coraz większą odrazę do tego człowieka, który wziął się, żeby wyciągnąć z niego każdą tajemnicę. Teraz napiera, żeby wydał Sandrę, ale Clyde ma ją jeszcze tak głęboko w swym sercu, że nie zgodzi się na żadne wyjaśnienie. Patrzył więc na sędziów wyzywająco prawie i milczał.

Mason wziął do ręki fotografię.

- Czy oskarżony przypomina to sobie? - odezwał się, pokazując parę zamglonych i zmytych fotografii Roberty. Miał w ręku także fotografię Clyde'a i kilku innych osób, nie było jednak żadnego zdjęcia Sandry, którą Clyde fotografował podczas pierwszej wizyty u Cranstonów. Ostatnie fotografie były z Bear Lake i na jednej z nich stał Clyde z banjo w ręku, z palcami na strunach instrumentu.

- Czy oskarżony przypomina sobie, gdzie to było robione? - pytał Mason pokazując zdjęcie Roberty.

- Pamiętam.

- Gdzie?

- Na południowym brzegu Big Bittern, gdyśmy tam byli.

Clyde pamiętał, że w aparacie były fotografie i powiedział o tym Jephsonowi, nie był więc wcale tym zaskoczony.

- Czy oskarżony wie - pytał Mason - że jego obrońcy ciągle a bezskutecznie szukali tego aparatu, którego wyparł się oskarżony przede mną? Czy powiedzieli o tym?

- Nie mówili mi o niczym podobnym.

- To źle. Mógłbym im oszczędzić wiele kłopotu. Oto są fotografie, które znaleziono w aparacie, a robione przez oskarżonego podczas tego słynnego odrodzenia się uczuć. Czy przypomina sobie oskarżony, kiedy były robione?

- Pamiętam.

- Tak, były robione, zanim ostatni raz weszliście do łódki, zanim oskarżony powiedział jej, co miał powiedzieć, zanim została zamordowana... Wtedy według słów oskarżonego była bardzo smutna.

- Nie! to było dzień przedtem.

- Aha! właśnie fotografie przedstawiają twarz nieco weselszą, niż to słyszeliśmy.

- Tak. Tego dnia nie była tak przygnębiona jak poprzedniego - szybko odpowiedział Clyde. Była to prawda, więc pamiętał dobrze.

- Teraz niech oskarżony spojrzy na inne fotografie. Te trzy na przykład. Gdzie były robione?

- U państwa Cranstonów w Twelfth Lake, zdaje się.

- Zgadza się. Było to osiemnastego czy dziewiętnastego czerwca, prawda?

- Zdaje się, że dziewiętnastego.

- Czy oskarżony pamięta list, który Roberta pisała do niego właśnie dziewiętnastego czerwca?

- Nie, nie pamiętam.

- Nie przypomina sobie w nim nic szczególnego?

- Nie.

- Pamięta jednak, że wszystkie były bardzo smutne, prawda?

- Tak, rzeczywiście były smutne.

- Otóż list ten był pisany tego dnia, kiedy była robiona ta fotografia. Pragnąłbym, żeby sąd obejrzał te zdjęcia - tu Mason zwrócił się do sędziów - i wysłuchał jednego ustępu z listu panny Alden, pisanego tego samego dnia do oskarżonego, który przyznał się, że nie chciał do niej pisywać ani telefonować, jakkolwiek bardzo się o nią troszczył.

Wziął list do ręki i zaczął czytać długą, żalowaną skargę Roberty.

- Są jeszcze z innego źródła cztery fotografie pana Griffithsa - i podał Clyde'owi zdjęcia, robione ostatniego dnia w Bear Lake. - Bardzo miłe, prawda? Wcale nie przedstawiają człowieka, który doświadczał właśnie tak wielkiej zmiany uczuć i przeżył ciężkie chwile zwątpień i trosk oraz dopiero co opuścił skrzywdzoną przez siebie kobietę. No, tak, miał jej krzywdę wynagrodzić, lecz tak się nieszczęśliwie złożyło, że utonęła przypadkiem... Nie widać na fotografiach wcale, żeby oskarżony tak zbytnio tym wszystkim się przejmował...

- To fotografia grupy... nie mogłem nie należeć do niej.

- Ta jednak jest na jeziorze. Czy nie przykro było oskarżonemu wchodzić do wody na drugi czy trzeci dzień za ledwie po śmierci

Roberty Alden, zwłaszcza po owym słynnym odrodzeniu się uczuć? Musiałeś mieć chyba jeszcze przed oczyma chwilę, gdy ona zapadała w głąb jeziora.

- Nie chciałem, żeby się ktoś domyślił, że tam z nią byłem.

- Wiemy już o tym. Ale na przykład ta fotografia z banjo. Spójrz na nią, Griffiths! Bardzo wesoło na niej wyglądasz, prawda?

- Cóż z tego? Sam jednak nie byłem wcale wesoły... - odrzekł Clyde zaniepokojony.

- Nawet wtedy, gdyś grał na banjo? Nawet wtedy, gdyś grał w golfa czy tenisa ze swymi przyjaciółmi nazajutrz po śmierci Roberty Alden? Nawet wtedy, gdyś jadł i płacił za lunch trzynaście dolarów? Nawet wtedy gdyś miał pannę X przy sobie i cieszył się bytnością u znajomych, u których zawsze tak chętnie przebywałeś? - mówił Mason z gorzką ironią, ze złowieszczym szyderstwem.

- Tak, panie prokuratorze, nawet wtedy nie byłem wesoły.

- Jak to? Co znaczy "nawet wtedy"? Czyś nie był zadowolony, że znajdujesz się między przyjaciółmi?

- Byłem z pewnością zadowolony - mówił Clyde myśląc, że Sandra czytać będzie to wszystko, niewątpliwie czytać będzie. Każde jego słowo jest codziennie podane w gazetach. Nie może więc przeczytać, że był z nią i że pragnął być z nią. A jednak nie był wtedy szczęśliwy, czując cały haniebny, brutalny splot dziwnych okoliczności. Teraz tu musi wytłumaczyć się przed Sandrą.

- Bardzo byłem przygnębiony śmiercią panny Alden - mówił oblizując spękane wargi i łykając ślinę aby pozbyć się nieznośnej suchości gardła. - Nie mogłem czuć się szczęśliwy i zadowolony... nie mogłem. Chciałem tylko wszystkich przekonać, że nie mam nic wspólnego z tym wypadkiem... I tylko dlatego... Myślałem, że jest to najlepszy sposób uniknięcia podejrzeń... Nie chciałem zostać aresztowany za to, czegom nie uczynił.

- Czy oskarżony nie czuje, że to brzmi fałszywie? że wszyscy wiemy, że to kłamstwo! - krzyczał Mason z taką furją, z taką wzdrgną w głosie i niewiarą, że nikt już nie miał najmniejszej wątpliwości co do bezczelności kłamstw Clyde'a.

- Czy oskarżony słyszał zeznanie Rufusa Martina, kucharza z Bear Lake?

- Słyszałem.

- A więc pamięta, że przysięgał na to, iż widział oskarżonego i pannę X, stojących nad jeziorem, a ona była w twoich ramionach. Tyś ją Griffiths, całował! Czy to prawda?

- Prawda.

- A było to załedwie na czwarty dzień po wypadku. Czy i wtedy czyniłeś to z obawy przed aresztowaniem?

- Tak.

- Nawet wtedy, gdyś ją trzymał w ramionach i całował?

- Tak... - szeptał Clyde bez cienia już nadziei.

- Nie! to nie do uwierzenia! - ryknął Mason. - Czyby ktoś mógł w coś podobnego uwierzyć, gdyby nie słyszał na własne uszy!... I oskarżony chce nas przekonać, że gruchając z jedną kobietą, drugą zaś, niepotrzebną mu już, mając o sto mil za sobą, pogrzebaną na dnie jeziora - czuł się jeszcze nieszczęśliwy?

- A jednak czułem się nieszczęśliwy...

- Nieporównane! Świetne! - wołał Mason. Wyciągnął znów wielką chustkę z kieszeni i z westchnieniem spojrzął na sędziów, jakby mówiąc: A to ciężkie zadanie!

- Oskarżony wczoraj tu złożył przed nami przysięgę - rozpoczął na nowo z większą jeszcze energią Mason - i zeznał, że nie

miał
zamiaru jechać z Lycurgus do Big Bittern.

- Istotnie nie miałem.

- Po przybyciu wszakże do hotelu w Utica, zobaczył oskarżony, że Roberta wygląda mizernie, i doszedł do przekonania, że przydałby się jakiś wypoczynek, chociaż krótki, który niewątpliwie dobrze by jej zrobił. Czy tak było?

- Tak rzeczywiście było.

- Nie myślał jednak wtedy oskarżony specjalnie o Adirondacks?

- Nie... nie miałem na myśli specjalnie jakiegoś jeziora... Myślałem o jakimś atrakcyjnym miejscu na wsi... a że tu jest tyle jezior... Ale specjalnie o żadnym nie myślałem.

- Mhm. I gdy Roberta Alden dowiedziała się o tym projekcie, sama właśnie podsunęła myśl, żeby wziąć jakiś przewodnik czy mapę tej okolicy, prawda?

- Tak.

- I oskarżony postarał się o taki przewodnik?

- Tak.

- Wziął go z hotelu w Utica?

- Tak.

- I znikąd więcej?

- Znikąd.

- I z niego wybrał Grass Lake i Big Bittern?

- Tak - kłamał Clyde.

Po co mówił, że wziął te przewodniki z Utica? Może Mason szykuje jaką zasadzkę?

- Oboje wybieraliście z panną Alden?

- Tak.

- I wybór padł na Grass Lake, bo okazało się najtańsze. Czy dlatego?

- Dlatego.

- Mhm. A te przypomina pan sobie? - dodał, sięgając po przewodniki leżące na stole, które znalazł w walizce przy aresztowaniu Clyde'a w Bear Lake.

- Niech oskarżony spojrzy na nie! Czy to są te same, które znalazłem w pańskiej walizce?

- Tak. Podobne są do tamtych.

- Czy to są te same, które pan wziął z hotelu w Utica?

Przerażony drobiazgowością śledztwa, które złożyło nawet przewodniki w ręce Masona, Clyde długo obracał je w rękach. Ponieważ stempel hotelu w Lycurgus był czerwony i łączył się z literami również czerwonymi, którymi przewodnik był drukowany, Clyde nie zauważył go na razie. Oglądał broszurki uważnie, a gdy stwierdził, że nie było w nich żadnej zasadzki, odrzekł:

- Tak, zdaje się, że są te same.

- A więc - ciągnął dalej Mason podstępnie - w którym z nich oskarżony znalazł wiadomość o Grass Lake i tamtejszych cenach? Może w tym?

Tu Mason otworzył jeden z nich i wskazał palcem notatkę, na którą jakoby Clyde miał zwrócić uwagę Roberty. Na środku znajdowała się

mapka, na której były oznaczone wszystkie jeziora i dokładnie wykreślone drogi, prowadzące z Grass Lake i z południowego krańca Big Bittern do Three Mile Bay.

Mając znów tę mapę przed oczyma, Clyde pojął nagle, że nikt nie może nawet wątpić, że znał dobrze drogę, a Mason chce się tylko utwierdzić. Drżąc nieco, odpowiedział:

- Może być, że to ten sam... podobny przynajmniej... Tak, to pewnie ten sam.

- Jak to, oskarżony nie wie na pewno? - nalegał Mason. - Przecież chyba można powiedzieć na pewno, czy to ten sam, czy nie?

- Wygląda podobnie... - odparł Clyde, przyglądając się uważnie, z obawą. - Przypuszczam, że ten sam...

- Przypuszczam! przypuszczam! Proszę być mniej ostrożnym, gdy wchodzimy na tory bardziej realne. Niech oskarżony spojrzy nareszcie na mapę! Może nie widzi drogi, wykreślonej na południe od Grass Lake?

- Widzę - odparł po chwili Clyde niechętnie i posępnie, niewypowiedzianie udręczony i zmordowany przez tego zawziętego człowieka. Prowadził palcem po mapie, udając, że patrzy, widział wszakże tylko to co już sobie dawno wypatrył w Lycurgus przed spotkaniem się z Robertą. Teraz zrobiono z tego przeciw niemu użytek.

- Dokądże ona prowadzi? Czy oskarżony może powiedzieć sądowi, dokąd prowadzi - skąd, dokąd?

Clyde, zdenerwowany, przepełniony obawą, fizycznie wyczerpany, odpowiedział:

- Prowadzi z Grass Lake do Three Mile Bay.

- A jeszcze dokąd? Do jakiej jeszcze prowadzi miejscowości? - pytał Mason, patrząc również przez ramię Clyde'a na mapę.

- Tylko do stacji Gun Lodge przy Grass Lake.
- A co oskarżony powie o Big Bittern? Czyżby tam nie prowadziła?
- Prowadzi.
- Czy oskarżony tego nie zauważył, studiując mapę przed wyruszeniem do Grass Lake z Utica? - naciskał Mason z całą mocą.
- Nie zauważyłem.
- I nie widział nawet tej drogi?
- Mogłem ją widzieć, ale gdyby nawet - mogłem nie zwrócić na nią uwagi.
- W takim razie oskarżony nie przejrzał dokładnie tego przewodnika i nie myślał wcale o tej drodze przed opuszczeniem Utica?
- Nie, nie myślałem wcale...
- Mhm. Jest tego oskarżony zupełnie pewien?
- Zupełnie.
- Niech tak będzie. Niechże teraz oskarżony w obliczu sądu, pod uroczystą przysięgą, którą tak szanuje, wytłumaczy nam, jakim sposobem na tym przewodniku znalazła się pieczęć hotelu w Lycurgus?

Złożył książkę i pokazał Clyde'owi na czerwonym druku słabo odbitą pieczęć.

Clyde osłupiał. Jego trupio blada twarz zszarzała, dłonie otwierał i zaciskał, a czerwone, obrzmiałe, znużone powieki przymykał bezustannie, jak gdyby chciał usunąć sprzed wzroku ten istotny dowód przekłętogo czynu.

- To musiało się znajdować w hotelu w Utica - odrzekł z trudem.

- Ach, musiało! A może by sprowadzić tu świadków, ażeby zeznali, że trzeciego czerwca, na trzy dni przed wyjazdem oskarżonego z Lycurgus, widzieli go, wchodzącego do Lycurgus House i zdejmującego z półki kilka przewodników! Jakimże więc sposobem mogły szóstego lipca znajdować się w hotelu w Utica, co?

Powiedziawszy to Mason zamilkł i powiódł triumfującym wzrokiem, jakby mówiąc: Odpowiedz teraz, jeżeli potrafisz!

Clyde, wstrząśnięty, odrętwiały, z zapartym oddechem przetrwał w bezruchu kilka sekund, aby opanować głos i nerwy, po czym odpowiedział:

- A jednak ja ich nie wzięłem z Lycurgus.

- Niech tak będzie. Teraz pozwólmy obejrzeć je tym panom.

Podał książkę przewodniczącemu sądu, który, obejrzawszy, wręczył ją jednemu z członków sądu, a ten z kolei drugiemu i w ten sposób książka przeszła przez wszystkie ręce wśród szeptów i szmeru całego zgromadzenia.

Gdy ten dowód rzeczowy obejrzano ze wszystkich stron, ku zdumieniu audytorium, żadnego dalszych sensacji, Mason odwrócił się ku publiczności ze słowami:

- Skończyłem!

Między publicznością słyhać było szepty:

- Wpadł! Wpadł!

Przewodniczący oznajmił, że wobec wielkiej ilości świadków obrony odkłada posiedzenie na dzień następny. I obrońcy, i oskarżyciel byli z tego zadowoleni.

Kraut i Sissel odprowadzili Clyde'a do celi. Zamknęły się znów za

nim drzwi, na które przez wiele dni spoglądał już z pewną nadzieją.

Belknap i Jephson, gdy się znaleźli u siebie w biurze, spojrzeli na siebie.

- Nie bardzo był pewny siebie - zaczął Belknap - nieźle się jednak bronił. Niewiele ma odwagi, a właściwie wcale jej nie ma, oto, co jest!

- Istotnie, mamy z tym wielki kłopot - odrzekł Jephson opadłszy ciężko na krzesło w palcie i kapeluszu. - Zabił ją bez wątpienia. W każdym razie trzymał się lepiej, niż myślałem.

- Ja też robiłem, co mogłem - dodał Belknap - ale czy się to na co przyda?

- Tak, wszystko leży teraz na twojej głowie, czego ci nie zazdroszczę, Alvin. Muszę jeszcze wpaść do więzienia i dodać mu odwagi. Nie powinien jutro zdradzić się przygnębieniem i brakiem wiary. Musi sam swoją postawą dać do zrozumienia, że nie czuje się winny.

Wstał, schował ręce do kieszeni długiego palta i pograżył się w chłód i ciemność zimowej nocy.

Rozdział XXVI

Sprawa miała się ku końcowi. Wysłuchano jeszcze jedenastu świadków. Czterech ze strony prokuratora, siedmiu - wynalezionych przez obrońców. Między tymi ostatnimi zeznawał

doktor Sword z Rehobeth, który przypadkowo znajdował się w Big Bittern tego dnia, gdy ciało Roberty przyniesiono do przystani. Wówczas stwierdził, że rany, znajdujące się na twarzy Roberty, mogły być wywołane tylko takim uderzeniem, o jakim Clyde mówił, czyli przypadkowym. Panna Alden utonęła więc zupełnie przytomna, nie zaś ogłuszona, jak to chciano wmówić w sądziów.

Mason, zaskoczony zeznaniem doktora Sworda, zaczął się specjalnie o niego dowiadywać i stwierdził, że lekarz ten skończył drugorzędną szkołę medyczną i dotychczas praktykował w niewielkim tylko miasteczku.

Po nim zeznawał Samuel Yearsley, jeden z okolicznych farmerów, który znał drogę z Big Bittern na stację i utrzymywał, że droga była bardzo wyboista, tak że możliwe zupełnie, iż rany na głowie denatki mogły się utworzyć przy przewożeniu na stację.

Zaprzeczył temu świadek ze strony Masona, woźnica z kostnicy, który zapewniał, że droga wcale nie była wyboista.

Potem zeznawali Whiggam i Liggett, że Clyde w warsztatach Griffithsa & Company pracował pilnie, starannie i praca jego była ceniona. Żadnych przykrości nie przysparzał nikomu. Inni świadkowie zeznawali, że postępowanie Clyde'a było zawsze oględne, dość ceremonialne i sztywne do pewnego stopnia, ale krzywdy nikomu nie zrobił nigdy. Przyparciu wszakże do muru pytaniami Masona musieli przyznać, że nie wiedzieli nic o stosunku Clyde'a z Robertą Alden.

Nagromadziło się tedy wiele zarzutów przeciw Clyde'owi. Wreszcie Belknap zaczął swoją mowę.

Trwała ona cały dzień, opracowana była starannie i wypowiedziana ze swadą i polotem. Punkt po punkcie przeglądał całą sprawę, starał się wykazać, jak zupełnie niewinnie rozpoczęła się znajomość Clyde'a z Robertą - znajomość, która miała tak nieszczęśliwie się zakończyć dla obojga. Tchórzostwo wrodzone; smutne, często głodne dzieciństwo, niespodziewany prawie uśmiech losu rozbudziły w jego układnej, zmysłowej, niepraktycznej i

marzycielskiej duszy wielkie ambicje. Nie da się zaprzeczyć, że nie postępował uczciwie z panną Alden, nie można jednak powiedzieć, że był okrutny lub występny, jak to pan prokurator chciał wmówić we wszystkich. Czyż nie zdarzają się mężczyźni bardziej niż ten młody chłopiec okrutni, i nikt ich za to nie skazuje na śmierć!

Skądże pewność, że młodzieniec ten popełnił zbrodnię? Panowie sędziowie mają obowiązek zastanowić się głęboko nad kwestią winy lub niewinności oskarżonego. Rządząc się tylko najszlachetniejszym może współczuciem dla tej nieszczęsnej dziewczyny, która wiele przeżyła trosk i niepokoju, nie można uprzedzać się do oskarżonego i bezwzględnie utrzymywać, że popełnił zbrodnię. Nie traktował jej dobrze, oczywiście, lecz któż z ludzi obojga płci nie był okrutny w swych sprawach miłosnych?

Następnie nieco wykrętna, lecz nie bez zalet i wagi obrona przedstawiła, że z zeznań wszystkich świadków okazuje się, iż nikt na własne oczy nie widział, jak się ta zbrodnia spełniała, jedynie Clyde sam szczerze pod przysięgą wyznał, jakim sposobem znalazł się w tych osobliwych okolicznościach. Wszystkie zarzuty, jak przypomnienie Clyde'a o cenie wynajmu łodzi w Big Bittern, ukrycie statywu od aparatu, niepośpieszenie z pomocą Robercie podczas wypadku, należy złożyć na karb przerażenia, osłupienia, zmieszania, co było fatalne, w każdym bądź jednak razie nie występne.

Pan prokurator utrzymuje bezwzględnie, że Clyde jest zbrodniarzem zdecydowanym, wmawiając w niego, iż "snuł przedziwną siatkę kłamstw najwymyślniejszych", obrona liczy jednak, że panowie sędziowie zrozumieją istotną wartość tego nieprzerwanego łańcucha dowodów, którymi oskarżyciel chciał koniecznie przekonać, że ten "dojrzały człowiek" jest zbrodniarzem w całym słowa tego znaczeniu. Całymi godzinami słuchało się z zapartym oddechem zeznań licznych świadków, całymi godzinami oskarżało się podsądnego lub opowiadało o smutnej doli denatki tak wymownie, że nie tylko panowie sędziowie, lecz i całe audytorium płakało ze wzruszenia. Sam oskarżony, słuchając tych wywodów, tak kunsztownie

przedstawionych, tracił już nadzieję.

Po mowie obrońcy zabrał głos sędzia:

- Panowie sędziowie przysięgli! Wszystkie dowody, mniej lub więcej wartościowe, zeznania naocznych świadków, zawierające fakty, są oparte jedynie na splocie różnych okoliczności. Jeżeli jakieś fakty byłyby w sprzeczności z prawdopodobieństwem winy, waszym jest obowiązkiem, panowie, wydać wyrok na korzyść oskarżonego. Należy więc każdy dowód, najdrobniejszy nawet, wziąć pod uwagę i nie lekceważyć go. Dużo się tu mówiło o motywie i jego ważności w sprawie, lecz trzeba pamiętać, że nie zawsze motyw zbrodni jest wystarczającym argumentem do skazania człowieka. Jeżeli motyw jest przedstawiony jako okoliczność w celu ustalenia zbrodni, wtedy nie jest motywem.

Jeżeli uznacie panowie, że Roberta Alden wypadła z łodzi przypadkiem, bezwiednie, w takim razie nie możecie uznać oskarżonego za winnego i taki musicie wydać wyrok. Gdyby się okazało zaś, że oskarżony umyślnie przyczynił się do fatalnego wypadku czy to uderzeniem, czy w inny sposób, musicie panowie uznać jego winę.

Chociaż nie zaznaczyłem, że wyrok wasz, panowie sędziowie przysięgli, musi być zgodny z waszym przekonaniem, nalegam wszakże, by każdy z panów rozważył sprawę sam szczegółowo, by nie popaść w kolizję z sumieniem.

Z powagą i uroczyście wygłosił te słowa sędzia Oberwaltzer, po czym przysięgli przeszli do sali narad, gdzie mieli pozostać do piątej po południu.

Clyde'a wyprowadzono z sali, zanim publiczność wypuszczono z gmachu, istniała bowiem ciągle obawa, że mogą go napastować wzburzone tłumy.

W niepokoju spędził Clyde te długie pięć godzin. Musiał się jednak mieć na baczności, bo Kraut i Sissel, nagabywani przez różnych przedstawicieli prasy, którzy chcieli się koniecznie dowiedzieć,

jak się Clyde "czuje", stali tuż przy celi i obserwowali więźnia. Chodził więc Clyde po swej klatce, kładł się na tapczanie lub udawał, że czyta.

W oczekiwaniu na wyrok Oberwaltzer, Mason i obaj obrońcy obiadowali z sędownikami i przyjaciółmi w kilku pokojach hotelu "Centralnego", skracając sobie czas rozlicznymi trunkami.

W tym czasie dwunastu mężów - farmerów, drobnych urzędników, sklepikarzy - rozważało głęboko ku swemu wielkiemu zadowoleniu główne punkty, przedstawione przez Masona i obrońców. Między tymi dwunastoma jeden tylko Samuel Upham, drogista, partyjny przeciwnik Masona, a sympatyk Jephsona i Belknapa, powątpiewał w pewność dowodów prokuratora. Krótco wszakże trwało jego wahanie. Gdy ujrzał już pięć wrzuconych gałek, ogarnęła go trwoga, że narazi się na oburzenie tłumu po otwarciu posiedzenia.

- Nic to nie pomoże, a publiczność dowie się, jakie zająłem stanowisko... - myślał sobie, a że miał dobrze prosperujący skład apteczny w North Mansfield, doszedł do przekonania, że lepiej będzie schować do kieszeni swą opozycję przeciw Masonowi i zgodzić się ze wszystkimi.

Dały się słyszeć cztery stereotypowe uderzenia w drzwi sali narad. To stuknął swą wielką pięścią Joster Lund, pierwszy sędzia przysięgły, właściciel składu cementu, wapna i kamieni.

Znów tłumy wtłoczyły się do sali, chociaż wielu nie opuściło jej wcale. Ludzie kręcili się teraz pełni zdumienia, pytając:

- Jak to, już? Już sąd wchodzi? Jaki wyrok?

Tłoczyli się wszyscy, żeby stanąć jak najbliżej bariery. Dwaj woźni, stojąc przed salą narad, zaczęli wołać:

- Proszę się uciszyć! Sąd wchodzi!

Inni woźni pośpieszyli do więzienia na spotkanie szeryfa i Clyde'a, inni znów pobiegli do hotelu "Centralnego" wezwać

Oberwaltzera i innych.

Clyde, odrętwiały z przerażenia, widział już zbliżającą się śmierć. Został przykuty do Krauta i zaprowadzony do sali sądowej w towarzystwie Slacka, Sissela. Weszli Oberwalter, Mason, Belknap i Jephson, wiodąc za sobą dziennikarzy, rysowników, fotografów i wszystkich należących do zespołu sądowego, i zajęli dawne miejsca. Clyde, drżący, mrugał ciągle oczyma w zdenerwowaniu i zasiadł teraz ze swymi obrońcami, będąc nierozzerwalnie złączony z osobą Krauta, który usiadł przy nim.

Gdy przewodniczący zajął dawne miejsce, otworzyły się drzwi sali narad i dwunastu mężów uroczyście wkroczyło do sali. Były to dziwaczne figury, przeważnie w bardzo znoszonych ubraniach, pochodzących niewątpliwie z magazynów z gotowymi strojami. Zasiedli na swych ławach, lecz wstali natychmiast na wezwanie sekretarza, który zapytał:

- Panowie sędziowie przysięgli, czyście już zgodnie ustanowili wyrok?

Powstali więc, żaden z nich jednak nie spojrzał na Clyde'a ani na jego obrońców, co Belknap uznał za fatalny prognostyk.

- Przegrana! - szepnął do Jephsona. - Uznany za winnego, na pewno.

Pierwszy sędzia oznajmił:

- Wyrok gotowy. Uznaliśmy oskarżonego winnym zabójstwa z premedytacją.

Clyde osłupiał, starał się wszakże utrzymać spokój, patrząc prosto w oczy sędziom prawie bez zmrużenia powiek. Zeszłego wieczora Jephson, ujrawszy go w głębokiej depresji, dodał mu otuchy mówiąc, że gdyby nawet wyrok był skazujący, nie ma to żadnego znaczenia. Sprawa od początku do końca była prowadzona nieformalnie i nierzetelnie. Kierowało nią uprzedzenie i niechęć, a tolerowane były napaści i niepohamowany tupet prokuratora, który folgował sobie przed całym sądem, co nie uszłoby mu w innym

zespole sędziowskim. Ale w sądzie apelacyjnym, to już sprawa gwarantowana, chociaż nie wiadomo jeszcze, kto ją będzie prowadził. Przypominając to sobie Clyde pocieszał się, że teraz nie warto się przejmować.

Nie będzie się przejmował... A jednak... Sprawa apelacyjna... a jeżeli jej nie będzie? Śmierć! Koniec wszystkiemu... Koniec! Wmyślał się teraz w te dni i noce, pełne strasznych obrazów i lęku, kiedy mimo nadludzkich wysiłków nie mógł się od tej zjawy uwolnić. I teraz stanęło mu znów przed oczyma przerażające, upiorne krzesło, wyraźniejsze, potężniejsze... jak nigdy przedtem. Stało na samym środku sali między nim a sędzią Oberwaltzerem. Widział je dokładnie - kwadratowe, o ciężkich poręczach i mocnym oparciu, o jakichś tajemniczych wiązaniach u szczytu i po bokach. Boże! A jeżeli nikt mu już nie zechce pomóc? Może Griffithsowie nie dadzą już ani grosza? Co wtedy będzie? Może sąd apelacyjny odrzuci jego sprawę? Byłby to koniec wszystkiego... Oby się udało! O, Boże!

Szczęki mu się z lekka poruszały, więc zaciął je zaraz, gdy poczuł, że mu szczękają.

Tymczasem Belknap wstał i zażądał imiennego głosowania, a Jephson przechylił się i szepnął:

- Nie martw się, to jeszcze nie koniec. Uchylenie wyroku jest więcej niż pewne.

Clyde jednak nie słyszał Jephsona, tylko jednomyślne "Tak" wpadało mu do ucha. Dlaczego każdy z nich mówił to małe słówko z taką emfazą? Czyż nie było między nimi ani jednego, który by nie chciał uwierzyć Masonowi, który by nie uwierzył, że Clyde nie uderzył Roberty umyślnie? Czyż nie było między nimi ani jednego, który by dał wiarę w zmianę jego uczuć, o czym tak usilnie przekonywali obrońcy? Patrzył na nich - na tych wielkich i tych małych.

Wyglądali wszyscy jak poczerńiałe, zniszczone, drewniane zabawki o twarzach ze starej kości słoniowej. Naraz pomyślał o matce. Dowie się o wszystkim, bo przecież ci wszyscy dziennikarze, rysownicy i fotografowie zebrali się tu po to, żeby jego nieszczęście roznieść

po całym świecie... Co powiedzą na to Griffithsowie - stryj, Gilbert? A Sandra... Ani słowa od niej! Musiała się przecież dowiedzieć z jego zeznań, że głównym motywem całej tej sprawy była wielka miłość ku niej... I ani słowa! Teraz już, oczywiście, nie otrzyma od niej ani jednego upragnionego słowa - od niej, która go miała poślubić i uszczęśliwić...

Tłumy, już spokojne, okazywały wielkie zadowolenie. Wpadł nareszcie ten sprytny łotr! Nie otumaniał porządnych ludzi bajaniem o jakiejś zmianie uczuć! Jakież to zepsucie!

Jephson siedział i patrzył na wszystkich, Belknap zaś wykrzywił twarz pogardliwie i szyderczo, a Mason i jego towarzysze z trudem ukrywali wielkie zadowolenie pod maską nienaturalnej powagi.

Belknap zwrócił się do przewodniczącego z zapytaniem, czy nie można by odłożyć odczytania sentencji wyroku do piątku, lecz Oberwaltzer nie uważał tego za konieczne, chyba że znajdzie się ważna jakaś przyczyna. Jutro, jeżeli zażąda tego obrońca, gotów jest wysłuchać argumentacji a jeżeli będzie przekonująca, odłoży do piątku, w przeciwnym razie sentencję wyroku ogłoszą w poniedziałek.

Clyde już niczego nie słuchał, odbiegł daleko myślami. Wspomniął matkę i zastanawiał się, co o nim będzie myślała i jak to przyjmie. Pisywał do niej regularnie, zapewniając zawsze, że jest niewinny, że nie powinna wierzyć bezwzględnie temu, co wyczyta w gazetach. Jest pewien, że będzie uwolniony. Właśnie dziś będzie składał zeznanie - pisał w ostatnim liście.

Ale teraz... jakże mu była potrzebna w tej chwili. Wszyscy go już opuścili. Taki był sam... taki osamotniony... Musi zaraz do niej napisać! Musi... zaraz!

Poprosił Jephsona o papier i ołówek i zaczął:

"Pani Griffithsowa, kierowniczka misji <<Gwiazda Nadziei>>, Denver, Colorado. Droga Matko. Zostałem skazany. Clyde".

Podał kartkę Jephsonowi i spytał słabym, drżącym głosem, czy będzie to mógł wysłać zaraz.

- Zaraz, synu, zaraz... na pewno! - odpowiedział Jephson, wzruszony jego spojrzeniem. Skinął na woźnego i dał mu list i pieniądze.

Wyjście publiczności zostało wstrzymane, dopóki Clyde w towarzystwie Krauta i Sissela nie został wyprowadzony przez te same boczne drzwi, którymi miał zamiar niegdyś się wymknąć. Wszyscy bez wyjątku wlepili w niego oczy, jak gdyby mu się dość nie napatrzyli, chcąc wyczytać wrażenie, jakie wywarł na nim wyrok. Znajac wrogie uczucia tłumu względem oskarżonego, sędzia Oberwaltzer na żądanie szeryfa zatrzymał wszystkich, dopóki Clyde nie znalazł się w swej celi, po czym drzwi zostały otwarte. Tłocząca się ciżba zatrzymała się we drzwiach, żeby ujrzeć Masona, najważniejszą dzisiaj personę, prawdziwego bohatera, zwycięskiego oskarżyciela, mściciela Roberty. Nie on jednak ukazał się pierwszy, tylko Jephson i Belknap, nie tyle przygnębieni, jakby można było przypuszczać, ile uroczyści i ufni, zwłaszcza Jephson z miną niezwyciężoną i wzgardliwą.

Ktoś z tłumu zawołał:

- Nie wykręciliście go jednak! - na co Jephson odparł wzruszając ramionami:

- Nie. Ale zmierzymy się raz jeszcze.

Za nimi dopiero ukazał się Mason. Ciężki, obszerny płaszcz miał zarzucony na ramiona, zniszczony miękki kapelusz wciśnięty na oczy. Burleigh, Heit, Newcombe i inni tworzyli za nim niby królewską świtę, on zaś szedł pozornie obojętny na pochlebne uwagi i słowa uznania. Czyż nie był zwycięzcą i pewnym już kandydatem na sędziego?

Znalazł się w samym środku wiwatujących mas; wielu chciało dotknąć lub życzliwie poklepać go po ramieniu.

- Niech żyje Orville! Proszę przyjąć powinszowania, sędzio! - nadawali mu już tytuł, którego się dopiero spodziewał. - Szczęść Boże, Orville, zasługujesz na podziękowanie całego okręgu! Hura! Hura! Wznieśmy okrzyk na cześć Orville'a Masona!

I z tłumu wybuchnął trzykrotny okrzyk, który doszedł aż do celi Clyde'a, a ten pojął dobrze jego znaczenie.

Wiwatują Masonowi, że dopiął swego... że go skazał. Nie ma w tym wielkim tłumie ani jednej żywej duszy, która by nie uwierzyła w jego winę... Roberta... jej listy... jej postanowienia wyjścia za niego za męż... jego obawa przez groźbami - ściągnęła na niego całe to nieszczęście i popchnęła do tego czynu.

Wyrok! Śmierć! Daleko od wszystkich bliskich... a tak do nich tęskni... Zniweczone marzenia o pięknej, jasnej przyszłości... A Sandra! Sandra... Ani słowa od niej... ani słowa!

Naraz przypomniał sobie, że Kraut i Sissel obserwują każdy jego ruch. Nie chciał okazać depresji, która nim owładnęła, i począł przeglądać pisma. Oczyma duszy sięgał jednak w inne strony - widział matkę, brata, siostry, Griffithsów, wszystkich znajomych. Wizje wszakże, które przywoływał, były tak mgliste, że nagle zerwał się, zrzucił odzież i padł na swe żelazne łoże.

Skazany! już skazany! Musi więc umrzeć!

O, Boże, jakież szczęście móc ukryć twarz w poduszkę i nie ukazywać nikomu prawdziwego bólu!

Rozdział XXVII

Gazety rozniosły już po całym kraju szczegóły wielkiego sporu między prokuratorem a obrońcami i porażkę tych ostatnich, głosy ogółu przekonanego niezbitcie o winie Clyde'a i o sprawiedliwym wyroku. Pisano przejmująco o nieszczęsnej wiejskiej dziewczynie, o jej smutnych listach, ciężkich przejściach, o strasznych ostatnich chwilach. Nawet rodzice Clyde'a tak byli wstrząśnięci nieodpartymi dowodami, które w toku sprawy przedstawiono, że nie mieli odwagi otwarcie zaglądać do gazet. Każde z nich czytało osobno, dzieląc się potem spostrzeżeniami i dziwiąc się, ile nagromadziło się przytłaczających zarzutów. Po przeczytaniu jednak zeznań Clyde'a i mowy Belknapa utrwaliли w sobie jeszcze silniej wiarę w swego syna wbrew wszelkim ciężkim zarzutom.

Dzięki tej głębokiej wierze pisywali pogodnie i pełne nadziei listy, czerpiąc otuchę z jego własnych listów, w których utrzymywał zawsze, że jest niewinny. Konsternacja więc ogarnęła całą rodzinę, gdy Clyde w chwili najwyższej rozpaczycy doniósł matce, że został skazany. Czyż to nie dostateczny dowód jego winy? I we wszystkich gazetach daje się wyczuwać to przekonanie.

Reporterzy zaczęli na nowo nachodzić Griffithsową, która na peryferiach miasta musiała szukać schronienia przed natarczywością ludzką, odrywając się całkowicie od pracy misyjnej. Sprzedajność bliźnich wskazała wszakże miejsce ich zamieszkania.

Teraz ta krzewicielka praw boskich na ziemi, przebywając w zniszczonym, nędznym mieszkaniu, z trudnością zbierała siły, coraz szybciej opuszczające ją po tym ostatnim ciosie. Umiała jednak czerpać je ze swej głębokiej wiary i tylko szeptała do siebie:

- Nie mogę myśleć o tym. Czuję się zupełnie odrętwiała i wszystko jest takie dziwne... Powiadają, że mój chłopiec zabił! Jestem matką i nic mnie nie przekona o jego winie. Pisał mi przecież, że nie jest winien, a ja mu wierzę. Do kogo ma się zwrócić z prawdą i komu zaufać, jak nie mnie? A w niebie jest Pan, który wszystko widzi i wszystko wie.

Tyle się nazbierało dowodów przeciw Clyde'owi, takich nawet, jak jego przygoda w Kansas City. Dziwiła się temu i lęk ją ogarniał.

Dlaczego nie umiał się wytłumaczyć z posiadania przewodnika?
Dlaczego nie ratował dziewczyny umiejac tak dobrze pływać?
Dlaczego uciekł zaraz do tej tajemniczej panny X? Mimo wszystko jednak nie może uwierzyć, aby ten jej najstarszy, taki ambitny, rokujący wielkie nadzieje, choć najbardziej niesforny ze wszystkich jej dzieci, był pomawiany o taką zbrodnię. Nie! Ona nie zwątpi w niego nawet teraz. Dobry Bóg nie weźmie za złe matce, jeżeli nie uwierzy w występna duszę swego dziecka, choćby nawet kroczyło błędnymi drogami.

W ciszy obszernych izb domu misyjnego stawała nieraz - zanim schroniła się przed ciekawymi gośćmi do ciasnego mieszkanka - w jednym z pustych pokojów i odrzucając w tył głowę pogrążała się w żarliwej, pobożnej zadumie. Szeroka jej twarz poryta była prostymi, surowymi zmarszczkami, cała postać przypominała jakiś typ biblijny sprzed sześciu tysięcy lat. Z uniesieniem kierowała swe myśli ku abstrakcyjnemu tronowi, na którym widziała potężny umysł i ciało Boga żywego - jej Stworzyciela. Modląc się tak przez jakiś czas, prosiła o moc, o zrozumienie i drogę do poznania - winien jej syn, czy nie winien. Jeżeli jest bez winy, niech to ciężkie brzemię cierpienia zostanie odjęte z barków obojga i tych wszystkich, którzy są jej drodzy. Jeżeli winien, niech ona - matka, otrzyma wskazanie, co ma czynić, jak znieść ten krzyż, on zaś, aby mógł stanąć przed obliczem Boga, niech otrzyma sposób zmycia ze swej nieśmiertelnej duszy straszliwego piętna czynu, którego się dopuścił.

Jesteś Wszechmocny, o Boże! i nie ma nikogo ponad Tobą. Dla Ciebie, o Panie, wszystko jest możliwe. Łaska Twa panuje nad życiem. Miej litość, o Panie! Chociażby grzechy były jak szkarłat czerwone, uczyn je białymi jak śnieg, chociażby były jako purpura, uczyn je, Panie, jako wełnę Baranka.

A jednak nawet w tej chwili, podczas gorącej modlitwy, budziła się w niej mądrość Ewy, prarodzicielki. Jakaż to była dziewczyna,

którą jakoby miał Clyde zabić? A czyż ona nie była też bez grzechu? Czyż nie była starsza od Clyde'a? Wie o tym dobrze z gazet.

Czytając uważnie jej listy Griffithsowa niesłychanie wzruszona była smutkiem z nich bijącym i cierpiała głęboko nad bólem, zadany jej rodzicom, a jednak jako matka i kobieta o pierwotnym rozumie Ewy tłumaczyła sobie, że to nie było uwiedzenie. Roberta musiała z własnej woli na to się zgodzić, musiała go wabić i z wolna osłabiała zasady moralności, zakorzenione w duszy jej syna. Porządna, przyzwoita dziewczyna nigdy by się na to nie zgodziła. Ileż już słyszała takich zwierzeń podczas swej pracy misyjnej! Czy nie można by powiedzieć na korzyść Clyde'a, jak w zaraniu życia ludzkiego - "niewiasta mię skusiła"... Z pewnością... tak, na pewno!

"Łaska jego trwa wiecznie" - zacytowała - dlaczego więc matka Clyde'a miała być jej pozbawiona?

"Jeśli masz tylko tyle wiary, co ziarnko gorczyczne" - zacytowała znowu, lecz przypomniała sobie swą troskę i zapytała z niepokojem: - Czy mój syn ją zabił? To jeszcze pytanie... To Bóg jeden wie.

Przyglądała się reporterom, odwiedzającym ją ciągle, tym nieczułym, zmaturalizowanym młodzieńcom, jakby pewna była, że w nich znajdzie odpowiedź. A na nich, mimo zmaturalizowania, głęboka jej wiara i szczerłość wywierały wielkie wrażenie.

- Wszystko jedno, czy sąd uznał go winnym, czy nie... Nic to nie znaczy w oczach Tego, który trzyma gwiazdy w Swych świętych rękach. Sędziowie są ludźmi. To są rzeczy ziemskie. Czytałam mowę jego obrońcy. Syn mój napisał sam, że nie jest winien. Wierzę memu synowi i jestem przekonana, że jest niewinny.

- Asa, siedzący w kącie pokoju, mówił mało. Tak niewiele znał się na codziennych sprawach, a tym mniej na namiętnościach ludzkich, że nawet dziesiątej części tego nie rozumiał. Nigdy nie pojmował wad Clyde'a ni jego gorączkowej wyobraźni i wolał z nim nie rozmawiać.

- Nie rozgrzeszam Clyde'a z jego grzechu, który popełnił z Robertą Alden - mówiła Griffithsowa. - Uczynił źle, ale i ona źle uczyniła, nie opierając mu się. Żadnego grzechu nie można tolerować.

A chociaż serce moje współczuje gorąco jej zbolełym rodzicom, jednakże wiem, że ich grzech był obopólny, i sędziowie powinni byli na to się zgodzić. Nie dlatego mówię, żebym miała go osłaniać - powtórzyła. - Powinien był pamiętać o naukach, jakie odbierał w domu.

Zamilkła i zacisnęła usta.

- Czytałam również i jej listy i czuję, że to one przyczyniły się do tak srogiego postępowania prokuratora. Skorzystał z nich, żeby wywołać wzruszenie u sędziów.

Westchnęła, a po chwili, pałając uniesieniem, zawołała:

- Lecz on jest moim synem! Został skazany! Jako matka muszę myśleć, w jaki sposób mam mu pomóc, chociażbym wiedziała że zawinił!

Załamano rękę z tak bolesnym wyrazem twarzy, że i reporterzy byli wzruszeni jej cierpieniem.

- Muszę jechać do niego! Powinnam była pojechać przedtem...

Zamilkła spostrzegłszy się, że niepotrzebnie swój ból, ranę swojego serca obnaża przed ludzkimi oczyma, przed ludźmi, którzy jej nie rozumieją ani się tym nie przejmą.

- Niektórzy się nawet dziwią - zaczął jeden z reporterów, młodzieniec w wieku Clyde'a - że nie była pani na sprawie. Czy pani nie miała pieniędzy na wyjazd?

- Nie miałam pieniędzy - odpowiedziała po prostu. - A przynajmniej nie tyle, żebym mogła pojechać. Prócz tego obrońcy jego odradzali mi przyjazd. Pisali, że nie ma najmniejszej potrzeby. Teraz

jednak... teraz muszę pojechać... muszę w jakiś sposób dostać pieniądze.

Podeszła do małego zniszczonego biurczka, które miało ozdabiać licho umeblowane mieszkanie.

- Panowie tam wracają - odezwała się. - Czyby który z panów nie zechciał wysłać tego telegramu? Dam na to pieniądze.

- Chętnie! - zawołał jeden z nich. - Proszę dać mnie. Nie potrzebuje pani dawać pieniędzy. Nasze pismo to wyśle.

Myśl umieszczenia tego telegramu w reportażu z pobytu u matki zbrodniarza uszczęśliwiła go niemało.

Griffithsowa usiadła przy biurku i znalazłszy papier i pióro pisała: "Clyde, miej ufność w Bogu. Wszystko dla Niego jest możliwe. Czytaj psalm 51. Druga rozprawa wykaże twoją niewinność. Przyjeżdżamy wkrótce. Ojciec i matka".

- Wolę dać panu pieniądze - mówiła lekko zdenerwowana, niechętnie przyjmując propozycję umieszczenia telegramu w gazecie. Jednocześnie przyszło jej na myśl, czy stryj Clyde'a zechce opłacić sprawę apelacyjną. To pewnie będzie bardzo dużo kosztowało.

- Telegram będzie długi - dodała.

- Niech się pani o to nie kłopotuje! - zawołali reporterzy jednogłośnie, pragnąc jak najprędzej przeczytać telegram. - Niech pani pisze, ile pani chce, my tylko zobaczymy, czy będzie dobrze.

- Ale ja proszę o kopię - zawołał trzeci niespokojnie, widząc, że kolega chowa telegram do kieszeni. - To nie jest prywatne! Albo pani, albo ty dasz mi kopię!

Kolega, żeby nie przedłużać sceny, której sens Griffithsowa zaczęła rozumieć, wyjął skrawek papieru i pokazał swym towarzyszom, którzy czym prędzej zabrali się do przepisywania

treści.

Tymczasem Griffithsowie w Lycurgus dowiedziawszy się o wyroku i kosztach nowej rozprawy oznajmili, że nie mają zamiaru zajmować się dalej kuzynem ani ponosić dla niego żadnych kosztów. Sprawa Clyde'a zaszkodziła im niesłuchanie w stosunkach towarzyskich i handlowych. Dla Belli i Gilberta było to prawie zrujnowanie przyszłości, która tak pięknie się zapowiadała. Wszyscy ich znajomi o niczym innym nie mówią, tylko o sprawie Clyde'a. Samuel Griffiths cierpiał niewymownie. Ten w najlepszej myśli poczęty dobry uczynek tak złe wydał owoce! Czyż w ciągu całego życia ten praktyczny przemysłowiec nie przekonał się jeszcze, że w interesach każdy sentyment jest szaleństwem? Do chwili spotkania Clyde'a nigdy mu nie podlegał istotnie, a głównie go skłoniła do tego chęć spłacenia długu moralnego. I co z tego? Co z tego wynikło? Żonę z córkami wysłać musiał z Lycurgus, gdzie przeżyły najszcześniejsze dni. Udały się jakby na wygnanie - być może na zawsze. Osiedlą się może na jednym z przedmieść Bostonu lub gdzie indziej, bo inaczej byłyby zmuszone znosić ciekawe oczy i słowa współczucia swych znajomych. Stary Griffiths po naradzie z synem uradził, aby sprzedać wszystko w Lycurgus, a potem przenieść się jak najszybciej do Roehester, Buffalo, Brooklynu czy Bostonu. Tam można by na nowo uruchomić warsztaty i dalej prowadzić fabrykę. Przykrości, jakich mieli teraz pod dostatkiem, skończą się. Usuną się przed oczu ludzkich. Pod względem towarzyskim muszą teraz rozpocząć życie od nowa. Nie byłby to wielki cios dla pana Samuela i jego żony, życie ich bowiem zbliżało się do kresu, dzieci jednak należało zrehabilitować w jakiś sposób.

Zanim więc sprawa Clyde'a się skończyła, ojciec z synem zdecydowali się już na wyjazd do Bostonu, gdzie jakiś czas mieli żyć w ukryciu, zanim ich hańba i wstyd nie zostaną zapomniane. Dlatego też stanowczo odmówili dalszej pomocy Clyde'owi.

Mieli więc teraz nad czym rozmyślać Belknap i Jephson. Trudno się dziwić, że swój czas odpowiednio oceniali, mając rozległą praktykę w Bridgeburgu, zwłaszcza że wiele już spraw oczekiwało na ukończenie procesu Clyde'a. Nie mogli więc ofiarować swych usług Clyde'owi bez wynagrodzenia, zwłaszcza że koszty sprawy

apelacyjnej byłyby bardzo duże. Protokół był niebywale długi, wyciągi będą również obfite, a tym samym kosztowne, a gdyby stawali tylko z urzędu, niezmiernie małe czekałoby ich honorarium.

Jephson zastanawiał się tedy, czy najbliższa rodzina Clyde'a nie mogłaby mu przyjść z pomocą. Spełniali przecież przez całe życie pobożne i miłosierne dzieła, niemożliwe więc byłoby chyba, żeby w swym nieszczęściu nie uzyskali od dobrych ludzi pieniędzy na opłacenie kosztów nowej sprawy. Dotychczas nie pomagali wprawdzie Clyde'owi, zapewne jednak dlatego tylko, że obrońcy sami zapewniali, że pomoc ich jest zbyteczna. Teraz co innego.

- Trzeba chyba zatelegrafować, żeby ktoś z nich przyjechał - napomknął praktyczny Jephson. - Spodziewane przybycie matki będzie właśnie dostatecznym powodem, aby skłonić Oberwaltzera do ogłoszenia sentencji wyroku dopiero dziesiątego. Namówię matkę Clyde'a, żeby przyjechała, a gdyby nawet nie miała pieniędzy, możemy jej dopomóc. Sądzę wszakże, że sama się o nie postara, a może nawet o fundusz na sprawę apelacyjną.

Wysłali tedy telegram i list, w którym zawiadamiali, że Griffithsowie z Lycurgus odmówili dalszej pomocy, jakkolwiek Clyde nic o tym jeszcze nie wie. Sentencja wyroku będzie ogłoszona dopiero dziesiątego, dobrze więc byłoby dla sprawy Clyde'a, żeby ktokolwiek z rodziny przyjechał. Należy również pomyśleć o kosztach sprawy apelacyjnej, a przynajmniej o tym, żeby ktoś je zagwarantował.

Kłęczała więc biedna Griffithsowa i modliła się do Boga, aby jej pomógł. Teraz... teraz właśnie musi ukazać się wszechmocna Jego ręka. Jego niezawodna Łaska. Łaska oświecenia i pomoc musi przyjść, bo jakże i od kogo otrzyma pieniądze na podróż i dalszą sprawę syna?

Gdy tak trwała na kolanach w modlitwie, błyskawicznie zrodziła się w niej myśl. Reporterzy różnych gazet wciąż ją niepokoją. Gdziekolwiek chciała skryć się przed nimi, wszędzie ją znaleźli. Potrafi więc i ona sama przyjść z pomocą synowi! Nie przyszło jej przedtem nawet na myśl, że w ten sposób może wiele uczynić...

Dlaczegoż by nie mogła pójść do wydawcy jednego z wielkich dzienników, który wysyłał do niej reporterów i tak natarczywie wypytywał się o wszystko? Mogłaby mu powiedzieć, w jakiej znajduje się potrzebie... Jeżeliby dał jej pieniądze na podróż, byłaby tam w chwili ogłoszenia sentencji i mogłaby sama wysłać sprawozdanie do gazety... Gazety wszędzie wysyłają swoich sprawozdawców, na każdą sprawę... czytała przecież o tym... Dlaczego takim sprawozdawcą nie mogłaby być ona sama - matka oskarżonego? Czyż nie umie przemawiać? I pisać także potrafi. Ileż traktatów religijnych już opracowała!

Powstała szybko, lecz natychmiast znów upadła na kolana.

- Boże mój! odpowiedziałeś mi już! - zawołała.

Powstała znowu, włożyła odwieczny płaszcz, na głowę założyła staromodną, używaną jako misyjny strój urzędowy, kapotkę z wstążkami pod brodą i natychmiast wyruszyła do redakcji największego i najbardziej poczytnego dziennika.

Sprawa Clyde'a i jej nazwisko wszędzie były znane, wprowadzono więc ją zaraz do naczelnego redaktora, który wysłuchał jej prośby z wielkim szacunkiem i współczuciem. Wszedł potem na chwilę i zaraz powrócił. Dobrze, może zostać korespondentką na przeciąg trzech tygodni, a nawet i dłużej. Koszty jej wyjazdu, tam i z powrotem, będą całkowicie pokryte. Dostanie pomocnika, który będzie ją pouczał o sposobie pisania i wysyłania korespondencji. Z jego rąk otrzymywać będzie pieniądze na każde żądanie. Może wyjechać jeszcze dziś wieczorem, im prędzej, tym lepiej.

Podczas tego przemówienia Griffithsowa podniosła głowę w górę i zamknęła oczy. Zwracała się z gorącym podziękowaniem do Boga, że tak szybko wysłuchał jej prośby.

Ósmego grudnia o północy na stacji w Bridgeburgu wysiadła znużona, stroskana kobieta. Gwiazdy iskrzyły się od silnego mrozu. Jakiś kolejarz, zapytany, skierował ją do hotelu "Centralnego", który znajdował się niedaleko. Zaspany portier wskazał pokój, dowiedziawszy się wszakże, kim była, namawiał, żeby udała się do więzienia. Griffithsowa jednak po chwili namysłu doszła do przekonania, że jest już zbyt późno. Clyde pewnie śpi. Lepiej będzie udać się na spoczynek, a za to wstać wcześniej. Zawiadomiła go już o swoim przyjeździe.

Wstała o siódmej, a o ósmej była już w więzieniu z listem polecającym w rękę. Urzędnicy po przeczytaniu listu, który tłumaczył powód przybycia Griffithsowej, uprzedzili Clyde'a. Ten, przygnębiony osamotnieniem, z radością powitał wiadomość.

Jakkolwiek początkowo nie miał odwagi spojrzeć w oczy matce, teraz wszakże czuł, że wszystko się zmieniło. Za namową Jephsona złożył przecież możliwie najbardziej prawdopodobne wyjaśnienia, może więc spojrzeć jej w oczy i powiedzieć bez zmieszania, że były one prawdziwe, że nie robił żadnych zbrodniczych planów i nie rozmyślnie był biernym świadkiem śmierci Roberta.

Pośpieszył do rozmównicy, gdzie dzięki uprzejmości szeryfa mógł się bez świadków widzieć z matką. Gdy wszedł, zerwała się na jego powitanie. Biegł ku niej, a dusza jego w swej udęcie, zwątpieniu i niepokoju czuła, że znajdzie w sercu matczynym, niezdolnym do surowego sądu, przystań współczucia i zrozumienia.

- Mamo! jak to dobrze, żeś przyjechała! - wołał ze ściśniętym gardłem.

Nie mogła mówić ze wzruszenia, tylko tuląc skazanego syna w ramionach patrzyła mu w oczy. Bóg nie odmówił jej łaski, a teraz

może ją okaże w całej pełni - może uwolni jej syna, może nowa sprawa, uczciwiej prowadzona, wypadnie na jego korzyść.

I tak trwali w uścisku czas jakiś. Przekazała mu wiadomości z domu, opowiedziała o obowiązkach korespondentki, które przyjęła z powodu braku funduszków. Będzie więc razem z nim na sali sądowej w chwili ogłaszania sentencji wyroku.

To ostatnie przyjął Clyde z niechęcią. Usłyszał jednak od matki że cała jego przyszłość zależy od jej starań. Griffithsowie z Lycurgus ze względów osobistych nie mają zamiaru pomagać mu dalej. Tylko matka nie zawaha się przed żadnym krokiem i zawsze będzie gotowa mu pomóc.

Czyż Bóg nie pomagał jej dotychczas? Jedno tylko jest konieczne. Chce być czystą wobec świata i Boga i żąda od niego prawdy. Musi wiedzieć, koniecznie musi wiedzieć, czy umyślnie, czy nieumyślnie uderzył Robertę, świadomie czy nieświadomie pozwolił jej utonąć... Czytała wszystkie zeznania, wie, jakie są dowody przeciw niemu, i zauważyła braki w jego zeznaniach. Czy Mason zwierzenia jego uznał za prawdziwe, czy za fałszywe?

Clyde'a ogarnął lęk i onieśmienie przed tą niezkazitelną uczciwością matki, której nigdy nie mógł pojąć. Opanował się wszakże i z całą stanowczością, lecz z tajemnym drżeniem w sercu oznajmił, że przysięgą potwierdził swe zeznanie. Nie uczynił tego, o co go oskarżają, może matka być pewna!

Niestety, matka jednak ujrzała w jego oczach jakiś błysk nieszczerzy. Słowa nie brzmiały tak pewnie, nie przekonywały tak stanowczo, jak na to liczyła, jak o to się modliła. Tak! było coś w jego zachowaniu, w jego słowach... jakaś fałszywa nuta, która wzbudziła w niej wątpliwości, niepokój, serce przejęła chłodem. Clyde nie był dość stanowczy. Może planował choć w części tę straszną zbrodnię... może uderzył Robertę na tym bezludnym, pustym jeziorze, kto wie?

Przygniotła ją ta myśl. Czyżby zeznawał fałszywie?

O, Jehowo! czyżbyś mi zesłał zwątpienie w najcięższej chwili życia mego i mego syna? Czyżbyś zesłał na niego pewną śmierć, zabierając mi zarazem i wiarę w niego? O, nie! Nie chcesz tego, o Baranku Boży! Ty do tego nie dopuścisz!

Nie! Starła w proch straszliwe podejrzenie, równie dla niej okrutne jak stwierdzenie jego winy.

O, Absalomie, Absalomie! wspomóż nas i odsuń od nas tę myśl! Bóg nie może wymagać tego od matki. Przecież to on sam, jej syn rodzony, patrząc w jej oczy, twierdzi śmiało, że nie popełnił tego czynu. Ona musi mu wierzyć... wierzyć całkowicie. Musi i będzie, chociażby szatan wątpliwości krył się jeszcze w zakamarkach jej nędznego serca... Pomóż! bo wszyscy w jej serce patrzeć będą! Matka i syn muszą znaleźć drogę ratunku! Clyde powinien wierzyć i modlić się.

Czy ma Biblię? Czy ją czyta?

Clyde zapewnił matkę, że ma i czyta, gdyż Pismo Święte otrzymał od jednego z robotników więziennych.

Teraz ona musi porozumieć się z obrońcami, wysłać depeszę, a potem powróci tu znowu.

Zaledwie znalazła się na ulicy, otoczyli ją liczni reporterzy pytając o cel przybycia. Czy wierzy w niewinność syna? Czy jest przekonana, że sprawa była uczciwie prowadzona? Griffithsowa z prostotą, chętnie, z całą szczerością objaśniała, jak i dlaczego tu przybyła i jaki był powód, że wcześniej się nie zjawiała. Ma nadzieję, że teraz pozostanie dłużej. Bóg wskazuje jej sposoby ratowania syna, a w jego niewinność wierzy bezwzględnie. Czyż nie błagała o pomoc Boga? Czyż oni nie będą się modlili o jej powodzenie?

Wywarła na tych młodzieńcach silne wrażenie, zapewnili więc ją uroczyście, że będą się modlić. W swych sprawozdaniach opisali matkę oskarżonego jako kobietę w wieku średnim, religijną, zdeterminowaną, szczerą i pełną wiary w niewinność swego dziecka.

Przybycie matki Clyde'a ugodziło silnie ambicję Griffithsów. Clyde zaś, przeczytawszy ostatnie wiadomości, czuł się nieco dotknięty wielkim zainteresowaniem ogółu tym wszystkim, co go dotyczy, mając jednak matkę przy sobie nie przejmował się dłużej i przestał zwracać na to uwagę. Miał matkę przy sobie! Mimo swych śmieszności i braków była jego matką i tylko ona jedna chce go ratować. Cóż go może obchodzić, co inni o niej myślą! Padał już na niego cień śmierci, ona jedna go w tej ciężkiej chwili nie opuściła... Jakże szybko zorientowała się, że najlepszą drogą jest współdziałanie z prasą w Denver. Niczego podobnego nigdy jeszcze nie robiła. Któż by się mógł spodziewać, znając jej ubóstwo, że znajdzie środki na ratunek syna? A on, jej syn, jakże często i ciężko grzeszył przeciw niej!

Przybyła więc biedaczka z troską i niepokojem w duszy i aby zyskać dla niego współczucie, publikować będzie swe własne wrażenia! Teraz już zniszczone okrycie, niemodny kapelusz, szeroka, zastygła twarz i szorstkie, niezręczne ruchy nie wydawały mu się godne politowania. Była jego matką, kochała go, wierzyła i ratowała ze wszystkich sił!

Belknap i Jephson zdziwili się mocno, ujrawszy tak nieelegancką kobietę, która przedstawiła się im jako matka Clyde'a. Obszerne płaskie obuwie, dziwaczny kapelusz, stary wypłowiały płaszcz przejęły politowaniem obrońców. Po chwili jednak jej powaga, wiara i gorąca miłość do syna, jej pytające, jasne, dobre oczy, pełne głębokiego przekonania i poświęcenia, sprawiły, że nie pamiętali już o zewnętrznym wyglądzie Griffithsowej.

Czy istotnie wierzą w niewinność jej syna? Musi o tym wiedzieć przede wszystkim. A może w głębi duszy są przekonani o jego winie? Dręczyły ją stale sprzeczne dowody w jego sprawie. Bóg złożył zbyt ciężki krzyż na jej barki! Lecz mimo wszystko niech będzie Imię Jego błogosławione!

Obrońcy odczuwając, ile niepokoju mieści się w jej sercu, pośpiesznie zapewnili, że są przekonani o niewinności Clyde'a. Byłaby to parodia sprawiedliwości, gdyby został stracony.

Zaniepokoiili się jednak dowiedziawszy się, że Griffithsowa nie ma funduszy, bo koszt apelacji wyniesie z pewnością około dwóch tysięcy dolarów. Opłacić trzeba koszty wyciągów z protokołu, wyszukania nowych dowodów, ich wyjazdów w tym celu itp.

Griffithsowa znieruchomiała. Była w beznadziejnym położeniu. Naraz zdumieni obrońcy usłyszeli jej dramatyczny głos:

- Bóg mnie nie opuści! Sam się do mnie zwróci... Jestem tego pewna! Jego to głos w Denver skierował mnie do redakcji. Dzięki Niemu znalazłam się tutaj, wierzę Mu, On będzie moim przewodnikiem!... Obaj ateści spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Jaka wiara! Jaka pewność! Apostołka czy co?

Jephson natychmiast powziął myśl. Widział w niej potęgę religii, która nie liczy się z niczym, silna w swej wierze. Przypuśćmy więc, że Griffithsowie pozostaną niewzruszeni, może by... ta matka... wszak i tutaj są kościoły i ludność pobożna... Czyżby ona ze swą wiarą i żarliwością chrześcijańską nie umiała się odwołać do tych, którzy potępiili Clyde'a i przyczynili się do tak surowego wyroku? Czyżby kobieta, tak nieszczęśliwa, wierząca mocno w niewinność syna, nie potrafiła wzbudzić litości u innych matek i zdobyć środków na ratunek dziecka?

Naturalnie!

Wygłaszałyby kazania, otworzyła swe serce i łatwo mogłaby zdobyć współczucie uprzedzonego ogółu, wykazać słuszność sprawy syna i zebrać szybko dwa tysiące dolarów, a może i więcej. Apelacja byłaby opłacona.

Przedstawił tedy Jephson swój plan Griffithsowej, ofiarował się nawet opracować jej materiał, podać w skróceniu swe argumenty, ona zaś ułożyłaby kazanie według swych zasad i oparła je na przekonaniu o niewinności swego syna.

Z pałającymi oczyma zgodziła się na ten projekt. Dobrze, spróbuje! Zaprawdę, czyż to nie był głos i ręka Boga w najposepniejszej godzinie jej utrapień?

Następnego ranka wezwano Clyde'a do wysłuchania sentencji wyroku. Siedziała przy nim matka z ołówkiem w ręku, notując szczegóły tej straszliwej dla niej sceny. Tłumy ciekawie przypatrywały się obojgu. Jego matka! W roli reportera! Taka scena wydawała się absurdalna, dziwaczna, nawet zabawna. I to Griffithsowie z Lycurgus są z nimi spokrewnieni!

Obecność matki dodawała otuchy Clyde'owi. Przybiegła od razu do więzienia z nowym projektem. Niech się niczym nie przejmuję, chociaż sentencja będzie mu się wydawała straszna, bo teraz matka zacznie działać.

Stał więc teraz przed sędzią Oberwaltzerem i wysłuchał najprzód krótkiego sprawozdania ze swej sprawy, a następnie stereotypowego pytania:

- Czy oskarżony ma jakiś argument, którym by mógł dowieść, że wyrok śmierci nie może być wydany zgodnie z prawem?

Clyde ku zdumieniu matki i publiczności, zgodnie z radą Jephsona; odpowiedział pewnym, czystym głosem:

- Nie jestem winien zbrodni, o którą mnie oskarżają. Nie zabiłem Roberty Alden i uważam, że sentencja wyroku nie powinna być ogłoszona.

Patrzył prosto przed siebie, pewien, że jedynie matka zwraca nań spojrzenie pełne podziwu i miłości.

Czy jej syn mówi prawdę w tej strasznej chwili - wobec wszystkich? Czy jego słowa, takie same, jakie jej powiedział wczoraj w więzieniu, są prawdą czy fałszem? Nie, chyba jej syn nie jest winien... Nie jest! Niech będzie pochwalone Imię Pańskie na wysokościach! Postanowiła położyć na tym nacisk w swym sprawozdaniu, ażeby się to dostało do innych pism. Umieści to również i w swym kazaniu.

Oberwaltzer bez najmniejszego zdziwienia

czy zakłopotania zapytał
znowu:

- Czy oskarżony ma jeszcze coś do powiedzenia?

- Nie - odparł Clyde po chwili wahania.

- Sąd uznał - czytał przewodniczący Oberwaltzer - Clyde'a Griffithsa, oskarżonego o zabicie Roberty Alden, za winnego zbrodni pierwszego stopnia i skazuje go na karę śmierci. W ciągu dziesięciu dni, licząc od dzisiejszej sesji Sądu Okręgowego, szeryf okręgu Catakaui wyśle oskarżonego pod dozorem do państwowego więzienia w Auburn w stanie Nowy Jork, gdzie pozostanie w ścisłym odosobnieniu aż do poniedziałku 28 stycznia 19... i w tym samym tygodniu dokona się egzekucji Clyde'a Griffithsa w sposób przepisany przez prawa stanu Nowy Jork.

W tej samej chwili matka przesłała synowi uśmiech, on zaś odpowiedział takim samym uśmiechem. Wszak tutaj, wobec wszystkich powiedział, że jest niewinny, może więc nie tracić otuchy, nawet słuchając takiego wyroku. Musi być niewinny, jeżeli z taką pewnością to oświadczył.

Uśmiech matki utwierdził Clyde'a w przekonaniu, że ta najdroższa mu istota wierzy weń bezwzględnie. Wszelkie inne dowody przeciwnemu nie zmienią już jej wiary, a była mu ona potrzebna, gdyż podtrzymywała jego siły. To, co powiedział teraz, było prawdą. Nie jest winien.

Kraut i Sissel odprowadzili Clyde'a do celi, a pozostałą w sali Griffithsową otoczyli przedstawiciele prasy.

- Nie myślcie o mnie źle, panowie. Niewiele może rozumiem się na pracy dziennikarskiej, ale był to jedyny sposób pozwalający mi przybyć do syna. Jakże inaczej mogłabym przyjechać?

- Niech się pani nie martwi - odezwał się jeden z dziennikarzy. - Może mogę w czym pomóc? Proszę podzielić się ze mną swoimi planami, chętnie pani pomogę.

Usiadł obok niej i pomagał spisywać wrażenia w formie przyjętej w prasie. Inni też, naprawdę wzruszeni, ofiarowywali swe usługi.

W dwa dni później wysłano Clyde'a do Auburn - więzienia zwanego "Domem Śmierci" lub "Kaznią Zabójców", tak ponurego, iż żadna istota ludzka długo tam wytrzymać by nie mogła.

Gmach był dwupiętrowy; składał się z dwudziestu dwóch cel i Clyde miał tam pozostać aż do wypuszczenia na wolność lub do egzekucji. Matce nie pozwolono mu towarzyszyć.

W drodze do Auburn na każdej stacji zjawiały się tłumy młodych i starych, mężczyzn i kobiet, i dzieci, żądnych ujżenia młodego zbrodniarza. Dziewczęta i kobiety niby to z ciekawości, bardziej jednak w celu zawarcia znajomości ze śmiałym, romantycznym, chociaż nieszczęśliwym młodzieńcem, rzucały mu kwiaty, wołając:

- Bywaj Clyde! Zobaczymy się niedługo! Nie zasiedź się tam! W apelacji wygrasz na pewno! Do widzenia! do widzenia!

Co za różnica! Jakże ci ludzie życzliwie się do niego odnosili w porównaniu z wrogo nastrojonymi mieszkańcami Bridgeburga. Widział przez okno tylko przyjazne uśmiechy i życzliwe pozdrowienia, co mu dodawało wiele otuchy.

- Jakież to dziwne! jadę na śmierć, a tyle życzliwości mnie spotyka.

Kraut i Sissel patrzyli niezbyt chętnym okiem na te dowody współczucia. Tyle mieli roboty z więźniem, z powstrzymywaniem tłumów, a im nikt dobrego słowa nie powiedział!

Szybko przebiegły chwile pozornej wolności w czasie podróży wśród zaśnieżonych, słonecznych pól i wzgórz, które obudziły w Clydzie wspomnienia Lycurgus, Sandry, Roberty, tego wszystkiego co tak szybko minęło i skończyło się tak tragicznie.

Stały przed nim szare, zwarte mury więzienia Auburn.

Zaprowadzono go od razu do zarządzającego i nazwisko Clyde'a oraz rodzaj zbrodni zostały wciągnięte do ksiąg więziennych. Następnie oddano go w ręce dwóch dozorców, którzy zaprowadzili go do kąpieli i obcięli włosy - jego falujące, czarne włosy, zwykle tak podziwiane. Otrzymał więzienne, pasiaste ubranie, wstrętą czapkę z tego samego materiału, odpowiednią bieliznę i ciężkie, szare, filcowe obuwie, by niespokojnym stąpieniem nie mącił ciszy więziennej. Został numerem 77221. Tak umundurowanego przeprowadzono do niewielkiej celi na parterze, gdzie był tapczan, stół, krzesło, półeczka na książki.

Wyrzął przez kraty i spostrzegł, że wzdłuż obszernego korytarza są takie same pokoiki. Zniechęcony opadł ciężko na krzesło. Porównał więzienie w Bridgeburgu. O ileż tam było sympatyczniej, a jakie ma miłe wspomnienia z podróży stamtąd... A tu? W jakim naprężeniu nerwów będzie musiał spędzić tyle straszliwych godzin z myślą o śmierci!... Te włosy, obcięte przez więziennego cyrulika - może również skazańca! A to ubranie... ta bielizna! Nie ma tu lustra... pewnie w całym gmachu go nie ma... Mniejsza z tym... może sobie wyobrazić, jak pięknie wygląda... Ta workowata kapota... spodnie... ohydna czapka... Cisnął ją z rozpaczą na ziemię. Jeszcze przed godziną był tak porządnie ubrany - miał na sobie przyzwoity garnitur i koszulę, i krawat, i buty... Opuszczając Bridgeburg był zupełnie zadowolony ze swej powierzchowności.

Jakże teraz musi wyglądać? A jutro matka ma przyjechać...

Jephson i Belknap też pewnie... O, Boże!

Co gorsza, w przeciwległej celi ujrzał przez kratę bladego, wynędzniałego Chińczyka w takim samym stroju więziennym. Przyglądał się Clyde'owi zagadkowymi, skośnymi oczyma. Nagle odwrócił się i zaczął się drapać. Robactwo! przeraził się Clyde. Miał dosyć pluskiew w Bridgeburgu.

Więc ten Chińczyk to także zbrodniarz, bo z jakiej by racji tu siedział? Tak samo jest przecież ubrany...

Dzięki Bogu, już tutaj chyba goście nie będą go odwiedzali. Matka mu powiedziała, że tylko jej i obrońcom wolno go odwiedzać, a raz na tydzień kapelanowi.

Wszystko było inne niż w Bridgeburgu. Tam gmach był stary, ściany brunatne, niezbyt czyste, ale cele większe, lepiej umeblowane, stół czasami bywał nakryty serwetą, poza tym książki, gazety, warcaby, a tu nic...

Przez szerokie okna wpadało dużo dziennego światła, a wieczorem żarowe, wielkie lampy oświetlały mocno całe wnętrze. Surowe, bielone ściany, żelazne kraty sięgające sufitu, ciężkie żelazne drzwi, w których podobnie jak w Bridgeburgu znajdował się mały otwór, przez który wsuwano jedzenie.

Nagle usłyszał jakiś głos:

- Hej! kamraci, mamy nowego! Pierwszy rząd, druga cela, wschód.

- Nie mów! Któż to taki? - zapytał ktoś drugi.

- Jak się nazywasz, nowy? Nie bój się! Nie jesteś od nas gorszy...

- mówił trzeci.

- Jakiś wysoki, chudy, smarkacz jeszcze. Taki maminy synek... Ale źle nie wygląda... Ej, ty! jak się nazywasz?

Po co im się przedstawiać? - zastanawiał się Clyde. - Co im powie? Koniecznie ma się z nimi przyjaźnić?

Ale jak zawsze pełen taktu, odpowiedział uprzejmie:

- Clyde Griffiths.

- O! znamy cię dobrze! - ktoś mu odpowiedział. - Jak się masz! My też nie jesteśmy tacy źli, jakby się zdawało. Czytaliśmy dużo o tobie. Spodziewaliśmy się ciebie wcześniej nawet.

- Widzi mi się, że nie masz wielkiej ochoty na ten apartament -

odezwał się ktoś inny - ale nie jest tu jeszcze tak źle. W każdym razie masz dach nad głową, jak się to mówi.

Na te słowa buchnął śmiech z jakiegoś kąta.

Clyde, rozdrażniony do żywego, nieskory do rozmowy, patrzył tępo na ściany, na drzwi, na Chińczyka nawet, który w milczeniu znów mu się przyglądał.

Straszne! I oni mogą tak lekko rozmawiać! Nie przyszło im nawet na myśl, jak musi tu cierpieć, jak się czuje obco, jak jest onieśmielony... nie przejęli się jego zbrodnią. Czyż w ich pojęciach zbrodniarz nie może się czuć onieśmielony lub nieszczęśliwy? Najgorsze jest to, że wszystko, wszystko już o nim wiedzą. Może potrafią go zmusić... groźbami może, żeby się do nich upodobnił? O Boże! gdyby tak Sandra czy ktoś ze znajomych mógł go ujrzyć w podobnym towarzystwie... Matka jutro przyjedzie...

W godzinę później, około wieczora, wysoki, strasznie blady dozorca wsunął mu przez otwór we drzwiach żelazną tacę z posiłkiem. Jedzenie! Dla niego! Chudy, koślawy Chińczyk też otrzymał swoją porcję. Kogo on zamordował? Jak? Słyszał przykry zgrzyt żelaznych tac w innych celach. Odgłosy te przypominały bardziej żywienie zgłodniałych zwierząt niż ludzi. Prawie wszyscy chrobocząc łyżkami jedli i najspokojniej rozmawiali. Nie mógł tego słuchać.

- Psiakrew! że też te parzygnaty przy kotłach nic innego nie potrafią wymyślić, tylko zimną fasolę, przypalone kartofle i kawę.

- Kawa na wieczór... patrzcie państwo! To samo, co w więzieniu w Buffalo, chociaż...

- Niech cię diabli! - odezwał się głos z drugiego kąta. - Mamy już dosyć twojego Buffalo! Widzę, żeś stracił tutaj apetyt na podwieczorek.

- Właśnie! A pamiętam, jaki był dobry. Teraz nawet myśleć o tym nie mogę.

- Oj, Rafferty, daj spokój.

Ale Rafferty mówił dalej:

- Teraz sobie trochę odpoczniemy, potem zawołam szofera i pojedziemy na spacer. Pogoda pewnie dzisiaj fajna...

Przerwał mu jakiś chrapliwy głos:

- Przestałbyś głądzić! Życie dałbym za papierosa lub partyjkę kart.

Oni grają tu w karty? - dziwił się Clyde.

- Zdaje się, że Rosenstein grubo przegrał i teraz nie chce grać...

- Czyżby? - urągliwie zapytał zdaje się właśnie Rosenstein.

Z sąsiedniej celi ozwało się ciche, lecz wyraźne pytanie do przechodzącego dozorczy:

- Pst! nie ma nic z Albany?

- Ani słowa, Herman.

- I listu nie ma?

- Nie ma.

Smutek, żal, tęsknotę czuć było w głosie pytającego, po czym nastąpiła cisza.

W chwilę później z dalszej celi, jak gdyby z najgłębszych czeluści piekielnych, w które dusza ludzka zdolna jest zstąpić, rozległ się głos, pełen niewymownej rozpacz:

- Boże! mój Boże!... mój Boże!

A nad nim inny głos:

- O, Jezu! farmer... farmer znów tu idzie... Nie zniosę tego!

Dozorca! dozorca!... Czy nie ma sposobu na tego człowieka? Aaa...

A niżej:

- Boże! mój Boże!... mój Boże!

Clyde zerwał się zaciskając dłonie. Nerwy miał do ostatnich granic naprężone jak struny.

Zbrodniarz! pewnie niedaleki śmierci. Dręczą go takie same jak i moje przeżycia! Rozpacza jak i ja w Bridgeburgu rozpaczałem w duszy... I płacze tak samo. Boże! Iluż tu jest takich! Tak płynąć będą dni
i noce dopóki... dopóki...

Ach! nie, nie! Nie on! to nie nastąpi... Cały rok jeszcze upłynie, a może i dwa, zanim by to się stało... Tak przynajmniej mówił mu Jephson.

Ale po... dwóch latach? Wstrząsnął nim dreszcz gorączkowy na myśl, że to tak krótko... tylko dwa lata. Tu... gdzieś niedaleko... jest sala. Tak, wie na pewno. Tam są drzwi... wiodą do tego krzesła...
Krzesła.

I znów głos z dala:

- O, Boże! mój Boże! Mój Boże!

Clyde, załamany, upadł na tapczan i zasłonił uszy rękoma.

Rozdział XXIX

Tak zwany "Dom Śmierci" był to pomysł, na który przez szereg lat składała się głupota i bezmyślność ludzka. Cały plan budowy i procedura więzienna wynikały z licznych a wieloletnich uprawnionych przepisów, wprowadzanych przez kierowników tej instytucji stosownie do ich temperamentów i charakterów. Stopniowo przeforsowano wszystko, co istotnie było wyrafinowanym okrucieństwem i destrukcyjną torturą. W tej kaźni człowiek skazany, czekając na swoją kolej, musiał przeżywać śmierć każdego towarzysza. Całe urządzenie więzienia i prawa rządzące życiem skazańców były dostosowane do tego, by każdy mieszkaniec tych cel przeżywał najwymyślniejsze męki moralne.

Był to budynek z kamienia, potężny, surowy i wysoki. Połączony drzwiami ze starym "Domem Śmierci" miał jakoby tę wyższość nad nim, że środkiem każdego piętra biegł korytarz, wzdłuż którego na parterze było dwanaście cel po sześć, a na pierwszym po pięć z każdej strony. Właśnie na pierwszym piętrze, w samym środku, krzyżował się z nim drugi, węższy korytarz, który miał na jednym końcu drzwi do budynku, zwanego "Starym Domem Śmierci", gdzie teraz tylko przyjmowano odwiedzających, a na drugim wejście do sali egzekucyjnej, gdzie stało krzesło elektryczne. Z dwóch cel na załamaniu korytarza widać było drzwi do tej straszliwej sali, z dwóch przeciwległych patrzano na wejście do "Starego Domu Śmierci", czyli do tego, co w bujnej imaginacji można było nazwać salą przyjęć dla najbliższych krewnych i obrońców skazańców. Dla nikogo więcej.

W "Starym Domu Śmierci", czyli w sali przyjęć, cele były umieszczone z jednej tylko strony korytarza i posiadały druciane siatki i zielone zasłony, które w razie potrzeby mogły być opuszczane. Dawniej bowiem zapuszczano zasłony w chwili, gdy przybywał nowy lokator lub gdy stary opuszczał te mury, czy też wychodził na codzienną przechadzkę, do kąpieli albo gdy go prowadzono do dawnej sali egzekucyjnej. Nie dopuszczano pod żadnym pozorem, aby więźniowie mogli się widzieć wzajemnie.

Ponieważ urządzenie starego więzienia uważane było za nieludzkie ze względu na straszne odosobnienie więźniów, za łaskawym zezwoleniem władz wzniesiono nowy budynek, bardziej udoskonalony. Jakkolwiek w nowym gmachu cele i korytarze były wyższe, większe i jaśniej oświetlone, to jednak brak zasłon przysparzał często przykrych chwil skazańcom. Życie w tych dwóch szeregach klatek stawało się dla każdego więźnia męczarnią nie do zniesienia. Wczuwać się musiał w występne, chorobliwe lub desperackie uniesienia. Nie mógł nie widzieć, nie słyszeć, bo nie miał się gdzie skryć. W dzień sączyło się światło z wysoko umieszczonych okien, nocą oślepiające lampy wciskały swe promienie w każdą szczelinę, w każdą szparkę. Ani samotności, ani chwili odprężenia, jedynie karty i szachy, w które można było grać nie opuszczając celi. Książki i gazety dostarczano umiejącym czytać bez sprzeciwu. A rano lub po południu, według przepisu, następowały odwiedziny księdza, mniej regularne rabina lub pastora. Każdy z nich ofiarowywał współczucie i pomoc duchową tym, którzy tego pragnęli. Największym jednak przekleństwem tego miejsca był stały kontakt z ludźmi, którzy już czuli chłód zbliżającej się śmierci. Każdy, nawet najbardziej zuchwały czy zdeterminowany więzień nie tylko odczuwał, lecz wprost fizycznie cierpiał wraz z tym, najbliżej stojącym brzegu. Ciągłe zmaganie, nieustanne lęki, nagłe rozpaczce unosiły się nad tą salą straceńców i niby ciemny osad zapadały w głąb serc. Objawiały się w najbardziej nieoczekiwanych chwilach - klątwami, westchnieniami, łzami, nawet pieśnią lub wezwaniem o zlitowanie Boskie, beznadziejnym jękiem lub nagłym okrzykiem. Największe wywierało wrażenie, największe zadawało katusze prowadzenie skazańca do sali egzekucyjnej, a niestety były to sceny nad wyraz częste.

W przeddzień śmierci przeprowadzano delikwenta z lepszej celi, gdzie spędził rok lub dwa, do starego budynku. Tam przebywał ostatnie godziny w samotności, a w ostatniej chwili przechodził jeszcze raz przez skrzyżowanie korytarzy, o czym wszyscy musieli wiedzieć. Jeżeli do któregoś więźnia zjawił się gość, przeprowadzano go korytarzem, na oczach wszystkich; do starego domu. Tam umieszczano w jednej z cel, spuszczano drucianą zasłonę,

między nią a całą stawał dozorca i wysłuchiwał całej rozmowy. Nie było możliwości zamienić uścisku ręki lub pocałunku ani żadnego poufnego słówka, którego by dozorca nie mógł usłyszeć. A gdy nadchodziła ostatnia godzina, każdy więzień, smutny czy obojętny, mniej lub więcej wrażliwy, musiał być świadkiem ostatecznych przygotowań, widzieć, jak wyprowadzano ofiarę do starego domu, gdzie następowało bolesne pożegnanie z rodziną. Nikt nie pomyślał o tym, jak wielką to było męczarnią dla tych, co jeszcze wierzyli w ostatnią deskę ratunku - w apelację.

Pierwszego dnia Clyde jeszcze nie ze wszystkiego zdawał sobie sprawę, chociaż przeżył wiele silnych wrażeń, a najcięższe było dla niego spotkanie z matką.

Griffithsowa musiała odbyć jeszcze konferencję z Belknapem i Jephsonem, podać do prasy opis swych wrażeń z wyjazdu do syna, co ją najbardziej wyczerpało. Chciała sobie wynająć pokój jak najbliżej Clyde'a, jednak natychmiast po przybyciu podążyła do zarządu więzienia i przedstawiła pozwolenie Oberwaltzera i listy polecające Belknapa i Jephsona. Ułatwiło jej to widzenie z synem na osobności, bez przeprowadzania go do starego domu. Naczelnik czytał już dużo o jej działalności i poświęceniu i interesował się szczególnie tą sprawą.

Tak wstrząsające wrażenie zrobił na niej Clyde! Nie do poznania zmieniony, blady, z podbitymi oczyma... Nie mogła słowa przemówić.

Jakże mu głowę ostrzygli! jakże go ubrali! Iluż tu dozorców na każdym kroku!

Drgnęła i cofnęła się na sekundę, jakkolwiek przyzwyczajona była do widoku więzień i aresztów - w Kansas City, Chicago, Denver, gdzie rozdawała modlitwy i rozmyślania religijne oraz ofiarowywała swe usługi, jeżeli ktoś tego pragnął. Ale tutaj, na widok własnego syna, nagły ciężar przygniótł jej serce; odwróciła głowę. Wargi jej drżały. Szukając w torebce chustki, szeptała:

- Boże... czemuś mnie opuścił?

Nagle przypomniała sobie, że Clyde nie powinien widzieć jej łez. To mu odbierze odwagę. Jednak powstrzymać ich nie mogła.

Clyde już wczoraj przygotowywał się, że powie matce kilka pocieszających słów, więc odezwał się:

- Nie płacz, mammo... uspokój się. Rozumiem zupełnie, że cię to boli... Wszystko będzie dobrze... z pewnością. Tu nie jest tak źle, jak myślałem... - A w duszy westchnął... Ach, jakże źle... o Boże!...

- Mój biedny chłopcze! mój synku ukochany! Ale my nie ustąpimy na pewno! "Zbawię cię od siideł piekielnych". Bóg nie opuścił nikogo z nas... I nie opuści, jestem tego pewna. "On przeprowadzi mnie przez ciche wody. On pokrzepi mą duszę". Cała nasza wiara w Nim.

Naraz zwróciła się z bardziej realną sprawą:

- Już poczyniłam starania o apelację; w tym tygodniu będzie wniesiona. obrońcy już zbierają materiał, więc sprawa twoja przeciągnie się do roku. Nie dziw się jednak, że widok twój... że tak przejęłam się twoim widokiem... nie byłam na to przygotowana.

Wyprostowała się i starała uśmiechnąć.

- Naczelnik wydał mi się dość sympatyczny, jednak gdy cię ujrzałam...

Przesunęła ręką po oczach, a chcąc odsunąć posępne myśli, zaczęła opowiadać o ciężkiej pracy, jaka ją teraz czeka. obrońcy dodali jej wiele odwagi przed wyjazdem. Była u nich w biurze, pocieszali ją i zapewniali, że sprawa jest na najlepszej drodze. Jedzie teraz ze swymi kazaniami i ma nadzieję, że zbierze sporo gotówki. Na pewno. W tych dniach pan Jephson go odwiedzi, a jest pewien szczęśliwego zakończenia sprawy. Wyrok i sentencja z pewnością będą obalone i nowa sprawa się rozpocznie. Tamta była prawdziwą farsą.

Jak tylko wynajmie sobie pokój w pobliżu więzienia, zaraz uda się

do duchowieństwa i być może pozyska kilka kościołów, gdzie będzie mogła bronić jego sprawy. Pan Jephson dał jej parę pożytecznych informacji, z których skorzysta. Potem uda się do kościołów w Syracuse, Rochester, Albany, Schenectady, wszędzie, jednym słowem, dopóki nie zbierze potrzebnej sumy. O nim jednak nie zapomni, odwiedzać go będzie przynajmniej raz na tydzień, pisywać będzie również - co tydzień. Pomówi jeszcze z naczelnikiem, więc niech Clyde nie rozpacza. Pracować będzie ze wszystkich sił, a Bóg pokieruje jej pracą. Czyż nie okazał jej tyle razy Swej cudownej łaski? Clyde musi modlić się za matkę i za siebie, czytać Izajasza, czytać codziennie psalmy - 23 i 51 oraz 91. Habakuka również. "Azali co stanie murem przeciw prawicy Pana?"

I znowu popłynęły łzy wzruszenia przed odejściem matki i Clyde wstrząśnięty do głębi duszy, wrócił do celi.

O, matko! matko, tak uboga... tak nieszczęśliwa... nie zawahałaś się przed takim trudem dla mego ratunku!... Teraz dopiero widzę, jakim dla ciebie byłem złym synem!

Clyde usiadł na brzegu łóżka i ukrył twarz w dłoniach.

Zatrzasnęły się żelazne drzwi więzienne za Griffithsową. Spoczęła na małym skwerku i patrzyła na wysokie, szare mury i basztę, na strażników, na okratowane okna i drzwi.

Więzienie... Tam się znajduje jej syn... To... jest... Dom Śmierci! Syn... w domu śmierci! Skazany na śmierć... na krześle elektrycznym! Nie! to nie może się stać! Nie może... Będzie przecież apelacja.

Teraz tylko pieniądze... pieniądze... Zaraz musi zabrać się do pracy. Nie ma czasu na rozmyślanie i rozpaczę. "Moja jasność i moc. O, Panie, bądź moją siłą i zbawieniem. Tobie ufam".

Przetarła oczy ręką i szepnęła jeszcze:

- O, Panie! Ufam Ci. Pokrzep mnie.

Griffithsowa, wracając, modliła się i płakała na przemian.

Rozdział XXX

Dłużyły się Clyde'owi dni w więzieniu. Nikogo tu nie widywał prócz matki, która go odwiedzała raz na tydzień. Nie mogła go częściej odwiedzać, bo wzięła się od razu z całym zapalem do pracy. Przez dwa miesiące jeździła do Albany, Buffalo, do Nowego Jorku nawet, lecz bez takiego powodzenia, na jakie liczyła. Przez kilka tygodni kołatała na próżno do duchowieństwa różnych wyznań ze swym serdecznym bólem, nie znajdując wszakże takiego oddźwięku, na jaki liczyć mogła u wyznawców Chrystusa. Całe duchowieństwo okoliczne, znając z gazet przebieg sprawy Clyde'a i w zasadzie godząc się z wyrokiem, nie kwapiło się z pomocą.

Kim była ta niewiasta i jej syn? Jakaś fanatyczka, tajemnicza kaznodziejka, która wbrew wszelkim prawom kościelnym stworzyła sektę i prowadzi jakąś misję. Gdyby była dobrą matką, poświęciłaby się wychowaniu dzieci i nie doczekała się podobnie fatalnej sprawy. Czyż zgodnie z własnym zeznaniem obwiniony nie był winien zbrodni uwiedzenia tej dziewczyny? Jest to taka sama zbrodnia jak i zabójstwo. Czyż tego sam nie wyznał? Kościół nie będzie śpieszył z pomocą uwodzicielowi, a może nawet mordercy (bo czyż wiadomo?). Chociaż każdy chrześcijanin współczuje Griffithsowej osobiście i uznaje zbyt surowość wyroku, jednak żaden kościół nie może stać się miejscem rozważań dla tego rodzaju spraw. Ze względów moralnych było to również niedopuszczalne, bo niektóre szczegóły tej sprawy mogą wpłynąć ujemnie na umysły młodzieży. Pisma już rozpisywały się obszernie, w jaki to sposób Griffithsowa ma zamiar ratować syna, ale większość duchowieństwa osądziła ją jako zbłąkaną duszę, która nie należy do żadnego określonego wyznania i

swoim postępowaniem może tylko szkodzić prawdziwej idei chrześcijańskiej. Każdy z kapłanów osobiście współczuje jej nieszczęściu, nie chce jednak narażać powagi kościoła i co najwyżej doradzić tylko wynajęcie jakiejś sali publicznej, dokąd zawiadomieni przez prasę słuchacze mogliby uczęszczać.

W protestanckich tedy kościołach Griffithsowa nic nie wskórała, a mając niechęć do katolików, nie chciała nawet myśleć o nich. Łaski Chrystusowe, interpretowane przez władców kluczy świętego Piotra, nie były dla tych, co nie chcieli uznać autorytetu Zastępcy Chrystusa.

Po daremnym kołataniu tu i ówdzie Griffithsowa z niemłą przykrością udała się do zarządzającego największym kinem w Utica. Było to w jej pojęciu niemłym grzechem skierowanie się do takiej instytucji. Otrzymała od niego salę na prelekcje, którym nadała tytuł: "Głos matki w obronie syna", Wstęp był po dwadzieścia pięć centów od osoby. Pierwszego dnia zebrała dwieście dolarów. Jakkolwiek suma ta była znikoma, jednak czuła się pokrzepiona na duchu i była pewna, że w niedługim czasie zbierze sumę potrzebną na apelację. Zajmie to trochę czasu, ale z pewnością będzie ją miała.

Niestety, z tej niewielkiej sumy musiała wydać część na osobiste wydatki, a część posłać mężowi, który po tym wstrząsającym wypadku ciężko zaniemógł. Julia i Frank pisywali ciągle listy pełne niepokoju, że ojciec może już nie wyzdrowieć. Pomoc więc była konieczna. Griffithsowa musiała bardzo ograniczyć się w swych osobistych wydatkach. Było dla niej okropne, że z pieniędzy przeznaczonych dla Clyde'a wypadło opędzać inne potrzeby, a jednak trzeba było podtrzymywać swe siły, by móc owocnie pracować. Nie mogła również opuścić męża.

Z dnia na dzień zmniejszała się frekwencja jej słuchaczy, jednak po opłaceniu swoich potrzeb odłożyła na sprawę tysiąc sto dolarów. Na domiar złego otrzymała któregoś dnia telegram od dzieci, że jeśli chce męża jeszcze ujrzeć przy życiu, powinna natychmiast przyjechać. Był tak słaby, że liczono się w każdej chwili z katastrofą.

Nie wiedząc, co czynić, zwróciła się Griffithsowa po radę do Belknapa i Jephsona. Obrońcy, otrzymawszy od niej tysiąc sto dolarów, w nagłym przypiływie uczuć humanitarnych poradzili jej, aby wróciła już do domu. Ostatecznie Clyde nie czuje się teraz tak źle, mając przed sobą rok, a co najmniej dziesięć miesięcy do nowej sprawy, a zanim decyzja zapadnie, należy doliczyć jeszcze jeden rok.

Niech się teraz nie martwi - dodali, widząc ją tak wyczerpaną i przygnębiającą, oni już sami sprawy przypilnują.

Uspokojona nieco poszła jeszcze dwa razy do Clyde'a, którego zapewniła, że wróci jak najspieszniej, gdy tylko ojciec będzie zdrowszy. Jedzie tylko po to, żeby zobaczyć, co się w domu dzieje.

Clyde, pozostawiony samemu sobie, mógł tylko wczuwać się w swoje i cudze cierpienia, rozmyślając, czynić porównania. Miał dokoła siebie piekło, nad którym Dante mógłby niezawodnie napisać: *Lasciate ogni speranza**. (* *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* (wł.); porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić - w "Boskiej Komedii" Dantego napis nad bramą Piekieł.)

Było to miejsce udręki, powolne konanie sił psychicznych, jawna przemoc i poniżenie człowieczeństwa. Odważni czy tchórzliwi, zuchwalcy czy zdeterminowani (znajdowali się tu i tacy) mogli tylko bezustannie, ciągle, bez przeszkody myśleć o sobie i o swych towarzyszach i - oczekiwać.

Dzięki tej formie życia więziennego Clyde musiał brać udział w ich życiu i musiał się z nimi spotykać. Było ich dwudziestu. Dwadzieścia różnych charakterów, temperamentów, narodowości, a każdy z tych ludzi podobnie jak Clyde cierpiał za swe namiętności, żądze, złe instynkty lub fatalny zbieg okoliczności. Każdy był zbrodniarzem, pozbawionym wolności, by mógł rozmyślać o swym czynie i czekać... Na co?

Dobrze wiedzieli na co... Clyde również.

Ciągle wybuchy wściekłości, tłuste, plugawe dowcipy, rozpustne śmiechy. A w późnych godzinach nocy - westchnienia i jęki, jak gdyby po szalonym dniu umysł i ciało instynktownie pożałowało wytchnienia, snu choć na kilka godzin. Bez względu na pogodę każdego dnia wyprowadzano więźniów na dziedziniec, gdzie mogli przechadzać się, biegać lub gimnastykować się, zawsze pod czujnym okiem dozorców z obawy przed buntem.

Na drugi dzień Clyde również tam się znalazł. Z początku nie chciał brać udziału w ćwiczeniach, którymi wszyscy chętnie się zajmowali.

Było tam dwóch Włochów, czarnookich, ponurych. Jeden z nich zabił dziewczynę, która go nie chciała na męża, drugi ograbił, zamordował i usiłował spalić ciało swego teścia, aby odziedziczyć po nim majątek. Olbrzymi Larry Donahue, barczysty, o kwadratowej twarzy, wielkich nogach i rękach, były żołnierz, zabił swego zwierzchnika za wyrzucenie go z posady stróża nocnego w fabryce w Brooklynie. Na ślad zbrodni naprowadził medal wojskowy, zgubiony przez niego na miejscu przestępstwa. Był również oficer policji, Riordan z Rochester, który zabił żonę, bo go chciała porzucić. Był i Tom Mowrer, parobek. Zabił swego gospodarza widłami i już wkrótce miał być na nim wykonany wyrok. To on tak jęczał po nocach. Młody, silny mężczyzna chodził bez przerwy ze spuszczoną głową po celi i w swej rozpaczynie bardziej wyglądał na dręczoną ofiarę niż na zabójcę. Clyde, patrząc na niego, miał wątpliwości, czy istotnie był winny. Obserwował ich wszystkich z jakimś straszliwym zainteresowaniem, dowiedziawszy się szczegółów od dozorców, którzy kolejno pełnili straż przy celach.

Był także Miller Nicholson, adwokat z Buffalo. Wysoki, szczupły, wytworny. Trudno go było posądzić o popełnienie zbrodni, a jednak, był tu pod zarzutem otrucia bogatego starca i usiłowania przywłaszczenia sobie majątku ofiary. Clyde nie mógł zrozumieć, jak w duszy takiego wytwornego, delikatnego mężczyzny mógł się zrodzić pomysł zbrodni.

Spostrzegłszy Clyde'a na przechadzce, zbliżył się i zapytał:

- Lęka się pan, prawda?

Powiedział to jednak tak sympatycznym, troskliwym tonem, że Clyde, istotnie od samego przybycia zdrętwiały z przerażenia, z trudem wykonujący każdy ruch, odpowiedział:

- Rzeczywiście... boję się...

Zaledwie wszakże wypowiedział te słowa, pożałował tego. Był zdumiony, jak mógł uczynić tak bezsensowne wyznanie, i chętnie by je cofnął, jakkolwiek obecność tego człowieka nieco go uspokajała.

- Nazywa się pan Griffiths, zdaje się?

- Tak.

- Nicholson. - przedstawił się. - Nie trzeba się bać: Przyzwyczaj się pan do wszystkiego.

Na ustach pojawił mu się miły, blady nieco uśmiech, ale próżno było szukać w oczach odblasku tego uśmiechu.

- Nie... nie lękam się tak bardzo - próbował Clyde naprawić swój wybuch szczerości.

- To i lepiej. Trzeba koniecznie zająć się czymkolwiek. Gdyby ci ludzie instynktownie nie poszukiwali rozrywek, wszyscy dostaliby obłądu. Trzeba przejść się trochę, odetchnąć świeżym powietrzem... Dobrze to panu zrobi...

Przeszedł się parę kroków i zaczął się gimnastykować. Clyde patrzył osłupiały, powtarzając prawie głośno:

- Wszyscy dostaliby obłądu...

O, tak! To prawda! Sam już to czuje od wczoraj. Obłądu... z pewnością!

Czy wytrzyma te straszne... nad wyraz okropne męczarnie, gdy każda

chwila zmusza go do uczestniczenia w tragedii tylu dusz i pozbawia go siły moralnej? Jak długo to wytrzyma?

Przez pierwszych parę dni Clyde obserwował każdy rys życia więziennego i doszedł do wniosku, że wcale nie można go porównywać z życiem więźniów w Bridgeburgu. Dziwne to może, lecz mimo oblicza śmierci, nie znikającego sprzed oczu ani na chwilę, brzmiały tu żarty, kpiny, przytupywania taneczne, trudne do pojęcia dyskusje na temat śmierci, kobiet, meczów bokserskich, sztuk teatralnych, spory i kłótnie o zdolnościach, zręczności ludzkiej czy też ich braku, a wszystko wyrażane w sposób świadczący o niskiej inteligencji tych ludzi. Za ledwie zjedzono śniadanie, ci co nie należeli do pierwszej grupy, uprawiającej ćwiczenia na wolnym powietrzu, rozpoczynali grę w szachy lub karty. Były to jedyne dwie gry, w które można było grać nie używając przyborów.

Dozorca dawał dwóm szachistom szachownicę bez figur. Nie były im potrzebne. Mówiło się tylko:

- Wychodzę z F2 na F1...

Każdy kwadracik był numerowany, po bokach były litery, ruchy zaznaczano ołówkiem. Partner zaznaczał ruch na szachownicy i rozpatrzywszy się w sytuacji odpowiadał:

- Wychodzę z E7 na F5...

Pozostali więźniowie, którzy chcieli brać także udział w grze zaznaczali ołówkiem ruchy na swej szachownicy i niejednokrotnie pomagali walczącym. Wówczas Shorty Bristol brał na przykład stronę Holendra Swighorta, zamieszkałego o trzy cele dalej, i wołał:

- Te, Holender! Nie rób tego. Czekał no momencik... jest tu coś lepszego do zrobienia!

I gra szła wśród kpin, klątw, śmiechów, zależnie od zmiennego szczęścia.

To samo było z kartami. Wszyscy zamknięci w celach grali umiejętnie i z zapalem.

Clyde'owi jednak nie w głowie były karty, nie pociągały go również sprośne żarty i ordynarne rozmowy. Nie mógł się przyzwyczaić do tych brutalnych słów, które wybiegały z ust każdego więźnia - prócz jednego Nicholsona - i to Clyde'a pociągnęło ku niemu. Po paru dniach czuł instynktownie, że towarzystwo tego wytwornego człowieka ułatwi mu tu życie. Był tak inteligentny i tak szanownie wyglądał, zupełnie odmiennie od innych, z których wyzierała jakaś ponurość i zwierzęcość.

W jakiś tydzień po przybyciu Clyde'a zaczęła narastać coraz silniej groza zbliżającej się egzekucji Pasquala Cutrone, Włocha, który został skazany na śmierć za to, że zabił brata, by uwieść jego żonę. Siedział obok Clyde'a i z rozpaczyny dostawał już obłędu. Nie chciał opuszczać celi, nie chodził na spacer ani na ćwiczenia. Straszna to była twarz, gdy Clyde rzucał czasem na nią okiem, przechodząc korytarzem na podwórze. Cierpienie wyłobilo na niej głębokie bruzdy od oczu do kątów ust. Oddawał się dniem i nocą żarliwym modłom od chwili przybycia Clyde'a, bo właśnie w tym dniu dowiedział się, że za tydzień odbędzie się egzekucja. Od tego dnia pełzał ciągle na czworakach, całował ziemię, wpijał się ustami w stopy Chrystusa na krzyżu. Często odwiedzali go brat i siostra, przybyli z Włoch, i na rozmowę z nimi prowadzono go do "Starego Domu Śmierci". Nikt mu już jednak nie mógł pomóc ani przynieść ulgi. Jak dzień długi i jak noc długa tłukł się po swej celi, modląc się bez przerwy i sąsiedzi jego, jeśli sen twardy nie skleił im powiek, musieli wysłuchiwać modlitewnych szeptów i nie kończących się Ojcze Nasz i Zdrowasiek. Od czasu do czasu rozlegał się czyjś zrozpaczony głos:

- Boże, żeby ten człowiek zasnął choć na chwilę!

Lecz jego szept i jęki słychać było bez przerwy, a co jakiś czas wśród modlitwy stuk uderzenia głową o podłogę.

I tak przechodziła noc po nocy, dopóki w wigilię fatalnego dlań dnia nie zabrano go do starej kaźni, gdzie miał od swych bliskich

przyjąć ostatnie pożegnanie. Tam również miał przygotować duszę na drogę wieczności.

Tego dnia w więzieniu nikt nie mógł pozostać obojętny. Przecucie śmierci jak ciężka zmora osiadło na piersiach. Tace z wieczornym posiłkiem, przeważnie nietknięte, zabrano z powrotem. Zapadła cisza, przerywana tylko szeptem pacierzy tych, których niedługo miał spotkać los Pasquala. Naraz jeden z więźniów, Włoch, skazany za zabicie stróża bankowego, zaczął wydawać histeryczne krzyki, ciskać stołkami i stołem o podłogę i ściany, drzeć pościel na łóżku; wreszcie chciał się zadusić. Obezwładniono go, przeprowadzono do innej celi w drugiej części budynku i oddano pod opiekę lekarską.

Wybuch ten nie zmienił nastroju, więźniowie przechadzali się po celach szepcząc coś do siebie lub wzywali dozorców żądając jakiegoś zajęcia.

Clyde, przeżywający po raz pierwszy takie chwile, drżał na całym ciele, nie mogąc opanować zgrozy i obłądnego lęku. Przez cały czas leżał na pryczy, odpędzając sprzed oczu straszne obrazy.

Takie więc tutaj śmierć ma oblicze. Mężczyźni, dorośli mężczyźni płaczą, modlą się, tracą zmysły i zanim śmiertelna egzekucja się skończy, wszyscy żyją jej nieuchronnością.

O dziesiątej, aby nieco uspokoić więźniów, przyniesiono im dodatkowy posiłek, nikt go jednak prócz Chińczyka nie tknął.

Nazajutrz o czwartej rano służba więzienna weszła cicho na korytarz i zaciągnęła ciężkie zielone zasłony, by nikt nie mógł widzieć straszliwej procesji, przeciągającej przez korytarz i eskortującej więźnia ze starej kaźni do miejsca egzekucji. Wszyscy bez wyjątku obudzili się i z bijącym sercem zerwali się z łóżek.

Już, to już!... Godzina śmierci już bije. To pierwszy jej sygnał. Wielu więźniów padło w tej chwili na kolana, uciekając pod opiekuńcze skrzydła wiary. Byli tacy, co gorączkowym krokiem przechadzali się mrużąc coś bez przerwy, i tacy, co wydawali

jakieś niezrozumiałe okrzyki w niewymownym lęku.

Clyde siedział odrętwiały i oniemiały, prawie bezmyślnie.

Teraz zabijają... zabijają tego nieszczęśliwca... tam... w tamtej sali... Krzesło... A to krzesło... zawsze go tak przerażało... znajduje się blisko... obok... tuż.

On jednak nie tak... nie tak prędko... tak mu mówił Jephson... i matka mówiła... jeszcze dużo czasu upłynie... zanim... zanim... on...

Coś słyhać! Ktoś chodzi... Drzwi jakieś... otworzyły się. Tak... to drzwi, wiodące do starej kaźni... tak, stamtąd słyhać głosy. Głos jakiś... wyraźny... odmawia modlitwę. Słyhać szmer kroków... idą ludzie... dużo ludzi... przechodzą koło niego...

"Ojcze zmiłuj się nad nami. Chryste, zmiłuj się nad nami. Mario, Matko Łaski Bożej, módl się za nami. Święty Michale, módl się za nami. Wszyscy święci Aniołowie, módlcie się za nami."

Najświętsza Mario Panno, módl się za nami. Święty Józefie, módl się za nami. Święty Ambroży, módl się za nami. Aniele Stróżu, módl się za nami".

Był to głos księdza towarzyszącego więźniowi i odmawiającego litanie.

Skazaniec chyba nic z tego nie rozumiał... Przecież podobno był zupełnie obłąkany... tak przynajmniej o nim mówiono. Czyżby jednak głos powtarzał te litanie. Czyżby to on? Tak... to on. Clyde zbyt już dobrze znał jego rozpaczliwy szept.

Otworzono już drugie drzwi... Może teraz w nie spojrzeć... ten nieszczęsny skazaniec... umrze tam za nimi... zaraz. Widzi już straszliwy hełm stalowy... te sznurki... widzi.

O, jakże silnie przeżywa to wszystko, chociaż ludzi się nadzieją, że go to samo może nie spotka.

- Żegnaj Cutrone - odezwał się ochrypli, drżący głos z pobliskiej celi. Czyj to głos, Clyde nie wiedział. - Idź w lepsze światy...

- Żegnaj Cutrone - odezwał się ktoś z innej celi. - Niech cię Bóg ma w swej opiece, chociaż nie mówisz po angielsku.

Przeszli. Drzwi się zawarły. Już tam jest. Teraz go pewnie wiążą. Pytają go, co ma jeszcze do powiedzenia... pytają... jego, który nie jest w stanie ich zrozumieć... nie jest przecież przy zdrowych zmysłach. Jest już teraz związany... mocno. Kładą na głowę hełm... Teraz... już... już...

Nagle - Clyde nie zrozumiał na razie dlaczego - nagle ściemniły się wszystkie światła w całym więzieniu. Taka idiotyczna była instalacja, że prąd do krzesła elektrycznego płynął z tego samego źródła, co i oświetlenie całego gmachu. Ktoś krzyknął:

- Zaczyna się!

- Już! - zawołał drugi.

- Puścili już na głowę... Biedaczysko!

Po upływie może minuty światło przyćmiło się powtórnie i po raz trzeci po trzydziestu pewnie sekundach.

- Koniec.

- Tak. Wie już teraz, co jest po tamtej stronie... Wie lepiej od nas.

Zaległo milczenie, śmiertelna cisza, po czym rozległy się szepty modlitw.

Clyde stał osłupiały, wstrząsany chłodnym dreszczem. Nie chciał myśleć. Wstrzymywał krzyk w piersiach. Więc to tak! Te zasłony na kratkach cel... Później... później... Już go nie ma... zginął. Trzy razy światło się ściemniło. Tak... to trzy razy prąd puszczone.

Ileż on nocy spędził na modlitwie. Jakże jęczał. Tłukł głową o podłogę... Żył jeszcze przed chwilą... przechodził tędy... a teraz nie żyje. Teraz... któregoś dnia... on... Clyde. Czyż może mieć zupełną pewność, że go nie czeka to samo? Czyż może?

Drżał jak w gorączce, leżąc na posłaniu z ukrytą twarzą. Przyszła służba, zdjęła zasłony, które miały zakrywać wstrząsający widok. Mieli teraz żyć spokojnie, cieszyć się jeszcze życiem, jak gdyby śmierć nie istniała wcale.

Po pewnym czasie Clyde już słyszał rozmowy. Do niego nie odzywano się jeszcze, zbyt świeżo tu przybył, lecz dawniejsi lokatorzy wymieniali wrażenia.

Biedny Pasquale! W ogóle kara śmierci jest niesprawiedliwością na świecie. Sam naczelnik to mówił, a oni też są takiego samego zdania. Należy dążyć do tego, żeby ją znieść.

I patrzcie państwo! Ten biedny Pasquale. Tak się modlił i już nie żyje. Cella jego stoi pusta, zajmie ją ktoś inny, żeby znowu z niej wyjść... tam.

I tu... na tej pryczy też leżał ktoś... taki jak Cutrone... jak on, Clyde. Podniósł się... i zaprowadzono go na krzesło... I on... Clyde... i ci wszyscy tutaj... usiądą na nim.

Zerwał się szybko z pryczy, lecz opadł na nią znowu.

Boże! Boże! Boże! - wołał z głębi duszy, lecz niezbyt głośno, nie tak, jak ten nieszczęsny, który go tak przeraził pierwszej nocy, a który już teraz jest spokojny. Każdy tedy uspokoi się tutaj - i on, i Clyde, i ci wszyscy.

Przeżył już pierwszą egzekucję w więzieniu.

Rozdział XXXI

Asa Griffiths istotnie przeżył poważną chorobę i upłynęły całe cztery miesiące, zanim był w stanie podnieść się z łóżka, a Griffithsowa mogła zacząć rozmyślać o dalszym prowadzeniu żalonych swych kazań czy odczytów. Niestety, przez ten czas zainteresowanie sprawą Clyde'a zupełnie osłabło. Żadna gazeta nie chciała finansować tego przedsięwzięcia bo żadnej z tego nie miałyby korzyści, a jakkolwiek proces Clyde'a żył jeszcze w pamięci ogółu, to mimo współczucia dla matki każdy uważał, że syn cierpi słusznie, a wobec tego apelacja była zupełnie zbyteczna. Przecież każdy, nawet najgorszy złoczyńca odwołuje się od wyroku!

Tymczasem w więzieniu egzekucje odbywały się jedna po drugiej i wywoływały na Clydzie niezmiennie wrażenie. Co prawda, jak się przekonał, nikt tutaj nie mógł się przyzwyczaić do tych straszliwych scen.

Stracono parobka Mowrera, skazanego za zabicie gospodarza; oficera Riordana za zamordowanie własnej żony i pięknego jej kochanka; następnie w ciągu miesiąca poszedł Chińczyk, który, zdaje się, czekał długo na swoją kolej. Odchodząc, nie pożegnał się z nikim, chociaż umiał parę słów po angielsku. Po nim zabrano Larry'ego Donahue, który zawołał na progu kaźni:

- Żegnajcie, chłopcy! Bądźcie szczęśliwi!

Po nim poszedł - och, to naprawdę było straszne - Miller Nicholson, do którego Clyde zbliżył się bardzo i czuł, że trudno mu tu będzie bez niego wytrzymać. Tak, poszedł Nicholson!

Przez całe pięć miesięcy chodzili razem, rozmawiali wiele, wołali do siebie ze swych cel. Nicholson doradzał mu lekturę, wytłumaczył

mu pewien bardzo ważny punkt w sprawie o zabicie Roberty, z którego jego obrońcy powinni skorzystać podczas sprawy apelacyjnej, a mianowicie, że nie należało się godzić na włączenie listów Roberty do dowodów rzeczowych. One to wpłynęły fatalnie na przebieg procesu, wywołując zbyt wiele emocjonalnych wrażeń. Ich wzruszający styl nie pozwolił sędziom bezstronnie rozważać faktów w nich zawartych, nie trzeba było więc się zgodzić na ich czytanie w całości, tylko wybrać z nich same fakty i na nie zwrócić uwagę. Tak też należy postąpić w czasie apelacji.

- Gdyby obrońcy pańscy w porę się spostrzegli, ile takie listy mogą przynieść szkody, mógłby pan na pewno liczyć na wygraną.

Clyde skorzystał z tej rady i za pierwszą bytnością Jephsona przedstawił mu tę myśl. Jephson w zupełności zgodził się z poglądami Nicholsona i zapewnił, że w sprawie apelacyjnej skorzystają z Belknapem z tej rady.

W parę dni później dozorca, zamykając celę Clyde'a, wskazał głową na Nicholsona i szepnął:

- Teraz on. Za trzy dni. Powiedział wam?

Wiadomość ta jak odłam lodu, jak mroźny wiatr opadła na serce Clyde'a. Jak to? W tej właśnie chwili wrócił z codziennej przechadzki. Rozmawiał wiele z Clyde'em, opowiadał o nowym ich towarzyszu, którego świeżo tu sprowadzono. Był to cudzoziemiec, Węgier, zamieszkały w Utica. Skazany został za spalenie swej kochanki w piecu. Przyznał się do wszystkiego ten wielki, ciężki, ogorzały mężczyzna o tępym spojrzeniu i twarzy buldoga. Nicholson powiedział o nim, że jest więcej zwierzęciem niż człowiekiem. O sobie jednak nic nie mówił - ani słowa. A to już za trzy dni! I mógł chodzić i rozmawiać, jak gdyby nic nie zaszło, chociaż musiał wiedzieć o tym już od wczoraj.

Nazajutrz wyszedł również na spacer i rozmawiał, jak gdyby nie spodziewał się nawet, co go czeka, podnosił głowę w górę patrząc w niebo i oddychał pełną piersią świeżym powietrzem.

Clyde szedł obok niego przejęty zgrozą, drżał jak w gorączce i nie był zdolny do rozmowy, myślami błędząc koło jednego tematu:

- Jakże on może tak spokojnie się przechadzać? Cóż to za człowiek?

Przerażenie odbierało mu siły.

Następnego ranka Nicholson nie wyszedł ze swej celi. Pozostał tam i niszczył listy, których wiele zewsząd otrzymywał. Około południa zawołał do Clyde'a:

- Przyślę coś panu na pamiątkę.

Ani słowa jednak nie wspomniał, do czego się przygotowuje. Po chwili dozorca przyniósł mu dwie książki - Robinsona Cruzoa i Baśnie z tysiąca i jednej nocy. Tego wieczora wyprowadzono Nicholsona z celi, a następnego ranka spoza opuszczonych zasłon słyszano przechodzącą procesję, co już nie było nową rzeczą dla Clyde'a. A jednak chwila ta była inna, bardziej bliska, bardziej okrutna.

Przechodząc, Nicholson zawołał:

- Niech was Bóg ma w swej opiece. Mam nadzieję, że wyjdziecie stąd wszyscy szczęśliwie.

I jak zwykle po przejściu skazanego zapadła straszliwa cisza.

Teraz Clyde pozostał sam, zupełnie sam. Nie było tu nikogo, zupełnie nikogo, komu by mógł ofiarować swoją życzliwość. Nie mając się do kogo odezwać, siadywał w zadumie, czytał lub udawał, że słucha tego, co mówią inni. Umysł jego, przetrwawszy tyle udręk, bardziej skłaniał się ku fantazji niż rzeczywistości. Wolał czytać lekkie, poetyczne utwory, romantyczne powieści i duchem uczestniczyć w świecie, do którego zawsze dążył, niż czytać o tym, co mogło mu przypominać twardą rzeczywistość i ludzi, co o nim zapomnieli tak prędko.

Jakże jest teraz samotny... Tak, dostaje listy od matki, od brata,

od siostry. Ojciec ciągle chory, nie jest mu wcale lepiej, matka nie może przyjechać, a w Denver nic dla niego zrobić nie może. Poszukuje jakiejś szkoły religijnej w Denver, gdzie mogłaby nauczać, pielęgnując jednocześnie ojca. Poznała właśnie w Syracuse wielebnego ojca Duncana McMillana, młodego kapłana, i uprosiła go, żeby przyjechał do Clyde'a. Jest taki dobry, taki uduchowiony. Pewna jest, że gdy go Clyde pozna, znajdzie w nim wielkie pocieszenie w swym ciężkim osamotnieniu.

Istotnie Griffithsowa biegając po kościołach i odwiedzając kapłanów, aby wyblagać pomoc dla syna, poznała ojca Duncana, który stał na czele niezależnego, lecz nie sekciarskiego kościoła. Był młody i podobnie jak oboje Griffithsowie oddawał się apostołskiemu prac, nie będąc wyświęconym kapłanem, lecz siłą swych przekonań i charakteru więcej umiał niż oni działać dla kościoła. Zanim spotkał Griffithsową, znał już z prasy sprawę Clyde'a, a dowiedziawszy się, jaki zapadł wyrok, zadowolony był, że sprawiedliwość dosięgła grzesznika. Widząc jednak teraz rozpacz matki i gorączkowe poszukiwanie pomocy, wzruszył się ogromnie.

Wielebny ojciec Duncan sam był niezmiernie kochającym synem, a obdarzony duszą wrażliwą, romantyczną, należał do tych, którzy poruszeni zbrodnią Clyde'a mieli niezłomne przekonanie o jego winie. Czyż można było sądzić inaczej, znając pełne rozpacz i cierpienia listy Roberty, wiedząc, jak beznadziejnie prowadziła życie w Lycurgus? Jakże często przypominał sobie wyjątki z tych listów, zanim poznał matkę Clyde'a. Jakże prostym i pełnym cnót wydawał się kapłanowi piękny wiejski zakątek, gdzie wzrastała Roberta! Clyde był winien, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Naraz zjawiała się przed nim Griffithsowa, biedna, nieszczęśliwa, z takim uniesieniem i rozpaczą zapewniająca o niewinności syna. Skazany na śmierć! Siedzi w więzieniu! Czy to możliwe, żeby zdarzył się taki szczególny zbieg okoliczności, taka omyłka sądowa?

Duszę McMillan miał niedzisiejszą, wyjątkową, głęboką; można go było nazwać współczesnym świętym Bernardem, Szymonem, Piotrem

Pustelnikiem, Sawonarolą. Uważał życie, myśl, wszystkie formy i społeczną budowę za słowo, wyraz, technienie Boga, któremu brzdzi wyklęty Lucyfer, szatan i jego złość. Wmyślał się bezustannie we wzniosły czyn Zbawiciela, rozpamiętywał Kazanie na Górze i słowa świętego Jana, człowieka, który widział na własne oczy i mógł tłumaczyć słowa Boga-Człowieka: "Kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Kto nie zbiera ze mną - marnotrawi". Głęboka, mocna, wrażliwa, a pełna wdzięczności była ta piękna dusza, oplakująca zło, tęskniąca do niezniszczalnej sprawiedliwości.

Griffithsowa w rozmowie z nim kładła nacisk na to, że Roberta też nie była bez winy. Wszak grzeszyła wraz z Clyde'em, czyż można ją całkowicie rozgrzeszyć? Popelniona została wielka sądowa omyłka, syn jej będzie stracony niewinnie tylko dzięki żalosnym, romantycznym listom tej dziewczyny, których nie powinno się było pokazywać sędziom. Mężczyźni nie umieją wydać sprawiedliwego wyroku, gdy chodzi o młodą, ładną dziewczynę, zaplątaną w jakąś romantyczną historię. Nieraz przekonywała się o tym w swej misyjnej pracy.

Argumenty jej trafiły jakoś do przekonania wielebnego ojca McMillana i dowodzenia Griffithsowej wydały mu się słuszne i prawdopodobne. Wysłuchał jej słów błagalnych i zgodził się z tym, że gdyby jakiś wysłannik Boży chciał odwiedzić Clyde'a, a natchniony łaską Pańską i głęboką wiarą przemówił do niego i otworzył mu oczy na to, czego grzesznik dotychczas widzieć nie usiłował, mógłby przekonać go, jak cała szkarada grzechu popełnionego z Robertą obciąża mu duszę na tym świecie i na tamym. Może wtedy łaska Pańska spłynie na niego, oświeci go i oczyści duszę nieśmiertelną. Może popełnił ową zbrodnię, o którą go oskarżają, a może nie, jakkolwiek matka jest święcie przekonana o jego niewinności, miałby jednak niejedno do wyznania w obliczu grożącej śmierci, przed powołaniem go na Sąd Boży. A może nie wyznał wszystkich swych kłamstw i złego prowadzenia nie tylko z Robertą? Może by wtedy takie nawrócenie i wielka skrucha obmyły mu całkowicie duszę, zanim by stanął przed swym Stwórcą. O, gdyby dusza jego została zbawiona, jakież by spokój spłynął na matkę, jakież by szczęście wiekuiste osiągnął jej syn!

Gdy Griffithsowa musiała się udać do chorego męża, wysłała jeszcze dwa listy do wielbnego McMillana, w których znów prosiła o pomoc duchową dla Clyde'a, co ostatecznie zaważyło na decyzji kapłana.

Pojechał do Auburn. Tam przedstawił się naczelnikowi więzienia i powiedział, że przybył, aby duszę młodego Griffithsa skierować na drogę zbawienia. Wpuszczono go od razu do oskarżonego. Stał na razie przed kratą i przyglądał się więźniowi. Clyde leżał na posłaniu i zmuszał się do czytania.

Ojciec McMillan przechylił swą szczupłą postać przez barierkę i bez żadnego wstępu, pochyliwszy głowę, zaczął się modlić:

Zmiłuj się nade mną, Panie. Według miłosierdzia Twego, według wielkich litości Twoich zgładź nieprawości moje.

Obmyj mię doskonale od nieprawości mojej, a od grzechu mego oczyść mię.

Albowiem ja znam nieprawość moją, a grzech mój przede mną jest zawždy.

Tobie Tobiem samemu zgrzeszył
i złem przed oczyma Twymi uczynił,
abyś był sprawiedliwy w mowie Twojej i czystym w sądzie Twoim.

Oto w nieprawości poczęty jestem, a w grzechu poczęła mię matka moja.

Oto się kochasz w prawdzie wewnętrznej, a skrytą mądrość objawiłeś mi.

Oczyść mię, Panie, hizopem, a oczyszczon będę; obmyj mię, a nad śnieg wybieleję.

Daj mi słyszeć radość i wesele, a niech się rozradują kości moje, któreś pokruszył.

Odwróć oblicze Twoje od grzeszników moich, a zgładź nieprawości

moje.

Serce czyste stwórz we mnie, o Boże, a ducha prawego odnow we wnętrznościach moich.

Nie odrzucaj mię od oblicza Twego, a Ducha Swego Świętego nie odbieraj ode mnie.

Przywróć mi radość zbawienia Twego, a duchem dobrowolnym podeprzyj mię.

Tedy będę nauczał przestępców dróg Twoich, aby się grzesznicy do Ciebie nawrócili.

Wyrwij mię z pomsty za krew, o Boże, Boże zbawienia mego, a język mój będzie wysławiał sprawiedliwość Twoją.

O, Panie, otwórz wargi moje, a usta moje opowiadać będą chwałę Twoją.

Albowiem nie pragniesz ofiar, choćbym Ci je dał ani całopalenia nie przyjmiesz.

Ofiary Bogu przyjemne, duch skruszony, sercem skruszonym i strapionym nie pogardzisz, Boże.

Zamilkł ojciec McMillan, a po chwili zaintonował dźwięcznym, przepięknym głosem cały psalm 51. Podniósł oczy patrząc na Clyde'a, który usiadł ze zdumienia, a po chwili wstał i pociągnięty młodzieńczą, energiczną twarzą, przysunął się do drzwi.

- Przynoszę ci, Clydzie, łaskę i zbawienie swego Boga. Wezwał mnie i przyszedłem. Przysłał mnie, żebym ci powiedział, że jakkolwiek grzechy twe są jak szkarłat czerwone, stać się mogą białe jako śnieg. Chociażby były jak purpura, staną się jasne jako wełna. Zbliź się, synu, i porozmawiajmy wspólnie z Bogiem.

Umilkł i spojrzał serdecznie na Clyde'a. Młodzieńczy, ciepły,

pełen nieziemskiego uroku uśmiech błąkał się na jego ustach. Podobała mu się subtelna twarz Clyde'a, którego też ujął niezwykle wyraz rysów przybysza. Jaka miła i pociągająca twarz!

- Nazywam się McMillan - odezwał się znowu kapłan - i jestem sługą Bożym w Syracuse. On mnie tu przysłał, on matkę twoją, Clydzie, przysłał do mnie. Opowiedziała mi wszystko o tobie i ja czytałem już o tobie. Wiem, dlaczego tu jesteś i co cię tu przywiodło. Przyszedłem tu jednak, by ci przynieść radość i spokój.

I nagle zacytował psalm 132: "Dokądże się będę radził, a trapił w sercu moim przez cały dzień".

- To jest psalm 13.2, ale przyszedł mi jeszcze na myśl, także z Biblii, psalm dziesiąty: "Mówi w sercu swym: Nie będę wzruszony, bo nigdy nie będę w przeciwnościach losu". Ty jednak, synu mój, jesteś w przeciwnościach losu. Mógłbym ci powiedzieć: "Mówi w sercu swym. Zapomniał ci tego Bóg; zakrył oblicze Swoje", lecz ja ci powiem, że Bóg nie zakrył oblicza i wolę ci przytoczyć psalm 18: "Uprzedzili mię byli w dzień utrapienia mego, ale Pan był podporą moją. Posławszy z wysokości, zachwycił mię, wyciągnął mię z wód wielkich. Wyrwał mię od mocnego nieprzyjaciela mego. I od tych, którzy mię mieli w nienawiści, choć byli mocniejszymi nad mię". "I wywiódł mię na przestrzeństwo". "Wyrwał mię, iż mię umiłował".

- Clydzie, wszystkie te słowa stosują się do ciebie. Przychodzą na me usta, abym ci mógł je wygłosić, przychodzą tak, jakby mi je ktoś podpowiadał. Jestem tylko ustami, przez które przechodzą słowa, przeznaczone dla ciebie. Zwróć się ku światłu. Poszukaj rady w swym własnym sercu. Zerwij więzy niedoli i rozjaśnij ciemności. Zgrzeszyłeś, a Bóg może, i chce przebaczyć. Okaż skruchę. Połącz się z Tym, który świat ukształtował i opiekuje się nim. On nie wzgardzi twym zaufaniem, nie zlekceważy twych modlitw. Wejrzyj w siebie, tu, w granicach swej celi i mów: Panie, pomóż mi. Panie, wysłuchaj mych próśb! Panie, spraw, abym przejrzał. Myślisz sobie, że przecież tu nie ma Boga i On ci nie odpowie? Módl się tylko. Zwróć się ku Niemu w swej niedoli - ku Niemu, nie do mnie ani też do kogo innego. Tylko do Niego... Módl się, mów do

Niego... Wołaj! Powiedz mu prawdę i błagaj pomocy. Jak mnie tu masz przed sobą, jeżeli tylko serce twoe szczerze żałować będzie popełnionego grzechu, zaprawdę, zaprawdę usłyszysz go i poczujesz w sobie. Ujmie cię za rękę, wnijdzie do twojej celi i do twojej duszy. Poczujesz go przez spokój i światło, które przenikną twój umysł i serce.

Gdybyś potrzebował mnie kiedy, pomocy mojej, modlitwy wspólnej lub jakiejś przysługi, towarzystwa w swej samotności - poślij po mnie. Obiecałem twojej matce, że zrobię dla Ciebie wszystko, co tylko będę mógł. Naczelnik więzienia wie, gdzie mieszkam.

Umilkł jego głos, poważny i przekonywający, a Clyde przyglądał się księdzu z ciekawością i zdziwieniem. McMillan widział wielką młodość Clyde'a i domyślił się, że jest onieśmielony, żyjąc w takiej samotności, więc dodał:

- Jakkolwiek mam wiele pracy w Syracuse, jednak chętnie wpadnę do ciebie co jakiś czas i będę szczęśliwy, gdy będę mógł coś uczynić dla ciebie.

Zamierzał odejść, lecz Clyde, ujęty jego zachowaniem, pełnym szczerego zapału i oddania, zawołał:

- O, proszę nie odchodzić! Jestem bardzo wdzięczny za odwiedziny. Matka mi właśnie pisała, że pan mnie odwiedzi. Tak, jestem tutaj samotny... Nigdy jeszcze nie myślałem o takich słowach, w jakich pan się zwrócił do mnie, być może dlatego, że nie czuję w sobie takiej winy, jak by się to zdawać mogło, cierpię jednak bardzo, bo tutaj każdy cierpi.

W oczach miał smutek i skupienie.

- O, Clydzie, niepotrzebnie się martwisz - odezwał się ojciec McMillan, wzruszony jego słowami: - Chętnie znów przyjdę do ciebie, widzę bowiem, że mnie potrzebujesz. Nie dlatego kazałem ci się modlić, że byłem pewien twojej zbrodni. Nie wiem, tyś mi nic nie powiedział i tylko ty sam i Bóg jeden wie, jakie są twoje grzechy i twoje cierpienia. Czuję jednak, że potrzebujesz duchowej pomocy i On

tylko dać ci ją może. O, i wielką nawet! Bóg jest ucieczką uciśnionych, schronieniem przed nieszczęściem.

Uśmiechnął się przyjaźnie do Clyde'a, który pod wrażeniem jego słów, miłego głosu i życzliwego spojrzenia odrzekł, że pragnąłby, aby matka dowiedziała się, że jest zdrow.

Pisuje do niego takie smutne listy i tak się martwi o niego. A on? cóż on? Nie jest mu tu ani lepiej, ani gorzej... Któż by chciał się znaleźć w jego położeniu? Ach, gdyby modlitwa mogła mu przywrócić spokój duszy, jakże czułby się szczęśliwy! Matka zawsze nakłaniała go do modlitwy, musi jednak z przykrością wyznać, że niezbyt chętnie słuchał jej rad.

Clyde miał minę przygnębioną, więzienna bladość od dawna wessała się w jego twarz. Wielebny ojciec McMillan spoglądał na niego z żalnością i odpowiedział z wolna:

- Nie martw się, Clydzie. Światło i spokój spłyną na cię z pewnością. Masz tutaj Biblię, widzę. Otwórz który bądź psalm i czytaj. Czytaj 51, 91, 23. Czytaj świętego Jana, czytaj wszystko od początku do końca. Rozmyślaj i módl się, i myśl o wszystkim.

O księżycu, słońcu, gwiazdach, drzewach, morzu, o swym własnym, bijącym sercu, o swym ciele i mocy w nim zawartej i pytaj sam siebie, kto to wszystko stworzył. W jaki sposób może istnieć. Gdy wytłumaczyć tego nie będziesz umiał, zapytaj się, czy ten ktoś, kto nadał kształt każdej rzeczy, nie jest dostatecznie potężny i dostatecznie mądry, by ci pomóc, gdy potrzebujesz pomocy, by zesłać na cię światło, gdy tego pożądasz. Pomyśl o tym Stwórcy wszystkich widomych rzeczy i proś Go - Stworzyciela nieba i ziemi - by ci wyjaśnił, jak i co masz czynić dalej. Proś bez żadnej wątpliwości w sercu; proś i nasłuchuj! Proś w dzień i w nocy! Schyl głowę, proś i czekaj! Zaprawdę, On cię nie opuści. Wiem o tym, bo sam ten spokój osiągnąłem.

Popatrzył na Clyde'a wzrokiem zachęcającym, uśmiechnął się i odszedł. Clyde wychylił się przez barierę ze zdumieniem:

Stwórca! Jego Stworzyciel! Stworzyciel świata... Proś i czekaj...

Dotąd jeszcze tkwiła w nim wzgarda dla praktyk religijnych, bezcelowych, próżnych, wzgarda dla modłów bezowocnych i kajań się żarliwych. Widział je w domu. On więc, Clyde, ma powrócić do nich dlatego tylko, że jest w położeniu beznadziejnym, że go tu przytłacza lęk i groza? Nie! on nie ma tak silnej wiary! Nie ma już nadziei!

W każdym razie jednak nie mógł przestać myśleć o swym niedawnym gościu. Osoba tego kapłana o twarzy apostoła, silna postawa, zapal promieniujący z oczu przykuwały, ujmowały i zmuszały do zastanowienia się, czego żaden rzecznik religijny nie mógł w nim dokonać. Zainteresowała go, zdziwiła, zachwyciła prawie głęboka wiara tego człowieka. Może... może nie od razu... zdaje się jednak, że będzie mógł zaufać temu człowiekowi.

Rozdział XXXII

Żadna z tych dodatnich cech ojca McMillana nie przykułaby uwagi Clyde'a przed ośmioma miesiącami, gdy wszelkie słowa pociechy i nauki o Bogu miał jeszcze w pamięci z lat dziecińczych. Nie wzruszyłby się tak jak obecnie, gdy był uwięziony, odcięty od świata, w nieopisanie ciężkich warunkach przeżywający swe troski. Teraz był zmuszony szukać ukojenia i ulgi jedynie we własnych myślach. O czymże miał myśleć? Zakres jego pojęć był bardzo ograniczony, myśli więc swoje umiał skierować tylko ku przeszłości, terażniejszości lub przyszłości. Przeszłość jednak była zbyt przykra, żeby nad nią rozmyślać. Rozdrażniały go te wspomnienia i rozpały. Terażniejszość - ach, terażniejszość! A więc to, co go otacza... Nie! terażniejszość, a tym bardziej

przyszłość ze śmiertelnym lękiem, co będzie, jeżeli przegra w apelacji, nie nadawały się wcale do rozpamiętywania jakkolwiek stale panowały w jego świadomości.

Cóż więc roіło się w tej umęczonej głowie? Jakies nadzieje, jakies fantazje. Na co jednak mógł liczyć i o czym fantazjować? Liczył czasami na to, że myśl, podsunęta przez Nicholsona, pomoże mu do wygrania sprawy, że po uwolnieniu wyjedzie stąd gdzieś daleko, o, tak, bardzo daleko - do Australii, może do Afryki albo do Meksyku, wszystko

jedno zresztą dokąd. Tam, pod zmienionym nazwiskiem, zapomnieć musi o swych pięknych stosunkach i o życiu w wyższych sferach towarzyskich. Będzie pracował na jakimś skromnym stanowisku. W trakcie tych marzeń budziła się w nim przerażeniem zionąca myśl, co będzie, jeżeli prośba o sprawę apelacyjną zostanie odrzucona? Czy to niemożliwe? Po takim procesie w Bridgeburgu? A wtedy - jak w tym śnie jego strasznym, gdy uciekał od kłębowiska żmij i wpadł na straszliwą jakąś stworę - stawała przed nim ohydna zjawa: krzesło. To potworne krzesło! Te przewody, paski, prądy ściemniające światło w jego celi! Nie! nie mógł o tym myśleć! nie mógł znieść tej myśli! Jeżeli odrzucą prośbę o apelację? Co wtedy? Zginie! Nie! precz z tym!

O czymże jednak myśleć? Dręczył się tym do czasu odwiedzin ojca McMillana. Ten mu wskazywał jedyną a pewną drogę ratunku - u Boga, Stworzyciela wszechrzeczy. Jak to, tak proste i łatwe byłoby to do skutecznienia?

- Dane ci jest, abyś poznał spokój nieziemski - przekonywał czytając mu świętego Pawła i jego listy do Koryntian i Galatów.

Jakże to będzie łatwe, gdyby tylko Clyde chciał za nim powtarzać i modlić się - "a spokój i wszelkie przyjdzie zrozumienie". Spokój jest w nim samym i dokoła niego, należy go tylko znaleźć, wyznać wszystkie błędy i niedole serca swego i wywołać skrucę. "Proś, a będzie ci dane, szukaj, a znajdziesz, kołataj, a będzie ci otworzone. Albowiem każdy, kto prosi - otrzyma, kto szuka - znajdzie, kto kołacze - będzie miał otworzone". Czyż znalazłby się człowiek, który, gdyby go syn prosił o chleb - dał mu kamień, lub

gdyby prosił o rybę - dał mu węża?

Pięknie i w podniosły sposób mówił to ojciec McMillan. Clyde miał jednak w pamięci modlitwy rodziców. Cóż im one dały? Niewiele jakoś mieli z tego... Albo ci skazańcy, którzy modlili się żarliwie z księżmi, pastorami czy rabinami, czyż ich mimo wszystko nie zaprowadzono do sali egzekucyjnej? Nic nie pomogły protesty, rozpacze, jęki żalosne, mogli szaleć jak Cutrone lub zobojętnieć zupełnie. Clyde'a także już nic nie interesowało. Cóż go mogło interesować? Wiadomości? Jakie?

A jednak oto zjawił się ojciec McMillan. Więzień spojrział w jego łagodne, spokojne oczy, usłyszał słodki głos, dostrzegł silną wiarę i wzruszył się. Czyżby... czyżby?... Taki jest sam, taki zrozpaczony, tak potrzebuje pokrzepienia...

Może to i prawda, że gdyby wiódł inne życie, więcej przykładał uwagi do słów i nauki matki - nie poszedłby do domu rozpusty w Kansas City, nie prześladowałby Hortensji Briggs, a później Roberty swoją żądzą, lepiej umiałby pracować i oszczędzać niż inni. Czyż nie lepiej było stać z dala od pokus tego świata, które go tu przywiodły? Czy umiałby jednak przemóc swe silne impulsy i pragnienie; czy zdołałby? Czy innych - matki, stryja, kuzyna i tego oto kapłana nie nękały nigdy takie pożądanja? Być może mieli więcej od niego odwagi, więcej ideałów w duszy, by tym pokusom stawić czoło. Zbyt często i ochotnie oddawał się złym, występnyom myślom, którym inni nie dawali do siebie przystępu. Może to i ma jakie znaczenie... Może i jest jakiś Bóg... Może bierze udział w ludzkich sprawach... jak zapewnia ojciec McMillan... Czy może w takiej jak ta chwila zwrócić się do Niego, do tej jakiejś siły twórczej, ktoś, co nie chciał znać Go dotąd i prosić o pomoc? Tu, w tych murach, każdy potrzebuje pomocy, nie mając nikogo za sobą, tylko paragrafy prawne rządzące nim, bezwolnym. Czy jednak tajemnicza ta potęga zapewni pomoc? Czy istnieje naprawdę i słyszy ludzkie błagania? Ojciec McMillan zapewnia, że tak. "Rzekł jako Bóg zapomniał, zakrył swe oblicze. On atoli nie zapomniał, nie ukrył oblicza". Czy to prawda?

Przeżywając chwile ciężkie, pełne lęków i trwogi, potrzebując w

głębi duszy pokrzepienia, pomocy przed wiszącym nad nim niebezpieczeństwem, Clyde czynił to, co każda ludzka istota w takich razach czynić zwykła - szukał może jeszcze niewprawnie, niepewnie, prawie nieświadomie obecności czy istnienia jakiejś nadludzkiej nierealnej istoty czy potęgi, która by chciała i mogła go wspomóc, skierować ku nieznanym siłom. Prócz religii, która je wskazywała, Clyde nie miał najmniejszego pojęcia o innych źródłach.

"Niebiosą głoszą Chwałę Pana, firmament ukazuje jego dzieła". Przypominał sobie napis, wiszący w oknie domu misyjnego w Kansas City. Inny znów opiewał: "Dla Niego jest twoje życie i długość twych dni".

I z wolna zaczął się oswajać z tą myślą; pominąwszy nawet wielką sympatię, jaką czuł do ojca McMillana, a daleki od przyswajania sobie na ślepo sentencji, wtłaczanych weń w domu rodzicielskim, gotów był zgodzić się z tym, że tylko w religii znaleźć może ukojenie.

Mijały tygodnie, miesiące, ojciec McMillan zjawiał się u Clyde'a dość często, prawie co tydzień, pytał, jak się czuje, słuchał życzeń, udzielał rad, dotyczących zdrowia i spokoju duszy. Clyde, spragniony tych odwiedzin i sympatii kapłana, stopniowo i coraz bardziej poddawał się jego wpływowi. Unosił się nad wzniosłością jego ducha, nad przepięknym tonem głosu, a kojące cytaty wносиły do jego duszy wiele pokrzepienia.

"Braćmi jesteśmy, my, dzieci Boga, nie widać wszakże tego po nas. Wiemy atoli, że nauczał nas, jako powinniśmy być Jemu podobni i możemy Go ujrzeć takim, jaki On jest. Każdy człowiek ufność w Nim pokłada, pragnie być tak czysty, jak On jest czysty".

"Przez to wiadomo, iż w Nim przebywamy, a On w nas, albowiem obdarzył nas Duchem swym".

"Albowiem kupiony jesteś za swoją cenę".

"Z własnej swej woli spłodził nas Pan słowem Prawdy i powinniśmy

być pierwszym owocem jego stworzeń. Każde dobro i każdy dar cenny spływa na nas z góry i dany nam jest przez Ojca Światłości, a z Nim nie ma żadnych zmian ni cienia powrotu".

"Zbliź się do Boga, a On do cię się zbliży".

Czuł więc Clyde chwilami, że znajdzie spokój, siłę, może nawet pomoc, odwołując się do tej potęgi, tak mocno działały na niego zapach i siła duchowa ojca McMillana. Chodziło mu jeszcze o kwestię wyznania win i wzbudzenia żalu za nie. Przed kim ma je wyznać? Oczywiście, przed ojcem McMillanem, który uważał, że dla spokoju duszy nieodzowne jest, aby Clyde oczyścił ją przed powołanym sługą Bożym. Jakże to jednak? W sądzie składał przecież fałszywe zeznania i na tym opierał powodzenie sprawy apelacyjnej... Więc ma je cofnąć teraz... przed sprawą? Lepiej chyba poczekać trochę, dopóki nie dowie się, czym proces się skończy.

Żyć jednak z tą ohydą w duszy, z fałszem, z nieszczerością! Czyż może przypuszczać, że Bóg troszczyć się będzie o człowieka, który żyje podstępem i wykrętami? Nie! to nieuczciwe! Cóż by powiedział o nim ojciec McMillan, gdyby znał jego myśli?

Trudno mu było wybrnąć z tych wątpliwości. Nie umiał dotąd jeszcze ocenić wielkości swej winy. Tak, bez wątpienia, czynił plany - chciał uśmiercić Robertę i to naprawdę było najstraszniejsze.

Dopiero teraz, gdy ostygła w nim nieco namiętność i pożądanie Sandry mógł bezstronnie wniknąć w stan swego umysłu. Jakie to były straszne, nikczemne dni, gdy bezwiednie, wbrew własnemu charakterowi (tak mu to przynajmniej wytłumaczył Belknap), płonął obłądną gorączką, która graniczyła z szaleństwem. Sandra!... Taka piękna, taka wytworna! Jej zwodniczy uśmiech... czar jej ust! Teraz jeszcze na to wspomnienie czuł, że ogień w jego żyłach nie zgasł doszczętnie, złagodniał tylko nieco, przycichł pod ciosem okrutnego losu.

Może jednak powiedzieć na swoją obronę, że nigdy, nigdy nie byłby zdolny wpaść na taki pomysł, ulec złym podszeptom, ani zabić nikogo, ani porzucić kochankę taką jak Roberta, gdyby nie był

oczarowany, oszalały zupełnie. Lecz sędziowie w Bridgeburgu słuchali tych słów z nietajoną wzdrganą, czyżby sąd apelacyjny miał patrzeć na to odmiennie? Chyba nie. Czy to jest, czy nie jest prawdą? Chciałby poradzić się kogoś, wyznać wszystko, wszystko, by móc wreszcie jasno to zrozumieć. Tak, rzeczywiście, czynił zbrodnicze zamysły ze względu na Sandrę (a o tym tylko Bóg jeden wie), ale nie byłby zdolny ich wykonać. Ten szczegół pominięto w sprawie dlatego, że obrona zajęła fałszywą pozycję i nie pozwoliła na wyznanie szczerzej prawdy, a byłaby to chyba okoliczność łagodząca. Czy będzie taką i w oczach ojca McMillana? Kłamstwo padło z ust Clyde'a za zgodą Jephsona, lecz bądź co bądź prawda została prawdą.

Piętrzyły się w duszy Clyde'a zwątpienia gdy rozważał splot tych dziwnych okoliczności, w które z własnej woli i bezwiednie się uwikłał. Były dwie ciemne strony w tej sprawie: 1) że sprowadził Robertę nad to jezioro, na takie opustoszałe miejsce i 2) że swym ponurym wyglądem przestraszył ją do tego stopnia, że podniosła się w łódce, usiłując zbliżyć się do niego. Wtedy to uderzył ją bezwiednie. To była jego właściwie wina. Wymierzył jej cios zbrodniczy, występny. Był więc winien. Co na to powie ojciec McMillan? A czy to było jego winą, że wskutek tego uderzenia Roberta wpadła do wody? Czy też nie jest winien tego?

Myśli te były dlań prawdziwą torturą - czuł wyraźnie, jak kształtowała się jego wina. Mimo słów sędziego Oberwaltzera, że "gdyby Roberta przypadkiem wpadła w wodę, nie byłoby zbrodni ze strony oskarżonego", jednak nie ratował jej... nie pośpieszył na pomoc... a dlaczego - pamiętał dobrze. Czy to była zbrodnia, czy nie?

Bez wątpienia, jak to Mason ostro zaznaczył w swym oskarżeniu, Clyde mógł uratować tonącą. I uratowałby ją niewątpliwie, gdyby to była Sandra lub Roberta jeszcze sprzed roku. Usprawiedliwianie się, że obawiał się, aby Roberta nie pociągnęła go na dno, także nie przynosi mu zaszczytu, musi to przyznać. Z pewnością starałby się ratować tonącą, gdyby to była Sandra. Musi więc i to wyznać ojcu McMillanowi, jeżeli zdobędzie się na taką spowiedź - musi powiedzieć prawdę.

Czy takie wyznanie wszystkich win wiedzie istotnie do nawrócenia?
Czy naprawdę pragnie się nawrócić i tak umrzeć?

Nie,

trzeba jeszcze trochę poczekać, przynajmniej dopóki nie skończy się sprawa apelacyjna. Po co wyciągać na jaw najtajniejsze myśli, kiedy Bóg i tak wie wszystko? On, Clyde, żałuje teraz tego szczerze, zupełnie szczerze. Sam widzi jasno, jakie to było ohydne, straszne, ile sprawił cierpienia swym bliskim. Ach, życie jest tak miłe... tak rozkoszne... O! gdyby mógł stąd wyjść! nie widzieć, nie słyszeć, nie odczuwać tego straszliwego lęku, tej zgrozy nieustannie wiszącej nad nim. Tych wolno zapadających zmierzchów, tych nierychliwych świtów, długich, długich bez końca nocy! O, te westchnienia, te jęki, nie kończąca się męka dni i nocy, doprowadzająca niemal do szaleństwa! Może by już sam popadł w obłąd, gdyby nie ojciec McMillan, tak mu oddany, taki dobry, taki sympatyczny i taki kojący.

O, jakżeby chciał usiąść kiedyś przy nim, powiedzieć wszystko i usłyszeć od niego, jak wielka jest jego wina, czy istotnie jest tak wielka, jak sam sądzi. A jeżeli jest winien, prosić go, żeby się modlił za niego. Czasami czuł, że modlitwy matki i ojca McMillana więcej zdziałać mogą niż jego własne najżarliwsze błagania. Czasami wcale nie mógł się modlić, a czasami słuchając modlitw, wygłaszanych miękkim, melodyjnym głosem ojca McMillana lub czytanych przez niego listów do Koryntian, gotów był zaraz wyznać mu wszystko.

Dni mijały, Clyde jednak nie mógł zdobyć się na spowiedź i ojciec Duncan zaczął już wątpić z rozpaczą w jego nawrócenie i zbawienie. Naraz któregoś dnia przyszedł list, a raczej parę słów od Sandry. Podpisu jednak nie było. Każdy list przejść musiał przez biuro naczelnika więzienia i przez wiele rąk. Według przepisów więziennych musiał być otworzony i przeczytany. Ponieważ wywnioskowano z treści, że list może dobrze wpłynąć na więźnia, może okazać mu bezcelowość jego występkę lepiej niż kara, zwłaszcza że list pochodził prawdopodobnie od owej panny X, wsławionej w procesie, postanowiono tedy po długich rozważaniach

dać go Clyde'owi do przeczytania.

Wręczono mu ten list o późnej godzinie, jednego z ostatnich dni jesieni; minął właśnie rok od chwili, gdy Clyde wkroczył w te progi.

Wziął go do ręki. Pisany był na maszynie, bez daty, bez adresu nadawcy na kopercie, na której znalazł pieczęć Nowego Jorku - wiedział jednak od razu, że to od niej. Ręce zatrzęśły mu się nerwowo, lecz czytał... O, czytał długo, przez wiele dni jeszcze:

Clyde! Słowa te mają być dowodem, że osoba, którą kiedyś tak bardzo kochałeś, niezupełnie Cię zapomniała. Również bardzo cierpiała, cierpiała ogromnie, a chociaż nie mogła i nie będzie nigdy w stanie pojąć, jak mogłeś to uczynić i jakkolwiek nigdy Cię już nie ujrzy, cierpi jeszcze teraz i wspomina z serdecznością, a życzy wolności i szczęścia.

Bez podpisu, bez najmniejszego znaku, że to od niej. Obawiała się położyć swój podpis i stała się tak obca, że nie chce nawet, aby wiedział, gdzie teraz przebywa. W Nowym Jorku! Nie. Przecież mógł ktoś inny go oddać tam na pocztę... bo ona nie chce... nie chce, żeby się dowiedział, nawet będąc pewna, że ma tu umrzeć niedługo... Ostatnia jego nadzieja, ostatni błysk dawnych marzeń zgasł... na zawsze!

Ogarnęła go ciemność niby noc, spadająca nagle na konający zmierzch zachodu. Jeszcze się jedna złota smuga czerwieni, a po chwili już nic - tylko ciemność.

Usiadł na tapczanie. Obrzydłe paski na więziennym kaftanie i filcowe pantofle przykuły jego wzrok. Zbrodniarz! Ten kaftan. Te pantofle. Ta cela. Straszna, niepewna przyszłość - tak straszna, że o niej myśleć nie może. Ten list... Ten list to kres pięknego, czarownego snu... Więc po to tak rozpaczliwie pragnął się uwolnić od Roberty... że gotów był ją zabić? Po to? Po to?

Obracał list w ręku, potem znieruchomiał.

Gdzież ona jest teraz? Kogo teraz kocha? Minęło dość czasu, by jej uczucie zgasło. Może go nawet nie kochała? Podobał się jej tylko... Może. A potem straszna wiadomość zburzyła doszczętnie cały jej sentyment dla niego... Jest wolna. Bogata, piękna. Teraz kto inny...

Zerwał się i zaczął biegać po celi. Cierpiał nieznośnie. Po drodze migąła mu przed oczyma cela, w której siedział niegdyś Chińczyk. Teraz zajmował ją Murzyn Wash Higgins. Zakłął sztyłem kelnera w restauracji za to, że mu nie dał jeść. Tuż obok siedział młody Żyd. Zabił właściciela sklepu jubilerskiego i chciał go ograbić. Od chwili swego przybycia siedział przygnębiony, cały dzień przeważnie spędzał na swym tapczanie kryjąc głowę w dłoniach. Clyde doskonale widział obu ze swej celi. Żyd siedział nieruchomo z twarzą ukrytą w rękach, a Murzyn, siedząc na pryczy, założył nogę na nogę, palił fajkę i śpiewał:

O, toczy się koło, toczy... hmp!

O, toczy się koło, toczy... hmp!

O, toczy się koło, toczy... hmp!

Na mnie! na mnie!

Clyde, nie mogąc się oderwać od własnych myśli, odwrócił się od tych ludzi.

Skazany na śmierć! On! skazany! Tak się skończył cudny romans z Sandrą! Pożegnanie. "I jakkolwiek nigdy Cię już nie ujrzy"...

Rzucił się na łóżko. Nie, płakać nie będzie. Odpocznie trochę, jest tak zmęczony.

Lycurgus. Twelfth Lake. Bear Lake. Zabawa. Pocałunki. Śmiechy. Wszystko to było na jesieni, rok temu... A teraz... po roku.

Ach, to ten Żyd. W chwili, gdy Clyde'owi, zmęczonemu wspomnieniami, zdawało się, że dłużej tej męczącej ciszy nie zdoła

wytrzymać, dało się słyszeć coś podobnego do pieśni religijnej. Jakież smutne! ach, okropne... Kilku więźniów zaczęło głośno protestować. A jednak jak to odpowiada temu miejscu, jak jest mu właściwe. - Byłem zły. Byłem podły. Kłamałem. O, o, o. Byłem niewierny. Serce me było występne. Łączyłem się z ludźmi, czyniącymi źle. O, o, o. Kradłem. Byłem fałszywy, byłem okrutny. O, o, o.

- Milcz, na miłość Boską! - wrzasnął Tom Rooney, skazany za zabicie swego rywala. - Wiem, że jest ci źle, ale i mnie tak samo. Na miłość Boską, milcz!

Clyde, leżąc na tapczanie, łączył swe myśli z rytmicznym śpiewem Żyda i powtarzał za nim w duszy:

- Byłem zły. Byłem podły. Kłamałem. O, o, o. Byłem niewierny. Serce me było występne. O, o, o. Łączyłem się z ludźmi, czyniącymi źle. Byłem fałszywy, byłem okrutny. Chciałem zabić. O, o, o. Po co? Dla próżnych marzeń nie do urzeczywistnienia... O, o, o... O, o, o.

W godzinę później dozorca postawił na półeczce u drzwi kolację, lecz Clyde się nie poruszył. Jedzenie! Gdy w pół godziny potem dozorca powrócił, talerz stał nietknięty - u Żyda również. Zabrał posiłek w milczeniu. Dozorcy wiedzą, że na więźniów nachodzą takie czarne chwile. Wtedy jeść nie mogą. Były również chwile, kiedy dozorca jeść nie mogli.

Rozdział XXXIII

Przygnębienie Clyde'a nie uszło oczom ojca McMillana, kiedy go w

dwa dni później odwiedził. Domyślał się, skąd płynie jego depresja. Od dawna był pewien, sądząc z zachowania Clyde'a, ze sposobu odmawiania modlitw, które chłopiec za nim powtarzał może jeszcze nie z taką głęboką wiarą, jakby należało, że doprowadzi jego duszę do zamierzonego celu. Udało mu się nawet wyrwać Clyde'a z przygnębienia. Powiedział mu, że jest szaleństwem oddawać się rozpacz.

- Jak to? - wołał. - Czyż spokój nie jest w mocy Boskiej i nie możesz Go o to uprosić? Kto szuka Boga i umie Go znaleźć - a na pewno Go znajdzie, jeżeli szuka - nie powinien się martwić, tylko się radować. "A zaliż nie wiemy, że mieszkamy w Nim, a On w nas, albowiem obdarzył nas Swym duchem".

Clyde więc modlił się lub czytał. Wreszcie w dwa tygodnie po otrzymaniu listu od Sandry, który go tak ostatecznie przygnębił, zwrócił się do ojca McMillana z prośbą, aby skłonił władze więzienne do przeniesienia go na pewien czas do innej celi, bo w tej zbyt wiele już przeżył moralnej udręki. Tam, w innym pokoju, Clyde chce szczerze pomówić z ojcem McMillanem i zasięgnąć jego rady. Powiedział dalej, że sam nie jest w stanie rozstrzygnąć wątpliwości co do wszystkich zdarzeń zaszłych w jego życiu, i dlatego może nie umie znaleźć tego spokoju ducha, o którym tyle mówi ojciec McMillan. Może... z fałszywego punktu widzenia patrzył na swe życie. Chciałby właśnie zastanowić się nad winą, za którą został skazany, i przekonać się, czy źle nie rozumuje. Sam nie potrafi znaleźć w sobie tej pewności.

Ojciec McMillan, wzruszony tym duchowym triumfem, prawdziwą nagrodą wiary i modlitw, poszedł natychmiast do kancelarii więziennej, gdzie naczelnik bardzo chętnie ułatwił mu wszystko. Dał do dyspozycji jedną z cel w starej kaźni na dowolny przeciąg czasu. Żaden dozorca nie miał być obecny podczas ich rozmowy, jeden tylko miał pozostać na zewnątrz korytarza.

Zaczął więc Clyde opowiadać o swym związku z Robertą i Sandrą. Ponieważ wiele szczegółów było już znanych ze sprawy sądowej, teraz więc streszczał się tylko, a zatrzymał się dłużej nad wypadkiem w łódce.

Czy ojciec McMillan uzna go za winnego, wiedząc już wszystko o zbrodniczych zamysłach, o prawdziwej intencji, o pożądaniu Sandry, o wszystkich jego projektach i marzeniach z nią związanych - czy rzeczywiście uzna go za zbrodniarza? Pyta o to, chce wiedzieć, nie mając już nic na sumieniu utajonego, bo opowiedział ściśle tak, jak było, nie zaś, jak zeznawał w sądzie. Skłamał mówiąc, że doznał jakiejś zmiany uczuć. obrońcy jego podyktowali mu ten sposób obrony. Nie wierząc w jego winę uważali, że to jest najlepszy sposób odzyskania wolności. Lecz to było kłamstwo. Nie powiedział nikomu o tym, co odczuwał w łódce w chwili, gdy Roberta podniosła się i usiłowała zbliżyć się do niego - gdy on ją uderzył - nie powiedział o tym ani słowa prawdy. Nie potrafi wytłumaczyć sobie, zupełnie nie potrafi, dlaczego ją uderzył, wie tylko, że to było niechcący. Pragnąłby to sobie wyjaśnić, bo chce z czystą duszą stanąć przed Stwórcą. Sam nie wie, jak się to stało i dlaczego. Powiedział w sądzie, że nie czuł do niej gniewu, że nastąpiła w nim zmiana uczuć, lecz nie, nie odczuwał w sobie żadnej zmiany uczuć. Właściwie...

zanim się Roberta podniosła, czuł w sobie coś dziwnego, jakiś niepokój graniczący z obłędem, paralizujący mu ruchy, spowodowany... nie, nie umie dokładnie powiedzieć, czym spowodowany. Myślał zrazu, a właściwie potem, że spowodowane to było współczuciem dla Roberty, a może wstydem, że tak ohydnie z nią postępuje, że nosił się z zamiarem uderzenia jej. Czuł przy tym gniew, tak... nienawiść może nawet... za jej uporczywe zmuszanie go do tego, czego wcale nie chciał uczynić. Może również - myślał nad tym dużo, a jednak jeszcze nie jest tego pewien - może to była również obawa przed następstwami zbrodniczego czynu, chociaż... Jeśli dobrze pamięta, nie myślał wtedy o żadnych następstwach, tylko o tym, że nie jest w stanie wykonać swego planu, i dlatego był zły na siebie. Uderzenie zaś, tego jest pewien... uderzył ją, nieumyślnie wprawdzie, ale uderzył ją oburzony, że chciała się do niego zbliżyć. Nie jest jednak pewien, czy wiedział o tym, że tak silnie ją uderza. Myślał o tym później, gdy był zmuszony o tym myśleć. Wie jednak na pewno, że podniósł się w łódce, żeby ją ratować, jakkolwiek nienawidził jej w tej chwili. Ale przykro mu było, że ją uderzył...

W każdym razie jednak, gdy łódka się wywróciła i oboje znaleźli się w wodzie, on z rozterką patrzył, jak Roberta tonie, i nakazywał sobie: "Nie ruszaj się", bo w ten sposób uwalniał się od niej. Tak, tak właśnie myślał. Wie jedno tylko, że chciał jak najprędzej... że śpieszył się do swej panny X i to była główna siła, która nim wtedy rządziła.

Czy więc teraz ojciec McMillan, wiedząc już o wszystkim, rozważywszy wszystko, co się działo przedtem i potem, rozważywszy nieumyślne uderzenie, którego bardzo żałował, rozważywszy jego wielką niechęć do Roberty i to, że nie pośpieszył jej na ratunek - czy będzie go miał za mordercę, czy będzie myślał o nim, że popełnił grzech krwawy, śmiertelny, za który duszą i ciałem zasługuje na śmierć? Czy zasługuje? Chce wiedzieć dla spokoju własnej duszy - wtedy dopiero będzie mógł się modlić.

Spowiedź Clyde'a głęboko poruszyła ojca McMillana, nigdy bowiem w swym życiu nie rozwiązywał tak dziwnego, zawikłanego zagadnienia, a jeszcze więcej był poruszony tym, że Clyde tak wielką pokładał w nim ufność. Siedział więc zamyślony głęboko, smutny, pełen niepokoju - tak ważką bowiem w skutkach miał wydać opinię, z niej właśnie Clyde chciał czerpać swój ziemski i duchowy spokój. Nie mógł jednak ojciec McMillan dać szybkiej odpowiedzi, zanadto był oszołomiony.

- Gdy wchodziłeś wraz z nią do łódki, mój synu, czy nie zmieniło się twe serce dla niej, twe zamiary nie...

Twarz kapłana była szara, oczy mu się zapadły i wyrażały wielki smutek. Wysłuchał przed chwilą strasznej, rozpaczliwej opowieści o czynie okrutnym, ponurym. Taki młody chłopiec! Jego gorące, niespokojne serce czuło brak wielu takich rzeczy, o których ojciec McMillan nigdy nie zamarzył. I zbuntowało się. I bunt ten sprowadził na niego grzech śmiertelny, za który zapłaci życiem. Mózg mu się obłąkał, a w sercu zamieszkał niepokój...

- Nie - odrzekł Clyde.

- Mówiłeś, żeś był zły na siebie, nie mogąc dokonać obmyślanego

planu?

- Tak. Do pewnego stopnia tak. Było mi jednak przykro... także...
A może się bałem... nie jestem pewien. Może i nie... Nie wiem.

Ojciec McMillan pokiwał głową. Dziwne. Trudne do rozwiązania.
Występne. A jednak...

- Gniewny jednak byłeś na nią, że cię doprowadziła do tego stanu?

- Tak.

- Że musiałeś pasować się z takimi trudnościami?

- Tak.

- I zamyślałeś ją uderzyć?

- Tak rzeczywiście było.

- Nie mogłeś jednak?

- Nie mogłem.

- Chwała Ci, Panie... Uderzyłeś ją jednak, jakkolwiek nieumyślnie,
jak powiadasz, pod wpływem oburzenia na nią. Dlatego to cios był
tak... tak silny. Nie chciałeś, żeby zbliżyła się do ciebie?

- Nie, nie chciałem... Zdaje mi się, że nie chciałem... Nie jestem
pewien. Może... może się mylę. Byłem podniecony... chory prawie...
ja... ja...

Siedział przed kapłanem w swej więziennej odzieży, z głową
ostrzyżoną przy samej skórze i starał się przypomnieć, jak
rzeczywiście było, zaniepokojony do głębi, że nie może sam nawet
przed sobą wyjaśnić kwestii, czy był, czy nie był winien.

Ojciec McMillan wyszeptał z trudnością:

- Przestronne są wrota i szeroka droga, wiodąca do zniszczenia - a po chwili zapytał znowu: - Zerwałeś się jednak, by ją uratować?

- Tak, zerwałem się zaraz. Chciałem ją pochwycić, gdy upadła, ale wtedy wywróciła się łódka...

- Naprawdę chciałeś ją pochwycić?

- Nie... wiem. Wtedy tak mi się zdawało. I przykro mi... żal mi było... zdaje się.

- Czy możesz powiedzieć na pewno i tak szczerze, jakbyś stał przed samym Bogiem, że ci było przykro - że na pewno chciałeś ją uratować?

- Stało się to... tak... szybko... - jękał się Clyde z niepokojem i bez cienia nadziei w sercu - że nie jestem pewien. Nie, nie wiem, czy mi było przykro... Nie wiem już teraz... doprawdy... Czasami zdaje mi się, że byłem zmartwiony... trochę - czasami znów myślę, że wcale. Gdy znikła jednak pod wodą, a ja znalazłem się na brzegu... tak, było mi przykro... trochę, czułem wszakże przy tym pewne zadowolenie, że odzyskałem swobodę, chociaż obawiałem się... także. Chodziło mi...

- Tak, rozumiem. Śpieszyłeś się do panny X. Ale wtedy, gdy ona jeszcze była na wodzie?

- Nie.

- Nie chciałeś jej uratować?

- Nie.

- Hm. Nie czułeś zmartwienia czy wstydu, co?

- Tak... wstyd... Trochę było mi przykro... trochę. Wiem, że to okropne, ale opowiadam, jak było. Tylko...

- Tak, wiem. Panna X. Chciałeś jak najprędzej się oddalić?

- Tak. Byłem bardzo przestraszony, ale... nie chciałem jej ratować.

- Tak, tak... Wiedziałaś, że gdyby utonęła, mógłbyś swobodnie udać się do panny X. Takie były twe myśli?

Ojciec McMillan zacisnął usta ze smutkiem.

- Tak.

- O, synu, mój synu... w sercu twym przebywała zbrodnia.

- Tak - odrzekł Clyde po namyśle. - Zdaje się, że naprawdę...

Ojciec McMillan milczał czas jakiś, a potem dla uspokojenia się zaczął szeptać:

- Ojczy nasz, któryś jest w niebie. Święć się Imię Twoje. Przyjdź Królestwo Twoje. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

Po chwili poruszył się.

- Clydzie, każdy grzesznik dostąpić może łaski Bożej. Z pewnością. Pan Syna własnego wysłał na śmierć za grzechy świata. Możesz dostąpić łaski, jeżeli tylko wzbudzisz w sercu swym skruchę - za takie myśli, za taki czyn! Musisz dużo się modlić, mój synu, bardzo dużo. Bo gdy ujrzysz Pana własnymi oczyma... obawiam się... tak... Muszę się pomodlić, aby rozjaśnić myśli. Dziwna to i straszliwa historia, tyle niezwykłych okoliczności złożyło się na nią... Wszystko jeszcze być może, tylko módl się. Módl się wraz ze mną, żeby Bóg nas oświecił.

Ojciec McMillan pochylił głowę i siedział jakiś czas w zadumie, a Clyde, milcząc również, z niepokojem w duszy patrzył na niego. Po chwili usłyszał słowa błagalne:

- O, Panie, nie grom mnie w Swym gniewie, nie karz mnie w Swej niełasce. Zmiłuj się nade mną, Panie, bom słaby. Ulecz duszę mą z

troski i sromoty, jako że jest zraniona i ciemna w Twych oczach. Dozwól, by wszelkie zło z mego serca uszło. Prowadź mnie, Panie, ku sprawiedliwości. Spraw, by występki znikły z serca mego, i nie pamiętaj o nim.

Clyde, opuściwszy głowę, siedział cicho, zupełnie cicho. Był głęboko wstrząśnięty i rozżalony. Tak, nie ma już żadnej wątpliwości, iż grzech jego jest wielki. Straszne! straszne! Tylko...

Ojciec McMillan skończył modlitwę i wstał. Clyde wstał również.

- Muszę już odejść - mówił kapłan. - Muszę pomyśleć nad tym i pomodlić się. Bardzo tym jestem przejęty i wzruszony. Naprawdę. A ty, mój synu, wróć do swej celi i módl się sam. Żałuj. Proś Boga na klęczkach o przebaczenie. Usłyszysz cię - tak, usłyszysz cię z pewnością. Jutro, a w każdym razie, jak tylko będę mógł, przyjdę znowu. Nie rozpaczaj tylko. Módl się ciągle, gdyż przez modlitwę, przez skruchę będziesz zbawiony. Polegaj na Tym, który świat cały w świętych Swych trzyma dłoniach. W jego niezmierzonej mocy i łasce znajdziesz spokój i przebaczenie. O, tak!

- Zapukał we drzwi małym kluczykiem wyjętym z kieszeni i dozorca ich wypuścił. Ojciec McMillan odprowadził Clyde'a do celi i patrzył, jak zamknęły się za nim drzwi klatki, wreszcie ruszył w swoją drogę przytłoczony tym, co usłyszał.

W głowie Clyde'a przewijały się wszystkie słowa usłyszane przed chwilą. Miał jeszcze przed oczyma postać swego kierownika duchowego. Był tak przygnębiony, a w jego oczach malowała się zgroza.

- Czyżbym rzeczywiście był tak bardzo winien, czy naprawdę zasługuję na karę śmierci? Jaki wyrok o mnie wyda ojciec McMillan, on, który okazał mi tyle dobroci, tyle serca?...

W następnym dopiero tygodniu wzruszony budzącą się skruchą Clyde'a, rozważywszy wszystkie łagodzące okoliczności ze strony moralnej ojciec McMillan oznajmił Clyde'owi, że jakkolwiek ma

wielkie dla niego współczucie i dużo wyrozumiałości, nie może jednak z czystym sumieniem przyznać, że Clyde nie jest winien śmierci Roberty. Czynił bowiem plany zbrodnicze - czyż tak nie było? Nie ratował Roberty od śmierci, choć mógł to z łatwością uczynić. Życzył jej śmierci i wcale się nie zmartwił jej zgonem. Ręką wymierzającą cios kierował gniew, chociaż sumienie szeptało mu, że nie powinien jej uderzyć. Jakkolwiek czyn ten wypływał z uczucia do pięknej i bogatej panny X, jednak z samej istoty grzesznego stosunku z Robertą wynikała jej natarczywość. Fakt ten nie łagodził wcale jego postępuku, przeciwnie, podkreślał jeszcze jego winę. Przeciw Bogu zgrzeszył bardzo ciężko. W czasach największych swych trosk nie umiał się zdobyć na pokonanie samolubstwa, wybujałej żądz i pociągu do wszeteczeństwa, przeciw czemu tak piorunuje święty Paweł. Opanowały go występne myśli i nie opuściły, dopóki karząca ręka sprawiedliwości nie spoczęła na nim. Ani chwili nie żałował swego postępuku,

nawet tam, na Bear

Lake, gdzie miał czas otrząsnąć się z oszołomienia. Potem zaś starał się tylko usprawiedliwić fałszywymi pozorami. Tak było.

Teraz wszakże ojciec McMillan widzi, że Clyde wniknął i pojał głębię swego grzechu, widzi prawdziwą skruchę Clyde'a i uważa, że wysłanie nawróconego grzesznika na śmierć byłoby nową zbrodnią - wykonaną tym razem przez władze prawodawcze.

Ojciec McMillan zgadzał się z poglądami wielu funkcjonariuszy więziennych, którzy byli przeciwni karze śmierci, uważając, że każdy zbrodniarz może jeszcze służyć państwu przez długie lata w jaki bądź sposób. Był przeciwny takiej karze, nie mógł atoli uznać Clyde'a za zupełnie niewinnego. Czyż w niewinnym sercu mogłyby się zrodzić takie plany? Niech się Clyde przyzna przed sobą samym, czy istotnie czuje, że jest bez winy?

Na próżno jednak ojciec McMillan wmawiał w Clyde'a, że obudziło się w nim sumienie i poczucie moralności, które teraz mogłoby inaczej pokierować jego czynami. Clyde nie czuł w swym sercu tak wielkiej winy, jaką mu zarzucano. Nikt nie mógł zrozumieć, jak bardzo dręczyła go Roberta żądaniem, które groziło całej jego przyszłości. Czy może ktoś zrozumieć, jaką wielką, niewygasłą

namiętnością płonął do Sandry, jak piękne czynił projekty? Jest zupełnie sam. Nie ma nikogo, kto by pojął, co się dzieje w jego duszy. Nikogo, kto by w jego niepokoju, w strasznym zmaganiu się ze sobą nie widział tylko winy, grzechu, występku... Czy ktoś może zrozumieć, jak męczył się, biedował, znosił ludzkie szyderstwa przez całe życie? Czy nie zmarnowano mu najpiękniejszych lat dzieciństwa, zmuszając go do modlitw i śpiewów na ulicy, wtedy gdy całą duszą wrywał się do czegoś lepszego? Czy mają prawo sądzić go ci, którzy tak pochopnie wydali nań wyrok, czy mają prawo, jeżeli nie umieją wnikać w jego rozumowanie, w stan jego duszy, w stan umysłu?

Podobne myśli nie opuszczały go wcale i zatruwały mu życie, bo teraz właśnie były najbardziej dokuczliwe. Wbrew wszystkim faktom, wbrew ogólnemu przekonaniu, z najtajniejszych głębin jego duszy wrywał się bunt, krzyk protestu, tak że chwilami sam się go lękał.

Był oto przy nim umiłowany ojciec McMillan, taki prawy i pełen dobroci. Jest bez wątpienia obdarzony łaską widzenia i lepiej to niż on sam osądził. Czasami więc Clyde czuł z niezbitą pewnością, że jest niewinny, czasami przyznawał, że musi być winien.

Ach, te straszliwe myśli pełne niepewności i męki wewnętrznej. Czyż nigdy nie zdobędzie pewności?

Chwilami w zbuntowanej duszy ginął wpływ ojca McMillana, jego dobroć, wiara i miłość cnoty prześlizgiwały się po powierzchni, a Clyde nie był w stanie oczyścić swej duszy, jak tego ojciec McMillan czy też łaskawy i wszechmocny Bóg od niego wymagał. Co ma robić? Jak się modlić? Z rezygnacją, z poddaniem, z wiarą? Czytał więc pod kierownictwem kapłana, który miał pewność, że Duch Święty niezawodnie napełni serce grzesznika, czytał ciągle psalmy, najbardziej odpowiednie dla siebie, szukając w nich natchnienia, które miało wywołać wymaganą skruchę. Wtedy znalazłby pożądaną spokój i siłę, których w tej ciężkiej godzinie tak bardzo potrzebował.

Nie znalazł ich tam jednak.

Tak minęły cztery miesiące. Dziewiętnastego stycznia zebrał się w pełnym składzie Sąd Apelacyjny, by orzec, że Clyde Griffiths jest winny, i zatwierdzić wyrok Sądu Okręgowego, skazujący go na śmierć. Egzekucję miano wykonać dwudziestego ósmego lutego.

Oto jak brzmiało orzeczenie sądu apelacyjnego:

"Wyrok zatwierdzony został z pełnym przekonaniem, gdyż tylko jeden naoczny świadek twierdził, jakoby śmierć Roberta Alden nastąpiła nie wskutek zbrodni. Aby zebrać jak najwięcej dowodów, sąd z niesłychaną sprawnością i uwagą przedstawił wszystkie okoliczności, by móc należycie rozwiązać kwestię winy oskarżonego lub jego niewinności.

Mieliśmy nadzieję, że niektóre fakty będą mogły wzniesić pewne wątpliwości ze względu na niezadowalające i sprzeczne zeznania i że będą mogły być tłumaczone czy interpretowane na korzyść oskarżonego. Obrona w każdym razie - bardzo zręcznie, należy przyznać - chciała je wykorzystać. Rozejrzawszy się jednak w całości, sąd jest całkowicie przekonany o winie Clyde'a Griffithsa i jest zmuszony nie tylko zatwierdzić wyrok, lecz i przyznać, że jest zupełnie sprawiedliwy. Zatwierdza się więc postanowienie niższej izby sądowej".

Dowiedziawszy się o tym ojciec McMillan, który był wówczas w Syracuse, pośpieszył czym prędzej do Clyde'a, licząc, iż zanim dojdzie do niego ta wiadomość, będzie mógł natchnąć go odwagą i rezygnacją, gdyż tylko łaska Boża dopomoże mu znieść ten cios.

Rzeczywiście, Clyde nic jeszcze nie wiedział, o takiej bowiem wiadomości mówiono więźniom dopiero przed samą egzekucją.

Długo z nim rozmawiał ojciec McMillan w tonie podniosłym, cytował zdania świętego Mateusza, Pawła i Jana o znikomości tego świata, o prawdziwej rozkoszy i radości królującej na tamym, wreszcie ostrożnie oznajmił Clyde'owi o wyroku sądu apelacyjnego. Pragnąc go pocieszyć, zapewnił go, że bardzo często gubernator stanu kasuje wyroki, można więc będzie uciec się jeszcze do jego łaski,

Clyde wszakże rozumiał, że musi umrzeć.

Mimo że wiadomość ta spadła nań jak piorun, a słowa ojca McMillana o głębokiej wierze, która jest jedyną ucieczką, zabrzmiały mu słabą tylko pociechą, to jednak okazał więcej hartu ducha niż kiedykolwiek w swoim krótkim życiu.

- Wszyscy więc przeciw mnie... Teraz na mnie kolej... przejdę przez te drzwi... jak tamci. Zasłonią cele... dla mnie... Powiedzą mi "żegnaj", gdy będę przechodził... O, nie chcę tu być dłużej!

Zdawało mu się, że słyszy te kroki, ten ich ponury szmer, że widzi straszliwą procesję, lecz teraz on sam się w niej znajduje. Dziwne - mimo takiej wieści, z której padło jakieś straszliwe olśnienie, nie odczuwał żadnej słabości ani rozpacz.

Przypominał sobie dawne lęki, trwogi, wyobrażenia, co wtedy będzie mówić lub czynić, a teraz myślał o tym z zupełnym spokojem.

Czy zechce pomodlić się wspólnie z ojcem McMillanem? Ach, tak, naturalnie, z wielką chęcią nawet. Tylko...

Trwał w jakimś zapamiętaniu i nie słyszał nawet, że ojciec McMillan szeptał: - Clydzie, to jeszcze nie koniec. Właśnie w styczniu przybywa nowy gubernator. Jest to podobno bardzo dobry i czuły na niedolę człowiek. Znam parę osób, przez które można by do niego trafić, a nawet pójdę sam, a tylko listy mych znajomych poprowadzą mnie u niego...

Widział wszakże ze wzroku Clyde'a, że ten go nie słucha.

- Matka... Może by ktoś zdepeszował do niej. Jakże się przerazi... - Zamilkł, a po chwili dodał: - Nie przypuszczam, żeby listy mogły zaważyć... A może? - Myślał o Nicholsonie.

- Nie trap się, Clydzie - pocieszał go ojciec McMillan, zasmucony. Tak pragnął go przytulić do siebie i swym gorącym uściskiem pocieszyć. - Telegrafowałem już do matki. A co do listów to sądzę, że twoi obrońcy zrobili, co mogli. W każdym razie muszę jednak

zobaczyć się z gubernatorem. Człowiek nowy...

Jeszcze raz powtórzył wszystko, czego Clyde przedtem nie słuchał.

Rozdział XXXIV

Belknap i Jephson starali się już wyjednać u nowego gubernatora zamianę kary śmierci na dożywotnie więzienie, motywując tym, że zeznania świadków były niedokładne, że wbrew prawu odczytano wszystkie listy Roberty Alden w celu wzbudzenia współczucia, lecz gubernator, były prokurator, odpowiedział, że nie jest to dość ważna przyczyna, by w tej sprawie interweniować.

W parę dni później stanął przed gubernatorem ojciec McMillan. Poszła do niego i Griffithsowa. Kilkakrotnie prosiła o pozwolenie widzenia się z gubernatorem, aby osobiście przekonać go do tej sprawy.

Gubernator zgodził się. Cóż mu to szkodzi? Przykrości żadnej mieć nie będzie, a może pocieszyć zboląłą matkę. Opinia publiczna, jakiegokolwiek miałaoby zdanie w danej sprawie, lubiła gesty współczucia, a teraz nie wywierała na nim żadnego nacisku.

Griffithsowa wiele przemyślała w bezmiernym swym cierpieniu. Rozważyła szczegółowo wszystkie winy Clyde'a, wzruszyła się głęboko jego skrucą i duchową łącznością z Bogiem i doszła do stanowczego przekonania, że poczucie humanitaryzmu, a nawet sprawiedliwości powinno pozwolić mu żyć.

Stanęła więc z tym przekonaniem przed gubernatorem, który w całym swym życiu nie przeżył tyle co Clyde namiętności i gorączkowych

rozterek. Jako troskliwy ojciec i mąż umiał odczuwać wrażliwym sercem wzruszenie Griffithsowej, zbyt wiele wszakże miał spraw podobnych, by takie wzruszenie mogło podważyć niezmienną literę prawa. Czytał już orzeczenie sądu apelacyjnego, jak również listy Belknapa i Jephsona, odwołujące się o łaskę do niego. Na jakiej jednak podstawie mógł on David Waltham, bez oparcia się na żadnych nowych danych, tym bardziej gdy rewizja procesu już minęła, zmienić karę śmierci dla Clyde'a na dożywotnie więzienie? Wszak i w pierwszej instancji, i w sądzie apelacyjnym zawyroковано, że musi umrzeć.

Gdy jednak Griffithsowa drżącym głosem streszczała pokrótce historię życia Clyde'a, opisywała jego zalety, zapewniała, że nigdy nie okazywał złych skłonności ani okrucieństwa, że Roberta Alden i owa panna X nie były również bez winy - gubernator spoglądał na nią głęboko wzruszony. Ileż w tej matce miłości i poświęcenia! Jakże cierpieć musi w tej chwili, ile w niej pewności, że syn nie jest tak zły, mimo że fakty mówią co innego.

- O, panie gubernatorze, jakże można odbierać życie mojemu synowi teraz, gdy oczyścił swą duszę z grzechu i gotów jest poświęcić się Bogu i odpokutować śmierć nieszczęśliwego dziewczęcia, które zginęło wypadkiem, o, jakże można! Czyż miliony ludzi, zamieszkujące stan Nowy Jork nie mają zupełnie litości? Czy pan, panie gubernatorze, jako reprezentant ludu nie może spełnić tego aktu miłosierdzia w imieniu tego ludu?

Głos jej się załamał. Nie mogła dalej mówić. Odwróciła się i zaczęła cicho płakać,
a i Waltham nie mógł się oprzeć silnemu wzruszeniu. Biedna kobieta! Że jest uczciwa i szczerą - nie można w to wątpić...

Teraz wystąpił z obroną ojciec McMillan. Clyde bardzo się zmienił. Nie może nic powiedzieć o jego poprzednim życiu, od czasu jednak uwięzienia, a przynajmniej od roku pojmuję zupełnie inaczej życie, obowiązki względem Boga i bliźnich. Gdyby kara śmierci mogła być zmieniona na dożywotnie więzienie...

Gubernator ze zrozumieniem i uwagą słuchał słów ojca McMillana, w którym widział człowieka mądrego, o wielkich ideałach. W jego słowach brzmiała prawda w całym znaczeniu tego słowa.

- Czy jednak pan, panie McMillan - zwrócił się do niego - przebywając z nim tak często i długo w więzieniu, dowiedział się czegoś, o czym nie było mowy podczas procesu, a co mogłoby obalić czy osłabić jednomyślnie wydany wyrok obu instancji? Przecież nie mogę działać jedynie w oparciu o sentymenty.

Patrzył w oczy McMillanowi, który blady i oniemiały nie spuścił przed nim wzroku. Oto nadeszła ciężka chwila. Przytłaczające brzemie wahania, czy Clyde był winien, czy nie. Czy może powiedzieć - nie? Czyż nie doszedł do przekonania po długim rozmyślaniu, po wysłuchaniu spowiedzi, że Clyde jest winien przed Bogiem i prawem? Czy byłaby to prawda, biała, czysta prawda przed Bogiem? Ale czy może jednak, będąc duchowym przewodnikiem Clyde'a pomniejszać jego wartości moralne?

- Jako opiekun religijny - odrzekł po długiej chwili - wchodzę jedynie w duchowe obszary nie mieszając się do paragrafów prawnych...

Wywnioskował z tego Waltham, że i McMillan był tego samego przekonania, co wszyscy, i nie wątpi w winę Clyde'a. Zdobył się tedy na odwagę, by powiedzieć matce:

- Dopóki nie będę miał jakiegoś dowodu niewinności pani syna, dowodu, o którym w obu izbach jeszcze nie mówiono, nie mam możliwości wyboru i muszę zgodzić się z wyrokiem. Bardzo mi przykro, nad wyraz przykro, lecz jeżeli wyroki prawa mają być szanowane, nie można ich lekkomyślnie zmieniać, chyba że znajdują się tak ważne przyczyny, żeby można było oprzeć się na nich. Wolałbym, żeby pani co innego usłyszała ode mnie, niech mi pani wierzy. Modlitwy moje i całe współczucie towarzyszyć jej będą.

Nacisnął dzwonek, wszedł sekretarz. Audiencja była skończona. Griffithsowa drżąca cała i przygnębiona tym, że ojciec McMillan nie znalazł w decydującej chwili słów uniewinnienia dla jej syna

nie mogła już wyrzec ani słowa. I co teraz? Co robić? Do kogo się zwrócić? Bóg, tylko Bóg jej pozostaje. I ona, i Clyde muszą w swym Stwórcy szukać pociechy dla zboliałych serc.

Zadumała się płacząc z cicha, a ojciec McMillan wyprowadził ją delikatnie z pokoju.

Zaledwie wyszli, gubernator zwrócił się do sekretarza: - Nigdy jeszcze w życiu nie spełniłem smutniejszego obowiązku.

Odwrócił się do okna i wpatrzył w zaśnieżony krajobraz.

Clyde'owi zostały już tylko dwa tygodnie życia. Ostateczną decyzję gubernatora zakomunikował mu ojciec McMillan w obecności matki, z której twarzy Clyde od razu wyczytał wszystko, i usłyszał od niej, że pozostaje mu jedynie ucieczka do Boga, Stworzyciela swego, w którym odnajdzie potrzebny spokój.

Zaczął chodzić po celi tam i z powrotem, nie mogąc spocząć nawet na chwilę. Teraz, gdy wszystkie nadzieje zawiodły, gdy niedługo miał umrzeć, czuł nieprzepatą potrzebę spojrzenia wstecz w swe życie. Dzieciństwo. Młodość. Kansas City. Chicago. Lycurgus. Roberta. Sandra. Jak to wszystko szybko mignęło mu przed oczyma... wszystkie te nieliczne, krótkie, a żywym światłem jaśniejące chwile. Pragnienie czegoś więcej, silne pragnienie, podobne do tego, które zrodziło się w nim, gdy Sandra weszła w jego życie - odżyło znowu. Ale to już koniec... taki koniec!

Jak to? Przecież dopiero zaczął żyć, a spędził ostatnie dwa lata w ciasnych murach więziennych! A z tego życia precedzi się już tylko czternaście, trzynaście, dwanaście, jedenaście, dziesięć, dziewięć, osiem straszliwych, gorączkowych dni, Upiływają... upływają. A życie, życie - cóż warte bez uroczych dni, słonecznych czy dżdżystych, bez pracy, miłości, energii, pragnień? Nie! Nie chce, nie chce umierać! Nie chce! Po co mu ciągle powtarzają matka i ojciec McMillan, żeby odwołał się do łaski Bożej i myślał tylko o Bogu, kiedy już wszystko skończone? Ojciec McMillan utrzymuje, że tylko w Chrystusie jest prawdziwy pokój. Być może, ale dlaczego nie mógł powiedzieć wyraźnie o nim gubernatorowi, że nie jest

winien, a przynajmniej nie tak bardzo winien, bo chyba ma takie o nim zdanie? Wówczas... wówczas gubernator zmieniłby może karę na dożywotnie więzienie.

Pytał już matki, co McMillan powiedział gubernatorowi (nie przyznawszy się wszakże do odbytej przed nim spowiedzi) i dowiedział się, że jego opiekun duchowy przekonywał gubernatora o zupełnej zmianie w duszy Clyde'a, nie zapewnił go jednak o jego niewinności. Dziwne wydało się Clyde'owi, że jego dobry przyjaciel nic więcej dla niego nie uczynił. Okropne - i beznadziejne. Czyż nikt nie może zrozumieć jego złych może, lecz istotnie ludzkich pożądań? Ach, iluż tu wraz z nim przez nie cierpi!

Bolesne ukłucie czuła w sercu Griffithsowa, ujrawszy w obecności gubernatora Walthama wahanie ojca McMillana i usłyszawszy niejasną odpowiedź. Zastanowiła się z przerażeniem nad myślą, że może istotnie Clyde jest winien.

- Clyde, jeżeli masz coś jeszcze na sercu, musisz wyznać koniecznie, zanim odejdiesz z tego świata - odezwała się do syna.

- Wyznałem wszystko przed Bogiem i ojcem McMillanem, matko. Czy to nie wystarcza?

- Nie, Clyde. Zapewniałam wszystkich, że jesteś niewinny, jeżeli jednak nie jesteś nim, musisz sam się przede mną przyznać do tego.

- Jeżeli jednak sumienie moje mówi mi, że jestem bez winy, czy to nie dosyć?

- Nie, gdyż słowa Boskie brzmią inaczej, Clyde - odparła matka z niepokojem i wielką wewnętrzną męką.

Clyde jednak na razie nic nie odpowiedział.

Czy może powiedzieć komuś, nawet matce, jakie wyłoniły się w nim wątpliwości po wyznaniu i rozmowie z ojcem McMillanem? Dotychczas nie umie ich rozproszyć i nigdy ich chyba nie rozproszy.

Odmowa syna padła wielkim ciężarem na serce matki. Jej syn rodzony, tak bliski śmierci, nie chce jej, swojej matce, powiedzieć tego, co wyznał ojcu McMillanowi. Czyż Bóg tak ciężko chce ją jeszcze doświadczyć? Ojciec McMillan starał się ją uspokoić mówiąc, że jakiegokolwiek mogły być winy Clyde'a, wyraził już skruchę, oczyścił się przed Panem i gotów jest w spokoju odejść z tego świata.

Przekonał nieco Griffithsową, która z wolna się uspokajała.

Bóg jest wielki, miłosierny! Na łonie Jego jest ukojenie. Czym jest życie, czym śmierć dla tego, który duszą i sercem z Nim się pojednał? Niczym. Niedługo, o, bardzo niedługo i ona, i Asa, i bracia jego, i siostry połączą się z nim, i wszystek smutek minie. pojednać się tylko z Panem, a dostąpi się przepelnianiem szczęściem obecności Jego, miłości, opieki i łaski...

Pełna żarliwego uniesienia drżała chwilami, Clyde czuł doskonale, co się działo w jej sercu, widział wszakże również, że modląc się o szczęście wiekuiste dla niego, nigdy dobrze nie rozumiała jego charakteru i aspiracji. Tęsknił, pożądał innego życia już w Kansas City, a jakże mało otrzymał! Tyłu rzeczy pragnął, mając wszystko inne w pogardzie, a tymczasem wyciągano go na ulicę, gdzie właśnie widzieć musiał swych rówieśników, cieszących się tym, co dla niego było nieziszczalnym marzeniem. Zresztą wszędzie mu byłoby dobrze, byleby tylko nie kazano mu śpiewać na ulicach... Praca misyjna, tak wzniosła i cudowna dla matki, jakże mu wydawała się upokarzająca!

Czy grzechem było to, co odczuwał? Grzechem? Czy tym obrażał Boga? Może matka naprawdę ma rację, widząc w nim grzesznika...

Nie! Woli, stanowczo woli nie żyć dłużej niż słuchać jej świątobliwych rad.

Jakie to dziwne, że chociaż mu już niewiele życia pozostaje, chociaż wiele pojęć stało się dla niego bardziej zrozumiałych, a nawet miłych - to gdy matka z całym poświęceniem stara mu się pomóc, on nie jest w stanie zwrócić się ku niej sercem i wyznać

wszystkiego - jak i co właściwie uczynił! Jak gdyby nieprzebyte mur czy bezdenne przepaść stała się między nimi, wykopana przez brak obopólnego zrozumienia. Ona nigdy nie pojmie jego dążeń do wygod i komfortu, do piękna, miłości, jego upodobania do wystawnego życia, do rozrywek, bogactwa, niezależnego stanowiska, nie pojmie jego niewygasłych aspiracji i pragnień. Nie może tego zrozumieć. Uważa to wszystko za grzeszne, złe, samolubne. A jego nieszczęsną miłość z Robertą, namiętność ku Sandrze i wynikłą z tego kolizję - za cudzołóstwo, nieczystość, zabójstwo nawet. Teraz wołałaby, żeby był skruszony, żałujący, gdy on nawet po wyznaniu wszystkiego ojcu McMillanowi nie znajduje w sobie tych uczuć - no, tak, może troszkę... bo pragnąłby znaleźć ukojenie w Bogu, a właściwie pełne zrozumienie w Jego współczującym i miłującym sercu. Gdyby to było tylko możliwe!

Boże, jakież to straszne! Jest sam, zupełnie sam w tych ostatnich swych godzinach, sam z... przy matce i ojcu McMillanie... bo ci przecież wcale go nie rozumieją.

Zamknięty. Zamknięty, wyjść stąd nie może. To najstraszniejsze... już taki system, okropny, nieludzki system. System żelazny, poruszający się automatycznie jak maszyna, w której serce ludzkie nie bierze wcale udziału. Ten dozór! Ciągła opieka! Przynoszą listy, zadają pytania, mówią przyjazne, świątobliwe słowa, chętnie spełniają życzenia, wprowadzają i wyprowadzają na przechadzkę, do kąpieli... To są także maszyny, żelazne automaty. Wpychają, przytrzymując jednocześnie w tych murach, gotowi zabić w razie oporu, lecz wpychają bez przerwy, powoli ku tym drzwiom, spoza których uciec już nie można... coraz bliżej... bliżej... dopóki nie wepchną przez nie tam, skąd nie ma już powrotu. Nie ma powrotu.

Clyde na tę myśl zrywał się i biegał po celi. I znowu zastanawiał

się nad wszystkimi szczegółami swej winy, próbował myśleć o Robercie i krzywdzie, jaką jej wyrządził, czytać Biblię, a czasem leżąc na swej pryczy, powtarzał:

- Boże, obdarz mnie spokojem. Panie, oświeć mnie. Panie, daj mi

siłę, bym mógł odegnąć złe myśli. Wiem, że nie jestem zupełnie czysty. Nie... Wiem, że miałem złe zamysły. Tak, wiem o tym. Przyznaję się. Lecz czyż muszę umrzeć koniecznie? Czy nie ma żadnego ratunku? Czy nie zesłesz mi ratunku, o, Panie? Czy mi się nie objawisz?... Matka mnie zapewniała, że możesz... Może skłonicz gubernatora, by zmienił karę w ostatniej chwili? Może skłonicz ojca McMillana, by zmienił o mnie zdanie i poszedł raz jeszcze do niego? Odrzucę od siebie wszystkie grzeszne myśli. Odmienię się! O, tak! odmienię się... jeżeli tylko zachowasz mi życie, o Panie! Nie dozwól mi umierać teraz... nie dozwól. Będę się modlił... z całego serca będę! Ześlij mi siłę i zrozumienie, i wiarę, i dar modlitwy. O, tak!

W ten sposób spędzał resztę swych dni, czasem żarliwie się modląc, czasem trwając długo w obłądnym lęku i myśląc o cierpieniach i głębokiej wierze matki. Odwiedzał go teraz prawie codziennie ojciec McMillan, pocieszał, mówił o boskim miłosierdziu, nakłaniał do wiary niezłomnej i przekonywał tak gorącymi słowami; że Clyde nie tylko rozumiał potrzebę tej wiary, lecz zdawało mu się że już ją posiada, że w niej znajduje spokój i bezpieczeństwo.

W takim stanie ducha za namową matki i pod kierunkiem ojca McMillana, który poprawił nieco niektóre zdania, napisał odezwę do wszystkich na wolności, a głównie do młodzieży w jego wieku:

"Zbliżając się ku Dolinie Śmierci, pragnę uczynić wszystko, by nikt nie miał najmniejszej wątpliwości w nawrócenie się moje ku Jezusowi Chrystusowi, który jest naszym Zbawicielem i najbardziej oddanym przyjacielem. Żałuję mocno, że w swoim życiu nie dałem Mu pierwszeństwa i nie pracowałem dla Niego.

Gdybym mógł znaleźć słowa, które by umiały skierować młodzież ku Niemu, uważałbym to za wielką łaskę. Umiem jednak tylko tyle powiedzieć: <<Wiem, w kogo wierzyłem, i ufam mocno, że w Jego rękach jest to, co popełniłem przeciw Niemu>>. (Była to cytata, którą ojciec McMillan często powtarzał).

Gdyby młodzi ludzie dzisiaj mogli pojąć radość i zadowolenie, jakie daje życie Chrystusowe, wiem, że czyniliby wszystko, aby

stać się gorliwszymi chrześcijanami, i usiłowałiby żyć, jak Chrystus przykazał.

Wszystko już spełniłem, by móc spojrzeć w oblicze Pana; wiedząc, że winy moje będą mi przebaczone, ufnie i szczerze wyznałem je memu doradcy, a Bóg sam wie, jakie są moje winy.

Spełniłem i zwyciężę!

Clyde Griffiths".

Pisał to w stanie zupełnie różniącym się od niedawnej duchowej rozterki, sam wzruszony tą zmianą w sobie. Podał swe pismo ojcu McMillanowi, który uniesiony radością zawołał:

- "Zwyciężę?" Nie! zwyciężyłeś, Clydzie! "Dziś jeszcze będziesz ze mną w niebie". To są Jego słowa. Dusza twa i ciało należą do Niego. Wynagrodzonymś wiekuiście przez Imię Jego.

Uszczęśliwiony tak wielkim dziełem, ojciec McMillan ujął obie ręce Clyde'a i ucałował je, a potem wziął go w ramiona:

- Synu mój, synu, jakąż mi radość sprawiłeś. Oto w tobie Bóg objawił Swą prawdę, Swą moc zbawienną. Jasne to dla mnie. Twoja odezwa jest Jego żywym głosem do świata.

Schował odezwę do kieszeni wiedząc, że wydobędzie ją dopiero po śmierci Clyde'a - nie wcześniej.

A jednak Clyde pisząc miał jeszcze chwilami wątpliwości. Czy naprawdę będzie zbawiony? Tak krótko przygotowywał się do tego... Czy naprawdę może polegać na Bogu z całą pewnością, jak to sam zapewniał w swym liście? Czy może? Życie jest tak dziwne - przyszłość tak ciemna... Czy istotnie istnieje życie po śmierci? Czy istnieje Bóg, który go powita przebaczeniem? Czy jest?

Na dwa dni przed śmiercią syna, Griffithsowa w obłędnej rozpaczyc zatelegrafowała do Davida Walthama: "Czy może pan powiedzieć przed Bogiem z czystym sumieniem, że nie ma wątpliwości co do winy mego

syna, Clyde'a? Jeżeli nie, niech krew jego spadnie na twą głowę".

Robert Fessler, sekretarz gubernatora, odpowiedział telegraficznie: "Gubernator Waltham nie może skasować wyroku sądu apelacyjnego".

Ostatniego dnia przeprowadzono Clyde'a do celi w starej kaźni, gdzie po ogoleniu i kąpieli dano mu czarne spodnie, białą koszulę bez kołnierza, aby był swobodny dostęp do szyi, nowe filcowe pantofle i szare skarpetki. Tak ubranemu pozwolono raz jeszcze zobaczyć się z matką. Ojciec McMillan już od szóstej wieczorem dnia poprzedniego siedział przy nim dla duchowej pociechy. Matka pozostała do czwartej rano i o tej godzinie zjawił się naczelnik więzienia oznajmiając konieczność rozstania.

- Smutny przymus prawa - tłumaczył się.

Odbyło się ostatnie pożegnanie matki z synem.

- Mamo, bądź pewna - odezwał się ze skurczem w sercu - że umieram z rezygnacją i zadowoleniem. To nie jest takie straszne. Bóg słyszał moje błagania, ześle na mnie siłę i spokój...

W duszy jednak zapytał: Czy ześle?

- Synu mój, synku ukochany! Wiem... wiem... I ja w to wierzę... Wiem, że nasz Odkupiciel żyje i ty w Nim żyć będziesz.

Chociaż umierasz - żyć będziesz...

Oczy wzniosła ku górze i stała odrętwiała. Nagle schwyciła Clyde'a w ramiona, przytuliła do siebie mocno, długo, szepcząc:

- Synku... dzieciątko moje... - tu głos jej się załamał, urwał z braku tchu, jakby całą swą siłę przelewała w niego.

Musi odejść, bo upadnie.

Zwróciła się szybko ku naczelnikowi więzienia, który ją

wyprowadził z więzienia i odwiózł do znajomych ojca McMillana, mieszkających w Auburn.

Ciemny zimowy poranek. Ostatnie chwile.

Dozorcy przychodzą rozpruć prawą nogawkę spodni, by ułatwić włożenie tam metalowej płytki. Wychodzą spuścić zasłony na celach.

- Odwagi, mój synu! - mówi ojciec McMillan.

Nadchodzi wielebny Gibson i zbliża się do Clyde'a. Clyde wstaje z tapczanu, gdzie słuchał dotąd ojca McMillana, czytającego świętego Jana 14, 15, 16: "Niech się nie trwoży serce wasze i wierzycie w Boga, i w Mię wierzycie".

Teraz odejście ostateczne z ojcem McMillanem z jednej strony, wielebnym Gibsonem z drugiej, z dozorcami z tyłu i na przedzie. Zamiast zwykłych modłów ojciec McMillan przemawia:

- Ukorzcie się przed wszechmocną prawicą Boga, albowiem wywyższyć może was we właściwym czasie. Złóżcie całe staranie w Nim, wždy On starać się o was będzie. Bądźcie w spokoju. Mądre i sprawiedliwe są Jego drogi. On powołuje was do Swej wiecznej chwały przez Jezusa Chrystusa, albowiem przez Niego cierpieliście niewiele. "Jam jest droga i prawda, i życie, żaden nie przychodzi do Ojca, tylko przez Mię".

Clyde wchodzi w pierwsze drzwi, idzie korytarzem do sali egzekucyjnej. Słyszy różne głosy:

- Żegnaj Clyde!

Czuje w sobie dość siły, by odpowiedzieć:

- Żegnajcie wszyscy!

Słyszy jednak, że głos brzmi jakoś dziwnie słabo, jakby wydobywał się z dala, nie z jego gardła. Nogi jego stąpają, ale jakoś automatycznie.

O, zna doskonale ten szmer, ten szmer zbliżający go do tych drzwi. Już stanął przed nimi. Już są otwarte. Tu jest... tak, jest... krzesło, które tak często widywał w swych snach, które go tak przerażało. Teraz on na nim zasiądzie. Popchnięto go ku niemu... posadzono... popchnięto przez te właśnie drzwi... otwarte już drzwi dla niego... gościnnie otwarte.

Zatrzaśnięto już. Szybko zatrzaśnięto i jeszcze jedno życie ziemskie zgasło.

Po kwadransie z obojętnych wrót więziennych wyszedł ojciec McMillan z szarą, martwą twarzą. Wyszedł, chwiejąc się, jak człowiek fizycznie zmordowany. Zimowy dzień też był szary, znużony jakiś, omdlały.

Śmierć! Jeszcze kilkanaście minut temu Clyde szedł nieco nerwowym krokiem, a jednak ufnie przy nim - a teraz nie żyje. Prawo! I takie więzienia! Ileż razy źli, zatwardziali ludzie szydzili z Clyde'a podczas jego modlitw! A jego spowiedź! Czy ojciec McMillan ma czyste sumienie wydawszy taką decyzję? Czy czyste? Czy uczynił to według mądrości Bożej? Ach, te oczy Clyde'a... Ojciec McMillan sam prawie omdlewał przy nim, gdy dopasowywano Clyde'owi hełm metalowy na głowę, a gdy prąd puszczono, omdlałego prawie, chorego wyprowadzono z sali... jego, na którym tak Clyde polegał... A prosił Boga o siłę... prosił usilnie.

Szedł cichą ulicą. Stanął i oparł się o drzewo - bezlistne w ten zimowy poranek - takie nagie, smutne.

Oczy Clyde'a! Ten wzrok, gdy opadł bezwładnie na to straszliwe krzesło, te oczy, wpatrzone w niego z niepokojem, błagalnie i ze zdumieniem.

Czy dobrze uczynił? Czy odpowiedź, dana gubernatorowi, była uczciwa, wierna i miłosierna? Może mógł powiedzieć... że gdyby Clyde żył w innych warunkach, pod innym wpływem... Może już teraz nigdy... nie będzie miał spokoju?

"Wiem, że mój Zbawiciel żyje i troszczy się o niego dzisiaj".

Chodził ojciec McMillan jeszcze całą godzinę, zanim stanął przed matką Clyde'a, która cały czas przetrwała na kolanach, modląc się za duszę syna i wyobrażała ją sobie na łonie Stwórcy.

- Wiem, komu ufałam - brzmiały słowa jej modlitwy.

Dla niego

Zmierzch letniego wieczoru.

I wysokie mury ośrodka handlowego miasta San Francisco - wysokie i szare w mrocznych cieniach wieczoru.

A na szerokiej ulicy, nieco spokojniejszej, grupa, złożona z pięciu osób. Mężczyzna, pewnie sześćdziesięcioletni, niski, krępy, o niezdrowej cerze, bladych, zamglonych oczach, o białych włosach, wysuwających się spod zniszczonego filcowego kapelusza, bardzo pospolita i znużona życiem figura, niesie małą, przenośną fisharmonię, jakiej zwykle używają uliczni kaznodzieje i śpiewacy. Przy nim kobieta, może z pięć lat młodsza, wyższa, niezbyt tęga, lecz krzepka i silna, o śnieżnobiałych włosach, ubrana na czarno. Czarna suknia, czarny czepeczek i czarne trzewiki. Twarz jej pełniejsza i silniejsza w wyrazie niż męża, bardziej jednak poorana bruzdami niedoli i cierpienia. Prowadziła za rękę małego siedmioletniego chłopczyka, który niośł Biblię i kilka książek z hymnami. Chłopiec, żwawy, wesoły, trzymał się blisko niej i widać było, że mocna nić miłości i porozumienia łączy ich ze sobą. Oprócz tej trójki nieco dalej, jak gdyby osobno, szła zwiędła, nieładna kobieta lat około dwudziestu ośmiu z drugą, starszą. Sądząc z podobieństwa, były to widocznie matka i córka.

Było gorąco i jakaś słodka niemoc wisiała w powietrzu.

Na ruchliwym skrzyżowaniu, pełnym różnego rodzaju samochodów i innych pojazdów, całe to towarzystwo zatrzymało się czekając na znak pałeczki policjanta.

- Russel, stój przy mnie - odezwała się kobieta. - Weź mnie lepiej za rękę.

- Wydaje mi się - zrobił spostrzeżenie mąż słabym, łagodnym głosem
- że ruch staje się z każdym dniem coraz większy.

- Auta trąbiły, motocykle prychały i warczały. Całe towarzystwo na nic nie zwracało uwagi, prócz tego, aby bezpiecznie przejść przez ulicę.

- Uliczni kaznodzieje - szepnął bankowy urzędnik do swej koleżanki kasjerki.

- Pewnie. Widuję ich prawie każdej środy.

- Patrz, jaki śliczny bąk! Zdaje się, że chyba jest trochę za mały, żeby go ciągnąć po ulicach, prawda, Ellen?

- O, tak! Nie zniosłabym, żeby mój brat na przykład musiał się tak włóczyć. Co to za życie dla takiego dzieciaka! - z oburzeniem mówiła Ellen mijając ich.

Przeszedłszy na drugą stronę, zatrzymali się wszyscy i skupili, jak gdyby stojąc już u celu. Mężczyzna postawił fisharmonię, otworzył na niej niewielki pulpity. Żona wzięła z rąk wnuczka Biblię i podała mężowi, książkę z hymnami ustawiła na pulpicie, drugą dała towarzyszącym kobietom, a trzecią zostawiła sobie. Mąż rozejrzał się niepewnie dokoła, mimo to pewnym głosem oznajmił:

- Zaczniemy dzisiaj od 276, "Jak ustalić fundament... " Zaczynamy, panno Shoof?

Młodsza z kobiet, wyschła, chuda, koścista, której z pewnością życie odmówiło wszelkiej rozkoszy, usiadła na żółtym, składanym

krzeselku i przewróciwszy parę kartek, zaczęła grać wybrany hymn, reszta zaś osób zawtórowała jej śpiewem.

Ulokowawszy się tak blisko głównej miejskiej arterii, zwrócili na siebie uwagę różnych osób powracających do domu. Niektórzy zatrzymywali się przysłuchując się i zapytując, co tutaj robią. Przypadkowe, obojętne audytorium uliczne wpatrywało się w śpiewaków wznoszących wspólne pienia bez względu na pustkę i apatię życia. Oglądali niepozornego, zwiędłego człowieczka w zniszczonej workowatej kapocie, pospolitą, krzepką, siwiuteńką kobietę, malutkiego, niewinnego, nic nie rozumiejącego chłopczyka. Co on tu robi między nimi? I ta zaniedbana, chuda, stara panna, równie chuda i roztargniona jak jej matka. Na czele grupy stała najwidoczniej ta stara kobieta, ona najbardziej zwracała uwagę, pełna siły i determinacji, i jakiejś ślepej wiary, która może błędna i niewyrozumowana, była jednak jej ostoją i jedynym może szczęściem w życiu. W kobiecie tej, bardziej niż w innych osobach zespołu, malowało się nieświadome pewnie, lecz wzbudzające szacunek przekonanie.

Niejeden przystanął, patrzył długo na nią, na książkę z hymnami, którą trzymała w opuszczonej ręce, na jej wzrok utkwiony w przestrzeni, i szeptał:

- Oto kobieta, która mimo swych człowieczych błędów czyni to, w co usilnie wierzy.

Mocna, wojująca wiara w mądrość i łaskę doskonałej, wszechmocnej i czujnej potęgi, którą wieściła tłumom, była wyryta w każdym rysie jej twarzy i każdym geście.

Po śpiewie nastąpiła długa modlitwa, wypowiedziana ustami starej kobiety, potem kazanie jej męża, zawierające wyznania ludzi, którym Bóg wiele wyświadczył. Potem nastąpił odwrót. Zebrano hymny, zamknięto fisharmonię i włożono ją na ramiona mężczyzny.

Poszli.

- Piękny wieczór - odezwał się mężczyzna. - Zdaje się, że dziś

śluchali z większym skupieniem niż zwykle?

- A, tak! - odparła kobieta, która grała na fisharmonii.

- Wzięli co najmniej jedenaście broszurek, a jeden starszy pan zapytał mnie, gdzie jest misja i kiedy odbywają się nabożeństwa.

- Chwała Bogu - odrzekł mężczyzna.

Oto i misja. "Gwiazda Nadziei. Dom niezależnej misji. Zebrania w każdą środę i sobotę od 8 do 10. W niedziele o 11, 3 i 8. Każdy będzie chętnie widziany". Poza tym napisy w każdym oknie: "Bóg jest miłością", a niżej drobniejszym pismem: "Jak dawno nie pisałeś do swej matki?"

- Babciu, mam u ciebie, zdaje się, dziesiątkę... pójde na róg i kupię sobie gorących kasztanów - paplał malec.

- Możesz, Russel, ale słuchaj... Wrócisz zaraz, prawda?

- Wróce, babciu, na pewno. Znasz mnie przecież.

Wziął dziesiątkę, którą babka wyszukała w głębokiej kieszeni, i pobiegl po kasztany.

Jej ukochany chłopiec! Jasność i szczęście jej starości! Musi być dobra dla niego, bardziej ustępliwa, nie może go hamować za bardzo, jak to... kiedyś może...

Patrzyła za nim z miłością.

- To dla niego...

Całe towarzystwo, bez Russela na razie, weszło w żółte drzwi domu i znikło za nimi.